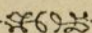
# ATENEUM.

# ATENEUM

## PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM IX.



WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, N. 23.

1878.

Дозволено Цензурою
Варшава, 18 Февраля 1878 г.



# SPIS RZECZY.

## 1. ETNOGRAFIA.



## 2. LITERATURA.



## 3. NAUKI SPOŁECZNE I POLITYCZNE.



## 4. BELLETRYSTYKA.



## 5. PEDAGOGIKA I TOWARZYSTWA NAUKOWE.

## 6. ŻYCIORYSY.



## 7. ROZBIORY I KRYTYKI.

## 8. ROZMAITOŚCI.

# POWÓDŹ.

POWIEŚĆ

## FRYDERYKA SPIELHAGENA

W SKRÓCENIU OPOWIEDZIANA

przez

## WINCENTĘ LIMANOWSKĄ.

---

## KSIĘGA PIERWSZA.

— A więc to jest Warnow?

— Przepraszam, panie prezydencie, Warnow leży cokolwiek daléj w głąb kraju.

— Dziwna rzecz, jak się pan prędko oryentujesz, panie jenerale!

— Wprawdzie byłem tam raz jeden tylko, odpowiedział jenerał, ale następnie często miałem sposobność studyowania brzegu tego na mapie.

Prezydent uśmiechnął się.

— Tak, tak, jest to grunt klasyczny, przemówił; długo walczono o niego; długo i — daremnie! Ale sądzę, że walka ponowi się z czasem; hrabia Golm i wspólnicy wielkie o to czynią zabiegi.

— Dowiódłszy w tak przekonywający sposób, że koléj nie będzie przynosiła dochodów?

— Tak, jak pan dowiodłeś, że port wojenny niepotrzebny tu wcale!

— Przepraszam, panie prezydencie, nie dano mi pod tym względem żadnego polecenia, a raczéj uchyliłem się od niego. Jedyne, stosowne poniekąd miejsce na port byłoby tam, w najbardziéj południowym kącie zatoki, pod zasłoną przylądka Wissower-Haken, jeżeli dobrze sobie przypominam; to znaczy na ziemi i gruncie War-

nowa. Wprawdzie miałem sobie powierzoną tylko opiekę nad majątkiem mojéj siostry.

— Wiém, wiém, przerwał prezydent, honorowość swą posuwasz pan bardzo daleko. Hrabia Golm i wspólnicy mniéj są skrupulatni!

— Tém gorzéj dla nich!

Dwaj panowie rozmawiający należeli do pasażerów statku, udającego się do Sundinu na nową koléj żelazną. Spotkali się wsiadając już na parostatek w Szczecinie, skąd udawali się w jednę stronę i odnowili dawną z sobą znajomość. Córka starego wojaka, Elsa, towarzyszyła ojcu w téj podróży; podczas kiedy dwaj panowie wzajemnie sobie dotrzymywali towarzystwa, ona długie spędzała godziny na pokładzie, zabawiając się książką lub rysunkiem.

I teraz oto, nie zważając na pogodę, siedziała w zasłoniętém od wiatru miejscu, przy ścianie kajuty; zadumana, spoglądała z kolei na morze, na szare obłoki, lub na gęste kłęby dymu, unoszące się po nad statkiem, wreszcie na ludzi, znajdujących się na pokładzie. Wszystko to już dobrze było jéj znane, oko znużone jednostajnością widoku prześlizgało się powoli, nie zatrzymując na niczém; jeden tylko człowiek, niezmordowanie chodzący po pomoście, więcéj zaciekawiał patrzącą; z ruchów i pewności chodu wnosiła, że musi być marynarzem. W zwyczajnych okolicznościach nie byłaby zwróciła żadnéj na niego uwagi, tak przynajmniéj sądziła, możeby nawet nie spostrzegła go wcale; jeżeli zaś dzisiaj tak mu się pilnie przypatrywała, to dlatego jedynie, że nic innego nie miała do roboty, ani do widzenia.

W albumie swoim skreśliła wprawdzie już kilka widoków: część portu w Szczecinie, potém kawał wybrzeża, wreszcie wizerunek sternika, ale z całéj téj pracy wcale nie była zadowolniona. Usiłowała nakoniec naszkicować portret p. Niezmordowanego, jak go nazwała; ale ten znowu w ciągłym był ruchu, nie mogła więc sobie z nim poradzić.

Już kilka razy zmazała rozpoczętą pracę, kiedy nareszcie, nieznajomy zatrzymał się koło sternika i czas jakiś spokojnie patrzał na morze.

— Nakoniec! szepnęła Elsa; może choć chwilkę spocznie i pozwoli mi coś zrobić.

Ołówek szybko posuwał się po papiérze.

— Śliczny profil! Doskonale się rysuje na szarém tle nieba; czarna broda pysznie mi się udała! brody zwykle mi się udają, piękna twarz! szkoda, że nie można oddać na papiérze tego, co w niéj najpiękniejsze — duże, niebieskie, łagodne oczy; ręce w kieszeni

teraz jeszcze ławka, koło któréj stoi i kawałek ściany parostatku, i pan Niezmordowany gotów.

Odsunęła cokolwiek rysunek od siebie i z zadowoleniem mu się przypatrywała. Wreszcie napisała pod nim: Niezmordowany. Rysowany z zamiłowaniem 26 Sierpnia 72. E. r. W.

W chwili kiedy Elsa tak gorliwie pracowała nad przeniesieniem na papiér rysów i postawy młodego człowieka, obraz jéj wzajemnie żywo zajmował jego wyobraźnią. On nie patrząc na nią, wciąż widział przed sobą wdzięczną jéj postać; wyrazistą, ruchliwą fizyognomią; wielkie piwne oczy, jaśniejące rozumem i energią, tak bystro a słodko patrzące. Ujrzał ją po raz pierwszy przy wsiadaniu na statek, i odtąd wzrok jego ścigał wszystkie jéj ruchy, i wszystko wabiło i pociągało go ku niéj. Tłómaczył to sobie naturalną przyczyną, brakiem towarzystwa kobiécego, którego był pozbawiony przez czas długi, i nie dziwił się wcale, że piękna dziewczyna wywarła na nim teraz tak wielkie i silne wrażenie.

— I cóż stąd — mówił do siebie — za trzy godziny staniemy w Sundin, a tam, bywaj mi zdrowa na wieki!

— Ale cóż im przyszło do głowy? Przy tak małéj wysokości wody chcecie płynąć przez mieliznę?

Z temi ostatniemi wyrazami zwrócił się do sternika.

— A! to rzecz kapitana, odrzekł majtek. Ja sam myślę, ale kiedy kapitan sądzi....

Młody człowiek nie słuchał daléj. Razy kilka już odbywał tę podróż, niedawno jeszcze przejeżdżał miejsce, o którém wspominał a które zaledwie o pół mili stamtąd było oddalone; przestraszył się, widząc, że szybkość parowca nie zmniejszyła się wcale, i że nie przedsiębrano żadnych środków ostróżności, chociaż przy wietrze zachodnim woda tak opadła, że tam gdzie poprzednio było 15 stóp, dzisiaj zapewne będzie ich zaledwie 10.

Szybkim krokiem udał się w stronę, gdzie stał kapitan statku. Ten z największą flegmą odpowiedział mu, że na mapie oznaczono jest 15 stóp głębokości w tém miejscu, a zatém parowiec, biorący ich 8 tylko, bezpiecznie może je przebyć. Że wié wprawdzie, iż inni kapitanowie wolą omijać to miejsce, bo w pewnych okolicznościach woda spada tam daleko niżéj, ale pomimo to, jemu samemu udawało się już nieraz przebywać tę mieliznę, więc i teraz nie widzi powodu, dlaczego miałby naddawać sobie drogi.

Wszelkie przedstawienia młodego człowieka pozostały bezskuteczne; kapitan trwał w uporze, parowiec szybko się posuwał naprzód.

Wkrótce wszakże bieg jego stopniowo zaczął wolniéć, tak, że zwróciło to nawet uwagę pasażerów; wreszcie gwałtowne uderzenie wstrząsnęło całym statkiem, i przeraźliwe skrzypnięcie zatrwożyło wszystkich. Poczém nastąpiła głucha cisza; po chwili zaś cały parowiec zaczął drgać wskutek gwałtownego ruchu śruby, za pomocą któréj chciano go cofnąć nazad, ale nadaremnie. To co przed chwilą byłoby zapobiegło niebezpieczeństwu, okazało się teraz zupełnie bezskuteczném.

Chodzenie, bieganie i krzyki powstały naraz.

Przepowiednia młodego człowieka spełniła się: parowiec osiadł na mieliznie, i napróżno usiłowano zepchnąć go na pełne morze.

Kapitan nie wzruszył się wcale tym wypadkiem; obojętnie słuchał skarg i wyrzekań i wzruszał ramionami, widząc gniew pasażerów. Cóż on temu winien, że mapy złe—to rzecz ministeryum marynarki, a nie jego sprawa!—mówił z flegmą!

Wreszcie pozwolił spuścić wielką łódź i odwieść pasażerów na ląd.

— A tam niech już sobie radzą jak chcą, kiedy tak chcą, dokończył.

Młody człowiek, zwany przez Elsę p. Niezmordowanym, był w istocie marynarzem, kapitanem okrętu kupieckiego i nazywał się Reinhold Schmidt.

Po rozmowie swojéj z kapitanem zbliżył się do Elsy, która wciąż siedziała na pokładzie, i uprzedził ją o mogącym nastąpić wypadku. Potém, kiedy katastrofa już zaszła, zapewnił, że przy spokojném morzu żadnego nie ma niebezpieczeństwa, a którykolwiek z przejeżdżających mimo statków będzie mógł zabrać pozostałych pasażerów na swój pokład, w razie gdyby do tego czasu nie udało się spuścić parowca na pełne morze.

Jenerał zatém zdecydował się pozostać na miejscu, a prezydent, chociaż wcale niezadowolniony z tego, przez grzeczność musiał dotrzymywać mu towarzystwa.

Pod wieczór wszakże wiatr się wzmógł—niebo pokryło się ciężkiemi chmurami—fale coraz wyżéj zaczęły się podnosić.

Niepokój prezydenta wzrastał więc co chwila, témbardziéj że noc zbliżała się szybko, i inni pasażerowie opuszczali statek. Elsę bawiło z początku to zakłopotanie jego, wreszcie zrobiło się jéj żal starego człowieka, nieprzyzwyczajonego, jak jéj ojciec, do niewygód, a tém mniéj do niebezpieczeństw. Postanowiła zatém raz jeszcze poradzić się Reinholda, który, siedząc na tylnéj części pokładu, patrzał przez lunetę na wielką łódź, odwożącą pasażerów na ląd.

Tak był tém zajęty, że nie spostrzegł zrazu zbliżającéj się Elsy. Szybko się porwał z miejsca dopiéro wtenczas, kiedy przemówiła do niego.

— Jak daleko już są, zapytała.

— Zaraz wylądują odpowiedział. Może pani zechce popatrzéć?

Elsa wzięła lunetę, ale najprzód nie mogła jéj ustawić, potém zaś pokazało się, że oczy jéj lepiéj i daléj widzą bez pomocy szkieł.

— W istocie ma pani oczy marynarza, rzekł Reinhold.

Elsa zaśmiała się i Reinhold zaśmiał się także. Oczy ich spotkały się i utonęły w sobie na chwilę.

— Mam prośbę do pana, rzekła.

— Ja także, odpowiedział, patrząc wprost w ciemne oczy, które jak gwiazdy świeciły mu. Chciałem prosić panią, byś skłoniła ojca do odjazdu. Za godzinę popłyniemy, ale noc będzie burzliwa; w najlepszym razie jest to rzecz nieprzyjemna; w najgorszym zaś bardzo przykra. Chciałbym uchronić panią tak od jednego jak od drugiego.

— Dziękuję panu, miałam właśnie zasięgnąć rady pańskiéj w tym względzie.

— A więc doskonale, pomówię zaraz z ojcem pani i musimy jechać natychmiast.

— Musimy?

— Chcę prosić panią o pozwolenie odwiezienia ją na ląd.

— Dziękuję panu, powtórzyła raz jeszcze. Podała mu rękę oczy ich znowu spotkały się.

— Ręce można zaufać i oczom także, pomyślała sobie.

Poczém szybko oddaliła się.

Reinhold zamierzał udać się za nią, wtém spostrzegł u nóg swoich popielato-niebieską rękawiczkę. Upuściła ją zapewne, ustawiając lunetę. Młody człowiek szybko ją podniósł i schował.

— Nie dostanie jéj już, powiedział sobie.

Reinhold miał słuszność, nie było chwili do stracenia. Niebo pokrywało się coraz czarniejszemi chmurami, i silny wiatr powstał, tak, że niepodobna już było zdążyć do miejsca, gdzie pierwsi podróżni wylądowali, i gdzie się znajdowała wieś. Teraz można już było płynąć tylko z wiatrem ku północy, tam zaś na wąskim pasie nagich, piaszczystych wzgórz nie było nawet chaty rybackiéj.

Reinhold zręcznie i silnie kierował łodzią; jasne jego oczy i pogodne czoło tak wielką budziły ufność w Elsie, że nie czuła żadnéj bojaźni, chociaż fale rzucały łódką jak łupiną orzecha, a blady ze

strachu prezydent wciąż krzyczał: Na Boga! Ojciec jéj także miał czoło pochmurne. Ona jednak czuła się zupełnie spokojną, bo niebieskie oczy patrzące pogodnie i uśmiech na ustach odpowiadały wyraźnie, że nie ma się czego obawiać. Kiedy przybili do brzegu, majtkowie przenieśli panów na ląd, ona zaś chciała sama wyskoczyć z łodzi, ale silne ramiona pochwyciły ją wpół i szybko a zręcznie postawiły na ziemi. Panowie poczęli się naradzać między sobą, Elsa zaś z zajęciem przypatrywała się widokowi, co się roztaczał przed nią. I wszystko wydawało się jéj zachwycającém. Przed nią huczało nieskończone morze, olbrzymie wały białą, kroplistą uwieńczone pianą, wściekle goniły jeden za drugim, podnosiły się i opadały, wreszcie z szumem rozbijały o wybrzeża. Na prawo i lewo piaszczyste wzgórza, porosłe morskiemi trawami; długie ich wstęgi słały się po ziemi lub podnosiły ku niebu, jakby jakieś żywe istoty; tajemniczą prowadzące rozmowę z wichrem i deszczem. Wicher ten nawet i deszcz robił jéj pewną przyjemność,—czuła się jakąś rzeźwą, silną i szczęśliwą—szczęśliwą jak nigdy. Nietylko nie gniewała się na przygodę, która ich spotkała, ale przeciwnie chciałaby, żeby się ta przeciągnęła jak najdłużéj.

Ponieważ wieś rybacka leżała o pół mili stamtąd, i trudno się było dostać do niéj po mokrym piasku, postanowiono przeto, idąc za radą Reinholda przerznąć się przez wzgórza piaszczyste i poszukać schronienia w fermie, znajdującéj się nieopodal stamtąd, jak utrzymywał młody człowiek.

W istocie, po półgodzinnéj drodze, strudzeni podróżni ujrzeli zabudowania gospodarskie i niski, mieszkalny domek.

---

Była to mała ferma, którą niejaki Pöllitz trzymał w dzierżawie od hrabiego Golma.

Dzierżawca uprzejmie przyjął podróżnych i zaczął się troszczyć o nocleg dla nich; ale Elsa, dowiedziawszy się od żony jego, że mają dwoje dzieci słabych i spostrzegłszy ją ogromnie stroskaną, przedstawiła ojcu, że na żaden sposób nie mogą obarczać gospodarzy obecnością swoją i w takiéj chwili sprawiać im nowy kłopot.

Nie pozostawało zatém nic innego, jak prosić o gościnność hrabiego Golma, którego myśliwski zamek leżał o pół mili stamtąd. Prezydent, jako znajomy hrabiego, zrobił tę propozycyą i natychmiast wysłał na zamek gońca, zawiadamiając o przybyciu gości. Jenerał, acz bardzo niechętnie, musiał się zgodzić na to.

Zanim posłaniec wrócił, Elsa wdała się w długą rozmowę z dzierżawczynią; rozpytywała ją o przeszłość ich, o dzieci i zamiary na przyszłość. Dowiedziała się od niéj, że byli niegdyś w lepszym bycie; ale wojna, choroby a wreszcie podniesiona cena dzierżawy zupełnie ich zniszczyły. Ze smutkiem wspominała o fermie, którą poprzednio zajmowali, a skąd hrabia ich wyrugował. W słowach jéj przebijał żal do hrabiego, który podwyższał dochody swoje, podnosząc czynsze dzierżawne, i takim sposobem nietylko zmusił ich do opuszczenia miejsca, gdzie pierwsze szczęśliwe chwile małżeństwa swego spędzili, ale i tutaj wymaganiem wygórowanéj opłaty przyczynił się do ich nędzy.

— Sam nie żonaty „mówiła nie rozumié jak ciężko jest biednym ludziom utrzymać się z dziećmi, jak smutno jest tułać się z tém maleństwem z miejsca na miejsce i opuszczać kąty, do których się przywykło, niemal przywiązało wspomnieniem nietylko chwil szczęśliwych, ale i przebytych boleści.

Nie żonaty! Słowo to niemile uderzyło Elsę. Nie przyszło jéj na myśl pierwiéj spytać o to, a teraz już było zapóźno. Cóż by powiedziała ciotka Sydonia na to, że młoda panna, chociażby w towarzystwie ojca, ale bez opiekuńczego skrzydła damy, była w domu kawalera! Znalazłaby to bardzo, bardzo nieprzyzwoitém, a nawet naganném.

Gdybyż przynajmniéj przy pierwszém spotkaniu można było powiedzieć hrabiemu: tyle dobrego słyszałam o panu, panie hrabio, od pańskich dzierżawców—a tak—to w istocie trochę nieprzyjemne;— ale mniejsza o to, biedna kobiéta!

Elsa smutnie się zadumała nad nią i nad losem podobnych jéj istot, skazanych na codzienną walkę z potrzebami życia. Jakże smutną, jak odartą z poezyi jest prawdziwa nędza! Jakże smutném jest ubóstwo! Mimowoli stanęło jéj w myśli pytanie: czy on, kapitan statku kupieckiego, jest także biedny,—czy ma także żonę? Może stroskaną i nieszczęśliwą, jak ta oto kobiéta! Łzy się jéj w oczach zakręciły, sięgnęła ręką do kieszeni i wydobyła z niéj małe pudeleczko z kompasem, które wzięła była od kapitana, kiedy płynęli łodzią, a potém zapomniała oddać.

Wewnątrz pudełka złotemi literami wyryte było nazwisko: Reinhold Schmidt. Igiełka za każdém poruszeniem ręki drżała i wciąż się zwracała w stronę literek.

— Jak gdyby szukała Reinholda Schmidta, szepnęła Elsa; ta to wierna! I ja też byłabym wierna, gdybym kochała; męża wspierałabym i dzieci niańczyła, aż wreszcie stałabym się podobna do téj oto bladéj, wynędzniałéj istoty! Dzięki Bogu, że nie kocham!

Zamknęła pudełko i wsunęła je napowrót do kieszeni. Płacz jednego ze słabych dzieci przypomniał jéj chwilę obecną, wstała i wyszła do pierwszego pokoju, gdzie panowie rozmawiali z dzierżawcą. Pytała go, czy nie możnaby posłać po doktora.

Pöllitz potrząsnął głową.

— Nie tak to łatwo, jak pani sądzi, odpowiedział; doktór daleko, koszta więc sprowadzenia go i zapłaty ogromne, bo drogi nie mamy dobréj. Latem to jeszcze jakkolwiek łódką, ale teraz po naszych drogach!

— A cóż myślicie o kolei żelaznéj? zapytał prezydent, rzucając spójrzenie na jenerała.

Po twarzy dzierżawcy przemknął ponury uśmiech.

— Co ja myślę? Wszyscyśmy musieli podpisać petycyą; na papiérze wygląda to prześlicznie, ale w rzeczywistości nie wierzę temu ani słowa. Po co nam koléj? Na podróże nie mamy piéniędzy, a te trochę ziarna i wełny, co sprzedajemy, moglibyśmy w półtory godziny zawieść na najbliższy rynek, gdybyśmy mieli bitą drogę. A zresztą pan prezydent wié dobrze, że naszą główną drogą jest i będzie zawsze droga morska; ta nietylko jest krótsza, ale z pewnością tańsza od kolei.

— A port wojenny?

— Na tém to już się wcale nie znam, wiém tylko tyle, że trudno byłoby zbudować coś na naszych piaszczystych wzgórzach, które wiatr dziś tu a jutro tam przenosi. My rolnicy, żeglarze i rybacy nie potrzebujemy żadnego portu, ani wojennego, ani pokojowego; dosyć nam byłoby dobréj portowéj grobli. Koléj żelazna! port wojenny! tak, nie jeden może zrobić piéniądze na tém; dziś na piasku, jutro na ziemi rolnéj, którą teraz biedny człowiek w pocie czoła swego uprawia. W końcu trzeba będzie wziąść kij w rękę i wyruszyć do Ameryki, gdzie jeszcze znajdzie się może miejsce dla nieszczęśliwych.

Szorstki głos dzierżawcy zadrżał, mówiąc te słowa. Jenerał wstał, przeszedł się po pokoju i zbliżył do okna.

— Posłaniec nie wraca, rzekł.

— Pójdę zobaczyć, rzekł Pöllitz.

Po wyjściu jego jenerał szybko odwrócił się do prezydenta.

— Wolałbym, żeby się nie było posłało do Golmberga. Udamy się tam zmuszeni koniecznością, pomimo to wszakże będziemy obowiązani hrabiemu za gościnność.... Pan z powodu interesów musisz być z nim w ciągłéj styczności, ale ja.

Potarł ręką czoło i gniewnie targnął siwe wąsy; prezydent wzruszył ramionami.

— Ależ, panie jenerale, mówisz pan tak, jak gdyby towarzyski nawet stosunek z hrabią już miał w sobie coś niebezpiecznego. Chciéj przyznać, że ani koléj, ani port, ale to, coś słyszał od dzierżawcy, tak cię źle usposobiło względem niego.

— A czyż skargi tego człowieka nie mają podstawy?

Prezydent znowu wzruszył ramionami.

— To zależy od sposobu zapatrywania się na rzeczy, odpowiedział. Hrabia mógłby być może względniejszym dla swego dzierżawcy; ale nie bądźmy też niesprawiedliwymi. Wziął w spadku dobra bardzo odłużone; chcąc się przy nich utrzymać, musiał podwyższyć czynsze. Mógłby naturalnie zaradzić złemu, zaprowadzając mieszczańską oszczędność w życiu i wydatkach swoich, ale dla młodego człowieka to za długa i za nudna droga; obrał więc krótszą i łatwiejszą.

W téj chwili odezwało się głośne szczekanie psów na podwórzu, między zabudowaniami mignęły światła pochodni, i zaraz potém na nierównym bruku rozległ się tentent kopyt końskich i turkot kół.

— Hrabia sam przyjechał! zawołał prezydent ucieszony i pośpieszył naprzeciw wchodzącego.

Nastąpiły powitania i prezentacye. Elsa, usłyszawszy głośniejszą rozmowę, wyszła też z przyległéj izdebki.

— A zatém wszyscy już jesteśmy, zawołał po krótkiéj rozmowie prezydent, któremu pilno już bardzo było zakończyć awanturniczą przygodę podróży i wrócić do zwykłych wygódek życia.

— Brakuje jeszcze kapitana, odrzekła Elsa.

— Lękam się nadużywać cierpliwości hrabiego, przemówił jenerał.

— Jestem na usługi państwa, odrzekł hrabia; ale o cóż chodzi, jeżeli wolno zapytać?

— W towarzystwie naszém jest jeszcze jeden pan, rzekł jenerał, kapitan statku. Przybywszy tutaj, chciał się dowiedziéć co się stało z parostatkiem, na którym podróżowaliśmy razem, i udał się znowu nad brzeg; ale tak długo bawi, że możnaby sądzić, iż się zabłąkał między wzgórzami, albo że go spotkało jakie nieszczęście.

— Trzeba wysłać ludzi z latarniami, zawołał hrabia; natychmiast wydam rozkaz.

— Niech się pan nie trudzi, panie hrabio, odezwała się Elsa, zrobiono to już na moję prośbę.

— Ah, rzekł hrabia i zaśmiał się,—w istocie!

Elsa zarumieniła się. Kiedy za przybyciem hrabiego weszła była do pokoju, młody człowiek wydał się jéj pięknym mężczyzną: miał rysy twarzy regularne, cerę jasną, zdrową i ładne blond wąsy; teraz, gdy zaśmiał się, wydał się jéj szkaradnym. Czego się śmiał? Elsa wyprostowała się dumnie.

— Kapitan oddał nam wielkie usługi w czasie podróży, jemu zawdzięczamy to, że jesteśmy tutaj bezpieczni teraz. Zdaje mi się, że obowiązkiem naszym jest nie pozostawiać go tak samego.

— Ależ, ja zupełnie jestem zdania pani! odpowiedział hrabia i zaśmiał się znowu.

Elsa spojrzała z wyrzutem na ojca, dziwiąc sie, że pomija milczeniem rzecz więcéj do niego, niż do niéj należącą. Nie wiedziała, że jenerał namyślał się w téj chwili, czyby pod pozorem nieobecności kapitana nie mógł się i sam wymówić od gościnności hrabiego. Nie słyszała, jak nastawał na konieczność czekania na towarzysza podróży, po ostatnich swych słowach bowiem opuściła pokój.

Stanąwszy przed drzwiami domu ścisnęła rękami czoło. Pulsa w skroniach gwałtownie jéj biły. Jak się to stało, że wywołała śmiech obcego człowieka? że mogła wzniecić podejrzenie jego o żywszy jakiś interes tam, gdzie chodziło o prosty obowiązek grzeczności i wdzięczności? a jeżeli ludzie wysłani z latarniami nie znajdą go? Jakże długo jeszcze miano czekać na niego i kiedyż nareszcie miała powiedzieć—jedźmy już! bo jeżeli wróci i powie, że nie myśli wcale jechać z nami? i śmieszna scena nadaremnie odegraną została, i hrabia po raz trzeci, a wtenczas już słusznie—zaśmieje się znowu?

— Nie zniosę tego, powiedziała i tupnęła nogą.

W téj chwili jakaś wysoka postać w ceratowym płaszczu i takiéjże czapce stanęła we drzwiach tuż koło niéj.

— Ach, to pan nareszcie, czekaliśmy na pana, jedziemy zaraz!

— Miałem zamiar pozostać tutaj, rzekł Reinhold.

Elsa żywo posunęła się ku niemu.

— Chcę, żebyś pan jechał z nami, chcę tego! poczém znikła we drzwiach.

Reinhold pozostał sam i nadaremnie usiłował rozwiązać pytanie, czy to żartem czy na seryo powiedziała? Nie miał wszakże siły nietylko oprzeć się rozkazowi, ale i własnemu sercu, które go ciągnęło w tęż stronę. Zdecydował się jechać na zamek.

Przybycie Reinholda usunęło ostatnią przeszkodę do wyjazdu. Całe towarzystwo pożegnało gospodarzy; Elsa z ojcem i prezyden-

tem wsiadła do jednego powozu, a hrabia z kapitanem do drugiego, i przy świetle pochodni i latarni wyruszono ku zamkowi.

---

Prezydent, wsiadłszy do wygodnego powozu, zupełnie odzyskał dobry swój humor i sam jeden podtrzymywał rozmowę, dając pobieżny szkic genealogii hrabiego i charakteru jego samego. Podziwiał w nim niezwykłe połączenie marnotrawstwa i skąpstwa zarazem; rycerskie usposobienie z jednéj strony, a kupieckie zdolności z drugiéj. Jenerał, już po rozmowie z Pöllitz'em źle usposobiony względem hrabiego, tém większéj ku niemu nabiérał niechęci, słuchając prezydenta i teraźniejsze z nim zbliżenie się uważał za bardzo niemiłą konieczność. Niepodobna już wszakże było zaradzić temu.

Koła szybko się toczyły, las się przerzedzał, wreszcie majestatyczny pałac, ozdobiony wieżami, ukazał się zdala. Mnóstwo świateł zabłysło we wszystkich oknach, i liczna służba wysypała się z podwojów na przyjęcie gości.

Dla żywéj wyobraźni Elsy był to jak gdyby dalszy ciąg czarodziejskiéj przygody. Przejście to z niebezpieczeństwa, ponurego widoku morza, pełnego majestatu i grozy—daléj ciemności, ubóstwa i smutku do jasności, przepychu, wesela i spokoju, przynajmniéj pozornego, miało dla niéj coś cudownego, zachwycającego w sobie. Oko jéj z przyjemnością spoczęło na wspaniałych ozdobach starożytnéj sali, do któréj najprzód weszli. Tu miła niespodzianka spotkała ją. Dwie panie, oczekujące na gości, uprzejmie ją powitały i zaprowadziły do przeznaczonego dla niéj pokoju, znajdującego się tuż obok tego, który same zajmowały.

Były to: pani i panna Strummin, sąsiadki hrabiego, do których po otrzymaniu kartki prezydenta posłał natychmiast, prosząc, by obecnością swoją raczyły dopomódz mu do przyjęcia niespodzianych gości, między którymi znajdowała się dama. Panie Strummin chętnie odpowiedziały na to wezwanie.

Elsa serdecznie podziękowała im za tę przyjemność, uścisnęła ładną Mieting, i nie upłynęło pół godziny a już mówiły do siebie po imieniu i w najlepszéj były harmonii.

Marya Strummin, wesoła, o szarych figlarnych oczach, dzieweczka, opowiadała Elsie jak wielką przyjemność zrobiło jéj wezwanie hrabiego, gdyż rzadko kiedy wyjeżdżała z domu, gdzie się bardzo nudziła. Do Golmberga zaś chętniéj niż gdzie indziéj jeździła zawsze: tak śliczny tu był las, a z zamkowéj wieży przepyszny widok na morze!

— Nie powinnabyś już stąd odjeżdżać, szczebiotała daléj, a przynajmniéj musisz téj jesieni jeszcze wrócić! Ze mną się przecię nie ożeni; ja nie mam nic i on nic nie ma, wyjąwszy swego wielkiego majoratu, a jeżeli budowa kolei żelaznéj i portu nie dojdą do skutku, to wszyscy tutaj zbankrutujemy, jak powiada mój papa. A cała to sprawa zależy od twego ojca i od prezydenta, jak mówi mój papa; jeżeli zatém zaślubisz go, w takim razie, ma się rozumiéć, ojciec twój da koncesyą—wszakże się to tak nazywa? bo właściwie i teraz już rzecz ta ciebie się dotyczy; albowiem port, jak powiada mój papa, założonym być może tylko w dobrach, należących do twojéj ciotki, a ty i twój brat odziedziczacie po niéj a nawet podobno jesteście już współdziedzicami? Ma to być dziwny testament, jak powiada mój papa; zmiłuj się, opowiedz jak to jest! powiedz, powiedz! ja nikomu a nikomu nie powtórzę!

— Ale na prawdę, ja sama nie wiém tego, odpowiedziała Elsa; wiém tylko, że jesteśmy zupełnie biedni, i że co się tyczy mojéj osoby, możesz śmiało zaślubić twego hrabiego.

— Chętniebym to zrobiła, poważnie odpowiedziało dziewczę, ale nie jestem dla niego dość piękna. Ja to już chyba wyjdę za jakiego bogatego Schulza, Müllera albo Schmidta, któremu nasz staroświecki ród zaimponuje. Trzeba ci wiedziéć, że ród Strumminów jest tak stary, jak sama wyspa; tak, tak!—A jak się nazywa kapitan marynarki, co z wami przybył?

— Reinhold Schmidt.

— Żartujesz!

— Ale naprawdę; nie jest to nawet żaden kapitan marynarki.

— Tylko co?

— Poprostu kapitan statku kupieckiego.

— A to zabawne! Mieting z wielkiego podziwienia klasnęła małemi rączkami. Elsa zaś zarumieniła się.

— A więc i wieczerzać z nami nie będzie?

— Dla czego? zapytała żywo Elsa.

— Prosty kapitan statku! Boże co za szkoda! tak piękny mężczyzna! rachowałam już na niego dla siebie! ale prosty kapitan!

Pani Strummin weszła w téj chwili do pokoju, wzywając panny do stołu. Na zapytanie Mieting co do kapitana odpowiedziała, że wszystko już zostało załatwione: hrabia pytał u jenerała i prezydenta, czy chcą przypuścić kapitana do towarzystwa swego; ci odpowiedzieli twierdząco, a zatém pan Schmidt także zasiądzie do stołu.

Kiedy panie zeszły na salę, znalazły już tam całe towarzystwo. Elsa wszakże natychmiast spostrzegła, że brakowało Reinholda. Nie domyślała się wcale, że ten w niemałym był w téj chwili kłopocie.

Po przybyciu na zamek udał się był do pokoju przeznaczonego sobie, gdzie się miał przebrać. Jakież było jego przerażenie, kiedy dobywszy rzeczy swych z worka podróżnego, który na wszelki przypadek zabrał był ze statku, nie znalazł między niemi stosownego ubrania. Przewracał tłómok, przerzucał wszystko, napróżno! zawsze wpadał mu w ręce czarny frak, który przywdziewał tylko w solennych okolicznościach; teraz zaś był on zupełnie niestosownym do długich podróżnych butów, w których musiał pozostać, nie mając na zmianę innego obuwia. Myślał i rozmyślał co począć; nie mając wreszcie nic innego do wyboru, postanowił stawić czoło śmieszności, szybko się ubrał i udał na salę.

---

Tu znalazł już wszystkich.

Na widok dziwacznego ubrania jego Mieting wybuchła gwałtownym śmiechem. Elsa także z trudnością zachowała poważną minkę i na tłómaczenie się Reinholda grzecznie odpowiedziała.

Wreszcie zajęto miejsca u stołu. Reinhold miał naprzeciw siebie hrabiego i Elsę; z lewéj strony Mieting; z prawéj pana Strummin, mężczyznę o szerokich plecach, szerokiéj, czerwonéj twarzy i szerokiéj czerwonéj brodzie.

Mieting rychło zapomniała o śmiesznych butach swego sąsiada, które stół zakrywał przed jéj wzrokiem. Z upodobaniem patrząc na piękną twarz Reinholda, rozpoczęła z nim żywą rozmowę; sprawiało jéj to przyjemność tém większą, że domyślała się jak bardzo drażniło to gospodarza domu. Wiedziała, że hrabia uważa za osobiste ubliżenie sobie, jeżeli damy, nawet téj o których względy nie troszczył się wcale, w jego obecności innego mężczyznę zaszczycały uwagą swoją. Tu zaś tém przykrzejszém mu to było, że mężczyzną owym był prosty kapitan okrętu, którego uważał za intruza w towarzystwie swojém, za istotę o wiele niższą od siebie, którą mu narzucono jako gościa. Z początku nie miał zamiaru przypuścić go do stołu swego; żałował teraz, że zasięgał w tym względzie zdania panów, trzeba było po prostu zostawić go w jego pokoju. Wszystko mu się w nim nie podobało: postawa, układ, spójrzenie, głos. Nie byłaż to ironia losu, że tę nieznośną figurę sam musiał przywieść do własnego domu, we własnym powozie!

Humor jego pogorszał się jeszcze tém, że nieraz skazany był na milczenie i on, gospodarz, jak gdyby usunięty na drugi plan! Z Elsą rozmowa nie kleiła się jakoś wcale, do drugiéj sąsiadki jego, pani Strummin, prezydent często przemawiał, w dodatku pan Strummin poruszył kwestyą kolei żelaznéj, któréj on postanowił był nie tykać u stołu. To ostatnie wyprowadziło go nareszcie z cierpliwości.

— Proszę cię, drogi przyjacielu, odezwał się do pana Strummina, mówiąc o naszym projekcie nie wyrażaj się tak wciąż: „my“ i „nas“, mów za siebie tylko, bo pod wielu względami różnimy się w zapatrywaniu się na tę sprawę.

— Ho! ho, różnica nie tak wielka! zawołał pan Strummin; zależy na tém tylko, że ja chcę, by dworzec był w Strumminie, a ty, by go postawiono w Golmie.

— Nie możemy przecię wszyscy mieć dworca odpowiedział hrabia, wzruszając ramionami. Że każdemu z nas chodzi o osobistą korzyść, to rzecz bardzo naturalna, tylko że ta korzyść powinna stać na drugim planie, pierwsze miejsce zajmuje państwo. Przynajmniéj takie jest moje zdanie, i tak sądzi téż pan jenerał.

— To nie ulega wątpliwości,—ale jakąż ja w téj kwestyi gram rolę? zapytał jenerał.

— Bardzo ważną; na projekcie tym bowiem najwięcéj skorzysta siostra pańska, albo ci, w których ręku będzie kiedyś Warnow, Gristow i Damerow.

— Ani jedna stopa ziemi z dóbr tych nigdy nie będzie do mnie należała, odpowiedział jenerał, nie jestem więc wcale interesowany w téj sprawie. Ale jeżeli chodzi o moje osobiste zdanie, to wyraźnie oświadczam, że jestem stanowczym przeciwnikiem projektu pańskiego. W mojém przekonaniu jest on zupełnie bezużytecznym pod względem strategicznym, a pod technicznym niewykonalny.

— Co do trudności wykonania zgadzam się, choć niezupełnie; piasek nasz bowiem doskonałym jest materyałem do grobli kolei żelaznéj i może być bardzo korzystnie użyty do fundamentu murów portowych.

— Nawet tam, gdzie trzeba będzie uciec się do polowania, odezwał się prezydent.

— Nie przeczę, że będą i takie miejsca, zawołał hrabia, który pomimo oporu jaki go spotykał rad był, że przynajmniéj sam tylko już teraz głos zabiérał. W tak ważnéj jednak sprawie nie chodzi przecięż o to, czy się ją przeprowadzi w dłuższym lub krótszym czasie, kosztem kilkuset tysięcy a nawet paru milionów mniéj lub więcéj. Co się zaś tyczy strategicznych względów, nie podlega zdaje mi się żadnéj wątpliwości, że port wojenny tutaj, w razie wojny z są-

siadem byłby nam koniecznie potrzebny, że stanowiłby niejako niezdobyty szaniec w obec wszelkiego nieprzyjaciela grożącego od wschodu.

— Z wyjątkiem jednego, odezwał się Reinhold.

Hrabia nie przypuszczał nawet, by człowiek ten mógł się wmieszać do rozmowy. Zaczerwienił się z gniewu, ponuro spójrzał na nowego przeciwnika i ostrym, pogardliwym tonem zapytał:

— A tym byłby?

— Powódź morska, odpowiedział Reinhold.

— Za nadto jesteśmy tutaj oswojeni z burzami i wylewami, byśmy się mieli obawiać jednych lub drugich, odpowiedział hrabia, usiłując zachować spokój.

— Wiém o tém, odpowiedział Reinhold, to też nie mówię tu wcale o zwykłych atmosferycznych i morskich zjawiskach, ale o wypadku, na który, według mego przekonania, zanosi się od lat wielu, i który w skutek przypadkowéj jakiéjkolwiek przyczyny nadejdzie z taką siłą, jakiéj najśmielsza nawet wyobraźnia przedstawić sobie nie może. Jeden rzut oka na kartę przekona nas, że wypadek taki nieraz już miał miejsce i że, podług ludzkiego obrachunku, ponowi się znowu w niedługim czasie.

— Zaciekawiasz pan nas niesłychanie, odpowiedział hrabia z wyraźnym zamiarem szyderstwa. Nie domyślał się nawet jak trafnie odgadł; całe towarzystwo zaciekawioném było w istocie; oczy wszystkich współbiesiadników zwrócone były na Reinholda.

— Obawiam się znudzić panie temi rzeczami, powiedział tenże.

— Bynajmniéj, rzekła Elsa.

— Wszystko, co ma styczność z morzem, zachwyca mię, zawołała Mieting figlarnie, spoglądając na Elsę.

Panowie także prosili, by mówił daléj.

— Będę się starał o zwięzłość, rzekł Reinhold, patrząc z kolei na jenerała i na prezydenta, jak gdyby do nich tylko mówił. Morze Baltyckie, powstawszy w skutek gwałtownych w naturze przewrotów, zdaje się, że zupełnie osobne dla siebie utworzyło życie. Nie ma wcale przypływów i odpływów, jest daleko mniéj słone aniżeli morze Północne i ku wschodowi obniża się tak dalece, że już w zatoce fińskiéj, fauna jego i flora nosi zupełnie cechę wód słodkich. Pomimo tego ciągły stosunek utrzymuje się między tém morzem a oceanem; wody ich łączą się i zamieniają z sobą przy najbardziéj skomplikowaném współdziałaniu rozmaitych przyczyn. Jednę z nich właśnie podnieść muszę, o nią tu bowiem chodzi. Chcę mówić o wietrze, wiejącym z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód, wietrze, który na powierzchni morza towarzyszy przypływom i odpły-

wom wody w podmorskich kanałach i siłą swą przyśpiesza je. Marynarz rachował zawsze na ten wiatr z taką pewnością, z jaką rachuje na wszystkie stałe zjawiska natury, jak daleko bowiem sięga pamięć ludzka, nie było w tym względzie nigdy żadnéj zmiany; dopiéro przed kilku laty wiatr zachodni, który wiał zwykle od połowy Sierpnia do połowy Października, ustał nagle i nie wrócił więcéj.

— I cóż daléj? zapytał prezydent, który słuchał z natężoną uwagą.

— Co daléj? To, że w ciągu tych kilku lat nagromadziły się w Baltyku ogromne masy wód, co uchodziło naszéj uwagi dla tego, że wody te, ma się rozumiéć, na wszystkie zarówno rozlewały się strony; przeważnie jednak dążyły na wschód. I tak, wiosną przeszłego roku pod Nystadt w południowéj Finlandyi woda się podniosła na cztery stopy; pod Wazą, o cztery stopnie ku północy, na sześć stóp; pod Torneo zaś na ośm. Powolny wzrost wody i wysokie brzegi tych okolic uchroniły mieszkańców ich od największych klęsk. Ale dla nas, prawie wszędzie mających płaskie wybrzeża, cofnięcie się prądu wody, nieprzerwanie przez lat tyle dążącego na wschód, najokropniejsze miałoby skutki. Cofnięcie się to musi nastąpić przy silnéj północno-wschodniéj i wschodniéj burzy; szczególnie jeżeli ta potrwa dni kilka. Wówczas bałwany morskie, siłą huraganu pędzone na zachód, nadaremnie szukać będą przejścia do oceanu przez wązkie cieśniny Beltu i Sundu do Kattegatu i Skagerraku. Jak zwierz drapieżny, ścigany zewsząd, rzucą się one wówczas na nasze brzegi, potoczą daleko w głąb kraju, obalając wszystko, co stanie na drodze ślepéj ich wściekłości, pola i łąki pokryją piaskiem i gruzami i wszędzie zaniosą spustoszenie, o którém wnuki i prawnuki drżąc jeszcze rozpowiadać będą.

Hrabia niecierpliwie gryzł wargi, słuchając tego wyjaśnienia; nie uszło to zawistnéj uwagi jego, że w ciągu mowy Reinholda jenerał i prezydent rzucali wciąż na siebie wzrokiem porozumienia; że szeroka twarz pana Strummina ze zdziwienia i strachu przedłużyła się niezwykle, i — co nadewszystko go gniéwało, że panie słuchały go z taką uwagą, jak gdyby chodziło o opis balu jakiego.

— Ależ ów znakomity wylew jest w najlepszym razie hypotezą tylko! zawołał.

— Dla tych jedynie, którzy nie są przekonani o jéj konieczności, odpowiedział Reinhold.

— Niech i tak będzie, odpowiedział hrabia, przypuśćmy, że powódź owa nastąpi dziś, jutro, lub wreszcie kiedykolwiek; stanie się to jednak raz tylko na kilka stuleci, bo dla tak dalekiéj per-

spektywy nie możemy przecię zapominać o teraźniejszości i zaniedbywać tego, czego wymagają chwile obecne.

Ponieważ słowa te wyraźnie skierowane były tylko do prezydenta i jenerała, Reinhold przeto nie dał żadnéj odpowiedzi na nie.

Nastąpiło chwilowe milczenie. Nakoniec prezydent odezwal się.

— Rzecz dziwna! podczas kiedy pan kapitan głosem tak przekonywającym przepowiadał nam powódź morską,—mnie za każdém jego słowem przychodziła na myśl inna powódź, nie potrzebuję mówić panom jaka. I tu dawny porządek rzeczy niespodzianie przerwany został, i tu nastąpiło podniesienie się fal, które z zachodu na wschód rozlały ogromnym strumieniem, strumieniem złota. I tu znawcy przepowiadają, że tak nienaturalny stosunek nie może trwać ciągle, że nawet trwa już za długo, że musi nastąpić cofnięcie się wód,— reakcya—powódź, a powódź ta, jeżeli mamy się trzymać barw poprzedniego obrazu, tak dziwnie odpowiadającego temu, uderzy na nas jak tamta, burząc wszystko i niszcząc, i mętnemi wodami swemi pokryje miejsca, w których ludzie na zawsze już, jak się im zdawało, rozpostarli swe bogactwa i swoje panowanie.

— Co do mnie, panie prezydencie, rzekł hrabia, uważałem to zawsze za polityczną konieczność i dowód wysokich zdolności męża stanu, który dla przeprowadzenia wielkich idei swoich używał środków, których wolałby był uniknąć, chociażby dla tego samego, by nie mieć styczności z ludźmi wstrętnymi sobie niegdyś. Za konieczną, a nieszczęśliwą konsekwencyą tego uważam także to, że dla zapłacenia tych ludzi nieszczęsnemi miliardami, otworzył — musiał otworzyć nową erę szachrajstw i bezmiernéj chciwości. Tymczasem...

— Przepraszam, że przerywam panu, odezwał się jenerał; ja także układy te z owemi osobami, stronnictwami, warstwami narodu, klasami społeczeństwa—nazwij je pan jak chcesz, uważam jak pan za nieszczęście, ale nigdy za konieczność. Przeciwnie! Le rocher de bronze, na którém się opiera pruskie królestwo, lojalna szlachta, gorliwi urzędnicy i wierne wojsko miało dość siły, by wznieść cesarstwo, i to niemieckie, jeżeli już miało być niemieckie a nie pruskie.

— Tak panie jenerale, musiało być cesarstwo, i to niemieckie, a nie pruskie, odpowiedział Reinhold.

Jenerał posępnie spojrzał na młodego człowieka.

— Dla czego pan tak myślisz? zapytał.

— Mówię tu we własném imieniu, ale jestem pewien, że wszyscy, co długo i daleko od ojczyzny przebywać musieli, to samo co

ja czują. Wszyscy, którzy doświadczyli, co to jest należéć do narodu, który inne ludy nie uważają za naród; co znaczy w trudném położeniu, w jakiém się nieraz znajduje marynarz rachować tylko na siebie i nie módz spodziewać się żadnéj od innych pomocy. Doświadczyłem sam tego wszystkiego i wkrótce po wojnie przekonać się mogłem, jak wielka pod tym względem zaszła zmiana. Teraz już śmiało występowałem jak inni; Anglicy, Amerykanie, Chińczycy, Japończycy wiedzieli już teraz dobrze, że mają do czynienia nie z żadnym Hanowerczykiem, Oldenburczykiem itp. że nie prowadzą handlu i nie zawierają układu z Prusakami, ale z Niemcami, którzy stoją pod jednym sztandarem; że ten sztandar posiada wolę i siłę bronić i zasłaniać maluczkiego i ubogiego; jedném słowem każdego, co ma szczęście i honor nazywać się Niemcem.

Jenerał, do którego te ostatnie słowa zwrócone były, utkwił wzrok w mówiącego—widocznie czuła jakaś struna serca jego poruszoną została; prezydent słuchał z natężoną uwagą; panie nie spuszczały oka z człowieka, który tak żywo i z takim zapałem mówił o sprawie ojczystéj;—hrabia widział to wszystko, i gniew jego do tego człowieka wzrastał z każdém jego słowem.

— Przyznam się, odezwał się szydersko, że jeżeliby chodziło o to tylko, by łatwiejsze i większe korzyści zapewnić naszym handlarzom cukru i bawełny, to żałowałbym krwi przelanéj w téj wojnie. Łatwo jest mówić tym, co się znajdowali daleko od ognia, i przyjemnie jest korzystać ze sławy i honoru, które inni kosztem życia swego lub wolności dla nas zdobyli!

Jenerał zmarszczył czoło; prezydent upuścił trzymaną w ręku lornetkę; panie zaś z przerażeniem spojrzały na siebie.

— Nie wątpię, odezwał się Reinhold, że pan hrabia ma słuszne prawa do sławy niemieckiéj, do któréj się przyczynił zapewne osobistą zasługą; co do mnie, chętnie szczycę się tém, żem był również niedaleko ognia.

— Gdzie byłeś pan w dzień bitwy pod Gravelotte? panie kapitanie.

— Pod Gravelotte, panie hrabio.

Mieting o mało się nie rozśmiała na głos, widząc pomięszaną twarz hrabiego.

Reinhold potarł czoło. Okropne obrazy dnia tego stanęły mu w myśli. Zapomniał o krzywdzącém szyderstwie hrabiego i o ém, że chciał je odeprzeć, wyjawiając tylko, iż sam brał udział w boju.

— Odbyłeś pan całą kampanią? spytał jenerał; a w głosie jego dźwięczał szczególny, prawie serdeczny ton.

— Tak panie jenerale.

— W jaki sposób dostałeś się pan do wojska?

— Krótka to historya—zamknę ją w kilku słowach. Dnia 15 Lipca stałem z moim okrętem w przystani Southampton; po raz pierwszy mianowany kapitanem, miałem płynąć do Bombay. Ale 16 rano przyszła wiadomość o wypowiedzeniu wojny; w południe znalazłem zastępcę dla siebie na okręcie; wieczorem byłem w Londynie, w nocy z 16 na 17 w drodze do Koblencyi, gdzie przyjęty jako ochotnik, wyuczyłem się trochę robić bronią i przyłączony zostałem do 9 korpusu 18 dywizyi.... pułku. Z pułkiem tym odbyłem kampanią.

— Awansowałeś pan?

— Pod Gravelotte zostałem podoficerem; 1 Września, w dzień upadku Bazaine'a, podfeldfeblem; 4 Grudnia....

— W bitwie pod Orleanem?

— Tak, panie jenerale, tam zrobiono mię oficerem.

— Winszuję szybkiego awansu, rzekł jenerał śmiejąc się; po chwili jednak twarz jego zasępiła się. Dlaczego nie przedstawiłeś mi się pan jako kolega?

— Kapitan okrętu prosi pana o przebaczenie dla porucznika rezerwy.

— Masz pan order?

— Tak, panie jenerale; dano mi krzyż i patent.

— Dlaczego nie nosisz pan krzyża?

— Ubranie moje dzisiejsze tak źle jest dobrane, odpowiedział Reinhold.

Mieting wybuchła śmiechem. Reinhold szczerze jéj zawtórował; inni zaśmieli się także grzecznym, przychylnym, pochlebnym śmiechem, jak się zdawało hrabiemu.

— Lękam się, byśmy nie nadużyli cierpliwości tych pań, przemówił, wzywając gości do powstania od stołu.

---

Zaraz po wieczerzy panie przeszły do swoich pokojów. Pani Strummin czuła się zmęczoną i natychmiast udała się na spoczynek.

Mieting, zostawszy sam na sam z Elsą, rzuciła się jéj na szyję i stanowczo oświadczyła, że kocha na zabój pięknego kapitana, który właściwie jest porucznikiem.



— Oto człowiek, o jakim zawsze marzyłam! zawołała: młody, ale nie nazbyt, tak, że wzbudza szacunek; mądry, ale nie nadto, tak, że nie budzi obawy; odważny, ale nie samochwał. A co za śliczne zęby, kiedy się śmieje! a śmieje się tak chętnie i tak szczerze!

— Jakże mogłaś śmiać się z niego tak po raz drugi?

— Cóż miałam począć? Tak długo byłam poważna; musiałam się śmiać z czegokolwiek wreszcie. Ale wiesz co, kiedy mi mówił dobranoc, to mi się prawie na łzy zebrało—zdawało mi się, że go już nigdy nie ujrzę i że powinnam go przeprosić za wszystkie niedorzeczności. A widzisz! i ty spoważniałaś, przyznaj się, i ty go kochasz także!

— Zgadzam się na wszystko, co o nim mówisz; ale kochać go? daleko jeszcze do tego!

— To nie tak jak u mnie, zobacz jak mi serce bije! Sama nie wiem, jak się to dzieje, ale ujrzeć—pokochać, to u mnie jedno? Często się jednak przytém błądzi bardzo często!

Mieting usunęła się na taburet, zaczęła rozczesywać swoje blond włosy i tragicznym tonem mówiła daléj:

— Raz pierwszy było to dawno, bardzo dawno wiek temu—miałam może lat dwanaście—kochałam się w nauczycielu swego brata, bo trzeba ci wiedzieć, że mam brata. Mieszka w Pomeranii,—tam, gdzie za najmniejszą sumę pieniędzy można kupić największą ilość piasku. Nauczyciel ożenił się i został pastorem, naturalnie w Pomeranii także; téj zimy spotkałam się z nim u mego brata, na chrzcinach. Boże! jakże się wstydziłam!

Mieting skryła twarz w dłoniach i odrzuciła w tył włosy, które ją okryły niby gęstą zasłoną, spadając aż na dywan.

— Jakże się wstydziłam! to było okropnie! I gdybyż jeszcze skończyło się na tém! Ale ta sama historya powtórzyła się razy dwadzieścia przynajmniéj. Raz ostatni w lutym, w Berlinie na operze, w pierwszéj loży. Papa powiedział: że to jakiś spekulant na cudzy grosz, ale papa wszędzie widzi spekulantów, jak tylko jest w Berlinie i zatruwa każdą chwilę przyjemną, rozwiewa każde złudzenie; ah! a złudzenia tak słodkie są, kiedy się ma lat 17! Czy spisz już Elso?

— Nie, ale bardzo zmęczona jestem; pocałuj mię i idź spać!

Mieting odrzuciła włosy, objęła rękami szyję Elsy i szepnęła: Widzisz, jestem pewna, że zostanę starą panną, przygarbioną, z ogromnemi okularami na nosie i wieczną pończochą w drżących rękach! Widzisz! smutne to dla mnie, co mam gorące serce i natychmiast wzięłabym męża, byleby był dobry i poczciwy; byłabym mu

wierna do grobu i po za grób nawet, jeżeliby pierwéj odemnie umarł i chciał tego koniecznie. Bo to widzisz nasze te szlacheckie pretensye, to czyste głupstwo! Nie daje to szczęścia nikomu, szczególnie kiedy przytém nie ma nic więcéj i kiedy kto, jak ja, ma tylko nos płaski, czerwone włosy i oczy nie wiedziéć jakie, szare czy zielone, niebieskie czy brunatne! Ty masz cudowne kasztanowate włosy, śliczny nos i niebiańsko piękne piwne oczy, błyszczące nawet w półcieniu. Kiedy zostaniesz hrabiną musisz być bardzo dobrą dla biednéj, brzydkiéj Mieting, i pozwolić mi tu przyjeżdżać niekiedy, bym się mogła wygadać i naśmiać, to tak przyjemnie! ah, tak przyjemnie!

I dziwne dziewczątko ukryło płonącą twarzyczkę na łonie swéj nowéj przyjaciółki i gorzko załkało. Potém podniosła się nagle, odgarnęła włosy z czoła i powiedziała: zdaje mi się, żem zmęczona także, nie wiém już sama co mówię. Dobréj nocy! Ty śliczna, najdroższa!

Podniosła się, ale znowu oparłszy na brzegu łóżka, pochyliła się ku Elsie i zapytała szeptem: nigdyś jeszcze nie kochała? powiédz na przyjaźń naszę!

— Na naszę przyjaźń! nie!

I ja tak sądziłam. Śpij dobrze! śnij słodko!

Ucałowała przyjaciółkę raz jeszcze i wskoczyła do łóżka.

---

Po odejściu pań, panowie także niedługo pozostali razem i wszyscy udali się do siebie na spoczynek. Reinhold pożegnał hrabiego, mówiąc, że nazajutrz rano musi być na statku; jenerała zaś i pana Strummina prosił, by jego imieniem pożegnali panie. Jenerał, podając Reinholdowi rękę, powiedział tylko au revoir w Berlinie. Prezydent zaś szepnął mu: mam jeszcze z panem do pomówienia!

Słowa te zadziwiły Reinholda, ale jeszcze więcéj zastanowiła go uprzejmość, z jaką prezydent, dotychczas tak obojętnie względem niego zachowujący się, powitał go w swoim pokoju. Jak gdyby domyślając się tego, zaraz na wstępie oświadczył mu: że ma zwyczaj usprawiedliwiony poniekąd doświadczeniem, trzymać się bardzo zdaleka od osób, które spotyka po raz pierwszy; ale jeżeli osoby te zainteresują go, wówczas szczerze i zupełnie zajmuje się niemi.

— A pan, panie kapitanie, interesujesz mię. Masz niepodległą, silną naturę i pozostałeś jéj wiernym, chociaż uczyłeś się i pracowałeś więcéj, niż niejeden z kolegów twoich. Wszakże, nie dlatego, by powiedziéć to panu, prosiłem go tutaj. Mam do pana dwie prośby. W kajucie statku, na którym podróżowaliśmy razem, zostawiłem dokument jeden; przeglądałem go w drodze. Jest to memoryał do pana ministra, tyczący się owego projektowanego na wyspie téj portu i stanu naszych dróg wodnych, oświetlenia wybrzeży, projektów naprawy w tych wszystkich gałęziach i t. p. Nie chciałbym, żeby te papiéry wpadły w obce ręce, i zobowiążesz mię pan.

Z serca dziękuję panu za okazane mi zaufanie, przerwał Reinhold, papiéry te zostaną panu wręczone.

— Nie pierwiéj wszakże, aż je pan sam przejrzysz, rzekł prezydent. I to właśnie stanowi wstęp do mojéj drugiéj prośby. Rzecz jest taka: stary, poczciwy naczelnik locmanów w Wissow chce i musi podać się do emerytury. Na przyszłą wiosnę zatém miejsce to będzie wakujące; w dzisiejszym stanie rzeczy ma ono daleko większe znaczenie, aniżeli inne temu podobne. Może je zająć tylko człowiek pewny i inteligentny i który zechce popiérać moje plany, na mocy wszakże osobistych, podobnych moim przekonań. Jeżeli papiéry te natchną pana takiém przekonaniem, i zechcesz w jednym kierunku ze mną pracować, wówczas za przyzwoleniem pana, przedstawię go ministrowi. Naturalnie, jeżeli zgodzisz się pan także na warunki posady, nie świetne wprawdzie, ale dostateczne dające utrzymanie. Wiém, że nie możesz mi pan zaraz dać odpowiedzi na tę propozycyą, że potrzebujesz się namyślić nad nią, dla tego też proszę tylko, byś mię zawiadomił o tém, co postanowisz, gdy przybędziemy do Sundinu, i pan mi oddasz moje papiéry.

Prezydent powstał, jak gdyby kończąc rozmowę; Reinhold podziękował mu kilku słowami, z serca płynącemi, za okazane sobie zaufanie i życzliwość, poczém pożegnał go.

Znalazłszy się w swoim pokoju, począł rozmyślać nad niespodzianą propozycyą prezydenta. Tak, prezydent miał słuszność, miejsce to naczelnika locmanów ważniejsze było, jak się zdawało na pierwszy rzut oka. Szalony ów projekt portu wojennego o mało co nie doszedł do skutku. Któż wié, może nawet dojdzie jeszcze, jeżeli ludzie światli i uczciwi nie podniosą głosu przeciw temu i nie wykryją szkaradnego szachrajstwa. Warto było przecięż poświęcić swe siły dla takiego celu, warto ponieść niejedną ofiarę. A z jego strony byłaby to ofiara nie mała! Wielka hamburska firma ofiarowała mu najpiękniejszy ze swych okrętów na wieloletnie podróże między

południową Ameryką i Chinami. Daléj, musiałby zaniechać planu wyprawy do bieguna północnego, planu, który sam opracował, na najnowszych opierając się poglądach naukowych, i dla którego pozyskał już tylu zwolenników. Wreszcie, wyrzec się tylu widoków na przyszłość i zamknąć w tak ciasnym horyzoncie! I dla czego? Jakiż był wielki cel tak wielkiéj ofiary? Dlaczego miał ją ponosić? Dlatego tylko, by wprowadzić niektóre ulepszenia na tych wybrzeżach, by je piasek nie zasypał, by...

— Bądź szczerym Reinholdzie! Wyznaj prawdę! Dlatego, by kilka tysięcy mil nie było między tobą a nią, byś znowu mógł ją ujrzéć kiedy. I po co? na co? szlachetna córa jenerała ze zdziwieniem spójrzałaby na ciebie, gdyby się dowiedziała, że śmiesz myśl swoję podnieść ku niéj; dla ojca jéj pozostaniesz zawsze porucznikiem rezerwy, to znaczy niczém. A gdyby nawet nieprawdopodobne stało się możebném, gdybyś pozyskał jéj miłość, a ojca przyjaźń, czémże byłbyś w tém towarzystwie, które ich otacza i otaczać będzie? pariasem! A ludzie ci, taki Golm i jemu podobni czémże byliby dla ciebie?

Przystąpił do okna. Noc jeszcze była i niebo pokryte ciężkiemi chmurami.

— Nie mogę się opamiętać, nie umiém znaleść drogi, którą mam iść, kompas mój jéj oddałem. I gdybyż na tém ciemném niebie choć jedna gwiazdka, gwiazdka jéj miłości! Wiedziałbym wówczas, co mam czynić; wiedziałbym, gdzie iść pomimo skał i przepaści!

W téj chwili, jak gdyby czarem wywołana, gwiazdka jedna przedarła się przez chmury i jasno mignęła przed zachwyconym okiem zapatrzonego w nią Reinholda. Gwiazda! To Wenus, to musi być Wenus, na tém miejscu i w téj godzinie. Wenus tylko pojawić się mogła!

Przypadek to był, przypadek jedynie, a jednak serce Reinholda uderzyło radośnie. Nie wierzył nigdy w przesądy, ale też nigdy z nich nie żartował; miały one zawsze jakiś, chociażby ukryty urok dla niego; trzeźwy umysł jego nigdy jednak nie brał udziału w téj skłonności fantazyi. Ta gwiazdka, co mu błysnęła w téj chwili, to wskazówka nieba, to przestroga, że powinien się trzymać zasady, którą się dotąd zawsze kierował w życiu: nie dążyć z dziecinnym uporem do tego, co niedoścignione, ale z całą odwagą, siłą i wytrwałością oddać się temu, co w istocie godne pożądania, co można zdobyć odwagą, wytrwałością i siłą.

Wenus skryła się między czarnemi chmurami, ale inne gwiazdy ukazały się na horyzoncie

Reinhold zamknął okno. Chciał jeszcze odpocząć z godzinę. W duszę jego wstąpił spokój, niby cisza po burzy; czuł, że odnalazł sam siebie, że nie potrzebuje już walczyć z sobą.

Zagasił świécę i rzucił się w fotel, stojący przed kominem. Chwil kilka patrzał na węgle, które tu i owdzie mignęły jeszcze światełkiem z pod grubéj warstwy popiołu, potém zapadł w cichy, głęboki sen.

*(Ciąg dalszy nastąpi).*

---

# NOWE MYŚLI O WYCHOWANIU,

PODŁUG

**OGÓLNYCH ZASAD PEDAGOGIKI**

## HERBERTA SPENCERA,

STREŚCIŁ

**Adolf Dygasiński.**

---

Ażeby pedagogika stanęła na podstawach silnych, potrzebuje pomocy ze strony wszystkich tych umiejętności, które za przedmiot swego badania mają człowieka bądź jako jednostkę, bądź téż jako ciało zbiorowe. Nie dziw téż, że w ostatnich czasach w miarę rozwoju wspomnianych umiejętności—rozszerzył się znacznie pogląd na wychowanie człowieka. Od ściślejszego bowiem pojmowania fizycznego i umysłowo-moralnego organizmu człowieka zależéć tylko może jakość wychowania. Bo i jak wychowywać, gdy się dobrze nie wié, czém jest przedmiot wychowania. Herbert Spencer, którego genialnemu umysłowi ludzkość już nie jednę wielką myśl zawdzięcza, z bystrością nadzwyczajną wytknął pedagogice nowe tory. Daleką może jest jeszcze przyszłość, w któréj urzeczywistnione zostaną ideje znakomitego myśliciela, co zresztą on sam przyznaje. Zawsze atoli dążenie do takiéj przyszłości jest już moralnym obowiązkiem chwili bieżącéj. Ten obowiązek a nie inny obciążał nas, gdyśmy postanowili publiczności polskiéj, podać treść dzieła o wychowaniu.

Rozwinięcie idei wychowawczéj w całym planie i podług takiéj skali wymaga czasu znacznego; wymaga przedewszystkiém reformy stosunków społecznych, pomiędzy któremi szkoła jest tylko jedną funkcyą i nic więcéj. Szkoła wypływa tak dobrze z kierunków przejawiających się na różnych polach, jak i każda inna insty-

tucya. Trwały rezultat rozwoju jest ten, który każdą prawdę stosuje do życia siłą krwawéj pracy. Sam Spencer powiada, że wychowanie podług zakreślonego przezeń planu byłoby powodem nieszczęścia dla wychowańców wobec panującego porządku rzeczy. Wszak wielkie prawdy zawsze tylko od przyszłości uznania oczekiwać mogą.

*I. Która nauka ma największą wartość?*

W wychowaniu tak jak w życiu myśl o przyozdobieniu wyprzedza myśl o pożytku. U ludów dzikich przyodzianie ciała rozwinęło się z ozdobą, a i wśród nas wielu myśli raczéj o piękności materyału i o kroju niż o właściwym celu ubrania.

W greckich szkołach przedmiotami panującemi były: poezya, wymowa, muzyka i filozofia, która do wystąpienia Sokratesa bardzo mały wpływ miała na życie praktyczne,—zaniedbywano zaś wszelką wiedzę, któraby wspiérała często życiowe zadania człowieka.

Sądzimy, iż nie będzie błędem, jeśli powiémy, że i w naszych czasach zaledwie jeden raz na 10, chłopiec zastosuje swoję znajomość łaciny oraz greki do celów praktycznych życia. Albowiem ludzie przystrajają umysły swoich dzieci, tak jak ciała według panującéj mody.

Prawda tu występuje wyraźniéj jeszcze u drugiéj połowy naszego rodzaju, albowiem u kobiéty w wyższym jeszcze daleko stopniu spotykamy dbałość tak o upiększenie umysłu jak i ciała. Któż nie zna skombinowanego stroju niewiast, owego mnóstwa kolców i kolczyków, broszek, szpilek, bransolet itd?

Tak zwane *dobre wychowanie* kobiéty polega na tém, iż pożyteczność podporządkowaną jest pozorowi. Ileż to czasu zajmuje nauka tańca, śpiewu, gry na fortepianie, rysunku, manier dobrych itd! Języków zarówno jak historyi nauczane są kobiéty w tym tylko celu, że tego wymaga *dobre wychowanie*. U nas, kiedy się uczy kobiétę nawet czytać, pisać, rachować i szyć, czyni się to raczéj ze względu na opinią publiczną, aniżeli na rzeczywistą praktyczną użyteczność. Człowiek bowiem nie uspołecznił się jeszcze w tym stopniu, aby interesa swoje jednostkowe poświęcił dla wyższych towarzyskich zadań. Wznieść się po nad innych i być przez nich czczonym, oto jest powszechna walka, która zużywa najlepszą cząstkę sił naszych! Każdy na swoję rękę dobija się tego jak może, przez bogactwo, przez sposób życia, piękność, odzież a nawet wiedzę.

Nietylko naczelnik dzikiego pokolenia usiłuje natchnąć bojaźnią swoich podwładnych, zatykając sobie za pasem skóry czaszek

pokonanych nieprzyjaciół. Nietylko piękna kobiéta kusi się o podbicie serc męzkich za pomocą sztucznéj toalety i wykwintnego obejścia. I uczony filozof kieruje swoje naukowe zdobycze ku temu samemu celowi. Nikt nie stara się o spokojne rozwijanie swojéj człowieczéj natury, ale każdy trawiony jest pragnieniem wywyższenia się nad drugich i podbicia ich sobie. Jestto charakter naszego wychowania. A jak w całém życiu nigdy nie ma mowy o tém, czém my istotnie jesteśmy, ale za co nas uważają, tak samo w wychowaniu nietyle chodzi o to, co my istotnie umiémy, ale jaki skutek wywiera nauka nasza na innych.

Że stan naszego wychowywania jest istotnie jeszcze bardzo nierozwinięty i surowy, może posłużyć za dowód okoliczność, iż ocenienie i zbadanie stosunkowéj wartości różnych rodzajów wiedzy dotychczas metodycznie przedsięwziętém nie zostało. Nie zgodzono się na skalę takiéj wartości, więc widocznie nie uczuto potrzeby jéj istnienia. Słuchamy odczytów, czytamy książki, skąd dowiadujemy się, że tego i owego uczyć się powinny nasze dzieci, ale powodujemy się w téj sprawie upodobaniem, przywyknieniem lub przesądem, nie zastanawiając się bynajmniéj, jak ważną jest ta kwestya i co właściwie godném jest nauczania. Wprawdzie podnoszą się spory co do wartości wychowania klasycznego i realnego, ale spory te przyczyniają się do wyjaśnienia kwestyi tyle, ile, dajmy na to, dyskusye nad dyetetyką wpływają na pożywność chleba lub kartofli. Powtarzamy, że nie chodzi o to czy ten lub inny przedmiot nauki ma wartość, ale jaki jest stosunek téj wartości do innych nauk.

W dziale wiedzy ludzkiéj nie ma przedmiotu, któryby nie miał wartości jakiéjś. Rok czasu poświęcony np. nauce heraldyki może zaprawdę dać pogląd na obyczaje i zwyczaje. Ktoby znowu chciał badać odległości miasteczek jakiegoś kraju, ten miałby prawdopodobnie sposobność parę razy w życiu zastosowania swoich wiadomości do nakreślenia jakiegoś planu podróży.

Ale każdy się zgodzi, iż byłby tu zachowany bardzo zły stosunek pomiędzy wymaganą pracą a prawdopodobnym pożytkiem. Czas nasz ograniczony jest nietylko ze względu na krótkość życia, ale i na zadanie życia, należałoby go więc jak najkorzystniéj używać.

Zanim tedy poświęcimy lata na naukę przedmiotów, które nam moda lub upodobanie narzucają, bezpieczniéj jest rozpatrzéć się porównawczo w wartości ich rezultatów.

Zapytajmy, co jest użytecznem, a niebawem usłyszymy matematyków, filologów, przyrodników lub filozofów wykładających nam,

w jakim to wysokim stopniu przedmioty ich zajmujące wpływają dobroczynnie na życie, chronią od złego, zapewniają dobro, krótko mówiąc, prowadzą do szczęścia. Nawet nauczyciel kaligrafii będzie się długo rozwodził nad użytecznością swego przedmiotu nauczania, który, ponieważ jest koniecznie wymagalny w różnych gałęziach handlu, przeto prowadzi ucznia do szczęśliwego życia. Wszyscy bez wyjątku powołują się, pośrednio lub bezpośrednio, na ostateczny cel.

„Jak żyć?“ jest dla nas zasadniczém pytaniem. Zadaniem ogólném, mieszczącém w sobie wszystkie szczegółowe zadania, jest sposób życia właściwy pod każdym względem i wśród wszelkich okoliczności. Jak wykształcić ciało, jak umysłowość; jak żyć w rodzinie; jak się zachować jako obywatel; jak wyzyskać źródła szczęśliwości, które nam natura przedstawia; jak spożytkować wszystkie nasze zdolności ku największéj korzyści nas samych i drugich itd?

Jeżeli to jest przedmiotem ważnym, którego się uczyć należy, jest więc zadanie pedagogiki nauczyć tego ważnego przedmiotu. Dobroć zaś wychowania zależy od stopnia, w jakim ono powyższe zadania spełnia.

Koniecznością jest, abyśmy doskonałość życia mieli zawsze na oku i uważali ją jako cel naszych usiłowań, aby od celu tego zależał wybór nauki i metody dla naszych dzieci.

Winniśmy przedewszystkiém uporządkować główne czynności życia ludzkiego. Naturalny ich szereg tak się przedstawia:

1. Czynności bezpośrednio samozachowawcze.
2. Czynności pośrednio samozachowawcze.
3. Czynności mające za cel wychowanie potomstwa.
4. Czynności życia towarzyskiego.
5. Czynności estetyczne.

Rzecz prosta, iż zabezpieczenie osobistości jest pierwszym warunkiem egzystencyi człowieka mającego przed sobą życie. Następnie muszą iść koniecznie czynności drugiéj kategoryi, bo każdy przyzna, że spełnienie obowiązków innych, np. ojcowskich, najzupełniéj zawisło od dobrego obrotu interesów tego zawodu, jakiemu się dana jednosta poświęca. Rodzina znowu czasowo już rozwija się pierwéj niż państwo, a przez wychowanie dzieci zawarowane jest, pojęcie państwa. Boć ostatecznie zgodzić się trzeba, że dobroć jakiegoś społeczeństwa zależy zupełnie od natury jego obywateli, a natura ludzka nie może być opanowaną w żaden inny sposób tylko przez wychowanie, wychodzące z rodziny.

Różne rodzaje przyjemnych zatrudnień, zabijających, jak to mówią, resztę czasu pozostałego od poważniejszych zajęć są to rozkosze, które zawdzięczamy sztukom pięknym: muzyce, poezyi, malarstwu itd.

Przypuszczają one poprzedni stan społeczny, bez którego pomyślane być nie mogą, gdyż ich właściwa treść polega przeważnie na towarzyskich uczuciach i popędach.

Społeczeństwo dopiéro dostarcza im nietylko warunków istnienia, ale myśli i uczuć przez nie wyrażanych.

Nie chcielibyśmy atoli, aby ktoś mylnie pojmował ten podział; np. że człowiek rozległego rozumu w swoim zawodzie jest już przygotowanym niejako ideałem dla rodziny, państwa, literatury itd. lub że skromnie swoje interesa uprawiający przemysłowiec nie może być mądrym ojcem, dobrym obywatelem, nawet literatem lub artystą.

Ideałem wychowania jest wszechstronne i harmonijne rozwinięcie w człowieku czynności wszystkich tych kategoryj. Nie chodzi tu o wyczerpujące wykształcenie w jednym kierunku, jakkolwiek kierunek ten może być nadzwyczajnie ważny, ani też o zwrócenie wyłącznéj baczności na dwa, trzy lub cztery najważniejsze działy. Skrupulatna baczność musi się rozciągać na wszystkie; największa tam, gdzie największa wartość;—mniejsza, gdzie mniejszą jest wartość;—najmniejsza, gdzie i wartość najmniejsza.

Przy regulowaniu wychowania powinniśmy się kierować tą zasadą, iż są wiadomości mające wartość rzeczywistą, a są i takie, których wartość jest względna.

Rzeczywistą wartość mają np. fakta, że chlor jest środkiem odwaniającym, że woda jest związkiem chemicznym dwóch pierwiastków: tlenu i wodoru, że kamień wyrzucony spada na ziemię podług praw ruchu jednostajnie przyśpieszonego itd. Te prawdy mogą tysiące lat przetrwać i mieć ciągły wpływ na życie ludzkie.

To zaś, co powszechnie nazywają historyą, a co jest zebraniem nazwisk, dat oraz nic nieznaczących faktów ma już wartość niezmiernie względną.

Nad pierwszym działem wychowania człowieka, tj. nad czynnościami bezpośrednio samozachowawczemi, sama natura niejako wzięła opiekę w ręce. Niemowlę płaczące na rękach mamki i ukrywające twarz swą na widok obcego zdradza instynkt, nakazujący mu, aby się chroniło przed tém, co jest nieznane i niebezpieczne być może. Czynności nasze samozachowawcze objawiają się codziennie w utrzymywaniu równowagi cielesnéj, kontrolowaniu ruchów, unikaniu przedmiotów sprawiających ból. Małą zaprawdę jest stosunko-

wo ilość osób, które wykraczają przeciw temu pierwszemu przykazaniu natury, odbierając sobie życie, gdy tymczasem spotykamy codziennie prawie grzeszników społecznych: bankrutów, złych mężów i ojców, niedobrych i niesumiennych obywateli, oraz nieuków pod względem literatury lub sztuk pięknych wogóle.

Ale uchronić ciało od zewnętrznych uszkodzeń nie jest to jeszcze wszystko, należy je zabezpieczyć od choroby i śmierci, które są naturalném następstwem przekroczenia praw fizyologicznych. Wskutek braku zdrowia i życiowéj krewkości niemożebném jest spełnienie obowiązków rodzicielskich, towarzyskich i wszelkich innych; dlatego téż w wychowaniu rozwinięcie czynności bezpośrednio samozachowawczych zajmuje najwyższe stanowisko. Gdyby człowiek zawsze słuchał w téj mierze głosu natury, mielibyśmy znacznie mniéj chorób oraz zboczeń fizycznych.

My jednak postępujemy częstokroć przeciwnie; po znurzeniu ciała lub umysłu niezawsze następuje u nas wytchnienie: pragnienie niezawsze jest powodem używania napoju, a głód przyjmowania pokarmu. Krótko mówiąc, jakkolwiek natura stworzyła prawa, któremi winniśmy się rządzić, jednakże nieświadomość praw tych z naszéj strony czyni je nieużytecznemi.

Ktoby powątpiewał o ważności obznajmienia się z głównemi prawami fizyologii, temu zwrócimy uwagę, jak mało jest ludzi cieszących się czerstwém zdrowiem w podeszłym wieku, chroniczne choroby, ogólne osłabienie, przedwczesna zgrzybiałość, są przecież tak powszechne, a mało jest zaprawdę ludzi, coby zapytani, nie wyznali, że téj lub owéj choroby uszliby byli, gdyby nie brak należytéj informacyi.

To także jest prawdą niezbitą, iż choroby, które albo po przodkach odziedziczamy, lub sami na siebie lekkomyślnie nieraz sprowadzamy, czynią nam życie prawdziwym ciężarem. Wielkim zaś fałszem jest utrzymywanie, że ktoś, uleczywszy się z choroby, będzie znowu równie zdrowym jak poprzednio.

Żadne zboczenie prawidłowego przebiegu procesów życiowych nie może ujść bezkarnie; rezultatem ostatnim w téj mierze jest skrócenie dni naszych.

Sądzimy tedy, że skoro czerstwość zdrowia i towarzysząca jéj rzeźkość życia przyczyniają się do szczęścia człowieka więcéj aniżeli cokolwiekbądź innego, przeto wiadomości pod tym względem są nadzwyczajnie ważne. Kurs fizyologii, przedstawiający ogólne prawdy téj nauki w sposób przystępny i w związku z życiem codziennem, stanowi główną część każdego rozumnie prowadzonego wychowania.

Zdawałoby się rzeczą dziwną, iż takiego w oczy bijącego twierdzenia potrzeba bronić i dowodzić, a jednak mamy powody mniemać, iż znajdą się tacy, którzy propozycyą naszę przyjmą z szyderstwem. Ludzie, którzyby się rumienili, gdyby ich kto złapał na nieświadomości jednego faktu z życia jakiegoś pół-boga, nie wstydzą się wcale, gdy im przychodzi wyznać nieświadomość swoję co do normalnéj liczby uderzeń pulsu, lub co do sposobu, w jaki oddychamy płucami.

Troszczą się oni, aby synowie ich obeznali się z faktami zaszłemi przed 2.000 lat, a nie chodzi im o to bynajmniéj, ażeby te dzieci poznały budowę i czynności własnego organizmu. Tak przeważnym jest wpływ raz ustalonego przesądu! Do takiego stopnia w wychowaniu wzięły pozory przewagę nad użytecznością!

Nie potrzebujemy tu następnie rozwodzić się nad wartością nauki, która, ułatwiając zarobkowanie na utrzymanie życia, prowadzi do czynności pośrednio samozachowawczych. Na tę wartość bowiem wszyscy się zgadzają; może nawet zbyt wyłącznie ogół uznaje ją jako ostateczny cel wychowania.

Podczas jednak, gdy każdy gotów jest dowodzić ważności nauki, uzdalniającéj młodzież do praktycznych życiowych zajęć, mało kto zajmuje się zbadaniem i przedstawieniem, jaka to jest mianowicie ta nauka. Może tylko czytanie, pisanie i rachowanie nauczaném bywa z rozsądném uwzględnieniem korzyści; ale jestto już i wszystko, podczas gdy mnóstwo różnych przedmiotów, jakich nas nauczano, nie wywiera najmniejszego wpływu na nasze praktyczne zajęcia.

Pominąwszy nieliczne klasy ludzi, widzimy, że reszta zajmuje się produkowaniem, przerabianiem i rozdzielaniem środków do utrzymania życia służących. Otóż wszystkie te zajęcia wymagają obznajmienia się z własnościami fizycznemi, chemicznemi, biologicznemi danych przedmiotów, to jest polegają one na wiedzy.

Poczynając od najbardziéj abstrakcyjnéj umiejętności, *logiki*, sądzimy, że ta za rękę prowadzić powinna każdego większego producenta lub kupca, jeśli tylko plany jego interesów mają być dobrym skutkiem uwieńczone. Najogólniejszy znowu dział *matematyki*, mający do czynienia z liczbą, opanowywa wszystkie gałęzie przemysłu; już to kiedy chodzi o wypracowanie oszacowań, już przy obliczaniu kosztów zakupna lub przy sprzedaży towarów, jakotéż przy prowadzeniu rachunków handlowych.

Dla wyższych znowu technicznych zajęć okazuje się niezbędną znajomość specyalniejszéj części matematyki. Cieśla wioskowy, który bez wykształcenia szkolnego prowadzi robotę, kierując się do

świadczeniem, musi się odnosić do prawd geometrycznych, zarówno jak budowniczy jednego z najpierwszych mostów w Europie. Te same prawdy kierują inżynierem, architektem, malarzem i rozmaitymi rękodzielnikami. Budowanie kolei żelaznych polega na geometryi od początku do końca; również wypracowywanie planów, wytyczanie linij, budowanie tam, mostów, wodociągów, tuneli, zakładanie portów, roboty górnicze i t. d. Nawet gospodarz wiejski, jeżeli ma zamiar przeprowadzić dobre drenowanie, musi się uciec do zasad geometryi.

A teraz, zwracając się od tych działów matematyki, które mają do czynienia z liczbą i przestrzenią, a które pobieżnie tylko w szkole są uprawiane, spotykamy inny dział mający do czynienia z siłą, którego traktowanie nawet powierzchowne zaniedbaném jest przez szkoły. Przecięż od zastosowania *mechaniki* zależą rezultaty dzisiejszych fabryk. Własności dźwigni lub koła na walcu działają w każdéj machinie. Od maszyn zawisła jest cała prawie produkcya czasów obecnych. Spróbujmy nakreślić historyą bułki, a przekonamy się, iż ziemia, z której ta bułka powstała, była drenowaną maszynowemi cegłami, oraną na swéj powierzchni przez maszynę i przez maszynę ziarnem zasianą. Następnie maszyna zżęła zboże ona je wymłóciła, wywiała, zmełła i przesiała. Odzież nasza została uprzędzona przez machiny, a nawet uszyta przez nie. Książka, którą czytamy, została zapełniona wyrazami za pomocą machiny. Machinom zawdzięczamy nareszcie środki komunikacyjne na lądzie i na morzu. Nie zapominajmy, iż złe zastosowanie praw mechanicznych wywołać może jednostkowe lub społeczne niepowodzenie. Inżynier, który źle obliczył wytrzymałość materyału, stawia most, którego przeznaczeniem jest rychła ruina. Fabrykant, którego aparat źle zbudowany został, nie jest w możności współzawodniczyć z fabryką, gdzie aparat pokonywa mniejszym kosztem opór tarcia. Okręt zbudowany podług starego modelu zostanie prześcigniety przez inny, nowszego zastosowania praw mechanicznych. Dzisiaj istotnie powiedzieć można, że potęga narodu od machin zawisła.

Od mechaniki przechodzimy do *fizyki*, której część traktująca o cieple nauczyła nas jak można oszczędności robić na opale. Stąd to nauczyliśmy się regulowania różnych czynności za pomocą termometru, uniknięcia eksplozyi przez użycie lampy bezpieczeństwa itd.

Druga część fizyki, zajmująca się światłem, udziela mocy oczom ludzi podeszłych, jakoteż krótkowidzących; za pomocą mikroskopu pozwala rozeznawać już choroby, już różne fałszywe podrobienia, a ulepszone latarnie morskie chronią okręty przed rozbiciem. Badania nad elektrycznością i magnetyzmem uratowały przez kompas

niezliczoną ilość życia i mienia ludzkiego; jako elektrotypia wsparły sztukę; jako telegrafy dały do ręki potężny środek łatwego i natychmiastowego regulowania stosunków handlowych oraz wogóle międzynarodowych. Zresztą mnóstwo sprzętów domowego użytku, począwszy od urządzenia kuchni a kończąc na stereoskopie w salonie, jest prostém zastosowaniem fizyki.

Ważniejszym atoli jeszcze jest wpływ *chemii* na te czynności ludzkie, które prowadzą do zapewnienia środków życia. Zajęcia takiego farbiarza muszą być stosowane do praw chemicznych. Chemia kieruje przetapianiem miedzi, cyny, cynku, ołowiu, srébra, żelaza. Rafinacya cukru, przyrządzanie gazu, mydlarstwo oraz wyrabianie prochu strzelniczego są po części procesami chemicznemi, podobnie jak fabrykacya szkła i porcelany. Kwestyą chemiczną stanowi fermentacya w zacierze gorzelnika, a piwowarzy prowadzący interes en gros w fabrykach swych utrzymują chemików. Proszę przejrzyć pierwszy lepszy podręcznik technologii, a można się przekonać, jak rozległém jest dzisiaj panowanie chemii. Dla rolnika potrzebną jest wielce analiza gruntu i nawozu, czego bez znajomości chemii nikt nie przeprowadzi. Wyrabianie zapałek, oczyszczanie kanałów po miastach, sztuka fotograficzna, wyrabianie środków toaletowych i t. d. zawisłe są od chemii.

Przechodząc do umiejętności innego działu, spotykamy się przedewszystkiém z *astronomią*, z któréj żeglarstwo wielkie odniosło korzyści.

Daléj idzie *geologia* silnie popiérająca przemysł, czego zaledwie dowodzić potrzeba, a dosyć rzucić okiem na wydobywanie węgli, nafty oraz na górnictwo wogóle.

Przypatrzmy się nauce zwanéj *biologią*; ma ona wprawdzie nie wielki wpływ na to, co się zwie rękodzielnictwem, ale przygotowywanie pożywienia jest z nią jak najściśléj złączone. Wszakże rolnictwo stosować się powinno do zjawisk życia roślinnego i zwierzęcego, przeto nauka traktująca te zjawiska może stanowić podstawę rozumnie prowadzonego rolnictwa. Wprawdzie różne biologiczne zasady czerpią gospodarze z doświadczenia, nie mają oni jednak pojęcia o umiejętności, jako takiéj.

Tu należą wiadomości, jakie gatunki nawozu dla jakich roślin są przydatne; jaki rodzaj gruntu służy pod ten lub ów zasiew; jaki pokarm należy dostarczać różnym domowym zwierzętom, jakie wreszcie są przyczyny rozlicznych chorób zwierzęcych. Rolnik przy skąpym nawet zasobie wiadomości biologicznych faktów prowadzi z powodzeniem nieraz swoje gospodarstwo rolne; cóżby to było,

gdyby się zwiększył ten ciasny jego zakrés, gdyby wiadomości były więcéj pozytywne i wyczerpujące!

Pozostaje jeszcze jedna umiejętność, mająca bezpośredni wpływ na rozwój handlu i przemysłu, jest nią *socyologia*. Nietylko fabrykant i kupiec wielki powinni liczyć się z potrzebami swojego społeczeństwa; obowiązanym jest do tego każdy handlujący, którego zyski lub niepowodzenia zależą nieraz od popytu i od przyszłych cen różnych towarów. Zrozumienie praw społecznych,• rządzących rozlicznemi handlowemi czynnościami, nie tylko jest pożyteczne, ale także bardzo zajmujące.

Tak więc widzimy, że każda gałąź handlu lub przemysłu ma do czynienia z matematycznemi, fizycznemi i chemicznemi własnościami rzeczy; niekiedy potrzebuje odwołać się do biologii a zawsze do socyologii. Zapewnienie sobie środków do życia, co my czynnościami pośrednio samozachowawczemi nazwaliśmy, zależy po największéj części od znajomości prawd jednéj lub kilku z tych umiejętności.

To, co się zowie nauką rzemiosła lub interesu, jest w rzeczy saméj nauką prawd nieodłącznéj w tym razie jakiéjś umiejętności, choć może nie nosi nazwy umiejętności. Umiejętne przygotowanie człowieka do pracy jest niezmiernie ważne i daleko ważniejsze aniżeli uzdolnienie praktyczne. Co więcéj, powiemy, że w dzisiejszych czasach postępu człowiek powinien rozumiéć „*jak* i *dla czego*“ nietylko w tych rzeczach, które go blizko obchodzą, ale i w innych jeszcze. Teraz zwrócimy się do trzeciego działu ludzkich czynności.

Gdyby dziwnym zbiegiem rzeczy, w przeszłości dalekiéj od nas, ślady naszego obecnego życia pozostały jedynie w stosach książek i ćwiczeń różnych, to w szczególnym kłopocie znalazłby się starożytnik owéj epoki, nie znalazłszy najmniejszego znaku, czy badane przez niego pokolenie miało jakich rodziców. Wyobrażamy sobie, iż wniosek tego starożytnika miałby następującą formę:

„Jest to plan szkolny z peryodu, w którym nie było małżeństw. Widać tu pilność i dbałość z różnych rzeczy, zwłaszcza z zajmowania uczniów lekturą o żywych i umarłych narodach (czytanie w języku ojczystym nie bardzo było w modzie), ale nie znajdujemy nigdzie śladu rodzicielskiego wychowania dzieci. Może to i plan szkolny jakiego mniszego klasztoru.“

Porzucając żart na stronę, pytamy się poważnie, czy nie jest zatrważającym los nowéj generacyi, powierzany z pokolenia w pokolenie naszym nierozumnym przywyknieniom, humorowi chwili, wzruszeniom umysłowym a jednocześnie podszeptom ciemnych mamek i radom przesądnych babek?

Gdyby ktoś rozpoczął praktykę lekarską bez znajomości medycyny, natenczas powstawalibyśmy wszyscy przeciw takiéj bezczelności i litowalibyśmy się nad jego pacyentami. Ale gdy rodzice przystępują do wychowania dzieci bez najmniejszego przygotowania nikt się temu nie dziwi, ani nikt nie lituje się nad ofiarami.

Tysiące dzieci umiéra, setki tysięcy wynosi na życie słaby cielesny organizm a miliony wzrastają nie tak mocno i zdrowo, jak to powinno mieć miejsce, gdyby wychowaniem kierowali rodzice dobrze świadomi środków i warunków wychowania.

Częstokroć chwilowa decyzya rodziców co do ubrania dziecka lub wyboru dla niego rodzaju rozrywki stanowi w przyszłości źródło choroby, niedostatku sił, t. j. nieszczęścia. Rzecz godna uwagi, że jeśli synowie lub córki chorują nieustannie z winy rodziców, natenczas uważa się okoliczność taka, jako fatalność losu, żrządzenie Opatrzności i t. d.

Ale podobnąż nieświadomość i z niéj wynikające szkody zaznaczyć można także na polu moralnego wychowania. Przyjrzyjmy się bliżéj młodéj matce i jéj przygotowaniu do macierzyństwa. Skończyła ona pewien kurs nauk przy guwernantce albo w szkole; troszczono się niepospolicie, aby młodéj dziewczynie zagwoździć jak najmocniéj pamięć wyrazami, imionami, liczbami; władze myślenia rozwijano jak najmniéj, skądżeby więc w młodziutkiéj jéj duszy mogły się zrodzić pojęcia, jak to należy czuwać, aby się w małéj dziecinie rozwinął pierwszy kwiatek moralnego zdrowia? Zaprawdę mowy tu być nie może o powstaniu jakiéjś samodzielnéj metody wychowania. Muzyka, estetyczne ćwiczenia w niewieścim stroju, czytanie powieści oraz spędzanie czasu na składaniu i odbiéraniu wizyt, leżały w planie wychowania naszéj młodéj matki, jako antrakt między latami nauki a latami macierzyństwa. Ani jednéj chwili nie poświęcono tutaj myśli o ciężkiéj odpowiedzialności przyszłych obowiązków matki. Jakże taka kobiéta ma umiéć rozwijać pierwiosnki człowieczego charakteru, gdy ona nie ma najmniejszéj możności oryentowania się wśród mnóstwa psychicznych zjawisk, wprawiających w kłopot nawet znacznie lepsze głowy. Nie wié ona nic o naturze uczuć i wrażeń, o ich rozwoju, o ich czynności; nie pojmuje wcale tego, gdzie się ma skończyć zakaz a zacząć pozwolenie. W téj matce tkwi jedynie dogmat, iż pewne uczucia są dobre a inne są złe, chociażby nawet stanowczo inaczéj rzeczy się miały.

Jakąż to nieraz walkę matki z dziećmi zdarza nam się widziéć i to walkę na punkcie czynności całkiem prawidłowych, dobroczynnych, które matka usiłuje ograniczyć.

Z drugiéj strony znowu widzieliśmy niejednokrotnie czyny dzieci spowodowane przez dary, pochwały, albo groźby macierzyńskie. Każdemu wiadomo, iż takie środki czerpnięte w podręcznéj apteczce domowego wychowania otwiérają szeroko wrota obłudzie, bojaźni i egoizmowi. Zachęcamy dzieci, aby były łagodne i powściągliwe, tymczasem sami popadamy w gniew i wybuchamy w zelżywych wyrazach. Młoda matka, opuściwszy dom rodzicielski, aby zagrzać swoje własne gniazdko, nie rozumié prawdy wielkiéj, iż w pokoju dziecka jest tak jak na świecie, *to tylko jest prawdziwą i zbawienną karnością, co utrzymuje pod kontrolą dobre oraz złe czynności i tak za jedne jak za drugie dopuszcza naturalne następstwa*.

Rozważmy teraz sprawę rozwinięcia umysłu albo, że tak powiemy, wychowania rozumu. Na nieszczęście i ten w macoszą dostaje się rękę. Albowiem, jeśli się zgodzimy, że rozwój umysłowy wogóle następuje według pewnych praw i że rozwój inteligencyi dziecięcia również na prawach polega, natenczas winniśmy przyznać, iż bez znajomości owych praw o dobrém wychowaniu mowy być nie może. Byłoby nawet śmiesznością utrzymywać, że można dobrze regulować i prowadzić proces tworzenia się i rozwijania pojęć, nie znając natury tego procesu. Jakże więc różni się wychowanie to, jakie mamy, od tego, jakiém ono być powinno, gdy zaledwie tylko niektórzy rodzice i mała liczba nauczycieli wié cóśkolwiekbądź o *psychologii*. Weźmy pod uwagę samo uczenie się dzieci z książek, które przecięż są tylko środkiem nauczania dopełniającym i pomocniczym. Jestto środek przecięż pośredni, mogący być użytym, jeśli środków bezpośrednich zabraknie; jestto nauka, którą się bierze z drugiéj ręki, jeśli jéj z pierwszéj nabyć nie można.

Rozwój umysłowy idzie od poznania rzeczy konkretnych do abstrakcyjnych. A przecięż nauka tak wysoko abstrakcyjna jak gramatyka zwykle wykłada się dzieciom bardzo młodziutkim. Geografia państwowa, albo polityczna, stanowiąca przyczynek do socyologicznych badań, również nauczaną bywa bardzo wcześnie, jakkolwiek przedmiot ten jest dla dzieci nudny i pozbawiony interesu; przeciwnie zaś geografia fizyczna, zrozumiała, dostępna dla dzieci i zajmująca, bywa po większéj części zaniedbywaną. Strach bierze pomyśleć, jakim jest porządek nauczania każdego wogóle przedmiotu. Dzieci uczą się najprzód reguł, definicyj i zasad, które w naturalny sposób powinny wystąpić w ich umyśle dopiéro po przyjrzeniu się szczegółom. Téj ostatniéj zasady jednak nie przyjmie nigdy system pamięciowego nauczania, składający na cześć liter całopalenie ducha. Nie dziw, że tępieją władze spostrzegawcze, gdy im nie dozwolono pójść właściwą drogą, lecz zmuszano trzymać się książek;

powstaje chaos umysłowy, gdyż przedmioty pewne pierwéj były nauczane, zanim u dzieci wystąpiła możność ich zrozumienia; wszędzie zaś abstrakcyjne uogólnienia poprzedziły znajomość pojedyńczych faktów.

Wówczas uczeń stał się biernym odbieraczem myśli cudzych, a nie uzdolnił się bynajmniéj jako samodzielny myśliciel i nauczyciel samego siebie. Skoro raz nauka ustała, książki na bok rzucono i większa część źle przyswojonego materyału naukowego prędko zaczęła z pamięci uchodzić, co zaś w głowie pozostało, działa nieskutecznie, albowiem nikt się nie starał o wyćwiczenie w uczniu sztuki praktycznego zastosowania wiedzy. Cóż począć? Aby zostać szewcem, mularzem lub maszynistą, trzeba na ten cel poświęcić pewien czas fachowemu wykształceniu, ale rozwój fizyczny i duchowy istoty ludzkiéj uważanym bywa za proces tak prosty, iż ludzie przystępują do niego bez najmniejszego przygotowania. Ciekawi jesteśmy na co się przydała znajomość Eschilosa ojcu, który przez nieumiejętne wychowywanie przyczynił się do nieszczęścia swoich synów; jaką pociechę w czytaniu oryginalnego textu Danta znalazła matka, opłakująca śmierć pierworodnego dziecka, gdy jéj lekarz oświadczył szczerze, iż dziecko to byłoby wyzdrowiało, ale organizm jego został podkopany przez obarczenia nauką i przez to małą odporność przeciwstawił chorobie.

Tak więc przy trzecim dziale ludzkich czynności wymaganą jest znajomość praw życia, potrzebném jest obznajmienie się z najgłówniejszemi zasadami fizyologii i psychologii.

Z pola obowiązków rodzicielskich wstępujemy w zakrés życia obywatelskiego, aby oznaczyć: jaka umiejętność jest tutaj człowiekowi potrzebną. Przedewszystkiém spotykamy się z *historyą*. Nauka ta, jakeśmy już zaznaczyli, nauczaną tak bywa, jakbyśmy jéj do życia zupełnie nie potrzebowali. Opisy życia królów rzucają tylko cokolwiek światła na historyą.

Obznajmienie się z intrygami dworskiemi, spiskami, najazdami krajów oraz z osobistościami, biorącemi tu udział, nadzwyczajnie mało pomaga do wyświetlenia przyczyn narodowego wzrostu lub upadku.

Czytamy opis wojny toczącéj się o władzę, dowiadujemy się nazwisk różnych wodzów i ich podwładnych; widzimy, iż każdy z nich rozporządzał pewną ilością tysięcy piechoty, jazdy jakotéż armat; że gdy nadeszła chwila bitwy, szeregi należące ustawiły się w sposób taki a taki; że manewrowano, cofano się lub napadano; że przez jednę część dnia poniesiono porażkę, ale późniéj osiągnięto korzyści i że nareszcie ta lub owa strona odniosła zwycięstwo; przy-

czém tyle a tyle padło, tyle a tyle było rannych lub wziętych w niewolę. Jeżeli z tych szczegółów ktoś złożył sobie jednolitą całość, niechże stanowczo powié, co mu za korzyść wiadomość ta przyniesie jako obywatelowi. Ależ, powié kto może, sąto fakta, bardzo zajmujące fakta. Że to są fakta (o ile nie są powymyślane) nie przeczymy, a dlā wielu mogą one być także zajmującemi.

Stąd jednak nie wypływa, aby znajomość ich miała mieć wartość rzeczywistą.

Wprawdzie różnym rzeczom nadaje się nieraz wartość sztuczną, np. amator tulipanów nie oddałby za wagę złota jakiéjś szczególnéj cébulki; kto inny uważa się za bardzo szczęśliwego, gdy posiadł skorupę naczynia ze staréj porcelany.

Mamyż powiedziéć, że gust tego rodzaju jest miernikiem wartości rzeczy?

Co do nas, ośmielamy się utrzymywać, iż tylko użyteczność może być skalą wartości. Cóż nam przyjdzie z tego, gdy się dowiemy, iż kot udusił wczoraj ptaka sąsiadowi, a jednak jestto faktem. Albowiem są fakta, z których stanowczo wniosków wyprowadzać nie można. Dobrze jest o tych faktach dowiedziéć się dla przyjemności, lecz nie należy się łudzić, jakoby one były pouczającemi.

Dopiéro w czasach najnowszych, historycy niektórzy wzięli się do dzieła przedstawienia historyi z należytego punktu widzenia, zajęli się oni mianowicie zjawiskami społecznego postępu. W takiéj historyi naturalnéj społeczeństwa obchodzą nas głównie fakta dające możność zrozumienia wzrostu i procesu organizowania się danéj narodowości. Wśród tych faktów musi być mowa i o rządzie. Chodzi tu o dokładne, o ile można, przedstawienie formy rządu, jego składu, podstaw, metod, przesądów lub zboczeń i t. d. Nietylko obraz taki skréślanym być winien co do rządu głównego, ale także co do jego najmniejszych rozgałęzień. Równie dokładne przedstawienie wymagane jest i co do władzy kościelnéj, jéj formy, działalności, potęgi oraz stosunku do państwa, a jednocześnie i opisanie zwyczajów miejscowych, religijnego wierzenia i religijnych idej. Następnie pragnęlibyśmy być poinformowani o pressyi, jaką jeden stan społeczny wywiera na inne i o ile to odźwierciadla się w towarzyskich formach obcowania. Wszelkie obyczaje, malujące życie narodu wewnątrz i zewnątrz, nie wykluczając wzajemnego do siebie stosunku rodów jakotéż stosunku dzieci do rodziców, ująć ma w sobie obraz historyczny.

Bardzo znaczącém jest ścisłe przedstawienie handlowego systemu, wykazujące w jakim stopniu prosperuje podział pracy, jaki jest

stosunek między robotnikami a chlebodawcami, jakie są środki komunikacyjne.

Toż samo co do rzemiosł i przemysłu. A kogóżby nie zajęły fakta duchowego stanu w społeczeństwie danem, nietylko co się tyczy rodzaju i zakrésu wychowania, ale także postępów na polu umiejętności i panujących przekonań. Pominiętém téż być nie może estetyczne wykształcenie, o ile się ono wyraziło w architekturze, rzeźbiarstwie, muzyce, poezyi oraz innych produktach fantazyi, do których i ubiór się zalicza. Prócz tego powinien tu wystąpić szkic codziennego życia narodu, określający nam rodzaj pożywienia, zamieszkania i narodowych rozrywek.

Nareszcie, aby zamknąć tę całość, należy przedstawić teoretyczny i praktyczny stan wszystkich warstw, o ile on odbija się w prawach, zwyczajach, w czynnościach.

Jedynie praktycznie wartościowém jest opracowanie historyi takie, któreby nazwać można było „Opisową nauką społeczeństwa,“ a najwyższém zadaniem historyka jest opowiedzenie życia narodów w ten sposób, iżby ono dostarczyło materyału do „porównawczéj nauki społeczeństw,“ jakotéż posłużyło do ustalenia praw, według których regulują się zjawiska społeczne.

Ale kluczem wiedzy historycznéj tak pojmowanéj jest biologia i psychologia.

Wszystko bowiem co dzieje się w społeczeństwie, dzieje się przez połączone czynności jednostek, przeto tylko w czynnościach jednostki należy szukać objaśnienia społecznych zjawisk.

Formułując się inaczéj, powiemy: Wszystkie zjawiska społeczne są zjawiskami życia, i ażeby je zrozumiéć należy zbadać prawa życia.

Otóż i ten czwarty dział czynności ludzkich wesprzéć się musi na umiejętności.

Przedstawiliśmy już, jakie wychowanie prowadzi do samozachowania, do utrzymania życia, do spełniania obowiązków rodzicielskich a nareszcie społecznych i państwowych.

Pozostaje nam rozebrać teraz wychowanie, które ma na celu sztuki piękne.

Ponieważ piąty dział pomieściliśmy na końcu, przeto mógłby kto wyprowadzić stąd wniosek, iż nam o czynności te mniéj chodzi, iż je bardzo mało cenimy. Jednakże tak nie jest; owszem w ocenianiu estetycznego wykształcenia oraz wypływających stąd dla człowieka rozkoszy nie damy się nikomu wyprzedzić. Dalecy jesteśmy od tego, aby odmawiać znaczenia estetycznym popędom człowieka, mamy nawet przekonanie, że sztuki piękne kiedyś bardziéj

zajmować będą rodzaj ludzki, niż się to dzieje obecnie. Gdy siły przyrody oddane zostaną zupełnie na usługi człowiekowi, gdy środki przerabiania płodów surowych zostaną udoskonalone, gdy praca będzie w najwyższym stopniu opłacaną, a wychowanie stanie się tak systematycznėm, iż przygotowanie człowieka do życiowych czynności da się przeprowadzić w krótszym czasie, wtedy okaże się znaczna oszczędność czasu i wtedy słusznie piękno sztuki oraz natury obszerniėj uprawiane będzie.

Ale co innego jest uważać wykształcenie estetyczne jako środek sprzyjający uszczęśliwieniu człowieka, a co innego mieć to za główny cel szczęścia ludzkiego.

Zwolennik kwiatów choduje roślinę, aby się z niėj kwiatu doczekać, kwiat jest ostatnim rezultatem jego oczekiwania, ale rozkwitnięcie kwiatu zależy od zabezpieczenia bytu korzeniowi oraz liściom. Sztuki piękne zaprawdę są kwiatami cywilizowanego życia, a każdy bezwarunkowo zgodzi się na to, że dla tych kwiatów nie można zaniedbywać innych spraw, dających się porównać z korzeniem i liśćmi u rośliny. Tu właśnie jest błąd rażący naszego systemu wychowania, które zaniedbuje roślinę dla kwiatu.

Nasza opinia jest taka: ponieważ sztuki piękne wypełniają wolne chwile życia, przeto należy im poświęcać chwile, zbywające od prawdziwego wychowania.

Nie ulega żadnėj wątpliwości, iż umiejętność jest podstawą każdėj ze sztuk pięknych i że tylko na takiėj podstawie powstać może doskonałe arcydzieło, jakoteż jego należyte ocenienie.

Młodzież ucząca się rzeźbiarstwa musi poznać budowę ludzkiego ciała, zbadać kości i muskuły, ich połączenia oraz ruchy.

Bez tėj umiejętności dzieło rzeźbiarskie może być tylko pełnėm błędów rażących. Podobnież wymagalną jest tutaj znajomość zasad *mechaniki*.

W malarstwie jaśniėj jeszcze występuje potrzeba umiejętnego przygotowania, jeżeli już nie nabytego teoretycznie i systematycznie, to praktycznie. W malowidłach chińskich uderza nas nienaturalność i lekceważenie praw, którym podlegają zjawiska świata zewnętrznego. Otóż jeśli najbaczniejszėj obserwacyi artysty nie wesprze umiejętność, to on nie uchroni się przed takiemi chińskiemi błędami. Każdy malarz może potwierdzić, że gdy się nie wié, jakie zjawiska wśród danych okoliczności wystąpić mogą, wtedy trudno te zjawiska dobrze ująć i przedstawić. Wiedzieć zaś jakie zjawiska występują, znaczy tyle, co mieć do czynienia z nauką tych zjawisk.

Komuż zresztą nie wiadomo, ile w obrazie znaczy wierność historyczna, światło, perspektywa, symetrya i t. d.?

Niechaj nikogo nie zadziwia, jeżeli powiemy, że i muzyka polega na umiejętności. Jest ona, że tak powiemy, zidealizowanym wyrazem naturalnéj mowy pobudzonych uczuć i wskutek tego może być dobrą lub złą, stosownie czy odpowiada prawom téj naturalnéj mowy lub nie. Rozmaite modulacye głosu, towarzyszące uczuciom różnego rodzaju i siły, są zarodkami, z których rozwinęła się muzyka. Można wykazać, iż zmiany oraz spadki dźwięku nie są przypadkowe lub dowolne, ale oznaczone pewnemi prawidłami życiowéj czynności i że od tego zależy ich wyrazistość. Motywa muzykalne oraz z nich powstałe melodye będą o tyle oddziaływały, o ile odpowiadają takim prawidłom.

To samo da się powiedziéć i o poezyi, która podobnie jak muzyka polega na naturalném wyrażeniu głębszych uczuć. Jéj rytm, jéj liczne metafory oraz hiperboliczne zwroty i przestawienia stanowią wzmocniony charakter języka pobudzonych wzruszeń. To téż poezya powinnaby zwrócić uwagę swoję na prawa czynności nerwów, którym posłuszną jest ta mowa wzruszeń.

Należy zachować symetryą we wzmacnianiu oraz grupowaniu wszelkich właściwości takiego języka. Gdzie myśl najmniéj do uczucia przemawia, tam trzeba oszczędnie stosować formy poetyckie; swobodniéj można ich użyć gdy pobudzone uczucie zaczyna w grę wchodzić; ale należy im dać nieograniczony rozwój, skoro uczucie występuje w całéj potędze.

Przekroczenie tych praw wydaje w rezultacie mniéj lub więcéj nadęte rymoróbstwo. Nie powinien téż obcym być artyście wpływ, jaki różne szczegóły jego dzieła wywierają na umysł widza lub słuchacza, a kwestya ta należy ściśle do zakrésu psychologii. Pytanie, czy jakaś kompozycya jest dobrą, jest jednocześnie pytaniem, czy ona wywrze wrażenie i czy uczucia widza, albo słuchacza wzruszone przez nią zostaną.

Nie utrzymujemy tu wcale, ażeby umiejętność miała stwarzać mistrzów a znajomość wyliczonych praw mogła zastąpić naturalny talent.

Każdy bowiem artysta musi się jako taki urodzić, urobić go nigdy nie można. Ale wrodzony talent powinien być poparty wiedzą, bo talent znaczy wiele, jednak nie jest wszystkiém.

Wspomnieliśmy, że umiejętność nie tylko jest niezbędną przy wyprodukowaniu dzieł sztuki, ale także i przy ich ocenianiu. Na czémże się bowiem zasadza wyższa zdolność człowieka w porównaniu ze zdolnością dziecka przy pojmowaniu piękności obrazów? Skąd pochodzi, że człowiek wykształcony znajduje więcéj przyjemności w pięknym poemacie, aniżeli gburowaty wieśniak? Naturalnie, iż

wyższy umysłowy rozwój pierwszego pozwala mu odkryć w poezyi wiele rzeczy, których wieśniak nie dostrzega. Tylko znajomość przedstawionego przedmiotu może wywołać ocenę jego, a ta ocena wtedy tylko będzie dokładną, jeśli znajomość rzeczy przedstawionych była zupełną.

Jestto niezbitym faktem, że każda nowa prawda wyobrażona w dziele sztuki sprawia nowy rodzaj zadowolnienia obserwującemu, lecz zadowolnienie nie mogłoby mieć miejsca, gdyby prawda była całkowicie nieznaną. Im więcéj prawd sztukmistrz w dziele swojém przedstawia, tém więcéj wykazuje on zdolności, tém liczniejsze wyobraża myśli i tém większe wywołuje zadowolnienie. Ażeby czuć to zadowolnienie, potrzeba, iżby widz, słuchacz lub czytelnik obeznany był z prawdami przez sztukmistrza wyobrażonemi, to jest, potrzeba aby posiadał odpowiednią wiedzę.

Podnosimy tu jeszcze jednę kwestyą, mianowicie, iż nie tylko malarstwo, rzeźba, muzyka i poezya mają umiejętność za podstawę, ale umiejętność nawet sama jest poetyczną.

Pogląd, jakoby umiejętność i poezye były sobie wręcz przeciwne, jest fałszywy. Zapewne, że władze poznawania i uczucia jako stany świadomości wykluczają się wzajemnie i że silnie pobudzona czynność władz myślenia usiłuje przytłumić uczucia, gdy znowu z drugiéj strony znaczne naprężenie uczuć dąży do przewagi nad władzami myślenia.

Jednakże prawdą nie jest, ażeby rezultaty umiejętności miały być niepoetyczne, lub téż uprawianie umiejętności sprzeciwiało się swobodnemu rozwojowi fantazyi i zamiłowaniu piękna. Przeciwnie, umiejętność zawiera w sobie skarbiec poezyi, który zamkniętym jest tylko dla nieuka.

Alboż nie wiémy, że wielki poeta Goethe był jednocześnie mężem dużéj nauki? Czemużby kropla wody, która dla zwykłego oka jest tylko kroplą wody i nic więcéj, miała stracić coś w oczach fizyka, ponieważ ten wié, że jéj elementa utrzymywane są w spojeniu przez siłę, która nagle wyzwolona wytworzyłaby błyskawicę? Tylko naiwność ogromna może sobie wyobrażać, że płatek śniegu zawiera w sobie więcéj powabu i uroku dla nieuka, aniżeli dla człowieka, który za pomocą mikroskopu rozpoznał dziwnie piękne formy śnieżnych kryształów? Smutno to patrzéć, jak ludzie pracują nieraz nad małoznaczącemi i obojętnemi rzeczami, zaniedbując najważniejsze i najwznioślejsze. Z całym aparatem wielkiéj uczoności pisze się krytykę greckiéj ody, nie racząc nawet okiem rzucić na wspaniałą epopeję, którą palec boży spisał w ziemi, na ziemi i nad ziemią!

Celem całego naszego dotychczasowego badania było oznaczenie wartości téj lub owéj wiedzy ze względu na *kierunek* wychowawczy. Obecnie przychodzi nam oznaczyć porównawczo wartość różnych rodzajów wiedzy jako środków *ćwiczenia* władz umysłowych.

Na szczęście przekonaliśmy się, że co jest dobrém dla pierwszego celu, odpowiada także najzupełniéj osiągnięciu drugiego. W całém stworzeniu przebija się ta myśl, iż zdolności rozwijają się przez wykonywanie tych czynności, które ma się za zadanie spełniać. Czerwono-skóry Indyanin nabywa szybkości i zręczności, które go czynią dzielnym myśliwcem; osięga to przez ściganie zwierząt, a rozmaite jego zajęcia nadają mu lepszą równowagę sił cielesnych i pewniejsze ich opanowanie, aniżeli tego dokazać mógłby przez gimnastykę.

Z wprawą tropienia nieprzyjaciela i łupu łączy się bystrość oraz dokładność spostrzegawcza, która przewyższa wszelkie sztuczne pod tym względem wykształcenie. Wszędzie wprawa pełnienia obowiązków życia nabywa się przez samo wykonywanie tychże obowiązków. Otóż i wychowanie, które miało wartość, kiedy szło o wytknięcie kierunku, będzie miało dobre zastosowanie także, gdy idzie o przygotowanie do tegoż kierunku.

Niektórzy twierdzą, że języki są znakomitym środkiem wykształcenia pamięci, ale oczekujemy od nauczycieli języków faktów nie przypadkowych i dowolnie a bezładnie wybieranych, lecz koniecznych i rzeczywistych, jak to ma miejsce w innych umiejętnościach. Wprawdzie istnieje pod tym względem dążność ku lepszemu, jednak nie przeszła ona do szkoły jeszcze i nie bliskim jest czas, w którym przyczynowy związek faktów oraz właściwe prawa będą należycie przedstawione i pojmowane w językach.

Umiejętności, które tu zalecamy głównie, wpływają na wykształcenie sądu o rzeczach, czego brak, jak powiedział Faraday, jest najpospolitszym a powszechnym błędem intelektualnym: „społeczeństwo nie tylko jest nieświadome co się tyczy wykształcenia sądu o rzeczach, ale ono nawet nie wié, że jest nieświadome.“ Najrozleglejsza znajomość znaczenia wyrazów nie daje możności dobrego wnioskowania o przyczynach i skutkach. Przywyknienie do wyprowadzania wniosków z pewnych danych i sprawdzania tychże wniosków za pomocą obserwacyi oraz eksperymentów może jedynie wykształcić zdolność wydawania sądów.

Co więcéj, umiejętności, których już tyle zalet wykazaliśmy, wpływają bardzo i na wykształcenie moralne. Nauka języków pro-

wadzi do wiary w powagi i zabija poniekąd samodzielność człowieka.

Takie a takie są znaczenia wyrazów, mówi nauczyciel lub w zastępstwie jego słownik. Takie a takie jest w tym razie prawidło, mówi znowu nauczyciel lub gramatyka. Takie twierdzenia musi uczeń bezwarunkowo przyjąć, a umysł jego zostaje ciągle pod wpływem poddaństwa dogmatyzmowi, czego koniecznèm następstwem jest skłonność przyjmowania z dobrą wiarą każdego twierdzenia. Prawdy czerpane z umiejętności może każdy sprawdzić, a w wielu razach wychowaniec zmuszonym jest własne wnioski z faktów wyprowadzić i nikt od niego nie wymaga, aby się na coś zgodził, czego za słuszne nie uznaje. Tym sposobem wychowuje się i wzmacnia wiara we własne siły oraz owa niezależność, będąca najcenniejszym przymiotem charakteru. A nie jestto jedyny moralny nabytek z umiejętnego wykształcenia; na téj saméj drodze albowiem kształci się wytrwałość i sumienność. Profesor Tyndall powiada: „umiejętność wymaga cierpliwéj pilności oraz skromnego a sumiennego zajęcia się tém, co natura przedstawia. Pierwszym warunkiem powodzenia jest uczciwy sposób czerpania faktów i dobra wola zniszczenia panujących przesądów, skoro te wystąpią w sprzeczności z prawdą. Częstokroć zapala się w cichym badaczu umiejętności iskra szlachetnego zaparcia się siebie, któréj blasku świat nigdy nie zobaczy.“

Z naszéj strony zrobimy jeszcze dodatek, który, o ile nam się zdaje, wywoła wielkie zdziwienie: mamy przekonanie, że umiejętność wpływa dobroczynnie na religijne wykształcenie człowieka. Rzecz prosta, iż religijności nie pojmujemy tu w zwykłém i ograniczoném tego słowa znaczeniu, ale w znaczeniu najwyższém i najobszerniejszém. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż umiejętność walczy z zabobonem, który często pod płaszczykiem religii przesuwa się w świecie; ale nie walczy ona nigdy z prawdziwą religią, którą zabobonne wyobrażenia zakaziły. Huxley mówi: „prawdziwa umiejętność i prawdziwa religia są to bliźnie siostry, rozdział ich między sobą sprowadza śmierć dla obu. Prawda powierzyła się raczéj cierpliwości, miłości, uczciwości i zaparciu samego siebie, aniżeli bystrości umysłowéj myśliciela i badacza.“

Nazywają umiejętność niereligijną tacy tylko, którzy mają wstręt do nauki. Dlaczegóżby miał być niereligijnym ten, kto zna cuda stworzenia, a religijnym drugi, który o nich nie ma najmniejszego wyobrażenia?

Nie jestto jeszcze jedyny wzgląd, ażeby umiejętność nazywać religijną istotnie. Ona jest religijną, o ile obudza szacunek i nie-

ograniczoną ufność względem zgodnie przejawiającéj się we wszystkich rzeczach prawidłowości. Za pomocą licznych doświadczeń badacz nabywa niewzruszonéj wiary w niezmienności zjawisk, w konieczność związku przyczyny ze skutkiem, w konieczność dobrych i złych skutków. Zamiast tradycyjnego wierzenia w nagrody, które pospólstwo mimo swego nieposłuszeństwa osiągnąć ma nadzieję, podobnie jak uniknąć kar—badacz jasno widzi, że zarówno nagrody jak kary są objęte w ustalonym porządku rzeczy. On widzi, iż prawa, którym podlegamy, są zarówno nieubłagane jak i dobroczynne; pojmuje, iż w zastosowaniu się do nich znajdujemy urzeczywistnienie doskonałości i osiągnięcie najwyższego szczęścia. W ten sposób uznanie wieczystéj prawidłowości rzeczy i niemożności działania przeciw niéj stanowią wewnętrzną religijność męża nauki.

Ale jest jeszcze jedna strona religijna w umiejętności, mianowicie, że ona sama jedna tylko może nam dać prawdziwe pojęcia o sobie samych i o naszym stosunku do tajemnicy bytu. Albowiem gdy nam jednocześnie ukazuje, co może być poznaném, przedstawia z drugiéj strony granice, po za które wyjść nie ma możności. Bynajmniéj nie dogmatycznie uczy nas ona niemożliwości pojęcia ostatecznéj przyczyny rzeczy, ale dozwala nam tę niemożliwość wyraźnie poznać, wiodąc za rękę w każdym kierunku aż do tych właśnie granic, których już przekroczyć nie można. Ona to, jak nic na świecie innego, daje nam widzieć ograniczoność ludzkiego poznania. Pełna dumy wobec tradycyi i powag ludzkich, jest pokorną wobec nieprzeniknionych zasłon, otaczających absolutną prawdę. A jestto istotna duma i istotna pokora!

Z tego wszystkiego można się przekonać, iż zarówno dla kierunku czynności, jakotéż dla ćwiczenia władz umysłowych człowieka, umiejętność ma największą wartość. Wszędzie przebija się to, że nauka: co rzeczy znaczą, zbawienniejszą i płodniejszą jest, aniżeli nauka: co znaczą wyrazy. Tak więc w umysłowém, moralném oraz religijném wychowaniu badanie otaczających nas zjawisk należy przełożyć nad naukę gramatyki i słowników.

*(Dokończenie nastąpi).*

---

# GOETHE.

## ZARYS BIOGRAFICZNO-LITERACKI.

Goethe. Vorlesungen gehalten an der Kgl. Universität zu Berlin von Hermann Grimm. Berlin 1877. 2 tomy.
Goethe und Schiller. Von Hermann Hettner. Dritte verbesserte Auflage. Braunschweig, 1876. 2 tomy.

Powyższe dwa dzieła streszczają wyniki najnowszych badań nad życiem i utworami jednéj z największych potęg świata poetyckiego. Różnią się one od siebie zarówno stanowiskiem autorów, jak i sposobem traktowania obranego przedmiotu. Hermann Grimm, niegdyś nowellista, zwolennik idealistycznych w estetyce zasad, nielekceważący jednak bynajmniéj rezultatów estetyki realistycznéj i posługujący się niemi bardzo chętnie, opowiada popularnie a uroczo, starając się w życiu Goethego i w ogólnéj atmosferze duchowéj zarówno europejskiéj, jak specyalnie niemieckiéj, odnaleść pierwotny materyał jego kreacyj poetycznych; dlatego też daje przewagę biografii nad krytyką. Hermann Hettner, sławny autor dziejów literatury XVIII stulecia, umysł bardziéj realistyczny, w obrazie swoim, który stanowi jedynie odbitkę z owych dziejów, występuje bardziéj w charakterze krytyka niż biografa, zastanawia się więcéj nad dziełami niż nad sposobem ich powstania; a to z tego głównie powodu, że nakreśliwszy w poprzednich tomach historyą rozwoju myśli i twórczości europejskiéj, miał już tło gotowe do malowania na niém losów poezyi niemieckiéj.

W sprawozdaniu mojém, chcąc je o ile możności najmniéj suchem uczynić, trzymałem się głównie pracy Grimma, tak że najczęściéj własnemi jego słowami przemawiam. Gdzieniegdzie tylko uwa-

żałem za potrzebne dopełnić luki w opowiadaniu Grimma a z sądami jego o utworach Goethego zestawić sądy innych. Hettner, Kuno, Fischer, Lewes, tudzież pamiętniki samego poety w dopełnianiu tém i zestawianiu byli mi pomocą. Pierwszy okrés życia swego, t. j. tak zwane *czasy frankfurckie* Goethe opisał bardzo szczegółowo i bardzo zajmująco w „Dichtung und Wahrheit" (*Poezya* i Prawda) (1), nie rozszerzałem się więc nad nim zbytecznie, te przedewszystkiém z dzieła Grimma uwzględniając ustępy, w których on prostuje pomyłki pamięci i naprawia psoty fantazyi poety. Radziłbym więc czytelnikom, ażeby dla wypełnienia i ożywienia obrazu, który im przedstawiam, zwrócili się do świetnego pod każdym względem utworu Goethego.

Zrobiwszy to ogólne wyznanie, nie będę potrzebował cytować w dalszym ciągu słów Grimma i wtedy tylko wyraźnie zaznaczę myśli jego, kiedy albo zanadto indywidualnemi mnie się wydadzą, albo też wyrażać będą sąd, którego sprawdzić nie mogłem.

## CZĘŚĆ PIERWSZA.

### 1749—1775.

### I.

Położenie Niemiec około 1750 r. Owczesne mieszczaństwo.—Lata dziecięce Goethego w domu rodzinnym.—Uniwersytet Lipski.—Gottsched.—Gellert.—Francuszczyzna.—Powrót do domu.—Panna von Klettenberg.

Miasta niemieckie w połowie XVIII stulecia nie były już wcale tém, czém za czasów średniowiecznéj świetności. Reformacya rozpoczęła a wojna trzydziestoletnia dokończyła dziejów ich upadku. Po zawarciu pokoju Westfalskiego, spostrzeżono tylko, że się wszystko ku starości pochyliło, ale nic więcéj. Księstwa i miasta, jednakowo zmęczone, jednakowo wyczerpane, istniały wprawdzie jeszcze obok siebie. Powoli, bardzo powoli wznosiła się potęga książąt a zniżała się potęga miast: potém nastała w Niemczech cisza. Zdawało się, że żadne wypadki w świecie nie będą w stanie przyśpie-

(1) Tak nazwał pamiętniki swoje sam Goethe. Sekretarz jego Riemer przestawił wyrazy i odtąd w świecie literackim znaną jest „Wahrheit und Dichtung" (*Prawda* i poezya). Dopiéro najnowsze i najlepsze wydanie tego dzieła przez Loeper'a nosi tytuł pierwotny, najlepiéj myśl poety wyrażający. (Grimm, I, 25).

szyć rozwoju narodowego. Zamiast istotnéj wielkości, był tylko jéj pozór; zamiast rzeczywistości bytu politycznego — jego udanie. Miasta, otoczone murami, najeżone wieżami, zaparte bramami, wierzyły jeszcze w swą wolność i nietykalność. Ich obywatele występowali z całą tradycyjną pompą aparatu państwowego, otaczając się blaskiem starożytnéj, odwiecznéj wspaniałości. W najwyszukańszych formach starano się codziennie zadosyćuczynić olbrzymim wymaganiom wzajemnego szacunku i poważania. Zaprowadzić zmianę w tych formach równałoby się zdradzie. Ale wystawić sobie tych poważnych obywateli jako rzeczywistych wojowników, w pełnéj zbroi za mury swoje walczących, albo idących na wojnę, nawet we śnie byłoby niepodobieństwem. Dobrze upieczeni we własnym tłuszczu, jak wspaniałe wyroby piekarskie, posypane cukrem i natkane rodzynkami, panowie ci uważali się za dostatecznie ubezpieczonych, jeżeli umieli sobie poradzić w zawikłanych stosunkach prawnych, które stanowiły jedyną podstawę ich istnienia. Urzędy nie miały inicyatywy a mieszkańcy poczucia, że coś zmienićby można. Myśl politycznego zjednoczenia Niemiec, jakiegoś ruchu spólnego, leżała po za granicami ich pojętności. Ani reprezentacyi interesów, ani uprawnionych rozpraw, ani stronnictw w dzisiejszém znaczeniu, ani nawet publicznych, ogólnych życzeń nie było. Każde miasto żyło dla siebie, każdy dom dla siebie, każdy mieszkaniec dla siebie.

Jedynym, niezależnym wówczas pierwiastkiem życia była literatura. Niemcy nie posiadały instytucyi politycznéj, w któréjby mógł się rozwinąć swobodny i energiczny charakter męża, ale posiadały „rzeczpospolitą uczonych.“ Uczoność tylko i poezya dawały sposobność zetknięcia się z ludem w ogólności; one to jedynie dozwalały okazywać zapał publicznie i wywnętrzać się z nim wobec spółczującego literackiego kółka, które naówczas nie było tak nieokreślone i bezkształtne jak dzisiaj; ale, zostając w ścisłym związku osobistym z mężami, którzy już zdobyli zaufanie publiczne, z pewną karnością entuzyazmowało się nimi, popiérało ich i nawzajem od nich w zależności zostawało.

Ojciec Goethego był radcą cesarskim. Wyrobił on sobie tę godność, ażeby przez nią zastąpić blask, na którym mu wobec mieszczańskiéj znakomitości starych frankfurckich patrycyuszów zbywało; rodzina jego bowiem nie należała do najznakomitszych. Ponieważ sam pozostawał zdala od urzędów miejskich, podczas gdy krewni jego żony byli ławnikami i sołtysami; synowi więc miało przypaść w udziale to, czego ojciec nie osiągnął. Inne dzieci wcześnie pomarły: Wolfgang tedy (urodzony 28 Sierpnia r. 1749) i siostra jego Kornelia stanowili jedyną troskę wychowawczą, która ojca oży-

wiała jeszcze. Wzrastali oni wśród takiéj czujności, jakiéj dzieci dzisiejsze rzadko kiedy doznają. Młodziutki Goethe ulegał tak natężonemu wychowaniu, żeby ono dla dzisiejszych postrachem było; nie mówi się tu o surowości bynajmniéj, ale o nieustannném pilnowaniu. Żadna władza państwowa nie mogła sobie wtedy rościć pretensyi do nakazywania, jak miano z dziećmi postępować, przynajmniéj w rzeczach głównych, tak żeby pewna ilość świéżego powietrza wprowadzona była do każdego pokoju dziecinnego z natchnienia państwa. Goethe opisuje w „Dichtung und Wahrheit“ wśród jakich dziwnie krzyżujących się wpływów wzrastał duchowo. Na ciepłém łonie rodziny nie uczuwał on najmniejszego powiewu szorstkiéj rzeczywistości, jaką np. była ta, wśród któréj Schiller dobijał się sławy. W dzieciństwie Goethego nie ma ani śladu niedostatku Lessinga albo rozpaczliwéj nędzy Winckelmanna, którzy wyjątkowo tylko doznawali ciepła łagodnych słonecznych promieni, jakikolwiek zresztą byłby stan nieba. Goethe miał nadmiar dostatków tego świata. Ale z tym nadmiarem łączył się brak swobody osobistéj, na który niepodobna było zaradzić, gdyż on jak subtelny eter całe istnienie Goethego otaczał. Goethe, pobierający wiele nauk wspólnie z siostrą, przygotowywał się do obcowania z kobiétami raczéj niż z mężczyznami. Wśród wszechpotężnego miejskiego plotkarstwa, zastępującego wówczas dzienniki i życie publiczne, wcześnie się uczy jak wytrawny dyplomata uwijać między domami, z któremi miał stosunki z powodu związków krwi. Wkrada się do serca wielu oryginałów, żyjących w dziwnie zamkniętych kółkach, których niczyja ręka rozerwaćby się nie poważyła. Przetrząsa zaułki miasta, zapoznaje się coraz dokładniéj z całym organizmem, którego częścią sam siebie uznać musi; rzecz oczywista, iż z téj znajomości wypływa powoli wniosek, że i jego losem będzie zostać, wcześniéj lub późniéj, jedną ze sprężynek owego dziwacznego mechanizmu. Bo gdzież indziéj mogła się przyszłość jego rozwinąć, jeżeli nie we Frankfurcie? W Niemczech nie było ani jednego punktu, do któregoby mógł młody talent przylgnąć z tajemniczą nieprzepartą siłą. Nie było tu ani Paryża, ku któremu zwracali się Corneille, Racine, Molière, skądkolwiek przychodzili; nie było Londynu, do którego zdążał Szekspir ze Stratfordu; nie było Berlina, przyciągającego dzisiaj młode niemieckie zdolności. Któreż miasto mogło naówczas przywabić z Frankfurtu na czas dłuższy bogatego mieszczańskiego syna? Wiedeń leżał daleko; a prócz tego była to katolicka, na pół włoska, na pół hiszpańska stolica. Berlin był biédny i wydawał się wtedy daléj od bogatych środkowych Niemiec położonym, aniżeli dzisiaj Petersburg.....

Tak więc Goethe w szesnastym roku życia nie miał nic lepszego do wyboru nad wyjazd do Lipska, ażeby tu odbyć studya prawne i plan życia na całą przyszłość ustalić: zostanie doktorem, powróci do domu, obejmie adwokaturę, ożeni się z bogatą patrycyuszką miasta Frankfurtu, wejdzie powoli w skład dostojników miejskich, potém dostanie dom swego ojca i prawdopodobnie dojdzie do godności.... burmistrza....

Jako student lipskiego uniwersytetu (1765—1768) Goethe płynął tylko daléj wąskiém korytem rozpoczętego we Frankfurcie życia. Wprawdzie Elba i Pleissa płynęły po przez inny kraj niż były te okolice, którędy Men i Ren fale swoje toczyły: wszystko w Lipsku niby inném było, a przecięż całkowicie podobném! Nawet w czcigodnym starym uniwersytecie nie znajdowało się nic żywotnego prócz gnuśnéj wegetacyi, oparkanionéj ochronnemi deskami uszanowania... Ogólny ruch duchowy, który z Francyi wyszedłszy, pierwsze lekkie wstrząśnienie w Europie sprawił, nie mógł bezwątpienia i Lipska ominąć. Lessing i Herder wtedy właśnie wydawali swe prace i zwracali na siebie w Niemczech uwagę. Głównemi atoli osobistościami pozostali w Lipsku: Gellert i Gottsched jako dwie wyrocznie, których postanowieniom student, chcący się poświęcić literaturze, poddać się musiał. Gottsched, to pedantyczny, bezmyślny przedstawiciel starego francuskiego wykształcenia, wybornie przedstawiony później przez Goethego w całéj swojéj bezczelnéj wielkości, a Gellert, stary i nieruchomy, to człowiek pełen poloru, śledzący bacznie wszelką nowość, ale jéj nierozumiejący nawet wtedy, kiedy ją naśladował. Gellert pisał swoje patryarchalne sztuki w nowéj formie *płaczliwéj komedyi* (la comédie larmoyante, stworzona przez Diderota), miał mowę na jéj pochwałę, a nawet w romansie swoim p. n. „Hrabina szwedzka“ utworzył coś tak szalonego, że może spółzawodniczyć z najnowszemi sensacyjnemi romansami:—a jednak wszystko u niego jest przestarzałe. W jego charakterze była nieznośna mięszanina dobrotliwości i przyjacielskości z umysłem poddańczym i suchym; brakowało mu zupełnie swobodnego polotu myśli. Goethe uwielbiał Gellerta; ale się z nim nigdy nie zbliżył. Gniewało go to, że Gellert w swoich odczytach o literaturze zupełnie nie wspominał o nowszych pisarzach, ku którym się młodzież wtedy zwracała. Zawdzięczał mu natomiast zwrócenie uwagi na polepszenie własnego pisma, czego od słuchaczów swoich wymagał Gellert, dowodząc, że w staranności takiéj kryje się wyższa moralność. Goethe chętnie się takim napomnieniom poddawał. Pomimo bowiem namiętnego „używania życia“ zawsze w nim dostrzedz można było pilne baczenie na uporządkowanie życia wewnętrznego. Najstarszy jego list, jaki do-

tychczas odkryto, z r. 1764, zawiera prośbę o przyjęcie do jednego ze stowarzyszeń, które się natenczas w Niemczech zawiązywać zaczęły, a których celem była „cnota". Wyraz ten, który dziś, nic nie straciwszy ze swéj szlachetności, z powodu przecięż pewnéj ogólnikowości, graniczący niemal z brakiem treści, coraz rzadziéj zaczyna się używać; posiadał w owe czasy znaczenie ogromne, w treść niezmiernie bogate i oznaczał najwyższe duchowe dobro, jakie się ukształconemu człowiekowi możliwém do osiągnięcia wydawało.

W Lipsku panowała wzmocniona wprawdzie odblaskiem drezdeńskiego dworu, lecz zarazem prawdziwa rodzinna specyalność— lipska „galanterya". Studenci nie mogli tu gburowato występować jak np. „renomiści" w Jenie i Halli. Goethe zastosował się jak najlepiéj do reguł tego delikatniejszego, ukształceńszego pożycia. Szukał domów, do czego był przywykł, w których się przyjemnie i swobodnie czas przepędzało; zawiązywał kobiéce znajomości i stosunki miłosne (1). W tém, co tworzył, hołdował panującemu smakowi i wrócił do domu niewiele innym, jak był z niego wyjechał.

Dramata Szekspira wzbudzały podziw Goethego już w Lipsku, ale wpływu na jego własne prace ówczesne nie wywarły wcale. Nazywa on wprawdzie już wtedy Wielanda i Szekspira swoimi mistrzami w poezyi; w rzeczywistości jednak pisze jako nieodrodny uczeń Gottscheda i Gellerta. Rozpoczyna przekład „kłamcy" Kornela. Pisze aleksandrynami swoich „Spółwinnych" (die Mitschuldigen). Gdyby ta sztuka, dla któréj Goethe dziwnym sposobem przez cały ciąg życia zachował pewną słabość i z którą chętnie się popisywał, nie pochodziła od niego; dzisiaj z trudnością możnaby kogokolwiek skłonić do jéj odczytania...

W lirycznym rodzaju napisał szereg piosenek, które jako podkład pod kompozycye muzyczne były pierwszemi drukowanemi utworami Goethego. Gdyby każdéj z nich odnaleziono francuski oryginał—powiada Grimm, toby mię to wcale nie dziwiło. W swoim czasie zaledwie na nie zwrócono uwagę; nawet bliżsi przyjaciele poety warunkowo tylko je cenili; o ile zaś weszły do ogólnego zbioru pieśni Goethego, uległy wielkiéj przeróbce. W drobnostkach tych, „galanteryą" po większéj części przesiąkniętych, przebija się po raz pierwszy zachwycający talent mistrza, który w kilku prostych wyra-

(1) O tych stosunkach, jak nie mniéj o pierwszéj miłości (o Gretchen) dowiedzieć się można szczegółowo w „Dichtung und Wahrheit" a także w polskim przekładzie Życiorysu Goethego przez Lewesa (1860, str. 15—28).

zach albo zdaniach uczucie jakieś zlekka zaznacza; wyczerpuje a równocześnie jako niewyczerpane przedstawia.

Wielce zastanawia zależność Goethego od francuskiego smaku w zewnętrznéj formie ówczesnych jego listów. Niektóre są poprostu w języku francuskim ułożone, przyczém się nawet wiersze francuskie jego wyrobu napotykają; wszystkie zaś zarówno w dyspozycyi jak i w myślach są odbiciem panującego wówczas żartobliwego tonu, który tak był potężnym, że nawet Voltaire i Fryderyk II, mówiąc o rzeczach najpoważniejszych, nie potrafili się wznieść po nad tę manierę, ponieważ innéj nie znali. Goethe pod tym względem nie utworzył nic szczególnego. Czytanie tych jego listów działa nader przygniatająco; owe tak miłe w „Dichtung und Wahrheit“ wyglądające postaci, lipskich dziewcząt i młodych kobiét, którym Goethe hołd składał, przedstawiają się w korespondencyi jako osóbki dziecinne, pospolite i nudne. Takiemi zapewne wydały się wkrótce i samemu Goethemu. W siedm lat po swoich studyach uniwersyteckich, przyjechawszy znowu do Lipska, patrzył już na tameczne stosunki niepospolicie wytrzeźwionemi oczyma.

Niektórzy niemieccy literaci, powodowani patryotyzmem powiatowym, chcieli nietylko obronić sławę lipskiéj twórczości Goethego, ale nawet podnieść ją do wyżyn doskonałości; tak że powstał rodzaj kultu, przeceniającego wartość ówczesnych poezyi mistrza. Nawet tak trzeźwy pisarz jak Herman Hertner, nie zasłaniając zresztą stron słabych, unosi się nad pięknością i popędem do prawdy w malowaniu uczuć i scen, jakie odnajduje w tych młodzieńczych płodach umysłu Goethego (1). Zapał ten, powiada Grimm, można porównać z ubóstwieniem pierwszego okresu Rafaelowskiéj działalności w Perugii i Florencyi. Atoli rozważmy: gdyby Goethe i Rafael przestali tworzyć przed odjazdem do Weimaru i Rzymu, to o ich pracach młodocianych, jak o nich samych wogóle, niewieleby już dzisiaj mówiono. Kto w początkowych dziełach wielkiego artysty chce się koniecznie dopatrzéć wspaniałéj treści późniejszych arcydzieł, ten sile lat dojrzałych, które same jedne skończoność wytworzyć mogą, odejmuje część sławy artysty. Młodociane utwory Goethego mogą się należycie ocenić tylko w związku z całą jego działalnością i muszą pozostać w cieniu, rzuconym przez prace z epoki jego dojrzałości.

Znajomości, któreby mogły mieć wpływ stanowczy na życie późniejsze, Goethe w Lipsku nie porobił. Filozofią uniwersytecką

(1) Goethe und Schiller. 1877, tom I, 116, 117.

lekceważył, bo mu się zdawało, że o takich rzeczach jak świat lub Bóg wiedział tyleż, co i sami nauczyciele. W rysunku, który studyował pod kierownictwem dyrektora akademii rysunkowéj Oesera, postąpił niewiele, gdyż profesor nawet co do twarzy i ciał podawał raczéj poglądy niż formy, raczéj giesta niż proporcye; a przedstawiając same pojęcia o postaciach, żądał od uczniów, żeby je oni w ciało przyoblekali.

W Lipsku przebył Goethe lat trzy, zżył się doskonale z miastem, a nawet wyjeżdżając na ferye jesienne r. 1768 do domu, zamierzał powrócić do „wesołego" grodu. Główną zdaje się przyczyną wyjazdu było to, że z powodu nieregularnego życia dostał groźnego krwotoku, którego następstwa nie chciały zniknąć natychmiastowo. Chory i pochmurny przywlókł się do rodzinnego gniazda, ażeby wzdychać za minionèm życiem studenckiém. Już 13 Lutego 1769 pisał do Fryderyki Oeser: „Jakżebym pragnął przepędzić kilka wieczorów u kochanego ojca Pani; miałbym mu tyle do powiedzenia! Mój obecny sposób życia poświęcony jest filozofii. Zamknięty, sam jeden; cyrkiel, papiér, pióro i atrament i dwie książki—oto cały mój rynsztunek. A jednak tą prostą drogą zachodzę w poznaniu prawdy tak daleko a nawet i daléj niż inni ze swoją umiejętnością biblioteczną. Wielki uczony rzadko bywa wielkim filozofem; kto z mozołem wiele przewertował książek, pogardza łatwą naiwną księgą natury, a przecięż to tylko jest prawdziwém, co jest naiwném (einfältig)."

Gdy się stan zdrowia trochę polepszył, zabrał się Goethe do studyów alchemicznych. Sprowadził sobie pismo *Wellinga*: Opus magokabbalisticum i największém jego staraniem było pilne zestawienie tych ciemnych wskazówek, któremi autor chciał wzajemnie rzecz zawikłaną wyjaśnić. Pomimo jednak takiéj baczności, pomimo zapisywania odnośnych miejsc na marginesach, książka pozostała dosyć ciemną i niezrozumiałą. Ponieważ Welling ze czcią wspominał poprzedników swoich, zwrócił się Goethe wraz z panną von Klettenberg do dzieł Teofrasta Paracelsa i Bazylego Valentina jak nie mniéj do von Helmonta, Starckeya i innych, których nauki i przepisy, mniéj lub więcéj na naturze i wyobraźni osnute, starali się zrozumieć i wykonać. W ten sposób nuda długich wieczorów zimowych, podczas których Goethe siedzieć musiał w pokoju, została zażegnana: on, jego matka i panna von Klettenberg znaleźli w owych tajemnicach większą zabawę, niżby ją sprawić mogło samo ich wytłómaczenie. Późniéj zajął się poeta, przykładem panny von Klettenberg zachęcony, doświadczeniami chemicznemi; zainteresował go wielce podręcznik chemii przez sławnego Boerhave'go napisany

i skłonił go do poznania innych utworów tego męża. Wielki też wpływ na umysł Goethego wywarła książka Arnolda, przedstawiająca dzieje kościoła i kacerstwa. Najwięcéj go bawiła ta okoliczność, że przy czytaniu tego dzieła nabiérał korzystniejszego pojęcia o niejednym kacerzu, który do owego czasu uważany był za szalonego lub bezbożnego...

Wśród takich i tym podobnych zajęć przepędził Goethe półtora przeszło roku w mieście rodzinném. Potrzeba jednak było dokończyć nauki prawne, z któremi w Lipsku żył niezbyt poprzyjacielsku. Miał to powetować w Strasburgu. Podróż do Paryża a może nawet do Włoch, gdzie natenczas ojciec jego bawił, miała zaokrąglić jego wykształcenie. Dnia 2 Kwietnia 1770 wybrał się do Strasburga. Miał już wtedy lat dwadzieścia z górą. Odtąd każde słowo pióra Goethego staje się pomnikiem historycznéj wartości.

## II.

Towarzystwo stołowe w Strasburgu.—Aktuaryusz Salzmann.—Lerse, Wagner.—Jung.—Stilling mistyk.—Przyjazd Herdera.—Nowe idee XVIII stulecia.—Sielanka Sesenheimska. Otrzymanie stopnia licencyata.

W Strasburgu rozpoczynała się wtedy, robiąc zresztą dość szybkie postępy, przemiana stosunków niemieckich na francuskie, przemiana, którą następnie przyśpieszyła pierwsza rewolucya. W staréj monarchii francuskiéj prowincye żyły właściwém sobie życiem. To też żołnierze alzaccy zwali się *les troupes allemandes de Sa Majesté*, a Alzatczycy—*les sujets allemands du Roi de France*. Przepisy mody, niektóre zwyczaje, język francuski przenikały już wówczas do klas zamożnych, jak to się zresztą praktykowało i w krajach, niezostających pod panowaniem Ludwików. Uniwersytet strasburski tém się różnił od niemieckich wedle zeznania Goethego, że w nim patrzano przedewszystkiém na *praktykę*, załatwiając się z teoretycznemi poglądami jak najszybciéj i w sposób jaknajbardziéj formalistyczny.

Początkowe miesiące przepędził Goethe w Strasburgu podług lipskiego trybu. Bogaty, miły, rozmowny umiał się podobać. Zjednał sobie przedewszystkiém aktuaryusza przy zakładzie dla siérot *Salzmanna*, a ten wprowadził go do strasburskich towarzystw, w których wesoło czas spędzał. Z kupnym harbajtlem (gdyż miał zbyt krótko przystrzyżone włosy), w trzewikach i pończochach, upudrowany przez dzień cały, z kapeluszem pod pachą również przez dzień cały, Goethe, naśladując Salzmanna, chodził po „wykrzywionych" ulicach Strasburga i bawił się w jego domach. Objady schodziły

mu również bardzo przyjemnie w towarzystwie z początku dziesięciu, późniéj dwudziestu spółstołowników, którym nadawał ton ów Salzmann, stary kawaler, znający doskonale miasto i wzbudzający powszechne zaufanie. Ubogim, ale niezmiernie chędogim, uczciwym i dzielnym spółtowarzyszem był Lerse, któremu Goethe wystawił pomnik w swoim „Götzu,“ chociaż nawet w najwcześniejszym zarysie tego utworu z wysmukłego, błękitnookiego teologa zrobił małego giermka o czarnych oczach. Być może, że Lerse sam reklamował, gdyż Goethe w drugim zarysie „Götza“ zamiast „małym“ nazwał go „słusznym,“ pozostawiwszy zresztą czarne oczy. Był tam także Leopold Wagner, który według mniemania Goethego dokonał na nim złodziejstwa literackiego, spożytkowawszy myśl Fausta w dramacie: „Dzieciobójczyni.“ Jestto utwór, jak powiada Grimm, zawierający namiętne, nadzwyczaj żywo pisane sceny, ale tak mało do Fausta podobny, że dzisiaj gdyby Goethe nie był wyraźnie zaznaczył plagiatu, trudnoby było wpaść na taki domysł. Sądzono, że Goethe sam chciał się zemścić na Wagnerze, nazywając Wagnerem faustowego famulusa, przedstawiciela ograniczonéj pedantycznéj uczoności; aleź Wagnera jako towarzysza Fausta znajdujemy już w staréj sztuce jasełkowéj, z którą się Goethe w dzieciństwie zapoznał.

Z całego towarzystwa najznakomitszym duchowo był *Jung*, zwany zazwyczaj Jung-Stillingiem. Syn chłopa, potém krawczyk i guwerner został w końcu profesorem i sławnym okulistą. Żył on całkowicie w myślach i był jednym z głównych przedstawicieli szeroko rozprzestrzenionego pod koniec XVIII stulecia pietyzmu, którego zwolennicy sądzili, że zostają w bezpośrednim stosunku z potęgami, rządzącemi światem. Goethe z istotami tego rodzaju od dzieciństwa żył blisko: panna von Klettenberg, która wywierała tak wielki wpływ na rozwój jego młodocianego umysłu i któréj pamięć na całe życie drogą mu pozostała, była najczystszą i najszlachetniejszą przedstawicielką tego kierunku chrześcijaństwa, który tak zniszczony został przez rewolucyą francuską, że pozostałe resztki nie mogą dać żadnego pojęcia o dawniejszém jego znaczeniu Możnaby z nim porównać obcowanie z duchami spirytystów angielskich i amerykańskich, gdyby nie ta ogromna różnica, że zgodnie z całym nastrojem poprzedniego stulecia, zamiast prozaicznéj gburowatości, z jaką dziś takie rzeczy się odbywają, panowała wówczas pewna delikatność, charakteryzująca życie europejskie przed rewolucyą francuską. Goethe zyskał sobie zaufanie i przyjaźń Junga zaraz przy pierwszém widzeniu się. Jung nosił starą okrągłą perukę, którą z oszczędności chciał donosić do ostatniego włoska. Otóż raz przy wspólnym stole znajdował się jakiś aptekarz z Wiednia, który rzuciwszy okiem na

głowę Junga, zażartował sobie pytaniem: czy też Adam w raju nosił okrągłą perukę. Goethe załatwił to pytanie w sposób, który mu zjednał przyjaciela... a ten wiernym mu pozostał nazawsze. Goethe był wydawcą jego autobiografii, należącéj według Grimma do liczby tych książek, których czytania nikt nie pożałuje.

Tyle o życiu towarzyskiém. Co się nauk tyczy, to Goethe przy pomocy „repetenta,“ który mu swoich zeszytów udzielił, szybko przygotowywał się do zdania egzaminu; a tymczasem chodził przysłuchiwać się wykładom nauk przyrodzonych i medycyny; przypatrywał się wspaniałéj budowie katedry strasburskiéj, któréj styl gotycki umiał piérwszy należycie ocenić, zapoznawał się z rafaelowskiemi utworami, kopiowanemi na dywanach i pisał poemacik francuski z powodu okropnego wypadku w Paryżu przy uroczystości zaślubin Maryi Antoniny z Ludwikiem XVI.

Dopiéro późniéj, zapewne pod wpływem „towarzystwa niemieckiego,“ założonego przez Salzmanna, porzucił wiersze francuskie i uczuł, że literatura francuska już się przeżyła. Owoczesne polityczne przejawy w téj literaturze nie działały ani na niego, ani na jego spółtowarzyszów. Sławny *Contrat social* Roussa był dla nich dziełkiem obojętném, z którego nie umieli nic wyciągnąć. Czcili natomiast Szekspira, którego siła i oryginalność zdawała się przewyższać wszystko, czego dostarczała ówczesna literatura.

Potrzeba było wpływu niepospolitego człowieka, ażeby otworzyć Goethemu oczy na znaczenie i doniosłość „nowych pojęć“ XVIII stulecia. Człowiekiem tym był Herder. Kiedy przybył do Strasburga (w jesieni 1770), ażeby znaleść lekarstwo na chorobę oczu, miał lat 27 i był już sławnym pisarzem. Goethe z pewną natarczywością pragnął się z nim zaznajomić, bo chciał znaleść mistrza, któremuby mógł się poddać. Herder przywykł był do objawów podobnego poddaństwa; w staraniach Goethego nie widział nic osobliwego i traktował go obojętnie. Czasami się nawet zdaje, że Herder poczuwszy siłę Goethego, przykładał starania może bezwiednie, żeby się on zanadto obok niego nie wyniósł. Ta obojętność jednak, podniecając przywiązanie Goethego, nie osłabiała bynajmniéj wpływu mistrza. Herder przemawiał z zapałem, a będąc duchownym, miał dar kaznodziei i przy każdéj sposobności usiłował myśli swoje do duszy innych przelać. Herder był poetą i teologiem: chciał przekonywać i opanowywać serca, ale ich nie ranić. W głębi jego duszy było spokojne zwierciadło, w którém dzieje ludzkości odbijały się jako dzieło sztuki. Najprzód pod wpływem głębokomyślnego *Hamanna*, potém własną rozwagą, wreszcie zapoznaniem się z pojęciami ówczesnych francuskich pisarzy, wyrobił on w sobie pogląd

na całość wszechświata i stał się takim propagatorem nowych idei, jakiemu równego w Niemczech wtedy nie było.

Na czele ruchu umysłowego w Europie stali natenczas Voltaire, Rousseau i Diderot. Znajdowali oni przystęp nawet tam, gdzieby się tego najmniéj spodziéwać można było. Słuchały ich masy, które w połowie XVIII wieku zaznaczyły nagle swą dojrzałość; słuchała ich nadto szlachta, urzędnicy i dwór królewski. Od lat kilkudziesięciu tak się przyzwyczajono w wyższych sferach do istniejącego porządku rzeczy, do zupełnego braku życia politycznego, do doskonałéj uległości mas, że ani przypuszczano możliwéj zmiany. To téż apostołowie ludzkości, urządzający państwa, w których „wolność“ była jakby we własnym domu a „filozofowie“ rządzili sami sobą apostołowie ci nie znajdowali oporu ze strony władzy, używającéj dóbr tego świata z niepojętą lekkomyślnością i rozpustną ironią. Ci co podkopywali fundamenta staréj budowy byli pożądanemi gośćmi w jéj salonach. A tymczasem to, co Defoë w formie niewinnego romansu wystawił, stawało się myślą popularną. Jak Robinson, wyrzucony na wyspę bezludną, musiał wszystko niby drugi Adam na nowo rozpoczynać; tak zdawała się wielu nadchodzić chwila, w któréj każdy, uległszy rozbiciu, nowy sposób życia będzie musiał dla siebie wymyśléć. Voltaire napatrzywszy się na instytucye angielskie i wystudyowawszy filozofią angielską, za powrotem do ojczyzny z właściwym sobie popularyzatorskim talentem zaczął wygłaszać nowe polityczno-moralne poglądy, które się wielce podobały i pociągnęły za sobą wiele umysłów. Przygotował on grunt dla Roussa. Voltaire, przyjęty do towarzystwa arystokratycznego i lubiący w niém bawić, w pismach swych zwracał się przeważnie ku niemu. Rousseau przeciwnie przemawiał do każdego; każdy też czuł w nim równego sobie. Voltaire mógł Niemców tylko interesować; Rousseau poruszył ich do głębi. Idee Roussa wdarły się do pokrewnéj sobie duszy Herdera, kiedy ten jako biédny młodzieniec gdzieś daleko na wschodzie (w Rydze) starał się na wierzch wydostać. Wystąpił on przeciwko Roussowi, krytykował go; ale go nosił w duszy. Rousseau widział jednę tylko drogę wyjścia z pod tyranii uciskającéj ludy, oto każdy powinien był poznać, jakie prawa i obowiązki wypływają dla niego z tego faktu, że on jest częścią swego ludu. Każdy naród był w jego oczach jednostką odpowiedzialną za własne swe losy. Wielkie dzieje rozwoju ludzkości, które przy każdéj pracy Herdera jako idea zasadnicza występowały, nie mogłyby się w duszy jego wytworzyć bez pomocy Roussa. Myśl Roussa, że każda cywilizacya jest pogorszeniem doskonałego pierwotnie stanu tak dalece odpowiadała poczuciu ogólnemu, że ją przyjęto bez dowodu. O ile dzisiaj nauka

o stopniowém rozwijaniu się ludzkości ze stanu zwierzęcego łatwy przystęp do umysłów znajduje, nawet bez mozolnego przytaczania dowodów naukowych; o tyle wówczas nauka o pierwotnéj doskonałości rodu ludzkiego takąż wiarę obudzała. W pewnym stopniu nie przedstawiała ona nic nowego: teologia oddawna już opowiadała o raju utraconym; lecz Rousseau chciał pokazać, jak filozofia bez chrześciaństwa napowrót do tego raju ma ludzi doprowadzić. Herder z nauki téj wyciągnął przedewszystkiém wnioski odnoszące się do poezyi. Poeci winni byli powrócić do „czystéj“ natury. Natura znaczyła tu tyle co siła twórcza, słuchająca tylko głosu wewnętrznego. Po wzory należało się zwrócić ku owym poetom, którzy jak bohatérowie stali na czele swych narodów. Winckelmann wykazał już był, że sztuka grecka była kwieciem całego życia ludowego; Herder rozważa przedewszystkiém psalmy, utwory Homera, Pindara, Ossyana i Szekspira; a obok nich pieśni ludu jako kwiaty polne, które bez pomocy ręki ludzkiéj około tych olbrzymich dębów wyrosły. Podczas gdy wśród wyniosłych konarów słychać było ryk burzy, to na dole ponad trawami drżał cichy powiew tęsknych westchnień przyrody.... Wyniosłe konary, to wielkie imiona poetów; trawy—to lud bezimienny.

Goethe, jak wiémy, nie wiedział, co począć z pismami Roussa. Wielki człowiek potrzebuje nieraz proroków, którzyby światu myśli jego wytłómaczyli. Herder był takim prorokiem Roussa. Przez zastosowanie myśli jego do poezyi, znalazł właściwą drogę wprowadzenia do Niemiec towaru, który dotąd lekceważono. Goethe, który dotąd przeczuwał tylko nowy kierunek twórczości, dopiéro od czasu poznania się z Herderem rozpoczął istotny okrés poetycznego tworzenia.

Wszystkie te atoli wypadki i znajomości z ludźmi stanowią w „Dichtung und Wahrheit“ ramy tylko dla spotkania, które stanowiło punkt zwrotny w pobycie Goethego w Strasburgu. Gdyby Goethe został był wielkim filozofem, statystą, uczonym, to opowiadając w starości zdarzenia swego życia, możeby małą tylko wzmianką Fryderykę Brion zaszczycił. Ale Goethe jako poeta czuł, pisząc swe wspomnienia, że w rozkwicie pierwszéj wielkiéj miłości, któréj wonią dawno już zwietrzałą raz jeszcze miał się napawać, wyjawiły się największe chwile jego życia. Goethe wiedział zanadto dobrze, że ta miłość miała dla niego wartość większą, niż wszystkie inne wypadki. Względem Fryderyki najwięcéj zawinił i jéj najwięcéj zawdzięczał. To téż użył całéj swéj sztuki, ażeby postać dziewczęcia tego wystawić tak pięknie i tak czysto, jak tylko był w stanie. W opowiadaniu Goethego jest coś nieopisanie wzruszającego, jak

gdyby i jemu i Fryderyce młodość raz jeszcze wróciła i jak gdyby raz jeszcze stało się możliwém, żeby się nie rozłączyli. Postać jéj nie jest, jak się mówi, z natury odrysowana, a jednakże wydaje się najprawdziwszą w świecie. Najznakomitszym skutkiem każdéj sztuki jest to, że artysta utworom swoim nadaje pozór rzeczywistości, jak gdyby nie on, ale natura sama nad niemi pracowała. Im więcéj mu się to uda, tém doskonalszą będzie jego kwestya i tém silniéj działać będzie; gdy tymczasem ten, co tylko z trudem i mozołem kopiuje przedmioty przyrody, w najlepszym razie może utworzyć zastraszającego sobowtóra przyrody, który patrzéć będzie na nas z wyrazem niemoty i sztywności, gdyż mu mowy i ruchu nie nadano. Goethe, malując Fryderykę, umiał dokazać, że jéj postać wydaje nam się najwierniejszą kopią rzeczywistéj córki pastora z Sesenheimu. Możnaby na to przysiądz, że ona istotnie tak wyglądała, z tym wszakże dodatkiem, że skłonni jesteśmy wystawiać ją sobie jeszcze powabniejszą, niż ją Goethe mógł opisać. Zdaje się, jakby on za mało dla niéj zrobił. I to również jest skutkiem prawdziwie udatnych artystycznych postaci; przypatrujący się im sądzi, że je zna lepiéj, niż sam poeta. Poeta odgrywa tu rolę wybranego narzędzia, którém kierowała ręka jakiéjś wyższéj potęgi, ażeby powołać do bytu istotę, żyjącą życiem własném. Jak dzieci, występujące obok swych rodziców jako odrębne jednostki; tak postacie Julii np. Hamleta, Fausta mogą, zdaje się, rościć sobie prawo do pewnéj niezależności względem swych twórców, tak, że w końcu osoby obce mogą się stać dla nich bliższemi niż ci, co im życie dali.

Chcąc wyrozumiéć stosunek, jaki zachodzi pomiędzy Fryderyką, odmalowaną przez Goethego a Fryderyką rzeczywistości, przyjrzyjmy się artystycznym środkom, których użył poeta, przedstawiając zdarzenia Sesenheimskie.

Ażeby zaraz z początku obudzić w czytelniku przeczucie tragicznego zakończenia, podaje poeta jako wstęp opowieść o swojéj awanturze z córkami starego Francuza, u którego w Strasburgu lekcye tańca pobiérał. Jest to małe zaokrąglone w sobie opowiadanie, zakończone wzruszającą dramatyczną sceną. Treścią jego jest, że z dwu córek tancmistrza młodsza zainteresowała Goethego a starsza, Lucynda, pałała dla niego miłością, któréj on nawet nie podejrzéwał. Następuje wyznanie Lucyndy, poparte gorącym pocałunkiem i przekleństwem, żeby ta co pierwsza swemi usty go zetrze, marnie zginęła. Goethe opuszcza dom tancmistrza na wieki. Czytelnik zaś z pewną obawą oczekuje, na kogo spadnie to przekleństwo.

Pragnąc atoli uczucie to ukołysać, zanim się Fryderyka przed nami ukaże, i przygotowywać nas niejako do widoku plebanii sesen-

heimskiéj i jéj mieszkańców, opowiada Goethe o czytanym przez Herdera „Wikarym Wakefieldzkim.“ Romans ten, znany dzisiaj jako książka odwieczna, z któréj się wielu uczy angielskiego, podobnie jak francuskiego z „Pawła i Wirginii,“ albo włoskiego z „Promessi sposi;“ posiadała wówczas wdzięk nowości. Goethe opisując, jak ją Herder swoim młodym przyjaciołom odczytywał i jaką rozmowę przy tém prowadzono, ukazuje nam nową stronę jego charakteru. Herder umiał sprawić najżywsze wrażenie i równocześnie je zniszczyć; w duszy jego już w tak młodym wieku była mięszanina entuzyastycznéj siły i oziębiającéj a zniechęcającéj ironii; mięszanina, która z czasem coraz zgubniejszą dla niego się stawała. Wikary Wakefieldzki jest głową rodziny, która wraz z nim po przez różnorodne nieszczęścia przychodzi do najwyższego udręczenia, aż nakoniec, kiedy się już wszystkie charaktery wśród tych prób losowych wzmocniły i oczyściły, wraca powoli uśmiech na ich twarze i widzimy całą rodzinę w słonecznym blasku szczęścia tak, jakeśmy ją poraz pierwszy poznali.

Bez wiedzy naszéj przygotował nas tym sposobem poeta do odwiedzin w Sesenheimie. Zdaje się nam, jakobyśmy rozpoczynali nowy rozdział, niemający żadnego związku z poprzedniemi. Byłoto na wiosnę r. 1771. Herder ze Strasburga odjechał, Goethe powinien był zająć się na seryo swojém „prawem,“ gdyż w jesieni chciał zostać doktorem. Ale wspaniała okolica ma swoje prawa a wrodzony Goethemu pociąg do szczegółowego oglądania miejscowości, w których przebywał, prawom tym uszczerbku nie mógł zrobić. Piękna Alzacya, zamknięta między Renem a Wogezami, pociągała go ku sobie. Wśród jego znajomych był także rodowity Alzatczyk, który go namawia do odbycia wycieczki do Sesenheimu, gdzie krewny jego Brion był pastorem. Goethe miał zawsze skłonność do przebiérania się i występowania pod cudzém nazwiskiem. W Maju 1771 chciał wystąpić jako „jeździec łaciński;“ zarzucił więc na siebie ubogie ubranie, włosy przyprowadził do najprostszego nieładu i wyjechał ze swoim przyjacielem. Przejażdżkę opisuje Goethe z taką dokładnością, że czytelnik uważać się może za trzeciego, który obok nich kłusuje. Przedewszystkiém podług zwykłéj maniery Goethego: wyborna szosa. Wspaniała pogoda. Bliskość Renu. Kraj urodzajny: równina z wonnemi wzgórzami w dali. Nakoniec oba jeźdźcy okręcają z gościńca na powabną ścieżynę ku Sesenheimowi, zostawiają konie we wsi i udają się do plebanii.

Po dokładném opisaniu domu, jak ma zwyczaj Goethe, idzie opowiadanie jak ich przyjmuje pastor. Córki wyszły. Z jakiém wyrafinowaniem opisane pierwsze wystąpienie Fryderyki na widownią!

Tu się poznaje rozważnego pisarza a nawet dyrektora teatru.... Najprzód każe „wpadać“ starszéj siostrze i pytać o Fryderykę. Lekka niecierpliwość nas opanowuje a zarazem oczekiwanie, że we Fryderyce odnajdziemy coś, co z tém „wpadaniem“ przeciwieństwo stanowić będzie. Ale poeta jeszcze ją zatrzymuje. Po raz drugi starsza siostra „porywczo“ wchodzi do pokoju i pyta o Fryderykę. „Daj jéj pokój, powróci i sama,“ uspakaja ojciec. Fryderyka zapóźniła się na przechadzce. Teraz budzi się w nas obawa, czy jéj coś złego nie spotkało. Wreszcie ukazuje się. Więc téż, zaspakajając pragnienie czytelnika, daje poeta w kilku mistrzowskich, choć prostych rysach obraz pięknego dziewczęcia. Fryderykę wprowadza jako bohatérkę i osobę główną, chociaż dotychczas nic innego jeszcze nie zrobiła prócz tego, że kazała na siebie czekać.....

Ojciec, matka i córki starają się ugościć obu „niezamożnych“ studentów. Rozpoczyna się „wdzięczne świegotanie sióstr“ o całém sąsiedztwie. Następnie gra Fryderyka na rozstrojonym klawikordzie „jak grywają na prowincyi“... „Wyjdźmy — odezwała się — a wtedy usłyszycie Panowie moje pieśni alzackie i szwajcarskie.“ W téj chwili przychodzi Goethemu na myśl podobieństwo z rodziną Wikarego Wakefildzkiego: przez to czytelnik ostatecznie się zapoznaje z osobami. Jednocześnie atoli przeczuwamy, że tym spokojnym ludziom może zagrażać jakieś niebezpieczeństwo. Wieczorem obaj przyjaciele rozmawiają o wypadkach dnia: konsekwencye podobieństwa owego zaczynają niepokoić duszę Goethego. I w romansie na łono cnotliwéj rodziny wśliznął się Burchell, uwodziciel jednéj z córek wikarego. Poeta porównywa się z Burchellem. Nie było jeszcze wtedy ani cienia winy; ale samo porównanie wydaje mu się dostatecznėm, ażeby wywołać najgwałtowniejsze wyrzuty sumienia. Uczucie to nietrudno pojąć. Niewinność i prawość spokojnych mieszkańców plebanii stanowiły zbyt wyraziste przeciwieństwo ze sztuczkami Goethego, który pod zmyślonėm imieniem i w dziwacznėm przebraniu przybył w odwiedziny. To téż nazajutrz przejęty niewłaściwością swéj roli, siada na koń i odjeżdża. Chce wrócić do Strasburga. W miarę jednak jak wspomnienie szczegółów uwydatnia się w jego umyśle, jedzie powolniéj i nakoniec zawraca. Zatrzymuje się w Drusenheimie. Przed oberżą spotyka syna oberżysty w stroju świątecznym, mającego zanieść pani pastorowéj z Sesenheimu kołacz chrzestny. Goethe zamienia z nim ubiór, zamierzając nową maskaradę. Z kołaczem w ręku wstępuje w progi Sesenheimskiéj plebanii. Nikt nie zauważył podejścia. Fryderyka nawet bierze go za syna oberżysty i pyta poufale: „Jerzy, co tu ro-

bisz? Wtedy dopiéro poznaje omyłkę: „jéj *bladawe* policzki zabarwiły się najpiękniejszą różowością“....

I tak dowiadujemy się powoli o dalszych zdarzeniach w Sesenheimie: jak Goethe oczarował rodzinę; jak z każdym po szczególe zawiązywał stosunki; jak niekiedy oddawał się aż do swawoli uczuciu szczęścia.... Poezye, które naówczas do Fryderyki pisał, dziś jeszcze wzruszają.

Herder pierwszy zwrócił jego uwagę na pieśni ludowe. Obecnie słyszy je śpiewane przez Fryderykę, zbiéra je z ust ludu i tworzy w duchu i tonie pieśni ludowéj. Fryderyka bez obawy odpowiadała uczuciu Goethego, miała dla niego zaufanie siostrzane. Obcowanie młodzieży płci obojéj było w owych czasach wielce swobodne. Jak dzisiaj przy dźwięku muzyki młodzieniec bierze dziewicę pod rękę, ażeby się z nią podług taktu poruszać: tak wtedy ogólna niemal w Europie czułostkowość pozwalała na zbliżenie się obu płci, dziś poczytywane za nieprzyzwoite. Chodzono razem, pisano do siebie, obgadywano mnóstwo rzeczy, o których dzisiaj młodzi ludzie zazwyczaj nie mówią. Nawet granic między stanem narzeczonych a nie narzeczonych nie zbyt ściśle przestrzegano. Im swobodniéj jednak wolno się było poruszać, tém staranniéj należało w szczegółowym wypadku rozróżnić, jak daleko się zachodziło. Otóż Goethe, którego Fryderyka, jéj rodzice i krewni wkrótce zaczęli uważać i traktować jako zdeklarowanego kochanka, zajął to stanowisko, nie porozumiawszy się ani z Fryderyką, ani témbardziéj z jéj rodzicami. Nie był więc zobowiązany i w każdéj chwili mógł odejść, jak przyszedł. Goethe tedy opowiada, jak wśród pełni swéj miłości dla Fryderyki zaczął uczuwać, iż wszystko spoczywało w jego fantazyi jedynie. Odkrycie to zrobił wprzód, nim się związał słowem. Wśród pewnéj uroczystości wiejskiéj sprzeczność owa dosięga najwyższego punktu. Goethe, niezdecydowany, czy ma uciec, czy zostać, skłania Fryderykę do wyznania, że go kocha: pierwszy pocałunek przyjęły i oddały te usta, na które Lucynda przekleństwo rzuciła. Goethe w téj chwili przypomina je sobie. We śnie ukazuje mu się Lucynda i powtarza przekleństwo, podczas gdy Fryderyka, stojąc naprzeciwko niéj, patrzy z milczącém przerażeniem, nie pojmując, co się dzieje. Opowiadanie wznosi się do wysokiéj dramatyczności; oczekujemy sceny najgwałtowniejszéj. Zamiast tego znowu sztuczka, ażeby wzbudzić wiarę, że to, co opowiada autor, nie jest wcale romansem, ale rzeczywistością. Rozwlekłym starym tonem rozpowiada poeta, jak życie z dziewczęciem i jéj rodzicami płynęło daléj. Goethe uchodził za narzeczonego Fryderyki i cieszył się rosnącém zaufaniem rodziny.

Przyjeżdża często do Sesenheimu, mieszka tam po całych tygodniach, albo pisuje do Fryderyki. Coraz spokojniéj jednak w jego sercu. W jednym z listów do Salzmanna przedstawia ówczesny stan swój w dziwny sposób: „W duszy mojéj,“ pisze, „niezupełnie wesoło; zanadto czuwam, abym nie miał czuć, że za cieniem gonię.“ Ostatni cios zadają miłości odwiedziny sióstr Brion w Strasburgu, gdzie je Goethe widział wśród towarzystwa, do którego nie były wychowane. Pomimo to Fryderyka, jak opowiada poeta, umiała właściwie postępować, starsza natomiast siostra czuła się w nieswoim *żywiole* i pragnęła wracać co prędzéj. Goethemu zrobiło się lżéj na sercu, kiedy je widział odjeżdżające; musiał wyznać przed sobą, że sen jego ulatnia się.

I teraz jednak nie ma żadnéj gwałtownéj sceny, co nadaje zakończeniu nadzwyczaj smutny odcień. Wszystko się rozwiewa cicho jak ton w oddali ginący; powoli, jak opadają z drzew liście w jesieni. Stara zażyłość utrzymuje się aż do końca. Ani jednego słowa wyrzutu, kiedy Goethe, mając opuścić Strasburg, po raz ostatni pożegnać się przybył; kiedy po raz ostatni już z konia podał dłoń Fryderyce, która miała łzy w oczach.... Późniéj dopiéro na swoje piśmienne pożegnanie, odbiéra od niéj list rozdzierający serce. Poeta pozwala nam przypuszczać, że list ten pozostawił bez odpowiedzi.

Postępowanie Goethego z Fryderyką rozmaicie było oceniane po wyjściu „Dichtung und Wahrheit,“ jedni usprawiedliwiali je, drudzy gwałtownie potępiali. Dzisiaj możemy na nie patrzéć jeżeli nie chłodniéj, to w każdym razie krytyczniéj. W znakomitych ludziach nie dopatrujemy samych cnót, wiémy bowiem, że oni bez wad być nie mogli. Powtóre opowiadanie Goethego w „Dichtung und Wahrheit“ o Sesenheimskiéj przygodzie jest sielanką, w któréj ogół tylko jest prawdą, a szczegóły—poetyczném zmyśleniem. Goethe według własnego zeznania zapisał w swojéj autobiografii to, *czego* w życiu doświadczył, ale nie to, *jak* go doświadczył. Z rodziną pastora Sesenheimskiego zapoznał się on inaczéj aniżeli opowiada; rodzina ta inną była jak on ją opisuje; a prawdopodobnie i rozstanie się z nią odmienny miało przebieg.

Dowiedzioną jest rzeczą, że pierwsze odwiedziny Goethego w Sesenheimie przypadają nie na wiosnę 1771, ale w Październiku r. 1770, kiedy Wikary Wakefieldzki, któremu tak ważną rolę daje poeta w opowiadaniu swojém, był mu zupełnie nieznany. Tym sposobem upadają podwaliny całego opowiadania. Co do dalszych wypadków sam Goethe powiada, że mu niezbyt dobrze odrysowują się w pamięci ostatnie dni jego stosunku z domem pastora i nie ręczy by-

najmniéj za prawdziwość pojedynczych rysów, dodając, że one miejsce mieć *mogły*. Wiémy zaś napewno, że w Sesenheimie znalazł on miłą, dobrą rodzinę, do któréj się przywiązał niby na wieki, w któréj obecnością swoją sprawił zamięszanie i którą opuścił tak, że sobie tego sam przez czas długi darować nie mógł. Z Fryderyką zostawał on w stosunkach, będąc już nawet w Wejmarze. Z Frankfurtu posyłał jéj pierwsze swe drukowane prace. W Wejmarze odebrał od niéj list. W 1779 widział się z nią: nie poszła za mąż. Z tego czasu posiadamy list Goethego do pani von Stein. „Dzień niezwykle piękny, okolica szczęśliwa; wszędzie zieloność, zaledwie tu i owdzie zżółkły liść buku albo dębu. Wierzby w swojéj srebrzystéj jeszcze piękności, łagodne przyjemne powietrze po przez kraj cały, winogrona z każdym krokiem i z dniem każdym lepsze. Przy każdym domu wieśniaczym winna latorośl aż pod dach pnie się, w każdém podwórzu wielka obrośnięta altana. Powietrze miękkie, ciepłe, wilgotnawe; w duszy czuje się dojrzałym i słodkim jak winogrono. Gdyby Bóg chciał, mieszkalibyśmy tu razem. Ktoś nie takby prędko w zimie zamarzał, a w lecie wysychał. Ren i świetne wzgórza w pobliżu; zmieniające się lasy, łąki i pola do ogrodów podobne, sprawiają miłe na człowieku wrażenie i dostarczają mi rodzaj przyjemności, któréj długo brak mi było.“

Tak pisał w południe 25 Września. Wieczorem udał się do Sesenheimu, o czém w trzy dni potém dał następne sprawozdanie:

„25 wieczorem pojechałem trochę w bok ku Sesenheimowi, gdy inni podróż swoję w prostym przedłużali kierunku; znalazłem tam całą rodzinę, jak ją przed ośmiu laty zostawiłem; zostałem poprzyjacielsku i dobrze przyjęty. Ponieważ jestem obecnie tak czysty i spokojny jak powietrze, więc mi tchnienie dobrych i spokojnych ludzi jest bardzo pożądane. Druga córka z téj rodziny kochała mię kiedyś, piękniéj niż na to zasługiwałem i więcéj od innych, którym ja wiele namiętności i wierności poświęciłem; musiałem ją opuścić w chwili, kiedy ją to życie niemal kosztowało; zlekka o tém napomknąwszy, ażeby mi powiedzieć, co jéj jeszcze pozostało po chorobie z owych czasów; postępowała jaknajżyczliwiéj z tak serdeczną przyjaźnią od pierwszéj chwili, kiedym niespodzianie stanął przed nią na progu i kiedyśmy się nosami zetknęli, co mi wcale miłém było. Dodać muszę, że najlżejszém nawet dotknięciem nie zapragnęła obudzić w méj duszy dawnego uczucia. Oprowadzała mię po altankach, gdzie siedzieć musiałem i tak dobrze było. Mieliśmy najpiękniejszą pełnią; wypytywałem się o wszystko. Sąsiad, który nam dawniéj pomagał do bawienia się w sztukę, został przywołany i zaświadczył, że jeszcze przed tygodniem zapytywano go o mnie; balwierz musiał

przyjść także; znalazłem stare pieśni, którem tu komponował, karetę, którą namalowałem, przypominaliśmy sobie niektóre figle z owych czasów i znalazłem wśród nich wspomnienie o mnie tak żywém, jak gdybym się zaledwie przed półrokiem rozstał z nimi. Starzy byli serdeczni; utrzymywano, żem odmłodniał. Zostałem na noc a nazajutrz o świcie odjechałem pożegnany przyjaznemi twarzami, tak że znowu z zadowoleniem myśléć mogę o tém ustroniu i żyć w pokoju z duchami tych przejednanych.“

Fryderyka więc przebaczyła Goethemu. A jednak poeta po latach tylu doznawał dręczących wyrzutów sumienia. Dlaczego? Młode ośmnastoletnie dziewczę było chore na piersi. Oddalenie się Goethego spowodowało groźną chorobę.... Sądzono, że Gretchen z Fausta przedstawia Fryderykę; ale właściwiéj jest Maryą Baumarchais z Clavigo wziąć pod uwagę. Wszystko to, co Goethe miał sobie do zarzucenia z powodu Fryderyki, odnajdujemy w charakterze Claviga, podczas gdy bohatérska łagodność Maryi w kruchym ziemskim objawie, tak pięknie odpowiada nawet temu, co pisze poeta o postępowaniu Fryderyki w roku 1779.

Fryderyka w „Dichtung und Wahrheit“ jak i cała Sesenheimska sielanka jest mięszaniną, powstałą ze słabych wspomnień i nadzwyczaj silnéj fantazyi poetyckiéj; jest zatém takim utworem sztuki, jak np. Lotta w Werterze. Fryderyka jednak rzeczywista nie była odrodną siostrą Fryderyki idealnéj....

Pośród wzruszeń miłosnych przygotowywał się Goethe do egzaminu. 6 Sierpnia 1771 roku otrzymał stopień *licencyata* nie zaś doktora, jak go odtąd zazwyczaj tytułowano. *Tezy*, których bronił, posiadamy; rozprawa atoli, dobrą łaciną napisana, nie doczekała się druku. Ojciec Goethego żądał „dzieła.“ Młody doktor powinien był wrócić z tomem poszanowanie nakazującym. Starzec pochwalił nawet temat i opracowanie; ale wydział uniwersytecki miał pewne wątpliwości. Praca Goethego traktowała o tém, że prawodawca obowiązany jest ustanowić pewien kult religijny, od któregoby nie wolno się było uchylać ani duchownym, ani świeckim. Z tego tematu, natchnionego przez Roussa i Herdera, widzimy, jak były naówczas rozpowszechnione idee, które w dwadzieścia lat potém tak szalone wydały we Francyi owoce. Rzeczpospolita francuska nie tylko burzyła, jak dzisiejsza komuna, lecz miała również pomysły budownicze. Znosząc religią katolicką, nie chciała przecięż pozostawić ludu bez żadnego kultu. Prawodawstwo zaprowadziło kult rozumu, któremu na ołtarzach publicznych zapalano ognie ofiarne. Rousseau w końcu swego *Contrat social* rzucił myśl o religii państwowéj a w końcu *Emila* nadał téj religii przyszłości poraz pierwszy

formy zewnętrzne. Na wyspach błogosławionych odnajduje się u niego cała oczyszczona, odrodzona ludzkość i w świątyniach greckich czci najwyższą Istotę. Wyraz *grecki* znaczył wtedy tyle co *czysto-ludzki*.

O ile Goethe w rozprawie swojéj rozwinął własne idee, a o ile poszedł za Roussem, nie wiémy. On sam zawiadamia nas, że ustanowienie wszystkich religij za skutek działalności prawodawczéj poczytywał a powstanie protestantyzmu jako ostatni tego dowód przytoczył. Że dziekan nie chciał, ażeby praca ta wyszła na świat jako uniwersytecka rozprawa, przyczyną to być miało, iż w niéj znajdowało się kilka wycieczek przeciwko głównym zasadom chrześcijańskim.

Otrzymanie stopnia odbyło się szczęśliwie. Towarzystwo, z którém Goethe obiad jadał, dostarczyło oponentów. Nastąpiła zwykła w takich razach biesiada (Schmaus) i Goethe wyjechał ze Strasburga.

## III.

Goethe jako adwokat.—Pobyt w Darmstadzie.—Panna Flacksland.—Scena niemiecka.—Götz.—Zachowanie się Herdera.

Powróciwszy do Frankfurtu, został Goethe adwokatem. Ponieważ bardzo pilnie urzędowemi czynnościami się zajmował, ojciec nie miał nic przeciw literackim zebraniom, które do domu jego wielu niepospolitych ludzi wprowadzały. Następstwa ówczesnego przewrotu umysłowego przedzierały się nawet do stosunków prawnych. Zamiast dotychczasowego pedantycznego ich wykładu i traktowania miały wejść w użycie czysto ludzkie zasady. Goethe powiada, że za wzór wziął sobie obrońców francuskich; zdaje się jednak, że ich o wiele przewyższył... Przy pierwszym procesie obrońca strony przeciwnéj tak się uniósł, że spór prawny przekształcił się w osobistą kłótnię, w któréj do obelg prawie przyszło. Obaj adwokaci dostali naganę od sądu; gwałtowne odpowiedzi Goethego wzbudziły w prokuratorze obcą mu zresztą porywczość. Poeta wygrał proces: ale w późniejszych sprawach mniéj się utożsamiał ze stronami, których bronił. Zajmował się on adwokaturą głównie dla dogodzenia życzeniom surowego i zrzędnego ojca, który lubił porządek, żądał praktyczności i rozumu w interesach majątkowych. Matka przeciwnie była umysłem gienialnym: umiała zrozumiéć swego syna i każdém jego powodzeniem literackiém niezmiernie się cieszyła. Plotek nie cierpiała; wszystko natomiast, co było wielkie, świat wstrząsające,

co mianowicie miało znaczenie literackie, chętny posłuch u niéj znajdowało.

Ważniejszą atoli od wpływów ojca i matki, Frankfurtu i praktyki prawnéj była znajomość z człowiekiem, którego w Mefistofelesie unieśmiertelnił, a którego znaczenie dla duchowego rozwoju poety da się jedynie porównać ze znaczeniem Herdera. Człowiekiem tym był Merck.

Herder zaprosił Goethego do Darmstadtu, gdzie mieszkała jego narzeczona Karolina Flachsland. Panna ta należała do wyższego towarzystwa, ocierającego się o dwór. Ledwie z romansów Jean Paula można wyrobić sobie pojęcie o charakterze tego towarzystwa. Przewaga życia duchowego, kołysanie się w krainie wyższych idei energia zwrócona na wewnątrz; a obok tego prostota i zaufanie wzajemne, jakich świat dzisiejszy przedstawić nie może: oto cechy najważniejsze. W kołach tych Goethe wkrótce zasmakował i tu poraz pierwszy wystąpił tylko jako poeta i nic więcéj. Tu spotkał Mercka, który był punktem środkowym towarzystwa darmstadzkiego. Towarzystwa takie wtedy dopiéro czują się doskonale zjednoczone, kiedy który ich członek, mający bezwzględne zaufanie, weźmie na siebie rolę nielitościwego krytyka. Taką rolę grał w Darmstadzie Merck, z wystającym nosem a tygrysim wzrokiem. W charakterze jego dziwna odbiła się sprzeczność: z natury dobry i uczciwy tak się rozgoryczył na świat, że czuł w sobie nieprzezwyciężoną skłonność do uchodzenia za franta i nicponia. Rozumny, spokojny w jednéj chwili, mógł w następnéj zrobić coś takiego, co oburzało, raniło lub nawet szkodziło. Umysł szeroki, rozwinięty, wykształcony, dawał sąd zdrowy i trafny, który zastosowany będąc do sarkazmu ciął dotkliwie. Był miłym i pożądanym gościem dla tych, dla których jego dowcip przestał być strasznym. W charakterze jego było coś, co Goethemu dawało wiele do myślenia i domagało się koniecznie jakichś wyjaśnień. Wywierał on wpływ ogromny nietylko na innych, ale na samego poetę; a jednak ten pisząc w starości swoje wspomnienia i przyznając mu wszystkie umysłowe zalety, przymiotu „szlachetności“ mu odmawia. Szlachetność zaś według Goethego ma *pospolitość* za przeciwieństwo i to właśnie w Mefistofelesie jest istotnie szatańskim rysem, że pomimo braku twórczości z własnéj inicyatywy, tak jest niezbędny dla Fausta: ażeby być czynnym albo wogóle objawić osobistość swoję, musi Mefistofeles przeciwstawić się myśli obcéj. Jeżeli takiéj sposobności nie ma, to umysł jego nie objawia fosforescencyi, jak gdyby nie istniał wcale.... Podobnież Merck był rodzajem wybornego słownika, w którym można się dowie-

dzieć o każdym wyrazie, ale w którym nie znajdzie się ani jednéj myśli dla niéj saméj. Był to duch przeczenia.

Taki człowiek był duszą towarzystwa darmsztadzkiego. Kiedy w niém bawił Goethe, czytano razem, spacerowano, marzono, pito poncz, który był wtedy rodzajem ambrozyi drugiéj klasy, znajdujący się z konieczności wszędzie, gdzie się bogowie téj ziemi zgromadzali, tańczono, a wreszcie i całowano się. Mówiąc ten ostatni wyraz, nie wyłącza się wcale kobiét. Karolina Flachsland należała oczywiście do tych zebrań i była ważną dla Goethego osobistością. Wzniosła namiętność i skłonność do płaskiéj wyrachowanéj rzeczywistości: oto niezbyt miła mięszanina, która wydała jéj charakter. W roku atoli 1772, będąc młodą, energiczną, czując, że ją kocha jeden z najpierwszych mężów ówczesnych w Niemczech (Herder), bardzo wdzięcznie się przedstawiała ze swojém burzliwém usposobieniem. Była szczególną przyjaciółką Goethego; broniła go wobec Herdera i robiła mu „honory“ w Darmstadzie. Wtedy to powstało wiele najpiękniejszych wierszy Goethego a między innemi: Śpiew wędrowca podczas burzy (Wanderers Sturmlied). Herder zdaje się czuł już naówczas, że potęga duchowa Goethego o ziemię go powali; żartem nazywa on Goethego w jednym z listów to „zanadto wróbelkowatym“ to znów „wielkim Goethem.“ Takie dowcipy nie powstają w niezamąconém usposobieniu.

W duchu poety rozwinęła się w tym czasie niezmierna produkcya myśli; wchodzi on w stosunki z najznakomitszemi wtedy w Niemczech ludźmi, czyta wszystkie nowości, przyswaja je sobie, opuszcza drogi zwykłe i ulatnia się niemal przed rozwagą naszą. Niepodobna dokładnie odrysować człowieka takiéj siły w téj chwili najświetniejszego rozwoju, kiedy nawet dość pospolici ludzie zwykle przybierają pozór nadzwyczajnego talentu. Gdyby wszystkie młode dziewczęta zostały w dalszém życiu tém, czém się po większéj części między 16 a 18 rokiem wydają; gdyby wszyscy młodzieńcy dotrzymali tego, co między 20 a 25 obiecują: to piękność, dowcip, gienialność, niewyczerpana siła życia w latach późniejszych nie wzbudzałyby tak wielkiego podziwienia. Szczęściem każdy rozkoszując się owém kwieciem życia, wierzy w jego wiecznotrwałość. Wiarę tę we własną niewyczerpaną siłę młodości, podniesioną do potęgi, musimy mieć na uwadze, ażeby sobie wyobrazić to nadzwyczajne zjawisko, jakie przedstawiał Goethe w tych właśnie latach i jakiém być nie przestał aż do końca.

Herder wiedział doskonale, że bywają ludzie wznoszący się dziwnie po nad resztę ludzkości; lecz jako umysł krytyczny nie chciał przyznać własności téj Goethemu bez prób stanowczych. Goethe na-

pisał *Götza z Berlichingen.* Sposób, w jaki sztukę tę przyjął Herder, da nam poznać to, co możnaby nazwać „nawróceniem" Herdera w stosunku do Goethego, którego do téj pory lekko traktował...

Götz z Berlichingen był pierwszą pracą we Frankfurcie dokonaną. Jestto dzieło, które Goethego odrazu wielkim poetą w Niemczech uczyniło, odtąd nie mogło być sporu o jego miejsce w rzędzie wieszczów. Składano mu hołd jako temu, który pierwsze zabiérał miejsce, zanim nazwisko jego poznano, gdyż Götz wyszedł bezimiennie. Przeciwników miał on jeszcze w tych jedynie, którzy mu zazdrościli, oczy przymykali, albo też byli za starzy, ażeby mogli uczuć, jaki duch wiał ze sztuki. Do tych ostatnich należał Fryderyk II.

W Niemczech nie mógł się wyrobić teatr narodowy taki, jaki spotykamy w Hiszpanii, Anglii, Francyi, Włoszech. Brak było życia politycznego, brak stolicy skupiającéj w sobie bogactwa materyalne i umysłowe, brak ukształconéj szlachty, któraby chciała i umiała popiérać scenę. Rozwój Niemców odbywał się w sercach i mózgach, ale nie w czynie. Gdy Niemiec jest wzruszony, najchętniéj trzyma ręce w kieszeni, podczas gdy Włochowi np. zamałoby było w podobnym razie tuzina ramion. Największe burze duchowe przechodzą w Niemczech, nie tworząc fal na powierzchni; wszystko odbywa się w głębi. W Niemczech masy nie działały. Poeta nie mógł się naocznie przypatrzéć ludowi w tych zapasach, z których śmierć, albo życie wynika. Maszyna polityczna była dla niego gęstą zasłoną przykryta. Jeżeli poeta niemiecki chciał stworzyć bohatéra, to fantazyi jego przedstawiały się tylko znakomitości książkowe; dlatego téż w jego utworach tylko papiérowi bohatérowie występować mogli.

Lessingowi jedynie poszczęściło się widziéć cokolwiek świata. Miał on przed sobą życie obozowe wojny siedmioletniéj, pracował na życie w Berlinie za Fryderyka II; krwawym trudem musiał się sławy dobijać. To téż poznawszy scenę francuską, hiszpańską i angielską, o ile uczony niemiecki poznać ją mógł w kraju własnym; zdobywszy doświadczenie, którego ówczesny nędzny teatr niemiecki mógł dostarczyć, zelektryzowany Diderotowskim sposobem tworzenia, napisał *Minnę von Barnhelm*, pierwszą niemiecką kreacyą sceniczną po długotrwałym chaosie. W niéj miał aktor charaktery, do których serce mu się rwało. Mimo to Lessing z początku pełen nadziei co do przyszłości sceny, przesyciwszy się i aktorami i publiką, skończyć musiał na dramatach do *czytania* przeznaczonych.

Goethe odebrał pierwsze teatralne wrażenia we Frankfurcie, gdzie bawili aktorzy francuscy. W Lipsku znalazł Gottscheda, przedstawiciela sceny francuskiéj, któréj utwory on sam wraz z żoną

tłómaczył. Dlatego też Goethe napisał swoich „Spółwinnych" i tłómaczył aleksandrynami „kłamcę" Kornela. W Strasburgu znowu miał scenę francuską z tą tylko różnicą, że grali na niéj lepsi aktorowie. Ale wtedy właśnie działa nań Szekspir i naiwna mowa dawnego teatru niemieckiego. Wszystko to nie wywołało w nim ani na chwilę myśli pisania dla sceny. Götza pisze bez zamiaru przedstawienia go, lecz tylko jako romans dyalogowany; bez doświadczeń Lessinga, własném przeczuciem zajął ostateczne jego stanowisko. Pisał dla téj jedynie sceny, którą każdy w fantazyi swojéj może urządzić. Stąd téż pierwotny tytuł sztuki był następny: „Historya Gottfryda z Berlichingen o żelaznéj ręce, dramatyzowana."

Goethe czytał autobiografią Götza (ur. 1480 † 1562), która wyszła w Norymberdze 1731. Był to najczystszy produkt natury. Człowiek, co przez życie całe miał do czynienia tylko z szablą i końmi, wśród przymusowego odpoczynku, zaczyna spisywać dzieje swego życia dziką niemczyzną, bez składni, bez przecinkowania, z kréskami tylko, jakby tam, gdzie musiał odetchnąć na chwilę; drukować tego nie myślał, ani nawet odczytywać, pragnął jedynie dalekim potomkom pozostawić prawdziwą opowieść o swoich dobrych zamiarach i o niesprawiedliwém ze sobą postępowaniu.

Życie jego, poświęcone w połowie ciągłym wyprawom wojennym, a w połowie przymusowemu spoczynkowi, gdy za przewodniczenie powstaniu chłopów w r. 1525 złożył przysięgę spokojnego zachowania się, nie przedstawiało nic tragicznego. Goethe w utworze swoim, porobiwszy dowolne dodatki i opuszczenia, doprowadził Götza do 30 roku życia i kazał mu umrzéć w więzieniu z zawiadomieniem, że w chwili śmierci, gdy już zapóźno było, otrzymał uniewinniający go wyrok. Dlaczego dopuścił się tak krzyczącéj niezgodności z dziejami?

Pierwsza myśl o Götzu powstała podobno jeszcze w Strasburgu; ukształtowała się jednak dopiéro we Frankfurcie, kiedy Goethe dla zadowolnienia ojca adwokaturą się zajmował. Znienawidził on to zajęcie, przeklinał je, ale, zwyczajem poety i Niemca w dodatku, nie miał dostatecznéj siły do wyrzeczenia się go i sprzeciwienia się życzeniom ojca. Wówczas położenie swoje we Frankfurcie porównywał z więzieniem Götza w Hornbergu. Osobiste swoje uczucia połączywszy z ogólném przekonaniem młodzieży, że ówczesne stosunki niemieckie były nieznośne a jednakże zmienić się nie dawały; wybrał Götza dla wypowiedzenia tego, czego jemu samemu wypowiedziéć nie było wolno. Słowa Götza nabiérają tajemnego znaczenia jakiegoś manifestu, który był wyrazem uczuć młodego pokolenia. Z drugiéj strony obudzone przez Roussa dążenie do stanu na-

tury, kazało widziéć w Götzu przedstawiciela prawdziwéj, wielkiéj, szlachetnéj niemieckiéj natury, która została zgnębiona i zdeptana przez obce romańskie wpływy. W walkach reformacyi nie dopatrywał wówczas Göthe nastania lepszego porządku rzeczy, ale upadku świeżych i zdrowych pierwiastków. Widząc swój naród w opłakanéj zależności zarówno politycznéj jak estetycznéj od obcych narodów, dostrzegał poeta zwrot ku złemu w przyjęciu cudzych instytucyj, co miało miejsce w okresie reformacyi; i dlatego otoczył gloryą czasy feudalne, w których indywidualizm wygórowany sam o sobie myśléć musiał, udręczonych bronił, złych karał; dlatego ze zwykłego wojownika, spokojnie umierającego na swém łożu, zrobił bohatéra-męczennika. Goetz, przedstawiciel najczystszéj niemieczczyzny, popada w zawikłania z powodu wpływów romańskich. Pojęcia jego mięszają się, zostaje mimo chęci buntownikiem a mimo wiedzy — przestępcą. Wobec rzymskiego prawa, które dawny niemiecki samorząd zniosło, staje się winowajcą, *Weislingen* zaś ginie na dworze, na który wkradła się romańska delikatność i przewrotność. Wszystko wreszcie poddaje się intrygom i powabom Adelajdy, któréj krew niemiecka zepsuta została. Wszędzie uczciwość przegrywa wobec machiawelskiego rozumu; a romańska bezosobowa formuła zwycięża indywidualną myśl prawa niemieckiego. Jedność życia z naturą zrywa rycerz niemiecki, właściwy według Goethego przedstawiciel narodu, i idzie do miast lub na dwory książąt i królów.

Stosunki ogólne z okresu reformacyjnego przedstawiły się Goethemu jako odwzorowanie tego, co za jego czasów istniało z tą tylko różnicą, że za jego czasów wszystko poszło na gorsze. Na czele społeczeństwa spostrzegł cesarza, najwyższego władcę kraju, wszechpotężnego, którego praw żaden dokument objąć nie mógł, a który jednak, chcąc powagę swoję w jakimkolwiek czynie urzeczywistnić, wszędzie *uprawniony* opór spotykał. Obok cesarza duchowieństwo. Podług zasady podległe cesarzowi i papieżowi, faktycznie niezależne ani od jednego, ani od drugiego; podług teoryi biédne i bez majątku; faktycznie w posiadaniu najtłustszych części Niemiec; podług teoryi: wyraziciele ruchu duchowego; faktycznie — najgwałtowniejsi przeciwnicy postępu.

Obok cesarza i duchowieństwa—miasta, jądro Niemiec, na zewnątrz jedyne potęgi, mogące reprezentować ojczyznę i bronić spółobywateli. Były to miejscowości, napełnione złotem, które pożyczać musieli i cesarz i książęta, ażeby jakkolwiek ruszać się mogli. I te miasta, zaprzestawszy już oddawna działać wspólnie, były

skazane na stagnacyą polityczną i bezpłodne zachowawcze istnienie.

Obok nich znowu książęta świeccy, pragnący zostać samoistnemi władcami kraju, ale niemogący doczekać się sposobności rozszerzenia swojéj potęgi. Obok nich rycerstwo, *enfants terribles*, ówczesnego wieku, najniebezpieczniejszy, najdumniejszy, najniezbędniejszy element. Teoretycznie zobowiązani stawać zbrojnie na zawołanie cesarza i panów lennych; faktycznie niezależny dziki tłum, z którym potrzeba było pojedynczo po szczególe wchodzić w układy, jeżeli się pomoc jego mieć chciało. Tłum ten zawsze oczywiście zastrzegał sobie pocichu możność przejścia na tę stronę, która jego interesom najwięcéj korzyści zapewnić mogła. Pomiędzy sobą w wiecznych zatargach; zawsze gotów wystąpić przeciw każdéj władzy zwierzchnicznéj; ale duchem kastowym tak przejęty, że cesarz musiał dla niego mieć największe względy, jeżeli chciał wojnę jaką prowadzić.

Słowem dziwny chaos. Nikt nie jest zuchwały. Każdy żąda tylko swego prawa; nikt samowiednie nie chce ukrzywdzić drugiego; ale nikt nawzajem ukrzywdzić się nie daje. Każdy chce dobrowolnie poddawać się prawom i sądom, które mają prawo go sądzić; ale nikt nie chce praw narzuconych, którychby sam za słuszne nie uznał. A w końcu każdy zachowuje sobie możność przejrzenia sprawy wobec własnego sumienia; a jeżeli wyrok wydany przez obcych nie znajdzie sankcyi tego trybunału, to go poprostu kasuje powagą własną.

Wszystkie te pierwiastki życia niemieckiego w XVI stuleciu odbiły się w Goetzu z Berlichingen, który tak dalece był wytworem swego czasu, że mógł zostać jego wyobrazicielem, chociaż ze wspomnieniem jego nie łączyło się nic, coby „czynem" dziejowym nazwać można było (1).

Goetz był parę razy przerabiany. Jednę z przeróbek posłał Goethe Herderowi. Herder, któremu się sztuka podobała, nie chcąc jednak uznać jeszcze wyższości młodzieńca, długo mu nie odpisy-

---

(1) Ogromne historyczne znaczenie „Götza" jest niezaprzeczone. Co do artystycznéj jego wartości na dzisiaj, zdania się rozchodzą. Jedni nazywają go arcydziełem; niewierność dziejową tłómacząc tém, że w Götzu nie tyle przedstawione są Niemcy w XVI stuleciu ile *niezmienne* Niemcy w istocie swojéj, luźność zaś scen i brak jedności akcyi wyjaśniając orzeczeniem, że Götz jest dramatem do czytania. Tak robi Hermana Grimm. Inni zaś (jak np. Hettner I, 148), uznając w Götzu dotknięcie ręki mistrza, odmawiają mu dramatyczności w kompozycyi, nazywając jego rozwiązanie smutném, nie zaś tragiczném.

wał, wreszcie odpowiedział ostro i z góry, że dramat jego jest zimny, że go zepsuł Szekspir. Goethe przyznał mu we wszystkiém słuszność i—nie zmieniając w niczém pierwotnego rękopismu, napisał Goetza poraz drugi, obcinając wszystkie zbyt bujnie wyrosłe konary pierwszéj redakcyi.

W Czerwcu 1773 roku książka wyszła z druku. Herder był dosyć szlachetnym, ażeby otwarcie wyznać wielkie wrażenie, jakiego doznał przy jéj czytaniu; odtąd pozwala Goethemu istnieć obok siebie a może nawet panować nad sobą.

Utwór Goethego podobał się ogólnie. O nieznanym poecie mówiono ze czcią prawdziwą. Bürger, przeczytawszy Goetza, unosił się nad prostotą i naturalnością bohatéra, winszował autorowi, że wolał słuchać głosu przyrody niż „tyrańskiéj sztuki;“ dowiadywał się o jego nazwisko, ażeby mu ołtarz w sercu swojém zbudować. Egzemplarze rozchodziły się szybko; ale Goethemu, który wraz z Merckem dał nakład, korzyści pieniężnéj nie przyniosły, gdyż znalazł się księgarz, co je bezprawnym przedrukiem silnie podciął.

## IV.

Pobyt Goethego w Wetzlarze. — Karolina Buff i Kestner.—Pani Laroche i jéj córka. — Brentano.—Samobójstwo Jerusalema.—„Cierpienia młodego Werthera“ i Nowa Heloiza.— Znaczenie Werthera.

Zanim Goethe ostatecznie wykończył Goetza i do druku go podał, zaszły wypadki, które mu dostarczyły materyału do nowego utworu. Na wiosnę 1772 roku postanowiono we Frankfurcie, ażeby młody „doktór“ przerwał rozpoczętą praktykę prawniczą i udał się do Wetzlaru na praktykanta przy najwyższym trybunale krajowym (Reichskammergericht). Trybunał ten był punktem centralnym, w którym schodziły się wszystkie procesy, prowadzone w niezliczonych państewkach świętego Cesarstwa rzymskiego. Obfitość atoliaktów nie odpowiadała w Wetzlarze ilości prawników; stąd pochodziły rozmaite nadużycia. Główném w końcu staraniem procesujących się było, ażeby sprawa kolei się doczekała. Stan taki trwał lat 160, a rewizya zarządzona przez Józefa II odkryła jego haniebne strony. Dla początkującego prawnika, ktoryby chciał zrobić karyerę, nie było lepszéj sposobności, jak wziąć udział w pracach Wetzlarskich. Goethe udał się tedy do Wetzlaru. Tam znalazł się w kółku, które go tak otoczyło i zamknęło, jak plebania w Sesenheimie; rozpoczął się jego stosunek do Lotty. Idąc za popędem, skłaniającym go do zżycia się z miłą choć obcą rodziną, uczuł się

Goethe jakby u siebie w sławnym „domu niemieckim,“ który dotychczas stoi w Wetzlarze. Lotta, córka najstarsza ekonoma Buff, była prawie zaręczona, a Kestner, który coraz bardziéj w prawa narzeczonego wchodził, był ścisłym przyjacielem Goethego. W sercu poety powstaje walka, czy ma wyrugować Kestnera z serca Lotty, coby mu się może udało, czy téż nie. Trwa to kilka miesięcy, aż nakoniec potrzeba było Wetzlar opuścić. Pewnego dnia odjeżdża Goethe nie bez ostentacyi; atoli jako rezultat walk wewnętrznych pozostaje serdeczna przyjaźń między nim a całą rodziną Buff, przyjaźń zaświadczona wzajemnemi listami.

Lotta, która „domem niemieckim“ zarządzała, a potem Kestnera zaślubiła, nie dorosła w prostocie swojéj do wysokości bohatérki romansu. Potrzeba było samobójstwa człowieka obcego zarówno Goethemu jak Lotcie, ażeby utworzyć zewnętrzną romansu osnowę. Ale i to jeszcze nie wystarczało do napełnienia téj osnowy treścią wewnętrzną. Goethe musiał przybrać jeszcze inną, zupełnie różną od Lotty postać, ażeby je w idealnym stopić kształcie. Przypatrzmy się dokładniéj tym pierwiastkom składowym ,,Cierpień młodego Wertera.“

Od 9 Czerwca do 10 Września 1772 a zatém kwartał cały żył Goethe z Lottą i Kestnerem w Wetzlarze. Podobnie jak w opowiadaniu Sesenheimskiéj sielanki tak i w przedstawieniu tego pożycia Goethe nie oddaje w „Dichtung und Wahrheit“ rzeczywistości wypadków, ale je kreśli w rysach mistycznych. Z kilku świadectw autentycznych wnieść się godzi, że Goethe marzył o ideale kobiéty niemieckiéj i ideał ten widział w Lotcie. *Merck* zdaje się odegrał tu rolę Mefistofelesa. Przybywszy razu pewnego do Wetzlaru, zaczął wystawiać na próbę bezwzględny podziw Goethego dla Lotty i potrafił go o tyle ochłodzić, że tenże opuścił Wetzlar. Widząc, że Lotta skłania się ku niemu, że Kestner szlachetnie ustępuje mu z drogi; a nie czując w sobie siły przyjęcia ani miłości ani poświęcenia nie chciał unieszczęśliwić dwojga serc i postanowił się oddalić. Obojętność atoli, z jaką Lotta rozmawiała o jego odjeździe i o nadziei widzenia się w przyszłém życiu, obudziła w jego sercu coś, czego sam się nie domyślał. Był dosyć silnym, ażeby z własnéj woli opuścić Lottę; lecz zobaczywszy, że to postanowienie nie pozostawia w sercu dziewczyny żadnego niepokoju, przekonał się, że zanadto sile swéj zaufał; obudziła się w nim namiętność, którą wyraził w dwu biletach pisanych do Lotty i Kestnera w wieczór rozstania się, listy, przepełnione rozpaczliwém natchnieniem i mową, która późniéj w „Werterze“ się odbiła. Nazajutrz patrzy już na rzeczy spokojniéj i w tém usposobieniu dodaje parę wyrazów; następnie bez

troski już podróżuje wzdłuż rzeki Lahny, a w pół roku potém sam z siebie lekko żartuje. Lotta być może była jego kochanką, o ile on ją podniósł i wyszlachetnił w swojéj imaginacyi; obojętność wszakże Lotty nie mogła go nie podrażnić — pozornie na krótko, w gruncie jednak na dość długo.

Merck, chcąc dokończyć otrzeźwienia Goethego, zaproponował podróż, któréj ostatecznym wynikiem była możliwość napisania „Cierpień młodego Werthera.“ Zaprosił go w odwiedziny do pani Laroche, mieszkającéj nad Renem. Pani ta była czytaną w swoim czasie powieściopisarką, choć dzisiaj mało który Niemiec zna jéj utwory. Los miotał nią na różne strony, lecz nigdy nie pozwolił jéj rozwinąć się w całéj pełni ducha. W młodości z pięknym Włochem zaręczona, z woli ojca rozeszła się z nim dla różnicy religii. Miała potém nieszczęśliwe pożycie małżeńskie z Wielandem, który całe życie pozostał jéj przyjacielem, ale z powodu swojéj matki mieszkać z nią nie mógł. W dziesięć lat potém z zewnętrznych względów, zaślubiła pana von Laroche i miała już dorosłe dzieci, kiedy wyszło pierwsze jéj dzieło wydane przez Wielanda p. n. „Dzieje panny von Sternheim,“ romans sensacyjny, który ją wsławił. Rozbiorem tego romansu Goethe jako recenzent pierwsze niemal literackie wawrzyny otrzymał. W „Gelehrte Frakfurter Anzeigen“ pojawiła się 14 Lutego roku 1772 jego recenzya drugiéj części powyższéj powieści. Goethe tak pochlebnie osądził ją, dawszy naprzód odprawę recenzentom pierwszéj części, że prawdopodobnie zjednał sobie autorkę, z którą się poraz pierwszy zapoznał na wiosnę 1772. Goethe został rozczarowany; bo zamiast prostéj, naiwnéj duszy, jaką była bohatérka romansu, znalazł damę, znającą dobrze świat i nie bez pretensyi do piękności zajmującą pierwsze miejsce w salonie; był więc na nią „gniewny jak lew“ wedle wyrażenia narzeczonéj Herdera. Goethe w „Dichtung und Wahrheit“ o téj pierwszéj znajomości wcale nie wspomina, a mówiąc o odwiedzinach w nadreńskim zamku pani Laroche w bardzo pochlebnych przedstawia barwach zarówno ją jak i cały skład domu. Z jego opowiadania zdawałoby się, że bawił u pani Laroche dosyć długo, gdy tymczasem wiadomo, że był tam tylko dni pięć. Zamiana ta tłómaczy się po części tém, że sławna Bettina była córką najstarszéj córki pani Laroch Maksymilianny, dla któréj poeta miał pewną serdeczną skłonność.

W domu pani Laroche zetknął się Goethe poraz pierwszy z tém co nazywamy „panującą literaturą.“ Dotąd zostawał on pod wpływem albo profesorów, albo też młodszego pokolenia, walczącego z przyjętemi tradycyjnemi zasadami, będącego nową firmą, re-

prezentowaną przez nowych ludzi. Pani Laroche przeciwnie pod opieką Wielanda brała udział w korzyściach staréj wypróbowanéj firmy, mającéj doświadczenie i potęgę. Wieland był człowiekiem, który coś znaczył w Niemczech, którego wpływ nie od wczoraj datował. A jak on sam czuł się zupełnie pewnym i bezpiecznym na gruncie niemieckim, tak i ci, co mieli zaszczyt należéć do jego firmy, mieli niepłonną otuchę. Stosunek Goethego i Wielanda w tych czasach polegał na cichéj walce. Wieland ze zręcznością człowieka obeznanego z rzemiosłem chciał utrzymać swoję powagę, aż wreszcie poddać się musiał.

Życie w domu pani Laroche było bardzo miłe, dopóki Merck nie przybył. On sarkastycznym swoim dowcipem zaniepokoił i skwasił towarzystwo. Szczęściem prędko pomyślano o odwrocie. Goethe „powracającym jachtem“ reprezentantki urzędowéj komunikacyi na Renie pojechał do Moguncyi a stamtąd w najlepszém usposobieniu do domu i entuzyastycznie dziękował pani Laroche za doświadczone od niéj dowody przyjaźni....

We Frankfurcie tak mu dokuczyły wszystkie stosunki a między innemi i domowe, że nie widząc żadnego środka do wybrnięcia z błota powszedniego życia, nosił się z myślami samobójstwa, które zwalczać musiał. Wśród takiego usposobienia odbiéra list od Kestnera, z którym zawsze jak najserdeczniéj korespondował, list donoszący, że młodzieniec znany mu i z Lipska jeszcze i z Wetzlaru, syn sławnego teologa, nazwiskiem Jerusalem, zakochawszy się w żonie Wetzlarskiego urzędnika, zastrzelił się zrozpaczony (w Październiku 1772). Kestner sam pożyczył mu pistoletów. Wypadek ten był uderzeniem piorunu dla poety, ale bynajmniéj nie z powodów odnoszących się do Lotty lub Jerusalema. Fantazya jego wystawiła mu, że Jerusalem i on sam stanowią jednę osobę: widzi się teraz jakby w zwierciedle. Równocześnie kochanka Jerusalema przybi[illegible]y i postać Lotty. Tym sposobem dwie główne postacie romansu. Werther i Lotta wywalczają sobie odrębne istnienie. Teraz rozpoczyna się wewnętrzna praca nad temi postaciami. W Listopadzie z powodu jakichś interesów jedzie Goethe do Wetzlaru, widzi się tam z Lottą, zbiéra dokładniejsze wiadomości o życiu i charakterze Jerusalema. Zdaje się, że wtedy powstała już myśl napisania romansu, któryby pamięć Jerusalema potomności przekazał. Ale na tém się na teraz skończyło. Poeta zajął się na nowo Goetzem, na wiosnę brał przyjacielski udział w ślubie Kestnera i Lotty. Gdy ci do Hannoweru wyjechali, nastąpiły naturalnie przerwy w ich stosunkach. Sława, którą sobie Goetzem zdobył, pobudza go do pracy. W rok dopiéro po śmierci Jerusalema pisał do Kestnera, że pracuje nad romansem,

ale rzecz idzie powoli. Dopiéro nowy wypadek ostatecznie zdecydował treść poematu. Maksymilianna Laroche, siedmnastoletnia dziewczyna, wyszła za Włocha Brentano i przeniosła się do Frankfurtu, gdzie Goethe musiał z nią zwiedzać miasto i wogóle pobyt uprzyjemniać. Goethe spostrzegł natychmiast, co z takiego stosunku wyniknąć mogło, i co rzeczywiście nastąpiło. Brentano był zazdrosny do tego stopnia, że Goethe pomimo próśb pani Laroche i pomimo przyjaźni dla Maksymilianny musiał się z nią rozstać. Otóż z cierpliwą pełną ufności postacią Kestnera połączył Goethe podejrzliwą figurę Włocha, męża Maksymilianny i utworzył owego nieznośnego Alberta, który potém Kestnerowi tyle zmartwienia sprawił a którego poëta napróżno złagodzić się starał w późniejszych wydaniach.

Takie były historyczne osoby i wypadki, które złożyły się na utworzenie szkieletu dzieła. Aby jednak ten szkielet powlec pięknem ciałem i tchnąć w nie duszę, potrzeba było fantazyi poety, wrażliwéj na wpływ ówczesnéj atmosfery duchowéj. W całéj Europie sławne wtedy były dydaktyczne romanse Roussa. Nowa Heloiza (1760) i Emil (1762). Wpływ obu tych utworów jest największym, najrozleglejszym wypadkiem dziejowym nowszéj literatury. Wśród zepsutego francuskiego świata wprowadziły one zachwycające rozprawy o cnocie i niewinności. Romans został przez Roussa podniesiony do nowéj nieprzeczuwanéj dotąd wysokości, którą cześć otaczała. Richardson i powieściopisarze angielscy wogóle stworzyli lekturę dla kobiét, obszernie wyłuszczającą najprostsze stosunki i przepisy moralne; Rousseau rozprawia o kwestyach, które ówcześni filozofowie uznali za najważniejsze, i rozwiązuje je gruntownie a jednak jakby igrając. Nie suchy rozum, który się mylić może, ale czułe serce, które zawsze jest pewne swego, otrzymało rolę sędziego w sprawach moralnego porządku świata: i nikt przeczyć temu się nie ośmiela. Świat podziwiał St. Preux i Julią jako wielkich przedstawicieli tego, czém stulecie oddychało. Wierzono w nich tak samo jak w ideały Richardsona. Najwyższém pragnieniem było czuć jak oni i patrzéć na świat tak jak oni. Powietrze, którém Goethe oddychał, było przepełnione duchem Roussa. Porównajmy tylko Werthera z St. Preux a Lottę z Julią a przekonamy się, że bez kreacyj Roussa nigdyby postacie Goethego na świat nie przyszły.

Werther jest wyrzutkiem nie ludzkości, ale zepsutych stosunków ludzkich. Umié on odczytywać najniewyraźniejszy rękopism serca, ale odczytawszy go, idzie daléj, potrząsając głową. Pojęcie pracy w dzisiejszém znaczeniu wyrazu jest mu nieznane. On je, pije, ubiéra się jak gentleman i krytykuje. Świat jest zbyt nędzny, ażeby

mógł skłonić do innéj działalności takiego ducha jak jego. Bujając w powietrzu po nad kościołami i pałacami rozpatruje on melancholicznym wzrokiem, to co na niskiéj ziemi się dzieje. Najszlachetniejszém zajęciem najwyżéj ukształconego człowieka wydawało się naówczas niezadowolenie ze wszystkiego i szukanie powodów tego niezadowolenia, obrażanie się wszystkiemi instytucyami ludzkiemi bez najmniejszéj nawet próby przeciwdziałania.

Takim téż człowiekiem jest St. Preux. Bohatér Nowéj Heloizy i Werther tak we wszystkich liniach przystają do siebie, jak dwa trójkąty równoramienne. Gdyby się byli kiedy w życiu spotkali, to patrzeliby na siebie z przestrachem, z jakim człowiek patrzy na swego sobowtóra. Energia obu zależy najzupełniéj od tego, co inni czynią, zostawieni sami sobie nie byliby w stanie kroku nawet postąpić.

Większa wartość Werthera polega na większéj sile poetycznéj Goethego. Pisząc „Cierpienia młodego Werthera“ nie pragnął on być ani filozofem, ani kaznodzieją. Poeci angielscy chcieli poprawić moralność, Rousseau chciał przekształcić całą ludzkość, w obu razach romans byłto środkiem do celu prowadzącym. Goethe zaś ani chciał zalecać samobójstwa, ani od niego odstraszać, pragnął tylko wydobyć ze swéj fantazyi to, co się w niéj narodziło, co go dręczyło i chciało przybrać kształt zewnętrzny. Chciał się wywnętrzyć, gdyż inaczéj pierś by mu rozsadziło. Utwór jego jest poematem. Stąd wyszła potęga jego wpływu i źródło żywotności.

Rousseau jednak wpłynął nietylko na ukształtowanie się postaci Werthera, ale również i na obrobienie. W Wertherze poraz pierwszy objawia się kult miejscowości i pogody, który zdaje się tak naturalnie wypływać z usposobienia Goethego, a który przecięż poeta niemiecki zapożyczył od Roussa. Rousseau pierwszy postawił człowieka w ustawicznéj zależności od potęg przyrody. Wpływowi słońca, nocy, pięknéj miejscowości przyznaje on zmianę w usposobieniu ludzi. Romanse Roussa pełne są malowideł natury martwéj, którą ożywiać umié. W Goethem znalazł ucznia, który o wiele mistrza swego przewyższył. Prawda, że oprócz Roussa działał nań w tym kierunku Herder, Ossyan, Homer. Ale Herder sam czerpał dopiéro z Roussa, tak że bez niego zarówno Herder jak i Goethe nie byliby się zagłębili w tajemnicze piękności Ossyana i Homera.

Postać Lotty o tyle od romansu Raussa zależy, że stając do pary z Wertherem jest nieszczęśliwą kochanką i że działa według natchnień serca a nie podług narzuconych jakichś zasad. Postać ta tak szczęśliwie jest utrzymana, że każde dziewczę może w niéj siebie odnaléść, a jednak powiedziéć sobie musi, iż ideału tego nigdy

nie dosięgnie. Tyle naturalności, dobroci i zdrowia nie posiadała żadna inna. Cała Europa była zachwycona i ciekawemi oczyma szukała pierwowzoru tego uroczego zjawiska, obok którego ani Pamela Richardsona, ani Julia Roussa nie mogły porównania wytrzymać. Lotta pozostała księżną zarówno w kole przyjaciółek Göthego jak i wśród jego poetycznych postaci. Jéj rodzina nawet tak rzecz tę rozumiała a wnukowie Lotty tak się zachowywali, jakby ich z Goethem łączyło pokrewieństwo duchowe, równoważne z cielesném. Aż do czasu wstąpienia na tron Lotty wśród publiczności najwyższém idealném zjawiskiem w Niemczech była *Fanny* Klopstocka. Pani profesowa Heyne z Getyngi pisała do Herdera „pozdrów Pan swoję Fanny,“ tj. pozdrów pan swoję narzeczoną, któréj ja imieniem Fanny przyznaję najwyższe estetyczne szlachectwo. Ale skoro romans Goethego się ukazał nie było już nic doskonalszego nad Lottę. Młode dziewczęta, nazywające się Lottami, nie chciały nosić tego imienia, gdyż czuły się tego niegodne... Lotta była zupełnie innego pochodzenia niż Fanny. Brak jéj najlżejszéj nawet przymieszki sentymentalności i najmniejszego znaku skrzydeł anielskich, które w każdéj z postaci Klopstocka były widne. Lotta nie ma ani sladu jakiegoś wyniosłego od zwykłych mieszczanek wyróżnienia się, które jest właściwe idealnym damom dworskim Jean Paula a nawet wśród późniejszych postaci Goethego przedstawicielki znajduje. Lotta jest najprostszą i najmilszą niemiecką dziewczyną, o któréj nie da się powiedzieć nic szczególnego. Chętnie tańcuje, chętnie czyta poezye, umié marzyć; ale zaledwie posłyszy najmniejszy szelest w domu, odrazu spada z obłoków i staje się najzwyklejszą gospodynią. Tak jest gospodynią, nawet kiedy jest młodém dziewczęciem, gdyż około niéj kupi się gromadka młodszego rodzeństwa, któremu ona matkę zastępuje. Ta właśnie okoliczność najwięcéj zachwycała, najprostsza nawet gąska mogła ją wziąć za ideał i nie czuć się zanadto od niéj oddaloną. Żywioł ten rozbroił tych nawet, którzy w postaci Werthera widzieli coś szkodliwego. Lotta wszystko naprawiła. Co w domowym trybie życia Götza przeniósł Goethe do czasów minionych, to przedstawił obecnie w obrazie własnéj swéj epoki i poezyą domowego ogniska. Wikary Wakefieldzki Goldsmitha nie przedstawia takiego ideału; życie rodzinne jest tu tylko polem próby, na którém robią się doświadczenia. Tak samo w romansie Roussa: późniejsze szczęśliwe małżeństwo Julii z panem Wolmarem nie stanowi właściwéj treści utworu. W obu wypadkach cel dydaktyczny stanął na przeszkodzie. Goethe zadowolnił się prostém przedstawieniem tego, co miał przed oczyma, pozwalając czytelnikom wyciągnąć z obrazka dobrą naukę, jaka się w nim zawierać mogła.

Lata w których Werther został napisany, były latami najżywszéj produkcyjnéj siły Goethego. Chętnie mu wierzymy, gdy mówi, że po napisaniu Götza mógłby był „wytrząść z rękawa“ cały szereg dramatów, gdyby ich żądano. Wówczas to napisał jeszcze Clavigo, Stellę, Klaudynę Villa Bella w pierwotnéj postaci i mnóstwo najpiękniejszych pieśni swoich i ballad. Rozbiérać tych rzeczy nie ma potrzeby, gdyż powtórzyćby tylko wypadało to, co się już powiedziało. Clavigo nietylko co do treści, ale i co do formy powstał z naśladowania Beaumarchais'go, który jako dramatyk wyszedł ze szkoły Diderota. Początki Egmonta również należą do tego czasu. Nie należy także zapominać o Fauście, który naówczas gotów już był do odczytania na jakiém zebraniu. I wszystko to w 1774 i 1775 roku. Ludzie i prace tak tłumnie w téj epoce około Goethego przeciskają się, że dokładne wyśledzenie tych rzeczy jest niemożliwe. Ci co najstaranniéj uporządkowany materyał razem zgromadzili, zmuszeni są wyznać otwarcie, że podwójne i potrójne bogactwo wiadomości nie wystarczyłoby tu jeszcze.

Goethe był bezwątpienia w owym czasie najbardziéj zadziwiającém zjawiskiem, jakie Niemcy na polu literatury wykazać mogli. Klopstock, Wieland, Lessing i Herder byli to już ludzie starsi; droga ich w ogólności dawała się przewidziéć: Goethe zaś był siłą świéżą. Głębia jego ducha zdawała się niezgruntowaną, fantazya—niewyczerpaną. A między osobistością jego i dziełami panowała taka harmonia, że jedno bez drugiego nie wydawało się zrozumiałém. Potrzeba było z nim żyć, ażeby go pojąć; potrzeba było siedziéć i mówić z nim dni i nocy całe. Kto tylko ze znaczeniem jakiemś do Frankfurtu przybywał, śpieszył zabrać z nim znajomość. Posiadamy wiele relacyj o takich spotkaniach: zawsze opisują Goethego jako rzadki fenomen, jako geniusz nadzwyczajny, od którego można się wszystkiego spodziewać. Sława zdobyta ukazaniem się Werthera była najwyższém uznaniem, jakie mu świat objawił. Zuchwałego szczęścia tych chwil nigdy już poraz drugi nie doświadczył. Imię jego było w ustach każdego. Wydania dzieła jego następowały jedne po drugich. Ukazywały się pisma polemiczne, dalsze ciągi, przeróbki na dramata, tłómaczenia. Ubiór Werthera niebieski frak i żółte spodnie, jak się nosił Jerusalem i jak się zazwyczaj noszono w niższych Niemczech, został uniformem młodzieży. Tak wystąpił Goethe w Weimarze; a kto na tamecznym dworze książęcym nie mógł z własnych funduszów sprawić sobie takiego ubrania, dostawał je od panującego. W Wetzlarze natomiast śledzono krok za krokiem drogi, po których chodził nieszczęśliwy Jerusalem, nie domyślając się, że będzie przedmiotem badań pośmiertnych. Do tego naturalnie przy-

łączyło się poszukiwanie ścieżek i miejsc odpoczynku Goethego. Studnia przed bramą Wilsbachcką, gdzie ceber na głowę służącéj włożył, nazywa się studnią Werthera. W Garbenheimie pokazują historyczne miejscowości. Wystawioną tam urnę kamienną zabrali jako relikwią oficerowie jednego rosyjskiego pułku, przechodzącego tamtędy w r. 1814. Na zwykłém miejscu odpoczynku Goethego wzniesiono piramidę z białego marmuru.

Każdy młodzieniec, zastanawiający się naówczas nad sobą, musiał w sobie dojrzéć kawałek Werthera. Nietylko Niemcy, ale Francuzi, Włosi, Anglicy rozumieli go doskonale, jak gdyby był wyrósł na ziemi celtyckiéj, romańskiéj lub sasko-normandzkiéj (1). Wiadomo, że Napoleon, będąc młodym, czytał Werthera i prawdopodobnie innego dzieła Goethego nie znał; a przecięż śpiesząc w pochodzie tryumfalnym przez Niemcy, kazał sobie przedstawić Goethego jako największego niemieckiego poetę i o Wertherze z nim rozmawiał.

Najstarszym przedstawicielem takiego charakteru jak Werther jest Hamlet Szekspira; w inny sposób starał się go Molière w Misantropie przedstawić; następnie ukazał się St. Preux Roussa a w końcu bohatér Goethego. W Werterze są zawarci trzej jego poprzednicy. Starsze pokolenie niemieckie jak Lessing, Kant, Möser, Lich-

---

(1) Na gruncie Polski ówczesnéj, po pierwszym podziale, Wertherowski „Weltschmerz" ani zaszczepić, ani przyjąć się nie mógł. Nie pozwalała na to najprzód niezbyt wyrafinowana gruntu tego kultura w stosunku do innych, a powtóre życie polityczne dostępne dla całéj szlachty. Wykształconych mieszczan i włościan, którzyby gorzko odczuwali swoje podrzędne lub pognębione w Rzeczypospolitéj położenie, było jeszcze niewielu. Przeciętny szlachcic owych czasów gdyby był wziął do ręki „Werthera," parę ustępów z niego przeczytał, cisnąłby książkę w kąt i rzekłby swoim zdrowym, ale prozaicznym tonem: „Dyabli wiedzą czego ten Pluder skomli a skomli...." Ale i takiego wypadku być nie mogło, jeżeli tak ciekawy, w Berlinie tak długo żyjący, tak ukształcony dostojnik i pisarz jak Krasicki, wspominając pobieżnie nazwisko Goethego, mówi jedynie dwa słowa dość obojętne a Götzu, a o Wertherze ani wzmiankuje nawet; przytaczając zaś tytuł sztuki Lessinga, pisze: „Minna *de* (!) Barnhelm" (o Rymotwórstwie i Rymotw. Części VIII, § 9). Wyżéj wykształceni ludzie mogli wtedy wszystkie porywy swéj duszy nawet najwyższe zaspokoić w życiu państwowém; a przynajmniéj nie mogli narzekać na niemożność działania. Dopiéro późniéj, kiedy nastały mniéj więcéj takie polityczne stosunki, jakie w Niemczech lub we Francyi istniały za czasów pojawienia się Werthera, zrozumiano go u nas i przetłómaczono (1822 r.). Możnaby rozumowaniu temu zarzucić jedno, że w Anglii, cieszącéj sie swobodą polityczną i wartkiem życiem polityczném, rozumiano jednak Weltschmerz. W odpowiedzi atoli na zarzut dość zauważyć skłonność Anglików do *spleenu* i przypomniéć sobie, że już na dwa wieki niemal przedtém posiadali oni swego rodzinnego Werthera—Hamleta...

tenberg widzieli w Wertherze, tylko chorobliwego, próżnego, awanturniczego fantastę, tém niebezpieczniejszego, że łatwo w nim było piękność poetyczną pomięszać z moralną. Młodzież, przeciwnie, widziała w nim jedynie bohatérsko odważnego bojownika poezyi, idealizmu i tragicznego męczennika praw serdecznych. Zobaczymy, jak werterowski kierunek znalazł w Fauście zaokrąglenie i zharmonizowanie z innemi pierwiastkami.

## V.

Znajomość z Lavaterem.—Przejażdżka po Renie.—Basedow.—Fryderyk Jacobi w Pempelfort.—Goethe jako „Allwill."—Dokładne zapoznanie się z systemem Spinozy.—Klopstock.—Stosunek do Lilli Schönemann.—Bracia Stolbergowie.—Podróż do Szwajcaryi.—Wyjazd do Weimaru.

W przerwach między zajęciami poetycznemi Goethe pędził życie wesołe, hulaszcze, niczém nieskrępowane. Mieszczanie frankfurtcy byli zgorszeni: nazywali poetę niedźwiedziem, Huronem, Indyaninem i t. p. Według listu Mercka możnaby spisać całą księgę o tém, ile niedorzeczności i niegodziwości opowiadano sobie o Goethem we Frankfurcie i w trzechmilowéj okolicy. Pomijając drobnostki téj strony życia, która w najściślejszym jest związku z ówczesnym burzliwym, na idei „powrotu do natury" opartym trybie postępowania młodzieży, należącéj do okrésu „burzy i wrzenia" (Sturm- und Drangperiode), zaznaczymy tu tylko zdarzenia brzemienne wielkim na Goethego wpływem.

Do zdarzeń takich należy zapoznanie się poety z Lavaterem i Jacobim. Obaj ci sławni ludzie w tém byli do Herdera podobni, że chcieli opanować Goethego; a w tém różni, że zamiast go ku sobie pociągnąć, ulegli jego oddziaływaniu. Jacobi stawiał oddziaływaniu temu opór; stosunki ich zerwały się, pozostała atoli cieniutka niteczka, za pomocą któréj Jacobi późniéj silnie się do Goethego przyczepił. Lavatera zaś Goethe odepchnął całkowicie, widząc w nim potężniejszy od Jacobiego charakter.

Z początku jednak było inaczéj: Goethe tak dalece uległ wpływowi Lavatera, że jego styl i sposób mówienia naśladował. Przed poznaniem się osobistém Goethe napisał wcale niepochlebną recenzyą dzieła Lavatera: „Poglądy w przyszłość" (Die Aussichten in die Ewigkeit); potém z uznaniem i uszanowaniem mówił o jego kazaniach, à propos księgi Jonasza, widząc w nim „wielki, samoistny geniusz." Znajomość z Goethem spowodowało przedsięwzięcie Lavatera, dotyczące wydawnictwa sławnych „Fragmentów fizyognomicznych", które wychodziły od 1775 do 1778 roku. Syn lekarza,

Lavater odznaczał się od dzieciństwa usposobieniem marzycielskiém, połączonéni wszakże ze zmysłem spostrzegawczym niezwykłéj bystrości i z niepospolitą umiejętnością wkradania się w kryjówki serc ludzkich. Pochodzenie jego Szwajcarskie zyskiwało mu przyjaciół; trzeba bowiem pamiętać, że wolność w owe czasy zaczęła mieszkać na górach, a każda krowa szwajcarska, jak mówi Grimm, dawała odrazu najczystszą śmietankę, w któréj czuć było smak wolności i alpejskiego powietrza. Poczciwi Szwajcarowie, przez Roussa wsławieni, uchodzili za pierwowzór „człowieka natury.“ Lavater to drugi Rousseau tém się jedynie różniący, że osiągnięcie wszelkiéj doskonałości poczytywał za możebne, przez pośrednictwo modlitwy. Zwracał on baczną uwagę na cechy zewnętrzne ludzi i ze studyów nad nimi wielkie obiecywał sobie korzyści. Ażeby pomysł swój przywieść do skutku, użył środka, którybyśmy dzisiaj najlepiéj obmyślaną reklamą nazwać musieli. Zapowiedział wydawnictwo „Fragmentów fizyognomicznych celem udoskonalenia znajomości i miłości ludzi.“ W tytule tym skromność jego zawarła z ówczesnym kierunkiem duchowym najserdeczniejsze małżeństwo. Nie obiecywał systemu, tylko luźne urywki; nie dbał jedynie o naukę, ale także o miłość ludzkości. Filantropia była natenczas w modzie; „przyjaciel ludzkości“ doznawał najwyższego poszanowania a „przyjaciel ludzkości na tronie“ był upragnionym ideałem. Każdy, wysoko czy nisko położony, kobiéta czy mężczyzna, powołany został nietylko do czytania książki Lavatera, ale także do współpracownictwa. Lavater udawał się do wszystkich z prośbą o portrety, które mu rozumié się chętnie nadsyłano, prosząc o odgadnięcie charakteru osoby portretowanéj. Sprawa fizyognomiki nie była całkowicie pozbawiona gruntu naukowego; ale sposób, w który się do niéj brano, dosyć dziecinnie się przedstawiał. Z portretu, o którym nawet nie wiedziano, czy dobrze był zrobiony, czy był podobny, usiłowano odgadnąć zarówno zdolności moralne jak i przyszłą karyerę jakiegoś dziecka. Lavater albo znał osobistości, których charakter miał opisać, albo nie znał. W pierwszym razie zapuszczał się w najdrobniejsze szczegóły; w drugim, zbywał rzecz najpospolitszemi ogólnikami. Jako człowiek bystry i doświadczony umiał wiele nietylko rozumnych, ale też dowcipnych i miłych rzeczy powiedzieć; a uwagi jego nieraz były bardzo trafne. Nic więc dziwnego, że ludzie pragnący się uwiecznić chętnie przyjmowali zaproszenie i z entuzyazmem mówili o Lavaterze.

Goethe był już wtedy autorem „Götza“ i zwrócił na siebie uwagę Lavatera, który poprosił go o portret. Goethe nietylko zadośćuczynił żądaniu, posławszy portret swój, swego ojca, panny

von Klettenberg, ale nadto zobowiązał się doglądać druku dzieła, w którém znajdują się także i utwory jego pióra. Lavater napisał w swoich „Fragmentach“ charakterystykę Goethego, arcydzieło w swoim rodzaju. Z doskonałą przebiegłością obsypał go tu pochwałami, które wśród krętych zwrotów każą się domyślać, że Goethe to nadzwyczajny człowiek stulecia, chociaż dotychczas dał tylko „niedoskonałe i niedostateczne próby“ swéj wielkości...

Kiedy po pierwszych listowych stosunkach w Kwietniu i Maju 1774 r. Lavater przyjechał do Frankfurtu (w Czerwcu), to znalazł już Goethego w zupełném oczarowaniu swoją osobą: poeta przyjął jego sposób wyroczniowego myślenia i mówienia, jego serdeczność i pozorne wylanie się dla innych. Spotykają się poraz pierwszy: „Bischt‘s?“ (1) woła Goethe. „Bin‘s“, odpowiada Lavater. Potém ściskają się i rozpoczynają rozmowę: najgłębsze kwestye rozbiérają w sposób jaknajnamiętniejszy. Matka Goethego wielbicielką Lavatera została. Cały zresztą Frankfurt czekał na znakomitego męża, od którego spodziéwano się zbawienia i błogosławieństwa. Lavater znał już mechanikę przyjazdów: zapowiadał się naprzód, tak, że publiczność miała czas się przygotować. Lavater lubił liczne zebrania, które umiał zarówno bawić jak uczyć; poznawał odrazu, co komu do gustu przypadało i grając na téj strunie, potrafił zjednać sobie gorliwych słuchaczów. Spojrzenie głębokie a łagodne, usta przyjemne, mowa poufna, któréj uroku dodawał odcień prowincyonalny, działały dziwnie uspokajająco na zmysły słuchaczów; a cokolwiek pochylona postać zmniejszała przedział, jaki istniał pomiędzy sławnym człowiekiem a zwykłymi śmiertelnikami. Umiał panować nad umysłami, nie dając uczuć swojéj władzy.

Kiedy wyjeżdżał z Frankfurtu, Goethe mu towarzyszył, ażeby dokończyć na osobności rozpoczęte z nim a wielce rozrzewniające rozmowy. Odprowadziwszy Lavatera do Ems i zostawiwszy go w licznem towarzystwie, powrócił poeta do domu. Wkrótce jednak zamówiony przez Basedowa, jednego z „odrodzicieli ludzkości“, sławnego zwolennika wychowawczych zasad Roussa, założyciela filantropinu, niedługo poraz drugi do Ems pojechał. Basedow stanowił zewnętrznie zupełne z Lavaterem przeciwieństwo. Miał głos nieprzyjemny, gwałtowny, mówił prędko; odpowiadał ostro, przeskakiwał w rozmowie z jednego przedmiotu na drugi, śmiał się szydersko i palił niegodziwy, śmierdzący tytuń. To téż podróż z tym zarażającym powietrze wychowawcą ludzkości podwoiła przyje-

(1) Jestto dyalekt szwajcarski; coś podobnego jak nasze wyrażenie: jezdeś?

mność obcowania z Lavaterem, z którym kilka tygodni w Ems i okolicy najmiléj Goethe przepędził. W środku Lipca pojechali daléj. Z Ems popłynęli okrętem w dół Lahny ku Renowi, a potém odbyli przejażdżkę po téj rzece. Życie na wodzie nastroiło wysoko całe towarzystwo. Lavater spisywał ciągle, co się działo, w krótkich, urywanych zdaniach, jakoby to były telegramy wielokrotnie w ciągu dnia wysyłać się mające. W Kolonii rozstali się.

Jeszcze w roku 1779 zostawał Goethe pod urokiem Lavatera i uważał go za „kwiat ludzkości", za najlepszego z najlepszych; potém dopiéro zaczął się rozczarowywać i dopatrywać w uwielbianym mistrzu śladów miałkiéj ambicyi, przezornéj chciwości i nierozumnego marzycielstwa. W podeszłym już wieku, rozmawiając z Eckermannem, zbył proroka krótko, mówiąc: „On okłamywał siebie i innych." (1)

Inny był przebieg stosunków z Fryderykiem Jacobim. Była to natura uczuciowa, ze skłonnościami religijnemi i z poczuciem potrzeby wykształcenia naukowego. Przeznaczony przez ojca do zajęć handlowych, uczuł się wkrótce niezdatnym do nich i zawiązawszy stosunki z dworem palatyna reńskiego, został radcą elektorskim bardzo poważanym. Przez Wielanda zapoznał się z Zofią Laroche, przez nią znów żona i siostra jego zaznajomiły się z siostrą Goethego Kornelią, którą we Frankfurcie odwiedzały. Goethe z paniami temi korespondował i wysoko je cenił; było więc rzeczą naturalną, że z ich mężem i bratem zetknąć się musiał. W Lipcu 1774 r. przez Kolonią, pełną wspaniałych artystycznych pamiątek, udał się poeta do Pempelfort, gdzie Jacobi wakacye spędzał. Goethe czuł się tu szczęśliwym. Wyrwawszy się z objęć przyjaciół, rodziny i miasta rodzinnego, mógł występować wyłącznie w charakterze sobie najmilszym, w charakterze autora. Tak się przedstawił Jacobiemu i tak też został przyjęty. Jacobi starszy był od Goethego o lat sześć, ale téj różnicy wieku nie brał wcale w rachubę, nie widząc też z drugiéj strony w młodszym swym towarzyszu jakiegoś egzotycznego geniu-

---

(1) Hermann Grimm, opierając się na zapewnieniu Göthego w „Dichtung und Wahrheit", utrzymuje, że poeta poznał się odrazu na proroku i wziął go za materyał do zamierzonéj tragedyi p. n. *Mahomet*, któren bohatér występując z początku w dobréj wierze, zmuszony jest następnie ze względu na swoich wyznawców udawać się do kłamstwa i oszustwa. Hettner atoli (I, 175) uważa opowiadanie Goethego za pomyłkę pamięci, dowodząc, że ustęp z téj tragedyi był napisany i wydrukowany przed poznaniem się z Lavaterem. Pomysł Mahometa uważa Hettner za oddźwięk rozprawy doktorskiéj Goethego, w któréj dowodził, że wszystkie religie przez wodzów i wogóle wpływowych mężów zaprowadzone zostały.

sza, z którym nikt równać się nie może. W osobie Jacobiego było coś czystego, szczerego, pociągającego. Goethe sądził, że po długich a daremnych usiłowaniach znalazł w nim nakoniec przyjaciela, jakiego sobie życzył. Z lubością wspomina o nieprzerwanych poufnych rozmowach swoich z Jacobim; posiadamy kilka jego listów pełnych czułości i wylania, w których między innemi powiada, że mogliby na długo zamilknąć, a spotkawszy się kiedyś po znacznym przeciągu czasu, rozumiéć się tak dobrze, jak gdyby ciągle byli z sobą. Jacobi atoli zanadto potrzebował dla twórczości swojéj uczuć swoich przyjaciół i książek; to téż entuzyastyczną reprodukcyą mieszał z samodzielną produkcyą. Zapoznawszy się w rękopiśmie z Wertherem, zapalił się do uczuć w nim przedstawionych i reprodukował je w dwu romansach, z których jeden p. n. „Zbiór listów Allwilla“ wyszedł jeszcze przed Wertherem. Allwill, to Goethe. W pierwszym ciągu romansu innym go przedstawia Jacobi aniżeli w następnych, które o wiele późniéj wyszły. Goethe sam tę zmianę spowodował. Drażniło go to, że Jacobi zarówno myśli jak styl jego naśladował; a gdy poeta pod wpływem Lavatera inny styl przybrał, Jacobi z przesadą wielką w trop zanim pobiegł. Gdy więc wyszedł nowy romans Jacobiego p. n. „Woldemar“, w którym stosunki odmalowane przez Goethego w Wertherze zostały (mimochęci) do karykatury doprowadzone; poeta, bawiący już wówczas w Weimarze, własną ręką przybił książkę do drzewa, jak jastrzębia na stodole, a w dodatku za pomocą lekkich stylistycznych zmian w tekście ostatnich stronic romansu dał mu takie zakończenie, że dyabeł nadchodzi i porywa Woldemara... Całe Niemcy mówiły o téj istnie Voltairowskiéj zemście. Nastąpiły wymówki. Goethe trzymając się swojéj zasady, że się nigdy nie powinno uniewinniać, milczał z początku; dopiéro w cztéry lata potém prosił o przebaczenie. Jacobi odpowiedział po przyjacielsku i odtąd, pomimo różnicy przekonań, trwały między nimi serdeczne stosunki aż do grobu.

Najważniejszą atoli okolicznością w zaznajomieniu się Goethego z Jacobim było bliższe poznanie pism Spinozy. Jacobi był stanowczym przeciwnikiem holenderskiego mędrca; ta bezwątpienia okoliczność sprowadziła rozmowę obu przyjaciół na „Etykę“ Spinozy i zmusiła Goethego do zajrzenia jéj w oczy. Czteréj tylko ludzie zajęli stałe miejsca w duszy Goethego i nigdy z nich już nie byli wyrugowani, jak to się z innymi, nawet bardzo znakomitymi, zdarzyło. Ci czteréj byli to: Homer, Szekspir, Rafael, Spinoza. Stali się oni dla niego przedstawicielami czterech potężnych żywiołów, które w nierozerwanym z sobą związku pracując, wydały dzisiejszą naszę kulturę: żywiołami temi były szczepy: grecki, romański,

germański i semicki. Im zawdzięcza poeta niemiecki pogląd na rozwój dziejowy narodów, którym zawarunkowany był rozwój jego własny. Im zawdzięcza poczucie pierwiastku ogólnie ludzkiego obok specyalnie narodowego. Z Homerem i Szekspirem zapoznał się najprzód. Teraz przyszła koléj na Spinozę, jak w ostatku—na Rafaela.

Goethe zwyczajem stulecia swego znał doskonale biblią, umiał po hebrajsku, zasady religijne doskonale sobie przyswoił, z religijnie usposobionymi ludźmi w ciągłych żył stosunkach, najdawniejszy swój poemat poświęcił opisowi „wstąpieniu do piekła“ przez Chrystusa, opisowi dokonanemu stylem grzmiącéj pastorskiéj wymowy. To jednakże doskonałe obeznanie się z religią, wyznawaną przez naród, nie przeszkadzało mu wcale do przyswajania sobie zdobyczy, płynących z innych źródeł. Herder i Lavater byli dla niego przedstawicielami dwu głównych prądów w życiu kościelném. Herder ze stanowiska historycznego, Lavater z praktycznego uważali chrześcijaństwo za najpotężniejszą dźwignią reformy moralnéj w zepsutéj Europie. Goethe atoli nie dbał o to, którą religią Herder lub Lavater za najlepszą uważali; lecz chciał wiedziéć, jak człowiek sam sobie zostawiony ma się zachować względem rzeczy nadziemskich. Pod tym względem Goethe zawsze wyznawał dwa przekonania: jedno, że istnieje Bóg osobisty, mający, względnie do dziejów ludzkości, pewną wolę i cel pewien; i drugie, że istnieje indywidualna nieśmiertelność. Poeta wyznaje te dwa artykuły wiary, nie szukając i nie dając żadnych dowodów; są one w podstawach jego bytu złożone. Ale po za niemi nic więcéj. Wszelkie szczegóły odrzuca. Wszystkie sprawy nadziemskie, których te dwie myśli nie zaspakajały, były dla niego obojętne. Pragnął natomiast posiadać na gruntownych dowodach opartą teoryą moralnéj organizacyi ludzkości. Z tą kwestyą łączyło się pytanie, jak tę organizacyą poznać a nadto jak wogóle do poznania rzeczy przychodzimy? Odpowiedź na te pytania dać mogła tylko filozofia. Ze wszystkich zaś filozofij najsilniéj do umysłu Goethego przemówiła filozofia Spinozy. System Spinozy pozostał jedynym, którego się Goethe trzymał i którego nie krytykował. Powiada on o sobie skromnie, że sam nie wié, co właściwie z Etyki Spinozy wyczytał; lecz dodaje, że go ta książka powściągnęła, że zawiérała tajemnice bardzo dla niego pożyteczne.

Jakieś niejasne pokrewieństwo ducha pchało Goethego ku Spinozie. W duszy Goethego istniała dziwna mięszanina ślepego instynktu i najjaśniejszéj przenikliwości. Mówi on sam o sobie, że pisząc, nie wié, co pisze; wylewa tylko na papiér twory umysłu

swego i dopiéro późniéj przypatruje się temu, co zrobił. Jako poeta, kochał się przedewszystkiém w przenośniach i porównaniach, nie mogąc myśli swoich w wyrazach ściśle rzecz określających przedstawić. Co więcéj, poeta zrzekł się znajomości siebie samego. Rozmawiając w wieku podeszłym z kanclerzem Müllerem, oświadczył, że o własnym charakterze trzeba się od innych dowiedziéć. Tak więc Goethe, z téj strony rozważany, przedstawia się jako lunatyk, który wykonywa ruchy bezwiednie i sam siebie nie zna; chce używać, chce się poddać niejasnym popędom natury swojéj i usuwa z drogi wszystko, coby pod tym względem na przeszkodzie stanąć mogło.

Z drugiéj atoli strony spostrzegamy w Goethem nielitościwą przedmiotowość i jasność. Jakiś demon podszeptuje mu zawsze na ucho, gdzie się kryje słaba strona ludzi i rzeczy. Do wszystkiego stosuje chłodną krytykę, anatomizuje człowieka, zarówno innych jak i siebie—i nie pozwala sobie na najmniejsze upiększenie zdobytych tą drogą rezultatów. Takim go widzimy jako przyrodnika, historyka, statystę. Tu jest stały, silny, zimny. Tu nie pragnie on używać, ale utrzymuje, że wyrzeczenie się uciech jest nakazane. Ze stanowczą bezwzględnością stara się obowiązki swoje wypełniać.

W życiu Goethego dostrzegamy albo jednę, albo drugą stronę jego natury; lecz nigdy nie widzimy ich w połączeniu. Albo tworzy, albo prawie nieczule patrzy na to, co napisał i nie wié, co z tém począć; albo jak omamione dziecko oddaje się z całą ufnością jakiemuś człowiekowi, albo téż twardo przeciw niemu staje jak mąż mający już po za sobą wszystkie doświadczenia życiowe. Ta kolejna przemiana nigdy się u niego nie kończy. Zawsze spotyka nowych ludzi, kocha ich na nowo i odpycha od siebie nielitościwie. Kiedy nadejdzie godzina krytyki, gdyż uczucie własnéj pokonanéj już głupoty, drażni go niewymownie; a jak tylko zacznie krytykować, już go nic zadowolnić nie może.

Otóż Goethe znalazł w systemacie Spinozy zaspokojenie owéj jasnéj, krytycznéj strony owego umysłu. Jak ci, co badają chłodno i bez żadnéj namiętności prawa posuwania się gleczerów (lodników), tak Spinoza dociekał, według jakich praw płynie olbrzymi potok ludzkości i dokąd płynie. Przy tém dociekaniu nie miał na względzie żadnych osobistych mrzonek, żadnych narodowych przesądów, żadnych określonych zamiarów, lecz tylko rzecz samę.

Z badania okazał się w końcu ten wynik, że dobro jestto coś rzeczywistego a zło nie jest to nic rzeczywistego, ale tylko zaprzeczenie dobrego. Goethemu podobała się trzeźwość, suchość i przedmiotowość filozofa. O rzeczach przechodzących pojęcie ludz-

kie nie potrzebował on wcale obcéj nauki, miał on swoje przekonania, które z nim razem wzrosły. Stanowczy rozdział między filozofią a teologią, jaki u Spinozy znalazł, wybornie odpowiadał jego potrzebom. Teologia i filozofia, to tak różne dla niego żywioły jak morze i ląd. Na pierwszém wichry i fale; na drugim—ziemia twarda i stała. Tak samo rzecz tę rozumiał Lessing, który z całéj duszy przylgnął do nauki Spinozy. Jacobi przeciwnie, szukający uczuciowych stron wszędzie, obmacywał nadziemskie tajemnice, a stronienie Spinozy od tego, czego rozum dotknąć nie mógł, chciał oskarżyć o ateizm. Na tym punkcie Goethe i Jacobi rozejść się musieli. Goethe nadzwyczaj rzadko i to z zaufanemi jedynie przyjaciołmi rozmawiał o Bogu i nieśmiertelności; Jacobi chciał o tém rozprawiać głośno z przeciwnikami. Jacobiemu zdawało się, że używszy właściwéj sprężyny potrafi nakłonić Goethego do przesiąkniętéj teologią filozofii, Goethe zaś z jednakową stałością zawsze myśl tę od siebie odsuwał. Poeta niemiecki miał wielu nieprzyjaciół, którzy go „wielkim poganinem“ nazywali, przy sposobności sam nazwał się „poganinem,“ ale nigdy ateuszem lub niewiernym....

Mimochodem już tylko zaznaczyć wypada niespodziéwane odwiedziny, jakie odebrał Goethe w jesieni r. 1774. Klopstock przejeżdżając przez Frankfurt, do margrafa badeńskiego, widział się z młodym poetą. Szczegółów tego zetknięcia się dwu ludzi, z których jeden miał lat 51 i ogromne w Niemczech znaczenie; a drugi rozpoczynał dopiéro swój świetny zawód, lekceważąc literackie powagi, nie znamy, tyle więc jedynie da się powiedzieć, że Goethe z lekceważenia swego powag zrobił wyjątek dla Klopstocka. Rzecz jednak dziwna, że wpływ tego poety, którego Goethe czcił i szanował od dzieciństwa, prawie się niedostrzegalnym na twórczość jego okazał. Co najwyżéj tragedya „Mahomet,“ gdzie trudno domyśléć się ręki Goethego, ma w sobie coś z Klopstocka. Natomiast przypomniéć sobie należy tę scenę z „Cierpień Werthera,“ kiedy bohatér wraz z Lottą, stojąc obok siebie przy oknie, wśród nocy na balu i spoglądając w pomrokę, jedno tylko powiedzieli sobie słowo: *Klopstock*! W słowie tém zawarli wszystko, co się tylko wzniosłego w owéj chwili powiedziéć dało. Klopstock był przedstawicielem urzędowym poezyi niemieckiéj. Jego „Messyasz“ postawił go w oczach spółczesnych po nad Homerem, tak samo jak Henryada w przekonaniu Voltaire'a i Francuzów wyżéj stała niż Iliada. Klopstock był przyjacielem książąt i księżniczek i w postawie swojéj miał coś książęcego. Będąc pierwotnie teologiem, zachował na całe życie chęć nawracania, więc téż ujrzawszy w utworach czyichbądź coś zdrożnego, rozpisywał listy do autorów, którzy naganę przyj-

mowali z pokorą. Z tego powodu miał z nim Goethe niezbyt miłe zajście—Klopstock posiadał całą kancelaryą literacką po całych Niemczech rozproszoną, a jako symboliczny obraz państewka, zostającego pod jego rządami, napisał „Rzeczpospolitą uczonych"— mięszaninę romantycznego opowiadania i trzeźwego rozumowania w rodzaju Emila Roussa. Całe Niemcy prenumerowały tę książkę. Goethe nazwał ją „najznakomitszém zjawiskiem stulecia, zawierającém jedyną możliwą poetykę."

W tym czasie kiedy go Klopstock odwiedził, nosił się Goethe ze swoją „Stellą." Treść jéj, poczerpnięta ze stosunku Bürgera do „Molly;" nawet dla Fryderyka II, którego ani urzędowa moralność niemiecka, ani młodzi poeci niemieccy nie obchodzili, wydała się wstrętną; a cóż dopiéro dla Klopstocka! Dwie kobiéty, mające pewne prawa do serca jednego mężczyzny, kończą na tém, że obie poślubiają ukochanego. Oskarżano naturalnie Goethego o obronę dwużeństwa. To téż późniéj zmienił poeta rozwiązanie i ponieważ mu chodziło głównie o wystawienie dwu przeciwnych charakterów niewieścich, dokonawszy więc tego, kazał bohatérowi skończyć życie samobójstwem.

Na jesień 1774 r., już po wydaniu Werthera, przypada nowy stosunek miłosny Goethego. Spotkał dziewczę, pokochał je, i doznał wzajemności i nic nie przeszkadzało do połączenia się węzłem małżeńskim i rozpoczęcia swobodnego mieszczańskiego żywota. Nie była to już ani córka oberżysty, ani pół wieśniaczka,—pół mieszczka, ale spadkobierczyni znakomitego we Frankfurcie domu. Salony, bale maskowe, przejażdżki po wodzie i lądzie występują tu na scenę; wiele poważnych osób bierze w niéj udział; zamiast małéj sztuczki mamy całą pięcioaktową komedyą. Goethe był natenczas wcale dobrą partyą. Młody, piękny, zamożny, sławny nawet, mógł śmiało stanąć do pary z 16-letnią dziewczyną, która się w nim pokochała. W „Klaudynie z Villabella" przedstawił on siebie w postaci Rugantina, który wesoło przepędziwszy młodość w gronie towarzyszy, po licznych awanturach i przygodach miłosnych dostaje się w moc czarodziejki dziewicy, ażeby spokojniejszy żywot rozpocząć... Lili Schönemann, dobre, otwarte, młodziutkie ale rozpieszczone dziewczę było ową czarodziejką względem Goethego. Wychowana wśród wszystkich korzyści bogactwa, ani pojmowała innego życia jak towarzyskie, pełne blasku i elegancyi. Lubiła się otaczać gronem wielbicieli i dręczyć ich;—wyznawała to jawnie. Kiedy robiła te zwierzenia, Goethe słuchał ich z przyjemnością; ale kiedy je w praktyce względem niego zastosowała, niezbyt miło mu było. Lilli wzięła wielbiciela na zazdrość, kazała mu długo koło siebie się krę-

cić; uspakaja go następnie i znowu do rozpaczy przyprowadza, słowem, wybiéra wyborny sposób zatrzymania go przy sobie. Trwa to trzy miesiące (w zimie 1775), dopóki zaręczyny nie nastąpiły. Lilli zwyciężyła; ale po zwycięstwie uczuła, że pokonany tęskni za wolnością. Goethe, jak zwykle przekonawszy się, że go kobiéta kocha, trzeźwieje nagle; zaledwie został urzędowym narzeczonym, myśli już o oswobodzeniu się: w Kwietniu nastąpiły zaręczyny a już w Maju donosi Goethe Herderowi, że wszystko pogrążyło się w niepamięć. Mylił się jednak; rzeczy nie poszły tak gładko.

Nastąpiła teraz koléj dręczenia Lilli przez Goethego. W Maju wybiéra się poeta w podróż do Szwajcaryi, a w dalszym planie do Włoch. Przyjechali do Frankfurtu dwaj młodzi hrabiowie Stolberg, z których siostrą Augustą, nie znając jéj osobiście, najpoufaléj Goethe korespondował. Byli to wzorowi wychowańcy Klopstocka. Goethe poróżnił się z nimi późniéj i odmalował ich w „Dichtung und Wahrheit“ z ironią, któréj rzadko używał. Byli to młodzieńcy zapalni, marzyli o wolności, nienawidzili tyranów w ogóle, nie myśląc o żadnym tyranie w szczególności. Z nimi i z hrabią Haugwitzem tedy wybrał się Goethe w drogę. Jednym z celów podróży były konferencye z Lavaterem w Zurychu, gdyż wtedy jeszcze wierzył Goethe w naukę proroka jak najmocniéj: kiedy Augusta Stolberg przysłała mu swoję sylwetkę, poeta odnalazł całą duszę korespondentki w rysunku i w entuzyastycznym opisie udzielił jéj swoje spostrzeżenia. Mieszkając w Zurychu naradzał się z Lavaterem co do wydawnictwa dalszych części „Fragmentów fizyognomicznych“— i marzył o Lilli, która w oddaleniu milszą mu się stała. Z Zurychu po przez góry przedarli się podróżni do jeziora Vierwaldstäckiego. Wśród mgły i deszczu drapie się Goethe na Rigi, wstępuje na górę ś. Gotarda z mocném postanowieniem udania się do Włoch. Tu jednak dokonywa się zmiana. Rzeczy były już zapakowane; w tém spostrzega Goethe małe złote serduszko podarowane mu przez Lilli, które nosił na szyi; byłto dzień urodzin narzeczonéj. Poeta całuje złote serce; nieprzezwyciężona tęsknota ogarnia jego duszę; każe ludziom nawracać i—udaje się do Frankfurtu (w końcu czerwca). Lilli była wtedy u krewnych w Offenbachu. Listy Goethego z tego czasu pokazują, że z wielkiém uczuciem szczęścia stał się dawnym ukochanym niewolnikiem. Lilli była nietylko piękna, ale zręczna, powabna, elegancka. Goethe był takimże: ubierał się strojnie, dbał o swoję powierzchowność, wydawał więcéj pieniędzy niż mu ojciec i prace piśmienne dostarczyć mogły; pożyczał więc u przyjaciół, u Jacobiego, u pani Laroche i innych. Bawili się przewybornie niedługo jednakże. Zaszły nieporozumienia, którym nie sami Goethe

i Lilli byli winni. W rodzinie panny były osoby, nieżyczące sobie małżeństwa. Lilli widocznie nie chciała być tą, która została opuszczoną, ale nie mogła się sama zdecydować na zerwanie stosunku. Goethe opowiada, że panna zaproponowała mu razu pewnego porzucić wszystko i pojechać do Ameryki, ażeby tam żyć dla samych siebie. Poeta na to nie przystał i według wszelkiego prawdopodobieństwa projekt powyższy przeszedł po umyśle panny jak lotna chmurka... Rozwiązanie było daleko prozaiczniejsze. Jarmark we Frankfurcie stanowił corocznie wielki wypadek. Mnóstwo znajomych przyjeżdżało do miasta, a rodziny bawiły się bardzo wesoło. Wtedy to Lilli, otoczona liczném gronem poufałych przyjaciół domu i krewnych, przyjmowała ich hołdy w sposób dla Goethego nieznośny. Wymówił się z tém głośno: stosunek pękł bez zbyt wielu łez, jak się zdaje...

Po tém zajściu Frankfurt nie mógł być miłém dla Goethego miejscem pobytu. Chciał uciec dokądbądź. Zamierzał do Włoch się puścić, gdy w tém nowy stosunek, jakby losem przygotowany, gdzieindziéj go zwrócił.

Wkrótce po Klopstocku odwiedzili Goethego dwaj weimarscy książęta: starszy Karol August z hrabią Görz jako guwernerem i młodszy Konstanty wraz z byłym oficerem pruskim von Knebel. Bawili u niego dni parę; porozumieli się i polubili. Szczególniéj Knebel, słuszny mężczyzna lat 30-u, którego Goethe wśród zmroku wziął za Jacobiego, został przyjacielem poety. Kiedy książęta odjechali do Moguncyi zatrzymał się on u Goethego, ażeby razem z nim tamże przybyć. W Moguncyi rozpoczął się na nowo stosunek z książętami; w podróży do Szwajcaryi spotkał się z nimi Goethe w Carlsruhe, kiedy Karol August był już zdeklarowanym narzeczonym księżny Ludwiki Hessen—Darmstadzkiéj. Goethe, dobrze znany w Darmstadzie, zbliżył się wtedy więcéj do księcia a z Kneblem zawiązał stosunek listowny, który utrzymywał trwały i żywy związek z Weimarem. 3 Września 1775 r. objął rządy księstwa Karol August i udał się do Carlsruhe, gdzie ślub jego uroczyście obchodzono. Wówczas widział się znów z Goethem a kiedy w środku Października zatrzymał się wraz z młodą żoną we Frankfurcie, umówił się z poetą o odwiedziny w Weimarze. Oznaczono dzień i godzinę, kiedy Goethe wraz z Kamerjunkrem miał się udać w drogę. Napróżno jednak oczekiwano; ani powóz ani kamerjunker nie zjawiał się. Wyglądało to tak, jakby się rozmyślono i o adwokacie frankfurckim zapomniano. Szczególniéj ojciec Goethego, który z książętami nie lubił się wdawać, za takiém rozumieniem sprawy téj głosował. Poeta zdecydował się pojechać do Włoch i 30 Października wybrał się

w podróż. Ale gdy był w Heidelbergu, dogoniła go sztafeta księcia Karola Augusta i zniewolila do powrotu.

W wilią wyjazdu do Wejmaru Goethe, przebiegając ciemne ulice Frankfurtu, przechodził koło domu Lilli, która mieszkała na dole. Z po za zapuszczonych rolet widział, jak Lilli siadała do klawikordu, jak przyniesiono światło, jak śpiewała piosenkę jego: „Czemu tak nieprzeparcie ku sobie mię ciągniesz?....“ Goethe mówi, że w téj chwili musiał użyć całéj siły swego charakteru, ażeby nie wejść do pokoju... Opór Lilli, jéj samoistność, jéj chłodna rozwaga wywiérały urok na Goethego. Opuszczona przezeń narzeczona dla rozrywki jakiegoś towarzystwa śpiewała pieśń jego... To go oburzało, ale zarazem pociągało. Chociaż zdawało się, że on ją opuścił, mógł jednak sobie powiedzieć, że właściwie Lilli go porzuciła, gdyż nie straciła wcale równowagi duchowéj. Długo téż o niéj pamiętał i kilka prześlicznych wierszy do niéj napisał, z których jeden może przypomniał sobie Mickiewicz, kiedy był w Splügen w Alpach („Nigdyż więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę“):

Im holden Thal, auf schneebedeckten Höhen
War stets Dein Bild mir nah... itd.

Lilli w trzy lata po rozłączeniu się z Goethem wyszła za alzackiego barona von Kürckheim; a kiedy Goethe w 1779 przejeżdżał przez Strasburg, widział ją z pierwszém jéj dzieckiem. Potém nigdy już jéj nie ujrzał, ale ona pamiętała o nim i w zwierzeniach swoich przed hrabiną Egloffstein wyznała, że Goethemu zawdzięcza swoję duchową, moralną egzystencyą i prosiła hrabinę, ażeby oświadczyła poecie jéj najserdeczniejszą wdzięczność za chwile z nim przeżyte. Rozmaite okoliczności przeszkodziły hrabinie donieść Goethemu to miłe wyznanie, tak że dopiéro w r. 1830 kiedy poeta miał lat 80 i spisywał ostatnie części „Dichtung und Wahrheit, gdzie o Lilli jest mowa, dowiedział się o niém. . List, zawierający to przypomnienie pięknych chwil młodości, ze wzruszeniem do ust sędziwy poeta przycisnął.....

*P. Chmielowski.*

---

# LUDY PIERWOTNE

## POŁUDNIOWEJ AFRYKI

przez

**D-ra Antoniego Rehmana.**

---

Poznanie pierwotnego stanu ludzkości jest przedmiotem godnym zajęcia nietylko dla uczonego specyalisty, ale i dla każdego myślącego człowieka, bo każdy szczegół z życia pierwotnych ludów jest poniekąd kartką własnych jego dziejów i przyczynia się do poznania jego jestestwa. Jeżeli najnowszym badaniom na polu paleografii udało się przełamać zastarzałe przesądy, posunąć dzieje rodu ludzkiego o kilkadziesiąt tysięcy lat wstecz i podnieść wartość i zasługę cywilizacyi przez wykazanie przestrzeni, jaka dzieli ją od pierwotnych jéj zawiązków, to badanie ludów żyjących obecnie na ziemi w stanie pierwotnéj dzikości ma tę wyższość nad badaniami historyków, że uzupełniając skreślony przez nich obraz fizycznego stanu pierwotnego człowieka, pozwala nam zajrzéć w stan jego umysłowy i uchylić przynajmniéj częściowo grubą zasłonę, jaka pokrywała dotychczas pierwotne zawiązki cywilizacyi.

Nie ma może więcéj zajmującéj okolicy dla antropologa, jak południowa Afryka, bo na niewielkiéj stosunkowo przestrzeni żyją tutaj po dziś dzień trzy ludy pierwotne w tym samym prawie stanie, w jakim żyły przed czterema wiekami, gdy Europejczycy odkryli południowy kraniec „czarnego kontynentu.“ W ciągu dwuletniego pobytu w tamtych stronach nadarzała mi się wielokrotnie sposobność stykania się z tymi ludami i rozpatrzenia się dość dokładnie w obecnym ich stanie. Ponieważ wiadomości podawane przez innych podróżników o tym przedmiocie są wogóle dość niedokładne

a w wielu razach grzeszą przesadą, gdy nadto w zetknięciu z europejską cywilizacyą jedne z tych ludów tracą pierwotny swój charakter a inne, przeznaczone na zagładę, z przerażającą szybkością ulegają fatalnemu losowi, przeto sądzę, że ogłoszenie szczegółów zebranych w ciągu méj podróży nie będzie bez wartości i przyczyni się choć w części do uzupełnienia materyałów nagromadzonych przez innych.

Gdy w roku 1486 nieustraszony Bartholomeo Diaz odkrył południową kończynę Afryki, ludy zamieszkujące tę część ziem przedstawiały trzy pierwotne stadya rozwoju ludzkości. Buszmani byli ludem myśliwskim. Hottentoci pasterskim, a Kafrowie rolniczym.

Czterowiekowe zetknięcie się z wyższą cywilizacyą nie pozostało bez wpływu na pierwotny stan tych ludów; zmieniła się ich liczba, zmieniły wzajemne granice i pozaciérały niektóre szczegóły, ale typy plemienne i sposób życia pozostały w głównych zarysach też same.

Za pierwotnych mieszkańców tych stron wypada uważać Buszmanów i Hottentotów; najstarsze kroniki, odnoszące się do historyi tego kraju, prawie wyłącznie o nich tylko wspominają, co dowodzi, że przed czterystu laty oni byli wyłącznymi jego panami. Obydwa te plemiona odznaczają się pod względem fizycznym wielu ważnemi, im tylko właściwémi szczegółami, w skutek czego antropologowie jednozgodnie prawie za właściwą rasę ludzi ich uważają. Lecz z drugiéj strony, obok wspólnych cech fizycznych, napotykamy szczególne znamiona, które przemawiają za tém, że Buszmani i Hottentoci są dwoma odmiennymi ludami, a pogląd ten znajduje bardzo silne poparcie w odmiennym sposobie życia i różnicy w językach, w skutek czego twierdzenie niektórych podróżników, jakoby dziwny naród Buszmanów wytworzył się jedynie z biegiem czasu, w skutek fizycznego i moralnego upadku pojedynczych rodzin hottentockich (1) jest zupełnie bezzasadném. Kafrowie zamieszkujący obecnie różne części kolonii są spokrewnieni językiem i zwyczajami z ludami zamieszkującemi po dziś dzień ogromne obszary we wnętrzu środkowéj Afryki; należą oni do wielkiéj rodziny ludów murzyńskich, ale tworzą osobną jéj gałęź, oznaczaną w najnowszych czasach nazwą Bantu-Negrów, a bezustanne wędrówki, jakie odbywają obecnie, jakoteż i tradycya przechowująca się między nimi przemawiają za tém, że dopiéro w ciągu ostatnich kilku wieków przybyli z północy i przebywszy rzekę Zambezi rozpostarli się w téj

---

(1) Waitz: Antoprologie XI. 327.

części Afryki, a wyparłszy przemocą Buszmanów i Hottentotów z ich pierwotnych siedzib, przywłaszczyli sobie najurodzajniejsze okolice.

## I.

## Buszmani.

Na najniższym stopniu rozwoju, tak pod względem fizycznym jako i społecznym stoją niezaprzeczenie Buszmani, a szczegóły podawane o nich przez różnych podróżników w tak dziwaczną składają się całość, że bezstronny czytelnik, czytając te opisy mimowoli o wiarogodności ich powątpiewać musi. Najniekorzystniejsze sądy pochodzą od misyonarzy angielskich; wrażenie jakie widok Buszmanów robił na tych posłannikach oświaty było tak silném, że niektórzy z nich ośmielili się powątpiewać, czy Buszman jest rzeczywiście człowiekiem, przypuszczając, że wypadałoby go może raczéj uważać za formę przejściową pomiędzy zwierzętami i ludźmi, a jeden z nich (Fleming) cieszy się nawet szybkiém niknięciem tego ludu i zupełną zagładę jego uważa za konieczną dla uratowania godności człowieczeństwa. Właściwa ich nazwa jest Saan; tak nazywają się sami pomiędzy sobą.

Nazwa *Buszman* czyli *Boshiesman* została im nadaną przez holenderskich kolonistów, a wyraz ten oznacza orangutana, którego Holendrzy poznali w Indyach; jakoż koloniści nie uważają do dziś dnia Buszmanów za ludzi, a jak obchodzili się z nimi w niedalekiéj jeszcze przeszłości, o tém będzie wzmianka poniżéj.

Trudno zaprzeczyć, że widok Buszmana robi na przybywającym do kolonii Europejczyku, którego oczy przywykły od dzieciństwa tylko do widoków swoich białych współbraci, wrażenie istoty niższéj i od natury upośledzonéj. Uderzającym jest przedewszystkiém ich mały wzrost; średnia ich miara, podawana przez różnych podróżników, wynosi cztéry stopy i kilka cali i powtarza się na całym obszarze kraju od brzegów Antlantyku aż po morze Indyjskie i od Przylądka Dobréj Nadziei aż po rzekę Zambezi; a gdy u ludów ucywilizowanych średni wzrost kobiéty jest zawsze mniejszy od wzrostu mężczyzny, u Buszmanów różnica ta prawie wcale nie istnieje. Podróżnik Barrow napotkał gromadę Buszmanów złożoną ze stu pięćdziesięciu osób, w któréj wzrost największego mężczyzny wynosił cztery stopy i dziewięć cali, największéj kobiéty cztery stopy i cztery cale, a najmniejsza z zamężnych kobiét była wysoką na trzy stopy i dziewięć cali; średnia miara ich wzrostu, podana

przez Barrowa, wynosi 1300 milimetrów. Autor cennéj pracy o ludach południowéj Afryki, Gustaw Fritsche podaje średni wzrost Buszmanów, obliczony jednakowoż tylko według sześciu indywiduów, na 1.444 milimetrów a Knox na 1.372. Ponieważ studya etnograficzne nie były objęte planem méj podróży, przeto nie zbiérałem i nie posiadam żadnych dat szczegółowych dla poparcia powyższych twierdzeń, ale indywidua buszmańskie, jakie napotykałem w podróży, uderzały mnie na pierwszy rzut oka niskim wzrostem, a cecha ta przechowuje się nadto stale u mieszkańców buszmańskiego pochodzenia. Niektórzy podróżnicy (Bains, Chapman i Liwingstone) wzmiankują co prawda, że w zachodnich stronach południowéj Afryki, mianowicie w pustyni Kalihari i około jeziora Ngami, napotykali gromady Buszmanów odznaczających się dobrym wzrostem i dobrą budową ciała; gdy jednakowoż plemiona Buszmanów, Hottentotów i Kafrów, mieszkające w tych stronach np. w kraju Damara, nie zajmują ściśle odgraniczonych miejscowości i bezustannie z sobą się stykają, przeto prawdopodobną jest rzeczą, że napotykane przez wzmiankowanych podróżników rodziny nie przedstawiają czystych typów, lecz powstały przez pomięszanie się Buszmanów z innemi plemionami. Przemawiają za tém silnie dwie okoliczności. Buszmani w kraju Damara znajdują się w stosunku poddaństwa do Kafrów i Hottentotów, a wzajemne ich łączenie się jest naturalném następstwem tego stosunku.

Ważniejszym jest może szczegół, podany przez Galtona i Alexandra, że Buszmani w kraju Damara nie różnią się od tamtejszych Hottentotów językiem, lecz jedynie sposobem życia.

Buszmani odznaczają się właściwą typową fizyognomią, która pozwala odróżnić ich na pierwszy rzut oka od ludów murzyńskich, i któréj ślady jeszcze u mieszkańców buszmańskiego pochodzenia uparcie się przechowują. Czoło ich bywa zazwyczaj niskie i płaskie, kości policzkowe silnie wystające i oddalone od siebie, kość nosowa mało podniesiona, w skutek czego nos bardzo słabo rozwinięty występuje czasami w postaci małego zgrubienia dopiéro nad górną wargą, co nadaje twarzy wyraz zwierzęcy, szpetny i rażący, wargi są zlekka nabrzmiałe i ku zewnątrz rozpłaszczone, lecz nie tak silnie wyrzucone jak u murzynów, szczęki dość silnie rozwinięte, jednakowoż skłonność do prognatyzmu nie jest rażącą, broda zazwyczaj ostro zakończona. Oczy małe, czarne, ruchliwe, dziko połyskujące, głęboko osadzone i oddalone od siebie, ale twierdzenie niektórych podróżników jakoby były osadzone ukośnie jest bezwarunkowo nie prawdziwém.

Na szczególną uwagę zasługuje porost głowy; włosy krótkie łączą się w drobne kręcone kosmyki, rozrzucone po całéj głowie; kupią się one w nieco większéj ilości na jéj wierzchołku, ale po bokach głowy prześwieca zazwyczaj naga skóra. Włosy te, widziane pod mikroskopem, ukazują się znacznie spłaszczone, co zdaje się być powodem ich silnego kręcenia się. Gdy porost jest nieco bujniejszym, kosmyki łączą się z sobą i wytwarzają jednostajnie powikłaną, gęstą, kutnerowatą tkaninę (Verfilzung); nie są one czarne, jak u murzynów, lecz mają barwę ciemnopopielatą; cechę tę uważam za stałą i nie sądzę, ażeby pochodziła z nagromadzenia obcych istot. Wzrost włosów jest bardzo ograniczony i zdaje się, że wcześnie ustaje. Zarost na twarzy i reszcie ciała jest prawie żaden.

Budowa całego ciała jest u Buszmanów dosyć proporcyonalną; ręce, które u innych ludów murzyńskich są znacznie dłuższe aniżeli u Europejczyków, bo sięgają aż do kolan i przypominają mimowoli nieproporcyonalne rozmiary odnóg u małp bezogonnych starego świata, są u Buszmanów stosunkowo dość krótkie a kończyny od nóg małe i zgrabne. Godnym jest uwagi fakt podany przez Fritscha, że paznogcie u Buszmanów nie są nigdy tak białe jak u Kafrów. Wszyscy prawie podróżnicy zastanawiają się nad chudością tych ludzi i słabym rozwojem mięśniów (prawie zupełny brak łydek). Jednakowoż zjawiska tego nie można uważać za własność rasową, lecz poprostu za następstwo niedostatecznego pożywienia, które pociąga za sobą brak siły fizycznéj.

Buszmani i Hottentoci różnią się od Kafrów na pierwszy rzut oka barwą ciała: jest ona brudnożółtą i przypomina barwę wygarbowanéj skóry cielęcéj; uderzającą jest jéj skłonność do marszczenia się, zmarszczki na twarzy występują już przed dwudziestym rokiem życia, a na czole układa się skóra w grube podłużne fałdy, co podnosi naturalną dzikość twarzy u starszych ludzi.

Znamiona drugorzędne u kobiét przedstawiają kilka ciekawych szczegółów, a przynajmniéj występują w odmiennéj postaci jak u ludów cywilizowanych. Różnica we wzroście nie istnieje prawie wcale, a rozmiary i układ kości są w obu rodzajach tak podobne, że odróżnienie szkieletu mężczyzny od szkieletu kobiéty jest niemożebném. Piersi u Buszmanek są również bardzo słabo rozwinięte, nabrzmiéwają dopiéro po zamążpójściu, a z wiekiem późniejszym wydłużają się silnie i przybiérają postać workowatą. Brak ten zastąpiła przyroda u kobiét buszmańskich sowicie steatopygią; polega ona na anormalnym rozwoju tkanki tłuszczowéj poniżéj kości pacierzowéj, na samém siedzeniu, które u góry wygina się silnie i tworzy garb przechodzący niepostrzeżenie w uda; a zatém wręcz przeci-

wnie jak u ludów europejskich. Steatopygia jest wspólną cechą Buszmanek i Hottentotek, u tych ostatnich dochodzi niekiedy przy regularném odżywianiu do potwornych rozmiarów. Ślady steatopygii mają się znachodzić i u ludów papuańskich.

W tym stanie rzeczy chyba tylko silne uprzedzenie, albo skłonność do excentryczności, zdołają odmówić istotom buszmańskim ludzkiéj postaci, bo bezstronny badacz nie znajduje w organizmie ich nic takiego, coby ich od reszty rodzaju ludzkiego gatunkowo oddzielać miało. Chociaż z drugiéj strony trudno zaprzeczyć, że ich ruchy i zachowanie się robią wrażenie nadzwyczajnéj dzikości. Uderza to szczególniéj u jednostek, które wychowały się w pustyni, nie stykając się z ludźmi ucywilizowanymi, albo u dzieci, które nie są w stanie zapanować nad wewnętrznemi uczuciami, a ruchliwe ich oczy, zdradzające wewnętrzny niespokój, przypominają mimowoli wzrok małp trzymanych w niewoli.

To wrażenie dzikości uderza tém silniéj, jeżeli podróżnik miał sposobność oglądać i inne ludy tych okolic i porównywuje dzikiego Buszmana ze spokojnym, uprzejmym i gadatliwym Kafrem. Gdy odwiedzałem kraale Kafrów w Natalu, właściciele ich przyjmowali mnie zawsze z uśmiechniętą twarzą i wyciągniętą do uścisku dłonią, a około dorodnych postaci mężczyzn i kobiét kupiły się gromadnie dzieci i przyglądały się z ciekawością, ale bez trwogi. Buszmani lękają się zarówno białych, jak i czarnych współbraci, ich widok jest dla nich przerażającym, uciekają przed nimi, a jeżeli srogie cierpienia głodu przymuszą ich do zetknięcia się z nimi, wówczas niespokojny wzrok zdradza wewnętrzną obawę i podnosi wrażenie dzikości.

Jest jeszcze jeden szczegół w organizmie buszmańskim, odróżniający ich od innych ras afrykańskich, mianowicie postać głowy, która jest u nich od przodu ku tyłowi wydłużoną, wąską i niską.

Jeżeli linią poprowadzoną od czoła ku tyłowi czaszki nazwiemy osią podłużną, a linią łączącą boki czaszki osią poprzeczną i będziemy porównywali te osie u różnych ras ludzkich, to przekonamy się, że wzajemny ich stosunek w jednéj i téj saméj rasie jest zmiennym, ale porusza się w pewnych, dość stale oznaczonych granicach. Największą liczbę czaszek zmierzył dotąd niemiecki antropolog Welcker, a wypadek jego poszukiwania w krótkości jest następujący. Jeżeli długość osi podłużnéj oznaczymy przez 100, to najpospolitszy rozmiar osi poprzecznéj, czyli szerokości głowy, wynosi 74 do 78; i ten stosunek przyjmuje Welcker za średni dla wszystkich ludzi. Jasną jest rzeczą, że jeżeli szerokość się zmniejsza, to czaszka przybiéra postać podłużną, jeżeli się zwiększa, czaszka

staje się krótką i dlatego, stosownie do jéj postaci, możnaby podzielić wszystkich ludzi na krótko i długogłowych. Najkrótsze głowy napotykamy u ludów mongolskiego pochodzenia, gdzie wykładnik szerokości dochodzi do 97; najdłuższe u mieszkańców Polynezyi, gdzie ten wykładnik obniża się do 68, np. u mieszkańców wysp Karolińskich, a w wyjątkowych razach do 62. Nie robił Welcker bezpośrednich pomiarów na czaszkach Buszmanów, bo ich nie posiadał, ale szerokość głowy u Hottentotów znalazł 69 a angielski antropolog Davis, porównywując czaszki Hottentotów z buszmańskiemi, przekonał się, że te ostatnie są jeszcze dłuższe, a szerokość ich powinnaby wynosić tylko 66 lub 67. Oprócz tego czaszka ich jest stosunkowo bardzo niską, bo gdy wykładnik wysokości u ludów europejskich dochodzi do 82, u Kafrów do 74, to u Hottentotów wynosi tylko 70 a u Buszmanów, o ile można wnioskować z pomiarów Davisa, powinienby wynosić tylko 70.

Jednakowoż liczb tych nie można uważać za ostateczny i stanowczy wynik poszukiwań, bo do tego potrzeba daleko obfitszego materyału, aniżeli nim obecnie rozporządzamy; Welcker badał tylko czaszki Hottentotów, a Davis rozporządzał tylko czterema czaszkami buszmańskiemi.

Ubranie ma dla człowieka dwojakie znaczenie: chroni go przed niekorzystnym wpływem klimatu i pokrywa jego nagość, a rozbudzenie się poczucia wstydu musi być koniecznie uważane za oznakę postępu, bo jest wyłączną własnością człowieka. Do ludów, u których uczucie to jeszcze się nie rozbudziło, zalicza Peschel i Buszmanów, a twierdzenie jego znajduje poparcie u wszystkich podróżników, którzy ich widzieli w pierwotnym stanie zdala od ostatnich krańców cywilizacyi. Misyonarze, Fleming i Merensky, wspominają, że kobiéty buszmańskie przepasują przez biodra wąski kawałek skóry, nacinany z przodu we frendzle, ozdobione niekiedy paciorkami, lecz strój ten przyjęli z pewnością w zetknięciu z białymi; gdy znajdą się w możności, przybiérają nawet zupełny strój europejski. W pierwotnym stanie w porze letniéj, gdy skwar afrykański wszelkie odzienie czyni zbytecznym ciężarem, chodzą oni zupełnie nago, a na niezliczonych rysunkach zdobiących ściany skalistych kryjówek, które służyły im niegdyś za schronienie, ich własne postacie są również przedstawione w zupełnéj nagości. W porze zimowéj klimat w tych stronach jest dosyć ostrym, zimno w nocy niekiedy bardzo dokuczliwe i wówczas używają do pokrycia ciała skór zwierzęcych, jak to czynią i inne ludy pierwotne.

Uderzającym jest u Buszmanów brak ozdób a to tém więcéj, że Kafrowie i Hottentoci bardzo wysoko je cenią i zarówno mężczy-

zni jak i kobiéty okrywają niemi głowę, ramiona i nogi, a nawet twarz w tym celu nacinają. Dziurawią Buszmani uszy i nozdrza i zakładają w nie kolce jeżozwierza, albo patyczki; zdaje się jednakowoż, że użytek ten nie jest bardzo rozpowszechnionym, bo pomiędzy Buszmanami, napotykanemi w podróży, ozdób tych prawie nigdy nie widziałem. Nie nacinają również skóry, ale zdaje się, że zwyczaj malowania twarzy był u nich w używaniu, bo w kraju Oranje napotkałem raz trzy dziewczynki buszmańskie z wargami pomalowanemi na czarno; zostawały one w służbie u jednego z tamtejszych kolonistów i ubierały się już po europejsku; zapytane o przyczynę pomalowania warg tłómaczyły się, że bolą je od zimna. W kraju Grykwa, gdzie nieliczne niedobitki buszmańskie stykają się częściéj z Europejczykami, mają oni łatwość nabywania szklanych paciorków i metalowych guzików od podróżujących handlarzy i nie gardzą temi ozdobami.

Nie budują sztucznych mieszkań; za miejsce pobytu służą im jaskinie i szczeliny skał a za wyborem miejscowości przemawia przedewszystkiém jéj dzikość i niedostępność. Zwyczaj zdobienia skał malowidłami pozwala nam dzisiaj odkrywać z łatwością miejscowości niegdyś przez nich zajmowane; w okolicach górzystych zdarzają się one dość często na całym obszarze kraju od brzegów Atlantyku aż po brzegi morza Indyjskiego, a wybór miejscowości jest prawie zawsze godnym podziwu. Nie chodziło im o wygodę, lecz o bezpieczeństwo, i dlatego im dzikszą i niedostępniejszą była jakaś kryjówka, tém chętniéj w niéj przebywali, wystarczała im za mieszkanie szczelina tak wąska, że według naszych pojęć chyba tylko dziki zwierz wślizgnąćby się do niéj potrafił. Jeżeli w pogoni za zwierzyną oddalali się zbytecznie od miejsca stałego pobytu i noc ich zaskoczyła w drodze, przepędzali ją pod zasłoną skał, albo w zaroślach; w zachodniéj części kraju, gdzie na znacznych obszarach nie ma częstokroć ani drzew, ani skał, noszą z sobą maty z sitowia, zawieszają je na kołkach wbitych w ziemię i pod ich zasłoną chroni się cała rodzina przed wiatrem i zimnem; nie posunęli się tak daleko, ażeby przez połączenie kilku takich mat urządzić stalszą zasłonę, jakiéj używają Hottentoci w podróży.

Buszmani są ludem myśliwskim, a mięso ubitych zwierząt ich główném, chociaż nie wyłącznem pożywieniem. Nie ma może na ziemi drugiéj okolicy, któraby posiadała takie bogactwo zwierzyny jak południowa Afryka. Na ogromnych obszarach na południe od rzeki Zambezi żyje kilkadziesiąt gatunków antylop, a niektóre z nich dochodzą do rozmiarów jałówki; bardzo rzadko ukazują się one pojedynczo, lecz żyją zazwyczaj w gromadach do kilkudziesięciu sztuk

dochodzących, a w porze letniéj, przed nadejściem zimy, gromady takie łączą się z sobą i odbywają wspólne podróże, a wówczas ilość ich oblicza się na tysiące. Koloniści holenderscy ruszają w porze zimowéj z całemi rodzinami na polowanie, przepędzają nieraz po trzy do czterech miesięcy pod gołem niebem, a ubita zwierzyna nietylko zaopatruje ich obficie w pożywienie, lecz pozwala nadto robić zapasy suszonego mięsa, które sprzedają za bezcen po wsiach i miasteczkach.

W tym stanie rzeczy myśliwstwo powinnoby zaspakajać dostatecznie wszystkie potrzeby Buszmanów, ale zwierzyna trzyma się tutaj przeważnie okolic otwartych, pokrytych dobrą trawą, a te znajdowały się od niepamiętnych czasów w posiadaniu pasterskich Hottentotów i rolniczych Kafrów, którzy są nieubłaganymi wrogami Buszmana i nie znoszą jego widoku. Tylko w zachodniéj części kraju, gdzie ludność jest bardzo rzadka, Buszmani używają swobody w polowaniu i urządzają zasieki, w które napędzają gromadnie zwierzynę: zasieki takie składają się z palów i chrustu ustawionych we dwa szeregi, rozchodzące się pod kątem prostym; w miejscu, gdzie się dwa ramiona kąta stykają, znajduje się głęboki dół, którego dno jest najeżone ostremi palami. Pędzone antylopy, nie przeczuwając zdrady, dostają się pomiędzy dwa ramiona zasieku, wpadają w dół, jedne zabijają się i ranią, inne, gdy dół się wypełni, uchodzą na wolność przez trupy swoich towarzyszy, a gdy połów się powiedzie, byt myśliwych jest zabezpieczony na kilka tygodni.

Ale na wschodzie i na południu Buszmani zajmują tylko najdziksze i najnieurodzajniejsze okolice górzyste, gdzie zwierzyna jest rzadszą i ostróżniejszą a zawód myśliwski trudniejszy, i w tych stronach umysł buszmański znalazł nieograniczone pole do rozwoju chytrości i podstępu, które są głównemi znamionami ich charakteru. Kafrowie polują w okolicach takich zapomocą assagai, którą rzucają za uciekającą zwierzyną, ale do takiego polowania potrzeba dużo ludzi, jedni czekają na stanowisku, inni napędzają zwierzynę a assagaja wymaga pewnego rzutu i silnego ramienia. Buszman poluje zazwyczaj w odosobnieniu, a że ręka jego jest za słabą, ażeby mogła władać assagają, używa łuków i zatrutych strzał. Łuki ich są małe, nie dochodzą nigdy trzech stóp długości, z cienkiego i elastycznego pręta, napiętego rzemieniem, albo sznurkiem skręconym z kory krzewów należących do rodzajów Gnidia i Passerina. Strzały z drzewa są uzbrojone na końcu ostrym kawałkiem kości, albo krzemieniem.

Różne są podania co do rodzaju trucizny używanéj przez Buszmanów, i zdaje się, że w różnych okolicach w różny wyrabiają ją

sposób, używając w tym celu jadów zwierzęcych i roślinnych. Według Liwingstona i Chapmana Buszmani w pustyni Kalihari i nad jeziorem Ngami zatruwają strzały za pomocą małéj gąsieniczki żyjącéj na drzewach; którą nazywają nga; wnętrzności jéj są nadzwyczaj jadowite; gdy dostaną się do krwi, działają śmiertelnie. Przy zatruwaniu strzał Buszmani postępują bardzo ostróżnie, ująwszy gąsieniczkę we dwa palce gniotą ją z wolna i wyciśnionym płynem namazują ostrze strzały. Używają także jadu wężów; missyonarz Moffał opisuje, że ubiwszy jadowitego węża wyrywają ostróżnie pęcherzyki z pod zębów, płyn w nich zawarty mięszają z sokiem Euphorbii i mięszaninę ogrzéwają przy ogniu, wskutek czego przybiéra gęstość wosku. Używają i innych roślin jadowitych z rodziny liliowatych, np. gatunków Haemanthus toxicarius i Buphone toxicaria, które mięszają również ze sokiem Euphorbii. Trucizna działa najsilniéj póki świeża, wówczas mniejsze zwierzęta zabija w kilkanaście minut, większe dobrze trafione giną w pół godziny.

Do pościgu zwierzyny używają psów; w braku tych pędzą z niezmordowaną wytrwałością za zranioném zwierzęciem i nie odstąpią zdobyczy. Jeżeli ślad jéj przypadkiem utracą, wówczas badają uważnie kierunek lotu ptaków drapieżnych, za pomocą których zgubę zazwyczaj odnajdują.

Pomiędzy rysunkami zdobiącemi skały ich kryjówek, można napotkać częstokroć ludzkie postaci ze zwierzęcemi głowami. Znaczenie tych rysunków wytłómaczył mi jeden stary Buszman w ten sposób, że gdy polują w miejscach otwartych, gdzie podejście zwierzyny jest daleko trudniejszém, wówczas przebiérają się za zwierzęta, co im ułatwia zbliżenie się do upatrzonéj ofiary. Polując na strusia biorą na siebie siodełko ozdobione piórami, a w ręku niosą przed sobą na długim kiju nadzianą szyję z głową tegoż ptaka. Przebiérają się także i za antylopy i gdy im się uda przybliżyć do gromadki tych zwierząt, podstęp zostaje sowicie wynagrodzonym, bo wówczas zapomocą zatrutych strzał ubijają po kilka sztuk naraz.

Ale polowanie w okolicach nie bardzo obfitujących w zwierzynę przedstawia wiele trudności, a chytrość buszmańska i podstęp nie są wstanie zrównoważyć niedokładności broni, jakiéj używają, korzystny wypadek polowania zaspakaja potrzeby Buszmanów chwilowo, lecz te chwile zadowolenia są przegradzane długiemi ustępami głodu i nędzy. Wówczas badają oni lot ptaków drapieżnych, idą w ślad za lwem, lampartem, hyeną i dzielą się z niemi zdobyczą. Podniebienie ich nie jest bardzo wybrednem, bo przymuszeni głodem spożywają nawet padlinę otoczoną przez robactwo, a węże, ża-

by, jaszczurki, uważają za przysmaki. Wydymają żabę powietrzem przyłożywszy usta do otworu odchodowego, wywracają ją na zewnątrz a oczyściwszy z wnętrzności pieką na ogniu; wyszukują gniazda mrówek i chciwie je spożywają, a gromady szarańczy witają okrzykiem radości. Owady te upieczone w naczyniu glinianém i ubite w bezkształtną masę przenoszą nawet nad mięso zwierząt, a jeden z myśliwych, wracający z głębi kraju, upewniał mnie, że próbował nieraz sam tego pożywienia i znalazł je dość znośném.

Nie gardzą i pożywieniem roślinném, którém na nieszczęście przyroda afrykańska bardzo skąpo ich obdarza. Południowa Afryka jest bardzo ubogą w owoce jadalne. Największy owoc w Natalu wydawany przez drzewo należące do rodzaju Strichnos ma rozmiary średnich jabłek, smak i zapach dosyć przyjemy, ale w ziarnach jego znajduje się jedna z najsilniejszych trucizn roślinnych, tak zwana strychnina. Krzew nazwany Brabejum stellatum, pospolity w całéj kolonii, wydaje obficie owoce wielkości migdałów, które w stanie surowym są również jadowite i tracą tę własność dopiéro po przypieczeniu. Inne owoce jadalne są prawie bez wyjątku drobnemi jagodami, na które Europejczycy prawie uwagi nie zwracają. Na piaszczystéj glebie pustyni Kalihari rośnie wiele gatunków roślin dyniowatych z wielkiemi owocami, mogącemi służyć od biédy za pożywienie. Owoce jednego gatunku odznaczają się nawet dość przyjemnym smakiem, ale rzecz szczególna, że ta sama roślina wydaje owoce raz słodkie drugi raz gorzkie, prawie zupełnie nieużyteczne, trudno zgadnąć z jakiéj przyczyny. Rodzina tłustoszowatych (Crassulaceae) dostarcza kilku roślin (jak np. Crassula pyramidalis), które mogą być używane za pożywienie, a chociaż smak ich nieszczególny, to przynajmniéj nie są szkodliwe. Jest i kilka innych roślin, których bulwiaste korzenie są jadalne, ale widziałem je w porze posuchy, ogołocone z liści i kwiatów, i nie mogę oznaczyć do jakich należą rodzajów.

Gdybym chciał wymienić po szczególe wszystkie rośliny dostarczające jagód nieszkodliwych, a zatém jadalnych, liczba roślin pożytecznych, właściwych koloniom afrykańskim, byłaby dość znaczną, ale czémże są one w porównaniu z płodami okolic podzwrotnikowych gdzie jedna palma dostarcza człowiekowi więcéj pożywienia, aniżeli tutaj cały las, gdzie kilka drzew wystarcza nieraz do zaspokojenia potrzeb całéj rodziny. Z wyjątkiem wzmiankowanéj powyżéj jadalnéj dyni, owoce tutejsze są tak nędzne, że chyba tylko buszmańskie podniebienie upodobanie w nich znaléźć może a Europejczyka

zaledwie głód i ostatnia nędza do używania ich przymusićby zdołały.

Polowanie jest udziałem mężczyzn, a nagromadzeniem pożywienia roślinnego zajmują się wyłącznie kobiéty i dzieci. Do kopania korzeni używają one drążka ostro zakończonego, obciążonego w dolnéj swéj części kamieniem. Kamienie te mają postać kulistą i są przedziurawione, a otwór służy do nadziania ich na drążek. Chapman i Bains opowiadają, że w pustyni Kalihari rośnie ziele, wydające grube bulwiaste, jadalne korzenie; gdy w porze posuchy łodygi i liście téj rośliny zeschną, ślad jéj ginie zupełnie, a Europejczyk nie wiedziałby gdzie szukać korzeni; kobiéty buszmańskie radzą sobie w sposób bardzo dowcipny, uderzają ziemię drążkiem i po odgłosie, jaki ona wydaje, poznają z łatwością miejsce, gdzie się korzenie znajdują.

Za największy przysmak uważają Buszmani miód dzikich pszczół, których gniazda wyszukują, postępując w ślad za małym ptaszkiem żywiącym się temi owadami.

W tym stanie rzeczy nagromadzenie pożywienia potrzebnego dla całéj rodziny jest połączone z nadzwyczajnemi trudnościami i wyczerpuje wszystkie jéj siły. Zaspokojenie głodu jest najważniejszém zadaniem w życiu Buszmana, a tém samém i najwyższym jego celem. Czuje on się szczęśliwym, gdy nie jest głodnym, a jedzenie uważa za największą przyjemność. Gdy połów się uda, cała rodzina oddaje się roskoszy jedzenia. Jedzą ogromnie wiele i śpią na przemiany; gdy czują przepełnienie żołądka, skaczą i tańczą w przekonaniu, że przyśpieszą trawienie pokarmu i przygotują miejsce na nowe zapasy. W ten sposób zdobycz znika z szybkością; gdy braknie mięsa, obgryzają porzucane kości, potém zjadają skórę zwierzęcia i jego wnętrzności, a potém chwilowa rozrywka ustępuje miejsca codziennéj ciężkiéj i gniotącéj nędzy. Głód jest najważniejszym czynnikiem w życiu Buszmana i prześladuje go od kolebki aż do grobu. Ażeby zmniejszyć przykre jego działanie, zakłada on na ciało skórzany pasek i ściąga go w braku pożywienia a rozpuszcza, gdy się zdobycz nadarzy. Rzecz dziwna, że pasek głodowy znajduje się w używaniu i u ludów pierwotnych w Australii, trudniących się również myśliwstwem. O kilku innych szczegółach wspólnych Buszmanom i Australczykom wspomnimy poniżéj.

Użytek ognia znany im był od niepamiętnych czasów; do wydobywania go służył pierwotnie przyrząd z dwóch kawałków drzewa złożony, z których jeden był płaski i przedziurawiony, a drugi miał postać długiego pręta; otrzymywali ogień przez silne tarcie tego pręta w otworze pierwszego kawałka, umieściwszy w nim dla

uchwycenia ognia, zeschłe i zgniecione liście. W ostatnich czasach rozpowszechnił się już pomiędzy nimi użytek stali i krzemienia, wskutek czego ów pierwotny przyrząd został zarzuconym, a przynajmniéj stał się nadzwyczaj rzadkim, nie widziałem go sam i nie mogę z tego powodu podać dokładniejszego jego opisu.

Spożywają zazwyczaj mięso opieczone na ogniu, ale obecnie znajdują się już w posiadaniu naczyń glinianych, które otrzymują od handlarzy lub podróżnych. Jedynym przyrządem stołowym jakiego zresztą używają jest nóż. Włożywszy koniec mięsa do ust, odcinają go nożem przed samemi wargami. Przy spożywaniu polewki mięsnéj, szczególniéj do karmienia dzieci, używają w miejsce łyżki pędzla z włosów ubitych zwierząt. Do przechowywania wody służą skorupy jaj strusich.

Życie myśliwskie przymusza ich nieraz do przebywania znacznych odległości i dlatego jaskinie i kryjówki przez nich zamieszkiwane służą tylko za stały pobyt dla kobiét i niedorosłych dzieci; ojciec rodziny i starsi synowie przepędzają większą część życia za domem i tylko po bardzo pomyślnym połowie używają wywczasu na łonie rodziny. W pustyni Kalihari inna jeszcze okoliczność zmusza ich do odbywania dalekich podróży. Cała południowa Afryka jest krajem bardzo suchym; na wschodnich i południowych wybrzeżach zima jest suchą i przez pół roku czasami ani kropla wody nie spadnie, ale pomimo tego w okolicach górzystych, zajmowanych przez Buszmanów, potoki przechowują i w téj porze zasoby wody, wystarczające dla ludzi i zwierząt. Inaczéj ma się rzecz w pustyni Kalihari, zajmującéj północno-zachodnią część południowéj Afryki i w tak zwaném Karroo, które ciągnie się wąskim pasem, oddzielając środkowe wyżyny od gór nadbrzeżnych. Są to okolice suche, bezwodne, gdzie deszcze czasami przez kilka lat nie padają, a wówczas woda w rzekach niknie, a źródła wysychają. Brak wody jest bardzo ważnym czynnikiem w życiu tutejszych Buszmanów, ale przyroda, a właściwie może długowiekowe doświadczenie, obdarzyła ich dziwnym zmysłem pomagającym do jéj odkrycia. Kopią oni wówczas w suchych korytach rzek głębokie doły i prawie zawsze znajdą wodę; próbowałem sam nieraz tego sposobu w czasie podróży przez bezwodne okolice z dobrym skutkiem. Ale czasami piasek jest w głębokości kilku stóp wilgotnym, a pomimo tego trudno złapać wodę; w tym przypadku Buszman radzi sobie w bardzo zmyślny sposób.

Na dnie wykopanego dołu kładzie on wiązkę suchéj trawy i zakłada w nią długą trzcinę, poczém trawę przysypuje piaskiem tak, że koniec trzciny sterczy nad powierzchnią ziemi. Przysypana

wiązka trawy przedstawia pewien rodzaj próżni, do któréj ścieka woda w małéj ilości, i co kilka godzin wydobywaną być może. Wydobywają ją kobiéty, przyłożywszy usta do końca trzciny i oddając napowrót do naczynia; jeżeli ilość wody przewyższa chwilową potrzebę, zlewają ją do jaj strusich i zakopują w piasku, przechowując na czas potrzeby. Zresztą miejscowości takie zasypują starannie kamieniami lub gałęziami, ażeby zatrzéć wszelkie ślady, które istnienie drogocennego skarbu mogłyby zdradzić przed drugimi.

Jasną jest rzeczą, że wobec takich okoliczności życie rodzinne nie mogło się rozwinąć i uszlachetnić. Trudność w otrzymaniu pożywienia nie pozwala Buszmanom łączyć się w większe gromady, a zmuszając pojedyncze rodziny do ciągłéj zmiany miejsca, robi wszelki postęp niemożebnym. O życiu ich rodzinném wiémy bardzo mało, a kilka szczegółów podawanych przez podróżników przejmuje zgrozą czytelnika. Koloniści, którzy stykali się z Buszmanami zbliska, posądzają ich o zupełny brak uczuć rodzicielskich i twierdzą, że przyciśnieni głodem pozostawiają dzieci w drodze; ścigani przez dzikie zwierzęta poświęcają je dla uratowania siebie samych; że w przystępie gniewu lub w razie nieporozumień małżeńskich zemstę swą na dzieciach wywierają, a zabijają takie, które przychodzą na świat upośledzone. Nie chcę bynajmniéj twierdzić, ażeby wyliczone powyżéj przypadki nie istniały pomiędzy Buszmanami, bo statystyka sądowa przekonywa nas, że zbrodnie tego rodzaju zdarzają się dość często i wpośród ludów ucywilizowanych, ale przyjmowanie ich za ogólną miarę charakteru Buszmanów uważam za przesadę.

O ile jednakowoż mogłem zasięgnąć wiadomości na miejscu, zdaje się, że dwie zbrodnie stały się u nich zwyczajem a mianowicie: że gdy umrze kobiéta, pozostawiając niemowlę, takowe żywe razem z matką zagrzebują, a następnie, że niedołężnych starców porzucają na drodze, opatrzywszy ich w trochę wody i pożywienia. Zbrodnicze te zwyczaje są bezwątpienia fatalném następstwem sposobu życia, na jakie te ludy są skazane.

Odchowanie niemowlęcia bez pomocy mléka jest bardzo trudném, a dla nielicznéj i ginącéj często z głodu rodziny prawie niemożebném zadaniem. Również i zniedołężniały, albo złożony chorobą członek rodziny jest dla niéj ciężarem, a w razie nieprzyjacielskiego pościgu naraża ją na oczywistą zgubę. W każdym razie okoliczność ta, że porzuconych zaopatrują w wodę i pożywienie, dowodzi wymownie, że i w sercu Buszmana znajduje się zawiązek uczuć szlachetnych, różniących ludzi od zwierząt. Nie jest im obcém i uczucie wdzięczności, bo Chapman opisuje, że w chwili, gdy on

i jego ludzie w bezwodnéj okolicy okropnie cierpieli od pragnienia, towarzyszący mu Buszmani obdarzyli go skorupą pełną wody, chcąc mu okazać wdzięczność za pozwolenie spożycia części ubitéj zwierzyny.

Buszmani oswojeni, pozostający w obowiązkach u kolonistów, odznaczają się wogóle wieloma zaletami. Missyonarz Merensky twierdzi, że przewyższają Hottentotów energią, pilnością i wiernością, a jako pasterze i myśliwi oddają panom swoim wielkie usługi. Nauczał on i chrzcił Buszmanów i przekonał się, że są obdarzeni umysłem czynnym i wrażliwym i odznaczają się pojętnością, a w stosunkach z białymi podlegają niekiedy jedynie przystępowi złego humoru. Prawie to samo twierdzi o nich Barrow, a inni podróżnicy, jak Lichtenstein, Burchell i missyonarz Moffat opisują ich jednozgodnie, jako ludzi wesołych i spokojnych, przyjacielskich i uczynnych, podnoszą ich życzliwość względem przyjaciół, przywiązanie do dzieci, słowność i wdzięczność za otrzymane dobrodziejstwa względem obcych.

Znakomity badacz języka i historyi Buszmanów Dr. Bleeck miał za nauczyciela młodego Buszmana, który za zamordowanie jednego z kolonistów skazanym został na 18 lat więzienia, ale już po czterech latach, z powodu wzorowego zachowania się od reszty kary uwolniony przyjął obowiązki służącego u uczonego filologa. Był to pierwszy Busz man jakiego widziałem w Afryce i przyznaję się otwarcie, że chociaż nie znałem jego historyi, pierwszy jego widok zrobił na mnie bardzo niemiłe wrażenie. A jednakże według twierdzenia D-ra Bleecka odznaczał się on spokojnym i łagodnym charakterem, był pracowity, posłuszny i szczerze przywiązany do rodziny swego pana; przytém wszystkiém tęsknił za rodzinną pustynią i po kilkunastu miesiącach, otrzymawszy pozwolenie, powrócił do swoich.

Zresztą jasną jest rzeczą, że na ogromnych przestrzeniach południowéj Afryki zmienia się niejednokrotnie i przyroda ziemi, a zmiana taka nie pozostaje bez wpływu na rozwój umysłowy pierwotnych jéj mieszkańców, do czego zresztą i stosunki towarzyskie wiele się przyczyniają. W okolicach zachodnich, słabo zaludnionych, Buszmani doznają nieograniczonéj swobody i daleko łatwiéj zaopatrują swoje potrzeby, co pozwala im łączyć się w większe gromadki, a podróżnicy jednozgodnie prawie opisują ich, jako mniéj dzikich, a w wielu przypadkach podnoszą nawet spokój i pewność, z jaką względem obcych występują. Na wschodzie i południu Buszmani byli otoczeni od niepamiętnych czasów wrogiemi żywiołami; walczyli pierwotnie z Hottentotami, potém Kaframi a następnie z ko-

lonistami holenderskiego pochodzenia; nic dziwnego, że parci ze wszech stron i zmuszeni chronić się w najniedostępniejszych kryjówkach górskich popadli w stan niezwykłéj dzikości, chociaż pewną jest rzeczą, że ci, którzy ich najbardziéj potępiają, do upadku ich sami się najwięcéj przyczynili.

Wiadomości nasze o życiu ich rodzinném są bardzo ograniczone. Nie mają nazwisk rodzinnych, ale niedorzecznném i przesadném jest twierdzenie, jakoby nie mieli imion osobistych; mają je z pewnością i wyliczają nawet imiona wszystkich swych krewnych i przodków aż do czwartego pokolenia.

Małżeństwa zawierają się u wszystkich innych ludów afrykańskich w ten sposób, że żeniący się kupuje dziewczynę u rodziców, a kobiéta traci wolność swoję i bywa uważaną za pewien rodzaj prywatnéj własności, polygamia jest tutaj ogólną. Buszmani miewają również po kilka żon, lecz nie kupują kobiét, chociażby z téj prostéj przyczyny, że nie posiadają nic, coby za nie oddać mogli. Rozpowszechnionym zdaje się być jednakowoż ten zwyczaj, że pojmujący żonę obowiązuje się pozostawać przez pewien przeciąg czasu przy jéj rodzicach i oddawać im część ubitéj zwierzyny.

Przeciwko zarzutowi, jakoby uczucia rodzinne były u nich nie znane, przemawia wiele okoliczności. W zbiorze podań i legend buszmańskich doktora Bleecka znajduje się legenda następującéj treści. Buszman raniony przypadkiem na polowaniu przez jednego z myśliwych umiéra, a umiérając prosi towarzyszy, aby się nie mścili na tym, który jest powodem jego śmierci; potém przemawia do swojéj żony, daje jéj rady i żegna się z nią; żona rozpacza, płacze i nie przyjmuje pożywienia, jéj świekra pociesza ją. Po pogrzebie wdowa powraca do swojego ojca, gdzie jéj bracia bardzo dobrze ją przyjmują, opowiada swój smutek rodzinie i zarzeka się, że nie pójdzie drugi raz za mąż, bo nie znajdzie męża, któryby dla niéj był tak dobrym, jak nieboszczyk. Legenda cała obfituje w tkliwe dyalogi, świadczące najwymowniéj o przywiązaniu rodziców do dzieci, zgodzie w rodzinie i miłości pomiędzy małżonkami.

Umarłych grzebią, a po pogrzebie cała rodzina opuszcza na dłuższy przeciąg czasu miejscowość, gdzie spoczywa zmarły jéj członek. Dzieje się to szczególniéj, gdy umrze ojciec rodziny, jak twierdzą dlatego, ażeby pozostałe dzieci nie myślały o ojcu i nie płakały po nim.

Zdaje się, że chłopcy i dziewczyny, gdy dojdą do dojrzałości, ulegają pewnemu obrzędowi jak to ma miejsce i pomiędzy Kaframi, bo w zbiorze D-a Bleecka znajdują się szczegóły, zostające w związku z tym obrzędem, np. co dziewczyny powinny jeść, a czego mają

unikać, o czém młodzi nie powinni mówić, ażeby uniknąć zemsty wody, jako mężczyzna przez jedno spojrzenie na dziewczynę w porze, gdy nie powinna być widzianą, zdrętwieje ze wszystkiém coby trzymał w rękach i zamieni się w drzewo mówiące itd.

Pomiędzy tylu dziwacznemi szczegółami, jakie istnienie tego ludu rozwija tak obficie przed umysłem zdumiałego widza, najdziwaczniejszém zjawiskiem jest niezaprzeczenie jego mowa. Szczególny jéj charakter polega w głosach mlaskających, które występują w każdym niemal wyrazie i nadają mowie dziwny dźwięk. Naśladowanie tych głosów jest dla Europejczyka prawie niemożebném a zdaje się, że i krajowcom niemało sprawia trudności, bo mówią zawsze powoli, a gdy mówią cała prawie ich twarz znajduje się w ruchu. Mlaśnień takich jest w języku buszmańskim sześć, cztery bywają wydawane za pomocą języka, jedno za pomocą warg, a jedno wychodzi głęboko z gardła; językowe przypominają poczęści głos, jaki wydają woźnice, klaszcząc na konie, wargowe cmoknięcie przy pocałunku, a gardłowe przypomina żywo urywane głosy, wydawane przez rozgniewanego pawjana. W codziennéj mowie jest ich tylko sześć, ale w dyalogach pomiędzy zwierzętami, w które obfituje literatura buszmańska, liczba ich zwiększa się znacznie. Trudno mieć wyobrażenie o zabawnym widoku, jaki przedstawia Buszman, wygłaszający dyalog pomiędzy dwoma zwierzętami. Układa on usta tak, ażeby przypominały pyszczek odpowiedniego zwierzęcia i każdy prawie wyraz obdarza przypisywaném temu zwierzęciu mlaśnięciem.

Język buszmański znalazł godnego badacza w osobie uczonego D-ra Bleecka, który dwadzieścia lat swego życia poświęcił badaniu tego ludu i zgromadził nieocenione skarby nietylko dla języka, ale i dla religii, mitologii, literatury i wszystkiego co się tyczy umysłowego życia Buszmanów. W czasie pobytu mojego na Przylądku Dobréj Nadziei, doznawałem z jego strony dowodów nieograniczonéj życzliwości i przyjaźni i zawdzięczam mu wiele cennych szczegółów o tym kraju i jego mieszkańcach.

Nagła śmierć wyrwała szlachetnego badacza z grona rodziny i przyjaciół i przerwała bieg jego studyów; kolonie afrykańskie straciły w nim najuczeńszego człowieka, autor téj pracy osobistego przyjaciela a nauka rezultat dwudziestoletniéj pracy i poświęcenia dla przedmiotu, który dla niéj jest prawie zupełnie obcym. Jest jednakowoż nadzieja, że praca ta nie zaginie, bo uporządkowaniem pozostałych po D-rze Bleecku materyałów zajęła się siostra jego żony, panna Lucya Lloyd, która włada bardzo dobrze językiem buszmańskim, pomagała od kilku lat bezustannie w pracach nauko-

wych zmarłemu i nie mniejszym od niego dla ulubionego przedmiotu ożywiona jest zapałem.

Niektórzy podróżnicy, zwiedzający te okolice pobieżnie i niewolni od uprzedzeń, rozpisują się nad ubóstwem tego języka i opowiadają np. że Buszman nie odróżnia rodzajów a rachować umié tylko do trzech. Na to mogę odpowiedziéć, że jeden z najoświeceńszych narodów azyatyckich, liczący czterysta milionów dusz, mianowicie chińczycy, również rodzajów nie rozróżniają; nie rozróżniają nawet rzeczowników od czasowników i nie mają wogóle żadnych form gramatykalnych.

Prawdą jest, że Buszmani rachują tylko do trzech, ale D-r Bleeck w sprawozdaniu swojém przedłożoném parlamentowi kolonialnemu (1) zawiadamia takowy, że jego słownik języka buszmańskiego obejmuje już przeszło dziesięć tysięcy wyrazów. Są pojęcia, dla oddania których Buszmani używają czasami kilkunastu wyrażeń; np. pojęcie oszukania, albo podejścia kogoś oznaczają dwunastu wyrazami. Gdy panna Lloyd zapytała raz wzmiankowanego powyżéj Buszmana, czy jest zadowolniony z obiadu, odpowiedział twierdząco, ale użył wyrażenia jéj nieznanego. Zapytany, dlaczego do oznaczenia zadowolnienia swojego użył dziś innego wyrazu, jak wczoraj, odrzekł: „Pani to jest zupełnie co innego, czy ja sobie pojem dotąd, czy dotąd," i wyraz czy dotąd powtórzył siedm razy, posuwając za każdym razem wskazujący palec od żołądka aż do gardła.

Twierdzenie innych podróżników, jakoby język buszmański stał na tak niskim stopniu rozwoju, że każda horda ma swoje osobne narzecze, a nieraz członkowie jednéj rodziny pomiędzy sobą zrozumiéć się nie mogą, nie jest zupełnie bezzasadném. Jasną jest rzeczą, że w społeczeństwie tak rozrzuconém, jak buszmańskie, musiały się wyrobić z biegiem czasu w różnych okolicach różne właściwości, ale Dr. Bleeck znalazł wielką zgodność w językach hord nawet na kilkaset mil angielskich od siebie oddalonych, a podania ich i opowieści powtarzają się z małemi zmianami na całym obszarze południowéj Afryki.

Jeżeli zadziwiającém jest bogactwo tego języka pod względem liczby wyrażeń, to bardziéj jeszcze uderza bogactwo przechowujących się w nim utworów fantazyi. Zbiór podań mytologicznych, bajek, legend, poezyj, zwyczajów, zabobonów i dat genealogicznych zajmuje w materyałach nagromadzonych przez D-ra Bleecka

(1) A brief account au Bushman Folk-love etc. Cape Tawn. 1875.

siedmdziesiąt siedm tomików we czwórce, a razem sześć tysięcy sześćset pół stronnic (rozumié się że wszystko w rękopiśmie). Obok podań mitologicznych, o których niżéj będzie wzmianka, występują tutaj przeważnie przygody ludzi ze zwierzętami, bajki zwierzęce i opowiadanie o zwyczajach różnych zwierząt, znajdują się nawet ślady poezyi, a w sprawozdaniu D-ra Bleecka figurują w tym oddziale głównie śpiewy zwierząt, wygłaszane w różnych przygodach; o formie téj poezyi nic stanowczego powiedziéć nie mogę. Wszystkie te szczegóły przemawiają zatém, że fizyczne upośledzenie Buszmanów jest tylko pozorném, ale umysł ich czynny, wrażliwy i zdolny do dalszego rozwoju, a jeżeli uwzględnimy ich zamiłowanie do malarstwa i muzyki, to bezstronny spostrzegacz przyzna, że pod względem umysłowego uzdolnienia przewyższają o wiele Kafrów i Hottentotów a nawet i inne ludy afrykańskie, stojące wyżéj od nich pod względem społecznym.

Missyonarze angielscy, pracujący w południowéj Afryce, opowiadają ze zgorszeniem, że lud ten nie ma żadnéj religii; twierdzenie to jest również bezzasadném, jak wiele innych pochodzących z tego samego źródła. Religia występuje u nich w téj saméj postaci, jak i u innych pierwotnych, po za granicami cywilizacyi stojących ludów. Budzi się najprzód poczucie sił po za człowiekiem stojących, myśl pierwotnego człowieka szuka przyczyny zjawisk w przedmiotach, podpadających mu pod oczy, przypisuje im różne szczególne własności, zwraca ku nim swoje uczucia, a we wszystkich krajach i u wszystkich ludów pierwsze ślady religii występowały zawsze pod postacią fetyszyzmu. Z początku przedmiotem czci bywają kamienie, rośliny i zwierzęta; na wyższym stopniu rozwoju wznosi się myśl pierwotnego człowieka do ciał niebieskich, szukając w nich ogniska sił działających w przyrodzie i przyczyny zjawisk w codzienném życiu. Buszmani czczą obecnie słońce, księżyc i gwiazdy, a Dr. Bleeck znajduje się w posiadaniu oryginalnych buszmańskich modlitw do różnych ciał niebieskich.

W dalekiéj przeszłości czcili oni przeważnie zwierzęta, co było najprostszém następstwem ich sposobu życia, a czego dowodzi wymownie ich bogata mitologia. W materyałach pozostawionych przez D-ra Bleecka, znajduje się mnóstwo podań treści mitologicznéj i żałować wypada, że spoczywają dotąd w rękopiśmie. Bardzo cenny przyczynek do mitologii Buszmanów wschodnich okolic, zawdzięczamy Panu Orpenowi (1), który biorąc udział w jednéj z wypraw

(1) A glimpse into the Mythology of the Maluti Bushmann, drukowane w Cape Monthly Magazine 1874.

przeciwko Kafrom, kopijował rysunki buszmańskie w górach Matuli i starał się o ich zrozumienie. Przypatrzmy się bliżéj tym utworom wyobraźni dzikiego człowieka a potém postarajmy się o ich zrozumienie.

Najważniejszą postacią w mytologii Buszmanów jest Ckaggen. Nazwa ta oznacza dziwacznego owada z rodziny prostoskrzydłych, którego zoologowie nazywają Modliszką, (Mantis religiosa). Żoną Ckaggena jest pospolite w tych stronach zwierzątko z rodzaju borsuka, t. z. Daman (Hyrax capensis); ich przybraną córką jest Jeżozwierz, któréj mąż nazywa się Ckwammana (prawdopodobnie również dotąd nieodgadniona nazwa jakiegoś zwierzęcia). Synem téj pary jest Ichneumon.

Ckaggen bierze trzewik należący do swojego zięcia Ckwammana i zamienia go w Elanda (rodzaj wielkiéj antylopy). Polubiwszy to zwierzę, ukrywa je w zaroślach i karmi miodem. Ichneumon zostaje wysłanym przez rodzinę, ażeby się dowiedział, dlaczego Ckaggen nie przynosi miodu do domu. Ckaggen domyśliwszy się zamiarów Ichneumona zawiązuje go w worek, ale ten robi w worku dziurę i odkrywa istnienie Elanda. Potém Ichneumon razem z ojcem swoim Ckwammananą, wywabiwszy Elanda z zarośli za pomocą miodu, zabijają go. Nie znalazłszy ulubieńca w zaroślach Ckaggen gorzko płacze; spostrzegłszy krew idzie za jéj śladem i napotyka Łasice (Suricata Zennick), krające jego ulubieńca. Jedna Łasica rzuca gwałtownie Ckaggena na rogi nieżywego zwierzęcia.

Ten zgniótłszy żółć innego Elanda tworzy ciemność, skacze w nią, powraca do domu i leży chory. Łasice pokrajawszy mięso Elanda zawieszają je na drzewie, ażeby wyschło a zawiesiwszy na tém samém drzewie swoję broń i ubiory zasypiają. W nocy drzewo powstaje i przenosi się ze wszystkiemi zawieszonemi na niém przedmiotami na miejsce, gdzie leży chory Ckaggen. Ten zabiéra razem z wnukiem Ichneumonem przedmioty należące do nieprzyjaciół.

Innym razem, gdy Ckaggen kopał korzenie dla swego Elanda, słoń samica uprowadza to zwierzątko i zostawia natomiast swoje młode. Ckaggen zabija takowe i idzie w ślad za matką. W chwili gdy poznaje swojego Elanda, ten zostaje pożartym przez słonia. Ckaggen walczy ze słoniem przy pomocy Szpringboka (rodzaj antylopy), ubija słonia, wchodzi do jego wnętrzności, uwalnia swojego ulubieńca i wraca w tryumfie do domu.

Innym razem odwiedza Ckaggen mieszkanie kleszczy. Te chowają się w wełnie swoich owiec z wyjątkiem jednego, który pilnuje garnków z jadłem stojących przy ogniu; ale potém wychodzą,

biją Ckaggena i zmuszają go do ucieczki. Na żądanie Ckaggena córka jego (Jeżozwierz) wzywa pomocy potworu Czkwaihemm, aby odebrał kleszczom część owiec do nich należących, ale żarłoczny ten potwór połyka Ckaggena i jego zięcia Ckwammane. Młodzi synowie Ckaggena zabijają potworu, wszystkie istoty pożarte przez niego wracają do życia i wynoszą się z miejsca, gdzie trup jego leży.

Córka Ckaggena, zelżona przez ojca, rzuca się pomiędzy węże ażeby zginąć. Najstarszy wąż bierze ją za żonę. Ckaggen poséła po nią syna swojego Kogaza, pożyczywszy mu swych zębów; zabrawszy siostrę wraca z nią Kogaz do domu; przed odejściem obwiązują swoje nogi sitowiem. Trzy węże puszczają się w pogoń za niemi, gryzą uciekających po nogach, ale bez szkody, biją ich rzemieniami, ale również bezskutecznie, rzucają na nich piaskiem, aby ich zapędzić do wody. Woda wznosi się po nad góry, a inne węże chronią się na umyślnie w tym celu wystawione rusztowanie. Wysłany przez Ckaggena Kogaz uderza węże laską a te zamieniają się w ludzi.

Kogaz, wysłany przez ojca dla cięcia lasek, zostaje schwytany przez pawianów, a potém zabity i zawieszony na drzewie, około którego pawiany tańczą. Tymczasem Ckaggen, pomazawszy nos maścią czarowną, poznaje co się stało. Bierze worek cierni, udaje się na miejsce nieszczęścia i wbija jeden cierń w plecy każdemu pawianowi; zapędza ich potém w góry i każe im żyć za karę skorpionami i chrabąszczami. Odtąd pawiany nie są już ludźmi. Powróciwszy z ciałem Kogaza do domu przywraca go do życia za pomocą czarownéj maści.

Nie brak i komicznych sytuacyj w życiu Ckaggena. Spotkawszy porzuconą kobiétę, chce ją pojąć za żonę, bierze na plecy i niesie do domu. Baba przylgnęła do jego pleców jak wosk; żeby jéj się pozbyć trze Ckaggen plecami o drzewo i przylepia się sam do drzewa jak wosk. Żona Ckaggena Koti gromi go za tę niedorzeczność, gotuje wodę, polewa wrzącą wodą babę i uwalnia męża; ten urządza babie wielkie bicie za to, że przylgnęła do niego jak wosk.

Innym razem Ckaggen zabiéra jaja jakiemuś bajecznemu ptakowi, lecz gdy się zabiéra do ich spożycia, jedno jajo przyczepia mu się do ust, a reszta do jego pleców, odnosi jaja do gniazda tego ptaka, gdzie same odpadają.

Znowu żeby przestraszyć dzieci, Ckaggen przybiéra postać nieżywego hartebista (inny rodzaj antylopy). Dzieci krają go na kawałki i niosą do domu, ale kawałki ruszają się a głowa zaczyna mówić. Przestraszone dzieci porzucają swą zdobycz, porzucone ka-

wałki zrastają się, Ckaggen przybiéra właściwą sobie postać i karci dzieci, które uciekają.

Przytoczone powyżéj ustępy odznaczają się niezaprzeczenie charakterem mytologicznym a uderza w nich ta okoliczność, że działające osoby mają nazwy zwierząt. Jestto uosobienie postaci zwierzęcych przemawiające za tém, że pierwotna religia Buszmanów rozwinęła się w postaci fetyszyzmu zwierzęcego, który został dopiéro usunięty przez cześć oddawaną ciałom niebieskim. Ale myśl dzikiego Buszmana nie była zdolną zerwać z tradycyą, w skutek czego postacie czczonych niegdyś zwierząt, przeszedłszy w dziedzinę wspomnień, stały się przedmiotem utworów fantazyi. Według poszukiwań D-a Bleecka, Buszmani czczą obecnie tylko ciała niebieskie; ani owad Mantis, ani żadne z innych zwierząt figurujących w mytologii nie jest przedmiotem ich uwielbienia. Przeciwnie Orpen opowiada, że Buszmani w górach Maluti czcząc Ckaggena twierdzą, że jest najpierwszą istotą na świecie i stworzył wszystkie rzeczy, że modląc się do niego nazywają go ojcem; coś podobnego opowiada także Fleming o Buszmanach Balde żyjących nad rzeką Zambezi, których fetyszem ma być jadowita gąsieniczka nga, służąca do zatruwania strzał, a obaj ci panowie podają nawet modlitwy odmawiane przez Buszmanów. Trudno ocenić o ile te twierdzenia zasługują na wiarę; Buszmani w Natalu i nad Zambezi należą do najdzikszych i możebną jest rzeczą, że fetyszyzm zwierzęcy przechował się u nich w pierwotnéj swéj postaci. Co do podań Orpena uważam za stosowne nadmienić, że wiadomości swe czerpał od młodego Buszmana, który stykał się z kolonistami i misyonarzami i któremu zasady religii chrześciańskiéj nie były obce, w skutek czego szczegóły podawane przez niego o Ckaggenie i modlitwa do téj istoty mogły wytworzyć się pod wpływem obcych idei.

Szamanizm grający w życiu Kafrów tak ważną rolę jest u Buszmanów bardzo słabo rozwinięty.

Wierzą w życie po śmierci, a w zbiorze Dr. Bleecka znajduje się nawet opis miejsca, do którego dostają się po śmierci, ale wiara w upiory, czyli przebywanie umarłych pomiędzy żywymi rozpowszechniona pomiędzy ludami murzyńskiemi, między Buszmanami nie istnieje wcale. Dwie tylko istoty są zdolne według nich powrócić do życia: Księżyc i struś (ten ostatni odradza się z pióra).

Wierzą oni w czary i mają czarnoksiężników, ale zakres ich działalności jest bardzo ograniczony. Leczą głównie choroby i sprowadzają deszcz. Najpospolitszym środkiem przeciw chorobie zdaje się być ucięcie jednego członka od małego palca; czynią to w przekonaniu, że cieknąca krew zabierze z sobą chorobę. Rozpowszech-

nionym jest także użytek czarownéj maści, którą nazywają Szo-coa. Wyrabiają ją z aromatycznych roślin, należących do rodziny rutowatych, głównie do rodzaju Diosma i przypisują jéj różne cudowne własności; gra ona także ważną rolę w ich mytologii. Opowiadają np. co następuje. Niedoświadczony Buszman poszedł kopać czarowne ziele; towarzysze znaleźli go przy wykopaném zielu otoczonego wężami, pozbawionego mowy i ruchu. Po stosowném użyciu maści, węże zostały odpędzone i zabrały z sobą zły zapach, który zaszkodził człowiekowi, zostawiając dobry. Za pomocą tejże saméj maści ów Buszman odzyskał mowę i ruchy. Pokazuje się z tego, że kopanie ziela nie każdemu jest dozwoloném. Kopiąc, odrywają kawałek łodygi z korzeniem i sadzą napowrót w ziemię, a resztę zawiązują w worek i suszą. Świeżo przywiezionego ziela lękają się kobiéty buszmańskie. Nie podlega wątpliwości, że krzewinki te odznaczają się silnemi własnościami lekarskiemi. Koloniści nazywają je buchu, robią z nich wyciąg spirytusowy, którego używają we wszystkich przypadłościach nerwowych i żołądkowych.

Do najważniejszych czynności czarowników należy sprowadzanie deszczu. O sposobach, jakich używają w tym celu, wiémy bardzo mało, i tylko rysunki buszmańskie udzielają nam kilku niepewnych wskazówek. Znajduje się w mojém posiadaniu rysunek przekopiowany przez mojego przyjaciela P-a Schunke w górach Outenikwa, przedstawiający co następuje. Na wierzchołku drąga, umocowanego w ziemi w kierunku prawie pionowym, znajduje się postać ludzka z jedną ręką wzniesioną ku niebu, a drugą spuszczoną, w środku tegoż drąga jakiś przedmiot kulisty, którego znaczenie niezrozumiałe, poniżéj tego przedmiotu są dwie ludzkie postaci, z lewéj strony nagi mężczyzna, a z prawéj prawdopodobnie kobiéta, ubrana w skórę zwierzęcą, z jakimś niewyraźnym przedmiotem na głowie. Zdaje się, że obie te postaci podtrzymują drąg w równowadze, z lewéj strony znajdują się jeszcze dwie inne ludzkie figury a po nad całą grupą wielka ciemna chmura, z któréj padają grube bryłki przedstawiające zapewne krople wody.

Inny rysunek przekopiowany przez Orpena w górach Maluti przedstawia jakieś zwierzę, ciągnione przez Buszmanów na sznurze. Buszman bawiący u D-a Bleecka tłómaczył znaczenie tego rysunku w ten sposób, że Buszmani chcąc deszcz sprowadzić oprowadzają wodne zwierzę (niewiadomo jakie) po okolicy, potém przyprowadzają je do kałuży, w któréj woda wyschła, tutaj zabijają je i zjadają. Deszcz musi spaść wszędzie, którędy zwierzę przeprowadzoném zostało.

Zabobony i przesądy, te niedostępne towarzysze szamanizmu, są pomiędzy Buszmanami głęboko zakorzenione i ważną w ich życiu grają rolę. Wierzą w przeczucia i ściśle się niemi powodują; twierdzą, że zwierzęta przepowiadają śmierć, że szpringbok zaprowadzi do lwa, że księżyc gniewa się, gdy się dzieci z niego śmieją, dzieciom nie wolno wymieniać nazwy lwa, wierzą że ludzie mogą się zamieniać w zwierzęta i na ten temat istnieje u nich kilka podań. Jedno z nich zapisane przez Alexandra jest treści następującéj. Hottentot podróżował raz z Buszmanką niosącą dziecko, gdy spotkali po drodze gromadę dzikich koni, Hottentot prosił towarzyszkę, ażeby się zamieniła w lwa i zabiła konia, iżby mieli co jeść. Kobiéta opiérała się z początku, ale potém uległa naleganiom i przybrała postać lwa. Hottentot przeląkł się okropnie i uciekł na drzewo. Lew zabił rzeczywiście konia i powrócił do dziecka, gdy Hottentot prosił go, aby przybrał na powrót ludzką postać, ponieważ się go boi, odrzekł, że pozostanie lwem do śmierci, ale potém ulegając prośbom przerażonego towarzysza wdział na siebie porzucone ubranie, zamienił się znowu w kobiétę i wziął dziecko na rękę. Hottentot zszedł z drzewa, spożyli razem mięso ubitego konia i w dalszą puścili się drogę, ale nie prosił już nigdy towarzyszki, ażeby się we lwa zamieniała.

Przedmiotem ich czci był z pewnością niegdyś i kameleon, mała jaszczurka posiadająca dziwną własność zmieniania barw i patrzenia każdém okiem niezależnie tak, że gdy jedno zwraca w górę, drugiém patrzy na dół. Zabicie tego zwierzątka uważają za występek, a z ruchu jego oczu robią przypowiednie o deszczu.

Ofiary rozpowszechniane pomiędzy Kaframi, pomiędzy Buszmanami są nieznane.

Na szczególną uwagę zasługują ich rysunki. Zdobili niemi skały po miejscach, które zamieszkiwali. Są one malowane farbami, albo rysowane ostrém narzędziem na ciemnéj skale. Odróżniałem cztery kolory, najpospolitszym jest ceglasto-czerwony, potem czarny, żółty i biały: barwniki wytwarzali z różnych rodzajów ziemi, rozpuszczając je za pomocą tłuszczu ubitych zwierząt. Do nakładania farb używali tylko patyczków, po brzegach malowideł znajdują się niekiedy linie skrobane, może dla nadania im wyrazistości. Figury rysowane za pomocą ostrego narzędzia przedstawione są tylko w konturach.

Ze szczególném zamiłowaniem zajmowali się naśladowaniem postaci zwierzęcych, przedewszystkiém antylop. Znajdowano po 150 szpringboków odmalowanych na jednéj płaszczyznie. Oprócz tego znajdują się postaci strusia, hyeny, lwa, słonia, szakala, ichneu-

mona, węże i jaszczurki. Mniéj częste są postaci ludzi, przedstawiające zazwyczaj mężczyzn uzbrojonych w łuki i dzidy i kobiéty, ze szczególném uwzględnieniem steatopygii. Zdarzają się i grupy przedstawiające polowania, gdzie myśliwi są odmalowani w maskach odpowiadających szczególnym rodzajom polowania; daléj są tańce towarzyskie, kobiéta rodząca z pomocnicami; są także grupy przedstawiające walki Buszmanów z Kaframi, a różnice plemienne oddane bardzo trafnie; Buszmani są drobni, nadzy, barwy czerwonéj, uzbrojeni w łuki i strzały; Kafrowie wielcy, czarni, uzbrojeni w assagaje i kiri (pałki drewniane). Jedna grupa przedstawia oddział uzbrojonych kolonistów na koniach, prawdopodobnie wyprawę na Buszmanów, a inna Buszmanów kradnących bydło kolonistom. Rysunków treści mitologicznéj stosunkowo bardzo mało. Zdarzają się postaci ludzkie z grubemi, wydłużonemi ogonami, przypominające postać salamandry, ale znaczenie tych jeszcze nieodgadnione.

Rozmiary rysunków wszystkich są bardzo drobne. Postaci ludzkie rzadko przechodzą sześć cali, postaci zwierząt nie przechodzą nigdy dwunastu. Zdaje się, że brak miejsca przymuszał tych pierwotnych artystów do liczenia się z rozmiarami ich utworów.

W wielu miejscowościach widać po barwie ściany, że dawne rysunki zostały zmyte a na otrzymanéj powierzchni świéże bardzo starannie namalowane. Wszystkie rysunki są wykonane w sposób pierwotny, rozumié się samo przez się, że zasady perspektywy nie znane, ale naśladowanie postaci jest bardzo wierne, niektóre linie wykonane z ogromną wprawą, dowodzącą ciągłego ćwiczenia. Wiele figur zamazanych pozwala się domyślać, że ci pierwotni artyści starali się o wielką dokładność w wykonaniu i niszczyli umyślnie to, co ich nie zadawalniało i nie odpowiadało ich poglądom estetycznym. Peschel, który porównywał te rysunki ze staroegipskiemi, przyznaje im wyższość nad temi ostatniemi.

W kraju Grykwa nad rzeką Vaalriwer, niedaleko osady Pniel, znajduje się bogaty zbiór rysunków emblematycznych. Odznaczają się one stosunkowo większemi rozmiarami i zbliżają postacią w ogóle do figur geometrycznych o bokach prostych i krzywych, ale pole każdéj figury jest poprzecinane liniami prostemi, przypominającemi układ blaszek w skorupie żółwia. Boki tych figur są otoczone krawędziami, albo liniami ząbkowato załamanemi. Znaczenie tych rysunków jest nieodgadnione. Może być, że przedstawiają ciała niebieskie, które były przedmiotem czci religijnéj u Buszmanów, ale nie przypominam sobie, ażebym widział pomiędzy niemi postać księżyca.

Wykonanie tych rysunków było połączone z nadzwyczajnemi trudnościami, bo nie mówiąc już nic o trudności otrzymania barwniku, same skały chropowatością swoją tworzyły nadzwyczajną przeszkodę w wykonaniu figur tak drobnych. W okolicy górzystéj nad rzeką Hexriver, niedaleko miasta Worcester, znalazłem kryjówkę buszmańską ozdobioną malowidłami. Na skalistéj podstawie spoczywa tutaj ogromny głaz, a szczelina utworzona przez obie bryły służyła Buszmanom za schronienie. Rysunki są tutaj umieszczone na powale, ale szczelina jest tak wąską, że wyprostować się w niéj niepodobna. Gdym kopiował te rysunki, ręka mi drętwiała i byłem zmuszony przerywać co chwila mą pracę, a staranność, z jaką są wykonane, świadczy wymownie o zapale i wytrwałości jakie ożywiały ich twórcę.

Nie obcém było Buszmanom i poczucie dla muzyki. Najpospolitszym instrumentem muzykalnym był łuk napięty struną, jak się zdaje z jelit zwierzęcych; przyłożywszy strunę do zębów wprawiali ją w ruch palcami a układem ust nadawali jéj właściwy ton; słyszałem ten rodzaj muzyki, przypomina ona w zupełności drumlę cygańską. Innym oryginalnym przyrządem muzycznym jest batożek z płaską i elastyczną deszczułką, przywiązaną do końca sznurka. Wywijając tą deszczułką w powietrzu otrzymuje się głos huczący, którego wysokość zależy od szybkości ruchu. Buszmani oswojeni, pozostający w obowiązkach u białych, grają wszyscy na skrzypcach i pełnią nieraz obowiązki muzykantów. Skrzypce robią sobie sami z pudełka od cygar lub z puszki blaszanéj od sucharków, przymocowawszy do niéj rączkę i założywszy strunę, co prowadzi na domysł, że może i w pierwotnym stanie posiadali jaki przyrząd muzykalny smyczkowy.

W ten sposób napotykamy u tego ludu pod postacią poezyi, malarstwa i muzyki pierwsze zawiązki sztuk pięknych. Przewyższają oni pod tym względem inne ludy afrykańskie, stojące na wyższym stopniu rozwoju towarzyskiego, a przypatrującemu się tym pierwotnym objawom czynności umysłowéj ludzi, którzy pod fizycznym i społecznym względem ostatnie prawie w szeregu stworzeń obdarzonych rozumem zajmują miejsce, nasuwa się mimowoli zapytanie: jakie okoliczności wpłynęły na rozbudzenie tych szlachetnych popędów i dlaczego lud ożywiony niemi nie wzniósł się na wyższy stopień cywilizacyi. Aleksander Humboldt był może pierwszym, który zwrócił w wielu ustępach prac swoich uwagę na wpływ jaki otaczająca przyroda wywiéra na umysłowy rozwój człowieka, a angielski historyk Buckle rozwinął ten temat obszerniéj i starał się udowodnić, że oprócz zjawisk przyrody i rodzaj pożywienia od-

działywa na rozwój człowieka. Teorye Buckle'a cieszą się ogólném uznaniem pomiędzy czytającą publicznością, ale mniéj pomiędzy uczonymi; znalazł on przeciwnika w Peschlu, który starał się wykazać, że charakter ludu niezawsze odpowiada temu, czegoby po fizycznych warunkach odpowiedniéj miejscowości oczekiwać wypadało, a rodzaj pożywienia gra podrzędną rolę, bo człowiek jest z natury pantofagiem i przyzwyczaja się z łatwością do wszystkiego, a przyzwyczajenie staje się drugą jego naturą.

Zdaje się jednakowoż, że pogląd ten grzeszy jednostronnością, bo fizyczne warunki miejscowości wywiérają przeważny wpływ na rozwój pierwotnego człowieka, przymuszając go do obrania pewnego sposobu życia, a ten oddziaływuje znowu na jego rozwój umysłowy. Nie myślę zapuszczać się w teoretyczny rozbiór tego twierdzenia, lecz wyjaśnię go tylko na przykładzie. Kafrowie są ludem rolniczym; żyją oni w sąsiedztwie Buszmanów, ale zajmują najżyzniejsze okolice, a ziemia jest tak plenną, że z małym trudem zaspakaja ich potrzeby i z wyjątkiem czasów wojennych nie cierpią oni nigdy braku pożywienia, co dozwala im łączyć się w większe osady. Dzieci ich zostają pod bezustanną opieką rodziców, którzy wszelkie ich potrzeby zaopatrują i nadzwyczajną otaczają je starannością, w skutek czego rozwijają się powoli i późniéj dochodzą do dojrzałości, a ponieważ nie oddalają się prawie nigdy od wioski rodzinnéj, przeto i wrażenia, jakim ulegają, są bardzo jednostajne a zakrés pojęć ograniczony. Kobiéty wypełniają tutaj wszelką pracę. Kafer w wieku dojrzałym szuka w wolnych chwilach rozrywki, ale jedyną jego przyjemnością jest towarzystwo; odurzając się tytuniem albo dachą (1) przepędza długie godziny w towarzystwie swoich przy wyjściu do Kraala, albo przy wspólném ognisku; przedmiotem jego rozmowy są stosunki i wydarzenia miejscowe, lub sąsiednich kraalów, a gdy braknie tematu, opowiadanie o upiorach, których się boi, o wojnie, którą przenosi nad polowanie, a niekiedy utwory fantazyi na temat tysiąca nocy i jednéj a zawiązki sztuk pięknych występują u niego głównie pod postacią krasomówstwa i poezyi.

Zupełnie odmiennym jest zawód życia buszmańskiego. Syn towarzyszy tutaj ojcu na polowaniu: zawód myśliwski jest połączony z wielkiemi trudnościami, przymusza do walczenia z przeszkodami, które tylko chytrość i podstęp pokonać zdołają i dlatego kształci zmysły, rozwija umysł i dzieci buszmańskie dojrzewają daleko wcześniéj a Buszman jest z natury ruchliwy, czynny i zwinny.

---

(1) Liście konopne.

Przeszkody z jakiemi musi walczyć budzą wcześnie władzę zastanawiania się. Bada on przyczyny niepowodzenia, szuka ich w najprostszych zjawiskach codziennego życia, w przedmiotach materyalnych, te budzą jego obawę, kładą pierwsze podstawy fetyszyzmu i otwiérają obszerne pole dla rozbudzonéj wyobraźni. W skutek tego już w młodym wieku zakrés pojęć u Buszmana jest daleko obszerniejszym, aniżeli u Kafra.

Jeżeli połów się powiedzie i pozwoli wypocząć myśliwemu, ten w chwilach wolnych szuka również przyjemności, ale nie znajduje jéj w towarzystwie, bo żyje z rodziną swoją w odosobnieniu; ruchliwy umysł jego nie pozwala mu spać w dzień i dlatego szuka przyjemności w swych myślach, a myśli o tém, co go najwięcéj zajmuje, zatém o polowaniu. Kafer znajdzie zawsze towarzysza, z którym się podzieli utworami swéj wyobraźni i dlatego utwory jego żyją w słowie.

Ponieważ dla Buszmana jest to niemożebnością, przeto uzmysławia je na ścianach swojego mieszkania, maluje antylopy, których nie pozabijał, towarzyszy, których unika, kafrów, których nienawidzi i Europejczyków których się boi, a malowidła jego są wiernym obrazem jego myśli.

Rzecz dziwna, że nie maluje prawie nigdy zwierząt mitologicznych. W ogromnym zbiorze tych zabytków sztuki buszmańskiéj, znajdującym się w posiadaniu D-ra Bleecka, widziałem tylko jeden rysunek jeżozwierza, a nie widziałem nigdy damana, łasicy, ichneumena, a przedewszystkiém nigdy mantisa, a jednakowoż mieści się w tym fakcie głęboka prawda psychologiczna, tłómacząca nam stan sztuki w pierwotnym jéj zawiązku. Mitologia buszmańska powstała na podstawie fetyszyzmu, a postaci mitologiczne przechowały tylko nazwy istot, które im dały początek, ale w wyobraźni Buszmana. przybrały one zupełnie inną formę, nieokréśloną, dającą sią oznaczyć tylko słowami.

Pierwotna sztuka jest tylko naśladowaniem natury; Buszman oddaje z wielką trafnością za pomocą barw to, co podpada pod jego zmysły, ale nie rzuca się na to, co żyje tylko w jego wyobraźni a tém bardziéj, jeśli to coś jest przedmiotem jego czci albo obawy.

Nasuwa się mimowoli pytanie, dlaczego lud obdarzony takiemi przymiotami umysłu zamiast wznieść się wysoko, chyli się ciągle do upadku i jest zagrożony zupełną zagładą.

Zdaje się, że kilka różnych czynników składa się na wytłómaczenie tego zjawiska. Nie sądzę, ażeby byt materyalny był zawsze i wszędzie jedynym warunkiem postępu, ale trudno zaprzeczyć, że człowiek, którego całe życie jest jedną walką z głodem i nędzą,

jeżeli nie ulegnie pod ciężarem tych przeciwności, wypełni już tém samém zadanie życia. Największe przeszkody do dalszego rozwoju znajduje Buszman w sposobie życia, na jaki przez samę przyrodę wskazanym został. Całodzienna praca niezawsze pozwala mu zaspokoić potrzeby swojéj rodziny; zmuszony do unikania drugich pędzi życie w odosobnieniu, a wytworzenie liczniejszych towarzystw jest już z natury rzeczy niepodobieństwem. Oprócz tego zawód myśliwski zmusza go do bezustannego pozostawania za domem, a w wielu przypadkach brak wody, do ciągłéj zmiany miejsca pobytu.

Ażeby wznieść się na wyższy stopień cywilizacyi musiałby zerwać przedewszystkiém z całą swoją przeszłością, zmienić dotychczasowy sposób życia i pozostać rolnikiem, ale zmiana taka napotyka nieprzełamaną przeszkodę w jego własnym charakterze, a potém w stosunkach miejscowych. Sama przyroda traktuje go po macoszemu. Ziemia, którą zamieszkuje, bezwodna, jałowa, płonna nie nadaje się do uprawy, a gdzie warunki te są nieco korzystniejsze, tam ona znajduje się w posiadaniu innych ludów, które są zawziętymi jego wrogami. Najwięcéj stykali się Buszmani z Hottentotami, z którymi od niepamiętnych czasów żyją na stopie wojennéj. Nie podlega wątpliwości, że stroną zaczepiającą byli zawsze pierwsi, bo zmuszała ich do tego potrzeba. Gdy polowanie się nie powiodło, przymuszony głodem Buszman opuszczał swoję kryjówkę, szedł na równiny, skradał się cichaczem pod trzody Hottentotów i zatrutemi strzałami wielkie im nieraz sprawiał szkody. Zagrzani żądzą odwetu Hottentoci urządzali wyprawy, wyszukiwali szkodników w ich kryjówkach i mordowali bez litości, a ślady wzajemnéj niechęci przechowały się dotąd pomiędzy niedobitkami obu tych ludów.

Nie lepszym był ich stosunek i do Kafrów. Kafrowie są ludem rolniczym, ale ziemia jest ich wspólną własnością; majątek osobisty polega w bydle rogatem, a ich ustawy towarzyskie naznaczają srogie kary za kradzież bydła. Dopuszczali się często na nich téj zbrodni Buszmani. Kafrowie, przyzwyczajeni do walki w otwartém polu z assagają i tarczą w ręku, lękali się okropnie zatrutych strzał Buszmanów, ale za to, gdy udało im się podejść w znacznéj sile nieprzygotowaną na napad gromadkę, mordowali bez litości mężczyzn, a kobiéty i dzieci zabiérali w niewolę i przyczynili się głównie do wyniszczenia tych nieszczęśliwych istot na wschodnich brzegach Afryki.

Ale największy cios zadali im osadnicy hollenderskiego pochodzenia. O charakterze tych ludzi wspomnę obszerniéj, gdy będzie mowa o ich stosunku do Hottentotów, a tutaj ograniczę się tylko do kilku uwag. Ludzie ci, wyrośli z wyrzutków społeczeństwa

europejskiego, żyli wyłącznie z pracy swych niewolników; ażeby zwiększyć ich liczbę, urządzali zbrojne wyprawy do wnętrza kraju, chwytali Hottentotów, a przy téj sposobności mordowali Buszmanów, pod pozorem odwetu za popełnione przez nich kradzieże bydła, czcigodny obrońca tych ludów misyonarz Philip daje nam wyobrażenie o spustoszeniach urządzanych pomiędzy krajowcami przez takie wyprawy. W przytoczoném przez niego sprawozdaniu naczelnika jednéj z takich wypraw czytamy co następuje:

Dnia 27 Września 1792 r. pierwsza gromada Hottentotów napadnięta; 75 zabito, 21 ujęto.

15-go Października druga gromada napadnięta; 85 zabito, 23 ujęto.

20-go Października trzecia gromada napadnięta; 7 zabito, 3 ujęto.

Równie przerażających szczegółów dostarcza pułkownik Collias, wysłany 1809 roku przez rząd angielski dla zbadania stosunków kolonii; bardzo poważany kolonista opowiadał mu, że w ciągu sześciu lat wymordował i wyłapał przy pomocy swoich ludzi 3.200 Buszmanów. Inny twierdził, że wyprawy, w których brał udział, pozbawiły życia 2.700 Buszmanów. Thompson znał kolonistę, który w ciągu 30 lat zrobił 32 takich wypraw, a na jednéj z nich zabito 200 Buszmanów, a akta urzędowe stwierdzają, że w okręgu Graaf Reynet, od r. 1786 do 1795 2.480 Buszmanów wymordowano. Rząd angielski starał się przeszkodzić takim nadużyciom, sprawdzono jednakowoż urzędownie, że jeszcze od r. 1797 do 1823 pięćdziesiąt trzy takich wypraw urządzono.

Nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że Buszmani byli bardzo złymi sąsiadami kolonistów, ale przytoczone powyżéj szczegóły przedstawiają nam obraz srogości, który tylko w postępowaniu fanatycznych Hiszpanów w Ameryce, za czasów świętéj inkwizycyi, znajduje podobieństwo. Nic dziwnego, że wobec takich stosunków naród Buszmanów został w kolonii zupełnie wyniszczonym i zmuszony jest szukać warunków bytu w pustyniach niedostępnych dla Europejczyków.

Jest jeszcze jedna okoliczność nie pozwalająca dzikiemu człowiekowi wznieść się na wyższy stopień cywilizacyi, a tą jest jego zamiłowanie wolności; zmiana sposobu życia jest dla niego głównie dlatego niemożebną, że naraża go na jéj utratę. Ożywieni lepszym duchem osadnicy i misyonarze chrześciańscy próbowali poprawić los Buszmanów w ten sposób, że zatrzymując ich przy sobie i zaopatrując wszystkie ich potrzeby, dawali im poznać zalety regularnego życia, ale próby te nie udawały się, bo ludzie ci odkarmiwszy

się troszkę opuszczali osady białych i ciągli w rodzinne pustynie, przenosząc głód i nędzę nad zmianę dotychczasowego sposobu życia. Fakt ten na pozór dziwny jest trudnym do zrozumienia dla nas, którzy nie mamy wyobrażenia o wolności fizycznéj; zrodzeni i wyrośli wpośród społeczeństw ucywilizowanych, dźwigamy od kolebki aż do grobu kajdany, jakie wkłada na nas rodzina, towarzystwo i społeczeństwo, ale nie czujemy ich ciężaru, bo przykrość tę równoważy zupełna swoboda umysłu. Człowiek w stanie pierwotnym jest niewolnikiem pod względem umysłowym i przez cały ciąg życia swojego nie jest w stanie uwolnić się od gniotącego go ciężaru najniedorzeczniejszych przesądów i zabobonów, ale w zamian za to używa nieograniczonéj swobody fizycznéj. Zdaje się, powiada Peschel, (1) że u ludów pierwotnych, zadowolnienie fizyczne jest daleko większém, a przywiązanie do życia daleko mniejszém i z tego powodu przenoszą częstokroć śmierć nad kajdany, jakie wkłada na nich cywilizacya. Mógłbym przytoczyć liczne przykłady, gdzie nietylko jednostki, ale nawet całe rodziny i towarzystwa dzikich skazywały się na samobójstwo, ażeby zrzucić gniotące ich jarzmo niewoli.

Nie łatwo jest orzec, w czém właściwie polega pojęcie wolności u dzikiego człowieka. Występuje ono przeważnie jako żądza nieograniczonego używania tego, do czego umysł jego przywykł od dzieciństwa i co odpowiada jego usposobieniu i dlatego dziki tęskni przedewszystkiém za okolicą w któréj się urodził i wychował. Przyzwyczajenie jest tutaj bardzo ważnym czynnikiem, a zmysł estetyczny zdaje się nie wchodzi wcale w rachubę, bo są okolice, które rażą dzikością umysł wykształconego człowieka, a zabijają ciało brakiem fizycznym, a pomimo tego mogą być przedmiotem przywiązania, i widzimy nieraz ze zdziwieniem, że Beduin tęskni za piaskami pustyni, Kirgiz za spalonym stepem, Eskimos za lodowcami, a dziki Butokud za czarną i posępną knieją swojéj ojczystéj ziemi. Ale jak w życiu pojedyńczego człowieka bywają smutne i wesołe chwile, tak samo i krajobraz zmienia postać swoję i pomimo pozornéj posępności może chwilowo zachwycić zmysły, a w umyśle dzikiego człowieka, który go utracił, nikną wszystkie ujemne jego strony, pozostają tylko dodatnie i rodzą przekonanie, że z jego odzyskaniem odzyska i wolność swoję. Uczucie to zrozumié tylko ten, komu udało się wyrwać na chwilę z dusznych ognisk cywilizacyi europejskiéj i odetchnąć na chwilę świéżém i ożywczém po-

(1) Ethnographie 155.

wietrzem pustyni, albo napawać zmysły widokiem dziewiczéj przyrody. Gdyby mi wolno było oddać się wspomnieniom dalekich podróży, odmalowałbym przed oczyma czytelnika dzikie i ponure góry południowéj Afryki w chwili, gdy skaliste ich wierzchołki pokryte białym całunem śniegu odbijają od najczystszego błękitu południowego nieba; albo chaotyczną roślinność pierwotnych lasów Zizikammy, w których gromady ociężałych słoni i bawołów i figlarnych małp poruszają się dotąd swobodnie niepłoszone widokiem człowieka; albo posępną pustynię Karroo, gdzie drogi białego człowieka znaczą niezliczone szkielety naszych zwierząt zaprzęgowych, poświęconych dla dopięcia ambitnych jego zamiarów; albo urocze doliny Natalu, gdzie nad brzegiem szumiącego potoku, obok sztywnych akacyj wznoszą się powiewne postacie drzewiastych paproci i palm, przerywane olbrzymiemi liśćmi Hrelicyi, albo niezmierzone okiem obszary stepowe, oblane różowém światłem wschodzącego słońca, po których tysiąc antylop i innych zwierzątek igra swobodnie, nie zważając zupełnie na obecność człowieka. Widoki takie zachwycają podróżnika, pomimo materyalnéj nędzy i przeszkód, z jakiemi musi walczyć na każdym kroku i pozwalają mu poznać wartość fizycznéj wolności. Jeżeli złe lub dobre losy przeniosą go potém na rodzinną ziemię, obrazy takie żyją w jego pamięci, budzą bezustanną jego tęsknotę i pozwalają mu zrozumiéć, czém jest fizyczna wolność dzikiego człowieka i dlaczego jéj utratę nieraz śmiercią przypłaca.

W tym stanie rzeczy nie można się dziwić, jeżeli liczba Buszmanów w południowéj Afryce zmniejsza się z każdym dniem i w ciągu kilkudziesiątek lat całe plemię wyginie. Obecnie znikli oni w staréj kolonii zupełnie, a na południe od rzeki Gariepu tylko w skalistéj pustyni nazwanéj Buschmansland nieliczne ich gromadki się przechowały. Na północ od téj rzeki jest ich znacznie więcéj, szczególnie w okolicach zachodnich, gdzie wielkie obszary pustyni Kalihari, zarosłe krzewami i nieprzystępne dla Europejczyków, pozwalają im używać pierwotnéj swobody, chociaż i tutaj liczba ich z każdym dniem się zmniejsza.

A jednakowoż wiele okoliczności przemawia za tém, że Buszmani byli najdawniejszymi mieszkańcami i panami téj ziemi. Pozostawione przez nich malowidła dowodzą, że żyli pierwotnie nawet po miejscach, które w ostatnich czasach w wyłącznéni posiadaniu Kafrów się znajdowały, a przedziurawione kamienie buszmańskie bywają znachodzone dziś tam, gdzie nawet pamięć o tych ludziach zaginęła. Powynajdowano nadto w ostatnich czasach wpośród ludów murzyńskich środkowéj Afryki pojedyncze drobne

plemiona, których opisy przywodzą żywo na pamięć Buszmanów. Tutaj należy np. lud Obongo, karłowatych rozmiarów, brudno-żółtéj barwy ciała, z kosmykowatym porostem włosów, odkryty przez francuskiego podróżnika Du Chaillu w lasach wschodniéj, podrównikowéj Afryki; następnie karłowaty lud Akka, czyli Tiki-tiki, mieszkający według Schweinfurtha na południe od Uelle niedaleko od źródeł Nilu, nakoniec karłowaty lud Doko, żyjący według Krapfa na południe od Raffy. Gdyby przyszłe badania wykazały, że istnieje genetyczny związek pomiędzy temi ludami i Buszmanami, doprowadziłoby nas to do tego ważnego rezultatu, że Buszmani byli pierwotnymi i najdawniejszymi mieszkańcami środkowéj i południowéj Afryki i tylko przez ludy murzyńskiego pochodzenia z pierwotnych swoich siedzib wyparci, na dzikich i nieurodzajnych obszarach południowéj Afryki do dni naszych się przechowali.

Buszmani w chwili pierwszego zetknięcia się z Europejczykami nie znali użytku żelaza, a wszystkie ich przyrządy były wyrabiane z kamienia, w skutek czego należą oni do epoki kamienia gładzonego przedziurawionego, a pod względem rozwoju historycznego możnaby ich porównać jedynie z ludami okresu lodowego, których ślady przechowały się po dziś dzień w jaskiniach Francyi. Ci ostatni nie stawiali również mieszkań, lecz żyli po jaskiniach, nie znali użytku żelaza, lecz wszystkie potrzebne przyrządy wyrabiali z kamieni lub kości. Napotykamy i u nich pierwsze ślady sztuk pięknych w postaci rysunków, jakiemi zdobili różne przyrządy. Pod jednym względem stali może wyżéj od Buszmanów; w jaskini w Dordogne odkryto igły z kości z przedziurawioném uszkiem, każące się domyślać, że ci pierwotni mieszkańcy Francyi ubierali się starannie a ubranie szyli. Nie można jednakże z tego powodu przypisywać im wyższego stopnia cywilizacyi, bo staranność w ubraniu mogła być prostém następstwem ostrości klimatu. Różnili się oni pod względem fizycznym znacznie od Buszmanów, bo szkielety ich przekonywają nas, że byli ludem rosłym i dorodnym, a czaszki ich silnie rozwinięte nie mają nic wspólnego z wydłużoną czaszką buszmańską.

Z ludów pierwotnych, obecnie na ziemi żyjących, tylko Australczycy przedstawiają pewne podobieństwo z Buszmanami; nie znają użytku żelaza, narzędzia swoje wyrabiają z kamieni lub kości, żyją z polowania, ale nie gardzą i owocami, używają również paska głodowego a Gregory i Müller odkryli nad brzegami rzeki Victorya rysunki wykonywane przez nich za pomocą krédy i ochry. Mowa ich jest nadzwyczaj wykształconą i przewyższa bogactwem form gramatykalnych wszystkie inne. Rzecz dziwna, że jeden i ten sam

przesąd jest wspólnym obu tym ludom, a mianowicie, że dzieciom nie wolno spożywać mięsa od kości pacierzowéj, bo w przeciwnym razie są zagrożone śmiercią. Niedorzecznością byłoby wyprowadzać z tych wspólnych cech wnioski o wspólności pochodzenia obu ludów, a sprzeciwia się temu i różnica w ustroju fizycznym. Przekonywają one nas raczéj o psychicznéj jedności rodu ludzkiego, w skutek któréj umysł ludzki i na odległych krańcach ziemi pod wpływem tych samych czynników tenże sam przybiéra kierunek i do tych samych dochodzi wypadków.

---

# FRANCYA DZISIEJSZA.

## STRONNICTWA POLITYCZNE.

Wśród rozlicznych ubolewań nad różnemi niedoborami w obecnym stanie społeczeństw europejskich, nic pono częściéj się nie napotyka nad wyrzekania na stronnictwa polityczne, nurtujące w ich łonie. Stronnictwa zwykle czyni się odpowiedzialnemi za wszelkie klęski nawiedzające społeczeństwa; stronnictwa, według Jeremiaszów politycznych, wywołują odmęt w sferze spraw i interesów materyalnych, one to obalają dogmata najbardziéj ustalone, podkopują najświętsze zasady, na których opiéra się każda społeczność, wobec zaciętości z jaką się ściérają stronnictwa nic ostać się nie jest w stanie, a masa spokojnych obywateli, obecna téj walce nieubłaganéj, nie wiedząc w co wierzyć wpośród téj wrzawy powszechnéj, słysząc kolejno uwielbienia i potępienia tych samych ludzi i tych samych instytucyj, dochodzi łatwo do zupełnego zobojętnienia dla spraw publicznych, jeżeli sama nie straci wszelkiego zmysłu moralnego.

Takie to zwykle usłyszéć można zarzuty, których autorowie zapominają zawsze dodać jakimby sposobem zażegnać można niebezpieczeństwo, jak tego dokazać ażeby stronnictwa istniéć przestały, jak przeciąć starcie interesów i przekonań i dojść do jednostajności poglądów i dążeń.

I nic dziwnego, jestto bowiem marzenie, utopia, któréj nawet szlachetną nazwać nie można, bo co do nas, widzimy w niéj niebezpieczeństwo i najzgubniejszą doktrynę. Przeciwnicy stronnictw politycznych, odmawiając im prawa istnienia dążą zarazem do zagłady wszelkiego życia politycznego, wyrok potępienia rozciąga się

już nie do saméj tylko prawidłowéj i organicznéj walki obywateli zgromadzonych pod sztandarem własnych idei i programatów, ale do wszelkiego objawu indywidualizmu w państwie.

Ideał, który chcianoby wpoić w nasze umysły, ma pewne podobieństwo do ponuréj i jałowéj obojętności państw starożytnego Wschodu, w których miliony pokoleń żyły pod jedném jarzmem, lub do bez troskiéj bierności wyznawcy Buddy spoglądającego na fale świętéj rzeki. Zobojętnić masy dla spraw publicznych, wmówić w nie, że do życia wystarcza atmosfera kantoru lub folwarku, oto mniéj więcéj wyraźna doktryna tych, co ze zgrozą tak dobrze oddaną, piorunują przeciwko stronnictwom politycznym. „Z interesów się żyje, na politykę się umiéra“ wyrzekł niedawno jeden z francuskich mężów stanu należących do téj szkoły, która się chętnie zachowawczą mianuje. Niechaj masy abdykują na rzecz „wybawcy,“ a życie dla wszystkich spokojnie i szczęśliwie płynąć będzie, takie jest hasło téj szkoły.

Hasło to nie jest bynajmniéj naszém. Wierzymy silnie w konieczną potrzebę stronnictw politycznych w łonie każdego cywilizowanego społeczeństwa, i w istnieniu ich nietylko nie upatrujemy niebezpieczeństwa, ale uznajemy je za niezbędny warunek bytu społeczeństw.

W każdém państwie znajdą się zawsze zachowawcy, to jest ludzie pragnący utrzymać instytucye, które ochraniają ich interesa, i postępowcy, to jest ludzie, dążący do polepszenia swego losu i do przyjęcia z kolei udziału nietylko w ciężarach, ale i w korzyściach życia publicznego. Usunąć te dwie zasadnicze podstawy wszelkiego organizmu politycznego jest niepodobieństwem. W ciągłém ścieraniu się tych żywiołów często gwałtowném i zaciętém, a zawsze płodném, objawia się życie państwowe; od czasowéj przewagi jednego lub drugiego zawisły charakterystyczne cechy instytucyj. Rozejm między walczącymi jest niemożliwym. Zamiast więc tracić czas na próżnych żalach i na złorzeczeniach jałowych, uważamy za rzecz nierównie ważniejszą zbadać naturę tych stronnictw, ich dążności i przyszłość.

Za pole do takich badań wybraliśmy Francyą. Pobudką do tego wyboru jest nietylko dawna i bliska znajomość badanego kraju, ale i żywotność, tkwiąca we wszystkiém co od tego narodu pochodzi, szczególniéj zaś obecne ściéranie się stronnictw, które tam walczą o władzę. Gdzieindziéj antagonizm nie wszedł jeszcze w okrés wojujący: we Francyi, objawia się z zadziwiającą siłą. Sądzimy, że widok tych zapasów równie będzie zajmującym jak pouczającym; spojrzyjmy więc na nie bez uprzedzeń, mając na względzie przedewszystkiém prawdę i tylko prawdę.

I.

W organizmie każdego państwa, nieodzownem jest, jak to wykazaliśmy wyżéj, istnienie dwóch stronnictw politycznych: zachowawców, ludzi dnia wczorajszego i postępowców—ludzi jutra. Oba stronnictwa ścierają się wśród ludzi spokojnych, ludzi dnia dzisiejszego, chwili obecnéj. Pierwsi pamiętają świetną przeszłość i usiłują odżywić wyblakłe jéj barwy; drudzy śmiałą ręką uchylają zasłonę, zakrywającą przyszłość, któréj uroki wysławiają. Wielkie masy obywateli, stając to po jednéj, to po drugiéj stronie, rozstrzygają o przechylaniu się szali politycznéj. Taki jest odwieczny i niezmienny obraz życia państwowego.

We Francyi zachowawcy nazywają się legitymistami lub rojalistami, postępowcy—republikanami. Istnieje tam jeszcze trzecie stronnictwo: bonapartyści, mające niektóre cechy i dążenia, wspólne obu poprzednim, ale o tém będziemy mówili późniéj. W téj chwili zamierzamy przedewszystkiém sporządzić bilans legitymistów i republikanów, zbadać siłę ich szeregów, zdolności ich wodzów i wyprowadzić z tych badań możliwość powodzenia jednych, klęski drugich. Nie chcąc się omylić, należy zbliska rozpatrzyć oba obozy: sztandary w nich powiéwają jednakiéj zawsze barwy, ale duch stronnictw zmienił się zupełnie.

Zacznijmy od legitymistów.

Francyą dzisiejszą wytworzyło dziesięć wieków monarchii; dziesięć wieków wielkości i sławy uczyniło z niéj jeden z najpierwszych narodów na świecie. Monarchia francuska była prototypem wszystkich monarchij lądu stałego, a legendowe słowa Ludwika XIV „państwo to ja" stały się hasłem nietylko dla jego następców, ale dla wszystkich monarchów europejskich. Ta monarchia pochłaniająca w zupełnéj centralizacyi instytucye feodalne, kierowana geniuszem Ludwika XIII i Richelieugo, opromieniona szczęściem Ludwika XIV, była pierwszém państwem uorganizowaném na podstawach nowożytnego ustroju. Królewskość potrafiła zniszczyć, wytępić wszelkie życie niepodległe, wszelki partykularyzm i stała się jedynéem źródłem wszelkiego życia narodowego. Za narzędzie swéj pochłaniającéj żywotności używała arystokracyi, ale nie owéj arystokracyi opartéj na niezachwianych podwalinach terytoryalnych, do dziś dnia przechowanéj w Anglii i do niedawna jeszcze istniejącéj w Niemczech, w krajach Słowiańskich, lecz arystokracyi sztucznéj, bez wielkich fortun, bez praw, bez przywilejów, bez swobód niewzruszonych, arystokracyi zależnéj od woli króla, czerpiącéj chwałę swoję i potęgę z darów królewskich, z godności nadanych przez koronę,

słowem—arystokracyi dworaków. Wszelka świetność, wszelka władza spływała na nią z królewskości, do któréj przywiązywała się jako do jedynéj racyi bytu, jako do jedynego źródła zbawienia. Im wyżéj dworacy wynosili potęgę królewską, tém wyżéj wspinali się sami. Dzięki więc naturalnemu dążeniu panujących i dzięki ich otoczeniu, królewskość opromieniona była aureolą świetności, niezrozumiałą dla nas synów epoki nowożytnéj, którzy nie możemy zapomnieć skromnego jéj pochodzenia i zmiennych losów w ciągu wieków średnich. Legendę królewskości tworzyli ci właśnie, którzy pośród niéj żyli. Pochodzenie boskie absolutyzmu nie ulegało żadnéj wątpliwości dla ludzi, będących poniekąd jego twórcami. Król przedstawiał Boga na ziemi; ci zaś, co mu byli ślepo posłuszni, spełniali jednocześnie obowiązki chrześcianina i poddanego. W książce niedawno wydanéj przez Henryka Taine'a p. t. „Les origines de la Revolution française" znaleść można mnóstwo ciekawych szczegółów w tym przedmiocie.

Nie utrzymujemy bynajmniéj, że opozycya nigdy miejsca nie miała, że pośród téj rasy silnéj i nerwowéj wszystkie czoła schylały się z jednakowém służalstwém; że dawne swobody gallikańskie nie ostały się pod dwoistém ciśnieniem politycznėm i religijném: wielka rewolucya, która już pogrzmiewała w podziemiach narodowych, fałszby nam zadała; ale mówimy tu u ogólnych cechach stronnictwa rojalistowskiego we Francyi. Poddanie się bezwarunkowe koronie, król uosabiający Boga, władza pochodząca z góry, oto duch stronnictwa taki jakim go wielka rewolucya zastała. Wszystko, cokolwiek mówi wielki pisarz Aleksy Tocqueville w dziele swojem *l'Ancien Régime et la Révolution*, wszystko, co po nim powtarza cała plejada dzisiejszych pisarzy, usiłująca wykazać ciągłość tradycyi liberalnéj w dawnéj Francyi, potwierdza nasze słowa.

Uragan rewolucyi r. 1793, wyrywając z korzeniem rozłożyste drzewo królewskości, obalił jednocześnie stronnictwo rojalistowskie. Znana jest wszystkim rola, którą rojaliści odgrywali przez cały czas odmętu rewolucyjnego. Utożsamiwszy losy swoje z losami króla, mimo że Francuzi, walczyli przeciwko Francyi. Ojczyzną dla nich był król, prawo boże, absolutyzm i utracone przywileje, które trzeba było odzyskać. Rozczarowanie stronnictwa rojalistowskiego było wielkie w chwili, kiedy wojska sprzymierzone narzuciły Francyi zwyciężonéj i ujarzmionéj monarchią Burbonów. Idee równości, zasady demokratyczne wygłoszone przez Rzeczpospolitą i z talentem przez Cesarstwo spożytkowane, miały czas zakiełkować w nowém społeczeństwie, tak że od samego początku wojny zaciętéj, którą z niemi toczyła biała reakcya, można było przewidywać klęskę legitymizmu.

Karol X strącony został z tronu, a samobójstwo wiekowéj monarchii było wynikiem zaślepienia stronnictwa, które według słów historycznych, nic nie zapomniało, niczego się nie nauczyło. Rojaliści nie mogli oswoić się z myślą monarchii konstytucyjnéj i głęboką żywili pogardę dla mieszczańskich rządów Ludwika Filipa. Upadek jego nie zadziwił ich, ani pogodził z upadłym. Ludzie przebaczają często tym, którym się powiodło, nigdy tym—co się w boju ostać nie mogli. Legitymiści godzili się nawet lepiéj (fakt ten ma wszelkie pozory paradoksu) z Napoleonem III-m. Byłto według nich, niewątpliwie nowy uzurpator, ale przynajmniéj nie był zdrajcą względem prawdziwego króla, jak Ludwik Filip. Przez 18 lat cesarstwa, rojaliści trzymali się na uboczu i w ciągu tego czasu spełnili ów stanowczy zwrot klerykalny, o którym niżéj mówić będziemy. Kiedy klęska 1870 r. obaliła drugie cesarstwo, stronnictwo rojalistów oświadczyło, że gotowe jest przyjąć spuściznę, z któréj ofiarowaniem dotąd się ociągano. Wypadki polityczne utworzyły z Francyi tabula rasa. Nie pozostało śladów ani cesarstwa, które padło pod brzemieniem przekleństw narodu po szalonemu ku ruinie popchniętego, ani rzeczypospolitéj, która nie potrafiła oprzéć się zwycięsko, jak dawniejsza konwencya koalicyom całéj Europy; jedna tylko dla Francyi pozostawała droga wyjścia: monarchia dziedziczna.

Wybory, które odbywają się zwykle we Francyi według hasła jasnego i prostego, oparły się w 1871 r. na dylemacie: pokój czy wojna? Znaczna większość kraju, zdemoralizowana przez Cesarstwo, wycieńczona klęskami wojennemi, wzdychała za ukojeniem, za pokojem. Ponieważ rojaliści byli na tyle rozumni, czy téż zręczni, że skupili się pod tym sztandarem, wysłano ich do Zgromadzenia prawodawczego 1871 r. w zastępie dość imponującym, w liczbie, która jednak nie była w żadnym rzeczywistym stosunku do istotnéj ich siły w kraju. Zagranica pozwoliła się omamić, a legitymiści czynili wszystko co było w ich mocy, ażeby to złudzenie pochlebne co do ich siły trwało jak najdłużéj. Ale kraj, wielka masa obywateli nie dała się uwieść. Gdy przeszła pierwsza chwila osłupienia, wybory dopełniające doprowadziły do odmiennych wyników. Wtedy legitymiści nie chcieli zrozumiéć nowego położenia. Twierdzili, mniejsza o to czy w dobréj czy w złéj wierze, iż są stronnictwem potężnem, odgłosem woli narodowéj i przygotowywali poprostu powrót monarchii dziedzicznéj.

Nie jest naszym zamiarem opowiadać dzieje tego nieskończonego Zgromadzenia Narodowego, które nie umiało powziąć żadnego postanowienia i które, pragnąc przywrócić monarchią, zmuszone by-

ło siłą okoliczności do utworzenia rzeczypospolitéj; nie leży również w naszym planie opisywać kolejne niepowodzenia stronnictwa legitymistów. Każdy, kto śledził ciąg wypadków, przypomina sobie cudowne nieledwie podźwignięcie się Francyi pod tarczą rozumu Thiersa, którego Francya nie przestała opłakiwać, i ów 24 Maja, w którym koalicya legitymistów i bonapartystów strąciła go ze szczytu władzy. Wiadome są zabiegi czynione wtedy do hr. Chamborda przez stronnictwo monarchiczne: pamiętają wszyscy deputacyą, która pretendentowi w Frohsdorff ofiarowała koronę. Hrabia Paryża, przedstawiciel młodszéj linii Burbonów, złożył także hołd przyszłemu Henrykowi V-mu i dynastya francuska odżyła w zupełnéj jednolitości. Legitymiści tryumfowali. Wszystko wróżyło im zwycięstwo. Salony szlachetnego przedmieścia Ś-go Germana ciekawy podówczas przedstawiały widok. Rozprawiano tam już nad ceremoniałem wjazdu króla do zacnego miasta Paryża, nad barwą liberyi i kształtem powozów. Cały ten złoty sen rozwiał się, cały pałac z kart runął pod ciosem wymierzonym ręką, po której najmniéj się tego spodziéwano. Sam pretendent nie chciał przyjąć tronu w warunkach w jakich mu go ofiarowano. A przecięż warunki te nie były zaiste drakońskie. Żądano od pretendenta poprostu, ażeby wyrzekł się białéj z liliami chorągwi i przyjął sztandar nowéj Francyi, chorągiew trójkolorową, w któréj Francya upostaciowała wszystkie swoje nowożytne dążenia. Mimo swe zaślepienie legitymiści pojmowali, że ani wojsko, ani naród nie mógł schylić czoła przed monarchią absolutną, powracającą w tryumfie do swoich dzierżaw, ale nie zrozumiał tego Henryk V, wolał więc wyrzec się tronu, aniżeli wstąpić nań w charakterze króla konstytucyjnego. Nie mamy bynajmniéj zamiaru dochodzić, czy było to ze strony pretendenta znużenie i brak energii, czy też zręczność człowieka zdrowo stan rzeczy oceniającego, który nie chce puszczać się w niepewną podróż na uszkodzonéj łodzi; gotowiśmy raczéj, sławiąc wraz z tłumem nieposzlakowaną prawość znakomitego szlachcica, położyć wśród kwiatów, wśród mnóstwa kwiatów, kamień grobowy zgasłemu legitymizmowi.

Od téj próby urzędowéj i po tém urzędowém poronieniu, roczniki stronnictwa legitymistowskiego są, rzec można, zamknięte.

W Izbie 1876 r. legitymiści stanowili nieznaczną mniejszość; w wyborach niedawno dokonanych, liczba ich nie wzrosła wcale. Na szali stronnictw oddzielnie nic nie ważą, a dają znaki życia tylko w przymierzach z dwoma innemi stronnictwami monarchicznemi. Przymierza te będą zawsze potworne, ale wobec bezsilności,

na którą skazała legitymistów obojętność i nieprzychylność kraju, są jedynem świadectwem ich istnienia.

Mimo tę polityczną bezsilność, stronnictwo legitymistów posiada w obu Izbach i w kraju osobistości wielce szanowne i prawdziwie sympatyczne. Któżby nie uczcił zmarłego niedawno margrabiego de Franclien, szlachcica starodawnego hartu, zacnego i szlachetnego męża, który przypominał patrycyuszów rzymskich, a godnością swoją protestował przeciw ogólnemu rozstrojowi! A nie byłto jedyny przedstawiciel téj rady rojalistów bardziéj królewskich od samego króla. Spotykamy obok niego Lucyana Brun, wielkiego obrońcę Wandei, Andrzeja de Kardrel, walecznego w boju, zręcznego w pokoju, Depeyra, który z godnością piastował pieczęć kanclerza, Dufont de Cierac'a, którego izba republikańska, zawsze wice-prezydenturą zaszczyca, ognistego księcia de La Rochefoucauld, prawego Curayon Latour i wielu innych. Przyznając jednak tym przywódzcom legitymistów wszelkie tytuły do poszanowania i sympatyi, niepodobna jednocześnie zaprzeczyć, że są to osobistości drugorzędne. Nie znajdziemy między niemi ani męża stanu, ani znakomitego mówcy, któryby zaimponował tłumom, zapanował nad niemi geniuszem, któryby nowe drogi wytknął temu stronnictwu od tak dawna przez losy przeciwne prześladowanemu. Któż wié, czy gdyby w pierwszém osłupieniu po wojnie, ukazał się wśród strwożonego chwiejnego i rozproszonego w nieładzie sejmu, jakiś Berryer, to jest jeden z najpotężniejszych mówców nowożytnych, kto wié powtarzamy, czyby nie potrafił przeciągnąć do obozu rojalistów wszystkich umysłów niezdecydowanych, któreby liczebnie wzmocniły przerzedzone falangi stronnictwa? Ale na szczęście czy też nieszczęście, nie było Berryera, ani nikogo, ktoby mu wartością dorównywał. Legitymistom brakowało zawsze i brakuje do dziś dnia prawdziwego *leadera.* Stronnictwo bez głowy nie może mieć siły. Historya potwierdza to na każdym kroku.

Wypada nadto nadmienić, że dzisiejsi legitymiści więcéj mają wiary w swoję gwiazdę aniżeli przezorności politycznéj. Wśród własnéj społeczności żyją jak obcy, między współczesnymi snują się jak widma minionych wieków, nie domyślając się przepaści codzień głębszéj, która ich od Francyi oddziela. Dziś jeszcze rozmyślają, jakimby sposobem pozbyć się głosowania powszechnego. Co zaś szczególniéj odejmuje im wszelką sympatyą publiczną, wszelką popularność, a nawet wpływy miejscowe, to przywiązanie do klerykalizmu. Legitymiści stanowią stronnictwo kościoła. Wiadoma jest protekcya, jaką Ojciec Święty otacza hr. Chamborda, pamiętają też wszyscy legion żuawów papieskich, w którym widzieć można było

kwiat szlachty francuskiéj. Między wszechmocą papieską, a absolutyzmem politycznym istnieją nierozerwalne węzły. Walczyć za Rzym, uchodzi w oczach legitymistów, za sprawę równie świętą, jeżeli nie świętszą jeszcze jak bronić własnego kraju. Interesa Francyi uczynić zależnemi od interesów Kuryi rzymskiéj, odbiérać hasła ze stolic biskupich, działać tylko przez duchowieństwo, widziéć tylko oczami kleru, oto zasadnicze dążenia stronnictwa legitymistów we Francyi. Ta charakterystyczna cecha legitymistów jest też ich słabością. Masa narodu nie rozumié już tego ścisłego węzła, a domyśla się zgubnych jego skutków dla wolności osobistéj. Wszystko co pochodzi z Rzymu jest jéj podejrzaném, a stronnictwo legitymistów pierwsze pada ofiarą tego usposobienia.

Bądźmy sprawiedliwymi. Była chwila kiedy legitymiści zdawali się nietylko odzyskiwać popularność, ale nawet otwiérać sobie świetne na przyszłość widoki. Kilku legitymistów stanęło na czele partyi decentralizacyjnéj, broniąc swobód municypalnych i prowincyonalnych. Ze względu, że swobody miejscowe zawiérają w zarodzie całą wolność polityczną, przyklaśnięto téj szlachetnéj próbie; ten i ów skłonny był już widziéć w magnatach walczących za swobodę prowincyj przeciw znikczemniającéj centralizacyi stolicy, spóźnionych potomków Gwizyuszów i Fruzdy któréj zwycięstwo nad absolutyzmem byłoby nadało inny obrót całéj historyi nowożytnéj. Ale gorliwość legitymistów nietylko wkrótce ostygła, lecz nawet zupełnie wygasła tak, że byliśmy świadkami upakarzających odszczepieństw i słyszeliśmy jak ci sami ludzie, którzy dopominali się swobód dla prowincyj, w następnym sejmie odmawiali najskromniejszym gminom prawa mianowania mera! Wytłómaczyć to łatwo. Widząc, że kraj ich opuścił, a nie będąc w stanie odzyskać swéj przewagi powolną drogą wpływów miejscowych, legitymiści puścili się na awanturę i padli w objęcia reakcyi. Mimo pogardę dla Bonapartego i dla jego rządów, sprzymierzyli się z bonapartystami przeciwko istniejącemu porządkowi.

Swoboda rozpraw, wolność prasy, swoboda zgromadzeń, wolność wyznań, powszechne głosowanie i wszelkie jego następstwa stały się zmorą dla stronnictwa legitymistów.

Czytelnicy uwolnią nas od wniosków; wypływają one widocznie z przedstawionego wyżéj stanu rzeczy.

Stronnictwo legitymistów, liczebnie słabe, ma oparcie jedynie w departamentach najmniéj rozwiniętych, to jest na Zachodzie Francyi; wobec całego kraju skompromitowało się obcemi przymierzami, lenniczą od kleru zależnością i sprzeniewierzeniem się zasadzie decentralizacyi. Legitymiści wegetują i słyszéć jeszcze będzie-

my o nich to i owo, legitymizm w politycznèm znaczeniu żyć przestał. Po śmierci Henryka V-go, wierni jego stronnicy rozproszą się i wzmocnią zastępy innych stronnictw.

W bezsilnym obozie legitymistów, będą zawsze budzić szacunek piękne, szlachetne i rycerskie charaktery: niemniéj przeto stary sztandar stronnictwa może na zawsze krepą żałobną pokryć wypadnie.

II.

Przygotowani jesteśmy na zarzut. Różna bywa monarchia, może kto powiedziéć. Oprócz monarchii absolutnéj, legitymistycznéj, któréj chorobliwe pierwiastki zbadaliśmy wyżéj, godzi się jeszcze zbadać monarchią konstytucyjną, parlamentarną, istniejącą w większéj części krajów lądu stałego, że już nie wspomnimy o jéj prototypie, o konstytucyi angielskiéj. Ta błogosławiona forma rządu, zabezpieczająca obywatelom wszelkie swobody, zapewniająca im równocześnie wszystkie korzyści porządku i stałości, godząca najbardziéj krańcowe dążenia postępowe z wiekowemi tradycyami przeszłości, byłażby równie niemożliwą we Francyi?

Na to pytanie damy bez wahania jak najdobitniejszą odpowiedź. Tak, jesteśmy przekonani, że monarchia konstytucyjna niemożliwą jest we Francyi, że nigdy nie zdoła się tam zakorzenić. Jeżeli da się nawet zaszczepić czasowo, o czém wątpimy, ale co może się przytrafić w dzisiejszych czasach niespodzianek, życie jéj będzie krótkotrwałe. Jesteśmy tego pewni; i postaramy się umotywować to nasze przekonanie.

Francya stosuje u siebie od 30 lat zasadę powszechnego głosowania, każdy zatém pełnoletni obywatel korzysta z pewnéj cząsteczki wszechwładztwa. O téj ważnéj okoliczności zapominać nie należy. Rzeczą jest oczywistą, że przy logice stanowiącéj wydatną stronę umysłu francuskiego, przy żywości, którą się charakter Francuzów odznacza; owe miliony władzców nie zgodzą się na króla, choćby od niego otrzymali najliberalniejszą, najrozleglejszą konstytucyą. Kraj, który należał do siebie choćby przez krótką chwilę, uczuje jarzmo najlżejszéj zależności, a Francya oddawna już do siebie należy i nowe pokolenia wzrastają w zupełnéj świadomości swego wszechwładztwa politycznego. Możnaż przypuścić, ażeby ta sama Francya uznała kiedykolwiek wszechwładztwo króla i dynastyi królewskiéj. Wątek tradycyi królewskiéj przerwał się. Nie uznając już wszechwładztwa króla z łaski Bożéj, Francya zastąpiła je wszechwładztwem zbiorowém swoich obywateli. Możnaby wprawdzie wcielić to wszech-

władztwo prawa w królu konstytucyjnym, jako w strażniku paktów zasadniczych, ale ta potrzeba nie wydaje się już większości narodu francuskiego tak jasną i oczywistą. Rządy republikańskie przedstawiają się Francuzom w formach nierównie prostszych, a im prostsze jest rozwiązanie trudności, tém łatwiéj masom imponuje. Ponieważ monarchia Konstytucyjna nie może powiększyć *summum* swobód i praw jakie nadaje rzeczpospolita, ponieważ przeciwnie, kraj zawsze narażony jest na rządy króla nieudolnego, lub zbyt chciwego władzy, lepiéj się wcale na to zdradne ryzyko nie narażać. Takie jest rozumowanie, takie są przekonania we Francyi.

Wypada teraz przymierzyć do tego rozumowania teoretycznego i oderwanego, sprawdzenie faktów pozytywnych, jedyne nieomylne kryteryum w kwestyach politycznych. Cyfry i osoby mięszają częstokroć szyki w poglądach spekulatywnych, ale je dopełniają zawsze.

Ze stanowiska praktycznego, monarchia konstytucyjna nie ma we Francyi widoków powodzenia. Należy tu przedewszystkiém zastrzedz, że dynastya Ludwika Filipa głębszych w kraju nie obudziła sympatyj. Potrafiła wprawdzie zgromadzić około tronu konstytucyjnego warstwę narodu, która stanowi jego siłę i światło: mieszczaństwo. Ale mieszczaństwo takie, jakie wytworzyła dynastya Orleańska, już nie istnieje. Cesarstwo potrafiło z gruntu przekształcić jego charakter. Z mieszczanina uczciwego, spokojnego, umiarkowanego, skromnego w potrzebach, niedalekich sięgającego widnokręgów, z typu szanownego choć śmiesznego Józefa Prudhomme'a, Cesarstwo dzięki olbrzymim robotom publicznym, kolosalnym przedsiębierstwom przemysłowym, dzięki szybkiemu wzrostowi majątków powstających i upadających z dnia na dzień, utworzyło postać zupełnie odmienną. Dopuszczony do takiéj uczty mieszczanin nie był w stanie oprzéć się ponętom. Węzły moralności prywatnéj rozluźniły się niewątpliwie, ale widnokrąg polityczny rozszerzył się jednocześnie. Zasada cenzu, wyborów kilkostopniowych, klas uprzywilejowanych wywołałaby dziś uśmiech w klasach średnich, które niegdyś z tych przywilejów korzystały. Szczęściem wdzięczność nie jest potrzebną w życiu polityczném, bo brak jéj dawałby się uczuć nieustannie. Francuzi stali się demokratami, jedni z przekonania, inni z konieczności: wszelkie więc argumentacye ustąpić muszą wobec brutalnego faktu. W dzisiejszych warunkach utworzenie Izby parów, według wzoru zostawionego przez Ludwika Filipa, byłoby niepodobieństwem. Systemat parlamentarny z wielkiemi turniejami krasomówczemi, z harmonijnie od mierzoną równowagą władz, z projektami do praw przebiegającemi z izby do izby niby tkackie czółenko, wszystko to

wydałoby się dziś starém rupieciem, chińszczyzną. Cesarstwo, podniecane nienawiścią do Orleanów, potrafiło ogołocić z powagi najpiękniejsze nawet i najszlachetniejsze strony tego rządu: reszty dokonała rzeczpospolita.

Położenie książąt, przedstawiających dziś dynastyą Orleańską, jest arcy trudném. Urzędownie zjednoczyli się oni z hrabią Chambord: faktycznie reprezentują inną sprawę. Po zrzeczeniu się tronu ze strony hrabiego Chamborda, książęta Orleańscy są tém samém od stopni jego odsunięci. Hrabia z dumą przemieszkuje zagranicą i do Francyi królem tylko powróci; książęta mieszkają w kraju w charakterze obywateli, właściwie kapitalistów. Wnuk Ludwika Filipa, hrabia Paryża, poświęca się studyom, usiłuje żyć zdala od wiru politycznego i cierpliwie czeka na stosowną dla siebie chwilę. Ale nadzieją stronnictwa nie jest on, lecz książę d'Aumale, dobra głowa, a zarazem dzielna prawica Orleanistów. Fortunę ma olbrzymią, stosunki bardzo rozgałęzione; odznacza się niepospolitą inteligencyą i wielką ambicyą. Jako jenerał, ma dziś wielkie dowództwo wojskowe w Besançon, i stanowisko swoje uważa za nieodpowiednie, co nikogo dziwić nie może. Ilekroć Francya przebywa jakieś przesilenie, ilekroć zachmurzy się horyzont, strwożone oczy zwracają się ku niemu. Niedawno jeszcze, kiedy dymisya marszałka Mac-Mahona wydawała się nieuniknioną i kiedy orleaniści jakoby opuścić go chcieli, upatrywano w tém rękę księcia Aumala i spodziewano się, że wyjdzie na jaw jego kandydatura. Polityka przewidująca na dalekie odległości wyznaczała już księciu stacye ku tronowi, do którego drogę miał książę przygotować swemu spadkobiercy, hrabiemu Paryża, zacząwszy od prezydentury rzeczypospolitéj, przez statuderat do monarchii. Wszyscy obawiający się ze strony książąt orleańskich zamachu stanu, lub jakiegobądź aktu nielegalnego, są w błędzie. Członkowie młodszéj linii Burbonów, ludzie gruntownie uczciwi, nie są do tego zdolni. Niepopularność ich w narodzie, nieulegająca wątpliwości wynika z faktu podrzędnego znaczenia. Powróciwszy do Francyi po wojnie, w chwili kiedy kraj gromadził wszystkie kapitały na spłatę niezbłaganego wroga, książęta orleańscy pospieszyli upomnieć się o zwrot swoich majątków skonfiskowanych przez cesarstwo, to jest o kapitały wraz z procentami. Mieli do tego prawo, bez wątpienia, ale chwila wydała się wszystkim źle wybraną na tę rewindykacyą, a książęta, niedawno jeszcze zupełnie nieznani, przedstawili się Francyi pod zarzutem chciwości, którą legenda z upodobaniem przypisywała ojcu królowi Ludwikowi Filipowi.

Znaczenie zatém stronnictwa orleanistów nie polega ani na liczbie adherentów, ani na osobistości książąt. Jeżeli jednak zajmu-

jąc się stronnictwami we Francyi wypada się zatrzymać na orleanistach, to dlatego, że do obozu ich należą faktycznie lub w mniemaniu powszechném wydatniejsi statyści w obu Izbach. Ministrowie rzeczypospolitéj są orleanistami—jeżeli nie są legitymistami lub bonapartystami, bo republikanów napróżnobyśmy w gabinecie szukali. Nic więc dziwnego, że wszyscy przypuszczają, iż ministeryum pracuje na korzyść swego stronnictwa, i że każdy oczekuje na praktyczne téj pracy wyniki. Nadaje to sztuczne życie stronnictwu, które, jak ktoś dowcipnie powiedział, tyle ma głów ilu członków. Kraj nie przyznaje mu życia rzeczywistego. Ale politycy orleańscy daremnie będą się szamotać i dążyć do sojuszu z innemi stronnictwami zachowawczemi, na powodzenie liczyć nie mogą. Rewolucye pałacowe niemożliwe są we Francyi, a panowanie kamarylli nigdy trwałém nie będzie. Stronnictwo zwane książęcém, partya księcia Broglii i księcia Decazes i księcia Audiffret—Pasquier, postawiło już wszystko na kartę w ostatnich miesiącach, a niezmierna ich klęska wobec kraju jest początkiem nowego politycznego okresu. Znajdujemy się w téj chwili wśród chaotycznego wiru i zawikłania nieodłączonego od nowéj organizacyi stronnictw. Orleaniści, stanowiący w obu Izbach prawy środek, piękną mieli do odegrania rolę, którą jednak dobrowolnie porzucili. Można być pewnym, że stronnictwo, jako całość organiczna, uczuje następstwa tego kroku. Ścisły sojusz księcia Brogli, urzędowego przedstawiciela Orleanizmu doktrynerskiego z bonapartyzmem bojującym, zada cios śmiertelny orleanizmowi. Przywódcy tego stronnictwa mogą się jeszcze przez pewien czas utrzymać w sferach rządzących, ale dziejowa ich rola jest skończoną.

Dowody stwierdzające nasze słowa znaléść można w prasie i w świecie literackim. Na widok świetnéj plejady mężów politycznych z czasów Ludwika Filipa, takich statystów jak Thiers, Casimir Périer, Say, Montalivet, Rémusat i *tutti quanti* wzmacniających szeregi republikańskie, na widok redakcyj dwóch monitorów Orleanizmu „Debats“ i „Revue des deux mondes“ opuszczających obóz orleanistów z dowcipnym Johnem Lemoinem na czele,—nastręcza się pytanie kto zostanie na wyłomie? Na wyłomie, coraz większym, spostrzegamy jednego tylko tyraljera z talentem, Edwarda Hervé, dziennikarza niepospolitéj siły. Ale *Słońce*, dziennik Herwego, wielkim masom nie przyświeca i nigdy nie wytworzy silnego prądu opinii na korzyść orleanizmu.

Streśćmy nasze wywody.

Monarchia konstytucyjna, podobnie jak monarchia z łaski Bożéj, może być uważaną we Francyi za sprawę przegraną. Jako forma polityczna polegająca na ugodzie, na tranzakcyi, nie jest już dziś

na porządku dziennym. Wobec starszéj siostry, monarchii z łaski Bożéj, ma jednak niższość:—nie jest, jak tamta zasadą. Zasadę przyjmuje się lub odrzuca w całości, czego nie można zastosować do monarchji konstytucyjnéj. Jako kombinacya przymierzy, jednoczeń, ustępstw i subtelności, monarchia konstytucyjna nie ma racyi bytu od chwili gdy zmieni się stosunek stron związanych umową, kiedy sprzeciwieństwa wygładziły się same z siebie, gdy sprzeczności zlały się w jednę całość, kiedy światło rozproszyło mgły, kiedy jeden wielki głos powszechnego głosowania przemawia przez usta narodu.

Po skończonym rozwoju formy przejściowe nikną nieodzownie. Wyjątków od téj wielkiéj prawdy nie spotykamy ani w świecie fizycznym, ani w świecie moralnym. Można żałować pośpiesznego zniknięcia form przejściowych, można ubolewać, że drzewo nie wszystkie wydało owoce—ale zmienić prawa rozwoju niepodobna. Wobec szerokiego koryta wielkiéj rzeki dumnie i odważnie ku Oceanowi zdążającéj któż mógłby pomyśléć o sztucznych tamach, wzniesionych gdzieś u dalekiego jéj źródła?

III.

Najruchliwszém, że nie powiemy najhałaśliwszém stronnictwem są bonapartyści, czyli mianując ich urzędowym pseudonimem: stronnictwo odwoływania się do narodu. Europa niejednokrotnie myliła się co do jego istotnego znaczenia, a publiczność polska, która często spoglądała na bonapartystów przez niepojęty pryzmat mamiących nadziei i błędnych kombinacyj, więcéj niż każda inna potrzebuje być wyleczoną ze złudzeń i zbadać dokładnie siły i doniosłość bonapartyzmu.

Cesarz Rossyjski Mikołaj miał jakoby wyrzec kiedyś słowa, które stały się historycznemi: „Gdybym był Francuzem, byłbym albo legitymistą, albo republikaninem.“ Słowa te zawiérają głęboką prawdę. Oczywiście, że dwie są tylko logiczne zasady, łaska Boża lub wola narodu. Bonapartyzmu niepodobna podciągnąć ani pod pierwszą, ani pod drugą, jakkolwiek ma on pretensye do wspólności w cechach zasadniczych z obydwoma stronnictwami. Bonapartyzm nie jest rządem przejściowym jak orleanizm—jestto raczéj rząd zrodzony z nieprawych związków. Zachowawców zapewnia, że idzie z nimi ręka w rękę, wznosząc tron, opiérając się na ołtarzu i na armii, poskramiając bunty, poręczając porządek i bezpieczeństwo. Jednocześnie odzywa się do republikanów i do wszystkich demokratów, że źródło swego istnienia ma w woli narodu, któréj jest przedstawicielem, mandataryuszem, jako jedyny spadkobierca wielkiéj re-

wolucyi i nieśmiertelnych jéj zasad, i że nie uznaje ani przywilejów, ani nadużyć nieodłącznych od dawnych form rządu. Jednym i drugim przyrzeka sławę na zewnątrz i wszelakie zadowolenie miłości własnéj, na które każdy Francuz tak jest wrażliwym, oraz wszystkie ułatwienia, potęgujące dobrobyt publiczny, słowem—honor i pieniądze!

Mimo tę dwoistość w charakterze, bonapartyzm chciał wznieść się do godności oryginalnéj teoryi politycznéj, a przez dwadzieścia lat trwania drugiego Cesarstwa wysławiano go na wszystkie tony jakby nową ewangelią. Cesarz Napoleon III ze swą skłonnością do mistycyzmu i z osobistemi pretensyami do opatrznościowego posłannictwa, wierzył istotnie w cezaryzm i w koronowaną demokracyą. Ktoś dowcipnie zauważył, że z całego stronnictwa on jeden był w dobréj wierze. Za nim ministrowie statyści, urzędnicy z akompaniamentem *unisono* całéj orkiestry dzienników urzędowych i półurzędowych hojnie opłacanych, wysławiali cezaryzm z zapałem, którego pobudki aż nadto są widoczne. Cesarstwo miało być według tych apologij, formą monarchiczną jedynie możliwą, jedynie odpowiednią dla społeczności demokratycznéj i hołdującéj równości. I w istocie, powierzchowny spostrzegacz mógł sądzić, że ta doktryna zakorzeniła się we Francyi. Umysły zgryźliwe, nazwane wtedy pogardliwie *dawnemi stronnictwami*, daremnie ubolewały nad utratą wszystkich swobód, stanowiących chlubną spuściznę minionych wieków; napróżno protestowały przeciw temu poniżeniu i temu służalstwu wszystkich wobec jednego i apelowały od głosowania powszechnego skrępowanego, uwiedzionego, sfałszowanego, do głosowania powszechnego więcéj oświeconego—był to trud daremny. Francya sterroryzowana głośno w plebiscytach oddawała się panu swojemu. Wielkie masy narodu, powtarzając starożytne hasło *panem et circenses*, pod wielu względami przypominały smutnéj pamięci dzieje Byzancyum. Francya stała się już tylko oberżą karawanserajem całego świata, w którym jedynie dla geniuszu i dla wolności nie było miejsca. Wszystko zdawało się straconém i zrozpaczoném, gdyby można zrozpaczyć o narodzie tak żywotnym jak Francuzi. Francya nie umarła; stan jéj był zaledwie katalepsyą. Rozbudzenie było nagłe, nawet zadziwiające. Sztuczna teorya cezaryzmu runęła, nie doczekawszy nawet upadku saméj instytucyi. Gdy walka opozycyi w ostatnich latach cesarstwa zaogniała się coraz bardziéj, gdy stronnictwo opozycyjne wzmagało się codziennie wobec klęsk politycznych i finansowych, które Cesarstwo gromadziło z pośpiechem gorączkowym i niesłychaném zaślepieniem—rząd cesarski zmuszony był ustąpić. Przywrócono swobody publiczne tak długo wzbronio-

ne; parlamentaryzm, przedmiot prześladowania tak wytrwałego a tak podstępnego, ukazał się na nowo. Uwolniona od knebla, Francya odetchnęła swobodniéj. Pod panowaniem cezara, cezaryzm przestał istniéć, ale nie był na tyle rozumnym, ażeby wyjść ze stanu zbrojnego. Pragnął odwetu i sądził, że świetnością laurów wojennych odświeży blask wyblakłego swego sztandaru. Nastąpiła wojna z Niemcami, niedorzecznie rozpoczęta i prowadzona po szalonemu. Cesarstwo runęło w otchłań pod Sedanem, a opozycya uchwyciwszy ster rządów, który wymknął się z niedołężnych rąk Napoleona III-go, ogłosiła w chwili wybuchu zaburzeń detronizacyą cesarza, wciągniętą po wojnie do akt i potwierdzoną przez Zgromadzenie narodowe z wszelką możliwą uroczystością. Cesarstwo zniknęło, zostawiając ścieśnione granice, kraj nadszarpnięty i zbiédzony. Była-to jedyna po nim spuścizna. Przyjąć taką spuściznę, choćby z dobrodziejstwem inwentarza, nie było rzeczą łatwą. Na to jednak zdecydować się musieli bonapartyści różnych odcieni: bądź współwinni, bądź aktorowie, bądź prości komparsi. Przyznać należy, że rolę mieli do odegrania trudną, szczególniéj w początkach. Oburzenie członków Zgromadzenia narodowego tamowało imperialistom dostęp do trybuny, na każdym kroku potykali się o nienawiść i przekleństwa kraju, który im swój upadek i swą hańbę przypisywał. Ale jak to zwykle bywa pierwszy gniew ostygł, wkrótce uspokoiła się żywość pierwszych antypatyj, a stronnicy cesarstwa, dostawszy się raz do głosu, zaczęli nietylko wykazywać okoliczności łagodzące, ale dowodzić niebytu winy. Zuchwalstwo téj taktyki było wielkie, ale zuchwalstwo jest głównym przymiotem bonapartystów; ono to zjednało im kilku stronników; a w każdym razie krzepiło słabych i rozgrzało obojętnych. W sześć lat po upadku cesarstwa, w sześć lat po wojnie, stronnictwo cesarstwa jest ukonstytuowane, zszeregowane, wyćwiczone w karności i wysoko podnosi swój sztandar. Fakt trudny do uwierzenia na pierwszy rzut oka, łatwo daje się wytłómaczyć, gdy zbadamy skład stronnictwa i okoliczności, które sprzyjały iego reorganizacyi.

Stronnictwo banapartystów składa się najprzód ze wszystkich dygnitarzy Cesarstwa i ze wszystkich tych, którzy dosłużywszy się pod rządem Napoleona III-go szewronów, pragnęliby ażeby powróciły czasy, kiedy bez odpowiedzialności, bez pracy, można było mieć korzyści i zaszczyty, a szczególniéj korzyści. Arystokracya bonapartystowska i cała partya dworska, wszyscy ci, kórych niewyczerpana hojność i wielka dobroć cesarza tylekroć zobowiązała i poparła, winni być podciągnięci pod tę samę kategoryą. Daléj należy do niéj zaliczyć finansistów, a szczególniéj finansistów podejrzanych

wszystkich aferzystów, awanturników, cały ten zastęp wylęgły pod inspektowemi szybami przedsiębierstw przemysłowych i finansowych owéj epoki. Dodajmy wreszcie biura wszystkich ministeryów i urzędników wszelkich stopni, którzy dotychczas jeszcze są po większéj części bonapartystami. I nic dziwnego—wszakże Cesarstwu zawdzięczają całą swoję karyerę—a od tego czasu nie zaszła w tych sferach żadna radykalna zmiana, bo nie było jeszcze ministrów republikańskich, a jeżeli i byli tacy, to nie mieli ani siły dostatecznéj, ani czasu do wprowadzenia zmian w personelu biur ministeryalnych. Wynika stąd, że hierarchia administracyjna we Francyi pozostała bonapartystowską, gdy większość kraju już nią być przestała. Pamiętając o tém do jakiego stopnia Francya jest krajem rutyny, jakim istotnym wpływem cieszy się tam stempel rządowy, jakie ma znaczenie wszelka czynność urzędowa, można tylko dziwić się jednéj rzeczy, że propaganda bonapartystowska, szerzona przez takie mnóstwo urzędników, nie wydała jeszcze dotykalniejszych dla tego stronnictwa rezultatów.

Taki jest sztab, takie są kadry imperyalistów. A jakże się przedstawia sama armia. Szeregi téj armii zmniejszają się z każdym dniem: fakt ten nie ulega wątpliwości. Masy narodu odwracają się coraz bardziéj od bonapartystów. Robotnik miejski należał zawsze do stronnictwa krańcowego, ale włościanin, ten włościanin, którego Cesarstwo uważało za swoję niezachwianą podporę, zaczyna opuszczać szeregi. A jednak nie brak bonapartystom środków wpływania na tę masę mniéj oświeconą, a bardziej bezwładną. Agitatorowie bonapartyzmu przedstawiają się włościaninowi z całą przynętą swobód i ulg, które przypisują szczodrobliwości Cesarstwa, wykreślając poprostu rewolucyą z kart historyi. Oni to, nie kto inny znieśli dziesięciny, zwietrzałe przywileje, niesłuszne podatki, których smutna tradycya przetrwała jeszcze w zakątkach siół zapomnianych. Oni to mają być twórcami powszechnego głosowania, do którego najnędzniejszy chłopek przywiązany jest jak szlachcic do swych pargaminów genealogicznych. Z drugiej strony, przypominając dobrobyt, który panował za Cesarstwa nie omieszkują porównywać go z ciężarami dzisiejszych podatków, z rostrojem w robotach publicznych, z przesileniem przemysłowém, przypisując to wszystko istnieniu rzeczypospolitéj. Daremnieby ktoś odpowiadał, że kłopoty chwili obecnej i powiększenie podatków—to nieunikniony skutek poprzedniéj polityki, to następstwo wojny i Cesarstwa;—przeczą temu uparcie, a w rzeczypospolitej widzą tylko podstęp i zdradę.

Podobne argumenta musiały widocznie mieć tu i owdzie pewne powodzenie, skoro 85 deputowanych bonapartystowskich zasia-

da w Izbie dzisiejszéj. Ale wziąwszy na uwagę, że wybory odbyły się pod bezprzykładnym naciskiem, że zarządzone były i kierowane przez ministra należącego do obozu bonapartystów, że je napiętnowały sromotne przekupstwa i skandaliczne nadużycia, można tylko powinszować krajowi, który oparł się takiemu naciskowi i jasno wypowiedział, że nie ma nic wspólnego z bonapartyzmem.

Mimo względy urzędowe, któremi jest obsypane, stronnictwo to nie przestaje wyrzekać na prześladowanie. Nie uznaje prawowitości obecnego rządu i wykazuje konieczność odwołania się do narodu *ad hoc*, w którém Francya byłaby wezwana do głosowania przez *tak* lub *nie* nad przywróceniem Cesarstwa. Inne stronnictwa odpowiadają bonapartystom, że we wszystkich odbytych już wyborach naród wyraził swoję wolę w sposób zupełnie jasny i że nie wolno jest żywić pod tym względem jakiéjkolwiek wątpliwości. Bonapartyści nie chcą być przekonanymi. Nie ma gorszego głuchego, mówi francuskie przysłowie, jak ten, który nie chce usłyszéć. Nie brak téż i w prasie wrzawy bonapartystowskiéj. Zacząwszy od dziennnika *Pays* redagowanego przez owego Pawła de Cussagnac, który się smutnie wsławił jako pojedynkarz i opętaniec, skończywszy na gazecie *l'Ordre* kierowanéj przez dawnego vice-cesarza p. Rouhera, pod redakcyą p. Juliusza Amignes osobistości sponiewieranéj, która z cynizmem sprzedaje się więcéj dającemu, w organach bonapartystów odzywa się zawsze ta sama nuta gwałtowna i wyzywająca. Wśród literatów tego stronnictwa błyszczy jeszcze Klemens Duvernois, dawny minister z czasów Cesarstwa, wypuszczony niedawno z więzienia, gdzie go zamknięto za malwersacyą finansową. *Ab uno disce omnes.* W Izbie bonapartyści reprezentowani są przez dawnych urzędników i dygnitarzy Cesarstwa, nie słychać między nimi ani jednego nowego nazwiska, nie widać ani jednego świéżo nawróconego. Stronnictwo, które nie znajduje neofitów, wykazuje tém samém brak żywotności.

Zasiadając w Izbie w takiéj mniejszości (na 533 deputowanych jest tylko 85 bonapartystów), nie mogąc inaczéj swéj woli wyrazić jak w przymierzu z dwoma powyżéj scharakteryzowanémi stronnictwami monarchicznemi, znalazłszy się téż w mniejszości wobec kraju, jak o tém aż nadto zaświadczyły wybory, jakim sposobem bonapartyści tak głośno się odzywają i zapowiadają każdemu kto chce słuchać bliskie swoje zwycięstwo. Jestto fakt dziwny i byłby może niemożliwy do wytłómaczenia, gdybyśmy dawno nie wiedzieli, że to stronnictwo w braku dróg legalnych zawsze jest gotowe chwycić się nielegalnych. Ponownie na dawniejszą datę 18-go brumaira i na świeższą 2-go grudnia, opinia publiczna zatrwożyła się

Pocieszano się wprawdzie myślą, że takie osobistości, jak Morny, Persigny lub Saint-Arnaud dwa razy się w dziejach nie ukazują, ale obawiano się jednocześnie wspólnictwa niektórych ministrów, niektórych generałów, i posępne jakieś odgłosy odzywały się w powietrzu. Na szczęście przesilenie grożące Francyi już zostało zażegnane i weszło w fazę ukojenia. Prezydent rzeczypospolitéj zmuszony był oświadczyć urzędownie, że nie pozwoli nigdy na zamach stanu—i opinia mu wierzy. Wraz z tym postrachem zniknął jednocześnie widoki powodzenia dla Cesarstwa. Gdy rząd zostaje na drodze legalnéj, bonapartyzm pozostanie stronnictwem opozycyjném.

Taka jest jego rola, i to nadługo jak sądzimy. Jeżeli nie mówimy „nazawsze,“ to dlatego, że samo Cesarstwo oduczyło nas od wymawiania tych historycznych wyroczni. Zresztą, wszystko jest możliwém. W razie naprzykład nowéj a nieszczęśliwéj wojny, Francya mogłaby być zmuszoną do przyjęcia Bonapartego z rąk zwycięzcy. Jestto jedyna legalna forma powrotu Napoleona IV-go; żaden poważny umysł innéj nie przewiduje. Bonapartyzm jako forma rządu, ze wszystkiemi znanemi każdemu wadami nie dokaże nigdy, aby mu przebaczono narodziny w zbrodni i we krwi i zgon we wstydzie i hańbie. Najmniéj oświecony Francuz rozumié takie argumenta jak strata Alzacyi i Lotaryngii. Im dłuższy będzie okrés przejściowy, który teraz Francya przebywa, tém wyraźniéj wyjdzie na jaw niepodobieństwo trzeciéj restauracyi bonapartystowskiéj. Bohatérska legenda pierwszego Cesarstwa nie może służyć do zmycia fatalnego piętna z drugiego. Wielkie było zaślepienie, grube ciemności w masach ludowych; dziś ze zdumieniem stwierdzić wypada dokonywające się wśród nich postępowe ku światłu dążenia. Otóż przy jawności, przy świetle, przy swobodzie rozpraw, Cesarstwo istnieć nie może. Jestto jeden zwyciężony więcéj—który do jednego tylko uczucia nie może rościć pretensyi—do litości.

## IV.

Idąc za biegiem naszych spostrzeżeń, znaleźliśmy się wreszcie wobec stronnictwa republikańskiego. Czytelnik, który nam do téj chwili towarzyszył, pojmie że odtąd dopiéro spokojniéj i z ufnością spoglądamy w przyszłość Francyi. Tak, do rzeczypospolitéj należy przyszłość i stałość w przyszłości. Wyrażając się w ten sposób, dalecy jesteśmy od popiérania zasady, która głosi, że *posiadanie znaczy tyle co tytuł*. Nie przeczymy, że istniejąca obecnie forma rządu czerpie w téj okoliczności nowe siły do swéj egzystencyi, że wytwa-

rza na późniéj warunki tem trudniejsze do usunięcia im dłużéj trwać będą. Ale argumenta przemawiające za rzecząpospolitą we Francyi nierównie są potężniejsze. Przyjrzyjmy się zbliska zasadom i faktom.

Rzeczpospolita 1848 r. i odmęt polityczny, który wytworzyła, zdyskredytował na długo samę ideę republikańską. Zwycięska reakcya wyzyskała mniéj więcéj zręcznie na swoję korzyść to zachwianie się popularności rzeczypospolitéj, Cesarstwo podjęło się tego zadania. Mimo te niepomyślne warunki za Cesarstwa właśnie na ławach ciała prawodawczego, w ogniu rozpraw, wśród prześladowań i szykan, za pośrednictwem prasy, niezbyt przecię przez prawo popieranéj, wytworzyło się na nowo i przekształciło stronnictwo republikańskie, ale nieprzejednani ówcześni odstąpili od absolutyzmu, od nietolerancyi, która cechowała wszystkich republikanów 1848 r. Nauczyli się rachować z okolicznościami i ulegać nieuniknionéj konieczności. Pomnikiem tego postępowania jest piękna książka Juliusza Simona *La politique radicale* wraz ze sławną przedmową.

Po katastrofie Sedańskiéj, republikanie ujęli ster spraw kraju i utworzyli ów rząd obrony narodowéj, który mimo najszlachetniejsze wysiłki nie zdołał oszczędzić Francyi ani uszczuplenia granic, ani całego szeregu towarzyszących mu nieszczęść, który jednak ocalił skarb najdroższy ze wszystkich—cześć narodową. Wraz z ustaleniem się pokoju, rozpoczął się dla stronnictwa republikańskiego, nieprzerwany ciąg prób i doświadczeń. Sama zasada republikańska wystawiona była na straszne niebezpieczeństwo podczas pełnego grozy panowania komuny. Gdy nareszcie przeszło to przesilenie, straszne jak wszystkie choroby w dzieciństwie, gdy śmiertelny zarodek usunięty został z organizmu, stronnictwo republikańskie zaczęło się organizować w Izbach i w kraju. Trzeba było najprzód zlać wszystkie odcienia stronnictwa w jednę całość, począwszy od weteranów jakobinizmu aż do biernych i nader zachowawczych osobistości lewego środka. To zlanie przedsięwzięte w celu zawotowania konstytucyi republikańskiéj dokonało się dzięki rozumowi politycznemu, który ani na chwilę nie przestał panować między przedstawicielami lewicy. Oparli się oni na słowach p. Thiersa, kryjących głęboką prawdę pod dobroduszną formą: zwycięztwo będzie po stronie rozumniejszego. Okazawszy przy najsilniejszém poczuciu słuszności, najwięcéj rozumu, najwięcéj gotowości do zgody, wszystkie odłamy lewicy Zgromadzenia prawodawczego zdołały nareszcie po niezliczonych zwłokach, przeszkodach i wahaniach ze strony przeciwników zawotować Rzeczpospolitę i nadać Francyi nową konstytucyą. Jestto już czternasta w porządku chronologicznym, a była na tyle

rozsądną, że się nie nazwała stanowczą. Przeciwnie—przewidziana w niéj jest rewizya konstytucyi, i ta właśnie przezorność jest w niéj może najbardziéj republikańską. Mimo zasiewu różnych starć i niebezpiecznych dwuznaczności, który w niéj pozostawili nieprzyjaciele rzeczypospolitéj, artykuł zastrzegający rewizyą ocali konstytucyą a jednocześnie ustrzeże Francyą od nowéj rewolucyi. Rzeczpospolita będzie mogła odtąd rozwijać się legalnie, bez wstrząśnień rewolucyjnych, a stronnictwo republikańskie wyjść téż może wkrótce z fazy opozycyjnéj, którą jeszcze przebywa i stać się stronnictwem rządowém. Wtedy i rola jego będzie odmienna; dla opozycyi bowiem wystarcza, gdy może przez filtr swojéj krytyki przepuścić każdą czynność rządu istniejącego i szkicować niewyraźnie zarys rządu idealnego; stronnictwo rządowe musi liczyć się z rzeczywistością, z trudnościami położenia i urzeczywistniać swój program, oszczędzając przeciwników, zadanie jego nierównie ważniejsze.

Jakakolwiek jednak będzie przyszłość stronnictwa republikańskiego — do chwili obecnéj można o niém mówić jedynie jako o opozycyi, chociaż bowiem rzeczpospolita jest officyalną formą rządu francuskiego, republikanie utrzymani są zdala od spraw państwa. Pod firmą republikańską monarchiści usiłują podstępnie przemycać swoje idee. Nic dziwnego, że w narodzie głębokie panuje niezadowolenie. Naród głosuje za rzecząpospolitą i stwierdza to swoje życzenie we wszystkich wyborach, a rząd złożony w całości z ludzi nieprzyjaznych rzeczypospolitéj działa daléj według swego widzimisię, jak gdyby naród nic nie mówił. Przyszły historyk ostatniego lat dziesiątka będzie miał dziwne rzeczy do opowiedzenia. W tém miejscu wypada wtrącić nawiasową uwagę. Krąży w Europie utarte zdanie o niekarności Francuzów, o niepodobieństwie rządzenia nimi, o chwiejności ich przekonań politycznych, o upodobaniu do rewolucyj etc. Ile twierdzeń w tym ogólniku—tyle błędów. Badając rzecz bliżéj i nie poprzestając na oklepankach, dochodzi się do przeciwnego wniosku: że mało jest narodów tak łatwych do zadowolnienia, tak posłusznych, tak zachowawczych, a nawet tak zamiłowanych w rutynie jak Francuzi. Obejrzawszy się na ten nieskończony szereg błędów, popełnionych przez różne rządy we Francyi, widząc to niepojęte zaślepienie, tę fatalność, która je popychała jeden po drugim do odmawiania narodowi najsłuszniejszych żądań, dziwić się chyba można, że więcéj nie było wstrząśnień, że te, które wybuchały, tak były niewinne i w odwecie swoim tak umiarkowane.

Bądź co bądź pierwsza faza idei republikańskiéj minęła, najtrudniejsze chwile organizacyi przeszły. Z pośród chaotycznego zawikłania stronnictw, z pośród niezliczonych nienawiści, rzeczpospo-

lita wyszła zwycięsko. Duchem jéj opiekuńczym był Thiers, którego nazwisko na wieki pozostanie związaném z tym pierwszym okrésem odrodzenia Francyi. Thiers odsunął na bok wszystkie tradycye swéj przeszłości monarchicznéj, wszystkie osobiste sympatye, słowem, zrzucił powłokę dawnego człowieka. Prowadzony wielkiém doświadczeniem prawdziwego statysty, poznał coraz widoczniejszą niemożliwość rządu monarchicznego we Francyi, a daleko sięgającém wejrzeniem historyka, dostrzegł najwłaściwszą dla nowéj Francyi drogę. Strony imponującéj tego przekształcenia Thiersa nigdy za wiele podziwiać nie można, tak jak republikanie nigdy dostatecznie nie ocenią o ile przystanie Thiersa do Rzeczypospolitéj zaważyło na szali politycznéj, przechylając ją na stronę téj formy rządu. Całe to mieszczaństwo lękliwe i ultra zachowawcze, które lęka się myśli oderwanych nie rozumiejąc ich, które tracąc z oczów cel życia pędzi je niedbale z dnia na dzień dopóki nie doczeka się katastrofy; całe to mieszczaństwo, którego Thiers był wcieleniem i bożyszczem, rozgrzało się jego patryotyzmem, oświeciło promieniami jego jasnéj inteligencyi i poszło za nim tam, dokąd je chciał zaprowadzić. To mieszczaństwo jest dziś w zgodzie z masą narodu: jedni i drudzy chcą rzeczypospolitéj i będą ją mieli. Będą mieli rzeczywistość tak jak dziś mają nazwę. Jestto tylko kwestya czasu. Cóż znaczy kilka miesięcy, lub nawet kilka lat w życiu narodu? Czas prób wyjdzie tylko na pożytek wielkiemu stronnictwu republikańskiemu. Spełni ono we własném łonie wszelkie reformy, do których jest zdolne i niewątpliwie będzie miało wiele do czynienia.

Nadeszła chwila ścisłego zbadania doktryn zasad i grup w wielkiem stronnictwie republikańskiém, do którego należy dwie trzecie narodu.

## V.

Ilekroć nieprzyjaciele rzeczypospolitéj pragną ją zdyskredytować i zatrwożyć kraj, zawsze wywołują mu przed oczy czerwone widmo, straszą wstrząśnieniem socyalném i uosabiają te straszne mary w krańcowéj lewicy, czy téż w partyi radykalnéj. Ale nikt już nie wierzy w niebezpieczeństwo, pochodzące z téj strony, a jedyną przykrością, którą niewątpliwie ta partya nastręcza, jest chyba mnóstwo mów, wygłoszonych śmiesznym pathosem i w formach zwietrzałéj retoryki. Wszystko kończy się już nie na piosneczkach, ale na metaforach!

Poważnie rzeczy biorąc, nie sądzimy ażeby krańcowa lewica mogła być niebezpieczną. Jestto partya zużyta, która nie umiała się

odrodzić zrozumieniem swego czasu i podążaniem za nim. Nie posiadała tego rozległego rozumu politycznego dostrzegającego jednym rzutem oka punkt, do którego dojść można i ustępstwa jakie wypada uczynić; żyje nie w rzeczywistości, lecz w formułach oderwanych. Należą tu rozbitki jakobinizmu, ponoszący karę jaką za sobą prowadzi absolutyzm: odejmują odwagę a nie budzą ufności. Rzeczpospolita jest dla nich, podobnie jak monarchia z łaski bożéj dla ultrasów legitymistowskich, instytucyą wyższą i starszą, niecierpiącą rozpraw ani sporów, czémś w rodzaju tablic Mojżeszowych. Wielkim ich kapłanem jest zawsze Robespierre, naturalnie bez gilotyny, bo przywódcy dzisiejszego radykalizmu nie są bynajmniéj krwi chciwi. Odznaczają się tylko szczególnym uporem i ciasnotą widnokręgów, mimo zupełnie przeciwne pretensye. Widzą tylko istnienie własnego stronnictwa, działać chcą jedynie w jego interesie, zapominając że egzystują przeciwnicy, których należy przekonać jeżeli można, a przynajmniéj uspokoić. Radykaliści zapominają, że polityka nie jest logiczną dedukcyą wysnuwaną z oderwanéj zasady, ale raczéj płaszczem Arlekina zesztukowanym ze strzępów i skrawków. Polityk musi mieć w zanadrzu ustępstwa, szanować wszelkie interesa godne szacunku i osłaniać jednaką opieką prawa przyjaciół i wrogów. Tego właśnie nie pojmują dostatecznie ultrasy stronnictwa radykalnego. Dlatego téż wpływ ich w kraju jest tak ograniczonym, a garstka w Izbie tak szczupła.

To zobojętnienie coraz widoczniejsze w masach dla stronnictwa radykalnego musi być nawet przedmiotem podziwu dla każdego umysłu spostrzegawczego. Przypomniawszy sobie te krocie proletoryatu, te masy robocze po miastach i to mnóstwo istot nienależących do żadnéj klasy społecznéj, trudno nie uznać w nich strasznych sił i jednocześnie trudno oprzéć się zdziwieniu, że siły te, mając dzięki powszechnemu głosowaniu znaczenie w sprawach narodu, nie korzystają ze swego prawa. Zamiast trąb Jerychońskich, zamiast ryków ze lwiéj jamy, słychać tylko głos ludzki. Kwestya socyalna sama się odroczyła. Stało się to w milczeniu ale za wspólną zgodą. Przyznać należy, że pod tym względem Francya zdumiewające uczyniła postępy. Francya, kolébka, rozsadnik, szkoła i szranki socyalizmu, nie zajmuje się już nim wcale; i kiedy w Niemczech o socyalizmie tylko mowa, o jego postępach i widokach na przyszłość, we Francyi kwestyą tę wykréślono z porządku dziennego. Nie mamy zamiaru wszczynać tu rozpraw w tym przedmiocie, ani go wyjaśniać w jakikolwiek sposób. Zagadnienie tak ważne wymaga badań oddzielnych i nie powinno być przedstawione lekkomyślnie mimochodem. Pragnęliśmy jedynie wykazać, że w dniu, kiedy ta kwestya podniesioną bę-

dzie w parlamencie lub w kraju, partya ultrasów ważną odegra rolę. W téj chwili stanowi poprostu rezerwę stronnictwa republikańskiego.

Dla ścisłości dodać należy, że jest jeszcze jedna grupa kwestyj, w których krańcowi doniosły głos zabrać mogą. Mamy na myśli kwestye religijne. Jestto także grunt, który się ciągle z pod nóg usuwa. Najtęższe umysły, rodziny najzgodniejsze różnią się pod tym względem, co zresztą da się łatwo wytłómaczyć. Religia nie należy do dziedziny rozumu, naturalną jéj sferą jest uczucie. Rozum jest jeden, uczucie rozliczne przybiéra formy. Ilekroć podniesie kto publicznie tę kwestyą, choćby tylko z jednéj strony, jak to niedawno miało miejsce z powodu wyższéj oświaty, zawsze potrąci o najdrażliwszy nerw, którego drżenie głęboko, aż we wnętrznościach narodu się odzywa. Cóżby to było, gdyby dotknięto olbrzymiéj kwestyi oddzielenia kościoła od państwa! Przyjdzie chwila, a w naszém przekonaniu jest ona bliższą aniżeli się napozór wydaje, kiedy kwestya religijna wniesioną będzie pod rozpoznanie narodu. Krańcowi wycisną na niéj wtedy swoje piętno.

Na szczęście ani walki socyalne, ani walki religijne, nie są w téj chwili na porządku dziennym. Przyszłość jest niemi brzemienna; ale dziś kwestye organizacyi politycznéj, jedynie ważne dla Francyi, nie mogą być rozstrzygane przez krańcowych. Ani stary Raspail, patryarcha radykalistów, ani Madier de Monjan, przesadzony mówca, ani Alfred Naquet, warchoł literacki z pewną inicyatywą intellektualną, ani Armand Dupostal, zapalczywy dziennikarz, ani nawet Ludwik Blanc, słynny socyalista z 48 roku i świetny pisarz, nie są zdolni do wytknięcia drogi stronnictwu republikańskiemu. Tworzą oni odrębny kościół bardziéj hałaśliwy aniżeli wpływowy.

Prawdziwéj siły stronnictwa republikańskiego, głównéj jego armii, niedaleko wprawdzie, lecz gdzieindziéj szukać należy. Walczy ono pod wodzą Gambetty i nosi znaczące miano lewicy i unii republikańskiéj. Jestto istotnie zjednoczenie wszystkich męzkich sił narodu. Program i dążenia tego stronnictwa, to program i dążenia Francyi. Szerokie wywody byłyby tu zbyteczne. Postawiwszy zasadę powszechnego głosowania za podwalinę prawa publicznego, stronnictwo republikańskie pragnie ją otoczyć wszystkiemi instytucyami, które jéj skuteczność w zastosowaniu zapewnią. Swoboda słowa, wolność prasy, wolność zgromadzeń jako środek zabezpieczenia ciągłego objawu woli narodowéj; wybory jako podstawa wszelkich zgromadzeń reprezentacyjnych, począwszy od gminy aż do naczelnika władzy wykonawczéj; swoboda wszelkich stowarzyszeń świeckich i religijnych, z usunięciem wszakże interwencyi duchowień-

stwa w sprawy świeckie; przekształcenie systematu podatkowego na słuszniejszych zasadach: oto w streszczeniu program stronnictwa republikańskiego we Francyi. Rozwijając się na drogach legalnych i środkami prawnemi i w ściśle określonych granicach form i zwyczajów parlamentarnych, program republikański może Francyi zapewnić prawidłowy i organiczny postęp, pod jednym warunkiem: że mniejszość podda się woli większości, i że tak jedna jak druga schylą czoło przed majestatem prawa. Wszystkie klęski, jakie obecnie cierpi Francya, pochodzą ze złéj woli mniejszości, która ani chce przyznać że jest mniejszością, ani też działać odpowiednio. Każde ze stronnictw mieniących się zachowawczemi nie zdolne do zbudowania czegokolwiek na własną rękę, nie znajdując ani w wyznawanéj zasadzie dostatecznéj siły poruszającéj, ani w łonie kraju odpowiedniéj siły materyalnéj, sprzymierza się z innemi stronnictwami nieprzyjaznemi rzeczypospolitéj, mając za jedyny cel przeszkodzenie jéj w spokojném organizowaniu się. Taki, czysto negacyjny tryb postępowania może oczywiście chwilowo nagromadzić trudności stronnictwu republikańskiemu i postawić je w kłopocie, ale nie odniesie zwycięstwa nad jego pozytywnym programatem. Gdyby republikanie popełnili błąd nie do darowania i zeszli z drogi legalności, buntując się przeciw swym sprzymierzonym ciemiężcom, przeciw téj zuchwałéj i zawistnéj mniejszości, która tamuje prawidłową działalność większości, w takim razie widoki powodzenia stronnictwa republikańskiego zmniejszyłyby się widocznie. Ale błędu tego obawiać się nie trzeba. Stojąc na silnym gruncie obecnéj konstytucyi i prawa, stronnictwo republikańskie może czekać na przyjazną dla siebie chwilę—i sądzimy że długo czekać nie będzie.

Kilka jest powodów zapewniających stronnictwu republikańskiemu niechybne zwycięstwo.

Najprzód republikanie stanowią stronnictwo otwarte z góry i z dołu. Nie traci ono nigdy z uwagi interesów mas i zostaje z niemi w ciągłéj łączności myśli. Ileż razy żądano naprzykład od Gambetty, ażeby odłączył się od klas ludowych, które go pierwsze powołały do życia politycznego. Nie przystawał na to nigdy, tak jak nie przystanie żaden republikanin. Stać silnie pośród napływających fal demokratycznych, przyłożyć ucho do pulsu narodowego, ażeby liczyć jego uderzenia, jest najpierwszym obowiązkiem nietylko każdego przywódcy stronnictwa, ale każdego oświeconego człowieka. Łatwo pojąć, że ani legitymiści nieuznający praw narodu, ani bonapartyści, którzy uznając je w teoryi pomijają w praktyce, nie tworzą stronnictw otwartych z dołu. Między niemi a masą narodu znajduje się przepaść niemożliwa do zapełnienia.

Republikanizm jest stronnictwem otwartém także z góry. Osobistości z wyżyn społecznych, przedstawiciele klas kierujących, którzy ze względu na swoję pozycyą, na tradycyą historyczną i na swoje przekonania trzymali się dotąd, zdala od stronnictwa republikańskiego, a nawet występowali przeciw niemu, przyjmowani są z otwartemi rękami, od chwili, gdy schyliwszy czoło przed wszechwładztwem narodowém, uznali rzeczpospolitą. Ci republikanie z rozsądku pokrzepili stronnictwo znacznemi siłami. Jedne podobne nawrócenie pociąga za sobą tysiące innych, i nikt już nie lęka się „s'encanailler“ między republikanami, kiedy ludzie z autentycznemi tytułami szlachectwa, statyści i finansiści dobrowolnie do nich przechodzą. I tak cały lewy środek utworzył się z dawnych monarchistów, którzy są najgorliwszymi agentami rzeczpospolitéj. Wspólne prześladowanie, które dosięgło tę grupę równie jak inne bardziéj naprzód wysunięte, po awanturze 16-go Maja, wzmocniło tylko węzły łączące neofitów z głównym obozem republikańskim.

Drugą przyczyną powodzenia stronnictwa republikańskiego jest jego zmysł polityczny, który go nie opuszczał przez cały czas przesilenia i który stał się nieodmienną zasadą jego postępowania. Zmysłu tego dowiedli republikanie, przyjąwszy program *opportunistów*. Wyraz jest barbarzyński, nie jest barbarzyńską rzecz sama. Oportunizm polega na zasadzie, ażeby nie występować ze wszystkiemi reformami odrazu, ale projektować po jednéj; ażeby posuwać się nie wstrząśnieniami, lecz reformami stopniowemi; ażeby zadawalniać się połowiczném powodzeniem, kiedy nie można mieć całkowitego i ażeby posługiwać się tą bronią jaką się posiada, choćby była niedoskonałą, byle tylko polepszyć o ile możności to co istnieje. Ta właśnie powolność, ten ciągły pochód ku postępowi, zjednał stronnictwu poparcie całéj bezwładnéj i biernéj masy ludowéj, która zdaje się na los, byle ją tylko ze zwykłéj nie wytrącano kolei. Nie należy tu pominąć ciekawego faktu: nawet robotnicy po miastach, najburzliwsza warstwa społeczna, przystają zwolna do tego programatu, mimo że on nie uwzględnia ani ich bezpośredniéj pozycyi, ani całéj sfery idei oderwanych wśród których żyć przywykli. Trudno oczywiście o bardziéj rażącą sprzeczność jak ten program oportunistów, skromny i dyskretny w zestawieniu z patosem rewolucyjnym demagogii. Francya świadczy o swéj dojrzałości wyborem dokonanym między starym a nowym programatem.

Trzecią wreszcie przyczyną spodziéwanego powodzenia stronnictwa republikańskiego jest wyższość jego przywódców i statystów nad kierownikami innych stronnictw—korzyść zaiste niepospolita, bo na co się przyda najpiękniejszy program, najświetniejszy sztandar,

na co się nawet przydadzą liczne falangi najlepszym ożywione duchem, jeżeli im brakuje wodza, któryby je do walki poprowadził, lub jeżeli kierownik stojący na czele nie jest na wysokości swego posłannictwa? Widzieliśmy już niższość stronnictwa monarchicznego pod tym względem. Legitymiści nie mają ani jednego przywódcy, ani jednego męża stanu *di primo cartello*. Bonapartyści różnią się między sobą: jedni schylają czoło przed napuszoną gadatliwością i przed próżnością p. Rouhera; drudzy pragnęliby mieć innego przywódcę, ale go znaleść nie mogą. Wszystkie stronnictwa nieprzyjazne rzeczypospolitéj, jednego tylko mają człowieka: księcia Broglie. Widzieliśmy czego dokazał. Mimo inteligencyą i akademicką wymowę, mimo niezaprzeczoną zręczność i znakomity talent do intryg, czekają go zawsze porażki podobne tym, jakie już poniósł dwukrotnie, dzięki niemoralności swoich środków, dzięki przymierzom potwornym, które usiłował zawierać z wszystkiemi zachowawcami bez względu na ich różnorodne dążenia. Książę straszy kraj widmem czerwoném i niebezpieczeństwem radykalizmu, a kraj śmieje się z tych urojonych niebezpieczeństw.

Kraj potępia tego księcia wyniosłego i zarozumiałego o swéj wyższości, równie jak jego politykę krętą i gwałtowną zarazem. Kraj woli zwrócić się ku przywódcom stronnictwa republikańskiego z ufnością i ze słuszną dumą. Między nimi znajduje ludzi prawdziwych: Juljusza Grevy, człowieka prawego, zawsze jednakiego jakby Plutarchowego męża, Juljusza Favre'a, Juljusza Simona i sędziwego Arago, weteranów stronnictwa liberalnego; Waddingtona i Leona Rénault'a, przyszłych ministrów szerokie obejmujących widnokręgi: Brissona, Bethmont'a, Duclerc'a—cały wstęp specyalistów i osobistości wybitnych. Wszystko, cokolwiek błyszczy na firmamencie literatury, nauki i sztuki, ciąży ku stronnictwu republikańskiemu. Doszedłszy do władzy republikanie znajdą statystów równie łatwo, jak znaleźli prawdziwych przywódców, prawdziwych leaderów w ciągu okresu pełnego prób i przygód, który dotychczas przetrwali.

Jeżeli stronnictwo republikańskie reprezentuje Francyą człowiekiem uosobiającym to stronnictwo to nim jest niewątpliwie Gambetta. Dziwne są zaiste losy tego człowieka, który wyszedłszy z za kantoru korzennego sklepu z Cahors, z chlubą zdąża ku najwyższemu szczeblowi społecznemu i politycznemu wielkiego narodu. Jako ognisty patryota potrafił w ostatniéj wojnie ustrzedz honor narodowy od szwanku; jako mówca niedoścignionéj siły pociąga za sobą umysły najoporniejsze, jako polityk zręczny i przezorny umié rozplątać nić najzawikłańszéj sytuacyi. Niegdyś demagog i absolutysta umiał się przekształcić, pomiarkować i wytworzyć *oportunizm*, dzieło, któ-

re uwieńczy obywatelską działalność Gambetty. Energia, któréj ciągłe dowody dzielny republikanin składa w walce politycznéj, na trybunie i w radach niszczy i wyczerpuje jego siły, ale zarazem dodaje coraz większego blasku jego sytuacyi w państwie. Stanowisko Gambetty nie ma w téj chwili równego sobie. Jeżeli przeżyje tę walkę zaciętą, jeżeli ostrze nie zużyje pochwy, Gambetta będzie kiedyś rozjemcą losów swego kraju. Jestto prawdziwy spadkobierca Thiersa, twórca rzeczpospolitéj, francuski Waszyngton.

VI.

Dobiegliśmy do końca naszego rozbioru i niewiele już mamy do powiedzenia. Streścimy się w kilku słowach.

Całą przeszłość, całą dawną Francyą charakteryzują słowa Ludwika XIV. Państwo—to ja.

Całą teraźniejszość, datującą, mimo epizody monarchiczne, od 1789 r., określają słowa, które wymawia Francya: Państwo—to my.

Z jednéj strony władza osobista, z drugiéj wszechwładztwo narodowe.

Walka jest nierówna, rezultat łatwy do przewidzenia.

Jak byłoby niepodobieństwem obdarzyć Francyą feodalną, Francyą Ludwika XIV-go, rzecząpospolitą demokratyczną, tak też niepodobna narzucić Francyi 1880 r., Francyi wyswobodzonéj, jakąkolwiek monarchią. Byłby to anachronizm, a anachronizmy są niepłodne.

Wszechwładztwo narodowe, otrząsnąwszy się z ucisku, nie ma zamiaru abdykować na rzecz monarchy, cezara, wybawiciela. Głosowanie powszechne pociąga za sobą niechybnie rzeczpospolitą, jak znowu tylko rzeczpospolita jest zdolną zabezpieczyć powszechne prawo głosowania.

Wynika stąd, że rzeczpospolita jest we Francyi nieuniknioną formą rządu. Stronnictwa nieprzyjazne mogą jéj stawiać przeszkody, nie zdołają na długo opóźnić jéj ustalenia.

Rzeczpospolita nie będzie krańcową absolutną, jakobińską, lecz stanie się umiarkowaną i postępową,

Minął czas dogmatów i absolutu, w polityce zarówno jak w filozofii i w nauce. Nastała natomiast dola zasad względnych, pora rozpraw, swobodnego badania,—epoka krytyki i rozbioru.

Rzeczpospolita we Francyi nie będzie postrachem dla Europy. Posłannictwo jej jest wyłącznie pokojowém. Ma ona do spełnienia wewnątrz kraju olbrzymie zadanie, oświecić masy szerząc wykształcenie publiczne. Kto głosuje nad losami swego kraju, kto spełnia tak

wielki akt obywatelski, powinien przedewszystkiém wiedziéć co robi i uwolnić swój rozum z dziecięcych powijaków. Litera prawa wyprzedziła chwilę dojrzałości i uzdolnienia, obowiązkiem więc naglącym każdego francuskiego republikanina jest przyśpieszyć tę chwilę równowagi między uzdolnieniem a prawem. W przeciwnym razie przyszłość może zboczyć na starą kolej demagogiczną.

Wiadomo do jakiego stopnia ten program leży na sercu stronnictwu republikańskiemu. Miliony rzucone dotychczas w bezdenną otchłań organizacyi wojskowéj zwrócą się kiedyś na drogę organizacyi intellektualnéj. Wtedy kwestye wstrząsające ludzkość bardzo będą uproszczone.

Montesquieu postawił niegdyś za zasadę rzeczypospolitéj cnotę.

Jako mniéj wymagający a pozytywniejsi, tyle dziś nie żądamy. Dopominamy się tylko o światło, o wiele światła. Kto wié czy nie jestto najpewniejszy sposób dojścia jeżeli już nie do starożytnéj cnoty, to przynajmniéj do tych cnót skromniejszych, które się na nią składają?

*M. E. Trepka.*

---

# KRYTYKA.

Kleinere Geschichtsquellen Polens im Mittelalter. Eine Nachlese von Dr. H. R. von Zeissberg. Wien 1877, 8-vo, str. 167.

Pracującym nad dziejami polskiemi nie obcą była od niejakiego czasu wiadomość, że p. Zeissberg przygotowuje do druku zbiór materyałów, odnoszących się do średniowiecznéj historyi polskiéj; znalazła ona nawet odgłos i w literaturze: p. Szujski bowiem wspomniał o niéj w przedmowie do Kodeksu listów z XV stulecia, wyrażając jednocześnie obawę, że wiele dokumentów, znajdujących się w kodeksie, wejdzie także pewno w skład zbioru p. Z. Nadzieje co do objętości i ważności tego zbioru niebardzo się ziściły, lecz i obawa także p. S., jak to zaraz zobaczymy, w małéj tylko części się sprawdziła. Tytuł pokazuje, że wydawca zebranych przez się materyałów nie przeceniał, nazwawszy je odpowiednio *kleinere Geschichtsquellen*, *eine Nachlese*; pomniejsze one mają znaczenie dla naszéj historyi, cała zaś książka podobna jest do snopka pokłosia, w którém każdy kłos innego gatunku i z innego pochodzi pola. Przyjrzyjmy się im bliżéj.

Nr. I jest opisem pierwszych dobroczyńców benedyktyńskiego klasztoru w Lubiniu, w Poznańskiém; składa się z samych imion i dla lingwisty także nie jest bez interesu. Za pomocą kombinacyi przychodzi wydawca do wniosku, że zabytek ten powstać mógł między 1118 a 1138 rokiem; zgadzając się na nią, zauważę tylko, że Bolesława Śmiałego nazywamy, tak jak nim jest w szeregu swoich imienników, II-gim—Bolesława Krzywoustego, III-cim—Bolesława Kędzierzawego—IV-tym, nie zaś III-cim, IV-tym, V-tym, jak to czyni p. Z. Między dobroczyńcami figuruje także „Bolezlauus filius Wladizlay“—Bolesław książę szląski przez p. Z. nazwany długim

(der Lange), którego p. Caro (w Jenaer Literaturzeitung № 32 z r. b.) nie uważa za jednoznacznego z Bolesławem Wysokim. Że to jest Piastowicz, a nie żaden inny książe wogóle, lub inna znakomita osoba, jak przypuszcza p. C., zdaje mi się być niewątpliwém; nie miał téj wątpliwości i p. Z., skoro na nią nie zwrócił uwagi. Brak przed jego imieniem wyrazu *dux* niczego nie dowodzi, bo wtedy kiedy zapiska powstała nie był on jeszcze udzielnym księciem, i wyraz ten zastąpiony jest niejako wyrażeniem *filius Wladizlay*; imiona przytém *Miseco*, *Boleslaus*, *Vladislaus* były w owym czasie (zdaje mi się, że na to nie zwrócono u nas uwagi) specyalnie przez książąt z domu Piasta używane: i w danym razie pomiędzy pospolitymi dobroczyńcami, spis których sześć stronic zajmuje, nie znajdujemy żadnego, któryby nosił jedno z tych imion; okoliczność zaś, że nie jest wspomniany naczele, obok swojego ojca i dziada, dowodzi tylko, że zapiska podaje spis dobroczyńców w takim chronologicznym porządku, w jakim się nimi stawali; stosownie do tego i Elżbieta, chociaż o niéj wyraźnie powiedziano *ducissa uxor Mesiconis* stoi na końcu a nie na początku. Tyle co do uwag p. Caro. Oprócz książąt, spotykamy między dobroczyńcami zakonu, tak żyjącymi jak i zmarłymi, także i niektórych dygnitarzy kościelnych i świeckich; na téj podstawie możnaby czas powstania zabytku jeszcze bliżej oznaczyć, przed wyjściem jednak Kodeksu Wielkopolskiego zdaje mi się to niemożebném.

Pod N-em 2-im znajdują się dwa akty notaryalne z r. 1419, świadczące o cudach Królowéj Jadwigi, żony Władysława Jagiełły; spisane one były w zamiarze dostarczenia dowodów do jéj kanonizacyi, o którą się starano w pierwszéj połowie XV wieku. N-r 3 jest ułamkiem księgi rachunkowéj, wykazującéj rozchody sum wpływających z Bochni i Wieliczki; ułamek ten pochodzi z 1443 roku. Krótka zapiska pod N-em 4-tym podana, a do klasztoru Cystersów odnosząca się i tam powstała, podaje nam dni śmierci pierwszych opatów tego klasztoru. Pod N-em 5-tym znajdujemy list Zbigniewa Oleśnickiego do Marcina z Przemyśla z 1450 r. w daleko poprawniéjszym tekście niż u Wiszniewskiego.

Na N-r 6-ty składa się sześć listów Długosza, wydanych także prawie równocześnie przez p. Szujskiego w Kodeksie listów z XV stulecia (N-ra 87, 103, 228, 231, 236, 237 w części II). Dziwna rzecz jednak! Obaj wydawcy z jednych i tych samych rękopismów i autografów te listy podali, a mimo to nie zgadzają się zupełnie co do czytania tekstu. Czyj tekst jest lepszy, trudno rozstrzygnąć, albowiem porównywając oba, raz widzimy, że p. Z. dane miejsce lepiéj odczytał, drugi raz—że p. S.; lecz o takie różnice mniejsza; są inne ważniejsze: tylko oryginał mając przed oczami można rozstrzygnąć,

który z wydawców wierniéj go odczytał; zestawiam je obok siebie:

| Nr. dok. | p. Zeissberg czyta: | p. Szujski zaś: | Nr. dok. |
|---|---|---|---|
| VI a | Giskra *illum* intelligit | Giskra *eum* intelligit | 87 |
| „ | quid *deus* voluit | quid *demum* voluit | „ |
| VI b | feria *secunda* proxima | feria *sexta* proxima | 1o3 |
| „ | per partes *recipere* voluit | per partes *accipere* voluit | „ |
| VI c | Ductura *Schuchy* | Ductura *Tchychii* | 228 |
| „ | dominus *Broszman* | dominus *Broszvicz* | „ |
| VI d | sexagenam *per me datam* | sexagenam *permediatam* | 231 |
| VI e | *Pawlik* non habet literam *regiam* | *Pacolik* non habet literam *legitimam* | 236 |
| VI f | vos *non* scribitis | vos *mihi* scribitis | 237 |
| „ | illos *celerius* misissem | illos *actenus* misissem | „ |

Pod Nrem 7-mym podane są dwa listy: jeden z nich pisany do Zbigniewa Oleśnickiego w roku 1449, drugi zaś przez niejakiego P. do Marcina Gromadzkiego w r. 1478; kto jest autorem pierwszego, tego p. Z. nie wié, z kodeksu jednak, w którym ten list przez p. Szujskiego również przedrukowany został (część II Nr. 62), dowiadujemy się, że wyszedł on z pod pióra Jana Elgota. Na Nr. 8 składają się 22 listy Kallimacha, pisane do rozmaitych osób w ostatnich latach XV wieku; odnoszą się one do Kallimacha raczéj niż do historyi polskiéj; że jednak humanista ten ważną w niéj odgrywa rolę, słusznie bardzo włączył p. Z. pozostałe po nim listy do pomniejszych źródeł naszéj historyi. Toż samo powiedziéć można o Nrze 9, obejmującym małe pisma Kallimacha: *Praefatio in somniarium Leonis Tusci ad Laurentium de Medicis* i *ad Joannem Picum Mirandule quaestio de peccato.*

Nr. 1o jest ciekawym pedagogicznym zabytkiem literackim z epoki humanitaryzmu, zabytkiem, który czytelnikom Szkiców historycznych Szajnochy nie powinien być obcy; nazywa się on traktatem „o wychowaniu dziecka królewskiego"—jakiém to wychowanie być powinno—przesłanym zaś był przez królowę Elżbietę na początku pewnie 15o3 roku synowi jéj Władysławowi Jagiellończykowi, królowi Węgierskiemu i Czeskiemu, spodziewającemu się w tym czasie potomka. Chociaż królowa matka wprost przemawia tu do syna, nie jestto jednakże jéj własny utwór: piękna łacina, widna w autorze znajomość klasycznéj literatury, częste przytaczania przykładów, z historyi Greków i Rzymian zaczerpniętych, aż nadto zdają się przekonywać czytelnika, że to nie może być utwór ówczesnéj kobiéty, choćby i królowéj polskiéj, lecz raczéj Erazma Ciołka, Andrzeja

Drzewickiego, lub też którego z uczonych włochów, przebywających podówczas na dworze królewskim w Polsce. Takie jest zdanie p. Z., niepoparte jednak przez niego dowodami z samego pisma czyli zabytku. P. Caro, w cytowanéj powyżéj gazecie, inaczéj o tém sądzi: na podstawie *historycznego kolorytu* przebijającego się w utworze, twierdzi, że powstał on nie w Polsce, lecz na królewskim dworze w Węgrzech. Historyczny koloryt to dowód bardzo słaby, słabszy w każdym razie od tych, które na poparcie przeciwnego p. C. zdania przytoczyć można. Gdyby autor traktatu żył zdala od Polski, gdyby nie był w otoczeniu Elżbiety, nie przejąłby się zapewne tak dobrze rolą przemawiania w jéj imieniu, nie wspominałby tak często, zawsze nawet ilekroć chodzi o poparcie twierdzenia przykładem z dziejów Jagiellonów, Kazimierza Jagiellończyka męża Elżbiety i więcéj w takim razie podawałby przykładów z dziejów węgierskich. Zauważyć przytém trzeba, że ilekroć razy wspomina jakiś współczesny sobie fakt lub wypadek, odbywający się na węgierskim dworze, używa wyrazów *ut audio* (por. str. oryg. 57, 58, 64, 87, 111 do 112, 115), dając do zrozumienia, że o danym wypadku wieści tylko do niego doszły; prócz tego wyrażenia takie, jak „Callimachus *noster*“ (str. 43, 104, 111), „Georgius praesul Varadiensis secretarius *tuus* nuper *apud nos* singulari laude elatus est“‘ (str. 113) a nadewszystko „Georgius praesul Varadiensis secretarius tuus, *quemadmodum quidam Pannonus narravit mihi* quam saepissime solet dictitare....“ (str. 81—82, gdyby autor był na węgierskim dworze, toć przecie słyszałby sam, co zwykł mawiać sekretarz królewski, a nie potrzebowałby się dopiéro dowiadywać o tém od jakiegoś Węgra) dowodzą, że zdanie p. C. jest mylne i że zabytek ten napisany został w Polsce z polecenia nadto i za wskazówkami saméj Elżbiety. Na to ostatnie wskazuje sam początek traktatu: „Słyszę, kochany synu, że twoja małżonka Anna urodzi ci wkrótce syna Kazimierza...“ i ponieważ to było napisane przed urodzeniem się Władysławowi syna, więc powyższe wyrażenie można pojmować jedynie jako życzenie Elżbiety, ażeby jéj przyszły wnuk nosił imię dziadka a jéj ukochanego męża. Że autor traktatu spodziéwał się za niego otrzymać od króla nagrodę, w tém się z p. C. zgadzam, bo niektóre wyrażenia i myśli na str. 109—111, 117 dostatecznie mogą ten wniosek motywować, lecz widziéć w tém poparcie twierdzenia, że traktat napisany w Węgrzech, może tylko chyba sam p. C., przeciwnie cudzoziemiec, z za gór przysyłający królowi swą pracę z imieniem jego matki, mógł prędzéj liczyć na jakąś nagrodę niż uczony, przebywający na jego własnym dworze.

Ostatnim wreszcie kłosem zebranego przez p. Z. pokłosia jest

spis zmarłych przełożonych, braciszków i dobroczyńców zakonu Św. Dominika w Polsce, ułożony przez Waleryana Lituanidesa, magistra konwentu krakowskiego, w r. 1615. Znaczenie tego zabytku jest nie wielkie, chyba tylko dla historyi Dominikanów w Polsce,] témbardziéj, że autor jego niezbyt, zdaje się, krytycznie korzystał z dawnych źródeł, które, nie ulega kwestyi, miał pod ręką.

Tak się przedstawia niniejszy zbiorek pod względem treści; rozpatrzywszy się w niéj, pozostaje nam jeszcze powiedziéć słów kilka o metodzie wydawniczéj p. Z. Pomijając wniosek, któryby się mógł nasuwać wobec różnego czytania jednego i tego samego tekstu przez p. Z. i przez innych, który zresztą, wątpliwość jeszcze, czy na niekorzyść p. Z. wypaść może, widzimy, że wydawca starał się wiernie odwzorować w druku oryginały: zachował więc w tym celu ich pisownią, zaznaczył uszkodzone miejsca, uzupełniając je w przypiskach (chociaż niezawsze, np. III, VI b. d. e.), zanotował nie mniéj poprawki robione przez przepisywaczy, zmiany charakteru pisma, wyrazy pisane lub podkréślane czerwoną farbą, jako téż w większych zabytkach wskazał stronnice oryginalnego rękopismu; jednóm słowem strona, tycząca się oddania tekstu wiernie, nawet pod względem zewnętrznym bardzo dobrze jest traktowana. Nie można za to pochwalić oszczędności wydawcy w udzielaniu objaśnień niezbędnych, do których należy zamienianie średniowiecznych dat na nowe (np. nie widzimy tego przy dokumentach VI c, d, e, f, VIII 11, 16, 17, 20, 21) i dodawanie topograficznych wyjaśnień, któreby się bardzo przydały przy dokumentach III, VI a, c, d, VII b i t. d.; brak następnie wyjaśnień i innego rodzaju: spotykani w N. III *marsalchus generalis*, *castellanus Becensis*, *castellanus Lublinensis* i t. p. powinni być w adnotacyach nazwani z imienia i nazwiska; tamże równie powinno być powiedziane jakim kasztelanem był *Jan* (str. 20 w. 4 od dołu), co to za książęta byli *Semovitus*, *Bolco* (str. 21 w. 7 od dołu), *Mythco* (str. 22 w. 4 od góry), co to jest *szuba de cowthir sabellis subducta* (str. 21 w. 5 od góry) i t. d.; przy dokumencie N. X wskazaćby można bliżéj znajdujące się w nim ustępy z autorów klasycznych i skąd wziął autor podane w zabytku fakty z dziejów starożytnych (to ostatnie spełnia p. Z. tylko w części); krótkie adnotacye dodane do N. XI lepiéjby było, jeżeliby się znajdowały u dołu na téj saméj stronicy, do któréj się odnoszą, a nie wszystkie razem na samym końcu, nie wygodnie jest w skutek tego korzystać z nich. Najważniejszym jednak jest brak regestru; przy zabytkach, w których tyle jest imion i nazwisk (np. N-ra I, III, XI prawie wyłącznie z nich się składają), regestr był rzeczą konieczną; dziwném rzeczywiście się wydaje, że p. Z. potrzeby jego nie uwzględnił — bez rege-

stru korzystanie z książki bardzo jest utrudnioném a w pewnych razach prawie niepodobném.

Taką jest praca p. Z. na polu historyi polskiéj już ostatnia, autor porzuca już to pole, które dla niego bynajmniéj niewdzięczném się nie okazało, na którém wyrobił sobie poważne stanowisko i zasłużone imię; żegnając go, jako badacza naszych dziejów, życzymy mu szczerze, ażeby nowy okrés jego literacko-historycznéj działalności uwydatnił się również cennemi dziejami jak *Dziejopisarstwo polskie w wiekach średnich.*

*Teodor Wierzbowski.*

---

Kwestya domu Zarobkowego w Warszawie tudzież zaradzenia ubóstwu w kraju p. Justyna Wojewódzkiego. Warszawa r. 1877.

Od czasu kiedy w r. 1874 Rada Miejska Dobroczynności publicznéj m. Warszawy kwestyą zapisu Staszica na dom zarobkowy oddała pod dyskusyą opinii publicznéj, niemało w tym przedmiocie pisano, i każde z pism publicznych swoje w téj materyi podawało zdania i projekta, nie słychać aby tu trzechletnia dyskusya rzecz cokolwiek naprzód posunęła. P. Justyn Wojewódzki, niezmordowany na téj drodze pracownik, w ostatnich czasach nową w téj kwestyi opracował broszurę, w któréj z niezaprzeczoną słusznością broni swego zdania, że nie należy, i nikt nie ma prawa zmieniać celu zapisu i rozmijać się przez to z wolą ś. p. testatora w użyciu pieniędzy, które dziwnym zbiegiem okoliczności, pomimo szczegółowych przepisów testamentu, pomimo naznaczenia aż trzech egzekutorów i zatwierdzenia rządowego, dotąd nie są użyte. Mnożąc się zaś składanym procentem, urosły dzisiaj do poważnéj sumy, która kusi filantropów i publicystów, aby ją użyć na cele dobroczynne w sposób, mający dzisiaj więcéj powabu dla publiczności, aniżeli staroświeckie domy czy sale zarobkowe. Pan W., opiérając się na dosłownych tekstach przepisów i postanowień władz rozmaitych, twierdzi, że pieniądze te użyte być powinny na ten cel, na który je testator przeznaczył, t. j. na dostarczenie pracy ubogim ludziom, którzy jéj znaleźć nie mogą. Wątpimy, aby ktokolwiek opiérając się na argumentach prawnych, a nawet na dowodach ekonomicznych potrafił zbić to twierdzenie, kiedy władze administracyjne i prawodawcze, Rada Administracyjna, b. Namiestnicy Król. Pol. i Komitet Urządzający wszyscy zgadzali się na to, że testament powinien być spełnionym.

Na mocy dowodów czerpanych z nauki ekonomicznéj można twierdzić, że są inne instytucye, które więcéj pożytku przyniosłyby społeczeństwu, aniżeli dom zarobkowy, ale z tego nie wynika wcale żeby dostarczenie, a nawet usiłowanie dostarczyć pracy ludziom, którzy jéj nie znajdują sami, było nie korzystném; a chociażby ten wyższy stopień pożytku w argumentach najjaśniéj się przedstawiał, nie dawałoby to nikomu prawa rozporządzać pieniędzmi inaczéj aniżeli chciał właściciel. Szanowny autor, broniąc swéj opinii i polemizując z tymi, którzy inne wypowiedzieli zdania, mniéj potrzebnie, naszym zdaniem, roztacza niesłychany zbytek argumentów trochę starego autoramentu, bo opiéra się w tém na opiniach rozmaitych autorów, cytując ich liczbę niemałą od Frycza Modrzewskiego do Prof. Bilińskiego i P. Levasseur. Roztrząsając zaś potém projekt urządzenia domu zarobkowego ułożony przez b. Radę główną Op., wchodzi w rozmaite szczegóły samego wykonania rzeczy, które mogą chwalebnie świadczyć o tém, że Sz. autor zna mechanizm urządzenia podobnych zakładów, ale które to szczegóły zapewne w niczém ku rozwiązaniu kwestyi nie dopomogą; bo zapewne nie dlatego dotychczas domu zarobkowego nie założono, iż nie wiedziano czy tam lepiéj umieścić warsztat szewcki czy stolarski, kazać drzéć piérze lub robić szarpie. Argumentacye te i szczegóły rzecz samę więcéj wikłają niż rozjaśniają. Tymczasem z saméj treści pracy pana W. wynika, iż obecnie kwestya tak stoi. Z łaski ś. p. Staszica gmina miasta Warszawy posiada obecnie fundusz wynoszący Rs. 202.194 k. 37 i użyć go obowiązana na ulżenie losu biédnych swojéj gminy, szukających zarobku a nie mogących go znaléźć. Pierwsze więc rodzi się pytanie czy tacy biédni są i ilu ich jest? Pan W., opiérając się na dwóch cyfrach z lat 1824 i 1869 o liczbie ubogich utrzymujących się z jałmużny i dobroczynności publicznéj, oznacza liczbę ich na 20.000. Cyfra ta zdaje się nam być zupełnie dowolnie oznaczoną, nie twierdzimy, aby ona była zbyt małą lub zbyt wielką, ale tylko nie możemy do niéj żadnego przywiązywać znaczenia. Do wyjaśnienia kwestyi nie ma tu innego środka, jak zebranie dokładnéj wiadomości, nie o żebrakach i włóczęgach, ale o liczbie ludzi zdrowych i silnych, a nawet od pracy niestroniących, a którzy takowéj nie mają i dlatego wyżywić siebie nie są w stanie; takich to Staszic miał na myśli i o takich téż najpierwiéj myśléć należy. Środków zebrania takiéj wiadomości nie posiada żadna prywatna osoba, ani żadna redakcya; jedynie tém mógłby się zająć zarząd miasta, jako reprezentujący gminę najmocniéj w tém interesowaną. Skoro zaś wyjaśni się stopień potrzeby, samo przez się obudzi się żywszą chęć jéj zadośćuczynienia, a mając fundusz dość

znaczny do rozporządzenia, wątpić nie można, aby Pan Prezydent miasta i obywatele gminy nie wyszukali człowieka praktycznego, któryby sprawę tę całą wziął do serca i skutecznie zajął się ulżeniem cierpiącym i wykonaniem woli ś. p. Staszica. Czy zaś to nastąpi przez urządzenie kilku czy kilkunastu warsztatów, czy przez ustawienie machiny parowéj, któraby w ruch warsztaty wprowadzała, czy tam będzie więcéj machin do szycia czy do piłowania, to są rzeczy, o których dzisiaj mówić zdaje się nam zbytecznem.

Do pracy swojéj dodał Pan W. rozdział „W kwestyi zaradzenia żebractwu, próżniactwu i ubóstwu" w którym, trzymając się téj saméj metody, przytacza przepisy prawne i administracyjne, przywołuje na świadectwo nietylko Staszica ale Xenofonta i Homera, Szmolera i Libelta i wchodzi w szczegóły rozmaitych środków zapobiegania nędzy. Naturalnie ani szanowny autor, ani nikt z czytelników spodziéwać się nie może, aby kwestya trapiąca ludzkość od czasu Xenofonta do dni naszych mogła być nietylko rozwiązaną ale i dodokładnie wyjaśnioną w krótkim rozdziale, z którego tylko ten wniosek zrobić można: że nie braknie u nas przepisów o tém co mają władze robić z żebrakami, ale pomimo to widać, iż nie wiele robią, bo liczba żebraków się nie zmniejsza, że przepisy są zbyt ogólnikowo redagowane i dlatego do spełnienia trudne, że ostatecznie przepisy na to nie są skutecznym lekarstwem. Jedynym może na téj drodze środkiem, nie zapobieżenia nędzy, ale zaradzenia przeciw zbytniemu mnożeniu się żebractwa, byłyby ścisłe określenia prawne na kim ma leżéć obowiązek opatrzenia biédnych, bo dzisiaj gmina obowiązana zapobiegać żebractwu, ubodzy niemogący pracować mają być opatrywani w gminie i parafii: otóż z tego wynika zapewne, że ani parafia, ani gmina do tego obowiązku nie poczuwa się wyłącznie i jedna na drugą go składa; zapobieganie zaś żebractwu musi się spełniać nie opatrywaniem nędzarzy, a wyprawianiem ich z gminy. Jeżeliby zaś np. gmina była obowiązana opatrywać swoich biédnych, toby znalazła praktyczny sposób zaradzenia nadmiernemu szerzeniu się żebractwa, chociaż zapewne nie potrafiłaby tego dokazać, aby ubogich żebraków zupełnie nie było.

*A. O.*

---

# KRONIKA NAUKOWA.

## O Telefonie Grahama Bell'a.

W czerwcowym zeszycie Ateneum z r. z. podaliśmy wiadomość o telefonie Bella, obiecując pomieścić o nim bliższe wiadomości, gdy sami je otrzymamy. Otóż pora na to nadeszła. Nietylko, że czytaliśmy szczegółowe jego opisy, ale nadto widzieliśmy przyrząd własnemi oczyma, oglądaliśmy szczegóły jego budowy i robiliśmy z nim doświadczenia, które dowiodły, że jeden z naszych domysłów, w czerwcowém sprawozdaniu wyrażonych, był uzasadniony, t. j. że Bell jednocześnie z wynalazkiem odkrył nowe fakta, których nieznajomość była przyczyną niewiary w autentyczność wynalazku telefonu. Faktem tym jest ta dziwna na pozór okoliczność, że prosta blaszka żelazna drganiem swojém może oddawać nietylko wszystkie tony instrumentów muzycznych, ale i skomplikowane dźwięki ludzkiéj mowy.

Od owego czasu pojawiły się liczne modyfikacye telefonu i ostatecznie został rozpowszechniony aparat następujący. Na magnesie stałym znajduje się rolka drutu izolowanego, która się łączy z przewodnikami (np. drutami telegraficznemi). Obok jednego końca tego magnesu znajduje się cieniutka jak papiér blaszka żelazna, oddalona od magnesu o niecały milimetr, oparta brzegami na rurze drewnianéj, służącéj za pokrywę magnesowi, i przymocowana do niéj miseczkowatą częścią, opatrzoną okrągłym otworem, przez który widać blaszkę. Gdy mówimy przed tym otworem, trzymając aparat w odległości kilku centymetrów od ust, blaszka drga, a zbliżając się lub oddalając od magnesu wzmacnia lub osłabia jego magnetyzm

i tym sposobem wpływa na powstanie prądów elektrycznych w drucie rolki, znajdującéj się na magnesie.

Prądy te przepływają po drucie do drugiego zupełnie podobnego aparatu, sprawiają wzmocnienie lub osłabienie siły magnetycznéj jego magnesu, a z tego powodu wywołują drganie blaszki zupełnie odpowiednie temu, jakie na stacyi przesyłającéj wpływa na wywołanie prądów elektrycznych. Drganie blaszki rodzi dźwięk, który słyszéć możemy, przytknąwszy ucho do otworu znajdującego się przed blaszką.

W téj więc postaci, telefon Bella różni się od pierwotnie zbudowanego aparatu tém, że przesyłacz i odbieracz są identyczne. W pierwotnym telefonie odbieracz składał się nie z magnesu stałego, lecz z elektromagnesu rurowego Nickles'a, do którego brzegu była w jednym punkcie przymocowana blaszka. Lecz w ciągu doświadczeń przekonano się, że specyalny odbieracz jest zbytecznym, i że może być identycznym z przesyłaczem.

Widzieliśmy tylko telefony berlińskie oraz wykonane w Warszawie przez fabrykę przyrządów telegraficznych pana Petsch'a oraz w zakładzie optyczno-mechanicznym p. Jakóba Pika. To więc, co możemy powiedziéć o głosie telefonów, tylko do niemieckich i polskich przyrządów może się odnosić; amerykańskie bowiem znamy tylko z rysunków.

Słuchaliśmy przez telefon mowy z odległości kilkunastometrowéj oraz dziesięciomilowéj. W pierwszym razie można się porozumiéwać bez żadnego wytężenia organów mowy i słuchu, w drugim zaś „telefonowanie" było już utrudzającém. W małéj odległości słyszeliśmy całe ustępy gazet bez stracenia jednego słowa oraz gwizdanie, śpiew (które z daleko większą łatwością przenosi telefon niż słowa, dlatego, że to są dźwięki mniéj skomplikowane). Podczas próby zaś pomiędzy Skierniewicami a Warszawą, urządzonéj przez pana Petsch'a, nie mogliśmy dosłyszéć niektórych wyrazów, lub ich zakończeń i wogóle głos przychodzący był bardzo słaby. Jednakże, bądź co bądź, porozumienie się było możliwém i niewątpliwém.

Słabnięcie głosu odpowiednio do odległości jest skutkiem oporu stawianego przez przewodnik prądowi elektrycznemu, wzbudzanemu za pomocą drgania blaszki. Prąd ten jest nadzwyczaj słaby, tak, że nawet w niewielkiéj odległości od przyrządu wysyłającego, nie można go odkryć za pomocą bardzo czułych galwanometrów. Cóż więc dziwnego, że silnie go osłabia opór druta mającego kilkadziesiąt kilometrów długości!

Z powodu téj słabości prądu, zdaje się, że telefony będą miały ograniczony zakrés działania; chyba że wynalezione zostaną sposoby

wzmacniania prądu. Z tego téż powodu telefonowanie po drucie telegraficznym, biegnącym obok innych drutów, po których przechodzą depesze, jest niemożliwém, gdyż w przewodniku telefonowym tworzą się, silniejsze od jego własnych, prądy indukowane, które przynoszą do ucha, zagłuszające wszystko, pukanie telegrafów Morse'a. Doświadczyliśmy tego podczas próby pomiędzy Warszawą a Skierniewicami. W skutek tego telefon najlepiéj funkcyonuje przy użyciu podziemnéj liny telegraficznéj, która jest doskonale izolowaną; przekonano się o tém doświadczeniami dokonanémi na linie pomiędzy Berlinem a Magdeburgiem, oraz pomiędzy Dover i Calais.

W obecnym więc stanie rzeczy telefon może mieć zastosowanie tylko w małych odległościach; może służyć np. do połączenia rozmaitych korytarzy kopalń z powierzchnią ziemi, budynków fabrycznych z biórem, folwarków z mieszkaniem właściciela dóbr, rozmaitych biór rządowych miejskich z sobą, urzędów wójtowskich z biórem naczelnika powiatu i w tym podobnych przypadkach, kiedy zachodzi potrzeba dawania częstych poleceń i otrzymywania na nie odpowiedzi w jak najkrótszym czasie.

Największe zaś, jak się zdaje zastosowanie, będzie miał telefon do przejmowania cudzych depesz. Powiedzieliśmy wyżéj jak łatwo przechodzą prądy z przewodników telegraficznych na telefonowe, odtwarzając pukanie przyrządów telegraficznych. Wprawny więc telegrafista, umiejący uchem czytać alfabet Morse'a, będzie mógł w każdém miejscu linii telegraficznéj odczytywać cudze depesze, umieściwszy tylko drut od telefonu w blizkości drutu telegraficznego; osoby interesowane wcale o tém nie będą mogły wiedziéć, gdyż swoją drogą depeszę otrzymają. Być więc może, iż wynalazek telefonu wpłynie przedewszystkiém na zmianę aparatów telegraficznych niektórych systemów.

Pisma codzienne zagraniczne donoszą także o innym telefonie, wynalezionym przez Gray'a, niezależnie od Bella. Telefon ten ma służyć do przesyłania tylko tonów muzyki, w ten sposób, że może je słyszéć jednocześnie znaczna liczba słuchaczy. Dotychczas otrzymaliśmy opisy bardzo ogólnikowe bez rysunków. Gdy bardziéj szczegółowe nadejdą, nie omieszkamy podać o nich wiadomość naszym czytelnikom.

W pierwszém naszém sprawozdaniu powiedzieliśmy już, że telefon nie jest zupełnie nowym wynalazkiem i tak, jak wszystkie prawie wogóle wynalazki, nie pojawił się nagle lecz miał sui generis poprzedników.

Takim poprzednikiem dla telefonu Grahama Bella był telefon Filipa Reiss'a, nauczyciela w Friedrichsdorfie. Zasada jego budowy

była następująca: Przesyłacz składał się z błony napiętéj na otwór drewnianego pudełka; w bocznéj jego ścianie znajdował się drugi otwór, który należało zbliżyć do źródła głosu. Na błonie znajdowała się blaszka platynowa, połączona ze stosem elektrycznym, a na przeciwko niéj, w małéj od błony odległości, drut, idący na drugą stacyą do odbiéracza. Gdy błona była w spokoju, prąd elektryczny nie przechodził na drugą stacyą, gdyż nad błoną była przerwa w przewodniku; przeciwnie zaś, gdy błona drgała w skutek fal głosowych, t. j. gdy blaszka platynowa naprzemian to dotykała, to odskakiwała od drutu, prąd przechodził lub też przerywał się. Ile więc było zetknięć blaszki, tyle powstało prądów chwilowych, ile odskoków—tyle przerw. Przechodziło to w niezmienionéj postaci na drugą stacyą do odbiéracza, który się składał z wałka miękkiego żelaza, otoczonego drutem, po którym płynęły prądy z stacyi wysyłającéj. Żelazo to, stosownie do przepływu lub przerwania prądu elektrycznego, namagnesowywało się lub też traciło magnetyzm, a w skutek tego zostawało wprawiane w drgania, odkryte jeszcze w roku 1837 przez Page, fizyka amerykańskiego. Drgania te rodzą w powietrzu dźwięki, którym Page nadał nazwę muzyki galwanicznéj.

Tony muzyczne różnią się pomiędzy sobą wysokością, natężeniem i jakością czyli barwą. Wysokość tonu zależy wyłącznie tylko od ilości drgań odbytych przez ciało dźwięczące przez sekundę; natężenie od obszerności (amplitudy) drgań, a wreszcie barwa od formy fal cząstek powietrza wprawionych w drganie.

Ponieważ w telefonie Reissa, zawsze tylko jedne i te same drgania mogły być wzbudzone w przesyłaczu i odbiéraczu, i tylko ilość drgań mogła być różną, więc widoczną jest rzeczą, że tony przesyłane przez ten aparat mogły się różnić tylko co do wysokości. Można więc było przesyłać co najwyżéj nuty muzyczne i nic więcéj. Dlatego też telefon Reissa był tylko ciekawą zabawką naukową, ale nie miał żadnego znaczenia praktycznego.

Niemcy pysznią się tym wynalazkiem i z tego powodu utrzymują że choć Bell, anglik zamerykanizowany, „udoskonalił“ telefon, to jednak przyrząd ten jest „*eine ursprünglich deutsche Erfindung*.“

Jestto błąd, który może powstać tylko w skutek wielkiego zaślepienia. Nie mówiąc już bowiem o tém, że telefon Bella wcale nie jest udoskonalonym telefonem Reissa i że polega na zupełnie innéj, nowo odkrytéj przez Bella, zasadzie, przyznaćby należało pierwszeństwo wyż wspomnianemu Page'mu, który pierwszy mówił o „muzyce galwanicznéj.“

Daléj, są jeszcze inni wynalazcy, którzy mogą rywalizować o prawo pierwszeństwa. Do takich przedewszystkiém należy *Sudre*.

P. Rouis bowiem, sekretarz Akademii Nauk w Brukselli, donosi, że w Pamiętnikach Akademii Królewskiéj w Metz, w roczniku dwudziestym szóstym z r. 1844—1845, znajduje się na stronicy 401 praca p. t. Rapport de Mr. Lucy sur la téléphonie de Mr. Sudre. Co to za telefonia była, tego p. Rouis nie podaje.

Dokładniejszy a ciekawszy jest dokument przedstawiony przez p. du Moncel, który napisał do redakcyi Les Mondes, list następującéj treści.

„Pomysł telefonu elektrycznego wcale nie jest nowym. Już w roku 1854 podałem sprawozdanie z opisu telefonu, ogłoszonego w jedném z czasopism technicznych owego czasu przez niejakiego p. B... Muszę wyznać ze wstydem, żem żartował nieco z niego, tak mi się ten pomysł wydawał wtedy fantastycznym. Popełniłem jednak błąd, gdyż pomysł ten nietylko się teraz urzeczywistnił, ale nawet znalazł zastosowanie w praktyce. Bądź co bądź, ciekawym będzie dla pańskich czytelników ze stanowiska historyi nauki, opis tego wynalazku, podany przezemnie w pierwszém wydaniu mojego „Exposé des applications de l'électricité,“ tom II. str. 225, z r. 1854.

„Po zdumiewających telegrafach, mogących przez wielkie odległości odtwarzać pismo téj lub owéj osoby, a nawet więcéj lub mniéj skomplikowane rysunki, zdawałoby się niemożliwém postąpienie naprzód w dziedzinie rzeczy cudownych. Sprobujmy jednak postawić jeszcze kilka kroków naprzód. Pytam się naprzykład: czy nie możnaby wyrazów przesyłać za pomocą elektryczności, jedném słowem, czy nie możnaby mówić w Wiedniu a być słyszanym w Paryżu. Jestto rzecz wykonalna. Oto w jaki sposób.

„Wiadomo, że dźwięki powstają z drgań i są przenoszone do uszu przez takie same drganie, wzbudzane w środku pośredniczącym.

„Lecz natężenie tych drgań zmniejsza się bardzo szybko z wzrostem odległości, do tego stopnia aż nawet przy użyciu tub i trąbek akustycznych, okazuje się dość ciasna granica, któréj niepodobna przekroczyć. „Wyobraźcie sobie, iż ktoś mówi przed blaszką ruchomą, dość giętką, aby nie straciła żadnego z drgań wzbudzonych przez głos; że ta blaszka naprzemian to zestawia, to przerywa komunikacyą ze stosem; w oddaleniu może być umieszczona druga podobna blaszka, która będzie wykonywała jednocześnie podobne drgania.“

„Prawda, że natężenie dźwięków będzie zmienne w miejscu przesyłania, gdzie blaszka drga pod wpływem głosu, a stałe na stacyi odbierającéj, gdzie ją wprawia w drganie elektryczność; lecz wykazano, że to nie zepsuje dźwięków.

„Rzecz widoczna, że dźwięki będą się odtwarzały przedewszystkiém z tą samą wysokością w gamie.

„Stan obecny nauki akustyki nie pozwala powiedziéć apriori, czy tak samo stanie się z głoskami artykułowanemi, składającemi głos ludzki. Nie zajmowano się dotychczas dostatecznie sposobem powstawania tych sylab. Wprawdzie zauważono, że jedne są wymawiane przy pomocy zębów, drugie są wargowe i t. d., ale na tém koniec.

„Bądź co bądź, należy być przekonanym, „że zgłoski niczém inném nie wpływają na słuch, tylko drganiem środka pośredniczącego; odtwórzcie dokładnie te drgania, a odtworzycie także dokładnie zgłoski.“

„W każdym razie, niepodobna dowieść, przy obecnym stanie nauki, że transmisya dźwięków za pomocą elektryczności jest niemożliwą; przeciwnie, wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za możliwością.

„Kiedy mówiono po raz pierwszy o zastosowaniu elektromagnetyzmu do przesyłania depesz, pewien mąż, stojący na wysokiém stanowisku naukowém, traktował ten pomysł jako mrzonkę, a tymczasem dzisiaj porozumiewa się Wiedeń bezpośrednio z Londynem za pośrednictwem drutu metalowego. To nie jest możliwe, mówiono, a jednak.... to istnieje.

„Nie trzeba mówić, że z transmisyi słowa wyniklyby bezpośrednio niezliczone i wielce ważne zastosowania.

„Z wyjątkiem tylko głuchoniemych, każdy mógłby posługiwać się tym sposobem transmisyi, niewymagającym żadnego specyalnego aparatu: *stos elektryczny, dwie blaszki drgające i drut metalowy wystarczyłyby zupełnie.*

„W bardzo wielu razach, naprzykład w obszernych zakładach, możnaby za pomocą tego środka przesyłać takie a takie zawiadomienie na pewną odległość, chociaż odrzucono usługi elektryczności, gdyż dotychczas trzeba przesyłać literę po literze, za pomocą aparatu wymagającego nauki i wprawy.

„Cokolwiek się stanie, pewną jest rzeczą, iż w bliższéj czy dalszéj przyszłości, wyrazy będą przesyłane daleko za pomocą elektryczności. Zacząłem robić doświadczenia w tym kierunku; są one subtelne i wymagają dużo czasu i cierpliwości; lecz to, co już zostało osiągniętém, każe się spodziéwać pomyślnego rezultatu.“

Jednakże od chwili ogłoszenia powyższego artykułu, aż do dziś dnia, pan B... nie dał żadnego śladu życia i nie zawiadomił, czy jego doświadczenia doprowadziły do szczęśliwego rezultatu.

Być może, iż uczeni wydobędą na jaw i inne pomysły i próby dotyczące telefonii, które jednak, bądź co bądź, nie odbiorą wynalazkowi Bella cechy zupełnéj oryginalności. Gr. Bell wcale nie myślał o ulepszeniu telefonu Reisa, ani o wykonaniu żadnego innego z ogłoszonych pomysłów; nie miał nawet na celu wynalazku telefonu i owszem chodziło mu o coś innego, o aparat mający służyć w innym celu, który szczęśliwym trafem okazał możność istnienia telefonu.

Gazeta „Times" podaje następującą wiadomość o historyi tego wynalazku.

Graham Bell, będąc nauczycielem szkoły Głuchoniemych w Bostonie, wpadł na pomysł następujący. Zwykle głuchoniemi są dla tego pozbawieni mowy, że są głusi. W ich organach mowy nie ma żadnéj wady, któraby mogła przeszkadzać wydawaniu głosu, a Bell przekonał się praktycznie na 2.000 swoich wychowańców, że gdy zostaną nauczeni użytku przyrządów głosowych, to mogą z wielką łatwością urabiać dźwięki artykułowane. Dla ułatwienia téj nauki powziął zamiar uwidocznienia fal powietrza, odpowiadających różnym głosom, aby głuchoniemi widzieli nie znaki symboliczne, lecz rzeczywisty rezultat, który mają naśladować. W tym celu postanowił zbudować stosowny aparat, a próby, które wykonał doprowadziły go do wniosku, że aparat ten powinien być zbudowany zupełnie tak samo jak ucho ludzkie.

Rozważając szczegóły tego organu, Bell uderzony został brakiem odpowiedniego stosunku pomiędzy ciężarem błony bębenkowéj a kostek słuchowych. To go przywiodło do wniosku, że jeżeli błonka tak cienka jak papiér jedwabny może regulować drganie kostek, które w porównaniu z nią są nadzwyczaj wielkie i ciężkie, to dlaczegóżby większa i grubsza błona nie miała wprawiać w drganie żelaza elektromagnesu?

Dla sprawdzenia tego, Bell umieścił koniec sztabki żelaznéj obok jednego z biegunów magnesu, drugi zaś jéj koniec oparł na środku naprężonéj grubéj błony. Spodziéwał się, że jeśli wprawi tę błonę w drganie za pomocą głosu, to i sztabka żelazna ulegnie takim samym drganiom i wywoła w magnesie wzmocnienia i osłabienia, odpowiadające zgęszczeniom powietrza, podczas *wydawania głosu*,— a daléj, że na drugim końcu magnesu, te zmiany natężenia będą w ten sposób działały, że jeśli się przy tym końcu umieści sztabkę żelazną, to jéj ruchy będą wierną kopią ruchów pierwszéj sztabki. Podczas tych doświadczeń, pan Tomasz Watson, asystent Bella, usłyszał pewien dźwięk w instrumencie; Bell starał się go usłyszéć— ale nie był tyle szczęśliwym ile jego asystent. W dalszym jednak ciągu doświadczeń, gdy zmniejszał coraz bardziéj kawałek żelaza

przytwierdzony do błony i wreszcie użył zamiast niego kawałka sprężyny zegarowéj wielkości paznogcia, usłyszał dźwięki wyraźne. Wtedy widocznie, zarzucił myśl zbudowania przyrządu dla nauki głuchoniemych i poświęcił swą pracę udoskonaleniu, przypadkiem wynalezionego, przyrządu do przenoszenia dźwięków.

## O związku zachodzącym pomiędzy wyborem naturalnym a chorobami pasorzytniczemi.

W LIX tomie Archives des sciences physiques et naturelles, p. 349, zwraca p. *Forel* uwagę na ten ciekawy przedmiot i rzuca kilka nowych myśli, które zapewne nadal nie pozostaną odłogiem. Jestto kwestya ciekawa zarówno ze względu teoretycznego jak i praktycznego.

Wybór naturalny polega, jak wiadomo, na tém, że w walce o byt ginie znaczna ilość indywiduów, bez pozostawienia po sobie potomstwa, i tylko te indywidua przyczyniają się do utrzymania gatunku, które są najlepiéj zaopatrzone w środki do walki o byt. Ponieważ w skutek dziedziczności pożyteczne przymioty przechodzą z rodziców na dzieci, więc pewien gatunek zwierząt, czy roślin nabywa coraz więcéj korzystnych właściwości, służących jako środek oparcia się nieprzyjaznym wpływom.

U zwierząt i roślin hodowanych wpływ wyboru naturalnego zatraca się. Najprzód bowiem, w skutek opieki człowieka nie czują one prawie wcale wpływu walki o byt, z którego to powodu nawet słabsze osobniki mogą zachować swe istnienie i wydać potomstwo. Potomstwo to będzie liczne, ale będzie pozbawione dobroczynnego wpływu wyboru naturalnego. Powtóre opieka człowieka nie ogranicza się na usuwaniu wpływów nieprzyjaznych; ale nadto proteguje on tylko takie indywidua, które okazują własności dla niego korzystne i tylko takim dozwala się rozmnażać, bez względu na to, czy te właściwości są pożyteczne dla gatunku. Wpływ więc człowieka stawia tamę doborowi naturalnemu, mającemu na celu tylko dobro gatunku; pomimo to, jak powiada Forel, może i człowiek także wielkie korzyści odnosić z wyboru naturalnego, gdy mu pozostawi pole do działania, mianowicie na punkcie walki z chorobami epizootycznemi i epifitycznemi. W jaki sposób? Forel objaśnia to na przykładzie następującym.

Wyobraźmy sobie pewien dziki gatunek zwierzęcy lub roślinny, który, zaaklimatyzowawszy się w danéj okolicy, jest w równowadze ze swojém otoczeniem i może korzystnie wytrzymać walkę o byt ze

swemi przeciwnikami i współzawodnikami. Wyobraźmy sobie daléj, że z obcych stron przybywa jakiś pasorzyt zwierzęcy lub roślinny, który się rzuca na rzeczony gatunek i sprawia w pośród niego straszne spustoszenie. Pasorzyt ten, znajdując w ciele swoich ofiar pożywienie, znacznie się rozmnoży; lecz zabiwszy już znaczną liczbę ofiar będzie miał trudność w znalezieniu pożywienia. Wkrótce więc sam będzie ginął w ogromnych masach z głodu. Napadnięty gatunek będzie teraz wystawiony na nieprzyjazne działanie mniejszéj liczby napastników i zacznie się silniéj rozwijać, w skutek czego znów istniéć będzie mogła znaczniejsza liczba pasorzytów—i w ten sposób powstaną rozmaite oscyllacye w rozwoju napadniętych i napadających, dopóki nie nastąpi pewien stan równowagi, w którym będzie tyle napadniętych, że pasorzyty nie będą ginęły z głodu, i tyle pasorzytów, że ich ofiary nie będą mogły nadmiernie się rozmnożyć. Jestto pierwsza faza walki o byt, po której następuje druga—wyboru naturalnego.

Wybór naturalny wprowadza modyfikacye w jednę i drugą stronę. Co się tyczy najprzód zwierząt napadniętych, to w skutek walki o byt usuwane zostają wszelkie indywidua niemogące stawić dostatecznego oporu wpływom nieprzyjaznym, i pozostają przy życiu tylko silniejsze, odporniejsze, skąd w rezultacie gatunek staje się silniejszym i zdrowszym, mogącym znieść dręczenie ze strony pasorzytów. Z drugiéj strony wybór naturalny może w ten sposób modyfikująco wpłynąć na pasorzyty, że te indywidua, których sposób żywienia się i wogóle życia jest zabójczy dla zwierząt, na których mieszkają, wymrą z głodu, zabiwszy ofiary, które im dostarczają pokarmu; te zaś, których wpływ jest mniéj zwierzętom szkodliwym, będą z nich mogły długo ciągnąć pokarm i tym sposobem posiadać będą warunki do rozwoju i rozmnożenia się. Obie te modyfikacye prowadzą do jednego rezultatu, mianowicie takiego, że rezultat walki o byt pomiędzy dwiema formami nie będzie śmiertelnym, że obie one będą mogły istniéć obok siebie, i wreszcie zwierzęta dojdą do takiego samego rozwoju indywiduów oraz stanowiska w okolicy, jak przed napaścią pasorzytów.

U gatunków hodowanych, powiada Forel, w walce o byt z pasorzytami, może nastąpić pierwsza faza walki o byt, druga zaś faza, wyboru naturalnego, nigdy nie może mieć miejsca, gdyż warunki hodowli zupełnie wykluczają wybór naturalny. Człowiek stara się rozmaitemi sposobami ochronić swojskie zwierzęta i rośliny od napaści pasorzytów, już to zabijając pasorzyty, już to za pomocą czystości chroniąc zwierzęta od zarazy, już téż wykluczając te osobniki, które zostały przez nie napadnięte i zostawiając do rozpłodu tylko te,

które są od nich wolne. W ten sposób może ochronić wiele słabych a wyłączyć silne, któreby walkę wytrzymały. W wielu jednak razach wszystkie te środki okazują się zawodnemi, a wtedy, według rady Forel'a, uciec się należy wyłącznie tylko do drugiéj z faz powyżéj wymienionych, do wyboru naturalnego. Trzeba gatunki hodowane pozostawić w naturalnych warunkach życia, trzeba je poddać działaniu czynników otaczających, a rezultat tego będzie taki, że już po kilku generacyach wpływ wyboru naturalnego wywoła, w sposób opisany, taką równowagę, że i gatunki hodowane i pasorzyty, będą mogły istnieć obok siebie.

*Z* powodu komplikacyi, jaka wypływa z wzajemnego oddziaływania dwóch form w walce o byt, z powodu różnorodności licznych czynników, od których jest zależny dodatni lub ujemny wypadek walki, cały ten proces nie jest dość jasny. Ale nie jestto bynajmniéj hypoteza, pozbawiona podstaw doświadczalnych. Przeciwnie, Forel posiada na to dowód w obserwacyach nad jedwabnikami, zarażonemi tak zwaną „chorobą ciałek.“ Chorujące na nią jedwabniki Forel zostawił w warunkach dzikiego życia przez lat 10, a wynik tego doświadczenia był zupełnie pomyślny; wszystkie jedwabniki były zdrowe.

Na zasadzie tych rozumowań i doświadczeń, Forel radzi używać wyboru naturalnego we wszelkich innych podobnych wypadkach, a szczególniéj względem winorośli opadniętéj przez fillokserę. Wniosek ten został świetnie stwierdzony przez Marsé'go, który przedstawił swe obserwacye nad samowolném zniknięciem filloksery, na posiedzeniu Akademii Nauk w Paryżu d. 12 Listopada r. z. Pan Marsé donosi, że na znaczną liczbę krzaczków winorośli przeniósł fillokserę, która na nich pozostawała przez lat cztery i wreszcie samodzielnie znikła w biegu roku piątego na wszystkich krzaczkach,—co jest dowodem, jak powiada, jakiéjś przyczyny powszechnéj. Jednakże jeden z krzewów, rosnący w odległości pięciu metrów od roślin podanych doświadczeniu, który się przypadkowo zaraził filllokserą w 1875r., zachował jeszcze dotąd te owady. Prawdopodobnie więc wyleczenie powyższe nastąpiło w skutek wyboru naturalnego.

## Nowa metoda galwanoplastyczna.

W Październikowym zeszycie „Ateneum“ z r. 1877, podaliśmy wiadomość o odkryciu sposobu otrzymywania nadzwyczaj cienkich, przezroczystych blaszek rozmaitych metali, dokonaném przez pana Artura W. Wright'a, profesora w Yale College. Przypominają sobie

czytelnicy, iż odkrycie to polega na ulatnianiu metali drogą elektryczną i na osiadaniu ich na chłodnych ściankach szklanych naczyń. W rzeczonym artykule podaliśmy teoretyczne rezultaty tego odkrycia, dziś możemy się podzielić z czytelnikami wiadomością o zastosowaniu praktycznem, które się udało Wright'owi przeprowadzić.

Wright używa naczynia szklanego, z którego wypompowuje powietrze, wprowadza weń dwa bieguny cewki indukcyjnéj i zawiesza pomiędzy niemi przedmiot, który należy pokryć blaszką metaliczną, np. kawał szkła. Do bieguna ujemnego przymocowany jest kawałek metalu, który się ma na przedmiocie osadzić. Trzy do sześciu ogniw Grove'go, działając przez cewkę indukcyjną, wywołują pomiędzy biegunami iskry, dwu do trzech calowéj długości. Pod wpływem téj iskry, metal ulatnia się i zgęszcza na zimnéj powierzchni szkła, tworząc na niém osad błyszczący, jednolity. Grubość blaszki osadzonéj może być dowolna, gdyż jest w zupełności zależną od czasu działania elektryczności.

Korzyści wynikające z odkrycia Wright'a są liczne i ważne. Nietylko że pozwala ono badać barwy właściwe metali, zmieniające się stosunkowo do powiększania się grubości blaszek, i otwiéra tym sposobem pole do nowych poszukiwań nad naturą metali, a może też i światła; ale nadto daje wyborną metodę otrzymywania źwierciadeł ze wszystkich lotnych metali, źwierciadeł, odznaczających się niezwykłą czystością i wszelkiemi pożądanemi zaletami. Otrzymane przez Wright'a źwierciadła platynowe, w których błonka platynowa jest osadzona na srebrze, są nieczułe na wpływ atmosfery i z tego powodu kwalifikują się do teleskopów i heliostatów oraz innych przyrządów naukowych, do których potrzebne są źwierciadła o zawsze czystéj powierzchni.

## Wpływ księżyca na pogodę.

Nie ma chyba bardziéj rozpowszechnionéj, bardziéj popularnéj teoryi zjawiska przyrodzonego, nad teoryą zależności pogody od odmian księżyca, lunacyj. Lecz nietylko ogół ludności wszystkich krajów wierzy w nią głęboko. Przekonanie to panowało w nauce od kilku wieków, aż do ostatnich niemal dziesiątków lat, a chociaż otrzymało ostatecznie cios bardzo silny, jednakże i teraz dają się słyszéć głosy uczonych, przywracające dawne znaczenie księżyca w meteorologii. Do rzędu tych uczonych należy między innymi astronom Falb, o którego teoryi podaliśmy krótką wiadomość w III to-

mie „Ateneum“ z r. z. (str. 214). Lecz wznowienie téj hypotezy napotyka na wielki opór ze strony specyalistów, a że zarzuty przeciwników są dość ciężkiego kalibru, przekonamy się z treści odczytu francuskiego uczonego Faye'a, wygłoszonego na jedném z publicznych posiedzeń akademickich.

Słońce, powiada Faye, rządzi wszystkiém na ziemi. Od niego wyłącznie zależy nietylko następstwo pór roku, lecz i wszystkie ruchy ziemskie, od wielkich burz naszéj atmosfery aż do najmniejszego drgnięcia skrzydła owadu, aż do biegu najmniejszego strumyczka, aż do spadku kropli deszczu. Ruchy te sprawia słońce swém ciepłem. Czy i księżyc sprawia je choć na bardzo maleńką skalę? Bynajmniéj. Promieniowanie ciepła księżyca jest tak słabe, że fizycy zrezygnowali dawniéj z możności wykazania jego istnienia i dopiéro, gdy wynaleziono stos termoelektryczny, będący prawdziwym cudem fizycznéj czułości, zdołano wykryć trochę ciepła w promieniach księżycowych, ale to w tak małéj ilości, że dłoń eksperymentatora, trzymana przez chwilę przed tym zdumiewającym termoskopem, okazuje go więcéj, aniżeli wszystkie promienie księżyca w pełni, skoncentrowane za pomocą szkła palącego.

Księżyc więc swojém promieniowaniem w niczém się nie może przyczynić do ruchów w atmosferze, sprawianych przez ciepło słoneczne. Jak kropla dolana do oceanu nie podniesie jego poziomu, tak też ciepło odbite przez księżyc, dodane do nieskończenie większéj ilości rozlewanéj przez słońce, w niczém na modyfikacyą wpływu słońca wpłynąć nie może.

Jeśli księżyc nie wywiéra działania swém promieniowaniem, to może wywołuje je swą masą, przyciąganiem? Tak właśnie sądzi Falb i wielu innych. Ale i temu Faye zaprzecza. Wprawdzie księżyc porusza wody oceanu, to rzecz pewna; gra on ważną rolę w przypływie i odpływie morza. Wysokość morza zmniejsza się, gdy księżyc oddala się od nas, powiększa się, gdy się przybliża, a ponieważ wpływ księżyca przyłącza się często do wpływu słońca, albo też przeciwny przypadek ma miejsce, stosownie do względnego położenia obu ciał, więc oscylacye morza zmieniają się z fazami księżyca i są nieco większe podczas pełni i nowiu, aniżeli podczas pierwszéj i ostatniéj kwadry. Jeśli więc księżyc porusza ocean, mówią marynarze, a przynajmniéj tworzy falę o szerokiéj podstawie wysoką na metr i więcéj, któréj wierzchołek idzie wiernie w ślad za księżycem, to dla czegóżby nasz satelita nie miał działać podobnie na ocean powietrzny?

Zdaje się, powiada Faye, że źródło przypuszczenia wpływu księżyca na atmosferę wypłynęło właśnie z téj analogii. Starożytni

nigdy nie przypuszczali, żeby księżyc miał wpływać na pogodę; nic ich na tę myśl nie naprowadzało, bo mieszkając nad morzem Śródziemném nie znali przypływu morza. Odkrycie wpływu księżyca należy zupełnie do nowych czasów. Gdy około XV wieku żeglarze skonstatowali powszechność zjawiska przypływu i odpływu morza, powstał, jak się zdaje, ten przesąd. Jednakże ci sami żeglarze zapoznali nas z licznemi faktami, które służą do obalenia ich twierdzenia. I tak np. stwierdzili, że nigdy nie ma burz w Limie, a z drugiéj strony, na wyspie S-téj Heleny nigdy nie słyszano grzmotu, chociaż znów grzmi niemal codziennie na wyspach Moluckich i Sundzkich. A jednak odmiany księżyca istnieją tak tu jak i tam. W Egipcie górnym nigdy deszcz nie pada, a jednak księżyc ma tam te same fazy co i u nas. Z drugiéj zaś strony wszędzie ocean wznosi się i opada zależnie od księżyca. Wypada więc stąd, że dwa zjawiska: powszechny przypływ i odpływ morza oraz objawy meteorologiczne w atmosferze, nie są w żadnym z sobą związku.

Nadto, kiedy jest mowa o przyciąganiu, zagadnienie staje się przedmiotem mechaniki i rachunku. Znakomity Laplace, który pierwszy poddał pod rachunek zjawisko przypływu morza, obliczył także wielkość wpływu przyciągania księżyca na ocean powietrzny i doszedł do wniosku, że przypływ i odpływ atmosfery powinien się zmieniać peryodycznie o ilość wyrażoną przez 1$^1/_2$ setnych części milimetra wysokości barometrycznéj. Czyż można dzisiaj, kiedy burze zostały lepiéj poznane, przypisywać temu nikłemu wpływowi spadnięcie barometru o kilka centymetrów, które zmiany pogody nagle wywołują? Niezadowolony z wypadków, które otrzymał, Laplace poprosił swego przyjaciela i współpracownika Bouvard'a, dyrektora obserwatoryum w Paryżu, aby poszukał, czy w istniejących już obserwacyach meteorologicznych nie ma jakiego śladu tych nieujętych zmian. Bouvard szukał, ale napróżno. Usiłował on zbadać przynajmniéj, czy księżyc jak to utrzymują, nie wywiéra wpływu na deszcz. Mając przed sobą stuletnie obserwacye, liczył ile dni dżdżystych odpowiadało każdéj z kwadr. Rezultat był prosty i stanowczy: ilość dni dżdżystych w każdym z czterech peryodów była jednakowa. Taki sam rezultat osiągniętoby na mocy prawa wielkich liczb, objaśnia dowcipnie Faye, gdyby za pomocą statystyki stuletniéj starano się obliczyć ile było wołów w szlachtuzie lub przechodniów na Pont-Neuf podczas każdéj z faz księżyca.

Jednakże te rezultaty i te rozumowania podawano w wątpliwość. Nie chodzi o to, mówiono jaka jest liczba dni dżdżystych,

lecz tylko o zmiany pogody. W jaki sposób księżyc działa, tego nie ośmielono się określić, dodając jednak, że jeżeli ciepło księżycowe nie przybywa do nas, to zapewne dlatego, że jest absorbowane w wyższych warstwach atmosfery, gdzie bywa bezwątpienia użytém do rozproszenia chmur. I w saméj rzeczy panuje przekonanie, że księżyc zjada chmury.

Przeciwko temu przypuszczeniu świadczy w sposób stanowczy prawo burz.

Wiadomo że cyklon potrzebuje dziesięciu, piętnastu a nawet dwudziestu dni do uskutecznienia całkowitego swego biegu; w skutek tego jeden i ten sam cyklon może rozbić jeden okręt podczas nowiu, drugi w pierwszéj kwadrze a trzeci w czasie pełni. Każdy z kapitanów tych trzech okrętów miałby prawo przypisywania przyczyny nieszczęścia każdéj z trzech powyższych faz księżyca, a tymczasem jedyną przyczyną było to samo zjawisko, które w swym biegu normalnym i zupełnie prawidłowym napotkało jeden po drugim te trzy okręty, na swéj drodze naturalnéj, którą prawa przyrody kazały mu przebiedz.

Lecz cyklony nie są zjawiskami tak miejscowemi, ograniczonemi, jakby się na pozór zdawać mogło. Wiadomo teraz, że wszelkie wiatry, wszelkie nawałnice w każdéj okolicy pochodzą od tych ruchów wirowych powietrza, które wędrują bezprzestannie po powierzchni kuli ziemskiéj, wywołując tu i owdzie zmiany pogody przypisywane księżycowi. Nikt jednak nie wpadnie na pomysł przypisywania cyklonów wpływowi księżyca. Początek ich jest inny. Te straszliwie zjawiska powietrzne rodzą się pod wpływem ciepła słonecznego w wyższych warstwach atmosfery. Powietrze rozgrzane, wzniesione w skutek ciepła nad swój poziom naturalny, rozlewa się ku biegunom z obu stron równika ogromnemi prądami, płynącemi nad naszemi głowami. Choć prądy te są niewidzialne, śledzimy jednak ich bieg za pomocą specyalnych obłoków, które one z sobą unoszą. Sąto obłoki najwyższe; nie składają się one z kropelek wody, lecz z drobnych igiełek lodu. Obłoki te nadają często niebu widok malowniczy i wywołują około słońca i księżyca bardzo ciekawe zjawiska świetlne. W łonie tych rzek powietrznych, powstają często ogromne ruchy wirowe, podobne do wirów w naszych wodach bieżących. Skręty tych wirów powietrznych zstępują ciągle na dół, dopóki ich ziemia nie zatrzyma, niosą w swém łonie elektryczność z sfer wyższych, mięszają obłoki lodowe z kroplistemi niższych warstw i wywołują wszędzie, gdzie przejdą, ura-

gan, dészcz, pioruny, a niekiedy dziwią nasze oko ogromnemi masami wody nagle zlodowaciałéj wśród błyskawic, padającéj jako grad na ziemię.

Oto co mówi Faye, słowami matematyki i nowszéj meteorologii.

Co na to odpowié Falb i miliony ludzi wierzących w prawdziwość swych obserwacyj nad wpływem księżyca na pogodę?

Czekamy.

*Bronisław Rejchman.*

---

# KRONIKA MIESIĘCZNA.

Nie zbyt dawno ukazała się książka, p. t. *Wychowanie publiczne na podstawach Ekonomii Polityczněj* przez Aleksandra Czarnowskiego. Ekonomia Polityczna jest u nas tak mało znaną, a co gorsza w imieniu jéj tyle popisano bredni, że tytuł książki prawdopodobnie niewielu do przeczytania jéj zachęcić musiał. A przecięż zasługuje ona na uwagę. Nie dlatego, ażeby zawierała oryginalne myśli do czego autor nie ma bynajmniéj pretensyi. Nie dlatego, ażeby język jéj był klasyczny, lub porządek wykładu nie pozostawiał nic do życzenia, ale dla innych powodów. Książka ta dotyka jednéj z najważniejszych kwestyj społecznych i rozstrząsa takową z dawno znanego gdzieindziéj, ale nowego u nas punktu widzenia.

Postaram się streścić myśli autora w nadziei, że czytelnicy sami przeczytają książkę, w któréj znajdą wiele ciekawych szczegółów i poglądów. Nie będę się téż pilnował tam panującego porządku i, naturalnie, wiele rzeczy pominę.

Że dzisiejszy system kształcenia młodzieży, prawie w całéj Europie, nie jest doskonałym, to czuje każdy, kto się nad tą kwestyą zastanawiał. Czarnowski w rozbiorze swym zarzuca mu:

*Monopol*—skutkiem którego społeczeństwa domagają się, aby rządy były ich nauczycielami, choć jednocześnie bardzo sarkają na to, gdy władza prawodawcza pełni naprzykład funkcyą producenta i handlarza wyrobów tytuniowych.

*Jednolitość* objawiającą się za pośrednictwem jednostajnych programów, a nawet podręczników. Skutkiem tego wszyscy mieszkańcy kraju są mądrzy na jedno kopyto i posiadają te same niedostatki umysłowe, wbrew prawom natury wymagające obok pewnych cech wspólnych, nieskończonéj rozmaitości zjawisk.

*Języki starożytne i klasycyzm*, które nietylko zabiérają czas potrzebny na coś praktyczniejszego, ale jeszcze napawają młodociane dusze ideałami społeczeństw barbarzyńskich, a nawet według dzisiejszego rozumienia, zbrodniczych. Świat starożytny bowiem dzielił ludzi na wolnych i niewolników, gardził pracą i jednostkę poświęcał państwu, nie mówiąc już o spartańskiém zabijaniu dzieci i rzymskiéj dążności do ujarzmień.

Czwarty zarzut stanowi *niepraktyczność* wychowania, jego niezgodność z potrzebami życia. Szkoły dzisiejsze produkują co najwyżéj literatów, mówców i korepetytorów, choć wiadomo, że świat potrzebuje dziesiątków tysięcy innego rodzaju specyalistów. Skutkiem tego zakłady wychowawcze ogólne mały pożytek przynoszą, a wychowańcy ich nie znajdują dla siebie dość miejsc wśród społeczeństwa.

Wreszcie—zarzuca p. C. panującemu systemowi—*niesprawiedliwość*. Na szkoły bowiem klasyczne, z których po większéj części korzystają dzieci warstw zamożnych, składa się rzemieślnik, rolnik i handlarz żadnéj z nich nieodnoszący korzyści. Co gorsza—biedacy ci są nawet niezbędnych im szkół—fachowych i elementarnych zupełnie pozbawieni.

Tymczasem ludność wzrasta. Na społeczną widownią występują coraz liczniejsze klasy. Potrzeby życia mnożą się i urozmaicają, a jednocześnie środki wyczerpują. Do prastaréj walki z naturą człowiek potrzebuje sił i wiedzy z każdym rokiem większéj, a prócz tego na drodze przemysłu, handlu, odkryć i wynalazków, walczyć mu wypada z innemi społeczeństwami. W zapasach tych każde zaniedbanie, każda chwila zastoju naraża nas na straty i podaje w moc innych. Gałęzie pracy specyalizują się na niepoliczone odnogi, trudności opanowania każdéj z nich olbrzymieją. Wśród téj ciasnoty, ścierania się interesów, wyścigów na złamanie karku, jedynym światłem i sprzymierzeńcem człowieka jest wiedza, niezdobyta w całości dla nikogo, lecz rozszczepiająca się na miliony promieni i tysiące prądów zapładniających i ożywczych.

Czy pomiędzy niezmiernym śpichrzem wiedzy i nieskończonemi potrzebami społeczeństw, dzisiejszy monopol naukowy może wytworzyć jakiś stały i korzystny związek? Czy obecne gimnazya, uniwersytety, nie są raczéj zbiornikami mniéj niezbędnych pokarmów duchowych? Czy choćby je porównać do brylantów i pereł, przydadzą się one na co tam, gdzie kamieni i żelaza potrzeba?

Na powyższe pytania nikt nie odpowié twierdząco. Lecz jeżeli systemy i instytucye, nad którémi dziesiątki lat pracowano, tak małe jeszcze wydają rezultaty,—to gdzież jest program, system czy

akademia, która od dotychczasowych klęsk choć przyszłe pokolenia uwolni?

Żadne społeczeństwo nie posiada generalnej traktyerni, któraby wydawała jadłospisy dla wszystkich i umysły członków owego zarządu wysilała na to, aby każdemu obywatelowi wyznaczyć: ilość i jakość potraw, tudzież godziny jedzenia. Każdy człowiek kupuje to na co go stać, zjada tyle ile może, w godzinie jaka mu się podoba. Mimo to ogół jest dość syty i dość zadowolony, przy generalnéj zaś traktyerni składałby się niewątpliwie z zagładzonych suchotników. Jeżeli więc swoboda w zakresie fizycznego odżywiania tak błogie wydaje owoce, to dlaczegóżby nie należało sprobować jéj w sferze przyjmowania pokarmów duchowych, uczenia się?..

Tu leży środek ciężkości rozprawy p. Czarnowskiego. Żąda on swobody uczenia się i nauczania w takim zakresie, na jaki kogo stać. Nie masz na ostrygi, więc ciesz się kartoflami, nie masz na rachunek różniczkowy, poprzestań na dodawaniu, lecz... nie żebraj, nie kształć się z jałmużny!..

Na tle swobody i równoważnéj zapłaty w sferze nauczania, opiérają się wszystkie wywody p. C. Wykazuje on jasne strony nowéj i ciemne dziś panującéj zasady; porównywa energią i przewagę Anglików i Amerykanów, u których swoboda nauczania panuje, a chwiejność, przemysłową bojaźliwość i skłonność do rewolucyi Francuzów, którzy pełnemi łyżkami czerpią z misy naukowego monopolu.

Twórcy nowych poglądów a za nimi p. C. nie lękają się zarzutów jakie stawiać można bronionéj przez nich zasadzie, owszem sami je cytują i odpiérają.

Jeżeli pozwolicie każdemu uczyć się czego chce i jak chce, to po pierwsze: ogół nie będzie się uczył, mówią monopoliści. W odpowiedzi na to p. C. pisze skróconą historyą cywilizacyi, któréj my jednak nie powtórzymy. Kto ma oczy niech spojrzy do koła siebie, a przekona się, że ogół pragnie wiedzy, ale użytecznéj, dającéj chleb. Zresztą od niepamiętnych czasów, dzieci wszelkiego rodzaju proletaryuszów dostarczały najpilniejszych uczniów.

Drugi zarzut, że przy systemie całkowitéj opłaty za naukę możniby tylko z niéj korzystali, nie ma racyi bytu. P. C. żąda bowiem szkół elementarnych bezpłatnych lub mało płatnych i zgadza się na pomaganie w wyższéj edukacyi młodzieńcom ubogim, lecz wybitnemi odznaczającym się zdolnościami.

Potrzecie,—mówią konserwatyści, że w proponowanych warunkach nauczyciel stanie się handlarzem i będzie odrabiał obowiązki swoje lada jako. Na to p. C. odpowiada, że przeciwnie: wolna kon-

kurencya skłania zwykle do usilniejszéj pracy. Mógł był téż przypomniéć niezmiernie ważną dla społeczeństwa klasę lekarzy, którzy handlują przecięż swoją umiejętnością, obywają się bez programów, nadzorców i upomnień; a jednak pracują sumiennie i do najpóźniejszego wieku.

Ostatnią obawę, że bez monopolu, oświata pozbawioną będzie wspólnego kierunku, zbija p. C. przykładem Anglii i Ameryki. Istotnie jednak zarzutu tego zbijać nie warto. Ludzie, stworzeni wedle jednego typu, mają aż nadto dużo skłonności do urabiania się na jednakową formę. Moda, nałogi, ukłony, sposoby rozpoczynania i kończenia rozmowy i miliony innych szczegółów zbyt jasno dowodzą téj prawdy. Byłoby może lepiéj, gdybyśmy więcéj popędów do oryginalności i samodzielności mieli w sobie zaszczepionych.

„Ludzkość, mówi w końcu p. C., „zawsze małą pokładała wiarę w swobodę, a wielkie miała zamiłowanie do przepisów krępujących naturalny bieg przyrodzonych naszych zdolności.“

Nie mniéj ciekawe są zestawienia celów i skutków swobodnéj anglo-amerykańskiéj i monopolistycznéj francuskiéj oświaty. Pierwsza chce przygotować wielką liczbę ukształconych pracowników, a dziedzinę sztuk pięknych i nauk wyższych zostawia możniejszym, Druga przygotowuje filozofów, prawników i literatów, dla społeczeństwa, które ich nie zrozumié i z usług ich nie skorzysta. To też Amerykanie mają oświatę powszechną i garść ludzi wysoko ukształconych. Francuzi kilka tysięcy gwiazd pierwszéj i drugiéj wielkości na tle ogólnéj ciemnoty. Anglicy i Amerykanie ze swego systemu wychowania czerpią rozsądek, samodzielność i niezłomną energią w indywiduach; Francuzi otrzymują wielu nieszczęśliwych marzycieli, których tania sztuczna a wysoka edukacya wykoleiła nietylko z rodzinnych, ale i społecznych torów.

Taka jest w ogólnych zarysach treść książki. Korzyści praktycznéj z pracy téj nasze przynajmniéj społeczeństwo odnieść nie może, dostępną przecięż jest dla niego korzyść teoretyczna.

My w kwestyach wychowania należymy do najzakamienialszych rutynistów. Umiemy krytykować, zły program i złego nauczyciela, umiemy ubolewać nad wpływem złego systemu na umysł a nawet fizyczne zdrowie dziecka, lecz o środkach zaradczych nie myślimy. Alfą i omegą rodzicielskiéj pieczołowitości jest popchnąć dziecko na utarte szlaki i upominać je, aby się starało o patent. Raz jednak umieściwszy je w zakładzie naukowym, nie zadajemy już sobie pytania: czy dziecko robi rzeczywiste postępy w naukach i na co mu się one przydadzą w dalszém życiu? Według panującéj opinii o wszelkich podobnych kwestyach myśleć powinien kto inny.

W takich warunkach nietylko poglądy wypowiedziane w książce p. Czarnowskiego, ale nierównie bardziéj krańcowe oddać nam mogą nieobliczone usługi, ukazując nowy punkt zapatrywania się na sprawę. A zatém są społeczeństwa tak odważne, że wśród nich każdy ojciec śmiało wybiéra szkołę dla swego dziecka, krytykuje złe i dobre strony instytucyi, upomina się o zaprowadzenie w niéj pewnych reform. A zatém są społeczeństwa o tyle wyższe od nas, że wśród nich jeszcze przed kilkudziesięcią laty zapytywano jaką korzyść mogą przynieść nauki klasyczne, podawane wszystkim dzieciom chcącym przejść średnią edukacyą? Nie dość na tém: żądano upowszechnienia oświaty elementarnéj i szkół z dążnościami fachowemi.

Podobne zwrócenie uwagi na kwestye wychowawcze, konieczne jest u nas, gdzie pominąwszy inne doniosłe względy, znajduje się pełno dzieci napróżno kołaczących do drzwi gimnazyów i progimnazyów. Mojém zdaniem, na które można się zgodzić lub nie zgodzić, zawód jaki je spotyka nie należy do najcięższych w życiu. Z tém wszystkiém: co z odepchniętemi dziećmi zrobić? Naturalnie trzeba je kształcić w domu i warsztacie lub handlu, dopóki nie będziemy mieli dostatecznéj liczby szkół fachowych.

Edukacya domowa, o któréj wspomnę tylko nawiasowo, wymaga kilku warunków. Najprzód tego, aby rodzice przynajmniéj w ogólnych zarysach wiedzieli czego od niéj chcą i choć do pewnego stopnia umieli nią pokierować. Daléj pociąga za sobą koszta, a jeszcze daléj wymaga nauczycieli.

Co do kosztów, sądzę, że gdyby je ponosiło kilka rodzin wspólnie kształcących dzieci, byłyby one wówczas nie większe od gimnazyalnych. Co do nauczycieli, myślę, że kraj nasz posiada wiele osób ukształconych i nieraz gwałtownie potrzebujących zarobku; osoby takie z korzyścią mogłyby się poddać obowiązującemu egzaminowi i zwiększyć zastęp nauczycielski. Zarówno wreszcie one jak i rodzice obeznaliby się bliżéj ze sprawą nauczania, gdyby w kraju powstało pismo wyłącznie poświęcone pedagogice i dostateczna liczba dobrych podręczników naukowych do domowéj edukacyi. Nie siląc się na oryginalność, moglibyśmy tłómaczyć takowe z obcych języków, albo wybiérać z pośród podręczników używanych w Galicyi.

Oświata fachowa i elementarna, publiczna lub domowa, dobrze prowadzona, jest tak potężnym fundamentem przyszłéj pomyślności kraju, że chwila, w któréj nasz ogół szczerze nią się zajmie, stanowić będzie jedną z ważniejszych epok. Wprawdzie szkoły elementarne liczą się u nas na tysiące, a wychowańcy na setki tysięcy,

mimo to właściwy ich wpływ nie zaczął się nawet, tak jak i fachowych, których jest ledwie kilka.

Przedewszystkiém bowiem główna zasada została po dziś dzień nietkniętą. Według prawa szkoły elementarne zostawać powinny pod bezpośrednim kierunkiem gmin, które mogą wybiérać lub zrzucać nauczycieli, naznaczać pensyą i rozciągać dozór. Dotychczas jednak z praw tych nikt nie korzysta, rozstrój jest zupełny, wypadek i gorsze od niego kaprysy i dążności jednostek rządzą.

Nauczyciele wiejscy, o ile wywiedziéć się o nich można, są po większéj części źle płatni i nie stoją na wysokości swoich obowiązków. Wprawdzie niektórzy z nich posługują się metodą poglądową, czują brak odpowiednich podręczników i posiłkują się wydawnictwami Jeskiego; są to jednak nieliczne wyjątki. Większość trzyma się ślepo niezrozumiałych formułek, lub zajmuje się dziećmi o tyle, o ile je do posług użyć można. Jeżeli mimo to część młodego pokolenia umié czytać, to wypadek ten jest raczéj skutkiem niezmiernego popędu włościan do oświaty, aniżeli wpływu szkoły.

Nie zbyt dawno w Lublinie pewien Bomasz, skazany za gwałtowną kradzież, który miał bezczelność powołać się w sądzie na świadectwo czterech innych kryminalistów, jako jest człowiekiem uczciwym, między dowodami swéj zacności wymienił: że z judaizmu przeszedł na chrześcijanizm, że był urzędnikiem miejscowéj izby obrachunkowéj, a poprzednio.... nauczycielem wiejskim. Piękny nauczyciel! a któż zgadnie: ilu podobnych mu zaraża swoją obecnością szkoły gminne?....

Niezależnie od tych niebezpieczeństw, szkół elementarnych w kraju jest za mało, a pensye nauczycieli o tyle liche, że nie pociągają na posady nawet ludzi nędzny żywot pędzących na bruku miejskim. Szkołom brak pomocy naukowych, jakie posiadają nietylko angielskie i niemieckie, ale nawet galicyjskie. Dozór i współudział ze strony społeczeństwa żaden.

Na tyle szkół, od kilkunastu lat po raz pierwszy w tym roku wyczytaliśmy w pismach nazwisko nauczyciela p. Piotra Kulika, który zapoznaje uczniów z nauką praktyczną, obznajmiając ich z hodowlą jedwabników i siejąc morwy. Dobremu nauczycielowi Spółka Jedwabnicza wyznaczyła honorową nagrodę w ilości rs. 20. Nie jest że to ironią, że nauczyciel wiejski wówczas dopiéro doczekał się uznania, gdy przyłożył rękę do rzeczy mało u nas praktycznéj. I kto w dodatku ocenił jego uczciwą pracę około sadzenia drzewek? (jedwabnictwa bowiem nie liczę). Oto spółka, któréj przed paroma laty groziła śmierć, po kilkunastu latach dość zagadkowego żywota!

Czyżby sumienny i zdolny nauczyciel wiejski nie miał raczej prawa do rozgłosu i wynagrodzenia od jakiéjś nieistniejącéj jeszcze spółki a czuwającéj nad hodowlą nie koniecznie jedwabniczego, ale ludzkiego potomstwa? Alboż dziś podobnéj spółki nie mogłoby zastąpić kółko najbliższych sąsiadów, uczciwych, o oświatę dbałych.

Powtarzamy jeszcze raz, że oświata elementarna i fachowa stanowi pole, na którém najpotężniéj objawi się nasz rozum i samodzielność społeczna. Czego tu potrzeba? Przedewszystkiém zwrócenia uwagi na samę kwestyą i zbadania jéj we wszelkich kierunkach. Rzecz ta nie koniecznie należy do dziennikarzy i korespondentów, a nawet pedagogów, lecz do wszystkich ludzi w piéniądze, stosunki i dobrą wolę zasobnych.

Nowy ten ruch musi się zacząć od miast. Należałoby istotnie raz dowiedziéć się czego w elementarnych szkołach uczą, jakie są lokale, jakie środki naukowe, jakie potrzeby nauczycieli?... Niedostatki ukażą się na każdym kroku, lecz obok nich i lekarstwa.

Powtóre należałoby wypracować czy tylko uporządkować podręczniki, niezbędne dla prowadzenia edukacyi domowéj i pomyśléć o bibliotece dla młodzieży i ludzi starszych pragnących wiedzy. Inne narody mają po kilka tego rodzaju wydawnictw, w których obok geografii istnieje hygiena, obok mechaniki—poezya, obok klasyków własnych—ekonomia, geologia, chemia i mnóstwo innych rzeczy. Godziłoby się też wskrzesić i pomnożyć liczbę istniejących przed kilkoma laty prywatnych *warsztatów wzorowych.*

Potrzecie wypadałoby postarać się o upowszechnienie między rodzinami rycin i okazów do nauki poglądowéj. Zbiory minerałów, stopniowa przeróbka materyałów użytecznych, zielniki, modele czy rysunki narzędzi i machin, tudzież zabawki froeblowskie—należą do téj kategoryi.

Niezmierną usługę w tym kierunku oddałoby *muzeum pedagógiczne*, urządzone jako zwykłe przedsiębierstwo.

W muzeum takiém pensyonaty prywatne mogłyby znaléść potrzebne im narzędzia naukowe, dziecko—przedmioty znane mu tylko ze słyszenia lub czytania, rodzice — szacowne wskazówki wychowawcze.

Oto są pierwsze kroki. Nie uważamy ich za łatwe i tanie, choć wobec perspektywy ogólnéj zmiany systemu niższéj i domowéj edukacyi, są one drobiazgami. To jedno jest pewne, że przy powszechnym, poważnym nastroju, nawet te małe ziarna, ruch w tak szczupłym zakresie wyda z czasem nieobliczone następstwa.

Już i dziś nie brak symptomów zwiastujących lepsze czasy, czego dowodem są wydawnictwa dla dzieci i młodzieży.

Z pomiędzy wielu z nich, oryginalnych, lub z obcego języka przyswojonych a godnych uznania, zwrócę uwagę na trzy następne. „*Pokój dziecinny*,“ podręcznik w duchu froeblowskim, ułożył Teofil Nowosielski. Książka ta jest szesnastém z rzędu dziełkiem z Biblioteki pedagogiczno-szkolnéj wydawanéj przez p. S. Arcta, księgarza w Lublinie. Obejmuje wzory i objaśnienia do prac dziecięcych (od trzech do sześciu lat), a mianowicie: układanie z patyczków, wyszywanie, wyplatanie, rysunek w kratkach, wykłuwanie, a nawet zabawa mokrym piaskiem. Każda z tych prac zaznajamia dziecko z kształtami bądź figur geometrycznych, bądź różnych dzieł natury i człowieka. Praca rozwija się stopniowo: od jednego do kilkunastu patyczków, od linii prostopadłych, pochyłych i równoległych do form bardzo złożonych.

Drobne te środki pozwalają dziecku odtwarzać mnóstwo postaci przedmiotów znanych, a rozsądnéj matce objaśniać ich użytek i sposób powstawania. Celem wskazania drogi właściwéj, p. Nowosielski opisuje, niektóre rośliny, zwierzęta, budowle i narzędzia prozą lub wierszykami, rzucając tu i owdzie jakieś praktyczne spostrzeżenie, lub zdanie moralne. Ze wskazówek tych dobra i ukształcona matka sama przedewszystkiém łatwo skorzysta i nieznacznie wzbogaci umysł dziecka własnemi zasobami wiedzy. Tym sposobem nauka splecie się z zabawą, pożyteczne z piękném, a w dziecku wśród zajęć drobiazgowych i przyjemnych rozwinie się samodzielność i pamięć zaostrzy.

Drugi rodzaj wesołéj nauki, stanowią również od niedawna upowszechniające się łamigłówki i loteryjki, między któremi geograficzną a nadewszystko zoologiczną (wszystkie nakładem Gebethnera i Wolfa) uważamy jako najszczęśliwiéj pomyślane. Podczas gry dziecko zaznajamia się z nazwami, postaciami, klasyfikacyą i użytecznością lub obyczajami zwierząt i roślin, albo też z formą części świata, krajów i położeniem rozmaitych miejscowości.

Trzecim faktem, który pomyślnie oddziałać może na umysłowy rozwój młodego pokolenia, jest reforma *Wędrowca*. Pismo to, po przejściu na własność dotychczasowego redaktora, p. F. Sulimierskiego, będzie uwzględniać obszerniéj kwestye z wychowaniem mające związek. Prócz odpowiednich artykułów, już obecnie pomieszcza ono tak zwane: „*pytania*“ z astronomii, fizyki, polityki, pedagogiki, geografii, matematyki i t. d. Na pytania te odpowiadają czytelnicy, a najlepsze i najtreściwsze odpowiedzi redakcya drukuje.

Wędrowiec jest nietylko jedyném u nas pismem podróżniczém, co jeszcze żadnéj nie stanowi zasługi, ale jedyném pismem, które zawiązało ścisłe i poważne stosunki z czytelnikami, które zmusza ich do myślenia i robi niejako swoim współpracownikami. Zasługi jego pod tym względem są tak oryginalne i ważne, że niepodobna odmówić im najszczerszych wyrazów uznania.

Wracając do książek i zabawek pedagogicznych, łatwo (za wyjątkiem wydawnictw p. S. Arcta) dostrzedz w nich brak systemu. Niejeden ojciec radby zaopatrzył się w tanią biblioteczkę dla dzieci, nie wié jednak, gdzie czego szukać i co wybiérać. Zabawki znowu ukazują się dopiéro na półkach księgarskich i nie przedstawiają jeszcze wszystkich gdzieindziéj znanych typów. Jedne więc i drugie oczekują na umiejętnego organizatora i wydawcę.

Istnieje w kraju pewna kategorya prerogatyw, o których nie wiemy, szkód i strat, których moglibyśmy uniknąć, teoretycznych swobód wreszcie, które dlatego tylko nie przeszły w dziedzinę praktyki, że ludność wiejska niezdolna jest działać gromadą, lub nie posiada rozumnego kierunku. Mamy na myśli bardzo liberalną Ustawę Gminną z r. 1864, która jednak nigdy nie była w całości wykonaną.

Gmina, jak wiadomo, ma pewne obowiązki i musi ponosić pewną część ciężarów państwowych; po za obrębem tego jednak posiada też potrzeby i interesa, dotyczące tylko jéj terytoryum i ludności takowe zamieszkującéj. Otóż, wszystkie tego rodzaju interesa i potrzeby, gmina, czyli posiadający w niéj głos obywatele mają prawo rozstrzygać i zaspakajać sami, w sposób jaki uznają za najodpowiedniejszy dla siebie.

Prerogatywy gminy obejmują przeszło ośmdziesiąt tytułów. Nie chcemy wyliczać wszystkich, lecz wskażemy najogólniejsze.

Do takich należą: utrzymanie i dozór szkółek, ochronek, instytucyj dobroczynnych i religijnych. Daléj, rozkład i egzekucya podatków, rozkład kosztów gminnych, wszelkie obowiązki policyjne jak: kontrola popisowych i urlopników, powinność końska, kontrola świadectw handlowych i przemysłowych. Jeszcze daléj: utrzymanie dróg i mostów wiejskich, rozdział składki na drogi gubernialne, kontrola nad ubezpieczeniem bydła od księgosuszu i ubezpieczanie ogniowe, a wreszcie obowiązek prowadzenia wszelkich gałęzi statystyki gminnéj.

Najwyższymi a wybieralnymi urzędnikami gminy są: wójt, sołtysi i nauczyciel, a wreszcie sąd. Ustawa jednak nadając osobom tym władzę wykonawczą, prawodawczą złożyła w ręce gromady. Ponieważ jednak gromada tak u nas, jak i wszędzie nie ma czasu,

ani do przygotowywania swoich wniosków i żądań, ani do pilnowania jakim sposobem i o ile takowe są wykonywane, ustawa więc upoważniła gminę do wybierania komisyi nadzorczéj, kontrolującéj czynności wójta i jego pomocników.

Zdaje się, że wobec tak jasnych wymagań prawa, życie gminy powinnoby się rozwijać wzorowo i że te atomy państwowe już po upływie kilkunastu lat mogłyby dojść do wysokiego stopnia samodzielności. Naprawdę jednak wszystko w gminie dzieje się nie najlepiéj, jéj mieszkańcy zaś nie nauczyli się rozumiéć prerogatyw swoich, a tém mniéj używając ich w celach ogólnéj pomyślności.

Pomimo tylu narad gromadzkich, które odbywają się od lat dwunastu, gdzie są wiejskie ochronki, szpitale i domy starców, jakie drogi i mosty, jakie zabezpieczenia przeciw ogniowi, jakie poszanowanie cudzéj własności? Kto kontroluje wójta, kto dozoruje szkoły i troszczy się o ich zakładanie, gdzie statystyczne daty, o ile jest sprawiedliwym rozkład ciężarów gminnych?

Prasa nasza, jakoś w Marcu i Kwietniu roku zeszłego gorliwie zajmowała się prawami gminy i owemi kontrolującemi komitetami, ale zdaje się, że bez wielkich następstw. Istotnie tu i owdzie (razem w trzech gminach!) ustanowiono, czy tylko chciano ustanowić te ciała zbiorowe, lecz o ile skutecznie? nie wiemy.

Trzeba jednak wyznać, że i ten miskropijny ruch, spowodowany zwykle przez nadużycia pisarzy, do ciekawych doprowadził odkryć. W gminie Godów naprzykład (powiat Nowo-Aleksandryjski), przekonano się, że składki zmniejszyć można o 2½ kop. z morga, gdzieśindziéj znowu obrachowano, że w każdéj gminie trwoni się od dwu do trzech tysięcy rubli rocznie, a jeszcze gdzieindziéj, że na zaprowadzenie ksiąg ludności wójt i pisarz zużytkowali setki rubli!.. Wnet jedna z gazet wyliczyła, że jeżeli gmina rocznie traci nie wiadomo na co 2.000—3.000 rs., to wciągu lat 12 stracić mogła od 24.000 do 36.000, cały zaś kraj, obejmujący przeszło 1300 gmin, mógł był uronić w tym przeciągu czasu od 31 do 47 milionów rubli.

Liczby te w zestawieniu z ubóstwem kraju są tak zbrodniczo wielkie, że nie śmiemy im wierzyć. Można jednak przypuszczać, że nadużycia działy się prawie w każdéj gminie i że cyfry wyrażające je znajdują się raczéj między milionami, aniżeli między tysiącami rubli.

Ten już jeden wzgląd, nawet w oczach nieoświeconego włościanina, wystarczyćby powinien do głosowania za utworzeniem komitetu kontrolującego, naturalnie z ludzi, którzy przynajmniéj cztery pierwsze działania arytmetyczne umieją. Każdy wieśniak wié lub domyśla się, że pisarz „kręci“, lecz choć przytém każdy pieniędzy na

najpożyteczniejsze cele wydawać nie lubi, mimo to komitetów nadzorczych, któreby wpłynęły na zmniejszenie wydatków, nie ma i od dwunastu lat prawo nie jest wykonane.

Fakt podobny najlepiéj świadczy o nienormalnych stosunkach kraju. W każdéj gminie mamy dwie siły: wójta i ławników z pisarzem, którzy opiérają się jeszcze o naczelnika powiatu i straż ziemską i gromadę, która ma za sobą całą potęgę prawa i według niego głos stanowczy. Ale w skład gromady wchodzi garstka inteligencyi i większość ciemna, niemająca pojęcia o swoich prawach; inteligencya posiada w swém gronie połowę indywiduów zniechęconych i obojętnych, a wreszcie, między obu klasami istnieje wzajemna nieufność. W podobnych warunkach społeczeństwo ludzkie schodzi na szczebel stada owiec, które nawet pisarz gminny zapędza gdzie chce.

Opłakany stan ten poprawić może tylko gorący udział światłych mieszkańców gminy, którzy przecięż najczęściéj zachowują się tak, jakby ich rzeczy podobne nie obchodziły, jakby nawet stracili czucie złego i dążność do lepszego. Rozumiem, że tylko wyjątkowi ludzie oburzać się mogą na niewypełnienie prawa, że tylko pewien procent ludzi ukształconych znajduje pobudkę do działań w idei ogólnego dobra, że wreszcie niektórzy, majętniejsi zwłaszcza obywatele ziemscy wolą z własnéj kieszeni dopłacić, aniżeli awanturować się z pisarzem o nadużycia. Aleź oprócz tych więcéj lub mniéj abstrakcyjnych względów istnieją realne. Każdy większy właściciel doświadcza niezliczonych przykrości od włościan i każdy rozumié, że szpilkowe te ukłucia usunąć się dadzą tylko pod warunkiem pozyskania moralnego wpływu na ciemnych sąsiadów. A na jakiéjże drodze cel podobny może się urzeczywistnić, jeżeli nie za pomocą wymiany usług. Skoro żądamy od włościan szacunku, zaufania, niewyrządzania krzywd, pilnujmyż zatém ich interesów, oszczędzajmy im zbytecznych wydatków. Zapewne, że pilnowanie „chłopskiego grosza“ jest rzeczą raczéj nudną, aniżeli wzniosłą, aleź z drobiazgiem tym łączy się mnóstwo interesów ważnych i naszych własnych.

Mimo tak silnych powodów, w ciągu upłynionego roku słyszeliśmy tylko o trzech gminach, które ustanowiły komitety nadzorcze i doszły do pewnych praktycznych rezultatów, chociaż podobno naczelnicy powiatów do wszystkich gmin rozesłali okólniki, przypominające prawo o wybieraniu ciał nadzorczych. Wpływ upomnień był pokazuje się żaden, co niektórzy składają na karb intryg pisarzy, lecz co właściwie przypisaćby należało oburzającéj obojętności strony inteligencyi wiejskiéj.

Aby wskazać jak piękne i obszerne pole do działań mogą mieć

tego rodzaju komitety w gminie, streścimy tu program zajęć komitetu gminy *Brudno*, napisany z wielką znajomością ustaw i potrzeb społecznych przez p. Józefa Supronowicza.

Oprócz dozoru nad funduszami i rachunkami, tudzież postępowaniem urzędników, komitet miał zamiar: dozorować szkółki, tworzyć biblioteczki, zaprowadzać straże ogniowe, zachęcać do asekuracyi od ognia, godzić zwaśnionych, opiekować się wypuszczanemi z więzień, urządzać ochrony, pomagać członkom gminy w nagłém nieszczęściu i zachęcać do odwoływania się do pomocy lekarskiéj w razie choroby. Prócz tego myślano wpływać na podniesienie rolnictwa i dobrobytu przez upowszechnianie nasion i narzędzi, urządzanie wystaw i odczytów, a wreszcie zachęcanie do porządku i czystości.

Od ogłoszenia tego projektu rok upływa, nic jednak nie wiemy o ile ogół obywateli ziemskich zwrócił na niego uwagę, ani nawet o ile urzeczywistnia się on w gminie wśród któréj powstał.

Dzienniki o sprawie téj umilkły, a czytelnicy ich sądzić mogą albo że z komitetami kontrolującemi wszystko dzieje się dobrze, albo że takowe wyszły już z mody.

Każda rzecz ma swój czas, najwymowniejsze głosy niełatwo zbudzą energią ogółu i nie stworzą poczucia obowiązków. I my więc nie nawołujemy do czynów, jak się to zwykle robi w podobnych wypadkach, a zawsze bezskutecznie. Notujemy tylko, że i w roku upłynionym dopuszczano się olbrzymiego zaniedbania i zapytujemy ciekawie: jak długo jeszcze tego rodzaju bezwładność paraliżować będzie zdrowy rozwój społeczny?

*Aleksander Głowacki.*

---

OMYŁKI DRUKU,
*dostrzeżone w zeszycie XII z roku 1877.*

Stron. 519 w. 4 w tytule zamiast *kolanach* powinno być *kolorach.*

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.

# W SPRAWIE WYDAWNICTWA JUBILEUSZOWEGO

# „WYBORU PISM”

# J. I. KRASZEWSKIEGO.

---

Uwzględniając życzenie ogółu, a zwłaszcza téj jego części, która posiada już wydanie lwowskie powieści Kraszewskiego, komitet, czuwający nad wydawnictwem jubileuszowém, po porozumieniu się ze czcigodnym autorem, poczynił pewne zmiany w wyborze dzieł, wejść mających do rzeczonego wydawnictwa.

Wybór ten rzeczywiście rozliczne przedstawiał trudności. Musiano najprzód wziąć na uwagę stronę techniczną i obliczyć ściśle, aby objętość prac wybranych odpowiedziała zakresowi 15-tu tomów. Powtóre, wobec wydania lwowskiego, które, bądź co bądź, rozeszło się w kilku tysiącach egzemplarzy, wypadało, dla saméj już pokupności zamierzonego wydawnictwa jubileuszowego, baczyć na to, aby do nowego wydania weszły ile możności pisma nieobjęte owém zbiorowém wydaniem lwowskiém. Nareszcie konieczność zmuszała do rachowania się z prawami firm księgarskich, które znaczną część nowszych zwłaszcza dzieł Kraszewskiego na czasową nabyły własność Do takich należą między innemi: *Brühl*, *Hrabina Kozel*, *Czasy wojny siedmioletniéj*, *Morituri*, *Resurrecturi*, *Ostatnie chwile księcia wojewody*, i t. p., oprócz całéj seryi wychodzących obecnie *Powieści historycznych* sędziwego autora; świéżo zaś nadeszła nawet protestacya znanéj firmy co do pomieszczenia *Witoloraudy*.

Łatwo zrozumiéć, że tyle sprzecznych względów i interesów niemały stanowiło szkopuł w swobodnym wyborze pism do wydawnictwa jubileuszowego. Komitetowi przeto nie pozostawało nic innego, jak godząc w miarę możności różnorodne wymagania, uczynić wybór *względnie najlepszy*. Ostatecznie więc, zamiast dzieł ogłoszonych już w pewnéj liczbie prospektów, do wydawnictwa jubileuszowego wejdą dzieła następujące:

> Rzym za Nerona.—Półdiable weneckie. — Dziś i lat temu trzysta.—Historya o Jonaszu Korczaku i pięknej cześnikównie.—Sfinks.—Dwa Światy.—Powieść bez tytułu.—Dola i niedola. — Czarna perełka.—Szaławiła.—Jasełka.—Chata za wsią. — Król i Bondarówna.—Pamiętnik Mroczka.—Starościna Bełzka.

Tym sposobem dwie tylko powieści, to jest: „Chata za wsią“ i „Dwa światy,“ powtórzone zostaną z wydania lwowskiego, inne zaś wymienione tu prace, piérwszorzędnéj także wartości, po większej

części są dziś wyczerpane, a wydrukowanie ich nanowo niczyich praw osobistych nie narusza.

Wkońcu komitet podaje do powszechnéj wiadomości, że wydawca, widząc obficie płynącą prenumeratę, a témsamém rachując na odbyt znakomitéj liczby egzemplarzy, uznał za możliwe cenę po 5o kop. za tom, czyli za całość 15-to tomową rs. 7 kop. 5o, oznaczyć nietylko dla prenumeratorów „Tygodnika Illustrowanego" i Biesiady Literackiéj," *ale dla ogółu całego, bez żadnego wyróżnienia.*

*Warszawa d. 14 grudnia 1877 r.*

*Członkowie Komitetu wydawniczego:*

*Feliks Fryze, Konstanty Górski, Józef Hiż, Ks. Adam Jakubowski, Ludwik Jenike, Ludwik Kolnarski, Wincenty Korotyński, Edward Leo, Stanisław Lesznowski, Władysław Maleszewski, Antoni Nagórny, Maurycy Orgelbrand, Adam Plug, Stanisław M. Rzętkowski, Zygmunt Sarnecki, Gustaw Sennewald, Ludwik Spiess, Filip Sulimierski, Wacław Szymanowski, Gracyan Unger, Julian Wieniawski, Robert Wolff, Kaźmirz Zalewski.*

---

# OGŁOSZENIE PRZEDPŁATY.

Tom I. **Kodeksu dyplomatycznego Wielkopolski**, wydawanego staraniem Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego a nakładem właściciela Biblioteki kórnickiéj, wyjdzie z druku w miesiącu Grudniu rb. Całe to dzieło ma się składać z 4 tomów, z których 3 pierwsze zawierać będą w chronologiczném następstwie dokumenta, tyczące się Wielkopolski aż do r. 1400, tom IV zaś obejmie regestr, poczet 64 pieczęci chromolitografowanych i mapę Wielkopolski z epoki piastowskiéj.

Pragnąc Kodeks jak najszerszym kołom naszego społeczeństwa uczynić przystępnym, ogłaszamy niniejszém przedpłatę na tom I, zawierający w 616 numerach dokumenta z lat 984—1287, a co do objętości arkuszy druku blizko 80 formatu leksykonowego (po 8 str.).

Przedpłatę tę, wynoszącą

**8 marek**

przyjmuje od dzisiaj do dnia 15 stycznia 1878 r. Zarząd Biblioteki kórnickiéj (Dr. Celichowski w Kórniku), jako téż drukarnia Dr. W. Łebińskiego w Poznaniu, Plac Wilhelmowski Nr. 17, która zarazem zajmie się rozesłaniem zamówionych egzemplarzy zaraz po ukończeniu druku.

Po upływie terminu przedpłaty cena w handlu księgarskim podwyższoną zostanie do 12 marek.

Kórnik, 15 Listopada 1877.

**Zarząd biblioteki Kórnickiéj.**

---

# KRASICKI.

## ŻYCIE I DZIEŁA.

### KARTKA Z DZIEJÓW LITERATURY.

PRZEZ

**J. I. Kraszewskiego.**

A cnéj pisania sztuki z dowcipem i gustem,
Tyś pierwsze dał przykłady pod naszym Augustem.

*Trembecki.* Gość w Heilsbergu.

Wśród dość licznego szeregu pastelowych wizerunków znakomitości dworu Stanisława Augusta, któremi Marteau unieśmiertelnił gości obiadów czwartkowych, zwraca uwagę piękna twarz, wypogodzona, lekko uśmiechnięta, z oczyma iskrzącemi dowcipem, rysów regularnych i arystokratycznych. Suknia, krzyż na łańcuchu u piersi zwieszony, każą nam wierzyć, że to jest wysoki dostojnik w hierarchii kościoła, twarz się niemal wyrazem swym z powagą ubioru kłóci. Stworzoną się być zdaje do wytwornego stroju XVIII wieku, do szytych fraków i koronkowych mankietów, do igrania słowy brylantowemi przy toaletach pięknych pań. Lecz jest w niéj zarazem jakaś poważna, spokojna rezygnacya potomka wielkiego rodu, który wszędzie się na miejscu czuje i z każdém położeniem pogodzić umié.

Ten bystro patrzący duchowny, przy którego oblicza blasku gasną pospolitsze otaczające go twarze, to pisarz co czas swój uosa-

bia, co przoduje epoce, co ją, mimowoli, w tém co ona najlepszego miała, wyraża, to książę Biskup Warmiński, Ignacy hr. Krasicki.

Wyjąwszy jednego króla, wszyscy współbiesiadnicy ks. Biskupa zdają się pochodzić i istotnie wyszli z innéj towarzyskiéj sfery, krwią i duchem do innego świata należą, są tu gośćmi, Krasicki na królewskich pokojach jest w domu. Tu jego miejsce.

W Trembeckim wyżytym, skwaszonym, chmurnym, którego twarz nie obudza współczucia, a rysy wyrażają energią wyczerpaną, zmienioną w tetryczność dworaczą, widać człowieka co żyć nie umiał a życie nad wszystko przenosił, czuć w nim szambelana co przyrósł do jarzma dworskiego dla jego wygódek i, dotrwawszy wiernym karmicielowi do ostatniéj godziny, poszedł potém do największego nieprzyjaciela królewskiego szukać ciepłego kąta i schronienia okupionego bodaj poematem.

W Naruszewiczu widać leśną naturę litwina, co na żubra leśnego z oszczepem stanąć gotów z równą odwagą, jak z piórem na zagmatwane dzieje, dzielną krew nieostudzoną fioletami, zburzoną naciskiem sukni za ciasnéj, jest w nim cóś wykapturzonego mnicha. W Węgierskim widać francuza XVIII w., sceptyka co przestawszy wierzyć chciałby się śmiać a nudzi się i gniéwa, chwali cynizmem i pobrzękuje cnotą, a dla zwrócenia oczu do krwi szczypie i kąsa. Samolub to, dla którego poezya schodkami do znaczenia i dostatku.

Poczciwa zasępiona, rozlana twarz Bohomolca nie mówi wiele, choć nie jest pozbawioną wyrazu. W Karpińskim domyślamy się biednéj ofiary, co z duszą wrażliwą wpadła w świat, po którego ślizkim gruncie chodzić nie umiała i wyjść z niego musiała prędko w głuchą lasów ciszę, nie wiedząc co zrobić z życiem. Śpiew jego tęskny, jak krzyk czajki, wiecznym żalem przejęty się rozlega. Kniaźnin, poeta namiętniejszy niż jego pieśni, zafrasowany, zda się sobą, zrzucił i on kaptur mniszy, a w sukni nowéj chodzi jak w płonącéj szacie. W Zabłockim znać dowcipnego człowieka, który własném słowem karmi się i jest sytym. Piramowicz, spokojny pedagog i proboszcz, nie patrzy wyżéj nad granice powszedniego obowiązku, cicha i szczęśliwa natura człowieka do plebanii stworzonego.

Na wszystkich niemal tych czołach myśl jest jakby w walce z sobą; nie wié jak z pod nich wynijść, jak się ubrać, czém wypowiedziéć, skryć czy objawić, okazać całą czy cząstkową;—u jednego Krasickiego zupełna panuje zgoda wewnętrznéj myśli ze słowem, które ją w świat poniesie. Znać to na obliczu gładkiém i uspokojoném, wesołém i pewném siebie.

Z twarzy okalających odgadywać można, że prawie każdy z tych ludzi skończy gdzieś rozbitkiem, narzekaniem, zawodem, nie potrafiwszy życiu stérować i pragnień pogodzić z siłą. Siły zużyć w sferze dla niéj dostępnéj. Trembecki zemrze w brudnéj izbie oficyny Tulczynieckiego pałacu na łasce magnata, chowając wróble, a zapomniawszy własnych pieśni; Karpiński—na nudném wygnaniu w białowieżskiéj puszczy; Węgierski, zwiędły przed czasem,—na spaloném Marsylskiém wybrzeżu; Kniaźnin—w obłąkaniu miłosném; Naruszewicz—zdziczały z grabiami na Sianożęciach Janowskich. W Krasickiego twarzy czytasz, że potrafi wśród najcięższych czasów wyjść cało, czysto i nie straciwszy na szacunku, zyskując na sławie, nie poślubiając namiętności, godząc się zawsze z nieuniknionėm—wesoło dogadzając fantazyom serca, ducha i pańskiego obyczaju. Zna on swe posłannictwo, wié co mu powierzoném było, pomija wszystko coby mu przeszkodzić mogło do spełnienia go — idzie do celu z pewném lekceważeniem tego co ludzie powiedzą. Potrzebuje wczasu i ciszy, okupuje ją odosobnieniem. Mógłżeby tyle uczynić, wypowiedziéć tyle, gdyby sobie nie usłał na uboczu wygodnego gniazda? Twarz ta mówi, że go nie uniesie ani namiętność gwałtowna, ani złamie wielkie cierpienie, że potrafi być panem siebie, zastosować się do warunków, które mu niepokonana siła czasu narzuci, i dokona dzieła poczętego bajkami i Monitorem w 1776 roku,—prymasowskiém ,,Co tydzień" 1798 roku.

Tego mało zblizka, a szeroko i rozgłośnie z dzieł znanego człowieka, chcemy dać poznać bliżéj jako człowieka, jako postać wybitną téj epoki, jako moralistę i pisarza.

Nie nadaremnie przyznano mu, że był najznakomitszym przedstawicielem swojego czasu; był nim z wielu i ze wszystkich względów, jako człowiek, jako duchowny, jako pisarz nadewszystko. Jako Biskup koronował obrazy, bierzmował tysiące w dniu jednym, był chrześcianinem, ale nie wzdragał się przyjaźnić z człowiekiem co suknią duchowną zrzucił a wziął żonę, napisał Monachomachyą i szydził z zawiłych sporów teologicznych; jako człowiek był najlepszym bratem, najserdeczniejszym rodziny opiekunem, najprzyjemniejszym współbiesiadnikiem, najmilszym gospodarzem domu, najdowcipniejszym gościem w salonach.

Jako pisarz z niezmiernym taktem, z wielką miarą rozbijał co obalać było potrzeba, co zachowania godném osłaniał troskliwie, językowi przywrócił choć część życia i blasku, które mu poprzednie pokolenia wydarły.

Instynkt ogółu, *vox Dei*, nie myli się nigdy. Krytyka może słabe wykazać strony; czas smak i pojęcia odmienia; lecz siła, jaką

pisarz na współczesnych działał, świadczy o sobie że istniała. Tak samo dziwimy się prostym narzędziom z jakiemi Egypt kuł olbrzymie obeliski. Tę siłę potężną co działa na masy miał Krasicki, i dlatego wśród licznego zastępu współczesnych mu pracowników, on głównie zwraca na siebie oczy.

Po długich wiekach, w których nie mieliśmy żadnego popularnego pisarza, którego głosu słuchałyby chciwie tłumy, on był u nas pierwszym, ukochanym i uznanym. Przy nim inni nikną i maleją.

---

Ze wszystkich okrésów piśmiennictwa naszego, nie ma na pozór żadnego, którybyśmy lepiéj znali i jaśniéj widzieli nad epokę Stanisławowską.

Mówię, na pozór, gdyż, jak cała historya literatury, była ona dotąd powierzchownie ujętą, pozostała głębiéj niebadana, jako moment dziejowy nierozjaśnioną. Oznaczono fakty, postawiono słupy, rozmierzono miejsca, które zajmują gruzy i pozostałości zrzucone na nich, wszystko to czeka badacza i archeologa.

Przyczyną tego zaniedbania, niedostateczności studyów, jest w ogóle niejasne pojęcie zadania, jakie ma przed sobą wszelka historya literatury.

Chociaż powszechnie przyjęto wszędzie, na określenie dziejów ducha ludzkiego nazwę historyi literatury, która jest działalności tego ducha najostateczniejszym i najwybitniejszym wyrazem — właśnie może w téj definicyi leży powód, dla którego ściśle się jéj trzymając, pisarze pracujący nad tym przedmiotem nie wyszli po za ciasne szranki krytyki ułamkowéj i sprawozdań bibliograficznych.

Odziedziczyliśmy nazwanie literatury i jéj dziejów po wiekach, które w mniéj więcéj systematyczném wydzielaniu szukały ułatwienia dla pracy około historyi.

Jako metoda przygotowawcza to wydzielanie dogodném było, ale dziś, czas wielki wejrzéć w to, że literatura życia oddzielnego nie ma i oddzielnéj téż historyi miéć nie może.

Jest ona w nierozerwanym związku z całym żywotem narodu, idzie z nim w parze, odbija go wiernie i tłómaczy się fenomenami częstokroć po za obrębem właściwéj literatury leżącemi.

Literatura jest tylko częścią życia duchowego narodu, jednym ze zjawisk jego, ale nie jedynym. Po za tém, co jest pisane i spisane, leży to, co równém prawem do historyi ducha należy, co myślaném, mówioném i działaném było z ducha.

Do dziejów nietylko te zaschłe kwiaty piśmiennictwa należą, ale i to z czego one rosły i żyły. Poznanie kwiatów bez znajomości gruntu, tła i otoczenia, atmosfery w któréj żyły, jest wprost niemożliwém. Stworzyć można zielnik zeschłych prób i zblakłych, ułamkowych życia egzemplarzy, ale one zestawione razem pełnego obrazu życia nie dadzą.

Z tych zasad wychodząc, choćby ogólny chcąc skréślić obraz odradzającéj się literatury przez jednego z głównych jéj przedstawicieli, sięgnąć musimy najprzód stanu społeczeństwa, którego ona była wyrazem....

---

Chociaż zadaniem historyczném Polski zdaje się być zlanie w niéj dwu światów i dwu wpływów zachodu i wschodu, a przejednanie ich z sobą, choć widoczne są ślady, iż pojmowano to posłannictwo i usiłowano je spełnić w różnych życia sferach — niemniéj wpływ zachodu od początku dziejów naszych przemaga.

Ze krwi słowian pochodząc, których przeważna część uległa wschodniemu wpływowi i nie dopuściła do siebie szybciéj rozwijającéj się cywilizacyi zachodniéj, Polska należy od X-go wieku do grupy narodów zostającéj pod wpływem kultury latyńskiéj. Jéj ona winna całe swe rozwinięcie się, wszystkie światło i ukształtowanie się społeczne. Ani się godzi żadnemu narodowi wyrzucać tego, że z ogólnéj skarbnicy ludzkiéj czerpał, pokarm ten na własną krew przerabiając i soki.

Resztkami cywilizacyi Grecyi i Rzymu zasililo się i na nich wszczepiło, przyswajając je sobie chrześciaństwo. Ci co najbliżéj byli źródła czerpali zeń najobficiéj, od nich brali z drugiéj ręki ci co sami doń sięgnąć nie mogli. W średnich wiekach najprzód cała Europa chrześciańska miała jednę wspólną literaturę. Różnice narodowości odbijały się może w sposobie obrobienia materyału, nawet w skażeniu powszechnie używanego łacińskiego języka—ale literatura była jedną dla wszystkich. Z klasztorów Irlandyi, Anglii, Francyi, Włoch, Niemiec, Szwajcaryi rozpływały się po Europie poemata, rozprawy, pieśni i traktaty i rozchodziły po świecie całym, zostającym pod wpływem cywilizacyi latyńskiéj. Kościół był tą wielką spójnią żywota duchowego, która w swém łonie łączyła wszystkie narody. Jedyną szkołą była naówczas szkoła biskupia i kościelna, jedynym nauczycielem—duchowieństwo. Można też powiedzieć, że długo w zaciszu klasztorném całe się życie duchowe skupiało.

Drugim jego żywiołem było to, co narody same zachowały ze swych prastarych podań, co o własnéj sile wyrobiły z nich przed

przyjęciem chrześciaństwa. Jak w pierwszém tak w drugiém z tych ognisk łączyły się religijne pojęcia, nierozdzielne od innych objawów ducha, których dźwignią były. — Podaniami religijnemi przesiąkły: pieśń, powieść, przysłowie, zagadka.

Chrześciaństwo, jak wszędzie tak i u nas, chcąc odrodzić i nawracać, nie mogło zużytkować żywiołu dawnego, chyba w części bardzo skromnéj — musiało z nim walczyć, tępić i zaciérać.

Zadaniem jego było zniszczyć co stworzyły narody same przez się, a dać w miejscu téj spuścizny wieków jednę naukę wspólną, mającą świat cały uczynić jakby jedną rodziną Chrystusową.

Dwa prądy, z których jeden potajemnie przebiega najniższe warstwy i ścieka podziemnemi szpary, drugi bieżący górą, nie łączyły się prawie z sobą. Kościół w ostateczności Światowida przerabiał na Świętego Wita, święta pogańskie chrzcił imiony chrześciańskiemi, zatykał krzyże, gdzie stały bałwany, a obrzędom nadawał nowy charakter i znaczenie.

Oświata szła bardzo powoli, a zadaniem jéj w średnich wiekach nie było wcale rozlewać się na masy. Duchowieństwo wyznaczone było do kierowania duchowym rozwojem społeczności, i w jego rękach szafarstwo światła zostać miało. Dzielić się niém ani chciało ni widziało potrzeby. Kto przejrzał jaśniéj, ten suknią mniszą wdziewał i społeczeństwa, z którego wyszedł, się wyrzekał.

Jak w Rzymie koncentrowała się władza duchowna, tak w podległéj mu milicyi Chrystusowéj, zlewało się światło świata. Szkoły przez czas bardzo długi widzimy wyłącznie dla stanu duchownego przeznaczone, o ludowych nie ma mowy: lub w nich wydziela się szczupło co koniecznem jest dla posługi kościoła. Masom starczy żywe słowo.

Pomimo tak ścisłéj kontroli nad światłem, te same klasztory i szkoły, które służyły kościołowi, pierwsze są nasiennikami herezyi i reform. Od XIII w. lub wcześniéj jeszcze w pisemkach klasztornych widzimy zarody krytyki, zamachy na władzę, karność i dogmata kościoła, różnice zdań, dzielenie się ogółu na grupy i odcienia. Ruch ten zawcześnie rozbudzony szerzy się powoli i, jak wszelka fermentacya nowego życia, tworzy zawiązki.

W Polsce, któréj pierwsi nauczyciele, duchowieństwo przychodziło z Czech, z Niemiec, Włoch i Francyi, stosunki z zachodem były tak nieprzerwane, iż się tu odbija każde drgnięcie, jakie wstrząsło Europą zachodnią. Nie pozostaje ona nigdy, aż do XVII wieku, obcą wpływom i nieczułą na nie; ulega im do zbytku, ale przez to łączy się jak najściśléj z życiem narodów cywilizowanych; odbija

je najwierniéj w sobie, dając mu tylko często pewien właściwy wyraz swój, domowy.

O literaturze polskiéj własnéj aż do XVI w. mowy nie ma, jeśli jéj tylko na papiérze szukać będziemy. Język się kształci i przerabia pod wpływem łaciny na przekładach pisma świętego i pisarzy łacińskich, zawczasu też do religijnych obrzędów będąc używanym. Lud, pomimo surowych zakazów, zachowuje swe tradycyjne pieśni, swe baśnie rodzime, zagadki odwieczne, przysłowia prastare. Pierwiastek ten zepchnięty, odcięty, osaczony, opadły na dno, w mrokach spoczywa, ale się zachowuje, przetrawia w sobie, zdzicza nie mogąc rosnąć. Warunków życia mu brak, powietrza, światła, jawności, rozgłosu, uznania—wszystko to mianuje się jako nacechowane barbarzyństwem i zakazane.

Wyższe życie wyraża się powszechnym językiem świata—łaciną. Łacinę tę polską zabarwia czasem żywioł rodzimy, lecz zmuszona się z nim stykać stara się zetrzéć jego ślady. Z łaciną, jako narzędziem jedyném do wyspowiadania się z wyższych myśli, dochodzimy do początku XVI w.

Chwila, w której długo gromadzące się idee reformy religijnéj miały do nowego życia powołać narody, dla całéj Europy i dla nas nadchodzi jednocześnie.

Umysły są wszędzie zarówno przygotowane, rola uprawna jednako—rzucone nasiona wschodzą. Tłómaczono zawczasu pieśni o Wiklefie po polsku, tak samo w XVI w. zrodzony w Niemczech prąd reformatorski, u nas natychmiast odbił się i przebiegł umysły.

Że w pierwszéj chwili nikt nie myślał zrywać i oddzielać się od powszechnego kościoła, a wszyscy pragnęli tylko jego poprawy, któréj granic i zadania nikt ściśle określić nie umiał—nie ulega wątpliwości. Kościół rzymski, nie mogąc czy niechcąc czynić ustępstw, zmusił reformatorów do stworzenia osobnego społeczeństwa kacerskiego. Jedność kościoła powszechnego, już rozdziałem wschodniego nadwerężona, przez reformę silniéj jeszcze została dotkniętą. Reforma mimowolnie stała się przyczyną emancypacyi i równouprawnienia języków, zerwania z łaciną jak zerwano z Rzymem. Centralizacya w stolicy świata miejsca ustąpiła rozdzieleniu narodów i piśmiennictw. Z językami, które z łaciną wystąpiły do walki, wchodził żywioł nowy, narzędzia myślenia, mające ideom nieznane trzebić drogi.

Wszystko, co języki te dochowały w sobie, co z sobą z przeszłości niesie słowo, co zawiéra pieśń, zwolna poczęło przyswajać się piśmiennictwu i dorabiać samopoznania. Co było dotąd zdręt-

wiałém, jakby nie żywém, w skarbcu zakopaném, wyszło na światło dzienne.

Z jednéj ogólnéj literatury europejskiéj, poczęły się tworzyć liczne narodowe, odrębne, każda nacechowana krwią własną.

Znane są dzieje tego cudownego rozkwitu polskiego języka i piśmiennictwa, któremu przodują Rej i Kochanowski, pierwszy z mową całą z żywego życia ujętą, drugi z klasyczném ukształceniem ogładzoną.

Kochanowskiemu należy najwyższa cześć za to, że doskonale pisząc po łacinie i mogąc zarobić na europejską sławę, czuł się w obowiązku śpiéwać domowi i ludowi własnemu „słowieńskim muzom.“

Rodzi się pod jego piórem język, jak Minerwa z głowy Jowisza wychodząc zbrojnym od stóp do głowy, zdolnym wyrazić wszystko, wspaniałym, poważnym, świetnym, dźwięcznym, klasycznie pięknych rysów oblicza.

Nie potrzebuje się on już mozolnie dorabiać przyszłości—cały jest skończony, pełny. Poeta genialném dotknięciem nadaje mu od razu to, co innym zwolna przynosiły wieki, mozolnie je kształtując do potrzeb i pojęć swoich. Współcześni Kochanowskiemu poeci francuscy, nierównie daléj językiem swym stoją od dzisiejszych, niż my od Kochanowskiego.

Język, otrzymawszy prawo obywatelstwa, używa go i staje do walki z łaciną. Niełacno jednak sprostać powadze nauczyciela i srebrnéj jego siwiźnie.

Polska zamiast jednéj ma razem dwie literatury, nie licząc mieszańca, który się z nich zrodził, już w wierszu makaronicznym Kochanowskiego wyśmianego. Spotęgowują się siły żywotne, bo język każdy niewidomie przynosi je z sobą. Każdy przesiąkły jest myślami, które tylko w nim mogły urosnąć, któremi nabrzękł gdy jeszcze pełzał po ziemi.

Świetny okrés literatury polskiéj zaczyna się z wiekiem XVI, trwa do pierwszéj ćwierci XVII w.

Łacina, wyrugowana chwilowo, usiłuje odzyskać swe prawa, zapanowuje znowu, razem z nowym systemem wychowania i szkołami, które kościół broniący się reformie zaprowadza, milicyą Lojoli rozsyłając po świecie.

Od średnich wieków do téj epoki walki i zgniecenia u nas reformy, światło się rozszerzyło, raczéj naturą swą, drogi mimowolnemi, niż wolą tych co je w ręku mieli. Szkoła już nie służy dla samych duchownych, ale i dla rycerstwa, dla szlachty idącéj posłusznie pod sztandarami kościoła. Od w. XVI, szlachta u nas w ogóle

umié już pisać i czytać, oświéca się więcéj praktycznie, lecz oświatę pojmuje nie celem dla siebie saméj, ale środkiem pomocniczym do różnych wiodącym pożytków.

Dla ludu szkoła jest jeszcze albo zamkniętą lub wielce ograniczoną. Nie mając samoistnego życia lud, wedle pojęć ówczesnych, światła nie potrzebuje, inni go prowadzą. Oświeconemi klasami narodu są wyższe duchowieństwo, magnaci i zamożniejsza szlachta. Światło udzielane spływa na pewne sfery tylko; krzewi się poznaniem rzymskiego świata starożytnych, praw, instytucyi, kościelnéj literatury popularnéj, trochą poezyi łacińskiéj i polskiéj. Nauki przyrodzone, matematyka są albo zaniedbane i pominięte, lub ograniczają się zastarzałemi pojęciami, powtarzanemi bez krytyki. Bazyliszek istnieje do końca XVIII w.

Uprawa nauk filozoficznych, zamknięta w ściśle oznaczonych orthodoksią granicach, nie mogła rozwijać się swobodnie. Reforma na chwilę rozkiełznała ducha, tak że u nas posunięto się do krańcowéj krytyki i doktryn takich jak anabaptystów i antytrinitaryuszów; ale już w XVII w. wielki ten ruch umysłowy stłumiony został i sparaliżowany. Tak zwani „bracia polscy“ do Czech, do Holandyi wynieśli swą naukę i księgi.

Pewna suma wiedzy jednak, przez wieki sącząc się zwolna z góry na dół, przeniknęła aż do warstw najniższych. Cywilizacya ta co się obcowaniem szczepi, światło co się z żywem rozchodzi słowem, rozlały się u nas szeroko. Duchowieństwo było liczne, żyło ono ciągle w najściślejszym stosunku ze społecznością i mimowoli dzieliło się tém co miało. Rodziły się z tych kradzionych promyków i fałszywe idee, lecz pobudzały do myślenia, siały ziarno.

Szlachta niemal cała oświecała się raczéj życia praktyką, niż nauką szkolną. Pisano źle, niepoprawnie, a z kobiét mało która pisać umiała, lecz pojęć i wiadomości w obiegu było bardzo wiele, a dwory szlacheckie, przy swéj oryginalności i formach dziwnych, nie mogły się nazywać zbyt zacofanemi, gdy je porównamy ze współczesnemi w Niemczech i Francyi.

Rozwinięciu się bujniejszemu języka i literatury narodowéj, brakło głównie ogniska, dworu królów jak we Francyi. Począwszy od Walezyusza i Batorego, królowie w większéj części byli cudzoziemcy, językiem dworu była łacina lub obce, w stolicy też panowali cudzoziemcy, a ukochaliśmy ich do zbytku, słuchali nadto, korzyli się im z pokorą przesadzoną.

Za Zygmuntów, obok powagi łaciny łączącéj z Europą, polski język panował, dwór przeważnie z Polaków się składał, myślano i mówiono po swojemu, za Batorego musiano się posługiwać łaciną,

na dworze Zygmunta III krzewiła się niemczyzna, Władysław IV miał słabość do niéj a Kaźmierz otaczał się cudzoziemcami. Za Wazów, kancelarya była łacińska, teatr włoski, rozmowa często niemiecka, czasem francuska, polski język ledwie z ambony się dał słyszéć.

Dwory panów kształtowały się na wzór królewskich. Język téż wprędce psuć się zaczął i koszlawić, szpikowano go łaciną, wyręczając się nią, popisując z umiejętnością jéj ze szkół wyniesioną.

Same dzieje narodu otwartego najazdom, zajętego wojnami, mieniającego stolice, a najczęściéj w obozie je mieścić zmuszonego, tłómaczą stan piśmiennictwa, które się tylko czasu pokoju i bezpieczeństwa rozwijać może dzielniéj, nie było spoczynku nigdzie i częściéj płacz się niż śpiew rozlegał.

W zapasach z nieprzyjaciółmi wyrosło owo rycerstwo, szlachta, które sądzić potrzeba jako żołnierzy z pobłażaniem. Psuły je i uczyły próżniactwa obozy, ciągnienia, stacye, życie nieregularne, które ziemianina w ruchu, w zwadzie trzymało, spocząć mu nie dając. Nawykłszy do téj walki, gdy się rąbać nie mógł, szlachcic się procesował, aby wojnę prowadzić.

Od Wazów, obcych nam, choć przyswojonych, idziemy tak kolejami dla kraju coraz smutniejszemi aż do Sasów.

Nie obwiniajmy instytucyj, choć i w nich tkwi wiele przyczyn upadku, daleko silniejszą ruiny dźwignią było obyczajów zepsucie, które wypłynęło z samego życia rodzaju. Wojna i obóz były stanem normalnym, nikt bezkarnie nie odrywa się od domu i rodziny, nie może wytrwać długo w tym ukropie, który się szkołą rycerską nazywa. *Poczobut, autor świéżo wydanego pamiętnika*, w siedmnastym roku idzie do wojska, cały żywot mu upływa pomiędzy wioską a obozem, na służbie targającéj nim, która rodzi potém niepokój o mienie i prywatę.

Bić się i procesować umié tylko szlachcic. Wołają go na potrzebę nieustannie, powraca z niéj bronić własnego zagonu i zajazdy sąsiadów odbijać. W tym stanie szlacheckim skupia się całe życie narodowe, on nadaje charakter całości.

Rycerstwo to, butne a bujne, jest wszędzie sobą, na Sejmiku, na sejmie, na naradach, w domu. Gorączka go trawi nieustanna, dom niepokoi, ratuje się jak może.

W tak ciągle zagrożonym kraju, gdzie i władza królewska ulegać musiała tym, którymi się posługiwała, co dziwnego że każdy myślał o sobie, pragnął się zabezpieczyć. Instynkt zachowawczy zrodził prywatę, do poczwarnych potém rozrosłą rozmiarów. Nikł z oczów interes ogółu, zapomniano o owém porównaniu Skargi—pań-

stwa do okrętu, każdy myślał o własnych manatkach. Zakrólowała prywata już za Sobieskiego, nią wszystko zjedzone jak rdzą zostało, pod jéj naciskiem pękły instytucye.

Historycy zwykli, nie bez przyczyny, zapewne, szczególną zwracać uwagę na instytucye, prawa, organizacyą społeczeństwa i formy jego martwe; mniéj na obyczaj i usposobienia, które jednak instytucye wypaczają, wynaturzają je, burzą lub podgryzają nieznacznie. W Polsce z temi samemi instytucyami, pod innemi wpływy, z ludźmi innymi, cale różnieby się działo.

Wyszpocano prawa dla prywaty, nadawano im znaczenie fałszywe, martwém zostawiano w nich co zawadzało, inne artykuły naciągano gwałtownie, aby z nich korzystać.

Idea swobody, najfałszywiéj pojęta, królowała ponad wszystkiém. Pojmowano ją tak ciasno, że jéj chciano jako przywileju dla jednéj klassy, a tak szeroko z drugiéj strony, że niczém ograniczyć jéj nie dopuszczano. Swoboda wybujała w samowolę a kończyła się prawem silniejszego, który dokazywał co chciał.

Stan ten społeczny odbijał się w literaturze. Na uprawę jéj nikt nie miał czasu i swobody oprócz duchowieństwa, które, karmiąc się na łacinie a żyjąc z panów i szlachty, im panegiryki pisało. Szlachcic potrzebował wymowy tylko na Sejmiku, na godach, w obozie, przy kielichu, w palestrze a więc się Retoryki uczył przedewszystkiém, statutów i prawa, które z praktyki i rozmowy studyował. Prejudykaty zastępowały samo prawo. Literaturą szlachecką była Swada, głos w sądzie, domowa pieśń pobożna jéjmości, obozowa śpiewka swawolna, którą czasem w tańcu podchmielony i przy niewiastach zanucił.

Osamotnione w domu żony czytały książki pobożne, śpiewały pieśni najczęściéj także kantyczkowe, na folwarku tylko rozlegała się stara wieśniacza.

W księgę pamiątek, Silva rerum, wpisywano akta publiczne, listy uszczypliwe panów Senatorów, mowy zręczne sławnych oratorów, rzadko wierszyk jaki lub złośliwe epigramma. Na rozkoszowanie się dłuższemi utworami nie było ni czasu, ni myśli wolnéj.

Poeci, garstka maluczka, albo opiewali czyny wojenne lub świętych żywoty, niekiedy ból natchnął satyrą, naśladownictwo starożytnych sielanką z niebywałego świata. Pod wiecznym strachem najazdu i burzy cóż więcéj zrodzić się mogło?

---

Z tém dochodzimy do panowania dwu sasów, Augusta drugiego i trzeciego. Wszystko złe, które dotąd nieśmiało kiełkowało, teraz się pod wpływem wypadków bujno rozrasta. Są to królowie dla siebie nie dla narodu, którym wcale nie idzie o losy kraju, ale o wyzyskanie go we własnych widokach. Nie mówiąc o wpływie ich na polityczne znaczenie Rzeczypospolitéj, stosunki jéj i potęgę; samę społeczność polską już nadpsutą dwa te panowania przetworzyły ostatecznie, popychając ją do rozkładu, do rozstroju, do wewnętrznego samożarcia.

Rzeczpospolitę tworzyły długie wieki, wpływy zachodu i wschodu, które się tu zbiegały, walczyły i w części jednały. Społeczeństwo nie było jednolite. Między Litwą, Rusią, Wielkopolską, Ukrainą, Mazowszem i Krakowskiém zachodziły wielkie różnice charakteru i fiziognomii. Życie ziemianina—żołnierza, miast, stolic, zamków pańskich, dworu królów, składały żywioły różne, z których pod działaniem sejmów, obozów, kół i zjazdów zwolna się coś jednolitego wytwarzało. To zjednoczenie Sasi znaleźli już o tyle dokonaném o ile się ono spełnić mogło. Duchowieństwo, wyjąwszy ruskie, wszędzie było jedno, panowie nieco kosmopolici podobni byli do siebie, szlachta, z małemi odcieniami miejscowości, na jedno się wyrobiła kopyto. Wspólne życie jedne wady, o których mówiliśmy, zrodziło. Prywata już za Sobieskiego o niczém myśleć nie dawała oprócz krescytywy dla siebie i dla rodziny. Na to usposobienie ogólne do ciągnienia korzyści samolubnych ze wszystkiego dla siebie, przyszli Sasi. Tym szło tylko o własną sprawę; gotowych do sprzedania się znaleźli, a kupując ich do reszty upodlili.

Zepsuta społeczność popsutą żywiła się literaturą, w któréj się odbija co ją kalało. Z ostatnich lat panowania Sasów mamy już tylko pamflety, panegiryki, na obrzydliwéj bibule szkaradne druki, których zewnętrzna szata ubóstwu myśli odpowiada.

Gdzie się życie skupiało całe?

Było ono czynem nie słowem, a czyn polegał na salwowaniu siebie i rodziny, zużytkowaniu instytucyi i konjunktur dla siebie. Rwał każdy w swą stronę i chwytał co było można. Cośmy mówili o braku ogniska dla literatury, za Sasów jeszcze ściślejsze znajduje zastosowanie. Miasta uniwersyteckie ogniskami temi nie były. Tu średniowieczna, sztywna, martwa nauk forma panowała, na któréj kwitł panegiryk niesmaczny. Piśmiennictwo tego czasu fotograficznie odźwierciedla stan ducha. W Wilnie, Krakowie, Zamościu wychodzą teologiczne dzieła, najczęściéj przedruki, kalendarze z prognostykami, pochwalne hymny na cześć magnatów, protektorów i dobroczyńców.

Łacina znowu idzie górą a staje się coraz straszniejszą, już nie kuchenna, ale ze śmiecisk zda się zbiérana. Po Kochanowskich, Janickich, Sarbiewskich, Acernach, nieznani centoniści i plagjatory.

Po klasztorach, po dworach nie miała przytułku literatura, biblioteki stare butwiały, nowych zbiérać nie było czasu, któż zresztą mógł ją uprawiać?

Za Augusta drugiego wojny i burze domowe nie dały tchnąć,— miasto innych zabaw przywożono do Warszawy operę włoską, miłostki francuskie i opilstwo niemieckie. Szlachta popuszczała pasa. Za Augusta trzeciego zostały święcie poszanowane tradycye ojca dworu, z tą różnicą, że kosztowne metresy zastąpiły łowy, samopas, urwij podaj szło wszystko pod rządami Brühla, każdy w swą stronę rwał i dla siebie. Sprzedawano się—kto da więcéj?

Znikczemnienie dochodziło do ostatniego krésu. Mamy doskonały obraz tego wszetecznego gospodarstwa, skréślony w całéj jego okropności, naiwném piórem współczesnego Matusewicza.

Nic dodać, nic ująć. Autor nie był jednym z najgorszych, *ab uno disce omnes.*

Rozprzężenie obyczajów nigdy na korzyść życia duchowego nie wychodzi. Gdy społeczność straci z oczów wszelki cel wyższy a prywatą się po nocy kieruje, umysł téż jéj drętwieje i staje się bezpłodnym. Cały z niego użytek, aby dobrze obrachował co się lepiéj opłaci: trzymać z Brühlem czy z Czartoryskimi?

Między takim dworem jakim był Augusta trzeciego a krajem, jakiż mógł być węzeł, jaka spójnia? interes tylko. Miłości nawet nie było, zjadano się wzajemnie. Monarcha wyzyskiwał poddanych, oni jego, oboje razem ssał Brühl. Na taki stan kraju przypada wybór Stanisława Augusta.

---

Wśród tego zepsucia ogólnego, zepsucie smaku było nieuchronném następstwem zgnilizny, pojęcie piękna wszelkiego było spaczone i krzywe. W wymowie szukano go w stylu nadętym, niezrozumiałym, w konceptach niedołężnych, w smażonych a zapożyczanych frazesach, w mnogich cytatach, które mozaiką czyniły robotę. Natchnienie w niéj zastępowała łatanina, erudycyą pokrywano czczość myśli, a skarbczyki gotowe uczoność każdemu czyniły dostępną.

Widzimy to zarówno na ambonie w kazaniach, na Sejmach, w mowach, których nadużywano w życiu prywatném, przy wszelkich okolicznościach, assumpt do nich podać mogących.

Ex promptu powiedzieć mówkę, należało do towarzyskich przymiotów dobrze wychowanego młodzieniaszka, prawiono je przy kielichu, powitaniu, żegnaniu, winszując, z kondolencyą na pogrzebie, na weselu przy oddawaniu marcepanów, darów, wprowadzaniu do łożnicy, ze strony rodziców, od pana młodego, od przyjaciół itp. Szukano zręczności do tego słów wylewu, popisywano się chętnie ze Swadą, wpisywano do ksiąg domowych osobliwe tego rodzaju elukubracye. Już za czasów Paska widzimy rozkwitłą tę manią oratorską, która później wybujała jeszcze, prawdziwie poczwarne wydając owoce.

Główną literatury ówczesnéj część stanowi Swada, tak czcza, tak bezmyślna, tak bezbarwna, ani z głowy ni z serca płynąca, iż ubolewać przychodzi nad społecznością co się tém próchnem żywić musiała.

Kazanie jest w tymże rodzaju, całe z cytat, wymuszone, bez prostoty i natchnienia. Umysły zdają się uśpione, wyczerpane, nic ich do żywszego poruszenia się obudzić nie może.

W tém życiu rozprzężoném, obozowém, w którém ognisk brakło, narodowy teatr nawet zrodzić się nie mógł. W kolegiach jezuickich grywano dyalogi alegoryczne po łacinie, po dworach nieśmiało próbowano francuskich przekładów niektórych sztuk, lud się bawił w jasełka, rodzaj komedii *del'arte*, improwizowanéj na tle podań dawnych.

Przy takich szkołach i uniwersytetach, jakie za sasów istniały, mogłoż być inaczéj? Sąto zastygłe i wygasłe ogniska, od których wychodzą ludzie z kilką schematami wyuczonemi, nierozbudzeni do życia, przytępieni, chwyciwszy ledwo tyle co niezbędnie potrzebne do palestry, kancelaryi pańskiéj lub gospodarstwa i Sejmiku.

Najuczeńsi nawet są tylko erudytami, myśl ich spowita boi się skrzydeł rozwinąć, aby ją po za sfery orthodoxyi nie uniosły.

Nauczono ich, że ona niewszędzie sięgać ma prawo, z obawy przekroczenia woli się trzymać u poziomu. Sparaliżowanie to ducha widoczne we wszystkiém, w walce o życie i byt dobry całe zachody i troski. Jéjmość bieduje z dziećmi i włodarzem domu, szlachcic gościem u ogniska swego, a gdy przybędzie to nie sam, wiodąc gości i wrzawę z sobą.

Znajdują się obrońcy i zakonu Lojoli i wychowania, które on u nas prowadził; lecz jakże obronić się przeciwko faktom? Ze strachu herezyi zabito życie, było to:

Propter vitam vivendi perdere causas.

Jak ci doktorowie, co ujmując życia chcą osłabić chorobę, wychowanie jezuickie wycieńczyło naród, zdrętwiło w nim ducha.

Szlachta, to jest większość w pół ukształcona, miała tylko tyle co z ich szkół wyniosła. Panowie, których wychowanie było nieco różném, mieli coś więcéj. Tu już od Sobieskiego czasów, a raczéj od Jana Kazimierza, stosunki z Francyą wniosły jéj język, zamiłowanie obyczaju i literatury francuskiéj. Panowie wszyscy obok łaciny umieli dobrze po francusku, 'język ten oddziaływał na nich, bo nikt bezkarnie z żadnym się językiem nie żeni, a nawet czasowo z nim nie braci.

U góry wpływ był dwoisty i farba też inna. Co umiało i mówiło po francusku miało się za cóś wyższego i lepszego, a było w istocie więcéj ogładzoném i mocniéj popsutém.

Tak ci, co się kształcili na łacinie, jak drudzy, co ssali piersi francuskie, języka własnego nie uczyli się prawidłowo. *Vernaculo sermone* mówiono i pisano jak Bóg dał, jak niańka nauczyła, jak łacina wskazała, z potrzeby go używając nie z zamiłowania.

W początku XVIII w. język już tak został zaniedbany, połamany, popsuty, iż z niego zostały tylko szczęty. Nie tyle go makaronizmy nadwerężały, bo to były wstawki nieprzyrastające doń, zawsze się dające wydzielić, jak raczéj utrata poczucia natury mowy własnéj. W ustach ludu język ten był żywym jeszcze, u innych klas wykształceńszych martwemi tylko jego członkami się posługiwano.

Najdobitniéj się to w stylu czuć daje, a najwyraźniéj tam, gdzie myśl znałogowana do form francuskich posługiwała się wyrazy polskiemi. W użyciu języka, czuć że żywa tradycya jego zatracona została, że to, co z nim wiązało, pękło. Układają się wyrazy dziwnie, niezgodnie z duchem jego, opacznie, koszlawo, poczwarnie. Częstokroć nawet użycie ich zdradza nieświadomość prawdziwego znaczenia, ktokolwiek się wychował w francuszczyznie przez całe życie nosi od niéj znaki jak od ospy.

Zgoła język polski kona za Sasów, zdaje się blizkim zupełnego zniedołężnienia.

To co do formy, treść też wszystkiego co wydaje piśmiennictwo ówczesne, uboga, biédna. Myśl wybiedz nie pragnie, boi się— za płotem stoi herezya i czyha na nią. Ciekawość pierwszym stopniem do piekła, toć szkolna maxyma.

Tymczasem na zachodzie, w Anglii, we Francyi, duch krytyki i sceptycyzmu budzi się na nowo. Tam życie, stosunkowo swobodniejsze, dozwoliło się rozwinąć filozofii, Locke, Hume Bayle; Shaftes-

bury i Bolingbroke, Condillac przygotowują zwrót nowy, epokę Rousseau i Voltaire'a.

Nie idzie tu już, jak w XVI w. o reformę kościoła, ale o wyzwolenie się ze wszelkiego dogmatu z góry narzuconego, o swobodę myśli, jak niegdy o swobodę sumienia. Szkoła ta nowa nie ma siły, aby coś nowego zbudowała, ale ma burzącą potęgę, tém większą, że kościół stoi jak opoka i na opoce, która opiéra się wszelkiemu nowemu jéj ukształtowaniu.

Prąd ten nowy nie rychło dochodzi do nas, ale wielkiego wpływu jego na późniejsze losy piśmiennictwa i kraju zaprzeć niepodobna.

Długo od wszelkiego zetknięcia się z nim osłonięci, obwarowani odosobnieniem, zamknięci w sobie, ulegamy mu tém silniéj, iż na odłogującą długo rolę przychodzi.

---

Spójrzmy jeszcze choć pobieżnie na organizm tego społeczeństwa, które nam w spuściźnie, po dwu panowaniach Sasów zostało.

Składało się ono, wedle ówczesnéj klasyfikacyi, naprzód z duchowieństwa, w którém dwie warstwy odróżnić potrzeba, wyższe i niższe.

Do tego prawie całe zakonne się wlicza. Za niém idą możni, senatorskie rody i szlachta z niemi skoligacona, rozpadająca się na młodszą i starszą, na zamożniejszą i zubożałą a służebną. Naostatek, stoi po za niemi lud bezwolny i zbiédzony.

Nie zaliczamy tu mieszczan, gdyż ci stanowili odrębną jakąś masę, w większéj części z obcych żywiołów złożoną, nie spójną, nie dorosłą do życia, prawami do niego nie obdarzoną, nie liczym wojska, bo tego ze szlachty wydzielać nie ma potrzeby.

Dwór obu królów saskich, przebywających tylko chwilowo w Polsce, był francusko-niemiecko-kosmopolitycznym. Nic tam narodowego rozwinąć się przy nim nie mogło. Cierpiano kontusze, ale w żywym związku nikt nie był z niemi. Szlachta do panów swych potrzebowała drogmana. Co bliżéj z królmi zjednoczyć się chciało, musiało się wynarodowić i przybrać ton francuski, dworu Ludwika XIV, który saska dynastya przyswoić sobie chciała.

Wyższego duchowieństwa część najznaczniejsza kończyła swe wychowanie w Rzymie. Przeznaczeni na stolice biskupie potomkowie rodzin możniejszych w domowém wychowaniu, przygotowującém do peregrynacyi za góry, już cechy rodowe zaciérali, stając się kosmopolitami.

Mało biskupów dochodziło dostojeństw prawem zdolności i talentów, większość szła do stanu duchownego z rodów znacznych dla mitr i dostatków, jakie do nich były przywiązane. Z biskupstwem krakowskiém szło księztwo Siewierskie i milionowe dochody, prymasowstwo wyposażone było równie bogato, Warmia dawała tytuł książęcy i książęce proventa. Duchowni w Senacie Rzeczypospolitéj, w Radzie króla, u jego boku zajmowali stanowisko przeważne. Ubogie pacholę cudem chyba mogło się tam docisnąć.

Na takich dworach biskupich, choć wspaniale było i gwarno, język narodowy w przedpokoju się tylko słyszéć dawał, cudzoziemskiemi mówiono na sali. U Sołtyka na teatrze grywano tylko francuskie sztuki, kancelarye pisały po łacinie i po francusku. Polski język służył do zbliżenia się z niższém duchowieństwem. Jeżeli Biskup uczonym był i lubił uczonych, otaczał się jak Załuski niemcami, a pisał po łacinie.

Niższe parafialne duchowieństwo, proboszcze i wikaryusze, jak świadczą zgodnie pomniki współczesne, wielkiego wykształcenia nie mieli. Żyli z ludem, często jak ten lud, ubogo. A że znaczna część probostw miała grunta i gospodarstwa, byli zarazem rolnikami i to ich zaprzątało. Z klas niższych rekrutujący się ten żołnierz prosty, niespodziewający się awansu, bo kanonie i beneficya brała szlachta tylko; przychodził z seminarjum tyle umiejąc, aby skromnym wymaganiom mniéj jeszcze oświeconych parafian mógł zadość uczynić.

Z zakonów dwa stały na czele. Jezuicki, którego celem głównym było, od założenia go, walka z herezyą i zapobieganie emancypacyi ducha i Pijarski. *Scholarum piarum*, który od razu opozycyjne zajął stanowisko. Nadto znaném jest co charakteryzuje zakon Jezuitów, abyśmy to powtarzać potrzebowali. Spełnili oni powierzone sobie posłannictwo, przechodząc zakrés jego, ze ślepem posłuszeństwem żołnierzy, z ofiarnością niezrównaną, z obawy pożaru gasili wszelkie światło. Świecili natomiast próchnem i przy tém słabém światełku uczyli żyć, skromnie się niém obchodząc.

Zakon szkół pobożnych od razu sobie założył rzecz do wykonania niemożliwą, choć na ów okrés i w danéj chwili, w części urzeczywistnioną, i już wielce pożyteczną. Pomiędzy nauką szkół jezuickich a żywym światem nie było związku; pijarowie chcieli religią przejednać z postępem, naukę chrześciańską połączyć z praktyką życia. Do szkół swych wprowadzili nowe formy w nauczaniu, pozbywając się przestarzałych, w plan nauk wciągnęli nauki doświadczalne, w rachunek nawet szły talenta towarzyskie i co tylko do życia przygotowywać mogło. W duchu ich szkół była reforma

a postęp razem z wiekiem. To zadanie właśnie szkopułem było, bo kościół ustępstw światu czynić nie chciał, a ścisła logika orthodoxyi była przy Jezuitach. Rodzaj odstępstwa tkwił w zadaniu szkół pobożnych, chciały iść naprzód, gdy kościoła dogmatem była nieruchomość. Walka dwu zakonów stawała się nieuchronną; pijarowie mieli za sobą ducha wieku, z kościołem jednak na téj drodze zwolna rozbratać się musieli. W samym ich zakonie, z wyjątkiem niewielu ludzi znakomitszych, wyższych umysłem, godzących wiarę z nauką—walka przeciw excessom fanatyzmu i zastałości przerodziła się w indyferentyzm i sceptyczność. Raz na pochyłość rzucone umysły, w dalszym pochodzie zatrzymać się nie mogły.

Obok tych dwu zakonów postawmy i najpopularniejsze w kraju zakony żebracze, reguły ś. Franciszka, które nie jaśniały nauką, ale z życiem się zrosły, pojmowały je i praktyką skromną cnót chrześciańskich, zastosowaniem się do obyczajów, przejęciem moralnością ewangelii, tolerancyą nareście się odznaczały. Prostoduszny braciszek, jeżdżący po kweście, z opłatkami, z obrazkami dla dzieci, znajdował w sobie natchnione słowa, w których go żaden kaznodzieja ani najsławniejszy teolog nie prześcignął. Z ludu powstałe zakony te ubogie, z ludem i szlachtą w najściślejszym były związku. Wyrozumieli, łagodni, pobłażający, nawracali więcéj sercem niż wymową. Bernardyn, z którego się czasem śmiano, odcinał się zręcznie, był wszędzie miłym gościem domu, ale światła doń nie przyniósł wiele, bo go nie miał.

O możnych rozszerzać się nie potrzebujemy. Na tych wyżynach społecznych zwykle i wszędzie wykwita i co ma najświetniejszego naród i co ma najzepsutszego. Drzewa i narody usychają od wierzchołków, a od pni nowe puszczają wyrosty.

Zachowały się w końcu XVIII w. idealne, patriarchalne pańskie dwory w Polsce, ale wyjątkowo. Pod wpływem saskiego dworu, który z nich wybiérał haracz Denhofowych, Lubomirskich, Pociejowych i tylu innych, kobiéty się popsuły, a przez matki pokolenia. Faworyty i przyjaciółki Augusta mocnego nie mogły dzieci na Spartanów wychować. Żądza używania, błyszczenia, panowania oślepiały na wszystko.

Polor francuski z obyczaju narodowego pozostawiał tyle tylko ile było potrzeba, aby szlachtą Sejmikową módz pociągnąć ku sobie. Każdy niemal panicz odbywał podróż na zachód dla dokończenia wychowania i powracał do domu znudzonym kosmopolitą, pogardzającym barbarzyńskim krajem własnym. Wielkie panie żyć nie mogły w domu, musiały jeździć choć odetchnąć za granicę.

Magnaci stykali się ze szlachtą tylko, gdy dla swych widoków potrzebowali się nią posłużyć. Mało kto wyżył na wsi, a zmuszony, jak stary Hetman Branicki męczyć się w Białymstoku, tworzył sobie sztuczną atmosferę wersalską, aby módz oddychać.

Jeden z Sapiehów, za Augusta III starą bibliotekę polsko-łacińską wyrzucić kazał precz, aby miejsce po niéj francuskiemi romansami i teatrem zapełnić. Panie przechodziły w tém mężów.

Pod wpływem rozmaitych żargonów wyuczonych w podróżach, po polsku mówiło się i pisało poczwarnie.

Dość spojrzéć w listy, francużczyzną przetykane i bez ortografii. W ortografii zresztą nie był mocnym i polyglotta Poniatowski, ni żadna z pań co doń listy pisywały. Nie troszczono się o nią wiele.

O polskiéj literaturze u panów ówczesnych, ani słychu nie było. Jeżeli się co z niéj zawieruszyło w domu, poszło do fraucymeru, na folwark, do plebanii.

Szlachta zamożna, spokojniejsza, zwłaszcza po niektórych kraju zakątach, dawała właściwie z całego tego organizmu, jedyny przytułek narodowym tradycyom i piśmiennym pamiątkom. Tu nic nie wsiąkało oprócz łaciny, a ta tak bardzo szkodliwą nie była, bo duch jéj dawno z naturą języka się spoił. Tu żyła miłość rzeczy własnych, wspomnień, podań, tu się spisywały silwy, dyaryusze, zachowywały kroniki i śpiewały pieśni stare. Zamożniejszy szlachcic posuwał wyżéj syna w naukowych zakładach, choćby dla krescytywy. Chciał żeby on coś umiał, i wykształcenie możnéj szlachty często gruntowniejszém było niż paniczów co zbyt wcześnie żyć zaczynali. Z tych sfer zasilała się palestra, w któréj, bądź co bądź, słowo miało swą wartość, myśl szacunek.

Poniżéj wśród tłumów rozdrobionéj, ubogiéj, ocierającéj się już o lud szlachty, nie ma co szukać oprócz widoku upadku i demoralizacyi. Ciżba to posłuszna panom, pragnąca chleba, gotowa siec i zabijać byle coś zarobić, biédna, ślepa, zepsuta, upadła a dumna przywilejem, który na sejmikach sprzedawała. Być może, iż i tu znajdowały się typy piękne, szlachetne, nieposzlakowane, ale wiemy jakim był ogół. Pamiętniki współczesne świadczą.

Stan ludu, włościan był smutny. Rycerstwo, wedle dawnych pojęć, posługiwało się nimi, aby samo mogło się dla obrony kraju poświęcać. Były wsie gdzie lud niemal do rodziny pańskiéj należał, będąc z nią w związku serca i ducha, ale była i niewola uprawniona zwyczajem, nałogiem wiekowym. O oświacie tego ludu nikt nie myślał, owszem uważano ją za zgubną, odwracającą od pracy, zasiewającą nasiona nieposłuszeństwa i buntu. Był to domo-

wy zwierz roboczy niestety, z którym się obchodzono po ludzku, ale praw ludzkich przyznać mu nie chciano.

W chacie literaturę stanowiła baśń prastara, pieśń dziewicza, śpiew pobożny, modlitwa, co się odziedziczyło po dziadach i wzięło z kruchty kościelnéj.

---

Spadek, który XVIII wiekowi z przeszłości pozostał, dość był liczbowo obfity, ale wśród niego to, co było, że się tak wyrazimy, assymilacyjném, mogącém przejść w krew i życie, ogranicza się szczupłą dzieł ilością. Piśmiennictwo nasze, jak każde inne, na mnogie rozpada się działy i rodzaje, lecz *per excellentiam*, to głównie wchodzi w rachubę historyi ducha, co dla jak największéj liczby było dostępném.

Książka, któréj nikt nie czyta, jest jakby w niezrozumiałym pisana języku. W samych początkach, Rej, Kochanowski, Bielski, Górnicki, późniejsi nawet poeci i popularniejsi pisarze, Grochowski, Klonowicz, Twardowski, Kochowski mówili do ogółu; czytało ich co czytać umiało, karmiono się nimi. Co oni wyśpiewali i wypowiedzieli rozumiał każdy, odczuwał i łatwo przyswajał.

Wszyscy nasi pisarze łacińscy już dla wybranych tylko byli przeznaczeni. Górnicki swe dzieje, Bielski kronikę spisują przystępnie, jakby opowiadali, Sulikowski swój komentarz, Kochowski klimaktery układają po łacinie.

Z całéj téj przeszłości zostaje trochę dziejów i wiele pieśni, które naród spożył i nakarmił się niemi, popularnych prozaików prawie nie mamy. Szukać ich chyba w broszurach i pisemkach urywkowych, a i tych większość rymuje i w poezyą stroić się rada. Obok dziejów wpływowymi są pisarze duchowni, Skarga w żywotach swych i kazaniach, i inni idący w jego ślady.

Do pewnego stopnia popularność i wpływ książek mierzyć się może dzisiejszą ich rzadkością, książki nabożnéj całéj dziś nie znajdziesz, kronik zostały karty odarte, broszur, poematów, fraszek tylko strzępki. Niektóre pisma dawne znamy tylko z tytułów. Pierwsze wydania Kochanowskiego są nie do znalezienia. Grochowski nawet i Kochowski są stosunkowo rzadzcy, gdy uczone foljanty, teologiczne traktaty, łacińskie kroniki łatwiéj się trafiają.

Kochanowskiego pieśni przepisywano do XVIII w., psalmy śpiewano po kościołach, pieśni po domach.

Nie było nad niego z dawnych popularniejszego poety. Ten twórca języka trafił do serca narodu i zamieszkał w nim.

Z końca panowania Augusta III-go, przebiérając owe Silvy, w których się mieści niemal cała literatura ówczesna, śladu w nich już prawie nie ma prastarych pozostałości—oprócz pieśni Kochanowskiego.

To co je zastąpiło nędzne i liche. Smutniejsza jeszcze rzecz, że tacy poeci jak Morsztyn, Kochowski, Potocki, w których było poczucie piękna, pewien kunszt słowa, czasem myśl piękna i natchnienie prawdziwe, przebrzmieli bez uznania i rozgłosu.

Oratorska swada zabijała poezyą, w końcu trafił się li wiersz co szerzéj się rozchodził, była to Satyra, epigramat złośliwy, niezręczny opis wypadku, lub piosenka i powiastka swawolna.

Wacława Potockiego, ostatniego wielkiego poety, wspaniały poemat o chocimskiéj wojnie, nawet druku się nie doczekał.

Polska więc literatura w połowie XVIII w. cała była w spuściznie przeszłości. Utrzymywała też kraj w pojęciach wieków poprzedzających i przyczyniała się do zastałości. Gdy nic nowego nie podsycało życia, nie karmiło go sokami żywotnemi; duch zapasami staremi żywiony musiał nabiérać ich charakteru. U nas też prowincye, odleglejsze zwłaszcza, w tym czasie jeszcze były bez żadnéj niemal zmiany takiemi, jakiemi je stworzyło ruchawsze panowanie Jana Kazimierza. Ani w nich postępu, ni przetwarzania koniecznego tam, gdzie jest życie normalne, nie widać.

Powtarzało się wszystko stare, idee, formy, pojęcia teraźniejszości, na sejmach, w kościele, po domach. Nic nie przybywało, nic się nie tworzyło, a że prawem jest że co nie rośnie to niszczeje, więc i pojmowanie przeszłości ścieśniało się, paczyło, tradycye wietrzały, suche z nich pozostawały formy.

Przez ciąg panowania Sasów skazani jesteśmy na to wyjadanie spiżarni staréj, w któréj zapasy coraz maleją, albo ludzie nie wiedzą już jak z nich korzystać.

---

Znany jest Stan Rzeczypospolitéj w chwili zgonu Augusta III-go. Nie władała ona już sobą, anarchia ją obezwładniła; coraz silniejsze były wpływy dworów obcych. August II-gi marzył już o podziale jéj i przyłączeniu pozostałéj części do dziedzicznego swego państwa.

Za słabym był tylko by się ważyć na to, nawet z pomocą zapłaconego brandeburgczyka. Dotąd współzawodnictwo ościennych dworów żadnemu z nich wyłączniéj zawładnąć Rzeczpospolitą nie dopuszczało. Od chwili, gdy jeden z nich uzyskał w Polsce przewagę, mógł już marzyć o jéj opanowaniu. Mówiono jeszcze, że Polska bezrządem stała, gdy właśnie nim upaść miała.

W téj chwili groźnéj już dla staréj, nadwątlonéj budowy, nieumiejącéj odrodzić się o własnych siłach, wstąpić miał na tron Stanisław Poniatowski, wsparty opieką najsilniejszego z sąsiadów.

Poniatowski pochodził sam z rodziny świéżo dopiéro przez ojca jego, niepospolitych zdolności człowieka, wychodzącéj z łona drobnéj i nieznanéj szlachty, ale matkę miał ks. Czartoryską, kobiétę wielkiego charakteru i wykształcenia, a po za nim stali dwaj ks. Czartoryscy, wujowie jego, którzy pod opieką Rossyi, odrodzić Rzeczpospolitę i zreformować ją, do życia zdolną uczynić pragnęli.

Stolnik litewski wychowany jak nadzieja rodziny ze staraniem największém, od dzieciństwa już kształcił się trybem kosmopolity i panicza. Natura dała mu zdolności wielkie, niezmierną łatwość pojęcia i władzę odczuwania wszystkiego, dowcip, dar przypodobania się ludziom i zastosowania do nich, pewien rodzaj zalotności niemal niewieściéj i żądzę zyskania sobie serc wielu, ale odmówiła mu energii, siły, charakteru i surowszego pojęcia życia. Przez cały ciąg ponowania Poniatowski takim pozostał, wrażliwym, usiłującym podobać się, uniknąć walki, przejednać ze wszystkimi, kupić sobie pokój, bodaj poświęcając mu godność własną.

Nigdy nie rozumiał potrzeby oporu, śmiałego wystąpienia, walki z opinią, bo czuł, że mu na sile do niéj zbywało.

Dorobkowicz z talentem, cudownie utorowawszy sobie drogę do tronu, chciał nią iść daléj, jednając serca. Ukształcenie odebrał w znacznéj części francuskie, otoczenie w którém żył, podróże dały mu poznać świetny stan innych krajów, ich dobrobyt i rozwinięcie szczęśliwe. W porównaniu do nich własny kraj wydawać mu się musiał dzikim i barbarzyńskim. Wielbiciel wszystkiego co było modne, co miało cechę postępu, co uderzało i świeciło; bałwochwalca dowcipu, był także czcicielem Voltair'a. Wchodząc na tron miał na sercu, jako najważniejsze zadanie, kraj zacofany, opóźniony, zdziczały, na zupełnie nowe wprowadzić drogi.

Cywilizować chciał, chociaż naówczas ani on, ani może nikt nie zdawał sobie sprawy jasno z tego, co od wieków zwało się „naprawą" Rzeczypospolitéj.

Ile w téj naprawie miało i mogło pozostać starego obyczaju, spuścizny przeszłości, co wejść nowego—nikt nie określał, pragniono instynktowo światła, wiedzy, ogłady, sztuki jako środka łagodzącego obyczaje; pozbycia się tego co zwano ogólném mianem przesądów,—reform politycznych, społecznych, zatém i piśmiennictwa jako dźwigni co pobudzać miała.

Od czasów Sobieskiego, którego dwór acz polski, nie miał zadania naprawy innéj jak rycerskiéj, a w narodowym duchu szedł raczéj z musu niż woli i rozmysłu, poraz pierwszy na tronie zjawiał się Piast, ziomek, na którego dworze polskie mogło zakwitnąć życie.

Poniatowski rozumiał dobrze jaką siłą było piśmiennictwo, jakim cywilizacyjnym środkiem była cześć piękna, sam z natury swéj artysta, miłośnik sztuki, po troszę literat, *bel esprit*, czuł co z pomocą ludzi utalentowanych dokonać może.

Wszystko było do zrobienia; gotowego nie znalazł nic, musiał wyszukać te narzędzia, tworzyć szkoły, rozbudzać uśpione siły, reformować akademie, zachęcać do nauk, nad wszystko pragnienie światła i ruchu rozkrzewić.

W pierwszych latach panowania widzimy go pojmującego gorąco to zadanie, zdobywającego ludzi, starającego się ich łaskami przywiązać do siebie, dobiérającego po swéj myśli tych apostołów, mających krzewić wiarę nową. Ta wiara nowa nie mogła być inną jak najświeższéj francuskiéj fabryki.

W kraju katolickim do szpiku kości, król szanować musiał religią, do któréj naród był przywiązany, z którą od wieków się zrósł i żywotem całym ją przejął. Król więc tylko, jak pijarowie szkoły, mógł kraj oczyszczać i na sposób najnowszy przerabiać, nie tykając świętości jego. Nie rozumiano dobrze granicy gdzie się przesąd kończył a dogmat zaczynał, trochę na oślep stąpano po ciemku, mówiąc sobie, iż praktyka nauczy miary.

Kontusze, wygolone głowy, stary obyczaj rycersko-szlachecki, liczył się na dworze Stanisława Augusta do oznak zastałości i zacofania. Na gwałt zrzucano odzieże stare i uczono francużczyzny, aby się stać podobnemi do reszty Europy.

Dla tych co po francusku nie umieli, potrzeba było ludzi, którzyby cywilizacyą przekładali na język polski. Ztąd konieczność zastępu literatów, który król powoli około siebie gromadzić począł. Widzimy z mów i listów króla, że jego znajomość języka polskiego była bardzo słabą. Władał nim zupełnie tak jak innemi, któremi mówił, jak na króla, gładko i dosyć poprawnie. Najlepiéj jednak i najłatwiéj wyrażał się i pisał najchętniéj po francusku. Równie pra-

wie dobrze mówił po angielsku, po włosku i po niemiecku. Nie była mu obcą łacina, ale téż nie zbyt poufałą.

W polskich jego pismach czuć myśl francuską, zwroty obce, użycie wyrazów często nieśmiałe i opaczne, brak wprawy i obeznania z pięknemi wzory XVI wieku. Wszyscy poeci i literaci jego czasu, co się więcéj na łacinie ukształcili, jak Naruszewicz i Trembecki, przez nią bliźsi byli ducha XVI w., inni jak Krasicki, Węgierski, Niemcewicz wyrażali się z pewnego rodzaju nieśmiałym i mniéj więcéj szczęśliwym neologizmem.

Chciał król dla narodu oświaty, tak jak warunki jéj pojąć umiał, w gruncie raczéj ogłady dla ogółu, a wyjątkowo uczonych ku potrzebie reform gospodarstwa państwowego, wojskowości, przemysłu, wszystkich niemal gałęzi życia. Sprowadzano cudzoziemców na nauczycieli.

Aż do r. 1772, to jest do zniesienia zakonu jezuitów, plany i programmata są nie jasne, zawichrzenia téż krajowe nie dozwalają się zająć czynnie ich urzeczywistnieniem. Konfederacya barska, wskrzeszająca uczucia religijne i rycerskie, ma téż swą literaturę, zaprawdę ciekawą i charakterystyczną. Śpiéwa ona językiem Sasów, w którego stare stężałe członki nowe soki wpłynęły. Pieśni jéj mają uczucia wiele a zbywa im na formie.

Znać w nich, że ci co je śpiewają tyle tylko umieją co ich przestarzała domowa tradycya nauczyła. Język to palestry i jezuickiéj szkoły. Poetom nie zbywa na talencie, na polocie, ale język ich ma związane skrzydła.

Od koronacyi Stanisława Augusta do smutnego końca konfederacyi barskiéj i pierwszego rozbioru, nie ma jeszcze mowy o odrodzeniu się literatury.

Kraj pokonany, musi odzyskać życia warunki, nim rozpocznie się przetwarzać. Z pierwszym rozbiorem schodzi się fakt niezmiernéj wagi, zniesienie zakonu jezuitów, na którego bogatą spuściznę rzuca się łakoma, chciwa łupu prywata. Z cynizmem strasznym padają krucy na pastwę, ale kraj téż dopomina się o spadek i udział w dziedzictwie. Ogromne dobra i fundusze pojezuickie, nadane instytucyom naukowym dla szerzenia oświaty, przechodzą pod zarząd komisyi edukacyjnéj.

Pierwsza podobno w Europie Rzeczpospolita, odbiéra w swe ręce z rąk duchowieństwa, wysekularyzowane wychowanie publiczne, krok to w duchu wieku, śmiały i stanowczy. Duchowieństwo zostaje przypuszczoném do oświecania, lecz kierunek jego odbiéra państwo, ono bierze na siebie organizacyą nową uniwersytetów, szkół i szkółek, całą oświatę narodu. W najsmutniejszéj dziejów godzinie

jestto największa zdobycz, która wiele strat nagrodzić może. Rzeczpospolita, raz poświęciwszy część swych prowincyj dla uzyskania pokoju do wewnętrznego odrodzenia się niezbędnego, rozpoczyna jakby życie nowe. Po téj ofierze bolesnéj, zdaje się wszystkim, iż to co pozostało, co rychléj z choroby wieków leczyć należy. Rozumié to król, pojmuje doskonale komisya edukacyjna, a choć w jéj łonie zasiadają ludzie charakterów wielce niepewnych, niedostępni poczuciu obowiązków—wstyd nie dopuszcza im źle czynić.

Lecz od tych uwag ogólnych, które nas zbyt daleko uniosły, zwróćmy się jeszcze nazad ku czasom, panowanie to poprzedzającym.

---

Śledząc genezę tego ruchu reformatorskiego, którego stér dostaje się w ręce Stanisława Augusta, musielibyśmy znijść aż do XVII wieku, w którym pierwsze się głosy odezwały, domagające naprawy Rzeczypospolitéj. Skarga, Modrzewski, Starowolski widzą złe, czują że się wszystko rozprzęga, wołają o ład i nową organizacyą, ale to są głosy rozlegające się na pustyni. Za Sasów, gdy już zło uwydatniło się tak, iż reforma radykalna instytucyi, stała się życia warunkiem, odezwał się za nią nieśmiało król Wygnaniec Stanisław Leszczyński.

Za nim, kreśląc obraz jaskrawy stanu nieszczęśliwego kraju, wystąpił pokrewny mu z ciała i ducha Jabłonowski w swym Skrupule bez skrupułu.

W téj szkole Leszczyńskiego pierwszą myśl reform powziął Konarski, jest jéj uczniem i spadkobiercą.

Krasicki napisał Konarskiemu na grobie:

Ten co pierwszy zdziczałe ciął gałęzie wzniosłe,
I śmiał ścieżki odkrywać wiekami zarosłe,
Co nauki, co miłość kraju wzniósł i krzepił,
W cieniu laurów spoczywa, które sam zaszczepił

Na medalu na cześć jego wybitym, napisano:

S a p e r e a u s o.

Medal i nagrobek zarówno świadczą jak zasługi Konarskiego „w odkryciu ścieżek wiekami zarosłych“ cenić umiano.

Dziś, gdyśmy skutkiem zwykłego w przekonaniach ludzkich obrotu, przyszli znowu do rehabilitacyi zakonu jezuitów i zaparcia się postępu, dlatego, że zapalone umysły za daleko się, szukając go, zapędziły—dziś, nietylko zasługi Konarskiego zmniejszyć usiłują, ale chcą im zaprzeczyć. Jestto moment słabości ludzkiéj, który nas od

bezstronnego osądzenia dzieła, które Konarski rozpoczął, nie może powstrzymać.

Potomek możnéj i znacznéj rodziny, z powołania wdziawszy suknię zakonną, Konarski odbył dla wykształcenia się podróż po Europie i mógł najlepiéj ocenić przez porównanie, jak stan oświaty w Polsce był opłakanym.

Byłoto za panowania jeszcze Augusta III. Prawdopodobnie całéj rozciągłosci tych reform, do których miał z kolei dać pobudkę, nie rozmierzył od razu. Począł w r. 1741 od wydania po łacinie dzieła, o naprawie błędów wymowy. (De emendandis eloquentiae vitijs). Instynktowo rozpoczynał od reformy napuszonego, bezmyślnego oratorstwa, dlaczego? Cudowne poczucie go wiodło. Czuł w tych słowach, gromadzonych dziwacznie, symptom czczości, znikczemnienia, wygniwania ducha i życia.

Słowo nie jest nigdy przypadkowém, forma nigdy obojętną i bez znaczenia, w nich bije puls życia. Czuć w stylu każdéj epoki gorączkę lub osłabienie, wyżycie się lub zdrowie, a wad wymowy inaczéj poprawić nie można, jak zmieniając, przetwarzając całą naturę człowieka.

Jaka mowa taka myśl; niedołężne jedno, zniedołężniałe i drugie, jaka myśl taka dusza, z któréj się ona wylewa, jaka społeczność takie wychowanie, co tę duszę wykształciło.

Słowo jest ostatnim wyrazem i wypadkiem życia.

Naprawić chcąc wymowę, nie dosyć było wykazać jéj śmieszności i bezmyślność, należało sięgnąć do tego z czego się rodziły chwasty. To też, po pierwszym tym wysiłku oddziałania na słowo, wykazaniem jego wad i czczości, w 1755 Konarski przedsiębierze dzieło, mające społeczność samę odżywić, rozbudzić, zmienić—poczyna wielką reformę wychowania.

Szkoły martwe, według dawnéj urządzone metody, wszystko zasadzającéj na gimnastyce filologicznéj łacińskiéj, ciasno pojętéj, Konarski usiłuje z gruntu przetworzyć, wprowadzając do nich, obok łacińskiego języka, naukę nowożytnych, i nauki przygotowawcze do poznania otaczającéj natury, a żywego świata. Widzi reformator, iż ruch i postęp jest niezbędnym, że nauka stanęła nie rachując się z ogólnym pochodem ku światłu, że życie jest w niezgodzie ze szkołą, a ona tamuje je nie przygotowując do niego. Szkołę więc nową zamierza uczynić istotną propedeutyką żywota i wlać w nią siły nowe.

Cel postawiony dość jasno—nie tak środki i drogi. Gdzie tylko burzyć potrzeba aby budować, istnieje zawsze niebezpieczeństwo obalenia za wiele. Gorączka reformatorska tak jest niebezpieczną

jak zapał wojenny; w bitwie ślepnie i głuchnie człowiek. W walce z zakonem reprezentującym orthodoxyą i nieruchomość, łatwo było popaść w radykalizm i indyferentyzm religijny. Nie poszedł tak daleko Konarski, ale następcy jego nieraz u skraju stanęli.

W walce z łaciną średniowieczną, do innych źródeł potrzeba było się udać dla zdobycia nowych zasobów, Konarski nie miał innych nad francuskie, a wpływ ducha francuskiego raz ustalony wiódł do poślubienia wszystkich jego aberracyi krańcowych, szczególniéj w kraju tak ślepo ulegającym urokowi zachodu, jak my zawsze byliśmy.

Oprócz reformy wychowania i dzieła o poprawie wymowy, zasłużył się wielce Konarski wydaniem całkowitego zbioru rozpierzchłych praw Rzeczypospolitéj, a tegoż zgromadzenia zakonnik Dogiel rozpoczął druk pierwszego kodeksu dyplomatycznego. I to nie było bez znaczenia głębokiego, bo poznanie krytyczne dziejów i instytucyj musiało być bodźcem do reform w samym organizmie państwowym.

Wpływu jednak i znaczenia Konarskiego nie w samych pismach jego szukać należy, zawiérają one tylko cząstkę działalności, świadectwo jéj. Konarski przez stosunki swe, wychowanie, osobiste wpływy działał słowem, przykładem, czynem, więcéj niż wydanemi dziełami.

Szkoły pijarskie były reform jego machiną główną, przez nie dźwignął się zakon. Widzimy, że pod koniec panowania Augusta III, z Konarskim i jego wpływem, polityka się liczyć musi. Czartoryscy w swych planach ulepszeń i odmian schodzą się z nim.

W r. 1760 Konarski wydaje pismo wielkiéj politycznéj doniosłości, targa się na owę źrenicę wolności polskiéj, na *liberum veto*; zapowiada nowy początek obrad sejmowych i wskazuje już jak je należy urządzić, aby owoc wydać mogły. Jestto dzieło „O skutecznym rad sposobie“, które w kraju ogromne uczyniło wrażenie. Potrzeba było odwagi wielkiéj, aby się targnąć na to, co za najdroższe uważano, a co najzgubniejszém było. Usprawiedliwił reformatora cały szereg pozrywanych marnie sejmów, niedoszłych praw, owych opłacanych przez różne partye „nie pozwalam“ i manifestów, odbierających *activitatem* izbom, dla fantazyi jednego przekupionego człowieka.

Nie można się było ani spodziéwać, aby to pierwsze słowo skuteczném być miało, ale byłto wyłom w twierdzy, byłto jakby gwałtownie oderwany plaster, okrywający ranę krwawą. Widzieli ją teraz wszyscy, przyszłość leczyć miała.

Wydał jeszcze Konarski, rzecz o religii poczciwych ludzi (1767), pismo przeciwko deistom, które szerzącemu się indeferentyzmowi religijnemu zapobiedz miało, lecz mniéj zyskało rozgłosu. Oprócz tego w rękopismach po nim zostały, piękną polszczyzną pisane dramatyczne próby, które wyższą wartość mają niż współczesne.

Cała działalność Konarskiego, dla nas dziś niejasna, gdy same pisma na wagę weźmiemy, uznaniem powszechném za panowania Stanisława Augusta potwierdza się i wyświeca. Był to mąż czynu, a skutki prac jego świadczą o nich najlepiéj.

---

Zdało się nam niezbędném tym wstępem i ogólnym obrazem poprzedzić życiorys naszego pisarza, który przychodzi razem z królem Stanisławem Augustem, posiłkując swém piórem i dowcipem do wielkiego reformy dzieła.

Zbliżmy się teraz do niego.

Stara szlachecka rodzina Siecińskich Rogalów, która obyczajem naszym, od Krasic późniéj pisać się poczęła Krasickimi, już wXVI w. u Paprockiego rozrodzona i wielkiego znaczenia się okazuje.

Jak wiele innych szlachecko-pańskich rodów, wyrosła, rozrodziła się, służyła krwią i mieniem krajowi, aż ofiarami i podziałem majętności z dawnego swojego stanowiska, które ją na równi z pierwszemi w Polsce domami kładło, schodzić poczęła w XVIII w.

Rogale z Siecina, Murzynowa i Krasic, wielkich majętności na Rusi posiadacze, zawczasu koligacyami połączyli się z najznaczniejszemi domami w Polsce. Znajdujemy w ich genealogii Sanguszków, Fredrów, Ossolińskich, Lipskich, Czartoryskich, Sapiehów, Rzewuskich, Cetnerów, Czetwertyńskich, a członków rodziny na senatorskich krzesłach wojewodami i kasztelanami, w poselstwach do obcych dworów, czynnych w sprawach Rzeczypospolitéj.

Marcin wojewoda podolski, syn kasztelana przemyślskiego, na dworze Arcy książęcia Karola Austryackiego spędziwszy młodość, w poselstwie za Zygmunta III do Ferdynanda II Cesarza wysłany, tytuł hrabiego państwa rzymskiego uzyskał. Ten, choć zszedł bezpotomnie, na drugą linią został przelany. Że ród swój sam Biskup Warmiński stawił wysoko, widać to z ustępu w czwartéj pieśni Monachomachii, gdzie pisze:

> Ostrogskich książąt, Pinczowskich margrabiów,
> Górków, Tarnowskich i Krasickich hrabiów.

Z tym obcym tytułem hrabiowskim, który w Polsce raczéj tolerowanym był niż uznanym, bo równości szlacheckiéj stał solą w oku;

młody kanonik miał przybyć do Warszawy i jawnie go głosił. Było-to za Augusta III, gdy z niemieckim obyczajem tytuły u nas zagęszczać się zaczęły, a Niemcy niemi każdego bogatego szlachcica obdarzali, nic więc dziwnego, że nosił go Krasicki.

Adama z ks. Sanguszkównéj syn, Karol kasztelan chełmski, z dwu żon, Czetwertyńskiéj i Rzewuskiéj, liczne zostawił potomstwo, na które znaczne się majętności rozpadły. Z dzieci jego Jan kasztelan chełmski (z Rzewuskiéj) żonaty z Anną Starzechowską (1), rodziny swéj ostatnią, był ojcem Ignacego, najstarszego z potomstwa. Urodzony d. 3 Lutego 1735 roku w Dubiecku, ochrzczonym był przez ks. Gabryela Drzewickiego imionami Ignacego, Franciszka i Błażeja.

Znaczne jeszcze dobra były w posiadaniu téj latorośli domu, ale już uszczuplone rozrodzeniem, podziałami i w ostatnich czasach, wśród powszechnego nieładu, obciążone długami. To zapewne spowodowało matkę, troskliwą o przyszłość rodziny, że widząc w najstarszym synu objawiające się zdolności wielkie do stanu duchownego go przeznaczyła.

Imię, stosunki i dary umysłu zapewniały Krasickiemu w duchownéj hierarchii wysokie stanowisko, wielkie beneficya. Majętności więc nietylko uszczuplić nie mógł, ale mu łatwo ich było przyczynić i ród stary podnieść do dawnego znaczenia. Tak naówczas postępowały i inne rodziny, dbałe o to, ażeby się na stanowisku swém w Rzeczypospolitéj utrzymać mogły.

Solidarność wszystkich członków jednego rodu była jeszcze nienaruszoną, i członkowie ich poświęcali się chętnie dla utrzymania znaczenia—*domu*. Rody te i domy powiązane z sobą koligacyami, przymierzami odpornemi i zaczepnemi, władały Rzeczpospolitą. Z téj solidarności rosła siła, nieraz może szkodliwa, ale wiele-

---

(1) Anna Starzechowska, herbu Nieczuja, Stolnikówna Żydaczewska.

Synowie: Ignacy Arcyb. Gnieźnieński, Marcin, Karol, Xawery, wszyscy trzej kanonicy Warmińscy, i Antoni, dziedzic na Dubiecku żonaty z Różą Charczewską.

Córki: Marya, za Rościszewskim, Brygida za Starzeńskim, potém za Morskim kasztel. lwowskim.

Ojciec chrzestny Ignacego Załuski był kasztel. Wojnickim, potém Wojewodą Czerniechowskim.

Matka chrzestna Teofila Wapowska, cioteczna siostra Anny ze Starzechowskich Krasickiéj, za mężem naprzód Kopciem, 2º Rosnowska, 3º Załuska Wdz. Płocka, 4º Podoska Wdz. Płocka.

Obraz w kościele w Dubiecku wyobraża matkę z siedmiorgiem potomstwa. Młody Ignacy uderza na obrazie żywą i pełną inteligencyi twarzyczką.

kroć też pożyteczną dźwignią będąca, siła—któréj jednostki rozbite, samopas chodząc, miéć nie mogły.

Ród stanowił potęgę, która najmniejszą jego cząstkę czyniła pożyteczną i znaczącą; maleńcy rośli przez to, nie odpadało nic, wszystko było zużytkowane. Najuboższym krewniakiem opiekował się dom, ale się nim wysługiwał. Nieposłuszny tylko od téj jedności odpadał.

Dla utrzymania znaczenia rodu, jednostki szły na ofiarę. Ztąd układane zawczasu małżeństwa jak przymierza państw, ztąd do stanu duchownego wydzielanie córek i synów, innych do wojska itp. Dom był za owych czasów stowarzyszeniem, na członków swych wkładającém obowiązek ślepego posłuszeństwa.

Najstarszy lub najzdolniejszy wyznaczonym bywał głową i wodzem rodziny, ten szeregowemi swemi rozporządzał, śląc jednych bodaj na stracenie, drugich, gdzie ich zdolności różne powoływały. Szły do klasztorów ofiary z niewiast, aby ocalić dobra od obciążenia i podziałów, szli młodzi do nowicyatów, aby starszemu dać majętności i utrzymać jego znaczenie, trzymano się za ręce. W wielkich wypadkach, zwykle kilka razy do roku, do głowy rodu zjeżdżała się familia cała, na radę, po rozkazy. Słano młodzież do upatrzonych dziedziczek, pannom starano się o mężów dla przymierza i wpływu potrzebnych, łączono się do spraw wspólnych, pilnowano u dworu, a stojący u stéru odbiérał raporta o wszystkiém co się tyczyło domu. W złym razie pomagali wszyscy, zdobytym wpływem dzieliła się rodzina.

Brak majoratów i ordynacyj, które u nas wyjątkowo tylko i z trudnością się utrzymywały, zmuszał rodziny do pamiętania o sobie i salwowania bytu swojego dobrowolnemi ofiary. A zaprawdę, patrząc jak instytucya majoratów oddziaływała wszędzie na zmuszenie młodszych, wydziedziczonych do pracy, do szukania chleba o własnéj sile, dziś niemal żałować przychodzi, iż dla sprawiedliwszego pozornie podziału własności, u nas się ich wyrzeczono. Ocaliłyby one wiele pamiątek, majętności, tradycyj, a w szeregi pracowników popchnęły młodzież wykształceńszą, zmuszając do szukania drogi, chleba i miejsca w społeczeństwie.

Że przeznaczenie do stanu duchownego najstarszego z synów, młodzieńca nadzwyczaj pięknéj i sympatycznéj powierzchowności, już od dzieciństwa dającego poznać zdolności niezwykłe, dowcip, pojętność, bystrość—nie było dziełem powołania ale rodzicielskiéj rachuby, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Chciano na głowie jednego skupić rozpadające się mienie domu, przywrócić mu dawną świetność. Do podniesienia go w znaczeniu i majątkowo, nikt

nad młodzieńca tak szczęśliwie obdarzonego zdolniejszym nie był. Z tych samych powodów późniéj kilku młodych Krasickich obrało także stan duchowny, nie z powołania również, ale dla rodziny karyery i krescytywy. Na duchownego nie miał młody Ignacy Krasicki tych przymiotów, które tworzą apostołów, ascetów, filary kościoła, ale jako Senator duchowny Rzeczypospolitéj mógł się spodziéwać tego do czego doszedł, to jest, choćby najwyższéj Prymasowskiéj godności. Że to było gwiazdą przewodnią dla wchodzącego na drogę, dowodzić nie potrzebujemy.

Rozumna matka, przeciwko temu obyczajowi (o którym mówi Ks. Biskup w Podstolim) że panu Bogu ułomnych i krzywych na usługę oddawano, wybrała właśnie najzdolniejszego do duchownego stanu, do senatorskiego krzesła, które go minąć nie mogło. Spokojniejszego ducha, brat Antoni wyznaczony był na głowę rodziny i wiejskiego gospodarza. Jemu się miało dostać stare Dubieckie zamczysko.

Pisze Bartoszewicz (Encyklop.), iż w siedmiu leciech już młody Ignaś pobożne pieśni składał dla matki. Wiemy, iż nauki pierwiastkowo odbył w Collegium Jezuitów we Lwowie, zapewne nie bez pomocy prywatnych nauczycieli, bo znajomość obcych języków i władanie swobodne francuskim, wątpimy by (1) szkołom publicznym mógł zawdzięczać.

W r. 1750, na rok przed śmiercią ojca, młodziuchny, piętnastoletni Ks. Ignacy już będąc kanonikiem kijowskim (co musiał Załuskiemu zawdzięczać) d. 7 Stycznia mianowany był kanonikiem przemyślskim (2).

Po śmierci ojca, w r. 1751 przypadłéj, opiekować się młodzieńcem miał Ks. Biskup Kunicki, który był krewnym Krasickich (3). Rychło więc potém mógł się spodziéwać znaczniejszych promocyj, zawczasu dając się poznać z ambony jako kaznodzieja, a w towarzystwach lwowskich, krakowskich i warszawskich jako jeden z najmilszych i najdowcipniejszych ludzi—wszycy się nim zachwycali. Młody kanonik słynął już naówczas z łatwéj wymowy, i widzimy

---

(1) Razem z Ignacym chodzili do szkół bracia jego Antoni, przeznaczony na gospodarza i Karol późniéj kanonik Warmiński.

(2) Bartoszewicz mówi oprócz tego o najwcześniéj nadanéj Kanonii Poznańskiej przez Ks. Bisk. Czartoryskiego, o któréj zkąd inąd nie wiemy.

(3) Ks. Michał Kunicki, Biskup Arsynoeński Sufragan Krakowski, był bratem przyrodnim babki Ignacego. Jeździł on do Rzymu z oznajmieniem urzędowém o śmierci Augusta II. Zmarł w r. 1751.

go aż do r. 1766 wzywanego do kazań i przemówień przy różnych uroczystościach.

W Białéj w dzień Ś. Józefata, przy wielkim natłoku i zjeździe „*eruditissimo sermone*“ daje się słyszéć, mówi od Collegium Nobilium Pijarów uproszony przy katafalku Marszałkowéj Bielińskiéj itp. Jedna sobie uznanie wszystkich i wszystkim podobać umié.

Dar ten podobania się posiadał Krasicki w najwyższym stopniu, czarował nim i zyskiwał kogo chciał. Zobaczymy późniéj jak nim zachwycony był poważny Jan Śniadecki i jakie na nim uczynił wrażenie. W złośliwych pamfletach późniejszych przezywano go „Umizgalskim“ i nie sądzimy, ażeby epitet ten koniecznie miał oznaczać chęć podobania się płci pięknéj. Było w charakterze Krasickiego chciéć sobie zjednać miłość wszystkich, mało też miał nieprzyjaciół a wielkie grono wielbicieli. Bardzo pięknéj twarzy, jak z młodego portretu jego widziéć można, rysów pełnych życia i intelligencyi, temperamentu żywego, pojęcia bystrego, galant, dowcipny, wymówny, pozyskiwał sobie łatwo ludzi. W tym rysie jego charakteru wielkie widzimy podobieństwo do Stanisława Augusta, ale ściślejsza analiza wskazuje też różnice. Król chwilowo dawał się ogarnąć wrażeniom, wylewał się cały i łatwo mógł być ujętym przez każdego, choć najgorętsza sympatya jego nigdy nie ręczyła za jutro. Krasicki miłym był dla wszystkich, ale się nie poddawał nikomu i wewnętrzne jego przekonania o ludziach wcale się nie zmieniały. W królu była wrażliwość i słabość, w biskupie filozoficzna wyrozumiałość i pobłażanie.

Temi przymiotami zapewne młody Krasicki zjednać sobie musiał przychylność Biskupa Kijowskiego Załuskiego i obdarzony przez niego został koadjutorstwem Opactwa Wąchockiego. Oprócz tego w r. 1758 już w czasie pobytu zagranicą za prezentą Stanisława Augusta Poniatowskiego Starosty Przemyślskiego, Wodzicki Biskup Przemyślski dał mu probostwo przemyślskie (1).

Na wszystkie strony, jak widzimy, rodzina starała się otworzyć mu wrota do dalszych i wyższych stopni w hierarchii duchownéj, nie marząc jeszcze by znajomość ze Stolnikiem litewskim pchnęła od razu Proboszcza Przemyślskiego na księstwo Warmińskie, ode Lwowa do Heilsberga.

---

(1) Probostwo Przemyślskie wedle Bartoszewicza miał otrzymać po śmierci Stadnickiego Proboszcza Wojnickiego, kan. krak., nadane sobie przez Sierakowskiego, d. 24 Września 1758 r.

Młody Opat Wąchocki nie wyrzekł się, jak widać, przypadającego nań działu z dóbr ojczystych, z których dostał Lubowicze, Zumle w polesiu kijowskiém, z trzecią wsią i dopłatą od brata około czterech tysięcy złotych wynoszącą. Za wysoko jednak obliczają jego dochód ówczesny na 30.000 złotych. Majątki nań z działu przypadłe były najmniéj intratne, a w czasie pobytu zagranicą widzimy go ciągle w kłopotach pieniężnych, zmuszonego uciekać się o pomoc do brata.

W najpierwszym z listów jego do matki pisanych, jakie się nam dostały (1) z r. 1757 r. w Grudniu, widać już w dwudziestokilkoletnim kanoniku człowieka wyemancypowanego, zajętego sprawami domowemi i publicznemi bardzo żywo.

W liście nie brak nowin politycznych. Wspomnienie w nim o Stolniku litewskim Poniatowskim, posle do Moskwy, właśnie nazad rewokowanym, przekonywa że stosunki z nim nie były jeszcze zawiązane. „Feldmarszałek Apraxyn, pisze Krasicki, ma odebraną komendę, która dana jest jenerałowi Fermerowi (Apraxyna obwiniano o niedbałość). Wiadomości z Petersburga otrzymano zapewniające o czynném utrzymaniu aljansu z królem polskim przeciw Prusom.“

Kanonik, jak widzimy, już jest wtajemniczony w sprawy krajowe.

---

W parę lat późniéj Krasicki jest już w Rzymie.

Podróż ta z góry na lat parę obrachowana mogła téż być pomysłem matki, troskliwéj o to, aby przyszły dygnitarz nabrał poloru zagranicą. Mógł téż doradzać ją zmarły Biskup Kunicki, który Rzym znał i wpływ stosunków zawiązanych w Watykanie ocenić umiał. Wszyscy młodzi panowie kończyli wychowanie swe taką peregrynacyą, która w kraju nadawała powagę, a kto obcych państw i obyczajów nie znał, niełatwo zyskiwał posłuch między swymi.

W Rzymie też zawarte stosunki jeżeli wprost beneficjów nie dawały tak zwanym dawniéj „corteggianom“ wielce dopomódz mogły do ich pozyskania. Niezbędną była ta podróż dla przyszłego dostojnika kościoła, potrzebną dla człowieka, nie zbyteczną dla pisarza,

(1) Cytowaną przez nas korespondencyą, któréj do téj pracy użyliśmy, winniśmy niezrównanéj uprzejmości Alek. hr. Krasickiego z Dubiecka, który po Biskupie nietylko jego rękopisma, ale cały dowcip i ujmujący charakter odziedziczył. Składamy mu najserdeczniejsze dzięki za jego uczynność.

choć w tych czasach w żadnym z listów swych Krasicki nie zdradza najmniejszéj chętki do pióra i autorstwa.

W liście z r. 1760 (Maj) pisanym z Rzymu do brata Antoniego, kapitana wojsk polskich, powtarza Krasicki, że nad lat dwa bawić nie zamyśla i że wracając zamierza podróż na Paryż obrócić. Powietrze włoskie niebardzo mu służyło.

Nie zbywało na pieniężnych kłopotach. Na expedycyą koadiutoryi Opactwa Wąchockiego, o któréj wspomnieliśmy, potrzeba było dwieście czerwonych złotych, a w ogóle najmniéj trzysta, o te prosił brata, aby w sekrecie dług dlań zaciągnąwszy, przesłał mu je co najrychléj przez Ks. Orłowskiego, asystenta polskiego do Rzymu.

Z listu widać przyjazne stosunki z Wojewodą Kijowskim Franc. Salezym Potockim, królikiem Rusi, Krasicki na niego rachował.

W tym roku właśnie brat Antoni ożenił się z panną Różą Charczewską, Kasztelanką Słońską, czego mu Opat winszował. Pisze żartobliwie do niego:

„Niech mi Jejmość będzie zdrowa a skrzętna i gospodarna, to ją moją gospodynią za czasem mogę zrobić i tak idąc po stopniach może i Wąchockiego piwa zakosztuje. Kucharza dobrego przyjąć, żeby Jejmość smacznie jadła, wygody jéj wszystkie były. Kawę dobrą kazać gotować, bo to damy lubią. O kawiarce téż pomyśleć żeby była nie koczkodan. Kareta niech lekko nosi dla wygody przyszłych synowców i synowic. Zabawki dla Jejmości wymyślać żeby nie tęskniła. W czasie prezentować Imci żeby się z swojemi poznawała i z niemi cieszyła. Ja tu pokupuję dla Imci fraszek białogłowskich, kwiatów, bukietów. Niech napisze czego chce i wiele. Jeśli macie skrzypka w domu, tém lepiéj kiedy państwo nie stare, na końcu téż o mnie pamiętać i mnie kochać.“

Daléj w poufnym tym liście do brata, w pół żartem, pół seryo kreśli podział pracy w familii, która cała myśléć powinna i starać się o utrzymanie *domu* świetności, jakeśmy to wyżéj określili.

„Najpewniejszego chwytać się trzeba, pisze, tak jednak, żeby téż nie zakopywać się zupełnie. Nadto byłoby dla nas, gdybyśmy obydwa exponować się na dworszczyznę mieli. A tak dobry będzie podział, gdy W. Pan za ekonomikę pieniędzy przysposobisz, ja—szarletaństwem damskiém, o promocyi myśléć będę, i choć się jedna z dwóch dróg uda, może *dom* uszczęśliwić. Jedną zaś idąc może nic nie zyskawszy wielebyśmy stracili.“

Myśl ta *o domu* i *rodzinie* nigdy potém Biskupa nie opuszczała, starał się nawet dla najdalszych krewnych i powinowatych być po-

żytecznym. Tymczasem brat Antoni potrzebne na miejscu utrzymywał stosunki, o których wzmiankę w listach znajdujemy, z Wojewodą Kijowskim, z Antonim Starzeńskim Podstolim Sanockim, który z siostrą Krasickiego Brygitą był żonaty, z Wacławem Duninem Wąsowiczem, Starostą Kislackim (żonatym ze Starzechowską) z ks. Michałem Witosławskim proboszczem Dubieckim, (który zmarł 1769 r. jako Sufragan Przemyślski Biskup Belineński) itp.

Przykrzył się już pobyt w Rzymie, i w Lipcu (6) nalegał na brata o przysłanie pieniędzy, by mógł wyjechać. „Nie tak, żeby mi się tu znudzić miało, jako pragnąc *patrios salutare paenates.*

W Październiku wyrywał się już koniecznie do Polski, domagając sukursu na podróż i na gościńce. Nie wiadomo kto, może pan Starosta Kiślacki zażądał dziwacznéj rzeczy, aby z Włoch psy przywiózł, na co odpowiada: „Piesków ztąd wywozić trudno, gdyż mało pięknych a drogie bardzo i w podróży nieskończona z nich niewygoda. Za czém tego rodzaju gościńców, lub nie lub mało wywiozę, bez tego sam *niebardzo* jestem myśliwy.“

Trochę nim jednak był przyszły Biskup i, choć sam za strzelbę nie bierał, czasu polowania chętnie się mu w lesie przysłuchiwał i przypatrywał.

W tym tonie ciągną się i daléj listy Rzymskie, wesołe zawsze, choć pod nią tęsknota za domem zawsze się czuć daje mocno. O zajęciach swoich w Rzymie, o kraju, ludziach, stosunkach w nich cicho. Człowiek ten wesół, serdeczny, otwarty na pozór, z wydaniem najskrytszych swych myśli jest wielce oględnym. O pracach swych, o zajęciach, o tém jak czas spędzał nie mówi wcale.

Widać tylko, że na dni kilka (11 Lipca) wyjeżdżał gdzieś z Rzymu, nie pisze dokąd.

W témże piśmie cieszy się z wesela brata i dziękuje mu za opisanie jego: „Proszę kontynuować te miłe do mnie odezwy, ile mi tu są z nieskończoną satysfakcyą, jako oddalonemu.

Wyrazić W. Panu trudno, co to jest oddalenie od kraju swojego, i mimo wszelkie tych krajów pieszczoty, których u nas nie masz, *milszy polski niedostatek niż włoska obfitość.*“

Do bratowéj przypisek. „Niech szczęśliwie płodzi, a ja będę chrzcił, i tak oboje będziemy do usług W. Pana.“

W mnóstwie listów z téj epoki kończącego się panowania Augusta III, które mieliśmy w ręku, Krasickiego są jedyne może pisane czysto po polsku, bez francuskich dodatków i z pewném o styl staraniem. Wyróżnia to je i jest uderzającém tembardziéj, że Biskup, jak wiemy, pięknie i łatwo mówił po francusku.

Kończy się list zaleceniem, aby go przypomniano w Krystynopolu, gdyż wówczas jeszcze wiele rachowano na stosunki z Potockimi.

Powrót do kraju i dla tęsknoty, która go trapiła i z powodu odebranego listu i wezwania „od mojego księcia“ Józefa Załuskiego, Biskupa Kijowskiego, Opata Wąchockiego (przy którym był koadjutorem)—stawał się koniecznością.

Biskup żądał powrotu śpiesznego, „Biskup każe mi jak najprędzéj rozłączać są z tym najprzewielebniejszym Rzymem. Nie wiem jeśli który rozkaz w świecie lepiéj przyjęty był i punktualniéj wypełniony będzie.“

Biskup Załuski polecał wyjechać w Październiku, Krasicki rad by był wyruszyć we Wrześniu, a około Bożego Narodzenia być już w domu. Ale szło o pieniądze, o pieniądze, których przesyłka z kraju, przy ówczesnych stosunkach nie łatwą była.

„Ale że i w filozofii, pisze, po kwestyi: *Cur*, *quomodo*, *quando*, przykładają, *quibus auxiliis*, piszę do W. Pana Dobr., prosząc o sposób ruszenia się z miejsca.“ Długu nie chciał robić, a subsidja nie przychodziły. Nowy list wyprawił przez ks. Orłowskiego pijara, tym czasem dla familii odpusty wyrabiał w Rzymie (Dla stryjenki Teressy z Drohojowskich, żony Jaska na Koszarach i Boratynie Krasickiéj). Z domowych wiadomości cieszył się znów powtórném zamężciem siostry Brygity, która wyszła za Antoniego Morskiego Kasztelana Lwowskiego.

Napróżno wołając o wyzwolenie, w Sierpniu jeszcze (16), gdyż koniecznie chciał zdążyć na Trzy Króle na kapitułę do Przemyśla, siedział przykuty ruszyć nie mogąc.

„Rok w Rzymie żyć samą industryą, na mnie dosyć“ dodaje nagląc aby pieniądze przez Teppera wysłano. Był już zmuszony z powodu Wąchockiéj expedycyi dwieście czerwonych złotych zaciągnąć. Męczyło go to widocznie.

Mimo ciągłego wybiérania się rok ten 1760 miał skończyć w Rzymie i dopiéro w Styczniu lub Lutym na pewno się powrócić spodziéwał (List 25 Paźdz. 1760).

W tym czasie odbył wycieczkę do Neapolu, o któréj tyle tylko wzmiankuje, że mu się tam „dosyć dobrze zabawić przyszło.“

W Listopadzie widział (2 Listop. 1760), iż rezydencya mimowoli miała się przeciągnąć do Marca.

Naglił ciągle brata Antoniego o pieniądze, które z funduszów Prikuckich (zapewne z dóbr na niego przypadłych) miał zwrócić.

Ale doczekał w Rzymie i roku 1761: Marca (28) „siódmy list porzucając na los poczty“ a nagląc jeszcze o wyzwolenie.

W tym też roku powrócił do kraju, a w 1762 już go znajdujemy w Warszawie.

Nietylko listy poufne pisane z Rzymu, ale pisma Krasickiego przerzucając i szukając w nich śladów wrażeń, jakie na nim stolica świata uczyniła, znajdujemy ich bardzo mało. Ze wszystkiego widać, że pobyt nie był dlań przyjemnym i wspomnień po sobie miłych nie zostawił.

W jednym tylko późniejszym znacznie liście do G. K.—nieco obszerniéj mówi o Rzymie:

„Przez czas bytności mojéj w Rzymie najulubieńszą przechadzką moją było to miejsce, które teraz zowią polem krów, a było Forum Romanum. Wznosiło to, rozrzewniało umysł mój, gdym deptał ziemię śladami Katonów upoważnioną. Zdawało mi się widziéć ową mównicę na Rostrach, z których dawały się słyszéć Gracchy, Hortensjusze, Cycerony. Posiadających plac owéj świątnicy Jowisza Kapitolińskiego Bernardynów, rozżarzona imaginacya stawiła mi Augurami. Skała Tarpejska, gdzie teraz ogród kapuściany, przypominała mi sławną karę winowajców i gęsi nawet zdawały się być płodem owych, które krzykiem swoim Gallów odegnały. Zgoła każde spojrzenie, gdy baczne, każda myśl gdy czuła, w stolicy świata wznosi umysł i wzrusza.“

To były wrażenia starego Rzymu, o nowym, o współczesnym zupełne milczenie.

---

W r. 1762 odbywał się Sejm ten w Warszawie, w czasie którego nieprzyjaciele ministra Brühla, na synu jego generale artyleryi pomścić chcieli za wakanse, które Czartoryskich ominęły. Wystąpił przeciwko młodemu Brühlowi, między innemi Stolnik litewski Poniatowski i w izbie poselskiéj o mało do krwi rozlewu nie przyszło.

Krasicki w czasie tych burzliwych zajść znajdował się w Warszawie, prawdopodobnie jestto chwila poznania się i zbliżenia do Stolnika litewskiego, lecz z listów do matki wyrozumiéć nie można, z kim trzymał i w jakich się kołach obracał.

W roku tym, 7 Października pisze do matki. „Sejm niezmiernie liczny, dla partykularnych domów zawziętości rozszedł się, i dziś były Marszałek staréj laski posłów pożegnał. Co najgorsza, do niesłychanego przyszło przypadku, iż w izbie poselskiéj do szabel się porwano“ tegoż samego dnia, pisze do brata: „Bądź zdrów, wyrywa mi się pióro, gala urodzin królewskich i opera. Sejm zerwany i nieszczęśliw e intrygi.“

W innym liście do matki, pisanym już w Listopadzie (23) powtarza, że „intrygi te warszawskie“ zatrzymywały go w stolicy. O Stolniku litewskim, do którego niewątpliwie zbliżyć się musiał, nie wspomina. Mylą się ci, co utrzymują, że z Poniatowskim spotkał się Krasicki czasu pobytu zagranicą, jestto niepodobieństwem. Zeszli się po raz zapewne pierwszy w Warszawie, czasu Sejmu 1762 r.

W następnym roku, Krasicki czynnym był bardzo. Z przypisku do jednego listu jego do brata, widzimy jeszcze ścisłe stosunki z Wojewodą Kijowskim, zatém i z Brühlem i ze dworem, a ze stronnictwem Poniatowskim i Czartoryskim przeciwnym.

Na Św. Franciszek, Krasicki był na nabożeństwie w Kazimierzu a u księcia Miecznika w Jarowcu na imieninach, zapewne Franciszka brata jego, Chorążego W. Koronnego.

Na ten czas przypada zapewne i pobyt w Kielcach u Biskupa Sołtyka, którego pański tryb życia, dwór, ogrody, teatr, zabawy, odbijają się w późniéjszém życiu na zamku Heilsbergskim. Bawił tu młody kanonik czas jakiś i znowu piękną swą wymową miał zręczność pozyskać sobie aplauz, przemawiając w czasie urodzin marszałka Mniszcha (1).

W tym roku był i w Goraju, zkąd jeden list do brata jest datowany.

W rok potém, 1763 r. 13 Paźdz. list wysyła z Błonia.

„Za wszystkie nowiny ta stanie, która jest najnieszczęśliwsza dla naszéj ojczyzny—król umarł. Piątego dnia Oktobra w Dreznie o drugiéj z południa. Apopleksyą tknięty godziny nie doczekał, mimo wszelkie, które tylko lekarze wymyślać mogli sposoby. Trybunał na tém się rozszedł, że nic tam po ramieniu, gdzie głowy nie masz. Nowina zaś w wigilją reassumpcyi przyszła. Nie masz się jeszcze czego bać w tych czasach, ile że zwyczajnie aż w czasie Sejmików, konwokacyi rozruchy się wszczynać zwykły. Dziś na noc staniemy w Warszawie, gdzie jest książę Prymas i rady zgromadzających się Senatorów zaczną.“

W Grudniu przesyła Krasicki z Warszawy list zupełnie niezrozumiały, który zapewne przez okienka tylko mógł być czytany, a przeznaczony był prawdopodobnie dla Wojewody Kijowskiego? Dajemy go tu jak jest, nie siląc się na odgadnięcie co zawierał. Obawiano się widać pisać inaczéj, aby treść profanów nie doszła:

Brzmi on.

---

(1) Bartoszewicz.

*(D. 7 Grudnia 1763 r.)*

„Najjaśniejszy miłościwy królu! Panie! a panie miłościwy? W. Pan masz mi wdzięczność, ja zaś Wmci i to dwie wdzięczności.

Że konfederacya pańska beczkom sługi zaszkodzi; bardzo go to obchodzi.

Dziatki Boga prosić będą, ale im trzeba króla trzeźwego.

Najjaśniejsza pani kiedy się rozpruszy? Delphinem czy Infantką?

Że chorowali to źle, że zdrowi, to dobrze. Milsze dobro gdy po złém.

Król pracowity ma być? a roskosznie, słudze czas by wytchnąć, a w pracy. (Tu odcięto dwa wiersze).

Umarł Referendarz, bo człowiek. Dał administracyą Podskarbi, bo mógł—Kasztelanowi Przemyślskiemu, bo chciał.

Panu do sługi pisać, nie dąsa... a poczta jest do Warszawy.

Monarchowie im bardziéj łaskawi, tym dwu letniéj znają się na sobie.

Poddani ośmielając się otwierać monarchom oczy, bardziéj są obywatelami ojczyzny niż poddanemi królów.

Odrzuciwszy na bok charakter, starszeństwo, i to co myślę ścielę mnie pod stopy pańskie, to jest adoruję fortunę."

Tajemnicza ta korespondencya, w któréj między okienkami przegląda we wstawkach dowcip, wątpię by komu całkowicie zrozumiałą być mogła.

Zbliża się rok 1764, listów nie wiele, a w tych co są nie wypowiada się ostrożny kanonik z niczém. Pisze o rzeczach obojętnych, nie rad dotyka polityki i stosunków. Pomiędzy listami z Rzymu, a temi które teraz posyła, różnica stylu, obrotów, języka wielka i uderzająca. Znać tu już i czuć przyszłego pisarza, który szuka i dobiéra wyrazów, układa je, myśl swą jak najładniej stara się ubrać do ludzi.

Tak naprzykład, dowiedziawszy się o urodzeniu synowca Jana (1), bratu winszuje i życzenia przesyła:

„Przyrodzenie zdarzyło cię człowiekiem, hazard Krasickim, szczęście polakiem, łaska Boska katolikiem. Piastuj zatém, ale ostrożnie te przymioty, ażebyś w współkowaniu pamiętał żeś człowiek, w przystojności podściwego życia pokazał się Krasickim, w miłości oj-

---

(1) Jan Major W. Pols. zmarły w Styczniu 1831, mając lat 67, ozdobiony krzyżem Virtuti.

czyzny Polakiem, w całém życiu skutkiem nie powierzchownością, katolikiem prawowiernym. Jeżeli pójdzie temi drogami, współbliźnich wesprze, *dom* swój przyozdobi, ojczyznę zachowa i siebie uszczęśliwi. A możeż być co pożądańszego? Mówmy wszyscy: Daj to Boże, Amen. Bodajeśmy to w dobrą godzinę wymówili, a to dziecię rosło nam na pociechę."

Życzenie było w dobrą wyrzeczone godzinę i ziściło się szczęśliwie. (Na rok ten przypada nominacya kustoszem lwowskim). Stosunki młodego kanonika z przyszłym królem, naówczas Stolnikiem Poniatowskim, gdzie i jak się po raz pierwszy zawiązały, pozostało tajemnicą. Jakeśmy napomknęli wyżej, Krasicki przez dawne familijne stosunki i związki *domu* bliżéj stał królika Rusi, Brühlów, dworu, niż Czartoryskich i Poniatowskiego.

Zbliżyć musiało nadewszystko dwóch młodych podobieństwo charakterów, osobista sympatya, mniéj więcéj jedne na świat poglądy i idee. Powróciwszy z Rzymu i Paryża, młody Krasicki niósł z sobą też same pragnienia reform, ogłady, które Poniatowski w sercu nosił. Potrzebował przyszły król ludzi, pomocników, przyjaciół, coby z nim szli razem, podpiérali go i posiłkowali. Zdolności Krasickiego czyniły go dlań narzędziem nieoszacowaném. Świetny dowcip ze wszystkich przymiotów pewnie największe na stolniku uczynił wrażenie. Byłoto za panowania Voltaire'a, a ktoś co się polskim Voltaire'm być obiecywał, musiał być pochwyconym i ujętym. W epoce téj jaką u nas był w. XVIII, w chwili, któréj zadaniem było wedle wyrażenia Poniatowskiego, aby kraj z barbarzyństwa wyprowadzić, oczyścić go ze rdzy i pleśni, poobcinać poły kontuszom, fryzowanemi perukami zastąpić wygolone głowy, szable zamienić na szpady a buty na trzewiki i rubaszność dosadną na elegancką dworszczyznę—bronią jedyną jaka się do téj wojny użyć dawała, do walki z tém co przesądami zwano—mógł być tylko dowcip.

Rola to dla niego była właściwa, świéżo tego dowiódł ów wielki mistrz, który dokonał dowcipem i śmiechem czego najmędrzejsi nie potrafili filozofowie.

Polskiego Voltaira czuł Poniatowski w Krasickim, o ile fiolety być nim dozwalały.

Miał nadzieję przyszły król, że przywiązując go do siebie węzłami wdzięczności i przyjaźni pociągnie z sobą na krucyatę przeciw ciemnocie, zabobonowi, zacofaniu i starym obyczajom, któremi się brzydził.

Zadanie jakie sobie stolnik zakreślał, niejasno musiało się w jego umyśle przedstawiać.

Co do kontuszów, peruki, butów i szpady nie było wątpliwości, ale gdzie się kończył głupi przesąd a rozpoczynała tradycya szanowna, gdzie barbarzyństwo graniczyło ze czci godnym obyczajem narodowym—z tego sobie nie zdawano sprawy.

Poniatowski, który póżniéj w bibliotece swéj wystawił posąg Voltairowi z nader dziecinnym podpisem, nie myślał iść za wielbionym mistrzem zbyt daleko, kraj katolicki nie pozwalał na to, ale gdzie się trzeba było zatrzymać?

Zdawało się reformatorom przyszłym, że dużo poobcinawszy, coś dodawszy, trochę zostawiwszy, ze starego i nowego stworzy się coś, co będzie mogło żyć i żywić. Nie zastanawiano się nad nieubłaganą logiką reformy każdéj, która granic znać nie chce, obala co napadnie, aby plac oczyścić na nową budowę. Nie spodziéwał się téż Poniatowski w pierwszych leciech znaleść tak żywego oporu w ludziach i wypadkach.

Stosunki przyjazne, które już w roku 1763 łączyły przyszłego króla z Krasickim, musiały być powszechnie znane, gdy Matusewicz w pamiętnikach (zwąc Krasickiego nie wiem dlaczego proboszczem Krakowskim) pisze, iż mając na sercu, aby w pacta conventa królowi przyszłemu włożono warunek, nie brania żony tylko katoliczki, uznał pomodliwszy się wprzód na tę intencyą, za słuszne, udać się z tém do niego.

...„Oddawszy się panu Bogu, poszedłem do ks. Krasickiego, *faworyta przyszłego króla*, a na mnie łaskawego i mówiłem mu, że i przez skrupuł i przez wierność moją dla przyszłego króla, przyszedłem przestrzedz że to bardzo oddali afekt Polaków od króla, jeżeli nie będzie *in pactis conventis* dołożono, aby przyszła królowa była czy z urodzenia, czy z wokacyi rzymska katoliczka—przyznałem się téż ks. Krasickiemu, że tę remonstracyą z wielką bojaźnią czynię. Pochwalił mi ks. Krasicki tę remonstracyą, ubezpieczył mnie, abym się nie bał i upewnił, że to w paktach konwentach poprawiono będzie.“

Był więc już naówczas ks. Krasicki jawnym i znanym wybrańcem króla, i gdy nadeszła chwila koronacyi r 1764, dnia 25 Listopada, jemu król zlecił przemówienie do siebie.

Przy téj uroczystości występował téż Krasicki z deputacyą od kościoła Ś. Krzyża, zapraszającą króla, wspólnie z innemi Biskupami i duchownymi, i przy ubieraniu króla podawał koronacyjne trzewiki.

Kazanie koronacyjne z textu: „Wziął Samuel naczynie oleju i namaścił Dawida w pośrodku braci jego“, drukowane w Dyaryuszu, wyszło powtórnie z innemi późniejszemi w dodatkowych tomach Dmochowskiego. Przemówienie to „o poszanowaniu władzy

królewskiéj" nie nosi na sobie piętna wyższéj kaznodziejskiéj zdolności, nawet w porównaniu do innych kazań Krasickiego homiletycznych słabém się wydaje.

---

Korespondencya Krasickiego z rodziną rzadszą się staje w tych latach; przypisać to należy zajęciom jego publicznym. Na sejmie koronacyjnym postanowiony był rozdział Trybunału Koronnego na dwa, Wielkopolski i Małopolski. Deputatem ze Lwowa od kapituły miał być Krasicki, bo go król chciał mieć prezesem. Na to potrzeba było najprzód w kapitule zasiąść, a że wakansu nie było, Jezierski Biskup Bakoński złożył swą prelaturę, aby Krasickiemu miejsca ustąpić, który prałatem kustoszem i deputatem od kapituły został wybrany.

Za staraniem króla prezesem go wybrano i Krasicki wystąpił po raz pierwszy na świetnym trybunale w Lublinie, wysokie to zajmując stanowisko. Tu niewątpliwie przypatrzéć się musiał zblizka pieniactwu, trybunalskim intrygom i obyczajom, które z taką trafnością w Doświadczyńskim odmalował. Wrażenie tego pobytu w Lublinie i Lwowie odbija się późniéj i w Podstolim i w Pieniaczu. Czasu trybunału spotkał się kanonik z przyjacielem młodości i pokrewnym sobie Ignacym Cetnerem, człowiekiem dziwnéj dobroci serca, z którym do zgonu stosunki ścisłe zachował, Cetner bowiem był deputatem.

Do Kwietnia 1765 Trybunał się sądził w Lublinie, a od przewodów do wilii Ś. Tomasza we Lwowie, gdzie Krasicki był na własnym gruncie, wśród swoich.

W tymże roku zjeżdżał Krasicki do Berdyczowa na koronacyą cudownego obrazu Matki Boskiéj, gdzie miał kazanie, drukowane w wydanym opisie téj uroczystości przez ks. Grzegorza od Św. Ducha.

Literackie téż prace nie musiały być zaniedbane, gdyż w roku 1766 ukazuje się Monitor, który ma zawierać pierwsze Krasickiego drukowane prace.

Oprócz Krasickiego, współpracownikami jego byli: Albertrandi, Bohomolec i Minasowicz.

Jeśli się nie mylimy, znajdą się z Monitora urywki w wydaniu Dmochowskiego w zbiorze „Uwag". W nich jeszcze występując jako moralista, Krasicki, broni sobie najwłaściwszéj, dowcipu użyć nie śmie, nie jest jeszcze sobą.

W Maju (15) pisze do matki, donosząc, że: „okoliczności festynu królewskiego (Ś. Stanisława) były przyczyną wielkiego zjazdu,

tak dalece, że w sam dzień, czterdziestu kilku Senatorów przytomnych rachowaliśmy, którzy order Ś. Stanisława odebrali".

Posłał przytém na pamiątkę pierwszy odbity talar królewski.

Byłto ostatni list do matki, która pierwszych dni Czerwca (7) życie skończyła. Dowiedziawszy się o tém, pisze kanonik do brata: „Po takiém życiu jakie wiodła bardziéj się podobno do niéj niż za nią modlić należy."

Interesa własne, brata, rodziny zaprzątały go wielce, po śmierci matki więcéj niż przedtém, lecz zjechać na miejsce dla urządzenia ich nie mógł, tak przy królu był zajęty.

Brat Antoni wybiérał się posłować na sejm przyszły z Sanockiego (co się późniéj zmieniło, bo był wybranym z przemyślskiego).

Dnia 3 Września słał mu kanonik już jako posłowi rady i powinszowania. Radził się go téż p. Antoni o jezuitę francuza, którego chciał wziąć do dzieci, na co odpowiada: „Byleby tylko skrupułami żonie WPana i może jemu głowy nie zawrócił, nie źle by było trzymać w domu dla edukacyi dzieci i ćwiczenia się w języku francuskim."

Brata najmłodszego Karola, który późniéj był Archiprezbyterem Heilsbergskim i kanonikiem Warmińskim, wysłano naówczas do Rzymu. Wyposażano poczciwie stare sługi matki.

W tymże czasie (1766) król, pragnąc Krasickiego niezależnym uczynić i przywiązać go do siebie, korzystał z przybycia do Warszawy staruszka Biskupa Warmińskiego, Stanisława Grabowskiego, aby koadjutoria cum futura successione dla swego ulubieńca pozyskać. Warmińskie biskupstwo, stolica Dantyszków i Hozyuszów, było naówczas jedném z najlepiéj wyposażonych w Polsce, przynosiło pono do 400 000 złł. dochodu, senatorskie krzesło i tytuł książęcy, więcéj niż młody Krasicki, przy pierwszym kroku na świat, mógł się spodziéwać.

Lecz królowi był nietylko ukochanym, był mu potrzebnym, rachowano nań wiele w przyszłości. Piórem, słowem, wpływem, jako pisarz, dyplomata, jako człowiek niewypowiedzianie zręczny i miły, był dla króla nieocenionym sprzymierzeńcem. Był on już ulubieńcem tego grona familii i poufałych przyjaciół i przyjaciółek, które młodego króla otaczało.

Obyczajem francuskim owych czasów, dano mu nawet pieszczone nazwisko *Minet'a*, pod którém znali go wtajemniczeni.

Zapewne z téj epoki być musi owa złośliwa karykatura, która po Warszawie obiegała, wystawująca Krasickiego celebrującego mszę przy ołtarzu i służące mu do niéj piękne panie w robronach.

Tego ulubieńca króla i płci pięknéj za koadjutora narzucić staremu, surowemu, dawnego autoramentu pasterzowi nie było łatwo nawet samemu królowi; tém bardziéj, że zręczny, zabiegły, chytry, umiejący się ułożyć i przypochlebić Młodziejowski także się o to starał.

Krasicki prezydował jeszcze Trybunałowi, gdy król pierwsze uczynił starania, na które Grabowski niełatwo, ani chętnie odpowiedział przyrzeczeniem.

Odmalowano mu widać następcę zbyt płochym i światowym. Biskup miał skrupuły. Ale król nalegał i w końcu uledz mu było potrzeba.

Młodziejowski téż zapewne, nie chcąc się królowi narażać, cofnąć się musiał.

Oprócz tego potrzeba było na jeneralném zgromadzeniu stanów ziem pruskich, wyrobić indigenat, o który się król postarał, naostatek zjednać kapitułę, która przybyszowi obcemu przychylną być nie mogła.

Król, mając w tém swe widoki, silnie popiérał Krasickiego. Po otrzymaniu indigenatu, skłoniono kanonika prałata kustosza ks. Ludwika Lodron, iż za pensyą dożywotnią 400 czerw. złotych zrzekł się kanonii dla Krasickiego. Król sam zalecał go kapitule i w tym celu, jadącemu do Frauenburga, dodał mu Szambelana Dębskiego, z listem do kapituły. Srożono się w początku, lecz gdy d. 16 Października poseł królewski przybył razem z kanonikiem, zmiękli jakoś członkowie kapituły.

Po zapowiedzianego legata króla, wysłano nazajutrz cztery karety poszóstne. Dębski z Krasickim przybyli naprzód do kościoła, potém w kapitule Szambelan mowę łacińską, list pański oddając, powiedział i po krótkim namyśle, kapituła jednomyślnie młodego kandydata koadjutorem wybrała. Po czém, gdy go bliżéj poznano, nastąpiły serdeczne przyjęcia i przez trzy dni spełniano vivaty za zdrowie króla i przyszłego pasterza.

Ztąd udał się koadiutor do Heilsberga, do sędziwego Biskupa, który go znowu przy dźwięku trąb, kotłów, dzwonów i huku dział uroczyście przyjmował.

Przez cały tydzień pozostał przy nim Krasicki, a to pewnie starczyło na pozyskanie sobie jego serca. D. 23 Października byli już napowrót w drodze do Warszawy. Król, jak widać z korespondencyj współczesnych, dyplomatyczną karyerę gotował przyszłemu Bisk. Warmińskiemu. Miał on towarzyszyć Franciszkowi Rzewuskiemu posłowi do Petersburga, bez żadnego charakteru urzędowego, dla obeznania się ze stosunkami miejscowemi. Mówiono o tém jako o

wstępnym szczeblu do pieczęci. Zachodziły jednak trudności jakieś, które planu królewskiego urzeczywistnienie wstrzymały.

Koadjutor wracał pośpiesznie z Heilsberga, aby czasu sejmu być pomocą królowi.

W Październiku 1766 r., w chwili gdy się sejm miał rozpocząć, który króla zajmował mocno, pisał do przyjaciółki swéj, sławnéj pani Geoffrin (d. 5 Paźdz.) „Jutro się sejm zaczyna, piszę do was list ten z pożegnaniem. Przez tych sześć tygodni niepodobieństwem mi będzie do niéj pisywać. *Minet* od czasu do czasu pisać będzie.“

Na co (22 t. m.) odpowiada pani Geoffrin: „W. Król Mość nie zapomni rozkazać Minetowi, aby do mnie czasem pisywał.“ W Grudniu król powtarza (d. 10) i zapewnia: „Minet z mojego rozkazu pisać będzie do was w czasie sejmu.“

Na nieszczęście korespondencya ta w papiérach po pani Geoffrin zaginęła.

Właśnie w tym czasie Krasicki ważną wiadomość odebrał z Warmii i (d. 10 Grudnia) pisze do brata: „Odebrałem dnia onegdajszego przez umyślną sztafetę wiadomość z Warmii, że książę Biskup coraz słabszy, krótkiego życia czyni nadzieję. Muszę się zatém zawczasu przysposabiać na wszelkie przypadki, do czego pieniędzy trzeba.“

Co przewidywano to się stało, d. 15 Grudnia, zmarł w istocie Biskup Grabowski, a 24 t. m. Krasicki donosił bratu z Warszawy:

„W przyszłą niedzielę będę konsekrowany u Theatynów (przy ulicy Długiéj) przez ks. Nuncyusza.“ Bulla Papieża Klemensa XIII na czas przybyła i d. 28 Grudnia Nuncyusz Visconti w asystencyi Biskupów, Kujawskiego, Ostrowskiego i Płockiego Szeptyckiego, konsekrował Warmińskiego Biskupa; przy wielkim natłoku przyjaciół jego i arystokracyi. Baryły z winem nieśli Wojewodowie Inowrocławski i Podlaski, chleby W. Marszałek Koronny Książe Lubomirski i Kanclerz Zamoyski. Na obiad, który dawał Nuncyusz, król jadący na polowanie do Kozienic wstąpił, aby nowo poświęconemu powinszować.

Ostatniego dnia roku odprawiono (Bisk. Załuski) żałobne nabożeństwo za duszę Bisk. Grabowskiego u Ś. Jana.

D. 2 Stycznia złożył Krasicki przysięgę senatorską na zamku i zasiadł krzesło na sejmie. Rok to był (1767) dla księcia Biskupa ciągłych podróży i wielkiego ruchu. Naprzód potrzeba było przedstawić się w Skierniewicach Prymasowi Łubieńskiemu, jako głowie kościoła Rzeczypospolitéj, w Lutym zaproszony został do Radzynia przez Jenerała artyleryi Eustachego Potockiego, który córkę wydawał za księcia Sanguszkę Star. Czerkaskiego. Tu przy ogromnym zjeździe familii i skolligowanych domów, zarazem obchodzono i uro-

dziny księcia Biskupa i nazajutrz wesele, po którém zaraz wyjechał Krasicki na Lubartów z powrotem do Warszawy, po drodze odwiedzając czcigodną matronę Barbarę z Duninów kżnę Sanguszkową.

D. 14 Lutego już poświęcał chorągwie kompanii Pontonierów w pałacu Rzeczypospolitéj, a wkrótce potém dawał ślub pannie Kunickiéj, wychodzącéj za adjutanta królewskiego Szwejkowskiego. On téż w kaplicy zamkowéj głowy posypywał popiołem, on neofitów chrzcić musiał i nowych biskupów konsekrować, porywano go na wszystkie strony.

Po Wielkiéj nocy jednak wybiérał się do Warmii nareszcie „Myślę,“ pisze do brata, „wjazd mój do katedry w sam dzień Ś. Stanisława odprawić.“ Była to atencya dla króla, który podobnież koronować się chciał w dzień Ś. Katarzyny. Brat Antoni wybiérał się na wjazd uroczysty przybyć także do Heilsberga, na co Biskup odpowiada z Warszawy (d. 29 Marca).

„Jakom zaś dawniéj prosił, tak i teraz powtarzam, abyś WPan tylko chciał zjechać sam bez wszelkiéj zgrai. Gdyby był pan Rościszewski chciał przyjechać, przyjąłbym go z radością, ale wreszcie najlepiéj sam WPan przyjeżdżaj, wziąwszy z sobą Boznańskiego tylko. Wjazd mój cokolwiek się przewlecze, albowiem na galę królewską tu się zostać muszę, po któréj jednak nie bawiąc wyjeżdżam.“

Z tegoż listu dowiadujemy się, że Krasicki stał przy królu na zamku, gdyż po pożarze przypadkowym, który się obszedł bez szkody, dla niego, oprócz drobnych rzeczy przy przenoszeniu, Krasicki się wyniósł.

„Że zaś skrzydło całe spaliło się, przeniosłem się do mego pałacu, dla téj przyczyny żebym drugim pogorzelcom moim apartamentem łagodził.“ Do tegoż listu (Marzec) przyłączał dla brata deklaracyą dworu rosyjskiego, świéżo podaną, jako i list Panina do Repnina „z których skryptów, dodaje uznać WPan potrafisz, jakich rzeczy pretendują.“

D. 4 Kwietnia powtarza bratu: „Ztąd (Warszawy) ruszam się zapewne 9 Maja, nazajutrz po święcie królewskiém. Że zaś Senatus Consilium na dzień 25 miesiąca Maja jest naznaczone, więc tylko tydzień zabawiwszy w Heilsbergu, znowu do Warszawy.“

Takie widać było wymaganie króla, który go chciał zaprządz do swéj polityki. Po Radzie Senatu miał pierwszych dni Czerwca wracać do swéj stolicy, ale nie dozwolono mu tam bawić tylko do sejmu. (Brata prosił, ażeby mu przywiózł z sobą ze cztery tysiące dukatów w złocie).

W istocie wyjazd w Maju nastąpił, lecz zobaczmy co o tém król donosi do swéj mamy, pani Geoffrin; już przewidując pono, że Krasicki dlań nie będzie tak posłusznėm jak chciał narzędziem.

W pięć dni po złożeniu senatorskiéj przysięgi, pisze król (d. 7 Stycznia) „Minet jest Biskupem i pełnym Senatorem (en plein); stary jego (poprzednik) umarł w sam czas gdy bulle na koadjutoryą z Rzymu nadeszły. Jest dziś człowiekiem bogatym, a szczęściu jego publiczność aplauduje. Wiecie, że twarz ma piękną, twarz ta radość wyraża, a ja go uczyniłem szczęśliwym. Sądźcie czy mi na niego spoglądać miło.“

W miesiąc potém (d. 7 Luty) odpisuje p. Geoffrin „Wierzę bardzo, że Minet szczęśliwy być musi i piękniejszy niż kiedy. Bóg stwarzając ludzi wielu uczynił nieszczęśliwych, a wy, królu mój, dając mitrę Minetowi, zrobiłeś go szczęśliwszym niż sam jesteś.“

Na co król, zaraz po odjeździe Krasickiego odpowiada (d. 13 Maja) „Minet wczoraj pojechał jak szczur odbywać rekollekcye w sérze swoim. Bardzo się lękam, ażeby ten Minet tak miły, tak dowcipny, tak pilny, a który mi winien tyle, nie stał się próżniakiem (fainéant) niedbającym o nic i o nikogo tylko o swe własne przyjemności i lenistwo swoje. Przykro mi, że mam pewne poszlaki które zdają się to zwiastować.“

Temi mniemanemi poszlakami były wstręty Krasickiego do spraw publicznych, w których on stale wytrwał do końca, czując, że na innėm polu skuteczniéj czynnym być może.

Pani Geoffrin, prawie zawsze myśl każdą króla potwierdzająca pobłażliwie, odpisuje na to w Czerwcu (d. 7). „W. Król. Mość piszesz mi o Minecie w sposób, któremu się wcale nie dziwię. Ja go w ciągu ośmiu dni widziałam już takim jakim go W. Kr. Mość dziś poznajesz. Gdyby moje portrety więcéj znalazły szczęścia u W. Kr. Mości byłabym odmalowała jego wizerunek, taki jakim go dziś W. Kr. Mość widzisz. Powiedziałam kiedyś o kobiécie bardzo miłéj, wielce dowcipnéj, mającéj w towarzystwie wiele wdzięku, ale niedbającéj wcale o nic i o nikogo, że była dochodem dożywotnim (rente viagère), który życie czyni wygodniejszém, ale kapitał od niego stracony. Powiedziałam to jéj w oczy, rozśmiała się z tego, znajdując porównanie bardzo ładném. Obojętność jéj aż tak daleko sięga, chociaż Minet'a mam też za dochód dożywotni, nie sądzę jednak, aby kiedykolwiek uchybił W. Król. Mości. Na pracę jego nie sądzę by wiele można rachować. Towarzystwo jego będzie W. Kr. M. zawsze bardzo przyjemném, i wiém nawet że myślą jest jego, mieć bardzo dobry dom otwarty, którym W. Król. Mość rozporządzać będziesz.“

List ten z wielu względów ciekawy, dowiadujemy się z niego, że p. Geoffrin przez ośm dni Krasickiego widywała (gdzie? w powrocie z Włoch?); potwierdza on cośmy mówili, iż Biskup chciał służyć królowi swoim wpływem na społeczeństwo, swym domem, ale się od polityki usuwał.

W Lipcu (12) Pani Geoffrin donosi królowi: „odebrałam list od Mineta, z którego jestem bardzo kontenta. Minet ostrożny, słowa nie mówi w nim o sprawach teraźniejszych.“

Widzieliśmy to już z listów do brata, że Biskup w ogóle o rzeczach drażliwych rozpisywać się nie lubił.

Do kroniki tego roku tak czynnego, dodać trzeba, po konsekracyi (29 Marca) ks. Sosnowskiego na Sufragana Inflant (u Ś-go Krzyża); wycieczkę wielkanocną do Prymasa, razem z Młodziejowskim; d. 8 Maja obchód Ś. Stanisława w Warszawie, w Maju wyjazd do Warmii (d. 11) i powrót na Radę, która się d. 28 t. m. zamknęła.

Wkrótce potém, po nastąpionéj śmierci Prymasa (Czerwiec), Krasicki z Młodziejowskim i Załuski, zwłoki jego przeprowadzali do Łowicza. Na chwilę nie miał spoczynku.

Jak było postanowioném, Krasicki w Czerwcu powrócił z Heilsberga, i widzimy go już w tym miesiącu pełniącym swe biskupie obowiązki. Zaproszony przez księżnę Barbarę z Duninów Sanguszkową Marszałkową W. L., koronował cudowny obraz w Miedniewicach. Miedniewice (powiat Mszczonowski) słynęły nim od r. 1675. Przy kościele osiedli później reformaci, nową świątynię w r. 1755 poświęcał prymas Komorowski, a w r. 1767 d. 7 Czerwca, Krasicki za zezwoleniem z Rzymu, w asystencyi ks. Józefa Jędrzeja Załuskiego Biskupa Kijowskiego, włożył koronę.

Wnosić należy, iż przyjazna mu ks. Sunguszkowa sama go o to uprosiła.

Jestto ta sama pani do któréj Krasicki napisał wiersz:

Prababko, jednak miła, płci niewieściéj cudzie,
Racz powiedziéć zkąd takie powaby i wdzięki?
Urodziłaś się jednak tak jak inni ludzie—i t. d.

Kończy się ten wdzięczny wierszyk na pochwałę staruszki, świadcząc że umiała:

Ująć serca przykładem, wdziękiem oczy pieścić.

Pomiędzy Królem a Biskupem były nieporozumienia jakieś, wymagania z jednéj strony, opór z drugiéj. W Sierpniu pisał król (26) do przyjaciółki swéj: „Przypadek mi nastręczył zręczność powiedziéć kazanie (ale nie ostre) Minetowi. Zrobiło ono pewne wrażenie, bo się przekonał zarazem, że głos publiczny był *przeciwko niemu*?

Czém mógł Biskup zawinić? nie omylimy się, sądząc z późniejszego jego postępowania, iż szło o pewnego rodzaju indyferentyzm polityczny. Poniatowski żądał go widzieć czynniejszym w ówczesnych intrygach, a Krasicki się wzdragał, być bardzo może i dlatego, że go dawne stosunki z króla przeciwnikami łączyły, które pewne obowiązki wkładały. Dosyć tu wspomnieć Krystynopol i Wojewodę Kijowskiego. To tłómaczy wszystko.

Pani Geoffrin odpisuje królowi na to kazanie (14 Września): „Bardzo jestem rada, że W. Kr. Mość miałeś maleńką rozprawę z Minetem. Ma on wiele dowcipu i dowcip nader miły; kocha W. Kr. Mość i wié co jéj jest winien, ale czasem nie czuje tego dosyć mocno. Czynności naszych pobudką nie jest to co wiemy, ale to co czujem. Wadą Mineta jest, że nadto w sobie żyje (personnel), ale powtarzam to, kocha głęboko W. Kr. Mość. Wyrazy W. Kr. M. łagodne, ale nieco osolone, rozbudzą w nim uczucia i dadzą mu poznać jego winy.“

O tém wszystkiém listy Biskupa milczą, stają się rzadsze, nie tykają prawie spraw publicznych. W Październiku krótko donosi: „(d. 8) Sejm lubo miał być zalimitowany wkrótce, podobno jednak dłużéj niż spodziéwamy się przewleczony będzie.“

W Sejmie 1767 pod hasłem konfederacyi Radomskiéj, zasiadł Krasicki jako Senator, nie występując jednak czynnie. Było zwyczajem kapituły, że Biskupom na sejm jadącym ofiarowała *subsidium charitativum*, które się nazywało, podarkiem na karty. Otrzymał go i Krasicki, ale po książęcemu na swój dwór rozdzielił, bo w istocie więcéj o ludziach niż o sobie pamiętać lubił.

Rola, jaką odegrał Krasicki czasu tego sejmu, z trudnością się daje określić. Widzimy go na pozór bezczynnym i neutralnym, bo się do polityki mięszać nie lubił, król z niego niekontent, starzy formaliści trochę go mają za farmazona, choć świeżuteńko order Ś. Jana Jerozolimskiego otrzymał. Bartoszewicz powiada, że radził opór i zawieszenie sejmu, a Senatorów namawiał, aby się nie schodzili, co oni mieli przyrzec i nie dotrzymali. W końcu dodaje, iż z powodu tych rad dano mu rozkaz (?) opuszczenia sejmu i Warszawy, Dla nas widoczniejszém jest daleko, iż zgodnie z charakterem swym. zachowywał się biernie i umiarkowanie.

Złośliwe paskwile także, choć z przesadą, charakter ten jego podnoszą. W „Cnocie uciemiężonéj“ rodzaju pamfletu dramatycznego, Krasicki nazwany „Umizgalskim,“ przedstawia się blado, jako starający się przypodobać wszystkim, a pamiętający tylko o sobie. Zdradził się autor téj ramoty, z nieznajomością stosunków, bo przypisuje

Krasickiemu zabiegi o biskupstwo Kujawskie po Ostrowskim, który chciał na Krakowskiém Sołtyka zastąpić. Tymczasem Kujawskie gorszém było i w hierarchii od Warmińskiego niżéj stało.

W innéj „Cenzurze polskich biskupów“ o Krasickim pisze autor.

Biskup Warmiński, Gładysz gładkich sentymentów,
Nie lubi mieć o wiarę trudów i zakrętów.
Czyli w téj, czyli w owéj wierze, żyć jest jedno,
Lepiéj zawsze w rozkoszy, niż tam kędy biedno.

Wyjechał w istocie Biskup z Warszawy, przyrzekając na N. Rok powrócić. W Listopadzie obchodził przy huku dział, Te Deum i wspaniałéj uczcie w Heilsbergu, rocznicę koronacyi.

W przejeździe przez Brunsbergę witali go jezuici (1).

W roku 1768 z powrotem przybył Krasicki do stolicy na czas dłuższy i w czasie konfederacyi Barskiéj mieszkał tu ciągle, zajmując dom Wasilewskiego, Rządcy Dworu Króla, na Krakowskiem-Przedmieściu (późniéj S. Orgelbranda).

Spełnił tu co przyrzekał pani Geoffrin, co miał wcześnie na myśli, urządził wspaniale dom, otworzył go, szczególniéj dla uczonych i literatów, dawał wieczory, na których król i mnóstwo osób bywało. Wpływ biskupich salonów na społeczność warszawską mógł i musiał być bardzo wielki, ale na tém ograniczyła się cała działalność Biskupa.

Późniejszy sposób życia Krasickiego dozwala wnosić, iż występował tu okazale i po pańsku. Pieniędzmi szafowano rozrzutnie, nieoględnie, tak że (powiada Bartoszewicz) często ich brakło, mimo ogromnych dochodów, a dwór i otoczenie Biskupa bogaciło się jego nieopatrznością. Na wieczory i wytworne wieczerze, schodziły się tłumy miejskich pasorzytów, których Biskup ostrygami karmić i burgundzkiém winem poić musiał. Gdy w jednym z salonów uczone i dowcipne wiodły się rozmowy, w drugich musiano zastawiać stoliki do gry, wedle ówczesnego zwyczaju. Krasicki sam nie grywał, ale rozrywkę tę, jak widzimy z Podstolego, tolerował.

Z kamienicy Wasilewskiego i tych wieczorów świetnych, rozchodziły się już pierwsze pisma Krasickiego, bajki jego i satyry, które chciwie rozchwytywano i przepisywano. Poeta trafił w nich od-

---

(1) Clarissimo, Ill. Excell. ac Rev. D. Domino Ignatio Comiti a Krasiczyn Krasicki, cum Cathedram suam aditurus, urbem Brunsbergensem transiret, Collegium Bruns. S. I. 1767.

razu na formę dla siebie najwłaściwszą, bo w istocie bajki i satyry są pod względem artystycznym najbardziéj wykończone, najwyższéj wartości. Bajeczki te, króciuchne, pełne dowcipu, pisane tym językiem, który dla nich stworzył Krasicki, którego nikt po nim nie przejął, choć wielu naśladować go chciało, biegały po rękach, podawano je sobie z ust do ust. Wiele z nich do czasów i wypadków zastosowane, zawiérające alluzye do osób znanych, nabiérały przez to większéj jeszcze siły i ostrości, dla nas już dziś niezrozumiałéj. Pomimo to nie straciły i dziś na wdzięku.

W ciągu tych czterech lat pobytu w stolicy, Krasicki, chociaż jeszcze nie drukował pism swoich, popularność już niemi pozyskał. Znano je powszechnie. Towarzyski, miły, umiejący się podobać, łatwo do siebie przypuszczający ludzi, zajmując już stanowisko wybitne, podwójnie zyskiwał serca, talentem i uprzejmością. Otwarty dom pański, wiele się też do wziętości księcia Biskupa przyczyniał. Kobiéty, które w ówczesném społeczeństwie tak wielką rolę odegrywać zaczynały, były wielkiemi młodego Biskupa wielbicielkami. Dowcipował z równą łatwością po francusku jak po polsku, a dowcip jego miał tę właściwość zawsze, że wszystkim się podobając, nigdy nie zadrasnął nikogo.

Z tych lat wiadomości, listy i ślady życia Krasickiego są bardzo szczupłe.

Stosunki z królem były zawsze naprężone bardzo; uskarżał się na Biskupa Poniatowski, z coraz większą goryczą. Widać, że polityczne ich zapatrywania się coraz bardziéj się rozchodziły.

Niezrozumiałém dla nas jest króciuchne wspomnienie w listach p. Geoffrin, że w r. 1769 (18 Września) „Biskup Warmiński przed trzema dniami wyjechał z Paryża“. O téj bytności zagranicą, która połączoną być by mogła z jakąś misyą polityczną, zkądinąd nic a nic nie wiemy.

W sercu króla żal ciągle się zwiększał. W r. 1771 (15 Września) pisze p. Geoffrin: „W. Kr. Mość, któréj trudno jest w zło uwierzyć, powątpiewasz o tém jakie mu wyrządził Biskup Warmiński. (Już go nie nazywają Minetem). Zaklinam W. Kr. Mość, abyś mi raczył powiedziéć o co chodzi. Interesa jego trudno będzie naprawić, ten co się o to pokusi, bardzo być zręcznym powinien, a Biskup musi się stać bardzo powolnym, aby dojść do tego.“

Widać, że na zaklęcie swéj przyjaciółki, król musiał odpowiedziéć, wyjawiając co miał przeciwko Krasickiemu, gdyż p. Geoffrin odpowiada z oburzeniem: „Niewdzięczność Biskupa Warmińskiego jest równie straszliwa (effroyable) jak Ogińskiego (Hetmana). Czém-

że to był wprzód ksiądz Krasicki? W. Kr. Mość pozwolisz mi sobie powiedzieć, że niewdzięczność jest przywarą bardzo w Polsce pospolitą, a w ogóle w całéj ludzkości. A co ją u was czyni powszechniejszą, to że W. Kr. Mość nie możesz raz wyświadczonych dobrodziejstw cofnąć, ani niewdzięcznych ukarać.“

Po za temi oskarżeniami stoi obojętne i oględne zachowanie się Biskupa czasu konfederacyi Barskiéj. Nie mamy dowodów, że dla niéj okazywał sympatye, lecz jawném jest, że przeciw całemu temu ruchowi, czynnie występować nie chciał.

*(c. d. n.)*

---

# NOWE MYŚLI O WYCHOWANIU,

PODŁUG

**OGÓLNYCH ZASAD PEDAGOGIKI**

HERBERTA SPENCERA,

STREŚCIŁ

**Adolf Dygasiński.**

(*Dokończenie*).

---

## II. Wykształcenie umysłowe.

Po usunięciu jednego błędu następuje zwykle przewaga błędu wprost przeciwnéj natury. Po czasach, których całém usiłowaniem było wychowanie człowieka fizyczne, nastał czas, gdzie troszczono się jedynie o ducha, gdzie trzechletnim dzieciom wkładano w rękę książki i zdobycie nauki uważano jako rzecz jedynie potrzebną. Nareszcie postęp oba te sporne między sobą błędy uznał jako dwie przeciwne strony jednéj prawdy, przez co nabrano przekonania, że zarówno dbać należy o ciało jak i o ducha, aby całości zapewnić właściwy rozwój. System forsowania został przez wielu zaniechany i poczęto się obawiać przedwczesnéj dojrzałości w dzieciach. Ludzie zaczynają pojmować, że pierwszym warunkiem życia jest być zdrowém stworzeniem. Najlepszy mózg okaże się nieużytecznym, jeśli mało ma krewkości życiowéj i nie może pracować.

Używające dawniéj wielkiego powodzenia uczenie się na pamięć dyskredytuje się z dnia na dzień coraz więcéj. Wszyscy potępiają dzisiaj stary mechaniczny sposób nauczania alfabetu, a niemniéj słynne w swoim czasie „raz jeden jest jeden“ ustępuje miejsca eksperymentalnéj metodzie. W nauce języka plan szkół łaciń-

skich wyparty zostaje przez inne plany, polegające na naturalnym procesie samodzielności, przejawiającym się u dziecka, gdy sobie ono przyswaja język ojczysty. System pamięciowego uczenia, podobnie jak inne systemy swojego czasu, cenił więcéj formy i symbole, aniżeli rzeczy przez nie przedstawione. Powtarzać dokładnie wyrazy, było wszystkiém, rozumiéć ich znaczenie—niczém, a tak poświęcono ducha literom.

Zauważano już dawno, że w tym razie, jako też we wszystkich innych, podobny rezultat jest koniecznością,—że im większa baczność poświęcona jest symbolom, tém większa niebaczność dla rzeczy symbolizowanych.

Sciśle z pamięciowém nauczaniem połączone nauczanie z reguł chyli się również do upadku. Na to miejsce występuje nowa metoda, obznajmiająca ucznia najprzód z pojedyńczemi faktami, następnie zaś uogólniająca te fakta.

Podawać komuś rezultat badania a pozostawić go w nieświadomości dróg do tego rezultatu wiodących, jest rzecz niewdzięczna i bezpłodna; bo prawdy ogólne, jeśli mają przynieść korzyść należytą i trwałą, muszą być z faktów szczegółowych wydobyte. Przysłowie „jak przyszło, tak poszło“ da się zastosować zarówno do mienia jak i do wiedzy.

Z pomiędzy nowych metod, które powstały na ruinach starych, najważniejszą jest systematyczne wykształcenie obserwacyi. Po długich latach ciemnoty zaczynają ludzie przeglądać i poznawać, że samodzielność oraz rozbudzone władze obserwacyi mają w wychowaniu dzieci swoje znaczenie oraz wartość. To, co dawniéj uważano za czynność bezcelową, za igraszkę,—uznane dziś zostało za ważny proces przyswajania sobie wiedzy, na któréj wspiera się i osadza wszelka późniéj nabyta nauka; stąd mamy dobrze pomyślany, ale często źle wykonywany system poglądowego nauczania (object-lessons).

Bez dokładnéj znajomości widzialnych i dotykalnych przymiotów rzeczy wyobrażenia nasze muszą być błędne, wnioski mylne a badania bez rezultatów. Jeżeli wykształcenie zmysłów zostało zaniedbane, natenczas i całe późniejsze wychowanie będzie niedostateczne. Rozważając rzeczy bliżéj, przekonywamy się, iż w życiu wyczerpująca obserwacya odgrywa wielką rolę. Musi się w nią uzbroić lekarz, bo od niéj zależy dokładność dyagnozy; filozof przy jéj pomocy winien rozpoznać stosunki różnych rzeczy; poeta nawet bez obserwacyi nie mógłby należycie ocenić piękności natury.

Upadła stara metoda przedstawiania prawd in abstracto a powstała nowa przedstawiania ich w konkretnéj formie. Początki sta-

nowiące podstawę umiejętności ścisłych nauczane bywają za pomocą metody poglądowéj. Przy pomocy kart i modeli naucza się geometryi oraz geografii, a najwybitniejszą cechą takiéj metody jest to, iż umysł każdego dziecka przechodzi na małą skalę ten sam proces, który na wielką skalę przechodziła ludzkość. Albowiem prawdy odnoszące się do liczby, formy lub położenia wzięte zostały pierwotnie z rzeczy i podawać je dziecku w sposób zmysłowy znaczy tyle, co nauczać je różnych prawd tak, jak się ich ludzkość nauczyła.

Nabywanie wiedzy dzisiaj stało się przyjemném i pełném wdzięku, wystąpiła dążność podawania nauki rozwijającemu się umysłowi tak, jakby on tego w rozwoju swoim koniecznie potrzebował.

Stąd naukowe plany dla młodzieży odpowiadają coraz więcéj jéj upodobaniom.

Lekcye powinny być zawieszone, zanim dziecię okaże znaki znużenia. Krótkie przerwy podczas nauki, wycieczki w pole, powabne czytania, śpiewy chórem itd. powinny łączyć się z nauką. Ascetyzm znika w wychowaniu, jak i w życiu; dążność zaś oraz usilność uszczęśliwienia człowieka, będące probierczym kamieniem wartości państwowego prawodawstwa, zaczynają być w wysokim stopniu zastosowywane do prawodawstwa szkoły. We wszystkich stworzeniach całéj natury wesołe uczucie zadowolnienia towarzyszy spełnieniu koniecznych czynności. Jeżeli zatém szeregujemy w odpowiedniém następstwie różne przedmioty i wybiéramy sposoby nauczania takie, które wychowańca wabią, spełniamy jedno z przykazań natury i postępowanie nasze stosujemy do praw życia.

Jesteśmy tedy na drodze, którą już dawno zapowiedziała nauka Pestalozzi'ego, że wychowanie w całym swoim stopniowym przebiegu oraz i pod względem metody musi być zgodne z naturalnym procesem umysłowego rozwoju; że umysłowe zdolności potrzebują oznaczonego rodzaju wiedzy; że zadaniem wychowawców jest ustalić właściwe następstwo i oznaczyć jakość nauczanéj wiedzy. *Głównym celem wychowania jest doprowadzić wychowańca do takiego stanu, ażeby się sam nauczał.*

Obawiamy się, aby nam kto nie postawił pytania: jeżeli prawdą jest, że umysł podobnie jak ciało ma oznaczony pochód rozwoju; jeżeli się rozwija naturalnie, a pożądanie téj lub owéj nauki budzi się wtedy zawsze, gdy jéj umysłowi jako pokarmu potrzeba; jeżeli w samym umyśle znajduje się taki głos ostrzegawczy wzywający we właściwym czasie do właściwego rodzaju czynności,—to czemuż dzieci nie pozostawić wychowaniu natury?

To pytanie wygląda wcale niebezpiecznie, jednakże nie w takim stopniu, abyśmy się w obec niego mieli zaląknąć. Ogólne prawo życia jest, że każde wyżéj uorganizowane stworzenie, a przedewszystkiém człowiek, otrzymuje wykształcenie całkowite od dorosłych. Nowonarodzone dziecię nie jest wstanie dostarczyć sobie zarówno środków do życia, jako téż wykształcić swoich zmysłów, ale w obu razach główném zadaniem rodziców jest, aby na podręczu były wszelkie warunki rozwoju dziecięcia.

Jakkolwiek trudno podać szemat wychowania, wykończony tak pod względem formy jak i treści z powodu małego dotąd zastosowania do życia prawd psychologii racyonalnéj, jednakże możliwą jest rzeczą przynajmniéj zbliżenie się do takiego doskonałego szematu przy pomocy pewnych przewodnich zasad, zdobytych w drodze doświadczenia.

Ażeby drogę dla dalszych badań utorować, postaramy się tu o wyznaczenie niektórych z tych zasad.

1) *Że w wychowaniu powinniśmy zdążać od rzeczy pojedyńczych do złożonych*, jest prawdą, która do pewnego stopnia zastosowaną już została. Umysł w rozwoju swoim kroczy tą samą drogą, wychowanie więc jako zewnętrzny wyraz tego wewnętrzego procesu powinno podobnąż dążność okazywać. Formuła ta ma jeszcze dalsze zastosowanie: nietylko przy nauce pojedyńczéj jakiéjś gałęzi wiedzy postępujemy od rzeczy pojedyńczych do złożonych, ale to samo trzeba mieć na względzie, kiedy chodzi o całość wiedzy ludzkiéj.

Umysł najprzód niektóre tylko swoje zdolności rozwija, następnie powołuje inne do współdziałania, aż wreszcie wszystkie jednocześnie czynnie występują. Nauczanie więc nasze powinno najprzód od niewielu przedmiotów zacząć, do tych przedmiotów powoli przyłączać inne, aż nareszcie wszystkie przedmioty jednocześnie traktować.

2) *Rozwój umysłu postępuje od rzeczy nieoznaczonych do oznaczonych.* Mózg, podobnie jak inne części organizmu, wydoskonala swą budowę dopiéro z dojrzałością człowieka, a w miarę tego jak budowa jest nieudoskonaloną, nie mogą być doskonałemi i czynności mózgu. Jak nieoznaczone są pierwsze ruchy ciała i próbki języka, tak również pierwsze spostrzeżenia i myśli. Niewyćwiczone oko dziecięcia rozeznaje pierwotnie tylko różnicę światła oraz ciemności, ale w miarę postępu w doskonaleniu się oka występuje rozpoznawanie rodzajów i stopniowania barw, jako téż szczegółów formy.

Podobnież umysł, jako całość i w każdéj swojéj pojedyńczéj władzy, zaczyna od najgrubszych różnic między przedmiotami i czyn-

nościami a zdąża do różnic coraz delikatniejszych i ściśléj przedmioty oznaczających.

Metoda i cały przebieg wychowania powinny zastosować się do tego ogólnego prawa. Nauczanie dziecka rozpoczyna się od niewykończonych pojęć, które dopiéro zwolna w ciągu czasu będą się jaśniejszemi stawały, w miarę jak zdobycz doświadczenia będą wspiérały to dzieło.

3) *Nauczanie powinno zaczynać od rzeczy zmysłowych (concreta) a kończyć na oderwanych (abstracta).*

4) *Wychowanie dziecka powinno zgadzać się z historycznêm wychowaniem ludzkości.* Innemi słowy: Wychowanie ma być powtórzeniem cywilizacyi na małą skalę. Tu bowiem metodę wypracowała już ludzkość przez nieskończoną ilość porównań, obserwacyj, badań, teoryj w dziedzinie każdéj wiedzy i na właściwéj drodze.

5) *Z powyższego wynika, iż w każdéj gałęzi wiedzy powinniśmy zdążać od empiryi do teoryi.* Wszelka bowiem nauka miała swoje czysto empiryczne stadyum, a gdy już na têm polu zgromadzony został odpowiedni kapitał spostrzeżeń, natenczas rozpoczęło się spekulacyjne myślenie.

6) *Wychowaniec w najwyższym stopniu powinien być pobudzanym, aby sam przez się sprowadzał proces własnego rozwoju.* Niechaj dzieci, o ile możności same badają i z badań swoich własne wyprowadzają wnioski; niechaj na własną rękę robią odkrycia i wynalazki. Ludzkość wyrabia postęp w drodze takiego samouctwa. Kto wzrósł w tresowaniu szkolném i zatrzymał je sobie w pamięci, ten może nie będzie zwolennikiem podobnego wychowywania. Ale niech pomyśli, ileż to dzielnych ludzi przebiło się nietylko przez zaklęte misterye szkolnictwa, lecz i przez tysiące wielkich trudności, dlatego tylko, że byli sami nauczycielami samych siebie. Owa urojona potrzeba prawienia dziecku aż do znudzenia o tém, co ono samo wynaleść powinno, jest następstwem nie dziecięcéj, ale naszéj własnéj umysłowéj ograniczoności. Plecie się nieraz koszałki opałki o rzeczach tak skomplikowanych, że one są zupełnie niepowabne dla dziecka. Potém zaś wyprowadza się wniosek, że dziecko nie ma chęci do nauki i następnie stosuje się groźby oraz kary, aby taką głowę raz przecię nagiąć do rozwoju. Głowę się nagnie zaprawdę, ale do wstrętu dla wszelkiéj nauki! Przez taką metodę wychowujemy nieporadność i ta właśnie nieporadność jest podstawą niedołężnéj naszéj metody.

7) Ostatecznym kamieniem probierczym do osądzenia naszego zarysu wychowawczego powinna być odpowiedź na pytanie: „*Czy on wychowańcowi sprawia zadowolnienie?*“ Jeżeli nawet plan nasz ze

stanowiska teoretycznego wydaje nam się znakomitym, ale nie obudza interesu, lub obudza mniejszy interes aniżeli inny jakiś plan, to powinniśmy go zaniechać; albowiem na umysłowy instynkt dziecka więcéj tu liczyć należy, aniżeli na własną naszę rozwagę.

Jak wszystkie w ogóle przewodnie prawdy, tak i te, któreśmy tutaj wyliczyli, niewiele zaważą, jeżeli je pozostawimy w tych abstrakcyjnych formach. Przeto od teoryi wychowania przechodzimy teraz do poparcia jéj praktyką.

Już Pestalozzi wiedział, że wychowanie zaczyna się w kolébce dziecka. Niemowlę szeroko rozwartemi oczyma rozpoznaje zawczasu otaczające je przedmioty, pilnie przysłuchuje się każdemu dźwiękowi, rączkami chwyta różne rzeczy i do ust wkłada. Jest to pierwsze ogniwo w owym łańcuchu rozwoju, który się kończy odkrywaniem niedostrzegalnych planet, wynajdywaniem machin rachunkowych, tworzeniem znakomitych obrazów lub wspaniałych muzycznych kompozycyj.

Otóż nic naturalniejszego jak dostarczać niemowlęciu przedmiotów poznania, aby na nich pierwsze swe zdolności ćwiczyć mogło. W tém miejscu zwracamy uwagę, iż znakomita teorya Pestalozzie'go nie była w tym punkcie zgodna z jego praktyką.

„Książka do pierwszego czytania, mówi on, powinna w sobie zawiérać wszystkie dźwięki języka i tych w każdéj rodzinie należy nauczać od najpierwszego dzieciństwa. Dziecię uczące się głosek niechaj te głoski powtarza przy leżącém w kolebce niemowlęciu, ażeby to ostatnie już zawczasu obznajmiło się z dźwiękami mowy.“

Z tego i z innych jeszcze poglądów słynnego pedagoga odnośnie do imion, liczby, położenia, przymiotów itd. widać, że pojęcia Pestalozzi'ego, co się tyczy pierwszéj umysłowéj edukacyi, były jeszcze znacznie surowe. Natomiast psychologia nam radzi, że ponieważ pierwsze wrażenia umysłu pochodzą od oporu, światła, dźwięku i t. d., przeto powinniśmy dziecięciu przedstawić należytą liczbę przedmiotów, z którychby się ono nauczyło poznawać różne stopnie i własności światła, rozmaite stopnie i rodzaje oporu, jako téż dźwięków, które ze względu na swoję siłę, wysokość i barwę dźwiękową stanowią przeciwieństwo. Jak racyonalném jest to apriorystyczne nasze twierdzenie, możemy łatwo sprawdzić przez obserwowanie dziecięcego instynktu. Każde maleńkie dziecko znajduje wielką przyjemność w psuciu swoich zabawek, dotykaniu błyszczącego guzika przy ubraniu lub w chwytaniu bawiącego się z niém ojca za brodę. Pamiętajmy, że to jest pora, w któréj dziecko zdolne jest przyjmować żywsze wrażenia prędzéj, niż w każdym innym peryo-

dzie, że opanowanie najprostszych elemantów musi wymagać czasu, że następnie ten pierwszy stopień dzieciństwa nie jest właściwy, do żadnych innych czynności i że następnie należyte przygotowanie dziecięciu odpowiednich wrażeń i stąd płynące jego zadowolnienie jest korzystném nietylko dla umysłowego rozwoju dziecka, ale i dla jego zdrowia.

W zastosowaniu prawa umysłowego rozwoju, który ma zdążać od rzeczy nieoznaczonych do oznaczonych, przy rozwijaniu każdéj zdolności dziecka tylko mocno kontrastujące wrażenia do rozróżniania przedstawiać należy; np. barwy najbardziéj różniące się między sobą lub dźwięki najprzeciwniejsze sobie ze względu na moc i wysokość oraz przedmioty, które ze względu na twardość albo spójność części jak najmniéj są do siebie podobne.

Przechodzimy do metody poglądowéj, która jest naturalnym dalszym ciągiem tego początkowego ćwiczenia zmysłów. Potrzeba tylko rzucić okiem na codzienne życie dziecięcia, aby się przekonać, iż ono wszelką wiedzę o rzeczach zdobyło sobie samo jeszcze przed wykształceniem języka, że zjawiska połączone z własnościami twardości i ciężkości, przynależność szczególnych barw i form w pewnych przedmiotach, wydawanie pewnych oznaczonych dźwięków przez zwierzęta takiéj a nie innéj postaci ono samo zaobserwowało. Podobnie postępują i ludzie w wieku dojrzałym.

Zachodzi przeto pytanie, czy w latach pomiędzy wiekiem dziecinnym a wiekiem dojrzałym należy inną metodę stosować? Sądzimy, że nie. Sama natura zachęca nas do przyjęcia téj właśnie metody. Dziécię siedzące na kolanach ojca podsuwa mu swoję zabawkę, aby ją obejrzał. Starsze dzieci wbiegają nieraz do pokoju, wołając: „mamo, patrz jakie to ładne!“ A proszę posłuchać, z jaką to żywością mały chłopiec będzie opowiadał o nowości, którą dopiéro co widział, byle tylko znalazł kogoś chętnego do słuchania. Czyż to dla nas niedosyć jasne, żeśmy powinni do tych popędów całe nasze postępowanie zastosować i ten naturalny proces do godności systemu podnieść?

Bierzmy wzór z rozumnéj matki, która umié synkowi swojemu nauki udzielać. Najprzód obznajmia ona go z nazwami prostszych własności ciał, jak twardość, miękkość, barwa, smak, kształt, wielkość. Chłopiec skwapliwie oznacza, że ten a ten przedmiot jest czerwony, inny twardy i t. d., a każdą własność nową stara się ona, o ile możność pozwala, z już znanemi połączyć. Zdarzy się czasem, iż chłopiec jednéj lub kilku znanych mu własności zapomniał wymienić, natenczas matka pyta, czy on o danéj rzeczy nic już nie umié powiedzieć. Jeżeli chłopiec zapomniał lub pytania nie

rozumié, wtedy matka podpowiada, przyczém może się śmieje trochę z jego pomyłki. Za drugim razem, jeśli mu powiedzą, czy jeszcze czegoś nie wié o tym a tym przedmiocie, obudza się jego miłość własna, spogląda na przedmiot uważnie, namyśla się i jeżeli zadanie jest łatwe, wnet znajduje odpowiedź. Ucieszy go to niezmiernie, jak w ogóle każde dziecko, które siły swoje odkrywa. Wtedy pożąda on większych zwycięztw, wyszukuje innych rzeczy i składa z nich przed matką sprawozdania. A w miarę jak się jego zdolności rozwijają, matka dodaje coraz nowe własności ciał, np. od twardości i miękkości przechodzi do chropowatości i gładkości, od barwy do blasku, od ciał prostych do złożonych i w ten sposób robi ona zadanie coraz trudniejszém, stawia coraz wyższe wymagania jego uwadze oraz pamięci, podtrzymuje zainteresowanie się dziecka i stara się o nowe wrażenia, któreby sobie mógł jego umysł przyswoić; zawsze zaś wywołuje zadowolnienie z pokonania trudności takich, jakie umysł dziecinny opanować jest w stanie. Kształcenie samodzielności jest podawaniem umysłowi tego właśnie pokarmu, którego on potrzebuje, jest rozbudzaniem wiary w samego siebie i dążności do uczestniczenia w pracach, których dokonywa ludzkość. Nauka prowadzona podług metody poglądowéj powinna rozciągać się do szerokiego zakrésu przedmiotów, należy ją stosować w późniejszych nawet latach dziecka. Niechaj się ona nie kończy z porannym wiekiem dzieciństwa, ale niechaj nieznacznie ginie, gdy się już rozpoczynają badania filozofa i myśliciela. Alboż nam nie jest znanym zachwyt u dzieci przy znalezieniu nowéj muszli, kwiatka lub owadu? A zaprawdę nie wątpimy, iż wtedy łatwo młode umysły obznajmić z różnemi przymiotami i budową tych przedmiotów, zwłaszcza iż dzieci same tego pożądają, zarzucając nas mnóstwem pytań. Jednak dobrze trzeba się trzymać zasady i nie obciążać młodziutkiéj głowy bogactwem materyału; niechaj zwróconą tutaj będzie ich uwaga na rzeczy mniéj złożone; w roślinach na kolor, liczbę i kształt płatków kwiatowych; w owadach na liczbę skrzydeł, nóg, rożków i ich barwę. Gdy to rozpoznają i odkryją, o ile można, same, można się posunąć do dalszych faktów, jak: liczba nitek pyłkowych, zawiązek owocowy, kształt kwiatu, położenie i własności liści, łodyga i t. d.

Gdyby wszyscy ludzie na świecie byli tylko handlarzami, którzy okrom interesu swego nic już więcéj nie widzą; gdyby to było dobrém i szlachetném być zwyczajnym mieszczuchem zbogaconym, jak studenci mówią, filistrem, który cały dzień fajkę pali i ziewa lub pije piwo; albo być wielkim panem, który lasy uważa jako place,

gdzie można strzelać, dla którego rośliny nieogrodowe są tylko chwastem a całe państwo zwierzęce dzieli się na zwierzynę i bydło, wtedy istotnie nie byłoby potrzeby innéj nauki, jak tylko téj, która prowadzi do napełnienia kasy i spiżarni.

Na szczęście leżą przed nami cele wyższe niż być małemi, a w rzeczach nas otaczających leżą inne jeszcze korzyści niż spieniężanie wszystkiego. Na szczęście mamy możność wystąpić do walki z tym prostackim utylitaryzmem, który kontent, że na świat przyszedł i że go opuści bez żadnéj świadomości, co to za rodzaj świata i co się w nim mieści. Mamy niepłonną nadzieję, że ludzkość powoli dojdzie do przekonania, iż prawa życia stanowią umiejętność ważniejszą niż którakolwiekbądź inna, że prawa życia są podstawą nietylko cielesnych i umysłowych procesów, ale wszystkich razem wziętych urządzeń politycznych, moralnych, handlowych i t. d., oraz że bez znajomości tych praw życia nie jest skuteczną żadna działalność osobista lub towarzyska.

Oznaką coraz rozumniejszego poglądu na wykształcenie umysłowe jest i to, że nauka rysunku coraz więcéj znajduje uznania, jako środek wychowawczy. I na tym punkcie także naturalny instynkt dzieci jest wskazówką dla pedagoga. Któż nie zna popędu malców do naśladowania ołówkiem, kredą lub węglem postaci domów, ludzi, zwierząt, drzew. A największém zadowolnieniem dla nich jest przeglądanie książek z rycinami. Ta dążność kopiowania rzeczy w oczy uderzających jest dalszym ciągiem instynktownego ćwiczenia zmysłów, jest środkiem, który sprowadza większą pełność i dokładność obserwacyi.

Widzimy, że dzieci przedewszystkiém usiłują oddać w rysunku rzeczy duże, jaskrawo-barwne lub te, w pobliżu których najczęściéj przebywają; rysują one ludzi, psy, krowy, domy i t. d. W całym tym procesie portretowania najwięcéj chodzi dzieciom nie o rysunek, ale o malowanie; rysują tylko z konieczności ołówkiem, gdy farb nie ma pod ręką; zresztą rysunku potrzebują tylko dlatego, aby sobie kontur zakreślić, głównym zaś celem pragnień jest zawsze malowanie.

Największém szczęściem dzieci jest książka, gdzie są drzeworyty, które farbami kolorować można. Co do nas, uważamy ten popęd dziecka jako bardzo racyonalny. Pierwszeństwo barwy przed formą ma swoją psychologiczną zasadę.

Nieoznaczoność i niepewność w najwyższym stopniu, któremi stosownie do prawa rozwoju nacechowane są te pierwsze próby dziecka, nie powinny być dla nas wcale powodem lekceważenia owéj pracy. Nie o to chodzi, czy kształty są malownicze lub czy farby

dobrze nałożne. Nie dobroć rysunków jest tu kwestyą, ale czy te zajęcia rozwijają zdolności. Sądzimy, iż są one właśnie dla tego celu zupełnie odpowiednie, ponieważ są dobrowolne i powabne. W pierwszém dzieciństwie o żadnéj formalnéj nauce rysunku nie może być mowy. Naukę rysunków podług wzorów wypuszczamy tu z samego planu, a tém bardziéj jeszcze owę metodę prowadzenia najprzód linij prostych, potém krzywych i złożonych, od czego niektórzy nauczyciele zaczynać zwykli. Żałować nam przychodzi pracy tych, którzy podają dzieciom przedewszystkiém definicye, jak np. „*Linia prosta jestto najkrótsza droga pomiędzy dwoma punktami A i B.*“ „*Linia krzywa jestto linia, która nie jest najkrótszą drogą pomiędzy dwo-„ma punktami C i D.*“

Podobnież niektórzy mają zwyczaj zaczynać naukę języka od części mowy i ich funkcyj, co ostatecznie wychodzi na to, iż, aby kogoś nauczyć chodzić, należy naukę rozpocząć szeregiem odczytów o kościach, muszkułach, nerwach, nogach i t. d., a zupełnie to samo musimy zastosować do owego planu, który, mając na względzie naukę przedstawienia przedmiotów, zaczyna od wprowadzenia nomenklatury oraz pojęć linij. Ten aparat techniczny jest zarówno odstręczający jak i zbyteczny. Obudza on na samym wstępie niechęć do nauki, a dalszego znaczenia nie ma, jak tylko nauczenie tego, co w dalszéj praktyce samo przez się przychodzi.

Po różnych licznych, nieudanych zwykle próbkach chińskiego rysunku dziecka, budzi się w niém jakie takie wyobrażenie o tém, co należy robić i powstaje pragnienie, aby to zrobić. Wówczas można przedsięwziąć pierwszą naukę empirycznéj perspektywy. Eksperyment jest zawsze rzeczą przystępną i powabną; otóż można ustawić na stole prostopadle płytę szklaną, a po za nią książki lub inny jaki zwykły przedmiot. Niechajże dziecię, patrząc przez szkło na przedmiot, porobi sobie na tém szkle atramentem punkta odpowiadające kątom widzianego przedmiotu i niech te punkta połączy ze sobą liniami a przekona się, że owe linie stanowią kontur przedmiotu za szkłem umieszczonego. Ten prosty eksperyment objaśni fakt, iż linie pewnéj długości, w pewnych kierunkach na płaszczyznie poprowadzone, mogą przedstawiać linie innéj długości i innych kierunków w przestrzeni. Przez stopniową zmianę położenia przedmiotu za szkłem dziecko dojdzie do spostrzeżenia, że niektóre linie skracają się lub znikają, podczas gdy inne są widzialne i znacznie dłuższe nieraz. Wszystkie w ogóle główniejsze rzeczy z nauki perspektywy można od czasu do czasu w podobny sposób uwydatnić. Późniéj dziecko samo spróbuje od oka ten lub ów przedmiot narysować z większém albo mniejszém powodzeniem.

Co się tyczy pierwszych pojęć z geometryi, przytoczymy tu zdanie Wyse'go, ponieważ rozumniejszéj metody trudno obmyśléć.

„Przy nauczaniu dziecka arytmetyki zastosowaną zwykle bywa kostka sześcienna; tę kostkę zastosujmy także, gdy chodzi o nauczenie pierwszych zasad geometryi. Unika się tu wstrętnych definicyj i złych objaśnień o punkcie, linii, powierzchni, będących abstrakcyami. Kostka przedstawia wiele elementów geometrycznych; znajdujemy w niéj punkta, linie proste, linie równoległe, kąty, równoległoboki i t. d. Kostki tego rodzaju dają się dzielić na rozmaite części, a uczeń już przy liczeniu obznajmił się z takiemi podziałami; teraz przystępuje on do porównywania tych rozmaitych części i do oznaczenia stosunku ich między sobą. Stąd przechodzi łatwo do kuli, co mu dostarcza zasadniczych pojęć o kole, o krzywych w ogóle i t. d. Jeżeli już jako tako obznajmiony jest z ciałami, możemy następnie przystąpić do płaszczyzn. Przejście jest bardzo łatwe. Przetnijmy kostkę na cienkie części i te rozłóżmy na papiérze, a uczeń przekona się, że tyle jest prostokątów, ile części. Kule mogą być podobnież traktowane, przyczém łatwo przedstawić, jak powstają powierzchnie.

„Przechodząc do przedstawienia tego wszystkiego na papiérze, najpierwszém zadaniem będzie obwieść dokoła ołówkiem, prostokąt wzięty z kostki; powtórzywszy to zaś kilkakrotnie, można wymagać od dziecka, aby samo od ręki kształt naśladowało i t. d.“

Po zgromadzeniu zapasu takich geometrycznych pojęć można jeszcze dalszy krok zrobić, mianowicie odbyć próbę, czy od oka nakréślone figury są dobre.

Teraz posłuchajmy, co mówi profesor Tyndall w odczycie swoim „*O ważności nauczania fizyki w wychowaniu.*“ Sądzimy, iż świadectwo takiego męża ma swoje wielkie znaczenie, przeto przytaczamy tu własne jego słowa.

„Pomiędzy obowiązkami, których spełnienie przyjąłem, było zajęcie się nauczaniem młodzieży matematyki. Przekonałem się w ciągu téj pracy, że Euklides i w ogóle stara geometrya stanowi zawsze dla uczniów nader powabny przedmiot, jeżeli tylko przystępnie przedstawioną im będzie. Zwyczajem moim było zawsze odwracać uczniów od metody podanéj w książce a powierzać ich własnym siłom, ilekroć chodziło o rozwiązanie zadań. Z początku budziła się niechęć do porzucenia już utartéj drogi, nigdy jednak ta niechęć nie utrzymywała się długo. Jeżeli widziałem, że chłopiec zwątpił, natenczas rozbudzałem w nim odwagę przez anegdotę o Newtonie, który różnicę pomiędzy sobą a innymi ludźmi upatrywał jedynie we własnéj cierpliwości. Albo opowiadałem o Mirabeau,

który służącemu swojemu raz na zawsze zabronił używać wyrażenia „nie mogę.“

Tak pocieszony chłopiec brał się znowu do roboty z uśmiechem, który wyrażał coś innego niż zwątpienie, a w każdym razie oznaczał postanowienie spróbowania raz jeszcze. Oczy dziecka błyszczały, a nareszcie zwykle następował wykrzyk radości: „Panie profesorze, znalazłem!“ w obec czego zachwyt Archimedesa zdawał się być małym. Tak pobudzona świadomość własnej siły miała ogromną wartość, bo w ten sposób zachęcana cała klasa robiła zdumiewające postępy. Częstokroć zostawiałem chłopcom wolny wybór opracowania zadań znajdujących się w książce lub próbowania sił swoich na zagadnieniach, których książka nie obejmowała. Książką rzadko się posługiwano równie jak i pomoc moja mało kiedy przyzywaną bywała. Dzieci kosztowały słodyczy, jaką sprawia wszelka umysłowa zdobycz, i pożądały nowych zwycięztw zapewnionych przez własne siły.

Zdarzało mi się widzieć figury po ścianach rysowane, wyrznięte na słupach w miejscu ich zabaw ustawionych oraz inne liczne dowody świadczące o żywym interesie, jaki wychowańcy mieli dla nauczanego przedmiotu. Ja z mojéj strony, co się tyczy doświadczenia w nauczaniu, byłem nowicyuszem: nie miałem znajomości ani jednéj reguły téj nauki, którą Niemcy pedagogiką zowią, ale pamiętałem, że geometrya powinna być środkiem wychowania nie zaś przedmiotem. Próbę moję uwieńczył rezultat dobry.“

Powyższe szkice planu kształcenia zmysłów w pierwszém dzieciństwie, oraz przeprowadzania metody poglądowéj w nauce rysunku i geometryi służą jedynie jako objaśnienia podanych przedtém ogólnych zasad. Metoda ta jest logicznym zbiorowym rezultatem wszystkich ulepszeń nowożytnych w wychowaniu a jednocześnie zastosowaniem do edukacyi systemu naturalnego, bo, jakeśmy to już poprzednio wykazali, idzie ona za skinieniami, których rozwijający się umysł sam przez się udziela. Te zaś powody skłaniają nas do twierdzenia, iż przedstawiona metoda wychowawcza najbardziéj zbliża się do prawdziwéj.

Atoli wychowanie stanowiące proces samouctwa oprócz tego, że przyprowadza nauczanie w naturalnym porządku następstwa, przedstawia jeszcze inne korzyści. Przedewszystkiém zapewnia ono żywość i trwałość wrażeń, czego inne metody dokazać nie są wstanie. Każda bowiem nauka przez samego ucznia zdobyta staje się jego własnością umysłową w wyższym stopniu, aniżeli gdyby mu ją podano z drugiéj ręki. Składają się na to: rozbudzona czynność umy-

słu, skupienie myśli oraz podniesienie moralne, które budzi uczucie tryumfu.

Inną korzyść jeszcze zapewnia podobna edukacya; organizuje ona wszelką zdobytą wiedzę tak, iż ta w umyśle odgrywa rolę przesłanek do następnych wniosków, staje się środkiem warunkującym nabycie dalszéj wiedzy. Rozwiązanie wczorajszego zadania pomaga uczniowi w odpowiedzi na pytanie dzisiaj mu uczynione.

Cóż mówić o korzyściach samouctwa takich, jak: odwaga w pokonywaniu trudności, cierpliwe skupienie uwagi, wytrwałość na niepowodzenia, co stanowi już w dalszém życiu cenne przymioty charakteru.

Co się tyczy uszczęśliwienia, jakie cechować powinno ucznia przez cały przeciąg wychowania, to musimy wyznać, że wesołe usposobienie umysłu dziecka w każdym razie jest bardziéj pożądane, aniżeli obojętność lub niechęć. Stan wesoły jest stanem normalnym, stanem czynnym; usposobienie smutne lub niechętne ma swoje przyczyny: jestto stan bierny. Proszę się zastanowić i sprawdzić, jak idzie przyjmowanie nauki w pierwszym i drugim razie. Proszę porównać postępy dwóch chłopców, z których jeden jest uszczęśliwiony z opanowania różnych zajmujących przedmiotów, drugi zniechęcony do nauki groźbami i karami, unieszczęśliwiony wreszcie swojemi rezultatami pracy. Każdy pozna, że strona moralna pierwszego jest właściwą, drugiego zaś zagrożoną. Co więcéj, każdy, kto obserwował działanie wywierane na umysł przez powodzenie lub niepowodzenie oraz wpływ umysłu na ciało, każdy, mówię, będzie widział jasno, iż w pierwszym razie stan zdrowia i temperamentu jest w zupełnym porządku;—w drugim zaś niebezpieczeństwo trwającéj ponurości i trwającego zwątpienia grozi niezmiernie moralnym i fizycznym upadkiem. Pozostaje nareszcie do zbadania rzecz niemałéj wagi, kwestya stosunku między nauczycielami a uczniami.

Otóż i tu stanowczo zwycięża zasada uszczęśliwiania dzieci. Wszystkim zaś, którzy wystąpią przeciw możliwości przeprowadzania bronionego przez nas systemu, dajemy tę odpowiedź, którą i poprzednio daliśmy, że postępowanie przez nas wskazane zaleca nietylko teorya ale i praktyka. Jeżeli chodzi o powołanie się na powagi, to pomijając świadectwa dane pod tym względem przez różne pedagogiczne znakomitości, przytaczamy tu zdania profesora Pilana:

„Młodzież, jeżeli tylko jest nauczaną tak jak to powinno mieć miejsce, czuje się być równie szczęśliwą w szkole, jak i na miejscu swoich zabaw; powiedzielibyśmy nawet, że w ćwiczeniu prawidłowém swoich umysłowych zdolności znajduje ona zadowolnienie większe aniżeli w ćwiczeniu sił fizycznych.“

Ostatnim argumentem, broniącym naszego systemu, jest fakt, iż uczeń samodzielnie kształcony i uczuwający nieustannie przyjemność w odkrywaniu różnych prawd naukowych nie uczyni nigdy rozbratu z pracą umysłową po ukończeniu szkół, ale owszem, zachęcony i zaprawiony do badania na własną rękę, będzie we właściwym kierunku daléj postępował.

## III. Wychowanie moralne.

Można powiedzieć, że pod pierwszym względem dosyć jest jeszcze starania i krzątania się nad przygotowaniem dziecka do przyszłéj jego towarzyskiéj i społecznéj pozycyi. Nikt jednakże nie zwraca uwagi na to, iż dziecku temu przyjdzie kiedyś zadosyć uczynić ojcowskim lub macierzyńskim obowiązkom. Każdy pojmuje dobrze sprawę wychowania, o ile ona ma na oku przygotowanie młodzieży do przyzwoitego znalezienia się w towarzystwie, jednocześnie zaś nikt nie uznaje potrzeby przygotowania poprzedniego dla przyszłych kiedyś ojców i matek. Ileż to lat trwoni chłopiec, aby sobie zdobyć tak zwane „dobre wychowanie,“ ile dziewczyna, aby ją w przyszłości podziwiano na balach i mówiono o niéj, że „jest bardzo dobrze!“ Gdy tymczasem nie poświęca się ani jednéj godziny na przygotowanie dopełnienia owych najtrudniejszych ze wszystkich obowiązków rodzinnych.

Nauka o wychowaniu dzieci fizyczném, umysłowém oraz moralném jest ogromnie ważną. Wypielęgnowanie przekonania o téj ważności powinno być tematem ostatniego rozdziału w kursie wychowawczym każdego mężczyzny lub kobiety. Jak oznaką fizycznéj dojrzałości jest zdolność prokreowania dzieci, tak znowu dojrzałość umysłowa daje się oznaczyć istotnie tylko przez zdolność do wychowywania potomstwa. Jeżeli rodzicom zbywa na odpowiedniém przygotowaniu wychowawczém, natenczas kierunek ich dzieci, zwłaszcza téż kierunek moralny, jest pożałowania godny. Albowiem nie będą oni mogli nigdy rozważać tego, co dzieciom ich jest potrzebne, lub téż obiorą drogę pełną sprzeczności. Widzimy nieraz jak rodzicielskie postępowanie, zwłaszcza téż ze strony matek, jest dziełem chwilowego usposobienia, a bynajmniéj nie pochodzi z gruntownego przeświadczenia o tém co może być dla dziecka najzbawienniejsze. A że usposobienia chwilowe są zmienne, więc i działanie rodzicielskie w tym razie nie będzie żadnym stałym systematem wychowania.

Częstokroć cała wiedza wychowawcza matki ma źródło gorsze jeszcze, bo polega na niekrytyczném przyjęciu przekazanych tra-

dycyj przeszłości lub na wspomnieniach z własnego dzieciństwa i na zasiąganiu rad od babek, ciotek, nawet od służących.

Nie należymy do rzędu tych, którzy z lordem Palmerstonem wierzą, że „wszystkie dzieci urodziły się dobremi i dobremi są z natury.“ Zdaje nam się nawet, iż wprost przeciwny dogmat, jakkolwiek również nie da się obronić, leży jednak bliżéj prawdy. I na to się nie zgodzimy także, aby przez właściwe wychowanie ze wszystkich dzieci można było zrobić to, czém one być powinny. Przeciwnie, żywimy przekonanie, iż niedokładności natury mogą być wprawdzie zmiejszone przez roztropne wychowanie, ale nigdy nie dadzą się zupełnie usunąć.

Niemniéj atoli sympatyzujemy szczerze ze wszystkimi, którzy entuzyastycznie podzielają opinią, jakoby przez edukacyą można było wytworzyć pewien ideał ludzkości. Nawet fanatyzm na tym punkcie nie jest szkodliwym, ale działa zbawiennie, albowiem jest on siłą łamiącą obojętność i zastój.

Bieżącém przekonaniem ogółu jest, iż głowy rodzin są cnotliwe a błędy znajdują się jedynie u dzieci, tymczasem obywatele kraju tacy, jakich znamy, są bardzo niedoskonałemi stworzeniami. Kto pomyśli o tysiącznych zajściach skandalicznych, o przeniewierzaniu się przyjaciół, o oszustwach, bankructwach podstępnych, niesnaskach rodzinnych itd., ten nie będzie potrzebował od nas bliższych dowodów. Odziedziczanie przytém, będące prawem natury, sprawia iż błędy dzieci przecięciowo są odzwierciedleniem błędów rodzicielskich. Z tegoby wynikało, iż reforma wychowawcza powinna być poprzedzona przez reformy w rodzinie. Gdyby bowiem można było utworzyć system wychowawczy, który przygotowywałby idealnie dobrych ludzi, to zachodzi jeszcze wątpliwość, czy ten system przysłużyłby się dobrze swoim wychowańcom. Może zbyt uszlachetniona natura nie mogłaby znaleść dla siebie punktu oparcia w tym świecie, jakim on jest, a życie całe stałoby się dla niéj nieznośném i niemożliwém. Z tego jednak nie wynika, aby ulepszenie wychowania było niepożądaném, lub żeby się nie dało przeprowadzić. Ale wynika, że reforma wychowawcza musi postępować równym krokiem z innemi reformami, że ona powinna się dokonywać częściowo a nie na raz, że wreszcie wymagania teoretycznéj ścisłości muszą w praktyce stosować się zarówno do niedoskonałości dzieci jak i rodziców oraz całego społeczeństwa. Powié kto więc, że opracowanie i zalecanie metód, które wyprzedzają chwilę obecną, nie przynosi żadnéj korzyści. Zaprzeczamy temu jak najkategoryczniéj. Albowiem chociaż metoda rzeczona nie dałaby się w danéj chwili ze ścisłością wp rowadzić, to przecięż pożądaną jest rzeczą wiedziéć, gdzie leży

prawda, do urzeczywistnienia której zdążamy. I to dlatego, abyśmy się do prawdy téj zbliżali nie zaś oddalali od niéj. Nie należy się obawiać nagłego przewrotu, gdyż konserwatyzm ludzki dosyć jest silnym i nie zgodzi się nigdy na reformy, do których społeczeństwo nie jest dostatecznie przygotowane.

Można być pewnym, iż ludzie nie zechcą wprowadzać w życie zasad, do wysokości których jeszcze nie dorośli. Częstokroć nawet prawda zostaje zupełnie zrozumianą, a przy urzeczywistnianiu jéj powstają tak wielkie przeszkody, że ich cierpliwość oraz wytrwałość filozofów i filantropów przezwyciężyć nie zdoła.

Stosownie do tego, cośmy powiedzieli, możemy bez obawy sprawienia nagłych przewrotów rozpatrzéć te dążności i metody moralnego wychowania, które nam się przedstawiają jako prawdziwe oraz zbawienne.

W tym celu poświęcamy kilka słów ustaleniu zasad ogólnych, następnie zaś postaramy się przedstawić za pomocą przykładów, jak się powinni zachowywać rodzice w obec nastręczających się co chwila trudności przy wychowaniu dziatwy.

Wiadomo, że dziecię, które się kilkakrotnie uderzyło o stół lub sparzyło świecą, nabyło kosztem swojego bolu takiego doświadczenia, iż żadna namowa nie zdoła go skłonić do narażenia na szwank swego ciała w obec tych przedmiotów.

Tutaj natura sama podaje do rąk teoryą i praktykę wychowania moralnego. Wszyskie teorye, określające nam co jest moralność a co niemoralność, zgadzają się, iż dobremi są czynności, których bezpośrednie lub dalsze następstwa są dobroczynne; niedobremi zaś te, które szkodę przynoszą.

Ostateczną zaś miarą, według której wszyscy ludzie wyrokują o wszelkich czynnościach, jest szczęście lub nieszczęście. Pijaństwo uważamy jako złe, bo ono przynosi nieszczęście pijakowi i jego rodzinie. Gdyby kradzież była rzeczą przyjemną dla złodzieja i dla okradzionego, nie znaleźlibyśmy jéj w spisie grzechów głównych. Gdyby sobie można wyobrazić, że czynności dobre sprawiają cierpienia, to niezawodnie przestalibyśmy je za dobre uważać. W pierwszéj lepszéj gazecie lub rozmowie towarzyskiéj ocena wszelkich ludzkich czynności polega na tém, czy one szczęście lub cierpienie ludziom sprawiają. Otóż według tego sądzimy, że i czynności odnoszące się do ciała są dobre lub złe, stosownie czy skutki ich są dobroczynne lub szkodliwe.

Następnie rozważmy jakość kar, przez które powstrzymywane są takie cielesne przekroczenia. Mówimy kar w braku lepszego wyrazu, albowiem nie są to kary we właściwém tego słowa znaczeniu.

Albowiem są one dobroczynném powstrzymywaniem wszelkich czynności przeciwnych cielesnemu dobrobytowi; są to nieuniknione reakcye spowodowane przez czynności dziecięcia. Daléj pomyślmy, że stosunek tych reakcyj do ich akcyj, czyli do przekroczeń, jest bardzo prosty. Mały upadek sprowadza lekki ból, upadek większy wywołuje większe cierpienie. Tak iż dziecko z codziennego doświadczenia wynosi przekonanie o większych i mniejszych karach za znaczniejsze lub mniéj znaczne błędy, co już kieruje jego postępowaniem.

Te naturalne reakcye następujące po każdéj czynności niewłaściwéj są nieubłagane i nieodwołalne. Dziecko ukłuło się igłą w palec, następuje ból; jeśli się ukłucie powtórzy, rezultat będzie tenże sam. I tak ciągle bez żadnego wyjątku. Nie ma tu żadnéj wymówki, nie ma skargi. Ta karność dobroczynna czyni dziecko ostrożném i unikającém przekroczeń, co się rozciąga wreszcie i na całe nasze dojrzałe życie. Po opuszczeniu bowiem rodzicielskiego domu i wejściu w świat młodzieniec wnet doświadczy, że zmarnowanie napróżno czasu wywołuje odpowiednią reakcyą, pociągą za sobą karę utraty chlebodajnego zajęcia, więc ubóstwo..

Kupiec nakładający wysokie ceny za towar traci klientelę, w czém też leży dobroczynna tama powstrzymująca jego chciwość. Z tego już widzimy jaka zgodność panuje pomiędzy społecznėm wychowaniem człowieka a wychowaniem, według którego natura kieruje krokami dziecięcia. Ileż to wyrażeń i przysłowi na ten temat: „*Kto się na gorącém oparzył, ten na zimne dmucha*“ Mądry Polak po szkodzie itd. Mówimy o „*drogo kupionėm doświadczeniu*“ i o „*doświadczeniu gorzko zdobytém*“, a wszystko to są owe nieuniknione skutki naszych czynności owe nieubłagane reakcye naszego postępowania. Naturalne kary są najskuteczniejszemi i nie mogą być zastąpione przez żadne inne, czego zresztą dowodzi nasz rygor szkolny, czyli system kar niedający najmniejszego rezultatu w wychowaniu. Prosimy obrońców rygoru opartego na karach sztucznych, aby nam wykazali istotną poprawę dziecka poddawanego tym karom. Sądzimy, że kary sztuczne zarówno źle oddziaływają na dzieci, jak i na dorosłych, co łatwo sprawdzić na ludziach niejednokrotnie karanych kryminalnie. Na téj drodze zdobywamy sobie główną podstawę moralnego wychowania, któréj żaden nieuprzedzony człowiek nie może odmówić głębokiego znaczenia.

Mógłby nam ktoś zwrócić uwagę, że większa część rodziców dopuszcza w wychowaniu zasadę kary naturalnéj już przez to samo, gdy dziecko karcone jest surowo za swoje przekroczenia, co właśnie stanowi naturalne następstwo złych postępków. Po części jest

w tém cokolwiek prawdy. Obelgi, groźby i razy, które wymierzają rodzice na swe potomstwo, stanowią istotnie reakcyą złych czynów. Dzieci też barbarzyńców muszą być zapewne trzymane w klubach za pomocą tak barbarzyńskiej metody; może nawet podobna metoda jest jedynie skuteczną dla przygotowania przyszłych członków barbarzyńskiego społeczeństwa. To właśnie nie obala naszéj zasady, ale tylko wskazuje, jak dalece ona wsiąka w życie i ma na celu przyszłe społeczne stanowisko człowieka.

Tutaj nastręczają nam się dwie ważne okoliczności. Pierwszą z nich jest to, że w czasie walki pomiędzy starą a nową teoryą, w czasie pomiędzy ustaleniem nowego systemu a zaniechaniem starego rodzice używają metody wychowania, która bynajmniéj nie odpowiada duchowi epoki, co właśnie jest bardzo nienaturalne. Następnie zaś drugą okokoliczność stanowi to, że przez naturalne następstwa nie rozumiemy tu wcale skutków, jakie w rodzicach wywoływane są przez postępki dzieci, ale mamy na myśli jedynie następstwa sprowadzone przez samę naturę rzeczy.

Wyjaśnijmy to na przykładzie.

Jeżeli mała dziewczynka zostawia swoje zabawki w nieładzie, jeśli zapełni stół rozrzuconemi kwiatkami, które zebrała na spacerze, wtedy nie należy ją łajać a pokojowéj lub niańce polecić zrobienie porządku; ale należy spowodować dziewczynkę, aby sama wyporządkowała swoje zabawki lub kwiatki. Praca bowiem utrzymywania porządku jest naturalném następstwem robienia nieporządku. Każdy człowiek doświadcza tego w życiu swojém, a jeśli wychowanie ma być przygotowaniem do życia, nie powinno być obojętném pod tym względem. Gdyby się dziecko ociągało, wzbraniało lub zapomniało zrobić zaleconego porządku, należy mu odjąć ten rodzaj zabawy, ponieważ i w życiu późniejszym to samo następstwo spotyka ludzi dojrzałych zaniedbujących się w zajęciach. Inną razą zdarzało nam się widzieć, iż Władzio lub Zygmuś nie zdołał się nigdy ubrać na czas, kiedy reszta dzieci wychodziła na przechadzkę; nauczyciel musiał wyczekiwać a łajania jego lub rodziców pozostawały bez skutku, bo były niewłaściwe. Władzia lub Kazia należało ukarać naturalnie, zupełnie tak jak bywają ukarani dorośli ludzie, którzy się przez opieszałość własną spóźnili na koncert i zastali wszystkie miejsca zajęte. Naturalném następstwem niedbalstwa jest utrata korzyści, które zapewnia punktualność.

Zanim podniesiemy wyższe znaczenie zasady objaśnionéj tu prostemi przykładami, winniśmy przedtém wykazać jéj wartość praktyczną większą aniżeli innych zwykle używanych środków.

Ważną korzyścią z takiego wychowywania jest przygotowanie dzieci do pojęcia związku między skutkiem a przyczyną, co na każdym kroku dziecku się uwidocznia.

Nieporządek pociągnął za sobą trud zrobienia porządku, niedbalstwo znowu sprowadziło utratę przyjemności takiéj jak przechadzka. Metoda kar sztucznych ściśle stosowana nie osiąga podobnego rezultatu, ale zniechęca dzieci, jest przyczyną ich demoralizacyi, tworzy niebezpiecznych członków społeczeństwa.

Inna korzyść z wychowania naturalnego płynąca polega na tém, iż tutaj reprezentowaną jest sprawiedliwość. Kara sztuczna, albowiem ściśle sprawiedliwą być nie może, a przynajmniéj bardzo trudno, aby ją dziecko za sprawiedliwą uznało. Chłopiec, który raz podarł odzież a drugi raz poplamił i został w obu razach ukarany klęczeniem lub chłostą, będzie raczéj narzekał na surowość wymierzonéj kary aniżeli rozmyślał o poprawie. Kto wié, czy nie ma on słuszności.

Kary spływające na dziecko, jako naturalne następstwa jego czynności, usuwają z rodziny ów niemiły stosunek nieustannéj drażliwości tak co do rodziców jak i dzieci. A każdy zgodzić się musi, że pożądańszą jest rzeczą w rodzinie obustronna łagodność i dobroć aniżeli gniew lub nawet zawziętość.

Rodzice lubujący się w ciągłych naganach i karach, niezawodnie, jako skutek swojéj działalności, wywołają niechęć ku sobie własnych dzieci. Z drugiéj znowu strony dziecko, sprawiające rodzicom nieustanne zgryzoty, może łatwo osłabić, jeżeli nie zniszczyć, ich miłość dla siebie. To téż smutno patrzéć na częsty u nas stosunek obojętności rodzinnéj, co niezawodnie złemu wychowaniu przypisać należy.

Zapyta kto jednak: „a cóż robić, jeśli dziecię dopuści się większego przestępstwa, jeśli skłamie, popełni kradzież lub bije młodsze rodzeństwo?“ Zanim odpowiemy na to pytanie, uważamy za właściwe najprzód oznaczyć stosunek, jaki powinien istniéć pomiędzy rodzicami a dziećmi, ponieważ od tego stosunku głównie zawisło traktowanie skuteczne owych większych przekroczeń.

Obecnie dzieci uważają swoich ojców i matki w połowie jako przyjaciół, w połowie jako nieprzyjaciół, to jest jako przyjacielskich nieprzyjaciół.

I nie dziw, gdyż wrażenia dzieci formują się pod wpływem rodzicielskiéj tkliwości z jednéj a gniewu z drugiéj strony; matka raz występuje łagodnie, drugi raz surowo, przeto dziecko tworzy sobie najsprzeczniejsze pojęcie o jéj charakterze. Powtarza ona małemu synkowi codziennie, że jest jego najlepszą przyjaciółką i przypuściwszy

iż chłopiec temu uwierzył, robi wniosek, że on będzie postępował tak jak sama zechce. „To dla twojego dobra;“ „ja wiém lepiéj niż ty, co jest dobre;“ „jesteś jeszcze mały i nie potrafisz tego zrozumiéć, gdy dorośniesz, podziękujesz, żem tak postępowała.“ Te i tym podobne upewnienia powtarzają się co chwila, a jednocześnie chłopiec znosi kary za niezrobienie tego i owego, do czego nie miał ochoty. Słowa wprawdzie mówią, że wszystko zmierza do jego uszczęśliwienia, ale czyny wyrządzają mu nieustannie mniejszą lub większą dolegliwość.

Zaprawdę niezdolnym on jest zrozumiéć, co to jest za przyszłość, o której matka prawi a o ile traktowanie go zmierza do szczęścia w owéj przyszłości, wnosić może jedynie ze skutków, które czuje.

Z tego naturalnie wynika, że upewnienia matki stają się podejrzanemi w umyśle synka. Bo niedorzecznością nawet byłoby oczekiwać czegoś innego.

Ani matka, ani ojciec nie powinni być narzędziami kary, owszem powinni być przyjaciołmi ostrzegającymi własne dzieci przed niebezpieczeństwem kar, jakie natura złych czynów sprowadza niezawodnie.

Przekonani jesteśmy, że dziecko kierowane przez rozumne wychowanie nie może się dopuścić żadnych większych przestępstw. Zepsucie dziecka wytwarza się najczęściéj z goryczy, będącéj produktem postępowania rodziców oraz nauczycieli. Jeżeli brat uderzył siostrę, to zbadajmy sprawę czy on sam nie był bity przez ojca lub matkę, co już zobojętniło w nim tkliwe i pełne wdzięku uczucia rodzinne. Bo jeżeli jego nie oszczędzają starsi, czemużby on miał być dla drugich względniejszym?

Ale przypuśćmy, iż pomimo dobrego wychowania dziecko dopuści się np. kradzieży. Natenczas metoda naturalnego następstwa kary i tutaj znajduje swoje zastosowanie. Naturalną bezpośrednią karą za kradzież przedewszystkiém jest zwrot rzeczy skradzionéj, lub zwrot jéj wartości. Drugą pośrednią karą za przestępstwo tego rodzaju jest poważnie okazane niezadowolnienie rodziców. Tak się téż i dzieje po największéj części, albowiem metoda naturalnych następstw jest tak prostą i naturalną, że wielokrotnie przez rozumniejszych wychowańców zastosowywana bywa. To poważnie okazane rodzicielskie niezadowolnienie będzie bardzo skuteczne, ale pod warunkiem, że ciepło stosunku rodzinnego między dziećmi a rodzicami niczém oziębione nie zostało. Wszakże każdy przyzna, że jeśli drugiego okaleczył, to żal będzie uczuwał według stopnia sympatyi, jaką żywi dla okaleczonego.

Rozwinąwszy powyższą zasadę moralnego wychowania, pragniemy jeszcze poświęcić parę słów innym kwestyom i zasadom, które tu w formie przestróg przedstawiamy.

Nie należy oczekiwać od dziecka nigdy wysokiego stopnia doskonałości moralnéj. Albowiem każdy człowiek w pierwszych latach życia przebywa fazę stanu moralnego, który jest właściwy ludom barbarzyńskim. Znany w dzieciach popęd do okrucieństwa tłómaczy się na téj drodze, podobnież chętka do kradzieży i kłamstwa. Fałszywém jest twierdzenie, jakoby dzieci były zupełnie „niewinne;“ chyba niewinność rozumiéć trzeba, gdy mowa o świadomości lub o zamiarze złego, ale nigdy ze względu na skłonności do złego.

Sądzimy, że nietylko nierozsądkiem jest zbyt wielką skalę moralności dla dzieci ustalać, ale również jest nierozsądném podawać zbyt silne podniety dzieciom do dobrego. Wyższe bowiem czynności moralne są zarówno złożone, jak i wyższe czynności umysłowe, a tak jedne jak i drugie powinny w późniejszym wieku dojrzewać. Stąd téż pochodzi, że dzieci, które zbyt wiele obiecywały, stają się zwykle żadnymi ludźmi, podczas gdy ludzie wielkiego charakteru powstają z dzieci wcale niezapowiadających przyszłości.

Rozkazami szafować trzeba bardzo oględnie; rozkazywać można wtedy tylko, gdy inne środki chybiły lub nie dały się zastosować. W rozkazach, jakie dzieciom wydają rodzice i panowie nauczyciele, więcéj przebija się chęci samowładnego panowania, aniżeli troskliwości o dobro dziecka. ,,Najwyższa polityka, mówi Jean Paul, jest *pas trop gouverner*, co stosuje się także do wychowania.“

Jeżeli atoli zajdzie potrzeba rozkazu, to należy dać go stanowczo i bezwzględnie. Albowiem wychowawca słaby, który nieustannie grozi, a nigdy groźby zastosować ani jéj spełnić nie umié, który na poczekaniu stanowi prawa a za chwilę postanowień swych żałuje, który jedno i to samo przestępstwo traktuje raz zbyt surowo, drugi raz łagodnie, unieszczęśliwia siebie i swoich wychowańców.

W takim razie lepsza już jest forma barbarzyńska domowego rygoru, aniżeli ludzka a niekonsekwentna w wykonaniu.

Pamiętajmy zawsze, że celem naszym jest wychować jednostkę taką, którąby sama nad sobą panować umiała a nie stworzenie, któreby przez innych opanowane zostało.

Gdyby zadaniem naszém było wychować dzieci na niewolników, natenczas musielibyśmy je zawczasu do służalstwa wprawiać. Tak jednak nie jest. Nareszcie zanotujmy sobie dobrze w pamięci, że prawdziwa edukacya nie jest wcale rzeczą prostą i łatwą, owszem jest to czynność bardzo skomplikowana i najtrudniejsza z pomiędzy

wszystkich zadań, spełnienie których włożone jest na dorosłych. Nie mówimy o wychowaniu ladajakiém ale o dobrém i rozumném, do którego trzeba się zabrać z odpowiedniém już przygotowaniem: z *nauką, z cierpliwością, ze znajomością samego siebie i z bystrością umysłową*. Trzeba umiéć samemu wynaleść metodę i zastosować ją, trzeba umiéć wyśledzić przyczyny postępowania dziecka, rozróżnić czynności dobre od pozornie dobrych, umiéć ustrzedz się samemu przed porywami gniewu, albo przed przypisywaniom dzieciom uczuć, które miejsca nie mają. Szczególniéj téż, jeśli się ma przed sobą dzieci, które przedtém nierozumnie były wychowywane, trzeba się uzbroić w olbrzymią cierpliwość, wyczekując skutków lepszéj metody. Człowiek wychowujący dzieci pracuje jednocześnie nad udoskonaleniem własném!

Podczas gdy jedni z powątpiewaniem poglądać będą na nasz system, znajdą się i tacy, o czém nie wątpimy, którzy będą tu widzieli wzniosły ideał prawdy, oczekujący urzeczywistnienia. Ale ideał ten nie przyoblecze się w ciało za sprawą ludzi krótkowidzących i małodusznych, wymaga on pewnéj pełni wyższych przymiotów ludzkiéj natury, wymaga pracy i poświęcenia. Jak z powodu złego wychowania w skutkach przejawia się niby przekleństwo, zarówno ciążące na rodzicach, jak na dzieciach, tak znowu błogosławieństwo uwieńcza dobrych wychowańców i tych co dobre wychowanie przyjęli.

Ileż to rodziców najgorętsze pragnienie żywi, aby potomstwo swoje szczęśliwém uczynić przez wychowanie! Niestety, wielu jest rozprawiających i piszących, mało czynnych, działających tak, jak wymagają odwieczne prawa wszechstronnego ludzkiego rozwoju.

## IV. Wychowanie fizyczne.

W naszych zgromadzeniach towarzyskich bardzo często słyszéć można rozmowy o chodowaniu wołów, koni, psów i t. d., nigdy jednakże nie zdarzyło nam się słyszéć, aby wymieniano myśli swoje co do zapatrywania się na wychowanie dzieci. Częściéj jeszcze podnoszą te sprawy kobiéty, ale co godność naszych mężów, to już nie pozwala na zajmowanie się takiemi drobnostkami. Na szczęście sprawa wychowania fizycznego zdaje się dojrzéwać; tu i owdzie odzywają się głosy o znaczeniu sił fizycznych, o wartości zdrowia, o potrzebie równowagi ciała i ducha. Czas już, chwała Bogu, aby część tych różnych dobrodziejstw, jakiemi obsypujemy woły i owce, spadła także i na nasze dzieci.

Kiedyś panowało przekonanie, że im więcéj dziecko przyjmuje pokarmu, tém lepiéj jest dla jego organizmu. I dziś się znajdują ludzie, podzielający tę opinią. Większość atoli trzyma za miernością i przechyla się raczéj na stronę niedostatecznego aniżeli zbytniego odżywiania.

Zdaniem naszém błędem jest zarówno przekarmianie, jak i niedożywianie, ale z dwojga złego drugie jest gorsze.

Nie ma się o co spiérać; widzimy, że głód jest dobrym przewodnikiem dla wszelkich stworzeń niższego rzędu; dobrym przewodnikiem jest on także dla niemowlęcia, dla rozmaitych innych ludzkich ras, wreszcie dla każdego człowieka, który prowadzi porządny tryb życia; przeto ten sam głód może być również dobrym przewodnikiem i dla dzieci.

Może ktoś zarzucić nas faktami, które będą w sprzeczności z naszém twierdzeniem. Jednakże w sprzeczności pozornéj, ponieważ wypadki przesycania się dzieci pokarmem są zwykle skutkami ograniczenia w odżywianiu. Jestto reakcya zmysłów, wywołana przez ascetyczne dążności.

Nieraz dziecko, dobrawszy się do łakoci w dzień jakiego święta rodzinnego albo przy pierwszéj lepszéj sposobności, puszcza lejce długo przez wychowanie powstrzymywanym popędom. Wówczas to, gdy złe stąd skutki wynikają, rodzice wnoszą, iż dzieciom nie można pozostawiać swobody w zadawalnianiu apetytu. A jednak zadawalniać go trzeba w sposób naturalny, bo w wychowaniu rozumném nie ma żadnego innego środka. Cóż za wartość ma ten rodzicielski sąd, który się podstawia jako regulator w miejsce naturalnych potrzeb dziecięcego organizmu? Skądże to matka lub guwernantka wié, iż dziecko ma dosyć, gdy mu nie pozwalają jeść więcéj nad przepisaną porcyą? Nam się wydaje, iż tak jedna jak i druga nie wié, że odżywianie ciała zależne jest od licznych a zawikłanych przyczyn, że ma ono związek ze zmianami temperatury, z wilgocią powietrza lub stanem jego elektrycznym; z ilością dokonanéj pracy, z ilością i jakością poprzednio spożytego pokarmu i t. d. Zaprawdę ta pewność, z jaką rodzice dyktują prawa żołądkom swoich dzieci, jest najlepszym dowodem z ich strony zupełnéj nieznajomości fizyologii i tu się sprawdza, że „zarozumiałość z nauki jest skromną w porównaniu z zarozumiałością nieświadomości.“

Zwróćmy się teraz od sprawy ilości do jakości a przekonamy się, że i pod tym względem dzisiejsze wychowanie trzyma się ascetycznego kierunku. Ogólnie bowiem panującém przekonaniem jest, jakoby pokarm zwierzęcy w małéj tylko ilości wypadało podawać dzieciom. Przekonanie to jednak nie wspiéra się na żadnéj podstawie.

Żaden fizyolog nie potwierdzi opinii, że dzieci potrzebują pokarmu mniéj pożywnego niż dorośli.

Przeciwnie nawet potrzeba pożywienia większą jest u chłopca aniżeli u mężczyzny. Jakiż bowiem jest cel odżywiania? Ciało człowieka przy ciągłéj pracy podlega w różnych swoich częściach utracie tkanki komórkowéj, a nadto codziennie zużywa pewną ilość ciepła; tak zaś jedne jak i drugie straty muszą być powetowane przez odżywianie, gdyż w przeciwnym razie organizm człowieka zużyłby się i zaprzestał pełnić funkcyj życiowych.

Ilość pokarmu, przyjętego przez dziecko, musi wystarczyć nie-tylko na wynagrodzenie strat w tkance komórkowéj i w cieple, ale jeszcze musi pozostać pewna część, która obróconą zostaje na dalsze kształcenie i rozwijanie budowy cielesnéj. Jedynie w razie takiéj przewyżki dobry wzrost jest możliwym u dzieci, w razie przeciwnym organizm zostaje na przyszłość podkopany. Zdawałoby się, że jakość dobrego pokarmu można zastąpić większą ilością gorszego. Pamiętajmy jednakże, iż im mniejszą będzie praca trawienia, tém więcéj sił niezużytych pozostanie na rzecz wzrostu i rozwoju cielesnego.

Czynności żołądka oraz kiszek wymagają współudziału krwi i nerwów, a jeśli pożywienie składa się z dużéj ilości mniéj pożywnych pokarmów, natenczas praca tych czynności będzie znaczniejszą aniżeli przy pożywaniu pokarmów w ilości mniejszéj, ale za to pożywniejszych. W pierwszym razie nadmiar pracy jest stratą, skutki któréj uwidocznią się już w zmniejszonéj energii działania, już w mniejszym fizycznym rozwoju, albo w jednym i drugim. Z tego wynika, iż pokarm dla dzieci powinien być pożywny i strawny.

Jeśli zechcemy porównywać różne gatunki zwierząt lub różne rasy ludzi, albo różnie odżywiane osobniki zwierzęce czy ludzkie, przekonamy się niezawodnie, że stopień energii działania zależy od jakości pożywienia. Dosyć porównać trawożerną krowę lub owcę z dobrze odżywianym na owsie koniem lub z mięsożernym psem i t. d. Dobrze odżywiane narody zawsze były energiczne i panujące. Kto się inaczéj zapatruje na sprawę odżywiania, ten podobnym jest do szukającego *perpetuum mobile*, ten sądzi, że siła z niczego może powstać.

Wystąpimy tu jeszcze przeciw jednemu zakorzenionemu nałogowi, mianowicie przeciw ciągłemu odżywianiu dzieci jednemi potrawami. Codziennie na śniadanie barszcz z kartoflami lub mléko z chlebem i to się czasem przez parę lat nieubłagalnie ciągnie! Cóż robić, kiedy tak chce mama, ciocia, babcia; kiedy tak się wychowywali ojcowie, dziadkowie i pradziadkowie. Nie o tradycyą tu chodzi, ale o zdrowie dzieci, o zasadę fizyologiczną.

Trudno to o taką potrawę, któraby łączyła w sobie wszystkie elementa wymagalne do prawidłowego odbywania się funkcyj życiowych; przeto częsta zmiana pokarmów potrzebna jest, aby sprowadzić równowagę wszystkich takich elementów. Znanym jest fakt, że ulubiona jakaś potrawa wywiera podnietę na nerwy, co pobudza czynności serca, wywołuje prędszą cyrkulacyą krwi i wspiéra funkcyą trawienia.

Na prawidłach tych wspiéra się teorya nowożytnéj hodowli zwierząt. Nietylko pożądaną jest peryodyczna zmiana pokarmów, ale mięszanie to jest urozmaicanie ich za każdym razem, gdy się posiłek przyjmuje. Ktoby jednakże chciał według naszego planu zmienić dawny zły systemat odżywiania dzieci, radzimy mu zaprowadzać zmianę powoli, bo osłabiony cały organizm dziecka mógłby uledz niebezpiecznéj reakcyi przy zaprowadzeniu nagłéj reformy.

Do naturalnych przewodników życia naszego należy także uczucie ciepła i zimna. Tutaj zaraz musimy oświadczyć, że teorya hartowania dzieci jest czystém złudzeniem. Niejedno dziecko przypłaciło życiem za takie hartowanie, a te co przy życiu zostały pokutują na zdrowiu za nierozsądek wychowawców. Szkockie konie wytrzymują łatwiéj zimno niż wyścigowe rumaki, ale są téż za to karłami, tož samo Lapończycy. Czyżbyśmy także chcieli wytworzyć karłów?

Że zimno źle wpływa na wzrost zwierząt, o tém wié każdy, kto się hodowlą ich zajmuje. Quételet powiada, że w Belgii na jeden wypadek śmierci pomiędzy dziećmi w Lipcu przypada dwa w Styczniu. W Rosyi zaś śmiertelność pomiędzy dziećmi jest przerażająca. Godnym jest u nas istotnie pożałowania widok malców wystawionych na zgubny wpływ zimna przez swoje matki nie dla innéj przyczyny tylko dla mody.

Gdybyż te panie próbę niedorzeczności swojéj odbywały przynajmniéj na własnych osobach. Smutno pomyśléć, że pierwszy lepszy „Dziennik mód“ stanowi przepisy, które jedynie umiejętność podać może; smutno pomyśléć, że te matki do takich tylko powag odwołać się umieją! Taka lekkomyślna nieświadomość ma tę pociechę, że skutki jéj wybryków nie zawsze odrazu występują, kończąc się zapaleniem płuc, gardła i t. d., ale niewidzialnie prawie podkopują różne części organizmu, tamując jego rozwój i przyprawiając w wieku późniejszym o śmierć przedwczesną.

Ale Moloch macierzyńskiéj próżności potrzebuje swoich ofiar. Postępowanie podobne powinnoby ze strony ojców pociągnąć energiczną interwencyą.

Oprócz względów pokarmu i odzieży bardzo ważną w wychowaniu fizycznem jest kwestya swobody ruchów ciała. Zwłaszcza też biedne dziewczęta cierpią ogromnie w téj mierze; matki bowiem i ochmistrzynie mają to przekonanie, że dziewczyna powinna być wychowaną na niewolnicę. Nie dopuszcza się tutaj najmniejszego wybuchu wesołości, bo to razi przyzwoitość: zresztą karnie wytresowane dziewczyny są takim uległym materyałem w rękach wychowawczyń, które mają drażliwe nerwy na wszelki hałas.

Dlaczego ludzie dorośli lubią się tak uparcie pastwić nad ludźmi niedojrzałymi, to jest istotnie rzeczą zadziwiającą—i dlaczego to całe swoje naturze przeciwne postępowanie mianuje dobroczynnym wpływem wychowania? W rozwijaniu ciała ważną bardzo rolę odgrywają ruchy, ale i na tym punkcie rutyna sztuczna okazała się nieubłaganą w obec natury. Skrępowano najprzód swobodę wszelkich naturalnych ruchów, a po długich w tym względzie rozprawach podstawiono system ruchów sztucznych czyli gimnastykę. Jest to wprawdzie lepsze jak nic, ale zaprzeczamy, aby gimnastyka mogła zastąpić dzieciom ich swobodne igraszki. W téj substytucyi znajdują się niedostatki dwojakiego rodzaju: dodatnie i ujemne. Sztuczne ćwiczenia ruchów muszkularnych nie przedstawiają najprzód takiéj rozmaitości, jaką się spotyka w zwykłych zabawach dzieci, z czego wynika nierówny podział czynności na wszystkie części ciała a co jednocześnie jest przyczyną, iż taka praca pojedynczych części sprowadza rychłe znużenie. Nawiasem zaś dodajemy, że ten nierówny podział przez częste powtarzanie wywołuje nieproporcyonalny rozwój fizyczny. Powtóre niedostateczność gimnastyki widzimy także w małym interesie, jaki ona dla dziatwy przedstawia. Są to formalne lekcye, dające dużo powodów do odstręczenia, choćby dla téj jednéj przyczyny, że jednostajność ruchów musi znudzić. Jedynym bodźcem jest tu współzawodnictwo, to jednakże nie zastąpi żywéj ochoty.

Inny jeszcze zarzut stawia nam gimnastykę niżéj od zwykłéj dziecinnéj zabawy.

Ten sam brak interesu, któryśmy przedstawili jako odstręczający dzieci z powodu swéj jednostajności jest również przyczyną nieznacznego jéj wpływu na ciało. Przyjemna podnieta albowiem ma swoje wysokie znaczenie; pomyślmy tylko, ile przyjemności sprawiają choremu odwiedziny starego przyjaciela lub pomyślne wieści. Dlatego też lekarze ludziom słabowitym zalecają wesołe towarzystwo lub zmianę miejsca, co tak przyjemnie a następnie i zbawiennie oddziaływa na organizm. Krótko mówiąc, uczucie szczęścia przyspiesza krążenie krwi, ułatwia funkcye życiowe a jednocześnie wzmac-

nia nadwerężone zdrowie człowieka. Ta zgiełkliwa radość dzieci wśród zabawy stanowi całą ważność przy kształceniu fizycznego organizmu, na czém zbywa gimnastyce. Kto odmawia chłopcom czy dziewczętom zabaw, do których są popychane przez instynkt, ten odbiéra im ważny środek, jakiego najwyższa mądrość udzieliła dla fizycznego rozwoju człowieka.

Nareszcie powinniśmy zwrócić uwagę na bardzo poważną okoliczność, że generacya nasza jest gorszą fizycznie od poprzednich. Przedwczesne łysiny i wypadanie zębów pomimo życia skromnego w porównaniu z życiem naszych przodków, ogólne zmniejszenie się sił i brak wytrwałości na wszelkie niewygody mogą istotnie smutne wnioski nastręczać co do przyszłości. Przyglądając się pokoleniu wzrastającemu, nabiéramy przeświadczenia, że ono słabszém jeszcze od nas będzie. Co to ma znaczyć, skąd ten upadek bierze źródło?

Mniemamy, iż przyczyną jest tutaj nadmiar pracy umysłowéj. Rzeczywiście młodzież nasza za wiele pracuje umysłowo i to minuje jéj zdrowie. Znamy przykład żywy: pewna dama, córka zdrowych i silnych rodziców, odbyła kursa w szkole prywatnéj, gdzie ją niezmiernie skromnie karmiono a kazano nad miarę pracować; ta dama cierpi obecnie zawroty głowy codziennie się powtarzające; dzieci zaś jéj odziedziczyły już mózg osłabiony i przy najmniejszéj umysłowéj pracy dostają bolu oraz zawrotu głowy. Inna panienka, która niedawno chwalebnie ukończyła nauki, jest ogromnie słabowitą, zaledwie ma siły odbyć krótką przechadzkę, a przy wejściu na schody dostaje zwykle bicia serca. Jakkolwiek nie usiłowaliśmy zbiérać takich przykładów, moglibyśmy ich bardzo dużo przytoczyć. Tu kazano młodzieńcowi na cały rok przerwać nauki, tam inny znowu chronicznie cierpi na mózgowe ataki a wszystko z powodu zbytecznéj pracy umysłowéj. Jeżeli już tyle jest wypadków jawnych, ileż to być musi dopiéro takich, gdzie zło powoli i nieznacznie się wkrada.

Co tu mówić o polepszeniu stanu w obec wykazanéj wadliwości całego wychowania? Jak można nie oczekiwać blednic, osłabień przedtém nieznanych i różnych chorób zwłaszcza u kobiét?

Zdaje się, iż jesteśmy jeszcze dosyć daleko od prawdy, która niezawodnie nie polega na daniu przewagi umysłowi nad ciałem lub odwrotnie, ale na szczęśliwém połączeniu dóbr duchowych z cielesnemi. Obowiązkiem naszym jednak powinno być dążenie do tego, aby ludzkość zarówno troszczyła się o duchowość jak i o ciało, które jest podstawą duchowości. Według tego bowiem jak ludzie obecnie mówią i postępują wydaje się, jak gdyby mieli zupełną wol-

ność wychowywania swych dzieci podług własnych jednostkowych upodobań. Nieposłuszeństwo, którego się oni dopuszczają względem praw natury, pociąga najsmutniejsze następstwa, które spokojnie zaliczane bywają na karb nieszczęśliwych wypadków, a nigdy nie uważają się jako czyny kary godne i obciążające ich w wysokim stopniu. Złe następstwa, jakie wychowawcy sprowadzają na głowy swoich potomków i przyszłych pokoleń, są przecież przestępstwami nieustępującémi w niczém przekroczeniom, które surowo karzą różne prawodawstwa.

---

# POWÓDŹ.

POWIEŚĆ

## FRYDERYKA SPIELHAGENA

**W SKRÓCENIU OPOWIEDZIANA**

przez

## WINCENTĘ LIMANOWSKĄ.

---

## KSIĘGA DRUGA.

— Ostatnia stacya, panowie! proszę o bilety!

Reinhold podał swój bilet konduktorowi i spojrzał na swego towarzysza podróży, który, obudzony tém wezwaniem, przeciągnął się, ziewnął i wreszcie podał żądany bilet.

Poprzednio już Reinhold uważnie przypatrywał się śpiącemu, zdawało mu się, że widział go kiedyś, ale nie mógł przypomnieć gdzie i jak; teraz zaś, kiedy nieznajomy obrócił się ku oknu, i światło padło na twarz jego, nagle przypomniało się Reinholdowi inne oblicze o wiele piękniejsze, przyjemniejsze, ale bardzo podobne do tego.

Nieznajomy patrzał na niego także przez chwilę, wreszcie zaczepił pytaniem, i po kilku zamienionych słowach pokazało się, że się spotkali niegdyś pod Orleanem, że młody oficer służył w gwardyi i nazywał się Ottomar von Werben.

Jeżeli serce Reinholda uderzyło radośnie, gdy się dowiedział, że ma brata Elsy przed sobą, ten również nie pozostał obojętnym na jego nazwisko. We wzroku jego był wyraz zdziwienia i ciekawości, kiedy usłyszał, że Reinhold jest Schmidtem i jedzie dla odwiedzenia krewnych swoich w Berlinie.

— Znam stryja pańskiego z widzenia, rzekł Ottomar, mieszkamy obok siebie; mały nasz ogródek przytyka do wielkiego ogrodu p. Ernesta Schmidt'a. To też, jak się to zwykle w takich razach dzieje, znamy się nie znając—to jest nie znając oficyalnie. Stryja pańskiego znam bardzo dobrze z widzenia, a także i kuzynkę pana. Czy wiedzą o przyjeździe kolegi? spodziéwasz się pan spotkać z nimi na banhofie?

— Tak, ryzykowne to trochę po dziesięciu latach niewidzenie.

Pociąg się zatrzymał. Młody oficer tak szybko wyskoczył z wagonu, że Reinhold nie miał nawet czasu pożegnać go, niewielką wreszcie na to zwrócił uwagę, ciekawie się zapatrzywszy na różnobarwny tłum, który witał przybyłych. W jednéj z najbliższych grup spostrzegł wysokiego, niemłodego już mężczyznę, którego piękna głowa i wyraz twarzy uderzyły go jakiémś dalekiém wspomnieniem; tak, nie mylił się, był to stryj Ernest!

Ucieszony pośpieszył ku niemu. Stryj poznał go także, wyciągnął do niego rękę, a ściskając dłoń jego bystro patrzył mu w oczy.

— Wykapany ojciec! zawołał nareszcie.

Oczy jego zaszły łzami. Przyciągnął Reinholda ku sobie i mocno, serdecznie przycisnął go do piersi.

Reinhold także czuł się wzruszonym. Nie spodziéwał się takiego przyjęcia po człowieku mającym tak surowy i zimny wyraz twarzy.

— Gdzież jest Ferdynanda? zapytał po chwili.

— Oto właśnie idzie ku nam, odrzekł stryj i poprowadził go ku młodéj osobie, która się zbliżyła do nich w téj chwili.

Ferdynanda piękną była w całém znaczeniu tego słowa; ale niebieskie, melancholijne jéj oczy z jakimś niepewnym wyrazem patrzyły na Reinholda; głos, którym go witała, był obojętny, a uścisk dłoni lekki.

— Ciebie nie byłbym poznał, rzekł do niéj Reinhold.

— Ja ciebie także nie, odpowiedziała.

— A teraz jedźmy, przerwał stryj Ernest i wyprzedził ich o kroków kilka, dążąc w stronę, gdzie stały pojazdy.

Reinhold zamierzał iść za nim i właśnie podawał rękę kuzynce, kiedy niespodzianie stanął przed nim Ottomar Werben.

— Chciałem się pożegnać z kolegą, przemówił.

— Przepraszam pana, aleś tak szybko znikł.

— Będziesz pan łaskaw przedstawić mię?

— Porucznik von Werben—moja kuzynka, panna Ferdynanda Schmidt.

Ferdynanda bardzo etykietalnym ukłonem, jak się zdawało Reinholdowi, odpowiedziała na ukłon młodego człowieka.

Po chwilowéj rozmowie pożegnano się.

Reinhold, widząc niechętny i jak gdyby ponury wyraz twarzy Ferdynandy, sądził, że niezadowolniona była z téj nowo zabranéj znajomości; tłómaczył się więc przed nią, że trudno mu było inaczéj postąpić i że musiał zaprezentować młodego oficera, kiedy ten prosił go o to.

— Obojętną mi to zupełnie jest rzeczą, odpowiedziała; ale ojciec czeka na nas, a wiém że tego nie lubi.

— Kto to był? zapytał stryj Ernest, gdy się do niego zbliżyli.

— Pan Werben, oficer—znajomy z czasów kampanii, przypadkowo spotkałem się z krewnymi jego w drodze.

— Syn jenerała?

— Tak.

Reinhold uczuł drżenie ręki opartéj na jego ramieniu i usłyszał szeptem wypowiedziane słowa: ojciec nienawidzi Werbenów; ja sądzę, jenerała—z czterdziestego ósmego roku jeszcze.

Słowa te wyjaśniły Reinholdowi sztywne zachowanie się Ferdynandy w obec młodego człowieka.

— Ja nie mam żadnéj nienawiści do Werbenów, pomyślał wsiadając do powozu i raz jeszcze przyjaźnie odpowiedział na uprzejmy ukłon Werbena, który zdaleka stojąc pozdrowił go ręką.

---

Reinhold wiedział oddawna, że stryj jego ma wielką fabrykę marmurowych wyrobów i że mu się nieźle powodzi; teraz zaś, patrząc na wykwintny ubiór Ferdynandy, na pyszny pojazd zaprzężony w dwa ogniste konie, które szybko unosiły ich z dworca kolei, wnioskował, że interesa jego muszą być bardzo dobre, a nawet świetne.

Domysły te stwierdziły się, kiedy stanęli przed pięknym wielkim domem, do którego prowadziły marmurowe schody; stryj sam, prowadząc go przez liczne .komnaty, zawiódł do pokoju przeznaczonego dla niego i prosił, by się w nim rozgościł i przebrawszy zeszedł do sali jadalnéj. W całym domu widać było bogactwo, przepych nawet, choć bez wystawy; był nawet gust we wszystkiém, ale zewsząd wiał jakiś chłód, jakaś sztywność nieokreślona.

Ten sam chłód, ta sama sztywność dawała się spostrzegać w stosunkach Ferdynandy z ojcem i ciotki Rikchen z bratem. Siostrę swą, ciotkę Rikchen, jak ją powszechnie nazywano, stryj Ernest traktował z góry, uważając ją, jak gdyby za stare dziecko.

Co do Filipa, brata Ferdynandy, ten się wcale nie pokazał u stołu. Na zapytanie Reinholda, odpowiedziano mu, że Filip bywał

rzadko, a stryj dodał, nigdy. Przy téj wzmiance o synie głos stryja tak był cierpki i ostry, a wyraz twarzy obu kobiét tak niespokojnie wymuszony, że łatwo się było domyśléć, iż w przedmiocie tym była czuła struna, któréj nieprzyjemnego dźwięku wywoływać nie należało.

Wszystkie te okoliczności mogłyby były krępująco wpłynąć na pierwsze chwile pobytu Reinholda w domu stryja, pierwszą niemal rozmowę jego u stołu. Ale stryj Ernest począł go rozpytywać z największém zajęciem o wszystkie wypadki życia jego, zaszłe od czasu, jak się z sobą rozstali. To naturalnie zwróciło powszechną uwagę na inny przedmiot. Reinhold nie szczędził szczegółów; opisywał nietylko koleje losu własnego, ale i kraje, które zwiedził, i miejsca, w których dłużéj przebywał. Stryj Ernest nietylko słuchał opowiadania tego z widoczną przyjemnością, ale wciąż ciekawie rozpytywał o wszystko; ogromny przytém wykazał zasób wiadomości, tak, że Reinhold nie mógł się wydziwić dokładności, z jaką znał wszystkie znaczniejsze miasta, ich stosunki i historyą.

— Cóż chcesz? odpowiedział mu. Nie miałem, jak ty, sposobności zwiedzić i poznać świat. Zamknięty w ciasném kole obowiązku, od dzieciństwa musiałem ciężko pracować na chléb; a kiedym go już zdobył nareszcie, nie pora była wówczas myśléć o podróży. Pozostały mi więc tylko książki, i z nich musiałem się uczyć, jak wielkim i pięknym jest świat nasz.

Kiedy tak mówił, wszystko co było ostrém i cierpkiém w głosie, a ponurém w rysach znikło zupełnie, nie na długo wszakże; po chwili czoło i oczy znowu zaszły chmurą. Zawsze jednak piękna to była, majestatyczna głowa, o siwych włosach i białéj brodzie; piękna była twarz, któréj wyraz zmieniał się co chwila, nigdy jednak nie było w niéj nic płaskiego ani pospolitego.

Reinhold, patrząc na stryja, przypomniał sobie inne oblicze, które widział przed kilku dniami, równie piękną surową twarz jenerała Werbena. Ale tamta nie miała tego ognia, który tutaj pysznie wybuchał niekiedy, niekiedy znowu jak gdyby pod warstwą popiołu tlał tylko i zdawał się grozić.

Groził widocznie już nawet w téj pierwszéj z synowcem rozmowie, ale on nie spostrzegał tego i doszedłszy w ciągu opowiadania swego do wypadków lat ostatnich, zawołał: tak, zerwałem wszystkie stosunki, wszystko rzuciłem i pośpieszyłem na obronę ojczyzny. Poświęciłem jéj wszystkie siły moje i mogę wyznać, że ani chwilę nie zwątpiłem o świętości sprawy, chociaż szata, która ją okrywała, była krwawą i brudną. A kiedy cel został dopięty, wróciłem do mego dawnego zajęcia, do mego okrętu z tém słodkiém uczuciem, żem

spełnił mój obowiązek; z tém przekonaniem, że gdziekolwiek mię odtąd zmienne losy żeglarza zawiodą, wszędzie pod osłoną niemieckiéj bandery znajdę część ojczyzny, z tą pewnością nareszcie, że to, cośmy tak ciężko zdobyli, nie zaginie, i dzieło przez nas zaczęte, przez was dokonaném zostanie, i kiedy wrócę do kraju, na wszystkich twarzach i w sercach wszystkich znajdę radość i pokój.

— Wprawdzie, pod tym ostatnim względem nadzieja mię zawiodła, ale chcę wierzyć, że przypadek tylko zrządził, iż spotkałem tutaj ludzi, którzy zapewne z czysto osobistych pobudek tylko niezadowoleni są z nowego stanu rzeczy. Przytrafiło mi się to nawet bardzo niedawno u hrabiego Golma, gdzie energicznie wypowiedziałem zdanie moje w tym względzie. Szczęśliwy jestem, że tu w domu twoim, drogi stryju, coś walczył za ojczyznę i tak wiele za nią wycierpiał, znajdę zupełne uznanie i zgodny oddźwięk myśli moich i uczuć.

Stryj Ernest słuchał, oparłszy czoło o rękę, teraz podniósł głowę:

— Mylisz się—na wiele rzeczy coś mówił, nie zgadzam się wcale! zawołał. Prawda! walczyłem o ile mogłem: na barykadach w dniach marcowych, na ławkach zgromadzenia narodowego, wszędzie i zawsze o ile mogłem. Nie mówię już o tém, com ucierpiał i czegom doświadczył, kiedy mię z jednéj ławy oskarżonych na drugą przerzucano, a nawet do więzienia wtrącono, to była rzecz naturalna, i lepszych odemnie spotykał tenże los. Ale to była walka! nierówną wprawdzie bronią prowadzona, lecz zawsze walka! A teraz cóż to jest? Istny jarmark i buda tandetna, gdzie tu i owdzie szachrują i strzępki naszéj staréj, pięknéj chorągwi wolności jeden po drugim sprzedają człowiekowi, która ma ich wszystkich w swojéj kieszeni.

Twarz mówiącego jeszcze groźniéj się nachmurzyła, a ciemnoniebieskie oczy rzucały błyskawice.

— Nie przeczę temu, stryju, że w kraju nie zupełnie tak jest jakby należało, ale sam przyznasz, że zdaleka wszystko wygląda inaczéj, lepiéj; nie możesz mi téż brać za złe czci, jaką mam dla tego, któremu bądź co bądź zawdzięczamy szacunek, jakiego teraz używa naród niemiecki w całym świecie.

— Znam tę piosenkę, odrzekł stryj Ernest; chytry ptasznik nuci ją zawsze, gdy chce zwabić więźniów do swéj siatki: kto wywołał 1864, kto 1866, kto 1870? ja! ja! ja!

— A czyż nie ma słuszności?

— Nie, tysiąc razy nie! gwałtownie zawołał stryj Ernest. Czyż ten, kto odrzucił ostatnią warstwę ziemi, ma wyłączne prawo do

skarbu, wydobytego z jéj głębi przez kogoś innego? Czyż to, czego dokonano, byłoby się stało, gdyby przedtém jeszcze tysiące patryotycznych serc i głów nie marzyło o niemieckiéj jedności, dzień i noc nie myślało o wielkości Niemiec, tysiące głów i serc ludzi, których ominęły dotacye i tytuły hrabiów i książąt?!

— Ja myślę, odrzekł Reinhold, że z niemiecką jednością jest tak, jak z innemi wielkiemi rzeczami. Wielu ludzi w myśli swéj płynęło do Indyj zachodnich, w rzeczywistości zaś jeden tylko popłynął i ten odkrył Amerykę.

— Mnie się zdaje, odpowiedział stryj Ernest, że ten, który ją odkrył, nazywał się Kolumb i przez wdzięczność za to wrzucono go do więzienia, umarł w nędzy. Ten, który przyszedł po nim i jego sławę dla siebie zagarnął i którego imieniem nazwano tę część świata, nie wart był rozwiązać rzemyka u obuwia tamtego.

Kończąc te słowa stryj Ernest duszkiem wychylił szklankę wina. Reinhold zauważył, że ręka jego drżała trochę, a wielkie oczy przykrym migotały blaskiem.

Reinhold zwrócił rozmowę na inny przedmiot; stryj Ernest zasępiony słuchał go, lub ostro, szyderczo odpowiadał.

Pewne zniechęcenie opanowało młodego człowieka; czyż mógł się spodziéwać, że na jakiejkolwiek drodze potrafi się z nim porozumiéć? Poglądy stryja tak się różniły z jego poglądami, wszystko bowiem doprowadzał do ostateczności, w niczém żadnego nie chciał zrobić ustępstwa, nawet względem tego, którego przed godziną powitał był tak serdecznie jak ojciec syna.

Reinhold spojrzał na ciotkę Rikchen. Spojrzenie jéj zdawało się mówić: taki on zawsze, nie ma na to rady!

Ferdynanda wciąż roztargnionym wzrokiem spoglądała przed siebie, zdawała się nie uważać nawet, że ciotka szeptała cóś do niéj w téj chwili.

Ale stryj Ernest postrzegł to natychmiast, gwałtownie postawił szklankę, którą znowu niósł był do ust, i zawołał:

— Tysiąc razy prosiłem cię Rike, byś zaprzestała obrzydliwego zwyczaju szeptania! O co tam znowu chodzi?

Pomięta twarzyczka ciotki poczerwieniała z oburzenia, ale tonem rezygnacyi i obojętności, jak zwykle w takich razach, odpowiedziała.

— O nic wcale! Pytałam tylko Ferdynandę, czy Justus nie przyjdzie dziś wieczór?

— Kto to Justus? spytał Reinhold.

— Rike ma zwyczaj nazywać ludzi jak najpoufaléj, odpowiedział stryj Ernest.

— Dlaczegoż nie, jeżeli ci należą prawie do rodziny, odpowiedziała ciotka Rikchen. Justus, czyli jak chce stryj, pan Anders, jestto młody rzeźbiarz.

— Mający trzydzieści kilka lat, dorzucił złośliwie stryj.

— A więc trzydzieści kilka, dokładniéj mówię—33; mieszka zaś u nas od nie wiedziéć jak dawna.

— A ty nie wiész tego, Ferdynando? zapytał stryj.

— Ferdynanda jest właśnie uczennicą jego, mówiła daléj ciotka...

— Ah? odezwał się Reinhold, winszuję.

— Nie ma o czém mówić, odpowiedziała Ferdynanda.

— Jego najlepszą uczennicą, mówiła ciotka, sam mi o tém mówił wczoraj jeszcze, jako téż, że jéj pastuszek bardzo się podobał w komisyi. Ferdynanda bowiem posłała na wystawę pastuszka podług poematu Schillera.

— Uhlanda, ciotko!

— Proszę darować, na nieszczęście nie posiadam nauki, jak inni;—nie wiém już o czém miałam mówić.

— Niewiele na tém stracimy, zamruczał stryj Ernest.

— Mówiłaś, ciotko, o pastuszku Ferdynandy, odezwał się Reinhold. Ciotka spojrzała na niego z wdzięcznością; ale zanim zdołała odpowiedziéć, głos jakiś odezwał się za drzwiami: czy państwo jeszcze u stołu?

— To Justus, zawołała ciotka.

— Dobry wieczór państwu! Przepraszam, że tak późno przychodzę! Pan kapitan Schmidt? Poznałbym pana po podobieństwie familijném, chociażbym nie wiedział, że miałeś dziś przybyć, przyjemnie mi jest poznać pana! Ciotko Rikchen, proszę o szklankę herbaty nic więcéj i to jeżeli jest jeszcze. Jak się ma panna Ferdynanda? Pastuszkowi pani doskonałe wyznaczono miejsce—zaraz w pierwszym pokoju koło okna. Moja głowa w drugim ujdzie jeszcze pomimo niegodziwego światła; ale grupa w trzecim! dostanie mi się od krytyki! Biedni my artyści!

Reinhold z ciekawością przypatrywał się nowo przybyłemu; jego postawa, mowa, żywość, przyjazne i swobodne obejście się dziwnie odbijały od ogólnego nastroju towarzystwa. Wesoło obracał się w tém kole zasępionych twarzy, jak gdyby zasępienia tego nie widział, to też powoli ustępowało ono przed dobrodusznym uśmiechem i wesołą rozmową artysty. Sam stryj widocznie ulegał wpływowi temu; oblicze jego wypogadzało się stopniowo; stopniowo też, jak się zdawało, nikł wszelki ślad niezadowolenia i złego humoru w towarzystwie.

Przyjemna powierzchowność Reinholda szczególnie musiała się podobać Justusowi, do niego bowiem najczęściéj zwracał mowę.

— Nie słuchaj pan tylko stryja i nie dawaj się uprzedzać przeciw Berlinowi, mówił mu. Teraz już wszystko u nas idzie dobrze a będzie coraz lepiéj. Mamy bowiem to, czego jedynie brakowało nam dotąd, pięniądze; pan może nie wiesz, że Berlińczyk jest wstanie wszystko zrobić, kiedy ma piéniądze w kieszeni. Berlin zostanie stolicą świata, tak, tak, a co przytém roboty dla artystów, co pracy! na mnie już sama skóra i kości pozostały, a tu mam nowy obstalunek!

— Znowu pomnik zwycięztwa? zapytała ciotka.

— Naturalnie! Trzeba panu wiedziéć, panie kapitanie, że u nas teraz najmniejsza nawet mieścina musi miéć swój pomnik. I rzecz naturalna—każda z nich miała bohatérów swoich; czy zaś było ich sześciu tylko czy sześć tysięcy, to nie należy do rzeczy, jak również zapewne nie należy i to, że z piéniędzy, ofiarowanych na owe pomniki, niepodobna jest nic przyzwoitego nawet zrobić.

— I jakże pan rozwiązujesz tę trudność? spytał Reinhold.

— Do jakiejkolwiek staréj figury dorabia nową głowę i Victoria, albo Germania gotowa! wtrącił stryj Ernest.

— Protestuję przeciwko téj obrzydliwéj potwarzy, zawołał rzeźbiarz; raz tylko jeden zrobiłem coś podobnego, i Homera, który już od dosyć dawna stał w pracowni mojéj, spróbowałem przemienić w Germanią.

— I nie udało się? zapytał Reinhold.

— Tego nie można powiedziéć, Germania wspaniale stanęła w Posemukel i błogosławi ojczyznę i wiernych Posemuklerów; cieszę się wszakże, iż obecnością swą uszczęśliwia poczciwych mieszkańców Posemukla nie zaś Berlina.

— Jabym wolał, żeby Germania pozostała była w Berlinie, odezwał się stryj Ernest.

— Dlaczego?

— Stary, czcigodny kadłub, do którego artysta nie przebiérający w środkach dorobił nową, niezupełnie stosującą się do niego głowę, wydaje mi się doskonałym obrazem niemieckiéj jedności; warto, by mu nasi potulni przedstawiciele narodu dobrze i ze wszystkich stron przypatrzyli się.

Justus wybuchnął śmiechem.

— Widzisz pan!—taki to stryj pański! Zazdrość, to jego namiętność! Zazdrości panu Bogu, że stworzył świat;—zazdrości ludziom wszystkiego;—zazdrości mnie każdéj pięknéj figury, zrobionéj

w mojéj pracowni. Zdaje mi się, że wszystko lepiéj niż inni potrafi zrobić; i ma słuszność! Urodził się artystą, tylko—bez rąk. Ma idee wielkie, tytaniczne idee—czasem niewykonalne, ale to nic nie szkodzi, artysta zawsze z nich coś zaczerpnie i o ile może wcieli w swe dzieło. Stryj pański, patrząc na nie, śmiało zawołać może: zupełnie inaczéj myślałem! Znowu, spaczyłeś ideę moję!

Reinholdowi zdawało się, że słowa te nie uraziły wcale stryja, przeciwnie, zdawał się być zadowolniony z pochlebstwa.

— A nowy obstalunek? zapytał.

— O, pyszny obstalunek! Wszystkośmy już ułożyli w komisyi. Szczegółów nie będę opowiadał—stara to historya: podstawa, wieńce nadpisy, insygnia itp. Ale wypukła rzeźba, to sęk! Mam już cały pomysł w głowie,—jak mi się uda, zobaczymy! Już to się nie obejdzie naturalnie bez zarzutu, żem to i owo, u tego lub owego po prostu skradł—ale cóż na to poradzę? w starym naszym świecie skąd wziąć już téj oryginalności? Moja oryginalność zależéć będzie na oryginalnych modelach—a modele te mam doskonałe!

I tak najprzód: odjazd landwerzysty; landwerzysta: to pan, panie kapitanie.

— Ja? zawołał Reinhold zdziwiony.

— A tak, pan—niebo mi zesłało pana, pomyślałem to sobie przed godziną jeszcze. Ale słuchaj pan daléj! Następnie: siwy ojciec, żegnający syna. Justus zniżył głos i wskazał na służącego, który w téj chwili wychodził z pokoju; naturalnie, stary Grollmann ze swemi pysznemi zmarszczkami na wyrazistéj twarzy—wieczny mój model siwych ojców. Drugi obraz: biuro opieki nad ofiarami wojny; kobiety—ciotka Rikchen, przyjmująca dary dla rannych; w jednym kącie Cilli, skubiąca szarpie.

— Piękna myśl, przerwał stryj Ernest.

— Kto to Cilli? spytał Reinhold.

— Anioł, odpowiedział Justus, córka Kreiselsa, pierwszego buchhaltera w fabryce tutejszéj. Kreisels także gra tu rolę swoję, zapisując przynoszone dary. On sam tylko jużby mi zapewnił nieśmiertelność.

Trzeci obraz: scena boju—oficer na koniu, landwerzyści, między nimi nasz kapitan, już podoficer.

Czwarta scena! najpiękniejsze dziewczę miasta niosące wieniec zwycięztwa, naturalnie panna Ferdynanda, jako córka burmistrza. Burmistrz, majestatyczna postać pana Ernesta Schmidta.

— Proszę mię zostawić w spokoju! rzekł stryj Ernest.

— Proszę mi nie przerywać! wołał Justus. Gdzieżbym mógł

znaléść klasyczniejszego przedstawiciela starego, czysto niemieckiego mieszczaństwa.

— Czysto niemieckie mieszczaństwo było republikańskie, zamruczał stryj.

— Tém lepiéj, odpowiedział Justus. Pomnik zwycięztwa jest zarazem pomnikiem pokoju; cóżby nam przyszło po zwycięztwie, gdyby to nie zapewniało pokoju? pokoju na zewnątrz, pokoju na wewnątrz: między stronnictwami! Im wydatniejszy będzie wyraz stronnictw na twarzach moich figur, tém wyraźniejszą się stanie głęboka patryotyczna symbolika dzieła mego. I dlatego trzeba, żeby o sto kroków już można było w moim burmistrzu poznać republikanina, tak jak u dowódzcy pułku wcielonego feudała i wroga demokratów. Tu mam znowu model, klasyczny w swoim rodzaju: jenerała von Werben.

Na te słowa twarz stryja Ernesta nagle się zachmurzyła, Ferdynanda gwałtownie się zaczerwieniła i zaraz potém śmiertelnie zbladła; ciotka Rikchen trwożliwie spojrzała na mówiącego i dawała mu znaki, ale on ich nie spostrzegł i mówił daléj:

— Z wyrazem zaspokojonéj dumy, ale zarazem przezwyciężonego oporu, jak gdyby chciał powiedziéć: wojna między nami skończona na zawsze! jenerał mój podaje rękę memu burmistrzowi, który z mezkiém wzruszeniem ściska ją, jak gdyby mówił: tak powinno być!

— Tak nie powinno być! zagrzmiał stryj Ernest piorunującym głosem:—niech mi ręka uschnie, zanim uścisnę dłoń jego! A ktoby chciał zelżyć mię w taki sposób, chociażby tylko na obrazie, między nim a mną stosunek zerwałby się na zawsze—ot tak!

I chwyciwszy nóż, ciął nim po obrusie, poczém wyrzucił go z ręki i, chwiejąc się, podniósł z krzesła.

Ale w téjże chwili wyprostował się i z przymuszonym spokojem powiedział: Zadługośmy siedzieli u stołu; krew bije do głowy. Dobréj nocy ci Reinholdzie, do jutra rano! Dobréj nocy wszystkim!

I opuścił salę.

Z szeroko otwartemi oczami, zadziwiony jak dziecko, rzeźbiarz spoglądał po kolei na wszystkich.

— Mój Boże, co to się stało? zawołał nareszcie.

W téj chwili Ferdynanda śmiertelnie blada podniosła się z miejsca, ale natychmiast bezwładnie osunęła się znowu na krzesło, i piękna jéj głowa opadła na poręcz.

Rzucono się na ratunek—przywołano pokojową i chwilowe zamięszanie powstało na sali.

Reinhold, uważając przytém obecność swoję za zbyteczną, uprowadził Justusa, który wciąż jeszcze nie mógł przyjść do siebie ze zdziwienia.

— Ale powiedzcież mi przynajmniéj, co to jest? wciąż pytał.

— Sądziłem właśnie, że od pana się dowiem o tém, odpowiedział Reinhold; wiém tylko, że stryj nienawidzi jenerała—z 48 r. podobno; musiało coś zajść wówczas między nimi.

— Tak! teraz sobie przypominam! Ciotka Rikchen wspominała mi o tém kiedyś; ale któżby się był domyślił, że zrobi z tego taką historyą! Odwiedź mię pan jutro, obszerniéj pomówimy o tém. Długo tu pan zabawisz?

— Miałem ten zamiar; ale po dzisiejszéj scenie.

— Eh! nie trzeba tego brać tak na seryo; to już nie pierwszy raz—przyzwyczajeni do tego jesteśmy po trosze—on sam jutro już ani słowa z tego pamiętać nie będzie. Pomimo to najlepszy człowiek. Dobréj nocy! do widzenia!

Reinhold udał się do swego pokoju; księżyc oświecał go dostatecznie, nie palił więc świécy i zamyślony stanął u otwartego okna, wychodzącego na ogród.

Dumał o przykréj scenie, przypisywał ją jednak znacznéj ilości wina, którą stryj Ernest wypił w ciągu wieczerzy—ale nie miał już wątpliwości, że słowa Ferdynandy, wyrzeczone przy spotkaniu we dworcu kolei, były rzeczywistością. Mimowoli przyszła mu na myśl smutna historya Montechich i Capulettich—i tu ściana ogrodowa przedzielała dwa nieprzyjazne sobie domy.

Tak, Justus miał słuszność,—Ferdynanda była piękną, „najpiękniejszą dziewicą miasta“—ale brakło życia, brakło gry w jéj fizyognomii. Wydała mu się inną podczas sceny przedstawienia na dworcu kolei—a teraz tak martwą, tak obojętną miała twarz. Czyżby w téj pięknéj głowie miały być pustki?

Bieg myśli jego przerwało w téj chwili ukazanie się postaci kobiecéj, powoli kroczącéj po ścieżkach ogrodu. Przy wielkiéj odległości nie mógł rozpoznać osoby; to ukazywała się, to znikała wśród długich cieni drzew—wreszcie stanęła przy saméj ścianie sąsiedniego ogrodu. Zdawało się nawet Reinholdowi, że oparła głowę o mur i stała tak przez minut kilka—potém pochyliła się i podniosła coś z ziemi—coś, co w świetle księżycowém białawo zaświéciło i co po chwili skryła gdzieś koło siebie. Potém znowu się przechadzała powoli, wreszcie zbliżyła się ku oknom Reinholda tak, że ten poznał w niéj już teraz wyraźnie Ferdynandę.

Bezwiednym ruchem cofnął się w głąb pokoju. Julia i Romeo znowu stanęli mu w pamięci; po chwili wszakże pomyślał sobie: cóż

w tém dziwnego, że chodzi po ogrodzie?—chce się uspokoić i przyjść do siebie na świeżém powietrzu. Oparła się o ścianę, może zrobiło się jéj słabo—i chustkę upuściła wówczas, a potém podniosła ją; powinienem był pośpieszyć jéj na pomoc a nie stać tutaj spokojnie i patrzéć na to—aż mi wstyd prawdziwie!

---

Nazajutrz rano wszedłszy do sali jadalnéj, zastał tam tylko ciotkę Rikchen, oczekującą na niego z kawą.

Głęboko zamyślona szybko poruszała drutami roboty, którą wiecznie w rękach trzymała. Pomięta jéj twarzyczka nosiła zawsze piętno rozdrażnienia nerwowego, okulary wciąż się zsuwały z nosa, zwłaszcza przy żywszéj rozmowie tak, że się czasem zatrzymywały dopiéro na samym jego końcu, co dziwny wyraz nadawało szarym oczkom, niespokojnie, jak gdyby bojaźliwie biegającym. Oczy te często napełniały się łzami, ale te znikały szybko pod naciskiem woli, przyzwyczajonéj już widać do poskramiania wszelkich zewnętrznych objawów uczuć.

Rada, że mogła sam na sam pomówić z Reinholdem, powitała go serdecznie i ze wzruszeniem wspomniała o podobieństwie jego z ojcem. Natychmiast wszakże zwróciła rozmowę na stryja Ernesta; gradem posypały się skargi na jego tyranią względem wszystkich domowych, na złe, surowe obchodzenie się z nią samą, a wreszcie na lekceważenie, z jakiém patrzy tak na nią, jak na wszystkich, co nie posiadają nauki, którą on sam dla siebie zdobył.

— A dlaczegóż z taką zawiścią usuwa przed nami wszystko coby mogło nas nauczyć! I skądże człowiek może wiedziéć, czy Timbuktu—czy jak się tam zowie—miastem jest, rybą lub ptakiem, kiedy nie wolno mu tknąć ani książki, ani gazety!

Gwałtownie także oburzała się na obojętność stryja względem Ferdynandy a surowość, niczém w jéj oczach nieusprawiedliwioną, względem Filipa.

Reinhold chciał dokładnie się dowiedziéć o rodzaju stosunku, jaki zachodził pomiędzy ojcem a synem, a raczéj o przyczynie zerwania tego stosunku, ale ciotka Rikchen wyraźnie sama nie rozumiała głębszych tego powodów; bo że Filip zdobył sobie bogactwo i niezależność, że właśnie budował dla siebie przepyszny pałac, na który łożył ogromne sumy, to w jéj oczach nie mogło wcale służyć za najmniejszą przyczynę poróżnienia.

To téż ostro powstała na Reinholda, kiedy ten rzucił jéj pytanie, na które nie umiała odpowiedziéć.

— Jakim sposobem Filip dorobił się tak wielkiego majątku?

— Przecięż ani zabił, ani okradł nikogo, więc czegóż chcą od niego?

Osobiście wdzięczną była synowcowi za jego przyjazne obejście się z nią i naiwnie zachwycała się nad dowodem dobroci, kiedy niedawno pytał ją, czy nie potrzebuje pieniędzy.

— A człowiek, który spotkawszy starą ciotkę na jednéj z pierwszych ulic miasta, z własnego popędu ofiaruje jéj pieniądze których wreszcie ona wcale nie potrzebuje, nie może być ani złoczyńcą, ani mordercą! dokończyła z zapałem.

Dla poczciwéj starowiny wszystkie te familijne zatargi były widocznie przyczyną bolu serdecznego; nie umiała pogodzić miłości swojéj, czci niemal dla wszystkich, co nosili nazwisko Schmidtów, z zarzutami, które musiała każdemu z nich robić.

Pomimo wszystkiego, co ją gniewało i oburzało w stryju Erneście, gorąco go widać kochała, bo usprawiedliwiających słów Reinholda słuchała z wdzięcznością i radością niemal. Nie taiła też serdecznéj troski, jaką w niéj wzbudzała zbyteczna ilość wina, którą brat wypijał.

Cała ta rozmowa, któréj towarzyszyły wybuchy łez, oburzenia, a wreszcie drażniący ruch stukających drutów, znużyła Reinholda, to téż odetchnął głęboko, znalazłszy się w ogrodzie.

Tu słońce świeciło jak jasno, a tam nocne widma snuły się wciąż. Co za smutny los biednéj kobiety—wiecznie się skarżyć, zawsze i wszędzie upatrywać zdradę, nieszczęście i nigdy nie widziéć piękności, spokoju, harmonii świata. Czyż ludzie są ślepi—tak jak ta oto dziewczyna?!

Wzdłuż kraty żelaznéj, oddzielającéj dziedziniec od ogrodu, szła młoda dziewczyna. Równemi krokami posuwała się powoli, prawą ręką zlekka dotykając drążków kraty, w lewéj niosąc na talerzu parę kromek chleba. Zbliżając się do nizkiego zabudowania, ku któremu dążyła, podniosła oczy, ale oślepiający blask słońca nie uczynił widocznie żadnego na nich wrażenia—nie spuściła powiek. Szeroko otwarte, niebieskie źrenice patrzyły wprost i jak kwiat otwartym kielichem śmiało zwracały się ku słońcu. Czyste rysy twarzyczki miały wyraz słodki, dziecinny; popielato-blond włosy w długich warkoczach spływały aż do ziemi prawie.

W téj chwili z nizkiego domu wyszedł naprzeciw niéj stary, małego wzrostu mężczyzna i, zbliżywszy się do dziewczęcia, pocałował je w głowę. Wziął z talerzyka kromkę chleba i jedząc powoli, drugą ręką gładził śliczne włosy;—czasem przemówił słów parę—dziewczę się uśmiéchało słodko i wesoło odpowiadało. Śniadanie prędko

się skończyło—stary jegomość raz jeszcze pocałował córkę w czoło,—potém stanąwszy we drzwiach domu, znowu kiwnął do niéj głową, ona takimże ruchem mu odpowiedziała, zupełnie tak, jak gdyby wszystko widziała, —wreszcie odwróciła się i powoli, dotykając znowu prętów kraty, zaczęła wracać tąż drogą, którą była przyszła.

Reinhold nie mógł oderwać oczu od tego obrazka. Nieruchomie stojąc, śledził wszystkie ruchy dziewczęcia, w którém się z łatwością domyślił ślepéj Cilli, biednéj córki starego jegomości, pana Kreiselsa, który pracował u stryja jego jako buchhalter.

Cilli posuwała się powoli, jak gdyby jakieś widzenie senne, wreszcie zatrzymała się przy krzewie głogu, rosnącego z drugiéj strony kraty; ostra gałąź uczepiła się białego fartuszka dziewczyny i pomimo jéj usiłowań nie chciała go puścić.

Reinhold szybko podbiegł ku niéj.

— Niech mi pani pozwoli, zawołał.

Zdaleka jeszcze słysząc go nadchodzącego, dziewczę zwróciło głowę w jego stronę; posłyszawszy zaś te słowa, zaczerwieniło się lekko. Nie było w tém wszakże widać ani zakłopotania, ani przestrachu.

— Dziękuję panu, panie kapitanie, odpowiedziała.

Słodki dźwięk głosu doskonale harmonizował z dziecinno wesołym śmiechem, który towarzyszył tym słowom.

— Skądże pani wiész, kto ja jestem? spytał Reinhold, pochylając się i uwalniając fartuszek od ciernia.

— Od tego, który panu powiedział, że ja się nazywam Cilli i jestem ślepa—od Justusa.

— Pozwolisz mi pani odprowadzić siebie do domu, panno Cilli.

— Bezpiecznie chodzę sama, ale jeżeliś pan tak dobry!

Wyciągnęła ku niemu małą, białą rączkę, któréj Reinhold dotknął z pewnym rodzajem uszanowania.

— Zupełnie tak jak powiedział, szepnęła jakby do siebie: mocna i męzka—dobra, wierna ręka.

— Czy pan Anders powiedział pani i to także?

— Tak, ale i ręka pańska to samoby mi była powiedziała, znam się na rękach. Justusa dłoń nie jest tak silna, chociaż dużo pracuje; ale także jest dobra.

— I tak wierna?

Cilli potrzęsła głową i dźwięcznie, cicho się zaśmiała.

— O nie, nie tak wierna! On nie może być wiernym, żaden artysta nie może być wiernym. On może mieć jednę gwiazdę tylko, swój ideał; za nim musi iść wciąż, jak królowie, idący za gwiazdą do

Betlehemu. I musi być wolny—jak ptak na gałęzi—przychodzić i odchodzić, bujać i latać, i śpiéwać jak mu serce każe.

Tu stanęli przed domem, gdzie Cilli mieszkała. Końce paluszków swych oparła o słupy żelazne, któremi kończyła się krata i podniosła twarz, na któréj był wyraz marzenia.

— Chciałabym być artystą, przemówiła, ale jeszcze więcéj pragnęłabym być marynarzem. Dziwne czasem sny miewam, zdaje mi się, że z szeroko rozpiętemi skrzydłami bujam ponad ziemią. Podemną zielone łąki, ciemne lasy i pola, pokryte żółtym kłosem; srebrzyste strumienie pędzą z gór i zlewają się w wartkie potoki, migające na słońcu, które się coraz bardziéj zniża na horyzoncie. Im więcéj się ono pochyla, i czerwona, coraz czerwieńsza łuna odbija w falach potoku i na wieżyczkach katedry, tém większy uczuwam niepokój, że nastanie ciemność; zanim ujrzę to, czego nie znam, a co wiém, że jest pięknem, wielkiém, wspaniałém. I w chwili, kiedy słońce już, już ma zniknąć, spostrzegam ogromne, niezmierzone morze! Co wówczas uczuwam, tego opisać nie potrafię; ale myślę, że uczuwać to muszą umarli, którzy do wiecznéj wchodzą chwały, albo wielcy ludzie, którzy dokonali na ziemi wielkiego dzieła, mającego zapewnić im nieśmiertelność.

Para jaskółek ćwierkając przeleciała w téj chwili nad głowami stojących, ślepa podniosła oczy.

— Te latają nad morzem, ja nie; ja nie ujrzę go nigdy! nigdy!

Po raz pierwszy oblicze Cilli zasępiło się, ale natychmiast rozjaśniło znowu.

— Niewdzięczna jestem, nieprawdaż? Jak wielu ludzi nie widzi nigdy morza nawet we śnie, jak ja, dzisiejszéj jeszcze nocy. Wczoraj wieczór Justus zaszedł do nas i mówił, że poznał pana; opowiadałeś pan o wielkich podróżach, któreś odbył, i mnie opowiész je pan, nieprawdaż?

— Z pewnością—odpowiedział Reinhold. Ja sądzę, że sny pani piękniejsze są, o wiele piękniejsze od tego wszystkiego, cobym mógł opowiedziéć.

Cilli potrzęsła głową.

— Dziwna rzecz! ojciec mówi to zawsze i Justus także, który przecięż jest artystą, i pan o to, któryś zwiedził świat cały! Ja, nie mrużąc oczu, mogę patrzéć na słońce, wy przed jego wspaniałém światłem musicie zamykać swoje. Ja—ja nie mogę nigdy widziéć miłego uśmiechu kochanego ojca, ani twarzy ludzi, których kocham. Jakże świat mój może być milszym i piękniejszym od waszego? Mówicie tak zapewne dlatego tylko, by mię nie zasmucać. Tego nie powinniście się obawiać. Ja nikomu nie zazdroszczę: z całego serca

życzę szczęścia każdemu—każdemu! a témbardziéj ludziom, którzy tak dobrzy są dla mnie, jak ojciec i kochany Justus! Ale jak zacznę mówić, to już nie ma końca, nieprawdaż? i zatrzymuję pana tak długo, kiedy masz tyle ważniejszych rzeczy do zrobienia! Do widzenia!

Lekko uścisnęła rękę jego i posunęła się ku drzwiom, ale tu znowu stanęła i powiedziała:

— Czyż Justus nie miał słuszności, kiedy powiedział, żeś pan dobry! Nie zaśmiałeś się, kiedym rzekła: do widzenia!

Raz jeszcze, stojąc na progu, skinęła głową i weszła do domu.

Reinhold nie zaśmiał się, ale po zniknięciu anielskiéj istoty, potarł ręką oczy.

I zdawało ci się, że umiész kochać! szepnął do siebie. Czémże są nasze najczystsze, najświętsze uczucia w porównaniu z czystością i dobrocią serca téj biednéj ślepéj dziewczyny, która tak, jak lilije na polu rosnące, nie wié nawet o piękności swojéj? Jakim cudem ten wdzięczny kwiatek mógł rozwinąć się tutaj?!

I obejrzał się dokoła. Przez otwarte, nieopodal znajdujące się szerokie wrota rzucił okiem w stronę warsztatów. Na pierwszém podwórzu stały i białe krzyże i nagrobki, jedne wykończone, drugie zaledwie rozpoczęte.

Reinhold wzdrygnął się na tak smutny i ponury widok w chwili, kiedy wyobraźnia młodéj dziewczyny ukazała mu tak piękny, tak wesoły świat.

Spytał robotników o stryja; nie umiano mu powiedziéć, gdzie się znajduje. Na los szczęścia, szukając pracowni Andersa, zapukał do pierwszych drzwi, jakie ujrzał przed sobą. Nie odpowiedziano mu najprzód wcale, wreszcie drzwi się nawpół otworzyły, i ukazała się w nich młoda i piękna twarz z czarnemi błyszczącemi oczyma.

— Pan Anders jest w mieszkaniu swojém, trzecie drzwi stąd.

Słowa te wyrzeczone były głosem złego humoru i akcentem, który zdradzał cudzoziemca.

— Ale pan Anders wybiéra się na wystawę i teraz się ubiéra, dodał.

— Nie wiész pan, czy panna Schmidt jest w swojéj pracowni?

Pytania te wyczerpały, jak się zdawało, cierpliwość młodego człowieka. Czarne oczy złowrogo błysnęły; wierzchnia wargą zadrżała tak, że na chwilę białe zęby zaświeciły z pod niéj.

— Non lo so! zawołał gwałtownie i trzasnął drzwiami, mrucząc coś daléj po włosku.

Reinhold postanowił odszukać najprzód stryja. Robotnicy, których zapytywał o niego, nie umieli mu powiedziéć dokładnie, gdzie

się znajduje. Idąc za mylnemi ich wskazówkami, krążył po warsztatach, zatrzymując się tu i owdzie i z ciekawością przyglądając wszystkiemu.

W istocie ciekawe to było do widzenia: mnóstwo ludzi uwijało się po rozmaitych częściach fabryki; ogromne stosy marmurów leżały na podwórzach; w jednych zabudowaniach były maszyny do rżnięcia, w drugich do toczenia, w innych znowu znajdowały się szlifiarnie; tu były roboty grubsze, tam delikatniejsze; świst, huk, turkot zagłuszały wszystko.

Reinhold zwiedził trzy warsztaty, do trzech innych zajrzał tylko. Jakież kapitały musiały leżéć w tych ogromnych budynkach, w skomplikowanych maszynach, w ilości obrobionego już marmuru, w ogromnych bryłach surowego jeszcze materyału! I wszystko to stworzył jeden człowiek! Człowiek, który za młodu miał za cały majątek łódkę tylko, w której z ojcem krążył po Hawelu i Szprei, a dopiéro po śmierci starego rozpoczął handel cegłą i piaskowcem i przed dziesięciu laty jeszcze mieszkał w małym niskim domku! Jakiéj pracy i energii, jakiéj inteligencyi trzeba było, by dojść do takiego rezultatu i z niczego prawie utworzyć świat cały! I cóż dziwnego, że człowiek, który dokonał dzieła takiego, podnosił czoło swe wyżéj, niż inni? Co dziwnego, że czoło to tak często pokrywało się chmurą?

Reinhold nie domyślał się nawet, że właśnie w chwili, kiedy tak rozmyślał nad siłą charakteru stryja, ten przechodził przez ciężką próbę, w której musiał rozwinąć całą swą energią. Z zasady przeciwny nowszym poglądom społecznym, oddawna już obwieścił był swoim robotnikom, że nie zniesie tego, by którykolwiek z nich należał do jakiego socyalistycznego związku, że żaden przeto członek takowego nie może mieć u niego zatrudnienia. Tymczasem przed tygodniem jeszcze pokazało się, że byli między robotnikami tacy związkowi. Stryj Ernest pozostawił im tydzień czasu do namysłu, to jest do zrzeczenia się albo stowarzyszenia, albo miejsca w fabryce jego. Termin upłynął wczoraj jeszcze, a że się nie zdecydowali ustąpić ze związku, i pomimo to inspektor fabryki zatrzymał ich przy robocie, stryj Ernest przeto natychmiast wypowiedział służbę temu ostatniemu za nieposłuszeństwo, tamtych zaś kazał odprawić. Sprawę tę załatwił w obec wszystkich robotników, których było około dwustu: zbiegli się oni na odgłos dzwonka i otoczyli stryja Ernesta; ten ze spokojem i siłą dopełnił tego, co uważał za obowiązek względem przekonań swoich. Przypomniał im warunki umowy i wzajemne zobowiązanie się; pytał, czy który z nich ma mu cokolwiek do za-

rzucenia pod tym względem, i ponownie oświadczył, że bezwarunkowo trzymać się będzie tego, co już poprzednio zapowiedział im.

Robotnicy słuchali tego wszystkiego w ponurém milczeniu; ale po chwili zaczęły się tworzyć gromadki naradzających się między sobą, narady stawały się coraz głośniejsze, gesta groźniejsze; wreszcie większa część robotników oświadczyła, że podziela przekonania tych, których odprawiano.

Stryj Ernest konsekwentnie trzymał się drogi, którą raz był obrał, i wszystkim kazał opuścić fabrykę.

Na to wszakże wybuchła burza; widocznie, że byli przywódzcy pomiędzy zbuntowanymi; próbowali oni stawić czoło swemu pryncypałowi, ale ten silnie się trzymał stanowiska swego, żądając tylko dotrzymania umowy, do któréj nikt ich nie zmuszał, i któréj on ze swojéj strony ściśle dopełniał.

Kiedy jednak tłum nie ustępował, ale wciąż się burzył i miotał, stryj Ernest z rozpłomienioną twarzą i oczami błyskającemi poskoczył ku niemu i, posługując się prawem właściciela, piorunującym głosem kazał im rozejść się na swoje miejsca a za pół godziny przyjść po zapłatę.

Tłum się zachwiał, rozstąpił; gromadki się rozsypały.

Stryj Ernest zwrócił się ku Reinholdowi, który nadszedł był na sam początek téj sceny i stanął obok stryja, zamierzając go osłonić w razie niebezpieczeństwa:

— Możesz być spokojny, wszystko wróci do porządku; dziękuję ci, mój chłopcze! Ja pójdę do siebie. Idź do Ferdynandy, mieliście jechać z nią na wystawę.

Reinhold zawahał się, na wszelki wypadek wolałby być przy stryju; ale ten wyraźnie tego nie chciał, udał się więc do pracowni kuzynki.

---

Młody człowiek, który tak niegrzeczną dał był odprawę Reinholdowi, pytającemu o Andersa i Ferdynandę, gwałtownie zamknąwszy przed nim drzwi, pogroził pięścią i w rodowitym swym języku siarczyście zaklął. Na wpół tylko ubrany, zniecierpliwił się widocznie tém, że mu przerwano tak ważne około stroju zajęcie; nie pośpieszył wszakże z ukończeniem jego po odejściu natręta, przeciwnie, stanął zamyślony na środku wielkiéj pracowni, w któréj się znajdował i z palcem na ustach patrzał wytężonym wzrokiem na drzwi, prowadzące do sąsiedniéj pracowni. Zupełna cisza panowała dokoła. Po chwili, skradając się jak kot, zbliżył się do tych drzwi i, przyłożywszy do nich ucha, podsłuchiwał czas jakiś.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił ciemną twarz jego. Odetchnął głęboko i cichutko cofnąwszy się, po kręconych wschodkach dostał się do swego pokoju, który był opuścił, usłyszawszy pukanie Reinholda.

Wkrótce zszedł znowu na dół, ale teraz nie skrywając się już wcale; głośniéj nawet niż trzeba było chodził i pogwizdywał sobie. Przystąpiwszy do pięknego weneckiego lustra, które stało w pracowni, z upodobaniem przyglądał się pięknéj swéj postaci i wykwintnemu ubiorowi. Gwizdał przytém coraz ciszéj, wreszcie przysunął się znowu do sąsiednich drzwi i, stanąwszy na małym stołeczku, przyłożył oko do malutkiej szparki, którą umyślnie zrobił był delikatnym świderkiem. Kiedy tak się przez otwór pilnie wpatrywał, krew oblała ciemne policzki jego, z zachwytem szepnął do siebie: O bellissima! i gorącym pocałunkiem dotknął drzewa.

Nagle zeskoczył leciuchno i stanął przed nawpół ukończoną marmurową figurą, a jednocześnie prawie z drugiéj strony drzwi, od których właśnie odstąpił, zapukano: Signor Antonio! dał się słyszéć głos kobiéty.

— Signora! odpowiedział ze swego miejsca młody człowiek.

— Czy nie możesz pan tu przyjść na chwilę?

— Natychmiast, signora.

I podbiegł do drzwi, od których w téj chwili odsunięto rygiel.

— Jakżeś się pan ustroił, Signor Antonio, rzekła Ferdynanda z uśmiechem, patrząc na młodego człowieka, wchodzącego do jéj pracowni.

Czarne oczy Antonia namiętném spojrzeniem objęły postać młodéj dziewczyny, któréj skromna codzienna suknia nic nie ujmowała piękności.

— Pani nie potrzebujesz się stroić, zawsześ piękna, odpowiedział.

— Potrzebuję pańskiéj pomocy. Mój model nie przyszedł dzisiaj, i chciałabym, żebyś mi go pan zastąpił—piękniejsze nawet masz pan od niego oczy—proszę tam stanąć — na chwilę tylko.

Uśmiech zadowolnionéj próżności przemknął po pięknéj twarzy młodzieńca. Natychmiast stanął na wskazaném sobie miejscu.

Ferdynanda zaczęła pracować, ale widocznie nie śpieszyła się wcale. Przyzwała cię, bo ma ci coś do powiedzenia, pomyślał Antonio.

— Gdzie byłeś pan wczoraj wieczór? zapytała.

— W moim klubie, Signora.

— O któréj wróciłeś pan do domu?

— O pierwszéj, ma perchè?

Ferdynanda odwróciła się do stolika, na którym zaczęła szukać czegoś.

— Tak tylko pytam, odrzekła. Myśmy się także późno położyli. Przyjechał kuzyn nasz, długo rozmawiano i palono, okropnego bolu głowy dostałam i z godzinę jeszcze potém chodziłam po ogrodzie.

Gdy to mówiła, dziwne myśli krążyły po głowie młodzieńca, serce mu gwałtownie uderzyło, gdyby—gdyby spotkał ją tak nocą w ogrodzie, co powiedziałby, co zrobił?

Zaciemniło mu się w oczach, zakrył ją ręką, którą, jako model, powinien był trzymać nad czołem.

— Co panu jest? zapytała Ferdynanda.

— Co mi jest? szepnął, co mi jest? Ho—non lo so neppur io: una febbre che mi divora, ho, che il sangue mi abbrucia, che il cervello mi si spezza; ho in fine, che non ne posso piu, che sono stanco di questa vitá!

Gwałtowny ten wybuch zmięszał Ferdynandę, usiłowała zachować krew zimną, drżała jednak od stóp do głowy i niepewnym głosem zaledwie po chwili zdobyła się na odpowiedź.

— Wiész pan dobrze, że nie rozumiem, kiedy tak szybko mówisz.

— Zrozumiałaś mię, szepnął z cicha.

— Zrozumiałam to tylko, co i bez tego wiedziałam już, że „gorączka cię trawi, że krew cię dusi, że mózg ci pęknie, że dość już takiego masz życia“ co znaczy po niemiecku, żeś wczoraj za długo był w klubie swoim, za wieleś marzył o pięknych Włoszech, a przytém za wieleś włoskiego wina wypił.

Na białém czole młodzieńca żyły nabrzmiały. Chwycił się za piersi, gdzie zwykle nosił sztylet, w téj chwili nie miał go przy sobie. Błędnym wzrokiem powiódł dokoła, jak gdyby szukał broni.

— Chcesz mię zamordować? zapytała Ferdynanda.

Ręce mu opadły i konwulsyjnie zacisnęły się; strumień łez wytrysnął z oczu. Padł na kolana i zawołał:

— Perdonatemi! Ferdinanda, l'ho amata dal primo giorno che l'ho veduta, ed adesso—ach adesso.

— Wiém o tém, biédny Antonio i dlatego przebaczam ci, jeszcze raz, raz ostatni! Gdyby się ta scena powtórzyła jeszcze kiedy, powiedziałabym o tém ojcu, i byłbyś wydalony z domu. A teraz, Signor Antonio, powstań.

Wyciągnęła do niego rękę, którą on wciąż klęcząc, do ust i czoła przyciskał.

— Antonio! Antonio! wołał na dworze głos Justusa, i jednocześnie zapukano do drzwi pracowni, prowadzących na dziedziniec.

— Czy nie ma tu Antonia, zapytał Justus, wchodząc. Jeszcze pani pracujesz? Zdaje mi się, żeśmy mieli z kuzynem pani iść na wystawę?

— Czekam właśnie na niego; tymczasem idźcie panowie sami, spotkamy się w sali snycerstwa.

— A zatém do widzenia.

---

Drzwi się zamknęły, odgłos kroków przycichł, wreszcie ustał zupełnie, Ferdynanda nie ruszyła się z miejsca.

— Miło być tak kochaną, szepnęła, miło ale niebezpiecznie zarazem! Śledzi mię na każdym kroku, ale zdaje się, że w istocie nie był wczoraj wieczór w domu, nie wié jeszcze, że już się na nic nie odważam, kiedy on jest blizko.

Usunęła się na krzesło, wydobyła z zanadrza list, który wczoraj wieczór rzucono jéj przez mur ogrodowy. Umiała go już na pamięć, ale lubiła patrzéć na litery, kréślone ukochaną ręką.

„Dla czego nie postarałaś się zawiadomić mię, że będziecie na dworcu kolejowym? Mogłaś bezpiecznie napisać o tém do Schönau; przypadek tylko zrządził, żem przyjechał tym pociągiem, przypadek żem w drodze poznał kuzyna twego. Cóż daléj poczniemy? jakże wreszcie w tém smutném położeniu utrzymać się potrafimy, jeżeli wszystko zdamy na przypadek? jeżeli własną śmiałością nie zdobędziemy sobie szczęścia u zawistnego losu? Spodziéwam się, że teraz pójdzie cokolwiek lepiéj. Kuzyn twój, jak mi sam opowiadał, i jak mi siostra mówiła, zaznajomił się z nimi w drodze i niejednę usługę oddał towarzystwu, które razem z ojcem podróżowało. Siostra moja mówi o nim z wielkim zapałem i zapewnia, że i ojcu podobał się także bardzo. Zapewne przyjdzie przedstawić się ojcu, a jeżeli nie, to ja sam przyjdę podziękować „koledze“ za usługę oddaną moim, z polecenia Elsy i ojca, albo i bez polecenia. Zawsze to będzie początek, korzystny dla nas, témbardziéj, że kuzyn twój zdaje się być człowiekiem, dla którego nie trzeba robić wiele zachodu. Postaraj się tylko w dobrych być z nim stosunkach i chodź z nim na spacery, koncerta, widowiska, wystawy sztuk—à propos! każ siebie dzisiaj—doskonały pomysł!—zaprowadzić na wystawę! Do południa tylko jestem na służbie, a zatém namówię również Elsę, by zemną poszła na wystawę. Przy téj sposobności zaznajomię was wzajemnie, mogę już teraz to zrobić, ponieważ wczoraj zostałem oficyalnie przed-

stawiony ci. A więc licz na to z pewnością. Piszę te słowa pośpiesznie, jak zwykle; całuję twe piękne rączki, jak niedawno, kiedyś mi je podała przez ścianę ogrodową, po raz pierwszy, ale nie ostatni! przysięgam!

— A! ani słowa o ojcu! ani słowa, coby dowodziło, że myśli o tém szczerze; że przynajmniéj będzie się starał wyjść z tego nędznego położenia! A przecięż nie wiedział jeszcze nic o scenie wczorajszéj!"

Prawą ręką zmięła papiér, ale natychmiast obiema rękami poczęła go gładzić delikatnie i do ust przyciskać, poczém starannie go złożyła, znowu ukryła na łonie i oparła czoło o stół marmurowy.

— Una febbre che mi divora—szepnęła; il sanque mi abbruzia, il cervello mi si spezzo—sono stanco di questa vita!

— Tak zawołała, zrywając się z miejsca, mam dosyć życia takiego, to gorsze od śmierci, to żywy grób, muszę zrzucić z siebie ten całun, albo wreszcie własnemi uduszę się rękami!

Nieszczęśliwa zaczęła biegać po pokoju; łamała ręce, łkała, siadała znowu i znowu chodziła. Przycichła na chwilę, usłyszawszy głos dzwonu: wiedziała, że coś nadzwyczajnego w fabryce zaszło, prawdopodobnie wielkie nieszczęście jakieś: może kocioł pękł, może maszyna wyrwała ścianę, może ogień wybuchł, jak przed kilku miesiącami, ale cóż ją to wszystko obchodzić mogło? Czyż nieszczęście, które przygniatało jéj młodą głowę, nie było większe od wszelkiego innego? Czyż ona sama nie była zrozpaczoną, złamaną na ciele i duszy, obłąkaną na gruzach własnego szczęścia?! Cóż będzie daléj? co daléj?

Całą noc przepędziła bezsennie, usiłując rozwiązać to pytanie.

Ale cóż poradzić mogła bez niego? a on—on! Kiedy mu przez ścianę ogrodu opowiedziała w krótkich słowach scenę zaszłą u stołu, czyż odpowiedział to, czego pragnęła, czego się spodziéwała: musimy zatém obejść się bez zezwolenia rodziców naszych! Zamilczał, a więc nie decydował się na krok ostateczny, zamilczał, bo nie kochał jéj, nie kochał tak, jak ona go kochała!

I na cóż się zda jéj własna odwaga, jéj stanowczość?

Stanęła przed lustrem i pilnie przypatrywała się twarzy swéj i całéj postaci. Czy w istocie tak piękną jest jak ludzie mówią? Ale i Antonio piękny jest, piękny jak sen—a jednak ona go nie kocha! A on, ten który dla niéj jest światem całym, czy dla jéj piękności zechce się wyrzec przesądów rodzinnych i stanowiska swego w towarzystwie—czy zechce się wyrzec wszystkiego? I dlaczego miałby się wyrzec? Dlaczego? kobiéta nie pyta o to, kiedy kocha nie ra-

chuje nic—kocha i chętnie daje, z radością poświęca wszystko, co ma do oddawania—siebie samę!

Osunęła się na fotel, ukryła głowę w poduszki i zamknęła oczy. On nie wié jak gorąco go kocham, szepnęła—a jednak? jak że tam było?

„Jedyny czar, któremu mężczyzna oprzéć się nie potrafi,—a jego wdzięczność, która właściwie jest tylko wspomnieniem i żądzą jeszcze.“

Tak było we francuskim romansie—czytała go niedawno; ustęp ten, którego saméj sobie dokończyć nie śmiała, ognistemi głoskami wyrył się w jéj duszy, rzucił iskry płomienne do serca, palił policzki, tętnił w skroniach—powietrza, powietrza! czuła, że ją coś dławi.

Podniosła się gwałtownie. Zgubiona jestem! krzyknęła—zgubiona—zgubiona!

W tém zapukano. Ferdynanda stanęła nieruchoma, obłąkanym wzrokiem patrząc na drzwi; obiema rękami chwyciła się za czoło, konwulsyjnie przycisnęła ręce do piersi i wreszcie głuchym zmęczonym głosem wymówiła: proszę!

Reinhold wszedł.

— Nie przeszkadzam ci? zapytał.

— Czekałam na ciebie.

— Byłbym wcześniéj przyszedł, ale—czyś nie słyszała dzwonienia?

— Nie.

Reinhold spojrzał zdziwiony; serce jego dotąd jeszcze drżało ze wzruszenia. Ciotkę i Cilli przestraszył odgłos dzwonu; słudzy zbiegli się zewsząd a tutaj, o pięćdziesiąt kroków zaledwie, rodzona córka nic nie słyszała.

— Czyż wy artyści w innym jakimś waszym świecie żyjecie? pytał zdziwiony,—i opowiedział jéj, co zaszło.

— Lękam się, powiedział nakoniec, by pół fabryki nie stanęło; stryj ogromne poniesie straty; obstalunków jest bardzo wiele, i Bóg wié, jak podołać im będzie wstanie.

— A cóż to obchodzi ojca, odpowiedziała Ferdynanda, a gorzki uśmiech wykrzywił jéj usta; niech się świat zapadnie byle jego wola stała się. Nie znasz jeszcze ojca, mówiła daléj; my przyzwyczajeni już do tego jesteśmy i wiemy, że żyjemy na wulkanie. Gdybyśmy za każdą burzą przerywali pracę naszę, nigdybyśmy nic nie zrobili.

Po chwili obojętniéj przemówiła.

— A teraz idźmy do domu, potrzebuję się jeszcze przebrać, zanim udamy się na wystawę.

Wyszli z pracowni.

— Jakże spałeś? pytała idąc.

— Doskonale, chociaż nie zaraz zasnąłem, byłem trochę wzburzony.

— Ja także długo się przechadzałam po ogrodzie, zanim się uspokoiłam. Przyznam się, że mi trochę wstyd było gwałtowności ojca; nie znasz go jeszcze i nie wiesz, że czasem za lada drobnostkę wpada w gniew. Co większa, w wybuchach tych nieraz wyobraźnia tylko gra jedynie rolę—tak np. gdyby syn tego człowieka, którego samo imię już wprawia go w szaleństwo,—gdyby p. Werben odwiedził cię kiedy i ojciec się z nim spotkał—byłby dla niego z najwyszukańszą grzecznością. Mówię ci to dlatego, bo przypuszczam, że nie będziesz mógł uniknąć stosunków z Werbenami, nie trzeba więc, byś widział trudności tam, gdzie ich nie ma. I gdybym wczoraj na dworcu z przesadzonéj obawy nie była przeszkodziła przedstawieniu się p. Werbena, ojciec przekonałby się był, że to człowiek jak inni— i może scena nie miałaby miejsca.

Słowa te mówiła spokojnie, idąc przez ogród do domu.

Reinholdowi przypomniała się mimowoli wczorajsza noc. Spojrzał na piękną twarz mówiącéj,—teraz oświecało ją dzienne światło, teraz widział ją wyraźniéj jak wówczas przy świetle księżyca, i nic w niéj nie zdradzało tłumionego uczucia. Rzucił okiem dokoła. Na mur ogrodu znowu drzewa cień swój rzucały. Przywidziało mi się, pomyślił;—téj nocy także musiał to być cień tylko.

---

Kiedy Ferdynanda gustownie ubrana wsiadła do powozu, zdawało się Reinholdowi, który obok niéj zajął miejsce, że teraz dopiéro spostrzega, jak bardzo kuzynka jego jest piękną. I nie dziwił się wcale, że zwraca na ulicach powszechną uwagę, że jadący i idący oglądają się za nią z ciekawością. Ona sama wszakże zdawała się nie widziéć i nie uważać tego wcale; trzymała wzrok spuszczony, albo z wyrazem znużenia marzącém okiem patrzyła na wierzchołki drzew.

— Ile też może mieć lat, pytał siebie Reinhold i ze zdziwieniem obrachował, że musi mieć około dwudziestu czterech, a brat jéj dochodzi do trzydziestu.

Dwukołowy pojazd wymijał ich w téj chwili. Siedział w nim wysoki, barczysty mężczyzna, z wyszukaną cokolwiek elegancyą ubrany; kierował on sam dwoma pysznemi karemi końmi.

Spostrzegłszy Ferdynandę, zdala powitał ją skinieniem głowy.

— Kto to jest? spytał Reinhold.

— Mój brat, Filip.

W téj chwili powozy się zrównały. Filip przemówił słów kilka do Reinholda i, mówiąc że śpieszy na wystawę, popędził daléj.

— Nie byłbym poznał Filipa, niepodobny wcale ani do ciebie, ani do stryja.

W istocie, rażąca sprzeczność zachodziła między szeroką, czerwoną twarzą młodego człowieka a wspaniałém obliczem stryja Ernesta lub szlachetnie bladą, znakomitą pięknością Ferdynandy.

— Niepodobny? A tak, szczęściem dla niego.

— Szczęściem?

— Tak sądzę. Jest on człowiekiem swego czasu, jak się zdaje, my zaś widmami średnich wieków. Dlatego też on sam uchodzi u nas za widmo—nie jego przecię w tém wina.

— A zatém w poróżnieniu, zachodzącém między stryjem a Filipem, ty jesteś po stronie brata?

— U nas nie ma zwyczaju pytać się o zdanie nasze, zapamiętaj o tém na przyszłość.

Słowa te mówiła, wysiadając już z powozu, który się zatrzymał właśnie przed gmachem wystawy. Tłumy zalegały wejście do niéj, Ferdynanda i Reinhold długo nie mogli przecisnąć się do środka, a kiedy wreszcie udało im się to, musieli zatrzymać się w pierwszéj sali, niepodobna bowiem było posunąć się daléj.

Ferdynanda zbliżyła się do obrazów, znajdujących się tutaj, i z prawdziwą znajomością rzeczy trafne nad niemi robiła uwagi; Reinhold z przyjemnością słuchał jéj i z upodobaniem patrzał na piękną twarz mówiącéj, która się stopniowo ożywiała tak, że znikła z niéj poprzednia martwość i znużenie.

Tak przechodząc z kolei od obrazu do obrazu, zbliżyli się nareszcie do wielkiego malowidła, którego przedmiot zajął mocno Reinholda. Byłto widok morski, który tak żywo przypomniał mu ostatnią podróż, poznanie Elsy i wszystkie wypadki owych tak krótkich a tak szczęśliwych chwil, że młody marynarz zapomniał zupełnie o wszystkiém, co go otaczało, i cały pogrążył się we wspomnieniach.

Kiedy po chwili przypomniał sobie gdzie jest i chcąc się podzielić uwagą jakąś ze swą towarzyszką odwrócił się ku niéj, ze zdziwieniem postrzegł, że miejsce jéj zajęła jakaś stara jejmość, a za nią mnóstwo było nieznanych mu zupełnie twarzy. Spostrzegł wprawdzie z daleka Ferdynandę, ale nie mógł się do niéj przecisnąć;—ona zaś tak się zdawała być zajętą rozmową z jakiemiś damami, że nie patrzyła nawet w jego stronę. Począł więc znowu przyglądać się obrazom.

Ferdynanda bacznie śledziła wszystkie ruchy Reinholda i spostrzegłszy, że ten znowu zwrócił uwagę swą w inną stronę i chwilowo stracił ją z oczu, wysunęła się z tłumem do jednéj z sąsiednich sal i, ostrożnie oglądnąwszy się parę razy, przeszła kilka następnych a wreszcie zatrzymała się w galeryi, gdzie zwykle mniejsza była ciżba.

Tu obojętnie niby przypatrując się dziełom sztuki, powoli zbliżyła się ku framudze okna.

W galeryi niewiele znajdowało się osób, i Ottomar Werben oddawna już oczekujący tu na Ferdynandę natychmiast stanął za nią i szepnął: dziękuję ci!

— Za co?

— Żeś przyszła.

— Przyszłam dlatego tylko, by powiedziéć ci, że nie zniosę tego dłużéj.

— A ja, czyż nie znoszę?

— Nie, w porównaniu ze mną.

— Kocham cię tak, jak ty mnie.

— Dowiedź tego!

— Czém?

— Tém, byś nie pytał a działał!

— Ręce mam związane!

— Zerwij pęta!

— Nie mogę.

— Bądź zdrów!

Zwróciła się ku wyjściu; Ottomar, zapominając o wszelkich względach, zastąpił jéj drogę.

— Ferdynando, wysłuchaj mię na miłość boską! na taką jak dzisiaj sposobność może całe tygodnie czekać będziemy musieli!

Zaśmiała się ironicznie.

— Mamy dość czasu, odrzekła.

Znowu chciała przejść, on znowu zastąpił jéj drogę.

— Jeszcze raz, puść mię! Potrzebujesz sposobności? Tak dobra jak ta do zerwania ze mną może nie przytrafi się więcéj.

Ottomar usunął się na stronę. Ferdynanda mogła przejść, nie uczyniła tego jednak. Oczy jéj napełniły się łzami—podeszła znowu ku obrazom.

— Bądź dobrą Ferdynando! Po co zatruwasz nam drogie chwile? Wiesz przecię, że zdecydowany jestem na wszystko, ale musimy przecię dobrze rozważyć.

— Rozważamy już od pół roku.

— Przez ścianę ogrodu, albo za pomocą listów—to to samo co nic! Musisz mi wyznaczyć schadzkę, o którą cię prosiłem tyle razy. Czyż nigdy ręka moja nie dotknie twojéj, nigdy usta moje nie spoczną na twoich—a sama jednak żądasz dowodów miłości odemnie.

Ferdynanda zadrżała—przed godziną może piękniejsze od tych oczy patrzały na nią z wyrazem gorętszéj niż ta miłości—tamtym oparła się,—tym nie miała siły odmówić. Nie mogę, wyjąkała.

— Powiedz, nie chcę. Podawałem ci tyle projektów. Zaznajomiłem się z bratem twoim—moglibyśmy się u niego spotykać—natarczywie prosił mię, bym go odwiedził.

— Oddawna już nie mogę bywać u brata.

— A więc za pomocą kuzyna.

— Myślałam już o tém i przygotowałam drogę, ale w najlepszym razie będzie to tylko na minut kilka.

— Już ja obmyślę daléj, bylebyś zezwoliła na to. Obmyślę i napiszę albo powiem, jak tylko mi dasz znać.

— Nie śmiem już teraz.

— Dlaczego?

— Jest ktoś, co mię śledzi na każdym kroku; mówiłam ci już—Antonio.—Obawiam się.

— Ty się zawsze obawiasz.

I niechętnie odwrócił się ku oknu.

W téjże chwili piękny i wytwornie ubrany młody człowiek znikł we drzwiach drugiego końca galeryi. Od kilku minut stał już ukryty w nich tak, że doskonale mógł się przypatrzyć osamotnionéj parze, rozmawiającéj we framudze okna. Zaspokoiwszy widocznie ciekawość swoję, opuścił galeryą.

Kiedy Ottomar odwrócił się od okna, chcąc powiedzieć Ferdynandzie kilka słów pojednania, ze zdziwieniem spostrzegł, że nie było jéj już obok niego.

Ferdynanda musiała go opuścić. Spostrzegła znajome sobie panie w sąsiedniéj sali, zbliżały się one powoli ku drzwiom galeryi. Poszła więc naprzeciw nich i zatrzymała je rozmową, sądząc, że Ottomar domyśli się wszystkiego i drugiemi drzwiami opuści galeryą. A gdyby się nie domyślił, tém gorzéj dla niego. Niech się już raz to skończy—co ma się stać, niech się stanie—lepiéj dziś niż jutro!

Ottomar wszakże nie domyślił się, dlaczego go opuściła bez pożegnania, bez jednego słowa wyjaśnienia.

— Na Boga! to za wiele! syknął przez ściśnięte zęby; jak sobie chce!

Szybkim krokiem opuścił galeryą i udał się do głównéj sali.

Z pochmurną twarzą machinalnie przeciskał się przez tłumy, aż wreszcie roztargniony wzrok jego padł na grupę, składającą się z kilku osób. Jedna z pań téj grupy patrzała na niego w téj chwili, musiał więc zbliżyć się do niéj, byłato bowiem panna Carla Wallbach, nietylko znajoma, ale i domniemana narzeczona jego.

Obie rodziny Wallbachów i Werberów były z sobą w dość ścisłych stosunkach i pragnęły małżeństwa tego. Interesowane zaś strony zachowywały się dosyć obojętnie pod tym względem. Próżność zdawała się być jedynym bodźcem wzajemnego ich do siebie stosunku, który to się przerywał, to wiązał niby na nowo.

Ottomar był pięknym młodzieńcem, dowcipnym, wesołym. Carla miała też zwolenników swoich i w pewném kółku uchodziła za osobę rozumną i wykształconą; w istocie zaś miała tylko dosyć sprytu i zręczności, by uchodzić za taką. Czytała dużo, ale można powiedziéć, że dla drugich nie zaś dla siebie, chodziło jéj bowiem o to tylko, by módz mówić o książkach i ich autorach—by mieć opinią uczonéj. Ulegając panującym wówczas wyobrażeniom, miała ciągle na ustach imiona Wagnera, Hartmanna i Schopenhauera. Pochwytała sądy o nich, powyuczała się zdań całych i wszystkiém tém posługiwała się wciąż, zrobiwszy sobie z tych trzech nazwisk broń, która miała niby zapewnić jéj sławę inteligencyi i erudycyi.

Pomimo to wszakże nie była wcale obojętną na sławę ładnéj kobiéty, przeciwnie, chodziło jéj bardzo o hołdy mężczyzn; starała się téż o nie usilnie, rozwijając zalotność na szeroką skalę. Serce zimne z natury nie stawiło jéj żadnych przeszkód pod tym względem.

Jeszcze zanim Ottomar wszedł na salę, wdzięcznie się już uśmiechała do hrabiego Golma, który jako znajomy pana Wallbach przedstawił się był właśnie jego żonie i siostrze. Biédny hrabia w wielkim był kłopocie, nie mogąc się domyśléć, kto to byli owi panowie: Schopenhauer i Hartmann, których Carla natychmiast w szranki rozmowy wprowadziła. Szczęściem dla niego, pannie Wallbach nie chodziło wcale o to, by usłyszéć jego zdanie o tych wielkich ludziach, dość jéj było tego, że mogła sama mówić o nich i sztucznie się zapalać nad ich wielkością i sławą.

Kiedy Ottomar zbliżył się do nich, Carla podwoiła jeszcze uprzejmość swą względem hrabiego; chciała ukarać Ottomara za jego trzydniową niebytność i obojętne względem niéj zachowanie się. Gra ta jednakże nie podobała się wcale jéj bratu, który widząc zasępione oblicze młodego człowieka, odprowadził go na stronę i rzekł.

— To dziecko, nie gniewaj się na nią.

— Ja téż się nie gniewam.

— A więc musisz mieć jakieś inne zmartwienie. Powinieneś wyjechać z Berlina na czas jakiś. Wczoraj znowu mówiłem z ministrem. Chce on, byś zajął tę posadę, ale dla pewnych powodów nie chce jéj oddać człowiekowi nieżonatemu. Jestem otwarty, jak widzisz, kochany Werbenie; gdybyś ty postępował tak samo, lepiéj byłoby nam wszystkim i tobie i Carli i mnie. Nie bierz nam za złe niecierpliwosci naszéj.

— Ale—ja—ja sam jestem niecierpliwy.

— A więc, to doskonale! Cyt! księżna Henryka Augusta!

Księżna ze świtą weszła na salę, pobieżnie przyglądając się obrazom. Na ukłony obecnych łaskawie odpowiadała, z osobiście znajomymi sobie rozmawiała uprzejmie. W orszaku jéj znajdowała się Elsa,—teraz przyłączyli się do niego; pp. Wallbach, Carla, Ottomar i hr. Golm.

W tłumie, który z uszanowaniem usunął się i ciekawie przypatrywał przeciągającemu orszakowi, był także i Reinhold, rozmawiający z Filipem.

Przed półgodziną zaledwie w jednéj z sal Reinhold spotkał był Elsę, którą Ottomar tak był opuścił, jak Ferdynanda Reinholda. Spostrzegłszy go, Elsa wesoło go pozdrowiła i chwilową, ale ożywioną i miłą obdarzyła pogadanką.

Teraz widział ją poufale rozmawiającą z księżną, która raz do niéj, drugi raz do Golma z uprzejmém zwracała się słowem. Jakże daleką wydała mu się teraz przestrzeń, oddzielająca go od niéj!—on w tłumie—ona między wybranymi—ona i hrabia Golm! Jakże hrabiemu łatwo—jakże jemu trudno zbliżyć się do niéj!

Odwrócił się z westchnieniem i spostrzegł za sobą Ferdynandę; Ta nie widziała go. Wzrok jéj uporczywie utkwiony w grupę, otaczającą księżnę, zdawał się nic więcéj nie widzieć.

— Ferdynando — przemówił Reinhold.

Wstrzęsła się cała, usłyszawszy imię swoje: gwałtowny rumieniec oblał jéj policzki. Nie odpowiedziała nic jednak, w téj bowiem chwili zbliżył się do niéj Filip.

— Widzieliście księżnę? zapytał. Śliczna kobiéta! Mała Werben zdaje się być z nią na stopie bardzo poufałéj. Z drugiéj strony księżnéj idzie hrabia Golm, grand seigneur, ale zadłużony po uszy, może się teraz poratować, jeżeli będzie miał rozum. Spodziéwam się prowadzić z nim wspólnie wielki jeden interes; nie znam go osobiście, ale podpis jego znany mi doskonale. A młodego Werbena widziałaś Ferdynando? Tak żywo rozmawia z panną Wallbach, ta wciąż lornetuje wszystkich! Niezła partya! ma ze sto tysięcy

Młody Werben—no w téj chwili wprawdzie kurs papiérów jego cokolwiek niski, ale może się jeszcze bardzo podnieść.

— Chodźmy! gwałtownie zawołała Ferdynanda.

I wprost skierowała kroki ku grupie, otaczającéj księżnę. Wmięszawszy się do jéj orszaku, przesuwała tuż za Ottomarem. Gdy suknia jéj dotknęła młodego człowieka, ten się odwrócił, z grzeczną obojętnością ukłonił i daléj prowadził rozmowę swą z Carlą. Ferdynanda odpowiedziała równie zimnym ukłonem.

Małą tę scenę śledziły znowu czarne oczy Włocha, stojącego nieopodal w tłumie. Po wyjściu Ferdynandy z wyrazem śmiertelnéj nienawiści utkwił wzrok w Ottomarze.

— Wiem już teraz od kogo te listy, co je tak wciąż czyta! Musisz ty mi zapłacić za to—per bacco! mruknął z zaciśniętemi zębami.

---

Wieczorem dnia tego hrabia Golm i tajny radca Schieler siedzieli w pięknym salonie hotelu Royal, przed stołem, pokrytym mapami, książkami, rachunkami itd.

Na twarzy hrabiego malowało się niezadowolenie. Radca przeglądał mapy, notował, rachował, wreszcie przemówił:

— Widzę zatém, że mniejszą niż dawniéj okazujesz pan teraz ochotę do projektów naszych.

— Ale cóż mię one tak bardzo obchodzić mogą teraz, kiedy wiem, że staracie się o port na północy, nie zaś na zachodzie?

— Chcemy portu na północy, bo nie możemy go mieć na zachodzie. Dostań pan koncesyą na to, a jutro stanie towarzystwo kolei żelaznéj Sundin Wissower.

— Wiesz pan dobrze, iż tego zrobić nie jestem wstanie.

— My także nie—na rok przyszły nie mówię—możebyśmy zdołali dokazać tego.

— Ale jabym nie mógł czekać tak długo! zawołał hrabia.

To mówiąc zerwał się z miejsca i szybkiemi krokami zaczął mierzyć pokój; wreszcie stanął przed radcą:

— W poufnéj téj rozmowie mogę panu wyznać, że jestem w bardzo krytyczném położeniu. Procenta od długów, które mam, równają się prawie dochodom moim. Oprócz tego na 1 Października muszę zapłacić 50.000.

— Nie mówiłeś pan z Lübbnerem? Jestto przecię dawny bankier pański.

— Dawny—nie—dopiéro od czasu, jakeś mi go pan tak żywo poleci—od trzech lat zatém. Ale Lübbnerowi samemu winien już jestem ratę lipcową: nie śmem mu się nawet pokazać.

Hm, hm! mruknął raddca z miną człowieka, co się niespodzianéj dla siebie dowiedział rzeczy.

— A więc tembardziéj nie pojmuję, dlaczego pan tak przeciwny jesteś naszemu projektowi. Z jednéj strony wartość dóbr pańskich podwoi się, z drugiéj zaś masz zapewnione miejsce w radzie zarządzającéj. To przecię, coś znaczy.

— Ależ to zero, istne zero! zawołał hrabia z gwałtownością. To kropla w morzu! Nędzne parę tysięcy, które jednego wieczoru mogę wygrać w ecarté. Nie, jeżeli już mam postąpić wbrew tradycyom mojego rodu, jeżeli mam należéć do Gründerów, niechże mi przynajmniéj zgryzoty sumienia się opłacą.

— Powinienbyś się ożenić, panie hrabio.

— Trzy konie kare w moim herbie oznaczają okrągły milion posagu. Wskaż mi pan jaką izraelską dziewicę, którаby taką sumą rozporządzać mogła!

— Mógłbym wymienić niejednę, ale obecnie mam na myśli córę rodu tak prawie starego jak wasz panie hrabio, pannę Elsę Werben.

— Żartujesz pan.

— Bynajmniéj! Zastanów się pan tylko: głównym przeciwnikiem zachodniego kierunku drogi naszéj jest jenerał—z powodów strategicznych jakoby,—zgoda na to, ale i z osobistych względów także z pewnością—znam go dobrze. Port może stanąć tylko na gruncie dóbr Warnow; to jest, towarzystwo musi zakupić te dobra, a nie może zrobić tego bez zezwolenia jenerała, który jest współkuratorem dóbr tych. Jenerał nie chce dać zezwolenia. Ożeń się pan jednak z córką jego, a zobaczymy wówczas czy zięciowi swemu odmówi tego, czego odmawia dyrektorom kolei Sundin Wissower i towarzystwu budowy portu. Nie napróżno przecię napisano jest: nie wódź nas na pokuszenie.

— A ja znam jenerała, zawołał hrabia—i powiadam panu, że oprze się pokusie!

— Słuchaj pan daléj! Radca legacyi, Wallbach, jest kolegą moim w nadzorczéj radzie kolei Berlińsko-Sundińskiéj; chodzi mu więc tak dobrze, jak i mnie o to, ażeby koléj Sundin—Wissower, która ma nas postawić na nogi, przyszła do skutku. Wallbach, po śmierci ojca swego ministra, został także jednym z kuratorów dóbr Warnow, a Ottomar, drugi dziedzic, jest zaręczony, tak prawie jak zaręczony z siostrą Wallbacha. Ten ostatni wié doskonale, że poło-

wa tych dóbr nam sprzedana cztery razy więcéj wyniesie niż całość. Teraz szlacheckie przesądy nie pozwalają mu nastawać na jenerała, ale jeżeli pan się ożenisz z córką tegoż a siostra Wallbacha wyjdzie za Werbena, będziecie mogli wówczas wspólnemi siłami dokazać tego.

— Bardzo pięknie, ale w każdym razie ja muszę być sprzedającym.

— Jakto?

— Rzecz bardzo prosta, odpowiedział hrabia; jako sąsiad i zięć dobra te dostanę daleko taniéj aniżeli towarzystwo, które wreszcie użyć może tylko jakiéjś ich części. Wolę zatém sprzedać towarzystwu to, czego ono potrzebować będzie, aniżeli samemu kupować wszystko od towarzystwa.

— Brawo—zawołał radca, winszuję panu zdolności matematycznych. Ale nie zapominajmy o jednym z najważniejszych aktorów w téj sprawie: o baronowéj Warnow. Dnia 1 Października baronowa kończy lat 50 i odtąd zasiada i głosuje w kuratoryum; wówczas to ostatnie zejdzie do znaczenia rady nadzorczéj tylko.

— A myślisz pan, że baronowa będzie przeciwna projektom naszym?

— Myślę, że jéj zdanie daleko mniéj znaczyć będzie, aniżeli zdanie pana Giraldiego.

— Jéj marszałka dworu?

— Marszałka dworu, lektora, towarzysza—albo ja wiem?!

— Powiadają, że jest jéj mężem?

— Nigdyby baronowa nie poszła za niego, w takim bowiem razie straciłaby prawo do całego majątku, który dostałby się pannie Werben i jéj bratu—chybaby i ci poszli za przykładem swéj ciotki i w niestosowne dla siebie weszli związki małżeńskie, a wówczas cała fortuna rozpadłaby się na pobożne fundacye.

— Wiele słyszałem o tym dziwnym testamencie. Czy nie mógłbyś, panie radco, coś pewnego powiedziéć mi w tym względzie

— I owszem,—a nawet powinieneś pan wiedziéć o tém. Nie spodziéwaj się pan wszakże historyi uczuć, stosunków itd.; pod tym względem wiem tyle tylko co inni, a drogą przypuszczeń i domysłów nie lubię chodzić. Ściśle się zatém trzymać będę faktów tylko.

Baron Warnow poznał pannę Waleryą Werben na dworze księżniczki. Poznał ją, ożenił się i opuścił służbę. Było to w r. 1840.

Od 1840—43 młode małżeństwo żyło w Warnow—najprzód szczęśliwie dosyć—potém mniéj, a wreszcie wcale źle. Z baronem

byłem dosyć zaprzyjaźniony; nieraz zasięgał rady mojéj w kwestyach prawnych, wywiązało się stąd pewne zaufanie i chęć do zwierzeń ze strony barona. Postanowił on wyjechać z żoną zagranicę. Byłem także za tym projektem, który wkrótce doszedł do skutku. Warnowie zwiedzili Londyn, Paryż, Włochy nakoniec, ale tu bardzo krótko bawili. Za powrotem baron wyglądał źle bardzo; zazdrosny był o żonę i nie bez słuszności, jak się późniéj pokazało. W Rzymie baronowie spotkali niejakiego Gregorio Giraldi, którego baronowa, będąc jeszcze panną, znała w podrzędnéj roli sekretarza, czy coś podobnego, przy poselstwie papieskiém. Dawna znajomość się odnowiła, wrażenie odświeżyło, i niebezpieczny stosunek zawiązał. Ale że pozory były zachowane, baron przeto nie stracił, jak się zdaje, nadziei, bo w rok potém zezwolił na drugą podróż do Włoch. Ale tą razą wrócił już sam i w kilka miesięcy potém umarł; serce mu pękło, jak powiadają w romansach, na bicie serca, jak mówi medycyna.

Przed śmiercią wszakże zrobił testament, którego spisanie bardzo wiele czasu zajęło nam z powodu jenerała. Trzeba panu wiedziéć, że najczulsza przyjaźń łączyła Warnowa z tym ostatnim. Stosunki te nie zmieniły się nawet wówczas, kiedy pożycie pp. Warnow stało się złém. Jenerał brał zawsze stronę przyjaciela i surowo gromił postępowanie siostry, którą jednak bardzo kochał. Otóż Warnow chciał cały swój majątek przekazać jenerałowi, a żonie pozostawić tylko część prawnie należną. Ale jenerał stanowczo odrzucił tę propozycyą co do siebie samego—co do dzieci swych zgodził się wprawdzie, ale z wielu zastrzeżeniami. I tak, od samego początku nastawał na to, by baronowéj zostawiono możność powtórnego wyjścia za mąż, czém naturalnie danoby jéj sposobność wrócenia do porządnego życia. O stosowności tego przypuszczalnego małżeństwa miała stanowić rada, złożona z jenerała, ojca radcy legacyi i mnie. Gdyby baronowa wyszła za mąż wbrew woli téj rady, w takim razie dostawała tylko część prawnie jéj przypadającą. Gdyby zaś pozostała wdową, wówczas pobiérała jednę połowę dochodu z całego majątku. Z drugiéj zaś połowy wyznaczono bardzo znaczną sumę na wychowanie dzieci jenerała, a z reszty miał się tworzyć kapitał, którego właścicielami miały zostać téż dzieci za dojściem do pełnoletności. Ale i tu znowu był warunek. Jeżeliby którekolwiek z dzieci jenerała zawarło niestosowny do swego stanu związek, traciło naówczas prawo do dziedzictwa.

Jedném słowem, baronowa i potomstwo jenerała dziedziczyły po sobie wzajemnie, tak, że gdyby dzieci jenerała umarły, albo straciły prawo do majątku,—majątek cały spadał na baronową. Odwrot-

nie zaś, młodzi Werbenowie stawali się spadkobiercami całéj fortuny, gdyby baronowa umarła, lub utraciła swe prawa.

Ciekawy testament, odezwał się hrabia, który z natężoną uwagą słuchał opowiadania radcy.

Prawie wszystkie te postanowienia były dziełem jenerała, człowieka z najdrażliwszém sumieniem, tj. najpedantyczniejszym w świecie. Ze swemi ulubionemi wyrazami: sprawiedliwość, słuszność itd. sobie i innym wiecznie zatruwa życie. Mógłby był sam mieć wszystko, bez żadnego kłopotu, ale wciąż przeszkody, restrykcye! jak np. to wprowadzenie baronowéj do rady!

Jestto punkt bardzo ważny dla nas! Jeżeli baronowa stanie po naszéj stronie, wówczas będziemy mieli przewagę w radzie; w przeciwnym razie—a musimy się i na to przygotować—piękny nasz projekt co do dóbr Warnowa pójdzie z dymem.

— A nie staraliście się wyrozumiéć baronowéj.

— Będzie dość czasu na to, kiedy baronowa przyjedzie tutaj; jest już teraz w drodze. Wszakże będę próbował skłonić ją, by albo sama wcześniéj przybyła, albo przysłała swego pełnomocnika.

— Znasz go pan?

— Z listów tylko. Signor Giraldi jest bez zaprzeczenia znakomitą osobistością: uczony, artysta, dyplomata, zręcznie prowadzi interesa—do tych ostatnich szczególnie pierwszorzędne ma zdolności. Mieć go *za sobą*—à la bonne heure! ale *przeciw sobie* wolałbym mieć samego szatana.

No, ale pora mi już iść, zakończył prezydent powstając.

— Wszystko to dobrze, odezwał się hrabia, nie ruszając się jeszcze z miejsca—ale darujesz mi pan, kiedy powiem, że pomimo tego wszystkiego coś mi pan powiedział, nie jestem mędrszy niż byłem przedtém.

— No, to pozwól sobie, hrabio, powiedziéć, żeś niewdzięczny. Zrobiłem dla pana to, czego nie byłbym zrobił dla żadnego z akcyonaryuszów. Przedstawiłem panu prawdziwy stan towarzystwa kolei Berlińsko-Sundińskiéj; wyznałem, że poratować nas może jedynie przeprowadzenie dalszéj linii przez wyspę do jakiegoś portu, który ma stanowić niby głowę węża; innemi słowy, że pierwszą spekulacyą uratuje tylko druga, którą chcemy oprzéć na tamtéj. Interesa nasze, dotąd wspólne, rozchodzą się daléj;—nam chodzi o to tylko, by głowa węża, port wojenny, stanął,—ale gdzie stanie—na północy czy na zachodzie, to już dla nas jest rzeczą zupełnie obojętną, niech będzie chociażby na księżycu. Panu zaś koniecznie zależy na tém, by koléj przerznęła wszystkie jego dobra i by port zbudowano na zachodzie. Niech i tak będzie—wskazuję panu sposoby, które mogą go do-

prowadzić do zamierzonego celu, który jest, powtarzam, pańskim celem, a nie naszym—proponuję panu rękę ślicznéj panny, a pan na to wszystko powiadasz mi, że nie wiesz co masz począć!

— Masz pan słuszność, to niewdzięczność z mojéj strony, ale człowiek w takiém jak ja położeniu nie bardzo już ufa najprzyjemniejszym nadziejom nawet.

— Wiész pan co, panie hrabio, dyskusya nasza była dość ożywiona i nużąca, przechadzka na świeżém powietrzu posłużyłaby nam obu, pójdźmy razem.

— Gdzie?

— Chociażby np. do jeneralnego antreprenera naszego, pana Filipa Schmidt'a.

— Hrabia zerwał się z miejsca. Nienawidzę nazwiska tego! zawołał.

— Ale cóż ma nazwisko do rzeczy? A rzecz jest taka: panu Schmidtowi pochlebi bardzo osobiste zaznajomienie się z panem. Jestto człowiek nietylko bardzo bogaty, ale co większa łatwy w interesach; powtóre w dobrych zostaje stosunkach z panem Lübbnerem, pańskim bankierem, a więc czy to z nim osobiście, czy za jego pośrednictwem będziesz pan mógł załatwić interes z bankierem swoim.

— Ale pod jakimże pozorem mam złożyć tę wizytę, w tak niestosownéj porze?

— O, to nie przedstawia żadnéj trudności. Pan Schmidt posiada jednę z piękniejszych galeryj obrazów. Pan znany jesteś także jako znawca i amator, a więc rzecz prosta, że udajesz się pan osobiście do pana Schmidta dla obejrzenia jego zbioru, ponieważ przy najlepszych chęciach pan Schmidt nie może przenieść do pana galeryi swojéj. A że teraz wieczór, to téż nic nie szkodzi, na to jest przecię gazowe światło.

— Niechże i tak będzie. Ale prawda, pan Werben miał przyjść do mnie o dziesiątéj.

— Zostaw pan do niego kartkę, prosząc, by przyszedł także do p. Schmidt'a; ci panowie znają się z sobą.

I tak wszystkie trudności zostały usunięte, hrabia musiał uledz woli radcy, który z pod oka szydersko spoglądał na niego.

— Żeby się ten człowiek nie nazywał przynajmniéj Schmidt'em, mruknął hrabia, wychodząc.

W tymże samym czasie Filip niecierpliwie się przechadzał po gabinecie swoim. Chodził, siadał, znowu wstawał i odczytywał nie wiedzieć po raz który bilet tajnego radcy.

„Kochany przyjacielu,“ pisał tenże, „Widzę, że nie pojmujesz dokładnie, jak wiele zależy na pozyskaniu osoby hrabiego. Że ma długów po uszy, tém lepiéj dla nas, taniéj go kupimy. A musimy kupić. Potrzeba nam koniecznie arystokratycznego nazwiska. Nie znasz jeszcze zakutego patryotyzmu wyspy; im do wszystkiego koniecznie trzeba przywódzcy, za tym pójdą wszyscy. A więc, za jakąbądź cenę musimy mieć przywódzcę. To jest: dać mu najprzód 5o.ooo talarów, których wiém, że koniecznie potrzebuje; daléj, obiecywać mu złote góry, w razie gdyby koléj zachodnia stanęła, co zdaje się nigdy nie nastąpi; nakoniec, na rachunek 5o.ooo i złotych obietnic włożyć na niego warunek, że przystąpi do komitetu północnéj kolei. Dziś wieczór poruszę wszystkie sprężyny i pod jakimkolwiek pozorem przyprowadzę go do ciebie. Lübbner musi przyjść także, naturalnie *przypadkowo!* Gdyby hrabia nadspodzianie pokazał się nieugiętym, w takim razie około 9 przerwę moję z nim rozmowę i sam przyjdę.

P. S. Trzymaj się młodego Werbena; wiém, że to kosztowna znajomość, ale musimy koniecznie popiérać stosunki hrabiego z Werbenami. Dobrze byłoby, gdybyś mógł podać go nam dzisiaj na *wety*, ale zapraszać wprost nie można. Głównie proszę zwracać uwagę na to, że wszystko ma mieć pozór improwizacyi i przypadku! Rozumiesz mię przyjacielu?“

Że Filip zrozumiał, czego od niego żądano, tego dowiódł jak nie można lepiéj. Od pierwszego powitania aż do ostatniéj chwili bytności Golma w swoim domu tak doskonale odegrał swą rolę, że nawet radca wtajemniczony w nią, z podziwieniem przyglądał się gospodarzowi.

Plan całéj kampanii przeciw hrabiemu doskonale był ułożony i przeprowadzony. Kiedy hrabia i radca przybyli, Filip przyjął ich jako zupełnie niespodziewanych, ale zarazem bardzo miłych sobie gości.

Hrabia z początku zażenowany cokolwiek położeniem swojém, oswoił się z niém wkrótce zupełnie i z nieudaném podziwieniem przypatrywał wspaniałemu urządzeniu salonów Filipa.

— Przepych ten ma w sobie coś zniechęcającego, odezwał się do radcy, kiedy gospodarz oddalił się na chwilę.

— Ja myślę, że przeciwnie, powinien działać zachęcająco. Jeżeli ludzie bez imienia, bez stosunków, bez majątku jak Schmidt, mogli dojść do tego, to czegoż nie możecie zrobić, wy panowie, je-

żeli posiadając te wszystkie warunki, których im braknie, odrzucicie przesądy swéj kasty i działać będziecie jak oni.

— I w jakiż sposób człowiek ten doszedł do tego?

— Najprzód intelligencyą i energią, a potém szczęśliwemi spekulacyami; głównie jednak w skutek przedsiębierstwa naszéj kolei żelaznéj.

— Teraz już rozumiem, dlaczego akcyonaryusze wasi uskarżają się, żeście za drogo budowali, rzekł hrabia, śmiejąc się ironicznie.

— Co oni się tam rozumieją na tém, rzekł radca. Chcąc ich słuchać, trzebaby wyjmować dla nich gorące kasztany z ognia.

— A zatém jest i ogień?

— Przy którym na starość bardzo przyjemnie można się ogrzać, odpowiedział radca, wskazując ręką na otaczające przedmioty.

Wejście Filipa zwróciło rozmowę na inny przedmiot.

Hrabia jako prawdziwy znawca podziwiał piękny zbiór jego obrazów. Przyglądano się im, krytykowano, oceniano, aż wreszcie gospodarz wprowadził panów do sali jadalnéj.

Lübbener przyłączył się też do towarzystwa w jak najnaturalniejszy i niepodejrzany wcale dla hrabiego sposób.

Bankier i radca zdawali się być nietylko w dobrych, ale nawet poufałych z gospodarzem stosunkach. Przy dobréj wieczerzy i doskonałém winie rozmowa jeszcze więcéj się ożywiła, zawsze jednak krążyła około przedmiotów lekkich, obojętnych; dopiéro kiedy niby nawiasowo, ktoś z towarzystwa napomknął o kolei królewsko-cesarskiéj, wówczas hrabia zapytał o szczegóły tego interesu, a tém samém dał jak gdyby hasło do wprowadzenia na stół przedmiotu, który u wszystkich był na myśli.

Z jednego przedsiębierstwa przechodząc na drugie, z kolei zaczęto mówić o berlińskiéj północnéj linii, a wreszcie o berlińsko-sundińskiéj. Akcye téj ostatniéj stały wówczas bardzo nizko; panowie ci tłómaczyli to w taki sposób, że jakoby sami spowodowali ten kurs, dlatego tylko, by wykupiwszy je teraz, puścić znowu w obieg, kiedy dalszy ciąg téj linii zatwierdzony zostanie. Radzono hrabiemu, by nabywał je także, bo to był bardzo dobry interes.

— A jeżelibyś pan nie miał gotówki w téj chwili, powiadano, to bardzo łatwo zaradzić temu. Hrabia natychmiast dostać może 50, 100, 150 tysięcy. Samo przystąpienie hrabiego do dyrekcyi kolei warte już jest 50.000.

— A jeżelibym chwycił panów za słowo! zawołał hrabia.

— Wzajemnie weźmy się za słowo, odrzekł Lübbener.

— Możebyśmy tę rzecz piśmiennie załatwili, odezwał się radca.

— Czy nie zadaleko posuwamy żarty, spytał hrabia niepewnym wzrokiem, spoglądając na radcę.

Ten ostatni zachęcającym odpowiedział uśmiechem, ale zdawało się, że pomyślna chwila przeszła. Po raz pierwszy zapanowało milczenie, na krótko wprawdzie, bo natychmiast nastąpiła zmiana dekoracyi, po mistrzowsku przygotowana przez Filipa.

Służący podał mu w téj chwili dwie kartki wizytowe. Filip udał zadziwionego a zarazem zabawionego tym zbiegiem okoliczności i, śmiejąc się, opowiedział gościom swoim, że dwie młode i ładne panie, jedna z opery, druga z baletu przybyły do niego właśnie, jak się to im nieraz zdarzało, chcąc mu uprzyjemnić wieczór; pytał oraz tych panów, czy nic nie będą mieli przeciwko temu, by zaprosić je do towarzystwa i wspólnéj wieczerzy. Naturalnie, że jednogłośnie objawiono chęć przepędzania wieczoru z tak przyjemnemi osobami i zaproszono pannę Wiktorynę i pannę Bertaldę, co się niezmiernie przyczyniło do ożywienia całego towarzystwa.

Hrabia Golm zalecał się to do jednéj, to do drugiéj, nie mogąc się zdecydować, która z nich piękniejsza; śmiano się, żartowano, wino się lało, dowcipy sypały się, rozmowa zamieniała się w gwar, a wesołość powoli przechodziła w szał.

Na wety zjawił się Ottomar. Przybycie jego widocznie przyjemném było hrabiemu, czuł się usprawiedliwionym niejako, widząc równego sobie w tém towarzystwie.

Ottomar, radośnie powitany przez Bertaldę, z którą łączyły go dawne stosunki, bardzo czynny wziął udział w uczcie. Jeden kielich wychylał po drugim, pomimo to wszakże oczy jego nie traciły wyrazu ponurego, zdawało się, że w winie chciał utopić pamięć i nie mógł dokazać tego. Więc pił i szalał coraz bardziéj i stał się wkrótce najszaleńszym między szalonymi.

I tak jak pisał radca do Filipa: wszystkie sprężyny zostały poruszone tego wieczora. Zręczni ludzie umiejętnie prowadzili grę swoję, wszystkich użyli środków i zwycięzko usunęli przeszkody, jakie im jeszcze stawiła duma rodowa hrabiego, połączona wprawdzie z żądzą bogactw, ale zarazem i z wielką przezornością i ostrożnością.

*(c. d. n.)*

---

# ROK ŚMIERCI
# FAB. SEB. KLONOWICZA

podał

**Józef Przyborowski.**

---

Zwrot naszego dziejopisarstwa do zbyt długo zaniedbanych źródeł archiwalnych wyjaśnił już niejeden wypadek mylnie przez historyków opowiadany, sprostował nie jednę datę mylnie podawaną. A ponieważ jeden szczegół w dziejach mylnie podany pociąga za sobą często cały szereg wniosków niezgodnych z prawdą historyczną, przeto każdy szczegół historyczny rozjaśniony przez krytykę przy pomocy źródeł archiwalnych staje się cenną zdobyczą dla nauki, gdyż podając lepszą prawdę chroni nas od mylnego pojmowania wypadków i osób historycznych, a nadto uczy nas ogłędności w używaniu źródeł drukowanych.

Do owoców szperań archiwalnych zaliczyć należy sprostowanie roku śmierci Fabiana Sebastyana Klonowicza, poety znakomitego okresu Zygmuntowskiego, które to sprostowanie zawdzięczamy archiwiście Akt Dawnych w Lublinie, panu Józefowi Detmerskiemu. Wykrywszy współczesną, jak się zdaje, datę zejścia poety, zapisaną przez człowieka w bliskich kiedyś stosunkach stojącego z Lublinem i rodziną Klonowicza, podejmuję jeszcze raz wyjaśnienie téj sprawy w nadziei, że może się przyczynić zdołam do ostatecznego jéj załatwienia.

Mamy nagrobek Klonowicza dotąd dochowany w Lublinie, poświęcony poecie przez krewnego, który nie zapomniał położyć na nim swego imienia i nazwiska i przekazać swoję szczodrobliwość pamięci potomności, ale na nieszczęście zapomniał położyć dzień

zejścia poety. Napis ten grobowy ogłosił Starowolski w dziele Monumenta Sarmatarum str. 717 w następujących słowach:

Epitaphium Sebastiani Acerni, poetae praestantissimi.
Corpore dum vivo, meditabor mente sepulchrum.
Corpore dum moriar, mente superstes ero.
Et licet extinguar, lumen mihi reddet Jesus,
Sic mihi mors lucrum, sic mihi vita mori est.
Cura Sebastiani Kaiek, civis Lublinensis, consanguinei defuncti p.

Drugi raz mówi o Klonowiczu Starowolski Szymon w dziele *Hecatontas*, obejmującém sto życiorysów znakomitych pisarzów polskich, a wydaném piérwszy raz w Frankfurcie w r. 1625, a następnie poprawniéj w Wenecyi r. 1627 (na str. 212 i 213). I tutaj pomieścił Starowolski dwa wiérsze nagrobne napisane przez Mikołaja Żórawskiego na cześć Klonowicza, które przytaczam dlatego, że niekiedy z pomyłkami bywają drukowane, a potém i dlatego, że są pióra Żórawskiego, na którego w naszém badaniu powołać nam się przyjdzie. Piérwszy wiérsz tak brzmi u Starowolskiego:

Nasoni patria est Sulmo, Sulmircia Acerno,
Ille poëta fuit, Naso poëta fuit.
Exul in Euxinis est Naso mortuus oris,
Vix hunc non eadem fata secuta virum.

Drugi wiérsz zawarty w tych słowach:

Nomine qui te cunque prior signavit Acerni
Non satis apposite, nam bene laureus es.

W początkowych wiérszach pierwszego napisu przerobił Żórawski epigram, który sam Klonowicz o sobie napisał i położył na tytule dzieła Victoria Deorum, w tych słowach:

Nasoni Sulmo patria est, Sulmircia nobis;
Nosque poëtastri, Naso poëta fuit.
Sulmo ojczyzną Nazona, moją Sulmierzyce;
Lecz ja wierszokletą, a Nazo był poetą.

Lecz Żórawskiemu przeróbka ta nie powiodła się, czy to, że się wahał Klonowicza nazwać wierszokletą, czy też że Starowolski zmienił słowa Żórawskiego, bo jeśli wiérsz ten ma zawiérać zdrową myśl, to powinien mniejwięcéj tak być złożony:

Iste poëtaster, Naso poëta fuit.

Nie wchodząc w to, z czyjéj winy to się stało, przyznać musimy, że na Żórawskim nie ciąży przynajmniéj zarzut, że przemilczał dzień zejścia poety, bo wiérsze przez niego składane nie są właściwemi napisami grobowemi, ale tylko epigramami pochwalnemi na celniejszych pisarzów polskich, a do epigramów daty zejścia nie należą; za to Żórawski na innem miejscu zapisał dzień zejścia Klonowicza, jak to się w dalszym ciągu pokaże.

Daty zejścia Klonowicza żądać było można od kamienia pomnikowego, a kiedy jéj tenże nie dostarczył, wypadło ją wziąć zkądinąd. Podał ją Starowolski w znaném dziele obejmującém życiorysy stu uczonych Polaków, nadmieniając, że poeta zgasł w roku 1608, w 57 roku życia. Podanie to przyjęli wszyscy następni biografowie Klonowicza, a wedle tego podania rok 1551 naznaczyli jako rok urodzenia poety. Nikt nie domyślał się pomyłki w liczbach Starowolskiego, a jednakże należało postępować oględnie, bo nie zbywało na powodach do powątpiewania o prawdziwości podania Starowolskiego. Bo jeśliby rzeczywiście zszedł ze świata w r. 1608 a urodził się w r. 1551, jak dotąd wszyscy przyjmują, to podróż do Węgier, o któréj w r. 1600 powiada, (1) że ją odbył przed 40 laty, przypadłaby na r. 1560, czyli na dziewiąty rok życia, co byłoby przynajmniéj wypadkiem bardzo niezwyczajnym, żeby dziewięcioletni wielkopolski malec odbywał czy sam, czy z ojcem tak daleką podróż, kiedy jako mieszczańskie dziecko nie należał do tych gagatków urodzenia, którzy nie wiedzieć czy na swe szczęście czy na nieszczęście zwiedzają zaułki wszystkich stolic Europy, zanim się nauczą czytać choćby odę o róźdżce i Duchu świętym. Wiara w podanie Starowolskiego była tak silna, że Wiszniewski zatrzymał w Historyi Literatury rok śmierci poety 1608, choć przytacza sam świadectwo Wielewickiego z r. 1602 o Klonowiczu jako o zmarłym. Wszyscy następni pisarze, którzy czytali Wiszniewskiego i powoływali się na świadectwo Wielewickiego przez niego przytoczone, nie mieli odwagi zaczepić podania Starowolskiego. Może i autorowi artykułu o Żórawskim Mikołaju w Encyklopedyi Powszechnéj (t. 28 str. 1074) zbywało na téj odwadze, kiedy zapisał poprostu jako datę zejścia Klonowicza 29 Sierpnia 1602, ale nie wystąpił równocześnie w szranki przeciw tym wszystkim, którzy poecie każą umiérać sześć lat późniéj. Piérwszy zdobył się na tę odwagę p. Józef Detmerski, archiwista akt dawnych w Lublinie, gdyż wykazał, że poeta Klonowicz nie żył już w r. 1603, ogłaszając dokument znaleziony w księgach wojtowsko-ławniczych lubelskich następującéj treści:

„Działo się w sobotę przed niedzielą Głuchą (1 Marca) roku tysiąc sześćset trzeciego. Pokwitowanie sukcesorów Sebastyana Klonowicza. Przed urzędem wojtowsko-ławniczym stanąwszy osobiście sławetny Paweł Brukman, mieszczanin i kupiec gdański, jawnie, dobrowolnie i wyraźnie zeznał, iż on dostatecznie i w zupełności został zaspokojony przez sławetnego niegdy Sebastyana Klonowicza,

---

(1) Worek funduszów wydanie z r. 1603, sign. E. 2, strona odwrotna.

mieszczanina i rajcę lubelskiego, oraz jego małżonkę Agnieszkę, w długu sto trzydzieści złotych polskich, w którym to długu miał sobie w zastaw oddany przez nich sklep w kamienicy ich narożnéj „Wiślicką“ zwanéj, w rynku miasta Lublina położonéj, a to na lat cztery, podług aktu przed urzędem radzieckim lubelskim przez tychże małżonków Klonowiczów zeznanego. Z których to przeto stu trzydziestu złotych polskich tychże niegdy Sebastyana Klonowicza i małżonkę jego Agnieszkę, oraz ich dzieci i spadkobierców kwituje i wolnymi czyni na wieczne czasy, i akta w tym przedmiocie zeznawane, na zawsze znosi, umarza i unicestwia.“

Rzecz widoczna, że jeżeli w podanym dokumencie kwitują i padkobierców Klonowicza i samego niegdy Klonowicza, to Klonowicz w dniu 1 marca 1603 już nie żył. Przeciwko dowodowi dostarczonemu przez p. Detmerskiego wystąpił Tygodnik Ilustrowany na r. 1877, robiąc na str. 322 spostrzeżenie, że nikt dotąd nie zwrócił uwagi na tę okoliczność, że Klonowicz w dziele Victoria Deorum wyraźne czyni aluzye do rokoszu Zebrzydowskiego w r. 1605—1606, że przeto zapewne jeszcze żył po r. 1606 i nie mógł umrzeć w 1603.

Zarzut ten godzi się wziąć pod rozwagę i rozpatrzéć się w powołaném dziele, czy rzeczywiście czyni w niém Klonowicz napomknienia o rokoszu Zebrzydowskiego, bo napomknienia mają to do siebie, że natrącając zdaleka rzecz jaką zbyt ją niewyraźnie wskazują i pozwalają niekiedy każdemu czego innego się domyślać. Napomknień o rokoszu Zebrzydowskiego dopatrywano szczególniéj w cztérdziestym rozdziale dzieła Victoria Deorum, a jeśli Tygodnik Ilustrowany wskazuje na rozdział jedenasty tego dzieła, to jest w tém pomyłka drukarza. Początek rozdziału czterdziestego łączy się ściśle z rozdziałem poprzedzającym, w którym opowiedziana jest walka olbrzymów z Jowiszem, Psyllów z Austrem. Początek rozdziału czterdziestego zawiéra ostrzeżenie, że tych na pozór bredni o walkach Tytanów nie należy wyśmiéwać i za baśnie poczytywać, bo w tym orzechu jest jądro, tylko trzeba łupinę zgryźć, jest ukryta głębsza myśl, ale ją trzeba umiéć wyszukać i wyrozumieć. Bo jeżeli w opisanych poprzednio zapasach Psyllowie ulegają nieukróconéj sile wichru południowego, to przez Psyllów rozumieć należy zuchwałych zapaleńców, a przez zwycięzki wicher zamęt porywczy i szał umysłu, który namiętnością nazywamy, bo namiętność gorzéj od wichury północnego i szybciéj od wiatru południowego wysusza poniki rozumu i przyćmiewa go, tak iż nawet ponętny dźwięk gęśli Apolina i różdżka czarodziejska Merkurego szału namiętności nie zdoła ułagodzić. Dla namiętności grzeszym przez całe życie

i schodzim z drogi cnoty, jeśli jéj nieokiełzna surowa i nieugięta siła woli. Ona też podnieca narody do wojny, wszczyna szalone rozruchy w miastach i swawolną ręką młodzieńczych zgrai pokrywa kraj całunem śmierci. Rozruchów takich, mówi daléj Klonowicz, widziałem dosyć w ciągu mego życia, gdzie rozpasana młodzież stawała się postrachem miast, na pukaninę marnując nierozważnie proch, którego użyć raczéj należało przeciw nieprzyjacielowi zewnętrznemu.

Tyle tylko mówi Klonowicz w rozdziale czterdziestym o rozruchach, a następnie przechodzi do wysławiania zalet życia miejskiego, jeśli ono nie jest zakłócone rozruchami. Przypatrzywszy się z rozwagą temu ustępowi, widzimy najprzód, że Klonowicz mitologią starożytną pojmował alegorycznie i starał się wytłómaczyć myśl ukrywającą się w przenośniach mitologicznych w sposób, który w 200 lat późniéj niektórym filologom zjednał niemało rozgłosu. Powtóre widzimy, że nie masz tu żadnéj myśli, żadnego szczegółu, któryby nam przypominał rokosz Zebrzydowskiego. Burd i rozruchów po miastach bywało za życia Klonowicza dosyć, wywoływanych już to przez stosunki wewnętrzne miast, już to przez załogi wojskowe często nieswornośći się dopuszczające, jak tego dowodzą liczne zażalenia, które z wszystkich stron zanoszono do hetmana koronnego. Te rozruchy kłócące pokój po miastach miał Klonowicz na myśli i dotknął ich tylko mimochodem, a łatwo można się domyśleć, że o rokoszu tak wielkich rozmiarów, jakim był rokosz Zebrzydowskiego, byłby się i obszerniéj i inaczéj rozpisał, jak to uczynił cokolwiek późniéj współczesny Klonowiczowi wielko polski poeta Kasper Miaskowski (1). Osnowa zatém pieśni czterdziestéj dzieła Victoria Deorum nie zniewala nas bynajmniéj do przypuszczenia, że Klonowicz żył w czasie rokoszu Zebrzydowskiego, i będziemy mogli zgon poety oznaczyć rokiem wcześniejszym, jeśli mianowicie będziemy do tego mieli słuszne powody.

Lecz prócz osnowy niepodającéj ani wzmianki, ani napomknień o rokoszu Zebrzydowskiego, jeszcze jedna ważniejsza okoliczność upewnia nas, że Klonowicz nie mógł mówić o tym rokoszu, bo dzieło jego Victoria Deorum napisane i wydane było około lat dwadzieścia przed rokoszem, a ściśle biorąc napisane jeszcze znacznie wcześniéj, bo chociaż autograf tego dzieła zachowywany w je-

(1) Nenia na rozruch domowy; Tren Rzeczypospolitéj w nieszczęsne wojny domowe; dialog o Zjeździe Jędrzejowskim, w Zbiorze Rytmów, Poznań 1622, str. 12—30 części drugiéj.

dnéj z zamożniejszych bibliotek warszawskich, nie jest opatrzony rokiem, to jednakże powszechnie wiadomo, że poeta nad dziełem pracował lat dziesięć (1), czyli że rozpoczął swą pracę blizko lat 30 przed rokoszem Zebrzydowskiego. Rok wydania téj najobszerniejszéj pracy Klonowicza nie był dotąd wiadomy, bo ukazało się bez wyrażenia roku i miejsca druku, a i przypisanie do Adama Gorajskiego datowane jest z domu własnego w Lublinie, ale bez wyrażenia dnia i roku. Z tego powodu dotąd powszechnie utrzymywano, że Victoria Deorum ukazała się w druku około r. 1600 u Sternackiego w Rakowie (2); i jedno i drugie podobno mylnie, bo i nie w roku 1600 i pewnie nie u Sternackiego, ale raczéj u Rodeckiego.

W niektórych bowiem egzemplarzach dzieła Victoria Deorum znajduje się, lubo rzadko, drugie przypisanie do Mikołaja Firleja wojewody wileńskiego datowane z domu własnego w Lublinie dnia 29 Kwietnia 1587. Rzadkość przypisania do Firleja tłómaczy się tém, że Firléj następnego zaraz roku umarł, a ponieważ sprawy ludzkie nie umarłymi, ale żywymi popiérane bywają, jak się wyraża uczony Jan Januszowski w przypisaniu dzieł Jana Kochanowskiego, przeto i Klonowiczowi wypadło żywego opiekuna dla swego dzieła szukać i znalazł go w osobie przychylnego i zamożnego przyjaciela Adama Gorajskiego, tego samego, dla którego ułożył ogłoszony niedawno rodowód Gorajskich. Zapewne mała liczba egzemplarzów rozeszła się z przypisaniem do Firleja w pierwszym roku po ukazaniu się dzieła; wszystkie późniéj sprzedane egzemplarze mają przypisanie do Gorajskiego, a tych jest najwięcéj, tak dalece, że trzy egzemplarze tego dzieła znajdujące się w téj saméj bibliotece, co własnoręczny rękopis Klonowicza, wszystkie opatrzone są przypisaniem do Gorajskiego, a pozbawione przypisania do wojewody Firleja. Jakkolwiek bądź, piérwsze dniem i rokiem oznaczone przypisanie dowodzi, jak się zdaje, niewątpliwie, że Victoria Deorum wydana była w druku za życia Mikołaja Firleja, bo zmarłemuby jéj Klonowicz nie przypisywał, i co podobno niewątpliwe, wydana w r. 1587, który to rok położył Klonowicz pod piérwszém przypisaniem. Kiedy więc Victoria Deorum nie była nietylko po rokoszu Zebrzydowskiego wydana, ale nawet ani w r. 1600, coby już wystarczało, lecz dobrze przed tym czasem, bo w r. 1587, to widocznie nie mogło w niéj nietylko mowy być, ale nawet ani najniewyraźniejszego napomknienia o tym rokoszu. Na mocy tego, co się zawiéra w całém dziele zna-

---

(1) Juszyński, Dykcyonarz poetów polskich t. 1 str. 174.

(2) Załuski Bibl. Poet. str. 49; Lelewel Bibl. I, 184.

ném pod napisem Victoria Deorum, nie można nic zarzucić dacie śmierci Klonowicza, położonéj przez p. Detmerskiego pod r. 1603.

Za datą śmierci wcześniejszą od téj, którą podał Starowolski, oraz za zbliżeniem jéj do r. 1603, w którym Klonowicza jako nieżyjącego wspominają dokumenty urzędowe, przemawiają okoliczności inne, ważniejsze od mniemanych napomknień o rokoszu Zebrzydowskiego. Najprzód wspomniana już podróż młodego Klonowicza do Węgier około r. 1560 nie przypadnie na dziewiąty, ale prędzéj na piętnasty rok jego życia, bo widocznie i rok urodzenia trzeba będzie wcześniéj położyć. Jak z jednéj strony trudno nam było wierzyć, aby dziewięcioletniego chłopca włóczono nie wiedziéć po co w daleką i na owe czasy dość uciążliwą podróż do Węgier, tak z drugiéj strony trzeba przyznać, że dziewięcioletni Klonowicz nie byłby pewnie w téj podróży robił spostrzeżeń, których w 40 lat późniéj użył w Worku Judaszowym; byłby pamiętał może wypadek sam, którego był świadkiem, ale nie szczegóły jemu towarzyszące. Inném okiem patrzy na świat piętnastoletni młodzian, jakim sobie wystawiamy Klonowicza na owéj podróży, i podróż sama mająca na celu poznanie świata i ludzi dopiéro w tym wieku może przynieść jakiś pożytek. Jak podróż dziewięcioletniego chłopca miała dla nas coś zagadkowego, tak podróżowanie w piętnastym roku życia musimy uznać za bardzo właściwe jako przyczynek do nauki życia. Trudność w wytłómaczeniu owéj podróży usuwa się zupełnie przez położenie innych dat urodzenia i zgonu poety.

Drugą okolicznością przemawiającą za wcześniejszym zgonem Klonowicza jest współczesne, lubo pośrednie tylko, świadectwo Jana Wielewickiego. Wiadomą jest rzeczą, że Klonowicz oskarżeniem złożoném w piśmie *Equitis Poloni in Jesuitas actio prima*, wydaném bezimiennie w r. 1590, zalazł niemiłosiernie za kołnierz Jezuitom i zwrócił ich baczne oko na swoję osobę, tym bardziéj, że wydając pierwsze oskarżenie budził obawę, że na tém jedném nie poprzestanie. Umiejąc cenić przeciwnika, tym niebezpieczniejszego, że odznaczał się głębokością zasad, prawością charakteru i czystością życia, Jezuici zapewne go nie spuszczali z oka, a mając w ważniejszych miejscach kraju każdego czasu czujnych i zręcznych pomocników, mogli dokładnie wiedziéć o chwili jego zgonu, nawet gdyby nie na ich rękach skonał, jak niesie podanie niezupełnie pewne. W początkach siedmnastego wieku zarządzał domem profesów Towarzystwa Jezusowego w Krakowie ksiądz Jan Wielewicki, mąż niezmordowanéj pracy, który i historyą tegoż domu ułożył i pozostawił w rękopisie. Z rękopisu tego, bogatego w ważne szczegóły, korzy-

stał między innymi Muczkowski (1), a Wiszniewski (2) zaczerpnął szczegół o Klonowiczu zapisany przez Wielewickiego pod rokiem 1602 w następujących słowach: „Dawniéj słyszałem od moich kolegów, a dziś nie masz żadnéj wątpliwości, że autorem owego osławiającego nas pozwu (Actio prima) jest Seb. Klonowicz, radny miasta Lublina, niegdyś uczeń akademii krakowskiéj, który przywiedziony do ostatniéj nędzy wyznał niesłuszność owych potwarzy przeciw nam miotanych i zmarł w szpitalu lubelskim.“ Wprawdzie Wielewicki nie mówi wręcz, żeby Klonowicz umarł w r. 1602, i dlatego też Wiszniewski, mimo przytoczony przez siebie szczegół o Klonowiczu, zatrzymał r. 1608 jako czas zgonu poety, jednakże po dokumencie ogłoszonym przez p. Detmerskiego staje się rzeczą prawie niewątpliwą, że Wielewicki, mówiąc pod rokiem 1602 o śmierci Klonowicza, był tego przekonania, że poeta umarł w 1602 roku. Ten sam wzgląd, co Wiszniewskiego, tłómaczy także wszystkich późniejszych biografów Klonowicza, którzy poszli za powagą Starowolskiego.

Przystępując w końcu do ostatniego świadectwa wykrytego dotąd na dowód zgonu wcześniejszego od tego, który Klonowiczowi naznaczył Starowolski, musimy się zapoznać z Mikołajem Żórawskim, który bądź co bądź nie był zwyczajnym człowiekiem: syn pisarza miejskiego lubelskiego, wykształcony w akademii krakowskiéj, zaszczycony dyplomem doktora filozofii tamże, a doktora medycyny w Padwie, powołany na katedrę akademii krakowskiéj, dla którego jednakże praktyka ástrologiczna więcéj miała powabu niż katedra w akademii, bo był astrologiem królów Władysława IV i Jana Kazimierza (3) i lekarzem królowéj Maryi Ludwiki, a nadto doradcą możnych pań ciekawych przyszłości, sowicie opłacających jego przepowiednie, przy tém wszystkiém niepospolity znawca języków starożytnych, jak tego dowodzą przekłady kilku dzieł Cy-

---

(1) Mieszkania i postępowanie uczniów Krakowskich. Krak. 1842 str. II.

(2) Historya literatury tom VII str. 87.

(3) Na tytule Kalendarza na r. 1651 wydanego pod tytułem Hemerologejon podpisał się „Filozofii i Medycyny Doktorem, Nayiaśnieyszego ś. p. Władysława IV, a teraz nam szczęśliwie panującego Jana Kazimierza, królów polskich i szwedzkich Mathematykiem.“ Żebrawski wymienia tylko jeden jego kalendarz na r. 1666 w Bibliografii Nauk matematyczno-fizycznych; ja znam je z lat 1648 (przypisany Stanisławowi Korycińskiemu cześnikowi krakowskiemu), 1651 (w przedmowie rozprawia o związku medycyny z matematyką), 1654 (dwa wydania, oba przypisane Samuelowi z Lipia Lipskiemu, podkomorzemu królewicza Karola Ferdynanda), i z r. 1655 (przypisany Mikołajowi Olbrachtowi z Olekszow Gniewoszowi, bisk. kujaw.), wszystkie in 16-o.

cerona, dokonane przez niego na język grecki. Lecz winienem ostrzedz, że było dwóch Mikołajów Żórawskich; ojciec, pisarz lubelski, zmarły w r. 1624 w Lublinie, i syn, medyk i astrolog, urodzony 10 Października 1595. Starszy Mikołaj Żórawski, towarzysz Klonowicza w urzędzie, był także wychowańcem akademii krakowskiéj, i jako człowiek uczony zapewne należał do zażyłych przyjaciół poety. Dobrych tych stosunków Żórawskich z Klonowiczem pozostał ślad w przekładzie polskim głównego dzieła Klonowicza nazwanego Victoria Deorum. Nie wiadomo jednakże na pewno, któremu Żórawskiemu przekład ten przypisać należy, bo i jeden i drugi miał naukę po temu; prędzéj jednakże synowi, a to z powodu przedmowy do tego przekładu. Juszyński, który z Czackim przekład ten wynalazł w bardzo uszkodzonym egzemplarzu, przytacza w Dykcyonarzu poetów polskich (I, 175) z przedmowy tłómacza następujący ustęp: „Jezuici dali sentencyą o tém dziele napisawszy: *Quid premii versibus tam dignis, nisi carnifex et ignis?* a przecię sami i pogańskich poetów są edytorami; ale gdyby im pozwolono, i akademickich dzieł połowęby spalili. Czegóż oni nie dokazywali z nami? *Turba gravis paci placidaeque inimica quieti* (tłum uciążliwy dla zgody i nieprzyjazny miłemu pokojowi). Nie chwalę ja, iż poeta nie pobożny; ale któż nie przyznaje, że przedni? I ja opuściłem, co nie przystało dobremu katolikowi.“ Żorawski starszy uzyskał w akademii krakowskiéj bakalaureat z nauk wyzwolonych w r. 1581 i pewnie niebawem przeszedł na urzędowanie jeszcze za panowania Stefana Batorego. Zatargi Jezuitów z akademią krakowską zaczynają się na dobre za panowania Zygmunta III, i natarczywszemi stają się dopiéro w drugiéj połowie tego panowania. W czasie tym Żórawski młodszy był członkiem akademii i tylko on mógł napisać wykrzyknik: Czegóż oni nie dokazywali z nami? bo tylko młodszemu jako profesorowi akademii służyło prawo zaliczyć się do grona akademików, doznających krzywd od Jezuitów. On także czuł się obowiązanym opuścić w przekładzie miejsca rażące katolików, gdyż odebrawszy cztéry mniejsze święcenia w r. 1618 od Tomasza Oborskiego sufragana krakowskiego (1) liczył się do stanu duchownego. Bądź co bądź, przekład dzieła Klonowicza, narażający tłómacza w téj saméj mierze, jak się naraził autor oryginału, dowodzi, że z Żórawskimi miał Klonowicz stosunki przyjacielskie, bo jeden cenił

---

(1) W dzienniku swym pod dniem 22 Września pisze: Anno 1618 sum ordinatus pro quatuor minoribus ordinibus a Rom Thoma Oborski suffraganeo crac. Episcopo laodicensi.

go jako kolegę w urzędzie i przyjaciela, drugi jako z dzieciństwa znany sobie wzór nauki i prawości, jako umysł goracujący nad wszystkimi, którzy stanowiskiem i nauką równać się z nim mogli. Wiersze nagrobne, poświęcone pamięci Klonowicza przez młodszego Żórawskiego, można także poniekąd uważać za ślad tych przyjacielskich stosunków. Stosunek ten pozwala nam mniemać, że jak dla jednego, tak dla drugiego Żorawskiego nieobojętne były koleje życia Klonowicza, i że podanie dnia zejścia poety przez któregokolwiek z nich zasługuje na wiarę, jeśli nią inne dotąd nieznane powody nie zachwieją.

Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie posiada dzieło p. t. *Calendarium historicum conscriptum a Paulo Ebero*, wydane w r. 1571, które tak jest urządzone, że każdy dzień roku ma poświęconą sobie osobną stronicę, na której wydrukowane najważniejsze wypadki historyczne w tym dniu zaszłe, a nadto pozostawiono część stronicy białą dla dopisywania współczesnych wypadków. Kalendarz ten należał najprzód do Szlązaka rodem z Frankensztejnu, nazwiskiem Schlissel, który od 25 Lipca 1572 zamieszkał w Krakowie i pracował w domach handlowych Vihausera, Rottermunda a w końcu Rappa. Człowiek, jak na kupca, dosyć wykształcony, zapisuje po łacinie koleje własne od r. 1572 do 1595, a gdzieniegdzie skrzętnie notuje współczesne wypadki historyczne, jako to Stefana Batorego wjazd tryumfalny do Krakowa w r. 1583, przybycie i koronacyą Zygmunta III, wjazd Anny Austryaczki, sprowadzenie Samuela Zborowskiego, ścięcie i zabranie zwłok przez Andrzeja Zborowskiego, wszystkie kroki Arcyksięcia Maksymiliana, daléj wszelkie niezwyczajne wypadki, jak powodzi w Krakowie, zgorzenie Olkusza w r. 1584, któremu w Polsce Starożytnéj (II, 100) mylnie r. 1583 naznaczono, postrzelenie dziewczynki w kościele Panny Maryi, spalenie dwóch Niemców i jednego Węgra za podrabianie dukatów; szczegóły o rzeczach piszącego bliżéj obchodzących, a więc o kupcach i kalwinach, w końcu daty urodzenia i zgonu osób znakomitszych. Schlissel zapewne umarł około r. 1595, bo na tym roku urywa się jego dziennik; kalendarz jego, jak się domyślam, został w rodzinie ostatniego jego chlebodawcy Rappa, i tutaj zastał go Mikołaj Żorawski, kiedy w r. 1612 obejmował kierunek wychowania synów Rappa. Żórawski w sposób podobny, jak poprzedni właściciel kalendarza, zaczął w nim zapisywać tak wypadki współczesne jako téż daty z ubiegłych lat, jeśli dla niego z jakiegokolwiek względu miały znaczenie; najwięcéj wiadomości podaje o samym sobie, jakoto dzień urodzenia, odwiezienia do szkół krakowskich, przyjęcia do bursy Jeruzalem, bakalaureatu, doktoratu, objęcia katedry, przystania do

króla Władysława IV, śmierci ojca, matki, babki, przyjścia na świat Władysława IV, śmierci królowéj Konstancyi i Cecylii Renaty, wjazdu Tomasza Zamojskiego na starostwo krakowskie i innych ważniejszych wypadków między r. 1612 a 1663. Dla nas najbardziéj zajmująca jest wiadomość, zapisana pod dniem 29 Sierpnia w następujących słowach: Tego dnia umiéra Sebastyan Acernus, poeta znakomity, w nocy roku 1602; pochowany w kościele parafialnym lubelskim pod wezwaniem Ś. Michała Archanioła" (1).

Nie mogę zaprzeczyć, że wiadomość ta zdaje się być zapisana ręką młodszego Żorawskiego, a ponieważ on w r. 1602 miał lat siedm przeto być łatwo może, że notatka zrobiona jest nie świeżo po zgonie Klonowicza, lecz może znacznie późniéj. W takim razie i możność pomyłki nie da się uchylić, gdyby się mianowicie w księgach radzieckich lubelskich pokazały ślady żyjącego Klonowicza po dniu zejścia podanym przez Żorawskiego. Jeśli to nie nastąpi, wypadnie podanie Żorawskiego uznać za pewne, a przynajmniéj pewniejsze i od daty przez Starowolskiego podanéj i od daty osiągniętéj z pokwitowania spadkobierców Klonowicza w dniu 1 Marca 1603. Zorawski mógł tego szczegółu dowiedziéć się dokładnie od swego ojca, a nadmieniając, że Klonowicz umarł w nocy, chciał widocznie chwilę zejścia zapisać jak najdokładniéj. Data zgonu Klonowicza, zapisana pewną ręką przez Żorawskiego pod r. 1602, godzi się téż bardzo dobrze i z podróżą do Węgier i z wzmianką Wielewickiego i w końcu z pokwitowaniem spadkobierców, a że i Victoria Deorum już jéj nie stoi na przeszkodzie, możemy ją przyjąć za pewną, przynajmniej póki lepsze i pewniejsze jeszcze źródła nie podadzą jéj w wątpliwość.

Może zbyteczną będzie rzeczą nadmieniać, że nie chciałem czytelnikowi zaprzątać głowy niepotrzebnie zbijaniem podań takich jak np. Marylskiego, który jako dzień śmierci Klonowicza wymienia 28 Grudnia 1608 (1). Podania takie gołosłowne, niewskazujące źródeł, z których były zaczerpnięte, nie mają żadnego znaczenia, w porównaniu ze źródłami współczesnemi Klonowiczowi, na których starałem się oprzeć niniejsze badanie.

Wszystkie dotychczasowe życiorysy Klonowicza, a co najtrudniejsza, nawet pomnik żelazny wzniesiony na jego uczczenie w Sulmierzycach, będą musiały uledz poprawkom bo ze zmianą dnia śmier-

---

(1) Hoc die Sebastianus Acernus poeta insignis moritur noctu anno 1602. Sepultus in ecclesia parochiali Lublinensi tituli S. Michaelis Archangeli.

(2) Wspomnienie zgonu zasłużonych Polaków, str. 280.

ci łączy się ściśle i zmiana dnia urodzenia. Jeżeli bowiem rok 1551 podawano dotąd jako rok urodzenia Klonowicza, to czyniono to tylko na mocy podania Starowolskiego, opiewającego, że Klonowicz schodząc ze świata w r. 1608 miał lat 57; żadne z dawniejszych źródeł nic zawiéra roku jego urodzenia samego. Zachodzi tylko pytanie, co począć z zapewnieniem Starowolskiego, że Klonowicz miał przy zgonie lat 57? Czy i to podanie mamy odrzucić? Sądziłbym, że nie masz potrzeby. Rok śmierci poety powtarzaliśmy wszyscy za Starowolskim, bo trudno było odmówić wiary pisarzowi, zbiérającemu skrzętnie i z zamiłowaniem szczegóły życia mężów dobrze zasłużonych krajowi rozległą nauką i rozpowszechnianiem jéj. Jeśli dziś odrzucamy rok śmierci podany przez Starowolskiego, to odrzucamy go tylko dlatego, że źródła współczesne naprowadziły nas na ślad oczywistéj pomyłki Starowolskiego. Dopóki ze źródeł współczesnych nie będzie dowiedzione, że Klonowicz nie miał lat 57 wieku, kiedy schodził ze świata, nie mamy ani prawa, ani powodu powątpiewać o wiarogodności tego podania Starowolskiego, bo nie zawsze się myli ten, co raz się pomylił. Przyjąwszy zaś ten wiek poety przy zgonie, otrzymamy przez proste obliczenie z rokiem 1602, jako dowiedzionym rokiem śmierci, rok urodzenia nie 1551, jak dotąd podawano, ale rok 1545. Mojém zdaniem zamianie téj nic się nie sprzeciwia, i da ona pogodzić się bardzo dobrze z wszystkiemi innemi okolicznościami życia poety Acerna.

Ustalenie nowych dat urodzenia i śmierci Klonowicza, złożony dowód, że główne jego dzieło Victoria Deorum na lat dwadzieścia przed rokoszem Zebrzydowskiego było pisane, w końcu wykazanie, że wdowa i spadkobiercy w niedługi czas po śmierci poety są w możności oczyścić pozostałą po nim kamienicę z ciążącego na niéj długu: wszystkie te szczegóły zmieniają znacznie życiorys poety i przedstawiają nam go w nieco odmiennén świetle. Wcześniejszy tylko o lat sześć rok urodzenia Klonowicza byłby sam przez się rzeczą małéj wagi, gdyby urodzenie jego przez to przeniesienie pod r. 1545 nie przechodziło z pod panowania Zygmunta Augusta pod panowanie Zygmunta Starego. Klonowicz okazuje nam się teraz tylko o lat piętnaście młodszym od Jana Kochanowskiego, a ogarniając swém życiem panowanie wszystkich trzech Zygmuntów, wychodzi Klonowicz na przedstawiciela całego zygmuntowskiego okresu naszéj literatury.

Przekonawszy się w ciągu niniejszego badania dowodnie, jak mylnie dotąd podawano najważniejsze szczegóły życia Klonowicza, nie możemy się opędzić podejrzeniu, że i inne szczegóły do niego się odnoszące może nie całkiem zgodnie z prawdą bywają opowia-

dane. Mamy na myśli przedewszystkiém nieszczęśliwe pożycie z osławioną żoną, niedostatek pod koniec życia i śmierć w szpitalu. Dwa z tych szczegółów przynajmniéj zaczynają być bardzo wątpliwe. Z przytoczonego wyżéj pokwitowania wdowy i spadkobierców pokazało się, że nawet po śmierci poety dom jego należał jeszcze do spadkobierców, oraz że ci spadkobiercy, nawet kiedy głowy zabrakło rodzinie, mogli spłacić dług na ten dom zaciągnięty. Nie chcąc przypuszczenia robić, żeby rodzina śmiała znanego już wówczas zaszczytnie i cenionego przez najznakomitszych w kraju ludzi męża i ojca rodziny wyrzucić z domu z jakichkolwiek powodów, będziemy musieli powątpiewać i o nędzy poety pod koniec chlubnie spędzonego życia i o jego śmierci w szpitalu, nie wchodząc już w to, czy szpitalem owym zarządzali wówczas Jezuici, czy też nie. Śliczny poemat Kondratowicza, osnuty na tém podaniu budującém, utraci może przez to podstawę historyczną, ale też może rodzinie wróci cześć, od któréj ją przez trzy blisko wieki odsądzano.

Wieść niesie, że pan Detmerski zamyśla opracować i ogłosić biografią Klonowicza; przyklaskujemy temu pięknemu zamiarowi i cieszymy się nadzieją, że przy pomocy źródeł archiwalnych pan Detmerski odsłoni nam z czasem postać poety taką, jaką była w rzeczywistości, choćby tylko w sposób podobny, jak przed laty kilkunastu również przy pomocy źródeł archiwalnych zestawiono koleje życia poety Kaspra Miaskowskiego.

---

# POLIKARP GIRSZTOWT,

## PROFESOR UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO.

---

Gdy w r. 1857 po długiéj 26-letniéj ciszy w dziedzinie nauki zatknięto znowu jéj sztandar na gmachu byłego Towarzystwa przyjaciół nauk, jednym z pierwszych, którzy pod nim stanęli, był Polikarp Girsztowt. Nazwisko Girsztowta tak się zrosło ze wspomnieniami b. akademii med. chirurgicznéj i z dziejami b. szkoły głównéj, tak powszechnie było wszystkim znane, że śmiało nazwać go możemy jednym z najpopularniejszych ludzi wśród naszego społeczeństwa, przez swoje zaś prace nauczycielskie i literackie należy on do szczupłego grona mężów, którzy się najbardziéj zasłużyli krajowi i nauce.

Ś. p. Polikarp Girsztowt urodził się d. 15 Lutego 1827 roku na Żmudzi. Pierwsze nauki pobiérał w Kiejdanach, a następnie w Wilnie, gdzie skończył Gimnazyum jako uczeń celujący i został nagrodzony medalem. Z Kiejdan do Wilna Girsztowt przybył w r. 1845 i wstąpił wprost do 6-éj klasy. Tu najulubieńszym dlań przedmiotem, któremu się oddawał z zapałem, była historya. Odznaczał się nadzwyczajną pamięcią, i raz nabytych wiadomości niełatwo zapominał. Nauczycielem historyi w gimnazyum wileńskiém był wówczas Jan Fok, człowiek zdolny i także obdarzony znakomitą pamięcią. Girsztowt zadziwiał go jednak łatwością z jaką mógł zapamiętać daty i wyliczać fakty, które jednocześnie miały miejsce w rozmaitych państwach i krajach. Matematyka była dla niego mniéj pociągającą i w tym przedmiocie nigdy się nie odznaczał. W roku 1847 przybył do Petersburga i zapisał się do akademii wojskowo-chirurgicznéj.

Tu jako student był już bardzo czynnym i pracowitym; najprzód założył bibliotekę dla studentów polaków z drobnych składek, w których sam przyjmował największy udział. W czasie jego zarządu, biblioteka ta była w kwitnącym stanie. Następnie urządził lekcye dla studentów, kształcących się na lekarzy; wykładano na nich historyą, jezyki nowożytne i język łaciński, którego sam nauczał.

W ciągu swych studyów ze szczególném zamiłowaniem zajmował się anatomią i chirurgią. Przedstawił konferencyi akademickiéj tłómaczenie anatomii Wilsona, która jednak nigdy nie była drukowaną. Dnia 30 Maja 1852 złożył egzamen na stopień D-ra medycyny, a w d. 7 Marca 1853 po obronie napisanéj przez siebie dysertacyi; „De dignoscendis centrorum nervosorum morbis," za którą przez akademią został nagrodzony medalem, przyznano mu stopień Doktora medycyny. Podczas pobytu w akademii wydał na widok publiczny wykaz parafij rzymsko-katolickich w Rossyi.

Dnia 6 Lipca 1852 roku został przeznaczony do 2-o Wojskowo-Lądowego Petersburskiego Szpitala, jako ordynator nadkompletny. Dnia 15 Września 1852 roku obok powyższego obowiązku, został asystentem kliniki terapeutycznéj szpitalnéj w akademii petersburskiéj. W Kwietniu 1853 r. delegowany był do szpitala oftalmicznego wojskowego w Odessie dla zbadania i zapobieżenia dalszemu tam grasowaniu zapalenia oczu; z czynności téj przedstawił sprawozdanie. Dnia 10 Kwietnia 1853 r. wybrany został członkiem rzeczywistym Cesarskiego Towarzystwa gospodarstwa wiejskiego w Południowéj Rossyi. Dnia 15 Maja 1853 r. Towarzystwo lekarzy odesskich wybrało go swoim członkiem-korespondentem.

Od roku 1853 do r. 1856 pozostawał w charakterze lekarza wojskowego; najprzód w księztwach Naddunajskich, gdzie był lekarzem naczelnym czasowego szpitala wojskowego, a następnie niósł pomoc ranionym przy oblężeniu Sebastopola. W r. 1854 otrzymał polecenie od Jenerał-Sztab-Doktora zbadania wód mineralnych na Wołoszczyznie, co téż i dopełnił, składając o nich obszerne sprawozdanie. Podczas oblężenia Sylistryi i Sebastopola jako operator miał obszerne pole do studyów nad chirurgią praktyczną, z dziedziny któréj pisywał liczne artykuły. W dniu 5 Września 1856 r. mianowany został na nowo nadkompletnym ordynatorem petersburskiego wojskowo-lądowego szpitala, a jednocześnie powołany został na asystenta kliniki chirurgicznéj w petersburskiéj akademii.

Wezwany przez Prezydenta nowo-kreowanéj akademii medyko-chirurgicznéj warszawskiéj do wykładu chirurgii teoretycznéj z oftalmologią i otyatryą, Girsztowt odczytał w dniu 13 Grudnia 1858 r. wstępną lekcyą publiczną w obec członków konferencyi akademii

medyko-chirurgicznéj w Petersburgu i delegatów ze strony Ministeryum Oświecenia „o zachowawczym kierunku chirurgii nowoczesnéj,“ w dniu 18 Grudnia tegoż roku ostatecznie mianowany profesorem. Niezwłocznie potém udał się w podróż naukową do Niemiec, Francyi, Anglii, Belgii i Holandyi w celu udoskonalenia się w chirurgii, pobiérając subsidium rządowe po 1.000 rs. rocznie. Po powrocie w Sierpniu 1859 roku złożył obszerne sprawozdanie pod t. „Pogląd na obecny stan chirurgii w Europie;“ w d. 27 Stycznia 1860 r. zostaje zatwierdzony w godności profesora zwyczajnego, i poruczone mu są jednocześnie konsultacye chirurgiczne przy warszawskich szpitalach wojskowych. Na tém dopiéro właściwém sobie polu rozpoczął siedmnastoletnią nieprzerywaną i niezmordowaną pracę około kształcenia młodzieży i oddał się jéj z całym zapałem i poświęceniem. Chcąc ocenić zasługi Girsztowta jako profesora, musimy przypomniéć w jakich okolicznościach objął swoję katedrę i jakiemi środkami do nauczania mógł rozporządzać. W obec młodzieży chciwéj nauki, stanął on, że tak powiemy, z gołemi rękami; pole chirurgiczne leżało odłogiem a lekkie zaledwie ślady pozwalały się domyślać, że je niegdyś uprawiano. Spuścizna, jaką zostawił uniwersytet warszawski akademii medyko-chirurgicznéj była nader szczupłą. Profesorowie ś. p. Dybek i Zanikowski nic jéj prawie nie przekazali na piśmie z dziedziny chirurgii, krótka chirurgia Czekierskiego wcale już nie odpowiadała potrzebom chwili, a mistrzowskie dzieła Nowickiego „O odejmowaniu członków, jako téż o złamaniu kości i sposobach ich leczenia“ zawierały tylko małą cząstkę z rozległych chirurgii obszarów. Zupełny brak podręczników i dzieł odpowiednich w języku polskim bardzo utrudniał kształcenie młodzieży. Girsztowt jednak wszystkiemu zaradził, wszystko obmyślał, wszystko stworzył. Rozpoczynając swój wykład w dniu 5 Września 1859 r., wezwał studentów do przełożenia na język polski chirurgii Emmert'a (Lehrbuch der Chirurgie von Dr. Carl Emmert, Stuttgardt 1859), co téż wkrótce zostało uskutecznioném; przekład ten jednak dla braku funduszów nigdy nie był drukowanym. Ciągłą i niezmordowaną pracą starał się ś. p. Girsztowt zastąpić brak środków nauczania: widziano go téż w dni świąteczne i podczas feryi pracującego wraz ze swoimi uczniami w amfiteatrze nad anatomią topograficzną i chirurgią operacyjną, lub téż otoczonego młodzieżą wchodzącego, że tak powiem, na przebój do różnych szpitali, by przy łóżku chorego w praktyce wyjaśnić te zasady, które z katedry teoretycznie wpajał w umysły swoich słuchaczy. Administracya szpitali niechętném okiem patrzyła na to obchodzenie Girsztowta z uczniami na sale szpitalne, rozmaitemi sposobami starała się temu przeszkadzać, Gir-

sztowt jednak wszystko pokonywał: jednych ujmował łagodnością, drugim przedstawiał korzyść naukową młodzieży, czasem się unosił i był szorstkim, a wszystko to robił w głębokiém przekonaniu i poczuciu potrzeby łączenia wykładu teoretycznego z demonstracyami klinicznemi, bez których sam tylko wykład ustny, obarczając pamięć słuchaczów, przynosi mało korzyści umysłowéj. Staraniem i zabiegami swojemi zrobił to, że w skutek przedstawienia konferencyi akademii zgodzono się na wyznaczenie w szpitalu ujazdowskim w Czerwcu 1861 r. dwóch sal o 35 łóżkach z chorobami chirurgicznemi, do których mogli uczęszczać studenci, dla ćwiczeń klinicznych. W tym szpitalu, w roku 1861 i 1862, prof. Girsztowt przeprowadził w obec studentów szereg doświadczeń, przez które stwierdził prawdziwość teoryi D-ra Rassereau. W szpitalu alexandryjskim były robione doświadczenia nad sposobami leczenia Watzer'a, które dały pomyślne rezultaty.

W dniu 1 Paźdz. 1862 roku akademia medyko-chirurgiczna została wcieloną, jako wydział lekarski do szkoły głównéj, w któréj professor Girsztowt zatrzymał stanowisko jakie zajmował w b. akademii. W roku 1864 uwolniony został od obowiązków konsultanta przy szpitalach wojskowych w Warszawie. W roku 1865 wybrany został na członka Czynnego Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego a w r. 1867 na członka korespondenta Tow. Lek. Wileńskiego. W roku 1865 Girsztowt opracował „Rys Historyczno-Statystyczny Cesarsko-Królewskiéj warszawskiéj medyko-chirurgicznéj akademii.“ Ten najważniejszy Pamiętnik, pięć lat tylko trwającéj instytucyi, ochroni od zapomnienia i przekaże historyi oświaty narodowéj niemało ważnych szczegółów, któreby zaginęły bezpowrotnie. W roku 1866 Girsztowt rozpoczął wydawać „Gazetę Lekarską“ a wkrótce potém „Bibliotekę Umiejętności Lekarskich,“ zawierającą w chwili obecnéj 38 dzieł, już ukończonych, a kilkanaście jużto rozpoczętych, już téż na ukończeniu będących.

Bibliotekę Umiejętności Lekarskich składają dzieła oryginalne i przełożone z języków obcych:

1. A k u s z e r y a (Dr. Neugebauer Tom 1) Tom III (Dr. Jerzykowski).

2. A n a t o m i a c h i r u r g i c z n a (A. Richet), przekład Dr. Marcelego Lewińskiego.

3. A n a t o m i a o p i s o w a ciała ludzkiego (Quain—Hoffmann), przekład Dr. Kazimierza Gurbskiego.

4. A n a t o m i a p a t a l o g i c z n a profesora Brodowskiego.

5. A n a t o m i a p r a k t y c z n a) (Budge), przekład Dr. Mayzla.

6. Auskultacya i perkussya (Gerhardt), przekład Dr. Wyrzykowskiego.
7. Balneologia D-ra Mich. Zieleniewskiego.
8. Chemia lekarska D-ra prof. Fudakowskiego.
9. Chirurgia ogólna i szczegółowa prof. Girsztowta.
10. Chirurgia operacyjna D-ów Kwaśnickiego, Stankiewicza i Wszebora.
11. Dermatologia (Neumann), przekład D-ra Stockmanna.
12. Elektroterapia D-ra Domańskiego.
13. Episoocyologia i Weterynaria policyjna prof. Seifmanna.
14. Farmacya (Duflos), przekład D-rów Fabiana i Piaseckiego.
15. Farmakognosya (prof. Trapp).
16. Farmakologia i Receptura (Schuchardt i Posner), przekład D-ra Wyrzykowskiego.
17. Fizyologia (Donders-Hoyer i Wundt), przekład D-ów Fabiana i Stockmanna.
18. Gynekologia (Veit), przekład D-ra Gruella.
19. Hygiena publiczna i prywatna (Oesterlen), przekład prof. Łuczkiewicza.
20. Histologia i histochemia (Kölliker, Frey), przekład D-ra Witkowskiego.
21. Historya medycyny (Häser), przekład D-ra Heinricha.
22. Laryngoskopia i rinoskopia D-ra Taczanowskiego.
23. Medycyna sądowa. (Casuer—Liman), przekład D-ów Wisłockiego i Witkowskiego.
24. Nauka o chorobach wenerycznych (Reder-Zeissl), przekład D-ra Kurcyusza.
25. Oftalmologia (Wecker), przekład D-ra Jodko.
26. Patologia ogólna (Uhle, Wagner, Hartmann), przekład prof. Łuczkiewicza.
Patologia i terapia szczegółowa:
27. Choroby mózgu i nerwów prof. Łuczkiewicza.
28. Choroby narządu oddychania (Duchek-Ziemssen).
29. Choroby serca i naczyń prof. Łuczkiewicza.
30. Choroby narządu ruchu (prof. Ziemssen).

31. Choroby przyrządów jamy brzusznéj (Henoch).
32. Choroby nerek (Dr. Rosenstein).
33. Choroby zaraźliwe chroniczne (Heller i Bollinger).
34. Choroby zaraźliwe ostre (Ziemssen).
35. Pedyatrya (Vogel), przekład D-ra Sommera.
36. Policya lekarska (Pappenheim).
37. Propedeutyka lekarska D-ra prof. Łuczkiewicza.
38. Psychjatria prof. Pląskowskiego.
39. Rys praktycznéj otratryi D-ra Taczanowskiego
40. Terapia ogólna prof. Dybka.
41. Termometria i Stygmografia (prof. Alvarenga).
42. Toksikologia prof. Wisłockiego. Uroskopia i semiotyka moczu (Neubauer, Vogel), przekład D-ra Witkowskiego.

Bibl. Um. Lek. jak widzimy jest wydawnictwem obszerném, bo już dziś około dwóch tysięcy większych arkuszy druku zawierającém. W ciągu prac około wydawnictwa Biblioteki nie przestawał Girsztowt zasilać Gazety lekarskiéj artykułami, mającemi wysokie znaczenie naukowe, których tu wyliczać nie możemy i musimy odesłać czytelnika do tego pisma. Oprócz powyższych dzieł wydawał „Przegląd Postępu Nauk Lekarskich,“ „Kalendarz Lekarski,“ „Historyę Zakładów dobroczynnych w Królestwie Polskiém“ i wiele przekładów dzieł naukowych lekarskich z języków obcych na ojczysty jako to Rys Chirurgii teoretycznéj ogólnéj i szczegółowéj, przekład dzieła Heitzmana; Odczyty o operacyach akuszeryjnych, przekład dr. Barnes'a; Choroby układu nerwowego, przekład dr. Ziemssena; Choroby oczu, przekład uzupełniony Meyer'a; Chirurgia ogólna i szczegółowa, przekładu prof. Billroth'a i Koenga; Nauka o chorobach kobiét, przekład Dr. Schroeder'a; Nauka o chorobach dzieci, przekład dzieła Huttenbrenner'a.

Jak widzimy z długiego szeregu powyższych dzieł, zasługi ś. p. Girsztowta na polu literatury lekarskiéj są niezmierne: w wydawnictwie témześrodkował on wszystkie siły naukowe lekarskie całego kraju. Rozległa ta praca napotykała liczne przeszkody, które Girsztowt zwalczał z niewypowiedzianą energią. Girsztowt nie szedł drogą już utorowaną; wydawnictwo tak obszerne wymagało znacznych sił, które były rozpierzchłe, nieprzywykłe do pracy, bo literatura lekarska

u nas bardzo słabe tylko objawy życia okazywała, a koniecznéj potrzebie zaradzano sprowadzaniem dzieł zagranicznych. Trzeba więc było te siły rozpoznać, pobudzić je do pracy, a pracę skierować do jednego celu. Każdy kto zblizka przypatrywał się zabiegom ś. p. Girsztowta w zbiéraniu materyałów dla Biblioteki, Gazety Lek. i innych wydawnictw, jako téż trudnościom, z któremi walczył, przyznać jemu musi niezłomną energią, zaparcie się siebie samego, na które zdobyć się mogą tylko umysły wyższe, co ukochały swoje społeczeństwo i działają z całą świadomością, że pracą swoją przynoszą mu pożytek moralny i materyalny.

Nieraz mówiono Girsztowtowi, że jego wydawnictwo nosi na sobie cechę pośpiechu; na to zwykł był odpowiadać: „śpieszyć się musimy, by odrobić wielkie zaległości w szeregu lat przeszłych.“ Nic go nie zrażało, nic mu przeszkodzić nie zdołało w urzeczywistnieniu raz powziętéj myśli, ciągle szedł naprzód. Najbardziéj żałować musimy, że ś. p. Girsztowt przerwał wydawnictwo swojéj chirurgii teoretycznéj po opracowaniu działu o chorobach skórnych. Zajęty obowiązkami nauczycielskiemi i zabiegami około Gazety Lekarskiéj i Biblioteki Um. Lek., poświęcał im wszystkie swoje chwile, odkładając ułożenie chirurgii teoretycznéj do wolniejszéj pory, gdy się usunie od obowiązków uniwersyteckich i ukończy Bibliotekę. Jedno i drugie zbliżało się już ku końcowi, Girsztowt spokojnie miał zasiąść do swojego dzieła, kiedy w d. 5 Listopada 1877 mordercza ręka, zadając mu ranę nożem w górną część lewego uda, przerwała jego życie, pełne pracy i zasług z niepowetowaną stratą dla kraju i nauki. Pomimo natychmiastowéj pomocy i najusilniejszych starań lekarzy zakończył życie dnia 11 Listopada 1877 r.

Byłto mąż niezmordowanéj pracy, najszlachetniejszych dążeń, cały oddany kształceniu młodzieży, którą ukochał gorącém sercem, wspiérając ją moralnie i materyalnie; młodzież odpłacała się téż jemu wdzięcznością i miłością nawet po zakończeniu nauk; najlepszym dowodem tego były ostatnie dni jego życia, gdy wieść o smutnym wypadku rozeszła się po całym kraju, zewsząd się zbiegli jego koledzy i uczniowie, by otoczyć śmiertelne łoże ukochanego profesora, a liczne telegramy z ubolewaniem nadchodziły od tych, którzy doń sami przybyć nie mogli.

Charakter ś. p. Girsztowta był przyjacielski, dla wszystkich przystępny, a gdy czasem bywał popędliwym zawsze pierwszy wyciągał dłoń ze słowami zgody na ustach. Od myśli do czynu przechodził bezpośrednio, a w wykonaniu swoich pomysłów nie znał przeszkód. Pamięć miał nadzwyczajną, objęcie rzeczy szybkie, wyobraźnią żywą, wykłady jego były pełne życia i pociągały ku sobie

umysły najbardziéj nawet leniwe. Styl jego, w dziełach treści czysto naukowéj, był prosty i jasny; gdy pojęcia bardziéj uogólniał, jak to widzimy we wstępie do Rysu historyi warszaw. akad. med.-chir., styl jest wzniosły i wytworny w biografiach chirurgów polskich Bierkowskiego, Czerwiakowskiego, Dybka, Porejanki, Nowickiego, a miejscami staje się porywającym. Biografie jego mogą służyć za wzór do tego rodzaju prac literackich. Pamięć jego na długo zostanie w sercach jego współziomków; nauka w nim straciła jednego z potężniejszych swoich rzeczników, młodzież światłego i niezmordowanego nauczyciela, a kraj najszlachetniejszego obywatela!

*Dr. Med. Jan Kwaśnicki.*

---

# KRYTYKA.

1. *Źródła dziejowe* w wydaniu Adolfa Pawińskiego i Aleksandra Jabłonowskiego. Tomy I—VI. Warszawa w drukarni Emila Skiwskiego. 1876 i 1877.

Pod ogólnym tytułem źródeł dziejowych już od dwóch lat blizko ukazują się na widok publiczny nieznane dotąd dokumenty, odnoszące się do historyi polskiéj XVI i XVII wieku. W sześciu wydanych obecnie tomach znajdujemy wiele drogocennych materyałów do poznania epoki, zaledwo jeszcze napoczętéj w studyach naukowych. Każdy tom jest opatrzony rozprawą wydawcy, objaśniającą treść zawartych w tekście dokumentów. Całość wydawnictwa, naturalnie, systematyczną nie jest i być nie może. Z tego powodu i nasza ocena musi pojedyńczych trzymać się tomów.

**Tom I. Krzysztofa Grzymułtowskiego Wojewody Poznańskiego Listy i mowy wydał A. Jabłonowski. 1876.**

Imię Grzymułtowskiego jest związane z traktatem Moskiewskim 1686 r., którym Jan III we trzy lata po swéj wiekopomnéj „potrzebie“ wiedeńskiéj zrzekał się Kijowa i Smoleńska, a który, zdaniem Sołowijowa i innych historyków, zapewnił Rosyi stanowczą przewagę na północy, kosztem Polski. Do Voluminów Legum umowa ta wpisaną została dopiéro w 1710 roku, gdy Polska znajdowała się w zamęcie wielkiéj wojny północnéj, a Piotr wielki pokonał Karola XII pod Pułtawą i tym sposobem przewagę państwa swojego rzeczywiście ugruntował. Nic dziwnego, że imię Grzymułtowskiego, jako głównego posła, nie było dla Polaków miłém, obarczyło go téż rozlicznemi zarzutami, jak powiada p. Jabłonowski, nawet „ciemne podanie dziejowe.“ Ale postać niefortunnego dyplomaty mało zna-

ną była, chociaż zaostrzała wielce ciekawość historyków; tu i owdzie bowiem natrafiano na ślady długiéj i ruchliwéj działalności jego politycznéj od czasów Jana Kazimiérza aż do połowy panowania Jana III (zapewne do 1687 r.). Pierwszą wiadomość o życiu Grzymułtowskiego podał Mikołaj Malinowski, drukując w r. 1844 kilka jego listów i mów, potém w 1870 r. znów kilkanaście nieznanych numerów ukazało się w „Listach z czasów Jana III i Augusta II," wydanych przez p. Władysława Skrzydylkę w Krakowie; obecnie p. Jabłonowski zaspakaja w znacznéj mierze ciekawość naszę przez ogłoszenie 74 nowych dokumentów, zaczerpniętych z rękopismu nie spółczesnego wprawdzie, pełnego „błędów, opuszczeń i gmatwaniny," ale bogatego w listy, mowy sejmowe i relacye (ogółem z 332 numerów złożonego). Rękopism pochodzi z końca XVIII wieku i stanowi własność p. Bazylego Białozierskiego, b. redaktora pisma małoruskiego „Osnowa.“

Podana tu korespondencya Grzymułtowskiego zaczyna się od 1659 r. i uwydatnia go z dostateczną do zrozumienia dokładnością. Mikołaj Malinowski, kończąc swoje studyum, nie śmiał „położyć zdania o jego charakterze" (1), pan Jabłonowski zaś, rozrządzając bogatszym materyałem, mógł się już o to pokusić i w istocie napisał biografiją, czyli jak się wyraził, „Żywot" Grzymułtowskiego na 120 stronnicach, a zarazem określił charakter jego. To określenie wszakże wydaje się nam tak dalece optymistycznén i tak mało usprawiedliwionén, że widzimy potrzebę główne przynajmniéj wnioski zrewidować. Przeczymy bowiem całéj ocenie umysłu, charakteru i działalności Grzymułtowskiego, a szczególnie sądom, wypowiedzianym na str. CXV—CXX.

Sam p. Jabłonowski wynajduje cztéry fazy w zawodzie politycznym wojewody poznańskiego: w piérwszéj wojewoda ubiega się o popularność u szlachty i bierze udział w rokoszu Lubomirskiego jako obrońca złotéj wolności, ale „wprędce zmiękł młody demagog szlachecki na ponęty dworu... i *szczerze* (?) przechylił się ku stronnictwu monarchistów francuskiemu;" w drugiéj występuje jako przeciwnik króla Michała Wiszniowieckiego, aż zwalczony, zdeptany (nawet posiekany przez szlachtę i trzema tylko kreskami na sądzie sejmowym ocalony od kary śmierci za zdradę kraju) musiał usunąć się na stronę; w trzeciéj jest „zaufanym przyjacielem," a przynajmniéj jawnym stronnikiem Jana III, od którego otrzymuje bogate starostwa i trzecie krzesło świeckie w senacie wraz z godnością wojewody

(1) Źródła do dziejów polskich. Wilno 1844 t. II str. 80.

poznańskiego; w czwartéj nareszcie stał się zawziętym przeciwnikiem swego dobroczyńcy „oczewiście (są słowa p. J.) znów po dawnemu namiętnie: bodaj zwalić Sobieskiego z tronu, a Jabłonowskiego wynieść, byle nie dopuścić sojuszu z cesarzem i strasznych onego następstw! Przyłączyły się tu i urazy, jako pobudki osobistéj niechęci i słabość istna dla kurfirsta“ („wielkiego“ brandenburskiego Fryderyka Wilhelma).

Szkaradne to są fazy politycznego zawodu dla obywatela kraju tak skołatanego nieszczęściami, jakim była Polska owoczesna po napadach szwedzkich, brandenburskich, siedmiogrodzkich, moskiewskich, tureckich! Uczuł to i pan J., gdy zakończył wykrzyknikiem: ‚nie był Grzymułtowski gorszym od innych!“ Był więc złym obywatelem, tylko nie gorszym, ale od kogo? od jakich innych? Czyliż podobna przypuścić, żeby wiek ów nie wydał ludzi mniéj złych, żeby Czarniecki i Sobieski przynajmniéj nie byli lepsi od Grzymułtowskiego? Przypuśćmy jednak na chwilę, jeśli tego życzy sobie pan J., i zatrzymajmy tylko w pamięci wyznanie jego, że Grzymułtowski był złym.

Ale w takim razie niezrozumiałą psychologicznie staje się charakterystyka wojewody poznańskiego o parę kart poprzednio skreślona: umysł „dzielny,“ przywiązanie rodzinne „czułe, rzewne,“ przyjaźń lat młodych „stała, poważna,“ przywiązanie do religii i kościoła „ciche, rozumne,“ śmiałość „niesłychana,“ odwaga obywatelska, natura „miękka, dobra, pełna cnót i zalet codziennych,“ zasoby inteligencyi, charakteru i wykształcenia, „potężne“—„narodowi swemu oddał on od lat najmłodszych życie całe na usługi wieloliczne.“ Wszystko to są cechy dobrego, zacnego, ba nawet wielkiego nie zaś złego obywatela i same namiętne popędy nie zdołałyby jeszcze włóczyć człowieka, takiemi obdarzonego przymiotami, przez całe życie po manowcach intrygi, przeniewierstw, zdrad, grubo egoistycznych facyjend, z jakich składa się cały zawód polityczny Grzymułtowskiego.

Oprócz psychologicznéj niemożebności, ośmielamy się zarzucić panu Jabłonowskiemu brak historycznego uzasadnienia w przytoczonéj charakterystyce. Zkąd bowiem powziął wiadomość o przywiązaniu rodzinném „czułém i rzewném“ Grzymułtowskiego: czy z epitafii łacińskich, jakie napisał dla dwóch żon swoich, mianowicie z drugiéj, ktora jest napuszona i zimna? Czy ztąd, że wydawał młodą córkę swoję za niemłodego zapewne wdowca Gembickiego, idąc „za wolą królewską“ i wdzięcznie przyjmując „uprzejme starania WJP. starosty nowodworskiego (Gembickiego właśnie) przez wielkich ludzi wniesione? (s. LXIV). Ochranianie fortuny „dla dziatek“

(s. 108) nie stanowi jeszcze ani czułości, ani rzewności. „Rozumne przywiązanie do religii i kościoła“ widzi p. J. zapewne w tych ustępach korespondencyi, gdzie Grzymułtowski występuje przeciwko staraniom papieża o pociągnięcie Jana III do przymierza chrześcijańskiego przeciwko Turkom (s. 84.102), albo szydzi z Jezuitów (s. 40), ale dlaczego to przywiązanie miało być „cichém“? tego się domyśléć nie możemy, a już zupełnie gołosłownem zdaje się nam twierdzenie, że Grzymułtowski jest natura „miękka, dobra, pełna cnót i zalet codziennych.“ Żadnego rysu podobnego nie znaleźliśmy w całéj korespondencyi, która zresztą, obracając się wyłącznie w sferze interesów politycznych, z natury swojéj nie mogła żadnych cnót i zalet codziennych ujawnić. Przytoczone zaś zdanie Załuskiego (str. CXVII) jest krańcowo przeciwne określeniu pana J. Nie znaleźliśmy téż wskazówek przyjaźni stałéj, chyba z Morsztynem, z którym przecięż wiązało Grzymułtowskiego proste spólnictwo przestępstw.

Ocena umysłu i wykształcenia jego wydaje się nam wielce przesadną. Widzimy, że Grz. znał łacinę, Horacego i kilku poetów starożytnych, że przytoczył jedno zdanie po włosku, że czytał jakąś historyą angielską (1) (41) i francuską Grammont'a (2), że powoływał się na przykłady Pompejusza, Cezara, Antonina itp., na przestrogę jakiegoś „wielkiego historyka i statysty (s. 48), że cytuje wiersze Kochanowskiego (s. 49,95), że czytał dziesięć krucyat w historyach (s. 99), ale to jeszcze nie daje panu J. podstawy do mówienia“ o potężnych zasobach inteligencyi i wykształcenia“ a nawet o znajomości języków francuskiego i niemieckiego. Czyż koniecznie każdy senator polski miał być podobnym do owego Hryniewieckiego, o którym Koźmian wspomina, że pytał: „mościa xiężno, co to są Dardanelle?“ Chętnie przypuszczamy, że Grz. o Dardanellach wiedział, chociaż „gazet drukowanych nie widział i kosztu na nich nie łożył“ (s. 111); jesteśmy przekonani, że znał Volumina Legum z któremi często bywał w nieporozumieniu, ale to nie znaczy jeszcze, żeby „zdolen był rozumiéć wszystko zarazem: najpoważniejsze zadania wysokiéj polityki, najżywotniejsze kwestye finansów państwa, jak i zawiłe w swych odcieniach przepisy i zasady prawodawcze.“ Przeciwnie mowy jego w sprawach finansowych źle świadczą o jego uzdolnieniu. Czegóż bowiem domaga się przy dyskusyach o zapłacie dla woj-

---

(1) Zresztą informacye widocznie są przestarzałe, gdyż w r. 1666, tj. za panowania Karola II, mówi Grz. o „królowéj-katoliczce,“ Karol zaś jak wiadomo był bezżenny.

(2) Wspomniany w zdaniu sprawy z poselstwa do Moskwy etc. Mik. Malinow. Źródła II, s. 1.

ska? Oto „podziału na województwa,“ przejrzenia rachunków skarbowych, niedopuszczenia pogłównego „bom w nim widział dedecus z porównania wolnych głów z niewolniczemi, widziałem niebezpieczeństwa, bo nas policzyć z niego narody mogą (!) widziałem wszelkie oszukanie, bo jedni dali drudzy nie“ wywołanie szelągów, zniżenie siedmi w jeden, albo podwyższenie dobréj monety, kary na jakiegoś Remera, zamknięcia mennicy, przeznaczenie dwóch starostw na opatrzenie artyleryi, przeznaczenie niektórych wakansów „dla ludzi rycerskich“ (s. 42—47 130—131). Gdy jednak przychodzi do zapytania „bo to w prywatnych dyskursach bywa: czemu Holandya z tak potężną koroną hiszpańską długi wiek wojowała?“ albo gdy zajdzie mowa o akcyzach „któremi insze narody wielkie wojny prowadzą:“ Grz. pośpiesza oświadczyć: „Nowych żadnych nie życzę chwytać się inwencyj“ albo „akcyzy jako to papierowe, tabaczne i insze, co nie wiedzieć jako wymyślne, mało albo nic rzeczypospolitéj nie przyniosą;“ „ziemianieśmy od ziemi płaćmy; kto ziemi nie ma... ducta proportione od summ“ (44,92—3). Odwołujemy się do świadectwa wszystkich, co chociaż pobieżnie obeznali się z teoryą lub historyą finansów Europy, że w przytoczonych zdaniach niepodobna dostrzedz żadnéj inwencyi, a nawet żadnéj znajomości urządzeń finansowych spółczesnego świata, kiedy już przecię rozwijało się gospodarstwo pieniężne Hollandyi i Anglii, kiedy Colbert działał we Francyi i wynajdywał źródła dla Ludwika XIV na wojny olbrzymie i przepych Wersalu. Ma Grzymultowski jednę i bodaj jedyną zasadę, któréj się trzyma przez całe życie, ale ta z biegłością finansisty nie ma nic spólnego, a raczéj wypływa z najgłębszych instynktów jego charakteru. Tą zasadą jest osłonienie dóbr ziemskich, o ile się da, od opłat i kwaterunku wojskowego w ogólności, oraz powiększenie osobistéj fortuny w szczególności.

Już w piérwszym z listów swoich tego zbioru z r. 1659 broni się od przysłania wojsk cesarskich z Krakowa do Wielkiéj Polski, bo trzebaby płacić 8.000 miesięcznie, a temu wydatkowi „Poznań non sufficiet“ (s. 5); w r. 1665 odwodzi podobnież od przysłania wojsk swoich królewskich, bo to jest nieznośnym ciężarem dla ubogich ludzi „kiedy po kilkaset złotych co tydzień wydawać muszą“ (s. 9); w r. 1666 widzi niemożność wypłacenia długu wojsku, bo „ordinariis mediis któż to obiecować może, widząc taką dezolacyą całéj rzeczypospolitéj“ (s. 27). Cieszy się więc, że „wojska tak wielką część zwiniono. Aleć i mihi privatim gratulor, że to w domu zostanie na posag ubogiéj dziewczynie, co się na usługę J. K. Mci i Ojczyzny spendować miało“ (s. 34); w 1667 chce zniesienia milicyi, regimentów, łuczników, jedném słowém, wojska regularnego „żeby wżdy mo-

gła rzplita wytchnąć sobie aliquantulum," radzi wrócić do pospolitego ruszenia (w XVII wieku!), chociaż sam gdzieindziéj uważa je za niezdatne do wojny (s. 46,95); w r. 1674 chwali Sobieskiego, że kilkanaście kroć sto tysięcy na wojska, municye i ammunicye z własnéj wydał kieszeni, że „piechoty wszystkie przez całą kampanją z prywatnego skarbu swego sustentował. Czy nie udarował że rzplitą kilką milionów?" (s. 61). W r. 1675 najjaskrawiéj scharakteryzował się Grz. odpowiedzią swą na dwa znakomite listy Jana III, które stanowią prawdziwą ozdobę obecnego tomu (str. 62—68). Obrany, ale jeszcze niekoronowany król jest w obozie na Ukrainie, pracując nad odebraniem Kamieńca i całych powiatów od Turcyi oraz troszcząc się o Smoleńczyznę, Kijów i Zaporoże, utracone rozejmem Andruszowskim. Położenie wojska polskiego jest trudne: kurfirst brandenburski odwołał swoje regimenty posiłkowe, Carowie moskiewscy obiecanéj pomocy nie dają, kawalerya litewska „upornie nas odeszła," przez niewypłatę ćwierci „wielka część towarzystwa rozwinęła się, druga chorobami leży, piechoty umierają i uciekają," o pierwszéj wiośnie nieprzyjaciel (Turcy) „wszystkie kupy i potęgi kupi, aby na nas... wszystką furyą nastąpić." Pomimo tak strasznych trudności i niebezpieczeństw dzielny Sobieski nie upada na duchu, szuka tylko rady i „sposobu" u senatorów, aby „rzeczpospolita, strzeż Boże, nie zginęła, którą jakośmy dotąd zdrowiem i krwią naszą zasłaniali, tak i daléj zasłaniać będziemy." Jakiż tedy sposób wynalazł Grzymułtowski? Oto wystawia ubóstwo powszechne, o posiłkach i nowych zaciągach twierdzi, że „i pieniędzy, i chleba, i czasu nie masz," uprasza więc o pokój z Turkami za jakąbądź cenę: „Niech pan Bóg błogosławi, aby cum restitutione Kamieńca, a jeżeliby dla meczetów vetaret pogaństwo religią, cóżby czynić? więc cum demolitione (zniesieniem fortyfikacyj), a w ostatku nil turpe puto, quod miseros fortuna jubet (nic za haniebne nie uznaję, co los nędzarzom narzuca), bo na cóż sobie pochlebować" (s. 70). Czyż to nie są słowa bezwstydnego i zupełnie ślepego samolubstwa?

Dla skrócenia rzeczy pomijamy dalsze cytaty z owéj trzeciéj fazy działalności Grzymułtowskiego, którą p. J. przez dziwne nadużycie wyrazów nazywa „pogodną, świetną, rozumną, organicznie czynną" (!). Wspomnimy tylko, że i w mowie z „czwartéj fazy" z r. 1685, któréj p. J. z największą każe nam słuchać uwagą, nie widzimy żeby się ujmował za wojskiem „dzielnie, rozumnie, prawdziwie po obywatelsku" skoro, „najskuteczniejszy posiłek dla wojska" wynajduje nie w podatkach i skarbie, ale „szczodrobliwości królewskiéj" Jana III, t. j. w jego zasobach (s. 130), albo w swojéj plus offerencyi 170.000 złł. za dzierżawę ceł (s. 132). Przecięż jego ofer-

ty skarbowi czynione tracą wszelką wartość w obec cynicznego wyznania, że „okroiłoby mu się zysku najmniéj dwa miliony,“ gdy za wszystkie prowenta ofiarował skarbowi jeden milion (str. 124). Póty przecięż dokuczał napadami swemi na Kotowskiego i Płaskowskiego, „skartabellów,“ ujmowaniem się za krzywdzoną niby szlachtą łażeniem do królowéj o promocyą itp., aż król mu przyrzekł, że po upływie kontraktu, jemu jedynie dzierżawa ceł oddaną być miała, choćby kto inny wyżéj nawet postąpił (s. 137), a gdy obietnica ta spełnioną nie była, Grzymułtowski stał się najzawziętszym przeciwnikiem króla.

Ta mądrość finansowa, która go doprowadziła do starostw odstąpionych za 400.000, do fortuny, z któréj dawał po 100.000 złł. posagu córkom, gdy skarb rzeczypospolitéj miewał po 600.000 dochodu rocznego (i to nie zawsze), ta mądrość, powiadamy, odsłania widocznie sprężyny, jakie poruszały wolą i sercem wojewody poznańskiego. Mamyż przetrząsać jeszcze jego czyny publiczne? Wystarczy, zdaje się, zaznaczenie, że w epoce najbardziéj wojnami zapełnionéj raz tylko na początku zawodu swojego trzymał oręż w obronie kraju, mianowicie gdy spólnie z Opalińskim rugował Brandenburczyków z Wielkopolski w r. 1656; potém dosiadał konia w wojnie domowéj, żeby wziąć udział w nieszczęsnéj bitwie pod Mątwami przeciwko Janowi Kazimierzowi, zresztą wolał zawsze „liczyć kopy na polu“ (s. 11, 12) lub wichrzyć na sejmikach i sejmach. Lubił on wyjeżdżać często z zapewnieniami o swojéj cnocie „że jest jako brant szczéry siedmkroć przelewany, jako tam Kochanowski gdzieś napisał“ (s. 49). „Niepoczciwością żadną jestem niezmazany, cnotą z królami równy i z wielkiemi pany“ (58) itp., ale bardzo łatwowierny chyba słuchacz mógł tym zapewnieniom uwierzyć. Ileżto obłudy i przewrotności mieści w sobie korespondencya z lat 1665 i 1666! Prymas Wacław Leszczyński w liście do niego pisanym wręcz mu w silnych wyrażeniach wyrzuca, że już po przebłaganiu króla, niepomny na obowiązki senatora, wznieca nowe zamieszki, które zagrażają tronowi króla, a może zgubą ojczyźnie (s. 14). Na to w odpowiedzi Grz. zapewnia, że uchwały palczyńskie są nie jego, lecz całéj szlachty dziełem (s. 15). Podobneż wyrzuty czynili mu Trzebicki biskup krakowski (zwany zacnym przez p. J.) oraz biskup poznański i kamieniecki, jak widać z listów na s. 21, 23. Wykrętnych tłómaczeń naturalnie Grzymułtowskiemu nie zabrakło nigdy, ale szczery głos własnego jego sumienia odezwał się dopiéro w liście do Reja, gdy obrabiając sprawę grożącego mu sądu sejmowego, przyznaje, że w procesie formalnym przegrаćby mu-

siał (1). To téż pokłada nadzieję na „ewikcyi“ przyrzeczonéj mu przez szlachtę dwóch województw, to znaczy na nowym rokoszu. (s. 25). Jakoż pomimo obietnic, że będzie oczekiwał „w domu pożądanego pokoju“ (s. 12), stawa w polu w r. 1666 i przyjmuje komendę nad województwami niby w obronie wolności szlacheckiéj (s. 39). W kilka lat późniéj, ta sama szlachta posiekała go, znowu bez winy jego tylko z czyjegoś poduszczenia, gdybyśmy zapewnieniom jego wierzyć mogli (s. 56). Tak dobréj używał opinii, że nie mógł napisać listu do sejmiku, bo „listów przyjmować nie chcą“. I nie dziw: już od r. 1667 Grz. był gorliwym sługą Jana Kazimiérza i pisze do niego list, poczynający się od takich wyrazów: „Winna WKMci devotio, należąca veneratio, poprzysiężona fidelitas przywodzi mię do tego, że to wszystko, cokolwiek w tych czasiech intervenit (zdarzyło się) u nas, donoszę do wiadomości WKM.“ (s. 47). Przyczyna téj zmiany w usposobieniach wojewody jest najniewinniejsza w świecie: „Ja tylko odrobinę wziąłem chleba, która aż za rok fruktyfikować mi będzie, a już ex eo mam być niepoczciwy?.. Zasługiwać jednak łaskę i być gratus beneficii (wdzięcznym za dobrodziejstwo) obiecałem, spodziewając się od niego (tj. od króla) dalszych, które jeśli mię potkają, brzydzić się niemi nie będę“ (s. 52). Nie umiał snadź król Michał znaleść przekonywających argumentów dla Grzymułtowskiego, bo ten staje w opozycyi i przyjaźni się z hetmanem Sobieskim. Wynikłe podówczas plotki, zarzuty są, naturalnie, albo dokumentami niepoparte, albo niepewne, a zresztą obala je ostateczny argument: „O, któż się to tych przyjaźnią brzydzi quibus plurima juvandi nocendive potentia (którzy mają największą możność wspomożenia, albo szkodzenia)? (s. 56). Odstąpiwszy późniéj króla Sobieskiego, po dziesięcioletniéj blisko służbie, po oświadczeniach, że pokaże światu polskiemu wdzięczność swoję za łaskę pańską dla „kreatury“ swojéj (s. 89), ten człowiek miał czoło twierdzić, że „zawsze trzymał takiego partyą, który stawał przy zachowaniu dawnego stanu i prastarych swobód“ (141). Że umié kłamać bezwstydnie, oczywistym dowodem jest votum jego z r. 1685, gdzie zapiéra się jakoby bronił Morsztyna (s. 135), a przecię bronił goliwie, jak świadczy mowa jego № LX. na str. 113—115.

Do charakterystycznych przymiotów Grz. należy ten jeszcze, że brał udział, a może i głównym był sprawcą w zrywaniu sejmów, np. 1670 i 1681 r., jak to wykazuje sam p. Jabłonowski (s. XXXI,

(1) Non recuso, Bóg zna, examen całéj Rzplitéj; ale jeżeli per formam iudicii, pewnie przegrać musiałbym. List. XV, s. 25.

LXVIII, LXIX). Szczególnie dotkliwém dla Jana III było zerwanie w r. 1681, jak widzimy ze słów jego powiedzianych w senacie: „Cóż mię porywa, jakaż czarna burza oczy mi zasłania? Do owego nieszczęsnego zrywacza sejmów wołam z cesarzem Augustem: Warrusie wróć mi legiony moje, oddaj mi spokojność publiczną, oddaj mi chwałę moję! Zginęła okazya zdobycia Kamieńca! Trzeba się powierzyć przeznaczeniu, a raczéj Opatrzności: jeżeli Turcy i Tatarzy napadną na nas, dowiedziawszy się o zamysłach naszych, niech kto żyje dosiada konia, broń chwyta i broni ojczyzny krwią swoją.“ A to uczynił Grz. „na żądanie i za pieniądze Francyi!“ Jednocześnie był on stronnikiem, czyli raczéj agentem wroga Francyi, kurfirsta brandenburskiego! (LXVI nast.)

Przytoczone tu rysy i czyny wystarczają podobno do wniosku, że umysł Grzymułtowskiego był poziomy i wcale nie „trzeźwy,“ przeciwnie raczéj obłędny, podlegający działaniu brudnych namiętności, zuchwały i bezwstydny aż do cynizmu (1). Takie przymioty nie nastręczają materyału do tworzenia mów znakomitych, a jednak p. J. podziwia jego wymowę. Myśmy tego wrażenia wcale nie doznali: pomijając styl makaronistyczny, który jest wcale nie miłą cechą wieku, dla saméj już czczości, wykreślilibyśmy ze zbioru. N-ry L, LII i LXII, we wszystkich innych zaś głosach widzimy nie wymowę, ale co najwyżéj „fakundyą,“ że się posłużymy własném wyrażeniem Grzymułtowskiego.

Przyznajemy wszakże zręczność matacką i ruchliwość niepospolitą, którą Grz. przechował aż do najpóźniejszéj starości, jeszcze bowiem w r. 1685 powiada, że „nie zwykł sejmików omieszkiwać“ (s. 129). Te to przymioty zapewne, obok koligacyi z rodami Leszczyńskich i Opalińskich, utrzymywały go wciąż na ważném stanowisku politycznem i nasunęły mu godność przewodniczącego w pamiętném do Moskwy poselstwie, celem zawarcia wiekuistego traktatu przymierza.

W sprawie tego traktatu powstrzymujemy się od sądu, pozostaje ona bowiem dotychczas niedosyć jasną. Żałujemy, że korespondencya, mowy obecnie rozbierane, nie sięgają po za rok 1685,

---

(1) Przykłady cynizmu: napad na Jana III o Willanów—„sztuka piasku, ale i na tym piasku siedziałby szlachcic, i na Powsinku drugi!“ (s. 112), przedrzeźnianie wyprawy Wiedeńskiéj—„Rzecze mi podobno kto, atośmy obronili antemurale christianitatis Wiednia; jeszcze sub judice lis est, kto go obronił? różne o tém drukują awizy“ (s. 122); porównanie Polski niezdolnéj do prowadzenia wojny ze staruszkiem, narzekającym na kupidyna (s. 102).

a więc nie przyczyniają się do rozjaśnienia najważniejszego czynu z całéj działalności Grzymułtowskiego. Główném i niemal jedyném źródłem informacyj naszych pozostaje ogłoszone przez Malinowskiego „Zdanie sprawy przed królem Janem III“ etc.; tu jednak najważniejszy ustęp 6-go rozhoworu jest w zbyt krótkich wyrazach podany: „znowu nastąpiła długa dysputa, po któréj zniósłszy się z sobą, a widząc, że inaczéj być nie mogło, deklarowaliśmy Kijowa ustąpić, byleśmy wiedzieli, że sojusz będzie szczery i że rzeczywiście Krym wojować będziecie i nam w nagrodę straconych prowincyj do nabycia inszych (!) od nieprzyjaciela pomogą“ (1). Król odbiérał „obszerne rozhowory w dyaryuszu“ (2), ale nieszczęściem dyaryusz ten do dziś dnia podobno nie został odkryty i wydrukowany. O ile więc Grzymułtowski w układach zawinił lub zasłużył się, orzec z pożądaną ścisłością niepodobna. Przy charakterze jego obłudnym i przewrotnym żadnéj wiary, naturalnie, znaleść u nas nie mogą dwukrotne zapewnienia jego „pod słowem senatorskiém“ i pod przysięgą, że prócz 1.250 czer. złotych otrzymanych na równi z innymi senatorami poselstwa i „darów ladajakich“ nic więcéj od carów nie wziął (3). Nawet i mowa we Lwowie r. 1686 miana, w któréj przecięż naprawdę czuć niezwykłe w Grzymułtowskim i szczere oburzenie na „pokątne fałszywe poszepty“, na listy „po Trybunałach Radomskich i Piotrkowskich latające a honor jego szczypiące“ (4) nie rozbroiłaby nas z podejrzeń. Świadectwa Załuskiego co do uczciwości Grz. w zawiadywaniu groszem publicznym, przytoczonego w „Wiadomości Malinowskiego,“ nie mogliśmy sprawdzić; stosuje się ono zresztą do rachunku „summ z Moskwy przywiezionych,“ t. j. owych 2-ch milionów wypłaconych dla Rzeczypospolitéj (5). Ale dowodu, żeby się Grzymułtowski dał bojarom przekupić, nie ma. Nie przypuszczamy nawet, żeby sam fakt przekupstwa miał miejsce. Wojewoda poznański ładował sobie kieszenie i przy téj sprawie, ale kosztem króla oraz skarbu koronnego (6). Uskarża się, że zjadł w Smoleńsku kil-

(1) M. Malinowski. Źródła Dz. II, str. 20.

(2) Ibid. str. 3.

(3) Ibid. str. 26, 27, 35.

(4) Swada Danejkowicza, str. 130—131.

(5) M. Malinowski, l. c. str. 80.

(6) Ib. s. 4. W rachunkach Skarbu Kor. 1683—85, ks. Nr. 68, znaleźliśmy wykaz bardzo grubych sum na poselstwo Grz., ale podczas dawniejszéj jego podróży do Kadzynia: Sam Grz. 20.000 zł., zięć jego Gembicki 4.000, inni posłowie koronni po 16, 10, 8 i 4 tysiące, razem wszyscy 133.000—suma kolosalna, gdy zważymy, że wtedy na buławę wielką wypłacał skarb tylko 6.900 zł. rocznie, a pisarz polny i strażnik koronny pobiérali około 1.000 zł.

kanaście tysięcy, czekając na wypłatę umówionéj w traktacie sumy, ponieważ jednak żył w Moskwie kosztem skarbu carskiego, a sama podróż nie mogła bardzo drogo kosztować jeśli aż do Persyi goniec mógł dojechać za 2.580 złł., więc zapewne Grzymułtowski odwiózł do domu okrągłą sumkę z pieniędzy rzeczypospolitéj.

Powodzenie poselstwa zależało w znacznéj mierze od zręczności dyplomatycznéj posła. Pod tym względem nie powzięliśmy wysokiego wyobrażenia o czynnościach Grzymułtowskiego. Oskarża on kolegów-Litwinów o spóźnienie się i podkanclerzego Gnińskiego o zwłokę w nadesłaniu plenipotencyi, bo ta mu przeszkodziła ukończyć układy w Lutym, przed przybyciem posła tatarskiego do Moskwy. To przybycie było faktem nieprzewidzianym i rachubie niepodlegającym, podkanclerzemu przeto ewentualności takiéj za winę poczytać nie godzi się; a co się tycze pośpiechu toć i sam Grzymułtowski podróżował rzemiennym dyszlem: otrzymawszy bowiem zawiadomienie od króla d. 28 Września, wybrał się z domu dopiéro 18 Października, z Żółkwi zaś do Mohilewa jechał blisko miesiąc (od 19 Listopada do 13 Grudnia), nareszcie, doczekawszy już wszystkich kolegów, jechał z nadgranicznego Kadzynia do Moskwy trzy tygodnie (od 31 Stycznia do 19 Lutego). Za studenckich czasów myśmy przebywali większą przestrzeń, mianowicie od Mińska do Moskwy traktem smoleńskim we cztery doby, a jadąc powolniéj z noclegami krótkiemi stawaliśmy na szósty dzień po wyjeździe. Względne położenie Polski i Moskwy podówczas było dosyć dla niego korzystne, przybywał bowiem od króla otoczonego chwałą świéżych zwycięztw nad Turkami do państwa, które miało dwóch nieletnich carów na tronie i atmosferę brzemienną zaburzeniami sekciarzy oraz strelców w swojéj stolicy. Ale instrukcya nakazywała mu podobno „kupić sojusz wiecznym pokojem i prowincyami.“ Szkoda, że téj instrukcyi nie posiadamy dla sprawdzenia; cytował ją wszakże Grz. z naciskiem na radzie senatu. Twierdził nawet, że była ona znaną w Moskwie przed przybyciem poselstwa, co nie koniecznie jest wiarogodném, ponieważ opiérał swoje twierdzenie na mowie bojarów, o któréj przecięż w „zdaniu sprawy“ nie wspomniał ani słówkiem. Jeśli nawet bojarowie coś podobnego mówili, mógł to być fortel dyplomatyczny. Gdyby nam wolno było domyślać się, rzeklibyśmy, że ważniejszy powód niepowodzenia upatrujemy w małodusznem mniemaniu Grzymułtowskiego, że jednocześnie Polska dwóch wojen prowadzić nie jest w stanie i że albo z Turcyą, albo z Moskwą trzeba zawrzéć niekorzystny, ale konieczny pokój. To mniemanie przebijało się niewątpliwie i w jego działaniach dyplomatycznych widzimy bowiem ze sprawozdania, że w czwartym roz-

howorze wygadał się niebacznie z tém, jak „ciężka nam jest tak długa wojna“ (turecka) (1). Tymczasem bojarowie mówili mu, że zawsze gotowi są oddać życie za carów. Brakło mu też odpowiedniéj cierpliwości i baczności. Sam przyznaje się do błędu, że uronił Zasoże, ponieważ nie wziął od bojarów aktu we właściwym czasie. Niepotrzebnie też dbał tak bardzo o wynagrodzenie pieniężne. Chociaż więc nie mamy prawa pomawiać Grz. o złą wiarę w układach, chociaż o dobrych jego intencyach świadczy trzykrotne żądanie „listów rozjezdnych,“ zrywanie układów i stanowcza pożegnalna audyencya u carów, to jednak niekorzystne dla Polski warunki traktatu w znacznéj części muszą być przypisane ujemnym przymiotom jego umysłu. Jego zręczność dyplomatyczna i gorliwość nie dorównała zręczności i gorliwości bojarów moskiewskich.

Ostatnim znanym wypadkiem jego biografii był przelew starostwa kościańskiego na jego zięcia Gembickiego, oczywiście za przywilejem królewskim z d. 15 Maja 1687 roku. Umarł, jak żył, z troską o prywatne swoje interesa i mienie.

Pozostaje nam już tylko sprawdzić ostateczne twierdzenie pana J. jakoby „Grz. nie był gorszym od innych.“

Zbiór niniejszy okazuje, że gorszym był bodaj od tych wszystkich, którzy do niego pisywali, bo uczucia obywatelskie, obce jego sercu, przebijają się widocznie w listach prymasa Leszczyńskiego (N-ry VII, IX), biskupa Trzebickiego (N. XII i XX), zapewne też biskupa Wojnickiego, o ile się domyśléć można z odpowiedzi Nr. XIV, nie mówiąc już o dwóch wyżéj wzmiankowanych listach króla Jana III. Czyż gdziekolwiek, chociażby jeden raz w życiu zdobył się Grz. na takie słowo: „Za największe i najmilsze rozumiejąc dziedzictwo za wiarę świętą i kościoły, za miłą ojczyznę i rzeczpospolitą stawać tu z ofiarą, ani pozwalać aby wnętrzności jéj deptać i szarpać miał nieprzyjaciel“? (Nr. XLII, str. 68). Albo na takie szlachetne a czyste poczucie wolności obywatelskiéj, jakie wygłosił z tronu Sobieski w r. 1688 w senacie (2).

---

(1) Malinowski, l. c. Zdanie sprawy etc. str. 13, rozhowor 4-ty.

(2) Swada Danejkowicza, Polska str. 129—130 Zakończenie: „...to tylko język wymówić pozwala i te zanieść protestacye przed Bogiem, światem i całą Rzecząpospolitą, że téj wolności niwczém nie naruszę nic, tak jakom ją odebrał dotrzymam i dotrzymać chcę; ani mię od niéj żadna rzecz oderwać nie może, ani śmierć, ani życie, ani obecność ani przyszłość, na ostatek i sam potwór natury—niewdzięczność. Poniosę oto i teraz na dowód tego ochotnie zdrowie moje na zaszczyt wiary świętéj, świątnic Pańskich

Porównywając Grzymułtowskiego z głośniejszemi imionami epoki podług ogólnych wskazówek historyi, można powiedzieć, że nie był gorszym chyba od strasznego zdrajcy Radziejowskiego, którego zresztą nazywa „wielkim człowiekiem" (s. 114), jakby na sprawdzenie przysłowia: similis simili gaudet. Zresztą gorszym był od Lubomirskiego Jerzego, który był wprawdzie głównym sprawcą rokoszu, ale miał po za sobą zasługi wojny szwedzkiéj i Siedmiogrodu oraz bitwy pod Cudnowem, a i w saméj sprawie rokoszowéj mógł obudzić sympatyą ku sobie Odyńca, Szajnochy, Szujskiego w znanych dramatach. Był gorszym nawet od wynarodowionego Morsztyna podskarbiego, bo ten służył przynajmniéj jednéj Francyi ze stałością niezmienną i zdolnym był tworzyć poezye, cenione w historyi literatury naszéj.

Nareszcie gorszym był Grz. od większości sejmowych i od ogółu szlachty, jak widzimy z własnych słów jego: „A któżby się nie zdumiał wspomniawszy sobie, jak ogromne sumy rzeczpospolita na przeszłym sejmie pozwoliła i wydała" (s. 92), jużci wbrew jego wnioskom i mowom. „Kiedy jednak wglądam w niedostatki nasze, widzę wielkie: nie dla braku wodzów, bo w tych zaopatrzyła nas dobrze Opatrzność i JKMość; podał hetmanów, mężów mądrych, wspaniałomyślnych, oględnych i walecznych; nie dla braku ochoty wojskowéj, bo mamy wojsko lwie, pod dowództwem lwów, których odwaga JKM. wszelkich nauczyła dzielności." Konkluzyą jego o jaki to niedostatek idzie? odgadnąć łatwo: „A my w naszéj nędzy, nie mamy pieniędzy!" (str. 83). Wiemy zresztą i bez niego, że naród owoczesny, pomimo wszczynającego się zepsucia nie jest jeszcze narodem z czasów saskich, że pomimo strasznych ciosów Rzeczpospolita nie upadła wtedy, że szlachta zdolną była jeszcze rozwinąć zdumiéwające bohatérstwo wojenne, że Jan III, jakkolwiek p. Jabłonowski sądzić może o wyprawie wiedeńskiéj, napełnił Europę sławą imienia swojego.

Ergo, Grzymułtowski był gorszym od innych, kto wié, czy nie najgorszym ze wszystkich spółczesnych, wyjąwszy Radziejowskiego. Pan J., chcąc rehabilitować złego człowieka, wyrządził krzywdę dobrym, a przynajmniéj lepszym; podnosząc jednę poziomą naturę, poniżył całe społeczeństwo, cały naród. I to właśnie zmusiło mię do podniesienia tak długiego i uporczywego z nim sporu.

Ale, wykłóciwszy się z panem Jabłonowskim, jako autorem

---

i ojczystych swobód; wszakże majorem dilectionem charitate nemo potest habere, jako gdy kto duszę za lud swój oddaje."

rozprawy, czujemy się w obowiązku podziękować mu jako wydawcy za wynalezienie i ogłoszenie ciekawego i pouczającego z wielu względów zbioru dokumentów nieznanych (1). Błędy w imionach i datach są sprostowane, szkoda że bez wykazania podstawy, bo uczony będzie musiał w razie potrzeby powtórną sobie pracę sprawdzania zadawać. Tekst drukowany jest w oryginalnéj postaci, nastrzępiony łacińskiemi wyrazami w stylu makaronistycznym. Dla uczonych to jest dobre, ale mając na względzie szersze koło czytelników, trafniejszą byłaby może metoda M. Malinowskiego podawania dokumentu w czystéj polszczyznie i umieszczania makaronizmów w odsyłaczach. Zresztą p. J., biorąc teksty do swéj rozprawy, tłómaczył je także—naturalnie niewszystkie. (Mimojazdem zauważymy, że na str. LLI przypisał Grzymułtowskiemu słowa kanclerza Leszczyńskiego ze str. 55). Niektóre wyrażenia nie zostały odczytane i wyrozumiane np. „buńczucznego Sewirskiego“ (s. 66) „Meliszków testament“ (s. 82) „Nesterycy“ (s 40); quod non fecit, faciat, lucta trium marc. (s. 60). Mowa in visitando Izbę poselska na Górę (s. 147). Kilku błędów druku nie sprostowano, ale takich usterek uchronić się prawie niepodobna.

*Tadeusz Korzon.*

---

2. *Polens Auflösung.* Kulturgeschichtliche Skizzen aus den letzten Jahrzenten der polnischen Selbständigkeit von Freiherrn Ernst von der Brüggen. Leipzig. 1878, str. 417.

Najbliżsi sąsiedzi nasi z zachodu coraz to częściéj do dziejów naszych zaglądają, z rozmaitych stron je rozpatrując; to téż z każdym niemal rokiem przybywa do bibliografii nowe dotychczas nam nieznane nazwisko, z którém zapoznać się musimy. Po takich uczonych, jak Roepell, Caro, Grünhagen, Hüppe, Beer, Zeissberg; po fejletonistach takich, jak Goldbaum, Lubrański; po pamfleciarzach, jak Sacher-Masoch, Franzos i t. p.; ostatnie miesiące przyniosły nam nazwiska Rafała Loewenfelda, który o poezyach łacińskich Jana Kochanowskiego rozprawę napisał i barona Ernesta von der Brüggen, który się zajął badaniem dziejów „rozkładu“ Polski. Zdaje się,

---

(1) Mowy Nr. LXI z r. 1683 (?) i Nr. LXVIII z 1685 znajdują się w Swadzie Danejkowicza pod tytułem „pewnego senatora“ (str. 22, 24 nast.), ale poopuszczane tam są przez grzeczność imiona własne ze szkodą dla historyi; powtórzenie więc ich przez P. J. jest pożyteczne, bo imiona własne zostały przywrócone:

że niemałe dziejowe znaczenie Polski zaczyna się dla sąsiadów naszych wyjaśniać, chociaż tego wyraźnie wyznać jeszcze nie chcą, pozorując zajęcie swoje jéj historyą rozmaitemi mniéj więcéj ważnemi powodami. Czysto przedmiotowa pobudka, t. j. badanie faktów, dlatego tylko, że istniały lub istnieją, już z tego względu u historyków niemieckich przypuścić się nie da, że w ich pracach rzadko kiedy napotkać można istotną bezstronność. Wyraz ten *bezstronność* pojawia się wprawdzie ustawicznie pod ich piórem, stanowiąc nieraz jeden z najfatelniejszych warunków, jakie robią dziejopisom polskim; w rzeczywistości atoli Niemcy, czując zawsze swą ogromną wyższość nad Polakami, zarówno pod względem oświaty jak i potęgi, dają się unieść narodowéj dumie i zawsze z pewném lekceważeniem, jeżeli nie pogardą, na nas spoglądają.

Ale dobrze jest nauczyć się czegoś nawet od nieprzyjaciela. Jego oko najprędzéj wyśledzi słabe strony, jego ucho najdokładniéj posłyszy moralny lub umysłowy dyssonans, a jego słowo wypowie bez ogródki i z pewnym humorem wszystko, coby miłość własna rada najstaranniéj zataić.

Baron Ernest von der Brüggen, z inflanckiéj zdaje się rodziny pochodzący, i jak z kilku wzmianek wnieść można, znający nieźle nasze dzisiejsze stosunki z własnéj obserwacyi, chciał w 17 szkicach przedstawić obraz rozstroju Polski, śledząc starannie te wewnętrzne momenta, tkwiące w społeczeństwie, które rozsadziły budowę państwową. Starał się obraz ten nakreślić zajmująco i „zupełnie bezstronnie," według swego własnego zeznania. Znając język polski i rosyjski dość dobrze, korzystał nietylko ze źródeł niemieckich, francuskich i angielskich, lecz uwzględniał nadto bardzo szczegółowo prace Polaków i Rosyan. Oprócz pamiętników Ochockiego, Karpińskiego, Kitowicza, Koźmiana, posiłkował się dziełami Kraszewskiego (Polska w czasie trzech rozbiorów), Kalinki (Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta), Sołowjewa (Padienije Polszi) i Kostomarowa (Poślednije gody Rjeczipospolitoj). Obok tych, wszystkim przystępnych źródeł, korzystał nadto z następujących niedrukowanych: 1) z pamiętników po francusku pisanych barona K. von Heyking, posła kurlandzkiego w Warszawie, które obejmują czas od roku niewymienionego przez autora aż do 1792; 2) z listów i sprawozdań rozmaitych pełnomocników i ajentów, jakie się znajdują w archiwum rycerzy inflanckich, muzeum kurlandzkiego i w tajném archiwum pruskiém. O ile jednak wnosić wolno ze sposobu, w jaki baron von der Brüggen materyały z owych niedrukowanych źródeł zużytkował, niewiele mu one pomogły do nakreślenia obrazu, dostarczywszy zaledwie kilka drobnych szczegółów, które, o ile się da,

w dalszym ciągu wymienię. Można nawet powiedziéć, że gdyby nie dzieła polskie, baron von der Brüggen nie mógłby był swego „Rozkładu Polski“ napisać w takim przynajmniéj kształcie, w jakim dzieło to obecnie widzimy.

*Wstęp* zawiera ogólny pogląd na rozwój dziejowy ustroju państwowego w Polsce. Pogląd ten napisał baron von der Brüggen, jak sam ostrzega, na podstawie dzieł Roepella i Cara; to téż nic w nim nie znajdujemy nowego, coby na szczególne zaznaczenie zasługiwało. Stanowisko króla, szlachty, kościoła, mieszczaństwa, chłopów i t. p. określa krótko, bez żadnych specyalnych dowodów w sposób dogmatyczny, dlatego téż nie daje pobudki do sporu; jeżeliby bowiem znalazło się w określeniu owém coś niezgodnego z istotnym stanem rzeczy, to należałoby rozpocząć dyskusyą nie z Brüggen'em, ale z Roepell'em i Car'em. Z rozdziału więc tego zwrócę jedynie uwagę na przedmiot, który w naszych krajowych pracach bywa albo starannie omijany, albo téż pochlebnemi zbywany ogólnikami. Mówię tu o określeniu *charakteru* narodowego. Według Brügge'na Polak, podobnie jak Słowianin, w ogóle odznacza się przewagą zmysłowości nad umysłowością, łatwo ulega powabowi wrażeń zewnętrznych, łatwo się modeluje pod wpływem oka, ucha, uczucia; i tym sposobem staje się niewolnikiem zmiennych potęg świata. Wrażliwość jego jest nagła i żywa; a ulegając ustawicznym zmianom, pochłania całkowicie jego osobistość. Dobroduszny, spółczujący, pełny zaufania, gotów jest zawsze czynić dobrze, ilekroć *bezpośredni* widok nieszczęścia do tego go pobudza. Z drugiéj zaś strony, ruchliwéj fantazyi jego wydaje się łatwém do osiągnięcia wszystko, do czego tylko serce go ciągnie. Temperament ognisty, szybka pojętność i wielki talent do *reprodukcyi*, delikatna ale nietrwała uczuciowość, prędkie ale płytkie myślenie: oto warunki stwarzające wybornego towarzysza w pożyciu domowém, ale niewielkiego myśliciela lub polityka. Stąd pochodzi jego gościnność, chęć używania, łatwe zapominanie o troskach przy stole wśród tańca, w więzach miłości...

Chociaż wielce utalentowany, z trudnością przecięż zagłębia się w samo wnętrze sztuki; mając delikatne ucho dla muzyki a żywy zmysł dla sztuk plastycznych, posiada jednak bardzo mało siły twórczéj. Stąd wielka łatwość w wyuczeniu się języków cudzoziemskich i wielki dar mowy. Blask retoryki, jaśniejący na sejmach polskich, równie dobrze jest znany jak i szkody przez retorykę tę państwu wyrządzone. Dla popisu marnowano czas najdroższy, zdradzano sprawy najpoważniejsze; frazes i napuszone kłamstwo dusiły politykę i prawdę. Wszystkie środki aktorskie były znane Polakowi,

który z największą starannością baczył na swoję postawę i pantomi-nę. Niezmierna bowiem próżność, połączona z ową namiętną zmianą wrażliwości czynią Polaka już to bohatérem męztwa, już to karłem rozpaczy, już to każą mu wybujać w patryotyzmie i cnocie, już to spadać w przepaść zbrodni.

Skupienie ducha, spokojne myślenie, abstrakcya filozoficzna, milczące zachowanie się wśród powodzi zjawisk i praca ciągła w zakresie indywidualnym i idealnym: to są przymioty wprost przeciwne naturze Polaka. Stąd téż brak mu stałych, na przezorném zbadaniu rzeczy opartych norm postępowania; brak mu ogólnych punktów widzenia, z którychby mógł rozpatrzéć się jednostajnie we wszystkich dziedzinach działalności ludzkiéj; brak mu zasad, które wydobywa sobie człowiek głębiéj myślący z doświadczeń osobistych, ażeby się niemi następnie kierować systematycznie: Polak nie sprowadza swych myśli do zasad takich; dlatego téż myśli jego idą luzem, przenosząc się z jednego przedmiotu na drugi bez żadnego planu; dlatego uważa dzisiaj za słuszne to, co wczoraj za fałsz poczytywał, a jutro dobrém nazwie to, co dzisiaj złém mu się wydaje. Łatwo téż daje się pociągnąć zwrotom oratorskim i obrazom obudzonych namiętności. Pod wpływem uczucia znika z przed jego oczu wszelkie niebezpieczeństwo a skrupuły moralne milkną, co więcéj nawet najwstrętniejsze występki nie odstraszają go od szturmowania do zamierzonego celu. Chwila *obecna* zupełnie opanowuje Polaka. Ani ręki, ani serca nie zamyka on w obec żebraka, który przemawia do niego w łachmanach; ale w obec całych mas stutysięcznych, co to w rzeczypospolitéj szlacheckiéj miały nie mniéj punktów do wzbudzenia litości, ucho szlachcica było głuche, gdyż on uległ jedynie wrażeniu chwili i nie umiał wyobrażać sobie tego, czego w danym momencie własnemi oczyma nie widział. Ten sam brak uczynił Polaka niezdolnym do istotnego odróżniania potrzeb jednostkowych od potrzeb ogólnych państwowych, uczynił go niezdolnym do pojmowania istoty spraw państwowych. Co stanowiło bezpośrednie jego otoczenie, co mógł pochwycić okiem, uchem lub ręką, to stanowiło zakrés jego spostrzeżeń i trosk politycznych; a co było po za tém: ogół, państwo, rząd, prawo, kościół, obrona państwa: o tém szlachcic, zrodzony do korony, nie miał żadnego wyobrażenia, to też się takiemi rzeczami nie interesował.

Polak uwielbia swoję ojczyznę, wolność, naród, tak jak uwielbia piękność kobiety, albo świetność paryską, jak się entuzyazmuje w obec znakomitéj mowy lub w obec wspaniałego śpiewu. Fantazya, uczucie, duma, wrażliwość narodowa, oto są części składowe jego patryotycznego idealizmu. Zauważyć tylko należy, w jakich formach

idea ojczyzny przedstawia mu się praktycznie i na jakiéj drodze dąży do jéj urzeczywistnienia: ażeby spostrzedz, jak mały mają udział w patryotyzmie polskim abstrakcye polityczne, wynikające z przedmiotowéj refleksyi, z połączenia jasnego poglądu na świat i poważnéj nauki doświadczenia: w patryotyzmie tym znać idealizm uczucia a nie rozumu.

Z przewagi zmysłowości w naturze słowiańskiéj wypływa najprzód małe uzdolnienie do pojęcia idealnych podstaw państwowych a potém *bierność*. Charakter Słowianina wymaga takiéj formy państwowéj, którąby mu jedność państwa w zmysłowych przedstawiała kształtach. Obywatel Stanów Zjednoczonych, lub Anglik, nosi w sobie, chociażby bezwiednie, pojęcie państwa; to też myśli i działa zgodnie z tém pojęciem; Słowianin traci takie pojęcie, skoro tylko nie widzi go przed sobą ucieleśnionéin; to téż mimowoli, nieświadomie działa przeciwko jedności państwowéj, kiedy owładnie nim jakieś uczucie chwilowe, które mu się patryotycznéin wydaje. Uczucie to jest szczytem jego polityki; a skoro ono spełni swoje szkodliwe dla niewidzialnéj jedności państwa działanie, to dostaje usprawiedliwiającą nazwę poczucia wolności. To téż najlepszém ucieleśnieniem jedności państwowéj dla Słowianina, a więc i dla Polaka, jest monarchia absolutna. Pomimo wszystkich fajerwerków spalonych na cześć rewolucyi francuskiéj i jéj frazesów o równości i wolności, nigdy nie był Polak rzeczywiście demokratą a nawet republikaninem. Wczasach największego rozpasania tak zwanéj republikańskiéj wolności, w czasach najpłomienistszego uwielbienia dla konwentu wielkiéj rewolucyi francuskiéj, nie przyszło Polakowi na myśl usunięcie króla, chociaż ten był tylko cieniem władcy; owszem okazał mu on takie uszanowanie, jakiegoby w ściśle monarchicznych państwach w obec *podobnych* panujących może nie okazano. Podczas kiedy uwielbiano bohatérów Girondy, miano najgłębszą cześć dla króla Fryderyka Wilhelma II, i przez krótką chwilę dobrego z nim porozumienia nie wątpiono o jego zapewnieniu, że chce być najuczciwszym człowiekiem w swojém państwie. Jeszcze w r. 1793, kiedy idee francuskie pozornie zdemokratyzowały w sposób najniebezpieczniejszy umysły Polaków, wołał poseł Kimbar na sejmie grodzieńskim do króla: „Pokaż teraz światu, że Bóg sam królem cię naznaczył.“ I to boskie pochodzenie królewskości zawsze przy elekcyi było przytomne umysłom Polaków, chociaż równocześnie wolność swoję nadewszystko wynosili. Przy całém zamieszaniu, przy najburzliwszych walkach stronnictw, w obec osoby królewskiéj, nigdy się nie znalazł Jacob Clément, ani Catilina, ani Brutus. Przywiązanie do dynastyi spostrzegamy

zawsze u Polaków czy to będą Piastowie, czy Jagiellonowie, czy nawet i Sasi.

Nie *z powodu* republikańskiego, ale *pomimo* monarchicznego charakteru narodowego wytworzyła się w Polsce rzeczpospolita, nosząca naturalnie na sobie piętno tego tworzenia się. Czasy świetności Polski łączą się z imionami silnych władców. Potężni samowładcy, nawet despoci, większy mir u Sławian znajdują, niż słabe chuchraki. Dzieje Rzeczypospolitéj wykazują tak zatrważający brak zdolności politycznych, jaki chyba u najdzikszych napotyka się ludów. Polak nie umié ani tworzyć ustaw, ani ich szanować i zachowywać, ani rozwijać prawa, ani go sobie przyswajać, ani organizować, ani udoskonalać i spożytkowywać tego, co już zorganizowano; łudzi sam siebie pod względem zdolności swoich i zamiarów; nie posiada najmniejszéj przenikliwości co do stosunków politycznych w państwach sąsiednich, uważa siebie za urodzonego dyplomatę, którego zewnętrzność umié sobie przyswoić; sądzi zawsze, że zwodzi, a tymczasem bywa ciągle zwodzonym; widzi jedynie szczegóły, osobistości a nie pojmuje wcale ogółu, sprawy publicznéj. Ledwieby dał się w dziejach odnaleść taki długi szereg omyłek politycznych, jakich się dopuściło owe zgromadzenie przemądrych dyplomatów i wymownych polityków na sejmie czteroletnim. Ledwie odszukaćby można jakąś władzę prawodawczą, któraby tak była zaślepioną względem istotnych potrzeb kraju, jak sejmy polskie. Ledwie pomyśléć sobie można rząd, któryby tak był napiętnowany cechą nieudolności jak rząd szlachty. Polacy posiadali dar intuicyjnego odgadywania błędów swoich i umieli na chwilę, przy sposobności, wyrazić je bardzo dobitnie; stąd też charakterystycznie i prawdziwie powiedzieli, że „Polska nierządem stoi.“ Przekonanie to atoli nie mogło im nadać przymiotów, któreby do zaprowadzenia „rządu“ doprowadzić mogły (1).

Korzystając ze spostrzeżenia Kraszewskiego, że Franciszek Ksawery Branicki przedstawia charakter a raczéj temperament czysto-polski (*Polska*, II, 42), odmalował go von der Brüggen w całéj jego etycznéj potworności i zawnioskował, że takim był ogół szlachty, a nawet ogół narodu. Z puharem w ręku, powiada, mógł taki mąż jak on zdobyć sobie urzędy, bogactwa, koronę. Szło tylko o pociągnięcie za sobą szlachty. Branicki był wiarołomny, zdradliwy, nieokrzesany, gwałtowny, rozpustny; okradał kasę wojskową, rabował prywatne i publiczne pieniądze, zawsze dbał wyłącznie o ko-

(1) Streszczone tu poglądy znajdują się na str. 29—40.

rzyść własną: a jednak nigdy mu przyjaciół nie zabrakło, on sam uchodził powszechnie za człowieka, któremu o nic w świecie nie chodziło tyle, ile o cześć, o „*honor*“ (str. 182). Istotnie—ciągnie daléj von der Brüggen—potęga świetnéj zewnętrznie osobistości dziś jeszcze uniemożliwia Polakom zdrowy sąd o jéj istotném znaczeniu. Dosyć się przyjrzéć dokładnie, ażeby dostrzedz, że najniegodziwsi szalbierze posiadają w ich towarzystwie wysokie poważanie; jeżeli zewnętrzny *polor* i *honor* tak utrzymywać umieją, jak je utrzymywał Branicki. Etyka narodowa stoi tu na tak niskim stopniu, jak może nigdzie indziéj. Panowie z brzmiącemi nazwiskami, którzy codziennie najbiedniejszego żyda oszukują, obdzierają, którzy powszechnie są znani z zupełnéj bezczelności, z jaką traktują zarówno osobiste jak rzeczowe, zarówno prywatne jak publiczne stosunki, panują bezwarunkowo nad opinią publiczną, jeżeli mają dosyć odwagi, ażeby każdy jawny zarzut pomścić osobiście, skradziony majątek przemarnować ostentacyjnie i wynieść się zuchwale ponad wszelkie wymagania moralne (183).

Zmysł porządku i czystości; zamiłowanie prawdziwéj wygody w pożyciu domowém: są to rzeczy Polakom mało znane. Tylko dla pokazania się światu przybiérają siebie i swoje otoczenie w szaty świąteczne; ale nawet wśród najwspanialszéj i najwykwintniejszéj zabawy daje się czuć pierwotna surowość i dziczyzna narodowa. *Polor* był najprzedniejszą, jeżeli nie najwyższą cnotą Polaków (122); ale i w tym polorze, tj. w ogładzie towarzyskiéj, znać było brak godności osobistéj, albo też pychę zamaskowaną. Złe pożywienie, złe gospodarstwo, nieochędóstwo, nieporządek, ignorancya, oto główniejsze cechy szlacheckiego tłumu (130).

Tak się przedstawia charakter nasz baronowi von der Brüggen. Zarzuty, które nam porobił, nie są oczywiście nowością; zarówno cudzoziemcy, jak i krajowcy (Partya reformatorska XVIII stulecia Ropelewski, Rzewuski, Stańczycy itp.) nieraz je uwydatniali; ale po większéj części w formie aforystycznéj, *a' propos* jakiegoś faktu, nie zaś systematycznie w charakterystyce ogólnéj narodu. Baron von der Brüggen kréśli swoje rysy rozważnie, z namysłem i z wszystkiemi pozorami bezstronności; postępuje jednakże niezupełnie naukowo.

W charakterystyce swéj uważa on Polaków za rasę zupełnie jednolitą, zapominając, że naród polski składał się z rozmaitych szczepów, nieraz bardzo wybitnie od siebie się różniących. Chcąc dać prawdziwie naukowe a więc bezstronne pojęcie o temperamencie i charakterze narodowym, potrzeba było właśnie rozmaite te szczepy rozważyć najprzód osobno, a późniéj dopiéro wykazać ich ścieranie się w pochodzie dziejowym. Baron v. d. Brüggen zaś za-

poznawszy się głównie z małą cząstką dziejów polskich, bo z połową tylko wieku XVIII-go, ówczesne wydatniejsze typy i stosunki bierze za przedstawicieli narodowego charakteru bez względu na to, że te typy i stosunki już to w Wielko już w Małopolsce, już to na Litwie, już też na Rusi powstały i wyrobiły się. Tym sposobem popełnił błąd zasadniczy, który go może mimowoli popchnął w stronę niesprawiedliwości względem naszego narodu. Po szczególe niepodobna mi tu zastanawiać się nad pojedyńczemi rysami charakteru Polaków; muszę się więc ograniczyć na ogólnéj wzmiance, że przewaga zmysłowości i nadmierna wrażliwość na pojawy zewnętrzne, tudzież wypływająca stąd bierność (brak inicyatywy) i niedostatek głębszego zmysłu politycznego dają się istotnie odnaleść w naturze Polaków, tak że już Szymon Marycki w połowie XVI stulecia powiedział: „hac una re inferiores sumus aliis nationibus, quod majorem curam in corpore curando, quam animo exercendo collocamus“ (De Scholis, C. I sub fui). Ponieważ jednak przewagę zmysłowości spostrzegamy u wszystkich narodów, szłoby więc o oznaczenie dokładne stosunku téj przewagi u Polaków, do innych narodów, czego v. d. Brüggen nie dokonał. Co się tyczy braku poczucia moralnego, to nazbyt wielką jest przesadą utożsamienia takiéj epoki, w jakiéj żył Branicki, z całością rozwoju dziejowego; bo gdyby moralność publiczna zawsze w Polsce na takim stała stopniu, jak w wieku XVIII, to prawdopodobnie rozkład jéj wewnętrzny dalekoby wcześniéj nastąpił. Jeżeli tedy przytępienie poczucia moralnego tłómaczy nam wiele objawów z czasów ostatnich rozstroju, to brak jego, jak to v. d. Brüggen przypuszcza, nie wyjaśniłby nam epoki potęgi i świetności.

W rozdziale II von der Brüggen przedstawia ogólny pogląd na *kraj*, *ludność* i *położenie chłopów*. Zarysowawszy w kilku dosadnych zdaniach spustoszenia kraju za Sasów, kreśli następnie podług pamiętników smutny widok, jaki okazywała Polska w drugiéj połowie XVIII stulecia. Uderza go przedewszystkiém straszna dzikość, polegająca przeważnie na jaskrawym kontraście bogactwa i nędzy, przerafinowanéj kultury i zwierzęcego upodlenia, błyskotliwych idei nowoczesnéj mądrości państwowéj i wstrętnéj zgnilizny w życiu publiczném. Mówi następnie o lasach zalegających Polskę i o żyzności Rusi Czerwonéj, Wołynia, Podola, Ukrainy i, słowami znanego podróżnika Coze'a, maluje niekorzystne wrażenia, jakich się doznawało, jadąc do Warszawy. Wiadomo, że według Coze'a Polska była najuboższym krajem w Europie, a chłop najuboższym mieszkańcem tego kraju. Wystawiając położenie chłopa w Polsce, Brüggen powołuje się na dzieła Grevenitz'a (Der Bauer in Polen), Les Paradoxes.

L'horoscope politique de la Pologne i Kraszewskiego, z którego najwięcéj korzysta. Opierając się na zdaniu tych dzieł i autorów, wypowiada przekonanie, że chociaż stan wieśniaków nigdzie nie był do pozazdroszczenia, w Polsce jednakże doszedł do najwyższego stopnia cielesnéj i duchowéj nędzy.

W rozdziale III jest obraz mieszczaństwa, przyczém naturalnie dostaje się pochwała Niemcom a srogie wyrzuty żydom. Powtarza tu znowu z dzieła Kraszewskiego szczegóły, podając tylko z tajnego archiwum pruskiego następne interesujące cyfry. Odnoszą się one do roku 1784, bardzo szczęśliwego pod względem popytu na zboże. Do portu gdańskiego przybyło w tym roku okrętów 839, a mianowicie z Anglii 272, z Danii 166, ze Szwecyi 149, z Holandyi 113 (reszty nie podaje autor). Z tych okrętów przybyło z balastem 534, ze spiżem 103, ze śledziami 71, z solą 28. Wypłynęło zaś z Gdańska okrętów 831, a mianowicie ze zbożem do Anglii 520, do Danii 125, do Szwecyi 119, do Hollandyi 47;—z drzewem wypłynęło 205, ze spiżem 40, z popiołem 35. Wwóz ogólny zboża z prowincyj do Gdańska wynosił w owym roku: pszenicy łasztów 15.112, żyta 21.071, jęczmienia—4.049, owsa—1.049. Zboże to w bezwarunkowéj większości przyszło Wisłą na 1.308 polskich statkach. Ceny w tym roku z powodu wielkiego popytu były cokolwiek wyższe od zwyczajnych. I tak za łaszt pszenicy płacono 400 do 460 florenów gdańskich, za łaszt żyta—205 do 220 fl., za jęczmień—200 fl., za groch—280 do 300 fl., za owies—140 do 150 fl. Przytém kurs wekslu na Londyn z terminem dwumiesięcznym wynosił 25 $^{1}/_{8}$ florenów za funt sterling. Głównemi artykułami wywozowemi było zboże i potaż. Potaż szedł po większéj części do Anglii i Francyi.

Jeżeli zważymy, że liczba okrętów przypływających z balastem była bardzo wielka i od lat kilku wzrastała, to przekonamy się, że handel towarami przewozowemi podupadał. Zjawisko to tłómaczy się częścią zakwitnięciem portu elbląskiego, częścią tém, że w roku 1784 dawał się uczuć wzrost Warszawy pod względem przemysłu i handlu, w końcu tém, że uznano naówczas w kraju potrzebę ograniczania swych potrzeb, co zresztą trwało niedługo...

W rozdziale IV zastanawia się autor nad *finansami*, *wojskiem*, *sprawiedliwością* i *kościołem*. Tu przedewszystkiém oblicza ogólną wartość rocznéj produkcyi według *Büsching*'a na sumę 552 miliony marek (1). Jeżeli liczbę mieszkańców ustanowimy na 8 milionów,

(1) Suma ta jest zgodna z podaną w „Pamiętniku historyczno-politycznym na r. 1783 a przytoczoną przez p. Korzona „Ateneum," 1877, IV, 652.

to przeciętny dochód roczny będzie wynosił tylko 69 marek (138 złp.) na głowę; co już nędzę kraju uwydatnić może. Przytém majątek narodowy podupadał z roku na rok, tak że w 1779 kraj posiadał tylko piątą część téj gotówki, jaka miała być w r. 1764. Inne szczegóły o dochodach państwowych i o wojsku są ogólnikowe i dobrze znane. Opis stosunków prawnych, które chwali w ogóle, nie przemilczawszy o przedajności sędziów, jest bardzo pobieżny i również nic nowego nam nie daje.

W rozdziale natomiast piątym, w którym rzecz jest o duchowieństwie, zakonach i szkołach, spotykamy prócz obrazków z Kitowicza i Kraszewskiego wyjętych, dziwne twierdzenie, jakoby Polska była jedynym krajem zachodnio-rzymskiéj kultury, który wcale nie zaznał owego odrodzenia nauk, jakie w XIV stuleciu we Włoszech się rozpoczęło a następnie w innych krajach Europy zachodniéj się rozszerzyło. A chcąc nadać jakąś szczególną wagę temu lekkomyślnemu twierdzeniu, von der Brüggen zapewnia, że gdyby w dziejach Polski nie było zresztą nic innego godnego uwagi, to ta jedna okoliczność zasługiwałaby na gorliwe i szczegółowe wystudyowanie. Von der Brüggen utrzymuje, że Polska ugrzęzła w scholastyce, nie zaznała renesansu i tym sposobem odcięła się od pnia oświaty dzisiejszéj. Autor widocznie, zapatrzywszy się tylko na wiek XVII i pierwszą połowę XVIII, przeoczył zupełnie stulecie XV i XVI, kiedy do Akademii krakowskiéj zbiegały się tłumy młodzieży zagranicznéj; kiedy słynął Grzegorz z Sanoka, Marycki, Iłowski, Janicki, Kochanowski, Nidecki, Sarbiewski, kiedyśmy przyswajali sobie najnowsze utwory odrodzenia (Ariosta, Tassa); kiedy studyum języków i starożytności klasycznych daleko wcześniéj niż w Niemczech u nas się rozpostarło, kiedy słońce nowożytnéj oświaty—Kopernik—u nas zajaśniało... Prawda, nie dotrzymaliśmy kroku innym europejskim narodom, popadliśmy znowu w scholastykę; ale przecięż mieliśmy swoje dni piękne. Dlatego też nie możemy się zgodzić na zdanie barona von der Brüggen, że Polska w XVIII wieku pod względem myśli i wiedzy pozostała na tym stopniu, jaki reszta zachodu w XV stuleciu zajmowała, że Polak jest wprawdzie bratem europejskich narodów, ale bratem, który wyszedł tylko z „kwarty" wspólnego zakładu wychowawczego, podczas gdy inni bracia całkowity kurs nauk ukończyli (str. 105, 106). My możemy historycznie udowodnić, żeśmy przynajmniéj całe jedno stulecie szli daléj razem z Europą, żeśmy zatém już i w „tercyi" byli; a byliśmy w tercyi wtedy, gdy Niemcy jeszcze podobno z „kwarty" się nie wydostali, boć reformacya religijna, to jeszcze nie rozwój życia politycznego, ani rozkwit sztuk i nauk... Potém... potém zleniwieliśmy istotnie; wyszedłszy z teoryi,

zapomnieliśmy na całe stulecie bardzo wiele pięknych rzeczy, tak że zaprawdę trudno nam dziś podążyć za naszymi braćmi... W rozdziale VI maluje nam autor obraz *Szlachty*, rozpowiada o jéj gospodarstwie, wychowaniu, pożyciu domowém i publicznén, o czepianiu się klamki pańskiéj i tym podobnych szczegółach poczerpniętych z Ochockiego, Karpińskiego, Koźmiana, Fryderyka Schulza i Kraszewskiego. Ocena szlachty jest trafna, jakkolwiek słabe lub złe strony zbyt może jaskrawo uwydatnione. Rozumié się samo przez się, że ją uważa za narzędzie w ręku „czterdziestu czy pięćdziesięciu“ magnatów (129).

Cztery następne rozdziały (VII, VIII, IX, X) poświęcone są pięciu sylwetkom magnatów: Karola Radziwiłła, Antoniego Tyzenhausa, Franciszka Ksawerego Branickiego, Szczęsnego Potockiego i Adama Czartoryskiego. Sylwetki te nie z jednakową narysowane są dokładnością; widoczną nawet jest rzeczą, że tam, gdzie opracowania polskie są szczegółowe, autor nasz jest śmielszy, puszczając się na swobodną, pełną życia charakterystykę; tam natomiast, gdzie one nie dopisują, von der Brüggen sztukuje swoje obrazki opisem akcesoryów, lękając się rysów wyraźnych, dobitnych o samych osobistościach, stanowiących temat obrazka. Stądto Radziwiłł, Tyzenhaus i Branicki dyszą życiem i wielkiém podobieństwem; Szczęsny Potocki zaś a zwłaszcza Adam Czartoryski giną właściwie, przysłonięci swojemi satelitami, opisem dworów, podróży, przyjęć, balów itp. Sylwetki te dla cudzoziemców mogą mieć wielkie znaczenie: dla nas nie przedstawiają powabu nowości ani pod względem charakterystyki osób, ani pod względem ich oceny.

Dwa rozdziały (XI i XIV) przeznaczył autor na zobrazowanie Warszawy i towarzystwa warszawskiego podczas sejmu czteroletniego. Opowiada tedy o hulaszczém i wystawném życiu, o zdwojeniu ludności w stolicy, o intrygach miłosnych, o zabawach dworskich, o zepsuciu obyczajów; a ogólny sens moralny, jaki z tego obrazu wyciąga, jest ten, że gra w karty, przedajność, lekkomyślność, chwiejność, brak charakteru i patrzanie własnéj jedynie korzyści przybrały naówczas rozmiary olbrzymie i zatruły ostatnie resztki społecznego i politycznego sumienia, ostatnie podstawy ekonomicznego i państwowego dobrobytu, ostatnie siły do ciągłéj i zdrowéj pracy, do uczciwego zarobku i spokojnego posiadania. „W chwili upadku rzeczypospolitéj zdawało się, że czyste pojęcie obowiązku, niedbającego o użycie, znikło dla Polaka: nie znał on ani obowiązku, ani sumienia“ (254).

Dotąd przedstawiał baron von der Brüggen same ciemne strony życia polskiego tak pod względem moralnym, jak i politycznym, skre-

śleniu ich większą część książki swojéj poświęcił, tak że zaledwie trzy rozdziały obrócił na zestawienie rysów jaśniejszych, które zresztą dlatego jaśniejszemi się wydają, że stoją obok piekielnie czarnych. W dwu ustępach (XII i XIII) znajdujemy zarys Stanisława Poniatowskiego i młodéj Polski, do któréj autor policzył bez wyboru zarówno poetów i uczonych, rówieśników króla, jak i młodsze pokolenie, co na sejmie czteroletnim ważne zasługi dla kraju położyło. W charakterystyce króla Stanisława, będąc zmuszonym walczyć z tak wybornym szkicem, jaki dał ks. Waleryan Kalinka, baron von der Brüggen starał się zaakcentować lekko przez swego spółzawodnika dotkniętą stronę *artyzmu* królewskiego. Stanisław August był według niego epikurejczykiem delikatnego smaku; co stworzył stawało się przedmiotem jego użycia; nietylko otoczenie swoje upiększał zapośrednictwem sztuki i nauki; ale nawet rozmaite ulepszenia, jakie poczynił w dziedzinie nauczania, w wojsku, przemyśle, rolnictwie, były nie tyle wypływem przedmiotowéj samowiedzy obowiązku państwowego, ile zaspokojeniem zupełnie osobistéj potrzeby. Lubował się po prostu w zakładaniu korpusu kadetu, obserwatoryum, biblioteki, w odnowieniu akademii krakowskiéj i wileńskiéj, w zaprowadzaniu fabryk pod Grodnem; lubował się tak samo, jak w upiększaniu Warszawy, w kształceniu młodych talentów, w pięknym stylu lub w przysmakach swéj kuchni. Nawet w spełnieniu obowiązków państwa można dostrzedz tego rysu estetycznéj uciechy, która się objawiała w zamiłowaniu harmonijnego spokoju. Z tego estetycznego rysu jego natury można wytłómaczyć główną cechę jego politycznéj działalności. Skłonność do zgody, do przejednania była najwyższém jego prawem; gwałtowne przeciwieństwa, zażarta walka, niezgodne były z jego charakterem a nienawiści osobistéj lękał się. Jasny jego rozum oceniał stosunki nieraz daleko lepiéj aniżeli rozum otaczających go polityków; ale działał nieraz wbrew swoim poglądom, ponieważ nigdy nie umiał podmiotowego wrażenia przynieść na ofiarę przedmiotowéj konieczności, ponieważ walczyć nie chciał. W najpraktyczniejszych dniach swego życia, kiedy widział walące się mury swojéj budowy, kiedy się przed nim przepaść otwiérała, która wszystko miała pochłonąć; wówczas nie potrafił inaczéj z posępnym losem się spotkać, jak uciekając się do ideałów piękna, co całe jego życie oświecały. Podpisawszy akta Targowicy, zamknął się w swoim pokoju i rozpamiętywał Plutarcha, którego bohatérów zawsze uwielbiał, ale nigdy nie naśladował... Możnaby tu podziwiać stoicką wielkość, gdybyśmy nie wiedzieli, że mamy przed sobą słabość, do czynu niezdolną.

Sylwetka Stanisława Augusta jest może najlepszym ustępem

z całego dzieła barona von der Brüggen; żałuję, że brak miejsca nie pozwala mi na rozszerzenie jego poglądów. Tak zwana przez autora „młoda Polska“ stosunkowo do szeroko traktowanych „magnatów“ zbyt szczupłe zajęła w jego książce miejsce, ażeby można ją było należycie przedstawić i ocenić. To też przesuwają się tu, jak cienie, takie postaci jak Albertrandi, Naruszewicz, Krasicki, Trembecki, Węgierski i inni; trochę jaśniéj rysują się Ignacy Potocki, Piotoli, Hugo Kołłątaj, Kazimierz Nestor Sapieha, Stanisław Małachowski. Charakterystykę Potockiego, Piotolego i Kołłątaja nakreślił autor prawie wyłącznie słowami Schultza (w dziele: „Reise eines Liefländers“), ujmując się jedynie za podkanclerzym. Z listów Schultza do Beitlera (przechowanych w kurlandzkiém prowincyonalném muzeum) przytacza szczegół, że Kołłątaj przyjął z rąk sprawozdawcy kosztowny pierścień, dany w imieniu „Unii mieszczańskiéj“ dla poparcia jéj użaleń przeciwko szlachcie kurlandzkiéj i że Unia mimo to przegrała sprawę. Broni atoli Kołłątaja od zarzutu hołdowania wyłącznie mamonie tą okolicznością, że po r. 1794 wszechwładny niemal pan położenia mógł był przecięż z pełniejszym workiem wyjechać zagranicę, gdyby złoto było jedyném jego bożyszczem.

Historya pierwszego podziału zajmuje rozdział XV, a jakkolwiek autor powołuje się tu na pamiętniki barona von Heyking, zapewniając, że w nich znajdują się zajmujące opowiadania z czasów konfederacyi barskiéj i późniejszych, w gruncie jednak trzyma się relacyi Kostomarowa i Sołowjewa, tak że ani faktów nowych, ani nowego ich oświetlenia nie mogłem się tu dopatrzéć. Podobnie rzecz się ma i z rozdziałem następnym, w którym baron von der Brüggen opowiada o sejmie czteroletnim. Wiemy już, że w ogóle niekorzystnie o nim sądzi, jakkolwiek konstytucyi 3-go Maja przyznaje niektóre zalety. „W okresie burz ustawowych europejskich zajmuje ona, powiada, nietylko pod względem czasu pierwsze miejsce, ale zasługuje również na uwagę z powodu właściwego jéj ducha. Jakkolwiek niedoskonałą jest względnie do dzisiejszych wymagań, nie można jéj odmówić ani pewnéj oryginalności, ani przeoczyć umiarkowania, jakie zachowuje w obec istniejących stosunków, umiarkowania, które zadziwia wśród powikłanych spraw narodu, z natury namiętnego i politycznie niedojrzałego. Spostrzegamy w niéj łatwo idee nowéj epoki, ducha rewolucyi francuskiéj w jéj umiarkowańszych, lepszych kształtach, lecz duch ten przenikają koniecznie względy na naturę Polaków i jej rozwój dotychczasowy. Z konstytucyi polskiéj przegląda niewątpliwie przenikliwość, dojrzałość, rozwaga i swoboda ducha, które świetnym jaśnieją blaskiem wśród

tłumu politycznéj nieudolności, jakiéj dowody tak często w dziejach i społeczeństwie polskiém odnajdujemy. Zawiéra ona pewne luki, dwuznaczności, staje częstokroć wpół drogi; lecz nie są to braki utworu tego, ale braki stosunków ówczesnych, występujących w nim na jaw i świadczących o przenikliwości tych, co nie chcieli tworzyć *ideału* ustawy, tylko formę rządu zastosowaną do natury ludu, mając na względzie opór sejmujących. Była ona lepszém dziełem niż ustawy francuskie, gdyż była względnie dobrą, niezarażoną tchnieniem nowoczesnego doktrynerstwa, które jest ostentacyjnie poważném sowizdrzalstwem państwowém.

W zakończeniu mówi baron v. d. Brüggen o dziejach naszego już stulecia (podług Edwards'a) a patrząc się na położenie krajów dawnéj Polski nie z sympatyą, co prawda, ale z pewném uczuciem litościwéj niemocy, wypowiada zarazem zdanie, że pojęcie narodowości nie jest pojęciem najwyższém i że musi ustąpić wymaganiom „wyższéj kultury.“ Polacy zaniechali poważnéj pracy narodowéj, stracili grunt moralny wewnętrznego samopoznania, wewnętrznéj twórczości na polu duchowego i materyalnego dobrobytu. Wśród wiekowego ciężkiego doświadczenia nie umieli się jeszcze pozbyć swoich wad głównych, a mówiąc o swoich prawach zewnętrznych, zapomnieli o prawie wewnętrzném, o prawie wyższéj kultury. Dopóki taki stan rzeczy istniéć będzie, dopóty i ich pretensye będą nieuprawnione.

Nie zaprzeczając ani jedném słowem potrzeby pracy we wszystkich dziedzinach, jeżeli jakiś naród pragnie zachować nazwę cywilizowanego; niepodobna zgodzić się na sofistyczną zasadę autora o prawie „wyższéj kultury,“ mającém mieć etyczną przewagę nad pojęciem narodowości. W imię téj „wyższéj kultury“ usprawiedliwiano niewolnictwo, poddaństwo, handel murzynami, tępienie czerwonoskórych i t. p., to jest popełniano czyny dziś wstrętne dla nas pod względem moralnym; w imię wyższéj kultury istnieje obecnie smutny stosunek pracowników do pracodawców; w imię téż wyższéj kultury możnaby powrócić do nadużyć feudalnych. Prawo więc „wyższéj kultury,“ jako takiéj, nie może być ideałem na przyszłość, gdyż ma w sobie ciemne punkta, które już dziś dostrzegamy. Możemy o niém mówić jako o rzeczy obecnie istniejącéj i po części władającéj umysłami; ale niepodobna o niém rozprawiać jako o najwyższéj wskazówce postępowania etycznego. Baron von der Brüggen, przeniknięty potęgę materyalną i umysłową swego kraju, mógł był się obejść bez sofistycznego usprawiedliwiania istniejącego porządku rzeczy, bez palenia mu kadzideł. O etyczném uprawnieniu Prus do Poznańskiego mógł był przynajmniéj przemilczeć.....

Rozstając się z książką barona von der Brüggen, wyznać winniśmy, że pisana jest żywo, zajmująco, a niekiedy obrazowo. Autor umiał się ustrzedz zarówno rozwlekłéj gadaniny jak i suchego zestawiania mdłych frazesów; umiał skupić rozproszone promienie światła dziejowego w pewne ogniska, ażeby przy nich rozpatrzéć osoby i zdarzenia z ubiegłego stulecia. Zapowiedziawszy z góry, że mówić będzie o patologii narodu polskiego, stanął wprawdzie na stanowisku jednostronném, przesłonił sobie widok niezamącony na jego fizyologią, ale w zakresie swoich badań patologicznych wiele okazał trzeźwości i głębszego na rzeczy poglądu. Ośmieliłbym się tylko zauważyć w imię „wyższéj kultury,“ że baron v. d. Brüggen mógłby był łatwo uniknąć kilku grubych omyłek takich np. jak ta, że biskup krakowski był zarazem *rektorem* (zam. kanclerzem) akademii jagiellońskiéj (str. 98) lub że komisya edukacyjna ustanowiona została r. 1768 (str. 97); dwu omyłek z dziedziny historyi oświaty, o któréj tyle niebacznych wypowiedział twierdzeń.... Jakkolwiek autor zna język polski, łatwo mu jednak o nieporozumienie, jak tego dowodzi przekład napisu poematu Koźmiana „Ziemiaństwo,“ który v. d. Brüggen, nie wiedząc należycie o jego treści, nazwał „szlachtą wiejską“ (Landadel! str. 211). Sądziłbym także, że można się było obejść bez téj lekkiéj fanfaronady, jaką okazał baron v. d. B. cytując broszury polskie z końca XVIII wieku: „Myśli patrzącego przez okno na ulicę,“ „Polak w czui“ i „Dzwon staropolskiéj fabryki;“ gdy widoczną jest rzeczą, że ich sam nie czytał, wszystkie bowiem jego cytaty z tych broszur znajdują się w dziele Kraszewskiego (np. v. d. Brüggen str. 65, u Krasz. III, 62; v. de Br. str. 83, u Kr. III, 55; v. d. Br. str. 90, u Kr. III, 46). Zdaje się, że tak samo postąpił sobie z niektóremi innemi źródłami, np. z dziełem Francuza *Mehée*, z *Paradoksami* z *Horoskopem*; nie twierdzę jednak tego stanowczo, gdyż nie mając pod ręką wszystkich tomów dzieła Kraszewskiego, niektóre tylko cytaty Brüggen'a z pism wymienionych w niém odnalazłem. W każdym razie i to, co odszukałem, świadczy wymownie, że baron von der Brüggen zawdzięcza Kraszewskiemu więcéj, niż się otwarcie przyznaje....

*Piotr Chmielowski.*

---

Od autora rozprawy p. t. *„Kwestya domu zarobkowego w Warszawie tudzież zaradzenia ubóstwu w kraju"*—słówko objaśnienia na recenzyą téj pracy, zamieszczoną w zeszycie Styczniowym *Ateneum* z r. b. (str. 161—163). (1)

Winienem przedewszystkiém dzięki za zaszczytnie przychylną w głównéj rzeczy ocenę méj pracy. Obok tego jednak, nie mogąc lekceważyć wyrzeczeniami i pełnemi dobréj woli wymaganiami tak poważnego jak „Ateneum" organu naszego piśmiennictwa, w tyle żywotnéj sprawie społecznéj, czuję się w obowiązku dać objaśnienie na niektóre dość ważne zarzuty i wątpliwości recenzyą objęte.

Szanowny recenzent wytyka raz zbytek argumentów teoretycznych, czyli przytoczeń z różnych autorów, i znów zbytek wdawania się w szczegóły samego wykonania rzeczy, czyli organizacyi przyszłéj instytucyi zarobkowéj Staszica. Tłómaczę się, że z pomiędzy licznych rozmaitych zdań w dziennikarstwie o zapisie Staszica byli przeciwnicy tego zapisu, którzy, nie znając dokładnie przedmiotu, książkowo tylko ogólnikami walczyli, a znów inni, dla zrozumienia praktyczności, żądali projektu szczegółowego do zamierzonego z owego zapisu domu, czyli sal zarobkowych dla ludności ubogiéj; trzeba więc było dać historyą przedmiotu i odpowiednio tak jednym jak drugim w miarę możności zadośćuczynić. O to też starałem się, broniąc na obu polach legalności i wykonalności zapisu wielkiego dobroczyńcy ludzkości. Wyłuszczyłem projekt dawniejszy przez b. Radę Główną Opiekuńczą Z. D. w królestwie uchwalony i obecnie dodatkowo z méj strony rozwinięty. Relacya przeszłości i projekt przyszłości dla czytelników i nawet dla władzy, która sprawę pod dyskusyą publiczną oddała, mniemałem, że nie powinna być w czémśkolwiek nieprzydatną.

Daléj dziwi się Szan. recenzent, dlaczego wdałem się w cyfry statystyczne ubogich i to w cyfry dowolne „bez żadnego znaczenia," kiedy potrzebneby tu były wiadomości nie o żebrakach i włóczęgach, ale o liczbie ludzi zdolnych do pracy, im brakującéj, zebraniém których to cyfr mógłby zająć się jedynie Zarząd miasta, przystępując już do urzeczywistnienia zapisu. Na to odpowiadam:

Cyfry, jak we wszystkiém najwymówniejsze, tak i tu były tém potrzebniejsze, że niektórzy zapamiętale twierdzili (czego już teraz nie twierdzą), że jakoby u nas nie ma braku pracy, lecz raczéj tylko

---

(1) Na żądanie szanownego autora zamieszczamy nadesłane nam przezeń uwagi nad krytyką, w zesz. styczniowym „Ateneum" zamieszczoną, dodając od siebie, iż uwagi te zdania naszego o dziele samém nie zmieniły. (P. R.)

brak rąk do pracy. A że wiadomo, iż wszelka u nas statystyka jest uboga, a wszczególności statystyka ubóstwa jest prawie żadną, należało więc dla rozjaśnienia zdań i ułatwienia każdemu pojęcia zwiększającéj się biedy i stopnia potrzeby urzeczywistnienia zapisu Staszica, jako jednego ze środków zaradzenia nędzy, wynaléść cyfry przynajmniéj zbliżone, co téż dopełnić starałem się bez pretensyi do nieomylności, a mianowicie co do cyfr porównawczych ogółu ubogich z obudwu epok, Staszicowskiéj i teraźniejszéj: biorąc (z czasów ostatnich, rok 1869, z którego mamy urzędowe ad hoc przydatne cyfry) kombinacyą cyfr ubogich z jałmużny i w szpitalach utrzymujących się, z cyfrą ubogich wszelkich kategoryj w różnych instytucyach dobroczynnych publicznych i prywatnych rozmaitéj pomocy doznających a w sprawozdaniach urzędowych wzmiankowanych, i przeciętnie to wszystko z pewnemi uwzględnieniami zestawiając. Cyfra zatém moja ubogich w Warszawie (około 20.000 czyli $^1/_{15}$ ogółu ludności) stosunkowo daleko większa niż dawniéj, nie wyszła z imaginacyi, lecz z przybliżonego rachunku, szczegółowo wyrażonego na str. 56—59, dawniejszéj méj pracy w r. 1875 drukowanéj p. t. „Myśl Stanisława Staszica“ itd., jako téż w skróceniu na str. 19—21 rozprawy z r. 1877. Zarazem tamże przytoczyłem, że z liczby ubogich w r. 1869 przez policyą m. Warszawy jako jéj znanych podanych (3.326), było ubogich niemających pracy 1.029 (rzemieślników, sług i przeważnie wyrobników i innych robotników), a to nie licząc żebraków (214). Głównie więc cyfra dotyczyła nie żebraków i włóczęgów, ale właśnie ubogich bez pracy, do rzeczy potrzebna. Dopóki zarząd miasta, lub kto inny, nie wynajdzie i nie poda cyfr lepszych, rzeczywistych, piszący poprzestać musi na takich, jakie we własném z niektórych urzędowych danych przybliżoném wyrachowaniu mieć może. W chwili przystąpienia zresztą do wykonania zapisu, które od tak dawna jest oczekiwane, ma się rozumiéć, nowe cyfry statystyczne urzędowe tém bardziéj potrzebne, żądane i niewątpliwie zebrane będą.

W zakończeniu recenzyi i mianowicie co do ogólnego rozdziału méj rozprawy „O środkach zaradzenia żebractwu i ubóstwu w kraju,“ jest mowa prawie wyłącznie o żebrakach, chociaż u mnie traktuje się wielostronnie rzecz o ogóle ubogich wszelkich kategoryj (str. 56 i dalsze).

Trafnie wywnioskował Szan. recenzent, że zwiększanie się liczby żebractwa pochodzi głównie z niewykonywania licznych co do nich oddawna przepisów. Ale mniéj trafnie, zdaniem mojem, wyraził się, że „przepisy są zbyt ogólnikowo zredagowane i dlatego do wykonania trudne.“ Owszem, że przepisy są wyraźne, dość przeczy-

tać w tekstach te artykuły różnych postanowień i osnowę całą rozporządzeń, które w méj rozprawie powołałem. Nie przeczę, że udoskonalone być mogą, ale idzie głównie o wykonywanie.

Powiada nareszcie Szan. recenzent, że jedynym środkiem dla zaradzenia żebractwu „byłoby pożądane ściśle określenie prawne, na kim leży obowiązek opatrzenia biednych" (Czy w gminie czy w parafii?) „Jeżeliby zaś (zamiast wyprawiania nędzarzy z gminy) gmina była obowiązana opatrywać biednych, toby znalazł się praktyczny sposób przeciwko nadmiernemu szerzeniu się ubóstwa."

Że są ściśle określone przepisy prawa co do obowiązku opatrywania ubogich, że gmina (niezależnie od parafii o ile gdzie są domy parafialne schronienia) jest wyraźnie obowiązaną opatrywać swych biednych, tak było w r. 1817 i dawniéj, że tak jest tém bardziéj w teraźniejszéj epoce samorządu gmin, raczy się o tém przekonać Szan. recenzent z uważnego odczytania méj rozprawy str. 56. 58. 59, 60 i nast., gdzie także mowa o dalszych pożądanych ulepszeniach w tak ważnéj, ciężkiéj i nigdy niewyczerpanéj kwestyi zaradzenia ubóstwu.

Co do środków ulgi losu nieszczęśliwych od samego urodzenia istot i mianowicie dzieci opuszczonych, oraz co do drugiego znakomitego na ten cel w takiéjże jak na dom zarobkowy dla ubogich dorosłych ilości (zł. 200.000) zapisu Staszica, odwołuję się do jednocześnie w r. 1877 wydanéj przezemnie oddzielnéj broszury p. t. „O polepszeniu losu podrzutków przy Szpitalu Dzieciątka Jezus."

*J. Wojewódzki.*

---

Ś. P.

# ALEXANDER HR. WIELOPOLSKI.

W przedostatnim dniu skończonego 1877 roku zmarł w Dreźnie Alexander hr. Wielopolski, margrabia myszkowski, były naczelnik rządu cywilnego w Królestwie Polskiém. Wszystkie pisma krajowe uczciły pamięć męża, który z niepospolitą energią i odwagą podjął się był dzieła trudnego, ale zapewniającego wedle jego przekonania szczęśliwszą przyszłość krajowi, a chociaż nie udało mu się nadać trwałego życia swym planom i dziełu, wszyscy uznać dziś muszą, że szczerze pragnął służyć swemu społeczeństwu. Łącząc głos nasz z głosem całéj prasy, powtarzamy tu dosłownie wspomnienie pośmiertne, poświęcone margrabiemu w jedném z najpopularniejszych pism naszych, w „Gazecie Warszawskiéj.“

„Przez kilkunastomiesięczny udział naczelny w życiu politycznêm naszego kraju, ś. p. margrabia zajął stanowisko dziejowego człowieka. Żywot więc jego i czyny, o ile zwłaszcza zaliczają się do tego stosunkowo krótkiego, a tak ważnego peryodu, ważnego zarówno ze względu na kraj jak i dla zmarłego, należą do historyi. W krótkiéj wzmiance o śmierci tego znakomitego męża nie możemy wkraczać w dziedzinę dziejów. Pragnęlibyśmy wprawdzie zrobić to późniéj, i chociaż pobieżnie, chociażby tylko na podstawie tego co sami wiemy lub czego byliśmy świadkami, wypowiedziéć tytuły, jakie ś. p. margrabia posiada do zajmowania owéj karty w naszéj historyi, która to karta zdaniem naszém należy mu się, a którą mu potomność przyzna. Czy będziemy mogli zadość temu życzeniu naszemu uczynić? Nie wiemy, chociaż starać się będziemy. Dla ś. p. margrabie-

go działalność historyi już się od lat czternastu zaczęła, a każdy rok mijający wybitniéj uwydatniał i głębokość myśli jego i jego zamiarów praktyczność i nieposzlakowane do kraju przywiązanie. Nieprzyjaciół i niechętnych miał on mnóstwo; na te ich szeregi składały się strony najprzeciwniejsze i najbardziéj sobie wrogie. To zwykła dola ludzi wielkiego umysłu, wielkiego ducha, wielkiego talentu... nie śmiemy iść daléj.... Aby o mężach dziejowych wolno było użyć wyrazu „geniusz,“ trzeba przy nim postawić wyraz „powodzenie.“ Tego powodzenia margrabiemu brakło. Paraliżowany w swéj działalności z dwóch stron wrogich między sobą, ale kojarzących się mimowolnie w działaniach przeciw niemu, jedna z wiedzą swego celu, druga w zaślepieniu namiętności,—runął on wirem wypadków powalony. Szkalowań wszelakich i oszczerstw z tych dwóch stron sypały się na niego grady. Milczał, zostawiając odpowiedź historyi. Milczał w części przez dumę, bo dumny był bardzo, dumny jak mało dziś się spotkać daje, dumny tą dumą rzeczywistą, która szanować się każe, opartą będąc na wierze w siebie, w swe zamiary, w swą siłę. Milczał w części przez wiarę w owo dziejowe światło, które prędzéj czy późniéj oczyszcza i wynosi lub druzgocze i potępia, wedle czynów, wedle sprawiedliwości rzeczywistéj. Nim jeszcze historya przemówiła, u narodu jego za Wielopolskim przemówiło.... doświadczenie, ta ciężka szkoła przez ciernistę ścieżki do dojrzałości prowadząca. O ile wiemy, nie cieszyło go to wczesne narodu ku niemu nawrócenie, bo okupione było zbyt ciężko przez tych, których kochał, kochał prawdziwie, ale nie sentymentalną, jeno krzepką, mężką miłością. Był on bowiem wrogiem nieprzebłaganym wszelkiéj czułostkowości, uważał ją za zgubę naszą, ale doskonale rozumiał i cenił poświęcenie prawdziwe.

Trudno nam w téj chwili wyrażać się jaśniéj, ale przekonani jesteśmy, że *właśnie w téj chwili* ocenienie sumienne, spokojne, ale gruntowne działań i celów margrabiego, byłoby nader pożyteczne, przydałoby się *wszystkim*. Byłaby to dobroczynna pozagrobowa spuścizna po tym mężu stanu, równie głębokim w ocenianiu rzeczy bieżącéj, jak daleko sięgającym w poglądzie. Nie idziemy daléj, nie chcemy, nie możemy; chodziło nam tylko o kilka wyrazów wspomnienia, które uzupełnimy z czasem, jeżeli się da, jeżeli będą mogły być uzupełnione tak, jak być powinny. Gdy my nie zdołamy, znajdą się inni. Nie płaczemy nad tym grobem, oddajemy mu tylko cześć. Ś. p. Wielopolski umarł, syt lat (urodzony 1803 r.), może syt już życia. Cierpienie moralne z lat ostatnich złamało podobno tę żelazną naturę, żelaznego margrabiego, jak go kiedyś tutaj nazywaliśmy.

Umierając zresztą mógł on zawołać: *Non omnis moriar*. Zaiste nie umarł, żyć będzie w historyi.“

Dodać tu od siebie możemy, że ocenienie działań i celów margrabiego byłoby rzeczywiście jedną z największych przysług, jaką publicysta mógłby wyświadczyć społeczeństwu. Zbyt mało obchodziły nas dotąd charakter, usposobienia, przekonania ludzi, którzy zajmowali naczelne w narodzie stanowiska, samo ich działanie, pobudki które nimi powodowały, przyczyny chwilowych powodzeń i prędkiego zowodu, uchodziły dotąd baczności naszéj, albo tłómaczyły się rzadko fizycznemi formułami. Wszak dotąd ani Hugo Kołłątaj, ani X. Ad. Czartoryski, nie mówiąc już o wielu innych, nie są dokładnie znani narodowi, z którego wyrośli i któremu służyli. Najpraktyczniejszy w Europie naród Angielski, oddawna już ma we zwyczaju, zaraz po zgonie ludzi, którzy zajmowali wybitniejsze stanowisko, zbiérać wszelkie po nich pozostałe pamiątki, korespondencye, urywki pamiętników, notatki nawet; układają się z tego bijografie tłómaczące zarówno psychiczne pobudki, które ludźmi tymi kierowały, jak i wpływ okoliczności zewnętrznych na nich oddziaływających; z takich biografij czerpać można naukę, którąbyśmy nazwać mogli nauką życia, mogącą silnie wpływać na jaśniejsze wśród narodu pojmowanie historycznych faktów, ich znaczenia i doniosłości, i pozwalającą wyciągać korzyść prawdziwą z historyi, która jeżeli nie zawsze może nas nauczyć jak stawać się mamy lepszymi, zawsze jednak wskazywać powinna jak być możemy mędrszymi.

---

# KRONIKA NAUKOWA.

## Kilka nowych wiadomości o telefonie.

Graham Bell w opisie swego telefonu, odczytanym na posiedzeniu członków Związku inżynierów telegraficznych w Londynie, wspomniał o kilku osobliwościach, które zapewne będą punktem wyjścia do nowych udoskonaleń. Oto niektóre z nich.

Zdaje się, iż zupełne izolowanie przewodników telefonowych nie jest koniecznem. Bell przepuszczał tony przez linią szyn kolejowych, które przecież z ziemią się stykają. Jak to wytłómaczyć? Wynalazca przyznaje się, że nie wié. Co dziwniejsza, choć głos telefonowy przezwycięża takie niedokładności przewodnika, jednakże mąci go i zagłusza depesza telegraficzna, biegnąca po drucie o czterdzieści stóp od szyn oddalonym!

Inny przykład nadzwyczajnéj czułości telefonu zauważył prof. Channing w Providence, Rhode Island. Gdy porozumiewał się ze swoim asystentem za pomocą telefonu przez milowy drut, łączący jego mieszkanie z uniwersytetem, usłyszał śpiew, który też jednocześnie wpadał do ucha asystenta. Po śpiewie, nastąpiła gra na fortepianie. Tony przechodziły przez telefon tak wyraźnie, że Channing spisał sobie regestr słyszanych utworów muzycznych. Nazajutrz ogłosił we wszystkich gazetach miasta, prosząc o zawiadomienie, w którym domu grano takie a takie utwory, aby mógł bliżéj zbadać przyczynę wpadania ich w telefon. Jaki był skutek tych poszukiwań, nie wiemy, gdyż list o tém zjawisku wysłał Channing do Bella wprzód, aniżeli otrzymał żądaną wiadomość.

Ciekawe są także szczegóły dotyczące błony drgającéj. Z początku sądzono, że można używać tylko bardzo cienkich blaszek żelaznych—ale Bell przesyłał z równą łatwością tony, używając blachy kotłowéj mającéj $^{5}/_{8}$ cala grubości i 12 cali średnicy. Z tego zadziwiającego zjawiska Bell wnosi, iż blaszka nie drga całą masą i że ruch w niéj wzbudzony jest molekularnym. Okoliczność ta otwiéra szerokie pole uwagom, nietylko dotyczącym telefonu, ale i natury dźwięku.

Modyfikacyą telefonu Bella, złożonego z magnesu stałego, stanowi telefon z kawałkiem miękkiego żelaza, który się umieszcza w płaszczyznie południka magnetycznego, pod odpowiednim kątem. Magnetyzm ziemski magnetyzuje wtedy miękkie żelazo i tym sposobem telefon jest gotowy. Zdaje się, że jest to piérwsze zastosowanie magnetyzmu ziemskiego. Jestto jednak więcéj ciekawą zabawką naukową aniżeli przyrządem praktycznym, bo użycie magnesu stałego jest prostsze i łatwiejsze.

Wielce ważną będzie, jeśli się sprawdzi, obserwacya dotycząca zorzy północnéj. Bell wspomniał w swoim odczycie, iż podczas tego zjawiska dały się słyszéć szczególne tony w telefonie, przyczepionym do drutu telegraficznego.

Zasługuje téż na uwagę przykład złudzenia wyobraźni, jakiego doświadczył Bell ze swoim asystentem. Wykonawszy pierwszy swój niedokładny instrument, gdy sądził że będzie już dokładnie głos przenosił, zapytał się za pomocą niego swego asystenta: „czy pan słyszysz?“

Odpowiedź, którą Bell usłyszał, brzmiała: „doskonale.“ Lecz potém, gdy porównano zanotowane z obu stron pytania i odpowiedni, przekonano się, że żaden z nich nie słyszał tego, co na przeciwnéj stacyi mówiono; czyli innemi słowy, że każdy z nich słyszał to, co spodziéwał się usłyszéć, nie zaś to, co powiedziano.

Na pytanie, jak daleko mogą być przenoszone dźwięki przez telefon, Bell odpowiada co następuje. Ściśle jeszcze nie oznaczono długości drutu, przez jaki może przejść depesza dźwiękowa, aby być jeszcze na końcu słyszaną. Największa długość drutu, przez który Bell przesyłał dźwięki, wynosiła 250 mil angiel. Głos przechodził łatwo dopóki linie równoległe nie były czynne. Wybrano więc do doświadczeń niedzielę, jako dzień, w którym prawdopodobnie inne druty telegraficzne nie będą zajęte. Rozmowa była prowadzona pomiędzy Bellem w Nowym Yorku a Watsonem w Bostonie. Wszystko szło dobrze, dopóki nie zaczęto przesyłać depesz telegraficznych po innych drutach. Gdy to nastąpiło, głosy znacznie osłabły i podobne były do mowy podczas burzy. Rozmowa choć była możliwą

przedstawiała jednak wielką trudność—do tego stopnia strumienie elektryczne, biegnące po drutach sąsiednich, sprawiały zaburzenia w telefonie.

Bell próbował także siły telefonu na sztucznéj linie telegraficznéj podmorskiéj. Gdy użyto oporu równoważnego 120 milom liny podmorskiéj, rozmowa szła łatwo. Nawet i wtedy jeszcze słyszano głosy, gdy strumień telefonowy musiał przezwyciężyć opór równoważny całkowitéj linie atlantyckiéj; były one jednak tak słabe, że okazała się niemożliwość prowadzenia ciągłéj rozmowy. Przytém tony muzyki nie traciły nic a nic na swéj wysokości i były słyszane tak samo, jakby je powietrze przenosiło.

Bądź co bądź, telefon Bella może dotychczas mieć zastosowanie tylko na dość krótkich liniach telegraficznych.

Oprócz tego możemy się z czytelnikami podzielić kilku innemi wiadomościami odnoszącemi się do telefonu.

Trouvé, fabrykant paryski, dla powiększenia siły jego prądów zmodyfikował telefon Bella w sposób następujący. Zamiast blaszki żelaznéj drgającéj, używa sześcianu z blachy żelaznéj, pozbawionego jednéj ścianki. Obok każdéj z pięciu pozostałych ścianek znajduje się taki sam magnes stały jak w telefonie Bella. Gdy się mówi przed sześcianem, każda z blaszek drga i wzbudza strumienie w odpowiednim sobie magnesie. Jeśli te strumienie połączymy, to otrzymamy strumień wypadkowy, proporcyonalny do liczby magnesów. Strumień taki wywoła na stacyi odbierającéj, naturalnie, daleko silniejszy efekt, aniżeli pochodzący od jednego magnesu.

Zamiast sześcianu, powiada Trouvé, możnaby użyć wielościanu o dowolnéj liczbie blaszek drgających. Zdaje się jednak, że z podobnym telefonem nie czynił jeszcze doświadczeń. Co się zaś tyczy telefonu z sześcianem blaszek drgających, to Trouvé zapewnia, iż okazał się on najlepszym i najpośpieszniejszym ze wszystkich telegrafów.

Jeszcze bardziéj zdumiewającym, jeszcze cudowniejszym wynalazkiem od telefonu Bella, jest wynalazek utrwalania głosu, o którym donosi „Engineer.“ Według tego czasopisma, miał p. Edison, amerykanin, wynaléść środek rysowania głosu telefonowego w ten sposób, że za pomocą tego rysunku można po wielu latach odtworzyć nietylko wymówione wyrazy, ale nadto i ton głosu... Słowo tedy nie będzie już ulotném.

Metoda, za pomocą któréj Edison swoj cel osiągnął, ma być następującą.

Rura odpowiedniego kształtu jest zamknięta z jednego końca przeponą metalową, która silnie drga pod wpływem głosu ludzkiego.

Na środku przepony znajduje się kolec zwrócony ku paskowi papiérowemu, odwijanemu przez przyrząd zegarowy, podobnie jak w telegrafie Morse'a. Podczas mówienia, gdy przyrząd jest czynny, kolec uderza o papiér i przerywa go w odpowiednich miejscach. Gdy następnie tak porysowany papiér umieścimy w podobnym mniéj więcéj instrumencie, w którym bardzo delikatna błona, nosząca na sobie kolec, jest połączona z telefonem, i jeśli papiér ów będziemy przesuwali po kolcu, to błonka na któréj jest umieszczony będzie takie same drgania odbywała, jak tamta, któréj kolec porysował pasek papiérowy, czyli że telefon będzie wydawał głos podobny do pierwotnego, który wprawiał w drganie błonkę powyższéj rury. Jeśli więc pasek podobny przechowamy, to dopóki on się nie zniszczy, będzie można ciągle reprodukować słowa raz wymówione.

Ze stron wiarogodnych zapewniają, że Edison osiągnął swój cel prawie całkowicie, i że pozostaje mu praca tylko nad odtwarzaniem delikatniejszych odcieni głosu.

## Sposoby badań psychofizycznych.

Na ostatnim kongresie Stowarzyszenia Brytańskiego postępu nauk w Plymouth, mówił F. Galton o środkach, jakiemiby się dały osiągnąć postępy w psychofizyce, nauce, któréj początek datuje się dopiero od ostatnich dziesiątków lat. Nauka ta, jak sama nazwa wskazuje, ma za cel wprowadzenie fizycznych sposobów badania do psychologii. Rzecz naturalna iż, raz z powodu młodości nauki, a powtóre z powodu trudności zadania, niewiele na tém polu uczyniono, nie mniéj jednak spodziéwać się należy obfitego plonu w przyszłości: czytelnicy dojdą do tego przekonania, przeczytawszy poniżéj streszczoną prelekcyą Galtona.

Tematem tego odczytu są ścisłe naukowe metody badania rozmaitych grup ludzi, zbliżonych do siebie pod względem cech intelektualnych, lub podobieństwa fizyognomii, albo téż pod obu temi względami jednocześnie, dla wprowadzenia pewnéj klasyfikacyi. Grupy te odpowiadają typom opisanym przez Teofrasta, La Bruyére'a, napotykanym również w utworach beletrystyki współczesnéj, które u rozmaitych pisarzy, pomimo pewnych różnic, mają zasadnicze cechy wspólne, powszechnie znane. Za największych mistrzów w malowaniu tych typów uważa Galton powieściopisarzy i autorów dramatycznych, uganiających się ciągle za nowemi modyfikacyami charakterów, które artystycznie opisywać umieją. Byłoby wielką, według niego, zasługą dla antropologii, gdyby ktoś, obeznany z literaturą piękną, ułożył z wyjątków z powieści i sztuk teatralnych zbiór

głównych temperamentów i charakterów ludzkich. Za główne swe zadania uważa Galton wykazanie, iż możliwą jest rzeczą zbadanie pewnych zasadniczych właściwości takich typów, a więc w ogóle ducha ludzkiego, za pomocą ścisłéj, dokładnéj miary. Nie mówiąc już o dawniéj znanych odkryciach z psychofizyki, a mianowicie o prawie Fechnera, Galton zwraca tylko uwagę na kilka przykładów mierzenia aktów duchowych, wykazujących, że nawet w tym dziale objawów, choć to długi czas uważane było za nieprawdopodobne, można z wielką korzyścią posługiwać się jednostkami długości i czasu.

Weźmy naprzykład, powiada, prędkość z którą wrażenie lub wola przebiega po nerwach. Dowiedziono już, że ta prędkość nie jest nieskończenie wielką, gdyż nie przechodzi prędkości pociągu pośpiesznego. Ta powolność wytłómaczyła, dlaczego zwierzęta małe są daleko żywsze, zwinniejsze, gdy chodzi o uniknięcie nagłego ciosu, od wielkich, i dlaczego oczy i uszy są umieszczone w głowie, najbliżéj organu nerwowego centralnego, tak aby jak najmniéj czasu potrzeba było do przesłania wrażenia do mózgu. Sąto rzeczy dobrze znane i wielokrotnie brane za przedmiot uwagi. Ale nikt dotąd nie zajął się na seryo porównaniem prędkości przebiegu wrażenia i woli po nerwie u osób różniących się temperamentem, a badanie podobne byłoby bardzo ważném Galton więc wskazuje kilka prostych sposobów badania, mogących służyć do wykazania różnicy téj prędkości u rozmaitych indywiduów, oraz stosunku zachodzącego pomiędzy nią a temperamentem oraz zewnętrznemi cechami fizycznemi.

Przed przystąpieniem do rzeczy wypada wytłómaczyć co znaczy tylokrotnie przez astronomów używane wyrażenie: „równanie osobiste.“ Astronom powinien zaznaczyć ściśle czas, w którym gwiazda obserwowana przechodzi przez cienką nitkę, przeciągniętą pionowo przez pole lunety. Przekonano się, że oznaczenia podane przez dwóch astronomów nigdy nie są zupełnie zgodne. Jedni są zanadto prędcy i uprzedzają chwilę przejścia gwiazdy, inni przeciwnie zbyt powolni i znaczą dopiéro wtedy, gdy gwiazda przejdzie. I nie jestto wcale skutek niezręczności lub braku doświadczenia, przeciwnie, błąd ten bez względu na wprawę i stopień uwagi jest nieodłączną właściwością każdego obserwatora.

Różnica pomiędzy chwilą, w któréj człowiek zaznaczył zjawisko, a chwilą, w któréj ono rzeczywiście zaszło, nazywa się właśnie równaniem osobistém danego człowieka. Równanie to pozostaje niezmiennném przez długi czas, w każdym przypadku obserwacyi i oznacza się starannie dla każdego z astronomów pracujących w obserwatoryum. Przy ogłaszaniu spostrzeżeń dodaje każdy swe równa-

nie osobiste, według którego wprowadza się poprawki do liczb zapisanych. Jednèm słowem, dzieje się tak samo, jak gdyby ktoś używał metra mniejszego lub większego od normalnego i przy każdym pomiarze podawał, o jaką ilość jest za krótki lub za długi. Ponieważ równanie osobiste jest podstawową właściwością natury człowieka, więc Galton proponuje, aby porównano wiek, rozmiary, wagę, barwę włosów i oczu, oraz, o ile to podobna, temperament wszystkich obserwatorów, z ich równaniem osobistém. Toby nas nauczyło, w jakim stopniu najbardziéj uderzające cechy fizyczne odpowiadają pewnym właściwościom intelektualnym, i tym sposobem możebyśmy osiągnęli skalę temperamentów dokładniejszą od téj, którą posiadamy.

Do dokładnego zmierzenia kwalifikuje się także czas, potrzebny do utworzenia się prostego sądu. Dałoby się to uskutecznić w sposób następujący. Jeżeli człowiek ma się dotknąć przyrządu, natychmiast po zobaczeniu pewnego sygnału, to pomiędzy sygnałem a znakiem, który przyrząd odbije, upłynie pewien czas, który będzie sumą czasu potrzebnego do przejścia wrażenia i woli po nerwach, oraz czasu działania samego aparatu mechanicznego. Oznaczywszy ten czas, powiadamy osobie użytéj do doświadczenia, że pokazane będą dwa sygnały jeden biały a drugi czarny. Jeśli się okaże pierwszy, powinna uderzyć w guzik aparatu prawą ręką, jeśli drugi—lewą. Naturalnie osoba ta nie wié, który z sygnałów najprzód będzie podany.

Z doświadczeń tych wypadnie, że pomiędzy ukazaniem się sygnału niepewnego, a skonstatowaniem jego koloru i zreflektowaniem się, którą ręką należy guzik aparatu uderzyć, upłynie pewien czas, daleko dłuższy niż wtedy, kiedy sygnał był pewnym, t. j. gdy, jak w pierwszym razie, osoba poddana doświadczeniu wié, że będzie jeden tylko sygnał, w chwili okazania się którego powinna ręką uderzyć w aparat. Jednèm słowem, przy sygnale niepewnym, następuje wahanie się i strata czasu, co dowodzi, że najprostszy sąd wymaga dającéj się ocenić ilości czasu.

Przez porównanie czasu potrzebnego różnym osobom do wyrobienia sobie podobnego prostego sądu, moglibyśmy dojść do pewnéj klasyfikacyi pod tym względem. Porównawszy zaś te czasy z fizycznemi cechami wyżéj wspomnianemi, możebyśmy doszli do jakichś szerszych wniosków.

Możnaby przeprowadzić jeszcze wiele innych doświadczeń tego rodzaju. Profesor Jevons proponuje np. następujące: danéj osobie pokazuje się otwarte pudełko, zawiérające nieokreśloną ilość ziarek grochu, i każe się jéj ocenić natychmiast, z największą o ile po-

dobna dokładnością, ile jest mniéj więcéj tych ziarek. Następnie porównywa się liczbę podaną z rzeczywistą. Wypadki wielu doświadczeń tego rodzaju dały bardzo ciekawą skalę dokładności tych ocen, które przedstawiają naturalnie różnice, względnie do różnych osób i dlatego mogą także służyć za cechę klasyfikacyjną.

Słusznie twierdzi Galton, że wielceby się zasłużył antropologii ten, ktoby zebrał wszystkie podobne doświadczenia, mające na celu mierzenie władz umysłowych. Należałoby z nich utworzyć pewien systemat badania, i spopularyzować go dostatecznie, aby nauka posiłkować się mogła jak najobszerniejszym materyałem faktycznym.

Zdawaćby się mogło, że doświadczenia powyższe nie mają żadnego związku z miarą właściwości umysłowych. Lecz jeżeli tylko za pomocą porównania możemy znaléść w czémkolwiekbądź różnice, to należy się spodziéwać, że z biegiem czasu znajdziemy także jednostkę miary. Dowodzi tego na licznych przykładach historya nauk. Galton przytacza z nich jeden: podziałkę termometru. Przed dwustu jeszcze laty termometry nie miały ani punktów stałych, odpowiadających temperaturze topienia się lodu i wrzenia wody, ani téż równych stopni, i dokładne porozumienie się pomiędzy dwoma uczonemi o pewnym stopniu temperatury było niemożliwe. Teraz zaś możemy z największą dokładnością podawać wysokość temperatury. Prawdopodobnie stanie się tak samo z kwestyą nas interesującą.

I być może, iż wynaleziony zostanie przyrząd do studyów psychofizycznych, równie prosty i równie tani jak termometr. Wtedy postęp na tém polu będzie łatwy. Obecnie jednak używane aparaty są bardzo delikatne i kosztowne, tak, że nie można myśléć o wciągnięciu większéj liczby osób inteligentnych do studyów tego rodzaju.

Po zbadaniu pewnéj liczby indywiduów metodami wspomnianemi, lub podobnemi, i po rozsegregowaniu ich na grupy, odznaczające się wspólnością pewnych właściwości umysłowych, należałoby zbadać charaktery fizyczne tych grup oraz rysy ich fizyognomij. W tym celu posługiwaćby się naturalnie należało pomiarami antropometrycznemi oraz fotografią. Co się tycze téj ostatniéj, to Galton proponuje fotografowanie osób badanych pomiędzy trzema zwierciadłami, tak aby za jednóm zdjęciem można było otrzymać obraz głowy z przodu, z boku, oraz z góry. Że fotografie takie dawałyby bardzo cenne wskazówki, możemy już mieć miarę z tego, że Galton znalazł w profilach twarzy zbrodniarzy, osadzonych w więzieniu Pentonville, pewien rys stale się powtarzający. Dałyby one przedewszystkiém ważny materyał do kontrolowania wszelkich wniosków ogól-

nych, jak np. twierdzenia profesora wiedeńskiego uniwersytetu Benedict'a, który na zasadzie swych badań utrzymuje, iż u zbrodniarza tylna część głowy jest nadzwyczaj mało rozwinięta.

Po zbadaniu charakterów i fizyognomij różnych, dobrze określonych odmian ludzi, powiada Galton, antropolog powinienby się zająć poznaniem historyi życia tych odmian, a głównie ich dążnością do utrwalenia się lub wygaśnięcia. Weźmy naprzykład najwyraźniejszą może klasę zbrodniarzy. Utrwalanie się téj klasy przez dziedziczność jest kwestyą nadzwyczaj ważną, ze stanowiska teoretycznego i praktycznego, godną badań staranniejszych, aniżeli te które dotychczas przedsiębrano. Prawda, że poszukiwaniom tym stają na przeszkodzie rozliczne właściwości zbrodniarzy; ich włóczęgostwo, związki nieprawe i kłamstwo, ale bądź co bądź nie są one niemożliwe.

Łatwo jest naprzykład wykazać (według Galtona), że charakter zbrodniczy ma dążność do przechodzenia z ojca na syna. Wprawdzie zbrodniarki, które najlepszą część swego życia przepędziły w więzieniu nie wiele się przyczynić mogą do powiększenia ludności zbrodniczéj, ale za to, jak się przekonano, klasa zbrodniarzy odżywia się świeżą krwią klasy ludzi, którzy nie będąc zbrodniarzami nie są jednak zdolni do grania pewnéj roli w dziele naszéj cywilizacyi i, pędząc życie na wpół dzikie, są skłonni do wszelkiego złego, jeżeli się po temu okazya wydarzy. Kobiéty do téj niewyraźnéj klasy należące łączą się ze zbrodniarzami i dają życie nowym latoroślom zbrodniczym.

Uderzający przykład dziedziczności charakteru zbrodniczego, daje nam historya niecnéj rodziny Jukes w Ameryce. Genealogia jéj została zbadana z największą dokładnością aż do siódméj generacyi. Jest ona przedmiotem wyczerpującego studyum, pomieszczonego w 31 raporcie Towarzystwa więziennego w New-Yorku za rok 1876. Genealogia ta zawiéra nie mniéj jak 540 członków familii Jukes, pomiędzy którymi znajdujemy prawdziwie przestraszającą ilość tych, którzy się oddawali zbrodni lub żebractwu, oraz tych, którzy się stali pastwą chorób.

Trudno jest streścić te rezultaty w kilku liczbach, więc Galton podaje tylko odnoszące się do piątéj generacyi pochodzącéj od najstarszéj z pięciu płodnych córek człowieka, który był głową téj rasy. Całkowita liczba członków téj generacyi wynosiła 123, z których trzydzieści ośm było potomkami wnuczki nieprawéj, a ośmdziesiąt pięć pochodziło od dzieci prawych. Z owych trzydziestu ośmiu, 16 zostało skazanych na więzienie, a z nich 6 za najcięższe przestępstwa; jeden z ostatnich figurował dziewięć razy na ławie oskarżo-

nych. Jedenastu członków zajmowało się żebractwem lub nierządem, a czterech innych oddawało się nałogowemu pijaństwu. Historya trzech członków tego pokolenia nie jest znaną—a wreszcie, czteréj tylko pozostali wiedli życie porządne. Większość kobiét tego pokolenia połączyła się z kryminalistami. Ośmdziesiąt pięć potomków prawych odznaczało się mniejszém zepsuciem, gdyż tylko pięciu z pomiędzy nich uległo karze więzienia, a trzynastu oddawało się żebractwu.

Przodek téj niecnéj rodziny, urodzony około roku 1730, był myśliwym i rybakiem, wesołym towarzyszem nienawidzącym wszelkiego dłuższego zajęcia, pracującym tylko podczas jakichś rzadkich napadów pracowitości, po których znowu oddawał się lenistwu. Był on ojcem licznych dzieci nieprawych, o których historyi niewiadomo nic pewnego. Słowem, byłto niezły okaz pół-dzikiego człowieka, bez żadnego wyraźnego instynktu zbrodniczego. Córki jego, prawdopodobnie powabne, wyszły młodo za mąż, niektóre dość dobrze, ale włóczęgostwo wpojone w ich rasę nie mogło się pogodzić z życiem cywilizowanym. Dlatego też potomkowie ich przechylili się ku złemu, i niemoralność, nie napotykając żadnéj przeciwwagi, czyniła wśród nich przerażające postępy, pogrążając ich coraz głębiéj w otchłań nieszczęścia. Łącząc się z zbrodniarzami, utworzyli wkrótce familią z przeszło pięciuset członków złożoną, u któréj przeważał typ kryminalny. Obecnie, pod wpływem chorób i niewstrzemięźliwości, rasa ich niknie w szybkim postępie: śmiertelność dzieci stała się u nich w ostatnich czasach prawdziwie straszną. Na szczęście jednak kobiéty obecnéj generacyi rodzą nieliczne tylko potomstwo, a nawet wiele jest pomiędzy niemi zupełnie bezpłodnych.

Historya familii Jukes okazuje jak zajmującém i jak ważném jest badanie tego rodzaju, jak doniosły materyał zawiérają akta więzienne. Uczy nas ona zresztą, iż historya familij przynoszących zakałę ludzkości, nie mniéj dla niéj jest ważną, jak dzieje rodzin będących dla niéj zaszczytém. O ileż nauka płynąca z dziejów tak pierwszéj jak i drugiéj gruppy ludzi byłaby dokładniejszą, obszerniejszą, pożyteczniejszą, gdyby indywidua do nich należące były badane za pomocą metod psychofizycznych!

*Bronisław Rejchman.*

---

# KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Po długim szeregu artykułów „W sprawie upadających posiadłości większych,“ które z początku budziły najżywszy interes, następnie stały się nieco jałowe, a w końcu poszły w przysłowie, *Niwa* zajęła się sprawami własności mniejszéj. Nowa ta rubryka zasługuje na bezwzględną pochwałę, śledzić za nią i streszczać ją będziemy stale i dlatego dziś pozwolimy sobie kilku uwag ogólnych.

Pierwszą wybitną charakterystykę nowéj rubryki stanowi tytuł: kiedy bowiem własności większe były tylko *upadającemi*, mniejsze są *rozwijającemi się*, stoi wyraźnie: „W sprawie rozwoju małéj własności ziemskiéj.“ Dlaczego ta różnica, skoro oba typy gniecie biéda jednakowa i skoro każdy z nich na swój sposób wykształca się czy przekształca? Dlaczego włościanin pozbawiony kredytu, dręczony przez rozrzucone grunta i demoralizowany przez serwituty, rozwija się, podczas gdy właściciel większy dzięki temu samemu brakowi kredytu i serwitutom upada?

Drugą cechą rubryki jest to, że gdy w sprawie upadających posiadłości większych, pismo przedstawiało obfity materyał i cieszyło się znakomitą cyfrą współpracowników, w sprawie własności mniejszéj, zabrał głos jak dotychczas jeden tylko autor i to z powołania obowiązany zajmować się tym rodzajem naszych gospodarstw. Gdyby nie on „sprawa“ mogłaby się nie urodzić.

Daléj zarzucićby można brak systemu i wypływający ztąd chaos w planie. Redakcya bowiem obiecuje pomieścić artykuły o tém: a) W jakich warunkach znajduje się własność mniejsza; b) Jakie usługi oddała kulturze ziemi (chyba te, że ją wyjałowiła?); c) W jaki sposób przyczynia się do ogólnéj produkcyi? d) Czy jéj

gospodarstwo odpowiada wymaganiom ekonomii? e) Czy gospodarstwo to było wsparte dostatecznemi środkami kredytowemi? f) Jakie reformy są potrzebne.

Tymczasem nie wyjaśniwszy wcale w jakich warunkach znajduje się u nas własność mniejsza, czy jéj gospodarstwo odpowiada wymaganiom ekonomii i jakie reformy są potrzebne, redakcya zamierza rzecz rozpocząć od artykułu o tém: jak się u nas mała własność zagospodarowywać powinna?

Oryginalnym wypadkiem w świeżéj rubryce jest i to, że autor piszący w sprawie własności mniejszéj, p. K., reprezentuje poglądy wprost przeciwne p. W., autorowi, który pisał o „Gminie w obecnym i możliwym ustroju.“ P. K. bez ogródki i po dwakroć twierdzi, że należy wybiérać między nim lub p. W. „Jeżeli redakcya,“ mówi w jedném miejscu p. K., „przedstawiła program reformy gminy, mający służyć za podstawę takiego jéj przekształcenia, jakiego wy Panowie i czytelnicy waszego pisma dla gminy pragniecie, to dziwném byłoby z méj strony, gdybym pracą moją przyjmował udział w piśmie, które w danéj kwestyi dąży do celów zupełnie mojemu zdaniu przeciwnych.“ Jak na początek „sprawy“ to dosyć. Zachodzi teraz kwestya czy w dalszym jéj przebiegu p. W. będzie miał głos, czy równie energicznie przeciw poglądom p. K. zaprotestuje, i czy *Niwa* nowy ten protest pokryje znowu milczeniem?

Zadziwia nas niemało ten zamęt w obrabianiu programu i sprzeczne opinie wyrażone w piśmie, które mianuje się organem stronnictwa „świadomego swych celów.“

Ale pomimo tych zarzutów, przyznać należy, że zasługę *Niwy* stanowi to, iż kwestyą podniosła i że pierwszy artykuł mający z nią bezpośredni związek wyprowadza na jaw niezmiernie pouczające szczegóły z życia włościan, których w ogóle nie znamy. Autor pracy „O wpływie kredytu ludowego na ustrój małéj własności ziemskiéj w Królestwie Polskiem“ p. Aleksander Kostromitinów jest komisarzem włościańskim, stykał się więc z ludem bezpośrednio. W ciągu swéj urzędowéj działalności odseperował 6.000 osad włościańskich w gub. Radomskiéj i kilkaset w Kaliskiéj, przedewszystkiém więc faktycznie zasłużył się społeczeństwu. Dziś zbliżył się do dziennikarstwa, aby za jego pośrednictwem przedstawić ogółowi swoje poglądy na sprawę ważną i kłopotliwą. Wykład p. Kostromitinowa jest jasny, objektywny i zdradza człowieka wyższego duchowego pokroju. Społeczeństwo nasze zawsze uszanuje zasługi takich pracowników i uczci w nich bezstronność i poczciwe chęci, które dla wielu ludzi zdają się być nieprzystępnemi wyżynami.

W artykule swym p. Kostromitinów wyświetla następne rzeczy: 1) że ważną przeszkodę zniesienia służebności stanowi szkodliwy sam przez się fakt istnienia t. z. szachownic, to jest rozczłonkowanie i pomięszanie ze sobą gruntów włościańskich; 2) że istnienie szachownic paraliżujących wszelkie porządne gospodarstwo włościańskie zależy w pewnym stopniu od wytworzenia się lichwiarzy w klasie włościańskiéj; 3) że kasy zaliczkowe, a więc tani kredyt, kładąc kres lichwiarstwu, wpłynąć mogą na zniesienie szachownic i służebności.

Przed uwłaszczeniem istniało w kraju dwie kategorye lichwiarzy, których nazwijmy rolniczymi. Jedni z nich wyzyskiwali obywateli ziemskich, drudzy—mieszczan rolników; ci zaś i tamci dawali pieniądze na zastaw gruntu. Wielu z nich tym sposobem zaokrąglili swoje posiadłości, innym ukaz przysądził grunta, których poprzednio nie mieli.

Po uwłaszczeniu powstał nowy typ lichwiarzy z pośród majętniejszych włościan, którzy ssali swych ubogich sąsiadów. W kraju znajduje się około 200.000 osad mających 15 lub więcéj morgów ziemi, 280.000 posiadających od 3 do 15 morgów i 210.000 z ilością gruntu niższą od 3 morgów. Lichwiarze więc mieli i mają materyał wystarczający do swoich operacyj. Obdarowany gruntem włościanin potrzebował i dziś często potrzebuje pieniędzy na budynki, odzież, narzędzia, inwentarz, ziarno na siew, a jak dawniéj i na wykup syna z wojska. Żądających pieniędzy było bardzo wielu, a posiadających je mało, wieśniak przytém rachować nie umié, łatwo więc pojąć, że w takich warunkach lichwa powstać musiała. Ponieważ zaś jedyną pewność zwrotu pożyczki dawał grunt, ziemia zatém dłużników poszła w zastaw do wierzycieli, którzy wielkie zyski poczęli ciągnąć. Pierwszym owocem stanu tego było wywłaszczenie dłużników, niemogących żadną miarą zwrócić pożyczki, i wzrost terytoryów wierzycieli.

Lichwiarze bardzo prędko zmiarkowali korzyści położenia i poczęli nietylko wyzyskiwać je, ale i starać się o utrwalenie takowego. Pojawiły się w życiu gmin fakta dziwne, mogące doprowadzić do rozpaczy ludzi nieobeznanych z tajemnemi ich sprężynami. W niektórych miejscach włościanie nie zgadzali się na uregulowanie służebności, choć akt ten przynosił bijące w oczy zyski. W innych zniesiono szachownice, urządzono osady, lecz w parę lat potém chciano zwalić umowę i wrócić do dawnego stanu rzeczy. Gdzieindziéj znowu, gmina nie chciała *przyjmować zapomogi od rządu na założenie kasy zaliczkowéj.* W obec tego rodzaju objawów widz ze stra-

chem pytać musiał, czy natura nie pozbawiła włościan naszych zdrowego rozsądku?

Tymczasem rzecz była nader prosta. We wsi znajdował się jeden lub kilku włościan lichwiarzy, biorących grunta w zastaw i posiadających wpływ na urzędników gminy. Lichwiarze ci rozumieli, że zniesienie serwitutów i szachownic przyczyni się do wzbogacenia ogółu i zmniejszy ich zarobki, że kasa zaliczkowa zrobi to samo. Używali więc wszelkich środków, aby żadnéj reformy nie dopuścić i w wielu razach udawało im się. Dopiéro, gdy wśród zebrania gminnego znalazł się człowiek, który wytłómaczył korzyści reform, gdy między lichwiarzami i ich dłużnikami przyszło do wymówek i gdy rybakom z mętnéj wody publicznie, wytknięto ich niegodziwe plany, opór słabnął, a zmiana została zaprowadzoną.

Zbytecznem byłoby nadmieniać, że niekiedy na podskarbiego kasy zaliczkowéj dostawał się lichwiarz i pod jéj zasłoną a nawet jéj środkami niemy swój fach prowadził.

Taką jest treść uwag p. Kostromitinowa, z których wnioski leżą jak na dłoni. Kraj musi się postarać o kasy zaliczkowe a losem ich powinna się zająć inteligencya wiejska: nietylko bowiem potrzeba pieniędzy, ale i kasyerów uczciwych. W sprawie téj posiadacze więksi bezpośrednio są zainteresowani, od rozstrzygnięcia jéj bowiem zależy w pewnym stopniu regulacya serwitutów. Inny wniosek jest nie mniej ważny, oto: że lichwiarstwo nie stanowi wynalazku żydowskiego, ale jest chorobą z ogólnéj wypływającą biedy. Trapi ona zarówno miasta, jak i wsie, a posługuje się równie dobrze żydami jak i katolikami. Czy zatém w obec tego godzi się występek lichwy składać wyłącznie na żydów i proceder ten robić cechą charakteryzującą tę mianowicie klasę mieszkańców naszego kraju?...

W końcu p. Kostromitinow sądzi, że kasy zaliczkowe wiejskie do upowszechnienia się u nas wymagają prywatnego komitetu na wzór istniejących w Petersburgu i na Kaukazie. Uznajemy pożyteczność a nawet niezbędność podobnego organu, lecz zarazem prosimy autora o wskazanie: na jakiéj drodze uzyskaćby można odnośną koncesyą? Stowarzyszeń takich, jak Komitet kas zaliczkowych wiejskich, kraj potrzebuje bardzo wiele i w rozmaitych sferach życia społecznego. Na nieszczęście jednak nie znalazł się nikt dotychczas, któryby nauczył nas sposobu uzyskiwania koncesyi i przez to zakładania najpierwszych fundamentów dla tych budowli. Ponieważ jednak p. Kostromitinów obiecuje więcéj artykułów w tym przedmiocie, nie wątpimy zatém, że zechce w nich uwzględnić i tę najsłabszą stronę każdego naszego projektu.

Od Października roku zeszłego w ratuszu warszawskim spe-

cyalny komitet obradował nad sposobami przyjścia z pomocą klasie robotniczéj. Korzystając z łaskawie udzielonéj nam notatki przez osobę bliżéj obeznaną z historyą narad, przedstawimy ich przebieg i zawadzimy o podawane projekta.

Początkowo miano zamiar utworzyć jednę instytucyą p. t. „Warszawskie towarzystwo wzajemnéj pomocy,“ któreby łączyło w sobie: kasę dla wspierania chorych, kasę wkładowo-zaliczkową i kasę emerytalną. Plan ten jednak odrzucono z powodu nieuniknionych trudności technicznych. Istotnie każda z owych kas wymagałaby (ze względu na wielką liczbę stowarzyszonych) mnóstwa urzędników i znacznych kosztów, całość zaś funkcyonowałaby powoli i ciężko. Upadłego projektu nie żałujemy, wszelka bowiem centralizacya tworzy instytucye odsunięte od życia, nagromadzanie zaś zbyt wielkich kapitałów z natury rzeczy do ogółu należących, jak wiémy z praktyki, niezawsze na pożytek ogółu wychodzi.

Umyślono więc trzy kasy rozdzielić i zastanawiano się nad tém czyby nie należało pierwszéj z nich, to jest kasy dla chorych, urządzić na centralistycznych zasadach, jednéj dla wszystkich. Lecz i tu znowu zwrócono uwagę na trudności techniczne, z powodu których projekt upadł. Obawiano się naprzykład, że przy wielkiéj liczbie uczestników kontrola będzie niemożliwa, pomoc niedość szybka a pociągnięcia wszystkich stowarzyszonych do wnoszenia jednakowéj składki niewykonalne itd.

Sądzimy, że zarzuty te mają podrzędne znaczenie. Głównem powinno być unikanie centralizacyi tam gdzie jéj nie potrzeba i na odwrót. Kasa emerytalna, opiérająca byt swój na rachunku prawdopodobieństwa, na bardzo wielkiéj liczbie stowarzyszonych, potrzebuje być instytucyąześrodkowaną, bez względu na koszta administracyi, trudność kontroli, niemożność narzucenia wszystkim jednéj opłaty i wielu innych szkopułów, które się pokonywają dość łatwo. Ze stowarzyszeniem jednak dla chorych rzecz dzieje się przeciwnie. Tam składki i ryzyko są mniejsze, a liczba członków może być bardzo niewielka, owszem—jest nawet lepiéj, gdy się wszyscy znają i mogą wspólnie obradować.

Bądź co bądź, idea kasy uniwersalnéj została pogrzebana, a nowy projekt oparto na następnych zasadach:

*a*. Dozwolić rzemieślnikom, aby stowarzyszali się w celu tworzenia kas dla chorych.

*b*. Każda kasa mieć będzie swój własny zarząd.

*c*. Rzemieślnicy pracujący w fabrykach, gdzie kasy podobne już istnieją, z obowiązku muszą być ich członkami.

*d.* Wysokość składek i wsparć tudzież administracyą wewnętrzną pozostawić stowarzyszonym. Każda grupa wypracować powinna pod tym względem przepisy najlepiéj odpowiadające jéj interesom.

*e.* Ustawa normalna ma być podana do zatwierdzenia władzy i obecnie jest już opracowywaną przez komitet.

Postanowiono również przygotować projekt kasy pożyczkowo-wkładowéj, po zatwierdzeniu zaś obu instytucyj, ma być wzięty pod rozwagę plan kasy emerytalnéj.

Taki tryb postępowania komitetu jest bardzo rozumny i zasługuje na uznanie. Pewni też jesteśmy, że układający ustawę ogólną dla kas wspomagania chorych, tudzież—wkładowo-zaliczkowych nie zapomną o tém, że w Warszawie obok 25.000 rzemieślników i robotników istnieje prawie taka sama liczba handlujących, że już nie wspomnimy o ogromnéj masie osób, które w statystykach miast figurują pod nazwą: utrzymujący się z posług osobistych. Jeżeli możliwém będzie obmyślenie ustaw, któreby wszystkie te kategorye ogarnęły, tem lepiéj; w przeciwnym jednak razie, dwie pozostałe klasy będą musiały pomyśléć same o sobie, chociaż droga dla nich zostanie już utorowaną.

Wyobraźmy sobie teraz różne potrzeby jakiéjkolwiek klasy pracowników. Przedewszystkiém potrzebują oni jeść, odziewać się, mieszkać i zaspokoić wiele innych zasadniczych wymagań natury ludzkiéj. Daléj, potrzebują kapitału zakładowego na narzędzia pracy i obrotowego na materyały. Wreszcie—pomocy w razie nieszczęść losowych, zabezpieczenia bytu rodzinie w razie śmierci i emerytury na starość.

O utworzenie kapitału zakładowego w rzemiosłach wymagających mniejszego nakładu obrotowego, o pomoc w nieszczęściu, a nawet o emeryturę troszczy się obecnie komitet. Przypuśćmy, że szlachetnych celów swoich dopnie, lecz nie sądźmy, aby już wszystko zrobił. Obmyślając ustawy i wyjednywając ich zatwierdzenie, komitet utworzy zbiorniki dla kapitałów, których źródłem i ujściem mają być zarobki i całe zresztą życie klas pracujących. Zarobki te przecięż są i dziś, ale się gdzieś rozchodzą tak, że aż wynikła potrzeba zajęcia się bliżéj kwestyą pomocy. Któż zaręczy, że robotnik, który nie odkładał nic dotychczas, zechce odkładać późniéj? Wielu z nich niewątpliwie ledwie wyżyją z owoców swéj pracy, lecz wielu też zarabia więcéj niż najpierwsze potrzeby wymagają. Co więc pochłania owę przewyżkę i czy samo istnienie kasy wkładowéj lub emerytalnéj potrafi ściągnąć pieniądze w kierunku żądanym? Zresztą wszakże ustanawiając normę dla składek emery-

talnych lub zapomogi w chorobie, trzeba znać średnią długość życia rzemieślników, szansę choroby i wskazać uczestnikom: jakie to zależne od ludzi przyczyny zwiększają prawdopodobieństwo nieszczęścia i cyfrę składki?

Nie śmiem twierdzić, lecz zdaje mi się, że na kwestye te nawet autorowie rozstrząsanych projektów nie zwrócili uwagi, a oto dowody.

W jednym z projektów (powtarzam na odpowiedzialność „Gazety Polskiéj“) powiedziano, że: każdy robotnik płacić ma do kasy chorych 15 kop. tygodniowo (60 kop. miesięcznie), a za to on, żona i dzieci dostaną lekarza i lekarstwa w razie choroby i prócz tego, jeżeli on sam będzie chorym 3 rs. zapomogi tygodniowo, czyli prawie 43 kop. dziennie.

Tymczasem w podobnychże stowarzyszeniach we Francyi, robotnik w razie choroby dostaje tyle zapomogi dziennie, ile płaci składki miesięcznéj. Według więc téj zasady, nasz powinienby otrzymywać nie 43 kop., ale 60 kop. dziennie.

Zasada francuska opiéra się na wykazach statystycznych. Tam wiadomo, że średnio na robotnika przypada rocznie 6 dni choroby, że zaś składkę płaci w 12 miesięcznych ratach, wpływy więc z jednego półrocza idą na zapomogę, a z drugiego na lekarza i lekarstwa. Radbym jednak wiedziéć: na czém opiéra się nasza zasada? Prawdopodobne jest, że nasz robotnik choruje przecięciowo dłużéj, ale gdzież na to dowód? Wypada go przytoczyć i odpowiednią cyfrę średnią w praktyce zastosować, gdyż inaczéj stanie się krzywda kasie, albo robotnikowi, a prędzéj temu ostatniemu.

Nierównie dziwniéj wygląda fakt następny.

W projekcie dotyczącym kasy emerytalnéj między innemi powiedziano.

Kto przez 35 lat płacić będzie po 7 rs. 20 kop. rocznie, ten dostanie emerytury 120 rs.

Zatrzymajmy się na téj cyfrze, chociaż podano ich więcéj i zobaczmy o ile jest możliwą. Mam przed sobą tabelki trzech towarzystw ubezpieczeń na życie: krakowskiego, ruskiego i petersburskiego, z których ostatnie pobiéra składki nieco mniejsze od innych. Biorę więc ostatnie. Przypuśćmy, że człowiek 20 letni składa rocznie po 7 rs. 20 kop. przez 35 lat, w takim razie jeżeli emeryturę zastrzegł tylko dla siebie, otrzyma w 55-ym roku życia jednorazowo 700 rs. Może je wprawdzie podzielić na 120 rublowe raty roczne, a wówczas pobiérać je będzie prawie przez lat 6; że zaś w 55 roku ma prawdopodobieństwo żyć jeszcze lat 13, przez 7 więc lat ostatnich

albo nic nie dostanie, albo kasa musi mu dołożyć. Za co? z jakich funduszów?

Jeżeli jednak ów 20 letni człowiek zechce w razie śmierci przekazać komuś swoję emeryturę, wówczas za owe 7 rs. 20 kop. rocznéj składki, on lub jego spadkobiercy dostaną tylko 300 rs. w cyfrach okrągłych. Jest to naturalne, w tym bowiem wypadku kasa ma większe prawdopodobieństwo zapłacenia niż w pierwszym.

Ponieważ cyfry ogłoszone przez towarzystwa ubezpieczeń sam sprawdzałem, stosując do nich tablice śmiertelności (nb. nie nasze) i procenta składane, jestem więc najmocniéj przekonany, że kasa emerytalna niemająca znakomitych dopływów z zewnątrz, lecz oparta na takich jak wyżéj składkach członków, zbankrutowaćby musiała. Sądzę też, że zupełnie niewłaściwie cyfry tak wątpliwéj wartości ogłoszone zostały w piśmie czytywaném przez rzemieślników, którzy oparłszy się na nich mogą roić sobie najniesprawiedliwsze nadzieje.

W tym więc punkcie stanowczo nie podzielam zdania szanownego p. Al. Makowieckiego, którego słowa, jak najsłuszniéj, w innych wypadkach dla rozsądnych rzemieślników stanowią powagę.

Dwa błędy, które zacytowaliśmy, jeden dotyczący kasy chorych, drugi emerytalnéj, świadczą że projektodawcy nie posiadają dostatecznéj ilości materyałów niezbędnych do roztrząsania a co ważniejsza wyrokowania w podobnych kwestyach. To też nie dziw, że wiele pięknych ustaw na takiéj drodze powstałych albo nie weszły w życie, albo gwałtem przystosowane do niego nie wydały oczekiwanych rezultatów.

Dla uniknięcia na przyszłość odskoków między idealnemi wymaganiami ustaw a realnemi prawami rzeczywistości, należałoby przedewszystkiém *zbadać obecny stan naszych klas pracujących* i rezultat tego ogłosić. Ciekawe bo są i nauczające pytania: jak mieszkają, czém się żywią, jakie potrzeby duchowe zaspakajają, co oszczędzić mogą rzemieślnicy? Kto wié, czy zbadawszy bliżéj ich nałogi nie od krylibyśmy owéj fatalnéj szczeliny, przez którą uciekają ich zarobki a wdziera się lichwa, nędza i występek? Kto wié, czy znając przyczyny nie potrafilibyśmy choć w części ich wpływ osłabić? Albożsama kwestya żywienia się klas pracujących nie stanowi jednego z najważniejszych zagadnień społecznych. Czyliż mało pożywne pokarmy nie są przyczyną lenistwa i pijaństwa tak upowszechnionego u nas? Kto wié, czy ścisły rachunek nie wskazałby możności zastąpienia materyałów odżywczych gorszych lepszemi i... kto wié (niech mi wybaczą idealiści!), czy w dalszém następstwie tego nie podniósłby się poziom cnót i rozwagi?

Zdaje się, że postawiliśmy sprawę jasno i że nie popełnimy błędu, odwołując się do istniejącego komitetu. Członkowie jego nietylko mają możność zaspokoić w tym kierunku ciekawość publiczną, ale co ważniejsza mają wolę dobrą, której dowody złożyli. Niech więc posuną się krok naprzód i uchwalą niezbędność dokładnego poznania bytu klas pracujących, niech zresztą pozwolą uczynić to innym w zakresie ich osobistych wpływów, a zrobią rzecz dobrą. Pytania podobne od dawna już roztrząsano na zachodzie, tak że dziś łatwiéjby nam było powiedzieć, jaki procent robotników amerykańskich w mieszkaniach swych posiada fortepiany i dywany, aniżeli ile funtów mięsa i kartofli zjada i ile kufli piwa wypija rocznie nasz rzemieślnik?

Z początkiem roku bieżącego ukazały się dwa pisma, nie powiemy: specyalne, bo wyraz ten odstrasza zazwyczaj czytelników ale posiadające pewien ściśléj oznaczony program. Pismami tem, są: *Ekonomista* i *Zdrowie.*

Odkładając wzmiankę o *Ekonomiście* do następnego numeru, wspomnimy teraz o *Zdrowiu.* Jestto dwutygodnik, kosztujący w Warszawie i na prowincyi rs. 5 a poświęcony higienie i naukom przyrodniczym. Z działu pierwszego znaleźliśmy dotychczas dwa artykuły: O wodzie w studniach warszawskich i o zachowaniu się na stacyach klimatycznych, oba wyższe nad dziennikarskie uwagi, jakiebyśmy wypowiedzieć mieli obowiązek. Z działu drugiego znajduje się artykuł o kolibrach i o ruchu gwiazd stałych. Prócz tego wprowadzono rubrykę przeglądów piśmienniczych i kronikę naukową zapisującą nowe odkrycia i spostrzeżenia z zakresu astronomii, fizyki, fizyologii itd.

Dziwną wydać się może nasza pochopność do udzielania rad pismu z natury rzeczy wymykającemu się z pod krytyki niespecyalisty, popełnimy jednak tę niedyskrecyą, rozumiejąc jak ważnym jest dla nas podobny organ i szczerze pragnąc, aby swój program rozwinął i wśród publiczności znalazł dobre przyjęcie. Otóż sądzimy, że *Zdrowie* dobrze zrobi, gdy najprzód z zakresu nauk przyrodniczych unikać będzie artykułów zbyt ogólnych i zbyt specyalnych. Prawda, że między jedną i drugą ostatecznością niezmiernie trudno oznaczyć granicę, nie mniéj jednak istnieje ona. O ileśmy uważali po sobie i innych, średnio ukształcony czytelnik na artykuły przyrodnicze zwraca uwagę wówczas, gdy one dotykają jakiejś strony życia praktycznego, gdy zaspakajają ciekawość, albo poruszają inne uczucia np. zachwytu, podziwu itd. Rozumié się, że zasadniczy warunek skierowania myśli ku pewnemu punktowi musi być ten, aby czytelnik znał i interesował się opisywaném zjawiskiem lub jakąś częścią jego, po

któréj to nitce autor, czy redakcya przesłać mu może wiadomości zupełnie nowe. Jeszcze raz powtarzam, że odnalezienie nitek podobnych wcale nie jest łatwe, lecz od tego niestety! zależy byt pism specyalnych.

Powtóre, redakcya w artykule naczelnym obiecuje zajmować się tylko higieną, nie dotykając medycyny. Zgadzamy się na to w ogóle, przypuszczając jednak, że od prawidła powyższego dałoby się zrobić wyjątki. Istnieją choroby dość częste i groźne, które w początkach można osłabić nie tyle może lekami, ile zachowaniem się odpowiedniém. Otóż o takich chorobach i sposobach zachowywania się w obec nich, czytelnicy dowiedzieliby się chętnie, tém chętniéj, że w kraju naszym niewszędzie można mieć na każdą chwilę lekarza, a czas wiele znaczy. Tyle o higienie w stanie choroby, co zaś do higieny w stanie zdrowia, niecierpliwie oczekujemy artykułów z téj sfery. Pokarm, odzież, mieszkanie, równowaga między pracą nerwową i muskularną, sen, zabawa i tysiące innych rzeczy, sąto kwestye u nas nie znane lub najfałszywiéj rozumiane. Roztrząsając je w sposób zajmujący, popiérając przykład faktami z praktyki lekarskiéj czerpanemi, redakcya odda publiczności niezaprzeczone usługi.

Ścisły związek ze sprawą szerzenia oświaty mają odczyty, odbywające się w naszém Muzeum przemysłu i rolnictwa. Właśnie w Grudniu i Styczniu urządzono ich dwie serye: p. Gerson mówił o rysunku ornamentacyjnym, a p. Jankowski o ogrodnictwie. Zbyteczném byłoby dodawać, że prelekcye te wypowiadane przez ludzi fachowych posiadały wysoką wartość, lecz, o ile wiemy, natłoku słuchaczy nie było. Wprawdzie Muzeum na lekcye p. Gersona rozesłało do warsztatów 50 biletów bezpłatnych, sprawozdawcy jednak zdają się wątpić o tém, czy wszyscy obdarowani z uprzejmości tèj skorzystali.

Już to wyznać potrzeba, że ciemnota w nasze klasy rzemieślnicze silne zapuściła korzenie i trzyma się ich nie żartem. W Warszawie rzemieślnicy nie dobijają się do odczytów fachowych, w Lublinie cechy swarzą się o fundusze na podtrzymanie szkoły rysunkowéj, a w Kaliszu wprost odmawiają pieniędzy na otworzenie szkoły rzemieślniczéj niedzielnéj. W innych miastach kraju (za wyjątkiem Płocka, który w tych czasach zdobył się na szkołę rzemieślniczą), dla tego chyba o wybrykach podobnych nie słyszymy, że nikt o nowościach nie myśli.

Jestto przecięż dopiéro połowa sprawy, do któréj dołączyć potrzeba małą znajomość klas niższych w osobach pragnących je oświecać. Powodowani najzacniejszemi uczuciami ludzie ci pragnęliby

korcem lać wiedzę w głowy do niéj nieprzywykłe, chociaż doświadczenie uczy, że po operacyi zdjęcia katarakty chorych bardzo ostrożnie przyzwyczajać trzeba do światła!

Czyby to oftalmologiczne spostrzeżenie nie dało się zastosować do nauki? Pamiętajmy bowiem, iż ci sami rzemieślnicy, których dziś ledwie dziesiątki uszczęszczają na lekcye specyalne, setkami wdzieraliby się na odczyty treści ogólniejszéj, osobliwie wsparte przez latarnię czarnoksięzką. Nie owijając rzeczy w bawełnę, powiedzmy sobie wprost, iż rzemieślnik nasz to straszny biédak umysłowy. Nie rozumié on mnóstwa wyrazów, nie posiada większéj części pojęć, które dla klas średnio nawet ukształconych stały się zdawkową monetą, nie umié słuchać i pragnie się zabawić. Czyżby więc nie należało zacząć pracy od fundamentów i zamiast kilkogodzinnych odczytów mających na celu zaznajomienie słuchacza z nauką, czy nie lepiéj byłoby wprowadzić odczyty jednogodzinne, których rezultatem jest zrozumienie przez słuchacza kilku nowych wyrazów i nabranie ochoty do umysłowéj rozrywki.

Odczyt taki niezbędnie wspiérać się musi na okazach, przyczém ważne usługi oddać może tani a wyborny instrument *scioptykon*, rodzaj latarni czarnoksięzkiéj. Do przyrządu tego fabryki wyrabiają mnóstwo wizerunków z zakrésu najrozmaitszych gałęzi wiedzy. Jest tam zoologia i geografia, mineralogia i astronomia, sztuka starożytna, a bodaj czy nie technika dzisiejsza. Każdy się chyba zgodzi, że odczyt nie drogi a pięknemi obrazami ozdobiony ściągnie licznych słuchaczy, a cały szereg ich musi wywrzéć wpływ na umysłowość klas pracujących. Kto nie zobaczy własnemi oczyma cudów nauki, ten usłyszy o nich od szczęśliwszego kolegi, reszty zaś dopełni książka. Myślę, że gdyby Muzeum dostarczyło lokalu i instrumentu, chętni prelegenci łatwoby się znaleźli.

Praktycznem uzupełnieniem odczytów p. Gersona jest otwarcie sali rysunkowéj w Muzeum, które prócz wzorów ma dostarczać uczniom materyałów rysunkowych. Kursa rysunków dla kobiét urządza pastelista p. Maleszewski we własném mieszkaniu. Kto uznaje wpływ nauki rysunku na rozwój gustu i wié jak dalece ogół rzemieślników naszych przymiotu tego jest pozbawiony, ten zgodzić się musi, że dwie nowe instytucye są wcale pocieszającemi objawami postępu, byle się tylko przyjęły!

Rok bieżący przynosi nam uroczystość, która, ze względu na zajęcie jakie dziś już obudziła, dorasta wysokości narodowego święta. Józef Ignacy Kraszewski obchodzi jubileusz 50-cio letniéj działalności literackiéj w kole rodziny, któréj członkiem jest prawie każdy, kto umié czytać po polsku.

Już nie jednostki, ale prowincye i klasy społeczne radzą nad têm w jakiby sposób uczcić zasługi znakomitego męża. Wołynianki szyją dywan, Podlasie zamierza na gmachu szkoły Bialskiéj umieścić pamiątkową tablicę, Lwów bije medal, Żmudź wysyła deputacyą z darami, Wilno wieńce, a Płock pióro złote. Literaci układają zbiorową książkę a malarze i rysownicy chcą wspólnemi siłami ilustrować *Starą Baśń*, jednę z najnowszych prac Kraszewskiego, na których potomkowie nasi uczyć się będą własnéj historyi.

Zkąd pochodzi ten zapał ogólny społeczeństwa, którego synom trudniéj podobno zostać prorokami u siebie niż komukolwiekbądź innemu gdzieindziéj? Oto działalność Kraszewskiego wielce się przyczyniła do wzbogacenia umysłowych zasobów narodu i wzniosła się o wiele wyżéj nad poziom, do którego sięgają zawiści współzawodnictwa, pociski zbyt wymagającéj krytyki i inne siły, z takiém powodzeniem ściągające ludzi z piedestału znakomitości.

Kraszewski próbował nieledwie wszystkich dróg, na które wdziera się duch ludzki. Pisał poezye i dramata, jest dziennikarzem, zajmował się historyą i filozofią. Ale niezrównana giętkość jego umysłu, pamięć, dar obserwacyi, zdolność obejmowania szerokich horyzontów i nadludzkie siły najpłodniejsze wydały owoce i zamanifestowały się najświetniéj w powieści. W niéj przedstawiał on wszystkie klasy społeczne, począwszy od pańszczyźnianych chłopów, żydów i cyganów, skończywszy na marszałkach, książętach, królach i ich ulubieńcach. Przedstawiał tworzenie się narodu, czyny bohatérskie czasów ubiegłych, niepokoje zakochanych, finansowe walki współczesne i powolne zwyrodnienie klasy, która stanowiła niegdyś kwiat narodu, wskazując jednocześnie drogę, na któréj podnieść się może z upadku.

Inny znakomity nasz pracownik, bibliograf K. Estrejcher, ogłosił statystykę prac Kraszewskiego. Według niéj Kraszewski napisał (a wszystko *własnoręcznie!*) 230 dzieł w 440 tomach i 50 tomów korespondencyi. Z dzieł jego przedrukowano 63 w 133 tomach. Rachując, że każde dzieło rozchodziło się w 700 egzemplarzach, otrzymamy prawie pół *miliona* tomów, które rozeszły się wśród społeczeństwa. Nie dziw, że imię autora dobrze znane jest u nas, lecz o to mniejsza. Spytajmy raczéj ile jego myśli i poglądów wsiąkło w ogół i o ile różną byłaby umysłowość nasza, gdyby Kraszewski nie pracował? Nie należy przytém zapominać, że intencye jego zawsze były najuczciwsze, że poglądy nie zamącały głów, a opisy i intrygi nie rozstrajały nerwów. To też w naszéj epoce hałaśliwych reklam i apoteozujących bijografij, na pomniku jubileuszowym, który sam sobie wystawił kraj, dopisać może tylko to proste, lecz wymowne

zdanie: „dobrze zasłużył się społeczeństwu!“, jakiém sprawiedliwa historya nie każdą wieńczy działalność.

Zbytecznémby łoby nadmieniać, że imię Kraszewskiego oddawna zyskało europejski rozgłos, z dzieł bowiem jego 44 przetłómaczono na języki: francuski, niemiecki, rosyjski, włoski, czeski, a nawet holenderski.

W owacyach na cześć Kraszewskiego, Warszawie przypadło miejsce najwydatniejsze, właśnie jak być powinno. W mieście naszém przygotowywują się dwa wydawnictwa. Jedno obejmie obszerny życiorys jubilata, tudzież przegląd i ocenę jego prac we wszelkich kierunkach. Dzieło to niewątpliwie rozejdzie się w wielkiéj ilości egzemplarzy: pominąwszy bowiem cenę z natury rzeczy niewysoką, kupi je każdy, kto czytał prace Kraszewskiego i o całości ich zechce mieć dokładniejsze wyobrażenie. Będzie to książka zbiorowa.

Drugie wydawnictwo obejmą same dzieła jubilata, a oto ich tytuły:

*Rzym za Nerona.—Półdyable weneckie.—Dziś i lat temu trzysta.—Historya o Jonaszu Korczaku i pięknéj cześnikównie.—Sfinks.—Powieść bez tytułu.—Dola i niedola.—Czarna perełka. — Szaławiła.—Jasełka.—Chata za wsią.—Dwa światy.—Pamiętnik Mroczka.—Starościna bełzka.* Razem 15 dzieł w tyluż tomach. Cena oprócz kosztów przesyłki, którą oddzielnie zapłacić wypada, wynosi rs. 7 kop. 50.

Wybór dzieł był bardzo trudny, należało bowiem nieustannie wkraczać w czasowe prawa różnych firm i unikać rzeczy niezbyt dawno przedrukowywanych. Słyszeliśmy zarzuty, że niektóre z wymienionych książek nie jeden już posiada w swéj bibliotece, lecz rady na to nie ma, a właściwie jest ta, aby posiadacz dwu jednakowych egzemplarzy zrobił podarunek tym, dla których nawet obecna cena wydawnictwa okazać się może zbyt wielką.

Na wydawnictwo to kładziemy nacisk, fundusz bowiem jaki się zbierze po strąceniu kosztów ma być własnością jubilata. Rzym weteranów swoich nagradzał ziemią, czasy nowsze zamieniły zwyczaj ten na ofiarę pieniężną, która jako od narodu pochodząca nietylko nikomu nie uwłacza, ale stanowi najwyższy objaw uznania zasług. Rzeczy te wypada wziąć pod dojrzałą rozwagę i nie lękać się hojnych naddatków, aby świat i potomni wiedzieli, że najuboższe społeczeństwo jest dość bogate i szczodre, tam gdzie chodzi o wynagrodzenie uczciwéj pracy wiernego syna. Lista przedpłacicieli w podobnym wypadku nie stanowi jednego ze środeczków popisu, lecz ma historyczną doniosłość i dlatego wydrukowaną powinna być w samém wydawnictwie.

Wypowiadanie jakichś obszerniejszych, czy tkliwszych słów zachęty, uważalibyśmy za obrazę czytelników, kończymy więc przytoczeniem adresu: *Redakcya Tygodnika Ilustrowanego Ul. Nowolipki, Nr. 3.*

Zbytecznem byłoby nadmieniać, że Komitet wydawniczy obowiązany jest we właściwym czasie odnośne rachunki ogłosić. Zresztą stara firma Ungra i nazwiska członków Komitetu pod względem dopilnowania tego rodzaju formalności dają dostateczne rękojmie.

*Aleksander Głowacki.*

---

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**

# KRASICKI.

## ŻYCIE I DZIEŁA.

### KARTKA Z DZIEJÓW LITERATURY.

PRZEZ

**J. I. Kraszewskiego.**

*(Ciąg dalszy).*

A cnéj pisania sztuki z dowcipem i gustem,
Tyś pierwsze dał przykłady pod naszym Augustem.

*Trembecki.* Gość w Heilsbergu.

Nastąpił pierwszy podział Polski; Warmia przypadła Prusom, Krasicki z dyecezyą swą odciętym został od Rzeczypospolitéj.

Chcąc pozostać przy królu w Warszawie, potrzeba było wyrzec się chyba biskupstwa, czego zobojętniały i obrażony król nie wymagał zapewne. Musiał więc Krasicki, godząc się z przeznaczeniem, pozostać przy swéj katedrze i złożyć hołd nowemu panu, którym był Fryderyk II, przyjaciel Voltaire'a, najzłośliwszy i najprzebieglejszy z ludzi, najumiejętniéj wyzyskujący każdego. Nie potrzebujemy kréślić znanego wszystkim wizerunku téj charakterystycznéj postaci, którą tak trafnie Macaulay odmalował.

Sława księcia Biskupa Warmińskiego uprzedziła go w Berlinie, ale i on sam ukazawszy się nie mógł nie podobać się królowi. Dowcipny, wymowny, łagodny, Krasicki przypadł do smaku, chorującemu na dowcip i autorstwo Fryderykowi. Nawzajem król pozyskał sobie Biskupa i grając przed nim rolę dobrodusznego, grzecznością, miłe-

mi słówkami, wreszcie aureolą swéj sławy filozofa i wodza podbił go zupełnie.

W charakterze Krasickiego nie było stawać z kimkolwiek do walki, wolał żyć w pokoju dla prac swoich. Uprzejmość króla uczyniła go wielbicielem człowieka, który olśnić go umiał fałszywą dobrocią i poufałością przybiérającą serdeczności pozory.

W jednéni z pierwszych zapewne spotkań z Fryderykiem II, król filozof żartobliwie się wyraził, iż ma nadzieję że go, potępionego heretyka, Biskup pod swym płaszczykiem do nieba wprowadzi.

— Nie wiém czy się to uda, miał odpowiedziéć Biskup, bo W. Kr. Mość bardzo mi ten płaszczyk okroiłeś kuso.

Stosowało się do umniejszonych znacznie intrat biskupstwa Warmińskiego. Rozśmiał się na tę dowcipną odpowiedź Fryderyk i miał jakoby straty poniesione ofiarą 50.000 talarów wynagrodzić. O czém powątpiewamy bardzo, przy znaném skąpstwie króla. Zapraszał tylko często bardzo miłego Biskupa do Sans-Souçi i naznaczył mu tam nawet apartament po niewdzięcznym Voltairze. Ten pobyt w mieszkaniu poety, autora Henryady, miał natchnąć Krasickiego do napisania Monachomachii; nie zdaje się to nam prawdopodobném.

W pierwszych chwilach zmiany położenia, dostania się pod rządy nowe, Krasicki był trochę niespokojnym o przyszłość. Widać to z listu do brata, w r. 1773 (z Heilsberga d. 18 Marca).

„Przyjazd królewski w te kraje“, pisze, „będzie sytuacyą naszę decydował, i, nadzieja w Bogu, że nie będzie ona tak zła, jakeśmy się z początku obawiali.“

Biskup już się całkowicie na starém zamczysku biskupiém urządził. Widać z téjże korespodencyi, że w tym czasie zachodziły jakieś układy familijne, Krasicki miał w nowym dziale, czy zamianie z bratem, „ulubiony“ sobie Dubieck otrzymać. Brał na siebie pensye młodszych braci, Karola, Marcina, Ksawerego; lecz projekta te do skutku nie przyszły.

Oddalenie się zupełne Krasickiego z Warszawy, poddanie się królowi pruskiemu, musiało wzmódz jeszcze żal Poniatowskiego. W r. 1774 (24 Luty) pani Geoffrin zapytuje:

„Gdy mowa o Biskupie, proszę W. Kr. Mości pozwolić mi zapytać co tam słychać o Biskupie Warmińskim. Jestto prototyp wszystkich niewdzięczników, jacy kiedykolwiek byli i będą na świecie. Wieleż to W. Kr. Mość niewdzięczników narobił.“ Jak widzimy, zawsze taż sama piosenka.

Zmniejszone znacznie dochody biskupie i kapituły nie przeszkadzały Krasickiemu przesiadywać w Berlinie i dosyć kosztownie

urządzać się w Heilsbergu. Nie żałował na to i własnego grosza którego mu brat dostarczał.

W r. 1773, ze składek zbudowany, pierwszy katolicki kościół Ś. Jadwigi, otworzył Biskup d. 1 Listopada. W następnym roku na kapitule we Frauenburgu d. 18 Maja uchwalił nowe przepisy karności i podziału uszczuplonych bardzo przychodów duchowieństwa.

Nie zaniedbywał więc swych obowiązków pasterskich.

---

W roku 1775 wychodzą nareszcie pierwsze poemata Krasickiego, na wygnaniu Heilsbergskiém prawdopodobnie napisane lub wykończone. Ukazują się one w Warszawie i zdają się torować drogę do przejednania z królem.

Chociaż bajki, niektóre satyry i listy wprzód były znane, poemat żartobliwy pierwszy długi szereg dzieł naszego pisarza rozpoczyna.

Jestli Myszeis alegoryą, pod któréj szatą kryją się pewne osoby i wypadki? wątpimy o tém nieco, to pewna, że koty, szczury i cokolwiek się tu nastręcza poecie, służy mu za doskonały pretext do przypinania łatek wadom narodowym, zręcznego prześmiewania obyczajów wypaczonych. Ani owych Gryzomirów, ni Filusiów nikt dziś już po imieniu nazwać nie potrafi, chociaż kryć się w nich mogą pewne intencye, aluzye, charaktery, które współcześni rozumieli.

Charakter poematu jest przedewszystkiém satyryczny, tak jak większéj części pism Krasickiego, ale satyra jego łagodną jest, grzeczną, delikatną i cała jéj siła na ironii polega.

Nie obfitowała literatura polska dawna w poezye dowcipne a wytworniejszego smaku. Kochanowskiego Fraszki, wesołe i trefne, obyczajem wieku były słone i dobitne, inne ucinki i fraszki naśladowców jego, aż do Wacława Potockiego, który z potęgą słowa, jaką miał od natury, nigdy się nie drożył, a wszelaką rzecz i sprawę po imieniu zwykł był nazywać, tłuste są, zaprawne mocno, więcéj siłą i śmiałością niż wyszukaném słowem celując.

Wesoła, krotochwilna a skromna razem poezya, gdzieniegdzie tylko na sposób francuski kolcem (pointe) opatrzona, prawie u nas była nieznaną. Co Shakespeare mówił na scenie do społeczności najwytworniejszéj angielskiéj XVII wieku, uchodziło u nas poetom. Słowo naówczas cyniczném było, choć pewnie nad dzisiejsze omówienia umiejętne, nie plugawszém.

Ton ironiczny, delikatny, salonowy, dworski, zręczne posługiwanie się słówkiem, wykończenie perłowe, haft pracowity z jakim

Krasicki występuje w Myszeis, były naówczas rzeczami zupełnie nowemi, wielce wdzięcznemi i musiały czytających zachwycać.

Ani jędrny a patetyczny Trembecki, ani napuszony Naruszewicz, ani swawolny Węgierski tego brylantowego stylu nie mieli. Po Krasickim go też nikt nie wziął w spadku; został jego wyłączną właściwością.

Jak forma i styl, tak język tu zjawia się nowy. Coś w nim zostało z łacińskiéj edukacyi, ale czuć, że potém przeszedł szkołę francuską, z pedantyzmu szkolnego się otrząsnął, ufryzował i uperfumował. Styl to i język harmonijny, dźwięczny, oszlifowany starannie, pieścidełko a cacko.

W dodatkach do pism Krasickiego (T. VIII. 242), wiersz przy oddaniu Myszeidos dowodzi, że autor miał przedewszystkiém na myśli tego króla, co go niewdzięcznikiem nazywał, zabawić i rozerwać. W istocie nigdy więcéj Stan. August pociechy i roztargnienia nie potrzebował.

Zatrudnionemu szczęśliwością kraju,
Przynosić fraszki rzecz nader zuchwała,
Nie zna prostota dworów obyczaju,
Na co się mogła zdobyć to oddała.
Gdy baba latać będzie, lub gdy kichnie,
Dosyć dla niéj gdy się pan uśmiechnie.

Tak pierwociny swe niósł jednak Krasicki dawnemu królowi, może aby nadąsanego przebłagać.

Forma obrana przez poetę ośmiowierszowych strof (Kochowskiemu już znana) dowodzi, że chciał coś kunsztownie wykończonego stworzyć, nie lękając się trudności jakie nastręczała. Wiersz też płynie niby muzyce gwoli, mierzony pięknie, strojny, zręcznie się uginający jak tanecznica, na któréj twarzy migają myśli wesołe, to szyderskie, niekiedy poważne i prawie smutne. I to stanowi cechę poematu że, na pozór będąc żartobliwym, w istocie pełen jest satyry ostréj, nauk moralnych. W pierwszéj zaraz pieśni dwór Popiela opisany cale nie na żart, piórem sędziego co nie przebacza.

Zniewieściałego państwa faworyci
Harpije państwa, krew poddanych ssały,
Łupem zdartego ubóstwa nie syci....
. . . . . . . . . . . . . . . . . .
A dzieląc z panem władzę tronu ślizką,
Sobie rząd dali, a jemu nazwisko.
Zamiast odgłosu wojennego hasła,
Słychać tam było same biesiadniki,
Ochota mężna zupełnie wygasła.

I zapomniane marsowe okrzyki,
Trzoda nikczemna rozkosznie się pasła,
Przy słodkiém brzmieniu przyjemnéj muzyki
Miedziane bramy uwieńczały róże,
A Nymf orszaki były twierdzy stróże.

Nie możnaż by posądzić, że piszący miał na myśli epokę Augusta Mocnego? Zobaczymy daléj.

Cały ten początek, w którym znajdujemy i owo zdanie: „trucizna kraju za grzechy monarsze" i owę strofę śliczną „Dwór pański źródłem występków lub cnoty i t. d." do właściwie żartobliwego poematu nie nastraja. Przegląda myśl surowsza, rzeklibyśmy niemal za cięźka na tę tkaninę lekką, w którą ją spowito.

Król Popiel ów tedy, zakochany najprzód w myszach, niestałéj będąc natury, polubił potém kota Mruczysława. Myszy z łaski wypadły zupełnie, poczęto je srodze prześladować. Taka jest treść pierwszéj pieśni, w któréj opis Kruszwicy i dworu pańskiego główny rys stanowi. Uciśnione myszy i szczury (P. II) uciekają się do króla swojego Gryzomira do Gniezna i składają radę.

Ta rada myszy i szczurów (naturalnie szlachty i magnatów), wzajemnie się gryzących od dawna, odmalowana tak, jakby wzór do niéj z jednego z ostatnich sejmów za Augusta III był wzięty. Czuli to tak dobrze współcześni, iż się całych jéj ustępów na pamięć uczono:

Nie bez przyczyny pobudzał do zgody i t. d.

Można w tém widziéć zarówno aluzyą do senatu i izby poselskiéj jak do Polski i Litwy, gdy nie jeden raz gorące między posłami o prioritas głosu i miejsca spory się wiązały.

Rzecz to niby żartobliwa, w istocie smutna. Widać, że autor nie dla śmiechu dotknął, w sposób tak dobitny rozszerzając się nad nią, niezgody, która była zawsze przeszkodą do wszelkich uchwał zbawiennych.

Myszy sarmackie (P. III) wysyłają do innych krajów, prosząc o pomoc. Z drugiéj strony Mruczysław zbiéra koty i przygotowuje się do wojny. Tu jest opis myszy różnych krajów z ich charakterystyką.

Brzegów Sekwany wymuskane, śliczne...
. . . . . . . . . . . . . . . . . .
Nim hasło bitwy wodzowie dać raczą,
One tym czasem pląsają i skaczą.
Dunajskie szczury harde i ponure
. . . . . . . . . . . . . . . . . .
Z nad Tybru trwożne, gdy chodzi o skórę,

Od Elby srogim bojem znamienite,
Tamizy dzikie i sławne w rozpustę (?)
Szwajcarskie wierne, opasłe i tłuste.

Wśród srogiéj walki, król pierzchnął, i myszy pokonane rozbiegły się na wsze strony. Ale na placu krwawego boju legł kot, fawoyt królewnéj Duchny, Filuś.

Tonem zrazu poważnym niby (P. IV) treść coraz lżejsza się opiewa. Początek czwartéj pieśni ma zupełnie epiczne zacięcie. Tu sławny wizerunek kota Filusia, już lżejszym piórem skreślony. Królewna rozżalona feruje wyrok zagłady na całe mysze plemię. Kończy pieśń, w przysłowie zmieniony wiersz:

My rządzim światem, a nami kobiéty.

Jestto wiekuista prawda, lecz nigdy ona tak nie biła w oczy, jak za panowania Poniatowskiego.

Wstępna strofa piątéj pieśni jest najlepszém owego czasu określeniem, czém bajka być powinna. Często przywodzono ten ustęp.

Bajka częstokroć sens moralny mieści,
Ztąd Ezop bajką sprawiedliwie słynie,
Źle czyni, który gardzi przypowieści,
Smaczny to owoc choć w podłéj łupinie.
Dźwięk słów wybornych uszy tylko pieści
Jeśli z nich zdatna nauka nie płynie,
Natenczas blaskiem czczym tylko jaśnieją,
I nakształt próchna świécą, a nie grzeją.

Uciekający z placu boju Gryzomir dostaje się do chaty czarownicy i zgłodniały wpada w łapkę. Opis chaty owéj wiedźmy wyborny. Ulitowawszy się nad nieszczęśliwym, czarownica bierze go z sobą na łopatę i leci na Łysą Górę. Epizodycznie przychodzi tu choroba króla Mruczysława, leki i uzdrowienie.

Król, który zdrowia szczerze sobie życzył,
Wszystkich (doktorów) wypędził, i tak się uleczył.

W szóstéj pieśni wracamy na łopatę, na któréj siedząc Gryzomir z głodu zawędrowuje do latarni, podgryza świécę, a czarownica razem z latarką niepotrzebną zrzuca go na ziemię. Gryzander, brat króla Gryzomira, zbiéra niedobitki armii i prowadzi je dla rekonfortacyi do gumna lichwiarza. Przemowa do wojsk pełna patetyczności i erudycyi. Lichwiarz, który w Boga nie wierzył a w niedzielę pościł, jest odmalowany *con amore*. Tymczasem córka Popiela boleje zawsze po stracie Filusia, a król zwołuje radę, obmyślając środki jakby się pomścić na myszach.

W siódméj pieśni opiéwa poeta dalsze przygody Gryzomira, który z latarką spada na grób Filusia i pochwycony już ma paść

zemsty ofiarą, gdy czarownica protegowanego ratuje, zmuszając wszystkich, za pomocą ziółek zaprawnych, do straszliwego kichania.

Więcéj zdrowego humoru jest w pieśni następnéj, w któréj znajduje się dużo tych szczęśliwych wierszy, co się w przysłowia i frazy pospolite zmieniły.

— Jest to na tuzie czerwiennym pisano.

---

Niech tylko czterech, pięciu razem radzą,
I nic nie zrobią i pewnie się zwadzą.

---

Powtarzano przemowę Radcy króla Popiela:

Za nie rozjadłych Garamantów ciosy, jakby ze Swady przepisaną.

Rada długa, mądra, kończy się uchwałą:

„Niech pan to robi, co mu się podoba.“

Wizerunek Senatora może być z natury:

Zamilknął jeden z Senatorów dawnych,
Od czasów kilku dyzgracionowany
Za to że zbytnio szperał w księgach prawnych.
Nie tak się stroił jak inne dworzany,
Nie śmiał się z kocich igraszek zabawnych,
Nie chwalił w radzie ministry i pany.
Od innych przeto zupełnie odrodny,
Mądry, poczciwy, cóż kiedy nie modny.

Takie zaostrzania strof ostatnim wierszem na sposób francuski często się spotykają.

Powtarzano i ów wierszyk dwuznaczny z téj pieśni:

A wreszcie, gdy to nikomu nie szkodzi
Wierzmy z pospólstwem a śmiejmy się w ciszy.

Początek dziewiątéj pieśni z własnego doświadczenia wyczerpnął poeta:

Kiedym był młodszy i jam téż wędrował,
Co i z drugiemi téż się ze mną działo.
Nierazem próżnéj włóczęgi żałował,
Nieraz sposobów i wątku nie stało.
Rzadki z ustawnych podróż profitował;
Kto zyskał temu szczęściem się udało.
W pielgrzymowaniu kto czas drogi trawi,
I innych trudzi i sam się nie bawi.

W pieśni téj znajduje się ta sławna strofa (Święta miłości kochanéj ojczyzny), którą wszyscy na pamięć umieli, ona téż perłę

i klejnot stanowi w poemacie. Lecz, wróćmy do treści. Gryzomir prowadzi zastępy do boju, w morderczéj walce szeroko opisanéj, ginie Mruczysław. Popiel (P. IX), dowiedziawszy się o przegranéj swych faworytów, upija się z rozpaczy, ucieka na wyspę i myszy go zjadają. Ostatnia pieśń znowu do najstaranniéj opracowanych należy, i jak zwykle na zakończenie strof zachowuje Krasicki wiersz najdelikatniéj, najkunsztowniéj zaostrzony, tak na ten epilog, wszystek humor i dowcip swój wysypał. Któż sobie nie przypomni w młodości słyszanego początku pieśni:

Gdybym był królem lub jaśnie wielmożnym.

Zakończenie drugiéj strofy najwidoczniéj jest aluzyą do losu króla Stanisława Augusta.

Dla czego winien? bo najwyżéj siedzi.
Takie nieszczęście dobrych królów czeka.

Podobały się naówczas i dwie strofy, w których więcéj jest dowcipu niż historycznéj prawdy.

Trunkiem się wielkie dusze upadlały,
Leszków i Mieszków on na złe przemienił.
Bolesław z męztwa okrzykniony, śmiały,
Miodem kijowskim cnoty wykorzenił.
Poległ na uczcie Przemysław wspaniały,
Gdy się w Rogoźnie do kufla nie lenił.
Kazimierz Wielki a przecięż kwaterką
Łykał miód smaczny w Łobzowie z Esterką.
Olbracht w Krakowie berdyszem raniony,
Gdy się pijany uwijał po Rynku.
Stefan, ów Stefan dziełami wsławiony,
Połknął śmierć w Grodnie z ustawnego szynku.
I nasz Władysław słusznie uwielbiony,
Przecie pedogry dostał w upominku.
Zawżdy w pijaństwie dziwne rzeczy broił,
August Sas Polskę do resztę rozpoił.

Żartobliwe rysy się mnożą:

Podskarbi skrzętność okazując czułą,
Zostawił klucze, sam uciekł z szkatułą.

Wezwaniem Kadłubka i strofą dosyć słabą kończy się wreszcie poemat:

Szczęśliwy, kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył,
Bądźcie łaskawi, jam pracy dokończył.

Mogła owa Myszeis uchodzić swojego czasu za arcydzieło, miała tę największą zaletę pono: że się mile czytać dawała, że bawiła, że wiersz jéj łatwo tkwił w pamięci, że była czémś, co się bez

trudu przełykało i smak po sobie zostawiało przyjemny; podobała się jéj forma udatna, wiersz potoczysty, aluzye mnogie—ale!

Ale tylko w końcu XVIII w., wydziedziczonym z dzieł ducha i natchnienia, poemat w rodzaju Myszeis mógł mieć wielkie powodzenie.

Satyra, fantazyjka, ramy w które pięknie ogładzone dały się pomieścić wiersze różne, jako pomysł i budowa Myszeis nie wytrzymuje krytyki. Samo rusztowanie jest nader niezręczne. Mięszanina w niéj powagi i prawdy z ironią i szyderstwem nie zawsze jest szczęśliwa. Pierwszéj jest może za wiele, drugiéj za mało na takie zadanie.

Zdaje się, jak gdyby srogi ból owych czasów smutnych szyderstwu nie dawał przejść przez usta i zmieniał je w jęk męczeński. Cały koloryt humorystyczny, a łzy nań padają gorzkie. Z pod ironii przebija się oburzenie, dobywa smutek, kole satyra.

Ustępy są piękne, całość nieforemna.

Gdyby koniecznie chciano szukać jednego klucza do całego poematu, chyba by się znalazł w czasach Augusta II-go. Chociaż sejmy za Poniatowskiego lepsze nie były. Popiel ów pijak zarywa na Sasa, dwór jego, faworyty przypominają fantazye pańskie. W myszach ze szczurami i kotach, naciągając chyba możnaby znaleść Polaków i Sasów. Autor z pewnością myśli jednéj w planie swym nie miał, ale zużytkował każdą zręczność, aby bryznąć prawdą w oczy. Śmiesznie jest w greckiéj Batrachomiomachii szukać do Myszejdy wzoru, prędzéj tego rodzaju poemata francuskie dostarczyły go, chociaż Krasicki ma formę sobie właściwą, ton tylko i ogólny koloryt przypomina może Gresset'a.

Pomimo kruchéj i wątłéj swéj budowy, Myszeis dla pięknego wiersza, dla ustępów niektórych, dla języka, dla wdzięku tego jaki Krasicki umiał nadać wszystkiemu co pisał, powszechnie się podobała, wzbudziła zapał, postawiła wysoko poetę. Wchodzi w rachunek, że była pierwszą i w swym rodzaju jedyną, że nic podobnego nikt naówczas nie słyszał po polsku. Ironia tak przypadała do smaku, satyryczne aluzye tak trafiały w myśli i usposobienia! Słowem, Myszeis umiała urodzić się w porę, a język jéj i styl był czémś tak niesłychaném a wdzięczném, że musiał zachwycić.

---

Razem z Myszejdą ukazała się Monachomachia. Mó wią, że się ona miała narodzić w Sans-Souçi, w pokojach po Voltairze danych Krasickiemu przez Fryderyka II. Nie zdaje się nam to prawdopodobném, ale na wezwanie króla filozofa, aby coś Voltairowskiego stworzył w tém miejscu pamięcią jego napiętnowaném, nie mógł

Krasicki lepiéj odpowiedziéć jak tym poematem biskupim przeciw Mnichom. Co do formy, ta w nim z wszystkich może większych kompozycyj autora jest najudatniejszą. Treść i ona idą w parze, autor obraca się swobodnie, wesoły jego dowcip błyska co chwila, karykaturalny świat mnichów zgnuśniałych, opasłych, żarłocznych, zdziecinniałych w próżnowaniu, jaskrawo i wybitnie wychodzi.

O ile biskupowi katolickiemu żart taki stroić sobie z zakonów, było w téj właśnie dobie przyzwoitém i właściwém?—każdy łatwo osądzi. Byłoto dobijać tych, których już i tak ścigało prześladowanie, szyderstwo, potwarze i sądy najnamiętniejsze.

Krasicki nie miał zapewne zamiaru powstać w Monachomachii ani na instytucyą, ani na myśl co ją stworzyła, nie tknął Jezuitów ani Pijarów, ominął prawie zakony żebracze Ś. Franciszka, padł całą siłą na strupieszałe klasztory, których cel pierwotny został zapomniany i spaczony, na Karmelitów, Dominikanów, Augustyanów, na zgromadzenia, które się ani wychowaniem, ani szpitalami nie zajmowały i miały niby wieść żywot ascetyczny, a wiodły próżniaczy.

Odrodzenia ich i reformy a choćby zniesienia mógł słusznie żądać, poemat niby nie tykał zasady, wyśmiewał nadużycia, karcił zepsucie; poeta wszakże nie obrachował siły swojego szyderstwa i poszedł za daleko. Przy usposobieniach XVIII w. poemat przeciw Mnichom w ogóle, napisany przez biskupa, był ciosem dla nich bardzo ciężkim. Okrył on śmiesznością suknię zgromadzenia ludzi niewinnych, odjął stanowi poszanowanie, postawił nieszczęśliwych pod pręgierzem.

Każdemu innemu uczynić to było wolno, dziwném musi się wydać w biskupie, którego położenie stawiało w możności wpływania na reformę innemi środkami, dla którego suknia powinna była choć strupieszałe instytucye osłaniać. Lecz możeż być co charakterystyczniejszego, nad ten poemat przez biskupa napisany, wystawujący mnichów jako bezmyślną trzodę głupców, wylanych tylko na dogadzanie ciału, a przestarzałą nauką osowiałych?

Widać, że zakony, przeciw którym naówczas, sam niedawno wywleczony pisał i Naruszewicz, uczuły to oplwanie i szyderstwo, jakie na nich spadło z wysoka, gdyż w sześć lat potém wydał Krasicki Antimonachomachją, niby się tłumacząc i uniewinniając i chcąc pierwszego pematu znaczenie osłabić.

Ta poprawa, od samego poematu daleko słabsza, rozwlekła, chociaż w parze chodzi z Monachomachją, mniéj ma daleko dowcipu i świeżości.

Treść poematu jest—tak jak żadna. Krasickiemu zawsze brak

kunsztu w zarysowaniu głównych linij i pomyśle, celuje w drobnych rzeźbach, ozdobach i szczegółach.

Znudzeni bezczynnością, podrażnieni współzawodnictwem mnisi zbierają się na dysputę, kończącą się walką i bojem. Wniesione *Vitrum gloriosum*, rozognione umysły, serca zajątrzone uspokaja cudownie i pokój sprowadza. Na tém tle dosyć zamgloném występują karykaturalne postacie ogromnych, roztyłych, zaspanych i podpiłych mnichów, z których naówczas drwiono sobie powszechnie. Oprócz innych przywar występuje tu i nieuctwo przybrane w formy dziwaczne przestarzałéj scholastyki bezmyślnéj a bombastycznéj.

Nie ma w tém głębszego nic, ale dowcip świetny, wesołość rubaszna, ucinki ostre, zręczne sypią się gradem. Mnóstwo imion, zwrotów, opisów z Monachomachii pozostałych w ustach i pamięci współczesnych, świadczą jak pocisk rzucony utkwił u celu.

Ojciec Gaudenty, bodaj od Naruszewicza pożyczony, stał się typem.

Mnóstwo wyrażeń w rozmowach powtarzano; między innemi wyśmienity ów wiersz:

Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty.

Czciciele trzeźwego Stanisława Augusta, umieli na pamięć wiersze do niego wystosowane:

Z góry zły przykład idzie w każdéj stronie,
Z góry naszego nieszczęścia przyczyna.
O ty! na polskim co osiadłszy tronie,
Wzgardziłeś miodem i nie lubisz wina,
Cierpisz pijaństwo że w ostatnim zgonie,
Z ciebie gust książek a piwnic ruina.
Tyś naród z kuflów, szklenic, beczek złupił,
Bodajeś w życiu nigdy się nie upił.

Równą popularnością cieszyła się strofa, będąca parodyą.. Świętéj miłości kochanéj ojczyzny.

Wdzięczna miłości kochanéj szklanice.

Reakcya już dokonana w świecie, przeciwko filozofii scholastycznéj, pseudo-aristotelesowéj, poparta została lekką a ostrą bronią dowcipu w téj sławnéj zwrotce.

O ty, którego żaden nie zrozumiał
Gdy w twoich pismach błąkał się jak w lesie,
O ty, nad którym nieraz się świat zdumiał,
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Bądź pozdrowiony Aristotelesie.

Arcydziełem w swoim rodzaju jest napuszona mowa defendenta, powtarzana często dawniéj:

Na płytkim gruncie rozbujałych fluktów, zakończona wspaniałém:

Przeniosłeś w sławie Sfinxy i Fenixy,
W dziełach Euryppy, Bucentauri, Dixi—

w tejże pieśni znany jest obrazek dewotki:

Muszki z różańcem, wachlarz przy gromnicy,
Przy Hyppolicie głos sinogarlicy
Dewotka ta, znana nam i z bajki,
Z cicha kaleczy, zabija pobożnie.

Na wszyskich ustach był początek pieśni piątéj.

Śmiejmy się z głupich choć i przewielebnych.

Śmiano się też nawet z tych przewielebnych, którzy wcale nie byli głupimi, tylko przewielebnymi; bo śmiech zaraźliwym jest.

Pełno takich powiedzeń co się utrzymały w spuściźnie, zostając po Monachomachii.

W szyszaku, czapce, w turbanie, w kapturze,
Wszyscyśmy jednéj podlegli naturze.

---

Próżność nauka, najszczęśliwsi głupi.

Groźba na końcu umieszczona:

Nim pochwalisz—spalę,

nie ziściła się. Chwalono znać poemat, a jakże go miano nie chwalić? W udatnéj formie wtórował głosom wieku, jego programatowi. Nie byłato walka już, ale dobijanie.

Z tego co w pamięci pozostało wnosić łatwo jak ogromny rozgłos miała wojna mnichów. Stała się ona jednėm z najbardziéj rozpowszechnionych, najulubieńszych pism Krasickiego.

Witano po dworach wyjątkami z niéj biednych kwestarzy, imiona bohatérów nadawano Mnichom, rzucano im w oczy ten wyrok biskupi. Śmiało powiedziéć można, że do odebrania wpływu i znaczenia zakonom poemat ten najwięcéj się przyczynił, więcéj pewnie, niż bezecna współczesna Historya Naturalna Mnichów, po polsku wydana. Poeta z pewnością ani obrachował, ani się spodziéwał tego skutku; mógł pożałować go nawet, gdy późniéj młodzieńcza krewkość przeszła.

Antimonachomachia, którą tu łączymy, choć w sześć lat późniéj była wydaną, mniéj więcéj na ten sam sposób jest napisana, ale w niéj daleko mniéj dowcipu, i nie przypadła też tak do smaku czytelników. Z małemi bardzo wyjątkami, nie ma tu już tych wierszy

szczęśliwych, które utkwiły w pamięci pokoleń. Zaledwie gdzie niegdzie trafiamy na powtarzane:

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi.

---

Najlepiéj bajkę i bajacza spalić.

---

Jeźli plebejusz, zbić go bez litości,
Jeżeli szlachcic, pozwać Jegomości.

Prawda ukryta na dnie puharu, zaręcza za poetę, że:

Przychylność jego, która nie jest płocha,
Tem się obwieszcza, że was szczerze kocha.

Poemat kończy się dwuwierszem:

Jeżeli potwarz, sama pełznąć zwykła,
Jeżeli prawda, poprawcie się. Znikła.

Tak więc nie zguby grzeszników, ale poprawy tylko żądał Biskup, nie kassaty, ale reformy.

Bądź co bądź—dwa te poemata, z całym dowcipem pierwszego nietrafnie, zalekko pomyślane były.

Z całą ciżbą XVIII w. bić na zepsucie już jawne, dowiedzione, smutne, osłony miłosiernéj i naprawy potrzebujące, było to, wedle francuskiego przysłowia, szturmować do drzwi otwartych, dobijać leżących na pobojowisku. Duchownemu rola ta nie przystawała, ale dowcip, ten napastliwy demon, oprzéć się nie mógł pokusie korzystania z tak wyśmienitego przedmiotu.

Zakony te jednak miały swe cywilizacyjne zasługi, posłannictwo swoje, ideę, którą żyły, a któréj zbutwiałe szczątki należało poszanować jak zwłoki umarłych.

Dwa te poemata, o których wpływie mówiliśmy, nie mały też wywarły na późniejsze sądy o poecie. Można powiedzieć, że się na nim pomściły za dobitych mnichów.

Nadały one niesłusznie charakterowi Krasickiego piętno jakiegoś niedowiarstwa, sceptycyzmu, obojętności religijnéj.

Bliżéj badając i charakter ten i pisma, przekonywamy się, że zarzuty są niesłuszne. Krasicki nie był fanatykiem, ani chciał się z pobożnością swą sławić przed światem; miał jednak w duszy głębokie uczucie religijne, o czém przekonywają nietylko mnogie ustępy w panu Podstolim, ale niezliczone myśli, nauki powtarzane w pismach innych. Pobożność jego nie miała może tych form wyszukanych, bijących w oczy, które częstokroć sceptycyzm okrywają,—o niewiarę go jednak posądzać nie można.

Wszyscy późniejsi biografowie zadają mu indyferentyzm, opiérając się na Monachomachii, któréj sam poeta doniosłości i znaczenia nie przewidział.

Pomiędzy sceptycyzmem a uczuciem religijném, cichém i nieobjawiającém się dla okazu, przestrzeń jest wielka. Krasicki zmuszonym był ciągle prawie obracać się wśród ludzi absolutnie w nic niewierzących, walkę staczać nie było w jego charakterze, pojąć więc łatwo, że to, czego nadaremnie bronić nie mógł, musiał od napaści ukrywać. Epoka rzuciła nań to fałszywe światło, w którém wydaje się, jak inni, sceptykiem, choć nim nie jest.

---

Sąto lata największéj płodności naszego pisarza; w roku 1776 wychodzi Doświadczyński.

Powieść ta ukazała się w chwili, gdy polskiéj oryginalnéj książki, któràby wszyscy czytać, rozumiéć, rozerwać się nią, nauczyć z niéj czegoś mogli, nie było wcale. Nowością wielką było takie opowiadanie, zarówno prostaczków i uczonych zajmujące, w którém rzeczywistość splatała się z fantazyą bujną, ówczesna filozofia z nieuniknioną satyrą, dowcip z nauką moralną.

Początek przypadków Doświadczyńskiego, jako obraz obyczajów epoki Augusta III, wzięty z natury, jest w swym rodzaju arcydziełem. Trybunał lubelski z takim kunsztem narysowany wziął autor, *mutatis mutandis*, z tego, w którym marszałkował. Zmieniło się już było cokolwiek na lepsze za panowania Stanisława Augusta, lecz wiele rysów jeszcze się nie zatarło. Przygody młodzieńca na wyjezdném z kraju, pobyt jego w Paryżu z równą prawdą i werwą są odmalowane. Cały ten wstęp, do którego może autor mniejszą przywiązywał wagę, jest dziś dla nas najcenniejszy.

Po tych realistycznych obrazach życia następuje awanturnicza podróż, przygody i owa wyspa wszelkich szczęśliwości (Nipu), na któréj ludzie bez żelaza, bez złota, bez nauk, bez cywilizacyi, w błogim stanie idealnym natury—wiekuistym, niezamąconym żyją spokojem! Obraz ten sielankowy, w którym doktryny XVIII w. tak wybitnie występują, przypominający i Rousseau i Voltaire'a w jego tendencyjnych powiastkach i mnogie podobne elukubracye pseudo-filozofów XVIII w.—jest zupełnie chybiony, mdły, a, co najgorzéj, mógłby w autorze dowieść zupełnéj nieznajomości natury człowieka, gdyby—atmosfera wieku, którą oddychał, nie stanowiła pewnego rodzaju „okoliczności łagodzącéj."

Wiek XVIII widział dobrze wszystkie staréj cywilizacyi wyboczenia, wady, szkopuły, ale na nie szukał ratunku nie na rzeczywistéj

opiérając się podstawie, ale na jakiéjś wymarzonéj, idealnéj, z fałszywych pojęć ciągnionéj. Gotów więc był zrzec się cywilizacyi, jéj przypisując wszystko złe, a z pomocą logiki dziwacznéj przypuszczając stan natury, stan doskonały jakiś, do którego należało powrócić, zupełnie się obłąkał.

Krasicki także zapragnął odmalować ten stan natury i dosyć dziecinnie, za przyczynę wszelkiego zła poczytując użycie kruszców, żelaza i złota, idealną swą społeczność najprzód pozbawia toporów, nożów i pługów—aby ją zabezpieczyć od zbrodni!

Maluje potém jakąś komunistyczną społeczność, obawiającą się scyzoryka, jak gdyby kamieniem w łeb, a nawet pięścią, mając ochotę po temu, nie można palnąć równie skutecznie.

Cały ten ustęp, który niewątpliwie autorowi wydawał się najszczęśliwszym pomysłem—dziś najbardziéj nawet pobłażliwego rozbioru nie wytrzymuje. Takich wysp szczęśliwych i społeczeństw wzorowych a nie ludzkich, począwszy od XVI w., namalowano obfitość wielką, jedne nad drugie dziwaczniejsze. Ściśléj wnikając w zasady autora, widzimy że szczęśliwość społeczną budował na niemożliwéj równości charakterów, umysłów, mienia, przekonań, w zupełném ujednostajnieniu człowieka, które nie jest w naturze. Marzył jak dzisiejsi komuniści, którzy najprzód z pomocą wychowania chcą wszystkie głowy przykroić pod jednę miarę a ze społeczności uczynić trzodę, bez pasterza, ograniczoną w potrzebach, żyjącą wedle jakiegoś schematu niedopuszczającego ani genjuszów, ani wyboczeń, ani żadnego stopniowania hierarchicznego. Ten rodzaj szczęśliwości zaspokoiłby może niedaleko myślą i żądzami sięgających ludzi, ale by musiał skończyć się na jakiéjś chińszczyznie rdzawiejącéj i wymarzającéj powoli ród ludzki. Krytyka zresztą ideałów wyspy Nipu tak jest niemożliwą jak branie jéj na seryo. Utopja ta wszakże, dziś dla nas, przy rozwinięciu się nauk przyrodniczych i społecznych, absolutnie niedorzeczna; w XVIII wieku musiała właśnie największe obudzać uwielbienie i zapały!

Jakże się nad nią zastanawiać, rozprawiać, spierać o nią i zabawiać nią musiano! Wyobraźmy sobie szlachecki dwór, do którego od dawna książka mogąca być łatwo czytaną nie zawitała, i wrażenie jakie pan Mikołaj Doświadczyński wieczorami deklamowany czynił na gromadce naiwnych słuchaczów! Chwytano książkę na probostwo, bo ją pisał ks. Biskup, a o farmazoństwo posądzać go się nie godziło. Tymczasem jakąś trąciła nowinką osobliwą, zapach miała heretycki. Z probostwa wykradano na folwark, syllabizowano potém po przedpokojach i tu wyspa Nipu niewątpliwie największe mieć musiała sukcesy.

Za głęboką filozofią uchodziły te utopje, których pięknych frazesów nie rozbiérano ściśle.

Ludzi bardziéj religijnych musiało to uderzać, że choć bezbożnego w tém nic nie było, choć o najwyższéj Istności piękne rzeczy się znajdowały—religia chrześcijańska była wyminiętą, przemilczaną. Jakoś się bez niéj na wyspie Nipu obchodziło.

A więc mógł istnieć stan natury, z jakąś religią i moralnością naturalną, a chrześciaństwo nie przedstawiało się już jako jedyna prawda i jedyna droga do światła i cnoty? Biskup nie wdając się w żadną polemikę, nie stając nawet w sprzeczności z dogmatami moralnemi religii, całą pozytywną część jéj milczeniem zbywając, wywierał na umysły tém większe wrażenie, że głosił jakąś prawdę nową, o staréj nie wspomniawszy nawet, jakby o przeżytéj, skończonéj i na bok usuniętéj.

Ta właśnie część Doświadczyńskiego, która nam dziś najuboższą się wydaje, najmniéj szczęśliwie pomyślaną, swojego czasu czyniła najsilniejsze wrażenie. Suknia i stan autora nadawała doktrynie, równie jak umiarkowanie jego—powagę wielką.

Jak to pogodzić z tém, cośmy mówili wyżéj o religijném uczuciu autora? Tak jak mnóstwo innych utopij XVIII w., którym się zdawało, iż w chrześciaństwie odnowioném i przefiltrowaném filozoficznie potrafią się pomieścić.

Ten ideał autor oprawił z jednéj strony w przedziwne opowiadanie o młodości Doświadczyńskiego, z drugiéj—w nęcące ciekawość przygody dalekich jego peregrynacyj, niewoli, obrazek społeczności kwakrów (drugą utopią już nieco prawdy bliższą), pobyt w domu waryatów i powrót do kraju.

Tu znowu wstąpiszy na twardy grunt własny, autor odzyskuje całą żywość kolorytu i prawdę wizerunków. Maluje nam rzecz pospolitą jaką była. Para tych obrazów wiejskich, sejmiki, instrukcye poselskie, na których czele figurują sumy neapolitańskie, i odkrycie kopalni olkuskich przypominają żywością wyborny początek Doświadczyńskiego.

Zakończenie wreszcie jest na sposób romansów ułożone i sprowadza kochanków znowu, którzy się w pierwszéj księdze rozstali. Odżywa miłość dawna, pan Mikołaj poznaje Juljannę, do któréj młodzieńcem będąc wzdychał i złamane koło staje się szczęścia fundamentem.

Dla nas, cośmy już stokroć kunsztowniéj zbudowanych i przystrojonych powieści przerzucili seciny, Doświadczyński ze swą przestarzałą formą Voltairowską, z dowcipem, ironią, filozofią, i osnową

naiwną, wydać się może dosyć nudnym, ale w XVIII w. obok Podolanki i Rzepichy, był arcydziełem.

Tendencya jego odpowiadała wszystkim aspiracyom czasu; była w nim surowa krytyka przeszłości, ideał niedościgniony, ku któremu dążyć należało, wiele ironii i satyry, mnóstwo z życia pochwyconych rysów, a wszystko to opowiedziane z wdziękiem, smakiem, delikatnością arystokratyczną, z umiarkowaniem, stylem płynnym, harmonijnym, językiem czystym i, choć staréj pozbawionym powagi, ale w nową przybranym elegancyą, z którą mu było do twarzy.

Powodzenie Doświadczyńskiego musiało być nadzwyczajne, społeczności na pół francuskiéj przypominał się prototyp Voltaire'a, bez jego cynizmu i jaskrawości, dla innych byłato nowość przedziwnego smaku, jakiéj jeszcze nie kosztowano.

Po Banaluce i Argenidzie, po Leonildzie i Koloandrze, dosyć postawić Doświadczyńskiego, aby zmierzyć postęp nim uczyniony.

Zamiast oklepanych przygód dwojga kochanków, znaléźć w powieści tyle głębokich pomysłów, tyle filozofii w kwiaty poubieranéj wykwintnie, było rzeczą nową i wielką. Dodajmy wszakże, iż wrażenie, jakie Doświadczyński wywiérał, było całkiem ujemnéj natury. Potwierdzał on że to, czém się żyło, życiu nadal nie mogło starczyć, a na wyspę Nipu się dostać było niepodobieństwem. Zbliżanie się do jakiegoś stanu natury stawało się niepoścignionèm zadaniem. Należało najprzód, jeśli nie pozakopywać noże, to wiele prawd uznanych za takie pochować i usunąć. Wszelką sztukę miała zastąpić ta nieokreślona natura i stan dzikich lasu mieszkańców!

Wiek XVIII chorował już na marzenia pastusze, ale pasterki ubiérały się w jedwabie, a pasterze karmili się ostrygami.

Gdzie się kończyła owa sztuka niebezpieczna, a poczynał obyczaj naturalny? Czy koniecznie należało, jak w Nipu, strzedz się wełny farbować, a biesiady odbywać na stołach z murawy w drzew cieniu? Czy Najwyższa istność miała zastąpić Boga w Trójcy przenajświętszéj? Na to Doświadczyński nie dawał odpowiedzi, każdy jéj musiał szukać w sobie, a trudno ją było znaleźć. Każdy czuł się zachwianym, i wiedział stanowczo jedno, że ludzkość ze starego barłogu, w którym leżała długo, ruszyć się musiała, ale dokąd??

---

Mówiąc o Doświadczyńskim, powiedzmy razem o drobniejszych powieściach Krasickiego, różnemi czasy wydanych.

Znaczniejsza ich część jest na tle wschodniém osnuta, jak chciał zwyczaj XVIII w. Te przenosiny do innego świata dawały pewną swobodę w pomysłach. Wschód naówczas był gruntem ne-

utralnym, na którym się poruszać było można raźniéj nie potrącając o kwestye religijne, polityczne i społeczne. Taka powieść wschodnia na swój sposób spełniała to posłannictwo co dawniéj bajka, z tą różnicą, że w niéj derwisze zastępowali wilków, sułtanowie lwów, a drążkarze osłów.

O Wschodzie dawało się mówić wszystko, czegoby nie wypadało w oczy powiedziéć Europie.

I jak w bajce występuje świat zwierzęcy konwencyonalny, który do rzeczywistego nie ma najmniejszego podobieństwa, tak tu występował wschód i ludzie z tysiąca nocy, ogólnemi rysy namalowany, podobien do tych malatur na pudełkach, na których widujemy Sułtanów w najparadniejszych strojach i postrojone jak na bal odaliski, zadumanych u stóp milczącéj fontanny w stylu odrodzenia, na tle świątyni greckiéj i t. p.

Nie licząc naśladowanych i tłómaczonych, z wymienieniem ich pochodzenia (z Goldsmitha, z Montesqieu), wielka część powieści osnową przypomina mnogie współczesne, francuskie i niemieckie tego rodzaju opowiadania. Istotnego wschodu jest tu mało, ale fantazya bujać może swobodniéj. Morał tych powieści skromny, prawdy życia powszedniego: zdrada ukarana, ambicya zawiedziona, ludzkich rzeczy i rachub znikomość, nieszczęście pozorne, które na dobro wychodzi i t. p.

Jedna z najdowcipniejszych powieści „Dziekan w Badajoz", swojego czasu bardzo ceniona, w istocie śliczna formą i oryginalném rozwiązaniem, czy jest Krasickiego własną, czy przerobioną z A. G. Meissnera, drukowanéj w r. 1798? nie wiemy. U Meissnera, który był też utalentowanym pisarzem, Badajoz zastępuje Compostella, zresztą treść i forma taż sama, acz mniéj starannie stylizowana. Być bardzo może, iż Meissner ją przerobił, zwłaszcza że żyjąc w Pradze, gdzie był profesorem, polski język mógł rozumiéć. Ale gdyby nawet pomysł pierwotny nie należał do naszego autora, obrobienie kunsztowne jużby go własnością jego uczyniło.(1)

We wszystkich tych powieściach w ogóle, bardzo drobnych rozmiarów, styl, język, ton są wyborne, dziś one jeszcze z przyjemnością się czytać dają, gdy rodzaj ten wyszedł zupełnie z użycia i wymaganiom naszym nie odpowiada.

---

(1) Krasicki w przejeździe do Carlsbadu bawił parę dni w Pradze, oglądając miasto. Żył tam podówczas Meissner, ale powieść jego nosi datę 1798 r. a bytność Krasickiego ją poprzedza.

Powieści takie moralne rozwijały przykładowo jakąś prawdę, czyniły ją dotykalną, uosabiały wady i przymioty a — z pomocą opatrzności, która w nich jako główny działacz występuje zawsze, dowodziły zmysłowo, plastycznie, jak źle jest czynić nieprawość, jak każdy dobry uczynek się płaci a mści każdy występek. Byłyto opowiadania głównie dla młodego przeznaczone wieku, chociaż wdzięk stylu i dla starszych je czynił ponętnemi. W tych wszystkich krótkich historyjkach wschodnich, arabskich, perskich, tureckich, jest miła prostota, wdzięk naiwności dziecięcéj, ale wszystkie są do siebie podobne i derwisze, sułtanowie, kupcy są, jakby wedle jednego wzorku, poprzykrawani.

W jednéj z powieści, Juzup, nie wiemy zkąd wziętéj, tkwi jakby oddźwięk historyi, która Shakespearowi do Leara służyła za motyw główny. Z synów kilku zapytanych jak ojca swojego miłują, jeden tylko nie umié wypowiedzieć przywiązania swojego. Juzup ojciec przecięż rozumniejszy od Leara, téj miłości oniemiałéj, daje nad wymownemi pierwszeństwo.

Do powieści krótszych dołączym tu historyą prawdziwą o kamienicy narożnéj w mieście Kukurowcach przez Błażeja Bakałarza tamże, wydaną osobno po raz pierwszy w r. 1794. Jestto zupełnie oryginalna i bardzo zręcznie przebrana historya Polski, aż do elekcyi Stanisława Augusta, z dowcipem i werwą Krasickiemu właściwą opowiedziana. Wiele w niéj ustępów humorystyką się odznaczających. Mówiąc o koronacyi Bolesława Wielkiego przez Ottona, pisze: „Powiadają i to, że Burmistrz blizkiego miasta, przyjechawszy jednego razu na kiermasz do Kukurowiec, zrobił go (dziedzica kamienicy) wójtem“. Ale co miał za prawo burmistrz zkąd indąd, robić wójta u sąsiadów?, którzy, gdyby im się podobało, mogliby sobie sami zrobić takiego wójta jak i on. Bajki to więc, które sąsiedzi wymyślili i podali innym do wiadomości, bo pierwéj od Kukurowczanów umieli pisać i czytać. Godzien jeszcze przypomnienia ustęp opowiadający figurycznie czasy Augusta Sasa, Leszczyńskiego i Augusta III.

„Poboczny wsi gospodarz był z innéj parafii (August II.), ale ją porzucił, gdy szło o kamienicę. Miał dom swój z ciosowego kamienia, ale że wązki (Saksonia) kamienica z cegły choć nadpsuta (Polska), że obszerna, wysoka i kształtna, skusiła go. Skoro wszedł do niéj, jął się krzątać i tak dobrze mu się udało, że i szpichrza i drzwi owych żelaznych dostał, ale z drugim sąsiadem nie powiodło mu się. Zaczepiony (Szwed) zaczepnikowi tak się oparł, iż go z kamienicy wypędził i osadził w niéj jednego z tamtejszéj czeladzi (Leszczyńskiego). Ale ten musiał ustąpić, gdy dawny pan wzmógłszy się do

domu wrócił. Siedział w nim więc spokojnie i odtąd *szynkiem tylko zatrudniony*, mniéj dbał o to co się daléj i z budynkami i z samymże domem stać mogło.

Syn po nim nastał (August III.) miał sprzeczkę zrazu o dom z tymże czeladnikiem (Leszczyński) który go już raz miał, ale się przecięż utrzymał, co tamtemu na dobre wyszło. Dość długo w kamienicy siedział, aż téż umarł. Szczęściem za jego czasów nie było gwałtownych ani wiatrów ani deszczów, powiększały się więc niezmiernie rysy w murach, ale przecież stał jako tako.“

Tym samym duchem krytyki, która natchnęła historyą na dwie księgi podzieloną (o któréj niżéj), odznacza się historya kamienicy w Kukurowcach, ale krytyka to czysto fantazyjna. Weźmy naprzykład to ukoronowanie Bolesława przez Ottona, które tak dowcipnie określił Krasicki, — że burmistrz z sąsiedniego miasteczka uczynił wójtem dziedzica domu. Zdaje się to trafném, ale z historyą prawdziwą zgodném nie jest, co by Naruszewicz mógł był wytknąć Krasickiemu. Papieże i Cesarze mieli prawo rozdawnictwa koron, i ów burmistrz rzeczywiście wójta mianował.

Dowcipu wszędzie siła, gdziekolwiek jednak, jak na wyspie Nipu, poważnym być chce Krasicki, surowym moralistą, staje się zimnym i rozwlekłym. Posłannictwém jego było chodzić zawsze z uśmieszkiem na ustach, z tą słodką, dobroduszną ironią bez żółci, spokojną, która szczypie ale nie rani, łaskocze ale nie kaleczy, grozi ale nie smaga, wyszydza bez gniewu, litując się i miłując.

---

W r. 1778 wychodzą Satyry — prawdopodobnie już dawniéj pojedynczo pisane i po jednéj nawet, częściami (Żona modna) ogłaszane. Z listów, jakie mamy przed sobą, widzimy, że w r. 1779 Krasicki Satyrami był jeszcze zajęty, bo pisze do brata Antoniego: „Moja widzę Satyra com WPanu posłał zginęła, ale się urodziło po niéj trzy, i przyjdą do liczby może równéj płodności pewnéj damy“ (bratowéj Antoniowéj).

Mówmy o wszystkich razem.

Wskazaliśmy wyżéj jak w końcu nieszczęśliwego panowania Sasów Czartoryscy, Konarski, wielu innych czuło potrzebę reformy całego organizmu rzeczypospolitéj. Wszystko było strupieszałém, przegniłém, zwątlonéin, popsutém, budowa groziła ruiną. Wedle idei ówczesnych, którym i dziś jeszcze większość hołduje, zdawało się reformatorom, że dosyć zmienić instytucye, aby z niemi wszystko inną przybrało postać.

Nie śmiano poczynać od najważniejszéj reformy obyczajów, którąby na same instytucye oddziałać i nadać im znaczenie nowe musiała.

Wstępując na tron Poniatowski z Czartoryskich ideą, rozumiał to jednak, że nim do zmiany instytucyj przyjść będzie mogło, trzeba na opinią, społeczność i obyczaje działać czynem i słowem, przykładem i inicyatywą z góry płynącą. Właśnie jednym z ludzi co królowi w tém pomagać mieli, był, jakeśmy mówili, Krasicki. Jego dowcip i przedziwny takt, humor i ironia mogły tam skutecznie wpływać, gdzie gwałtowność i brutalne środki opór by tylko budziły.

Pierwszy to był pomocnik króla w wielkiém dziele reformy obyczajów. Czuł tę misyą swoję: wszystko co pisał dążyło do tego celu, bajka równie jak Satyra, list równie jak komedya, poemat i powieść. Satyra jednak była główném narzędziem, owém burzącém działem, którém wyłom się w twierdzy wybija.

W naszéj literaturze początki jéj są bardzo dawne, sięgają niemal kolebki naszego piśmiennictwa. Europejska literatura łacińska, która dla nas była wzorem, już w XV wieku nabrała charakteru satyrycznego. W klasztorach rodzi się pierwsza opozycya przeciwko porządkowi społecznemu, instytucyom kościoła i powadze stojącéj u góry.

Twórca pierwszy języka naszego, ojciec piśmiennictwa, który do dziś dnia nie był i nie jest tak ocenionym jakby być powinien, mistrz — co postawił mowę naszę na tym stopniu rozwinięcia, iż nam jego język do dziś dnia starczy, ten co mógł językiem i natchnieniem Adama, na lat trzysta przed nim, wyśpiewać ten wiersz Adama godny:

Kto mi dał skrzydła? kto mnie odział póry?
I tak wysoko postawił, że z góry?
Wszystek świat widzę. . .

Kochanowski był już Satyrykiem. Jego Satyr stoi na czele tego zastępu straży nieustannéj, która przez trzy wieki woła: Strzeżcie ognia i złodzieja! — pilnujcie się od ognia namiętności i złodzieja samolubstwa. — Zawczasu zło się wkradało, ale był zawsze ktoś u nas co je wskazywał.

Bielski w swéj rozwlekłéj rozmowie dwu baranów o jednéj głowie, i w innych poematach jest satyrykiem; w znacznéj części pism swych jest nim Rej, dziś tak zapomniany. Po nim idzie Klonowicz, a obok kroczą Opaliński, Twardowski (Satyr na twarz Rzeczypospolitéj przypisywany Rysińskiemu), bezimiennych wielu, w różnych formach, aż do Wacława Potockiego, który w swym

poczcie herbów szlachty często z ironią i siłą wielką przeciwko społeczeństwu się odzywa.

Satyra ta, to sumienie narodu, wołające o poprawę.

W chwili gdy Stanisław August zabiéra się do dzieła odrodzenia z chęciami najlepszemi, ale ze środkami niewystarczającémi, Satyra w pomoc mu przychodzi.

*Wszyscy niemal czynniejsi pisarze Stanisławowskiéj* epoki są *po troszę satyrykami; Naruszewicz ze swym biczem z sznurów plecionym. Trembecki z siekącą do krwi rózgą, Węgierski z pejczem jeźdzca, Krasicki z biczykiem* jedwabnym, oprawnym w heban i złoto.

Nawet gdy się do satyry nie chcą przyznać pisarze piszą ją mimowoli. Z satyry rodzą się zjadłe paskwile i szczególniéj czasu Sejmu czteroletniego dochodzą do najwyższego cynizmu i zuchwalstwa. — Trembecki zmuszony jest pisać przeciw paskwilusom, których pełne są fiakry warszawskie, a zrana wszystkie ławki Saskiego ogrodu. Satyra się maskuje za powieść, za bajkę, za komedyą (powrót Posła), za poemat, piosenkę, zagadkę. Takich satyrycznych zagadek znamy kilkaset z czasów wielkiego sejmu. Naostatek uliczny żebrak pod Krakowską bramą śpiewał paskwile i satyryczne lamenty.

Satyra Krasickiego różni się wielce od dawnych i współczesnych. W bajce tylko i satyrze poeta jest z pełna kunstmistrzem; tu forma z treścią się zrosła, każdy szczegół wypieszczony, słowo każde pomyślane, uczute szczęśliwie, całość wyborna. Gdzieindziéj Krasicki nie zadaje sobie pracy, by osnowę obmyślić surowiéj, tu ona wszędzie doskonała, naprzemiany opowiadanie, dramat, obraz — satyra (zwłaszcza pierwsze) nie przechodzi nigdy w kazanie i deklamacyą. Ton jéj nie zabarwia się namiętnością, poeta panem jest siebie, dowcip jego zawsze dobrego tonu, może się zaprezentować w salonie, a nie traci przez to na dobitności, na sile. Dotyka a nie rani, nie gniewa, wywołuje uśmiech i nim zwycięża, zmusza wstydzić się i rumienić.

Trembecki w satyrycznych swych porywach nieskończenie jest potężniejszym ową *indignatio*, która wiersz jego natchnęła, język jego, którym mistrzowsko włada dosadny jest, ale on, jak z murów oblężonego grodu, ukropem i zapaloną smołą leje na głowy przeciwników, satyra u niego przechodzi w paskwil, w osobistość, jak gdy Turskiego z głową ogoloną wiedzie do czubków, jak gdy się mści na Węgierskim za to, że mu dawniéj palił kadzidła.

Cóż mówić o satyryzującym Węgierskim w Reducie i innych urywkach, wyglądającym na trzpiota, który po dobréj wieczerzy pu-

ścił się na drwiny, sam lubując dowcipowi swemu. Egoizm niedojrzałości razi w nim wszędzie. Kłaniając się Zamoyskiemu, nie zapomina we wstępie podnieść tego, że to on — Węgierski mu hołd składa. Wszędzie siebie stawi na pierwszym planie. Czuć w nim ten rodzaj młodości co nigdy nie starzeje i nigdy nie nabędzie powagi.

Krasicki nad nimi wszystkimi, niewyjmując zamaszystego Naruszewicza, górą stoi kunsztem i miarą. Książę poeta, senator, potomek znakomitego rodu pisze, czuć to, w jedwabnéj sukni, w koronkowych mankietach widzimy białą jego rękę, w pierścień strojną na karcie Satyry do króla. Jestto jedna z najśliczniejszych, wyrzuca ona Stanisławowi Augustowi wszystkie jego przymioty, a na ostatku, pod pozorem pochwały, trafia w istotną jego słabość i winę.

Ten, którego cała rodzina, pani Mniszkowa, Zamoyska, pani Krakowska zwykły były zwać „dobrym Henrykiem IV", któremu Krasicki w końcu satyry wyrzuca jego dobroć, w istocie grzeszył dobrocią bez wyboru, która się słabością zowie. Ta chęć okazania się dobrym dla całego świata, brak charakteru i przekonań, były główną wadą Stanisława Augusta. Krasicki może nie bez ukrytéj ironii wyrzuca mu tę dobroć jego.

Nie trzeba, Mości Królu, mieć łagodne serce,
Zwycięż się, zgaś ten ogień, zatłum go w iskierce,
Żeś dobry gorszysz wszystkich — —

W istocie król był dobrym nawet dla złych, był słabym. Rozgniewać się za ten wyrzut niepodobna było, a z jaką trafnością jest on tu na ostatku położony.

Satyra, „Świat zepsuty", równie wybornym jest obrazem wieku jak tamta człowieka. Jak piękne, jak dobitne znowu to jéj zakończenie, przypominające kazanie owo Skargi o okręcie i majtkach:

Był czas kiedy błąd ślepy nierządem się chlubił,
Ten nas nierząd, o bracia, pokonał i zgubił.
Ten nas cudzym w łup oddał, z *nas* się złe zaczęło,
Dzień jeden nieszczęśliwy zniszczył wieków dzieło.
Padnie słaby i lęże, wzmoże się wspaniały;
Rozpacz podział nikczemnych. Wzmagają się wały,
Grozi burza, grzmi niebo, okręt nie zatonie,
Majtki zgodne z żeglarzem gdy staną w obronie.
A choć bezpieczniéj okręt opuścić i płynąć,
Poczciwiéj być w okręcie, ocalić lub zginąć.

W satyrze „Złość ukryta" wizerunki są jakby z żywych wzorów pobrane, choć poeta nie miał ich może na myśli. Alchemistę pokazywano palcami.

Szczęśliwość Filutów (III), marnotrawstwo (IV), oszczędność (V), wszystko to najtrafniejsze obrazy czasu, a sam wybór przedmiotów bystrego oka postrzegacza dowodzi.

Znane jest dobrze pijaństwo, którego zakończenie stało się niemal przysłowiem, jak wiele innych wierszy Krasickiego:

Te są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki,
Te są—Bądź zdrów—Gdzie idziesz?—Napiję się wódki.

Zwrót podobny po kilkakroć zużytkował Krasicki, w bajce Kartownik i w Podstolim. Dowodzi to, że znał ogromną siłę nałogu nad człowiekiem, który widzi że błądzi, a powstrzymać się nie może.

Wyborne są przestrogi młodemu, ale Żona Modna, odmalowana tak żywo i plastycznie, tyle w niéj rysów ówczesnych, iż nie dziw, że była jedna z najpowszechniéj ocenionych i rozrywano ją gdy się ukazała.

Życie dworskie, Pan nie wart sługi, Gracz, dopełniają pierwszego Satyr zbioru (XI).

Druga ich część, zdaniem naszém, nie dorównywa pierwszéj natchnieniem i żywością obrazów. Wpada w niéj poeta w ton dydaktyczny, więcéj nawraca niż maluje, mówi o życiu, ale go nam nie okazuje. Jednakże i z pomiędzy tych podnieść należy „Wziętość“ i misternie zakończone „Odwołanie.“

Bajki i Satyry są arcydziełami poety, gdy inne pisma zostaną szacowną pamiątką, materyałem do historyi ducha czasu, to dwoje przeżyje w literaturze i ostoi się mimo zmian smaku. Satyry pisał Krasicki już w wieku dojrzalszym (ostatnie przynajmniéj), czuł się do nich natchnionym, i być bardzo może, iż nie wszystkie zostały wydane.

Jak wiele listów wierszem i prozą z wierszami, tak i *organy* przedziwny obraz sejmu czteroletniego w pierwszém jego stadium, do Satyr by się zaliczyć powinny, choć formy tyle skończonéj i wytwornéj nie mają i prozą są przeplatane. Nikt trafniéj nie odmalował tego momentu pasowania się garstki ludzi dobréj woli a nie zbyt bystrych polityków, z tłumem namiętnym i nieopatrznym, gdy z obojga korzystali organiści jak Lucchesini. Historya tego sejmu poczynającego się opozycyą przeciw królowi, który powoli nawrócić się daje, pragnącego więcéj niż mógł dokonać, jest całym dramatem pełnym scen poruszających i tragicznych. Lecz o tém niżéj jeszcze mówić będziemy. List Krasickiego, który chwilę był naocznym świadkiem scen odegrywających się na zamku, i jako satyra i jako dokument historyczny, ma wielką cenę.

---

Jedne po drugich następowały w tych latach właśnie, najgłówniejsze pisma Biskupa Warmińskiego. Ogół zajmował się niemi niezmiernie, czas sprzyjał ich rozpowszechnieniu, byłyto lata spokojniejsze pracy wewnętrznéj, reform oświaty i obyczaju. Nadzieja lepszych dni wstępowała w serca, krzątali się wszyscy.

Stało przed reformatorami nierozwiązane zadanie główne, zasadnicze, co z dawnych obyczajów ocalić należało, co odrzucić, co z nowéj europejskiéj cywilizacyi przyswoić, co, jako z tradycyami naszemi niezgodne a szkodliwe, usunąć.

Rozwiązaniu téj kwestyi żywotnéj poświęcił Krasicki, w samę porę z nim przychodząc, swojego pana Podstolego.

Pan Podstoli z dzieł prozą Biskupa Warmińskiego jest największego znaczenia. Jest w nim powiedziéć można cały Krasicki, charakter jego przekonania, sąd o przeszłości, pojęcia postępu, wszystko czego pragnął i jak myślał nową organizować społeczność na starych podstawach. Forma jest nieco dziwna, największéj wagi zadania mieszczą się tu obok najpodrzędniejszych; żadnego systemu i planu. Autor nie chciał się wiązać niczém, swobodnie się obraca zakreśliwszy ramy, w których może mieścić co mu się żywnie podoba. W pierwszéj części pana Podstolego daje się jeszcze dośledzić pewna symetrya budowy, w następnych giną jéj ślady. Przedmioty powtarzają się kilkakroć, autor powraca do nich, przeplata je obrazkami, urozmaica epizodami, kwestya włościańska stoi obok kuchni, obok religii odzież, przy zasadniczych prawach wiążących rodzinę i społeczność, drobnostki.

Mogło to być obrachowaném dla płochych czytelników, ale wypłynęło też może i z usposobienia autora, który w swych dziełach nigdzie z góry obmyślanego planu się nie trzymał, spuszczał na fantazyą i lubił niczém się nie krępować. Umysł encyklopedyczny, unikający zbytniego zagłębiania się w przedmioty, chętniéj ślizgający po ich powierzchni, Krasicki miał ten dar zarazem, że z małych częstokroć oznak zewnętrznych, treść rzeczy odgadywał. Lecz nawet w takich razach, nigdy nie chciał zapuszczać się zbyt głęboko, wstręt miał do świdrowania przedmiotu, które na wierzch dobyć mogło, wstrętliwe dlań brudy i plugawstwa.

Niesprawiedliwém byłoby zarzucać mu co płynęło z jego natury i usposobienia. Umysłu badawczego nie miał, ale trafnym był w postrzeganiu fenomenów zewnętrznych i w ich osądzaniu. Łatwiéj mu było ogarnąć wielkie przestrzenie niż sięgnąć do tajemniczych wnętrzów ciasno ograniczonego przedmiotu.

Więcéj w nim instynktu, czucia, odgadywania prawdy, niż rozumowanego jéj i mozolnego dochodzenia. Artysta, miłośnik pięk-

na, głównie chwyta prawdy w objawach ich plastycznych, we wcieleniach, w faktach, nie chce i nie umié dochodzić ich w analizie powolnéj i stopniowéj. Uderzają go one swym blaskiem, a blask jest niezawsze fałszywą wartości miarą. Skutkiem tego usposobienia Krasicki jest w przedstawianiu prawd raczéj malarzem niż filozofem, unika abstrakcyi, przyodziewa myśl ciałem, stawi ją w zastowaniu do życia. Wszystko w nim z rzeczywistości wzięte, do niéj się odnosi i wiek swój maluje.

Podstoli z godłem: *Moribus antiquis*, to cała encyklopedya obyczaju polskiego, jakim on był i jak go chciał mieć, z własnych jego pierwiastków rozwiniętym Biskup Warmiński.

Pierwsza jego część, jak wiadomo, pisaną była około r. 1778, a między innemi, znajdujemy już w niéj te zasady co do reformy stosunków włościańskich, które głośniéj i jawniéj wyszły dopiéro na sejmie czteroletnim. Jeden ten fakt już wielkiego jest znaczenia i mówi na korzyść autora p. Podstolego.

Miał on już odwagę żądać tego w r. 1778, co zaledwie tknięte na księgę praw Zamoyskiego ściągnęło tak gorszące potępienie. W tych, jak w innych kwestyach podnoszonych przez Podstolego podziwiać potrzeba (treść pomijając) takt, miarę, trafność z jaką najdrażliwsze rzeczy są ujęte. Stając przeciwko większości zacofanéj, Krasicki umié wypowiedziéć prawdę niemiłą w sposób tak łagodny i przyzwoity, że się nań oburzyć niepodobna. Argumenta swe czerpie z takich źródeł, że ich odrzucić nie sposób, mówi do uczuć, których się zaprzéć nie godzi. W téj kwestyi włościan, jak w wielu innych, wyprzedza nietylko prawodawstwo, ale opinią kraju, którą zwraca na prawą drogę.

Lecz przypatrzmy się bliżéj téj ciekawéj mozaice różnobarwnéj, w któréj cały mikrokosmos się mieści. A najprzód rozróżnijmy dwie jej części składowe, odrębne—kamienie i oprawę.

To obramowanie, składające się z obrazków, wizerunków społeczeństwa, figurek z natury pochwyconych, niemniéj jest kosztowne, jak to co otacza. Krasicki może malarzem jest wyższéj ceny niż moralistą. W jego obrazkach nie ma najmniejszéj pęzla niepewności, rysu zamglonego, wszystko jasne, dobitne, prawdziwe, gdy w naukach moralnych często zbywa na śmielszych liniach, gubią się one w zamierzchłéj dali.

Obrazki w pierwszéj zwłaszcza części nie zbyt są mnogie, i autor nie zdawał się do nich przywiązywać wagi; mieścił je dla ożywienia trochę oschłéj gawędy i jéj urozmaicenia, ale dla nas, dziś, są tu nieocenione klejnoty.

Pozostała znaczniejsza część Podstolego dydaktyczna, w obec

społecznych zmian i jaśniejszego wyrobienia idei o nich, ustarzała, a artystyczne kreacye są żywe i pełne barwy.

Fabuła Podstolego jest patryarchalnéj prostoty. Autor nie wysilił się na osnucie jéj, zaledwie pomyślał o tém, jak całość się złoży, szło mu widocznie o to, co w szerokich ramach pomieści. Tłumnie cisnęły się myśli, wywoływane stanem tego fermentującego i przekształcającego się społeczeństwa; był niemi przepełniony, złożył je w Podstolim, ulegając konieczności objawienia co mu cię żyło. Godna uwagi, o czém już napomknęliśmy, że wiele kwestyj w Podstolim raz dotkniętych wracają kilkakroć, a oprócz tego są traktowane w tak zwanych „Uwagach.“ Zdaje się, że autor gotował materyał do Podstolego, jak mu na myśl przychodził, i wkładał go jak do szufladki.

Dom i rodzina polska, jakiemi były, i jak do wymagań czasu stosując się, wyrobić były powinny to zadanie jak wyżéj.

Ogólną cechą w rozwiązaniu go jest umiarkowanie. Żadnego radykalizmu, żadnych reform gwałtownych i obalających do gruntu, łagodne tylko i stopniowe modyfikacye. Autor staje zawsze pośrodku, chętnieby rad pogodzić sprzeczności, nic prawie nie potępia oprócz przesady, naprawia nie tworzy, zastosowuje. Nie dopuszcza zupełnéj transfiguracyi, ale stopniową.

Chociaż wydać się to może z pewnych względów słabością, jest jednak raczéj zdrowém poczuciem warunków rzeczywistości· Pojmował Krasicki, że rewolucye w stanie społecznym i jego organizmie są zawsze wielce niebezpieczne; że zamierzając chorobę usunąć często z sobą zabiérają samo życie. Dlatego powolna przemiana zdała mu się właściwą formą postępu.

Oprzéć się na tém co było, a postępować ku nowemu i lepszemu. Kierunek jednak zawsze zmierza naprzód i cofania się, zastałości nie dopuszcza.

Niepodobieństwem jest rozbiérać szczegółowo Pana Podstolego, bo by mu należało osobną księgę poświęcić, zdaje się wszakże, iż ten charakter ogólny, na który ukazujemy, wszędzie się sprawdzi i dowiedzie.

Na początku pierwszéj części, jesteśmy w domu Podstolego, wzorowego, zamożnego, idealnego właściciela dóbr i starego z antenatów szlachcica. Rozmowy z nim, wywoływane przez wszystko co pod oczy podpada, toczą się około bardzo zwyczajnych przedmiotów życia powszedniego dotyczących, o gospodarstwie rolném, o zajęciach pani domu i obfitéj jéj apteczce, o jadle, stole, napojach, staroświeckim miodzie i winie. Idziemy z Podstolim do ogrodu (najulubieńszego, jak wiadomo, Krasickiemu, który tysiące na

swe ogrody i cieplarnie łożył), tu znajdujemy drzewa morwowe i ideę zaprowadzenia jedwabnictwa w kraju. Krasicki ile razy dotknie ogrodów, niechętnie się z niemi rozstaje, więc o różnych ogrodach mowa. Następnie rzecz o modach i dawnym ubiorze krajowym, który właśnie zrzucano (dopiéro sejm czteroletni wywołał prąd przeciwny).

„Porzucenie własnego a obranie cudzego stroju (pisze) oznacza jakowąś preferencyą. Z niéj pomału rośnie obojętność, a nakoniec i wzgarda własnego kraju.“ Argument ten co do słowa powtarzano w r. 1789.

Króciutko się potém napomyka o nauczycielach domowych i wychowaniu szkolném a domowém dzieci. Krasicki jest za oddawaniem chłopiąt możniejszych rodzin do szkół, szczególniéj z pobudek towarzyskich. Tu natrafiamy na ustęp o języku, o którym pisze nader trafnie „Weź WPan teraźniejsze nasze pisma, znajdziesz po większéj części, że ten który pisał, przyzwyczajony do zagranicznéj mowy i czytelnictwa, myśl swoję francuską po polsku przetłómaczył. Ztąd sposób wyrażenia nieprzyzwoity; słowa dzikie, konstrukcya fałszywa, styl cudzy.“

Trafniéj pism z lat 1772—1778 niepodobna było scharakteryzować.

Mówiąc o wychowaniu, wspomina o religii, a mówi o niéj jako o podstawie ukształcenia moralnego i społecznego. Wprawdzie jest tu maleńki *lapsus calami*, bo naprzód stoi: „człowiek, obywatel, nakoniec, chrześcianin,“ ale tuż obok poprawia się autor i na czele kładzie: „obowiązki chrześciaństwa, *z których inne człowieka i obywatela wypływają i pochodzą*.“ Niepodobna było autorowi ominąć wstrętnéj polemiki „z mniemanemi teraźniejszego wieku mędrcami,“ ale tę zbył krótko. Religijna kwestya w ogóle nader jest oględnie traktowaną. Wraca ona jeszcze nieraz w P. Podstolim i potwierdza cośmy mówili o religijném uczuciu Biskupa. Tu kilka słów jeszcze o praktykach religijnych, nabożeństwie, kościele, którym orthodoxya najsurowsza nic zarzucić nie może.

Autor widocznie nużyć nie chcąc czytelnika wywodami zbyt rozciągłemi, mienia co chwila przedmioty. Dziwnie się dziś wydaje napomknięty przesąd i wiara w ukazywanie się po domach nieboszczyków, w „przeszkadzanie“ w nich.

„W sąsiedzkich dworach zawsze coś *przeszkadza*, w tym z łaski Bożéj, raz tylko nieboszczka matka, i to w dobry sposób, widziała duszę nieboszczyka Wawrzyńca, który zginął pod Wiedniem. Dano zaraz na trycezymę, pobenedykowali OO. Reformaci, i odtąd się już więcéj nic nie pokazywało.

„O starym folwarku ja nic nie mówię, sam pamiętasz, że go nieboszczyk brat musiał kazać zrzucić dla ustawicznych przeszkód. W lamusie chwała Bogu, że nikt nie mieszka, zawsze się tam cóś odzywało, nieraz stróże widzieli niemca na dachu.“

Mówi się daléj o pałacach i dworach, rzecz praktycznością Krasickiemu właściwą nacechowana, potém o bibliotece domowéj. Tu wypisał cały katalog dawnych polskich pisarzy, z krótkiemi o nich zdaniami, dowodzącemi że był z nimi dobrze obeznanym. Szereg dosyć długi, w rzędzie poetów nie zapomniany nawet Wacław Potocki.

O odradzającéj się właśnie literaturze współczesnéj te słowa.

„Téj nowéj szafy, którą WPan na boku widzisz, nabawił mnie nasz król Stanisław August i przywiódł do expensy znacznéj, bo com przedtém corocznie półtora talara tylko na kalendarz Duńczewskiego expensował, teraz po kilkaset złotych na nowe księgi wydawać muszę. Składam je w téj nowéj szafie, a że dyaryusze sejmów i konstytucye wiele bardzo zabrały miejsca, przeniosłem niektóre z niéj księgi do dawniejszéj. Naruszewicz znalazł miejsce gotowe między Sarbiewskim a Kochanowskim (!), Lachowskiego położyłem przy Skardze (!!); a jeżeli, jak się spodziewać należy, tak będą iść rzeczy, jak zaczęły, trzeba będzie albo tę izbę rozprzestrzenić, albo i o drugiéj pomyśléć.“

Sąd o Lachowskim zwłaszcza, kaznodziei króla, do zbytku pochlebny.

Biblioteka nastręcza myśl o czytaniu w ogóle (i w tém miarę radzi), potém o tłómaczeniach. Na ostatek, z powodu porządnych budowli Podstolego, mówi się o budowaniu dworów, radzi Podstoli mury, potém o chatach dla włościan, aby zdrowe były i porządne, o dozorze pańskim, ochędóstwie, sługach; i o „poczciwych sługach starych.“ Taka jest treść księgi pierwszéj, w któréj obrazków mało. W miarę jak daléj idziemy, liczba ich się powiększa i dzieło na tém zyskuje.

Księga druga jest dalszém rozwinięciem programu, który z pierwszéj już jest widoczny. Zwraca szczególną uwagę na początku umieszczona obszerna rozmowa o włościanach, na swój czas wielkiego znaczenia.

Krasicki utrzymanie dawnego stosunku to jest poddaństwa, eufonicznie zwanego stanem patriarchalnym, uważał wprost za „ruinę kraju.“ Nie śmiał wprawdzie wyrzec, że pragnie ich oswobodzenia, i w téj sprawie trzymając się miary i środka. Nalega tylko na podźwignięcie ich bytu, nawet we własnym interesie panów i w ekonomicznym interesie państwa. Trzeba sobie przypomniéć

kiedy to było pisaném, aby ocenić odwagę z jaką się autor wyraża: „Dajmy na to, że rodzaj chłopski (sic) gruby, nieczuły, krnąbrny pana nie lubi i któż tym wszystkim przywarom winien? Źli panowie. Natura nie przywiązuje talentów do kondycyi. Znałem wiele dusz chłopskich w panach, wielu chłopów, którymby Jaśnie Wielmożnemi, Jaśnie Oświeconemi, być przystało.“

Nalega Biskup na parafialne szkółki, chociaż, zgodnie z ówczesnemi pojęciami, plebanowi je powierza; życzy, aby dzieci włościan poufaléj i częściéj obcowały z dworem; pragnie oświaty.

Za jednę z przyczyn złego stanu włościan poczytuje pijaństwo i wykorzenienie go zaleca: „Trzyma pan u siebie szynk karczemny, albo go w arendę puszcza, żeby zaś jak najwięcéj mógł zyskać, ledwo do tego nie przychodzi, iż *chłopom za pańszczyznę upijać się każe.*“

Przypomnijmy sobie co w kilka lat późniéj pisał Staszic w przestrogach o stanie włościan w Polsce, porównajmy z nim Krasickiego, który mniéj szorstko a jaskrawo toż samo maluje, tego się samego domaga; przekonamy się jak pilna reforma była. Karczmarzy żydów radzi wypędzić, wódkę usunąć, piwo zaprowadzać.

Po téj dosyć długiéj pogadance, do któréj, dla urozmaicenia, wprowadza autor gościa, pana Sędziego, daje nam jeden z tych wybornych obrazków swojego czasu, których w Podstolim napotykamy późniéj wiele.

Sędzia ów przybywa z rodziną, z synami dorosłymi, z których jeden jest rejentem ziemskim, drugi porucznikiem w regimencie, najmłodszy towarzyszem pancernym. „Pan Sędzia,“ powiada, „był to człowiek podeszły, wysoki, suchy, łysy. Czapka rogata, suknie długie, pikowany żupan i kłapcie u rękawów oznaczały człowieka, który się dawnych zwyczajów trzymał. Jejmość w długich kornetach, w czółku i mantoleciku felpą podszytym, prezentowała postać naszych prababek. Pan Skarbnik (zięć Sędziego), człowiek średniego wieku, ubrany był przystojnie, strój Skarbnikowéj w pół modny, pół ziemiański; jeszcze muszki z jéj czoła nie zeszły były, na skroni prawéj reprezentowały podobno Plejady, a jedna z lewego boku ust pilnowała. Pan Rejent (syn) bojąc się podobno ślinogorza, bocianowatą nieco szyję swoją muślinowym halstuchem obwinął. Wysmukłość jego wydawała się dokładnie, w opiętym kontuszu papużym, różową kitajką podszytym i żupanie tegoż koloru. Zastępowały miejsce mankietów, szeroko podwijane na żupan, od koszuli batystowe zarękawki. Pan porucznik był w kamizelce mundurowéj i fraku angielskim, włosy z przodu miał nieco ostrzyżone, z tyłu zebrane na grzebień. Najmłodszy towarzysz pancerny, w czerwonych safia-

nowych skrzypiących butach, opasany pod brzuch, podgolony z wysoka, kuso, buchasto, dźwigał miecz u kolan i ustawicznie ręce zacierał, pluł w bok i po czuprynie się głaskał.“

Mistrzowski to rysunkiem i kolorytem obrazek, znać w nim niepospolitego artystę. Ta rodzina poniekąd reprezentuje stan kraju na przełomie, w którym stare i nowe, zapomniane i pożyczone mięszało się w jednym domu. Opis wizyty, w czasie któréj porucznik zbiegł do panien, towarzysz do stajni, awantura z koniem, z przedziwną humorystyką wykonany. Sędzia w czasie odwiedzin opowiada kronikę „całéj ziemi.“

„Właśnie mówił o pewnym domu, pewnéj szlachcianki, do któréj pewny Jegomość w pewnym interesie bardzo skwapliwie i wielokrotnie uczęszczał, a nawet ostatnią razą był tam w Wigilją N. Panny Zielnéj. Broniła jak mogła rodzaju ludzkiego nasza Podstolina, szczęściem zaczął pan Rejent dyskurs o bluzgierach, które już z mody zaczynały wychodzić. Weszła więc w obszerny dyskurs pani Skarbnikowa, i dowiedzieliśmy się, kiedy ażusta nastały, palatynki zeszły, jakie były rewolucye salop z kapturkami i bez kapturków, jakie były odmiany rogówek, sposoby układania fontaziów. Nie dała dokończyć P. Sędzina stara i zaczęła się historya o bawetach; żużmantach, kabatach, pondelarach, szarpach, czubach itd.“

Wszystko to dziś przynosi nam żywy obraz tamtego świata. Obyczaje téj rodziny, któréj starszyzna, choć pocieszna, mniéj ma wad niż młode pokolenie, pochwycone z natury z talentem wielkim. Sędzia czytał tylko Ładowskiego (Inwentarz) syn Koloandra, porucznik trawi czas w gotowalni, towarzysz pijak i burda. Próżniactwo, obmowa, opilstwo wskazane są jako wady główne staréj i przechodowéj społeczności.

Więc mowa o pijatykach potém. A tymczasem przynoszą wino, nalewają kieliszki i narzekając na ten nałóg fatalny, ani się opatrzyli jak flaszkę wysuszyli do dna. (Jak w Satyrze).

Po tym epizodzie powraca autor do chłopów, delikatnie upominając, że się im w społeczeństwie inne wyższe należy miejsce. „Naprzód ten co żywi, potém ten co radzi, naostatek ten co broni.“

„W Szwecyi, dodaje Krasicki stan chłopski *nawet* równo z innemi sejmuje, radzi i prawa stanowi.“

Więc cośkolwiek potém o stanie szlacheckim, jego prawach i znaczeniu, coś też o miastach i handlu, w ogóle o harmonijnym ustroju społeczeństw—ale króciuchno.

Przeskakujemy zaraz do wychowania panien, do znaczenia kobiét. Chce autor poważniejszego ich wychowania, wpojenia w nie

poczucia obowiązków. „Wszystkie zewnętrzne talenta“ (kobiét), pisze, „zdatne są, piękne są, miłe są, ale nie strojeniem się żona męża uszczęśliwia, nie śpiewaniem matka dzieci hoduje, nie tańcem się dom rządzi. Trzeba do tych pracowitych obowiązków umysłu statecznego, myśli fraszkami nie zaprzątnionych, mężnego serca.“

Resztę księgi drugiéj pomniejsze kwestye zajmują: ryby i stawy z powodu postu piątkowego; słuszne ocenienie innych narodów i cudzoziemców, w których obronie staje Krasicki, choć przejmowania cudzych obyczajów nie zaleca; daléj o grze w karty, jako rozrywce dozwolonéj, pod pewnemi warunkami (w Heilsbergu na dydki grywano wieczorami).

Z powodu nowego przybyłego gościa wpadamy na rzecz o stanie wojskowym. Historya jego jest zarazem losem wielu innych jemu podobnych. Człek ten zestarzał się w służbie rycerskiéj, w partyi Ukraińskiéj, jako namiestnik chorągwi przez lat dwadzieścia wojując z hajdamakami. Czasem go podtrzymywały largicye, które do niego jednak rzadko dochodziły. Zawakowało Chorąztwo pod znakiem, w którym był towarzyszem, dano je synowcowi Rotmistrza. Poskarżył się, zatkano mu usta Łowiectwem Wendeńskiém, chciał się strzelać wyśmiano go. „Straciwszy znaczną część fortuny na usługach publicznych, nadweręźywszy zdrowie, okryty chwalebnemi bliznami, poczciwość tylko nie nadwerężoną z obozu wywiózł.“

Narzeka Krasicki, że w stanie żołnierskim, którego obowiązki przykre są i surowe, najczęściéj zasługa istotna, słusznéj nie odbiéra nagrody. I to tylko zlekka napomknięte.

Od służby wojskowéj przejście było łatwe do koni, hodowli stad i myśliwstwa, którego Krasicki (sam trochę myśliwy) broni. Po czém o psiarni mowa, lasach, gospodarstwie koło nich (Kochanowski już na niszczenie ich narzekał) i o sadach owocowych u chłopów.

Księga ostatnia téj pierwszéj części Podstolego otwiéra się rozmową o jednéj z najpospolitszych wad ówczesnych, o zajadłém pieniactwie, które Krasicki wystawił żywo w jednéj z komedyj swoich. Jak dwie poprzedzające i ta księga przeplatana jest kwestyami nader podrzędnego znaczenia, stojącemi obok najważniejszych. Krasicki, niegdy sam prezes trybunału, żywy świadek wymiaru sprawiedliwości, pokilkakrotnie w swych pismach nastaje na zepsucie sądów i sędziów, podnosi wysokie znaczenie sędziego.

Przedmiot ten przerywa obchód obżynek i zwrót do stosunku z włościanami. Zamyka uwagi piękny ów wiersz Kochanowskiego.

Tak ci bywało panie, pijaliśmy z sobą,
Ani gardził pan kmiotka swojego osobą.

Wtrącono tu śmieszną manią tytułów, których było do zbytku w Polsce. Charakterystyczne to. Szlachcic czémś być chciał i musiał, więc gdy rzeczą nie mógł, tytułem się nadstawiał, choćby *in partibus infidelium*. Dalej o zasługach przodków i ich pamięci. Podstoli ukazuje wizerunki antenatów i dzieje ich opowiada, a w bibliotece szacowne ich notaty, które dawniéj niemal w każdym domu szlacheckim się znajdowały.

Podniesione poszanowanie przeszłości bardzo dobitnie, jako obowiązek—autor chce postępu, chce polepszenia, ale punktem wyjścia dla niego są pewne dane przeszłości, z których należało rozwijać się, i rosnąć. Żałuje Podstoli i powyrzucanych na strych portretów przodków i rozwalanych domostw starych i zabytych tradycyj.

Wracają późniéj do pieniactwa jeszcze, a w plebanii schodzimy się z duchowieństwem wiejskiém i zadaniem jego. Wielkiéj wagi, na dzisiejsze zwłaszcza czasy, są wyrazy Krasickiego, do ówczesnych stosunków się odnoszące, a zawsze prawdziwe. „Nie oddzielajmy“, pisze, „kościoła od ojczyzny, obywatelstwa od duchowności.“

Tymczasem godzą się pieniacze, już jeden zaledwie ukończywszy, myśląc zaraz o drugim procesie. Reszta księgi ma różnych rzeczy po troszę, coś o nałogowych przysłowiach a raczéj wstawkach w rozmowie, które w XVIII w. wielce były używane (Panie Kochanku—Rybeńko, tandem tedy—to tego itp.).

Te wstawki bezmyślne są rysem wieku, w którym myśl obracała się leniwo. Jak zająkliwość przez niektórych medyków uważaną jest za wadę raczéj umysłu niż organów mowy, tak te przysłowia, niczém innem nie były i nie są, tylko zapychaniem miejsc próżnych, gdy myśli nie stawało wątku.

Wychodząca za mąż córka Podstolego daje powód do zastanowienia się nad „dobrém gniazdem“ spadkowemi przymiotami rodów, rozporządzaniem dziećmi.

Dotknięto tu przedmiotu, który dziś do historyi obyczaju należy tylko. „Ledwo pojąć można,“ pisze autor, „jak mogą się znajdować w naturze takowe monstra, które, dla dogodzenia chciwości swéj lub zbytecznemu do jednego dziecięcia przywiązaniu, resztę wpychają do klasztorów.“

Wspomniano i o tém, że „ułomne dzieci, odrzutki panu Bogu dawano na ofiarę.“

Z okazyi małżeństw—o zapisach, dożywociach, o prawach i ubezpieczeniach majątkowych, które oceniono słusznie. Tu znowu,

wcale nie *ad vocem*, ani *ad rem*, wpadamy na drogi, gościńce i opłaty mostowe, potém wiarę w gusła i przesądy. Dowiadujemy się, że przy weselach prognostyki fatalne były, upuszczenie ślubnéj obrączki, zgaśnięcie świécy, przy stole rozsypanie soli, nóż z widelcem na krzyż leżący, w podróży zając przebiegający drogę, spotkanie umarłego; zawsze niedobry dzień poniedziałkowy (Młodzianków) itd.

O tańcu polskim powiada: „Ganią niektórzy nasz taniec polski, i powiadają że to nie taniec ale przechadzka w takt. Niechże i tak będzie, ale kiedy ta przechadzka i tańcującym miła i patrzącym, na cóż nią gardzić?“

Cudzoziemskie pląsy więcéj gani—kończy się ta część pochwałą starych obyczajów: „Stare obyczaje, nie dla tego szacowne, że stare. Była w dawnych nieprawość, ale ten który z występku korzystał, z występku się nie chlubił. Jeżeli więc dla tego wiek nasz oświeconym zowiem, że się w nim śmieléj być niepoczciwym godzi, wolę ja dawną dzikość, nad dzisiejszy polor.“

Taka jest treść wydanéj naprzód pierwszéj części Podstolego; przedstawiliśmy ją dość szczegółowo, idąc za autorem, aby dać wyobrażenie o książce zapomnianéj, która była i jest wielkiéj wartości. Jestto zarazem dokument historyczny i artystyczne ustępy w nim z talentem wykonane. Podstoli pobudzał do myślenia, do rozprawiania, zastanawiania się nad kwestyami, na które wprzód nie chciano lub nie umiano zwrócić baczności. Po dworach każdy ustęp wywoływał żwawe dyskusye, a zdrowy sąd autora trafiał do przekonań i reformom torował drogę, księga to była nieoszacowana i przyjęto téż ją, jak niemal wszystkie pisma Krasickiego z nadzwyczajném zajęciem.

Wpływ tego dzieła na wyrobienie się w kraju opinii i przekonań, które objawił Sejm czteroletni, daleko jest większy niż dotąd uznawano.

Związek idei dałby się łatwo wykazać.

Przedmiot nie wyczerpany wcale, i przyjęcie jakiego doznał pan Podstoli, skłoniły autora do wydania drugiéj części, w sześć lat po pierwszéj, w r. 1784. Nie możemy jéj pominąć, zbywając kilku słowami.

Mimowolnie czy rozmyślnie, część wtóra trzyma się jakoś w zakresie rodziny i domu głównie. Mniéj tu kwestyj donioślejszych, zadania na pozór drobne, ale w życiu powszedniém mają one wielkie znaczenie. Wiele przedmiotów powtarza się z małemi warjantami. Coraz téż więcéj obrazów z życia wziętych, postaci z natury przewybornie odwzorowanych, więcéj ruchu, jak gdyby Krasicki uczuł, że w pierwszéj części zbyt było kazań i deklamacyi. Obrazy współ-

czesnego życia są tu liczne, a tak szczęśliwie nakreślone, że radzibyśmy wszystkie je wypisać niemal i z zapomnienia dźwignąć.

Mało dziś w kunszcie powieściopisarskim, wykształconych na nowych wzorach pisarzów, którzyby żywością barw, prawdą fizіognomii tym obrazkom Krasickiego zrównali. Materyał to nieoszacowany do wizerunku wieku. Chcemy się o prawdzie tych epizodów przekonać, porównajmy obrazek częstującego natrętnie, na klęczkach zmuszającego do picia szlachcica, z podobnemi opisami własnych przygód Matusewicza.

Jakże doskonale odmalowana nędza wsi opuszczonych, majętności sierocych, zaniedbania i nieładu! Sierocińskie to mienie, sierocińskiego kraju jest obrazem. Autor mówi z tego powodu o tak szkodliwym, w końcu XVIII w. zagęszczonym, po dzisiejsze czasy w obyczaju będącym, absenteizmie i próżniaczéj po za granicami włóczędze, o niepilnowaniu obowiązków gospodarza.

Całe dwa pierwsze rozdziały, poświęcone obrazowaniu, bardzo są piękne, równie jak przyjmowanie przez panów Ekonomów Cześnika, Wendeńskiego. Patrzymy na to jak się majętności marnowały i ruina przysposabiała.

Przyczyn absenteizmu, wstrętu do kraju, lekceważenia obowiązków szuka autor w wychowaniu cudzoziemskiém, które młodzież obcą czyniły w domu. Wesele córki Podstolego, ukazuje nam jaką gościnność bywała i być powinna. Występują tu nieoszacowane, dobitnie kilku prostemi słowy wywołane postacie, Podstolego drugiego, Podczaszego, Skarbnika, Miecznika i Cześnika.

Krasicki, który sam dobry stół lubił i dbał oń, daje i w tym przedmiocie naukę, jak jeść potrzeba i żywić. Przy obrzędzie weselnym wzmiankowana, dziś zapomniana tradycya:

„Gdy przyszło do tańców, zachowany był *staroświecki zwyczaj* w ceremonialnym, przy asystencyi należących i sąsiadów: ostatni był w kolei ojciec, który w rękę panu młodemu córkę oddał.“

Jest tu i nauka przez rodziców na piśmie dana córce, także wedle dawnego obyczaju.

Następująca księga obfituje też w obrazki. Krasicki z rozmaitych stron i na wszelki sposób stara się o rozwiązanie swojego głównego zadania, jak stare pogodzić z nowém, co przyswoić, co odrzucić. Jakeśmy to już wskazywali, wszędzie z wielką oględnością i umiarkowaniem radzi jak najwięcéj zachować, jak najostrożniéj zmieniać, przyswajać powoli. Bardziéj plastycznie drobne kwestye rozwiązują się w téj części. Dotknięto mnóstwo nałogów, nawyknień narodowych—lenistwa, żartów w rozmowach, pisania listów, czytania gazet, itp. Po długim pobycie wyjeżdżamy nakoniec, po

zwykłém przed podróżą nabożeństwie, z domu Podstolego. Nawiasem zapisuje Krasicki, iż płeć niewieścia nadto była pochopną do chwytania byle coś nowego.

„Młodzież nasza z cudzych krajów, zamiast poloru, przynosi bezbożność, zuchwale swój towar sprzedaje, a i płeć już niewieścia, *co to przedtém uprzedzała nas w cnocie*, przenosić zaczyna w zapamiętaniu i bezwstydzie. Trzeba będzie podobno, mości księże plebanie, wyrzucić z brewiarza owę antyfonę, gdzie kościół święty płeć niewieścią pobożną nazywa.“

Po drodze łapie podróżnych i ugaszcza gwałtem pan Łowczy. Tu śliczny opis starego dworu. Daléj przyjęcie w zimnym folwarku, dom i gospodarstwo Łowczego; spór w tańcu, historyą Tarły przypominający—wszystko z niezmierną prawdą oddane.

Zaczepia autor w téj księdze zakony, ale bez ironii i żartu; mówi o jarmarkach, o dworach magnatów, o wojskach nadwornych, które historyczną koniecznością ich pierwotną tłómaczy. W księdze trzeciéj powtarza się wiele z tego cośmy już słyszeli, dopełniając coraz nowemi uwagami. Więc znowu dwór i stosunek jego do wsi i wieśniaka, opieka nad chatą, nad choremi, oficjaliści. Do włościan i ich stanu zwroty, jak widzimy, częste, zawsze pełne dla nich serdecznego współczucia. Autor zdaje się szukać ciągle zręczności, aby mówić o nich i zajmować się nimi.

Mniéj właściwie pomieszczone tu są całe instrukcye dla komisarzy, marszałków dworu, plenipotentów i pokojowéj młodzieży. Wracamy jeszcze do chłopów potém i ich oświaty. „Trzeba oświecać poddaństwo, pisze, *ale w mierze*. Uczą się dzieci w szkole pisać, czytać, rachować. Żona bakałarza dziewczątka uczy nie tylko pisać, czytać ale i robót, żeby w czasie mogły téż pracą rąk swoich zarabiać. Gdy który z chłopców miejskich nadzwyczajną ma bystrość, oddawać go każe do szkół wyższych, sposobni do roboty uczą się rzemiosła.“ Na ten czas byłyto zasady bardzo postępowe, ale już téż książę Stanisław Poniatowski, Brzostowski, Chreptowicz wprowadzali je w życie.

Mnóstwo tutaj potrąca drobnych przedmiotów, oszczędność, kapitały, wychowanie córek, młodzież, wybór stanu, sługi i t. p. Mowa jest przy wychowaniu niewieściém o romansach, które Krasicki klasyfikuje w sposób następujący: Naprzód stawi romanse rycerskie, lub miłosne, umiarkowane i przyzwoite; po nich najszkodliwsze, sentymentalne, których czytania młodym pannom nie dopuszcza, dla maxym skażonych i dziwactw. Ostatni rodzaj określony jest niejasno: „Rodzaj trzeci jest ten, który wdziękiem historyi słodzi przepisy obyczajności.“ Dodaje, iż tego rodzaju panny nie czytują.

Z krótkiego tego zarysu widzimy, że część druga różni się od pierwszéj, więcéj sposobem pisania niż przedmiotem.

Znacznie od obu pierwszych późniejszą jest trzecia i ostatnia część Podstolego, napisana w lat czternaście po drugiéj, w roku 1798, gdy Krasicki postarzał i okoliczności zmieniły się wielce. Dmóchowski znajduje, że materye w niéj mniéj ważne, niewiele się ona niemi różni od drugiéj części. Za to obrazy, charaktery, wizerunki się mnożą, a w nich nie ustarzał autor i jako malarz, współcześnie równego nie ma. Tu znowu miłośnik ogrodów, powraca do tego przedmiotu, rozszerzając się o dawnych, nowych, owocowych, angielskich i t. p. Utrudzające przerzucanie się z przedmiotu jednego do drugiego, bez żadnego między sobą związku, w téj części mocniéj się jeszcze czytelnikowi czuć daje. Ale gdzie tylko maluje i opowiada, wiernym jest historykiem obyczajów swojego czasu.

Nadzwyczaj trafnie wytknięty zwyczaj dawny nieustannego jeżdżenia po domach szlacheckich, gdzie się „ustawicznie kurzyło w kuchni.“— Poczynał się dzień, jeźli nie od kawy i czekolady, bo tych mało jeszcze znano, to od rosołu, w poście dawano polewkę lub piwo z serem. Przed obiadem wódkę zastawiano i kiełbasy. Śniadanie kończyło się o jedenastéj, a o dwunastéj podawano obiad; we trzy godziny potém podwieczorek, za nim wieczerzę tak jak obiad obfitą i do snu jeszcze — podkurek.

Z obrazów przywiedziemy wizerunek pana kasztelanica, w trzewikach modnych nakształt łyżw, kończastych i wyniosłych, z pałką w ręku krótką tak, aby się na niéj oprzéć nie można, z strzępkami u kolan; — dom ze starego odnowiony, dwór pani podkomorzynéj, opis staroświeckiego ogrodu, majętności opuszczonéj i t. p.

Dotknięto tu kwestyi mięszania się kobiét do polityki, niepotrzebnego wcale, czego Krasicki świadkiem był czasu Sejmu czteroletniego; — podziału majątków, wreście królewszczyzn i starostw, o których wzmianka zdaje się dowodzić, że trzecia część wcześniéj niż Dmochowski podaje, napisaną była.

Czwartą część Podstolego jeszcze, gotował Krasicki, według Dmochowskiego, i miał w niéj przedstawić pułkownika, którego nam ukazał w części trzeciéj, dziwaka i mizantropa, śmierć mu już dopełnić nie dała pomysłu.

Rozwiedliśmy się nieco obszerniéj o Podstolim, jedném z dzieł Krasickiego, które wpływ największy wywarły. Jako artystyczny utwór, całość nie wytrzymuje krytyki, chociaż szczegóły są bardzo piękne; treść nieoszacowaną jest jako materyał do dziejów ducha

i obyczaju. Pracującym nad tą epoką częściéjby zajrzéć do Podstolego należało, niż się dotąd zaglądało.

---

W roku 1779 wyszła też raz pierwszy, Historya na dwie księgi podzielona.

W pewnéj bibliotece, gdzie była nie pomnę,
Powadziły się księgi; a że niezbyt skromne,
Łajały się do woli różnemi języki,
Wchodzi bibliotekarz, pyta się kroniki:
Dla czego takie wrzaski? dla tego się swarzem,
Iżeś mnie śmiał położyć obok z kalendarzem
Wszystko się tu porządnie, rzekł jéj, posadziło,
On zmyśla to, co będzie, ty zmyślasz, co było.

W bajce téj Krasickiego mieści się myśl główna Historyi na dwie księgi podzielonéj. Powieść tę, można zaliczyć do trzeciego rodzaju romansów, wymienionych w Podstolim, który „dodaniem historyi słodzi przepisy obyczajności" — ale, którego kobiéty niechętnie czytają. Współczesny Dmochowski świadczy też, iż Historya nie była tak sympatycznie przyjęta przez czytelników, jak inne pisma Biskupa, a usprawiedliwia to małém jeszcze nawyknieniem ogółu do pism podobnych.

W istocie historya nie mogła bardzo zająć czytelników, ani płci męzkiéj ni niewieściéj. Dla kobiét była za poważną, dla mężczyzn za fantastyczną, a od szkół nawykli byli historyą szanować wielce i aż zanadto się tą mistrzynią powodować w sądzeniu teraźniejszości. Żarty z historyi wydawały się trochę za śmiałe. Krasicki chciał krytyki zdrowego rozsądku sprobować na starych dziejach bajkami zarosłych, poezyą ukwieconych, wypowiadających często raczéj to o czém naród marzył, niż co przeżył. Voltairowskie:

Et c'est ainsi qu'on écrit l'histoire, krytyki Bayle'a, zachęcały do téj próby, do któréj Krasicki za mało miał zasobu erudycyi, a może i zbyt wstrzemięźliwą fantazyą.

Jak zawsze trzymał się i tu środka, nadto był ostrożnym, uczynił więc z historyi téj coś połowicznego, co nikogo zaspokoić nie mogło.

Początek wyśmienity z obrazkiem kozaka, w karczmie między Biłgorajem a Tarnogrodem zapalającego fajkę kawałkiem papiéru, lecz gdy kozak znikł zaczyna się opowiadanie, które nas prowadzi w światy jakiéś szare i zimne okrutnie. Autorem historyi jest nowy rodzaj Ahaswerusa, człowieka wiecznie się odmładzającego,

którego Krasicki po części zapożyczył z Gulliwera. Jest on żywym świadkiem dziejów, które nam opowiada, inaczéj wyglądających niż urzędowa historya. Krasicki czytał wiele, wykształconym był encyklopedycznie, widać to z rzeczy o rymotwórstwie i ze zbioru wiadomości, wszakże na taką krytykę dziejów zapasu mu nie starczyło.

Zbyt oględny, dzielniejszą fantazyą, któraby wiele wypełnić mogła, posiłkować się wahał. Odmładzający się autor, począwszy od Aleksandra W., Diogenesa, Kartaginy, przez Amilkara, Annibala, Efezus i Ateny wędruje do Rzymu i Lukullusa, do czasów Attyka i Augusta. Maluje nam po swojemu Tyberjusza, Nerona i następców jego do Tytusa, dostaje się przez Marsylją do Galii, wraca do Indyi i Chin, i znużony tą długą drogą przeskakuje do Polski, na czasy Lecha, Piasta, Rzepichy. Epizodycznie ukazuje się jeszcze Byzancium, upadłe Ateny, Rzym papieski, Ottonowie, potém Mieszko i Ryksa.

Wszystko to pracy musiało kosztować wiele, a przedstawia się jak rodzaj pensum zadanego sobie i rozwiązanego nie bardzo zręcznie i śmiało.

Pomysł był oryginalny, nie odpowiedziało mu wykonanie. Czuć w tém niewielką liczbę źródeł użytych, niezupełne ogarnięcie przedmiotu, wahanie się, ciągle polot fantazyi hamujące. Krytyka nie równie zuchwalszą być mogła, gdyby miała się na czém oprzéć, co postawić w miejsce zmyśleń. Nie tyka ona bajecznych postaci, nie obala wypadków kłamanych, oczyszcza tylko stare posągi i rektyfikuje pojęcie czynów.

Wszystko po staremu zostaje aż do Lecha, tylko czcigodny pradziadek prozaiczniéj wygląda. Legendy Krakusowe, Wanda, dwunastu wojewodów, utrzymali się na swych miejscach, z poetycznego wdzięku odarci i przetłómaczeni prozą, mniéj jeszcze od zmyśleń wartą. Krytyka kronikarzy nadzwyczaj słaba.

Całość powieści, mimo zalet stylu i niektórych piękniejszych epizodów z życia odmładzającego się autora, czyni wrażenie rzeczy zlepionéj mozolnie i chybionéj.

Krasicki, posłuszny zadaniu wieku, chciał obalać i oczyszczać, zdrowym rozsądkiem prostując zboczenia bajarzy. Zdrowy ten rozsądek, chłodny, mający przewodniczyć krytyce, okazał się bezsilnym, logika jego często fałszywą, ogólna znajomość natury ludzkiéj, jakoby zawsze i wszędzie jednéj i niezmiennéj—niedostateczną. Ludzie z wieku XVIII, postawiani w wiekach odległych, rażą swoim anachronizmem. Aleksander wygląda trochę na króla pruskiego, Dioge-

nes na jednego z niedoszłych filozofów, sprowadzonych z Francyi, Lukullus na dorobkowicza.

Dziwić się nie można, że historya powodzenia nie miała, nie była ona w żadnym związku z życiem i jego aspiracyami, nie odpowiadała żadnéj potrzebie. Bartoszewicz utrzymuje, że upatrywano w niéj krytykę na łatwowiernych badaczów przeszłości, a mianowicie Biskupa Załuskiego. Trudno się tu tego dopatrzéć, a stosunki jakie łączyły Krasickiego z Biskupem rzecz tę mało prawdopodobną czynią.

---

W dawnéj polskiéj literaturze, nie mamy prawie Bajek. Jest to bardzo naturalném, nikt nie potrzebował mówić pod figurą co mógł głosić i wypowiadał bez żadnéj obawy, a swoboda przekonań i słowa była tak nieograniczoną, iż się ukrywać z myślą było tchórzostwem śmieszném. Bajka rodzi się dopiéro w tym czasie, gdy walka opinii czyni ją potrzebną i przewaga wielka stronnictw każe się taić z przekonaniami.

Za Zygmunta III, dawniéj jeszcze obiegają paskwilusy, gorsze od bajek, i to ma swe znaczenie. Za Stanisława Augusta swoboda położeniem kraju i jego stosunkami znacznie jest ograniczoną. Jeden z pierwszych Krasicki chwyta tę formę i zużytkowuje ją, robi z niéj rodzaj satyry, epigrammatu. Przypada ona tak doskonale do jego talentu, iż jest w niéj mistrzem nie do naśladowania.

Z całéj po nim spuścizny, bajki i satyry są częścią najkunsztowniejszą, najlepiéj nam ducha pisarza i wiek malującą.

Bajki téż te, wprzód jeszcze nim drukowane były, rozbiegają się po kraju, rozchodzą z ust do ust, a cząstki ich wrastają w język, stają się przysłowiami. Połowę ich przynajmniéj wszyscy na pamięć umieli. Sąto poemaciki tak skończone, tak wydłutowane, wygładzone jak pieścidełka, iż się równają częstokroć wzorom swym z anthologii greckiéj.

W pierwszych zwłaszcza, autor widocznie się starał zamknąć je w jak najmniejszéj liczbie wierszy; nie ma tam próżnego słowa, ani wtrąconego bez myśli. Treść bajek przeważnie satyryczna; znaczniejszą ich część widocznie natchnęły wypadki współczesne, ludzie działający na scenie. Pomimo, że dziś pamięć tych osób, stosunek do wypadków znacznie się zatarł, w wielu jednak czuć natchnienie bezpośrednie epoki, można niemal wskazać genezę i prototypy.

Są li to w ścisłém znaczeniu wyrazu bajki, epigramata, ucinki czy powieści?? nie widzimy potrzeby określać. Znaczniejsza liczba

ich bajkami się nazwać może, ale to są bajki Krasickiego, a bajka jego ma swój własny charakter. Nie jestto ani Ezop, ani Fedr, ani Pilpaj, ani nawet Lafontaine, jestto — nasz Krasicki — Bajce swéj nadał piętno zupełnie odrębne.

Najpiękniejszą ona jest gdy we czterech, sześciu lub ośmiu wierszach, z nadzwyczajną zwięzłością, mieści założenie, dramat, rozwiązanie dowcipne, a czasem słówko morału.

U Krasickiego, gdy on jest najbardziéj sobą i pisze pod wpływem natchnienia, bajka woli mieć do czynienia z człowiekiem wprost, niż z ludźmi poprzebieranymi za zwierzęta. Ogólna ludzka natura przybiéra w nich cechę wieku, koloryt sfer, w których się myśl poety obracała.

Zupełnie w sposobie tych epigramatów, bajek, mnóstwo ucinków krążyło w czasie panowania Stanisława Augusta. Czasu sejmu czteroletniego obiegające mnogie zagadki, charakteryzujące osoby działające, są ich naśladowaniem. Chciano pochwycić formę Krasickiego, ale, chociaż wielu z nich Niemcewicz był autorem, nie mają zagadki téj doskonałości, wykończenia, téj delikatnéj rzeźby jaką swoim nadał Krasicki. Bajek Węgierskiego, Trembeckiego i innych współczesnych ani można porównywać z niemi.

Cudnéj jego zwięzłości, blasku, swobody ruchu, życia, nikt nie ma.

Mniéj już wykończone i cale różne są bajki dłuższe, a raczéj powieści. Możnaby powiedziéć o nich co któryś pisarz francuski, spiesząc się z napisaniem memoryału: że autor nie miał dosyć czasu aby je krótszemi uczynić. Ale i w tych poeta niekiedy dowcipem, rzeźwością swą najcelniejszym bajkopisarzom równa. Bajki też Krasickiego, gdy sąd sprawiedliwszy przyjdzie na poezyą w ogóle, pozostaną w literaturze jako jeden z jéj klejnotów.

Dla nas zbiór bajek ma, oprócz swéj artystycznéj wartości, niepospolitą jeszcze jako świadectwo ducha wieku, zrodziły się one ze krwi i łez swojego czasu. Może to być wadą dla zapatrujących się inaczéj na kwestyą tworzenia poetycznego, dla nas stanowi zaletę, nie byłyby one tak żywe, gdyby z życiem nie miały związku, nie byłyby tak ciepłe, gdyby się u łona jego nie zagrzały.

Król, dwór, obyczaj wieku, wybitne jego postacie, znajdujemy w nich odwzorowane, a choć czasem skóra zwierzęcia okrywa maskę, z pod niéj ludzka twarz widnieje.

Zastanówmy się nad takiemi bajkami jak: Słońce, obłoki i ziemia; Trzcina i Chmiel, Chleb i Szabla, Konie i Furman, Wilk i Owce, Lew, Jagnię i Wilk—Nocni stróże, kulawy i ślepy, a dostrzeżemy w nich łatwo jawny związek z wypadkami współczesne-

mi. W niektórych odbija się wyraziście walka króla z oporną szlachtą, która z nim iść nie chciała.

Nie możnażby zaręczyć, że myszy natchnął sejm czteroletni i kwestya aliansów a zachowania się względem potężnego sąsiada?

Każdy się swoim zatrudnia kłopotem,
Myślały myszy, co tu robić z kotem:
Mówiły jedne; darami go skusić,
Mówiły drugie, lepiéj go zadusić.
W tém się odezwał szczur szczwany, bo stary:
Próżne tu groźby, próżne i ofiary;
I dary weźmie i przysięgi złamie,
Najlepiéj cicho siedzieć sobie w jamie.
A opatrzywszy zewsząd bez łoskotu,
Ani być z kotem, ani przeciw kotu.

Nie przypominaż to memoryału ks. de Ligne (1788), który pisze: *Si Vous rémuez, Vous êtes morts.*

Bajek takich, któreby się politycznemi komentarzami opatrzéć dały, jest mnóstwo. Tak samo też zawiérających współczesne wizerunki i portrety. Puhacze, w których małżonka puhaczowa i młode puhaczątka są jawnie portretami, a ostatnie słowo podobno historycznėm, oryginały wskazywano niedawno.

(Nie każdemu dał pan Bóg rodzić się puhaczem!).

Synogarlicy treść jest wziętą z wypadku pewnéj pani; tak samo Jastrząb i Sokół. Wilczek jest portretem i Wół minister (1) także. Brak tylko podpisów.

Krasicki znał i czuł czém było życie dworskie, bo dwóch monarchów był poufałym powiernikiem, maluje też je w bajkach często i dobitnie. Na dowód przywiedziem bajkę: Rumak i źrebiec. z czasów czteroletniego sejmu (posłaną Niemcewiczowi). Źrebiec i Koń stary, Słonecznik i Fiołek, Wyżeł i Brytan, Pan i Pies, Kogut. Możnaż lepiéj jak w nich odmalować losy dworaków i życie na dworze?

Cóż lepiéj obyczaj wieku odwzorowuje nad taką bajkę jak: *Bryła lodu i kryształ.*

Bryła lodu spłodzona z kałuży bagnistéj,
Gniewała się na kryształ że był przezroczysty.
Modli się więc do słońca. Słońce zajaśniało,
Ślni się bryła, ale jéj coraz ubywało.

(1) Zobacz w Myszeis ministra, który nie był modny.

I tak, chcąc los polepszyć, niewczesnym kłopotem
Stajała, wsiąkła w błoto i stała się błotem.

Od królewskiego blasku ileż to takich dorobkowiczowskich brył lodu stajało?

Szczep winny jest wyborną przeciw pijaństwu Satyrą.

Z pawia, lwa, małpy, staje się świnia.

Dąb i Dynia stanąć może przy Bryle lodu. I tu znowu owi dorobkiewicze co po indigenaty sięgali, a puściwszy się z panami na wyprzódki, stajali na błoto.

Do natchnionych okolicznościami instynkt ogółu zaliczył dawno, ptaszków w klatce. Tak było i z wielą innemi.

W kwestyi włościan tak serdecznie dotkniętéj w Podstolim, są:

Wino i woda, owieczka i pasterz i wiele innych.

A tenże następca cesarza chińskiego, który płynąć musi i zabawia się, tak że o mało łódki nie wywrócił, nie jest li to Stanisław August?

Łódka tron, lud jest morze i unosi snadno,
Kiedy *sternik niebaczny*, łódka idzie na dno.

Czasem bajka przestraja się w jakąś miluchną fantazyą i obrazek.

Takim jest Skowronek, posłany przez Krasickiego Niemcewiczowi. Rzekłbyś pejzażyk ręką Boucher'a rzucony na płótno.

W czasy gorące, na łące
Pasły się społem, osieł z wołem,
Tam ten chróstem, ten trawą,
A pomiędzy murawą,
Tam gdzie kwiaty i ziółka
Pszczółka.
Chwytając motylki, zbiérając robaczki
Bujał skowronek nad krzaczki.
Na jednéj łące wszystko się to działo:
Pszczółka brzęcząc, w ul niosła zdobycz okazałą,
Chwast z trawą, to użyczał;
Osioł beczał, wół ryczał;
Skowronek wzbijając się, czule i radośnie
Dawał wdzięk wiośnie.

Wiosną był sejm czteroletni, bodaj Niemcewicz Skowronkiem, osłem lękam się żeby nie kasztelan Łukowski, wołem Aristides polski, a nie wiem już kto pszczołą.

Niekiedy ulubiony zwrot Krasickiego, użyty w Satyrze o pijaństwie, z warjantem się powtarza.

(Zgrał się szuler w chapankę.... i t. d.)

Do wielu niemożliwych radykalnych reform sejmu czteroletniego, wybornie się stosują: Pszczoły. Bywały w istocie chwile — gdy bez miodu, wosku i bez czleka chciano się obejść.

W późniejszych Krasickiego bajkach, przez Dmochowskiego nazwanych nowemi, a które miły komentator ich p. G. Ehrenberg zowie niewykończonemi zarysami, bajka przeistacza się w powieść. Pierwsze są krótkie, ucinkowe, trzymane umyślnie w zwięzłéj formie starożytnego kroju i późniejsze coraz się wyciągają, rozwlekają, przybiérają charakter opowiadań.

Zmienia się i ton ich znacznie, wieje z nich smutek, dowcip mniéj świetny, wesołość stłumiona, słowo nie tak dosadne, forma nie tak wyrzeźbiona starannie. Tak naprzykład, kuglarze, już się do bajek liczyć nie mogą, choć są w nich nader zręczne zwroty; tak, czapla, ryby i rak, puhacze i t. p.

Morał często jak w kuglarzach, nie jasny, akcya jak w czapli, rybach i raku zdwojona, przeciągnięta i dramat na jedności i sile traci.

Bajki do nieskończonych uwag dostarczyćby mogły treści Wykład ich znaczenia moralnego, napisał p. G. Ehrenberg (Kraków 1771) unikając zdaje się umyślnie bliższego ich zastosowania do czasów, z których powstały i do których należą.

Oprócz Bajek, które Dmochowski wydał z rękopismów, dawszy im tytuł nowych, dosyć jeszcze pono niedrukowanych pozostało, ale one nie dorównywają pierwszym księgom.

Wiele epigrammatów formą bajki przypominających, z powodu swéj treści drażliwéj, drukowanemi nie były. Wspomnimy tu tylko, jawnie zastosowany do upadku księcia Adama Ponińskiego:

Póki trwała chapanka między kartowniki,
Bił kinal z pancerolą, tuzy i wyżniki.
Skończyła się chapanka, zaczęto grę inną,
Aż owa pancerola, szóstką tylko winną.

Przypisywano Krasickiemu i ów wiersz: *Snycerz*, zastosowany do Hetmana Branickiego, który pomieszczono późniéj w dziełach Trembeckiego. Trembecki dla Hetmana w r. 1773 pisał Epithalam na niedoszłe małżeństwo z księżniczką Teodorą Jabłonowską, a skarcił go potém w r. 1789 wierszem: „Ma Pan rozum.“ Snycerz, choć go mieszczą w zbiorze Trembeckiego, bodaj czy nie należy Krasickiemu.

Snycerz za to, że sobie na klocu odpoczął,
Statuę Herkulesa z niego robić począł.
Jeszcze rąk nie dokończył, aż rycerz zuchwały,
Nie kontent że był w sieni, chciał osiąść dom cały.

Zląkł się Snycerz nad takim wdzięczności owocem,
Uciął ręce i nogi, a kloc został klocem.
Ktoś z przyjaciół Hetmana miał na to odpowiedzieć.
Niechaj się tego kloca lęka snycerz przecie,
Bo gdy się drugi majster wynajdzie na świecie,
Który jak tę zepsutą robotę naprawi,
Pewnie tego snycerza i dłuta pozbawi.

Chociaż asumpt do bajek daje epoka i ludzie jéj, wyciągnięty z nich morał, wyżéj nad czas stoi i znikome jego postacie. Prawdy z nich płyną wiekuiście prawdziwe i stosujące się wszędzie a zawsze. Jak we wszystkich swych dziełach Krasicki naucza umiarkowania, wstrzemięźliwości, przypomina ludzkich rzeczy zmienność, słabość rachub naszych i ślepotę, boleje nad namiętnościami, z których się poprawić nie możemy. Wzorów dostarczył wiek ośmnasty, ale i w dwudziestym znajdą one zastosowanie.

*(c. d. n.)*

---

# POWÓDŹ.

POWIEŚĆ

## FRYDERYKA SPIELHAGENA

W SKRÓCENIU OPOWIEDZIANA

przez

WINCENTĘ LIMANOWSKĄ.

---

*(Ciąg dalszy).*

## KSIĘGA TRZECIA.

Mieting nie zapomniała przyjaciółki swéj, do której od pierwszego widzenia się tak wielki uczuła była pociąg. Zasypywała ją listami swemi—czasami nawet po dwa na dzień pisywała.

Nazajutrz po opowiedzianych wyżéj wypadkach Elsa, załatwiwszy się ze swoim gospodarstwem, zbiegła rano do ogrodu dla przeczytania listów przyjaciółki, których dwa na raz oddano jéj przed chwilą. Niemała to była trudność sylabizować listy, gdzie pismo i pisownia wiele pozostawiały do życzenia—trudniéj może jeszcze było zrozumiéć, o co właściwie chodziło autorce tych hieroglificznych zadań. Elsa wszakże z nawyknienia już może i tą razą dokazała téj sztuki.

Treść piewszego z tych listów była mniéj więcéj taka:

„Okrutna! Teraz już pojmuję siebie samę, mogę powiedzieć po raz pierwszy w życiu; i ty, ty sama, twój ostatni list—o, ten twój ostatni list! Kiedy ludzie milczą, kamienie mówić będą! kiedy dla dumnéj Elsy, po pięciu długich, tęsknych dniach, spotkanie się z człowiekiem, który zdaje się jéj być miłym, służy tylko za przedmiot do humorystycznego opisu, biedna Mieting może wówczas mieć nadzieję, biedna Mieting ma nadzieję i kocha! Tak, kocha, kocha

tego, którym ty pogardzasz, od którego z zimną krwią się odwracasz, dlatego, że szata księżniczki jakiéjś dotknęła twojéj sukni! Powiesz: to litość, nie miłość! Ale czyż litość a miłość nie są bliźniętami? Tak, cierpiałam, cierpię z nim razem, widzę jego wierne niebieskie oczy we łzach tonące; widzę jak te łzy spływają po ciemnych policzkach! Ale za nim ostatnia z nich rozpłynie się w mgle rozczulenia, ja sama ją osuszę—ja! Zdecydowałam się! Jutro papa musi kazać konie założyć—jutro wieczór ujrzysz oblicze téj, która cię oskarża, ale która postanowiła nie oszczędzać cię—rozgniewane oblicze jego mścicielki najszczęśliwszéj Mieting."

Drugi list brzmiał jak następuje:

Nie ujrzysz tego! Najdroższa, ubóstwiana Elso! przebacz mi! Teraz, wśród głębokiéj nocy, kiedy wszędzie cisza, taka cisza, że słyszę jak krew płynie mi w skroniach, przerażam się kiedy nasz Kastor szczeka na dworze, kiedy jabłko, które zapomniałam zerwać, albo którego nie mogłam dosięgnąć na drzewie, rosnącém pod mojém oknem, potrącając o suche gałęzie na ziemię upada—zawsze jabłka takie wyglądają cudownie, ale wiecznie są robaczliwe—teraz, kiedy twój list czytam po raz drugi, teraz dopiéro rozumiem go, słyszę szczery, rzewny ton, który się przebija przez wyrazy wesela. Jedno słowo wyjaśniło mi wszystko: jedno głębokie, pełne uczucia słowo, jakie tylko z serca i z pod pióra mojéj Elsy wyjść mogło. Piszesz mi on się oddalił, księżna przemówiła do mnie bardzo łaskawie, wnosząc z uśmiechniętéj twarzy i dobrotliwego tonu jéj miłego głosu; ale wyznaję ze wstydem, że pierwsze jéj słowa były dla mnie niezrozumiałe, jak gdyby mówiła „po hebrajsku." Ze wstydem twoim Elso! Elso!—z moim głębokim wstydem! O mój Boże, jak wielkie znaczenie ma ten jeden wyraz „po hebrajsku!" Ileż rzeczy w nim się zawiera! Serce twoje, twoja troska, twoja skrucha, twoja miłość! A więc kochaj go,—ja zrzekam się—muszę—tak jak się zrzekam podróży do ciebie! Papa nie może jutro rano dać koni, a mama chce robić powidła śliwkowe. Smutek mój utopię w samotności i w powidłach. Kochaj trochę twoję najnieszczęśliwszą Mieting.

Co za głupstwo! co za śmieszność! rzekła do siebie Elsa. Nie śmiała się jednak wcale, przeciwnie,—raz jeszcze odczytała listy i zamyśliła się.

Dzisiaj wieczór miała go widziéć u siebie w domu; ojciec kazał mu posłać zaproszenie na wieczór tak, jak i innym znajomym. Ciotka jednak uznała za potrzebne wstrzymać się z tém wezwaniem aż do przyszłego tygodnia. Gdyż, jak powiadała, kilka osób mieszczańskiego pochodzenia będzie wówczas, i osoba kapitana Schmidt'a łatwiéj się między niemi prześliźnie.

Jak gdyby on potrzebował prześlizgać się! on, który w zamku Golm sam jeden prawie kierował u stołu rozmową! Dał przytém hrabiemu nauczkę, któréj ten dotychczas nie zapomniał pewnie.

I znowu się zadumała, patrząc w stronę domu—i zakładu Schmidta.

Jakże tam dziwnie cicho dzisiaj, pomyślała. Nie widać nawet dymu z kominów—cóż to się stało? Mój Boże, może nieszczęście jakie?! Czy nie wiesz, Auguście? spytała służącego, który przyszedł ją prosić na śniadanie.

I teraz dopiéro dowiedziała się o wypadkach, zaszłych w fabryce, i o groźném tychże następstwie.

Ujrzawszy ojca przy śniadaniu, spytała go wręcz, czy słyszał co już o tych zajściach i o tém, że pan Schmidt i synowiec jego byli nawet chwilowo w niebezpieczeństwie życia. Objawiła też zdanie, że może należałoby się Ottomarowi odwiedzić kapitana, témbardziéj że ciotka odłożyła zaproszenie na przyszły tydzień.

— Naturalnie, odpowiedział jenerał. Ottomar powinien osobiście zaprosić go; mam do pomówienia z kapitanem i na dziś wieczór rachowałem na jego obecność. Powiedźcie też Ottomarowi, że na moim stoliku jest list do niego;—sam muszę śpieszyć na posiedzenie.

Elsa zauważała, że ojciec był roztargniony jakiś i posępny. Ottomar także, który nadszedł w parę minut po wyjściu ojca, widocznie miał zmartwienie jakieś. Od pewnego już czasu wreszcie widziała w bracie wielką zmianę; wesołość jego i dobry humor znikły zupełnie—ostatniemi czasy szczególnie był ponurego usposobienia. Domyślała się przyczyny tego i postanowiła otwarcie rozmówić się z bratem. Kiedy więc Ottomar udał się do gabinetu ojca, dla przeczytania listu, o którym mu powiedziano, Elsa zeszła do ogrodu, zamierzywszy wezwać go nawet, gdyby sam nie przyszedł do niéj.

Długo czekała na niego, nareszcie ujrzała jak zapinając mundur, wyszedł z domu powoli, z głową opuszczoną. Twarz jego dziwnie zmienioną była, oczy miały jakieś szklane spojrzenie, a usta nerwowo drgały.

Elsa przerażona podbiegła ku niemu i, kładąc rękę na ramieniu jego, zawołała:

— Na miłość boską, Ottomarze, co ci jest? Co to za list? Ottomar się wstrząsnął—nie spostrzegł jéj nadchodzącéj.

— Jakżeś mię przestraszyła! Elso.

— Ty mnie więcéj jeszcze. Cóż to jest Ottomarze? Czy wyzwanie jakie?

— Czemuż lepiéj nie od razu wyrok śmierci? Jestto list zupełnie obojętnéj treści.

— A więc, jeżeli nie list, to coś innego cię zmartwiło. Oddawna już widzę, że dręczy cię coś. Jak jesteście z Karlą Ottomarze?

— Z Karlą?—dziwne zapytanie. Jakże można być z osobą, która ma być wkrótce moją narzeczoną?

— Ottomarze, popatrz mi w oczy! Ty nie kochasz Karli?!

— Zabawna jesteś, odrzekł z przymuszonym uśmiechem,—są to marzenia panien.

— A czémże jest Karla? Czyż sądzisz, że i ona także nie marzy? Że nie utworzyła sobie obrazu szczęścia, jakiego się spodziéwa z tobą? I ona tak jak każda inna młoda dziewczyna w miłości tylko widzieć musi to szczęście. Oboje przeto będziecie nieszczęśliwymi, jeżeli miłości téj brakować będzie z jednéj lub z drugiéj strony, albo wreszcie z obydwóch. Czy nie wierzysz temu?

— Ani słowa, odrzekł Ottomar.

Spojrzał na siostrę i zaśmiał się; ale spojrzenie było ponure, a uśmiech ironiczny i smutny zarazem.

— Widzisz, kochane dziecię, rzecz prosta. Dla siebie i dla spłacenia długów, które porobić musiałem, zanim téj wiosny zacząłem używać dochodu mego, potrzebuję 10.000 rocznie. Dochód mój w skutek tanio oszacowanych dzierżaw wynosi, jak wiesz 5.000 tylko. Carla ma 5.000, co razem z mojemi czyni 10.000. A więc zaślubię ją, i to jak można najrychléj.

— Dla zapłacenia długów?

— Po prostu dlatego, by żyć; bo wieczna ta zależność, wieczna ta gra w chowanego; ta, ta,—tu słów mu zabrakło—drżał cały. Elsa nigdy go takim nie widziała. I ona drżała także ze wzruszenia, postanowiła jednak mówić daléj.

— Nie będę wchodziła w to, czy rzeczywiście potrzeba ci tyle pieniędzy—papa tak często nam opowiada.

— Że on, jako porucznik, żył z ośmnastu talarów miesięcznie! na miłość boską, daj mi już z tém raz pokój! To były inne czasy; ojciec służył w liniowém wojsku, ja jestem w gwardyi. W dodatku, jego i moja natura to jak dwa przeciwne sobie bieguny.

— Dobrze.—Potrzebujesz zatém tyle jak mówisz; za trzy lata ja również będę pełnoletnią i mam także pięć tysięcy. Oddam ci je chętnie, jeżeli...

— Jeżeli do tego czasu nie wyjdę za mąż. Czy to chciałaś powiedzieć?

— Nie wyjdę za mąż wówczas; ja—ja nie chcę wyjść za mąż. Nie mogła daléj powstrzymać łez, które strumieniem popłynęły z oczu. Ottomar objął siostrę.

— Droga, serdeczna Elso! Sądzę, że naprawdę byłabyś w stanie to zrobić; ale czyż nie rozumiész, że chcieć się ratować kosztem siostry, którą się kocha całém sercem, byłoby bez porównania haniebniéj, aniżeli chcieć to zrobić kosztem kobiéty, któréj się wprawdzie nie kocha, ale która téż bardzo prawdopodobnie nie pragnie wcale być kochaną.

— Ale, Ottomarze, otóż przecię i chodzi, zawołała Elsa, łzy ociérając, że chcesz się żenić z Karlą, o któréj nie chcę mówić, że w ogóle niezdolna jest do miłości, a nawet przekonana jestem, że kocha ciebie na swój sposób. Ale jéj sposób nie jest twoim sposobem dałoby się to natychmiast uczuć, nawet w razie gdybyś ją kochał; a témbardziéj teraz, kiedy sam wyznajesz, że tak nie jest. Nie jesteście stworzeni dla siebie. Nie widzę między wami nic wspólnego, nic coby was wiązać mogło, wyjąwszy chyba konnéj jazdy, bo trzeba przyznać, że pięknie i doskonale jeździ. Jéj muzyka, to jest jéj Wagnerowska muzyka jest dla ciebie wstrętna; do książek jéj, których z pewnością sama po większéj części nie rozumié, nigdy nie zaglądniesz. I tak we wszystkiém; a co najgorsza, miłość, jak ona ją rozumié, nie jest wcale miłością dla ciebie. Bądź co bądź masz tkliwe serce i potrzebujesz prawdziwéj miłości. U Karli uczucie to nadto się łączy z próżnością i igra po świetnéj, błyszczącéj powierzchni życia. Jeśli kiedy zatęsknisz do głębszéj nuty i sam w tę nutę uderzysz, w jéj sercu nie znajdziesz żadnego echa.

— Aleź Elso, widzę żeś strasznie mądra w sprawach sercowych! Kto cię nauczył tego wszystkiego? Hrabia Golm?

Elsa gwałtownie się zarumieniła. Nie zasłużyłam na to, rzekła.

Ottomar ucałował jéj rękę. Przebacz mi ten żart niestosowny, sam Golm winien temu. Myśli tylko o tobie i dziś jeszcze, spotkawszy się ze mną, wciąż miał imię twoje na ustach. Zdaje się, że ma zamiar dłużéj tu pozostać. Zresztą, mogę cię uspokoić, że i mnie on nie tak nadzwyczajnie się podobał, i wątpię, byśmy kiedy mogli być przyjaciołmi.

Ottomar chciał wyraźnie zwrócić rozmowę na inny przedmiot. Elsa widziała dobrze, że usiłowania jéj próżne były, że nie zdoła wywołać w bracie chęci do zwierzeń, do wyspowiadania się z tego, co mu na sercu leżało, z owych ponurych myśli, którym się znowu oddał pomimo jéj obecności. Serce jéj mówiło, że jakieś niebezpieczeństwo grozi mu, i że poradzić na to zdołałaby chyba ręka silniejsza od jéj ręki. Ale ten, któremu ona tak ufała, o którym

wciąż myślała, jakże go zbliżyć do brata? jakże doprowadzić do tego, by stosunek dwóch młodych ludzi stał się bliskim, ścisłym?

— Zapomniałam ci powiedzieć, Ottomarze, że ojciec chce, byś poszedł do kapitana Schmidt'a i zaprosił go na dzisiejszy wieczór.

— August może to samo zrobić.

— Nie, kapitan był tu osobiście; nie zastał wprawdzie nikogo w domu, trzeba jednak, byś wzajemnie był u niego, a przy téj sposobności.

— Zdaje się, że masz słabostkę do kapitana, Elso? I Ottomar spojrzał siostrze w oczy.

— Niech i tak będzie, odrzekła odważnie, wytrzymując spojrzenie. Jestto dobry, szlachetny człowiek, jakich niewielu znałam dotąd, i chciałabym byś się bliżéj z nim zapoznał. Mało jest takich jak on ludzi, na których możnaby rachować w każdém niebezpieczeństwie.

— Jak ja rachuję na ciebie, rzekł Ottomar.

I zamyślony wzrok jego spoczął na otwartéj, wyrazistéj twarzy siostry; poczém, jak gdyby przypadkiem pomknął wyżéj i zatrzymał się na dwóch oknach domu Schmidt'a. W jednéin z nich niebieskie firanki były spuszczone. Tak było już od trzech dni; znaczyło to: dziś wieczór nie oczekuję cię.

Czy miał tajemnicę swą powierzyć odważnéj, kochającéj siostrze? Czy w szczeréj spowiedzi miał szukać ulgi dla serca swego tam, gdzie wiedział, że znajdzie współczucie—litość.

Litość? A jeżeli wszystko się już skończyło między nimi? Jeżeli stosunek ich został bezpowrotnie zerwany? Na cóż się zda spowiedź? Nie, nie! trzeba najprzód z jéj własnych ust dowiedzieć się.

— Zaraz pójdę do kapitana, rzekł po chwilowém milczeniu.

— Dobry, kochany Ottomarze, zawołała Elsa, obejmując go i całując, wiedziałam, że tak będzie.

— Elso! proszę do mnie na chwileczkę, zawołała w téj chwili ciotka Sydonia, stojąc we drzwiach sali jadalnéj.

Elsa pośpieszyła do ciotki. Ottomar posępnie patrzał za nią. Potém zwrócił się w stronę ogrodu najbardziéj zarosłą i tu jeszcze oglądnął się, czy go kto nie widzi. Następnie wydobył list, który zastał był na stole w pokoju ojca.

W kopercie między kilku luźnemi kartkami, na których były rachunki jakieś, znajdowała się kartka ręką ojca kréślona:

„Dzisiaj rano zapłaciłem za ciebie dwa weksle: 1.200 talarów. Robię to po raz ostatni; możesz się przekonać z załączonego tu rachunku, że całe moje własne mienie zostało już użyte na tenże cel. Z tego powodu ani grosza więcéj nie mogę dać. bo pozbawił-

bym nas wszystkich środków stosownego utrzymania, albo sam zacząłbym zaciągać długi. Proszę się więc zastosować do tego.“

*W.*

---

Usunięcie z fabryki pewnéj ilości robotników pociągnęło za sobą groźne dla jéj właściciela następstwa. Ci bowiem co pozostali, widząc się w zmniejszonéj liczbie, zażądali podwyższenia płacy. Nadaremnie Reinhold usiłował skłonić stryja do pewnych ustępstw, przynajmniéj na ten raz jeden, chodziło tu już bowiem o jego własną stratę, gdyż w razie zmowy, jaką grozili robotnicy, nie mógłby dopełnić zobowiązań, które był przyjął na siebie kontraktem. Ale stryj Ernest, właśnie pod naciskiem groźby téj, najuporczywiéj trwał przy swojém. Robotnicy zaś, doskonale rozumiejąc korzystne swe położenie, nie chcieli téż słyszéć o żadnéj zgodzie, zanim się nie uczyni zadość ich żądaniu. Spór się przeciągał, obie strony zapalały się; wreszcie do takiéj doszło ostateczności, że pijanych i rozwścieczonych Reinhold musiał z pistoletem w ręku odeprzéć od progu stryja. Przywołana policya pochwytała zaraz przywódzców i stłumiła rozruch, ale wieść o nim rozeszła się z szybkością błyskawicy i wywołała podobneż sceny w innych fabrykach. Wszędzie nastała zmowa. Właściciele dla wspólnéj na ady zwołali walne zgromadzenie, i właśnie stryj Ernest wybiérał się na nie, kiedy Reinhold raz jeszcze starał się go skłonić do łagodności i spokojniejszego zapatrywania się na sprawę.

— Nie, nie mogę zrobić tego, odpowiedział mu stryj na to. Nie mogę przestać być sobą. I po co wreszcie? na co? Ani ten świat dla mnie, ani ja dla niego. Ktoś inny, ten co po mnie przyjdzie, lepiéj będzie wiedział, jak ma się do niego zastosować. Ty bądź tym innym, Reinholdzie!

— Ja? zawołał Reinhold zdziwiony.

— Ty! Ty co masz sił tyle, że trzebaby nielada ciosu, coby się potrafił obalić. Wieleś się nauczył, wieleś widział i może lepiéj patrzysz na rzeczy aniżeli ja, com przykuty do jednego kąta, możem już utracił wzrok dobry. Ciebie nie wiąże żadna przeszłość, żaden program. Możesz zatém w zupełnie nowym iść kierunku. I dlatego ciebie, ciebie szczególnie pragnąłbym mieć za następcę swego.

Stryj Ernest zatrzymał się i odetchnął głęboko, jak gdyby to, co miał właśnie powiedziéć, najtrudniejszém było dla niego.

— Kocham cię Reinholdzie, zdaje mi się, że i ty mię kochasz cokolwiek, i o tobie jednym na świecie mogę to powiedziéć.

Reinhold przystąpił do stryja i położył rękę na ramieniu jego.

— Drogi stryju! Dziękuję ci z całego serca za uczucie, którém mię obdarzasz, bo czémże na nie zasłużyć mogłem? Ale miłość wywołuje miłość. Kocham cię bowiem i poważam jak syn ojca. Mylisz się jednak sądząc, że ja jeden tylko mam to uczucie dla ciebie dzieci twoje.

— Tak sądzisz? Albo ty wiész cokolwiek w tym względzie. Albo ty rozumiész, czém jest stosunek rodziców do dzieci, czém dla ojca pierwszy krzyk dziecięcia. Czyś ty kołysał twe dziecię i w jego śmiejących się oczach szukał szczęścia twego? Czyś ty widział jak te oczy przestawały uśmiechać się do ciebie, jak się powoli odwracały od twoich—oczy i serce?... Czyś ty to widział kiedy? czyś przeżył?

— W najgorszym razie mógłbyś stryju powiedziéć to o Filipie tylko i to gorzéj może widzisz, niż jest. Co do Ferdynandy zaś, jeżeli nie wszystko tak jest, jakby być powinno, to może i twoja w tém cokolwiek jest wina. Serce dziewczęce potrzebuje światła, ciepła, dużo ciepła, a ja dotąd nie słyszałem nawet, byś kiedy do niéj tak przyjaźnie się odezwał, jak do mnie zawsze mówisz.

— Bo ty mię rozumiész, a Ferdynanda nie. Wreszcie nie żądam nawet tego. Kobiéty nie po to są na świecie. Im tylko pończochy robić i kuchnią się bawić, a w najlepszym razie muzyką i t. p. Zresztą wyznaję, że Ferdynanda warta coś więcéj jak inne gąski. A jeżeli ty tak wiele o niéj trzymasz, to żeń się z nią, a tém samém nabędziesz prawa zdjęcia ze mnie całego ciężaru.

Reinhold nie wiedział, czy słowa te powiedziane były na żart, czy na seryo. Na szczęście wejście Kreiselsa uwolniło go do odpowiedzi.

— Co się stało? zawołał stryj Ernest, ujrzawszy swego buchaltera. Człowieku, jakżeś się dziwnie ustroił, czy idziesz na pogrzeb jaki?

W istocie, toaleta staruszka była co najmniéj, dziwaczna. Nad wysokim kołnierzem staroświeckiego fraka z długiemi, spiczastemi połami wznosiła się łysa główka; z pod krótkich spodni wystawały ogromne nogi. W rękach trzymał wysoki cylinder z wąziutkiém rondem przestarzałéj już mody, i stare wytarte rękawiczki. Wyraz twarzy zawiędłéj i niespokojnie patrzących oczu zupełnie odpowiadał ubiorowi.

— W istocie idę na pogrzeb, odpowiedział cichym, drżącym głosem.

— Czyjże to ma być pogrzeb?

— Mój własny.

Stryj Ernest otworzył ogromne oczy. Czyś zwaryował, s przyjacielu, zapytał. Nie jestem dzisiaj usposobiony do żartów. O chodzi? stary, niech zrozumiém o co chodzi i czego chcesz.

— Uwolnienia od służby! wyjąkał Kreisels, ocierając z c grube krople potu. A to będzie dla mnie równało się śmierci.

— A więc, niech cię pogrzebią! zagrzmiał stryj Ernest.

Staruszek zadrżał, jak gdyby w istocie śmiertelnie został u dzony. Stryj wielkiemi krokami mierzył pokój, stanął wreszcie pr nim i zawołał:

— To tak! Ślicznie to z waszéj strony! Lat czternaście pra waliśmy i cierpieliśmy razem; nigdyś złego słowa nie słyszał z moich, wiedziałem, że nerwy twoje nie zniosłyby tego, nie potr bym nawet najmniejszéj zrobić ci krzywdy, tak jak nie umiałb jéj wyrządzić twojéj biednéj Cilli. A jeżelim nie dość dla was zro nie moja w tém wina. Z własnéj woli podwoiłem utrzymanie wa a byłbym je potroił, gdybyś mi powiedział tylko, że potrzebuj tego. Aleś nigdy ust nie otworzył. A teraz, kiedy, niech szatan zrozumié, ja nie pojmuję.

— I nie zrozumiész pan, jeżeli nie pozwolisz mi wytłómac się, odrzekł buchalter, rozpaczliwie gniotąc kapelusz w rękach.

— To mówże nareszcie.

— Muszę pana opuścić, zanim mię sam odprawisz, tak ja odprawił tamtych trzydziestu we wtorek. Bo i ja....

Tu podniósł mrugające oczki i śmiało spojrzał niemi na str Bo i ja jestem socyalistą!

Byłto bohatérski wysiłek ze strony staruszka, i położenie j było w istocie dramatyczne. Reinhold jednak o mało się nie r śmiał, widząc, że stryj zamiast wybuchnąć po swojemu szerzéj ty jeszcze otworzył oczy i niezwykle spokojnym a nawet łagodnym g sem zapytał: Czy nie jesteś także komunistą?

— W pewnych okolicznościach usprawiedliwiam i komuni także, odpowiedział buchalter.

— A więc, idź teraz do siebie, prześpij się godzinę i niech się zdaje, że wszystko to przyśniło ci się. I ani słowa więcéj o bo się naprawdę gniewać będę.

Staruszek nie ośmielił się sprzeciwić temu tak stanowczo wy wiedzianemu rozkazowi. Wyszedł, kłaniając się i spoglądając Reinholda, jak gdyby chciał powiedziéć: jesteś świadkiem, ż spełnił mój obowiązek.

Reinhold chwycił stryja za rękę: dziękuję ci! rzekł.

— Za co? żem nie wziął na seryo tego, co plótł ten biédny stary? Ba! Tyle on się na tém rozumié co nowo narodzone dziécię. Wszystko to wyczytał w swoich książkach, nad któremi spędza połowę nocy, nie mogąc sypiać, a jego dobra, biédna Cilli dotrzymuje mu towarzystwa. Na ten rodzaj socyalistów mogę się i ja zgodzić nawet. Cóż tam znowu?

Grollman, stary sługa, wszedł w téj chwili, trzymając kartkę wizytową w ręku. Stryj Ernest, spojrzawszy na nią, gwałtownie rzucił ją na stół. Czyś oszalał? zawołał.

— Młody pan koniecznie tego żądał, odpowiedział.

— Raz na zawsze nie ma mnie w domu dla niego.

-- Na parę minut tylko, mówił stary sługa; p. kapitan miał podobno zawiadomić pana o tém.

— Co to znaczy Reinholdzie?

Reinhold przeczytał kartkę. W istocie, odpowiedział, Filip prosił mię o to, kiedym był u niego pozawczoraj.

— Byłeś u niego?

— Uważałem to za mój obowiązek; obiecałem wówczas także postarać się dla niego o pozwolenie widzenia się z tobą, stryju.

— Muszę iść na zebranie, odrzekł tenże.

— Masz jeszcze kwadrans czasu, rzekł Reinhold.

— Na parę minut tylko, powtórzył Grollman.

Stryj Ernest popatrzał na nich obydwóch z kolei, jak gdyby chciał ich uczynić odpowiedzialnymi za następstwa tego, do czego go skłaniali: niech wejdzie, rzekł.

— Czy chcesz, bym tu pozostał, zapytał Reinhold.

— Nie, lepiéj będzie, gdy pozostaniemy sami.

Reinhold innego był zdania. Znał już dobrze stryja i widział przygotowującą się burzę. Nie mógł się wszakże sprzeciwić i usunął się.

Filip wszedł. Ojciec i syn stanęli naprzeciw siebie.

— Czego chcesz odemnie? zapytał stryj Ernest, nie patrząc na Filipa.

— Przychodzę w interesie, odpowiedział tenże, patrząc również w stronę.

— Nie mam żadnych interesów z tobą.

— To może zechcesz je mieć z berlińsko-sundińską koleją żelazną.

— Nie robię interesów z tą dyrekcyą.

— Interes byłby bardzo korzystny dla ciebie. Mamy już koncesyą na dalszy ciąg kolei naszéj. Dotychczasowy dworzec musi być

zatém rozszerzony. Kiedyśmy jeszcze razem pracowali, kupiliśmy wówczas wspólnie grunt, na którym dworzec stoi.

— Na twojéj części.

— Na mojéj części, bo nie chciałeś sprzedać swojéj.

— Na kupno twojéj dałem ci pieniądze; o ile wiém nie miałeś ich wówczas wcale.

— Dotąd jeszcze wdzięczny ci za to jestem. Położyłeś przez to kamień węgielny do teraźniejszego dobrobytu mego; korzystając bowiem z interesu, sprzedałem część moję towarzystwu.

— Czegoś nie powinien był zrobić.

— Przedtém jeszcze oddałem ci pieniądze te do ostatniego grosza, wraz ze zwykłym procentem.

— Zapominasz tylko o tém, że dałem ci pieniądze w tym jedynie celu, byś razem ze mną założył na tym gruncie tanie mieszkania dla robotników. Wprawdzie, umowa nie była piśmiennie zrobiona.

— Na moje szczęście, a sądziłem, że i na twoje. Po tém, co wczoraj u ciebie zaszło, sądzę, że znikły już twoje filantropijne zachcianki. Możesz wszakże wynagrodzić sobie te straty. Twojéj kolonii robotniczéj nie wiodło się dotąd wcale. Skończ z nią już nareszcie i nam ją odprzedaj. Potrzebujemy gruntu tego dopiéro na nowy rok; część mieszkań teraz już jest opróżniona, my zaś zapłacimy ci za te domki tak, jak za czteropiętrowe budynki.

— Skądże weźmiecie pieniądze, jeżeli wolno zapytać?

— Skąd? Skąd zawsze braliśmy.

— Skąd zawsze braliście! powiedział stryj Ernest.

Po raz pierwszy spojrzenie jego surowe i silne padło na syna.

— To znaczy z kieszeni publiczności, którą najbezwstydniéj oszukujecie kłamliwemi prospektami; którą zwodzicie nadzieją jakiéjś dywidendy; któréj skargi zagłuszacie na tak zwanych walnych zgromadzeniach waszych, aż nareszcie prokuratorya przypomni sobie, że niezawsze siła idzie przed prawem. Nie chcę mieć do czynienia z prokuratoryą i pojazd mój czeka na mnie.

— Mój także, odrzekł Filip, okręcając się na pięcie, i wyszedł z pokoju.

Stryj Ernest zbliżył się do stołu i duszkiem wychylił szklankę wina. Z chmurą gniewu na czole oparł się ręką na stole i dumał.

— Nie chciałem tego, pragnąłem pozostać spokojnym. Jakże mi przypomniał matkę swoję! Ta także nigdy mię nie rozumiała. Ale on, to karykatura! Do nicości przyłączyło się jeszcze brutalstwo. Zuchwały, nędzny łotr!

Wypił drugą szklankę.

Wyraz gniewu jeszcze groźniéj zasępił twarz całą.

---

Oczekując na koniec rozmowy Filipa z ojcem, Reinhold udał się do buchaltera, chcąc go uspokoić po zaszłéj ze stryjem scenie. Starzec blady, złamany, siedział na ławce w altanie między ogrodem a zabudowaniami. Cilli, stojąc przed nim, ocierała mu pot z czoła.

Tak Reinhold, jak córka namawiali go, by poszedł za radą stryja Ernesta i spoczął trochę. Usłuchał ich wreszcie i udał się do domu.

Kiedy Reinhold, odprowadziwszy go, wrócił do altany, znalazł Cilli siedzącą smutnie z głową opuszczoną i złożonemi rękami.

— Kochana, biedna Cilli, rzekł biorąc ją za ręce,—uspokój się, daję ci słowo, że stryj nie myśli wcale zerwać z ojcem twoim, wszystko między nimi pozostało tak jak dawniéj było.

— Nie tak, o nie, odrzekło dziewczę, potrząsając głową. Od wtorku ojciec zmienił się do niepoznania. Mało je, prawie nie śpi. Dzisiaj rano przyszedł mi powiedziéć, że nie może taić przekonań swoich. W istocie, nie było innéj drogi. Stryj pański stanowczo wypowiedział zdanie swoje w tym przedmiocie. A jeżeli przez wzgląd na słabego starego człowieka zechce wyjątek zrobić i wszystko puścić w niepamięć, to znowu duma ojca cierpieć nad tém będzie, témbardziéj, że ma za sobą zupełną słuszność.

— Jakto, spytał Reinhold zdziwiony.

— Nie będę roztrząsała zasadniczych pojęć i przekonań tak ojca mojego, jak stryja pańskiego; pojmujesz pan łatwo jednak, że stoję po stronie mego ojca. Mówię zaś, że ojciec ma słuszność, otwarcie wyznając swe przekonania, bo każdy człowiek powinien kierować się niemi w życiu i następstwa ich spokojnie znosić. Nam obu łatwiéj to niż komu innemu wykonać, bo w najgorszym razie niedługo to już znosić będziemy.

— Nie rozumiém cię.

— Wiém, że ojciec niedługo żyć będzie. Doktór przygotował mię już do tego, że ataki nerwowe zabiją go w końcu. I gdyby ojciec wiedział, że ja nie przeżyję go długo, byłby wówczas spokojniejszy. Pan, któremu on tak wierzy, możebyś mógł mu to powiedziéć?

— Ale jakże mogę zrobić coś podobnego, Cilli?

— Dla czegóż nie, kiedy to jest zupełna prawda; jestem chora, śmiertelnie chora na nerwy. Cierpienie to odziedziczyłam po ojcu

i w skutek tego oślepłam w trzecim roku życia, kiedy mając lat ośm, zasłabłam znowu, rodzice wezwali dwóch lekarzy i wówczas słyszałam, jak mówili między sobą, bo mam słuch nadzwyczajnie ostry, o czém oni nie wiedzieli—że trzebaby cudu na to, bym dożyła lat szesnastu. Na przyszłą wiosnę będę miała lat szesnaście i nie wierzę w cuda.

— Lekarze często się mylą; mam nadzieję, że i tą razą tak się stało.

— Ja nie mam téj nadziei, a nawet nie chcę jéj mieć.

— A jednak kochasz życie.

— Dlatego zapewne, że wiém, iż wkrótce będę musiała umrzéć, tak jak mówią mi, że wyobrażam sobie świat tak pięknym dla tego, że jestem ślepa. I dla kogóż mam żyć, kiedy ojciec umrze!?

— Dla przyjaciół swoich; dla mnie np., dla Justusa, dla którego masz tyle przyjaźni i który cię tak kocha.

— On mię kocha?

Usteczka jej zadrżały; parę razy odetchnęła głęboko, nie mogła jednak powstrzymać łez—polały się one strumieniem z biednych ślepych oczu, przeciskając się przez białe, cienkie palce, któremi je zakryć chciała.

— Na Boga, Cilli, co to jest, zawołał Reinhold bolesném dotknięty przeczuciem.

— Nic, nic, wyszeptała; sam widzisz, że jestem chora, bardzo chora.

Zamilkła, pokonana wzruszeniem, i jak kwiat podcięty opuściła główkę na piersi; rączki boleśnie zaciśnięte bezwładnie upadły na kolana; twarzyczka blada miała wyraz bolu tak rozdzierający serce że, patrząc na nią, Reinholdowi stanęły łzy w oczach.

Zanim wszakże zdołał przemówić coś do biednego dziewczęcia, usłyszał, że ktoś nadchodzi, i spostrzegł Filipa.

Nie chcąc narazić Cilli na przykre w téj chwili spotkanie, śpiesznie opuścił altanę i poszedł naprzeciw kuzyna.

Filip, nie posiadając się z gniewu, opowiedział mu o rezultacie rozmowy swéj z ojcem i klął się, że po raz ostatni zniósł to, czego niepodobna ścierpiéć nawet od ojca.

— Ty także winien temu jesteś, mówił rozdrażniony. Z ust starego słyszałem słowa, które wczoraj w twoich były ustach. Dlaczego chcesz go podburzyć przeciw temu, czego obaj nie rozumiecie? I co cię to obchodzi, czy port będzie na północy czy na zachodzie, czy go piasek zasypie, czy diabeł porwie! Czy swój majątek chcesz w to włożyć? A jeżeli inni mają do tego ochotę, to cóż to do ciebie należy? Wolno każdemu patrzéć dokąd idzie, a jak nie widzi, to

niech pada. A chcecie czy nie, koléj stanie, musi stanąć, nie podlega to już żadnéj wątpliwości, ponieważ hrabia Golm wszedł już do komitetu założycieli.

Potok gwałtownych tych słów przerwało niespodziane ukazanie się Ottomara, który, nie zastawszy Reinholda w mieszkaniu jego, za wskazówką służącego tu go szukał. Dotrzymując obietnicy Elsie, przyszedł prosić kapitana na wieczór i oświadczył mu zarazem, że ojciec jego ma mu coś ważnego do powiedzenia.

Zachowanie się Ottomara względem Reinholda było nietylko uprzejme ale niemal przyjazne, względem Filipa zaś zupełnie obojętne, a nawet lekceważące prawie. Naturalnie, mocno to ubodło tego ostatniego. Kiedy więc Werben niby obojętnie zapytał, czy nie na tymże dziedzińcu znajduje się pracownia Andersa, i prosił Reinholda, by mu ułatwił zwiedzenie jéj, wówczas Filip, chcąc zaimponować młodemu oficerowi, oświadczył od niechcenia, że, korzystając z okoliczności, pójdzie także z nimi do atelier, by zobaczyć marmurowe posągi, które zamówił był u Andersa do swego nowego pałacu.

I tak wszyscy trzéj udali się do pracowni rzeźbiarza.

Reinhold z doświadczenia już wiedział, że nadaremnie jest pukać do pracowni, gdzie zwykle panował wielki hałas i stuk. Po prostu więc otworzył drzwi i wszedł, poprzedzając Ottomara i Filipa. Tu, w jednym kącie wielkiéj sali, Anders i Ferdynanda stali przed modelem, nad którym Justus pracował. Oboje tak byli zajęci żywą rozmową, i taki hałas panował koło nich, że nie spostrzegli wcale przybyłych. Obejrzeli się dopiéro wtedy, kiedy mały piesek Justusa, zajadle szczekając, rzucił się do nóg Filipa, którego lakierowane buty widocznie nie przypadły mu do gustu. Nawoływanie psa, sprzątanie rozmaitych narzędzi i przedmiotów, czém się natychmiast zajęło kilku robotników, między którymi był także Antonio; wreszcie wzajemne powitanie; wszystko to sprawiło chwilowy zamęt, pod zasłoną którego gwałtowny rumieniec Ferdynandy i zakłopotany ukłon Ottomara uszły baczności Reinholda. Oboje wszakże natychmiast przyszli do siebie; spojrzenia ich skrzyżowały się z sobą i o wzajemném zapewniły przebaczeniu. Po długich, nieskończonych trzech dniach on przyszedł do niéj, a więc wszystko było przebaczone, zapomniane. Ona, po pierwszém powitaniu, nie usunęła się zaraz do swojéj pracowni, któréj drzwi stały otworem; to z pewnością dowodziło, że go zawsze kochała.

Dla obojgu spotkanie się to jawne niewypowiedzianą było rozkoszą. Ottomar po raz pierwszy słyszał jéj pełny, dźwięczny głos— dotąd rozmawiali z sobą tylko szeptem. Jéj śmiech zachwycał go—

nie sądził, by się tak śmiać mogła. Jakże wspaniałą była jéj postać, którą tak wdzięcznie uwydatniał skromny, obcisły strój! Jak śliczne bujne kasztanowate włosy, skromnie podniesione nad czołem i upięte w długie warkocze! Nigdy nie wydawała mu się tak piękną! Upajał się téż jéj obecnością. Chodził, stawał przed marmurami, rozmawiał, żartował, ale nie bardzo wiedział, co sam mówił i co inni mówili. Poruszał się jak gdyby we śnie—a był to cudny sen. Obudził się wszakże z niego prędko i z żołnierską odwagą postanowił korzystać z położenia swego.

Dla Ferdynandy także obecna chwila była niespodziewaném szczęściem, ale ona ani na chwilę nie zapomniała o niebezpieczeństwie swego położenia. Niczego się nie obawiała od Justusa, Reinholda, Filipa; wiedziała, że z odrobiną ostrożności nie wzbudzi najmniejszego ich podejrzenia. Ale jakaż ostrożność, jaka przebiegłość mogła ją zasłonić przed palącemi, czarnemi oczami Antonia! W téj chwili wprawdzie zdawał się on być zajęty pracą—na pozór nic nie widział i nie słyszał. Ale to właśnie przestraszało ją; znała ostry słuch jego, wiedziała, że dobrze słyszy to, czego nie widzi, i że właśnie w danéj chwili spojrzy. A czuła dobrze, że chwila ta nadejdzie, że nadejść musi. W istocie, Ottomar, sądząc się bezpiecznym, zbliżył się do niéj i szepnął—co?—nie słyszała, ale z oczu jego wyczytała wyraźnie; muszę mówić z tobą samą—w twojéj pracowni!

Ale w jaki sposób dokonać tego! Czas uchodził, a tyle jeszcze było do widzenia w pracowni Andersa!

Grupa czterech alegorycznych postaci, przez Filipa obstalowana, była właśnie przedmiotem długich rozpraw. Każdą z figur krytykowano z osobna.

— Jeżeli, jako profan, mogę wyrazić zdanie moje, to wyznam, że figura założycielki miast wydaje mi się szczególnie piękną, rzekł Ottomar, rzucając spojrzenie na Ferdynandę, któréj podobieństwo do owéj figury było uderzające.

— Widzę, że z pana nie tak wielki profan. Zdajesz się pan doskonale wiedziéć, skąd my mądrość naszę czerpiemy. Ale niech pan nie sądzi, że jesteśmy w stanie tylko służyć za wzór do posągów—umiemy je też sami tworzyć, i to bardzo piękne. Czy możemy, panno Ferdynando? I Justus wskazał na drzwi do jéj pracowni.

— I owszem, bardzo proszę, odrzekła Ferdynanda, któréj serce gwałtownie zabiło. Oczekiwana chwila nadeszła. Filip i Reinhold dysputowali nad jakimś symbolem handlu, który jedna z figur przedstawiała; Filip, zirytowany oporem, jaki go zewsząd dnia tego spotykał, mówił podniesionym i ostrym głosem. Justus i Ottomar udali się za Ferdynandą do jéj pracowni. Ferdynanda, stojąc już na pro-

gu do niéj, odwróciła się do Justusa i szepnęła mu: uspokój pan tamtych dwóch niezgodnych, Filip taki nieznośny dzisiaj. Anders wrócił,—Ferdynanda szybko weszła do siebie, a za nią Ottomar. Zaledwie znaleźli się sami, on ją objął ramieniem, ona zarzuciła mu ręce na szyję, i po raz pierwszy usta ich w długim spotkały się pocałunku. Dziś wieczór? Jak chcesz. Ósma godzina w Bellevuegarten!—Jak chcesz!—Najdroższa!—Ukochany!

Na szczęście, ramiona ich rozplotły się natychmiast. Justus bowiem ukazał się na progu, dla większego zabezpieczenia pokoju, prowadząc za sobą wojujące strony.

W pracowni Ferdynandy główną uwagę zwracał posąg żniwiarki. Przedstawiał on młodą dziewczynę, stojącą samotnie na polu kampanii i przysłuchującą się dzwonom pobliskiego klasztoru, wzywającym na Ave Maria. Statua, rozpoczęta na wiosnę, miała stanąć obok rzymskiego pastuszka na wystawie. Ale artystka nie dokończyła jéj, co ogromnie oburzało Andersa.

— Praca ta, mówił z zapałem, mogłaby była przynieść zaszczyt największemu artyście; berlińscy rzeźbiarze podziwiali ją, a Medyolańczyk, Emico Braga, który tu był latem, zachwycał się nią. I patrzcie, moi panowie, czém jest kobiéta, chociażby najwięcéj utalentowana,—czy potrafi dążyć do raz obranego celu? Posąg gotów już prawie, trzeba go tylko wykończyć, ale brak usposobienia. Oczekujemy na nie parę miesięcy, dzień za dniem upływa—robota wysycha, psuje się. Wreszcie, przed czterema tygodniami wchodzę tu—i cóż zastaję? Słodka, marząca twarz żniwiarki zamieniła się w oblicze Meduzy; ręka się podniosła i oparła na czole, a z pod niéj wyjrzały okrutne jakieś oczy, patrząc w dal i wyczekując kogoś, ale ja nie chciałbym być tym oczekiwanym. A pan, panie kapitanie?

— Ja także nie, odpowiedział tenże śmiejąc się. Na nim samym posąg zrobił podobneż wrażenie, i on także wypowiedział je w podobnych wyrazach.

— Głosujmy! zawołał Justus. Co pan mówisz o tém, panie Werben?

Ottomar nic nie odpowiedział, słuchał tylko i myślał: statua rozpoczęta została na wiosnę, wiosną téż zamienili z Ferdynandą pierwsze słowa miłości. Potém nastąpiła długa pauza, podczas któréj unikała go, a kiedy przed czterema tygodniami znowu dała się ubłagać, miłość ich inny zupełnie przybrała charakter, charakter ponury, namiętny, który go samego przestraszał niekiedy. Czy to był obraz jéj miłości? Czy to na niego czekała?

Myśli te jak błyskawica przemknęły mu przez głowę; spojrzeniem

musiał je zdradzić, bo Ferdynanda, jak gdyby w odpowiedzi na nie zawołała:

— Dzieło, nad którém głosować trzeba, nie zasługuje na to, by istniało. To mówiąc, pochwyciła za ciężki młot, który między innemi narzędziami leżał koło niéj na stole, i zamierzyła się nim na figurę. Anders chwycił ją za ramię.

— Panno Ferdynando! czyż nie rozumiész żartu? Przysięgam ci, że to był żart, że dzieło twe podziwiam teraz więcéj niż wprzódy, żeś przeszła w niém i siebie samę i mnie.

Justus drżał cały ze wzruszenia, wszyscy obecni zapewnili, że podzielają zdanie jego; piękne oczy Ottomara błagały o przebaczenie.

— Nadaremnie panowie, odpowiedziała im na to wszystko Ferdynanda. Wyrok został wydany, za dumna jestem, bym mogła się zgodzić na złagodzenie jego. Uspokój się Andersie, nie zniszczę posągu, ale przysięgam ci, że go kończyć nie będę.

— I mam się tém zadowolnić! zawołał Justus.

— Czego chcesz? Antonio.

Antonio wszedł i szepnął mu słów kilka. Przepraszam panów, wzywają mię rzekł Justus i pospieszył do pracowni swojéj.

— Spodziéwam się, Ferdynando, odezwał się Reinhold, że nie zechcesz zrobić krzywdy nam wszystkim, nie spełnisz groźby twojéj i dokończysz dzieła.

— Gdybyś mię znał dłużéj, odpowiedziała, przekonałbyś się, że zawsze dotrzymuję tego, com raz obiecała sobie lub innym.

Przy tych ostatnich słowach wzrok jéj spotkał się ze spojrzeniem Ottomara; zrozumiał ją. Ze żniwiarką niech będzie co chce, pomyślał; ale ona sama przyjdzie dziś wieczór.

Chwilkę jeszcze trwała rozmowa, wreszcie panowie opuścili pracownią.

Drzwi się zamknęły za odchodzącymi. Ferdynanda zasunęła rygiel i powoli obejrzała się dokoła. Sztywny wzrok jéj zatrzymał się na żniwiarce. Teraz dopiéro zrozumiała myśl i uczucie, które kierowało jéj ręką w téj pracy, oni to odkryli, oni jéj saméj wskazali.

— Dotrzymuję, com obiecała, ale wolałabym była nie obiecywać, pomyślała.

---

Ferdynanda oddawna już uwolniła się z pod wszelkiego nadzoru; przywykła więc chodzić, dokąd chciała i kiedy się jéj podobało, musiała tylko zawsze być obecną na wieczerzy. Ojciec obstawał za

tém koniecznie, bo nie lubił być sam na sam z siostrą, i jeżeli córka dla jakiegokolwiek powodu nie przepędzała wieczoru w domu, wówczas i on sam wieczerzał u siebie w pokoju. Z czasem więc wypadki te stawały się coraz rzadsze, a wreszcie nie przytrafiały nawet wcale.

Teraz zatém, kiedy Ferdynanda obiecała Ottomarowi być o ósméj wieczór w Bellevuegarten, trzeba było znaléźć jakiś pozór potrzeby opuszczenia domu. Duma jéj cierpiała na tém, że musiała się uciec do kłamstwa, ale nie było innego środka; oznajmiła przeto ciotce, że obiecała odwiedzić jednę ze znajomych sobie panien i że prawdopodobnie nie będzie mogła wrócić na wieczerzę.

Ciotka przyjęła tę wiadomość jako najnieszczęśliwszy dla siebie wypadek, témbarozićj, że Reinhold także oznajmił jéj, że się wybiéra na wieczór do Werbenów. Posypały się zatém skargi, wyrzekania, były nawet i łzy; rozmaite domowe kwestye zostały przytém poruszone i jak polip przyrastały jedna do drugiéj. Nareszcie Ferdynanda zniecierpliwiona pożegnała ciotkę, ale zaledwie zbliżyła się do drzwi, kiedy portyery podniosły się zwolna i Antonio ukazał się na progu.

Ferdynanda zatrzymała się przerażona. Czegoż on chciał teraz właśnie?

— Sądziłem, że panie nie słyszały pukania mego i ośmieliłem się wejść, przemówił młody człowiek.

Tu wskazał na parę książek, które trzymał w ręku.

— Dzisiaj nie mamy lekcyi, rzekła Ferdynanda.

— Jutro nie mógłbym przyjść i dlatego.

— Nie mam dziś czasu, widzisz pan, że wychodzę.

Wyrzekła to głosem ostrym, który dziwną stanowił sprzeczność z głębokim i grzecznym ukłonem, jakim Włoch pożegnał ją.

Po wyjściu jego, Ferdynanda stała w milczeniu, przysłuchując się, któremi drzwiami oddali się: temi co prowadziły do ogrodu, czy też temi co wychodziły na dziedziniec. Drzwi do ogrodu zamknęły się z trzaskiem, a więc pozostał w domu. Chwilkę jeszcze wahała się, nie śmiała wyjść, nie mogła pozostać, wreszcie wybiegła z pokoju i znalazła się na ulicy, nie wiedząc jeszcze, co daléj pocznie.

Miała zamiar wziąć dorożkę, nie znalazła jéj na placu, musiała zatém iść daléj pieszo. Ukradkiem parę razy obejrzała się po za siebie, bała się Antonia, jego jednego, nikogo więcéj.

Ale właśnie on już był przed nią, nie za nią. Rano jeszcze przeczuł, że zaszło coś między młodym oficerem a Ferdynandą, i bądź co bądź musiał wiedziéć o tém. Dlatego pod pozorem lekcyi włoskiego języka, które raz na tydzień dawał Ferdynandzie, wcisnął

się do jéj domu. Jéj zachowanie się wzmocniło jeszcze podejrzenie jego; przyjęła go bardzo ostro, więc się go bała; wychodziła z domu, co się tak rzadko trafiało, i nie brała powozu, czego nie było nigdy; a więc chodziło o schadzkę. Musiał zatém śledzić ją, musiał się dowiedziéć o wszystkiém.

Umyślnie zatrzasnął drzwi od ogrodu, chciał bowiem ubezpieczyć Ferdynandę; przez ogród wyszedł na dziedziniec i za chwilę był już na ulicy.

Zaczaiwszy się w szynku, widział Ferdynandę przechodzącą mimo, zdaleka udał się za nią. Kiedy na drugim placu spotkała doróżkę i wsiadła do niéj, chciał wskoczyć do drugiéj. Ale widząc, że tamta dąży ulicą prostą, szeroką, w któréj gonitwa taka musiałaby wreszcie zwrócić uwagę i obudzić podejrzenie, poskoczył w boczną uliczkę, postanowiwszy pieszo przeciąć doróżce drogę. Działał prawie bez namysłu, instynktownie, jak zwierz drapieżny, ścigający zdobycz. W przyśpieszonym biegu nie słyszał gwałtownych uderzeń serca, nie czuł duszności w piersiach, którym brakło powietrza, musiał stanąć w porę, musiał widziéć.

Gdy stanął na placu, gdzie się krzyżowały drogi, ujrzał dążącą z miasta doróżkę; ta zatrzymała się. Wyskoczył z niéj wysoki mężczyzna, odprawił doróżkę i zaczął się rozglądać dokoła. Rysów jego Antonio nie mógł rozpoznać zdaleka, ale wiedział, wiedział z pewnością, że to był on, a nie kto inny. Ręką sięgnął do sztyletu i zgrzytnął białemi zębami. W téj chwili doróżka, wiozącą Ferdynandę, nadjechała także; oczekujący mężczyzna zbliżył się do niéj, przemówił słów parę przez okno i sam wsiadł tamże. Poczém powóz ruszył daléj przez plac ku zamkowi Bellevuegarten.

Antonio zaklął straszliwie. Nie mógł gonić, nie wiedział gdzie się obrócą, a więc polowanie skończone na dzisiaj, na dzisiaj tylko!

Tymczasem doróżka pomknęła chyżo i wkrótce stanęła przed wejściem do ogrodu.

Ottomar podał Ferdynandzie rękę i przestraszoną, drżącą i na wpół zdrętwiałą uprowadził w głąb ogrodu.

— Przysięgam ci, że jesteśmy tutaj zupełnie bezpieczni, szepnął, przyciskając ją do piersi.

— Przysięgnij tylko, że mię kochasz, nie chcę nic więcéj.

Przysięga łatwą była do wykonania, kochał ją, kochał silnie, namiętnie, a jednak, wśród gorących pocałunków i słów miłości, czuł niewytłómaczony jakiś lęk serca, jak gdyby niemoc jakąś wobec téj namiętności, która miotała nim z siłą burzy. Dotąd igrał z uczuciem tkliwe spojrzenia, słowa miłości brał od kobiét jako należną

sobie daninę; jak motyl unosił się po nad kwiatami — zatrzymywał się chwilkę, tyle tylko o ile mu to przyjemność robiło i znowu odlatywał swobodnie i bez żalu. Tu po raz pierwszy czuł się słabszym, czuł że musi uledz, jeżeli go jakiś nieprzewidziany wypadek nie poratuje. I bezwiednie prawie pragnął tego wypadku, coby go uwolnił od tych słodkich a potężnych kajdan, co go bezsilnym czyniły. Chwilami wprawdzie wyrzucał sobie niewdzięczność względem pięknéj istoty, co z taką ufnością, z takiém zaparciem się saméj siebie rzuciła mu się w ramiona. Czuł, że sobie i jéj winien szczerość uczucia—że teraz, kiedy przystała nareszcie na schadzkę, o którą błagał ją tyle razy, musi przedstawić jéj swoje nadzieje, swoje widoki na przyszłość, których sam jednak nie pojmował jasno.

Ferdynanda nie chciała o niczém słyszéć. Co ją to wszystko obchodziło — pragnęła tylko kochać i być kochaną — a reszta — stosunki, które trzeba było pozrywać; trudności, które należało usunąć; wszystko to było mało znaczącą rzeczą — szkoda było na nią tak drogocennego czasu.

Ottomar nie wierzył tym zapewnieniom, pochodzącym z chwilowego wrażenia; ale czuł, że go to zwalniało z odpowiedzialności, i mimowolnie doznawał pewnéj ulgi na myśl, że żadne zobowiązanie nie krępuje go względem téj tak pięknéj, ale tak namiętnéj, tak silnéj istoty.

Czas szybko upływał. Ferdynanda sama przypomniała Ottomarowi, że powinien wrócić do domu, gdzie miało być zebranie wieczorne.

— A może chcesz mię wziąć z sobą? — zapytała; — może chcesz ręka w rękę wejść ze mną na salę i przedstawić mię jako narzeczonę swoję? Nie powstydzisz się mnie. Między waszemi damami mało być musi takich, na które nie mogłabym patrzéć z góry, a zawsze mi się zdawało, że kto może tylko patrzéć z góry, to tak jak gdyby miał niejaki patent na znakomitość. Na ciebie zawsze będę musiała wzrok podnosić; wysoka jestem, a jednak do ciebie i twoich ust ukochanych będę musiała zawsze się podnosić.

Dziwny, dumny jakiś wdzięk był w tych słowach i gorąca miłość w pocałunku, który uśmiechnięte usta jéj złożyły na jego wargach. Ta miłość, ten wdzięk zachwycał go, unosił; powiedział jéj na to, że ma słuszność, że może stanąć obok każdéj królowéj — a jednak, jednak gdyby to nie był żart! gdyby w istocie zażądała tego, czego jednak zażąda kiedyś!

Noc już była prawie, kiedy opuścili ogród; niebo pokryło się chmurami i deszcz wielkiemi kroplami zaczął padać. Na szczęście przed bramą parku znalazła się próżna dorożka; Ferdynanda odjechała nią, Ottomar zaś skręcił w wielką aleję, która najkrótszą

drogą prowadziła do domu. Ciemność już tak była wielka, że zaledwie mógł rozpoznać ubitą drogę spacerową; po drugiéj stronie jéj była wązka ścieżka dla pieszych, ocieniona także wielkiemi drzewami.

Ileż razy przejeżdżał tędy konno z kolegami w towarzystwie pań i panów; ileż razy był tu z Karlą! Elsa miała słuszność; Karla doskonale jeździła i z wielkim wdziękiem — wyróżniała się pomiędzy wszystkiemi damami. Tak często widziano ich razem—nie, niepodobna było jeszcze zerwać z nią, — strasznyby ztąd powstał hałas!

Myśli te krążyły po głowie młodego człowieka, który szedł szybko aleją. Szedł za prędko; pot lał mu się z czoła, a w piersiach taką czuł duszność, że musiał rozpiąć suknią. Nie zaznał dotąd uczucia fizycznéj bojaźni — teraz wyraźnie przestrach go ogarniał. Niespokojnie natężał słuch, zatapiał spojrzenie w ciemności — dokoła było spokojnie, — krople deszczu, spadające z liścia na liść, i szelest gałęzi przerywały tylko głuchą ciszę. W tém lekki szmer dał się słyszéć i jak gdyby chrzęst gałęzi suchéj. — Tak się czuję, jak gdybym miał na myśli zabójstwo, albo sam miał być zaraz zamordowany, rzekł do siebie Ottomar — i biegiem prawie puścił się daléj.

Nie omylił się — myśl morderstwa goniła za nim. Nie przeczuwał, że gałązce zawdzięczał życie.

Antonio jak gdyby czarem przykuty pozostał był u wyjścia do alei, gdzie znikli ci, których ścigał. Nie mógł się zdecydować do powrotu. W czarnych zatopiony myślach chodził tam i napowrót, stawał znowu, opiérał się o pnie drzew, podskakiwał gryząc paznogcie lub szarpiąc piersi — jak gdyby go gadzina ukąsiła — i snuł plany zemsty, zemsty okrutnéj, którą chciał wywrzéć na nim, na nich obojgu. Mógłby był tak całą noc przepędzić, jak zwierz drapieżny, rozwścieklony ucieczką zdobyczy i pomimo dokuczliwego głodu czyhający jeszcze na nią w ukryciu.

I oto jak gdyby siłą pragnienia duszy jego wywołany, rzekł: on — on — i wprost ku niemu dążył. Oczy Antonia oswojone z ciemnością natychmiast go poznały. Przeszedł na drugą stronę alei — tém lepiéj, tém bezpieczniéj będzie mógł iść za nim z téj strony; potém przebiegnie kołową drogę, gdzie głęboki piasek przygłuszy pierwsze kroki i w paru skokach dopadnie go — a potém sztyletem w kark, — albo, jeżeli się obróci, w piersi!

I ręka Włocha ścisnęła rękojeść sztyletu; palcami drugiéj kilkakrotnie sprobował ostrza i cicho, cichutko, wielkiemi krokami przeskakiwał od drzewa do drzewa; miękkie łapy tygrysa nie mogłyby ciszéj stąpać.

W połowie alei zgęszczone drzewa taką ciemność tworzyły, że tu, a nie gdzie indziéj działać trzeba było. Antonio obejrzał się raz jeszcze — dwóch ich tylko w ciemnym lesie było; — pochylił się więc wpół, po miękkim piasku przebiegł kołową drogę i ukrył za grubym pniem drzewa, na ścieżce którą szedł Ottomar.

Tamten tymczasem wyprzedził go o dwadzieścia kroków, trzeba było zmniejszyć tę odległość. Antonio puścił się biegiem Maledetto di Dio! — Sucha gałąź trzasła pod nogą! Trzeba się ukryć. Stanął za drzewem — nie mógł być widziany; stał cicho — nadsłuchując, może oczekując napastnika, a w każdym razie przeciwnika już przygotowanego. Kto wié? — odważny człowiek, oficer — jeżeli słyszał pogoń, mógł zwróciwszy się stawić czoło napaści. Tem lepiéj! A tak jest, zwraca się wyraźnie! Już się zbliżył, tém lepiéj! Otóż i on!

Serce gwałtownie biło Włochowi, kiedy lewą wysunąwszy nogę gotował się do skoku — napróżno jednak, nieprzyjaciel nie nadchodził; odgłos kroków jego nie zbliżał się, ale oddalał. Antonio wyjrzał z za drzewa — odległość między nim a tym, którego ścigał, podwoiła się. Żądza morderstwa stępiła zwykle tak ostre zmysły; kiedy wyczekiwał nieprzyjaciela — ten się oddalał od niego. Zanim się zdecydował, co ma czynić, już nie mógł go ścigać.

Musiał zaniechać gonitwy, — nie pozostawało nic innego. Spóźniony jakiś powóz zaturkotał na drodze, przerzynającéj aleję, daléj znowu z prawéj i lewéj strony biegły poprzeczne drogi — znikło zatém bezpieczeństwo wykonania i pewność ujścia po spełnionym czynie. Chwila przeszła — na ten raz! ale na przyszły!

Antonio zaklął po swojemu, chowając puginał. Poczém powoli pociągnął aż przed dom Werbenów.

Zacisnąwszy pięści, patrzał w oświecone okna. Ten, którego śmiertelnie nienawidził, szeptał może pięknym paniom, to samo, co przed chwilą mówił Ferdynandzie. — O gdybym mógł przelać w serce jego ten jad zazdrości co mię pożéra! gdybym pomiędzy nim a nią mógł wznieść nieprzebytą zaporę jaką! — Gdyby o ich stosunku zawiadomić jéj ojca, albo dumnego kapitana, albo jego ojca.

Kiedy tak dumał, stojąc oparty o kratę ogródka, usłyszał imię swoje wymówione grubym głosem jakimś. Obejrzał się.

— Ach! Signor Roller, pan inspektor!

— A tak, — odrzekł ten śmiejąc się; — ex-inspektor — przynajmniéj na teraz, dopóki nie utopimy starego i jego synowca i całe plemię jego! Gdybym mógł tylko pochwycić go! — gdybym mógł za jaką bądź cenę wypłatać mu jakiego porządnego figla! Ale ani feniga — ani grosza nie mam!

Zaśmiał się znowu, wyraźnie był na wpół pijany.

— Ja mam pieniądze, rzekł szybko Antonio i....

— A więc chodźmy się napić, przerwał mu Roller. Ot tam do téj piwnicy, gdzie czerwona latarnia.

I pociągnął Antonia.

---

Trzy niewielkie pokoje, na górném piętrze domu, który zajmował jenerał, zostały urządzone na przyjęcie gości; w największym, znajdującym się na dole, a zwanym salą, miano podać wieczerzę a potém tańcować. W tych przygotowaniach Elsa spuszczała się zwykle na Augusta, któremu zupełnie pod tym względem zaufać mogła. Tym razem jednak zdawało się jéj, że wszystko nie tak dobrze jak zawsze było urządzone; wprawdzie, nie umiałaby określić, na czém zależało właściwie to niedobrze, bo sama przesuwała meble i drobiazgi i po chwili na dawne miejsce stawiała je znowu— i tak było źle i tak niedobrze. Stanęła przed zwierciadłem i przyglądała się świeżemu strojowi, który po raz pierwszy włożyła,—ale i z tego była znowu niezadowolnioną; niebieski kolor był jéj jakoś nie do twarzy—kwiaty za ciemne—uczesanie głowy nie odpowiadało wyrazowi twarzy — i tak jakoś wszystko było inaczéj niż chciała.

— Wszystkiemu temu winien Ottomar, rzekła wreszcie do siebie, siadając w fotelu i zamyślając się. Jak można żenić się nie kochając—dla tych szkaradnych pieniędzy! Nie rozumiem prawdziwie na co oni ich tyle wydają—każdy z nich robi długi—to nie do uwierzenia! I cóżby znaczyły dla niego moje pięć tysięcy, na które wreszcie musiałby nawet czekać jeszcze z pięć lat. A gdybym pokochała kogoś, coby nie należał do szlachty, to i tego nie miałabym i nie zważałabym na to wcale — o nie — z pewnością!

Albo ciotka! jakże można zrobić coś podobnego! Mówić o mnie w taki sposób z tajnym radcą, on z pewnością umyślnie wczoraj rozpowiadał jéj o ogromnéj fortunie, którą Golm zrobi na owéj kolei. Co mię obchodzą jego bogactwa—jego osoba—nie mogę go znieść i nie wyjdę za niego, chociażby mi nawet koronę kładł u stóp—nie wyjdę—nie—nigdy!

Łzy gniewu i oburzenia zabłysły jéj w oczach, musiała je wszakże skryć natychmiast, w téj bowiem chwili wszedł jenerał w towarzystwie tajnego radcy Schielera, a jednocześnie August oznajmił jéj o przybyciu dwóch pań, na powitanie krórych wybiedz musiała, przystroiwszy twarz swą w uprzejmy uśmiech.

— Przynoszę dużo nowin, kochany jenerale, mówił radca; najprzód, że baronowa ma tu przybyć prędzéj niż zamierzała, bo za dni trzy.

— Dzisiaj rano miałem list od niéj i nic mi o tém nie wspominała.

— Ja zaś otrzymałem list nie od niéj saméj wprawdzie, ale— tu się radca zatrzymał.

— Mówmy i nazwisko, kochany przyjacielu,—niepodobna będzie uniknąć tego przy nadchodzących konferencyach.

— Masz słuszność, jenerale, cieszę się, że widzę cię w tak spokojném usposobieniu, bo to, co mam jeszcze do powiedzenia, będzie ci nawet może bardziéj niemiłém jeszcze. Otóż koncesy udzielono.

— Nie może być, zawołał jenerał.

— To jest tak, jak gdyby udzielono.

— Dziś jeszcze po południu—mieliśmy posiedzenie; była wprawdzie mowa o innych sprawach, ale w każdym razie jego Ekscelencya....

— Znany mu jest pański wstręt do tego projektu. Ale zaklinam cię, przyjacielu, wysłuchaj mię spokojnie—jestto dla ciebie sprawa największéj wagi. Koncesya ma być udzieloną na koléj północną—przeciw temu nie masz nic, jenerale. Ale wiém, że bez pańskiéj wiedzy, długo się wahano między północnym a zachodnim jéj kierunkiem. Wiadomo téż panu, komu szczególnie zależy na tém, by koléj ta przyszła do skutku. Otóż hrabia Golm wszedł do rady administracyjnéj, ma on bardzo rozległe stosunki, które wiele pod tym względem znaczą. Mało już zatém brakowało do przeważenia szali. I oto wyobraź sobie, jenerale, otrzymuję dziś list od Giraldi'ego który powiada, że dla łatwiejszego zarządu uważa, iż lepiéj byłoby sprzedać część dóbr, i że baronowa—to znaczy on, który tak tu, jak wszędzie będzie jéj mandataryuszem, zaproponuje tę sprzedaż na konferencyi. Giraldi nadto dobrze zna tutejsze stosunki, by nie wiedział, że znajdzie tu gotowego kupca w osobie Golma. Ze swojéj strony Golm, ujrzawszy możność tego kupna, poruszy ziemię i niebo, by port stanął na zachodzie. Otóż mój nieoszacowany, najlepszy przyjacielu, możesz mię usłuchać, bo znasz moję dla siebie przyjaźń; pozwól mi więc otwarcie pomówić z sobą. Nie jesteś bogaty; Ottomar bardzo wiele potrzebuje—i dla niego niemało znaczyć będzie, gdy wartość części jego w tych dobrach powiększy się o dwa razy—co mówię,—o cztery może. W tymże stosunku panna Elsa także stanie się bogatszą; a kiedy po śmierci baronowéj oboje odziedziczą drugą część tych dóbr, i panna Elsa stosowny zawrze związek—przy-

puśćmy np. z hrabią Golmem,—to pan,—co daj Boże aby jak najpóźniéj nastąpiło, będziesz mógł zamknąć oczy spokojnie, albowiem przyszłość dzieci twoich zabezpieczona i blask domowi twemu zapewniony będzie. Bądź więc po ludzku roztropnym, szanowny przyjacielu! Nie potrzebujesz nic robić, nie sprzeciwiaj się tylko temu, czemu nie możesz przeszkodzić. Powinieneś wreszcie „konieczność witając, czoła nie zachmurzać“, jak mówi stara przypowieść, którą z dziecinnych lat jeszcze musisz pamiętać.

Jenerał słuchał wszystkiego tego, nie dając żadnego znaku zniecierpliwienia, co się jednak zwykle zdarzało, gdy słyszał zdanie przeciwne swojemu. Nie zachmurzył się nawet; przeciwnie w głosie jego był pewien miękki, melancholiczny oddźwięk, kiedy nie podnosząc oczu i jak gdyby do siebie mówiąc, odezwał się:

— Dobrze pamiętam tę przypowieść. Pochodzi ona z czasów wojny o wolność;—nie jedno serce uciśnione czerpało w niém pociechę, nie jedno czerpało zeń odwagę. Pamiętam dobrze matkę moję, czytającą słowa, które tak dobrze umiała już na pamięć:

Kogo szczęście nie olśni, nie zachwieje burza,
Kto konieczność witając, czoła nie zachmurza,
Kto wielbi wszędzie piękno, sam zaś dobro tworzy,
Choć życie kocha, przecięż śmiercią się nie trwoży,
I wierząc mocno w Boga, lepszéj doli czeka—
Ten ma życie pogodne i śmierć jego lekka.

— Co za nieznośną pamięć ma ten człowiek, pomyślał radca.

— Widzisz zatém, kochany przyjacielu, mówił daléj jenerał—podnosząc wzrok na radcę, który spuścił oczy, przypowieść tak mówi, i ja sam jestem tego zdania, że niedobrzebym zrobił, gdybym poszedł za radą twoją. Ani życie moje pogodném, ani śmierć lekką byłaby, gdybym dla własnéj korzyści, chociażby tysiąc razy większéj niż ta, o któréj mowa, nie spełnił mego obowiązku i nie opiérał się wszelkiemi sposobami temu, co w mojém przekonaniu musi przynieść szkodę krajowi i będzie tylko niesumiennem zmarnowaniem sił jego, które powinniśmy oszczędzać.

Dlatego téż po tém wszystkiém com usłyszał od pana, muszę sam wnieść tę sprawę na sesyą i przełożyć ministrowi opinią moję.

A teraz może zechcesz, kochany radco, przejść do salonu; muszę dopomódz paniom moim w przyjmowaniu gości.

Na tém się zakończyła rozmowa.

---

Tymczasem salon napełnił się prawie, i hrabia Golm, przybywszy dosyć późno, z trudnością się przeciskał do gospodyń domu. Powitawszy Sydonią, skierował swe kroki ku Elsie, ona spostrzegłszy go zdaleka z zapałem oddała się rozmowie, którą przed chwilą rozpoczęła była z kapitanem Schönau. Nie spostrzegła hrabiego nawet wtenczas, kiedy ten stanął przed nią; dopiéro Schönau zwrócił jéj uwagę, wskazując ręką na nowego gościa.

— Mam sobie za szczęście, rzekł hrabia.

— Ah, pan Golm! zawołała Elsa z dobrze udaném zdziwieniem, przepraszam pana, żem go nie spostrzegła zaraz. Pozwolą panowie przedstawić siebie wzajemnie: pan Schönau, dobry przyjaciel naszego domu, pan hrabia Golm. Widział pan już ojca? zdaje mi się, że jest teraz w drugim pokoju. A zatém, kapitanie?!

Golm ukłonił się i odszedł.

— To trochę za wiele, panno Elso, rzekł Schönau.

— Co takiego?

Schönau zaśmiał się.

— Wié, pani, co? gdybym nie był najskromniejszym z ludzi mógłbym Bóg wié co sobie uroić.

— Jakto?

— A naturalnie, czyś pani nie widziała, że hrabia chciał pani rękę podać i odszedł z twarzą czerwoną jak mój kołnierz? Oczy tak bystre, jak je ma panna Elsa, nie widzą tego w takim tylko razie, gdy nie chcą widziéć.

Spostrzeżenie to mocno zmieszało Elsę; wielce niezadowolniona była, że znalezieniem się swojém względem hrabiego zdradziła się w obec przenikliwego Schönau. Postanowiła sobie w myśli, że się to więcéj nie powtórzy, ale w téjże chwili przestraszyła się niemal, kiedy zaraz potém Schönau patrząc w stronę, gdzie oddawna już spostrzegła była stojącego Reinholda, zapytał:

— A to kto taki?

— Kto, gdzie?

— Ten oficer tam, na lewo—rozmawia z ojcem pani. Piękny mężczyzna—ma także krzyż.

Elsa musiała się wreszcie zdecydować i poznać Reinholda, chociaż serce jéj biło, co także gniewało ją mocno.

— Pan Schmidt, odpowiedziała po chwili, poprawiając włosy, kapitan okrętu. Poznaliśmy go w drodze, bardzo się podobał ojcu.

— Przystojny mężczyzna, powtórzył Schönau. Twarz piękna, męzka i niezły układ nawet;—a jednak z pierwszego wejrzenia poznać można, że jest oficerem z rezerwy.

— Po czémże to pan poznajesz? spytała Elsa, któréj serce znowu bić zaczęło.

— Pani powinnabyś to lepiéj niż ja wiedzieć—więcéj bowiem masz do czynienia z gwardyą. Porównaj pani np. tego młodego człowieka z Ottomarem, który znowu się spóźnił i grzechy swe pragnie okupić zdwojoną dozą uprzejmości. Porównaj ich pani, a przyznasz sama, że mam słuszność.

W istocie, trudno było zaprzeczyć temu. Tam, na statku, grube odzienie więcéj mu było do twarzy; ruchy jego były swobodne i pewne, nie tak jak tutaj. Tam, na łodzi, przedstawiał się jako uosobienie siły i odwagi, kiedy tak spokojnie, jak dobry jeździec rozhukanym koniem kierował małą łódeczkę wśród burzliwéj nocy. Cały ten ustęp z podróży żywo stanął w pamięci Elsy. To porównanie z bratem, tak niekorzystne dla Reinholda, niemiłém jéj było. Bała się też, żeby ten ostatni nie zbliżył się do niéj teraz. Ale właśnie w téj chwili Reinhold, uprzejmie pożegnany przez jenerała, zwrócił się w stronę Elsy, która widząc to zadrżała tak, że musiała lewą ręką ująć poręcz krzesła. Chciała odegrać małą komedyą przed Schönau i okazać się chłodną, obojętną zupełnie w obec młodego marynarza. Ale kiedy piękne jego oczy, w których był pewien wyraz niepokoju, spotkały się z jéj wzrokiem, zapomniała natychmiast o swém postanowieniu i wyciągnęła do niego rękę, mówiąc z uprzejmym uśmiechem,—witam pana w naszym domu, kochany panie Schmidt,—jak gdyby nie było na świecie piękniejszego nad to nazwiska.

On ujął jéj rękę i przemówił słów parę, które na wpół tylko zrozumiała. Zwróciła się znowu ku Schönau, ale tego już nie było—śmieléj już zatém mówić daléj mogła.

— Jak się panu mój brat podoba?

— Bardzo.

— Tak pragnęłabym, żebyście się panowie z sobą zaprzyjaźnili,—postarasz się pan o to?

— Z całego serca.

Skłoniła się mu przyjaźnie główką i zbliżyła się do dam; Reinhold wmięszał się do towarzystwa; teraz czuł się już zupełnie swobodnym w tém obcém dla siebie kółku. Przyjęto go tu jak przyjaciela domu. Jenerał silnie uścisnął rękę jego i po pierwszych słowach powitania, z pewnym rodzajem poufałości odprowadzając go na stronę, rzekł: muszę pana najprzód zaznajomić z pułkownikiem Sattelstädt i kapitanem Schönau. Obydwaj służą w sztabie jeneralnym. Panowie ci chcą wiedzieć zdanie pańskie w sprawie portu. Proszę pana byś mówił z nimi zupełnie otwarcie—wiele mi na tém zależy.

W tymże samym interesie mam do pana osobistą prośbę—ale o tém potém.

Jak dla prostego porucznika tak poufne wyrazy bardzo już są pochlebne, pomyślał sobie Reinhold, idąc ku Elsie. A ta jakże uprzejmie, jak przyjaźnie go przyjęła. Cóż go po tém wszystkiém obchodzić mogła złota lornetka baronowéj Kniebreche, najstarszéj i najpoważniejszéj w towarzystwie osoby, która przez chwilę uporczywie mu się przypatrywała, a potém upuściła lornetkę, jak gdyby mówiąc: warto też zachodu!

Cóż go to obchodziło, że hrabia Golm tak długo ile tylko mógł udawał, że go nie widzi, a wreszcie wybełkotał:—ah, ah, pan kapitan—bardzo mi przyjemnie!

W ogóle wszakże całe towarzystwo było dość uprzejme dla niego; panowie, prawie wszyscy wojskowi, traktowali go po koleżeńsku.

Panowie Sattelstädt i Schönau prawie jednocześnie zbliżyli się do niego i prosili, by zechciał wypowiedzieć przekonania swoje co do praktyczności, wartości i możności założenia portu na północ od Wissower Haken.

— Obydwaj znamy tę miejscowość, mówili, i obydwaj przeciwni jesteśmy projektowi temu. Pomimo to wszakże, a raczéj właśnie dla tego, chcemy wiedzieć zdanie światłego marynarza, doskonale obznajomionego z miejscowemi stosunkami, a zarazem wolnego od przesądów. Usiądziemy może w tym gabinecie, i pozwolisz pan zadać sobie kilka pytań. Nie będziemy długo męczyli pana.

Rozmowa ta jednakże nadspodzianie długo się przeciągnęła. Bystrość poglądów Reinholda, ścisłość i rozległość wiadomości jego wzbudzały podziwienie obu oficerów. Uwaga, z jaką go słuchali, pochlebiała mu naturalnie; od czasu do czasu jednakże niespokojne rzucał wejrzenie na gabinet, znajdujący się za salą. W gronie dam i mężczyzn spostrzegł tam pannę Walbach, Ottomara a wreszcie Elsę. Żywą tam, jak się zdawało, prowadzono rozmowę, któréj urywki nawet dochodziły ich uszu. Zwróciło to nareszcie uwagę kapitana Schönau, tak że się odezwał: zdaje się, że spór idzie o Wagnera; pod przewodnictwem panny Wallbach musi być mowa o Wagnerze; dałbym coś za to, by słyszéć, co ona tam dowodzi dzisiaj.

— To znaczy, jeżeli się nie mylę, odrzekł pułkownik: dałbyś coś za to, by Sattelstädt skończył nareszcie. Trzeba panu wiedziéć, że kochanką Schönau jest muzyka, dla niej gotów iść w wodę i w ogień. Ale w istocie nadużywamy uprzejmości pańskiej, panie kapitanie.

Tu powstał i podał rękę Reinholdowi, poczém wszyscy trzéj weszli na salę, a Schönau i Reinhold zbliżyli się do przeciwległego gabinetu.

Nie skończyło się wszakże na téj rozmowie. W ciągu wieczoru jenerał ze swéj strony, porozumiawszy się z pp Schönau i Sattelstädt, zaproponował Reinholdowi, by się przyłączył do nich i swojemi wiadomościami dopomógł im do stawienia skutecznej opozycyi przeciw projektowi tak zgubnemu w ich oczach. Wezwał więc Reinholda, by piśmiennie opracował tę kwestyą i umiejętnie a dowodnie wykazał nietylko nieużyteczność, ale nawet szkodliwość kolei i portu w tych okolicach. Uważał wszakże za obowiązek sumienia przestrzedz go zarazem, że sprawozdanie to ma służyć za broń, i że może się nadarzyć konieczność wyjawienia nazwiska autora, co znowu może za sobą pociągnąć niemiłe dla niego skutki; nie tylko bowiem w ministeryum wojny, ale i w innych ministeryach, kolej ma bardzo wielu zwolenników i relacya taka z pewnością wywoła w nich powszechne oburzenie.

Reinhold wszakże nie przestraszył się tego wcale i bardzo chętnie podjął się danego sobie polecenia. Zaufanie, jakiém go obdarzył jenerał, czyniło go dumnym, a myśl, że wspólny interes łączyć go będzie z ojcem Elsy, napełniała go rozkoszą prawie. Obiecał wygotować sprawozdanie w przeciągu dni kilku. Schönau miał mu dostarczyć potrzebnych map, książek i dokumentów.

---

Ottomar, wróciwszy późno ze schadzki, starał się zdwojoną uprzejmością wynagrodzić nieobecność swoję. Towarzyski z natury, wesoły i dowcipny, w wielkich był łaskach tak u starszych, jak u młodszych pań—niejedna z zachwyceniem patrzała na niego, niejedna słała ciche westchnienie w jego stronę. Dzisiaj więcéj niż kiedy ożywiony, mówny i nadskakujący, zasługiwał na miano króla salonów, jakiém go obdarzyła baronowa Kniebreche.

Baronowa, wielka przyjaciółka Karli, zaraz po jéj przybyciu posadziła ją przy sobie i z chciwością dopytywała o nowiny ze świata, z którego wykluczała ją niejako głuchota; jednocześnie nie spuszczając oka z towarzystwa czyniła nad niém mniéj lub więcéj złośliwe lub dobroduszne uwagi. Ze szczególną wszakże pilnością śledziła ruchy Ottomara i podbudzała zazdrośną miłość własną Karli, zwracając uwagę jéj na uprzejmość jego względem pięknych pań. Dowiedziawszy się zaś od niéj, że jeszcze nie są narzeczeni sobie, zawołała z oburzeniem:

— Nie bierz mi tego za złe, kochana Karlo, ale powiédz mi, co sobie myślisz? Czy sądzisz, że taki Ottomar wiecznie będzie do wzięcia?

— Co pani rozkaże? spytał tenże, usłyszawszy nazwisko swoje.

— Rozkazuję, byś tu usiadł koło mnie, niewierny motylu.

— Czy są i wierne motyle?

— Dowcipkujesz pan—a mnie nie o to chodzi wcale. Jestem sobie stara pozytywna kobiéta i chcę was obojga. Gdzież się znowu podziała Karla?

Karla, korzystając ze zręczności i chcąc ukarać obojętne względem niéj zachowanie się Ottomara, wstała za jego zbliżeniem się i pośpieszyła naprzeciw hrabiego Golma, który właśnie w jéj stronę dążył.

Ottomar posępnie patrzał za nią i w milczeniu słuchał staréj baronowéj, która, uderzając go wachlarzem po ręku, prowadziła rzecz swą daléj.

— Tak, tak, kochany Ottomarze, widziałam już, jak niejedne stosunki, ściślejsze nawet niż wasze, zerwały się zupełnie. Pamiętaj więc o tém, że wszystko ma swoje granice, nawet cierpliwość towarzystwa. Jeżeli świat, znudzony oczekiwaniem, raz powié że nic z tego nie będzie, to i z pewnością nie będzie. Wszystko się tak dzieje, jak świat mówi, ludzie się kochają, żenią, nienawidzą, rozłączają, pojedynkują, itd.;—świat zawsze ma słuszność.

— A jeżeliby i co się nas tyczy miał słuszność także?

Stara jejmość spojrzała na niego z przerażeniem i zawołała:

— Mais vous êtes fou, monsieur, positivement fou!

To mówiąc, pochwyciła swój czarny wachlarz i gwałtownie zaczęła go składać i rozkładać,—wreszcie pochyliła się ku Ottomarowi tak, że ustami dotykała prawie uszu jego i rzekła:

— A ja wam powiadam, że oboje dziećmi jesteście; pan siedzisz tu jak osowiały, jak gdyby cię nieszczęście spotkało—Karla, chcąc cię rozzłościć, kokietuje hrabiego Golm. Ale nie bawcie się z ogniem! przestrzegam was. Wielki będzie skandal, jeżeli się nie pobierzecie. Najlepiéj więc zrobisz, jak się zbliżysz do Karli i w mojém imieniu powiesz jéj, że od trzech pokoleń znam hrabiego Golma, a co do tego ostatniego ich potomka, to już wolę sama jéj o nim powiedziéć.

Ottomar powstał i w istocie zrobił parę kroków ku Karli. Ona patrzała na niego w téj chwili, ale kiedy już się zbliżył, odwróciła się do niego plecami, Ottomar zatrzymał się, wykręcił na pięcie i mruknął przez zęby:

— Sama mię wyzywa. Chwała Bogu!

I wmięszawszy się do towarzystwa, był jeszcze weselszy niż wprzódy; a jednak w uszach tętniały mu wciąż słowa staréj baronowéj. Tak, miała słuszność, wiedział o tém—myślał nawet dziś jeszcze, kiedy się z Ferdynandą rozstał.

Zerwanie z Karlą wywoła zgorszenie, świat potępi go, bo cóż on wié o téj pięknéj, szlachetnéj, któréj serce tak wielką miłością biło przed chwilą jeszcze obok piersi jego, któréj namiętne pocałunki dotąd jeszcze paliły jego usta. I kogóż można z nią porównać? Karlę? co mu się nigdy tak piękną jak innym nie wydawała, a teraz w oczach jego prawdziwie brzydką była, ze swą kokieteryą, wiecznym śmiechem i ustawiczném lornetowaniem. Niech sobie idzie za hrabiego, cóż go to obchodzi, co obchodzi świat cały? Niech się dzieje co chce!—A cóż się dziać może? Wallbach wyzwie na pojedynek! Niewielka historya! Czwarty pojedynek w przeciągu czterech lat. A jeżeli go nareszcie śmierć spotka, tém lepiéj—wszystko się kończy—nie będzie długów, nie będzie i kobiét—tém lepiéj.

I co za ironia! Te cztery dziewczątka, do których się zbliżył, spełniając rolę uprzejmego gospodarza, a których wszystkie wdzięki razem wzięte nie dorównają jeszcze tamtéj jednéj wysokiéj postaci—jak gdyby szydziły z jéj nazwiska—proszą by im zaprezentował kapitana Schmidt'a. Ma to być bardzo miły, bardzo przyjemny człowiek ten kapitan Schmidt. Prosimy,—wołały—prosimy o kapitana Schmidt'a.

Ottomar obejrzał się, oczyma szukając Reinholda, i ujrzał obok siebie pułkownika swego, pana Bohl.

— Kochany Werbenie, czy możesz mi chwilkę czasu poświęcić, zapytał go tenże.

— Na rozkazy pana.

— Tylko co rozmawiałem z panem Wallbach. Nalegał bardzo na mnie, bym panu teraz dał urlop, ale pomimo najlepszéj woli nie będę mógł tego zrobić.

— Ależ nic pilnego w tém nie ma, panie pułkowniku.

— Pan się chcesz żenić, a ja nie kocham się wcale w młodych żonatych oficerach. Z całego zatém serca życzę panu powodzenia w dyplomatycznéj karyerze w Petersburgu. A przytém, kochany Werbenie....

Tu pułkownik zniżył głos.

— Chciałbym téż, byś pan w dobry sposób—tu zrobił ręką znaczący ruch—łatwiéj i lepiéj załatwi się to z Petersburga aniżeli tutaj—wierzaj mi pan.

— Ale wszystko już załatwione, od dzisiaj rano.

— Wszystko?

— Prawie.

— Niechże nie będzie i tego prawie. Jego Cesarska Mość słusznie bardzo drażliwym jest właśnie w téj kwestyi. No, no, kochany Werbenie, byliśmy też kiedyś młodzi i znamy te rzeczy. Wiesz pan także, jak bardzo się cenimy. Dlatego też powiém panu w tajemnicy, że Wallbach, zwykle nie bardzo skory do ofiar, tą razą jednak wyjątkowo uprzejmym się pokazuje i w interesie tym z przyjemnością służyć Panu będzie. A zatém—rzecz skończona!

Pułkownik podał rękę Ottomarowi i szybko się odwrócił, jak gdyby chcąc przerwać rozmowę. Ottomar dobrze zrozumiał, co to miało znaczyć. W przyjaznéj, koleżeńskiéj formie postawiono mu ultimatum. Robiło mu się na przemian zimno i gorąco. Wypił parę szklanek wina i posunął się do gabinetu, gdzie zwykle zgromadzali się bliższi znajomi i przyjaciele domu. I teraz było tu kilka przyjaciółek Elsy i kilku dobrych jego kolegów. Jedyną osobą zupełnie obcą w tém kółku był Golm, oparty o poręcz kanapki, na któréj siedziała Karla.

Ta, jak zwykle, rozprawiała o Wagnerze, unosząc się na zimno, sypiąc napuszonemi frazesami i wzniosłemi niby poglądami, w których wyrazy: mistrz nad mistrzami, geniusz, sztuka, estetyka przeplatały się a raczéj plątały wzajemnie, i dla ucha prawdziwego znawcy byłyby istną gmatwaniną, niemającą ani sensu, ani znaczenia. Ale towarzystwo, otaczające Karlę, niewielu liczyło znawców. Baronowa raz po raz wykrzykiwała: Zadziwiająco! pysznie! wzniośle! Młodzi oficerowie przyklaskiwali słówkom, z pięknych ust wychodzącym; panny zaś, słuchając tego wszystkiego, może podziwiały śmiałość Karli a z pewnością zazdrościły jéj trochę powodzenia jakie miała.

Baronowa postrzegła wreszcie we drzwiach Ottomara i chciała również usłyszéć pochlebne słowo jakieś z ust jego dla ulubienicy swojéj; od niego więcéj niż od kogo innego miała prawo spodziéwać się uznania dla niéj. Ale Ottomar, rozdrażniony wypadkami tego wieczora, niecierpliwie i niechętnie słuchał mowy, która nietylko nie zajmowała go, ale nawet wydawała mu się śmieszną i nudną. Zaczepiony przeto odpowiedział ostro i stanowczo, że cały wagneryanizm uważa po prostu za blagę.

Słowa te niby pękająca bomba poruszyły całe towarzystwo. Ci, co przed chwilą przyklaskiwali Karli i jéj uwielbieniu dla Wagnera, już przez samę miłość własną obruszyli się żywo na zuchwalca, który śmiał potępić to, nad czém się oni unosili. Baronowa szczególnie na dobre się rozgniewała. Karla nie raczyła wprawdzie odpowiedziéć na to bluźnierstwo i w żywą wdała się rozmowę z Gol-

mem, ale uśmiech jéj wymuszony zdradzał wewnętrzne wzburzenie. Bo też w istocie słowa Ottomara były niby rękawicą wprost jéj rzuconą. Elsa też uczuła to dobrze i w prawdziwie niemiłém znalazła się położeniu. Z miny brata widziała, że nie myśli wcale zakończyć przykréj sceny, co mu tak łatwém byłoby przy jego dowcipie owszem z ponurego wejrzenia jego i sarkastycznego uśmiechu wnioskować mogła, że postanowił doprowadzić rzecz do ostateczności, to jest do zerwania stosunku z Karlą. I to w obec tylu świadków! Ona sama przeciwna była wprawdzie temu związkowi i pragnęła, by nie doszedł do skutku, pomimo to jednak czuła niestosowność tego gwałtownego kroku brata względem Karli, która tego wieczora była taką jak zwykle i nie zasłużyła na takie obejście się.

Na szczęście, Schönau niespodzianie zjawił się obok Ottomara i skłopotanéj Elsie przyszedł z pomocą. Z właściwą sobie towarzyską giętkością i humorem nie dopuścił Ottomara do słowa i sam zaczął mówić o Wagnerze, a to z takim zapałem, taką egzaltacyą, a wreszcie z taką przesadą, że obecni zwiedzeni najprzód jego udaném uwielbieniem dla mistrza, spostrzegli wreszcie, że żartuje sobie i z niego samego i z jego wielbicieli. Takim sposobem zażegnał burzę i uwagę towarzystwa zwrócił na siebie, odwróciwszy ją od Ottomara.

Elsa odetchnęła—chcąc jednak ostatecznie załagodzić sprawę starała się późniéj namówić brata, by prowadził Karlę do stołu i grzecznością wynagrodził zrobioną przykrość. Ottomar jednak trwał wciąż w złém usposobieniu i opiérał się naleganiom siostry. Ta przeto ostatniéj użyła sprężyny i szepnęła bratu do ucha: czy pozwolisz na to, by powiedziano, że Werben ustąpił z pola przed Golmem?

Zaledwie wyrzekła te słowa, już ich pożałowała, bo czyż godziło się wprowadzać w grę próżność tam, gdzie chodziło o tak ważną sprawę. Bodziec był za silny dla miłości własnéj młodego człowieka; jak koń pod naciskiem ostrogi zerwał się, posunął naprzód i w jednéj chwili prześcignął współzawodnika.

Zająwszy w czasie wieczerzy miejsce naprzeciw Golma i Karli, z niezrównaną żywością pochwycił ster rozmowy i uczynił ją zajmującą, ciekawą, świetną; dowcipy i żarty płynęły z ust jego swobodnie i lekko, jak gdyby na sercu i umyśle nie leżał ciężar żaden. Upoił się obecną chwilą—światłem—winem, widokiem pięknych oczów i uśmiechów—i własną sztuczną wesołością. Zapomniał o ciemnym parku i pięknéj istocie, którą kochał, i groźnéj przyszłości, któréj nie umiał wytknąć przed sobą; zapomniał o wszystkiém—utonął w chwili obecnéj i znowu stosunek jego względem Karli stał się

tém, czém był dotąd—chwiejnym i nieokreślonym. Ona dobrze zrozumiała, że był to krok pojednawczy z jego strony; a przypisując sobie tryumfy jego, zaliczyła go znowu w poczet wielbicieli swoich.

Lekkomyślny charakter, światowe nawyknienia i stosunki towarzyskie a po części nawet rodzinne, popychały go do tego związku, w którym nietylko nie upatrywał wcale szczęścia dla siebie, ale nawet chwilowéj przyjemności nie widział. Osoba Karli była mu najzupełniéj obojętną; piękność jéj nie czyniła na nim żadnego wrażenia; a w charakterze i umyśle nie było nic, coby odpowiadało jego moralnym potrzebom, przeciwnie drażniła go nawet jéj lekkomyślność, próżność i chłód serca, który odczuwał bezwiednie prawie.

Natura jego była w istocie przeważnie wrażeniowa. Serce żywo biło dla wszystkiego co piękne, wszystko co szlachetne obudzało w nim zapał. Zapał ten wszakże oddziaływał przeważnie na wyobraźnią, którą rozogniał i podbudzał do uniesień i zachwytów chwilowych, nie zaś do czynów trwałych; wola wymykała się—była niby biernym widzem téj gry—nie wcielała w życie idei wymagającéj wysiłku pracy lub poświęcenia gustów i upodobań. Zdolny do czynów bohatérskich, szedł on jednak za popędem chwilowych wrażeń i jak łódź bez sternika bujał po powierzchni, dając się unosić fali życia w tę i owę stronę. Ferdynandę kochał wprawdzie, ale jéj potężna miłość przerażała go prawie; w miękkiém swém sercu nie czuł odpowiedniéj siły i namiętności. Droga, prowadząca do téj ukochanéj, trudną była do przebycia; nie miał więc odwagi myśléć o niéj, a tém mniéj wejść na nią; żył więc chwilą obecną, wszystko pozostawiając losowi. Los rozwiązał kwestyą—a rozwiązał w okropny sposób.

*(c. d. n.)*

---

# LUDY PIERWOTNE

## POŁUDNIOWEJ AFRYKI.

---

### II.

*Hottentoci.*

Równorzędne miejsce obok Buszmanów zajmują w téj części Afryki Hottentoci. Nazwa Hottentotów została im nadaną przez holenderskich kolonistów z powodu dziwacznéj i urywanéj ich mowy; sami pomiędzy sobą nazywają się Koiu-koiu. Przewyższali oni niegdyś Buszmanów liczbą i znajdowali się na daleko wyższym stopniu rozwoju towarzyskiego; nie byli ludem myśliwskim, lecz pasterskim, co było prawdopodobnie powodem, że nie wyginęli jak Buszmani, lecz w zetknięciu z cywilizacyą europejską zmienili swoje zwyczaje, utracili charakter ludu pierwotnego i pomięszali się częściowo z białymi.

Byli oni od pierwszéj chwili narażeni na prześladowanie ze strony osadników, którzy przywłaszczali sobie ich bydło, a właścicieli chwytali i zamieniali na niewolników. Ponieważ mężczyzni stawiali opór, padali ofiarą przemocy, a do niewoli dostawały się przeważnie kobiéty i dzieci, co było powodem wytworzenia się rasy mieszańców. Mięszali się Hottentoci i z czarnymi murzyńskiego pochodzenia, którzy w XVII i XVIII wieku w wielkiéj liczbie do kolonii sprowadzani, tytułem kupna, na własność osadników przechodzili. Następstwo tych stosunków towarzyskich było takie, że w miejsce wytępionych Hottentotów wytworzyła się w kolonii ludność kolorowych, powstała z pomięszania się Europejczyków

z Hottentotami, ze znaczną przymieszką krwi murzyńskiéj. Wszyscy ci kolorowi bywają obecnie w kolonii nazywani Hottentotami; można rzeczywiście napotkać między nimi niekiedy czyste typy hottentockie, ale przybrali oni bez wyjątku europejski sposób życia i mówią po holendersku.

Gdy w roku 1838 rząd angielski zniósł niewolnictwo w kolonii, wszyscy niewolnicy opuścili swoich panów i rozbiegłszy się po kraju osiedli przeważnie po małych miasteczkach, gdzie się trudnią rzemiosłami, albo wyrobnictwem. Znaczniejsza ich liczba zgromadziła się na północy od rzeki Gariepu, w kraju Grikwa, gdzie wytworzyli społeczeństwo niezawisłe, zostające obecnie pod naczelnictwem Waterboera; nazywają się oni sami pomiędzy sobą Grikwa, są posiadaczami bydła, mówią po holendersku i twierdzą sami, że są mięszańcami. Nieliczne gromady Hottentotów w pierwotnym stanie przechowały się w kolonii tylko w zachodnio-północnéj stronie, po jałowych i skalistych równinach kraju Namakwa i okolic sąsiednich; daleko więcéj Hottentotów można napotkać na północ od rzeki Gariepu, dokąd emigracya białych dopiéro z początkiem bieżącego stulecia się rozpoczęła, a w kraju Grikwa mieszka obok wzmiankowanych powyżéj mięszańców plemię hottentockie z rodu Koranna. Musiało ono być niegdyś bardzo liczném i zajmować znaczniejsze obszary, jak tego dowodzą nazwiska miejscowości oddalonych od ich dzisiejszych siedzib, np. Korannaberg, Korannaspruit i t. d. W ogóle jednakowoż liczba czystych Hottentotów jest obecnie dosyć mała i zwiększa się jedynie ku zachodowi, gdzie w kraju Damara Hottentoci mieszkają wspólnie z czarnymi, należącymi do rodziny Kafrów.

Znamiona fizyczne, wymienione powyżéj, — jako charakteryzujące plemię Buszmanów, są wspólne i Hottentotom; istnieje oprócz tego i powinowactwo w ich językach i przemawia zatém, że oba ludy są z sobą blizko zpokrewnione i że w odległéj starożytności jednę może stanowiły całość. Ale w obecnym stanie rzeczy Hottentoci odznaczają się niektóremi im właściwemi znamionami, a pokrewieństwo językowe ogranicza się jedynie do wspólności głosów mlaskających, w skutek czego Buszmanów i Hottentotów za samodzielne ludy uważać wypada.

Przypatrzmy się zblizka tym różnicom. Hottentoci różnią się przedewszystkiém od Buszmanów lepszym wzrostem, Fritsch podaje ich średnią miarę, obliczoną według dziesięciu indywiduów, na 1.604 millimetrów, a zatem o 270 millimetrów więcéj od średniego wzrostu Buszmanów. Różnica ta jest tém ważniejszą, że zboczenia od średniéj miary poruszają się w dość szczupłych granicach, a przypadki

bardzo nizkiego wzrostu należą u Hottentotów do rzadkości. Odznaczają się oni w ogóle lepszą budową ciała a w porównaniu z chudotą Buszmanów możnaby ich nawet posądzić o skłonność do otyłości, co jednakowoż może być prostém następstwem lepszego życia. Ich budowa jest dość proporcyonalną a ręce i nogi równie drobne i kształtne, jak u Buszmanów. Anatomiczna budowa czaszki odpowiada w zupełności czaszce u Buszmanów, należą oni do ludów długo i niskogłowych; Dawis znalazł u nich rozmiary wysokości i szerokości cokolwiek korzystniejsze, jak u Buszmanów, ale liczb jakie podaje, nie można żadną miarą przyjmować za zasadę, bo ilość czaszek, na których robił spostrzeżenia, jest bardzo małą.

W budowie twarzy nie różnią się prawie niczém od Buszmanów, czoło ich jest również słabo rozwinięte; nos mały i przy podstawie zaklęknięty, ginie pomiędzy szerokiemi i wystającemi kośćmi policzkowemi; wargi zlekka wyrzucone, broda śpiczasta, oczy małe i czarne, zdaléka od siebie osadzone, włosy również w kosmykach kutnerowatych zrzadka rozrzuconych, pomiędzy któremi prześwieca naga skóra. U mężczyzn można częstokroć napotkać na brodzie lekki zarost, którego nie ma na reszcie ciała. Włosy Hottentotów są tak silnie spłaszczone, że na poprzeczném przekroju, oś krótsza ma się do dłuższéj jak 50 do 100. Podobny stosunek napotykamy tylko u Papuanów na Nowéj Gwinei, u których zresztą i kosmykowaty porost się powtarza. Barwą ciała nie różnią się Hottentoci zupełnie od Buszmanów; jest ona brudno żółta, a w ogóle dość jasna.

Znamiona drugorzędne u kobiet hottentockich występują nieco w odmiennéj postaci. Nie znaleźli co prawda u nich anatomowie, tak samo jak i u Buszmanów, żadnéj różnicy pomiędzy szkieletem mężczyzny i kobiety, ale piersi młodéj Hottentotki rozwijają się w ten sam sposób, jak u ludów europejskich i tylko w stanie macierzyńskim ulegają tak potwornemu wydłużeniu, że kobieta, trzymająca dziecko na plecach, pierś przez ramię albo pod pachą do ssania mu podaje. Skłonność do steatopygii jest jeszcze silniéj rozwiniętą, jak u Buszmanów, a części ciała nią dotknięte przybierają niekiedy zastraszające rozmiary.

Widzimy tedy, że Hottentoci zgadzają się z Buszmanami zupełnie pod względem budowy czaszki, postaci włosów, barwy ciała i steatopygii, ale różnią się lepszym wzrostem i silniejszym rozwojem znamion drugorzędnych u kobiét. Peschel przypuszcza, że nizki wzrost Buszmanów jest może prostém następstwem wczesnego zawierania małżeństw i niedostatecznego pożywienia, co gdyby rzeczywiście prawdą było, różnice fizyczne pomiędzy obydwoma ludami zostałyby sprowadzone do bardzo małych rozmiarów, a wówczas za

ich odrębnością przemawiałby, oprócz sposobu życia, głównie język, o którym wspomnimy za chwilę.

Wrażenie jakie widok Hottentota sprawia na Europejczyku jest w ogóle dość niekorzystném. Twarz Buszmana ma nieraz wyraz zwierzęcy, ale w oczach jego widać bystrość umysłu, która w charakterze dzikiego człowieka występuje przedewszystkiém pod postacią chytrości i podstępu. W twarzach Hottentotów widać daleko częściéj głupowatą bezmyślność i zobojętnienie, a objawy inteligencyi są u nich rzeczywiście bardzo rzadkie. Ażeby jednakowoż nie być posądzonym o jednostronność muszę nadmienić, że te szczegóły odnoszą się do Hottentotów z rodu Koranna w kraju Grykwa, znajdujących się w stanie upadku, a w okolicach zachodnich, gdzie ich jest znacznie więcéj, objawy niedołęztwa mogą być mniéj rażące.

Daleko więcéj różnią się Hottentoci od Buszmanów pod względem sposobu życia. Użytek ubrania jest u nich rozpowszechnionym od najdawniejszych czasów; już pierwsi Europejczycy, którzy zawitali na tutejsze brzegi, znaleźli Hottentotów odzianych w skóry zwierząt dzikich, albo swojskich, co każe się domyślać, że uczucie wstydu nie było im obcém. Ci, którzy żyją w blizkości osad białych, używają obecnie przeważnie stroju europejskiego; mieszkający w pustyni ubierają się i teraz w skóry owcze, ale starają się o nadanie im pewnéj odpowiedniéj formy. Zwyczajny ubiór składa się z fartucha przepasanego przez biodra i płaszcza zarzuconego przez plecy; ważną jest zapewne i ta okoliczność, że nie używają skór zupełnie surowych, lecz czyszczą je na wewnętrznéj stronie i wyprawiają prawdopodobnie za pomocą glinki pomięszanéj z tłuszczem. Nie chodzą boso, lecz używają skórzanych sandałów własnego wyrobu. O téj części ubrania wspomina już Sir Thomas Herbert, który w roku 1626 na czele angielskiéj floty zawinął do Przylądka Dobréj Nadziei; mówi on, że wszyscy Hottentoci mieli sandały, ale trzymali je w ręku, ażeby mogli łatwiéj kraść nogami, bo kradli wszystko, co w palce od nóg ująć zdołali. Obecnie należy do niezbędnych części ich ubioru, chustka kolorowa, którą obwiązują głowę. Zdaje się, że brak téj chustki bywa uważanym przez kobiéty hottentockie za wielką nieprzyzwoitość, bo nie dadzą się niczém nakłonić do zdjęcia jéj z głowy.

Zamiłowanie do ozdób jest obecnie u tego ludu bardzo wielkie, i zdaje się, że używają ich oddawna. Herbert wspomina, że Hottentoci, których widział, nosili na szyi dla ozdoby wysuszone jelita zwierzęce a w uszach guziki, gwoździe, kółka od ostróg i tym podobne przedmioty. Nabywali je od kolonistów i płacili za nie bar-

dzo drogo. Mereński twierdzi, że w początkach XVII wieku Holendrzy kupowali od Hottentotów wołu za cztery kawałki blachy miedzianéj i trzy kawałki takiegoż drutu, po trzy stopy długości. Nabywają oni i teraz ozdoby od podróżujących handlarzy, rozumié się po zmienionych cenach, a użytek mosiężnych kolczyków, pierścionków, bransoletek i paciorek jest u nich ogólnym.

Mieszkania ich odznaczają się nadzwyczajną prostotą, zastosowaną do sposobu życia: mają one postać półkulistą i składają się z drewnianych obręczy, wbitych w ziemię, do pokrycia których używają obecnie starego płótna żaglowego, porzuconych mat, tektury albo blachy. Mieszkania te są wysokie na pięć stóp a obszerne na dziewięć do dziesięciu i dostarczają dość dobrego schronienia przed upałem słonecznym, ale nie chronią przed deszczem. Zdaje się, że w pierwotnym stanie do nakrycia obręczy drewnianych używali skór zwierzęcych. W porównaniu z czystemi i wymuskanemi chatami kafrów budy hottentockie robią wrażenie nędzy, do czego przyczynia się okropne niechlujstwo, jakie wewnątrz panuje, nie można jednakże właścicieli ich potępiać z powodu niedbałéj budowy, bo Hottentoci są ludem koczowniczym; zmuszani do częstéj zmiany miejsca pobytu stawiają chaty tak, ażeby się dały z łatwością rozebrać i umieścić na grzbiecie ich zwierząt.

Hottentoci są ludem pasterskim, a już pierwsi marynarze, którzy zawinęli na tutejsze brzegi, zastali ich w posiadaniu wielkich trzód bydła i owiec, a koloniści nabywali od nich ten towar za bezcen: kupowali naprzykład wołu za kilka łutów tytuniu, a Hottentoci byli przy tém tak uczciwymi, że gdy sprzedane bydlę przypadkiem uciekło, zwracali przedmiot nabyty, dopóki szkoda nie została powetowaną. Gdy w kilkadziesiąt lat potém stosunki się zmieniły, koloniści uważali za dowód bezczelności, gdy krajowcy ośmielali się żądać za wołu zwitek tytuniu, długi od rogów do końca ogona.

Mléko zwierząt domowych służy im do dziś dnia za pożywienie, ale jedzą i mięso zabitych zwierząt. Kafrowie nazywają ich „Amalau“, a Fleming twierdzi, że nazwa ta oznacza ludzi, co wolą zabijać bydło, zamiast je chować, i wyraża oburzenie gospodarnych, oszczędnych Kafrów na takie marnotrawstwo. Używają i pożywienia roślinnego; kobiéty ich kopią korzenie i zbierają owoce, a na zachodnich brzegach u ludu Namakwa, napotykano nawet ślady uprawy ziemi. Nie gardzą oni i polowaniem, gdy się im do tego nadarzy sposobność. Dawniéj używali oprócz łuków i strzał zatrutych, assagai; obecnie znajdują się w posiadaniu broni palnéj. Do przesadnych podań, głoszonych o tym ludzie przez różnych podróżników, wypada zaliczyć niedorzeczne podanie Herberta, jakoby rozkopywali

groby kolonistów i zjadali nadpsute ciała; możemy twierdzić z wszelką pewnością, że ani Buszmani, ani Hottentoci nie byli nigdy ludożercami i zdaje się, że groby rozkopane przez hyeny, stały się powodem powyższego podania.

Zawód pasterski nie o wiele lepiéj sprzyja rozwojowi życia rodzinnego i towarzyskiego, jak myśliwski, a szczegóły podawane przez dawniejszych podróżników o pierwotnych stosunkach Hottentotów brzmią bardzo niekorzystnie. Okolice zajmowane przez nich pokrywają się tylko w jednéj porze roku, i to nie na długi przeciąg czasu, nieco bujniejszą roślinnością i zaopatrują trzody dostatecznie w pożywienie; przez trzy części roku brak paszy zmusza ich do ciągłéj zmiany miejsca pobytu. W okolicach zachodnich brak wody tworzy inną wielką przeszkodę i przymusza ich również do odbywania dalekich podróży. Nadto sam rodzaj zatrudnienia stawał zawsze na przeszkodzie umoralnieniu tego ludu, bo jednostki strzegące bydła z rodzinami swemi mało się stykały, a pobyt pod gołém niebem, połączony z wielu przykrościami, mógł tylko przyczynić się do podniesienia wrodzonéj dzikości charakteru. Prawie wszystkie zbrodnie Buszmanów napotykamy i między Hottentotami. Herbert wspomina z oburzeniem, że starców i chorych porzucają po miejscach niedostępnych, gdzie zostają pożarte przez dzikie zwierzęta. Sparmann i Levaillant—że zabijają niemowlęta odumarłe przez matkę, albo, gdy kobiéta powije bliźnięta, jedno z nich zostaje zawsze zgładzoném. Inni twierdzą, że mężczyzni obchodzą się źle z kobiétami a rodzice z dziećmi. Misyonarze pracujący obecnie pomiędzy tym ludem wydają mu daleko lepsze świadectwo i szczegóły powyższe uważają za wyjątkowe.

Poligamya istnieje u nich w zasadzie, ale w rzeczywistości zdarza się bardzo rzadko i zdaje się, że przy zawieraniu małżeństw obchodzą się bez kupna. Unikają również starannie związków w bliższém pokrewieństwie.

Umiérających wstrząsają silnie i robią im głośne wyrzuty, że opuszczają swoich. Umarłym układają ręce na piersiach na krzyż, głowę wsuwają między ramiona, nogi zginają w kolanach i przysuwają do tułowu i chowają w grobach z otworem z boku, zawinąwszy ciało w rogoże, albo obwiązawszy sitowiem, poczém opuszczają natychmiast miejsce, gdzie pochowali jednego ze swoich. Kobiéty obcinały dawniéj na znak żalu po mężach wierzchołek małego palca.

Są lubownikami tańca połączonego ze śpiewem, w którym bierze udział kilka osób, zarówno mężczyzni jak i kobiéty. Kolbe twierdzi, że w śpiewie tym można było zawsze rozróżnić wyrazy

hotten-totum-brokwa, zkąd miała powstać nazwa nadana tym ludom przez kolonistów.

Różnie brzmią podania badaczów o charakterze Hottentotów. Herbert przypisuje im charakter dziecinny i skłonność do złodziejstwa. Jezuita Tachart uważa ich za poważnych i rozumnych a Kolbe stara się oczyścić ich od wielu zarzutów i twierdzi, że są uczciwi, wierni, skromni, litościwi i dobrzy służący, chociaż przyznaje, że są skłonni do lenistwa i do mściwości. Trudno orzec, co w tych opisach zasługuje na wiarę, a co jest przesadą, gdyż nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że charakter tego ludu uległ niemałym zmianom w zetknięciu z cywilizacyą. Podam kilka szczegółów, na które sam patrzyłem. W kraju Grykwa, około miejscowości Kimberley, gdzie w ciągu ostatnich sześciu lat zbiegło się z powodu otwarcia kopalni dyamentów na małym obszarze ziemi blizko 50.000 ludzi, widywałem często Hottentotów z rodu Koranna. Odznaczają się oni przedewszystkiém lenistwem, bo podczas kiedy łatwość zarobku przyciąga tutaj ze wszystkich stron południowéj Afryki niezliczone gromady Kafrów, którzy ciężko pracują w kopalni, nie zdarzyło mi się nigdy napotkać Hottentota zajętego tą pracą. Znajdują się oni obecnie w posiadaniu bydła, trzymają mianowicie kozy i krowy, a kobiéty ich przynoszą od czasu do czasu na targ mléko w flaszkach, za które sowitą otrzymują nadgrodę. Skłonność do pijaństwa jest im wrodzoną, i zdaje się, że większą część zyskanych piéniędzy pozostawiają w szynkowniach, bo napotykałem ich nieraz w stanie pijanym, a widok kobiét tańczących w szalonych podskokach po drodze, z niemowlęciem przywiązaném przez plecy, był odrażającym. Zupełny brak zmysłu zachowawczego uważam za ogólną ich cechę. Nie zdarzyło mi się nigdy widziéć w Kimberley pijanego Kafra, chociaż było ich tutaj 15.000, bo Kafer, gdy otrzyma zapłatę, wydaje tylko tyle, ile potrzeba na zakupno pożywienia, a resztę chowa przed własném i cudzém okiem, składając tak długo, dopóki nie znajdzie się w możności kupienia strzelby, albo żony. Przeciwnie Hottentot żyje z dnia na dzień, nie myśli o tém, co będzie jutro, goni za chwilową rozrywką i przepija ostatnią koszulę, gdy się zdarzy sposobność. Odznaczają się oni nadzwyczajném niechlujstwem, pochodzącém nie tyle może z lenistwa, ile z upośledzenia umysłowego, bo widziałem Hottentotki, które, myjąc ręce, w miejsce mydła nawozu krowiego używały.

Nałóg pijaństwa rozpowszechniony pomiędzy Hottentotami przyczynił się niemało do ich upadku moralnego i materyalnego. Gdy rząd angielski po zajęciu kolonii rozciągnął opiekę nad pierwotnymi krajowcami, a systematyczne rozbójnictwo prowadzone przez dwa

wieki przez białych osadników siłą zostało powstrzymane, ci ostatni zdobyli się na inny sposób wyzyskiwania Hottentotów. Udawali się oni w głąb' kraju pod pozorem handlu zamiennego, ale jedynym przedmiotem zamiennym, jakiego używali, była wódka, za którą niedołężni Hottentoci oddawali swoje bydło, w skutek czego w wielu miejscowościach do najwyższéj zostali doprowadzeni nędzy, a w ślad za nią poszedł i upadek moralny. Hottentoci wyrabiali od najdawniejszych czasów z miodu dzikich pszczół pewien napój odurzający, który wysoko cenili, a przejęli z chciwością od białych zwyczaj palenia tytuniu, a od Kafrów dachę. Nic dziwnego, że opilstwo, znalazłszy już grunt przygotowany, z szybkością się rozpowszechniło. Wódka odgrywała najważniejszą rolę przy wszystkich układach prowadzonych z kolonistami, a środek ten był nawet protegowany przez rząd. Van Riebeek, pierwszy holenderski gubernator w kolonii (r. 1652—1662), opowiada, że w święto wniebowzięcia Matki Boskiéj w r. 1660, wystawiono w Cape Town, przed samém kazaniem, dla użytku krajowców baryłkę wódki z arakiem, którą okropnie się popili i najdziwniejsze potém miny stroili.

Kolbe a za nim i inni podróżnicy wspominają, że Hottentoci znali sposób topienia rudy żelaznéj i kuli z niéj wszystkie potrzebne przybory. Sprzeciwia się temu twierdzeniu ta okoliczność, że zakupywali z chciwością od białych przybyszów metalową blachę i drut, w skutek czego przypuszczam, że znajomość téj sztuki przejęli od Kafrów, którzy ją do dziś dnia w wysokim stopniu posiadają, ale zastosowanie jéj musiało być bardzo ograniczone. Z drugiéj strony pewną jest rzeczą, że Hottentoci w kraju Namakwa, obfitującym w kruszce, zajmowali się od niepamiętnych czasów topieniem rudy miedzianéj i jéj przerabianiem, co nadaje im stanowczą wyższość nad Buszmanami. Zresztą pierwotni podróżnicy znaleźli ich w posiadaniu naczyń glinianych i robót koszykarskich; wyroby z drzewa były bardzo pospolite, a wspominają także podróżnicy i o użytku kamienia na ostrza strzał i noże.

Zdaje się, że oni wynaleźli sposób przyuczania wołów do jazdy. W tym celu dziurawią młodemu zwierzęciu nozdrza i zakładają w otwór pierścień miedziany, albo kawał rzemienia. W czasie podróży przenoszą cały swój dobytek na grzbietach tych zwierząt, a użytek ich do jazdy wierzchem jest obecnie rozpowszechniony w kraju Damara i Basuto.

Język Hottentotów jest spokrewniony z językiem Buszmanów za pomocą głosów mlaskających, ale podczas gdy w ostatnim jest takich głosów sześć, pierwszy ma ich tylko cztery, w skutek czego nie przedstawia tak wielkich trudności mechanicznych, a Hottentoci mó-

wią w ogóle z łatwością, płynnie i wyraźnie. Brakuje im przedewszystkiém mlaśnięcia wargowego i gardłowego. Pomimo to nauczenie się tego języka przedstawiało niezwalczone trudności białym przybyszom, a pierwszym, który je pokonał, był Georg Friderych Wreede, Holender czy Niemiec, który w roku 1659 przybył na Przylądek Dobréj Nadziei jako żołnierz i wkrótce zawładnął tak dokładnie językiem krajowców, że przez długie lata potém pełnił obowiązki tłómacza przy kompanii holenderskiéj. Miał on ułożyć słownik i gramatykę tego języka, które jednak w Europie zaginęły.

Późniejsze badania wykazały jednakowoż, że język hottentocki oprócz głosów mlaskających i kilku wyrażeń przejętych w skutek wzajemnego stykania się obu ludów nie ma nic wspólnego z Buszmańskim. Ustrój języka hottentockiego stawia go daleko wyżéj od buszmańskiego; rozróżnia on przedewszystkiém rodzaje, co filologowie uważają za ogromny postęp w rozwoju każdego języka. Należy on do języków fleksyjnych i wytwarza formy gramatykalne przez zmianę końcówki; tak np. mężczyzna znaczy Koib, mężczyzni koi-gu; kobiéta ko-is; mają nawet wyraz na oznaczenie ludzkości, a istnienie pojęcia oderwanego w tym języku jest wymowném świadectwem wysokiego rozwoju umysłowego ludu, którego jest własnością.

Co do jego budowy misyonarz Moffat zrobił pierwszy spostrzeżenie, że przedstawia pewne podobieństwo ze staroegipskim, a teoryą tę popiérali w ostatnich czasach Lepsius, Pruner-Bej i Max Müller. Dr. Bleeck nie zaprzecza językowi temu podobieństwa ze staroegipskim i koptyjskim, w budowie form widzi nadto pokrewieństwo z językami semickiemi. Ale o pokrewieństwie języka hottentockiego z północno afrykańskiemi powątpiewają inni uczeni, jak Gabeleuz, Pott i Fryderyk Müller. Znakomity filolog Martin Haug, uderzony jego zaletami, przypuszcza, że mógł je osięgnąć jedynie w zetknięciu z jakimś wysoko ucywilizowanym narodem. Peschel powątpiewa w możebność takiego zetknięcia się u Hottentotów, bo sprzeciwia się temu ich rozsiedlenie i obecne stosunki centralnéj Afryki, i twierdzi że dzikie ludy są w stanie nadać wysokie wykształcenie swojemu językowi, bo np. towarzyskie stosunki środkowéj Europy za czasów Tacyta nie stały z pewnością wyżéj od hottentockich a pomimo tego język ówczesny znajdował się już na wysokości aryjskich języków. Na poparcie twierdzenia Peschla mógłbym dodać tylko tyle, że pod względem bogactwa form gramatykalnych najwyżéj niezaprzeczenie stoi język piérwotnych krajowców Australii, którzy są ludem myśliwskim i pod wieloma względami stoją niżéj od Buszmanów.

Wiadomości nasze o religii Hottentotów przedstawiają tyle sprzeczności, że niepodobieństwem jest dojść do ładu wśród tego chaosu. Podczas gdy jedni odmawiają im zupełnie religii, inni przypisują im znajomość jedynego Boga, wiarę w nieśmiertelność duszy, świadomość złego i dobrego pierwiastku itd. Ograniczę się do przedstawienia kilku faktów, według podań zasiągniętych na miejscu. Dzicy Hottentoci, którzy nie mieli dotąd sposobności stykania się z misyonarzami, oddają cześć księżycowi i odbywają podczas pełni pewien rodzaj uroczystości religijnéj, złożonéj ze śpiewu i tańców. Oprócz tego wyprowadzają dobre lub złe wróżby ze spotkania się z mantisem, a koloniści nazywają to zwierzątko bogiem hottentockim (Hottentotsgod). Używają amuletów a jeden z ich czarodziejów znajdował się przed kilku laty w posiadaniu amuletu, który nie był niczém innem, jak olbrzymim dyamentem, ważącym 83 karaty, a kupiony przez podróżującego handlarza za wóz z pełnym zaprzęgiem wołów, został sprzedany w Anglii za 11.000 funt. szter. i dał powód do otwarcia niewyczerpanéj kopalni dyamentów w Kimberley; użytek amuletów wypada uważać za zabytki fetyszyzmu, który w pierwotnych czasach był wspólną religią Buszmanów i Hottentotów.

Oprócz tego napotykamy u Hottentotów wyraźne ślady czci umarłych, a sposób grzebania, mianowicie tę okoliczność, że nadają ciału to samo położenie jakie miało w łonie matki, uważa Peschel za niezbity dowód ich wiary w życie po śmierci, a może nawet w zmartwychwstanie ciał.

Niektórzy misyonarze twierdzą, że Hottentoci wierzą w jednego Boga, którego nazywają U-Tiko, a nazwa ta została przeniesioną przez misyonarzy do języków kaferskich, które nie posiadają wyrazu na oznaczenie najwyższéj istności. Przyjrzyjmy się zblizka, jaka jest geneza tego pojęcia, Hottentoci z rodu Koranna czczą pamięć jakiegoś naczelnika, którego nazywają Czui-Ckoab. Podania o nim są sprzeczne i niejasne. Samo wyrażenie oznacza w ich języku dosłownie „zranione kolano.“ Miał to być wielki naczelnik, czy czarodziéj, który raniony niebezpiecznie w kolano sam się cudownie wyleczył; późniéj zasłynął ze swoich przymiotów po całym kraju a po śmierci stał się przedmiotem czci religijnéj. Misyonarz Appleyard, który pełnił obowiązki swoje długo pomiędzy tymi Hottentotami i znał doskonale ich język, bo tłómaczył nań różne części pisma świętego, utrzymuje, że nazwa U-Tiko powstała u sąsiednich plemion z nazwy Czui-Ckoab; jakoż w tłómaczeniach swoich używa on wszędzie tego ostatniego wyrazu na oznaczenie Boga, między innemi zaraz w piérwszym wierszu Credo.

Oprócz tego czczą Hottentoci innego bohatéra, którego nazywają Heici-Eibib. Ustawiają dla pamięci jego w pustyni stosy kamienne i urządzają na cześć jego śpiewy i tańce, a Hottentoci Namakwa mówią o swoich współbraciach z pustyni „już nie tańczą,“ albo „tańczą jeszcze,“ co znaczy, że są już chrześcianami, albo trwają jeszcze w pogaństwie. Ponieważ opowiadają o tym Heici-Eibibie, że kilka razy umarł i znowu powrócił do życia, przeto zdaje się, że jest on postacią mityczną, po prostu personifikacyą księżyca.

Kolbe, a za nim i inni pisarze twierdzą nareszcie, że Hottentoci czczą bóstwo złe i dobre; Mereński wspomina, że złe bóstwo nazywają Cui-kwaw, co nie różni się w zasadzie niczém od Czui-Ckoab, a w skutek tego istnienie dualizmu religijnego u pierwotnych Hottentotów jest więcéj aniżeli wątpliwém, a odpowiednie pojęcia powstały prawdopodobnie dopiéro pod wpływem misyj chrześciańskich.

W tén sposób religia Hottentotów przedstawia obok wyraźnych śladów fetyszyzmu dość silnie rozwiniętą cześć umarłych i zajmuje pośrednie miejsce pomiędzy religijnemi pojęciami Buszmanów i Kafrów. Mają Hottentoci tak samo jak Buszmani swoich czarodziejów, których zakres czynności odnosi się głównie do leczenia chorób, robienia wróżb i sprowadzenia deszczu. Zdaje się, że używają oni u tego ludu większego poważania, niżeli u Buszmanów, a wiara w ich potęgę jest więcéj utrwaloną. Chorób i śmierci nie uważają Hottentoci za zjawiska naturalne, lecz za wywołane nadzwyczajnemi przyczynami, i wierzą w to silnie, że za pomocą nadzwyczajnych środków zapobiedz im można. Z tego powodu niezawsze oglądają się na swych czarodziejów, lecz probują szczęścia na własną rękę, a obawa przed oczarowaniem była u nich nieraz powodem prześladowania jednostek przez własne towarzystwo.

Literatura ich zdaje się być dosyć bogatą, ale mało znaną. Dr. Bleeck, który zajmował się także badaniem tego ludu, ogłosił w niemieckim przekładzie zbiór podań i opowieści hottentockich, które charakterem swoim zbliżają się do buszmańskich. Zamiłowanie do malarstwa nie rozbudziło się w nich wcale, ale podróżnicy przypisują im dość wiele uzdolnienia muzykalnego, które objawia się poczuciem taktu i trzymaniem głosu w śpiewie. Ich narodowy instrument muzykalny tak zwana „gora“ jest po prostu łukiem, jaki widzieliśmy u Buszmanów, ale udoskonalonym przez dodanie dudki z pióra, albo z kawałka trzciny, w którą grający dmie ustami.

W tym stanie rzeczy stoją Hottentoci niezaprzeczenie wyżej pod wieloma względami od Buszmanów. W chwili odkrycia tej części Afryki przez Europejczyków byli oni przedewszystkiém lu-

dem pasterskim; co pozwalało im, a nawet przymuszało ich poniekąd do łączenia się w większe gromady, w skutek czego i stosunki towarzyskie stały w nich daleko wyżej, a przechowujące się pomiędzy nimi podania pozwalają się domyślać istnienia słabych zawiązków państwowych.

Polegały one na wzajemném łączeniu się pojedyńczych gromad pod wspólnym naczelnikiem, celem obrony albo napaści na narody sąsiednie. Znali wyrób i użytek miedzi, a zatém pod względem rozwoju historycznego należeli do epoki brązowéj. Język ich przewyższa również rozwojem swoim język Buszmanów. Pod jednym względem stoją Hottentoci niezaprzeczenie niżej od Buszmanów, brakuje im zmysłu estetycznego, który u tych ostatnich tak silnie się rozwinął, ale ten objaw wypada uważać u Buszmanów za wyjątkowy, nadający im pewną wyższość nad wszystkiemi innemi ludami południowej Afryki.

Jeżeli upadek narodu buszmańskiego i jego szybkie niknięcie było przeważnie następstwem ich sposobu życia i niekorzystnego ustroju społecznego, to o Hottentotach można śmiało twierdzić, że upadek swój zawdzięczają wyłącznie europejskim osadnikom. Prawie wszyscy podróżnicy przedstawiają charakter tych ludzi w bardzo niekorzystném świetle i zgadzają się, twierdząc, że oni okrucieństwem swojém przyczynili się najwięcej do upadku czarnych. Przypatrzmy się historycznemu rozwojowi południowo afrykańskich kolonij i stosunkowi osadników do krajowców.

W chwili odkrycia tej części ziemi przez Europejczyków rzeczywistymi jego panami byli Hottentoci. Przewyższali oni Buszmanów liczbą i znajdowali się w posiadaniu bogatych trzód bydła, które byt im zapewniało. W tym stanie znalazł ich już Bartholomeo Diaz, gdy przybył do tutejszych brzegów w r. 1486 i z tego powodu nazwał jedno z miejsc, na którém wylądował, przystanią pasterzy (Angra dos Vaqueiros). Ale wrażenie, jakie ta część ziemi zrobiła na pierwszych podróżnikach, było tak niekorzystném, że przez półtora wieku nikt się o nich nie troszczył, a to tém więcej, że w czasach, kiedy nienasycona chciwość była jedyną pobudką do urządzenia wypraw zamorskich, oczy całego świata były zwrócone na bogactwa Ameryki i Indyi. Dopiéro kiedy Holendrzy stali się wyłącznymi panami tego ostatniego kraju, holenderska kompania wschodnio-indyjska uznała za stosowne zająć Przylądek Dobrej Nadziei, gdzie dwie obszerne zatoki dostarczały doskonałego punktu oparcia dla ich okrętów podróżujących do Indyi. Wysłany przez kompanią Jan Van Riebeck zajął w r. 1652 Przylądek Dobréj Nadziei w posia-

danie kompanii, wybudował na brzegu fortecę i rozpoczął uprawę ziemi.

Osadnicy, których przywiózł, znajdowali się w służbie kompanii, mieszkali tuż przy zatoce i uprawiali ziemię wyłącznie dla wygody okrętów. Zdaje się, że stosunek ten nie był im na rękę, bo w pięć lat potém, to jest w r. 1657 dziewięciu z nich wyprosiło sobie od gubernatora pozwolenie udania się w głąb' kraju i uprawiania ziemi na własną rękę. Taki był pierwszy zawiązek kolonii a tych dziewięciu osadników wypada uważać za praojców holenderskiéj ludności w południowéj Afryce. Liczba ich wzmogła się jednak wkrótce przez uciekających z okrętów marynarzy, jak świadczą akta urzędowe Holendrów, Duńczyków, Niemców i Portugalczyków.

Ażeby ocenić moralny stan takiego społeczeństwa, potrzeba przedewszystkiém znać charakter ludzi, którzy mu dali początek. Byli to bez wyjątku zbiegli ze służby marynarze. Kto miał sposobność dłuższego przebywania w miastach portowych i odbywania podróży na okrętach należących do różnych narodowości, przyszedł mimo woli do tego przekonania, że marynarze zajmują najniższe stanowisko w społeczeństwie ucywilizowaném; zmudne życie i ciężka praca na okrętach, nie sprzyjają rozwojowi zalet towarzyskich i przyczyniają się tylko do zwiększenia dzikości charakteru i złych nałogów, a dzisiejsi marynarze odznaczają się w ogóle samolubstwem gburowatym i porywczym charakterem, lekceważeniem przełożonych i niechęcią ku obcym, a wady występują najsilniéj pomiędzy marynarzami angielskiego i holenderskiego pochodzenia. Jasną jest rzeczą, że przed dwoma wiekami stosunki te musiały być daleko gorsze, bo ogólna moralność ówczesna stała daleko niżéj, a w czasach, kiedy wyprawy zamorskie były daleko niebezpieczniejsze a służba okrętowa cięższą, tylko wyrzutki społeczeństwa lub umysły awanturnicze puszczały się w charakterze marynarzy na morze.

Jakoż pierwsi koloniści przedstawiali pod względem moralnym stan bardzo smutny, a cały ciężar ich złych przymiotów obrócił się na niekorzyść krajowców. Ażeby zaspokoić chwilowe potrzeby, wyłudzali od nich, albo zabiérali im przemocą bydło, przymuszali do pracy, a wrazie oporu mordowali bez litości. Nietrudno zrozumiéć następstwa takich stosunków. Niedołężni krajowcy, pozbawieni środków obrony, ulegli przemocy i, wyparci z pierwotnych swoich siedzib, musieli chronić się w głębi kraju, ale nie pozbyli się żądzy odwetu. W kronikach miasta Cape Town znajduję wzmiankę, że już w r. 1659 przyszło z tych powodów do pierwszéj wojny z krajowcami. Misyonarz Fleming, chcąc uzasadnić prawa Anglii do posia-

dania kolonii, twierdzi, że pierwotni osadnicy objęli tę ziemię w posiadanie tytułem dobrowolnéj ugody z krajowcami; tymczasem akta urzędowe przekonywają, że w rzeczywistości jeden tylko akt kupna zawartym został. Nabyto w r. 1672 brzegi morza od miasta aż po góry Hotentots-Holland Moutains, a zatém obszar ziemi około 300 mil kwadratowych angielskich obejmujący, za cenę 114 złotych holenderskich, które wypłacono w towarach. Ażeby dać wyobrażenie o znaczeniu téj zapłaty, nadmienię, że miesięczna pensya, jaką pobiérał Gubernator Van Riebeek wynosiła 150 złotych.

Rząd kolonialny, szczególniéj rada główna przebywająca w Europie stawała pozornie w obronie krajowców, ale nie była w stanie zapobiedz złemu. Ażeby ułatwić uprawę ziemi, sprowadzono niewolników, których pierwszy transport zawinął do przystani w r. 1658; ale następstwo tego systemu było to, że ci osadnicy, którzy nie posiadali niewolników, starali się o nabycie ich przemocą z pośród krajowców. Stan tego społeczeństwa musiał być bardzo smutnym, jeżeli sam rząd widział się zmuszonym wydalić z kolonii najgorszych z pomiędzy tych „leniwych i bezpożytecznych łajdaków,“ jak ich dokument urzędowy nazywa. Z drugiéj strony potrzeba przyznać, że los tych pierwotnych kolonistów był bardzo opłakany. Uprawa ziemi była połączoną z nadzwyczajnemi trudnościami a stosunek rolników do władzy miejscowej mógł zniechęcić najpoczciwszych. Nie było egoistyczniéjszéj instytucyi na świecie, jak holenderska kompania wschodnio-indyjska; a koloniści osiedli na gruncie należącym do kompanii, albo pozostający w jéj służbie, byli traktowani na równi z niewolnikami; niewolno im było handlować z krajowcami; rząd przywłaszczył sobie prawo zakupowania za bezcen bydła od krajowców, a osadnicy mogli nabywać takowe tylko z drugiéj ręki od rządu. Wszystkie ziemiopłody obowiązani byli sprzedawać po cenach przez rząd oznaczonych, wyłącznie tylko okrętom holenderskim; przedmioty potrzebne w codzienném życiu, jak odzienie, broń itp. wolno było nabywać tylko w magazynach kompanii. Okrutnemi były i prawa miejscowe. W rocznikach miasta Cape Town znajdujemy np. następujące szczegóły:

Dnia 25 Października r. 1653 Herman Van Vogelaar ochotnik, skazany na sto uderzeń muskietem, za to że kazał purserowi (1) iść do diabla, gdy ten zamiast wołowiny albo wieprzowiny pingwina podał na obiad.

---

(1) Urząd podskarbiego na okrętach angielskich.

W roku 1666 Antoni Jans i Antoni Arents skazani za kradzenie kapusty na plagi, trzech letnią pracę w kajdanach na wyspie Robbin Island i odtrącenie pensyi za 4 miesiące.

Zrozumié każdy bezstronny, że prześladowany i gnębiony w ten sposób osadnik marzył tylko o tém, ażeby wyrwać się z pod oka władzy, miejscowéj i gdy mu się udało przenieść się w głąb' kraju, szukał odwetu a ofiarą téj żądzy padali krajowcy.

Pod koniec XVII-o stulecia siły młodéj kolonii zostały wzbogacone nabytkami, które bardzo piękne rokowały nadzieje. W r. 1684 sprowadziła kompanja 50 wieśniaków holenderskich i oddała im ziemię do uprawy w okolicach miasta i zdaje się, że od nich poszła nazwa boerów (chłopów), nadawana tutejszym kolonistom. Pomiędzy rokiem 1685 i 1688 przybyło na Przylądek Dobréj Nadziei 300 rodzin francuskich Hugonotów, którzy opuścili ojczyznę w skutek odwołania edyktu z Nantez. Nabytek ten nie pozostał bez korzystnego wpływu na ekonomiczne stosunki kolonii, bo Hugonoci przyczynili się wiele do poprawy rolnictwa a przedewszystkiém zaprowadzili uprawę wina, które w téj chwili jest bardzo ważnym produktem kolonialnym, ale ludzie ci zlali się zupełnie z ludnością holenderską, zapomnieli swojego języka; a z mową holenderską przybrali wszystkie szkaradne wady pierwotnych kolonistów. Obecnie przechowało się tylko wiele nazwisk francuskich, ale właściciele ich są duszą i ciałem boerami.

Gdy liczba kolonistów z czasem się zwiększyła, pojedyńcze rodziny zaczęły się wynosić w głąb' kraju i dotarły aż po rzekę Gariep, a pochody takie były wszędzie znaczone krwią i krzywdą krajowców. W ciągu XVIII-o wieku, jak słusznie twierdzi Mereński, wyrobił się indywidualny charakter boerów. Znalazłszy się zdala od siedziby rządu, poczęli używać nieograniczonéj swobody; pierwsza połowa stulecia upłynęła na rabowaniu Hottentotów, a druga na tępieniu Buszmanów, z którymi zetknęli się 1750 r. Krajowcy usuwali się przed przybyszami, ale ci potrzebowali bydła i niewolników. Do tego potęga kompanii wschodnio-indyjskiéj zaczęła się coraz więcéj chylić do upadku i nie może nas dziwić, że ludzie ci, zrzuciwszy z siebie ciężar wiekowéj niewoli, rozpoczęli w okropny sposób prześladować krajowców. Zwyczaj urządzania zbrojnych wypraw (tak zwane Commando) rozpowszechnił się na całym obszarze kolonii. Miały one służyć do odpierania napaści ze strony krajowców i obrony własności, ale w rzeczywistości były tylko systematycznym rozbojem. Gdy monopol handlowy został zniesionym, koloniści osiedli po miastach poczęli wyruszać w głąb' kraju pod pozorem handlu i po

wracali z bogatemi trzodami bydła, zdobytego przemocą na krajowcach.

W r. 1702 wyruszyła gromada 45-u takich handlarzy ku wschodnim granicom kolonii i powróciła niezadługo, pędząc 2.000 sztuk bydła a sądowe dochodzenie wykazało, że bydło to zabrano z sąsiednich kraalów, których ludność wymordowaną została. Sprawozdanie handlarzy wysłanych przez kompanią w r. 1705 brzmi jak następuje:

Dnia 26-o przyszliśmy do Kraalów Hannibala; zapytałem, zkąd to pochodzi, że tutejsi Hottentoci nie mają bydła, skoro kompania nigdy z nimi nie handlowała; wówczas opowiedzieli mi, jak przed kilku laty jeden z wolnych osadników, nazwany „Gerriet pijanica“ z niektórymi innymi ludźmi do nich przybył i, nie rzekłszy ani słowa, zaczęli ze wszystkich stron do nich strzelać i bydło zabiérać, bez najmniejszéj przyczyny, bo nikomu z Holendrów nigdy żadnéj przykrości nie wyrządzili.“ A daléj na końcu sprawozdania, stoi znowu co następuje: „W ten sposób dowiedziałem się niestety, jak przez zniesienie od niejakiego czasu monopolu handlowego i przez tych włóczęgów (handlarzy) cały kraj podlega ruinie, bo gdy jeden kraal zostanie zrabowanym, to musi napadać drugi, a drugi trzeci itd.“

Rząd kolonialny był już z początkiem przeszłego stulecia za słabym do zapobieżenia takim nadużyciom i nietylko, że nie był w stanie pilnować boerów osiadłych na granicach kolonii, albo handlarzy w głąb' kraju ciągnących, ale nawet brakło mu siły, ażeby przeszkodzić nadużyciom, które się działy pod jego okiem.

W r. 1739 została założoną przez braci Morawskich pierwsza misya pod przewodnictwem Schmidta, we wsi Genadendal. Gdy około misyonarzy zaczęli się kupić Hottentoci, ókoliczni boerzy starali się wszelkiemi siłami przeszkodzić ich czynności, używali gwałtów i intryg i sprawili, że władze krajowe zakazały Schmidtowi chrzcić nawróconych Hottentotów, a ciągłe nieprzyjemności, na jakie był ze wszech stron narażonym, zmusiły go do porzucenia kolonii po 4-o letniéj próbie. Rząd złożył w téj sprawie dowody złéj woli do tego stopnia, że jednego z holenderskich proboszczów, który działał w porozumieniu ze Schmidtem, pozbawił posady i wysłał przemocą do Batawii. Praca nawracania krajowców została przerwana na lat 50, a misya w Genadendal, odnowiona powtórnie pod koniec przeszłego stulecia, przetrwała późniéj złe i dobre dole i istnieje do dziś dnia.

Prawie wszyscy podróżnicy, którzy zwiedzali kolonią z początkiem tego stulecia, przedstawiają w najniekorzystniejszém świetle

charakter ówczesnych kolonistów, wyliczając pomiędzy głównemi ich wadami, niczém nieprzełamany wstręt do pracy, a pociąg do pijaństwa, skłonność do włóczęgostwa, wygórowaną zarozumiałość obok największego ograniczenia umysłowego, niechęć ku obcym, nienawiść ku czarnym, charakter popędliwy i wyzywający, rubaszność w obejściu i mściwość posuwającą się nieraz do okrucieństwa, a do tego wszystkiego wypada jeszcze dodać lekceważenie władz miejscowych i własnego rządu.

Francuski podróżnik Le Vaillant, wspomniawszy o okrucieństwach popełnianych przez boerów na Hottentotach i o bezwładności rządu, opowiada co następuje: Gdy gubernator dowiedział się o czynach srogości, spełnionych przez jednego boera na Hottentotach, wezwał go do odpowiedzialności i kazał mu przybyć do Cape Town na sprawę. Obwiniony nie myślał nawet dać odpowiedzi na to wezwanie, lecz rabował daléj w zwykły sposób, a nieposłuszeństwo jego nie zostało ukaraném i zapomniano o niém. Gdym raz rozmawiał z kolonistami o takich nadużyciach, kilku z nich powiedziało mi, że i oni bywali również pozywani w podobnych sprawach przez gubernatora i również się nie stawili. Gdym im powiedział, że dziwię się, dla czego gubernator z rozkazem swoim nie pośle oddziału wojska i w razie oporu, winnego pod dobrą eskortą do miasta nie sprowadzi, jeden z nich odrzekł: A wiesz pan cobyśmy w tym przypadku zrobili? Zgromadzilibyśmy się natychmiast, wystrzelali połowę żołnierzy, ciała ich zasolili i odesłali do miasta przez pozostałych z tém poselstwem, że tak się stanie wszystkim, którzy w podobnym zamiarze do nas przybędą. Fakt ten, powiada Mereński, charakteryzuje doskonale ówczesnych kolonistów i nie można się dziwić, że ci ludzie, którzy rabowali niewinnych i spokojnych Hottentotów, zszedłszy się później ze złodziejskimi i szkodliwymi Buszmanami, nieszczęśliwy ten naród wojną wytępić postanowili.

Nieuszanowanie władzy było pod koniec zeszłego stulecia tak ogólném, a bezsilność rządu tak wielka, że w wielu miejscach przyszło do otwartéj opozycyi ze strony boerów. Koloniści w okręgach Graf Reynett i Swellendam wypowiedzieli rządowi otwarcie posłuszeństwo i ogłosili w roku 1795 rzeczpospolitą pod przewodnictwem Steina, a miejscowy gubernator w Tulbagh został zagrożony napadem chłopów, gdy się nie chciał poddać ich wymaganiom. Pomiędzy żądaniami, jakie mu przedłożyli, znajduje się ustęp następujący: „Każdy Buszman i Hottentot, mężczyzna czy kobiéta, złapany czy przez komando, czy przez pojedyncze indywiduum i wszyscy ci, którzy w przyszłości złapani zostaną, mają pozostać przez całe życie własnością tych kolonistów, którzy ich posiadają i pozostać w tym sto-

sunku u ich następców; gdy taki Hottentot ucieknie, właściciel ma mieć prawo ścigać go i złapawszy karać według upodobania."

Ale ten rozstrój społeczny nie trwał długo, a egoistyczne dążności boerów natrafiły na nieprzewidzianą przeszkodę. Rząd angielski, którego potęga zaczęła się ustalać w Indyach i który z tego powodu na Przylądek Dobréj Nadziei, jako na stacyą morską ogromnéj doniosłości oddawna chciwém patrzał okiem, skorzystał z wewnętrznego zamięszania i postanowił zabrać przemocą kolonią. W r. 1795 zawinęła do zatoki w Cape Town angielska flota pod admirałem Elphiustone, lecz nie zajęła kraju w posiadanie, starała się tylko o przywrócenie porządku i podtrzymanie powagi księcia Oranii, a opuściła zatokę w r. 1800, gdy zwrot kolonii republice Batawskiéj w skutek pokoju w Amiens przyznanym został. W skutek wypadków politycznych zajęli Anglicy ten kraj powtórnie w r. 1806 i utrzymali się w jego posiadaniu do dziś dnia. Holenderscy koloniści przeszli pod panowanie angielskie, a utrata wolności była z pewnością zasłużoną karą za ich nadużycia i srogim odwetem za krzywdy Buszmanów i Hottentotów.

Ze zmianą stosunków politycznych zabłysła gwiazda nadziei dla uciemiężonych. Rząd angielski zajął się losem krajowców i postanowił ulżyć ich doli, a chociaż pobudki tego czynu leżały w wyrachowaniu, a nie w prawdziwéj filantropii, to nie pozostał on bez błogich następstw. Dnia 1 Listopada 1809 r. ogłosił gubernator kolonii Lord Caledon proklamacyą, regulującą stosunki Hottentotów do kolonistów a przyznającą pierwszym osobistą swobodę. Hottentoci wolni zostali oddani pod opiekę urzędników krajowych, którzy czujny nad nimi mieli rozciągać dozór, ale zarazem i przestrzegać praw. Nie wolno było przymuszać Hottentota do pracy; mogli oni przyjmować obowiązki u kolonistów, ale jedynie za dobrowolną umową, zatwierdzoną przez urzędnika. Ponieważ sądy krajowe z siedzibą w głównych miastach miały zakres czynności bardzo ograniczony i utrudniony, przeto za staraniem misyonarzy van der Kempa i Reada została w roku 1811 zaprowadzoną w kolonii instytucya sądów ruchomych, t. z. Circuit-Courts. Sąd taki miał zwiedzić w ciągu jednego roku wszystkie części kolonii i zajmować się wyłącznie rozpoznawaniem spraw krajowców. W pierwszym zaraz roku podano 80 skarg o morderstwo i rozbój, a jak wiarogodni autorowie twierdzą, nie było ani jednéj rodziny w kraju, któraby nie była w takie sprawy wmięszana.

Postępowanie rządu wywołało najwyższe oburzenie, które objawiło się czynem w r. 1815 przy następującéj sposobności. Niejaki Fryderyk Besuidenhout pozwany przed sąd z powodu krzywdzenia

Hottentota nie stawił się, w skutek czego wysłano urzędnika z pomocą siły zbrojnéj dla odstawienia go przemocą. Besuidenhout stawił opór; zamknąwszy się w domu groził, że strzeli w łeb każdemu, kto się przybliży, a gdy żołnierze się ukazali dał rzeczywiście ognia, lecz bezskutecznie i uciekł ze służącym w zarośla. W godzinę potém znaleźli go żołnierze ukrytego w jaskini. Gdy wezwany do poddania się odmówił i strzelił do żołnierzy, ci dali również ognia i ranili go śmiertelnie.

Wypadek ten poruszył całą okoliczną ludność. Koloniści postanowili wypędzić Anglików, rozpoczęli nawet w tym celu układy z wojowniczym naczelnikiem Kafrów, Ngiką, i wyruszyli zbrojno w góry, gdzie otoczeni przez oddział wojska, zostali pobici a 60 dostało się do niewoli. Pięciu z nich zostało skazanych na śmierć, a reszta na różne kary. Wyrok został spełnionym w obecności licznie zgromadzonych kolonistów, a cierpienia skazanych zostały zwiększone tą okolicznością, że rusztowanie zawaliło się z nimi w chwili, gdy miano przystąpić do egzekucyi i słyszeli rozdzierający serce jęk swych rodzin i ich głosy wzywające łaski, które tym razem nie zostały wysłuchane.

Pod opieką rządu angielskiego rozwinęli misyonarze żywszą działalność, liczba stacyj została zwiększoną, prześladowane rodziny Hottentotów zaczęły się kupić około misyonarzy i pracować pod ich okiem dla zaspokojenia potrzeb codziennego życia, w skutek czego w wielu miejscach dał się czuć brak sił roboczych, a dobrobyt kolonistów zaczął upadać.

Równocześnie sprawa niewolnictwa zaczęła żywo zajmować umysły w Europie, a rządowi angielskiemu wypada oddać tę sprawiedliwość, że przyłożył pierwszy rękę do obalenia tego haniebnego zabytku barbarzyńskiéj przeszłości. W skutek zabiegów ze strony szlachetnego misyonarza Philipa ogłoszono w r. 1828 w kolonii równouprawnienie kolorowych, bez względu na to, jakiegoby byli pochodzenia, i nic dziwnego, że ludzie ci, uwolnieni zbiegiem okoliczności z pod gniotącéj ich przez tyle lat przewagi holenderskich kolonistów, uczuli się szczęśliwymi, gdy nadarzyła się sposobność zerwania z nimi wszelkich stosunków. W skutek tego koloniści znaleźli się w bardzo przykrém położeniu. Używali oni dotychczas nieograniczonéj swobody i cieszyli się dobrobytem, bo państwo nie nakładało na nich żadnych ciężarów a praca niewolników zaspakajała wszelkie ich potrzeby. W obecnym stanie rzeczy starsi niewolnicy zaczęli wymiérać, przywóz nowych został odciętym, a wyswobodzeni kolorowi nawet za pieniądze u nich pracować nie chcieli. W skutek tego już z początkiem bieżącego stulecia pojedyncze rodziny holender-

skie zaczęły się wynosić z kolonii i osiadać w niezaludnionych i niedostępnych okolicach na północy, gdzie mogli żyć spokojnie i prowadzić bezkarnie dawne rzemiosło. Ale ostateczny cios został im zadanym przez zupełne zniesienie niewolnictwa, które nastąpiło w r. 1838. Jeszcze w téj porze znajdowały się w kolonii zamożne rodziny holenderskie, które posiadały od 40—50 niewolników i nietrudno zrozumiéć, że nietylko warunki ich dobrobytu w skutek utraty wszystkich sił roboczych zostały podkopane, ale i byt zagrożony. Liczba uwolnionych wynosiła 35.000. Rząd angielski płacił co prawda wykup, ale zdaniem bezstronnych krajowców, z którymi miałem sposobność rozmawiać o tym przedmiocie, suma płacona za każdego niewolnika była zbyt niską i nie odpowiadała ani połowie rzeczywistéj jego wartości. Na domiar nieszczęścia, żeby odebrać zapłatę, potrzeba było wykazać swoje prawa do niéj, a potém przeczekawszy lat kilka, odbyć daleką podróż do Cape Town, spotkać się oko w oko ze znienawidzonymi Anglikami i kłaniać im się w dodatku.

Dla wyuzdanych i rozhukanych kolonistów, żyjących w głębi kraju, było to za wiele; chwycili oni się wręcz przeciwnego środka, postanowili opuścić kolonią. Kilka tysięcy rodzin wsiadło na wozy i ruszyło ku północy. Odetchnęli oni swobodniéj, kiedy minęli rzekę Gariep a z nią i granicę kolonii. Zastali oni tutaj ogromne obszary ziemi, nienależące według ich przekonania do nikogo, bo czarnych nie uważali nigdy za ludzi i zająwszy je w posiadanie założyli trzy republiki: Oranią, Transwalską i Natalską. W jaki sposób przyszli do posiadania tych ziem i jakie były ich dalsze losy, pokaże się w następującym ustępie.

*(c. d. n.)*

---

# DZIŚ I JUTRO.

Hej dobrzy ludzie, wy nie wiecie
Jako się dzieją rzeczy w świecie
Co z zakreślonéj schodzą miedzy
Bez waszéj woli i bez wiedzy.
Życie łańcuchem skute długim
Idzie pod losów ciężką wodzą,
Ogniwa jedne w drugie wchodzą
Luz lub cieśń czyniąc jedne drugim,
A czy więź silna czy téż krucha,
Czy obróz ciśnie, czy się luźni
Wszystko to w Bożéj skute kuźni
I Boga woli tylko słucha.

. . . . . . . . . . . . . .

...Dźwięki szły w przestrzeń, wir rwał, życie wrzało,
Myśl się gubiła w rozbawionym gwarze,
Światła jasnością olśniewały białą,
Płomiennym blaskiem odbłyskały twarze,
Szeleściał jedwab, połyskało złoto
I przestrzeń cała tonęła w zachwycie,
Jak gdyby człowiek był stworzony po to
By pił czar do dna i przetańczył życie.

W téj atmosferze róż, świateł i woni
Ku *niéj* się garnął orszak rozszalały,
Wszystkie marzenia ubiegały do niéj
I wszystkie żądze do stóp jéj się słały.

Przez ten czar ziemski który serca czyni
Niewolnikami i u nóg swych kładnie,
Urok dokoła słała samowładnie
Królowa blasków i wdzięków bogini.

O piękną była! tą pięknością wiotką
Co w woni wiosny tchnie i w kwiatów pyle;
Modre jéj oczy patrzyły tak słodko,
Promienne usta wabiły tak mile,
Jakby Bóg oblókł to czarowne ciało
W lubość przy któréj wszystkie szczęścia bledną...
I życie męczarń byłoby za mało
Za jeden uśmiech lub spojrzenie jedno.

I w tym uroku co dusze weseli
I w téj jasności co twarz rozpromienia
Zdawałoby się że rajscy anieli
Nadziemskich świateł złożyli marzenia;
A ona, serc tych władczyni i pani,
A ona cudna i upajająca,
Wszystkie te hołdy z pogardą odtrąca
Bo wierzy w piękność swą i żyje dla niéj...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

....Słońce w obłoków złotéj aureoli
Zwolna w zachodnią chyliło się stronę,
Już zmierzch przez szyby padał zapylone
I dnia się blaski ścierały powoli,
W jedną powłokę zlewając się ciemną.
*Ona* w milczeniu siedziała przedemną,
Dumała, a pod zmarszczoną powieką
Wzrok jéj gasnący sięgał gdzieś daleko
Za wspomnieniami co goją lub ranią.

A ja uważnie spoglądałem na nią,
I myśl co przedsię niewstrzymana płynie
Dziwną zagadkę słała mi do głowy,
Kędy w zniszczeniu tém i téj ruinie
Szukać piękności i wdzięków królowéj?

Bo ani śladu na twarzy wybladłéj
Krwi, która znikła pod cerą bezbarwną,

Usta, od których odleciał już dawno
Uśmiech, wklęsnęły i w głąb się zapadły,
Oczy obwódką objęte czerwoną
Straciły blask ów co w źrenicy pała,
A cała postać, tak mi się zdawała
Jakoś zmalałą dziwnie i skurczoną,
Jakby w starości każdy rok przechodni
Coś niepowrotnie odejmował od niéj.

Lecz najstraszniejszy był wyraz jéj twarzy
Co mówił czoła niezatartém piętnem
Że dla niéj wszystko jest już obojętnem
Nic już nie kocha i nic już nie marzy,
I że z latami co szybko ubiegły
Duszę jéj czarną pokrywszy żałobą
Runęły razem gmachu życia cegły
I zagrzebały kobiétę pod sobą,
Że znikły marzeń złotodajne ziarna
A pozostała czczość i pustka marna.

Myślałem sobie... Bożeż ty mój Boże!
Czy to podobna i czy to być może
By w odłączonych od życia biesiady
Tak już stopniowo wszystko kamieniało,
By grób tak zwolna wstępował na ciało
Z zakątków życia wypierając ślady.
Bo jasném było, że pod zgasłém zgliszczem
Nawet już wspomnień nie odżywi siła
Téj, co światowém czując się bożyszczem
Niegdyś błyszczała, śmiała się i żyła....

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Hej dobrzy ludzie! wy nie wiecie
Jako się dzieją rzeczy w świecie
Co żadną ludzkich pojęć władzą
Jasno tłómaczyć się nie dadzą.
Bo marną ziemska jest otucha
Choć ją udziela Bóg na czasie
A wszelka ludzka piękność, zasię
Idzie nie z ciała ale z ducha.

*Wacław Szymanowski.*

# GOETHE.

## ZARYS BIOGRAFICZNO-LITERACKI.

Hermann Grimm: Goethe. Vorlesungen gehalten an der Kgl. Universität zu Berlin 1877. 2 tomy.
Hermann Hettner: Goethe und Schiller. 1876 2 tomy.

## CZĘŚĆ DRUGA.

1775—1788.

W części téj opowiadano dzieje tak zwanego „dziesięciolecia“ (Zehn Jahre) weimarskiego i podróży włoskiéj wraz z genezą utworów, na te lata przypadających. Historyi „dziesięciolecia“ Goethe sam nie opracował; podróż natomiast włoską przedstawił w dziele „Italiänische Reise“, wydaném 1817 roku. Dzieło to pod względem wiarogodności stoi na równi z „Dichtung und Wahrheit,“ t. j. przedstawia artystyczne przetworzenie materyału rzeczywistego. O Weimarze opowiada zajmująco Adolf Stahr w dziełku dwutomowém p. n.: „Weimar und Jena“ (2-gie wydanie w Berlinie, 1871).

### I.

Fizyognomia Weimaru. — Towarzystwo tameczne. Amalia. — Karol August, Wieland — Pani von Stein. — Jéj stosunki z Goethem. — Uszlachcenie poety. — Goethe tęskni do Włoch.

Weimar w ostatniéj ćwierci zeszłego stulecia było małém miasteczkiem o jakich pięciuset domach i sześciu tysiącach mieszkańców, z ulicami ciasnemi i błotnistemi, bez żadnego oświetlenia, z bru-

kiem okropnym, z murami napół opadłemi i z nadgniłemi bramami. Spółcześni nazywali go wioską, albo też pustą mieściną, stanowiącą coś pośredniego między wsią a rezydencyą książęcą. Najlepiéj może scharakteryzowała go pani Stael, mówiąc: „Weimar n'est pas une petite ville, mais un grand château.“ Istotnie to, co się w dziejach literatury Weimarem nazywa, nie jest to bynajmniéj miasteczko Weimar, ale tylko pałac książęcy, w którym skupiła się garstka ludzi, zajmujących się uprawą sztuk i nauk. Gdyby nie ten pałac i nie ci ludzie, o Wejmarze mówiłoby się tylko w szczegółowéj geografii środkowych Niemiec. Weimar był po prostu tém w Niemczech, czém spółcześnie Puławy w Polsce; może nawet Puławy tj. mówiąc ściśle rezydencya książąt Czartoryskich przewyższały pod względem przepychu i wspaniałości stolicę książąt sasko-weimarskich, pod względem natomiast życia umysłowego musiały jéj ustąpić, gdyż tu najwyższą poetycką potęgą był Goethe, a tam tylko Kniaźnin.

Goethe miał lat 26, kiedy przybył do Weimaru. Przeniósłszy się z południowo-zachodnich, do środkowych Niemiec, odczuł ogromną różnicę, jaka między niemi istniała. Nad Renem, rzeką jego ojczystą, życie płynęło szybko na ulicy, a przynajmniéj po za domem; lata, które nie przynosiły pewnego nadmiaru w dochodzie, do złych się liczyły; szlachta niezależna, bogaci kupcy, zamożni ziemianie ton nadawali. W Turyngii przeciwnie przepędzano życie w domu, a nie mając własnego wina, pito piwo; oszczędność, mierność stanowiły regułę postępowania; lata nazywały się dobremi, kiedy po prostu złemi nie były; a spokojni i pokorni urzędnicy rej tu wiedli. Podczas kiedy bogaty Frankfurt stanowił centrum ruchu przemysłowego i handlowego, Weimar był biedną mieściną, zdala od drogi położoną, obok któréj nawet taki Erfurt mógł sobie rościć pretensyą do nazwy wielkiego miasta. W obec domów i pałaców frankfurtskich budowle weimarskie były niczém więcéj tylko chałupami.

A do tych cech zewnętrznych, które na Goethem przykre nieraz robiły wrażenie, przydać jeszcze należy różnice daleko ważniejsze, bo towarzyskie. W Frankfurcie Goethe, jako zamożny potomek patrycyuszowskiéj rodziny, był czémś na kształt księcia młodzieży; to też używał darów losu zupełnie swobodnie wśród dobrze sobie znanych stosunków. W Weimarze uczuł się na gruncie niepewnym, bo wśród dumnéj szlachty, która tylko w kole swojém ściśle utrzymywała relacye, od któréj mieszczanie bez nienawiści wprawdzie, ale z całą stanowczością odsuwali się, tak że do mieszczańskiéj resursy żadnego szlachcica nie przypuszczali. Goethe, co

w młodości swojéj żadnego szlachcica nie miał za przyjaciela, wszedł teraz do towarzystwa, które pomimo uznania dla niego jako dla młodego „geniusza“ i druha książęcego, nie mogło go przecięż do swojéj zaliczyć sfery. Odwaga, a nawet lekkomyślność młodzieńca, przyjaźń księcia, poparcie go ze strony księżnéj żony i księżnéj matki ułatwiały mu wprawdzie stosunki, ale nie mogły wszystkich usunąć trudności. Zapoznajmy się z temi stosunkami dokładniéj.

Twórczynią życia literackiego w Weimarze była Amalia, matka Karola Augusta. W siedmnastym roku życia wyszedłszy za słabowitego Ernesta Augusta, w rok po ślubie urodziła Karola Augusta (1756) a w rok potém straciła małżonka, zanim drugi syn przyszedł na świat. Wśród okropności wojny siedmioletniéj, zostawszy sama regentką weimarskiego państewka i mając do wyhodowania i wychowania dwu synów, nie straciła odwagi, lecz mężnie maleńką swą nawą kierowała. Męską stanowczość i trzeźwość w interesach łączyła z kobiécą łatwością i swobodą w pożyciu towarzyskiém. Serdeczna i wykształcona, lubiła uczonych i artystów; sama rysowała, komponowała, lubiła teatr, potrzebowała wesołego a niekrępowanego otoczenia, nie cierpiała ceremoniału dworskiego. Nowości literackie zajmowały ją; to téż nic dziwnego, że kiedy Wieland, mający już wówczas pewną sławę w Niemczech, wydał swoje „Złote zwierciadło czyli Królowę Scheschianu,“ gdzie idąc torem Roussa rozwinął zasady wychowania książąt, Amalia zaprosiła autora na redutę do Weimaru a następnie zapotrzebowała od niego wskazówek co do wychowania swego syna. Wieland w długim, sentymentalnym a pięknie napisanym liście wywiązał się z poruczonego zadania; dał obszerną charakterystykę starszego syna i zauważył, że braknie mu jednego tylko, to jest żeby się stał „oświeconym“ księciem. Zawiązała się tym sposobem długa korespondencya, w któréj szło głównie o wyjaśnienie, co przez „oświecenie“ rozumiéć należy. Tymczasem Erfurt, gdzie Wieland był wtedy profesorem filozofii, zaczął się mu przykrzyć; tameczni nauczyciele nie chcieli uznać obok siebie literata, który się wielu wprawdzie przedmiotami zajmował a żadnego specyalnie nie zgłębiał. Nie namyślając się tedy długo, pojechał w 1772 do Weimaru, założył tam „Merkuryusza Niemieckiego,“ który się stał ulubionym pisemkiem dla wszystkich miernych ludzi w Niemczech; a przez romanse, poezye i inne utwory literackie wszelkiego rodzaju sławę swoję coraz bardziéj powiększał. Ton słodkawy, którym przemawiał, pochlebstwa względem publiczności i złe maniery literackie zyskiwały mu zarówno zwolenników, jak przeciwników. Z jednéj strony został ulubieńcem księżnéj Amalii, która mu wykształcenie synów powierzyła; z drugiéj zaś naraził się na satyrę

Goethego, który romanse jego z góry traktował a niewłaściwe wystawianie bohatérów starożytności klasycznéj wyszykanował w pisemku „Bogowie, bohatérowie i Wieland.“ W skutek tego wywiązała się walka, która jednak trwała niedługo, zażegnana przez panią Laroche, Jacobiego i innych. Wieland, jako człowiek wesoły i dobry, nie mógł długo mieć w sercu urazy; a Goethe, zanim przybył do Weimaru, napisał do niego list pełen grzeczności, który najlepszy sprawił skutek. Osobiste wreszcie zetknięcie się dokonało reszty: Wieland stał się wielbicielem Goethego a Goethe wielbicielem Wielanda.

Goethe przybył do Weimaru 7 Listopada 1775 r. jako prosty gość w odwiedziny. Nadchodziła zima, w któréj młoda para książęca miała z zabawami wystąpić. Amalia, zdawszy rządy państewka na Karola Augusta, oddawała się całkiem uciechom i zajęciom literackim, ucząc się po grecku od Wielanda. Karol August miał w sobie coś nieposkromionego, coś dzikiego, z czém matka musiała długie staczać walki; ale obok siły fizycznéj i nieokrzesanych nawyknień, odznaczał się szlachetnemi serca porywami. Nie mając jeszcze lat dwudziestu, lubił się naturalnie bawić z całą niewybrednością i żywością wieku młodego, a znalazłszy w Goethem towarzysza pełnego werwy, dyszącego jeszcze życiem „burzy i prądu,“ pokochał go całém sercem, nie mógł się obejść bez niego. Wybór ten Amalia pochwaliła, widząc w poecie jedynego człowieka, który mógł dobroczynnie wpływać na młodego władcę, nie odstręczając go surowością zbyteczną. To téż gdy po burzliwym i hałaśliwym karnawale, Karol August postanowił zatrzymać Goethego przy sobie i dać mu urząd, matka całą siłą swojego wpływu poparła życzenie syna. A nie było zbyt łatwo uczynić mu zadość. Falanga starych urzędników z zacnym ministrem Fritsch na czele, z obawą patrzała na niezbyt różową przyszłość państewka na wypadek, gdyby rozrzutne uczty i hałaśliwe hulanki miały się stać codzienném młodego księcia zajęciem. Przyzwyczajeni do spokoju i oszczędności, widzieli już skarb w rozsypce a państwo zagrożone bankructwem; a za sprawcę tak smutnéj perspektywy poczytywali Goethego. Fritsch zagroził po prostu usunięciem się od urzędu, gdyby poeta miał wejść do składu rządu. Taktowne jednak i wielce dyplomatyczne zachowanie się Goethego, a zwłaszcza rozsądek księżnéj matki potrafiły przekonać starego Fritscha, że zatrzymanie poety na dworze nie sprowadzi ruiny kraju i że on może daléj na stanowisku swojém pozostać.

To przejednanie starego ministra było prawdziwym tryumfem Goethego, świadczyło bowiem wymownie o uznaniu dla poety i za-

słoniło go od postronnych napaści, które nie omieszkały się objawić. W tym samym miesiącu Maju 1776, kiedy pozostanie Goethego w Weimarze nie ulegało wątpliwości, nadszedł list Klopstocka, napominający tonem surowym i kaznodziejskim, choć serdecznym, żeby poeta nie popychał księcia po drodze pijaństwa i występku i żeby pamiętał o przyszłości, o sławie autorów niemieckich. Goethe ufny już teraz w swoje położenie, odpisał Klopstockowi sucho, a nawet... bardzo niegrzecznie. Klopstock odpłacił się wzajemnością i wypowiedział mu swoję przyjaźń (1). Równocześnie jednak Goethe uznał za rzecz potrzebną dać niektóre wyjaśnienia o życiu na dworze niemieckim i zaadresował je do dobréj znajoméj swojéj „Guci" Stolberg. Bracia bowiem Stolbergowie byli powodem całego zajścia z Klopstockiem. Chciano ich w Weimarze uczynić szambelanami; wszystko już było ułożoném, kiedy Klopstock na wieść o rozpuście w Wejmarze, gdzie koniak miano pić kuflami a książę wraz z Goethem mieli posiadać wspólną kochankę, położył swoje *veto* i ów list napisał. Goethe więc zwrócił się do siostry Stolbergów z długim listem, w którym opowiedział po szczególe wszystkie swoje uczucia, myśli i zajęcia. W skutek tego listu jeden ze Stolbergów, chociaż nie pojechał do Weimaru, oświadczył przecięż rozsierdzonemu Klopstockowi, że ubliżające wieści o Goethem i księciu uważa za plotkę...

Koniec końcem Goethe pozostał w Weimarze jako tajny radca legacyi z pensyą 1.200 talarów. Równocześnie niemal z osiągnięciem urzędu nastąpiła w przyzwyczajeniach jego i dążności literackiéj zadziwiająca zmiana. Podczas gdy do téj pory główném jego usiłowaniem było uwolnienie się od wszelkich obywatelskich obowiązków, aby się módz zupełnie literaturze poświęcić; teraz zrywa zupełnie z dotychczasową działalnością literacką, zaniedbuje to kółko frankfurckich, darmstadzkich i reńskich przyjaciół, które stanowiło do téj pory jego publiczność, ani jako poeta, ani jako krytyk nie zostając z nimi w żadnym związku. Sława młodego wieszcza, na którego liczono w Niemczech, już go nie pociąga; przestaje ogłaszać swoje utwory, chociaż je obmyśla i częściowo spisuje. Pierwsze „dziesięciolecie" pobytu w Weimarze upływa Goethemu wśród prac urzędowych, wśród wytrwałego spełniania przyjętych na siebie obowiązków; co témbardziéj zastanawiać nas winno, że poeta w niedługim czasie (mianowicie w r. 1780 i 1781) zaczął uczuwać cały cię-

---

(1) Trzy te listy znajdują się w tłómaczeniu polskiém dzieła Lewesa: „Dzieje żywota i utworów Goethego" (1860) str. 123—125.

żar i całą bezowocność swoich usiłowań w tym kierunku. To téż życie poety w téj epoce nie przedstawia takiéj jednolitości ani takiego postępowego rozwoju, jak to było poprzednio, chociaż przyczyną tego zjawiska nie jest bynajmniéj brak materyałów. Wiemy owszem aż do najdrobniejszych szczegółów o wszystkich jego zatrudnieniach, możemy nawet dzień po dniu śledzić maleńkie wypadeczki życiowe; ale wszystkie te wiadomości nie dają nam zaokrąglonego obrazu, nie tworzą organizmu pełnego żywotności i prawdy. Wypadków tych bowiem nie łączy z sobą ani cel jakiś jasno wytknięty, ani walka o przeprowadzenie jakiéjś idei: wszystko tu idzie zwyczajnym biegiem codziennego życia, okraszone zabawami, przedstawieniami teatralnemi, polowaniem i wierszami okolicznościowemi. Dosyć więc będzie tych kilku zdań dla określenia położenia Goethego podczas pierwszego „dziesięciolecia"; zaniechawszy szczegółowéj kroniki, przypatrzmy się jego sercowym stosunkom i umysłowym zajęciom.

Przez całe „dziesięciolecie" serce Goethego zajęte było przez Karolinę Stein. Stosunek ten rozmaicie bywał oceniany; w ostatnich nawet czasach prowadzono o niego spory wielce zacięte. Chodziło o rozstrzygnięcie pytania, czy Karolina von Stein była kochanką, w niższém znaczeniu tego wyrazu czy też w szlachetniejszém; czy pamięć téj kobiéty należy postawić na równi ze wspomnieniami dam kameliowych, czy też zaszczytniejsze wyznaczyć jéj miejsce. . Hermann Grimm po zbadaniu wszystkich tyczących się sprawy téj materyałów, w imię prawdy dziejowéj, przedstawia ją w sposób następny:

Karolina von Stein była to istota nieco chłodna i od młodości przyzwyczajona do zdawania sobie dokładnego rachunku z własnego życia. Miała męża i kilkoro dzieci. Męża nie kochała wprawdzie namiętnie nigdy, ale traktowała go dobrze i umiała żyć z nim zawsze w najlepszém porozumieniu. Kiedy Goethe ją poznał, miała lat trzydzieści pięć i natchnęła poetę uczuciem czci, które się na całą rodzinę rozciągało, męża nie wyjmując. Interesa téj rodziny stają się odtąd własnemi interesami Goethego; wychowuje on jednego z synów, bierze go nawet na czas jakiś do swego domu i przez całe życie zostaje wysoce poważanym przyjacielem tego dziecka, które wyrosło potém na bystrego, energicznego i mającego pewne znaczenie męża, zostającego z Goethem w najlepszych stosunkach nawet wtedy, kiedy ten przestał się z jego matką widywać. Pomiędzy mężem pani von Stein a Goethem nigdy nie było niesnasek; owszem poeta nieraz w listach do niego posyłał listy do jego żony; a o uczciwości i honorze pana von Stein nigdy nie wątpiono. Wreszcie kiedy w późnym już wieku stosunek Goethego do Karoliny von

Stein przybrał na nowo charakter przyjaźni, miejsce dawnéj poufałości i poufności zajął wzajemny szacunek. Zważmy nadto, że Goethe lubił się w pismach swoich spowiadać, tak że nie ma ani jednego stosunku, któregoby w sposób symboliczny nie przedstawił w utworze jakim. Gdyby między nim a panią von Stein istniało choćby najbardziéj ukrywane obcowanie, poeta nie zawahałby się wyprowadzić go na jaw tém bardziéj, że przedmiot byłby wielce dramatyczny. Gdyby pani von Stein była kryjomą kochanką, a potém publicznie opuszczoną metresą Goethego; to zażyłość z jéj mężem i serdeczność z jéj synem dawałaby możność wystawienia ogromnych wewnętrznych konfliktów, które przecięż w zupełnéj przemijały ciszy. Tymczasem nic podobnego w dziełach poety nie znajdujemy.

Toż samo powiedziéć należy o pani von Stein. Była to kobiéta literacko utalentowana. Kiedy się jéj przyjaźń z Goethem zerwała, serce jéj ogarnęło nieopisanie przykre uczucie: sama nie wiedziała, czego się ma chwycić, ażeby znaléść punkt oparcia. Nauczywszy się od Goethego przedstawiać wszystkie wypadki życiowe w symbolicznych poematach, napisała dramat, w którym odmalowała w brzydkich kolorach tę zmianę, jaka, według jéj mniemania, zaszła w charakterze poety i była przyczyną jego odsunięcia się od niéj. Sztuki téj nie chowała u siebie, owszem dawała ją nieraz do czytania, jak świadczy o tém wielce pochwalny list Schillera. A jakąż treść do niéj wybrała? Historyą Dydony. Siebie wystawia jako Dydonę, nie Dydonę wprawdzie opuszczoną przez Eneasza, ale w każdym razie jako tę kobiétę, któréj nazwiska niepodobna odłączyć od myśli o Eneaszu i sposobie, w jaki przezeń została porzuconą. Czy bezwstyd podobny można uważać za rzecz możliwą? Czy można sobie wystawić metresę, która zamiast milczéć, podaje się przed swoją rodziną, przyjaciołmi i przyjaciółkami za Dydonę? A co więcéj, czy można wyobrazić sobie, żeby przyjaciółki te jakoto: księżna Ludwika, żona Schillera i inne kobiéty tego stanowiska czytały sztukę, chwaliły ją i zachowały dla autorki dawną miłość, cześć i poważanie?

Stosunek tedy Goethego do pani von Stein był serdeczną przyjaźnią najszlachetniejszego rodzaju. Listy poety do niéj stanowią jeden z najpiękniejszych i najbardziéj wzruszających pomników literatury. Dniem i nocą widzimy w nich myśl Goethego, unoszącą się nad tą kobiétą, jakby nic więcéj ani czuł, ani robił nad to, co się w owych listach zamyka. Czegokolwiek doświadcza, przybiéra zaraz kształt sprawozdania dla ukochanéj. Z początku opanowuje poetę a może i przyjaciółkę niejasne jakieś uczucie możliwości przy-

szłego połączenia się; wówczas jest on niewymownie szczęśliwym. Powoli jednak niepodobieństwo takiéj nadziei zarysowuje się w jego umyśle, ale upływa jeszcze lat kilka, zanim uczucie potrzeby rezygnacyi zamienia się na niezawodną pewność. Od téj to chwili rozpoczyna się owa szlachetna zażyłość, któréj wielu nie rozumiejąc, tłómaczyło ją sobie w sposób ubliżający pamięci Karoliny. Tymczasem rzecz to całkiem naturalna, spotkały się dwie istoty pragnące szczęścia a niezadowolnione ze swojéj przeszłości, po pierwszych zamienionych słowach uczuły dla siebie sympatyą, wzbudziły w sobie wzajemne zaufanie, powierzało więc jedno drugiemu swoje troski i swoje radości. Powstawały oczywiście w ich sercach myśli o zmianie istniejących stosunków, ale myśli te po niejakiéj walce ze strony Goethego musiały się poddać sile rzeczywistości. Goethe uspokoił się, uważał panią von Stein za siostrę i przeżył w ten sposób kilka lat zachwycających. Że te lata musiały się skończyć, łatwo domyśléć się można, ale stało się to dopiéro po powrocie Goethego z Włoch.

W listach do ukochanéj przyjaciółki widzimy odźwierciedlone to spokojne i jednostajne życie, jakie Goethe na dworze weimarskim prowadził; w nich przejawia się głębokie uczucie poety dla piękności przyrody i zamiłowanie do życia rodzinnego. Ze znanym talentem opisowym daje nam w nich obrazki to kraiku całego, po którym nieraz odbywał podróże w charakterze urzędowym, to pojedyńczych jego części, jak np. przepyszny opis turyngskiego lasu. Na wiosnę, latem, w jesieni, w zimie, zawsze spotykamy szkice z nowéj ojczyzny Goethego. Z panią von Stein dzielił się wszystkiemi wiadomościami, czytał z nią razem, dyktował jéj, pisał u niéj, rysował, komunikował jéj wszystkie swoje ułamkowo powstające poezye, zaznajamiał się ze wszystkiemi nowościami literackiemi. Bo też w inny sposób niepodobna było naówczas rozwijać życia duchowego: pisma codzienne nie istniały; rzeczy dziejące się w pobliżu dochodziły do wiadomości bardzo powoli i jakby kroplami tylko. Na niebie polityczném panowała pogoda; żadna burza nie psuła spokojnéj i swobodnéj kultury; nowość pojawiała się zrzadka i harmonijnie zlewała się z nabytkami staremi; jeden dzień następował po drugim zwolna podług stałego porządku.... 9 Kwietnia 1781 pisał Goethe do Lavatera: „Ostatnie tygodnie wiosny były dla mnie wielce błogie; co rano witał mię kwiat albo pączek nowy. Cicha, czysta, zawsze jednakowo beznamiętna roślinność pociesza mię częstokroć, gdy myślę o nędzy ludzi, o ich nieszczęściach moralnych i fizycznych.“ Słowa te tak brzmią, jakby wyszły z ust ogrodnika-filozofa, który przez całe życie swoje z kwiatami jedynie miał do czynienia....

A przecięż miał on do czynienia i z ludźmi, przedewszystkiém zaś z księciem Karolem Augustem, którego był mentorem. Pod tym względem miał Goethe tak postępować, że nigdy do poważniejszych jakichś zatargów między nimi nie przyszło. Poeta rozumiał doskonale przedział, jaki istniał pomiędzy nim, mieszczaninem, a księciem, szlachcicem; nigdy téż nie pomyślał o niemożliwym stosunku poufałości, któraby wszelkie różnice zaciérała, ale do szczerego przywiązania łączył zawsze uszanowanie, wyrażane za pośrednictwem wszystkich formuł konwenansu. Z samego początku mówili sobie wzajem: *ty*; wkrótce atoli Goethe nawet we cztery oczy zachowywał przepisy etykiety. Książę natomiast zrozumiał odrazu umysłową wyższość Goethego i nie próbował mu jéj zaprzeczać ani słowem, ani postępowaniem; gdyż wiedział, że nigdzie nie znajdzie zdolniejszego doradcy. To też od r. 1776 do 1828 nic ważniejszego nie zaszło w Weimarze, o czémby Goethe nie wiedział, albo do czegoby ręki nie przyłożył: poeta nie traktował żadnego interesu jako rzecz podrzędną; owszem ze starannością niezmiernie drobnostkową wglądał w najmniejsze okoliczności, dbając o dobro kraju a rady jego nigdy złego skutku nie wywarły. Wprawdzie niezawsze książę mógł lub chciał powodować się temi radami, wiadomo np. jak długo pracować musiał Goethe nad tém, ażeby odwieść Karola Augusta od namiętnego polowania na dziki, które wielkie spustoszenie w mieniu biédnych poddanych sprowadzało (1); wiadomo także że w wielu kwestyach finansowych i administracyjnych minister nie mógł planów swoich przeprowadzić. Atoli jako prawdziwy uczeń Spinozy, Goethe nie wiele się troszczył niepowodzeniem, uważając je za prostą negacyą, nie zaś za byt rzeczywisty.... Karol August nie żył dobrze ze swoją żoną Ludwiką; stosunek ten był jednym z najprzykrzejszych dla Goethego, gdyż poeta musiał być powiernikiem obojga i stawać się nieraz pośrednikiem między nimi. Narowista natura księcia kazała mu częstokroć dawać jéj folgę, zmusiła raz nawet do usunięcia się wraz z nim od towarzystwa dworskiego i wybrania się na zimę (1779/80) w podróż do Szwajcaryi. Poeta chciał być czas jakiś sam na sam z Karolem Augustem, ażeby w rozpatrywaniu wspaniałych zjawisk przyrody zapomniéć na chwilę o różnicach społecznych. Jeżeli ktoś chce zapoznać się z ówczesném usposobieniem poety i porównać je z dawniejszém, niech odczyta dwie serye listów ze Szwajcaryi. W jednéj, spółczesnéj Wertherowi, napotka chęć do przygód, skłonność do naturalizmu, graniczącą z wy-

---

(1) Adolf Stahr: Weimar und Jena. 1871. tom I, str. 168—173.

myślną rozpustą, styl deklamacyjny i sentymentalny; w drugiéj—zamiłowanie wygódek, spokojną obserwacyą, miłość przyrody, styl naturalny, prozaiczny zazwyczaj, czasami jedynie uśmiechem poezyi okraszony. W téj drugiéj seryi Karol August przedstawia się poecie jako człowiek zbytkiem sił obdarzony, hazardowny, niezmordowany wśród najbardziéj trudzących i najniebezpieczniejszych wycieczek w góry; Goethe zaś tęskni zawsze do ochronnego dachu i do smacznego posiłku.... A przecięż poeta był to silny, pleczysty mężczyzna, dla którego gorąco i zimno niewielką robiły różnicę, który dzień cały przesiedziéć mógł na siodle a noc w lesie przeleżéć, albo przehulać. Na polowaniu, na ślizgawce, na balu był on jednym z najwytrzymalszych, nawet wśród hałaśliwéj kanonady, na polu bitwy nie tracił odwagi i ze spokojem doświadczonego obserwatora wszystkie symptomata gorączki bojowéj zapamiętywał, ażeby je późniéj dokładnie opisać.

Pomimo jednak całéj zręczności Goethego w prowadzeniu księcia, pomimo przywiązania Karola Augusta, nie mógłby przecięż poeta wytrwać na swém stanowisku, gdyby nie został uszlachcony. „W Niemczech, pisał Goethe w r. 1782, szlachcic jedynie może mieć ogólne, że tak powiem, *osobiste* wykształcenie. Mieszczanin może położyć zasługi, może nawet ducha swego wykształcić; ale *osobistość* jego znika zupełnie, choćby nie wiém czego dokonał.“ Goethe uważał siebie zawsze za należącego do szlachty; nie zrobiło to więc na nim wielkiego wrażenia, kiedy właśnie w roku 1782 nadszedł dla niego z Wiednia dyplom szlachectwa, który urzędowe jego położenie ugruntowywał. Już w r. 1779 został był tajnym radcą; teraz otrzymał prezesostwo w Izbie.

Jeżeli do naszkicowanych tu osobistości i wypadków, których poetyczne przedstawienie odnajdujemy w „Wilhelmie Kleistrze,“ dodamy jeszcze ścisłe i przyjacielskie stosunki z Herderem, który został kaznodzieją nadwornym w Weimarze i pisał wtedy swoje „Pomysły do filozofii dziejów ludzkości,“ z jego żoną, z artystką Koroną Schröter i Kneblem, owym oficerem pruskim, co to zapoznał Goethego z Karolem Augustem; to wyczerpniemy cały spis osób, stanowiących towarzystwo Goethego podczas pierwszego dziesięciolecia jego pobytu na dworze weimarskim. Towarzystwu temu nie brakowało ani wykształcenia, ani miłości dla sztuki; a jednak Goethe, rozmawiając w późnym wieku z kanclerzem Müllerem, powiedział te pamiętne słowa: „Wilhelm Meister świadczy, w jak strasznéj samotności go utworzyłem, dążąc ustawicznie do czegoś ogólnego.“ Ta dążność do urzeczywistniania idei ogólnych uwydatniała się coraz wyraźniej w miarę, jak interesa państwa przechodziły zwolna z pod

kierunku poety w ręce dojrzéwającego księcia. Goethe spostrzegał, że rola mentora i rządcy państwa z każdym rokiem nieodpowiedniejszą dla niego się staje, Karol August bowiem rozwijając swoję samodzielność, ograniczał samodzielność poety w sprawach państwa. Być nawet może, iż zmiana ta pożądana była dla Goethego; gdyż on po kilku latach pracy urzędowéj i okolicznościowego wierszowania, *a propos* rozmaitych uroczystości i teatrów amatorskich, uczuł, że właściwie stworzony był na pisarza a nie na utalentowanego ministra. To też mianowicie od roku 1780, w którym pisał jeszcze, że jego praca literacka podporządkowuje się wymaganiom życia, spostrzegać się daje zwrot ważny: bo równouprawnienie zajęć urzędowych z popędami twórczości poetyckiéj; a w r. 1785 popędy te wzięły stanowczo górę nad wszystkiemi innemi rzeczami. W Goethem obudził się znowu „artysta“ i artysta ten czuł się osamotnionym w otoczeniu weimarskiém tak dalece, że dopiéro we Włoszech, dokąd tajemnie, umówiwszy się tylko z księciem w jesieni r. 1786, wyjechał, znalazł się w swoim żywiole i mógł albo przerobić zupełnie, albo ostatecznie wykończyć utwory, które w ostatnich latach napisał lub porozpoczynał.

II.

Geneza Ifigenii w Taurydzie.—Opera Glucka.—Próba nowego stylu poetyckiego.—Pierwsze przedstawienie Ifigenii.—Wpływ Włoch.—Znaczenie dziejowe Rzymu.—Nowe pojęcie o stylu.

Kiedy Goethe miał w tajemnicy przed panią von Stein wyjechać do Włoch z Karlsbadu napisał do niéj liścik, zawierający następne zagadkowe słowa: „W każdym razie muszę jeszcze pozostać z jaki tydzień; wówczas atoli wszystko skończy się łagodnie a owoce spadną dojrzałe. I wtedy *żyć będę w wolnym świecie wraz z Tobą i w szczęśliwéj samotności bez imienia i stanu zbliżę się do ziemi*, z któréj wyszliśmy.“ Poeta napomykał jéj tajemniczo o sztuce, któréj bohatérką była ona, Karolina von Stein. Nad sztuką tą pracował Goethe całych lat dziesięć, przerabiał ją i poprawiał, raz prozą, to znów wierszem ją odtwarzając, a nie mogąc przecięż zadowolnić samego siebie. Mówię tu o „Ifigenii w Taurydzie.“ Pierwszy jéj pomysł powstał jeszcze w r. 1776 prawdopodobnie z téj okoliczności, że proszono Goethego o napisanie kantaty na cześć ukochanéj siostrzenicy sławnego kompozytora Glucka, gdy ten ją utracił. Gluck napisał był właśnie niedawno swoję Ifigenią w Aulidzie, do któréj tekst do-

robił Rollet; łatwo tedy przypuścić, że Goethe miał zamiar uczcić zgasłą dziewicę poematem o Ifigenii. Gdy jednak bliżéj się zastanowił nad tą zachwycającą postacią, poznał, że ona mu bliższą była, niż siostrzenica Glucka, gdyż przed wyobraźnią jego zjawiła się jego ukochana. W Ifigenii mógł wystawić ten błogosławiony spokój, którym go natchnęła siostrzana przyjaźń pani von Stein; ich wzajemny stosunek mógł wznieść się do takich wyżyn, skąd wszystko wypowiedzieć się dawało. Orestes, dręczony wewnętrznemi męczarniami, przez samę przytomność Ifigenii zostaje od nich uwolniony, chwila właśnie, w któréj Orestes znajduje się w obliczu siostry i przyjaciela (Piladesa), wedle wyraźnego wyznania Goethego, stanowi oś utworu.

Sam atoli stosunek Orestesa do Ifigenii nie dawał możności rozwinięcia akcyi; obok pierwiastku łączącego, brakowało elementu opornego, rozdzielającego osoby dramatu. Ciężar urzędowych zajęć, zwiększających się z każdym rokiem, dostarczył Goethemu tego pożądanego elementu. Wszystkie składowe pierwiastki charakteru Karola Augusta odbiły się w postaci króla Toasa, który chciałby Ifigenią zatrzymać, ale zwyciężony jéj szlachetnością pozwala jéj wraz z bratem do ojczyzny powrócić. Do Karola Augusta wiązała Goethego cześć i wdzięczność, chociaż z drugiéj strony nie mógł odepchnąć myśli, żeby się kiedyś rozstać nie mieli. W rzeczywistości rozstanie nie nastąpiło, dokonało się ono tylko w poezyi, a kiedy Goethe wyjeżdżając do Włoch odczytywał ostatnią scenę Ifigenii, widział wzruszenie na obliczu księcia....

W pierwotnéj redakcyi, téj sztuki nieraz przerabianéj, spostrzegamy usiłowania Goethego do stworzenia nowego stylu poetyckiego. Poprzednio w okrésie frankfurckim wyrobił sobie Goethe własny język, będący mięszaniną różnych południowo-niemieckich narzeczy, przekładaną reminiscencyami z pieśni ludowych i z niemczyzny XVI i XVII stulecia. Na uformowanie tego języka wpływały nadto wzory greckie i szekspirowskie, a całości ostateczne piętno nadała metoda Lavatera. Podczas pierwszych dwu lat pobytu w Weimarze, Goethe używał jeszcze tego języka w swoich korespondencyach i prześlicznych romansach i balladach, przesiąkniętych pierwiastkiem ludowym i jakby do śpiewu przeznaczonych. Wkrótce jednak wpływ nowéj ojczyzny, w któréj więcéj czytano niż mówiono, zaczął silnie działać na Goethego. Nowa jego publiczność, t. j. otoczenie dworskie, nie rozumié go i zmusza do szukania form nowych. Wyzywający ton prozy z czasów frankfurckich był odpowiedni młodym latom Goethego, w których talent łączył się z radykalizmem w myśleniu. zmiana położenia wymagała godności i miary. Nie można

było tak sobie wprost wypowiadać, co się myślało, wiele rzeczy owszem ukrywać i otaczać tajemnicą wypadało. Język też Goethego zaczyna przybiérać tok północno-niemiecki, stosować się do składni pisanéj, a usiłowanie dawniejsze pisania tak, jak lud mówi, zamieniło się na chęć uczenia ludu, jak mówić powinien, ażeby uczucia i myśli swoje należycie mógł wypowiedziéć. Przemiana ta jednak szła oporem, Goethe czuł się pozbawionym ojczyzny w literaturze a w otoczeniu swojém nie znajdował nic żywotnego, coby artystycznie wyzyskać się dało; postanowił więc słuchać dźwięku własnego głosu, ażeby doświadczyć, czy też słowa potrafią odmalować jego uczucia i myśli. W tym celu zaczyna dyktować swoje utwory (jak np. Ifigenią), zaczyna się do pomocy muzyki uciekać, ażeby pochwycić w duszy rytm mowy najodpowiedniejszy do wyrażenia nowych pomysłów. W Goetzu kazał mówić kobiétom prostą domową niemczyzną; ale jakże tu tę niemczyznę włożyć w usta Ifigenii, córce królewskiéj, która przed lat tysiącami z bogami i boginiami rozmawiała? Stosunki mityczne wymagały czystego wyrażenia uczuć bez żadnéj przymieszki różnych narzeczy. Goethe nie mogąc znaléść wkoło siebie stosownéj mowy, zwrócił się do Włochów i Francuzów, studyował libretta oper, które pisali Metastasio, Quinault i inni, tudzież poddawał się przewodnictwu muzyki.

Wśród takich-to artystycznych rozmyślań stworzył Goethe pierwotną „niemiecką" Ifigenią, którą 6 Kwietnia 1779 po raz pierwszy na dworze wejmarskim przedstawiono. Goethe grał Orestesa, Knebel Toasa, książę Konstantyn Piladesa, a Korona Schröter Ifigenią. Na drugiém przedstawieniu rolę Piladesa oddał sam książę Karol August. Przedstawienia te były dla Goethego próbą jedynie, jak też nowy jego język brzmiéć będzie na scenie; ażeby go wydoskonalić, radzi się pani von Stein, Wielanda, Herdera, Knebla, zastanawia się nad każdym wyrazem, przekreśla całe sceny, dorabia nowe, a o drukowaniu sztuki ani myśli. Ifigenia była prawdziwém dzieckiem boleści Goethego; stała się powiernicą najskrytszych jego myśli, o niéj mówi nieustannie we wszystkich listach i zapiskach; bierze ją wreszcie z sobą do Włoch, sądząc, że znajdzie w podróży dosyć czasu dla przygotowania jéj do druku.

W pierwszym zaraz liście z Włoch wspomina o niéj Goethe, opisując przejście przez Brenner. Opowiada tu jak siedząc w powozie, wydobył Ifigenią z wielkiéj paczki, zawierającéj jego rękopisma. „Dzień tak jest długi," powiada, „myślenia nic nie przerywa a wspaniałe obrazy otaczającego świata nietylko nie spędzają usposobienia poetycznego, lecz je owszem przywołują." Opis Alp, miesięcznéj nocy, wśród któréj jechał samotny i tęskny przez wąwóz;

a następnie obraz zstępowania w okolice zupełnie odmiennéj włoskiéj natury przedstawił poeta z całym zasobem swojéj sztuki opisowéj. A ponieważ praca nad Ifigenią towarzyszy mu ciągle, odblask więc myśli, utwór jego zapełniających, pada i na przebywaną przezeń drogę, tak że się zdaje, iż umysłu jego nic innego wówczas nie zajmowało. Ifigenia zastępowała mu nieobecną przyjaciółkę Karolinę Stein, do któréj większość swych listów z Włoch adresował. „Nad jeziorem Garda," mówi Goethe, „kiedy gwałtowny wiatr południowy fale ku brzegowi pędził, gdzie ja byłem tak przynajmniéj samotny jak moja bohatérka na wybrzeżu Taurydy; zarysowałem w głównych liniach nowe opracowanie sztuki, nad którém w Weronie, Vicenzy, Padwie a szczególniéj w Wenecyi pracowałem." I właśnie w Wenecyi wydała mu się ona tak niedoskonałą, jak i dawniéj. Siedząc raz w teatrze San Crisostomo, zaczyna rozmyślać nad tém, jakby on przedstawił swoję Ifigenią za pośrednictwem tamecznéj trupy i przed tameczną publicznością. Wróciwszy z widowiska, napisał w liście: „Dzisiaj ani jednego wiersza nie mogłem w Ifigenii utworzyć" a dnia tego miał ją według poprzedniego planu zupełnie ukończyć... Tak więc opuścił Wenecyą, nie posławszy rękopismu do druku. Miasto to było dla Goethego za bliskiém jeszcze granic niemieckich, dopiéro kiedy do Bolonii dążył, uczuł się od Weimaru całkowicie odciętym. Przeszłość staje się dla niego coraz niewyraźniejszą; Ifigenia jednak dochowuje mu wierności, jakby była jedyną rzeczą z wielkiego rozbicia uratowaną, ukazuje mu się wszakże w zupełnie nowéj postaci: Tauryda zapada się we mgle a otwiéra się nowy krajobraz; powstaje myśl napisania Ifigenii w Delfach. Siedząc w powozie wiozącym go do Bolonii, spostrzegł, że wyobraźnią jego napełniają nowe myśli i nowe obrazy: Elektra miała wejść na scenę. „W piątym akcie," pisze Goethe, „ma miejsce poznanie się rodzeństwa; płakałem nad niém jak dziécię." W Bolonii nowy pomysł mu przychodzi. Opisując obraz przedstawiający świętą Agatę, dodaje: „Artysta nadał jéj zdrową, pewną siebie dziewiczość, bez dzikości jednak. Doskonale wpoiłem sobie w pamięć tę postać i przed nią będę odczytywał w duchu swoję Ifigenią, ażeby bohatérka moja nie wypowiedziała nic takiego, czegoby ta święta powtórzyć nie mogła." Myśl ta rozstrzygnęła o losie sztuki: okazało się raz jeszcze, że ostatnie opracowanie uważać wypadało tylko za studyum przygotowawcze do właściwego utworu. Przed owym obrazem ś. Agaty poznał Goethe, że pani von Stein nie panuje już samowładnie w jego dramacie, że owszem inne postaci chciały obok niéj dojść do wpływowego znaczenia. W Niemczech myśli Goethego zanadto jeszcze trzymały się domu; we Włoszech, im więcéj do

Rzymu się zbliżał, tém jaśniéj pojmował, dlaczego praca jego nie mogła dotychczas ostatecznego wykończenia otrzymać. W Wenecyi dostrzegł, że obok teatru amatorskiego w Weimarze i tych co w nim występowali, do jego sztuki rościć sobie może pretensyą scena szerszego znaczenia, o któréj myślał za czasów frankfurckich; a w Bolonii zauważył, że na postać bohatérki jego muszą się złożyć inne linie, aniżeli te, w których wyobraźnia przedstawiała mu obraz jego przyjaciółki. Ostateczna praca nad dramatem teraz dopiéro stawała się możliwą; poeta opuściwszy dotychczasowy grunt, wstąpił na ziemię klasyczną, aby na niéj rozwinąć się całkowicie. Mogło się to dokonać tylko w Rzymie.

Inne miasta włoskie stanowiły niejako przygotowanie do wrażeń w Rzymie odebranych, a przygotowanie to odnosiło się oczywiście do rozszerzenia i sprostowania pojęć o pięknie i sztuce. Goethe zaczyna teraz mówić z lekceważeniem o stylu gotyckim a unosi się natomiast nad architekturą renesansu i starożytności grecko-rzymskiéj: Palladio, którego utwory w Vicenzy podziwiał, zachęcił go do studyowania Witruwiusza. Toż w malarstwie z uznaniem rozszerzał się nad zaletami Franciszka Francia i Piotra Perugina, a z uniesieniem mówił o mistrzowstwie Rafaela. Wszystko, co nie posiadało cechy antyków albo włoskiego renesansu z wielkiéj epoki, pomijał z pewną obawą i wstrętem: Florencyą np., tę stolicę starego włoskiego malarstwa i plastyki, przebiega w przeciągu trzech godzin; w Assyżu przechodzi obojętnie koło katedry ś. Franciszka; budowle gotyckie wydają mu się smutne, malowidła Cimabuego i Giotta nie istnieją dla niego; on widzi tylko rzymski kościołek Minerwy, którego obejrzenie miało mu nieskończone przynieść pożytki. Przybywa wreszcie do Rzymu i pisze 1 listopada 1786 do pani von Stein: „I tak, przybyłem nakoniec do stolicy świata“.,. Co Goethe rozumiał tu przez *świat* i przez *stolicę*?

Jeżeli wspominamy o Rzymie za Goethego, to powinniśmy pamiętać, że był on zupełnie czémś innéni aniżeli jest dzisiaj. Rzym dzisiejszy, jak wszystkie inne miasta, to zbiorowisko domów i pałaców, pomników i zbiorów mniéj lub więcéj pięknych, mniéj lub więcéj ważnych. Zapewne, dzieła Rafaela i Michała Anioła, galerya Watykanu, wspomnienia dziejowe, piękne niebo i ciepły klimat nigdy ani wartości, ani uroku swego nie stracą; ale tém czém dawniéj Rzym już nie jest i nie będzie podobno. A czémże on był?

Rzym od założenia swego nie był stolicą jakiéjś ściśle określonéj narodowości, ale dobrze obmurowanym punktem zbornym dla ludzi bez ojczyzny, zapominających na gruncie rzymskim o swojém dawném pochodzeniu. Przyciągał on do siebie zdala wszystkie ener-

giczne charaktery, które się na coś przydać mogły. W miarę jak wzrastał popyt na dzielnych mężów, cudzoziemcy otrzymywali większą łatwość zostania obywatelami rzymskimi; tak że nakoniec, kiedy panowanie Rzymian nad światem stało się faktem, nie widzimy w murach Rzymu narodu jednorodnego, ale tylko olbrzymią masę urzędników i żołnierzy, dbających jedynie o interesa państwa, a ponad nimi spostrzegamy społeczeństwo obywateli rzymskich, rządzących się spólnemi prawami. Tylko w służbie publicznéj obowiązuje mowa i religia Rzymska, w każdym innym wypadku Rzymianin może mówić i myśléć jak mu się podoba i wierzyć w to, co mu się podoba. Takim był Rzym w pierwszém tysiącoleciu swego istnienia.

Treścią drugiego tysiącolecia są dzieje rozkładu owéj staréj potęgi a zarazem wznoszenia się nowéj z gruzów dawnéj i na tych samych co dawna podstawach. W ludach niepokonanych przez Rzym, albo uważanych za materyał niezdatny do niczego, obudziło się uczucie sępa, czyhającego na ostatnie tchnienie trupa; a jakkolwiek żywotność Rzymian była tak wielka, że nawet sępy te dostarczały im rekrutów do rozszarpywania własnych spółbraci, to przecięż przyszła chwila, w któréj Germanie, stanowiący prawie całkowicie armią rzymską, wsparci przez Germanów wolnych doszli do właściwéj sobie organizacyi i na miejsce rzymskiego ustanowili niemieckie cesarstwo. Treść atoli niemiecka musiała przybrać formę rzymską; Rzym pozostaje i nadal stolicą świata. Dawna surowość i krwawa bezwzględność panują w nim jak dawniéj; stara zasada przyciągania do Rzymu mężów energicznych i przemieniania ich na Rzymian nie traci swéj siły. Zaszła ta jedynie zmiana, że miejsce dawnego społeczeństwa, którego dźwignią było prawo, rozwijające się w Rzymie, zajmuje teraz społeczeństwo, którego dźwignią jest wiara kościelna przez Rzym sformułowana. Z tą nową zasadą łączy się konsekwetnie dawna, tak iż Rzym w najopłakańszych nawet chwilach, kiedy leżał niemal w ruinie i wyludnił się prawie zupełnie, nie stracił przecięż swojéj aureoli i był centrum, stolicą, podziwem świata. Kto wszedł w jego mury, tracił wolność, ojczyznę; niezwyciężone poprzednio kraje germańskie, wraz z Anglią i Skandynawią stają się teraz prowincyami kościoła rzymskiego, przechodzą pod naczelnictwo biskupów rzymskich. A ponad to wszystko wznosi się nowa budowa: mieszkańcy starego cesarstwa, ulegający woli zawojowanych moralnie germańskich cesarzów, tworzą rzeczywisty naród romański, który panowanie nowych cesarzów unicestwia, papiestwo w ręce romańskie oddaje i dokonywa wreszcie tego, co było rozpoczęte przez starych rozbójników z nad bagien tybrowych.

To ostatnie przekształcenie wypełnia treść trzeciego tysiącolecia dziejów rzymskich. Tysiącolecie to było najświetniejsze. Nie łudźmy się wspaniałym obrazem dawnego Rzymu republikańskiego i cesarskiego; nowy, papieski Rzym większych rzeczy dokonał. W pierwszém i drugiém tysiącoleciu Rzym nie posiadał ani sztuki, ani poezyi własnéj: greccy artyści i literaci, chociaż się stali prostemi mieszkańcami prowincyi rzymskiéj, napełniali przecięż Rzym pracami swojemi; specyficznie zaś rzymskiego dzieła sztuki, prawdziwéj rzymskiéj książki, z wyjątkiem chyba *Corpus juris* i utworów ojców kościoła, stolica świata nie wydała; wszyscy bowiem pisarze rzymscy od Plauta aż do Pliniusza powtarzali jedynie mowę Greków za pośrednictwem słów i zwrotów łacińskich. W czasach natomiast, które, z punktu jednostronnie politycznego rozpatrywane, wydają nam się epoką najstraszniejszego upadku, w czasach tych, kiedy miasto z jednego tysiącolecia do drugiego przechodziło, dokonały się na gruncie włoskim, hiszpańskim i francuskim owe zaślubiny ludów i ojczyzn i utworzyły się narody romańskie, które wraz z mową własną zaczęły objawiać własną twórczość duchową, powstał pierwszy geniusz tego romańskiego świata, Dante, nowy Homer. Od niego rozwija się coraz wspanialéj życie duchowe w Rzymie i około Rzymu; następuje czas kwitnienia sztuk i umiejętności, przewyższających wszystko, czego stary Rzym w tym kierunku dokonał. Włochy, Hiszpania, w końcu Francya spółzawodniczą z sobą w naukach i sztukach; odstrychnięcie się Niemiec, Anglii i Holandyi nie nadwątliło potęgi romańskiego świata, a żywotność téj nowéj wiosny rzymskiéj musiała przejść przez próby jesieni i zimy, ażeby uledz rozkładowi, którego świadkami jesteśmy. Dziś dopiéro w oczach naszych przemienia się Rzym na kolosalny zabytek pamiątek, który ciekawie rozpatrują narody. Pełne hotele a puste pałace—oto charakterystyka dawnéj stolicy świata, pozostawionéj saméj sobie, tj. plemieniu romańskiemu.

Goethe atoli widział jeszcze ostatnie chwile trzeciego tysiącolecia, nie przeczuwając nawet, że dni wspaniałości rzymskiéj niedługo przeminą. Bo też wówczas najlżejsze nawet drgnienia nie przepowiadały jeszcze rewolucyi francuskiéj, a walka stanów amerykańskich przeciwko Anglii przedstawiała się jako daleka jakaś awantura. Europa leżała spokojnie, jakby tysiące lat wypoczynku miała przed sobą, miasto zaś, które się stało miastem ojczystém dla Rafaela, Michała Anioła i tylu innych znakomitości, ozłocone aureolą przeszłości i przepychem spółczesnym, rozciągało się przed oczami Goethego jako wymarzona kraina potęgi, która i jego w ramiona swe pochwycić miała. Rzym panował jeszcze natenczas światu, od-

bierając haracz od całego niemal duchowieństwa europejskiego, władającego nagromadzonemi przez wieki bogactwami, zmuszając nawet opornych Niemców północnych, Anglików i Skandynawów do składania hołdu jego ukształceniu. Wszakże w duszy Goethego, który był przecięż protestantem, tęsknota do Włoch od dzieciństwa niemal gościła, a ojciec jego, człowiek suchy i pedantyczny, raz jeden tylko w życiu doznał zachwytu a to wtedy, gdy we Włoszech bawił. Najpiękniejszemi wywodami dziejowemi Herdera są te, w których opisuje cywilizacyjną potęgę kościoła rzymskiego; Lessing opierał swoje poglądy na starożytności i renesansie, a zrodzony i wychowany na dalekiéj protestanckiéj północy Winckelmann przyjął nawet formuły kościoła rzymskiego, ażeby tylko mógł piękności Rzymu w całéj pełni oglądać. Rzym i Włochy pełne były Niemców, którzy szukali tam i znajdowali to, czego żadna inna miejscowość dostarczyć im nie mogła. Goethe miał zatém słuszność, kiedy napisał do pani von Stein: „I tak, przybyłém nakoniec do stolicy świata!“

Nie było natenczas piękniejszego i swobodniejszego miejsca do pracy artystycznéj i naukowéj. Pałace kardynałów—to przytułek dowcipnych i utalentowanych uczonych, skądkolwiek pochodzili; miasto napełniało się nieustannie przybywającą i odjeżdżającą arystokracyą wszystkich krajów; umiejętność życia i używania podnosiła się do wyżyn artyzmu; spokój niczém niezamącony kołysał do snów fantastycznych; wolno było myśléć i wypowiadać głośno co się myślało, z wyjątkiem chyba tego, że niepodobna było ogłaszać panowania antychrysta, wystawiwszy ambonę na placu hiszpańskim (jak mówił kardynał Albani). Słowém Rzym był uniwersytetem dla ludzi dojrzałych ze wszystkich narodów; Goethe miał wtedy lat 37 a czas pobytu swego w Rzymie nazwał „drugiém akademickiém życiém swobody.“ I rzeczywiście jeżeli przypomnimy sobie, że Goethe przemieniał dotychczas tylko jedno małomiasteczkowe gniazdo na drugie; że nie był ani w Paryżu, ani w Wiedniu, ani w Londynie; że będąc przelotnie w Berlinie nic więcéj nie zauważył tam nad to, iż „im świat większy, tem szpetniejsza farsa;“ to nietrudno mu będzie uwierzyć, że w Rzymie dopiéro oswobodził się z ciasnych pęt życia szkolnego i odetchnął swobodnie wśród szerokiego uniwersyteckiego widnokręgu. Goethe stykał się tu i owdzie z potentatami rozmaitego stopnia, ale zanim przybył do Rzymu nie znał prawdziwego wielkiego świata. W „stolicy świata“ przedstawił się oczom jego niezmierny przestwór dla duchowego rozwoju a równocześnie u nóg jego rozciągały się rzeczy godne poznania, w masach nagromadzone. Zamiast nędznych odlewów, po które zresztą dalekie podróże

odbywaćby musiał, miał przed sobą całe bogactwo antyków w willach i pałacach, niezrabowanych jeszcze natenczas, w Kapitolu i w Watykanie; Rafael i Michał Anioł mieszkali tuż obok niego... Dodajmy do tego swobodę w życiu towarzyskiém i myśl, że nie ma pana nad sobą, któryby godzinami jego miał prawo rozporządzać; a zrozumimy zachwyt, jaki dla Rzymu przejmował Goethego. Duszę jego napełniło nie to sztuczne, zwyczajem i „przewodnikami“ po Włoszech wywołane upojenie, jakim dziś chwali się obowiązkowo każdy niby ukształcony podróżny; lecz naturalne uczucie błogości, jakie powstaje w człowieku, kiedy po długotrwałém przygnębieniu czuje się po raz pierwszy w prawdziwym żywiole swoim. Teraz mógł Goethe oddać się najzupełniéj pociągowi swemu do „idei ogólnych.“

Kiedy pierwsza burza zadziwienia i tłumnie cisnących się wspomnień o przeszłości Rzymu minęła, Goethe, przyzwyczajony do pracy systematycznéj, uczuł potrzebę zrobienia sobie ogólnego planu wyprawy artystycznéj. Chiał wszystko objąć, niczego nie pomijając; ale zamiar ten nie mógł być wykonany odrazu zarówno z powodu mnogości przedmiotów i krótkości czasu, jak i z naturalnego popędu do tworzenia na własną rękę i do obcowania z ludźmi, poświęcającymi się sztuce i nauce. Za pierwszym pobytem w Rzymie najgłówniejszą dla niego rzeczą było wprawiać oko i ducha, pod przewodnictwem Winckelmanna, do rozpoznawania stylistycznych właściwości w rozmaitych epokach sztuki starożytnéj. Wielkie freski Rafaela i Michała Anioła mają w nim widza przejętego najgorętszą miłością i zachwytem; starożytności rzymskie a przedewszystkiem owe dzieła plastyczne, które przed odkryciem szczątków z czasu najświetniejszego rozwoju sztuki greckiéj uchodziły za rzeczy bezwarunkowo najpiękniejsze, jako to: Apollo belwederski, Jowisz z Otricoli, Juno Ludovici, Minerwa Giustiniani, przepełniały jego serce błogą radością. Goethe nawet był może pierwszym, co uznał i ocenił cudną piękność Meduzy Rondanini, o któréj Winckelmann nigdzie nie wspomniał. W Rzymie zapoznał się Goethe z wielkim światem romańskim i uległ jego czarowi. W Rzymie téż dokonał całkowitéj przeróbki swojéj Ifigenii, napisanéj teraz jambami pod wpływem stosunku z Moritzem, który wtedy właśnie wydał swą rozprawę o prozodyi niemieckiéj. Ifigenią tę dla odróżnienia od dawnéj nazywają „rzymską.“

Kiedy dzieła tego dokonał, rozumiało się samo przez się, że musi je przed kimś odczytać; wszystkie bowiem utwory Goethego tak są pisane, jakby miały służyć do jednego celu: do odczytania ich przed przyjaciołmi. Goethe wkrótce po swojém do Rzymu przybyciu

utworzył sobie kółko znajomych. Z początku wprawdzie zataił swoje nazwisko, chcąc żyć samotnie, powoli jednak zbiérała się około niego pewna liczba ludzi, na których miał wpływ; nigdy bowiem otoczenie jego z innych żywiołów się nie składało. Potrzebował takiego życia towarzyskiego, w którémby on był siłą kierowniczą, kto się z pod jego wpływu usuwał, musiał się téż wyrzec obcowania z nim. Duszą kółka rzymskiego była naturalnie kobiéta. Goethe znalazł w Rzymie malarkę Angelikę Kauffmann, która po smutnych przygodach dobiła się tu poważanego stanowiska, malując obrazy historyczne i portrety, co jéj przynosiło znaczny dochód. Prowadziła ona dom otwarty, co w Rzymie niewiele kosztuje, gdyż potrzeba tylko stosownéj przestrzeni i uprzejmości; o jedzeniu i piciu troszczy się tu każdy za siebie. U niéj znalazł poeta dobre przyjęcie: portretowała go niejednokrotnie, namalowała nawet jednę scenę z Ifigenii, o któréj Goethe mówi z uznaniem. U Angeliki miało miejsce czytanie ukończonéj ostatecznie Ifigenii. Czekano na tę sztukę; to téż kwiat kolonii niemieckiéj zebrał się tam, ażeby usłyszéć sławnego poetę niemieckiego, czytającego własny swój utwór. Po autorze Goetza a mianowicie Werthera, którego wpływ na umysły trwał jeszcze ciągle, spodziéwano się czegoś namiętnego i burzliwego, coby posadami świata wstrząsało i coby przedewszystkiém „niemieckiém“ było. Zamiast tego przedstawił Goethe jakieś greckie podanie, gładko na wzór starożytnych odlane wiersze, uczucia umiarkowane, tęsknotę za spokojem i ciszą, jednostajny blask wzniosłości, rzecz zresztą taką, któréj najdosadniejsze miejsce musiało pozostać zagadką dla tych nowych rzymskich przyjaciół, niepojmujących, co poeta w postaci Toasa i w osadzeniu akcyi na Taurydzie wypowiedziéć pragnął. Zawód więc kółka rzymskiego był stanowczy; nic dziwnego, że się wyraził zimném przyjęciem sztuki, czego Goethe po raz pierwszy w życiu doświadczył. Nie bądźmy jednak dla kółka tego niesprawiedliwi. Dla żyjących w Rzymie Ifigenia nie dawała nic nowego, bo się ze sztuką starożytną co krok spotykali; nie potrzebując więc „ducha greckiego,“ pragnęli odetchnąć powietrzem niemieckiém, pragnęli choć myślą przenieść się do oddalonéj ojczyzny. Rozczarowanie zatém było rzeczą naturalną a stawało się tém smutniejsze, że i z Niemiec samych dochodziły głosy przyjaciół, którzy przenosząc dawniejszą formę sztuki, chłodno o „Ifigenii rzymskiéj“ się odzywali. Goethe posłał był Ifigenią do Weimaru na ręce niejakiego Filipa Seidel. Byłto jego sekretarz i służący zarazem, którego zabrał z sobą jeszcze z Frankfurtu i z którym w dosyć poufałych i poufnych zostawał stosunkach. Seidel w skutek swego zachwytu dla frankfurckich prac Goethego stał się doskonałą kopią

Werthera: na świetne towarzystwo weimarskie patrzał z góry, mniemając, że wszystko wié daleko lepiéj niż ono; uważał się za spółpracownika swego pana, ponieważ przepisywał jego rękopisma, w końcu i sam zaczął pisać. Śpiąc w jednym pokoju z Goethem, często w nocy prowadził z nim w łóżku rozmowy o stosunkach dworskich, a podczas gdy poeta łagodny sąd o nich wydawał, Seidel uparcie trzymał się radykalnych wertherowskich poglądów. Otóż ten Seidel, odczytawszy nadesłany rękopism Ifigenii, odpisał natychmiast, że jest z niego zupełnie niezadowolniony. Posłuchać warto, co pierwszy poeta niemiecki, człowiek blisko 40-letni, odpowiedział młodszemu o 6 lat, podrzędnemu pismakowi: „List twój,“ pisał Goethe do Seidla, „odebrałem wczoraj i serdecznie się ucieszyłem twemi przyjaznemi słowy. Co mi piszesz o mojéj Ifigenii, jest niestety! w pewnym sensie prawdą. Kiedym się na cześć sztuki i rzemiosła zdecydował utwór mój przerobić przewidywałem, że najlepsze miejsca stracić na tém musiały, chociaż złe i średnie zyskały. Wymieniłeś dwa ustępy, które oczywiście na przeróbce straciły. Atoli kiedy sztuka zostanie wydrukowaną, to odczytaj ją spokojnie raz jeszcze a zrozumiész, co ona zyskała jako całość“.... Zdaje się, że nawet po téj przestrodze Seidel pozostał wiernym swojéj predylekcyi do dawniejszéj formy sztuki, bo w jednym z listów Goethe tak przemawia: „Będziesz miał także Ifigenią prozą, kiedy ci to sprawia przyjemność. Artysta może tylko pracować. Powodzenie, podobnie jak wzajemność w miłości, może być przedmiotem życzeń, ale nie przymusu“...

Ale nietylko Seidel, i inni przyjaciele Goethego, Herder nawet wyrazili swoje niezadowolenie z Ifigenii: poeta przyjmował ich wymówki, w dobréj wierze, czasami z boleścią, lecz nie dał się zbić z toru. Chociaż bowiem już potém nie pracował nad Ifigenią, chociaż w rok po jéj ukończeniu zapomniał o niéj, tak jak o miłości do pani von Stein, chociaż powiadał w r. 1792, że już odwykł od delikatnego tonu, panującego w téj sztuce i uważał ją za rzecz zupełnie obcą: sposobowi atoli tworzenia, który się po raz pierwszy w Ifigenii ujawnił, pozostał wiernym i nadal.

## III.

Neapol.—Sycylia.—Znajomość z pejzażystą Filipem Hackert.—Powtórny pobyt w Rzymie.—Studya artystyczne.—Sztuka starożytna i renesans włoski.—Rezultat pobytu we Włoszech.

Wieści z Weimaru o przyjęciu jakiego tam doznała Ifigenia nie doszły już Goethego w Rzymie. Spędziwszy bowiem w „stolicy

świata“ cztery miesiące, poeta udał się w Marcu 1787 do Neapolu, skąd w Kwietniu do Sycyliii popłynął. Pompeją i Herkulanum, świątynie w Pästum i Girgenti, wspaniałe statuy greckie baranów w Palermo stanowiły przedmiot jego zachwytów, do Pästum jeździł sam dwa razy. Wszystkie te wybrzeża i przylądki, zatoki i odnogi, wysepki i cyple, winogrona i pomarańcze, i całe to otaczające morze z nieskończonemi swemi przemianami i kaprysami są dla niego jakby prelekcyami wykazującemi prawdziwość i żywotność opisów Homera a mianowicie Odysei. „Jakby łuska spadła mi z oczu,“ pisze do Herdera, „gdyż poznałem, że wszystko, co w opisach i porównaniach Homera poetycznem nam się wydaje, jest rysunkiem z natury, dokonanym z taką czystością i takiém wniknięciem w istotę rzeczy, iż w rozpacz niemal wprawia wszystkich nowoczesnych, coby ze starożytnymi spółzawodniczyć chcieli.“ Goethe, przypatrując się tym dziwom, powziął nawet plan napisania tragedyi o téj Nauzykai, co była zachwycającą wybawczynią Odysseusza i pokochała go podobno; planu tego nie wykonał wprawdzie poeta, ale on wpłynął na formę późniejszych utworów, kiedy miejsce uroczéj córki Alkinoosa zajęły: Aleksys i Dora, Amintas, Hermann i Dorota... W Sycylii tak dalece pogrążył się Goethe w rozważanie i podziwianie świata greckiego a szczególniéj homerycznego, że zaledwie spojrzał podobno na przepyszne budowy normandzkie i maurytańskie w Palermo, że ani słowa zachwytu nie wypowiedział z powodu potężnéj katedry w Monreale, chociaż... miał czas zajmować się błazeństwami księcia Pallagonia i tajemnicami pochodzenia sławnego wtedy Cagliostra...

W Neapolu na zamku królewskim poznał cenionego wielce przez króla i królowę (Ferdynand i Karolina) pejzażystę Filipa Hackert, którego życiorys podobnie jak Winckelmanna napisał następnie. Opuszczone dzisiaj, lub na składy zbiorów albo na publiczne zakłady obrócone zamki w Capo di Monte Caserta, które dziś staremi się wydają, wtedy właśnie powstawać zaczęły; Hackert był jednym z tych dobrych duchów, co w nich panowały; a Goethe został wkrótce jego ścisłym przyjacielem.

Goethe chwali pejzaże Hackerta, nie przesadnie wprawdzie, ale tak, jakby w wysokim stopniu na uwagę zasługiwały. Dzisiaj sąd ten wspomina się zazwyczaj lekceważąco. Pochodzi to stąd—jak powiada Grimm—że niewielu widziało porządny zbiór pejzaży Hackerta, przypatrzywszy się im jednak dokładniéj, spostrzegamy taką delikatność traktowania, tak prawdziwe zrozumienie przyrody bez szukania fałszywych efektów, takie poczucie linij, że zamiłowanie Goethego w pracach tego malarza zrozumiałém się staje. Przywykli-

śmy obecnie do grubego nakładania farb i dlatego odtworzenie krajobrazu zapośrednictwem linij przeważnie nie robi na nas wrażenia, a właśnie na takiém odtworzeniu polega siła Hackerta, który najzupełniéj odpowiadał spółczesnemu sobie smakowi. Przedstawienie przyrody, pozbawionéj ludzi, takiéj, jaką można objąć z pewnego punktu promieniami pary oczu, jest zupełnie nowoczesnym utworem jako przedmiot dzieła sztuki. Starożytni traktowali krajobraz tylko jako tło czynów ludzkich, pojęcia bowiem samotności jako samotności nie posiadali. Nawet naturę martwą wystawiali sobie w uosobieniu jako dryady, oready, najady itp. Ciemność mogli w ten jedynie sposób wyrazić, że do innych figur kompozycyi dodawali postać nocy. Krajobraz w znaczeniu dzisiejszém nieznany był nawet czasom odrodzenia i jest on płodem wieku XVII. Wspaniałe obrazy lądu i morza, jakie dali Tycyan i Giorgione, nigdy się nie obywały bez ludzi, ażeby pokazać, kto jest panem całéj piękności i krajobrazu, który bez tego pana byłby rzeczą niepotrzebną. Dopiéro w stuleciu XVII obudziła się w ludziach, skrępowanych więzami politycznemi i religijnemi, tęsknota za takiém terytoryum, gdzieby owe straszne potęgi były bezwładne; a terytoryum takie wydawała się im po prostu pustynią, w któréj ludzie nigdy nie mieszkali. Zaczął się natenczas rozpowszechniać kult przyrody jako bóstwa bezosobowego a wszystko leczącego, serca zatęskniły za nieskończoną dalą i szukały wysp niedostępnych, gdzie człowiek powodowany jedynie czystemi serca popędami łączył się z niewielu sobie podobnymi, ażeby wieść życie podług praw natury urządzone. Krajobraz uważać zaczęto za portret téj natury. Wzrost drzew, kruszenie się skał, fale morza, podnoszenie się lądów, wyrażone w liniach miały uzmysłowić ducha matki ziemi. W tym czasie pojmować musimy krajobrazy zeszłego stulecia.

Goethe wziął z sobą do Sycylii młodego artystę, który twardym swoim ołówkiem miał dla niego zaznaczać zarysy gór i linie morza po brzegach. Do tegoż celu dążył Hackert w malowidłach i rysunkach swoich: jakby był tego kraju właścicielem, który, patrząc wprawném okiem na własność swoję, nic nie przecenia i niczego nie lekceważy, Hackert śledzi pilnie najdrobniejsze zagięcia linii dalekiego widnokręgu; z miłosną drobiazgowością rysuje drzewa i krzaki, cierpliwie dąży za wód biegiem; mało farb nakłada, ale fantazyi widza wiele daje do czynienia.

Z Neapolu powrócił Goethe znowu do Rzymu (w początkach Czerwca 1787) i tu przez cały prawie rok zabawił. Po raz pierwszy w życiu osiadł dobrowolnie na jednéni miejscu z tą myślą, że tu zawsze żyć będzie. Nie przymuszała go do obrania go ani prakty

ka prawnicza jak we Frankfurcie, ani łaska księcia jak w Weimarze; osiadł w Rzymie dlatego, że mu tu było najlepiéj. Czuje się tu jakby we własnym domu. Najmuje sobie wygodne mieszkanie, pozbywa się zupełnie poprzedniéj gorączki, nie śpieszy się z niczém, żyje spokojnie, cicho, nie myśląc o dniu następnym; przypatruje się wszystkiemu i wszędzie mu dobrze. Ze światem eleganckim nie ma żadnych stosunków i żyje z artystami dla artyzmu; sam z największą usilnością stara się zapoznać z tajemnicami techniki artystycznéj, bierze sobie za nauczyciela Henryka Meyera. O zajęciach swoich w drugiéj połowie 1787 roku tak pisze do księcia Karola Augusta: „Kiedym po raz pierwszy przybył do Rzymu, spostrzegłem niebawem, że właściwie nie miałem żadnego pojęcia o sztuce i że do téj pory podziwiałem i kochałem jedynie ogólny odblask przyrody w dziełach sztuki. Tu objawiła mi się inna przyroda, szersze pole sztuki, co więcéj otchłań sztuki, w którą wpatrywałem się z tém większą radością, że wzrok mój przywykł był do otchłani natury. Oddałem się spokojnie wrażeniom zmysłowym: widziałem Rzym, Neapol, Sycylią i wróciłem do Rzymu napowrót. Wielkie widownie przyrody rozszerzyły mój umysł i wygładziły wszystkie zmarszczki. O wartości malarstwa krajobrazowego nabrałem niejakiego pojęcia, innemi oczyma oglądałem Claude'a i Poussin'a, z Hackertem, który przyjechał do Rzymu, byłem dwa tygodnie w Tivoli, potém dwa miesiące spiekoty zatrzymywały mię w domu, dokończyłem Egmonta, zacząłem uczyć się perspektywy i bawić się trochę farbami. Tak nadszedł Wrzesień; wtedy udałem się do Frascati, stamtąd do Castell Gandolfo; rysowałem z natury i zauważyłem z łatwością, czego mi brakowało. W końcu Października wróciłem do *miasta*, gdzie nastała nowa epoka. Odtąd postać ludzka zaczęła zwracać na siebie uwagę moję; jeżeli dawniéj, jakby blaskiem słońca rażony, odwracałem od niéj oczy, to teraz wpatrywałem się w nią z zachwytem i z długotrwałém zajęciem. Poszedłem do szkoły, uczyłem się rysować głowę z jéj częściami i zacząłem nareszcie rozumiéć antyki. To mi zabrało cały Listopad i Grudzień, przy czém napisałem jeszcze *Erwina i Elmirę* i połowę *Klaudyny* (1). Pierwszego Stycznia (1788) przeszedłem od twarzy do obojczyka, rozpostarłem się na pierś i tak daléj, a wszystko studyowałem zwewnątrz, zastanawiałem się nad budową kości i mięśni, potém rozważałem starożytne formy, porównywałem je z naturą, wdrażałem sobie w pamięć cechy charaktery-

---

(1) Była to przeróbka prac dawniejszych wierszem jambicznym.

styczne. Moje dawniejsze staranne studya nad osteologią i nad ciałem w ogóle bardzo mi się przydały; wczoraj (tj. 24 Stycznia) ukończyłem rękę jako ostatnią część, która mi do nauczenia się pozostawała. W następnym tygodniu muszę obejrzéć dobrze wymytemi oczyma najprzedniejsze posągi i obrazy w Rzymie.“

Jakkolwiek te poważne usiłowania w dziedzinie sztuki skończyły się na bolesném przekonaniu, że Goethe nigdy nie będzie sztukmistrzem, były jednakże niesłychanie dla niego użyteczne jako szkoła sądu artystycznego. Goethe, ujrzawszy raz rysunki zdjęte natenczas przez pewnego podróżnika z fidyaszowych posągów na Partenanię: ocenił natychmiast całe ich doniosłe w dziejach sztuki znaczenie, a o artyzmie starożytnych wypowiedział następne głębokie zdanie: „Artyści starożytni dorównywają Homerowi pod względem wielkiéj znajomości przyrody i pod względem dokładnego pojęcia o tém, co można przedstawić zmysłowo i jak tego dokonać należy. Niestety liczba dzieł sztuki pierwszego rzędu jest zbyt mała. Atoli jeżeli i tym się przypatrzymy, to nie pozostaje nam nic do życzenia, jak tylko dokładnie je poznać, a potém oddalić się w pokoju. Te wielkie dzieła sztuki są zarazem największemi dziełami natury, wykonanemi przez ludzi według prawdziwych praw przyrody. Nie ma tam nic samowolnego i wymyślonego, tam jest konieczność, tam jest Bóg.“

Podobne wniknięcie w treść utworów okazał Goethe, oceniając renesans włoski, chociaż zwracał jedynie uwagę na malarstwo i to w najwyższych jego szczytach tylko. „Kto nie widział dzieł Michała Anioła w kaplicy Sykstyńskiéj,“ woła Goethe, „ten nie potrafi sobie wyrobić jasnego pojęcia o tém, czego może dokonać jeden *cały* człowiek.“ O Rafaelu powiada, że on zawsze ma słuszność tak samo jak natura; o dziełach zaś jego dał pełno zdań trafnych w wysokim stopniu.

Pomimo to wszystko należy jednak stwierdzić fakt godny uwagi, że Goethe podróżując po Włoszech zdobył wprawdzie ogromną masę poglądów, wiadomości i doświadczeń w rzeczach sztuki plastycznéj, ale ram pojęć swoich nietylko nie rozbił, ale nawet nie rozszerzył. Poeta wyjechał do Włoch jako uczeń i zwolennik teoryj Rafaela Mengs'a; a w jednym z ostatnich listów z Włoch do Herdera pisanych jako owoc podróży swojéj wysławia to, że teraz lepiéj niż przedtém rozumié pisma Mengs'a. Ale nietylko Rafaela Mengsa, lecz także Angelikę Kaufmann, Tischbeina, Meyera uważa tak jak przedtém za najwyborniejszych mistrzów. Goethe, który zresztą w innych sądach swoich był tak samodzielnym, a niekiedy

nawet zbyt zuchwałym, poddawał się tu bezwarunkowo opinii spółczesnéj i patrzył przez cudze okulary.

Widoczną jest rzeczą, że jako ideał sztuk plastycznych przedstawiał się w tych czasach Goethemu odrodzony helenizm, który późniéj uświetnili dziełami swemi Carstens, Thorwaldsen i Schinkel; Goethe przeczuwał ziemię obiecaną, ale jéj nie znalazł. Mimowolnie musimy przypomniéć sobie Winckelmanna, który również, stojąc na wyżynie swego genialnego poznania sztuki starożytnéj, podziwiał i czcił Rafaela Mengsa i Angelikę Kaufmann. Pogardzali oni wszystkiém, co się sprzeciwiało poczuciu formy na sposób starożytny, a byli wyrozumiali na wszystko, co przynajmniéj zewnętrzny pozór starożytniczéj formy nosiło, woleli idealistyczną manierę, niż gorąco odczutą, ale niezaradną i niedostatecznie wystylizowaną naturalność.

Jeżeli w dziedzinie sztuki Goethe nie wyrobił sobie poglądów samodzielnych, to w każdym razie w zakrésie właściwéj swojéj twórczości, w poezyi, poszedł odtąd nową zupełnie drogą. Sam poeta zauważył, że podróż włoska stanowi epokę w jego poetycznym rozwoju, a uwaga ta zupełnie usprawiedliwioną się ukazuje. Podziałała nań ona w sposób oczyszczający i uspakajający, z każdym krokiem naprzód umysł poety stawał się weselszym, otwartszym, bardziéj spółczującym i bardziéj udzielającym się. Natura i sztuka tego cudownego kraju, szerokość życiowych stosunków na wielkiéj arenie świata, potęga wrażeń codzień się pomnażających pobudzają duszę jego do coraz szybszego ruchu, do ogarniania coraz większych obszarów umysłowych. Goethe opisuje szczegółowo to ciągle wzrastające uczucie swobody i szczęścia. Od dnia, w którym przybył do Rzymu, liczy dzień drugich urodzin swoich, dzień prawdziwego odrodzenia, w usposobieniu swojém akcentuje jasność i spokój, o jakich dawniéj przeczucia nawet nie miał, nietylko wolnym się wyznaje od dawnéj chorobliwéj namiętności, ale zaznacza w sobie zmianę zupełną i rozpoczęcie życia nowego. W ostatnich dniach swego rzymskiego szczęścia pisał do przyjaciela: „W Rzymie dopiéro odnalazłem samego siebie, tu dopiéro przyszedłem do zgody ze samym sobą, stałem się szczęśliwym i rozumnym.“

Co do kierunku twórczości, to już 17 Listopada 1787 pisał Goethe do księcia Karola Augusta, że od téj chwili nie chce tworzyć nic takiego, czegoby ludzie, pędzący życie wielkie i ruchliwe, czytać nie mogli, że zrywa z boleścią wszechświatową i rewolucyjną tytanicznością. Goethe pragnął teraz zostać poetą czystego ideału ludzkości czy to w kształcie harmonijnego rozwinięcia wszystkich uzdolnień człowieka i płynącego stąd zadowolnienia z samego siebie, czy też w kształcie zwycięstwa nad nieprzyjaznemi sobie żywiołami

rzeczywistości odniesionego. A z tém oczyszczeniem i pogłębieniem treści duchowéj w nierozwiązanéj zostawała jedności wyidealizowana i pogłębiona forma utworu. Klasycyzm Greków stał się dla Goethego przedmiotem nie filologicznego naśladownictwa, ale żywotnego, swobodnego odtwarzania tak samo jak to było za złotych czasów renesansu włoskiego. Byłto helenizm przeniknięty i rozgrzany wynikami głębszego życia duchowego w epoce nowożytnéj.

Kto za wzór poezyi nowożytnéj pragnie uważać wyłącznie i jedynie indywidualizujący, istnie artystyczny, ale w kierunku przeważnie realnym wykonywany rysunek charakterów, jaki u Szekspira znajdujemy, albo też naiwnie prostą serdeczność pieśni ludowéj, ten przewrotu, jakiego Goethe doznał we Włoszech, chwalić nie może. To też nie brak jednostek, które kierunek Goethego, obrany w twórczości podczas podróży włoskiéj, uważają za godny pożałowania, chociaż wysoce genialny obłęd. Rzeczywiście trudno zaprzeczyć, że od owéj chwili namnożyło się dużo niedorzecznéj i fałszywéj idealistyki, dużo bezdusznego a zewnętrznego tylko naśladownictwa form i motywów starożytnych, takich nawet, które, mając jedynie czasowe i miejscowe znaczenie, stały się dla nas po prostu nieużytecznemi, sam nawet Goethe w późniejszych utworach swoich nie mógł się uwolnić od tego rodzaju błędów. Kto atoli przyzwyczaił się rozważać potężne zmiany w poczuciu stylu artystycznego w związku z wielkiemi ruchami i przewrotami cywilizacyi, ten skardze owéj nie przywtórzy. Wśród ciężkich walk o oświatę w ostatnich stuleciach przyszły narody w swoich genialnych przedstawicielach do poczucia ideału takiego, jaki stanowił istotę i siłę życia i sztuki greckiéj, to też jak w epoce włoskiego odrodzenia, tak i wówczas chwycono się odpowiedniéj formy artystycznéj. Nie znaczyło to bynajmniéj, żeby styl realistyczny miał być wygnany z dziedziny sztuki, znaczyło tylko, że wysoki styl idealny ma również uprawnienie swoje. W sztuce używa się to jeden, to drugi, stosownie do rozmaitości treści i usposobień ludzkich.

Bezpośrednim wynikiem studyów włoskich był *Torquato Tasso* i dlatego też zamieszczam dzieje jego powstania tutaj, chociaż wykończenie ostateczne téj sztuki przypada na pierwsze lata powrotu do Weimaru.

---

## IV.

Lenz.—Torquato Tasso i Antonio jako dwie strony usposobienia Goethego.—Ferrara rzeczywista i Ferrara w tragedyi.—Wartość artystyczna Tassa.—Wyjazd z Rzymu.

Pierwszy pomysł do napisania sztuki o Torkwacie Tasso powstał zapewne bardzo wcześnie w wyobraźni Goethego. Już w roku 1774 czytał on w Düsseldorfie nowelistyczne opowiadanie o obłąkaniu Tassa, które ogłosił był Wilhelm Heinse w „Tęczy" (Iris). Wtedy może zakiełkowała pierwsza myśl utworu, tak jak prawdopodobnie kantata na cześć siostrzenicy Glucka zrodziła pierwszy zarys Ifigenii. Zwyczajem atoli swoim poeta potrzebował nowych doświadczyć wrażeń, ażeby owa pierwsza myśl mogła się na jakiś plan oznaczony zamienić. Hermann Grimm zestawia okoliczności następne.

Wśród strasburskich towarzyszy Goethego najbardziéj utalentowanym był Lenz. Kilka wierszy jego i listów odznacza się porywającą pięknością; zdaje się, że Goethe więcéj nań liczył aniżeli na innych. Otóż ten Lenz zawitał do Weimaru, kiedy Goethe zajmował tu już ustalone stanowisko, zjawił się jako „geniusz" i był za takiego przyjęty; jego ubranie, ton i pretensye odznaczały się ekscentrycznością. Goethe umiał dziwactwa jego osłaniać, a Lenz, przypisując to własnym zasługom, na karb ich dopuścił się jakiéjś stanowczéj awantury. Pewnego dnia czara się przepełniła, Lenz popełnił „niedorzeczność," o treści któréj nic nie wiemy, pospolicie to co zrobił, nazywają „oślim postępkiem." Znaczyło to, jak się zdaje, że Lenz zbyt natarczywie do jakiéjś damy się zalecał, jeżeli bowiem wyrażenie „postępek ośli" słyszymy użyte przez towarzystwo ubóstwiające Szekspira (jakiém było Weimarskie), to natychmiast przychodzi nam na myśl ta scena ze „Snu nocy letniéj," w któréj bilet przemieniony w osła do Tytanii się czuli. Lenz zakończył swe awanturnicze i rozpustne życie w Rosyi jako obłąkany.

Zdaje się, że ów „postępek ośli" stał się podstawą sceny, stanowiącéj katastrofę Torkwata Tassa, który oszołomoniony dobrotliwością damy z wyższego świata, Leonory, niedomyślającéj się, jak daleko zaprowadzić może „geniusza" ta jéj dobrotliwość, porywa ją w swoje objęcia i w skutek tego ginie. Taka geneza jest naturalnie domysłem tylko, nie posiadamy bowiem dawniejszéj formy Tassa nad tę, która we Włoszech ostatecznie obmyślona została. Wiemy jedynie na pewno, że nad Tassem pracował już Goethe na lat sześć przed podróżą włoską i że utworzył był dwa całe akty. Cała sztuka uległa następnie dwukrotnéj jak się zdaje przeróbce, zanim

poeta ostatecznie ją wykończył. W rozmowach z Eckermannem Goethe nazwał Tassa „Wertherem podniesionym do potęgi“, a w innem miejscu jednę z tych postaci fantastycznych, na które własne „głupstwa“ (Albernheiten) się zwala. Tasso tedy przedstawia stronę fantastyczną, mglistą i niezaradną zarówno Goethego z lat młodszych jak i poetów w ogóle. Ale Goethem jest również Antonio, stanowiący zupełne z Tassem przeciwieństwo. W walce dwu tych postaci, odpychających się wzajem nieprzebłaganie, przedstawił poeta nieprzejednany stosunek dwu rol, jakie zmuszony był odgrywać w Weimarze podczas pierwszego „dziesięciolecia.“ Tasso jest Goethem w jego najwewnętrzniejszém usposobieniu i skłonności. Poeta ujrzał swoję karykaturę w Lenzu i dlatego w decydującéj scenie, do któréj Lenz dał może pochop, odmalował to, coby się stać było mogło, gdyby się nie był trzymał na wodzy i nie pozostawił za sobą własnego niejako królestwa. Antonio natomiast jest obrazem tego jakim Goethe ostatecznie stačby się musiał, gdyby jako mąż stanu w jednostronnym poszedł kierunku i wyrobił się na takiego, w najlepszym razie człowieka, jakim był minister Fritsch, który wystąpił przeciwko niemu w imię dobra państwowego, gdy młody burzliwy poeta miał osiąść w Weimarze. Tu możemy doskonale zrozumiéć, co znaczy tak zwana przez poetę „poezya symboliczna.“ Wszystko, co Goethe przedstawia w Tassie, są to codzienne przez głowę jego przepływające myśli, które mu nie dawały spokoju, dopóki ich artystycznie nie wypowiedział; a jednak szczegóły w sztuce zawarte nie mają nawet cienia wypadków rzeczywistych z życia poety; z postaci Tassa niepodobna wytrząść ani jednéj figury rzeczywistéj. Postaci te są-to istoty nowe, stworzone wszystkie do życia spólnego w tym celu, ażeby uosabiały pojęcia i stosunki. I dlatego właśnie, że figury te są dowolnemi kreacyami Goethego, tyle prawdy w sobie zawiérają: poeta stworzył świat nowy, ażeby przenieść weń zajmujące go myśli. Gdyby chciał był napisać sztukę przedstawiającą osoby rzeczywiste: księcia, księżnę, Goethego, von Fritscha, panią von Stein, Lenza i t. d.; gdyby był powtórzył słowo w słowo, co istotnie stanowiło przedmiot ich rozmowy: to sztuka taka w porównaniu z Tassem stałaby się znikomą komedyą jasełkową, którąby może wprawiła na chwilę w zachwyt lubowników „rzeczywistego materyału,“ ale nie posiadałaby wspaniałych zalet prawdy artystycznéj.

Goethe, wysławiając w Tassie Ferrarę, pośrednio złożył Weimarowi hołd taki, że piękniejszego nadeń pomyśléć niepodobna, chociaż bezpośrednio nigdyby nie był możliwym. Takim jak Ferrara *mógł być* Weimar; poeta przedstawił możliwość jako rzecz istnie-

jącą. W skutek tego prawdziwa Ferrara osiągnęła sławę niezasłużoną: z pustéj rezydencyi książęcéj przemieniła się na siostrę Aten peryklesowych. Cudzoziemcy latają dzisiaj po nudnych ulicach Ferrary, które zapewne i w wieku XVI innemi nie były, w murach starają się dojrzéć śladów wielkiéj przeszłości.... i szukają napróżno. Postać nawet Tassa jest własném dziełem Goethego; z poety dosyć pustego pod względem myśli utworzył geniusza, któremu przypisują się utwory najświetniejsze. A jednak znawca Tassa, mianowicie drobniejszych jego poezyj, znajdzie w sztuce Goethego, który czytał w Rzymie życie twórcy Jerozolimy przez księdza Serassi opisane, najbardziéj indywidualne rysy życia, często nawet dosłowne przytoczenie jego wyrażeń. Tak to ściśle przeniknęły się w utworze Goethego dwa pierwiastki, rzeczywisty i fantazyjny, i złożyły całość, która niezgodna jest wprawdzie ze specyalnemi poszukiwaniami nad historyą Ferrary w XVI stuleciu i ówczesnego jéj towarzystwa, ale nieporównaną odznacza się prawdziwością w odtworzeniu dziejów renesansu włoskiego.

Co do wartości artystycznéj Tassa zdania znakomitych krytyków nie przedstawiają wielkiéj zgody. Grimm uważa go za utwór wyższy od Ifigenii, za tragedyą najdorzalszą, najbardziéj wykończoną, będącą dziełem chwili, w któréj Goethe, stojąc pomiędzy młodością a wiekiem podeszłym, talent swój w pełni rozwinął. „Usposobienie greckie, wykształcenie rzymskie, duch niemiecki,“ powiada, „jednoczą się w Tassie i tworzą nowy spółczesny żywioł, któryby można nazwać Goethowskim *par exellence*. W Tassie język Goethego doszedł szczytu doskonałości; jego jamby nauczyły Schillera, jak ma je tworzyć, a Schlegla jak ma tłómaczyć Szekspira, ażeby poeta angielski na niemieckiego niemal się przerobił. Bez Tassa dzisiejsza poetyczna dykcya niemiecka nie byłaby tém, czém jest. W budowie aktów, w scenowaniu, w wyrażeniu myśli dzieło to jest skończone i nieprześcignione. Każde słowo jest tu myślą.“

Hermann Hettner podzielając zdanie, że pod względem języka i rytmu a nawet pod względem rysunku charakterów Tasso wyżéj stoi nad Ifigenią; zarzuca mu przecież brak jedności i konsekwencyi, a co więcéj brak prawdy wewnętrznéj w myśli przewodniéj. Owa cudowna harmonia moralna, powiada, która we wzniosłéj postaci Ifigenii wyraz swój znalazła, miała również zajaśniéć i w Tassie jako ideał wszystkich najserdeczniejszych dążeń ludzkich, chociaż dopiéro w stanie walki, w stanie wydobywania się z pośród chorobliwéj jednostronności. Ponieważ jednak Goethe myśl tę w pierwotnym zarysie sztuki w całkiem odmiennym a może nawet

wprost przeciwnym zamierzał przeprowadzić kierunku, a następnie z zarysu tego powyrzucał wiele, ale nie wszystko: pozostały tedy tak głębokie zazębienia, że jedności wewnętrznéj szkodę przynoszą i jasność myśli zasadniczéj mącą, że nie powiem, zupełnie zasłaniają. Antonio w pierwszych aktach występuje jako doświadczony statysta, niewolny przecięż od niskiéj i niewłaściwéj na jego stanowisku zazdrości względem uwieńczonego wawrzynem Tassa, który tu przedstawia się jako potęga poetyczna, mająca duchową przewagę nad dumną i zarozumiałą ograniczonością Antonia. Od trzeciego natomiast aktu Antonio staje się uosobieniem spokojnego rozumu, który musi odnieść zwycięstwo nad chorobliwie fantastycznem marzycielstwem. Tylko o trzech ostatnich aktach da się powiedzieć to, co uważają zwykle za myśl zasadniczą całości, a mianowicie, że w niéj przedstawia poeta tragiczność jednostronnie w sobie zatopionego życia fantazyi, które w obec rzeczywistych a niepokonanych stosunków świata nie może pretensyj swoich urzeczywistnić. Goethe chciał bez wątpienia w utworze swoim zapewnić zwycięstwo doświadczeniu i rozumowi nad mglistą fantastyką; ale w skutek fałszywego rysunku Antonia w pierwszych dwu aktach zapewnił tylko zwycięstwo dworakowi nad geniuszem, dworskiéj etykiecie nad prawami człowieka.

Pozostawiając czytelnikowi wybór pomiędzy dwoma przedstawionemi tu sądami i zaznaczając, że osobiście więcéj się skłaniam ku drugiemu niż ku pierwszemu, pośpieszam dodać, iż Goethe zarówno Ifigenii „rzymskiéj“ jak i Tassa nie pisał dla sceny rzeczywistéj. Sztuka nie zawiéra nic takiego, coby mogło reżyserom dać sposobność do zaprodukowania zręczności swojéj, charaktery są zbyt subtelnie opracowane, ażeby dawały możność popisu zwykłym aktorom. Istotnie długie upłynęły lata, zanim się przekonano, że można ją przecięż przedstawić: pierwsza reprezentacya miała miejsce dopiéro 16 Lutego 1807 roku. Przed tą datą nie można było znaléść ani aktorów, ani publiczności. I tak: Leopold Stolberg pisał do Jacobiego: „Co pan mówisz o Tassie Goethego? Mnie ton jego ogromnie się nie podoba. Dlaczego poeta daje przewagę temu drobiazgowo dumnemu, udającemu wspaniałomyślność Antoniowi nad muz i gracyj wychowankiem... Niektóre rysy są wyborne“—dodaje w końcu.

Tasso był hołdem, złożonym przez Goethego „boskiéj Italii,“ był wyrazem jego uwielbienia dla cywilizacyi romańskiéj. Wiemy już co téj cywilizacyi zawdzięczał; posłuchajmy jak on sam rozstanie się swoje z Rzymem opisuje. W duszy jego walczyły z sobą dwa potężne uczucia: smutek z powodu utraty Rzymu i tęsknota do do-

mu, do przyjaciół, wśród których tyle lat przepędził. Było-to w ostatnich dniach Kwietnia, przez trzy noce z rzędu miesiąc w pełni świecił na jasném niebie; urok rzucony przez jego promienie na miasto odwieczne, chociaż już nieraz sercem poety owładał, dawał się obecnie czuć najdobitniéj. Wielkie masy światła i głębokie cienie jako ich przeciwieństwo przenosiły go jakby do innego prostszego i większego świata. „Przebiegłszy Corso po raz ostatni, wszedłem," mówi Goethe, „na Kapitol, który się wznosił jak pałac wróżek wśród pustyni. Posąg Marka Aureliusza przywołał na pamięć komandora z Don Juana (1) i dawał wędrowcowi do zrozumienia, że przedsiębierze coś niezwykłego. Mimo to zszedłem na dół tylnemi schodami. Naprzeciwko mnie stał posępny i cień posępny rzucający łuk tryumfalny Septymiusza Sewera, w samotności, panującéj na Via sacra, znane mi zresztą dobrze przedmioty wydawały się jakby obce i duchami napełnione. Ale kiedym się zbliżył do wzniosłych ruin kolizeum i zajrzał do jego wnętrza przez kratę, dreszcz mię jakiś ogarnął i przyśpieszył mój powrót do mieszkania. Przy odjeździe doznałem boleści szczególnego rodzaju. Opuszczając tę stolicę świata, któréj obywatelem byłem przez czas niejaki, i to bez nadziei powrotu, uczuwałem coś takiego, co się słowami wyrazić nie da. Kto takiego uczucia nie doświadczył, podzielać go nie potrafi. W chwili téj raz po raz powtarzałem sobie elegią Owidyusza, którą napisał wtedy, gdy go wspomnienie podobnego losu (wygnanie z Rzymu) prześladowało aż na krańcach zamieszkałego świata. Niedługo jednak mogłem sobie powtarzać owo obce wyrażenie moich własnych uczuć, gdyż musiałem je zastosować do swojéj osobistości, do swojego położenia. Cierpienia Owidyusza porównywałem z mojemi, a ta praca wewnętrzna zajmowała mi w podróży niejeden dzień i noc nie jednę. Wystrzegałem się jednak napisania choćby wiersza tylko z obawy, ażeby delikatna woń boleści serdecznych nie zniknęła przypadkiem. Nie chciałem prawie na nic spoglądać, aby nie sprawiać sobie roztargnienia wśród tych słodkich udręczeń. Wkrótce jednak napadła mię myśl, że świat wydaje się wspaniale, jeżeli nań patrzymy okiem wzruszoném. Zdobyłem się na odwagę swobodnéj twórczości poetyckiéj: przypomniałem sobie Tassa. Jak z Owidyuszem co do miejscowości, tak z Tassem co do losu poró-

---

(1) Przypomnienie nie było, jak dzisiaj, rzeczą bardzo powszednią, gdyż „Don Juan" Mozarta nie liczył wówczas więcéj nad rok istnienia, jako napisany w roku 1787.

wnać się mogłem. Bolesne usposobienie duszy namiętnéj, która nieprzeparcie dąży ku nieodwołalnemu wygnaniu, odźwierciedla się w całéj téj sztuce. Usposobienie to nie opuściło mię w podróży pomimo wszystkie usiłowania i roztargnienia."

Z takiemi to uczuciami w duszy po dwuletniém prawie oddaleniu wracał Goethe do Weimaru, który niedługo miał porównać z *Tomi*, miejscem wygnania Owidyusza.

*Piotr Chmielowski.*

---

# TOWARZYSTWO NAUK ŚCISŁYCH W PARYŻU

## w roku 1877,

PRZEZ

MARYANA A. BARANIECKIEGO.

---

Towarzystwo nauk ścisłych w roku ubiegłym, który był ósmym rokiem jego działalności, kierowało się równie jak w latach poprzednich wyłącznie naukowemi pobudkami, o czém mówiliśmy już obszernie w sprawozdaniu za owe lata („Ateneum". 1877. Styczeń). Trudności, jakie zarząd téj instytucyi pokonywać musi, ażeby i nadal w działaniach swych charakter naukowy utrzymać, zwłaszcza przy tak małém interesowaniu się ogółu naszego pracami poważnemi, są nie małe, jak o tém w roku zeszłym mieliśmy sposobność na miejscu się przekonać. Nie chcemy tu jednak bliżéj wchodzić w szczegóły pod tym względem.

Zarząd Towarzystwa w r. 1877 był ten sam co w poprzedzającym. Prezes, Jan hr. Działyński, właściciel biblioteki kórnickiej, nie ustawał w swéj ofiarności i troskliwości, podtrzymując w ten sposób żywotność instytucyi. Viceprezes a zarazem redaktor „Pamiętników," profesor Prażmowski Adam, wpływając stanowiskiem swojém w nauce i nowemi pracami na powagę Towarzystwa, utrzymuje je ponad wszelką koteryjność i stronność. Sekretarz, Kazimierz Brandt, inżynier cywilny, z prawdziwém zamiłowaniem dla instytucyi zajmował się sumiennie różnemi czynnościami, jakich administracya i wydawnictwa Towarzystwa wymagają, a które, mimo że są ważne i nader utrudzające, nie bywają jednak należycie ocenianemi przez osoby z niemi nieobeznane.

W skład Towarzystwa jako nowi członkowie weszli: pp. Stryjeński Tadeusz, inżynier szkoły zurichskiéj, były architekt rządowy

w Peru, oraz Chudziński Teofil, doktór medycyny, zajmujący posadę rządową przy katedrze antropologii w Ecole pratique des hautes études w Paryżu. *Zmarł* zaś członek Adolf Sągajło, niegdyś wykładający matematykę w szkołach rządowych w północnéj Francyi. O jego pracach, ogłoszonych w „Pamiętnikach," mówiliśmy w poprzedniém naszém sprawozdaniu. Wydał on prócz tego „Wykład zupełny algebry" (dwa tomy z zapowiedzianych czterech) oraz „Geometryą analityczną" (tom pierwszy, 1877). Że jednak prace te wychodziły niezależnie od Towarzystwa, to o pewnych ich zaletach, lecz i nader wielu wadach, mówić tu nie będziemy. Był to w każdym razie człowiek dobrych chęci: pracował o ile mu sił starczyło, a starał się pracować najlepiéj jak mógł i rozumiał.

Posiedzeń w roku zeszłym Towarzystwo odbyło dziesięć, na których przeważnie rozpatrywano nadsyłane prace. Na jedném z nich, Towarzystwo datę 1 Stycznia 1877 r., do jakiéj miały być nadsyłane prace konkursowe, przedłużyło do 1 Stycznia 1878 r. Rzeczone prace były wyznaczone na temat następujący: „Najzupełniejszy, najlepiéj ułożony i, przynajmniéj co do wcześniejszych publikacyj, krytycznemi uwagami opatrzony spis dzieł, bądź drukiem, bądź litografią w języku polskim ogłoszonych, jako też artykułów, w różnych pismach zbiorowo lub pojedyńczo publikowanych, z działu matematyki i fizyki oraz ich zastosowań." Zdanie nasze o pożyteczności i właściwości tego konkursu wypowiedzieliśmy w poprzedniém sprawozdaniu. Nie przestajemy jednak i teraz nawoływać do zmiany kierunku w konkursach, przez Towarzystwo ogłaszanych. O ileżby korzystniéj i praktyczniéj, ze względu na warunki w jakich się znajdują pracownicy nasi na polu nauk ścisłych, było stawiać za temat do konkursu wprost jakąś kwestyą specyalną do rozwiązania, a chociażby nawet opracowanie jakiego dogodnego w użyciu szkolném podręcznika, lub téż obrobienie umiejętne jakiego działu matematyki wyższéj, czy też innéj gałęzi nauk ścisłych. Nagroda konkursu pozostała dawna 1.000 franków, wyznaczonych przez prezesa.

W roku 1877 ogłosiło Towarzystwo tom IX swoich „Pamiętników" oraz dzieło oddzielne „o równaniach różniczkowych" p. Wł. Zajączkowskiego. Z powodu tego ostatniego dzieła musimy tu zaznaczyć, jak się okazało, słuszność naszego przypuszczenia w poprzedniém sprawozdaniu wypowiedzianego (str. 173), że na wydane oddzielnie przez bibliotekę kórnicką różne dzieła matematyczne i inżynierskie Towarzystwo nauk ścisłych nie wywierało żadnego wpływu. Niewłaściwego więc ogłoszenia kilku z tych dzieł nie należy kłaść na rachunek Towarzystwa, które, chcąc już na przyszłość

uwydatnić swoję pod tym względem nieodpowiedzialność, postanowiło w roku zeszłym, na dziełach wydawanych przez siebie wyraźnie zaznaczać: „wydawnictwo Towarzystwa nauk ścisłych,“ co właśnie znajdujemy na tytule pracy p. Zajączkowskiego. Jest więc ona pierwszém, oddzielném od „Pamiętników“ dziełem, wydaném sub auspiciis Towarzystwa.

*Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu*, tom IX (Paryż 1877, 4-to, 50 arkuszy, 75 drzeworytów, 13 tablic rysunków. Cena 20 franków), prócz przedmowy redakcyi, listy członków, dalszego ciągu materyałów do słownictwa naukowego polskiego, zawiéra następujące prace:

1) *Michała Girdwoynia: „Patologia ryb*, czyli krótki rys o chorobach i potworach rybich, opracował..... z okazów żyjących, jakie obserwował podczas swych studyów rybactwa we wszystkich pierwszorzędnych zakładach Europy“ (str. 21 oraz 11 tablic rysunków). Jestto ustęp z obszerniéj przez autora pomyślanéj pracy: „Postępowa hodowla ryb, należących do rodziny Łososiowatych,“ w którym to ustępie p. Girdwoyń zajmuje się podaniem cech zewnętrznych chorób ryb w stanie jaja, pęcherzyka żółtkowego, oraz w stanie doskonałym, wskazuje przyczyny powstawania takowych i środki od nich zabezpieczające, nadto podaje opis zewnętrzny napotykanych dziwolągów rybich. Kończy zaś rzecz objaśnieniem nader staranie wykonanych 112 rysunków różnych stanów chorobliwych i potwornych ryb. Praca ta ma charakter objaśnienia okazów, złożonych przez autora w muzeach Londynu, Paryża i Krakowa; mimo to ważne ona może oddać usługi w racyonalnie urządzoném gospodarstwie rybném, które u nas jest dotychczas jeszcze bardzo zaniedbaném.

2) *Mieczysława Szystowskiego: „Nowy sposób kreślenia krzywéj ciśnień w sklepieniach*“ (str. 36, drzeworytów w tekście 15 i jedna tablica). Autor, po krytycznym przeglądzie główniejszych teoryj stałości sklepień (z których szczegółowe wyłożenie nowéj teoryi p. Peaucellier‘a przedstawia interes dla specyalistów) oraz wyłożeniu pewnych wstępnych wiadomości ze statystyki wykreślnéj, podaje sposób kreślenia krzywéj ciśnień w sklepieniach symetrycznych, prowadząc linie pionowe przez środki ciężkości oddzielnych zworników i składając ciężar każdego zwornika z parciem w kluczu sklepienia i ciężarami poprzednich zworników. Następnie, w obec małego dotąd rozpowszechnienia zasad statyki wykreślnéj, p. Szystowski przedstawia analityczne udowodnienie swojéj teoryi. Tu szczególnie zasługuje na uwagę podanie równania, służącego do obliczenia parcia w kluczu sklepienia. Pracę tę, niezależnie od ważnéj jéj treści, zaleca ściśle umiejętny sposób traktowania przedmiotu, od-

powiedni nastrojowi czasopisma naukowego. Została też ona, po przetłómaczeniu, pomieszczoną w jednym z czasopism francuskich, inżynieryi poświęconych. P. Szystowski, inżynier szkoły politechnicznéj rygskiéj i szkoły dróg i mostów w Paryżu, przez tę poważną pracę pozyskał prawo być zaliczonym do nielicznego u nas zastępu inżynierów, którzy nie rozstali się z teoryą i posiadają zamiłowanie w ścisłych badaniach naukowych.

3) *Władysława Gosiewskiego: „O potencyale sprężystości"* (str. 6). Wyniki swych badań autor tak zestawia: a) hypoteza Green'a, za pomocą któréj otrzymał on potencyał o 21 spółczynnikach, jest zupełnie zgodną z zasadami mechaniki i nadto ogólniejszą od hypotezy Cauchy'ego; b) taż hypoteza, będąc konieczną, nie jest dostateczną do określenia sprężystości doskonałéj.

4) *Władysława Gosiewskiego: „O prawie Mariotte'a"* (str. 4), w któréj autor zajmuje się wyznaczeniem takiego prawa sił atomowych, aby układ ciągły atomów, im poddanych, oddziaływał na swoję powłokę ciśnieniem, posłusznem prawu Mariotte'a.

5) *Lucyana Wojciechowskiego: „Sposób ścisły obliczania objętości wykopów i nasypów"* (str. 15, drzeworytów w tekście 5). Pracę tę można uważać poniekąd za uzupełnienie poprzedniéj pracy p. Wojciechowskiego: „Nowy sposób obliczania powierzchni wykopów i nasypów," ogłoszonéj w tomie V „Pamiętnika," która to praca w skutek zdania specyalistów i na zasadzie rozporządzenia ministra robót publicznych została wprowadzoną we Francyi do urzędowych obliczeń (cf. sprawozdanie za poprzednie lata, str. 185). Nie nazywa autor swego sposobu „nowym" tylko dlatego, że wszystkie dotąd używane sposoby obliczania wykopów i nasypów nie są ścisłemi, że témsamém sposób przezeń podany jest pierwszym sposobem ścisłym. A ponieważ, jak to autor udowodnia, jest on najprostszym możliwym, więc innego sposobu być nie może, a zatém metoda podana tego obliczania objętości, będąc pierwszém, jest zarazem ostatniém słowem w téj kwestyi. Z tematu téj rozprawy wypada, że mamy tu do czynienia z różnemi kwestyami elementarnéj natury. Zasługą autora jest zręczne pokonanie napotkanych trudności oraz prostota w rozwiązaniu zadania. Nie mogąc tu przytaczać szczegółów téj ciekawéj pracy i odsyłając specyalistów do saméj rozprawy, nadmienimy tylko, że autor rozpoczyna rzecz swą od wyłożenia istniejącego już tak zwanego sposobu ścisłego i wykazania o ile się on oddala od istotnéj ścisłości, następnie przedstawia swój sposób obliczania i uzasadnia takowy, w końcu zaś wypowiada uwagi, dlaczego sposób prostszy od podanego przezeń jest niemożliwy, innemi słowy, dlaczego sposób, jego jest najprostszy.

6) *Bernharda Riemann'a*: „*O hypotezach, które służą za podstawę geometryi*, rozprawa....; przekład polski z objaśnieniami Władysława *Gosiewskiego*, dokonany przez Samuela *Dicksteina*" (str. 26). Literatura nasza posiada tak mało przekładów dzieł klasycznych, a także mniejszych prac, stanowiących wybitne momenta w rozwoju pojęć matematycznych, że doprawdy z prawdziwą radością wypada przyjąć przekład powyższéj pracy Riemann'a. Chociaż pogląd na Riemann'owskie idee i w jego ojczyźnie dziś wielce się zmienił, to jednak, w każdym razie, w obec absolutnego ignorowania dotąd w naszéj literaturze matematycznéj zapatrywań się tego uczonego na zasadnicze hypotezy, przekład ten jest cennym dla nas nabytkiem. Przekład p. Dicksteina jest bardzo poprawny. Odpowiednie terminy obmyślane dość starannie. Wolelibyśmy tylko zamiast wyrażenia „rozmaitość," zbyt bezbarwnego, spotkać inne, choćby np. wielość lub wielorakość. W przedmowie p. Dickstein podaje treść rozprawy Riemann'a, czyżby nie korzystniéj było przedstawić dobitniéj zasadniczą ideę Riemann'a aby ta przedmowa stanowiła, że tak powiemy, dla czytelnika wprowadzenie przystępne do téj obcéj sfery pojęć? W przypisku przedmowy p. Dickstein podał życiorys Riemann'a, opracowany na zasadzie nekrologów, jakie się w dziennikach matematycznych po jego śmierci pojawiły. Objaśnienia podane przez p. Gosiewskiego są zupełnie zgodne z duchem pracy Riemann'a i zalecają się pomysłowością; szkoda tylko, że ze względu na naszych czytelników nie są nieco elementarniéj traktowane. Przypisek prof. H. Webera (z Królewca), wyjęty z jego listu do tłómacza, odznacza się prostotą i elegancyą.

7) *Kaźmirza Brandta*: „*Wytrzymałość ciał. Sposób praktyczny budowy murów oporowych*" (str. 88, drzeworytów w tekście 18 oraz 21 rysunków na oddzielnéj tablicy). Autor postawił sobie w téj pracy za zadanie podać praktyczne wzory do obliczenia grubości murów oporowych, odpowiednio do przypadków na które w praktyce natrafić można, oraz wskazać, w jaki sposób postępować należy dla osiągnięcia największéj oszczędności, zachowując, zawsze tęż samę wytrzymałość. Praca ta jest nazbyt specyalną, abyśmy o niéj zdanie wypowiedzieć mogli. Tém więcéj, że chociaż poprzednie samodzielne prace autora są do pewnego stopnia rękojmią wartości téj rozprawy, grzeszy wszakże ona, jak wiele z prac inżynierskich pomieszczonych w poprzednich tomach „Pamiętnika," niejasném wydzieleniem tego, co pomysłowości autora przypisać należy. Sam autor uważa tę pracę za rezultat długiéj i mozolnéj praktyki i mogącą oddać ważne usługi młodym zwłaszcza inżynierom.

8) *Jana Śniechowskiego*: „*Teorya mechaniczna ciepła*" (str. 145,

drzeworytów w tekście 43). W górnolotnéj przedmowie, w któréj jest mowa o wielu rzeczach do przedmiotu nienależących, niepodobna dopatrzéć się myśli przewodniéj autora, a mnóstwo oddawna znanych i niczém niepowiązanych z sobą aforyzmów oraz nagromadzenie efektownych wyrazów pozbawia ją wszelkiéj treści. Za przykład lekkomyślności w redakcyi saméj pracy posłużyć może taki np. ustęp: „Cieplik. Twierdzenie pierwsze. Stan ciała mniéj więcéj gorący lub zimny nazwanym został jego temperaturą.“ I to ma być twierdzenie! A co znaczy: mniéj więcéj gorący lub zimny? Że to nie jest omyłka druku, to mamy wskazówkę na stronicy 32, gdzie autor podaje „wniosek z twierdzenia (sic!) pierwszego.“ Treścią zaś tego wniosku jest to, co według autora, na poprzedniéj stronicy wraz z nim „przeczuwamy“ (sic!). Cała praca jest nieudolném zestawieniem wiadomości wyjętych z podręczników i kursów, lub też różnych przykładów mających służyć za dowody „praw rządzących.“ Tablice dodane przez autora wcale nie są wynikiem jego badań, ale po części zostały wzięte nawet z podręczników fizyki. Samodzielność należy przyznać autorowi w niepojętym układzie treści, w niewytłómaczoném ograniczeniu się do rzeczy, w znacznéj części nic ważnego nie przedstawiających lub nie ściśle przeprowadzonych, w niezaznajomieniu się nawet z tylu znakomitemi, osobliwie niemieckiemi podręcznikami teoryi mechanicznéj ciepła. A jeśli miał to być wykład początków téj nauki, to przedewszystkiém należało autorowi swobodnie nad niemi zapanować, a sam wykład opracować starannie, mając na uwadze korzyść czytelnika. Widzimy więc, że ważna teorya mechaniczna ciepła oczekuje jeszcze na sumienny wykład jéj zasad w języku naszym.

Taka jest treść IX tomu „Pamiętnika.“ W ogłoszeniu od redakcyi znajdujemy wskazówkę, że w tomie X, który jest w druku, ogłoszone będą, między innemi, ciekawe prace: profesora uniwersytetu petersburgskiego, p. Juliana *Sochockiego*: „Wyznaczenie stałych mnożników we wzorach dla transformacyi liniowéj funkcyi Theta. Sumy Gauss'a i prawo wzajemności symbolów Legendre'a“; oraz doktora Teofila *Chudzińskiego*: „Anatomia porównawcza zwojów mózgowych,“ o któréj nader pochlebnie w ocenieniu swém wyraził się taki specyalista, jak prof. Z. Laskowski w Genewie. Nie możemy tu nie wspomniéć, że wyjątki z pracy p. Józefa *Rostafińskiego* „Śluzowce,“ ogłoszonéj w tomach V, VI i VIII „Pamiętnika,“ zostały przetłómaczone przez p. M. C. Cooke p. t. „The Myxomycetes of Great Britain Arranged to the Method of Rostafiński.... translated from the Polisch,“ (London. 1877. 8-vo, str. 96 i 24 tablic). Fakt ten wskazuje na ważność niektórych z prac, jakie się pojawiły w „Pamiętnikach.“

Drugiém w ciągu roku 1877-go wydawnictwem Towarzystwa nauk ścisłych był:

*Wykład nauki o równaniach różniczkowych przez Władysława Zajączkowskiego* (Paryż. 1877. 8-vo, str. 926. Cena 25 franków).

Różne metody całkowania równań rożniczkowych rozproszone są w oddzielnych monografiach lub artykułach rozmaitych czasopism matematycznych. Do niektórych podręczników rachunku całkowego lub fizyki matematycznéj wprowadzone są tylko najelementarniejsze badania w tym kierunku, i to zwykle wyłożone jednostronnie, ze względu na pewne zastosowania. Dotąd jednak nie było dzieła, któreby w wykładzie systematycznym przedstawiało przyzwoite i możliwie zupełne zestawienie wyników prac różnych uczonych w tym kierunku. Wprawdzie p. Józef Bertrand przygotowuje, jako trzeci tom swego obszernego „Traité de calcul différentiel et de calcul intégral,“ wykład całkowania równań różniczkowych, lecz ten tom, zapowiadany oddawna, dotąd nie wyszedł z druku. Dzieło zaś Boole'a Treatise on differential equations, mimo opracowania mistrzowskiego, jest więcéj elementarném i ma program mniéj obszerny. Praca więc p. Zajączkowskiego ma znaczenie nietylko w naszéj literaturze, lecz nie ma sobie odpowiedniéj w żadnéj innéj. Okoliczność ta jest nader ważną. Przy układzie bowiem nowego kompendyum, w razie gdy są już inne podobne w téj materyi, praca jest dwustronnie ułatwioną. Raz dlatego, że już każdéj prawdzie jest mniéj więcéj właściwe wyznaczone miejsce i wykazany jest związek, zachodzący między nią a innemi prawdami. Powtóre, podane są wskazówki, które ułatwiają wyszukanie źródeł i ocenienie wartości oddzielnych badań. Inaczéj rzecz się ma, gdy wypadnie dokonać pierwszego w tym kierunku zestawienia prac różnych autorów. Wszystkie trzeba należycie wystudyować, odszukać między niemi zachodzący związek, ocenić i często sprawdzić podawane wyniki, a wszystko, co zasługuje na wyłożenie, przyprowadzić do należytego systematu i odpowiedniéj formy. Taką właśnie mozolną i ogromną pracę miał p. Zajączkowski, z któréj wywiązując się poważnie, wzbogacił ogólną literaturę matematyczną pierwszym dopiéro zupełnym wykładem nauki o równaniach rożniczkowych i to w języku polskim.

Praca taka nie mogła być rezultatem dorywczo powziętego postanowienia: poprzedzić ją musiały długie studya w tym kierunku, dozwalające autorowi swobodnie zapanować nad przedmiotem. Jakoż, śledząc działalność p. Zajączkowskiego w b. Szkole Głównéj, następnie w Uniwersytecie warszawskim, a obecnie w Instytucie technicznym we Lwowie (którego jest profesorem zwyczajnym), wi-

dzimy go w ciągu tych lat kilkunastu jeśli nie corocznie wykładającym ten przedmiot, to niemal corocznie ogłaszającym jednę lub więcéj prac w tym kierunku. Pierwszą z nich, jeśli się nie mylimy, była rozprawa „O całkowaniu równań rożniczkowych, o częściowych pochodnych rzędu pierwszego,“ obroniona przez autora w roku 1866 na stopień doktora w b. Szkole Głównéj. Następne prace zostały umieszczone w „Archiv der Mathematik“ Grunertta, w „Wiadomościach C. Uniw. Warsz.“ w „Pamiętnikach“ Tow. n. ś. i Akademii umiejętności w Krakowie. Po długiém tylko i sumiennėm przygotowaniu można się było wziąć do wypracowania takiego dzieła.

Treść dzieła p. Zajączkowski podzielił na cztery części, którym nadaje różne od siebie rozmiary, zależnie od materyału, jaki się do wyłożenia nadawał.

Bardzo zręcznie w części pierwszéj prócz określeń, podziału równań różniczkowych i ich przekształceń ogólnych, pomieszczone zostały różne uwagi nad powstawaniem równań różniczkowych, tak zwyczajnych jak i częściowych. Choć można się zgodzić z autorem, że kwestye te należą do rachunku różniczkowego i tam winny być traktowane (jak to robi np. p. Bertrand), to jednak, przy wykładzie nauki o równaniach rożniczkowych na skalę przyjętą przez p. Zajączkowskiego, rzecz ta jest koniecznym wstępem i najtrafniejszém wprowadzeniem czytelnika, czy słuchacza, do tego działu rachunku nieskończonościowego. Tém więcéj, że przy całkowaniu równań spotka się on z rezultatami, których wyjaśnienie, przez wiadomości w tym wstępie wyłożone, będzie dlań wielce ułatwionėm.

W części drugiéj, poświęconéj równaniom rożniczkowym zwyczajnym, po badaniach ogólnych własności rozwiązań tych równań, z których na szczególną uwagę zasługuje badanie istoty rozwiązań osobliwych, przeprowadzone w należytéj ogólności, autor przystępuje do całkowania tych równań. Postępując zaś w tém systematycznie, od przypadków prostszych do działów ogólniejszego porządku, przy podaniu metod całkowania każdéj z oddzielonych klas równań, autor zręcznie umié się wciąż utrzymać na jak najogólniejszém stanowisku, nie uciekając się, pod wpływem szczególnych założeń, do różnych znanych sposobów postępowania, trafnych wprawdzie dla osiągnięcia danego celu, ale za to niedających dość ogólnego poglądu. Systematycznie wykładając rezultaty badań różnych uczonych, nie przeładowywa jednak niemi swéj pracy, starannie unika podawania tego wszystkiego, co przez późniejsze prace zostało uproszczone lub zastąpione i posiada dziś tylko znaczenie historyczne. Np. nie

podaje znamion Euler'a, Poisson'a, Timmermans'a, Cauchy'ego na odróżnienie całek szczególnych od rozwiązań osobliwych, w obec faktu prostoty i pewności nowych znamion, wynikających z pracy p. Darboux. Słusznie badaniom rozwiązań osobliwych autor wiele troskliwości poświęca. Pewne szczególne zamiłowanie, jakie autor ma do téj kwestyi, wychodzi na wielki pożytek czytającego. Podanie zasad wielce uprawianego przez angielskich badaczów rachunku symbolicznego i zastosowanie ich do całkowania tych równań jest może pewnym zbytkiem, lecz przez prostotę, przy ścisłości wykładu téj części, usprawiedliwione zostało to wprowadzenie, tyle w każdym razie odrębnego sposobu całkowania, którego pożyteczność wydaje się nam kwestyą, mogącą tylko przez dalsze dotąd oczekiwane rozwinięcie być wyjaśnioną. Badania własności i zastosowań mnożnika Jacobi'ego są przedstawione wyczerpująco.

W części trzeciéj, stosunkowo najmniejszej, autor zajmuje się równaniami o rożniczkach zupełnych, do których, jako do kształtu ogólnego, dają się sprowadzić tak równania rożniczkowe zwyczajne jak i równania rożniczkowe cząstkowe, a których teorya, jak słusznie autor wypowiada w przedmowie, obejmie z czasem całą teoryą równań różniczkowych. Ogranicza się tu jednak p. Zajączkowski tém, co mu jako wstęp do części czwartéj koniecznem było wyłożyć. Mimo to jasność z jaką różne kwestye w téj części są traktowane pozwala nam sądzić, że obszerność jéj do całości dzieła jest odpowiednią.

W części czwartéj, mającéj za przedmiot równania różniczkowe cząstkowe, jest wyczerpująco i do wyników najnowszych badań doprowadzone całkowanie równań różniczkowych cząstkowych rzędu pierwszego, a z teoryi całkowania równań rzędów wyższych podane to, co nie podlega dziś dyskusyi. Takim chyba tylko sposobem możemy sobie objaśnić, że autor nie podaje nigdzie nawet wzmianki o metodzie Darboux (Annales de l'école normale. r. 1870) Niektóre z podanych przez autora zastosowań tworzą niemal oddzielne badania, które nader są ciekawe dla czytelnika, dając mu jednocześnie pojęcie o ważności i szczegółach teoretycznie wyprowadzonych metod i ich wyników. Do takich zaliczamy zastosowania do teoryi perturbacyj i do różnych kwestyj z fizyki teoretycznéj. W tym rozdziale autor zamieszcza badania pani Zofii z Korwinów—Krukowskich Kowalewskiéj, wyjęte z jéj rozprawy doktorskiéj a odnoszące się do istnienia całki równania różniczkowego cząstkowego, dającéj się rozwinąć na szereg potęgowy, w pewnym zakrésie zbieżny.

W „Dodatku“ pomieścił autor: Teoryą ogólną rozwiązań osobliwych równań różniczkowych zwyczajnych, na którą się złożyło uogólnienie i systematyczny wykład badań poprzedników na tém polu, jako też rezultaty samodzielnych dociekań p. Zającczkowskiego. W ustępie tym autor dotychczasowe różne kwestye o rozwiązaniach osobliwych oblekł w szatę doktryny.

Mimo takiéj obszerności wykładu przy staranném unikaniu wszystkiego, co zbytecznem dziś się stało, materyał nie został jeszcze wyczerpanym. Autor pominął badania, mające na celu z własności równań różniczkowych wyprowadzenie własności funkcyj, zadość tym równaniom czyniących, a témsaméni będących ich rozwiązaniami. Pominięcie to było słusznem. To, co zdobyto dawniéj w tym kierunku, przedstawia rezultaty otrzymane przez metody szczególne, dobre na razie, lecz potrzebujące być zastąpionemi przez inne, ogólniejsze. To zaś, co jest rezultatem prac późniejszych nieco i spółczesnych, przedstawia się dotąd w postaci mało nadającéj się do podręczników. Teorye owe muszą się rozwijać przez czas jakiś w tym samym co dotąd charakterze, dopóki takowy nie zostanie zmienionym przez pewne uproszczenie i ujednostajnienie. Wtedy dopiéro będzie właściwie wciągać je do podręczników.

Takie kilkostronne umiejętne ograniczenie materyału, z którego autor korzystał, jest jedną z nader ważnych jego zasług. Inną jest zasługą umiejętne powiązanie prawd; przy wykładzie systematycznym rezultatów różnych prac, autor nie jeden z dowodów uprościł, nie jeden podał własny, na czém tylko zyskała jednostajność i dostępność wykładu.

Nastrój, w jakim praca jest trzymana, odpowiada wysokości zadania. Autor nie wchodził w uprzystępnianie zbyteczne wykładu i wyprowadzanie rzeczy, które czytelnikowi powinny być wiadome, ułatwiając mu zapełnienie braku w tym względzie (gdyby takowy się okazał) przez wskazanie: gdzie i w jakich podręcznikach owe rzeczy się znajdują. Nadto staranne wskazanie prac, w których były pierwszy raz przeprowadzone kwestye rozbiérane, ułatwia czytelnikowi odszukanie źródła, gdyby z takowém zapoznać się pragnął.

Bogaty i staranny zbiór przykładów podnosi wielce wartość dzieła. A jestto nader ważna strona każdego podręcznika.

Język nieco odrębny, znamionujący wszystkie prace p. Zajączkowskiego, jest w każdym razie jasny, a wysłowienie wszędzie staranne. Razi tylko z obcego języka żywcem wzięty wyraz „linijny,“ który tak często musi być przez autora używanym. Czyżby

nie lepiéj było używać już wyrazu „liniowy,“ który jest zgodny z duchem języka a został przez p. Frączkiewicza utworzonym i zawsze był przezeń w wykładach używanym; przez to uniknęlibyśmy wyrażeń: linijny i linearny.

Sprawozdanie nasze z pracy p. Zajączkowskiego, za długie być może dla czytelników „Ateneum,“ kończymy szczerém wyznaniem, że Towarzystwo przez wydanie powyższéj pracy przyniosło zarówno uczącym się, jak i literaturze naukowéj znakomitą usługę, pod wpływém czego trudno nam nie powiedzieć: więcéj prac takich!

---

# KRYTYKA.

---

Źródła dziejowe. Tom II.—Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z kościołem rzymskim w XVII wieku, z dwóch rękopisów włoskiego i łacińskiego, w przekładzie polskim wydał Adolf Pawiński. Warszawa. 1876, str. V i 222.

Nie wielką była ludność ormiańska w Polsce, rachowano ją zaledwie na 3.000 głów. Szczupła garstka przybylców, rozproszona na kilkunastu odległych punktach, byłaby zapewne utonęła bez śladu w masie ludności miejscowéj, gdyby wyjątkowe zdolności tego plemienia nie zapewniły mu wydatnego w kraju stanowiska. Ormianie skupili w swych rękach prawie cały nasz handel ze Wschodem i na téj drodze dobili się bogactw, znaczenia i przywilejów. Dawno to już mędrzec grecki powiedział, że gdyby nie podróże obywateli, społeczeństwo pozostałoby zbiorowiskiem istot dzikich i nieokrzesanych. Zajęcia handlowe właśnie zmuszały Ormian do częstych podróży, dawały im znajomość ludzi, miejsc i rzeczy, podnosiły oświatę i ogładę towarzyską. Poseł francuski, przejeżdżający przez Lwów za czasów Jagiełły, chwali sobie ucztę i tańce „z damami,“ jakie wyprawili mu tamtejsi Ormianie. Przez podróże nabywali oni znajomości języków obcych, która podziwienie budziła w innych krajowcach. Łazarz Słoniowski „zwiedził znaczną część świata, zna też dlatego 78 języków,“ „dobry człowiek“ i zasłużony krajowi, za co obdarzony został szlachectwem. Marya, mniszka ormiańska w Kamieńcu, liczyła lat tylko 35, a już „świat cały zwiedziła, Armenią, Ziemię św. i Włochy,“ więc „oprócz języka ruskiego i tatarskiego, mówiła po włosku i po ormiańsku.“ Obok podróży, Ormianie szukali oświaty i w kraju. Nie mając szkół własnych, posyłali dzieci na naukę do szkół łacińskich: uczono się filozofii u jezuitów, teologii u dominikanów, niektórzy jeździli do akademii w Zamościu. Więk-

sza część rajców ormiańskich we Lwowie mówiła po łacinie. Dowiadujemy się tu ciekawego faktu: za pośrednictwem naszych szkół i naszych Ormian cywilizacya zachodnia sięgała w głąb' Azyi i, być może, odegrała tam ważniejszą rolę, aniżeli bezpośrednie wpływy przodujących w oświacie narodów europejskich, bo teatyni włoscy wysyłani do Mingrelii byli wyłącznie lekarzami, kiedy tymczasem wpływowe stanowisko sekretarza patryarchy zajmował lwowianin, uczeń jezuitów.

Jakże więc dziwnie obok tego wyglądają wiadomości, podawane o ciemnocie panującéj wśród Ormian polskich w XVII wieku! Czémże objaśnić ten nagły niby upadek? Ależ bo społeczeństwo ormiańskie dzieliło się na dwa nader różne odłomy. „Wszyscy prawie Ormianie (mówi nasze źródło) dziś są albo księżmi, albo kupiectwu się oddają“ (1). Jakoż, w obec nielicznéj ludności świeckiéj, uderzająco wielką była cyfra duchowieństwa; księża byli żonaci, dzieci swe kierowali do stanu duchownego, co klasę kościelną nadmiernie mnożyło, a zarazem torowało, jak zaraz obaczymy, drogę wpływom ujemnym.

Osiedleni od kilku wieków w południowo-wschodnich ziemiach rzeczypospolitéj, ormianie złączyli się z krajowcami sercem, językiem i obyczajami, wyróżniali się zaś hierarchią osobną i obrządkiem religijnym tylko, że pominiemy tu pewne właściwości dogmatyczne, które w życiu codzienném nie miały zapewne doniosłego znaczenia. Ormianie należeli do kościoła, zwanego gregoryańskim, i uznawali władzę patryarchy eczmiadzyńskiego, mającego siedlisko w Armenii. Arcybiskupi i biskupi, rezydujący w Polsce, oraz większéj od nich używający powagi doktorowie kościelni, wartabiety, otrzymywali święcenia od patryarchy, po które pospolicie jeździć na wschód musieli; podróżowali tam z różnych powodów duchowni niższego stopnia. Nawzajem wschód wyprawiał do Polski nietylko legatów, czasowo tu przebywających dla załatwienia pewnych spraw kościelnych, ale i kapłanów stale osiadających.

Skutkiem tego, duchowieństwo Ormian naszych było pod ciągłym wpływem kraju, zostającego, względnie uważając, na arcy niskim stopniu cywilizacyi, a co większa, rekrutowało się w znacznéj części z ludzi urodzonych na odległym wschodzie. Tym to sposobem wytworzył się ów szczególny kontrast; że gdy społeczeństwu świeckiemu dostępne były wszystkie owoce oświaty europejskiéj

(1) Jedyny w tym względzie wyjątek stanowił ubogi lud w Śniatyniu, „bo Ormianie w tém mieście głównie pasterstwem się bawią“ (str. 82).

wśród kleru panowała umysłowa i obyczajowa pomroka. Tu pokarmy dzielono na czyste i nieczyste. Tu wiara w sny i prognostyki była powszechną: złamanie się pastorału rzuca przestrach na duchowieństwo, jako niemylna wróżba nieszczęścia. W trudnych razach uciekano się do magii i czarów, straszono duchami. Tu opowiadano, że dyabli porwali człowieka z pokoju i zanieśli go na cmentarz, że książka sama się z miejsca ruszyła, poszła, a spocząwszy na ustach nieboszczyka, przywróciła mu życie. Nikt nie wątpił, że żona jednego bezbożnika „porodziła potwór z rogami, jak zwykle czartów malują.“ Szymon, mnich przybyły ze wschodu, ku zgorszeniu nawet najbardziéj zabobonnych, trzymał ukrytą na ołtarzu „kartkę magiczną“ z przepisem „otrzymania różnorakiéj szczęśliwości.“

Ormianie nie mieli drukarń, księgi więc rękopiśmienne, z każdym wiekiem, wzbogacały się nowemi baśniami, do których fantazya wschodnia tak jest pochopną. Można w nich tedy było czytać, że Tyrydat król armeński, za zabicie św. Rypsymy, zamienił się w wieprza; albo znowu, że „jest wysoka góra Ararat, inaczéj Masis, na któréj niedostępnym szczycie dotychczas podobno przechowuje się w zupełności arka Noego, prócz jednéj tylko deski;“ ale i o nią nie potrzebujemy się kłopotać, bo zaraz dodano, że ją „podobno w jakimś kościele pilnie przechowują.“

Wielu pomiędzy księżmi było „prostaczków“ nieukształconych, tak iż niedouczony, ale zręczny „za drugiego uchodził Bazylego między owemi, co ślepi będąc, wysoko wynoszą zézowatego szalbierza.“ Na najwyższe godności kościelne wyświęcano młodzieniaszków lat 22 liczących wieku, nie zasług. Wielu też pędziło życie gorszące. Jeden, „przyjaciel kart i zabaw“ trzyma karczmę tuż obok kościoła „ku zgorszeniu całego miasta,“ co mu jednak nie przeszkadza ubiegać się o godność oficyała. O drugim, a był on właśnie rodem z Persyi, dowiadujemy się, że to szalbierz, co za złe obyczaje był jakiś czas w zamknięciu, a z Warszawy wypędzono go za różne awantury; trzeciego obito za pijaństwo i osadzono w wieży, która widocznie uleczyła go z pociągu do trunków gorących, skoro po uwolnieniu został muzułmaninem. Innemu zarzucano tylko, że nie dochowywał sekretu spowiedzi. Jeśli takie były obyczaje niższego duchowieństwa, można poniekąd zrozumieć niezwykłą u nas szorstkość postępowania zwierzchników. Biskup Bogdanii za lada uchybienie bił księży kijem, którym się podpiérał, arcybiskup zaś zerwał publicznie swemu koadyutorowi z piersi łańcuch złoty z krzyżem.

Porządki i obrządki kościelne dawały innowiercom pobudkę do szyderstw i nagany. Metryk nie utrzymywano wcale, nie można

przeto było sprawdzić, czy zawiérający małżeństwo nie znajdują się w zbyt bliskich stopniach pokrewieństwa. Ormianie składali ofiary z bydła przed drzwiami kościołów; obchodzili uroczystość Bożego Narodzenia w dniu 6 Stycznia, „ku wiecznym drwinkom ludu polskiego i ruskiego, który wymawia Ormianom, że najprzód obchodzą święto Obrzezania, a późniéj dopiéro Chrystusowi rodzić się każą.“ „Grecy, którzy Ormian nienawidzą zapamiętale,“ o zachowywanym przez tych ostatnich poście wstępnym powiadali, że go „postanowił jakiś biskup ormiański po śmierci swojego ulubionego psa.“ W Kamieńcu, gdzie Ormianie podlegali żywszemu wpływowi wschodu i używali języka tatarskiego, obchodzono uroczyście „ofiarę żydowską.“ „Wprowadzono do kościoła ofiarę, t. j. wołu ozdobionego kwiatami, ze świécami na rogach i bogatą kapą na grzbiecie. Tym czasem.... razu jednego ktoś dał ognia z rusznicy: wół, przestraszony hukiem, wybiegł na miasto ze wszystkiemi swemi ozdobami, wlokąc za sobą po błocie piękną kapę, ku wielkiéj uciesze i ku pośmiechowisku“ wszystkich innowierców, „którzy ze szczególną przyjemnością widzieli w ten sposób przerwaną ceremonią.“

Bolało to oświeceńszych Ormian i wskazywało na konieczność reformy.

Duchowieństwo nie miało żadnego uposażenia stałego; utrzymywało się z jałmużny wiernych, jałmużny przybierającéj niekiedy cechy wymuszonego poboru. Gmina, dostarczając księżom funduszów, kontrolowała ich użycie, a rajcy, jako jéj przedstawiciele, chcieli rej wodzić w sprawach kościoła: ani wyświęcanie księży, ani zadzwonienie na nabożeństwo nie mogło się obejść bez ich zezwolenia. I duchowieństwu przeto potrzeba odmiany dotkliwie czuć się dawała. Tymczasem jednak wrzały między arcybiskupem a gminą wiekuiste a gorszące kłótnie. Nie mogąc wdawać się w szczegóły, powiemy, że dzieje tych zatargów stanowią wymowny, acz smutny komentarz do owych słów: uderzę w pasterza, a rozproszą się owce.

Chcąc raz położyć tamę rosterkom, Ormianie zjednoczyli się z kościołem katolickim, co zaszło w połowie XVII wieku. Unia ta była wewnętrzną sprawą Ormian i wynikła z własnego ich popędu. Rząd nie miał w tém czynnego udziału. Owszem, znany z tolerancyi Władysław IV sprzeciwiał się z początku ruchowi unickiemu, a Jan Kazimierz, lubo sam był gorliwym katolikiem, trzymał się w téj sprawie na uboczu i, mimo wstawiennictwa Rzymu, nie chciał dać arcybiskupowi za wprowadzenie unii ani opactwa, ani żadnéj innéj nagrody. Nawet szlachta, tylokrotnie pomawiana o fanatyzm,

sprowadzała z Mołdawii Ormian dyzunitów i budowała im kościoły (str. 172).

Pierwszą potrzebą zjednoczonych Ormian było zaradzenie nieuctwu zagnieżdżonemu wśród kleru. Dotychczas radzono sobie w ten sposób, że posyłano kleryków na naukę do szkół łacińskich— środek nie ze wszystkiém dogodny. Taki np. Mytrowicz z Lublina przeszedł kurs u jezuitów aż do poetyki, ale po ormiańsku czytać nawet nie umiał, a podobnych mu było zbyt wielu. Przytém, nieraz uczniowie szkół łacińskich porzucali obrządek ormiański i wstępowali do zakonów katolickich: bliski krewny arcybiskupa był dominikanem. Owóż, gdy pomimo wprowadzenia unii, język ormiański pozostał w kościele językiem obrzędowym, należało pomyśléć koniecznie o własnéj szkole. W r. 1662, w czasie pobytu nuncyusza we Lwowie, Ormianie prosili go o przysłanie z Rzymu ojca Klemensa Galana ze zgromadzenia teatynów, który, jako historyk Armenii, wielkiéj używał sławy. Odtąd sprawę całą prowadzi nuncyusz i misya teatynów, utrzymywana kosztem kolegium de propaganda fide, krajowe zaś duchowieństwo katolickie, jeśli nie stawiało wprost przeszkód unii, to częstokroć utrudniało pracę w tym kierunku (str. 139, 144, 155, 167, 168). Kilka wyjątkowych objawów sympatyi, dosyć zresztą platonicznéj, uchodziło za coś tak nadzwyczajnego, że wywołuje z ust misyonarzy pochwały nadmierne.

W takich występując warunkach, misya dla skutecznego działania wymagała od pracowników wielkiéj gorliwości i większéj jeszcze wiary. I przyznać jéj należy jedno i drugie, kiedy nie zrażała się żadną przeszkodą. Na pierwsze pomieszczenie dano jéj izbę, w któréj prócz tego mieszkało dwóch księży różnych obrządków, żołnierz i pachołek, „pomieszczenie wielce niewygodne, bo na kochanéj ziemi, gdzie zwyczajem tutejszego kraju trochę siana podesłano.“ Choroby, zmiana osób w misyi, niezawsze zgodne poglądy na sposób działania, chwiejność arcybiskupa, odmawianie młodzieży, wreszcie rozbieżenie się kolegium z powodu najazdów tatarskich i kozackich, nie zdołały ostudzić gorliwości teatynów. Praca nieustająca stanowiła zasadę programu szkolnego. Oprócz kształcenia się w naukach, uczniowie obowiązani byli sami utrzymywać porządek domowy. Nie zaniedbywano także „przyjemnych i użytecznych ćwiczeń w deklamacyi i tragedyach, przez co nasi alumni kształcili się na dobrych mówców, a nadto jednaliśmy sobie życzliwość wszystkich warstw ludu, który się z wielką przyjemnością na to schodził.“ Tragedyą o św. Rypsynie „przyjęło całe miasto z nieopisanym zapałem.“ Uczniowie odbywali dysputy, bronili tezy z teologii i filozofii, w językach łacińskim i ormiańskim, a gdy razu pewnego biskup

przysłany od patryarchy „wyzwał do walki biegłego alumna, tak utknął sromotnie wśród dowodzenia, że z miejsca daléj ruszyć nie był wstanie.“ Wiek panegiryków nie mógł się obejść bez szumnych dedykacyj; przypisywano więc tezy znakomitościom duchownym i świeckim. Poświęcono pierwszą tezę papiéżowi Klemensowi XI, ale i pana chorążego kamienieckiego zaszczyt podobny nie ominął.

Skutki działalności kolegium były oczywiste dla wszystkich; w r. 1668 ukończyło nauki dwóch alumnów, jeden z nich wnet objął kierunek szkoły w Jazłowcu i tak starannie ją prowadził, że 60 uczniów liczyła. We Lwowie otworzono przy misyi szkołę, w któréj alumni nauczali 30 zgórą chłopców. Z kolegium misyjnego w ciągu niewielu lat wyszło 17 wykształconych kapłanów, jeden doktor czyli wartabiet, jeden biskup, wielu teologów, kilku kaznodziéjów, z których trzej naczelne nawet między łacinnikami zajmowali miejsce. Czterech alumnów wysłano do Rzymu, o których kardynał Colonna mawiał „że to nie młodzieńcy, ale aniołowie byli, jak Bóg przykazał wychowani.“

Na tém kończy się z rokiem 1676 opowiadanie, ogłoszone w „Źródłach dziejowych.“ Wiemy zresztą, że dzieło, dobrze rozpoczęte, pomyślnie się rozwinęło: dziś Ormianie, zachowując swój osobny obrządek, stanowią szanowną i wielce pożyteczną część naszego społeczeństwa.

Książka, o któréj mówimy, jest przekładem z dwóch rękopisów włoskiego i łacińskiego, czyta się z łatwością i zawiéra dosyć szczegółów do historyi obyczajów i kultury; czytelnik, wziąwszy ją do ręki, z zajęciem karty jéj przebieży. Przekład dokonany jest językiem poprawnym; w kilku tylko miejscach napotkaliśmy wyrażenia niejasne. Tak na str. 11 czytamy, że Ormianie „nowo wyświęconym kapłanom każą przez dni czterdzieści ciągle stać,“ nie chcemy spierać się z księdzem Pidou, czy jego tłómaczem, który uznaje to za „rzecz godną pochwały i naśladowania,“ a więc i możliwą, i lubo czytaliśmy nieraz powiastki tego rodzaju o fakirach indyjskich, jednakże w podobną wytrzymałość muskularną, równie nam trudno uwierzyć, jak w historyą owego chłopca co 40 godzin leżał bez ducha, a przez dotknięcie cudowną książką przywrócony został do życia. Więcéj przeto mamy zaufania do autora drugiego rękopisu, który twierdzi, że „świeżo wyświęceni księża całe czterdzieści dni spędzają w kościele, gdzie śpią, jedzą i czytają.“ Wyrażenie „książka z lekcyami“ jest zbyt literalnym przekładem łacińskiego *liber lectionis* (str. 211), co znaczy raczéj książkę, odczytywaną w refektarzu podczas obiadu (ob. str. 207). Zamiast niemożliwego w ustach katolika wyrażenia „przeklinać jak heretycy Diafizyci“ (str. 7),

bo właśnie katolicy są diafizytami, powinno być: przeklinać diofizytów jako heretyków (porówn. str. 36). W opisie obrządku chrztu nie można zrozumiéć komu starucha ma przedstawić rodziców chrzesnych (str. 10), i dopiéro z opisu na str. 128 przekonywamy się, że w pierwszém miejscu, albo oryginał włoski został zepsuty, albo go źle zrozumiano. Unja *karmelicka* (str. 158) chyba przez lapsus calami zajęła miejsce unii *ormiańskiéj*. Na str. 170 (wiersz 5 od dołu) mylnie powiedziano „przedstawiając zdanie,“ należało bowiem wyrazić się przeciwnie: zasięgając zdania. Różnic jakie zachodzą w niektórych nazwach ormiańskich (str. 37 i 55, albo str. 11 i 61), nie możemy objaśnić sobie.

---

Źródła dziejowe. Tom III. Stefan Batory pod Gdańskiem w 1576—7 r. Listy, uniwersały, instrukcye wydał i szkicem historycznym poprzedził Adolf Pawiński (str. LXXII, 360 i A—O). Tom IV. Początki panowania w Polsce Stefana Batorego 1575—1577 r. Listy, uniwersały, instrukcye wydał i rozprawką o Synodzie Piotrkowskim z r. 1577 poprzedził Adolf Pawiński (str. XXXVII, jedna nieliczbowana i 292). Warszawa, 1877 r.

Ktokolwiek pierwszy raz ogląda zbiór naszych numizmatów, zwróci bezwątpienia uwagę na szereg monet, poczynając od dukata a kończąc na szelągu, na których w miejscu zwykłego popiersia królewskiego jest wyobrażenie Chrystusa, trzymającego w ręku jabłko świata, z napisem w otoku: „Broń nas Zbawicielu (Chryste).“ Napis téj treści nie jest w numizmatyce wyjątkowym. Różnemi czasy, dobre i złe sprawy wzywały w taki sposób pomocy niebios: głos dobrych nie zawsze bywał wysłuchany, złym—czasami się powodziło. Jeżeli, przez ciekawość, odwrócimy jednę z tych monet na drugą stronę, ujrzymy dwa krzyże pod koroną—herb Gdańska, a wyryty obok niego rok 1577 wskaże nam, że mamy przed sobą pamiątkę zuchwałego buntu spanoszałych mieszczan, świadka pierwszych dni panowania jednego z najznakomitszych królów.

Do wyświecenia téj właśnie epoki dziejów naszych bogaty przedstawiają materyał dokumenta urzędowe w liczbie 328, ogłoszone w dwóch tomach, których tytuły przywiedliśmy na czele; poznanie zaś jéj ułatwiają znamienicie dwie rozprawy, dołączone przez uczonego wydawcę. W krótkich słowach opowiemy co się w tych księgach zawiéra.

Gdy efemeryczny król Henryk ujechał sobie z Panem Bogiem do Francyi, w kraju zostawił po sobie w spadku nieład moralny i materyalny. Przy wstępnéj elekcyi, głosy się rozdzieliły; jak wiadomo, jedni obrali Stefana Batorego, drudzy—cesarza Maksymiliana, a do

stronnictwa „cesarzjanów,“ jak ich wtedy nazywano, należało i miasto Gdańsk. Po odbytéj koronacyi Stefana, to ostatnie stronnictwo zaczęło szybko topniéć, niknąć, i niebawem nawet najzapaleńsi cesarzjanie uznali Batorego królem. Jeden tylko Gdańsk odmawiał tego uznania. „Nawiedził Pan Bóg koronę tę wielką i szkodliwą trudnością od Gdańszczan nieposłusznych, króla jmci i korony poddanych, z któremi król jmć jako łaskawie postępował, jako się im pilnie starał, żeby je dobremi a prawie ojcowskiemi obyczajami do posłuszeństwa przywiódł, żadnemu to tajemno nie jest. Ale owi, aby rebelią swą upornie prowadzili,“ poczęli się na gwałt zbroić, a co gorsza, wchodzili z postronnemi w stosunki podejrzane, od których do jawnéj zdrady krok jeden tylko zostawał. Gdy wszelkie środki łagodności wyczerpane zostały, a miasto upamiętać się nie chciało, zapozwano Gdańszczan przed sąd królewski, gdzie, po upływie terminów, uznani zostali za jawnych buntowników. Wyrok ten stał się hasłem do wojny, do któréj się wcześnie przygotowali mieszczanie, a rozpoczęli ją od czynów, przypominających poniekąd teraźniejszą walkę w Prusach, prowadzoną pod pretensyonalną nazwą „walki o kulturę.“ Gmin gdański, w dwa dni po zapadłym wyroku, uderza na kościół i klasztór dominikanów, urąga świętościom, mnichom zadaje rany, bibliotekę nieposlednią na owe czasy—zawierała bowiem 669 ksiąg drukowanych, nie licząc rękopisów—niszczy, a kosztowności rabuje. Podobnaż klęska dotknęła opactwo cystersów w Oliwie, pomnik hojności dawnych książąt Pomorza, „klasztor zacny, wystawnym budowaniem zbudowany:“ Gdańszczanie „pobrawszy z niego wielkie i bogate klejnoty kościelne, prawie z gruntu zburzyli i zniszczyli.“ „Miejscy synkowie,“ wyszedłszy na rycerzy kultury, zabili ekonoma opackiego i nie omieszkali wyprzątnąć mu kieszeni; zabrali też miecz, który był „srebrem ozdobiony.“ Rabunek szerzył się coraz daléj, nie przepuszczano ani szlachcie, ani wieśniakom. „Targnęli się,“ jak król powiada, „na domy szlacheckie, które splondrowali i krwią ich uczciwą oblali.“ W delikatnym języku mieszczan zwało się to „drobnemi przykrościami sąsiedzkiemi.“ Ale największy gniew Gdańska padł na posiadłości Karnkowskiego, biskupa kujawskiego, puszczone z dymem, gdzie tłuszcza gospodarowała „niegorzéj Tatara,“ z którym miasto weszło właśnie w konszachty. „Kronikarz gdański milczy o pobudkach tego wybuchu;“ p. Pawiński, nie bez słuszności domniemywa się, że udział Karnkowskiego w konstytucyach z r. 1570, noszących jego imię a ujmujących miasto w kluby prawa, był przyczyną téj barbarzyńskiéj zemsty. Dodajmy, że to Karnkowski, zastępując niechętnego prymasa, włożył w Kra-

kowie koronę na czoło Stefana i tém zadał cios dotkliwy nadziejom „cesarzjanów.“

Król z garstką żołnierzy wyruszył ku Gdańskowi, ale do prowadzenia wojny energicznie nie miał ani wojska, ani przyborów oblężniczych, ani pieniędzy, których stan rycerski, zebrany na sejm w Toruniu, nie bardzo był ochoczy dostarczyć; bez tego zaś akcya poważna stawała się niemożliwą. Bo nie z jednéin miastem przychodziło walczyć. Posiłki szły do Gdańska z Pomorza, Lubeki, Danii, Szkocyi, a z regestru jeńców widzimy, że nie byłato wcale zbieranina, ale żołdacy z rzemiosła, którzy po 20 lat i więcéj wojskowo służyli. Inflanty i Kolonja przysłały wodzów doświadczonych; niektóre miasta Prus królewskich wyraźnie były monarsze niechętne, a Żuławianie zdradzali. Królewiec dostarczał buntownikom żywności i zapasów; statki i dostatki Gdańszczan znajdowały tu bezpieczne schronienie, gmin stolicy Prus książęcych zagrażał przybyłym tam komisarzom królewskim, a rządcy tego lennego kraju przeszkadzali, gdzie mogli działaniom Stefana. W takich okolicznościach, kroki wojenne przerywane były układami, zrywanemi i na nowo zawiązywanemi. Gdańszczanie „rozmaitych fortelów najdować i używać przez te wszystkie czasy nie zaniechali. Posyłali częste posły swe do jkmci, glejty sobie wyprawowali, traktaty czynili, kondycye podawali; ale wszystkie te ich postępki obłudne i wykrętne były, gdyż pod tym czasem ludzi żołnierskich więcéj do miasta przyjęli, miasto wały, municyami tém więcéj umocnili.“

Gdy zima przyniosła faktyczne zawieszenie broni, pycha mieszczan nie znała już granic. Z wiosną umyślili już nie czekać napaści pod osłoną swych murów, lecz wstępnym bojem zgnieść szczupłe wojsko królewskie, obozujące pod Tczewem; poczém, nietrudno było, jak marzyli, oderwać całe Prusy od Korony. Dowództwo zamierzonéj wyprawy powierzyli biegłemu w sztuce rycerskiéj mężowi, Janowi z Kolonii. Kilkakroć jednak odkładano termin wyruszenia w pole z powodu przeszkód, których rodzaj, jako i „kasturę“ obojga stron walczących poznać możemy ze słów spółczesnego pisarza. „Pan Bóg wszechmogący z łaski swéj naprzód począł łaskawie ostrzegać onego nadętego hetmana gdańskiego, znacznie mu okazał znak gniewu swego, bo skoro się ruszył z ludem, powstało wielkie powietrze, łyskawica, trzaskanie gromu i deszcz gwałtowny. Owa, gdy z bramy miejskiéj wychodzili, dwa mu rajtarowie w przekop z mostu wpadli, jednego ledwie ratowano, drugi utonął. Pod samym Hans-Kolnem koń także bardzo szwankował, aż knechci, którzy podle niego szli, zaledwie go uchwycili. Sztuka się niemała baszty urwała i w przekop wpadła: on to bacząc, kazał się z ludem nazad wrócić.

Wszakoż tego nie przypisował on nadęty niemiec kaźni ani napominaniu Pańskiemu, ale gusłom abo czarom babim, i dał wsadzić dwie stare białegłowy, przyczytając im to, aby ony tego czarami swymi nabroić miały" (Paprocki).

Wszakoż w końcu Jan z Kolna wyprowadził swe roty lądem i wodą. Na wieść o tém, hetman Zborowski, zostawiwszy w Tczewie małą załogę (1), dla strzeżenia miasta i Wisły, wyruszył o milę na zachód ku Rokitkom i tu uszykował swe wojsko (2). Przed samém południem, 17 Kwietnia 1577 r. „poczęło się wojsko Kolnowe sypać jak czarny las." „Naszych garstki i wrogów gromady" ruszyły naprzód i stoczyły bój śmiertelny... dla niemców. „Wszystko ono ich wojsko od małéj liczby ludzi jkmci jest prawie na głowę porażone i zbite." Mnóstwo ich potonęło w jeziorze Lubieszowskiém, które swéj nazwy użyczyło téj bitwie. Pościg rozgromionych był długi i krwawy. Liczby „pobitych ludzi trudno wiedzieć, bo w pogoni różno je bito, a ktemu chłopstwo po lesiech, po górach, po wsiach, po stodołach bili, mordowali." Na samém pobojowisku „według karbów, co przysiężni ludzie karbowali, pochowano ich 4416." Strata Zborowskiego nie dochodziła sta ludzi. Jeńców wzięto tysiąc; „u ślachty i u wieśniaków tyle czworo, bo już one niemce zbiérali po górach i po dąbrowach tak jako grzyby." Trofea stanowiły wszystkie działa i pięć proporców, z których na jednym był napis: „Złota wolność," godło równie wtedy dla Gdańszczan, jak później dla nas fatalne. Po téj porażce „mógł się każdy spodziéwać, że to miasto miało wżdy już ku sobie przyjść a poczuć się w powinności swojéj. Ale nad mniemanie wszystkich, najmniéj tym nie będąc wzruszone, jeszcze większą, jadowitszą rebelią swoję" daléj prowadziło.

Nie będziemy streszczali dalszych kolei wojny, ciekawy czytelnik znajdzie je w obszerném opowiadaniu prof. Pawińskiego skreślone żywo i z talentem, któremu sprostać byłoby nam zbyt trudno. Poprzestaniemy tu na wzmiance, że jeśli działania wojenne nie dosyć żwawo prowadzone były, wina za to spada nie na króla Stefana. W Koronie opozycya niezupełnie przycichła, Litwa i Ruś miały in-

---

(1) Paprocki mówi, że sto drabów z roty Firleja, z czterema działami; według p. Pawińskiego, „zaledwie 50 koni"; ale sam Zborowski pisze, że 50 pieszego ludu.

(2) Prof. Pawiński mówi, że wojsko Gdańskie zajęło na noc „stanowiska pod wsią Langowem, prawie naprzeciwko rot polskich." Owóż Langów czyli Langenau leży zdala, bo w połowie drogi z Gdańska do Tczewa i wcale nie naprzeciwko Rokitek. Paprocki między Langowem a Tczewem liczył półtory mili drogi.

nych nieprzyjaciół na karku, a ziemie pruskie, których sprawa gdańska dotyczyła bezpośrednio, uchwaliły wprawdzie pobór na roty zaciężne, lecz w uiszczeniu onego mało dawały dowodów gorliwości i dobréj woli. Trzy tamtejsze starostwa żywności „nic dodawać nie chcą,“ lubo je posiadali ludzie bogaci, jak Jan Dulski, Anna Konopacka i wojewoda malborski. Opieszałość w spełnianiu rozporządzeń królewskich okazywano w sposób gorszący: 7 Maja Stefan polecił starostom, aby wójci i sołtysi dostawili konie, ale wojewodzie malborskiemu musiał to ponawiać jeszcze 31 Maja. Nawet duchowieństwo pruskie, czegoby się trudno było spodziéwać, boć tam i o jego najdroższe interesa, jeśli nie o sam byt, chodziło, grubym a niedaleko patrzącym grzeszyło egoizmem. Tak kapituła warmińska, która od opłaty uchwalonego na sejmiku poboru wykręca się, zwłóczy od Maja do Sierpnia i rozkłada go sobie na raty, w ciągu jednéj nocy znalazła pieniądze na złożenie okupu korsarzom duńskim, którzy Gdańskowi na pomoc przybyli. Tysiąc talarów zaraz nie odesłała sama, wraz z więźniem, którego władze krolewskie oddały jéj pod nadzór, a siedm tysięcy obiecała niebawem zapłacić, Ciż sami kanonicy warmińscy, co na usprawiedliwienie zwłoki względem króla nie umieli nic przytoczyć (incertum qua de causa), jakże się wymownemi stają, kiedy chodzi o przekonanie dzielnego Bekiesza, że mimo jego zakazu, resztę obiecanéj „piratom“ sumy wypłacić muszą. Jakby przejęci byli duchem niepojętéj dla nas emulacyi, powołują się, niby na wzór godzien naśladowania, na to, że Brunsberga „już cały“ okup wypłaciła. Nie mogą się oprzéć „łzom biédnych wieśniaków,“ którzy w złożeniu okupu widzą swoje jedyne ocalenie. Przecięż i wrogowi dotrzymać należy słowa, jak mniemają rzetelni w tym razie kanonicy. „Zwyczaj i księgi nauczają nas, że nawet królowie i książęta zwykli dochowywać nieprzyjaciołom wiary, a my temi nędznemi pieniędzmi najprzód słowa danego z konieczności dotrzymamy, a powtóre, na przyszłość zapewnimy sobie u wszystkich szacunek.“ Śmiech bierze, czytając te wyrazy, bo ci idealni niewolnicy danego słowa targowali się, jak pisze Bekiesz, z piratami i zamiast sześciu tysięcy, cztery im tylko dawali.

Gdzie tacy są pasterze, czegóż się po owieczkach spodziewać można? Oto już wiemy, że Brunsberga dała pięć tysięcy talarów okupu, z takim pośpiechem, że nawet niepochopny do rozwiązania worka Frauenburg doznał uczucia zawiści. Tolkmicko, wprzódy nim mu zagroziło niebezpieczeństwo istotne, przyjmuje nieprzyjacielską załogę. Ztąd wysyłają na okręty korsarskie beczki z piwem, ztamtąd dostarczają węgorzy aż sześcią łodziami. Szpiegostwo do tego stop-

nia rozwinięte, że nieprzyjaciel o ilości dochodu Warmiaków tak dobrze był zawiadomionym, „iż krajowiec nawet tamtejszy dokładniéj wszystkiego wiedziéć nie mógł.“ Wszystkiemu temu towarzyszą jednak ciągłe a solenne zapewnienia o niezachwianéj niczém wierności królowi, oraz denuncyacye na bliższych i dalszych sąsiadów. Zaiste, trudno o widok bardziéj szpetny i wstrętny,—wstrętnym téż był nawet dla bezstronnych cudzoziemców. Kasper Bekiesz powiada wprost, „że nic nie może być nikczemniejszego nad tych tu ludzi“ (III, 236), a trudno nie dać wiary członkowi, którego Batory zwał „mężem poważnym,“ w którym spółcześnie wysławiali „męstwo i umiarkowanie,“ „wielki umysł, rozum i ludzkość.“

Wśród tylu okoliczności nieprzyjaznych, niepodobna było ważyć się na kroki stanowcze, zwłaszcza przy szczupłéj liczbie wojska, a zupełnym prawie braku pieszych ludzi, „których do téj sprawy najwięcéj było potrzeba.“ Robił jednak król Stefan co było możliwe. Ustanowił najprzód rodzaj gwardyi konnéj. P. Pawiński dopatruje w niéj podobieństwo do zbrojnych drużyn, któremi się otaczali w średnich wiekach książęta, do owego kwiatu rycerstwa, które miał obok siebie Kanut W. Mniemamy, że te porównania niedokładne dają wyobrażenie o charakterze i organizacyi hufca batorowskiego. Nie był on wcale drużyną średniowieczną, złożoną z ochotników goniących za sławą, walczących z dobréj woli i nieznoszących hierarchicznego ustopniowania. Przeciwnie, wojsko to składało się z zaciężnych, stale płatnych, ex quovis ordine et sorte hominum, zbiéranych ze wszystkich prowincyj, a organizacyą swą zbliżało się raczéj do typu wojsk nowoczesnych. Hufiec podzielony był na roty, które zwerbować mieli rotmistrze. By jednak roty mieć podatniejszemi, aniżeli były poczty nadworne wielkich panów, którym werbunek powierzono, król postanowił, że rotmistrz w swéj rocie, liczącéj 100 koni, nie może mieć na swym żołdzie więcéj nad 24 jeźdźców, resztę między towarzyszów czyli dziesiątników rozdzielić powinien. Towarzyszowi znowu nie wolno było mieć więcéj sześciu koni, mniéj—dozwolono. W organizacyi dawniejszéj wojska przechowały się istotnie niektóre zwyczaje średniowieczne, a dla powodzenia kampanii szkodliwe. Batory starał się je wykorzenić. Tak np. wojsko po bitwie Lubieszowskiéj stawia, między wielu innemi, takie żądanie: „A iż téż wiele nas jest, którzy gwałtowne potrzeby do domów swych mamy, gdyż opatrzenia około praw naszych nie mamy, prosim, aby za łaską jkmci mogliśmy na krótkie czasy odjeżdżać.“ Nam takie żądanie wydawać się musi, co najmniéj, zabawném; onego czasu nie było takiém, gdyż je uświęcał obyczaj wiekowy, i mniéj mu się dziwić będziemy, skoro w urzędowym spisie jeńców, wzię-

tych Gdańszczanom, przeczytamy następną notatkę: „Hans z Godbisu, strzelec, z dzieciństwa Kriksman pod Lemką, *do żony się prosi*". W czasach takiéj naiwności żołnierskiéj, prosty zakaz odjazdu mógłby nie znaléść u szlachty posłuchu; pozwolić nań—było znowu niepodobieństwem. Batory więc odpowiada tak wojsku: „na samych to rozsądek panów żołnierzów JKMość przypuszcza, jeśli się godzi in medio cursu śród wojny odjachać, coby nie tylko z wielgą szkodą reipublicae było, ale téż i z żalem onychże samych by być musiało, gdyby krwawa praca ich i takie zwycięstwo wniwecz się obrócić miało a pożytku reipublicae nie uczyniło, i przeto żądać raczy, aby przez kogo innego na ten czas potrzeby swe *domowe* opatrywali." Potrzeby zaś *wojskowe* były szczególnym przedmiotem pieczołowitości i zabiegów króla. W czasie téj wojny bodaj czy nie pierwszy raz spotykamy urząd prowiantmajstrów (proventmagistri), które to obowiązki pełnili dwaj kasztelanowie, śremski i sochaczewski. Oni to winni byli spuszczać Wisłą żywność dla wojska, oni mieli nadzór nad markietanami i ustanawiali obozowe ceny produktów.

Tymczasem pod Gdańskiem boje szły naprzemian, lub jednocześnie, z układami: mieszczanie w jednych i w drugich równą okazywali zaciętość. Szturm do latarni, lubo skończył się dotkliwą Gdańszczan porażką, twierdzy téj wszelako z rąk ich nie wyrwał. W tym właśnie czasie, szlachta powiatów nadmorskich wniosła do króla instancye o wznowienie układów i wzięła na się pośrednictwo w téj sprawie. Niebawem miasto wysyła, jak powiada wydawca naszych dokumentów, „pokorny list do panów senatorów, zawierający w sobie długi wywód niewinności, a w rzeczy samej zawsze te same warunki". Nam się wydawał list z 18 Sierpnia (bo o nim właśnie tu mowa) nie pokornym, lecz nadmiar zuchwałym, zuchwalszym nad wszystkie inne (1). Gdańszczanie, jak dawniej pisali paszkwile, tak teraz pozwalają sobie dawać nauczki królowi i senatorom, rzucać na niektórych, lubo imiennie niewskazanych, podejrzenia, a czynią to z całą świadomością, i zuchwalstwo listu każą tłómaczyć na dobrą stronę, bo to, „z boleści ich wypłynęło". Gdyby dyplomacya chodziła ze szczerością w parze, byliby niewątpliwie powiedzieli: wiemy, królu, że brak ci sił dostatecznych, gdyż rzeczpospolita niezbyt skwapliwie cię wspiéra; twarde ci wprawdzie stawiamy warunki, aleć je musisz przyjąć, nietajno nam bowiem, że groźne położenie innych prowincyj nakazuje ci zawrzéć z nami zgodę jak najprę-

---

(1) Znajdujemy w nim wyrażenia w takim np. rodzaju. „Libertates.... et provinciae totius et nostras variis modis imminutas, iura manifeste violata, privilegia ut plurimum eversa fuisse."

dzéj. Usiłowali więc Gdańszczanie wytargować jak najwięcéj, czuli się jeszcze bezpieczni, posuwali się przeto aż do bezczelności. Bo i jakże inaczéj nazwać ów punkt w *pokornym* liście, gdzie panom rady, otaczającym króla Stefana czynią zarzut z tego, czego domagali się od cesarza Maksymiliana wysłańcy partyi rakuskiéj, partyi, do któréj i Gdańsk należał? (III, 192). Obok tak niesłychanego zarzutu postawićby można chyba dawniejsze ich żądanie, aby mieszkańców Mierzei nie pociągano do przysięgi na wierność królowi (III, 38). W tém to żądaniu zdradza się miasto z swemi ambitnemi marzeniami o zupełnéj niezależności politycznéj, o wyłącznéin panowaniu na morzu. Dawnoż to owe Klefeldy, Ferbery, za lada pozorem ścinali głowy frejbiterom Zygmunta Augusta? Wierność dla Maksymiliana czczą była tylko wymówką, skoro wojna zawrzała w najlepsze już po śmierci tego cesarza. Nie możemy więc listu z 18 Sierpnia nazywać pokornym, a z odpowiedzi, jaką nań w trzy dni potém senatorowie wysłali i ze znakomicie napisanéj odpowiedzi, danéj ze strony króla w połowie Października, przekonywamy się, że i spółcześni nie dopatrywali w nim pokory (1). Będziemyż maskować gorzką prawdę? Kraj nie chciał, czy nie umiał zdobyć się na odpowiednie rozwinięcie sił, miasto zdołało go trzymać w szachu przez półtora roku z górą, bo ono swych zasobów nie skąpiło, w końcu téż postawiło na swojém niemal w zupełności. W tym względzie rozchodzimy się z uczonym wydawcą, który innego jest zdania. Przy ostatecznych układach, Gdańszczanie to redagują projekt aktu, zabezpieczającego swobodę wyznania augsburskiego, projekt przeprosin, które złożyć winni, projekt zniesienia grawaminów (2), projekt potwierdze

(1) Jak mało byli Gdańszczanie skłonni do pokory, jak nawet dla osób zdala od pobojowiska przebywających nie było w tym względzie wątpliwości, widzimy, między innemi, choćby z tego, co Anna Jagiellonka odpowiada im na prośbę o wstawienie się do króla. Cały zresztą przebieg wypadków stwierdza to nader wyraźnie.

(2) Projekt ten dwa razy jest wydrukowany (№№ CLVII i CLIX), mniéj potrzebnie, bo cała różnica zawiéra się w czterech wyrazach obojętnych, wprowadzonych do drugiego projektu. Punkta zgody, podane przez króla 4 Października (III, 259) i po 25 Października (III, 304), są także słowo w słowo jednakowe. Podobnież pod № CLXXIX podana jest forma abolitionis, czyli wzór odwołania dekretu proskrypcyjnego, a pod № CLXXXV dekret ten w ostatecznie ustalonéj redakcyi, która wszakże jest literalném powtórzeniem owego wzoru, z usunięciem kilku błędów ortograficznych a dodaniem natomiast innych. Dla kilku warjantów bez znaczenia (np. *et* zamiast *ac,—fidemque* zamiast *fidem*) nie warto było wzoru owego, zajmującego przeszło kartę druku, zamieszczać w całości, i dość było warjanty, jeśli o ścisłość chodziło, podać w ustach pod tekstem ostatecznie przyjętym. W tomie IV, № CXLVIII i CXLIX pomimo różnicy w nadpisie i o jeden dzień różniącéj się dacie, są identyczne: co pierwszy po polsku, to drugi po łacinie powtarza.

nia przywilejów, projekt punktów, odwołujących proskrypcyą, gdzie w punkcie 9 „mieszczankowie“ grożą, że jeśli król całkiem konfiskaty nie cofnie, użyją odwetu na poddanych królestwa. Miasto postawiło na swojém, bo król zgodził się wreszcie na to, że Gdańszczanie wykonają przysięgę dopiéro po odwołaniu dekretu proskrypcyjnego; postawiło na swojém, gdyż w potwierdzeniu przywilejów Gdańska (III, 350) zamieszczony został, zgodnie z jego żądaniem, wyraz *magistros*, zamiast wyrazu *magistratus*, którego król pragnął. Miasto utrzymało się przy swojém, król bowiem, oprócz głównego aktu uspokojenia wydał Gdańszczanom cztery inne dokumenta: 1. cofnięcie dekretu proskrypcyi, 2. potwierdzenie przywilejów, 3. skasowanie procesów i 4. zapewnienie swobody religijnéj, akt zbyteczny, skoro konfederacya już warszawska zapewniła pokój między różnowiercami w całym kraju,—akt szkodliwy, gdyż potwierdzając na rzecz jednego miasta to, co już było ogólném prawem Korony, zdawał się wtórować pretensyom Gdańszczan, jakoby prawa koronne do nich się nie stosowały; psuł zatém dzieło unii Lubelskiéj, do czego głównie mieszczanie zmierzali, lubo w ciągu całych rokowań ani razu nie wymieniono wyraźnie Lublina.

Gdańsk, bez wątpienia, ucierpiał wiele przez wojnę, musiał nadto zapłacić 200.000 złotych p., musiał przeprosić króla, ale ocalił wyłączność swego stanowiska. Korona poniosła również ofiary niemałe, tryumf jéj wszelako nie był zupełnym. Jeden tylko Elbląg miał powód radować się szczerze: uzyskał nowe przywileje, król darował miastu temu większą część poboru, złożonego na wojnę, a syndyk tamtejszy obdarzony został szlachectwem.

W ciągu tych długich i uciążliwych układów, postępowanie króla ze wszech miar było wzorowém. Instrukcya, którą dał komisarzom, mającym odebrać przysięgę od Gdańszczan, pięknie świadczy jak o rozumie politycznym, tak o szlachetności i umiarkowaniu Stefana. Poleca on komisarzom kierować rzecz w taki sposób, aby umysły łagodziły się a nie rozdrażniały, i wzbrania najmniejszéj wzmianki o rzeczach minionych. Wjazdu do Gdańska zrzekł się dobrowolnie, chociaż ugoda dała mu do tego prawo. Umieliż to przynajmniéj ocenić mieszczanie? przestaliż choć na chwilę być kramarzami? Daremne pytanie. Polityka rzadko bywa w dobrém porozumieniu z etyką serca, a uczuciami posługuje się o tyle, o ile z nich oręż zaczepny wykuć sobie może. Od dyplomatów portowego miasta, które urosło ze złotéj pszenicy sandomierskiéj, które bogaciło się z wielkopolskiéj słoniny, z wołyńskich klepek i wańczosu, moglibyśmy tylko wymagać rzetelności kupieckiéj, płacenia pięknem za

nadobne. I w tém wszelako doznamy zawodu. Ostatnie słowa ostatniego z ogłoszonych dokumentów uczą, że mieszczankowie wywzajemnili się królowi, odmawiając wydania tak zwanych rewersalów, to jest aktu, poświadczającego wykonanie przysięgi na wierność. „Miała Polska swoję Wenecyą“ powiada o Gdańsku wydawca; my byśmy rzekli, że miała tylko targowicę, równie zapamiętałą, jak w dwa wieki późniéj inna Targowica.

Bądźmy wszelako bezstronni. I rola Gdańska w tych zapasach nie była pozbawiona wielkości. Widzimy ją, przedewszystkiém, w tém ścisłém zjednoczeniu się wszystkich klas ludności, od dumnych i bogatych patrycyuszów począwszy, a kończąc na ubogim proletaryacie portowym,—zjednoczeniu, którego nie zdołały zachwiać ani porażki w otwartém polu poniesione, ani niedostatek, jaki się mieszkańcom miasta oblężonego z konieczności daje we znaki. I toć to było lepszą dla nich obroną niż grube mury i fosy głębokie. I nie mówcie, że jednomyślność wynikła z potrzeby, z poczucia wspólnego niebezpieczeństwa. *Taka* jak ich, jednomyślność urodzić się jedynie mogła z niekłamanéj a gorącéj miłości do rodzinnych murów, i tylko to uczucie, mniemamy, było w stanie utrzymać węzły zjednoczenia do końca, w obec klęsk, które na Gdańszczan spadały. W istocie, aż do samego zakończenia wojny, widzimy, jak gmin troskliwie czuwa nad wszystkiém, jak pilnuje interesów miasta: pisanie not dyplomatycznych i uczone wywody prawne zdaje biegłym piórom starszyzny, ale o istocie układów, o treści warunków, chce zawsze sam wiedzieć i o nich głos swój daje. Widzimy z drugiéj strony patrycyat, który nie zraża się tą podejrzliwą ostrożnością gminu, nie obwinia go o demagogiczne popędy, nie ucieka, unosząc swe skarby z płonącego budynku, a zostawiając plebs jego losowi,—ale swym rozumem, nauką, stosunkami, bogactwy ratuje wspólną nawę i, dzięki zgodnym wysileniom wszystkich i każdego, doprowadza ją do pożądanego portu.

Daléj chwała Gdańszczan polega na tém, że rozumieli dobrze położenie ówczesne; zgodnie z tém założyli sobie cel, zastósowany do środków, któremi rozporządzać mogli, a gdy raz przyłożyli rękę do pługa, już odtąd, według nauki ewangelicznéj, nie oglądali się wstecz, jeno kroczyli wytrwale do celu owego, dopóki go nie osiągnęli. Stałości i energii, które rozwinęli w całéj téj sprawie, nic osłabić nie było zdolne; owszem, potężniały one z każdym nieledwie miesiącem, „acz nie szczędził je Pan Bóg, gdyż wszędzie, gdziekolwiek się jedno ten nieprzyjaciel z murów i z błot ukazał, zawżdy był bit i klęskę odniósł.“

Wreszcie, niepodobna odmówić hołdu téj wzniosłości umysłu mieszczan, która nie dozwalała robić z jednostek kozły ofiarne na rzecz niby dobra ogólnego. W każdéj odezwie miasto żąda lub prosi o uwolnienie swych delegatów i powtarza swe prośby dopóty, aż delegaci wolność odzyskali. O los najemnych żołnierzy, obcych miastu pochodzeniem, Gdańsk z równą zabiega troskliwością, jak o najdroższe swoje prawa, jak o swobodę religijną, jak o potwierdzenie przywilejów. A wszakto o żołnierzu najemnym powiedziano gdzieindziéj, że to najlepsze wojsko: jak zwycięży—z łupów zapłatę otrzyma, a skoro rozbite zostanie—płacić go nie trzeba. Dodajmyż i to, że miasto zastrzegło u króla najobszerniejszą amnestyą dla wszystkich swoich stronników i pomocników.

Księga podkanclerska, z któréj wydawca przeważnie czerpał dokumenta, zapełniające tomy III i IV „Źródeł dziejowych,“ oprócz sprawy gdańskiéj, dotyczy polityki wewnętrznéj i zagranicznéj, administracyi, finansów i obejmuje bogactwo szczegółów. Stanowi ona niejako dziennik różnorodnych czynności królewskich, biuletyn moralnego i politycznego zdrowia narodu. Przedmioty i barwy zmieniają się tam jak w kalejdoskopie. Czytelnicy „Ateneum“ może zechcą obejrzéć z nami niektóre, wyjęte ztamtąd widoki.

Z pobojowiska nadbaltyckiego, na którém strzały ucichły, ruszamy ku stepom, sięgającym morza Czarnego, na Podole, gdzie, dla sąsiedztwa z Tatary, życie było iście nieustannèm czuwaniem z nogą w strzemieniu. Oto co pisze p. Buczacki. „Dziś już na koń wsiadać miałem, do Baru rano posłałem do pana starosty Chmielnickiego, coby miał czynić? Niźli mi przyjachał od niego chłopiec siadłem kęs zjeść. Dano mi z Baru znać, iż w sobotę na zachodzie słońca straż moja spostrzegła Tatar na Runawie.... to miejsce od Baru mil 11; wczora tuż Baru mogli dosiądz albo się z nim zrównać, jeśli spieszno idą.... Dotąd nie mam więcéj, aleć to dosyć złego..... Ludzi sam zgoła nie masz, ani o kupie sam, jako baczę, myślą. My tylko mamy wolą wyjechać z Buczaca a z Jazłowca i to słaby poczet, quid est inter tantos.“ Lud w popłochu, groźne wieści lotem ptaka kraj obiegają: „tam pewna wiadomość przyszła, że już Tatar wojsko wielkie jest pod Oleskiem;“ ztąd znowu donoszą, „że w niedzielę nocowali między Barem a Dołłuskowem.“ Rozważny p. Herburt „baczy w tém contrarium,“ „wyjąwszy żeby się na dwoje rozdzielili;“ ale „już pewnie, że ci pohańcy są w ziemi,“ więc chwyta za pióro i „we wtorek świąteczny hora tertia noctis“ zawiadamia o wszystkiém p. wojewodę Mieleckiego. A wojewodę właśnie król powołuje pod Gdańsk, kiedy Podole już w płomieniach. Któreż z dwóch niebezpieczeństw wybrać? Bliższe ma więcéj dla wojska uroku, ale

posłuszeństwo królowi ciągnie gdzieś na kraniec świata. „Cny Mielecki, mąż sławny, jakiego wiek nie miał dawny“ bieglejszy w sztuce rycerskiéj, niźli w jeografii, wynurza swój kłopot szwagrowi Zamoyskiemu. „Dziś hora 12 doszedł mnie Wmci list *z jakiejś* Iławy, kędy mi Wmć inter alia raczysz pisać, abych się spieszył.... Teraz w téj godzinie co mię za wieści doszły razem, że już mamy goście, a to Wmci posyłam. Raczże to Wmć J. Kr. Mci oznajmić, a do wieczora co wiedzieć co mię jeszcze dojdzie. Cóż tu czynić, z kimże a do kogóż? Ale by i nabarzej chcieliśmy, wieleż nas? Wszakże nie do cudzoziemca piszę. Zabiegi wielkie i ci co naprzód są, słyszę, oczyma do Lwowa obracają. Ja czekam odpisu od króla JMci: co mi każe uczynić, to uczynię.... By kto chciał z domu, ja pomogę towarzystwa, Boże, by z pożytkiem. Co czas ukaże a Pan Bóg nauczy to będę czynił: jako mi to łacno i lekko, łacno Wmć rozsądzi, gdyżem dyszlem wszystek już i myślą ku królowi JMci.“ Jednym dniem późniéj, p. Sieniawski „oznajmuje podkanclerzemu“ nowinę niepocieszną o tych pohańcach.... że już po Podolu harcują około Baru, Międzyboża i Zinkowa (1), palą, biorą; nadaléj o jutrze sam około Podhajec a Brzezan spodziewam się ich. Posyłamy do jkr. mci o tym wszystkim, harcując a o ratunek prosząc.... Ludzie tak są chętni do kupy, że każdy woli do miast, do zamków uciekać, żonę, dzieci porwawszy.... Wież to Bóg, dadzą li nam wytchnąć, albo stanie li na tym ich teraźniejszym wtargnieniu. Spodziewamy się jeszcze drugich ludzi po nich.“ Ile to w tych harcach przelało się krwi zacnéj—długo byłoby opowiadać; stare księgi prawią o tém z właściwą sobie prostotą: „Którzy do młyna weszli, acz długo się bronili, ci tam zgorzeli od pogan zapaleni.... bronili się póki im prochu stawało, ale czterem trudny odpór niezliczonej liczbie poganom.“ (Paprocki).

Niebezpieczeństwo w domu nie przeszkadza innym prowadzić politykę i wojnę na własną rękę. Takim jest Janusz ks. Zbaraski, wojewoda bracławski, wojownik zasłużony, bo „często we krwi pogańskiéj szablę swą omaczał.“ W jego „imieniu“ Niemirowie „siła się łotrostwa przechowywa;“ ztamtąd chodzą czynić szkody wielkie Wołochom, i to właśnie pod ów czas, kiedy poseł króla zawarł przymierze z Turkami. Stefan ścierpieć tego nie mógł, wojewodę upomniał, szlachcie rozgromić owe łotrostwo zaleca, a pretendenta na hospodarstwo Iwana Wodę wydać swemu komornikowi nakazuje.

---

(1) Miasteczko to w t. IV str. 136 i 137 mylnie nazwane Ziukowem, a na str. 180 Zyukowem.

W starych prowincyach koronnych, wolniejszych od najazdów hordy, szlachta zaprawiona do samorządu lubo niezupełnie wyzwoliła się z ducha partykularyzmu prowincyonalnego, probuje wszelako sił na polu polityki państwowéj. Z instrukcyj, ułożonych na sejmiku radziejowskim i łęczyckim (Styczeń i Luty 1576 r.) przekonywamy się, że stan rycerski, gdy króla nie stało, umiał radzić o dobru publiczném i około niego zabiegać. Prymasa hamowano w niewczesnych zapędach, przeciw napaści zagranicznéj postawiono straże, zamki i obronę opatrywano, na wszystkie strony pilną rozciągnięto baczność. Rozerwana elekcya Batorego nasuwała poważne obawy. Szlachta mazowiecka poleca swym posłom na sejm toruński, aby się starali o namówienie artykułu de modo electionis regis (IV, 63); tegoż samego domagali się Małopolanie (IV, 204). Mazury okazują wyraźne poczucie swéj wszechwładzy, obiérają sami wojewodę, co już było wkroczeniem w atrybucye królewskie (1). Wybraniec został „odparty przez Stefana Batorego“ (Niesiec. ed. Bobr. I, 328), ztąd to zapewne powstał ów artykuł instrukcyi warszawskiéj: „Urzędy i dobra królewskie ludziom, przedtém rzeczypospolitéj dobrze zasłużonym, za króla JMci pana dzisiejszego nullo jure victo pobrane, prosić, aby były przywrócone, gdyż to bardzo obraża rzeczpospolitą koronną i prawo pospolite.“ Jakieś przeciwne prądy, niedobrze nam jeszcze znane, ostro się wtedy ściérały na Mazowszu. Podczas bezkrólewia, dziesięciu ziemian ziemi Wiskiéj odsądzono na sejmiku warszawskim od czci. Na późniejszym zjeździe szlachta poleca upraszać króla, aby „ten postępek wszego województwa nie był in dubium wokowan.“ Z ziemi Wiskiéj, jak zapisano w instrukcyi, nikt się na zjazd nie stawił; ale według deklaracyi złożonéj przez Iłowskiego kasztelana wiskiego, oponenci byli obecni, lecz protestowali przeciw uchwałom, raz w Warszawie, drugi raz przed królem. Trudno dziś oceniać ile w tém było prawdy. Zkąd inąd wiemy, że kasztelan Iłowski, obwiniony o bezprawia i zabójstwa, w sześć lat późniéj ścięty został na rynku Wizny z rozkazu Batorego. Nie brakowało więc i symptomatów chorobliwych. Rękojemstwo kmieci na Mazowszu, ostatni zabytek swobody włościan, właśnie w téj chwili zostało zniesione: „i odtąd aby ustało, i już je wygaszamy,“ zapisuje z ślepym tryumfem szlachta. Późniejsza epoka wygasiła różne inne, równie pożyteczne rzeczy, i nie na samém tylko Mazowszu.

Wielkopolanie zwracają główniéj uwagę na kwestye ekonomi-

---

(1) Był nim Stanisław Radzimiński starosta liwski (IV, 30 i 62); na str. 149 mylnie nazwany Radomińskim.

czne i skarbowe. Zajmują ich urządzenia monopolu solnego i przywrócenie wolnéj żeglugi na Warcie, którą Brandeburgia i Pomorze tamowały rozmyślnie. Rozumieją oni ekonomiczne znaczenie miast dla rolnictwa i protestują przeciw rozporządzeniom rządu, które mogłyby wywołać emigracyą z miasta Kościana. Nie bez pewnego znaczenia jest charakterystyczny kontrast między Rusią, gdzie dzierżawcą ceł jest cudzoziemiec, Kreteńczyk, a nadgoplańską kolébką państwa, która miała już swego rodzinnego finansistę. Był nim Jakób Rokosowski, kasztelan śremski a starosta ostrzeszowski, człowiek zacnego charakteru i niepospolitych zdolności. O pierwszém wnosimy z pochwał, których mu król Stefan nie skąpi, a i z tego, że dobrowolnie podniósł sumę wnoszoną corocznie do skarbu; o drugich przekonywa jego wielostronna działalność. Jestto bowiem jeden z dwóch prowiantmajstrów, o których była wyżéj wzmianka; sprawuje on zarazem urząd podskarbiego nadwornego, jest przełożonym ceł królewskich i dzierżawcą dochodów celnych w Wielkiéj i Małéj Polsce, a obraca oczywiście znamienitemi kapitałami, jeśli skutkiem poczynionych awansów i innych operacyj, skarb pozostał mu dłużnym sumę przenoszącą 70 tysięcy złotych, sumę, o któréj ogromie na owe czasy możemy już z tego powziąć wyobrażenie, iż podwójna kontrybucya, rozłożona w 1577 r. na całe bogate duchowieństwo nasze tyleż właśnie wyniosła. Wielkopolanie, daléj, wskazują, że niektórzy zatrzymują kwartę i domagają się ustanowienia kar na niepłacących podatków, bez czego dzieje się wielka krzywda skarbowi, boć oto ziemia wschowska i powiat wałecki od wielu lat żadnych nie uiszczają poborów. Widać, że bardzo Wielkopolanom chodzi o to, żeby kasy publiczne nie były puste, ale zarazem chcieliby je mieć w swém zawiadowstwie; skarżą się tedy, że król zabrał podatki z czasów bezkrólewia, które, jak rozumieją, do nich wyłącznie należą. Ten sam pogląd wyrażają Podlasianie.

Wszystkie wreszcie prowincye podejrzliwém śledzą okiem każdy krok korony, bacząc na to, aby się „prawu,“ to jest wszechwładztwu stanu rycerskiego, nie stał najmniejszy uszczerbek. Wszystkie przeto „uważają takowy postępek składania sejmików głównych bez walnego sejmu, być nowy i niezwykły,“ i zastrzegają zaraz, „aby w żadną sekwelę takowego postępku na potém nie przywodzono.“ Więc Małopolanie, dowiedziawszy się, iż król wywiera wpływ na obiór nowego opata w klasztorze pokrzywnickim, proszą, aby się mnichom „nic nad prawo nie działo, i owszem żeby je przy starych zwyczajach i prawie pospolitém zostawić raczył i przy wolnéj elekcyi.“ Więc Dobrzyniacy oświadczają, jako przez nadanie starostwa sądowego bobrownickiego kasztelanowi dobrzyńskiemu, który

w ich ziemi władzę wojewodzińską sprawuje, stało się wielkie naruszenie prawa; i mają w tém słuszność, gdyż dwa te urzędy stanowiły incompatibilia i razem chodzić nie mogły. Król znowu zwołał pierwéj sejmik do Koła, a następnie do Korczyna, kiedy wiadomo, że sejmiki korczyńskie dwoma tygodniami wcześniéj odbywać się zwykły, niźli kolskie. Takiego uchybienia prawu Wielkopolanie pokryć nie mogą milczeniem. Mazurowie, z których natrząsali się sąsiedzi, że na pierwszéj elekcyi medytowali kogo wybrać królem: „Rdesta abo Goweńskie książę,“ pragnęli teraz, widać, poprawić sławy, gdyż gorszą się tém, że Batory jest księciem siedmiogrodzkim; tytuł *Transilvaniae* podejrzanym się im wydaje; z całą powagą przeto zapisują w instrukcyi: „O tytuł Transilvaniae, porozumiawszy się z posły inszych województw, si omnibus videbitur, aby był abrogowan.“ Żałujemy niewymownie, że nie wiemy, co téż król Stefan na to mądre żądanie odpowiedział.

Nie lekceważmy jednak Mazurów. W ich tylko instrukcyi dotknięto przedmiotu, o którym inne województwa milczały, a który ściągnął na samego króla naganę u wielu historyków. Chodziło o prawa zwierzchnicze Polski nad lenném księstwem pruskiém. Kwestya to była brzemienna fatalnemi w późniejszych czasach następstwy; dlatego przytoczymy odpowiedni punkt instrukcyi Mazurów. „Nie zaniechają panowie posłowie i tego jkmci odnieść, iż na sejmik łomżyński ten przeszły, szlachta pruska, onéj ziemi przyległa przyjachawszy, odnosili swe angaria (uciążliwości) w pośrodek braciéj naszéj, prosząc, aby tam król jmć komisarze do uspokojenia księstwa feudalnego zesłać raczył, gdyż tam w ziemi téj niektóre osoby z rzesze niemieckiéj windykują sobie imperium i uciskają słabszych; ofiarują téż swe chęci, że i podatek jaki sposobem wdzięczności chcą postąpić, prosząc, aby król jmć radził o nich.“ Czytelnikom „Ateneum,“ którzy w roku zeszłym poznali z opowiadania p. Jarochowskiego „sprawę Kalksteina,“ nie potrzebujemy znaczenia téj kwestyi wyjaśniać.

Całkiem inaczéj przedstawia się nam najmłodsza prowincya państwa—Inflanty. Szlachta tutejsza nic dać nie chce, bo, jak powiada, nie może. Od króla żąda wszystkiego, a głównie obrony, do któréj przyczynia się.... dobrą radą. Przeciwną była elekcyi Stefana, a teraz, lubo ją biéda zmusza prosić o ratunek, z przysięgą na wierność, pomimo upomnień królewskich, dotąd „zuchwale“ zwlekała, a niektórzy na kraj swój naprowadzali wroga z taką zapamiętałością, że Batory dziwi się temu ich „apetytowi do jarzma.“ Obok tego, dla starożytności swego rodu, „która więcéj niż 3oo lat“ wynosi, dla przywilejów cesarskich i królewskich, „które ją zdobią,“

chowa cześć bałwochwalczą, a wyłączności kastowo-prowincyonalnéj strzeże (jak i dzisiaj) niby oka w głowie. Dla wynagrodzenia niejakiego barona Ungerna nie znajduje innego środka, jak prosić, aby król zamek dany kasztelanowi Mińskiemu odebrał i nadał takowy Ungernowi: Litwina można gdzieindziéj wynagrodzić.

Godzi się słówko powiedziéć o stosunkach szlachty z duchowieństwem. Między temi dwoma stanami istniało już nie wczorajsze zwaśnienie, które reformacya jeszcze mocniéj zaogniła. Świeccy obwiniali księży o skażone obyczaje, wykrzykiwali, że kler wyłącza się od ciężarów publicznych, a w juryzdykcyi sądów duchownych widzieli jarzmo, gniotące wolne ich karki i, jako takie, zrzucili. Dłuższa bez porównania była litania zażaleń duchowieństwa: oto dziesięcin nie uiszczano, dobra duchowne szarpano bezkarnie, kapłanów wyganiano z kościołów, a miejscami, żaków szkolnych, a nawet księży, pod pozorem, że są poddanymi, porywano i zapędzano do pługa. Cóż mówić o tylu kościołach „sprofanowanych,“ w których osadzano „ministrów heretyckich,“ kiedy na biskupstwie kijowskiém siedział Mikołaj Pac, jawny kacerz z sekty trynitaryuszów. Sądy, złożone z rycerstwa, wydawały stronne i sprzeczne z prawem, ale przychylne ziemianom wyroki. Szlachta wkładała pobory na księży, którzy w sejmikach udziału nie brali. A tu znowu król wzywa o pieniądze na wojnę gdańską. Duchowieństwo, zebrane na synodzie, składa hojną ofiarę, bo oprócz dobrowolnego datku, rozłożyło na siebie podwójną kontrybucyą; ale z goryczą się skarży na szpetną kalumnią, jakoby „w rzeczach świeckich było stanem nieużytecznym i gnuśnym. Jużci wiadomo to powszechnie, że w ciągu ostatnich lat dwudziestu obrona rzeczypospolitéj dokonywała się tylko wspólnym *kleru i gminu* kosztem, szlachta zaś, któréj te krainy są własnością, ani palcem ruszyła w téj sprawie.“ (1).

Ten ostatni zarzut godzien jest zaznaczenia, ale grzeszy przesadą. Miłość dobra pospolitego, jak mogliśmy choćby w ciągu niniejszego sprawozdania uważać, biła żywém tętnem wśród ziemian, nie zamarła jeszcze nawet w dygnitarzach; w pięknych wylewa ją słowach Stanisław Kryski, poseł do Iwana, widnieje ona i w raporcie Siemieńskiego, posła do Turek. Możemy więc jeszcze zastosować do téj epoki słowa staréj kroniki naszéj:

Fuit, fuit quondam in hac re publica virtus.

Wśród zawieruchy społecznéj, wśród szczęku bojowego, gó-

---

(1) Rzecz o synodzie piotrkowskim pięknie i wyczerpująco opowiedziana jest przez p. Pawińskiego.

ruje ponad wszystkiém wspaniała postać Stefana. Nie poczuwamy się na siłach do kreślenia wizerunku wielkiego króla. Podamy tylko kilka rysów, które w „Źródłach dziejowych“ napotkaliśmy.

Batory pokochał szczerze kraj, który mu ofiarował berło Jagiellonów, „wiedząc to, jak się wyraża, iż dobro wszystkiéj rzeczypospolitéj téj i nas, głowy jéj, ma być wspólne.“ Widział wady w ustroju politycznym państwa i natychmiast wziął się do poprawy. Najprzód starał się określić sposób przyszłéj elekcyi, aby zapobiedz anarchii, zaburzającéj bezkrólewia. Powtóre, wzywał szlachtę do usunięcia instrukcyj sejmikowych, które krępowały głosy posłów na sejmie, chciał, ażeby ci ostatni mieli zupełną władzę i nie potrzebowali brać ad referendum „do braci.“ W ciągu niecałych dwóch lat, z których posiadamy obecnie dokumenta, Stefan kilkakrotnie nastawał na to (IV, 44, 47, 243, 255—256). Myśl to była znamienita, uprzedzająca wieki. We Francyi, kwestya ta załatwioną została dopiéro pod koniec zeszłego stulecia, kiedy, dzięki energicznéj wymowie Mirabeau, tak zwane cahiers des charges, odpowiadające naszym instrukcyom sejmikowym, zniesione zostały. Dla nas i na owe czasy, może była przedwczesną i niekoniecznie bezpieczną; napotkała też silny opór, mianowicie w Małopolanach.

Wiekuiste pustki w skarbie koronnym bywały czasem źródłem klęsk, a zawsze—niemocy. Batory zaprowadził w nim ład (1), umiał szukać nowych zasobów i położył kres marnotrawstwu, nie dbając o to, że w kraju, psutym przez dwa wieki przysłowiową hojnością Jagiellonów, ścisłe rachowanie się czyniło go niepopularnym. Niesłusznie wszelako zawiedziona chciwość zarzucała mu skąpstwo (2). Widzimy z dokumentów, że ludzi zasłużonych król nagradzał, wyznaczał im znaczne pensye. Znane są jego słowa, wyrzeczone w kilka lat późniéj, kiedy dawał starostwo jednemu z oponentów sejmowych: „Chociaż zły poseł Pękosławski, ale dobry żołnierz.“ Stefan był tylko rządnym i oszczędnym. Jako sam „przestając na dosyć skromném życiu,“ pieniędzy skarbowych nie obracał „do pompy swéj,“ tak téż hamował „pompę“ magnatów, ilekroć mogła stać się

---

(1) Ob. o wydzierżawieniu ceł królewskich (IV, 78—87 i 227), o cłach na handel z Niemcami (IV, 88), o wywozie saletry (89), o towarzystwie warzenia soli w Bochni i Wieliczce (IV, 107), o sposobie dokonywania wypłat zagranicą (IV, 181), o rozkładzie poborów (III, 33—34), o kursie monety zagraniczněj (IV, 264).

(2) Reakcya opinii w tym względzie nastąpiła wnet po zgonie Stefana. W paszkwilu napisanym wtedy, głos „zmarłego króla“ jest taki: „nie ma większego przeciw cnocie występku, jak kiedy się wychwala po śmierci to, czego się niecierpiało za życia.“ (Zbiór pamiętników Włodz. hr. Broel-Platera, IV, 75).

uciążliwą skarbowi. Wyprawionemu w poselstwie wojewodzie Kryskiemu, który 3oo koni karmił, powiada król otwarcie: „Co się tyczé orszaku wierności waszéj, rozumiemy, że go masz znacznie większy, aniżeli tego sprawa wymaga. Nie widziémy też coby z tego przyszło, chyba tylko niemałe uciążenie szczupłym i wyczerpanym zasobom skarbu naszego.“ Jakże ta nauka potrzebną była krajowi, co późniéj głośny wjazd Ossolińskiego do Rzymu, czczą ceremonią, do ważnych zdarzeń zaliczał! Przewiduje téż Stefan, że państwo sąsiednie, idąc za tym przykładem, w podwojonym poczcie wyprawi do nas posłów, na których podejmowanie zbyt wielkie wydatki ponosić byśmy musieli. Nie ufał chyba jednak skuteczności słowa i wolał na radzie senatu określić liczebnie orszak różnych ajentów dyplomatycznych: Kryskiemu przyszło blisko o połowę zmniejszyć liczbę koni. Łakome na piéniądz Tatary wyprawiali do nas poselstwa nietylko od chana i synów jego, ale nawet od chańskich dzieci, od niewiast, i całéj téj gromadzie trzeba było dawać stacye; co gorsza, „Horda (1), Turcy, Trachowie, Armeni i Żydowie i inni kupcy przyjeżdżali za posły,“ a w rzeczy saméj trudnili się handlem z uszczerbkiem skarbu i kupców krajowych. Batory oświadcza, że tylko posły od chana i tych jedynie synów jego, „którzy się będą już godzić do wojny,“ otrzymają stacye, a kupców wcale posłami mieć nie chce. Cała instrukcya poselska, z któréj ten szczegół wyjmujemy, odznacza się jakąś ujmującą prostotą. Warto ją odczytać choćby dla tego, że godzi zręczność ze szczerością w sposób, notom dyplomatycznym niezwyczajny.

Wszystkie sprawy życia publicznego zwracały uwagę króla; porządek wewnętrzny w miastach, pokój między dysydentami, krzewienie nauk, urządzenie siły zbrojnéj (wojsko ustanowione na Podolu dla straży od Tatarów liczyło 1.33o koni). Chwalcy Napoleona I nie mają dosyć słów na podziwianie jego wszechstronnéj działalności i przytaczają na przykład, że podczas kampanii rosyjskiéj, wydawał rozporządzenia dla teatru w Paryżu. Nam taka uniwersalność nie imponuje i wyżéj cenimy Stefana, który w chwili staczanych z Gdańskiem bojów, ma na pamięci, „iż nie należy mu zaniedbywać starania około nauk, których użyteczność jest tak wielką, że znikąd inąd większa rodzajowi ludzkiemu przyjść nie może.“ Postanawia więc urządzić w Krakowie nowe gimnazyum królewskie na

---

(1) W „Źródłach histor.“ wydrukowano w têm miejscu wyraz „Bazarcy“: czy to nie omyłka zamiast *Bucharcy?* Mógłby on zresztą oznaczać mieszkańców miasta Karasubazar, leżącego w Krymie.

wzór tego, które Franciszek I urządził w Paryżu (1), i wyprawia zagranicę sekretarza swego, celem sprowadzenia mistrzów wszelkich nauk, którym przyrzeka stałe wynagrodzenie, przywileje i niezależność.

Zajęty sprawami wielkiemi, nie przeto lekceważył rzeczy mniejszéj doniosłości, wszystkiém sam chciał kierować; ztąd, czy komisarzom do Gdańska, czy posłowi na synod piotrkowski, albo na zwykłe sejmiki, czy delegatowi do kapituły przemyskiéj, dawał informacye ścisłe i szczegółowe, a niekiedy wprost dyktował: co i jak mają mówić, jak się zachowywać. Wszędzie zaprowadzając porządek, zaczął od dworu swego, stanowiąc „artykuły spraw i rządu, jaki ma być na dworze króla“ (regimen morum). Rozgłośne stacye dworskie, przeciw którym piorunował już nasz publicysta XII wieku, owe stacye tyle uciążliwe dla chłopków, które wyrwały z ust królowéj Jadwigi pamiętne słowa: „któż im łzy powróci?“—król Stefan ujmuje w ścisłe kluby. „A iż też w ciągnieniu i na noclegach przez niebaczne ludzie wielkie się szkody ubogim poddanym tak w zbożu, łąkach, jako i w domiech, ogrodziech i oborach dzieją, tedy ktoby się śmiał tego ważyć.... także też żywność wszelaką domową albo i sprzęty jakiekolwiek gwałtownie brać, ten ma być karan i stronie dwojako zapłacić będzie powinien.“ Każdy ma wedle szacunku płacić, „aby żaden brać nie śmiał pod łaską i karaniem króla JMci.“

Ponad wszystkie jednak zalety wojownika, polityka, administratora, czcimy w królu Stefanie *męża sprawiedliwego*. Zdanie to jest powtórzeniem poglądu tego monarchy; mówił on bowiem: „Ponieważ między cnotami królewskiemi najważniejszą jest sprawiedliwość, dla któréj głównie królowie są ustanowieni, konieczném jest, abyśmy nie tylko innych chcieli mieć takiemi, ale też i sami sprawiedliwi byli.“ *Suum cuique*, dewiza zapisana na tarczy herbowéj, a gwałcona w praktyce przez dom Brandeburski, była rzeczywistém godłem Batorego; nie nosił jéj wprawdzie w herbie, ale miał zawsze w pamięci: sam stosował się do niéj, innym przypominał ją i zalecał (III, 74; IV, 134). Swój czy obcy, przyjaciel lub wróg, zawsze mogli być pewni ścisłego wymiaru sprawiedliwości; dla faworów nie było miejsca. Żuławianie byli królowi nieprzychylni, zdradzali go nawet; a jednak Stefan osobnym przypiskiem w liście do wodza po-

---

(1) Batory tak się wyraża: „ad instar gymnasii regii Cameracensis Paressiis a domino Francisco primo Galliarum rege conditi“ (IV, 178). Mowa tu o słynném Collége de France, założoném po pokoju w Cambrai (Cameracum), około r. 1530.

leca, aby rycerstwo zapłaciło im wszystko, co się należało za żywność. Własność Gdańszczan i tych, którzy mieli z nimi stosunki, uległa sekwestrowi. Gdy mieszczanie elblągscy, grzesząc zbytkiem gorliwości, rozciągnęli ten rygor do kilku osób mniéj słusznie, Batory nakazał zdjąć sekwestr i rozporządził na przyszłość, aby osobom podejrzanym, jeśli rękojemców stawić mogą, nie aresztowano wcale rzeczy. Od wojska przychodzi prośba: „Także też o więźnie prosim JKMość, aby nas porównać raczył z rycerstwem węgierskiem, to jest, aby tych byli, którzy je pojmali,“ „przeto aby chęć rycerstwa do męstwa rosła.“ Król na to: że lubo więźnie „wszyscy są zawżdy iuris regii,“ przychyla się jednak do prośby na ten raz (nie ubliżając na przyszłość temu przywilejowi korony); ale dodaje, „że te więźnie tak Polacy jako i Węgrowie społem znieść mają do pana hetmana, a potem słuszny podział z ich okupu ma się każdemu dostać.“ Toż samo uczucie sprawiedliwości i litości dla pokrzywdzonych kazało mu w odzyskanych późniéj Inflantach pomyśléć o wyzwoleniu uciśnionego tam srodze chłopstwa (Pamiętniki Millerowe).

Polecając starostom rzetelne uiszczanie duchowieństwu dziesięcin, tak rozkaz swój objaśnia: „wiadomo, że zgodę królestw, stanów i osób prywatnych niczem bardziej umocnić nie można, jak sprawiedliwością, z krzywdy zaś łacniej aniżeli z czego innego, rodzą się kłótnie i niezgody, to jest, gdy się nie oddaje co komu należy.“

Potrzebaż jeszcze wspominać o staraniach podejmowanych nad uporządkowaniem sądów, o ustanowieniu trybunałów?

Kto sam tak postępował, miał prawo dawać innym nauki; a nie brakło do tego Batoremu odwagi cywilnéj, na któréj częstokroć wojownikom zbywa. Przy rozdwojonéj elekcyi, wybraniec jednego tylko stronnictwa, Stefan, lubo już odbył koronacyą, zbyt trzeźwo patrzał na rzeczy, aby nie widział, że tron jego jest jeszcze chwiejnym. Cóż mogło być naturalniejszém w jego położeniu nad staranie się o popularność i schlebianie rycerstwu? Atoli nawet w tak trudnych okolicznościach nie zaparł się tego, co uważał za swój obowiązek. Wytyka więc szlachcie „gwałty, łupiestwa, mordy,“ wojsku „swawoleństwa, zuchwalstwa i wszystek inny nierząd“ (IV, 42). Czytając ową instrukcyą królewską na sejmiki, w któréj się znajdują powyższe słowa, miejscami zdaje się, że masz przed sobą jedno z sejmowych kazań Skargi, a piękny język téj odezwy jeszcze bardziéj złudzenie podtrzymuje. Co się odważył Batory napisać, tego nie uląkł się, jak głosi podanie, powiedziéć posłom w żywe oczy: „Złemi jesteście stróżami swojej wolności.“ Gdy Warmia mniejszy, aniżeli

wypadało, złożyła podatek, król wystósował do znanego dziejopisarza, biskupa Kromera, ostre słowa prawdy, które nasuwają myśl, że łatwiéj historykowi pisać na temat patryotyzmu dźwięczne frazesy, niźli praktykować je w życiu.

Nawet wojsku, które odniosło zwycięstwo Lubieszowskie, Stefan nie oszczędzał prawdy, lubo, jako okrytemi świéżą zasługą, napomknął ją delikatniéj. Chodziło o oddanie rycerstwu wszystkich jeńców, których okoliczni ziemianie i chłopi pochwytali po bitwie. Król taką daje rezolucyą: „Do szlachty i do poddanych swych wszystkich JKMość raczył mandaty dać, aby oni wszystki więźnie panu hetmanowi oddali, gdyż *jeśli nie ludzi służebnych, których krwią bitwa wygrana jest*, tedy tém mniéj ich więźnie ci są.“ W rzeczy saméj, świetną tę „wiktoryę“ nie sama tylko wywalczyła szlachta: z listy poległych i rannych widzimy, że giermkowie, pacholikowie i słudzy popisywali się nie mniéj walecznie od panów „towarzyszów.“

Jeszcze rys jeden, wykazujący rzetelność króla, nawet w drobiazgach ścisłą. Znawca i miłośnik broni dostrzegł w skarbcu koronnym dobrą szablę; ale że była w złoto i dyamenty oprawiona, pochwy i rękojeści nie tknął: „król Stefan wziął od niéj żelazo“ (1).

Takim był Batory, takim przynajmniéj widzimy go w rozpatrzonych przez nas dokumentach. Powiadają, że podczas trzechletniego więzienia u Niemców, wiele czytał, że z pomiędzy historyków najwięcéj upodobał sobie Cezara. Wiedząc, jakim był późniéj na tronie, radziéj byśmy przypuścili, że ulubieńcem jego był Plutarch.

Wspomnieliśmy na początku o pieniążkach, będących jedyną pamiątką wyprawy gdańskiéj; obecnie prostujemy to wyrażenie, gdyż „Źródła dziejowe,“ z których osnową pragnęliśmy czytelnika obznajmić, są drugą, ale lepszą i niepożytą pamiątką, a wydawcy słuszny się za to dank należy. Wcale bowiem nie wyczerpaliśmy treści tych dwóch tomów, ani to było naszym zamiarem; chcieliśmy tylko zachęcić miłośnika dziejów do bezpośredniego poznania zgromadzonych tam materyałów, okazać próbkę tego, czego się tam spodziéwać może. Nad wartością dwóch szkiców historycznych rozwodzić się nie będziemy: znane imię autora służyć może w tym względzie za rękojmią. W przedmowie do tomu IV p. Pawiński zwraca uwagę na jędrną polszczyznę złotego wieku, którą wiele z

---

(1) Rewizya skarbu koronnego 1669 r. w L. Huberta, Pamiętniki histor. I, 148. Późniéj, inaczéj się działo: dyamentowa tablica „gdy u królowéj JMci (Maryi Ludwiki) zostawały te klejnoty w zastawie, zginęła“ (tamże 146).

tych dokumentów pisano. W istocie, dosadny ten język dziwny jakiś czar na czytelnika wywiera, a jak błogi wpływ może mieć podobna lektura, widać to najlepiéj z języka wspomnionych szkiców, który żywo przypomina opisywaną epokę.

Wydawca ułożył spis osób, wzmiankowanych w „Źródłach,“ który jakkolwiek nie jest zupełnym, zawsze jednak ułatwia korzystanie z dokumentów. Not ani objaśnień żadnych nie dodano, jeśli pominiemy rzucone tu i owdzie wskazówki, odsyłające do aktów w związku z sobą będących. Nie jest to wprawdzie koniecznym obowiązkiem wydawcy, w wielu jednakże razach przydałoby się, a podarek dla literatury historycznéj byłby o wiele cenniejszym. Mniejsza już o to, czy delegat gdański zwał się Fuyk (III, 38), czy Tuyk, jak podaje Raczyński (N. 8); ale co znaczy znak zapytania przy dodaném nazwisku marszałka koronnego (III, 42): byłże nim Andrzéj Opaliński, lub nie był? Jakżebyśmy pragnęli mieć bliższą wiadomość o Macieju Sarpniku, któremu król powierzył straż morza (IV, 176); jego miano przypomina słynnego Tomasza Sierpinka, dowódcę naszych frejbiterów: czy Maciéj nie był jego krewniakiem? król tytułuje go *nobilis* i *miles noster*. Gdańszczanie mówią, że wojna uchwaloną przeciw nim została w Inowrocławiu, „in comitiis Inovladislaviensibus, paucis consiliariis praesentibus (III, 163; toż samo mówią wcześniéj, na str. 149). P. Pawiński, zgodnie z dokumentami, wspomina tylko zebranie panów rad w Włocławku. Sprzeczność ta nie mogła wyniknąć z nazwy łacińskiéj *Wladislavia*, stosowanéj niekiedy zarówno do obu miast, gdyż król wyraźnie zwołuje „pany rady nasze do Włocławia biskupiego,“ czyli do Włocławka, i tu narady rzeczywiście się odbyły. Z drugiéj strony, niepodobieństwem jest, aby Gdańszczanie w rzeczy tak dla nich ważnéj mylną w urzędowym liście podawali wiadomość. Ponieważ króla widzimy w Bydgoszczy na początku r. 1577 aż do 22 Stycznia, a nie wiemy gdzie następnie przebywał do dnia 12 Lutego, gdy znowu w Bydgoszczy potwierdza wyrok na Gdańszczan i rozsyła wici na wojnę, czyliż nie dałoby się przypuścić, że w przerwie między temi dwoma datami odbył z dygnitarzami naradę w bliskim Inowrocławiu i na niéj wojnę uchwalił? Co to za zamek inflancki Lutrem (IV, 173); jest że to Lauder, czy téż Lucyn, który Niemcy zwali Ludsen? Wojski ziemi Wiskiéj nazwany *Zochowskim* (IV, 189), kiedy u Januszowskiego (fol. 936) jest *Lachowski*, i tak téż czytaliśmy w ekstrakcie z ksiąg ziemskich radziłowskich (r. 1579—1597, fol. 135). Zachodzi téż sprzeczność w imieniu hrabiego Hardeka: Elblążanie, na których miasto napadł, zowią go *Casimirus*, a sam podpisał się *Ferdinandus* (III, 233, 245); możnaby mniemać, że *Casimirus* po-

wstało w skutek mylnego odczytania wyrazu *comes*, którego to tytułu Hardek używał, a właśnie takowego w liście Elblążan brakuje. Czy owi *witnicy*, którym król nakazuje, aby razem ze starostami wzbraniali wywozu saletry, dobrze są odczytani (IV, 89), czy to nie są mytnicy?

Gdzie niegdzie natrafiają się niedokładności. W regestrze starostw pruskich, mających dostarczyć koni (III, 58—61) zamiast *Głuchów* winno być Słuchów, czyli Człuchów, jak jest u Raczyńskiego, a nawet w tomie IV „Źródeł" (str. 3). Starostwa Weinmunsterberg, Berwald, Fürstinwerder wzięte są za nazwiska posiadaczów, kiedy jedynym ich posiadaczem był Reinhold Krokow, zwany też Craków (III, 2o5), a który podpisywał się Krokowski (III, 212, 215). Zamiast *Szrope*, u Raczyńskiego jest *Człopa*. Suma wszystkich koni podana 635, kiedy z dodania szczegółowych liczb wypada 864; u Raczyńskiego suma ogólna podana na 764, a wynosi istotnie 733. W obec tych czterech sum różnych, mogłaby się obudzić wątpliwość co do autentyczności cyfr pojedyńczych, a nawet całego regestru. Rozpatrując wszakże pozycye szczegółowo, dochodzimy do przekonania, że regestr Raczyńskiego, jeżeli wiernie został przedrukowany (o czém wątpimy), mógł być pierwszym projektem rozkładu koni, regestr zaś p. Pawińskiego obejmuje rozkład ostateczny, poprawiony i uzupełniony; sumę ogólną w tym ostatnim mniejszą o 231 koni od rzeczywistéj wystawiono skutkiem tego, że nie wliczono do niéj koni, które winien był dostawić Kostka, wojewoda sandomirski, a na którego z trzech pozycyj razem przypadało 23o koni. Pozycye te wypełniono, oczywiście, późniéj, już po zsumowaniu, o czém przekonywują dwie inne pozycye Kostki, które pozostały bez zapełnienia. Różnica o jednego konia wynikła bez wątpienia z omyłki pióra.

P. Pawiński (III, str. LXV) nazywa Sprengela burmistrzem Elbląga, byłby to więc proconsul, urzędnik wybieralny; dokumenta wskazują, że był burgrabią, urzędnikiem z nominacyi królewskiéj. Franciszek Górski był tylko posłem liwskim, ale nie nurskim (IV, 63), najprzód dlatego, że nie mógł dwóch ziem naraz reprezentować, a powtóre, że z ziemi nurskiéj nie mogło być jednocześnie trzech posłów, dwóch bowiem tylko każda ziemia wybiérała. Przejęty list tatarski (IV, 1o9) datowany jest „z Taslików," co wydawca po łacinie wyraził przez *Taslikowii*: alboż to miasto? Taślik jest to rzeka w Dzikich Polach, mająca ujście na saméj granicy podolskiéj, w okolicy Bohopola. W tymże liście czytamy: „szach hetman nizowy," „tego szacha hetmana;" dwukrotny brak inicyału mógłby nasuwać mniemanie, że na Niżu istniał tytuł *szacha*, kiedy

to imię własne czy przezwisko atamana Niżowców. Bartoszewicz czyni tego Szacha następcą Podkowy, ściętego w 1579 r., oczywiście mylnie, skoro znajdujemy go atamanem już w 1576, chyba że dwukrotnie ten urząd sprawował. Odwrotny błąd znajdujemy w miejscu, gdzie powiedziano, że wieżę drewnianą podpalił quidam noster *Gregorius* (III. 174); może tam był w wojsku i nie jeden Grzegórz, ale w tym razie nie o Grzegorzu mowa, i czytać należało *gregarius*, to jest szeregowiec, albo, jak dawniéj mówiono, „pocztowy." Już nam Długosz w skutek podobnéj omyłki stworzył jednego Grzegorza (porów. Mon. Pol. hist. I, 418, i Dług. III, str. 226); od drugiego Grzegorza mogło nas uchronić użyte przez Bekiesza wyrażenie „gregarii milites" (III, 236).

Sejmiku „wołkowyskiego" (IV, 244) nigdy w Koronie nie bywało: zbiérały się tylko trzy zjazdy, korczyński Małopolan, w Kole dla ziem wielkopolskich, a *warszawski* na Mazowszu. O tym ostatnim właśnie jest tam mowa.

W tytule Hozyusza „sacrae Romanae ecclesiae h. s. clementis presbyter cardinalis," wydawca skrócenie czyta *humilis servus*; nic podobnego w tytule kardynalskim nie zdarzało się nam spotykać, a zresztą nie wiemy o żadnym Klemensie, dla którego Hozyusz byłby *sługą*; sądzimy, że w skróceniu winny stać litery *t. s.* i czytać należało *tituli sancti Clementis*, albowiem Hozyusz, między innemi, nosił tytuł ś. Klemensa.

Lukę niewypełnioną (IV, 136, wiersz 7 od dołu) wypada czytać „dobrodżanów," to jest Tatarów z Dobrudży, jak to widać z porównania z N-m LXXXI.

Korekta dosyć jest poprawna, wielu jednak omyłek nie wykazano w erratach (1).

---

(1) W tomie III, str. XXIII, wiersz 9, zamiast 28 *września* ma być 26 *września*; str. 2 w. 4 od dołu, *incedium* ma być *incendium*; str. 14 w N. VIII skutkiem mylnie położonych przecinków zrobiło się trzech Węgrów, u Raczyńskiego z tegoż powodu aż czterech, a było ich tylko dwóch; str. 65 w. 6 od dołu, zamiast *naszym* ma być *waszym*, jak u Raczyńskiego, co widać z porównania ze str. 62. Str. 171 w. 9 od dołu, zamiast *Dni Maximiliani* winno być *divi Maximiliani*, gdyż to pisano już po jego zgonie; str. 182 w. 11, zamiast *proconsulibus* ma być *proconsuli*, jak jest na str. 183, gdyż po jednym tylko w miastach bywało burmistrzu; str. 184 w. 9 od dołu, zamiast *praesenti mensis tempore* czytać wypada *messis tempore*, bo list datowany 1 Sierpnia, a więc w czasie żniw; str. 185, zamiast *Josuam Janowicz et Bolschan heredem*, ma być *Josuam Janowicz in Janowicz et Bolschaw haeredem*, jak jest na str. 204, sam podpisywał się *Janowskim* (212, 215); str. 304 w. 7 od dolu zamiast *ac rectis* ma być *acverbis*.

Na zakończenie, niech nam wolno będzie wyrazić nadzieję, że uczony wydawca nie ustanie w swéj pożytecznéj pracy i obdarzy nas jeszcze nie jednym tomem „Źródeł dziejowych,“ które zasługują na najżyczliwsze poparcie czytającéj publiczności.

*St. Ł.*

---

W tomie IV, str. 10 w. 5, zamiast *koronacyéj* ma być *konwokacyéj*; str. 41 w. 9, zamiast *Tczinq*, raczéj *Tehinq*; str. 56 w. 5, zamiast *soldrować* może *foldrować*; tamże w. 19 od dołu, zamiast *stanowi czemu* ma być *stanowniczemu*; str. 71 w. 9 od dołu, zamiast *a welikoj*, raczéj *u welikoj*; str. 79 w. 4, zamiast *unicorum* ma być *unicornu*, bo tak zwane jednorożce, oprawione w złoto znajdowały się istotnie w skarbcu koronnym (Hubert Pamięt. hist. I, 148, 151); str. 94 w. 5, zamiast *za uniwersałmi* ma być *z uniwersałmi*; str. 191, w. 10 od dołu, zamiast *mere catorem* ma być *mercatorem*; tamże w. 3 od dołu, zamiast *fratrum* ma być *fratris*; str. 143 w. 12 od dołu, zamiast *rzeczpospolita* ma być *rzeczypospolitéj*; str. 144 w. 5 od dołu, zamiast *pozwan* ma być *pozwał*; str. 151 w. 12, zamiast *Ligęza z Borku* winno być *z Bóbrku*; str. 185 w. 7 od dołu, zamiast *naznaczywa* ma być *naznaczona*.

---

# KRONIKA NAUKOWA.

## Skroplenie gazów „stałych.“

Czytelnicy wiedzą, iż ciała lotne dzielą się na *pary* i *gazy*. Parami nazywamy ciała lotne, które przy zwykłéj temperaturze (15° C), i zwykłém ciśnieniu barometrycznem (760 mm.) stają się cieczami do gazów zaś, te z ciał lotnych zaliczamy, które przy zwykłéj temperaturze i zwykłém ciśnieniu nie zagęszczają się na ciecze. Do pierwszych więc należéć będzie ulotniona woda, alkohol, eter, do drugich— wodór, tlen, azot, chlor, powietrze, kwas węglany, tlenek węgla, gaz błotny, siarkowodór, kwas siarkowy, chlorowodór itd.

Na zasadzie wielkiéj analogii pomiędzy parami a gazami, łatwo powstało przypuszczenie, że i gazy są parami cieczy. Naturalnie mogłyby one istniéć w stanie ciekłym tylko w temperaturze niższéj i przy ciśnieniu wyższém niż zwyczajne. Ażeby więc te ciecze otrzymać, należałoby ich pary (gazy) poddać działaniu niskiéj temperatury i wysokiego ciśnienia. I rzeczywiście doświadczenia stwierdziły ten wniosek. Znakomity Faraday skroplił najprzód za pomocą samego obniżenia temperatury kwas siarkowy, amoniak, cyan itd. a dodawszy do zimna ciśnienie zdołał zamienić na ciecze: chlor, siarkowodór, kwas węglany, chlorowodór, tlenek azotu itp. Tylko sześć gazów opiérało się wszelkim usiłowaniom: tlen, wodór, azot, tlenek węgla, tlennik azotu i gaz błotny (formen) i wskutek tego nadano im nazwę *gazów* prawdziwych, *stałych*, *trwałych*.

Lecz czyż przyczyna téj stałości leżała w saméj naturze gazów, czy téż w słabości środków? Prawdopodobieństwo przechylało się na stronę drugiéj alternatywy. Przedewszystkiém naprowadzało na tę myśl zachowywanie się gazów trwałych podczas sprawdzania prawa Mariotta, według którego objętość gazu jest odwrotnie pro-

porcyonalną do ciśnienia, tj. że np. pod ciśnieniem dwóch atmosfer objętość gazu jest dwa razy mniejsza niż pod ciśnieniem jednéj, pod ciśnieniem trzech, trzy razy mniejsza itd. Już pod ciśnieniem trzech do czterech atmosfer gazy zgęszczalne nie stosują się do tego prawa i nagléj zmniejszają objętość, niżby to z prawa wypadało; zboczenie zaś to tém jest większe, im gazy doprowadzone zostały bliżéj punktu skroplenia. Sądzono najprzód, że to się stosuje tylko do gazów dających się skroplić i na tém nawet oparto ich charakterystykę, ale Natterer i Regnault nadzwyczaj ścisłemi doświadczeniami wykazali, że i gazy prawdziwe, trwałe, podobnież się zachowują. Wszystkie one okazały się mocniéj ściśliwemi aniżeli prawo Mariotta wymaga, i tylko wodór przedstawiał wyjątek, nie dlatego, aby zupełnie temu prawu ulegał, ale że zbaczał w stronę przeciwną, tj. okazał się mniéj ściśliwym. Wniesiono więc, na zasadzie téj analogii z parami, że wszystkie gazy trwałe, oprócz wodoru, dadzą się zgęścić, i że wodór tylko jest gazem prawdziwym niezgęszczalnym.

Jak się te przewidywania spełniły, zobaczymy poniżéj.

Faraday w pierwotnych swych doświadczeniach używał temperatur niezbyt niskich i ciśnień niezbyt wysokich. Wynikało to z natury metody, którą postępował. Używał on grubych rurek szklanych, z obu stron zalutowanych, zgiętych w postaci litery V. W jedném ramieniu rurki umieszczał związki, wytwarzające gaz, a drugie oziębiał. Gaz nie mogąc się wydostać z naczynia parł sam na siebie i skroplał się w miejscu oziębioném. Dla umożliwienia większego ciśnienia i otrzymywania większéj ilości gazów skroplonych, Thirolier zbudował z żelaza lanego aparat, w którym przygotowywano kwas węglany ciekły, w znacznych ilościach. Gaz zgęszczał się tutaj tylko za pomocą swego własnego ciśnienia; naturalnie więc parcie na jego ściany było nadzwyczaj wielkie, w skutek czego pękł pewnego razu przy doświadczeniach w szkole farmaceutycznéj w Paryżu i oderwał obie nogi preparatorowi Heroy'emu. Wypadek ten dał powód do otoczenia aparatu kutemi obręczami, oraz do zbudowania innych przyrządów, z których najbardziej znane są Natterer'a i Bianchi'ego.

Używając ciśnień możliwie najwyższych, zastosowano jeszcze silne obniżenie temperatury sprawiane przez ulatnianie się skroplonego kwasu węglanego, obliczane na — 80°, a nawet jeszcze niższe, otrzymywane z mięszaniny kwasu węglanego ciekłego i eteru, dochodzące do 110 stopni pod zerem. Natterer robił nawet doświadczenia przy 2.700 atmosferach ciśnienia (tłok lokomotywy porusza się pod parciem 7 atmosfer), Berthelot poddawał gazy ciśnieniu 800 atmosfer, oziębiając je jednocześnie poniżéj 100 stopni pod zerem,

a jednakże gazy trwałe nie skroplały się. Stracono więc niemal nadzieję zgęszczenia ich.

Jednakże w nauce był punkt wyjścia do dalszych usiłowań. Spostrzeżono, że dla zgęszczenia kwasu węglanego przy temperaturze 78° potrzeba tylko nieco więcéj ciśnienia niż jednéj atmosfery, przy temperaturze 1° należy już użyć 37 atmosfer ciśnienia, a jeśli temperatura gazu znacznie wyżéj się podniesie, to już żadne ciśnienie nie zdoła go skroplić. Wynika więc ztąd, że oziębienie pozwala zmniejszyć ciśnienie, i że powyżéj pewnego stopnia temperatury, gaz staje się niezgęszczalnym.

Zastanawiając się nad faktami podobnemi, fizyk angielski Tomasz Andrews doszedł do wniosku, że dla każdego gazu istnieje pewien *punkt krytyczny* ciśnienia i temperatury, ponad którym gazy nie dadzą się doprowadzić do stanu ciekłego. Trzeba więc zawsze używać kombinacyi ciśnienia i niskiéj temperatury.

Tu właśnie leżało źródło niepowodzeń Natterer'a, Berthelota i innych. Widocznie nie dość zniżali temperaturę. Zdaje się, że ta myśl skłoniła pana Cailletet'a, przemysłowca i uczonego francuskiego, do przedsięwzięcia na nowo pracy uważanéj przez wielu za zbyt śmiałą.

Cailletet postanowił użyć możliwie najniższéj temperatury, a ponieważ wszelkie znane mięszaniny oziębiające nie dają temperatury niższéj od 140° więc wpadł na myśl zastosowania oziębiania, wynikającego z rozszerzania się zgęszczonych gazów.

Czytelnicy wiedzą, że gaz, tak samo jak i ciało stałe w skutek uciskania, czyli zmniejszania objętości, zgęszczania, ogrzewa się. Jeśli pozwolimy mu następnie przyjąć temperaturę otaczającego środka i usuniemy przyczynę ciśnienia, to gaz rozszerza się kosztem swéj temperatury, zużywając część swego ciepła na pracę rozsunięcia i rozprzężenia cząsteczek.

Z tego właśnie faktu skorzystał Cailletet dla osiągnięcia swego celu.

Aparat jego składa się z części następujących. Zbiornikiem, w którym się gaz zgęszcza jest rurka szklana o bardzo mocnych ściankach, u góry zalutowana, u dołu otwarta, wydęta ponad końcem dolnym w podłużną bańkę. Górna jéj połowa jest zanurzona w mięszaninie oziębiającéj tak, że tylko sam koniec ponad jéj poziom wystaje, aby można było widziéć zgęszczające się gazy. Dolna połowa zanurzona jest w mocném żelazném naczyniu, napełnioném rtęcią, ponad którą wchodzi woda z pompy hydraulicznéj. Woda, zastępując stopniowo miejsce rtęci w naczyniu żelazném, wpycha ją do rurki szklanéj przez dolny otwór i zgęszcza tym sposobem gaz

w rurce zawarty, oczyszczony ze wszelkich domieszek. Ponieważ bańka, w którą rurka jest z dołu wydęta, ulega równemu ciśnieniu z zewnątrz i z wewnątrz, a więc nie pęka, choć ma ścianki dość cienkie stosunkowo do swéj objętości. W ten sposób przez wtłaczanie wody nad rtęć można wywrzéć na gaz ciśnienie kilkuset atmosfer, oziębiając go jednocześnie za pomocą mięszaniny oziębiającéj lub ulatniającego się tlenku azotu. Nadto, przy pompie hydraulicznéj, jest przyrząd pozwalający nagle wypuścić wodę, a więc znieść nadane ciśnienie, w skutek czego gaz rozszerzy się do pierwotnéj, kilkaset razy większéj objętości — i naturalnie, stosownie do tego ulegnie bardzo silnemu oziębieniu.

Cailletet użył najprzód do doświadczeń tlenniku azotu. Gaz ten nie skroplał się pod ciśnieniem 270 atmosfer, gdy temperatura wynosiła + 8$^0$. Nie był więc doprowadzony do punktu krytycznego. Podobnież tlen i tlenek węgla, doprowadzone do temperatury —29$^0$ i poddane ciśnieniu około 300 atmosfer, zachowywały swój stan gazowy. Gdy jednak przez wypuszczenie wody ciśnienie zostało nagle zniesione i gazy rozszerzyły się, co według formuły Poissona powinno było obniżyć temperaturę najmniéj o 200$^0$ od punktu wyjścia (od —29$^0$), w rurce natychmiast okazała się gęsta mgła, pochodząca z skroplenia, a może i zamiany na ciało stałe gazów zgęszczanych. Kwas węglany, tlenek i tlennik azotu dawały taką samę mgłę. Otrzymawszy tak świetne rezultaty, Cailletet poszedł daléj i zamienił na ciecze azot, powietrze atmosferyczne, a nawet wodór, co do którego, jakeśmy wspomnieli, wielu uczonych utrzymywało, że nigdy zagęścić się nie da.

W sprawozdaniach Akademii Paryskiéj znajdujemy następujące szczegóły o tych gazach.

*Azot* czysty, czyli suchy, poddany ciśnieniu 200 atmosfer przy temperaturze około +13$^0$, a następnie uwolniony nagle od ciśnienia, zgęszcza się w sposób bardzo wyraźny. Z początku okazuje się w postaci płynu rozpylonego, o wyraźnych kropelkach, późniéj płyn ten znika przy ściankach i ściąga się do środka rurki, gdzie w końcu tworzy się słup pionowy w kierunku osi rurki. Zjawisko to trwa trzy sekundy.

*Wodór.* W piérwszych swych doświadczeniach z wodorem, Cailletet nie zauważył nic szczególnego w rurce; po pewnéj jednak wprawie, gdy powtórzył doświadczenie 31 Grudnia r. z. w obecności Berthelot'a, H. Sainte-Claire-Deville'a i Mascart'a, spostrzegł oznaki skroplania się wodoru, tak jawne, że nikt o tém nie mógł wątpić. Wodór, poddany ciśnieniu około 280 atmosfer a następnie zwolniony od ciśnienia, zamienia się na mgłę bardzo subtelną, zajmującą

całą długość rurki i nagle znikającą. Powtarzając to doświadczenie znaczną liczbę razy i otrzymując ciągle jeden i ten sam rezultat, uczeni przekonali się, że nie są ofiarą złudzenia.

*Powietrze.* Po skropleniu azotu i tlenu, jasną było rzeczą, że można zamienić na ciecz ich mięszaninę, t. j. powietrze atmosferyczne. Rzeczywiście powietrze, osuszone i pozbawione kwasu węglanego, skroplało się z wielką łatwością. Rzecz szczególna, że już Lavoisier przewidział możność skroplania powietrza.

Jednocześnie prawie z Cailletet'em, zawiadomił świat uczony o skropleniu gazów stałych p. Raul Pictet z Genewy. Uczony ten również zastosował zniżanie się temperatury, podczas zniesienia parcia, wywieranego na gazy, ale aparat jego na innéj zasadzie jest zbudowany i cokolwiek inne, co do szczegółów drugorzędnych, wydał rezultaty. Główna część przyrządu składa się z naczynia z kutego żelaza, do którego przystosowana jest rurka z podobnegoż materyału, mająca cztery centymetry otworu a pięć centymetrów grubości ścian. Drugi jéj koniec jest zamknięty kranem i opatrzony manometrem. Do naczynia kładą się związki służące do otrzymywania gazu; w rurce skropla się gaz pod własném ciśnieniem, które dochodzi do wysokości 500 lub więcéj atmosfer. Rurka ta jest otoczona obszerniejszą rurą, w którą jednym otworem wtłacza się kwas węglany ciekły, wyprowadzany bez ustanku na zewnątrz za pomocą pompy, któréj tłok wykonywa 100 poruszeń na minutę. Następuje w skutek tego nadzwyczaj silne ulatnianie się kwasu węglanego, które, zamieniając resztę kwasu węglanego na ciało stałe, obniża temperaturę rurki do —140 stopni. Jeżeli po nagromadzeniu się w rurce gazu pod takiém ciśnieniem i przy takiéj temperaturze, otworzymy kran, to gaz, choćby nawet jeszcze nie był skroplony, rozszerzając się i pochłaniając ciepło, zgęszcza się na ciecz i niezmiernie silnym strumieniem kroplistym spada na podłogę. Co więcéj, wypływ ten nie jest ciągły, ale przerywany, co naprowadza na myśl, że w rurce tworzą się skrzepy, tamujące swobodny wypływ, a więc, że gaz trwały zamienia się na ciało stałe.

W ten sposób skroplił Pictet wszystkie gazy trwałe. Nie zdołał ich jeszcze zamknąć w szklaném naczyniu, aby je można było widzićć i przechowywać (co naturalnie nadzwyczaj trudną będzie rzeczą), i nie wiele też obserwacyj i doświadczeń nad niemi poczynił. Jednakże i teraz już możemy się z czytelnikami podzielić kilku faktami.

I tak, co do tlenu, to węgiel żarzący się, umieszczony w płynnym jego strumieniu, zapala się i płonie z niesłychaną gwałtownością. Ciężar właściwy tlenu płynnego = 1, to jest, że centymetr

sześcienny płynnego tlenu waży tyle co centymetr wody przy +4°C Rzecz szczególna i godna podziwu, że chemik francuski Dumas już dawno powiedział, iż tlen, jeśli zostanie skroplony, to będzie miał gęstość wody. Rozumowanie jego było następujące. Siarka, która przez swe zachowanie się chemiczne należy do téj saméj grupy co tlen, ma wagę atomową 32, a gęstość 2. Waga atomowa podzielona przez gęstość daje *objętość atomową*. Objętość więc atomowa siarki wynosi 16. Rzecz widoczna, że mając dwie z tych liczb, można obliczyć trzecią i tak, mając wagę atomową i objętość atomową można oznaczyć gęstość. Z drugiéj strony, wszystko wskazuje, że objętość atomowa pierwiastków należących do jednéj i téj saméj grupy jest jednakowa, że więc objętość atomowa tlenu wynosi 16. Jeżeli teraz podzielimy jego wagę atomową, wynoszącą 16 przez 16 (objętość atomową), to wypadnie 1, czyli ciężar właściwy wody. Wniosek ten jednak aż dotąd pozostawał bez stwierdzenia faktycznego. Teraz dopiéro, na żądanie Dumas'a, Pictet zmierzył 43,5 gramma tlenu ciekłego (a więc już pokonał trudności manipulacyj z ciekłym tlenem) i przekonał się, że one zajmują 46 centymetrów sześciennych czyli, że jeden centymetr sześcienny tlenu waży prawie 1 gramm, t. j. tyle ile centymetr sześcienny wody. Niedokładność, jaka tu zachodzi, położyć można na karb trudności i delikatności manipulacyi.

Ostatnia wiadomość dotycząca tlenu zgęszczonego donosi, że strumień wypływający z aparatu w chwili zniesienia parcia, badany za pomocą światła spolaryzowanego, zachowuje się tak jak zwyczajna chmura, złożona z igiełek lodu i kłaczków śniegu. Pictet wnosi ztąd, że ta chmurka tlenu składa się z tlenu stałego a może i skrystalizowanego.

Co się tyczy wodoru, to strumień jego wytryskujący ze zgęszczalnika, oświetlony światłem elektryczném ma okazywać dwie warstwy. Wewnętrzna ma być nieprzezroczystą, koloru niebieskawo-stalowego, i ta jest ciekła, zewnętrzna zaś jest gazową przezroczystą, niebieskawą. Padając na kamienną posadzkę, strumień ten ma wydawać dźwięk metaliczny, — coby potwierdzało, iż wodór rzeczywiście jest metalem. Przypominają sobie czytelnicy, że przed kilku laty Graham spostrzegł, iż metal pallad stykając się z wodorem *in statu nascendi*, powiększa swą objętość, tworząc z tym gazem, jakby jakiś amalgamat, zkąd uczony ten wniósł, iż wodór jest metalem, podobnym pod niektóremi względami do rtęci. Ciekawą tę wiadomość rozniosły swego czasu wszystkie gazety po świecie. Oba te fakty stwierdziły, że przewidywania chemików o metalicznéj naturze wodoru nie były czczą teoryą.

W skutek tych wszystkich odkryć, znika odrębność pomiędzy trzema stanami ciał: stan stały, ciekły i lotny, są tylko zależne od temperatury i ciśnienia. Nie możemy się wstrzymać od położenia nacisku na kilka sprawdzonych proroctw naukowych, których zasadniczość okazały prace Cailletet'a i Pictet'a. Lavoisier jakeśmy wspomnieli, już w zeszłym wieku przewidział, że powietrze lub téż jedna z jego części składowych może uledz skropleniu (1), wszyscy uczeni od dawnych czasów byli przekonani, iż gazy stałe dadzą się zmienić na ciecze, że one są tylko parami odpowiednich cieczy, i że jeżeli dotychczas tego uczynić nie zdołano, to tylko dlatego, że nauka nie posiadała dość dzielnych środków. Następnie Dumas z góry obliczył gęstość płynnego tlenu, a od lat już kilkudziesięciu chemicy powszechnie uważali wodór za metal. Wszystko to dobitnie okazuje, że choć chemia daleką jest jeszcze od swéj doskonałości, jednakże zaszła już bardzo wysoko, a co ważniejsza znajduje się na zupełnie pozytywnéj, odpowiadającéj naturze rzeczy, drodze i urągać może wszelkim napaściom, chcącym wykazać wątłość jéj podstaw, dla usprawiedliwienia chwiejnych fundamentów rozmaitych hipotez.

Na zakończenie powiemy słówko w kwestyi zaszczytu pierwszeństwa odkryć powyższych. *Pictet* wprawdzie pierwszy podał do wiadomości rezultaty swéj pracy, ale *Cailletet* pierwéj swoje wykonał i 2 Grudnia r. z. przesłał panu H. Sainte-Claire-Deville list, zawiadomiający o zgęszczeniu tlenku węgla i tlenu. Deville złożył tę wiadamość w kopercie zapieczętowanéj na ręce stałego sekretarza Akademii Nauk w Paryżu. Nie ogłosił go, według wyraźnego życzenia Cailletet'a, który, jako kandydat na członka korespondenta Akademii, nie chciał przedstawić świeżéj pracy, dopóki nie zostanie stwierdzoną w obecności sędziów kompetentnych.

Otóż więc Cailletet pierwszy zgęścił gazy trwałe—jeżeli chodzi o drobnostkę kilku dni. Ale ponieważ ta różnica nic a nic nie sta-

---

(1) W II tomie Reweil des mémoires de chimie de Lavoisier, na str. 804 zastanawia się autor nad tém: „coby się stało z rozmaitemi substancyami składającemi kulę ziemską, gdyby temperatura została gwałtownie zmienioną.“ „Gdyby ziemia,“ mówi, „została przeniesioną nagle w sfery bardzo zimne, np. Jowisza i Saturna, woda, która tworzy dzisiaj rzeki i morza i prawdopodobnie większą część znanych cieczy, zamieniłaby się na skrzepłe góry . . . Powietrze, w tém przypuszczeniu, albo przynajmniéj jedna z części powietrznych, wchodząca do jego składu, przestałaby bez wątpienia istniéć w postaci płynu niewidzialnego z powodu braku dostatecznego ciepła; przeszłaby więc w stan cieczy i ta zmiana wytworzyłaby nowe ciecze, o których nie mamy żadnego pojęcia.“

nowi, i ponieważ obydwaj uczeni samodzielnie, niezależnie jeden od drugiego doszli do osiągnięcia swych świetnych rezultatów, więc wszelkie zaszczyty należą im się w równym stopniu. Co się zaś tyczy sposobów otrzymywania, to metoda Pictet'a jest ważniejszą, gdyż pozwala przygotowywać znaczne ilości gazów zgęszczonych i uprzystępnia je badaniu. Sposób zaś pomyślany przez Cailletet'a będzie miał, jak się zdaje, tylko znaczenie teoretyczne.

A jakież praktyczne zastosowanie będzie miało to odkrycie? zapytają czytelnicy. W téj chwili jeszcze nic na to odpowiedzieć nie możemy. Ale choćby nawet żadnego nie znalazło w przyszłości, co jest rzeczą nieprawdopodobną, to i tak będzie uważane za jednę z największych zdobyczy naukowych naszego wieku, potwierdzających siłę logiki umysłu ludzkiego.

**Zdolność przystosowywania się u Salamandry czarnéj (Salamandra atra).**

Pod tym tytułem napotykamy w czasopiśmie „Naturforscher" artykuł bardzo ciekawy, tak ze względu na przedmiot, jak i na badacza. Jest nim bowiem panna Marya Chauvin, która swą oryginalną pracę przedmiotu tego dotyczącą pomieściła w 29-tym tomie „Zeitschrift für wissenschaftliche Zoologie."

Wiadomo, że salamandra z żółtemi plamami (s. maculosa) składa swe żywo urodzone kijanki w wodę, gdzie dokonywa się ich przeobrażenie na zwierzęta lądowe; przeciwnie potomstwo czarnéj salamandry (s. arta) żyjącéj w okolicach górzystych, zaraz po opuszczeniu łona matki, przedstawia zwierzęta lądowe: metamorfoza ich dokonywa się w łonie matki, gdzie się żywią masą żółtkową, pochodzącą z jaj niezapłodnionych. Na zasadzie wielkiego podobieństwa dwóch tych gatunków salamandry, można było wnieść, że przed wielu tysiącami lat salamandra atra przechodziła taką samę koléj rozwoju, jak salamandra plamista, czyli że składała w wodę swe młode, które dopóty w niéj pozostawały, dopóki nie stały się zdolnemi do życia na lądzie. Teraźniejszy zaś sposób rozwoju, salamandra alpejska mogła przyjąć, w skutek powolnie i stopniowo zmieniających się okoliczności otaczających, przystosowując się, w szeregu licznych pokoleń, do odmiany warunków miejscowych i atmosferycznych. Rezultatem tego była obecna forma rozwoju: zatrzymywanie w macicy płodu dopóty, dopóki nie rozwinie się z niego salamandra lądowa.

Wniosku tego nie podobna sprawdzić bezpośrednią obserwacyą zjawisk w przyrodzie się dokonywających, gdyż nie posiadamy okazów, ani też obserwacyj z dawnych czasów. Trzeba więc było uciec

się do doświadczenia sztucznego, do wywołania wstecznego rozwoju. To też panna Chauvin postanowiła wydobyć z łona ciężarnéj salamandry czarnéj niedojrzałe potomstwo i, umieściwszy je w wodzie, czekać dalszego rozwoju wypadków. Naturalnie, koniecznym warunkiem udania się doświadczenia było natrafienie na młode, które jeszcze nie doszły do specyficznego stanu salamandry lądowéj i które przytém mają dość siły, aby wytrzymać wpływ nagłéj zmiany warunków życia.

W końcu Lipca 1875 roku znalazła panna Chauvin pomiędzy 74 salamandrami alpejskiemi 15 ciężarnych samiczek, z których wydobyła 23 kijanek, będących w rozmaitych stadyach rozwoju. Jednakże wszystkie one przyjęły już cechy salamandry lądowéj i jedna tylko stanowiła wyjątek. Zdawało sie nadto, że już daleko postąpiła w rozwoju, że zdoła wytrzymać bezkarnie zmianę warunków życia.

Kijanka ta, znalazłszy się w wodzie, nie okazywała żadnych oznak niezadowolenia. Na drugi dzień przyjmowała już pokarm złożony z małych dżdżowników. Bardzo delikatne jéj skrzela zbladły już drugiego dnia, skuliły się, zostały zupełnie krwi pozbawione i na trzeci dzień odpadły. Na ich miejscu jednak pojawiły się najprzód po prawéj a potém i po lewéj stronie głowy nowe. małe przysadki skrzelowe, które się powoli rozwinęły w kuliste pęcherzyki, opatrzone w liczne nitki skrzelowe i gęstą siatką naczyń krwionośnych poprzerzynane. Gdy skrzela doszły do długości 22 milimetrów, kijanka stała się bardziéj ożywioną i raźnie pływała po wodzie za pomocą szerokiéj i grubéj płetwy ogonowéj, która wyrosła na miejscu pierwotnéj, wązkiéj i przezroczystéj, odpadłéj w pierwszym tygodniu pobytu w wodzie.

Przystosowanie więc do warunków, w których się teraz kijanka znajdowała, było jak najlepszém, i zdawało się, że salamandra lądowa stała się zwierzęciem wodném. Ale po czternastu tygodniach takiego życia, zaczęły marnieć nowe skrzela, płetwa przyjmowała powoli inną postać, skóra stała się czarną i nierówną i we dwa tygodnie potém przeobrażenie na salamandrę ziemną było zupełne: trzeba ją było wynieść na powietrze, aby mogła używać swych płuc do oddychania.

Widzimy więc, że wpływ wody był tu widocznym i bardzo wielkim. Jemu należy przypisać nowe, większe skrzela, które kijance umożebniły dłuższy pobyt w wodzie i pozwoliły jéj dłużéj pozostać w stanie niedojrzałym; on także wywołał utworzenie się grubéj i szerokiéj płetwy na miejscu cienkiéj. Jednakże odziedziczona od poprzednich pokoleń natura przemogła, i salamandra stała się

nareszcie zwierzęciem lądowém. Czy udałoby się z niéj za pomocą innych doświadczeń otrzymać zwierzę, przez całe życie w wodzie żyjące? O tém p. Chauvin wątpi. Niezależnie od tego, w doświadczeniu tém, sprawdzoném przez kilkanaście dalszych, podobnych doświadczeń, znajdujemy potwierdzenie wniosku na ustępie wyrażonego, że salamandra górska przechodziła niegdyś takie same stadya rozwoju jak salamandra żółtoplamista. Gdyby było inaczéj, to nie możnaby zrozumiéć, dla czego kijanki górskiéj salamandry, wycięte z ciała matczynego, mogą w wodzie uskuteczniać dalszy ciąg swego rozwoju.

## Przyczynek do teoryi snu.

Pod tym tytułem podaje „Naturforscher" następującą wiadomość, wyjętą z Archiwum Pflügera, tom XV str. 573.

W jesieni r. 1876 przybył do kliniki w Lipsku dziewięcioletni chłopiec, którego skóra była na całéj powierzchni ciała nieczułą. Podobnąż nieczułością odznaczały się wszystkie błony śluzowe ciała, oraz brak mu było tego co nazywamy czuciem mięśniowém. Przytém wszystkiém nieszczęśliwe dziecko nie miało smaku i węchu, było ślepe na lewe oko i głuche na prawe ucho. Było to więc zestawienie własności ujemnych w skutek którego, nieszczęśliwe dziecko tylko dwie bramy zmysłowe miało otwarte na wrażenia ze świata zewnętrznego: jedno oko i jedno ucho. Ponieważ łatwo było zamknąć je w każdym czasie, więc można było dowolnie odosabniać mózg pacyenta od wszelkich zewnętrznych pobudzeń.

P. Adolf Strümpel, który obserwował to indywiduum, doszedł do następujących rezultatów, kilkakrotnie powtarzanych w obecności innych osób.

Po zawiązaniu zdrowego oka i zatkaniu zdrowego ucha, okazywał chory z początku zdziwienie, poruszał się niespokojnie, lecz już po 23 minutach objawy te znikały i oddech stawał się spokojnym, regularnym. Chory wpadał *w sen głęboki*. Okazała się więc możliwość wywołania snu sztucznym sposobem przez powstrzymanie dopływu zmysłowych pobudzeń do mózgu.

Nie mniéj ciekawém, jak zasypianie, było budzenie się pacyenta. Można go było obudzić tylko za pomocą głosu wpadającego w odetkane ucho lub światła rzuconego na odkryte oko, popychanie zaś i wstrząsanie żadnego skutku nie wywoływało. Jeśli jednak pozostawiano śpiącego w spokoju, to budził się sam po kilku godzinach. Powodem tego były zapewne albo pobudzenia wewnętrzne, albo powiększona pobudliwość mózgu, albo też lekkie podrażnienia zewnętrzne, których niepodobna w zupełności uniknąć.

## Sztuczne rubiny.

Wiadomo, że korund i jego odmiany: rubiny i szafiry są tylko glinką krystaliczną, i że najprzód Ebelmen i Senarmont, a późniéj Deville i Caron oraz Gaudin i Debray otrzymywali z glinki, z dodatkiem pewnych substancyj barwiących, kilka rodzajów drogich kamieni zwanych *wschodniemi* (rubin itd). Prace ich jednak miały tylko znaczenie teoretyczne, gdyż kryształki były nadzwyczaj małe, prawie mikroskopijne. Jednakże pp. Fremy i Feil byli tyle szczęśliwi, że zdołali otrzymać korund sztuczny w wielkich kryształach. Metoda ich polega na długiém ogrzewaniu glinkanu ołowiu z krzemionką. W piecu fabryki p. Feila umieszczali trzydzieści kilogramów téj mięszaniny i zostawiali ją przez dwadzieścia dni pod wpływem wysokiéj temperatury. W skutek jéj działania rozkłada się powoli glinkan ołowiu, i glinka krystalizuje się w postaci korunda bezbarwnego. Krzemionka służy tu tylko za topnik. Jeżeli używa się do prażenia tygla z gliny ogniotrwałéj, to w takim razie krzemionka nie jest już potrzebną. Dostarczają jéj wtedy ściany tygla. Eksperymentatorowie spostrzegli, że po wyprażeniu w takim tyglu mięszaniny złożonéj w połowie z glinki, w połowie z minii, tworzą się na jego ścianach dwie warstwy różne: jedna jest szklista, utworzona głównie z krzemianu ołowiu, druga krystaliczna, zawiérająca często czerepy, napełnione pięknemi kryształami glinki—korundu bezbarwnego. Barwa nadaje się przez wprowadzenie do pierwotnéj mięszaniny odpowiednich substancyj. I tak za dodaniem 2—3% dwuchromianu potasu, korund przybiéra barwę rubina, domieszka małéj ilości tlenniku kobaltu do którego dodano ślad dwuchromianu potasu zamienia korund na szafir. Do naturalnych kamieni są one ściśle podobne pod względem ciężaru gatunkowego, twardości, blasku i koloru, a nawet, jak p. Jannetaz dowiódł, pod względem własności krystalograficznych i optycznych. Rubiny p. Fremy'ego i Feil'a rysują kwarc i topaz, ciężar ich właściwy wynosi 4—4,1, silnie ogrzane tracą, tak jak naturalne, swój kolor i odzyskują go po oziębieniu; są tak trudne do szlifowania jak rubiny naturalne i nadzwyczaj szybko niszczą przyrządy szlifierskie. PP. Frémy i Feil oświadczyli, iż praca ich miała tylko na celu stronę teoretyczną kwestyi i że bezinteresownie oddając ten wynalazek ogółowi będą się czuli szczęśliwymi, gdy przemysł potrafi z niego skorzystać.

*Bronisław Rejchman.*

---

# KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

*Ekonomista* wychodzi co tydzień w formacie arkuszowym i kosztuje w Warszawie rs. 6, na prowincyi rs. 8 rocznie (Redaktor. A Nagórny, Elektoralna, 2). Treść pisma podzielono na dwa działy: pierwszy ekonomiczny i finansowy, drugi handlowy i statystyczny. W pierwszym mieszczą się rozprawy i postanowienia rządowe, w drugim — cyfry, dotyczące bliższych nam i wybitniejszych zjawisk ekonomicznych. Podział ten, w praktyce dobry, grzeszy bałamutnością tytułów, o co zresztą nie będziemy się spiérali.

W rubryce statystycznéj mieszczą się rachunki różnych naszych instytucyj finansowych, jako to: Banku Polskiego, Banku Dyskontowego i Handlowego; kursa giełdy warszawskiéj, dochody z wyzysku dróg żelaznych i ceny targowe. Te ostatnie obejmują prawie wszystkie artykuły gospodarskie, a nadto cenę pracy wykonywanéj w polu przez robotników pieszych i ciągłych. Razi tu jeden szczegół, a mianowicie: „za wołu płacono od 50 do 94 rs., za wieprza od 20 do 53 rs.“ więcéj pouczałaby cena za funt „żywéj wagi.“ W praktyce przecięż notowanie to wystarcza, do innego zaś może cyfr brakować. Nie rozumiemy tylko, dlaczego *Ekonomista*, ogłaszając ceny, nie podaje zarazem ilości przywożonych na targi warszawskie zbóż i zwierząt, co w części robi nawet „Gazeta Policyjna?“

W tém miejscu zboczę na chwilę od przedmiotu. Czytelnik dostrzegł, że ośmielam się stawiać zarzuty „Ekonomiście,“ mam nadzieję, że nie będę jednak zaliczony w poczet téj młodzieży literackiéj, która z jednakową pewnością siebie krytykuje taniec baletniczek, rozprawy naukowe, miejskie mosty, dzieła malarzy i porządek

świata i radaby przymusić wszystko i wszystkich, aby szli przez nią wskazywanemi drogami. Bawi to specyalistów, lecz niekiedy wykoszlawia opinie czytelników. Do podobnych robót nigdy nie przykładałem ręki, a tém bardziéj nie chcę robić nic podobnego w stosunku do *Ekonomisty*. Mniéj często, ale skuteczniéj pewno dotykaćby można kwestyj społecznych i ekonomicznych, gdyby zabiérali w nich głos bez przerwy ludzie, posiadający odpowiednie kwalifikacye naukowe. Nieszczęściem, ludzie ci przez długi czas milczeli, a w dziennikach pragnących zaspokoić gorącą i słuszną pod tym względem ciekawość ogółu, pojawiły się chwasty statystyczno-społeczne i już nie wiém jakie, które plenić musiał każdy, choć cokolwiek obeznany z zaczepianemi, a właściwie poniewieranemi kwestyami!

Jeżeli więc na uwagi moje nie zgodzi się redakcya *Ekonomisty*, wówczas nim zawoła: „człowieku! kim jesteś i jakiém prawem rościsz sobie pretensyą do kierowania naszym warsztatem?“ niech wprzód uderzy się w piersi i wyzna, że biédy téj narobiła dawniejsza obojętność czy powściągliwość ludzi fachowych. Wszak panowie, dziś pisujący do *Ekonomisty*, żyliście w owéj epoce anarchii literacko-ekonomicznéj, wszak widzieliście: jak ludziom w głowach mącono? Nie dziwcież się więc, gdy dziś mniéj obeznani z waszym fachem ludzie zarzucają wam, że nie notujecie cen funta żywéj wagi, albo że źle tytułujecie działy pisma. Taka jest koléj rzeczy ludzkich.

Wracając do przerwanéj kwestyi, wspomnimy o ciekawym artykule, również z działu statystycznego, p. t. „Finanse Rossyi za rok 1876“ przez An. An. Egera, z któréj to pracy przytoczymy kilka cyfr.

| | |
|---|---|
| Dochody ogólne państwa w r. 1876 wynosiły | 559.263.000 |
| Rozchody | 624.105.000 |
| Był za tém deficyt dochodzący | 64.842.000 |

Dług państwa w dniu 1 Stycznia 1877 r. wynosił 1.900.148.000 rubli, a procent roczny od niego 109.345.000 rs. Z zestawienia dwu tych liczb wypada, że państwo płaci średnio 5¾% od swego długu.

Ważniejsze i ciekawsze dochody wyrażone w procentach sumy ogólnéj były następujące:

| | |
|---|---|
| Spirytus i trunki | 34,17% |
| Podatki osobiste i gruntowe | 20,58 |
| Cło | 12,72 |
| Za prawo handlu | 2,60 |
| Sól | 2,05 |
| Tytuń | 1,89 |
| Cukier | 0,89 |
| Stempel | 1,76 |

| | |
|---|---|
| Za paszporty | 0,46 |
| Poczty | 1,95 |
| Telegrafy | 0,96 |
| Mennica | 0,64 |
| Od wychowańców zakładów naukowych rządowych | 0,07 |
| Opłata od Kirgizkiéj Wewnętrznéj hordy | 0,03 |

Wydatki zaś państwa ważniejsze były:

| | |
|---|---|
| Ministeryum wojny | 37,21% |
| Opłata długu państwowego | 17,52 |
| Ministeryum Skarbu | 14,05 |
| — Spraw wewnętrznych | 8,63 |
| — Komunikacyi | 3,93 |
| — Marynarki | 4,59 |
| — Dóbr państwa | 3,17 |
| — Oświecenia publicznego | 2,44 |
| — Spraw zagranicznych | 0,52 |
| Zarząd stadnin rządowych | 0,13. |

Z Królestwa Polskiego dochód wynosił 47.974.000 rs., rozchód — 44.636.000 rs., było zatém przewyżki 3.338.000 rs. W końcu nadmienić wypada, że w roku tym na jednego mieszkańca przypadało średnio 7 rs. 20 kop. wydatków państwowych.

W czwartym tygodniu istnienia *Ekonomista* uczuł potrzebę wprowadzenia swego własnego słownictwa i ogłosił na początek 13 wyrazów. Niektóre z nich, jako to: *wytwór*, *wytwórca* (zamiast produkt, producent), *spożycie*, *spożywca* (zam. konsumcya, konsument), są już nieco utarte. Nie zły, zdaje się, być *obieg powierczy*, zam. cyrkulacya pieniędzy papiérowych, choć nie powiém, aby jasno określał zjawisko, *podatnik* zaś, zamiast: kontrybuent, mocno trąci galicyjską słoworobnią. Do téj pory jednak wszystko jeszcze jest dobre: dają nam bowiem wyrazy swojskie zamiast cudzoziemskich; nie rozumiém jednak, dlaczego redakcya wyrazy polskie już dość upowszechnione tłómaczy znowu na polskie bardzo świeżéj daty? Tak np. dawne *bezrobocie* po dzisiejszemu ma się nazywać *zmową* (niestety! oba wyrazy są jednakowo bałamutne, jako posiadające po kilka znaczeń), dawniejszy: *pracodawca* ma ustąpić miejsca starszemu wprawdzie. lecz już dymisyonowanemu *przedsiębiercy*, a bardzo nowa: *samopomoc* ma się przezwać: *samoradą*. Pominąwszy już, że dzięki téj zmianie, ci, którzy słuchali niegdyś o samopomocy, w kształceniu się w zaciąganiu długów i t. d. będą musieli słuchać: o samoradzie w kształceniu się i t. d. liberalizm „Ekonomisty" na złe może wyjść językowi. Przy podobnym bowiem systemie, wyrazy specyalne wy-

biérane będą jak prezydenci Stanów zjednoczonych na lat cztery, a najwyżéj na ośm.

Jakkolwiek drobna to rzecz na pozór owe: własne słownictwo, jakkolwiek dla „kontrybuenta“ obojętnym może być tytuł „podatnika,“ byle sama funkcya była słodszą, jakkolwiek „obieg powierczy“ i „cyrkulacya pieniędzy papiérowych“ jednakowo mniéj dokuczliwemi będą w obec większéj ilości złota i srébra, z témwszystkiém należy ostrożnie płodzić nowe wyrazy, abyśmy nie doszli do przeludnienia, czy też przewyrazowania. Nadmierna praca w tym kierunku po długoletniéj „zmowie“ czy „bezrobociu“ może zdyskredytować język, a słownikarsko-ekonomiczna „samorada“ łatwo przejść w samowolę i stworzyć drugą edycyą wieży Babel, choć już i bez niéj, w bardzo wielu kwestych, rozchodzą się synowie Noego! Ekonomista zrobi wiele, gdy wyrazy cudzoziemskie przetłómaczy na polskie, dokładnie malujące pojęcia; podział zaś ich na ładne i nieładne, i zastępowanie wyrazów już utartych przez nowe, jakoby lepsze, trzeba zostawić Akademii, która się może weźmie kiedyś do ustalenia polskiego słownictwa.

Dział ekonomiczny odznacza się doborem artykułów, z których kilka postaramy się streścić.

*O składach towarowych*. Warszawa leży na granicy Wschodu wytwarzającego i Zachodu spożywającego zboże. Ztąd wysyłać można towar ten na Szląsk, do części Niemiec północnych, Saxonii, Bawaryi i Westfalii; tu także zatrzymuje się lub tylko przejeżdża zboże z dróg żelaznych: Moskiewsko-Brzeskiéj, Riażsko-Wiaziemskiéj, Kijowsko-Brzeskiéj, Kursko-Kijowskiéj i Landwarowo-Romeńskiéj. W r. 1876 zatrzymywało się w Warszawie 1.472.000 pudów a przejeżdżało wprost zagranicę 920.000 pudów zboża, przedstawiającego wartość z górą dwu milionów rubli, na czém zarobiły koleje 300 tysięcy rs. a komisanci 12 tysięcy rs. w ciągu roku.

Zyski nasze zwiększyćby się mogły, gdyby miejscowi kupcy nabywali zboże w cesarstwie, sprowadzali je do Warszawy w wielkich ilościach, gatunkowali i wyczekiwali na ceny lepsze. Nie dość na tém: kupcy bowiem zagraniczni, wiedząc iż się znajdują w Warszawie znakomite zsypy zboża, tu robiliby zamówienia, nie odnosząc się do punktów dalszych, a kupcy rosyjscy nie staraliby się o nabywców zagranicą, lecz w Warszawie. Warszawa bowiem, dzięki zwyczajom handlowym na tryb europejski urobionym, a z drugiéj strony, większéj łatwości zbadania i zużytkowania stosunków rosyjskich, dla obu stron mogłaby stanowić wygodny łącznik. I gdyby raz, według „Ekonomisty,“ wytworzyło się u nas tego rodzaju pośrednictwo, ilość sprowadzanego zboża do Warszawy i załatwianych

u nas a zyskownych interesów wielkie mogłaby przybrać rozmiary. Nie zapominajmy bowiem, że czerpać jest zkąd: w r. 1875 wywieziono z cesarstwa zboża 237 milionów pudów, z którėj to cyfry ledwie 1/200 część tylko przejechała przez Warszawę, przyczém nasz świat handlowy odegrał skromną rolę pośrednika lub tragarza, nie zaś kupca. Dodać jeszcze wypada, że prócz wymienionych dróg żelaznych, z których już otrzymujemy zboże, możemy jeszcze zużytkować: Morszańsko-Szyzrańską, Riażsko-Morszańską, Tambowsko-Kozłowską i Moskiewsko-Riazańską, z których dotychczas nic do nas nie przybywa.

Dla umożliwienia jednak tych rozległych działań handlowych, przy których wiele osób znaléźćby mogło utrzymanie, potrzebne są składy towarowe, czyli obszerne, suche i bezpieczne budynki, połączone za pomocą szyn z warszawskiemi stacyami dróg żelaznych. Kupcy nasi daliby sobie radę z podobnemi operacyami, dozorców i tragarzy równieżby nie zabrakło, tylko brakuje składów tak dalece, że nie raz na stacyi drogi Terespolskiéj zboże przez długi czas leży pod odkrytém niebem, co na ciężkie straty naraża właścicieli. Składy przedstawiają i tę jeszcze dogodność, że świadectwa wydane na towar, złożony w nich, są papiérami wartościowemi i łatwo na gotówkę zamienione być mogą.

Jeżeliśmy jasno rzecz przedstawili, w takim razie nie potrzebujemy już kłaść nacisku na potrzebę wzniesienia podobnych składów, dzięki którym Warszawa może się stać na prawdę jednėm z większych europejskich ognisk handlowych. Słusznie „Ekonomista“ dodaje, że prócz składów na zboże, należałoby też wznieść składy na len, łój, konopie i inne wytwory surowe, dziś ociérające się tylko o szyny naszych stacyj. Ale śpieszyć się trzeba z wzniesieniem budowli i uregulowaniem obsługi, ponieważ Berlin i Wrocław już myślą o składach towarowych, a gdy raz je posiądą i prąd handlu w swoję stronę skierują, walka będzie trudna, jeżeli nie niemożliwa.

W końcu „Ekonomista“ sądzi, że do budowy składów przystąpićby mogła jakaś instytucya finansowa, lub towarzystwo w tym celu zawiązane: kapitał bowiem potrzebny, w każdym razie, dosiągnąłby kilkuset tysięcy rubli. Myślano już podobno o tém u nas przed paru laty, lecz dlaczego nic nie zrobiono? nie wiém. W każdym razie bowiem instytucya ta miałaby większe widoki zysków, aniżeli proponowana kiedyś spółka, mająca zamiar wywozić do cesarstwa wyroby naszego przemysłu, który, jak dziś, stoi o tyle niżéj od niemieckiego, że miejscowych potrzeb zaspokoić nie może.

Oddając każdemu co mu się należy, nadmieniam, że, jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, p. Jeleński był albo pierwszym, albo je-

dnym z pierwszych autorów, którzy na kwestyą składów towarowych zwracali uwagę publiczną. Szkoda, że już wówczas ludzie pieniężni nie zajęli się wykonaniem, albo choć wszechstronném zbadaniem projektu.

*Kwestya drugorzędnych dróg żelaznych w Królestwie Polskiém*, przez K. Kopytowskiego.

Kraj nasz posiada 1.383 werst dróg żelaznych, a tym sposobem na 1 wer. drogi przypada 81 w. kwadr. powierzchni i 4.620 mieszkańców. Tymczasem gdzieindziéj stosunki te są nierównie korzystniejsze i tak:

Na 1 werstę kolei przypada terytoryum w Belgii 9 wer. kw.

| | | |
|---|---|---|
| Wiel. Brytanii | 11 | „ |
| Niemczech | 20 | „ |
| Francyi | 29 | „ |
| Austro-Węgrzech | 36 | „ |
| Stan. Zjednoczon. | 53 | „ |

Ludności zaś na 1 werstę drogi żelaznéj przypada w

| | | |
|---|---|---|
| Stan. Zjednoczonych | 386 | osób |
| Wielk. Brytanii | 1.293 | „ |
| Belgii | 1.740 | „ |
| Niemczech | 1.764 | „ |
| Francyi | 2.271 | „ |
| Austro-Węgrzech | 2.362 | „ |

Tym sposobem mamy, ze względu na stosunek do przestrzeni, 8 razy mniéj dróg żelaznych aniżeli Belgia, a ze względu na ludność, prawie 12 razy mniéj dróg niż Stany Zjednoczone. Wprawdzie, według projektów rządowych, kraj nasz w nieoznaczonym terminie może otrzymać jeszcze 788 werst kolei, ale i wtedy 1 wersta drogi przypadać będzie na 51 wer. kwadr. terytoryum i na 2.940 mieszkańców. Warunki komunikacyjne poprawią się chociaż w sposób dosyć umiarkowany.

Nowy ten jednak przyrost kolei, ze względu na wydatki jakie pochłonęła wojna, jest dość wątpliwy. Rząd nie będzie się kwapił z poręczaniem zysków, a dla osób prywatnych budowanie drogi kosztującéj od 44.500 rs. (Fabryczno-Łódzka) do 104.340 rs. (Warszawsko-Petersburgska) na własne ryzyko jest uciążliwą a nawet niemożliwą rzeczą. Na zwiększenie zatém naszych środków komunikacyjnych pozostaje jeden tylko sposób, a mianowicie: budować prywatnemi kapitałami drogi żelazne tanie.

P. Kopytowski dzieli koleje na dwie klasy. Klasa pierwsza obsługuje przemysł już rozwinięty, przewozi mnóstwo osób i towarów i odznacza się wielką ilością szybko biegnących pociągów, tudzież

budową kosztowną. Klasa druga, cechująca się tanią budową, małą ilością wolnobiegnących pociągów i niewielką długością, służy do rozwinięcia przemysłu w okolicach, które go posiadają w zawiązku. Według p. K. drogi już wybudowane lub projektowane u nas należą do typu pierwszego, podczas gdy typ drugi wcale jeszcze nie istnieje. Słyszałem od znawców, że nasze koleje w ogóle mniéj uwzględniają interesa przemysłowe, a więcéj strategiczne, przeto i ów typ pierwszy występuje u nas niedość wyraźnie i nie oddaje odpowiednich usług.

Drogi klasy drugiéj, których zadaniem byłoby łączyć miasta gubernialne i powiatowe z liniami głównemi, mogą być budowane taniéj dlatego, że ruch na nich jest mały: nie trzeba zatém wykonywać robót i konstrukcyj kosztownych. Biorąc za punkt wyjścia cenę 1 wersty drogi Warszawsko-Bydgoskiéj (45.493 rs.), p. K. oblicza, że linia drugorzędna kosztować może na werstę:

bez taboru 17.100 rs.
z taborem 20.620 rs.

Nadto zaś sądzi, że droga, po któréj w każdą stronę przejedzie codzień 44 podróżnych i 3.956 pudów towaru, nietylko pokryje koszta wyzysku, ale nadto przyniesie 5% od kapitału zakładowego i $\frac{1}{10}$% rocznie na umorzenie takowego. Żałujemy, że brak miejsca nie pozwala nam, choć w streszczeniu, przytoczyć rachunków szan. autora, istotnie ciekawych i nauczających. Ograniczymy się więc na powtórzeniu za nim jakie to kierunki linij drugorzędnych mogłyby dziś być wybudowane i przynosić zyski.

| | Długość werst |
|---|---|
| Lipno—Włocławek (brzeg Wisły) | 23 |
| Płock—Kutno (brzeg Wisły) | 45 |
| Sochaczew—Ruda Guzowska | 23 |
| Rawa—Skierniewice | 25 |
| Łęczyca—Ostrowy | 28 |
| Łódź—Ozorków | 23 |
| Lutomiersk—Łódź | 17 |
| Przasnysz—Ciechanów | 23 |
| Pułtusk—Nasielsk | 23 |
| Ostrów—Małkinia | 18 |
| Łomża—Czyżew | 46 |
| Suwałki—Grajewo | 70 |
| Sokołów—Siedlce | 26 |
| Radzyń—Łuków | 25 |
| Hrubieszów—Chełm | 45 |

W celu budowania dróg podobnych, p. K. radzi zawiązywać towarzystwa z obywateli ziemskich, zamieszkujących interesowane w sprawie okolice. Stowarzyszeni muszą przedewszystkiém zebrać pieniądze na studya przygotowawcze (w stosunku 60 rs. na werstę), daléj wystarać się o daty statystyczne, które określą bliżéj możność istnienia drogi, następnie porobić dokładne plany i na ich zasadzie ustanowić wysokość kapitału zakładowego. Potém idzie rozmieszczenie akcyj nowéj kolei, zatwierdzenie ustawy, która bardzo różnić się musi od ustaw obowiązujących dziś budowane drogi, a nareszcie skontraktowanie technika, który ma kierować nietylko budową, lecz i wyzyskiwaniem czyli eksploatacyą kolei.

Ciekawe są ułatwienia, jakie autor wskazuje tym, których przestraszyć mogą wielkie koszta podobnego przedsiębierstwa. Suma 17.100 rs., reprezentująca cenę jednéj wersty kolei bez taboru, rozpada się na trzy części.

6.000 rs. na roboty ziemne, ciesielskie i kamieniarskie, którą okoliczni właściciele przyjąć mogą, biorąc akcye za dostarczenie materyałów i robocizny, a co im łatwiéj przyjdzie niż opłacenie akcyj gotówką.

7.000 rs. na szyny i połączenia, które nabyć można również za akcye od rządu posiadającego znaczne zapasy tych przedmiotów.

Pozostaje więc do wypłacenia gotówką tylko 4.000 rs. na werstę, którą to sumę ściągnąć można znowu za pomocą akcyj. Papiéry te zdaniem p. K. chętnych znajdą nabywców, jeżeli gminy, przez które koléj przechodzi, zechcą poręczyć akcyonaryuszom $5^1/_{10}\%$, czyli 872 rs. na każdą werstę drogi rocznie. Poręczenie to obciążyłoby każdy mórg ziemi (rozumié się w najgorszym razie) opłatą $14^1/_2$—22 kop. rocznie.

Praca p. Kopytowskiego z dwu względów zasługuje na uwagę: raz jako myśl nowa i użyteczna, drugi raz jako wykład. Artykuł p. K. jest projektem, podobnym z tego powodu do tysiąca innych, lecz zarazem jakże się on różni od nich! Wnioski autora są hipotezami, które jednak opierają się na dobrze zbadanym gruncie faktycznym, wywodzą się rachunkiem a sprawdzają znowu zapomocą aktów. Czytając piękną tę rozprawę, człowiek czuje się w nowéj atmosferze, jakby go z zatęchłych murów miasta, dobre wróżki przeniosły w górską dolinę. Jak blado wyglądają przy tym projekcie inne, którycheśmy tak wiele czytali. Ileż to razy autorowie koszlawych rozumowań przysięgali na logikę, sądząc w dobréj wierze, iż sam ten wyraz wypłoszy z ich artykułów złego ducha majaczeń i niekonsekwencyj. W pracy p. K. o „logice“ nie wspomniano ani

razu, choć przegląda ona z każdego zdania, panuje nad każdym okresem. Ale też co prawda w szkołach politechnicznych uczą sztuki robienia projektów, w naszéj zaś literacko-dziennikarskiéj rzeczypospolitéj wszystko dzieje się pod wpływem natchnienia, niezawsze znoszącego kajdany, jakie nakłada rozsądek.

W podobny sposób treścią „Ekonomisty“ zapełnićbym mógł całą kronikę, ograniczę się jednak na przytoczeniu kilku jeszcze tytułów prac tam pomieszczonych, a mianowicie: „Spółki spółdzielcze,“ „Handel drzewem,“—„Kasy oszczędności w Królestwie Polskiem,“— „Zmiany cen we Francyi od pół wieku“ itd. Każdy artykuł „Ekonomisty“ podaje jakąś myśl wyraźną i skoncentrowaną, rzuca światło na kwestyą, którą przedstawia, słowem, uczy. Sądzę, że pismo to, gdy się da lepiéj poznać, każdemu poważnemu czytelnikowi dostarczy wybornego materyału do rozmyślań i zajmie jedno z pierwszych miejsc w naszéj literaturze peryodycznéj. Z tych powodów gorąco polecamy je ukształconéj publiczności.

Każdy czas i każdy kraj ma swoje hasło czy ideę, którą większość radaby urzeczywistnić. Niemcy pragną zniweczyć wpływ kościoła na sprawy państwowe, Francuzi chcą utrwalić rzeczpospolitą, Włosi zaokrąglić granice, a my—pozyskać kredyt. Potrzeba kredytu jest sztandarem, pod którym gromadzą się najsprzeczniejsze żywioły: o kredyt wołają miasta, kredyt niezbędnym jest dla podniesienia własności mniejszéj, bez kredytu większa własność upadnie, oto głosy odzywające się nieustannie w dziennikach i stosunkach prywatnych. Brak pieniędzy jest tak dotkliwy, a lichwa tak wysysającą, że, mówię to bez żadnéj przenośni, gotowi jesteśmy połowę kraju zastawić, mniejsza o to w czyim banku, byle dostać gotówki na procent niewielki.

Moralna odpowiedzialność za nieszczęsne to położenie nie spada na ogół, a tém mniéj na ludzi dzisiejszych, którzy skutkiem tysiącznych okoliczności znaleźli się w matni bez wyjścia. Wiemy, że tani kredyt postawiłby nas na nogi: umożliwił reformy w gospodarstwie wiejskiém, ożywił przemysł i handel. Wiemy, że o miedzę leżą kapitały gotowe służyć za 4% lub 5% .rocznego wynagrodzenia, lecz jednocześnie wiemy i to, że owe kapitały nie przyjdą do nas nawet za 10%, ponieważ straciliśmy zaufanie. Sąsiedni kapitalista kupi chętniéj akcyą nowo odkrytéj kopalni w Ameryce, aniżeli jakiegoś banku rolniczego, gdyby takowy pojawił się u nas. Oryginalne położenie!

W owéj gonitwie za kredytem, dziwniéj wydaje się to, że pisma, które najgłośniéj protestują przeciw dopuszczaniu niemców do kraju, pisma, dla których kilkunastu obdartych kolonistów wydają

się być mieczem Damoklesa, zawieszoném nad naszą narodowością, one właśnie najgorliwiéj upominają się o kredyt dla rolnictwa. Dobrze! ale któż da pieniędzy, skoro ich nie ma w kraju? Naturalnie, że Francuzi, Anglicy, a najprawdopodobniéj Niemcy!.. Gdyby ci Niemcy pożyczyli nam ze 200 milionów rubli na 5%, ogłosilibyśmy ich za dobrodziejów i obchodzilibyśmy uroczystość odrodzenia się rolnictwa, zapominając, że odrodzone rolnictwo byłoby warsztatem, a uszczęśliwieni rolnicy sługami kapitalistów niemieckich, którzy przy pierwszéj lepszéj sposobności staliby się właścicielami już nie kilkomorgowych kolonijek tu i owdzie rozrzuconych, ale całych powiatów, jak są długie i szerokie.

Złożywszy hołd konsekwencyi opiekunów naszego ziemiaństwa, przechodzę do rozprawy o banku hipotecznym, napisanéj przez „Młynarza z nad Warty" a drukowanéj w *Niwie*. Autor artykułu zbadał przedmiot i zna go dobrze, czy lęka się marnych kolonistów, o tém nie wiém, ale to pewna, że nie lęka się gorszego od nich napływu kapitałów obcych,—w czém może ma racyą, jeżeli tak jak my ufa niespożytéj energii swojego społeczeństwa. Tragikomiczną jednak stronę artykułu stanowią dwie jego zasadnicze a wykluczające się prawdy. Pierwsza, że kraj mógłby zaciągnąć dość wysoką pożyczkę, gdyż przedstawia gwarancyą faktyczną, druga—że kraj nie może zaciągnąć pożyczki, ponieważ mu jéj nie dadzą, z powodów, któreby godziło się nazwać brakiem gwarancyi teoretycznéj; stosunki ułożyły się u nas tak zabawnie, że same ustawy Towarzystwa Kredytowego podkopują kredyt, i że nową pożyczkę na warunkach dogodnych otrzymaćbyśmy mogli nie prędzéj, aż po zmianie zasad, na których opiéra się dziś kredyt ziemski.

Do roku 1863 rolnictwo nasze zasilane było w znacznéj części kapitałami niemieckiemi, Niemcy bowiem chętnie i w znacznych ilościach nabywali Listy Zastawne. Od téj pory jednak stan rzeczy zmienił się na niekorzyść, ponieważ Niemcy stracili zaufanie do naszych papiérów: „Młynarz z nad Warty" wskazuje trzy powody tego opłakanego zjawiska. Jednym jest chwianie się naszéj waluty, skutkiem czego Listy Zastawne szły w górę lub spadały pospołu z rublem papiérowym. Drugim powodem jest ten, że w umysłach ludzi obcych od pewnego czasu bezpieczeństwo nasze własności ziemskiéj stało się wątpliwém, skutkiem jakoby uwłaszczenia. Trzecim wreszcie jest ten, że według taksacyi, zaprowadzonych przez Tow. Kred. w r. 1869, wydaje się, iż nasze majątki ziemskie obdłużone są do *połowy* swéj wartości, podczas gdy faktycznie pożyczka Towarzystwa niewiele wyżéj sięga nad część *trzecią*. Każdy zrozumié, że dwa pierwsze powody nierównie silniejsze są od ostatnie-

go, lecz samo jego istnienie jest dziwne i w rażący sposób cechuje miejscowe stosunki.

Dwie zasady przewodniczą Towarzystwu w sprawie udzielania pożyczek. Pierwszą jest taksa, czyli oszacowanie wartości dóbr, któréj połowa odpowiada wysokości pożyczki. Drugą zasadę stanowi najwyższa granica owéj połowy, którą ma być 56 razy wzięty podatek gruntowy. Ponieważ własność większa w ogóle płaci owego podatku rocznie 2.337.117 rs., zdawaćby się zatém mogło, że ogólna wartość majątków większych *co najwyżéj* wynosi 269.757.104 rs., gdy tymczasem, podług obrachowań autora, wartość ta dosięga cyfry 340.858.928 rs. Tym sposobem, na mocy orzeczeń Tow. Kredyt., ogół własności większéj uboższym jest o 71 milionów rubli. Opinia ta mogłaby nas nic nie obchodzić, gdybyśmy właśnie ztamtąd nie potrzebowali pieniędzy!

Opiérając się na swéj cyfrze, autor bada, na jakich wartościach oprzéćby się mógł Bank Hipoteczny u nas, przypuszczając, że takowy udzielałby pożyczek do $^3/_4$ wartości majątku, na pierwszą hipotekę po Towarzystwie Kredytowem. $^3/_4$ wartości

| | | |
|---|---|---|
| ogólnéj własności większéj . . . . . . . . | rs. | 230.079.777 |
| Najwyższa cyfra pożyczki udzielonéj i mogącéj się udzielić przez Tow. Kredytowe | rs. | 134.878.552 |
| Zostaje więc dla Banku Hipotecznego . . . | rs. | 95.201.225 |
| $^3/_4$ wartości drobnéj własności ziemskiéj (nie wiem dlaczego autor bierze całą?) . . . | | 195.265.858 |

Więc Bank Hipoteczny oparłby się na gruntach, mogących zaciągnąć około 300 milionów rs. pożyczki, nie licząc lasów, wartości zakładów przemysłowych rolnych i budynków miejskich. Podstawa bez porównania szersza od téj jaką posiada Towarzystwo Kredytowe Ziemskie. Nawiasowo dodamy, że pożyczka Banku Hipotecznego na 1 mórg własności większéj wyniosłaby około rs. 8$^1/_2$, zaś na jedne dobra około 13 tysięcy rs. Suma taka, użyta w części na ulepszenia, w części na kapitał obrotowy, mogłaby poprawić stan własności większéj, chociaż zapytać wypada: ileby z niéj zostało, po pokryciu długów prywatnych?

Z kolei autor przechodzi do zbadania usług, jakie mógłby oddać Bank Hipoteczny, założony przez wielkich kapitalistów, i wyprowadza trafny wniosek, że choć kupony listów owéj instytucyi przynosiłyby tylko 6% nabywcom, dłużnicy jednak płacićby musieli od zaciągniętéj pożyczki w pierwszym roku 10$^1/_2$%, w następnych 9$^1/_2$%. Trzebaż bowiem wynagrodzić kapitalistów za poręczenia, utrzymać administracyą, zbierać fundusz rezerwowy i spłacić zaciągnięty dług w pewnym okresie czasu (43$^1/_2$ lat). Ale 10% i 9% są

zbyt wysokie dla rolnika, zrujnowałyby go, zamiast uratować, i z tego powodu autor stanowczo odpycha projekt Banku Hipotecznego w podobnych założonego warunkach. Tu zrobić muszę wzmiankę, że według opinii osób kraj znających, nawet 10% byłby jeszcze ulgą dla rolników, którzy (może być że nie w każdéj okolicy) płacą nierównie większe procenta za niezbędny kapitał obrotowy.

Cóż zatém proponuje autor, który odepchnął ostatnią deskę ratunku, w postaci Banku Hipotecznego? Oto przedewszystkiém zaleca środki, zdolne obudzić zaufanie kapitalistów obcych, a mianowicie: zreformować istniejące u nas zasady kredytu ziemskiego. I tak: ponieważ formuła, że połowa wartości dóbr jest mniejszą od 56 razy wziętego podatku gruntowego, obniża istotną wartość majątku, więc należy ją usunąć, a natomiast oprzéć się na taksacyach i handlowéj wartości majątków. Tym sposobem kredyt ziemski pozyska szersze podstawy.

Ponieważ innym powodem osłabienia ufności zagranicy było chwianie się kursu Listów Zastawnych spłacanych obecnie rublami papiérowemi, należy więc przywrócić Listom tym metaliczne podstawy. Mówimy *przywrócić*, ponieważ do r. 1855 płacono za nie metalem, w owéj zaś epoce tymczasowo wprowadzono obieg papiérowy, co się do dziś dnia utrzymało. Powrót taki do wartości metalicznéj, przy ogólnéj cyrkulacyi papiérowéj, napotkałby zapewne w przeprowadzeniu liczne trudności, z jakiemi dzisiaj już mają do walczenia niektóre banki ziemskie w Cesarstwie, które bilety swe w metalicznéj monecie w kurs wypuściły. O tych trudnościach i innych niedokładnościach w pracy autora, zastrzegamy sobie wypowiedzenie jeszcze słów kilku.

Daléj żąda autor, aby do przepisów określających kredyt wprowadzono czynnik kulturowy, co jest słuszne, ponieważ wyższa kultura nadaje majątkowi wyższą wartość, co dziś nie bywa uwzględniane i co przedstawia niezmiernie trudne do wypełnienia w praktyce warunki, na które autor nie zwrócił sam uwagi. W końcu zaś domaga się, aby prawo z r. 1869 uzupełniono dodatkowemi przepisami, obejmującemi kredyt na kapitał nakładowy, melioracye i zakłady przemysłowe rolne, tudzież przywrócono moc odnośnemu artykułowi prawa w kodeksie Napoleona. Krótko mówiąc, „Młynarz z nad Warty“ żąda bardzo rozsądnie, aby dzisiejsze Towarzystwo Kredytowe, przez rozszerzenie zakresu działań i pozyskanie trwałych i realnych podstaw, przyjęło na siebie funkcye proponowanego Banku Hipotecznego.

Wyznać trzeba, że plan ten jest o tyle prosty, o ile głęboki. Gdyby wykonany został, jeżeli wykonanym być może, ujrzelibyśmy

w kraju pieniądze metalowe, stopa procentu spadłaby znakomicie, obywatele ziemscy odetchnęliby, włościanie mogliby przystąpić do skupienia swoich rozrzuconych gruntów, i cały kraj przybrałby inną fizyognomią, słowem, byłoby rozkosznie, mnie się jednak nie wydaje, abyśmy rychło tych czasów doczekali. Wszystko bowiem zależy od zmian ustaw na korzyść rolnictwa, rzeczy zaś takie nie przychodzą u nas ani zbyt łatwo, ani zbyt prędko.

Wiadomo, że w pierwszém półroczu 1881 roku mają być zupełnie wycofane z obiegu 4% Listy Zastawne III-go okresu i zastąpione 5% listami z r. 1869. Wycofywanie to i zamiana poczęły się już w r. 1870, lecz następnie uległy pewnemu opóźnieniu, skutkiem czego Tow. Kred. ma zamiar w nadchodzącém losowaniu wzmocnić o 1½ miliona rubli fundusz, przeznaczony na umorzenie, i sumę tę obrócić na wykup List. Zast. III-go okresu.

Tymczasem jednak papiéry te kryją się i idą w górę, tak dalece, że przeskoczyły o 1,25% pożyczkę z r. 1869, która przecięż większy daje procent. Gdy zaś daléj tak pójdzie i gdy każdy z wymianą opóźniać się będzie do ostatecznego terminu, wówczas listy nowe mogą spaść jeszcze znaczniéj i ogół poniesie straty.

Dla zaradzenia temu, Towarzystwo już dziś wymienia Listy Zastawne III-go okrésu na nowe z r. 1869 i dopłaca różnicę kursów. Ktoby więc miał podobne papiéry, niech wykona tę operacyą, ponieważ i ulży Towarzystwu i otrzyma wyższy procent. Pewność hypoteczna obu papierów jest ta sama, jedyną zaś różnicę stanowi to, że listy dawne w razie kradzieży, lub zniszczenia przez ogień dawały prawo do pozyskiwania duplikatów, któréj to korzyści obecne nie przedstawiają. Lecz i za tym przywilejem uganiać się nie ma powodu, gdyż za lat cztery skończy się on współcześnie z wycofaniem Listów III-go okrésu. Zresztą nie kładziemy nacisku, choć jeszcze raz przypominamy większy procent.

Dość osobliwym wydaje się fakt, że właśnie w trakcie zwiększonéj pracy wycofywania i wymiany Listów, zniesioną została delegacya finansowa towarzystwa, która nietylko zajmowała się tą czynnością, ale nadto rozporządzała kapitałem rezerwowym. Te ostatnie operacye, wymagające swobody ruchów i szybkich postanowień, przynosiły duże zyski: tak, że naprzykład ostatnia delegacya przysporzyła Towarzystwu 113.000 rubli korzyści. Obecnie zastąpić ją ma zwykły komplet radców Dyr. gł., z pomiędzy których referentów mianować będzie prezes. Zmiany takie dowodzą niewątpliwie czynności i energii, przysparzać muszą dużo zadowolenia wewnętrznego, ale zysków chyba nie przysporzą, jeżeli nie zmniejszą.

Ci, którzy mieli sposobność zauważyć, jak dalece dziennikarstwo ruguje książki z domów i pochłania zdolności mogące w poważniejszym pracować kierunku, z przyjemnością zapewne usłyszą, iż literatura peryodyczna przykłada się w miarę możności do wytworzenia dzieł głębszych i trwalszych. Dwa bowiem pisma nasze: *Bluszcz* i *Biblioteka Warszawska* wystąpiły z zadaniami konkursowemi.

W temacie *Bluszczu* „O wychowaniu macierzyńskiém" uwzględnione mają być następne punkta: 1) Jak matka ma postępować z dzieckiem od pierwszych chwil dzieciństwa, aby otrzymać wpływ stanowiący wychowanie? 2) Jaki powinien być stosunek działań matki na syna a jaki na córkę? 3) Formalne działanie wychowania macierzyńskiego i nauka. Jakie, względnie do umysłowego kształcenia dziecka, są obowiązki matki? Jéj stosunek do nauczycieli i szkoły. 4) Co należy rozumiéć przez wykształcenie człowieka? O ile godzi się uwzględniać naturalny kierunek zdolności i siły wrodzonego usposobienia? Wykształcenie humanitarne i zawodowe. 5) Jak wychowanie macierzyńskie działać powinno na wyrobienie się charakteru dziecka? O szczepieniu poglądów i przekonań. 6) Dziecko chowa się dla przyszłości; jak zatém iść w wychowaniu za prądem idei nowych i jak stosować je w wychowaniu? Co należy rozumiéć przez postęp? 7) O dojrzałości myśli wychowawczéj: o jedności i spokoju działań edukacyjnych. 8) Jak wpływy wychowawcze powinny równoważyć złe wpływy zewnętrzne tak zwanego świata i nieprzyjaznych okoliczności życia, wśród których znaléźć się może dziecko młodsze i dziecko starsze? 9) Jak powinien urobić się stosunek moralny dziecka do rodziny i tradycyj rodzinnych? 10) Jakiém winno być stanowisko matki, gdy córka z ukończeniem nauki obowiązkowéj, a syn, z ukończeniem szkół średnich, staną w obec matki jako młódź dojrzałości już bliska, a przecięż jeszcze niedojrzała? 11) Jak ofiara przywiązania rodzicielskiego powinna posunąć się daleko, gdy dziecko zupełnie już dorosłe ma wstąpić w życie, jako jednostka niezależna? Jakie być powinno pojęcie matki, co do obowiązku zapewnienia szczęścia dziecku i jak daleko w tym kierunku wolno jéj oddziaływać na przyszłość dziecka? 12) Czego z chwilą niezależności zupełnéj rodzice i dzieci mogą wzajemnie żądać już tylko od siebie, a co pozostaje między nimi na zawsze, jako obowiązek, nienaruszony przez czas i okoliczności życia?

Ostatni termin konkursu 1 Kwietnia 1879 roku; nagroda za dzieło najlepsze rs. 200.

Konkurs ten pożyteczny jest z wielu względów, jeżeli się uda. Rezultat jego stanowić będzie wcale pokaźny nabytek w literaturze na-

széj i zwróci uwagę ogółu na kwestye wychowawcze, któremi osobliwie w czasach ostatnich zajmujemy się bardzo mało. Światła i kochająca matka, która rozumié cały ciężar swych obowiązków i nie raz walczy z mnogiemi a kłopotliwemi wątpliwościami, jakie wychowanie nastręcza, otrzyma w każdym wypadku ogólne przynajmniéj wskazówki. Te zaś matki, dla których ideałem dobrego wychowania była guwernantka francuzka „z fortepianem,“ poznają prawdziwe cele edukacyi, a może choć któraś z nich opamięta się dość wcześnie i nie powiększy własnemi dziećmi cyfry bezdusznych lalek.

Cokolwiek mówi się o porównaniu kobiét z mężczyznami, jest fakt i zapewne na długo tak pozostanie, że kiedy mężczyzna reprezentuje siłę, rozsądek i pożytek praktyczny, kobiéta, przynajmniéj w ukształceńszych warstwach, przedstawia uczucie i dążności estetyczne. Otóż, w wychowaniu dzisiejszém, w całym świecie nietylko u nas, przeważa żywioł rozumowy i fachowy, który zapewnia utrzymanie, lecz jednocześnie bardzo zaniedbanemi są uczucia i wspiérający się na nich charakter człowieka. Miejmy nadzieję, że to upośledzenie charakteru w wychowaniu zniknie u nas, gdy się matki wykształcą a nadewszystko gdy zrozumieją swój stosunek z jednéj strony do dzieci, z drugiéj—do społeczeństwa. Życzymy też redakcyi *Bluszczu*, aby konkurs jéj stał się punktem wyjścia do obszernych i wytrwałych prac w tym kierunku w łonie rodzin.

Nierównie szerszy temat przedstawiła *Biblioteka Warszawska*, ogłaszając konkurs na dzieło obejmujące wykład obowiązków, potrzeb i zadań obywatela współczesnego w kraju naszym. Rzecz to łatwa i trudna zarazem: obowiązki bowiem wypływające z praw obywatelskich mają u nas nader szczupłe granice, które rozszerzyć może tylko wielka miłość dla swego narodu i cierpliwe zbadanie drobnych szczelin, umożliwiających jaki taki rozwój. Redakcya zaleca, aby książkę opracowano na podstawie historyi, głównie własnéj, choć nie wyłącza innych, jako punkt wyjścia zaś wskazuje: „Żywot poczciwego człowieka“ przez Reja,—„Pana Podstolego“ i „Żywoty zacnych mężów z Plutarcha“ Krasickiego. Dziwią się niektórzy, że obok typów świeckich postawiono „Żywoty świętych“ Skargi. Może być, że redakcya zrobiła to dla zaakcentowania swéj pobożności, w każdym jednak razie dążność ta dobre może wydać owoce. Istotnie bywają położenia, w których powszednie cnoty i męztwo cywilne nie wystarczają, a wówczas potrzeba wznosić oczy ku tym wzniosłym przykładom ludzi, co dla idei, dla dobra przyszłości, poświęcili mienie swoje i siebie samych, oczekując nagrody i uznania zasług w owym

świecie, kędy Bożemu miłosierdziu nie stają w poprzek występki ludzkie.

Ci, którzy przystąpią do téj pracy, powinni nietylko pilnie rozglądać się dokoła, ale też zbadać historyą powszechną i skąpać ducha w filozofii. Wówczas dopiéro z ręki ich może wyjść dzieło, w którém wątpiący znajdą otuchę, smutni pociechę a słabi siłę. Te zapewne cele miała na myśli redakcya, naznaczając wysoką, jak na nasze stosunki, nagrodę 750 rs. Czy tylko termin do dnia 1-go Maja 1879 roku nie jest zbyt krótkim?

Miło mi w końcu zrobić uwagę, że książka o obowiązkach współczesnego obywatela znajdzie u nas grunt przygotowany. Istotnie, że w społeczeństwie naszém, przy wszystkich jego wadach i kłopotach, pojawiają się od czasu do czasu fakta dowodzące niepospolitéj żywotności, a nadewszystko uczuć wyższych i szlachetniejszych.

*Izraelita*, jak to sam tytuł wskazuje, jest organem ludności starozakonnéj, wśród niéj głównie ma czytelników, z pomiędzy niéj wybiéra współpracowników, słowem—jest on źwierciadłem opinij, krążących przynajmniéj w pewnych klasach téj części naszego narodu. Dodajmy, że nie wszyscy czytelnicy *Izraelity* zamienili konserwatywny chałat na postępowy tużurek, i zobaczmy teraz w jaki sposób przemawia do nich redakcya w artykule: „Czém być winniśmy?“

„Jako wyznawcy bądźmy wiernymi synami Judaizmu, krzewicielami jego prawd wzniosłych, przestrzegaczami jego nauk obyczajowych, czysto humanitarnych, najwyższą miłością człowieka dyktowanych; wychowujmy starannie w przeczystych zasadach wiary, i miłości dzieci nasze—bądźmy słowem izraelitami, a będziemy czém być powinniśmy.“

„Na tém kończyć się winna, jak najskrupulatniéj, cała nasza tak zwana odrębność. Po za tą ściśle religijną sferą, która zresztą nie staje w sprzeczności z żadną inną dobrze zrozumianą religiją, a jak najmniéj z prawdziwemi zasadami Chrześcijaństwa, po za tą sferą, która zamyka się w świątyni, w kole rodzinném i w sumieniu, znika wyznawca i zaczyna się człowiek — obywatel.“

„Tu, precz z wszelkim seperatyzmem, z wszelkim cieniem odłączności, w myśli, czuciu, mowie i czynie! Nie jesteśmy tu więcéj żydami, ale krajowcami w całém najistotniejszém tego słowa znaczeniu! Umiłować szczerą miłością ziemię, na którejśmy się urodzili, wzrośli i wychowali, czuć się za jedno, jedno nierozdzielne z narodem, wśród którego żyjemy, jego dobra pragnąć, jego pomyślnością się cieszyć, jego tryumfami się szczycić, do jego dobrobytu i sławy wedle sił się przykładać, jego troski dzielić, dolegliwości odczuwać

i jego boleścią boleć, w téj miłości dla kraju, pokolenie przyszłe, kiedyś nas w społeczeństwie mające zastąpić, wychowywać, — oto stanowisko społeczne, na którém stanąć i wytrwać winniśmy, niczém niezrażeni, ni jawnie okazywaną nam przez piastunów średniowiecznéj tradycyi niechęcią, ni pokątnie w stokach ciemności i fanatyzmu wichrzącą nienawiścią. Gdy niechęci te i nienawiści wygasną, a wygasną prędzéj czy późniéj — niechaj społeczeństwo zastanie nas wtedy na posterunku, na którém cało i niepodzielnie za swoich nas uzna i klątwę obczyzny na wsze czasy z nas zdejmie. . . .“

„Te wielką zagadkę dwoistéj, z pozoru tak sprzecznéj powinności, jako wyznawców i obywateli, rozwiązali najpierwéj nie teoretycznie — gdyż duch Judaizmu téj kwestyi w teoryi nie zna — ale praktycznie, izraelici w ojczyźnie swobody, we Francyi. Tam imię „żyd“ bratnio się kojarzy z mianem „francuz,“ a nad tym pięknym i serdecznym związkiem unosi się błogosławieństwo szacunku i czci współobywateli. Izrael z nad Sekwany przyświeca wzorem i nadzieją reszcie potomków Judy, pośród narodów Europy rozsianych.“

Takie to zdania padają na świeże umysły młodzieży starozakonnéj i pobudzają do rozwagi czytelników dojrzalszych, są to ci sami ludzie, których pewien dziennik berliński radził wypędzić z Niemiec jako niebezpiecznych. My, jak się pokazuje, nie będziemy ich wypędzali, ponieważ na naszym gruncie siew ten, przed wiekami obcy, dziś pod tchnieniem cywilizacyi poczyna dobre wydawać owoce.

Solidarności społecznéj, która zawsze jest pomyślnym objawem, dowodzi świéży fakt innego rodzaju. Lekarz warszawski dr. Perlmutter wyjechał na czas wojny do Bukaresztu, zkąd przed kilkunastoma dniami przysłał do redakcyi „Kuryera Warszawskiego“ sumę *jedenastu tysięcy rubli* na cele dobroczynne. Z téj kwoty przeznaczył 10.000 rs. na rzecz mającéj się zawiązać kasy pożyczkowéj studentów naszego uniwersytetu, 600 rs. na opłacenie wpisów uniwersyteckich a 400 rs. na zakupienie maszyn do szycia dla ubogich szwaczek, którą to sumę zwiększył jeszcze o 150 rs.

Ogół przyklasnął téj ofierze, choć tu i owdzie ludzie „wyżsi“ nad opinią tłumu starali się „wyjaśnić“ datek panującym w świecie popędem do reklamy. Nie zbijając nawet tego rodzaju komentarzy, zapytujemy: co też jest lepsze, czy szukanie „reklamy“ w kraju przez dzieła obywatelskie, czy też wywożenie pieniędzy za granicę, aby tam kupić tytuł hrabiego od kelnerów? Był czas, że widywaliśmy i ludzi i postępki podobne, z czego skutki zbiéramy obecnie; pozwólmyż więc, aby ogół dobrym wiedziony instynktem uczcił to, co zawsze i wszędzie pozyskiwało szacunek, jako oznaka społecznego

zdrowia. Niechaj ci, którzy krwawo zapracowany grosz narodowy sieli na obczyźnie, okrywając kraj swój śmiesznością, zawstydzą się dziś i w podobnych powyższemu wypadkach niech dostrzegą zaranie nowéj epoki, która nawet ich winy odkupi. Poszukujcie tylko wszyscy, którzy możecie tego rodzaju reklamy, a nie będziemy potrzebowali obcym filantropom przeciwstawiać naszych utracyuszów i ubolewać nad własnym upadkiem!

Miłośnicy nauki z przyjemnością zapewne dowiedzą się, że znakomita *Logika* filozofa angielskiego Baina wyjdzie wkrótce w przekładzie polskim. Dzieło Baina streszcza w sobie najnowsze postępy logiki i odznacza się jasnym, realnym wykładem przedmiotu. Oprócz wszechstronnego traktowania dwu zasadniczych metod, jakiemi posługuje się umysł ludzki: indukcyi i dedykcyi, znajduje się tam logika zastosowana do różnych typów nauk, jako to matematyki, fizyki, chemii, medycyny, nauk społecznych i t. d. Jest to dzieło o tyle przystępne, że je siedmioklasista z przyjemnością czytać może; a o tyle niezbędne, że je każdy oświecony człowiek nietylko posiadać, ale wystudyować powinien. Dla naszéj literatury stanowić ono będzie nieoceniony nabytek, tém więcéj, że przekładu podjął się uczony, który bodaj czy nie najlepiéj u nas rozumié wielkich myślicieli angielskich i którego jędrny styl stawia w szeregu rzeźbiarzy słowa. Nie będąc upoważnionym do przedwczesnego głoszenia o tém, popełniam może niedyskrecyą, mojem zdaniem jednak, wiadomość jest zbyt ważna, abyśmy nie mieli prawa podzielić się nią z czytelnikami.

*Aleksander Głowacki.*

---

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.

## KONKURS HISTORYCZNY.

---

## Towarzystwo Przyjaciół Nauk

ogłasza dla chcących ubiegać się o nagrodę zadanie następujące:

**Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Elbą a granicami dawnéj Polski, od czasu wystąpienia ich na widownią dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych.**

W rozwiązaniu tego zadania pożądany jest szczególny wzgląd na:

a) związek etnograficzny między pomienionemi plemionami słowiańskiemi a ludnością Polski Piastowéj;

b) stan kultury tychże plemion w owéj epoce, mianowicie z rzutem oka na religią, zwyczaje i obyczaje, ustrój polityczny i społeczny, na stan rolnictwa, przemysłu, handlu, budownictwa i sztuki ówczesnéj w ogóle;

c) zewnętrzny przebieg dziejowych wypadków, ze szczególném uwydatnieniem wydarzeń, które spowodowały w różnych stronach Słowiańszczyzny północno-zachodniéj ostateczną zagładę rozmaitych plemion;

d) wreszcie stosunek między temi plemionami a Polską.

Praca wyczerpująca w zupełności przedmiot ten oraz mająca odpowiednie zalety układu i stylu, a obejmująca przynajmniéj *25 arkuszy* druku w dużéj ósemce, otrzyma *1.500 marek* nagrody.

Jeźliby między nadesłanemi taka się nie znajdowała, wtedy rozprawa względnie dobra, to jest odpowiadająca przynajmniéj głównym warunkom zadania otrzyma *900 marek* nagrody.

Pozostałe *600 marek* zostaną albo w całości przyznane dziełu najlepszemu po poprzedniém, albo też rozdzielą się między rozprawy przynajmniéj częściowo przedmiot wyczerpujące.

Prace nagrodą uwieńczone pozostają własnością autorów, którzy jednakże będą obowiązani ogłosić je drukiem w przeciągu roku, po otrzymaniu nagrody. Gdyby tego nie spełnili, Zarząd, jeźli uzna stosownem, ogłosi je swym kosztem na dochód Towarzystwa. Manuskrypt przeto musi pozostać w rękach Zarządu.

Każdy rękopism opatrzony być winien dewizą lub jakim innym znakiem, a nazwisko autora dołączone w zamkniętéj kopercie z równém oznaczeniem.

Ostateczny czas nadsyłania oznaczony na dzień 1-go Października roku 1879, pod adresem:

**Hieronim Feldmanowski w Poznaniu, ulica Młyńska 35.**

*Poznań w Czerwcu* r. 1877.

**Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk Pozn.**

## OMYŁKI DOSTRZEŻONE W TOMIE I-YM.

| *Stronica* | *wiersz* | *zamiast* | *powinno być:* |
|---|---|---|---|
| 47 | 2 i 3 od góry | Kuno, Fischer, | Kuno-Fischer, |
| 135 | 21 „ | Fruzdy | Frondy |
| 326 | „ „ | Zanikowski | Janikowski |
| „ | 2 od dołu | obchodzenie | wchodzenie |
| 327 | 13 od góry | Rassereau | Bassereau |
| „ | 14 „ | Watzer'a | Wutzer'a |
| 365 | 9 „ | zowodu | zawodu |
| „ | 10 „ | rzadko fizycznemi | metafizycznemi. |



